

PAT CONROY

MUZYKA

PIAŻY

Z angielskiego przełożył Andrzej Szulc

Świat Książki

Książkę tę dedykuję

Michaelowi Josephowi, Jamesowi Patrickowi
i Timothy'emu Johnowi - trzem wspaniałym,
niezastąpionym braciom,
lojalnie dzielącym mój los.

Oraz Thomasowi Patrickowi,
naszemu udręczonemu bratu,
który odebrał sobie życie

31 sierpnia 1994.

Do CZYTELNIKA

Jestem wdzięczny wszystkim, którzy podzielili się ze mną swymi wspomnieniami z okresu Holocaustu i umożliwili w ten sposób napisanie tej książki:

Marcie Popowski Berlin, której rodzice, Henry i Paula, przeżyli Holocaust i która pomogła mi wyruszyć w podróż stanowiącą zaczątek tej powieści.

Ośrodkowi Gminy Żydowskiej oraz organizacji Children of Holocaust Survivors z Atlanty.
Centrum Holocaustu Północnej Kalifornii,

a także rodzinom Lourie i Friedman, które gościły mnie na swoich zjazdach rodzinnych w Charlestonie.

Dziękuję również wielu żydowskim rodzinom w Atlancie, które opowiedziały o swoich przeżyciach osobiście mnie bądź też mojej archiwistce, artystce Miriam Karp.

Jestem wdzięczny Old New York Bookshop za wydanie broszury Abrahama Liebesmana Pod rosyjskimi rządami: Z Żydami ze Stanisławowa podczas Holocaustu. Z hebrajskiego przełożył ją Sigmund Graubart.

PROLOG

W roku 1980, rok po tym, jak moja żona Shyla zabiła się, skacząc z mostu Silasa Pearlmana w Charlestonie w Karolinie Południowej, wyjechałem razem z córką do Włoch, aby zacząć życie od nowa. Nasza słodka Leah nie miała jeszcze dwóch lat, kiedy Shyla zatrzymała samochód w najwyższym punkcie mostu i po raz ostatni spojrzała na miasto, które tak bardzo ukochała. Zaciągnęła ręczny hamulec, otworzyła drzwi naszego samochodu i wspięła się na balustradę z całą delikatnością i tajemniczą kocią gracją, które zawsze składały się na jej urok. Inteligentna i wesoła, miała w sobie jednak ciemne jądro, które maskowała dowcipnymi aluzjami i ironią, cienką jak koronka. Tak dobrze opanowała strategię kamuflażu, iż jej własne dzieje wydawały się szeregiem precyzyjnie ustawionych luster, skrywających ją przed nią samą.

Zbliżał się zachód słońca; z radia płynęły jeden po drugim największe przeboje Driftersów. Shyla odebrała niedawno nasz wóz z przeglądu i w baku było pełno benzyny. Zdążyła także zapłacić wszystkie rachunki i załatwić mi czyszczenie kamienia nazębnego u stomatologa, doktora Josepha. Nawet w tych ostatnich dniach ani na moment nie opuściło ją poczucie ładu i porządku. Szczyciła się zawsze, iż potrafi kontrolować i uczynić niewidocznym swoje szaleństwo; i kiedy nie mogła już dłużej powstrzymać wzbierających w niej chaotycznych głosów, ich zła utrzymanego w minorowej tonacji, depresja runęła na nią, jakby ktoś naciągnął płachtę brezentu na tę część mózgu, na którą kiedyś padało światło. Po wielu pobytach w szpitalach psychiatrycznych, wyczerpaniu całej

11

gamy farmaceutyków i poddaniu się kapłańskim obrzędom terapeutów wyznających wszelkie

możliwe teorie, okazała się bezbronna, kiedy czarna muzyka podświadomości przybrała ton elegii - elegii na jej śmierć.

Stanąwszy na balustradzie - twierdzili zgodnie wszyscy naoczni świadkowie - Shyla zawahała się przez chwilę i spoglądając w stronę morza i mijających Fort Sumter statków, próbowała przygotować się do tego ostatniego zadania, jakie pozostało jej w życiu do spełnienia. Uroda mojej żony zawsze miała w sobie coś niepokojącego i kiedy wiatr od morza rozwiął jej włosy, unosząc je w górę niczym czarne proporce, nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktoś tak uroczy może pragnąć odebrać sobie życie. Ale Shyla miała dosyć poczucia niedoskonałości i ulotności i zapagnęła opuścić do połowy masztu flagi wszystkich nadchodzących dni. Trzy dni wcześniej wyjechała z naszego domu w Ansonborough i dopiero później dowiedziałem się, iż wynajęła pokój w hotelu Mills-Hyatt, aby ostatecznie uporządkować swoje sprawy. Po ustaleniu terminów spotkań, napisaniu listów i notatek, które miały pozwolić funkcjonować dalej we względnej harmonii naszej osieroconej rodzinie, namalowała czerwoną szminką na lustrze w hotelowym pokoju kasujący wszystko znak X, zapłaciła rachunek gotówką, poplirtowała chwilę z odzwiernym i dała duży napiwek chłopcu, który przyprowadził jej samochód. Pracownicy hotelu zapamiętali, iż przez cały czas była wesółą i opanowaną.

Kiedy tak stała nieruchomo na balustradzie, z tyłu zbliżył się do niej mężczyzna, który przyjechał z Florydy, facet ogłupiony cytrusami i Disney Worldem.

- Wszystko w porządku, kochana? - zapytał cichym głosem, żeby nie spłoszyć tej ładnej, stojącej na moście nieznajomej.

Shyla odwróciła się powoli w jego stronę. A potem z twarzą zalaną łzami dała krok w tył - i krokiem tym na zawsze odmieniła życie swojej rodziny. Jej śmierć nie zaskoczyła nikogo, kto ją kochał, a jednak nikt z nas nie potrafił się z nią pogodzić. Należała do najrzadszego rodzaju samobójców: nikt nie obciążał jej odpowiedzialnością za to, co zrobiła; przebaczone jej tak samo szybko, jak szybko dał się odczuć jej brak, a potem bardzo długo oplakiwano.

Przez trzy dni szukałem jej szczątków wraz z innymi ochotnikami o smętnych twarzach.

Przechesywaliśmy wszędy i wszędzie

12

cały port, ryjąc kotwicami płycizny i pozostawiając groteskową formę brajla w mulistym dnie i palowaniu starego mostu, który łączył Mount Pleasant i Sullivan's Island. Sunące wzdłuż trzcin ciało zauważyli w końcu dwaj chłopcy łowiący kraby.

Po jej pogrzebie pogrążyłem się w smutku, który wydawał się trwać wiecznie; bez końca rozpamiętywałem szczegóły i niuanse, które wiążą się ze śmiercią na Południu. Wielka rozpacz musi się czymś żywić - ja starałem się wypełnić nieszczęsną pustkę, karmiąc każdego, kto się pojawił, aby złożyć mi wyrazy współczucia. Miałem wrażenie, że żywię całą armię, która przybyła, aby ukoić dotkliwy ból, odczuwany przeze mnie za każdym razem, gdy ktoś wymienił imię Shyli. Samo to słowo stało się czymś w rodzaju przeciwpiechotnej miny. Ten słodko brzmiący wyraz był nieubłagany i nie mogłem wprost znieść jego dźwięku.

Szukałem więc zapomnienia wśród olejków i przypraw mojej dobrze zaopatrzonej kuchni.

Tuczyłem przyjaciół i rodzinę, próbując skomplikowanych przepisów, które zawsze odkładałem na później, i eksperymentując nawet z kuchnią azjatycką. Na kuchence gazowej płonęło bez przerwy sześć palników, a ja przyrządzałem aksamitne zupy i gulasze ze sterczącymi w górę żeberkami, na przemian łkając i gotując, i ani na chwilę nie przestając modlić się o wieczny odpoczynek dla duszy mojej nieszczęsnej żony. Cierpiałem, rozpaczałem, załamywałem ręce i pichciłem bajeczne posiłki dla wszystkich, którzy przychodzili mnie pocieszyć.

Zaledwie parę tygodni po pogrzebie Shyli jej rodzice wystąpili do sądu o odebranie mi władzy rodzicielskiej nad Leah i ich pozew sprowadził mnie z powrotem na ziemię. Spędziłem przygnębiający rok na sali sądowej, by udowodnić, że nadaję się na ojca. To wówczas właśnie miałem okazję spotkać wielu prawników o jaszczurzych oczach, do tego stopnia pozbawionych skrupułów, że bałbym się nakarmić ich kośćmi dzikie psy i nie użyłbym ich łykowego mięsa jako

przynęty na kraby. Rodzice Shyli szaleli z rozpaczy, a ja mogłem się przekonać, jak usilnie ludzie szukają kozła ofiarnego, gdy z twarzami wykrzywionymi nienawiścią składali zeznania na temat moich finansów, mojego zdrowia psychicznego, reputacji, jaką cieszę się w miejscu zamieszkania, oraz mojego pożycia z ich córką.

Mimo że mam wiele wad, co zresztą wzbudziło żywą ciekawość sądu, niewiele osób, które kiedykolwiek widziały mnie

13

razem z córką, miało wątpliwości co do tego, jakie żywię do niej uczucia. Kolana miękną mi na sam jej widok. Jest moim certyfikatem, moją przepustką do rodziny człowieczej; na niej opiera się wszelka wiara w przyszłość, jaką jeszcze zachowałem.

A przecież to wcale nie gorąca miłość do Leah zapewniła mi zwycięstwo w sądzie. Przed wybraniem się w ostatnią podróż Shyla wysłała mi list, który był po części wyznaniem miłosnym, a po części przeprosinami za to, co zrobiła. Kiedy mój adwokat kazał mi go przeczytać na głos, rodzice Shyli i wszyscy obecni zrozumieli, iż obwinianie mnie o jej śmierć jest w najlepszym wypadku pomyłką sądową. Pisząc ten list okazała nadzwyczajną wielkoduszność i zrobiła to w najczarniejszej godzinie swego życia. Posłała mi go niczym pocałunek w ostatnim geście głębokiej wrażliwości. Jej list uratował dla mnie Leah, brutalna sądowa batalia wyczerpała mnie jednak i pozostawiła w sercu gorzką zadrę. Czułem się tak, jakby Shyla umarła dwa razy.

Moją odpowiedzią na samobójstwo żony i zacierzenie przeciwników był okres dezorientacji i smutku, potem zaś ucieczka do Włoch. W Europie szukałem wytchnienia i samotności, a utrzymywany do ostatniej chwili w tajemnicy wyjazd z Karoliny Południowej na nowo obudził we mnie bojowego ducha. Zarabiałem dobrze jako autor przewodników turystycznych i kulinarnych, a ucieczka zawsze należała do rzeczy, w których byłem najlepszy.

Wraz z wyjazdem do Europy próbowałem zabić wszelkie wspomnienia o Karolinie Południowej i Shyli. Miałem nadzieję, iż uchronię siebie i Leah przed dusznościami, jakie ogarniały mnie w miejscu, w którym dorastaliśmy razem, ja i Shyla. Dla mnie Południe stało się podręcznym bagażem, którego nie mogłem się wyzbyć bez względu na to, ile przekroczyć granic, moja córka była jednak wciąż dzieckiem i chciałem, aby dojrzewała jako młoda Europejka, nie wiedząc nic o łagodnej i zgubnej krainie, która uśmierciła jej matkę w jednej ze swych najpiękniejszych rzek. Traktowałem z wielką powagą liczne ojcowskie obowiązki, nie słyszałem jednak nigdy o prawie, które kazałoby mi wychowywać córkę na obywatelkę Karoliny Południowej. Ten stan budził we mnie z całą pewnością mieszane uczucia i udając się na wygnanie nosiłem w sobie wiele nie zagojonych ran. Leah przespała w moich objęciach cały lot przez Atlantyk, a kiedy się obudziła, zabrałem się do dzieła, ucząc ją liczyć po włosku.

14

Osiedliśmy zatem w Rzymie i rozpoczął się długi proces zrywania z Południem, proces, którego nie zdołała zakłócić listowna kampania mojej matki. Jej listy przychodziły w każdy piątek.

Południowiec w Rzymie? Chłopak z nizin we Włoszech? Śmieszne. Nigdy nie potrafiłeś usiedzieć w miejscu, Jack, nigdy nie czułeś się dobrze w towarzystwie swoich bliskich. Zapamiętaj jednak moje słowa. Niedługo wrócisz. Południe ma wiele wad, ale pozostawia ślady, których nie zmyje żaden wywabiacz.

Choć matka miała trochę racji, obstawałem przy swoim. Pytających o mój akcent amerykańskich turystów zapewniałem, że nie sprawdzam już wyników Atlanta Braves w "Herald Tribune" i że nawet pod groźbą pistoletu nie zdołaliby mnie zmusić do ponownego zajrzenia do Faulknera lub Miss Eudo-ry *. Nie zdawałem sobie sprawy i nie obchodziło mnie, iż usiłuję wyprzeć się tego, co we mnie najbardziej autentyczne. Byłem święcie przekonany, że potrzebuję trochę czasu, aby zagoić rany i dać odpocząć znękanej duszy. Moim celem była amnezja, moim narzędziem był Rzym. Przez pięć lat ten plan funkcjonował bez zarzutu.

A jednak każdy, kto porzuca bliskich, musi się liczyć z sankcjami: rodzina jest zbyt zdyscyplinowaną armią, aby okazywać współczucie swym dezertrom. Choć moje motywy mogły

być dla nich całkiem zrozumiałe, ludzie, którzy mnie najbardziej kochali, traktowali to, co zrobiłem, jako zdradę. Ich zdaniem Shyla wypędziła mnie z Karoliny Południowej i tym samym sprawiła, iż ja i Leah znaleźliśmy się razem z nią po drugiej stronie balustrady.

Rozumiałem to doskonale, byłem jednak do tego stopnia wypalony, że miałem to w nosie. Uczyłem się z zapałem włoskiego i wkrótce opanowałem płynnie język sklepikarzy i straganarzy naszej dzielnicy. W pierwszym roku wygnania, pracując pilnie w swoim zawodzie, ukończyłem trzecią książkę kucharską, kompilację przepisów, które zebrałem w ciągu dziesięciu lat, kiedy jadałem w najlepszych restauracjach Południa. Napisałem również przewodnik po Rzymie, który trafiwszy do kiosków, zyskał pewną popularność wśród amerykańskich turystów. Chciałem, aby każdy Amerykanin, który go przeczyta, zrozumiał, iż Rzym jest miastem jednocześnie wysublimowanym

* Eudora Welty, amerykańska pisarka, ukazująca w swoich nowelach małomiasteczkowe życie Południa, laureatka nagrody Pulitzera w 1963.

15

i nieskończenie pięknym - miastem roztopionym w ciszy liści spadających z drzew, oferującym wspaniałe wrażenia każdemu, kto tu wraca i ma w sobie dość odwagi, by trzymać się z daleka od głównych tras turystycznych. Pisaniu tej książki towarzyszyły wszystkie cierpienia i udreki mej własnej nostalgii. Podróż za granicę warta jest wszelkich niewygód i trosk, odbija się jednak w radykalny sposób na ludzkiej psychice, brzmiał w ciągu tych pierwszych lat subtelnie ukryty podtekst. Piszac bez końca

0 nieprzemijających urokach Rzymu, nie potrafiłem ukoić
nieznośnego bólu serca, bólu, w którym rozpoznawałem tęsk
notę za domem.

Tłumiłem tę tęsknotę, nie przyznając się nawet, że ją odczuwam, i koncentrowałem się na tym, aby jak najlepiej wychować Leah w obcej mi kulturze. Wynająłem pochodzącą z umbryjskiej wioski służącą o nazwisku Maria Parise i obserwowałem z przyjemnością, jak staje się dla Leah zastępczą matką. Maria, prosta kobieta o silnym charakterze, bogobojna

1 przesądna, jak bogobojna i przesądna może być tylko wieś
niaczka, z olbrzymim entuzjazmem przystąpiła do wychowania
małej osieroconej Amerykanki.

W ciągu krótkiego czasu Leah stała się częścią fauny otaczającej Palazzo Farnese, ukochaną romanina, adoptowaną przez ludzi, którzy mieszkali i pracowali przy placu. Szybko również okazała się pierwszą prawdziwą poliglotką w dziejach naszej rodziny. Trajkocząc niczym rodowita Włoszka, żeglowała wokół licznych straganów Campo dei Fiori, z ich wartkimi strugami owoców, serów i oliwek. Bardzo wczesnie nauczyłem Leah rozpoznawać węchem, w którym miejscu placu akurat się znajdujemy. Południową stronę wypełniała woń ryb i nawet najbardziej rwące potoki wody i szorowanie szczotkami nie mogły usunąć unoszącego się w tym rejonie zapachu amoniaku. Ryby wyryły swoje imiona w bruku. Podobnie zresztą jak młode jagnięta, ziarna kawy, świeżo zerwana arugula, lśniące piramidy cytrusów i pieczywo, neące złocistobrazowym zapachem wielkich chlebowych pieców. Powtarzałem szeptem Leah, że zmysł węchu lepiej niż szkolny album utrwała w pamięci delikatne graffiti czasu. Zorientowałem się, że ma nos myśliwskiego ogara, w połowie drugiego roku, gdy zatrzymała się nagle przy alimen-tari braci Ruggeri.

- Przywieźli trufle, tato - oznajmiła i w tej samej chwili ja również poczułem ten niemożliwy do podrobienia zapach

16

czystej ziemi. W nagrodę kupiłem jej kawałek drogiej jak uran trufli i nazajutrz rano wkroiłem ją do jajecznicy.

Wychowanie Leah zajmowało mi dużo czasu, usuwając w cień mój smutek i nie pozwalając analizować skomplikowanych uczuć, jakie budziła we mnie śmierć Shyli. Szczęście Leah było dla mnie najważniejsze i nie zamierzałem przekazywać jej w spadku kolosalnej zdolności do cierpienia, z której słynęła nasza rodzina. Wiedziałem, że Leah otrzymała ode mnie i Shyli więcej genów

rozpaczy, niż jej się należało. W dziejach obu naszych rodzin dość było tragicznych wydarzeń, aby skłonić kolonię lemingów do bezzwłocznego marszu w stronę najbliższego zbiornika wodnego. Nie miałem pojęcia, czy w żyłach mojej córki nie płoną czasami żagwie naszego szaleństwa, ślubowałem jednak, że będę ją chronił przed rodzinnymi upiorami, nie dopuszczając do uruchomienia tych samych mocy, które zawiodły mnie pokrwawionego i duchowo poobijanego na lotnisko Fiumicino. Przyznaję, że stałem się cenzorem historii mojej córki. Południe, o którym opowiadałem co wieczór Leah do poduszki, istniało tylko w mojej wyobraźni. Nie miały do niego dostępu żadne zagrożenie ani koszmar. Księżyc nad Karoliną Południową pozbawiony był ciemnej strony, rzeki toczyły tam krystalicznie czyste wody i bez przerwy kwitły kamelie. W tym kraju nikt nie słyszał o cierniach i kolcach i nikogo nigdy nie bolało serce.

Ponieważ odziedziczyłem po swych przodkach talent narracyjny, moje zgrabnie podane kłamstwa stały się jedynymi wspomnieniami Leah. Popełniłem zupełnie bezwiednie błąd, zmieniając dla niej Karolinę Południową w rodzaj utraconego i tajemniczego rajskiego ogrodu. Usuając starannie wszystko, co mogłoby ją moim zdaniem zranić, zmieniłem swe dzieciństwo w fascynujący zakazany owoc. Sam, nie wiedząc kiedy, sprawiłem, że moja córka zapragnęła zobaczyć na własne oczy porywająco piękne rodzinne strony. Chociaż Rzym wycisnął na niej niezatarte piętno, nie była przecież jego rdzenną mieszkanką, nie należała do niego, podobnie jak porosty, które ścielą się wzdłuż murów powstrzymujących wody Tybru.

Prawie co wieczór, kładąc moją córkę do łóżka, opowiadałem jej jakąś nową historię z dzieciństwa mojego lub jej matki. Jedną z nich Leah kazała mi jednak powtarzać tak długo, aż

17

w końcu przybrała niezmienny, kanoniczny kształt roty albo katechizmu. Bez końca musiałem opowiadać jej o nocy, gdy Shyla i ja po raz pierwszy się w sobie zakochaliśmy. Chociaż dorastaliśmy w sąsiadujących ze sobą domach, bawiliśmy się razem i dawaliśmy sobie znaki z okien naszych sypialni, bardzo długo uważaliśmy się wyłącznie za dobrych kumpli. Miałem samych braci i Shyla zastępowała mi siostrę. Aż do owej nocy na plaży w ostatniej klasie liceum, kiedy zachowała się zupełnie nie jak siostra.

— Założę się, że już wcześniej flirtowałeś z mamą - prze rywała mi w tym momencie Leah.

— Nie flirtowałem - odpowiadałem. - Byłem nieśmiały.

— Więc dlaczego nie jesteś nieśmiały teraz? - drażniła się ze mną.

— Ponieważ razem z twoją matką dokonaliśmy niesamo witego odkrycia, że mam fascynującą osobowość.

— W szkole średniej? - śmiała się Leah, znając dobrze moją odpowiedź.

— W szkole średniej nie miałem osobowości. W szkole średniej miałem wyłącznie pryszczę.

— Ale chodziłeś z Ledare Ansley, klasową boginią i drużyny nową klakierką.

— Ona też była nieśmiała, chociaż na ogół uważa się, że ładna dziewczyna nie ma do tego prawa. Ponieważ oboje wstydliwie się baliśmy, więc stanowiliśmy idealną parę.

— Jej matka wcale cię nie lubiła - mówiła Leah.

— Uważała, że Ledare mogła sobie znaleźć kogoś o wiele lepszego. Kiedy przychodziłem, żeby zabrać ją na randkę, spoglądała na mnie jak na słoik z uryną.

— Jesteś zawsze taki nieprzyzwoity - strofowała mnie Leah. - Ale wściekasz się, kiedy ja powiem coś nieprzyzwoitego.

— Nigdy się na ciebie nie wściekam. Moim obowiązkiem

jest ubóstwiać cię. Nie sprawia mi to zresztą większych trudności.

— Opowiadaj dalej. Opowiedz o tym, jak ty i mama zachaliście się w sobie. Przejdź od razu do najprzyjemniejszej części, do prywatki na plaży. Do mamy, Capersa Middletona, Mike'a i Jordana.

Gdy podejmowałem opowieść, pokonując głosem dystans lat i Atlantyku, Leah spoglądała zawsze na stojące na nocnej

18

szafce zdjęcie swojej uroczej matki. Wiedziałem, że ta historia bardziej niż cokolwiek innego zbliża ją do Shyli, wzmacnia w niej miłość do matki i taka właśnie była moja intencja.

— Po raz pierwszy zakochałem się w Shyli Fox, dziewczynie, którą znałem przez całe życie, na St. George's Island.

— To było na St. Michael's Island - poprawiała mnie Leah. - To ta wyspa obok Isle of Orion, gdzie mieszka teraz twoja matka.

— Zgadza się - odpowiadałem, jak zawsze usatysfakcjonowany tym, że Leah przywiązuje taką wagę do szczegółów. - Jeden z moich przyjaciół wydawał wtedy przyjęcie w domu swojego ojca.

— To był Capers Middleton. Jego ojciec był właścicielem fabryki produkującej butelki coca-coli. Mieszkał w najpiękniejszej rezydencji przy Bay Street w Waterfordzie.

— Brawo. Ten dom przy plaży należał do jego ojca...

— A mama chodziła na randki z Caperssem i mnóstwem innych chłopaków. Cieszyła się wielkim wzięciem w liceum. Była prawdziwą gwiazdą Waterford High School.

— Dasz mi dojść do słowa, czy będziesz opowiadać sama? - pytałem w tym momencie.

— Mów. Uwielbiam, jak to robisz - mówiła Leah, spoglądając ponownie na zdjęcie matki.

I wtedy zaczynałem opowiadać na serio, wracając na St. Michael's Island w owym sztormowym roku, gdy bez przerwy wiały północno-zachodnie wiatry i erozja wysp wystawionych na otwarte fale sięgnęła naprawdę niebezpiecznych rozmiarów. Na ruchomej, bez przerwy podmywanej plaży, niedaleko miejsca, gdzie woda zalała fragment starego lasu, drużyna baseballowa Waterford High wydawała przyjęcie w trakcie wysokiego przypływu. Przewidywano, że tej nocy dom Middletona runie do morza. Cztery inne budynki, milę dalej na południe, zostały już zniszczone przez wiosenne przypływy. Dom był właściwie skazany na zagładę i porzucony - zaczynał osuwać się w stronę morza, chyląc się ku rzeźbionym w srebrze grzebieniom fal - my jednak wyprawialiśmy mu pożegnalne przyjęcie. Przybój dotrzymywał nam kroku, odmierzając głośno ostatnie godziny, w trakcie których mogliśmy powiedzieć o sobie, iż jesteśmy nastolatkami. Wszyscy byliśmy tutaj podczas narodzin rock and rolla i przetańczyliśmy niewinne, lecz burzliwe lata szkoły średniej, wnosząc nasz skromny wkład w przepojenie muzyki

19

rytmem i pożądaniem. Władze zakazały wstępu do budynku, my jednak wyłamaliśmy założoną przez szeryfa kłódkę i zajęliśmy dom na ten ostatni bal w czasie przypływu.

Miałem prawie osiemnaście lat i po głowie wciąż chodziły mi wariackie pomysły. Upojony własną brawurą i whiskey Maker's Mark, przechwalałem się, iż pozostanę w domu, kiedy ten podniesie w końcu żagle i odpłynie ze swej przystani przy starej Seaside Road. Moja dziewczyna, Ledare Ansley, miała dość zdrowego rozsądku, by nie siedzieć do samego końca w przechylonym

budynku, oświetlonym wyłącznie przez reflektory samochodów, którymi moi kumple przyjechali na przyjęcie. W drodze na wyspę Ledare poinformowała mnie słodkim głosem, że pora już, abyśmy zaczęli spotykać innych ludzi, i że jej rodzice chcą, byśmy zerwali zaraz po maturze. Kiwałem głową, nie dlatego, że się akurat zgadzałem, ale ponieważ głos uwiązał mi w gardle, zablokowany przez burzę hormonów, która odebrała mi niemal mowę. Ledare dodała również, że chce poprosić Capersa Middletona, aby dotrzymywał jej towarzystwa na balu Świętej Cecylii w Charlestonie, w czasie którego miał się odbyć jej towarzyski debiut. Pochodziłem z o wiele gorszej rodziny niż ona i matka od dawna ostrzegała mnie przed nadejściem tego wieczoru - nigdy jednak nie uprzedziła, że tak mocno mnie to zaboli.

Zaczęliśmy tańczyć przy muzyce z tranzystorowych radiodbiorników; lokalna stacja WBEU nadawała wszystkie piosenki, które towarzyszyły naszej klasie podczas czterech lat liceum. Pod nami pęczniało niewidoczne morze, na niebie świecił jasny księżyc w pełni. Połyskująca niczym atlasowy dywan, po którym stąpa młoda para, smuga światła wydobywała z mroku łuski marlinów i grzbiety migrujących sto mil od brzegu wielorybów. Przyptyw sunął przez rozlewiska; każda fala, która docierała do wyspy, była masywna i łśniąca i atakowała plażę z całą pierwotną siłą, jakiej użył jej księżyc. Nie wiadomo kiedy minęła pierwsza godzina; w końcu fale zaczęły uderzać bezpośrednio o ścianę domu i nasza grupa rzucających wyzwanie przyptywowi morskich tancerzy zdała sobie sprawę, iż słyszy morze dokładnie pod stopami. Poprzednie przyptywy nadwątlily już pale i fundamenty, wypychając dom głęboko w piasek. Kiedy odgłosy przyboju oraz pękających desek i betonu stały się zbyt głośne, wielu moich kolegów wycofało się

20

roztropnie razem z dziewczynami tam, gdzie stały samochody. Poziom wody ciągle rósł, przekraczając wszelkie przewidywania. Wysokość tego wielkiego przyptywu miała ostatecznie sięgnąć ośmiu stóp i w pewnym momencie wydawało się, iż zaleje całą wyspę. Coraz więcej uczestników prywatki przerywało taniec i śmiejąc się rejterowało na wydmy; morze porывało już pierwsze fragmenty domu, a zardzewiałe gwoździe skrzypiały niczym struny wiolonczeli w miąższu osłabionego drzewa. Tańczyłem właśnie przy dźwiękach melodii Annie Had a Baby, kiedy fala oderwała balustradę frontowej werandy i straciłem partnerkę, Ledare Ansley, która w mojej szkolnej marynarce uciekła w ślad za innymi, piszcząc głośno ze strachu.

Pozostawiony sam sobie, zabrałem na piętro butelkę whiskey Maker's Mark, wyszedłem na przylegający do głównej sypialni taras i stanąłem twarzą w twarz z księżycem, oceanem i przyszłością, która rozpościerała się przede mną w całym swym oszałamiającym ogromie. W moim życiu trwał wówczas okres, kiedy wiele rzeczy niesamowicie mnie nudziło. Spragniony byłem piękna i czystych uniesień, dostępnych jedynie tym, którzy mają dość wyobraźni, aby wiedzieć, czego szukają i gdzie można to znaleźć. Dlatego między innymi grałem na prawym polu w trakcie owego drugiego sezonu, gdy uganiał się po baseballowym boisku, upajając się czystym pięknem przepisów tej gry. Prawe pole było właściwym miejscem dla myśliwiecy, jeśli umiało się zastopować sprinterów zasuwałających z pierwszej do trzeciej bazy. Ja miałem silne ramię i kamienną cierpliwość fantasty i ganiałem po murawie wesoły jak szczeniak i podenerwowany, kiedy kij brali do ręki mańkuci.

Drzwi za mną otworzyły się.

- Mama! - piszczała w tym momencie Leah.

Odwróciłem się i ujrzałem stojącą w księżycowej poświacie Shylę Fox. Wyglądała, jakby sam księżyc pomógł jej ubrać się na tę chwilę. Ukłoniła się nisko i zapytała, czy może prosić mnie do tańca.

Zatańczyliśmy więc, sunąc ku kulminacyjnemu punktowi w moim i w jej życiu. Za oknami huczał wiatr, a między nami rosła niczym przyptyw dziwna miłość, opierająca się na grzebieniach fal, które osłabiały konstrukcję domu. Tańczyliśmy sami w świetle księżycy i zasilanych przez akumulatory reflektorów, podczas gdy zawodnicy i ich dziewczyny wznosili radosne

21

okrzyki za każdym razem, kiedy w zniszczonych przez wodę fundamentach pojawiała się kolejna rysa. Wody Atlantyku podnosiły się coraz wyżej w uświęconym tańcu pływów i w końcu cały dom zaczął się kołysać niczym ruszająca powoli z miejsca Arka Noego. Z pokoju pod nami dobiegały krzyki radości i strachu pięciu innych par. Obejmowałem mocno Shylę pamiętając, że tańczę z dziewczyną, która nauczyła mnie kiedyś tańczyć na mojej własnej werandzie. Ludzie stojący na wydmach prosili, żebyśmy wyszli z walącego się domu i usiedli razem z nimi przy ognisku. Krzyczeli głośno i trąbili, podziwiając naszą odwagę.

A potem wielka fala uderzyła w betonowe fundamenty i cały dom zatrzęsł się w posadach. Poczulem ten sam lodowaty strach, który skłonił do ucieczki innych, oczy Shyli zatrzymały mnie jednak w miejscu. Słuchaliśmy razem łoskotu bałwanów. Nawoływania naszych przyjaciół zmieniały się w błagalne prośby za każdym razem, kiedy woda zalewała zniszczoną drogę, rozrywając w tumanach słonego pyłu popękany asfalt, który z biegiem czasu skruszał niczym zjedzone do połowy ciastko.

Na zewnątrz, z hukiem podobnym do karabinowego wystrzału, pękły pale podtrzymujące werandę. W radiu Driftersi zaczęli śpiewać Save the Last Dance for Me.

- To moja ulubiona piosenka - powiedzieliśmy jednocześnie i bez chwili wahania, jakby ktoś dawno temu wyreżyserował tę scenę w jakimś zodiakalnym proroctwie.

Przetańczyliśmy tę piosenkę od pierwszego do ostatniego taktu i od tej chwili stała się naszą własnością. Nie odzywaliśmy się ani słowem; słychać było tylko plusk wody na dole i kiedy obróciłem Shylę kilka razy dookoła, zmieniła się nagle w zupełnie inną dziewczynę, dziewczynę, która spoglądała na mnie tak, jak nie spoglądał na mnie nikt dotąd. W jej oczach byłem zrodzonym z morskiej piany młodym księciem. Uzczyła mi piękna, którego nie miałem, i widząc, jak pożąda mnie każda cząstka jej ciała, poczułem nagły przypływ dumy. Pod wpływem jej pasji coś dobrego i jasnego rodziło się w moim sercu. Shyla zaprowadziła mnie do sypialni i po chwili leżeliśmy już oboje na postrzępionym dywanie: jej usta wpijały się w moje usta, a jej język dotykał mojego języka.

- Zakochaj się we mnie, Jack - usłyszałem jej natarczywy żarliwy szept. - Na pewno boisz się we mnie zakochać.

22

Nim zdążyłem odpowiedzieć, dom ponownie zadygotał i przesunął się do przodu, dając pierwszy zdecydowany krok w stronę morza. A potem przechylił się i osiadł niżej, jakby oddawał hołd potężnemu przypływowi, takiemu, jaki zdarza się tylko raz w życiu. Miałem wrażenie, że w głębinach oceanu rodzi się góra.

Podnieśliśmy się z dywanu i trzymając się za ręce, żeby nie stracić równowagi, wyszliśmy z powrotem na przechyloną werandę. Światło księżyca biegło papierową smugą po morzu, a my obserwowaliśmy białe języki fal, które połykały leżące niżej kawałki cementu. Tańczyliśmy dalej aż do chwili, gdy dom dotrzymał obietnicy i stanął się na spotkanie z przypływem, a ja zapłonąłem miłością do tej dziewczyny.

Nasza miłość zrodziła się i skończyła w morskiej wodzie. Żalowałem często później, że Shyla i ja nie zostaliśmy tamtej nocy w podmywanym przez fale domu, trzymając się w objęciach i pozwalając, aby ocean wdarł się przez otwarte okna i jakiś niewidzialny wsteczny prąd porwał nas oboje i poniósł w śmiertelnym uścisku gdzieś daleko ku Golfstromowi, gdzie nie pokaleczyłaby nas historia.

Po raz ostatni widziałem Shylę w miejskiej kostnicy w Charlestonie, kiedy musiałem zidentyfikować jej ciało. Koroner, człowiek wielkiej wrażliwości, zostawił mnie samego, gdy płakałem nad jej z trudem dającymi się rozpoznać zwłokami. Odmawiałem katolickie modlitwy, ponieważ były jedynymi, które znałem, i choć w połowie zapomniane, przychodziły mi tak łatwo jak łyż. Shyla spuchła w wyniku długotrwałego pozostawiania w wodzie. Jej uroda przepadła bez śladu w płytkich portowych basenach i jakby tego było mało, dobrały się do niej kraby. Kiedy szykowałem się do wyjścia, coś zwróciło nagle moją uwagę i obróciłem jej rękę. Na lewym

przedramieniu widniał wytatuowany numer 36 364 04.

— Tatuaż wykonano całkiem niedawno - powiedział cicho koroner. - Wie pan może, co oznacza?

— Jej ojciec był w Oświęcimiu - odpowiedziałem. - To jego numer.

— Pierwszy raz spotykam się z czymś takim - stwierdził. - Człowiekowi wydaje się, że widział tu już wszystko.

Ale z czymś takim spotykam się po raz pierwszy. Dziwne. Czy była w bliskich stosunkach z ojcem?

— Bynajmniej. Prawie się do siebie nie odzywali.

23

— Ma pan zamiar powiedzieć tatusiowi o tatuażu?

— Nie. To by go zabiło - odparłem, spoglądając po raz ostatni na ciało Shyli.

Nazywam się Jack McCall i uciekłem do Włoch, aby wychować w spokoju moją córkę. Teraz, w roku 1985, wchodząc po spiralnych schodach na taras, z którego rozciąga się widok na dachy Rzymu, zabrałem ze sobą pozytywkę ofiarowaną mi przez Shylę w piątą rocznicę naszego ślubu. Nakręciłem ją i spojrzałem na pogrążone w mroku miasto. Gdzieś daleko zabrzmiało nagle, niczym krzyk upadłego anioła, bicie dzwonu i poczułem na policzku wiejący od Tybru wiatr. Pozytywka grała dwudziesty pierwszy koncert fortepianowy Mozarta, jeden z moich ulubionych utworów. W powietrzu unosiły się zapachy z położonej niżej restauracji Er Giggetto: woń pieczonego jagnięcia, liści mięty i szaławii. Zamknąłem oczy i ponownie zobaczyłem twarz Shyli.

Ze środka pozytywki wyjąłem list, który wysłała do mnie w dniu śmierci, i przyjrzałem się widniejącemu na kopercie swojemu nazwisku. Shyla miała bardzo ładny charakter pisma i zawsze z wielką starannością kaligrafowała moje imię. Zastanawiałem się, czy nie przeczytać listu na nowo, zamiast tego jednak wyjąłem z pozytywki naszyjnik ze złotą monetą i słuchałem przez chwilę ulicznego ruchu. Shyla dostała ten naszyjnik od swojej matki na szesnaste urodziny i nie zdejmowała go aż do ostatniego dnia. Zawsze budził we mnie wspomnienie chwil, kiedy się kochaliśmy. W swoim testamencie Shyla napisała, że chce, aby Leah dostała go, gdy będzie wystarczająco dorosła, aby zrozumieć sens podarunku. Próbując odebrać mi władzę rodzicielską, rodzice Shyli wystąpili jednocześnie o zwrot naszyjnika. Ponieważ w moich oczach stanowił wyłącznie złowrogi talizman, zastanawiałem się często, czy nie wysłać im go pocztą bez adresu zwrotnego. Dla mnie był tylko naszyjnikiem, niczym więcej, i po chwili włożyłem go z powrotem do pozytywki.

Przyglądając się idącym przez plac przechodniom, nie zdawałem sobie w ogóle sprawy, że ten rok na zawsze odmieni moje życie.

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Na ogół nie śpię już, kiedy Piazza Farnese budzi się do życia. Parzę sobie po ciemku kawę, zabieram filiżankę na taras i patrzę, jak pierwsza luna zapala się nad płowego koloru miastem. O szóstej rano przychodzi kioskarcz i zaczyna układać czasopisma pod swoją markizą. Potem od zachodu wjeżdża na plac ciężarówka, przywożąca paki "Il Messaggero" i innych porannych gazet. Dwaj karabinierzy pilnujący wejścia do ambasady francuskiej zapalają światła swojego dzipa i zaczynają objeżdżać powoli Palazzo Farnese. Zawsze z tym samym wyrazem twarzy, niczym figury ze zdekompletowanej talii kart, karabinierzy wydają się śmiertelnie znudzeni i kiedy sterczą w swoich samochodach podczas długich rzymskich nocy, można na ogół zobaczyć odbijające się od tablicy rozdzielczej ogniki papierosów. Po pewnym czasie przed Bon Caffè zatrzymuje się furgonetka z pachnącymi workami kawy, a właściciel kawiarni zaczyna podnosić stalowe rolety. Pierwszą filiżankę czarnej kawy dostaje zawsze kierowca furgonetki, drugą kioskarcz. Mały chłopak,

syn właściciela, zanosi potem dwie filiżanki karabinierom po drugiej stronie placu, a w klasztorze Świętej Brygidy, naprzeciwko mojego domu, zaczynają się krzątać zakonnice.

Na niebie wciąż żarzą się gwiazdy i świeci księżyc, kiedy jedna z mniszek otwiera małą stalową furtkę przed kościołem Świętej Brygidy - znak, iż niedługo zacznie się msza. Oglądając to wszystko i czując, jak doskwiera mi samotność, zaczynam liczyć wszystkie trzynaście kościołów, które widać z mojego tarasu. Nie zdążyłem ich policzyć w ów poniedziałkowy ranek

27

do końca, gdy od strony Campo dei Fiori na plac wszedł mężczyzna, który od kilku dni nas śledził. Kiedy spojrzał w stronę mojego tarasu, schowałem się za krzak oleandra. Mężczyzna wszedł do Bon Caffè, a ja słuchałem z przyjemnością muzyki stojących na piazzie fontann, licząc dzwonnice i cztery wielkie nieruchome zegary, których wskazówki oznajmiały Rzymowi dokładny moment swej śmierci.

Po drugiej stronie placu obojętna niczym ćma zakonnica podlewała róże na klasztornym tarasie. Cętkowany kot skradał się do gołębia spacerującego w pierwszym skrawku padającego na plac słonecznego światła, ale stojący obok zarośnięty włóczęga klasnął w dłonie i spłoszył i gołębia, i kota. Śledzący mnie mężczyzna wyszedł z Bon Caffè i ponownie zerknął w stronę mojego tarasu. Zapalił papierosa, a potem podszedł do kiosku i kupił sobie egzemplarz "II Messaggero".

Na dole piazza zaczynała tętnić życiem. Przekupnie wtaczali swoje wózki, a z bocznych uliczek wylegało coraz więcej przechodniów. Gołębie gruchały do siebie z kamiennych burbońskich lilii, wieńczących dostojny architrav ambasady francuskiej. Uwielbiam regularne linie i prostotę mojej piazzy.

O siódmej rano na dachu po drugiej stronie ulicy zabrali się do roboty dekarze. Wbijając gwoździe w dachówki, komponowali dziwny rodzaj muzyki - tak jakby ktoś grał na umieszczonych pod wodą ksylofonach. Dopilem kawę i zszedłem na dół, aby obudzić Leah.

— Czy ten człowiek wciąż nas śledzi, tato? - zapytała, kiedy podszedłem do okna i otworzyłem okiennice.

— Czeka na nas na placu, jak wczoraj.

— Jak myślisz, kto to jest? - zapytała.

— Dzisiaj się tego dowiem, kochanie.

— Może to porywacz? Może sprzeda mnie Cyganom i będę musiała zarabiać na życie, okradając turystów?

— Znowu rozmawiałaś z Marią. Nie słuchaj tego, co mówi o Cyganach albo o komunistach. I pośpiesz się. Suor Rosaria zawsze ma do mnie pretensje, kiedy się spóźniasz.

- A jeśli będzie chciał zrobić mi krzywdę?

Podniosłem moją córkę wysoko, tak że nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie.

— Mówiłem ci już, że twój tato może być głupi, ale co można o nim zawsze powiedzieć?

— Że jest duży - zachichotała.

28

— Jak duży?

— Naprawdę duży. Sześć stóp i sześć cali wzrostu.

- Jak nazywają mnie w szkole twoje koleżanki?

— Nazywają cię // Gigante, olbrzym - odpowiedziała, za nosząc się śmiechem.

— Jestem olbrzymem. W porównaniu ze mną ten facet na dole jest karzełkiem, który wspina się po łądydze fasoli.

— Ale mały karzełek zabija olbrzyma, odcinając łądygę -

odparła.

Uściskałem ją i roześmiałem się.

- Jesteś diabelnie sprytna, Leah. Zupełnie jak twoja matka. Nie martw się. To tylko bajka. W normalnym życiu olbrzymi czyszczą sobie zęby pieszczelami takich facetów.

- To było obrzydliwe. Muszę iść wymyć zęby.

Usłyszałem wchodzącą przez frontowe drzwi Marię.

— Buon giorno, piccolina - zawołała do Leah, przechodząc przez sień, po czym schowała parasolkę do szafy i weszła do kuchni, gdzie nałałem jej filiżankę kawy.

— Buon giorno, Dottore - przywitała mnie.

— Nie jestem doktorem, Mario - odparłem w mojej własnej koturnowej odmianie włoskiego. Nie potrafię opanować dialektu Marii. Mówi czasem, jakby świergotała, czasem, jakby miała wadę wymowy, nigdy jednak nie niecierpliwi się, kiedy nie mogę jej zrozumieć.

— We Włoszech jest pan doktorem - odpowiedziała po włosku. - Więc niech pan się cieszy i nie marudzi. Uwielbiam nazywać pana Dottore w obecności innych służących. Wiedzą, że pracuję dla kogoś, kto ma dużo wolnego czasu. A propos, pański przyjaciel wciąż tu jest.

— Widziałem go z tarasu. Czy ktoś go zna?

— Portier rozmawiał z właścicielem Bon Caffè. Facet twierdzi, że jest turystą z Mediolanu. Ale jaki turysta wpatrywałby się jak sroka w gnat w ten jeden apartament i nie zwracał uwagi na Palazzo Farnese? Kioskarz Bruno mówi, że facet jest na pewno policjantem i musi pan być zamieszany w narkotyki albo działalność Czerwonych Brygad. Żaden z karabinierów nigdy go nie spotkał, ale oni są zbyt młodzi, aby widzieli kogoś poza własną matką. Facet kupuje papierosy w cartolerii u Gianniny. Obserwuje go cała piazza. Nie sądzę, żeby był niebezpieczny. Kazali mi przekazać, żeby pan się nie bał.

— Powiedz im, że dziękuję. Postaram się jakoś odwdziżyć.

29

— Nie ma potrzeby - odparła. - Chociaż pan i piccolina jesteście cudzoziemcami, stanowicie część placu. Każdy pilnuje swoich sąsiadów.

— Ożeń się ze mną, Mario - powiedziałem biorąc ją za rękę. - Ożeń się, a ja oddam ci wszystkie swoje pieniądze i pozwolę, żebyś wychowała moje dziecko.

— Opowiada pan głupoty. Sciocchezze - odparła Maria, chichocząc jak szalona i odrzucając głowę do tyłu. - Americano pazzo. Jeśli będzie się pan ze mnie tak nabijał, któregoś dnia odpowiem "tak" i co pan wtedy zrobi, Dottore!

— Zatelefonuję do papieża i powiem, żeby ruszył tyłek i dał nam ślub w bazylice Świętego Piotra.

— Jest pan dla mnie za duży, Signor McCall - stwierdziła, mierząc mnie wzrokiem. - Zabiłby mnie pan w łóżku.

— Wymówki, wymówki - odparłem, kiedy w drzwiach kuchni pojawiła się ubrana w szkolny strój moja córka. Uśmiechnęła się szeroko, żebym mógł zobaczyć dokładnie wymyte

zęby, a ja sprawdziłem jej uszy i szyję i kiwając z uznaniem głową, przekazałem w ręce Marii, która zaczęła zaplatać jej warkoczyki. Włosy Leah opadały w dół ciemną falą, iskrzącą się w elektrycznym świetle. Kiedy potrząsała głową, migotały i żyły własnym życiem, jak rzeka albo zwierzę.

— *Belissima, bellissima* - mruzczała Maria. - Najładniejsza dziewczynka na całym placu.

Piazza Farnese była centralnym punktem w życiu Leah. Nie miała na szczęście pojęcia, że uciekam przed przeszłością, która wystawiła przeciw mnie zbyt liczną nagonkę. Nie pamiętała lotu z Karoliny Południowej do Nowego Jorku, ani nocnego lotu samolotem Alitalii, którym przylecieliśmy do Rzymu.

Trzymając się za ręce, pozdrowiliśmy portiera i wyszliśmy na zalaną słońcem ulicę.

Mężczyzna obrócił się do nas plecami i zapalił papierosa, a potem udał, że czyta pamiątkową tablicę nad drzwiami apteki.

— Nie będziesz się z nim bił, prawda, tato? - zapytała Leah.

— Masz na to moje słowo. Myślisz, że jestem głupi? Po tym, co wydarzyło się ostatnim razem?

— Bałam się, kiedy zabrali cię do więzienia - powiedziała.

— Ja bałem się o wiele bardziej. Rzym zakończył karierę bokserką twojego taty.

— Wszystkie siostry wiedziały, że byłeś w więzieniu Regina

30

Coeli - oznajmiła z olbrzymią dezaprobatą ośmiolatki. - Nawet Suor Rosaria. To było bardzo przykre.

— To było nieporozumienie kulturowe - wyjaśniłem, kiedy szliśmy przez zatłoczony plac. - // Gigante doszedł do wniosku, że powinien urwać komuś jaja. Tego rodzaju błąd w rozumowaniu mógł popełnić każdy Amerykanin.

— Jesteś mi winien tysiąc lirów - stwierdziła Leah.

— Nie powiedziałem nic nieprzyzwoitego. Nie jestem ci winien nawet dziesiątka.

— Powiedziałeś słowo na "j". To kosztuje tysiąc lirów.

— Jajo nie jest nieprzyzwoitym słowem. Oznacza żeńską komórkę rozrodczą i możesz je znaleźć w Biblii. Przypomnij sobie: "Jeśli natkniesz się w drodze na ptasie gniazdo z pisklętami lub z jajkami, a matka wysiaduje pisklęta lub jajka, nie zabierzesz matki z młodymi" *.

— Nie użyłeś tego słowa w tym znaczeniu - powiedziała. - Jeśli jesteś uczciwy, zapłacisz mi tysiąc lirów.

— Jestem dorosły - oświadczyłem. - A to oznacza, że powinienem traktować nieuczciwie każde napotkane dziecko.

— Byłam z tobą w więzieniu - stwierdziła z powagą. - Suor Rosaria uważa, że powinieneś się wstydzić.

— Padłem ofiarą zdominowanego przez samców społeczeństwa, które nie potrafiło zrozumieć moich dobrych intencji.

— Byłeś brutalny - oznajmiła.

Za każdym razem, kiedy tracę nad sobą panowanie, podnoszę głos bądź też znajduję się w sytuacji, która grozi wybuchem awantury, Leah przypomina mi moje najbardziej niemiłe jak dotąd starcie z rzymską obyczajowością. Zdarzyło się to podczas pierwszych miesięcy naszego pobytu w Rzymie, kiedy wciąż jeszcze przyzwyczajałem się do miliona obowiązków, które musi wziąć na swoje barki mężczyzna usiłujący wychować samotnie córkę w obcym mieście. Codziennie obezwładniała mnie

rozmaitość potrzeb i pragnień produkowanych przez to całkiem nieskomplikowane dziecko. Miałem wrażenie, że potrzebuję talentów miejskiego administratora, aby pokonać wraz z nią wszelkie przeszkody, które Rzym potrafił rzucać nam pod nogi. Zdając się na los szczęścia, odkryłem właściwego pediatrę. Założenie telefonu wymagało trzech wizyt w magistracie, czterech w urzędzie telekomunikacyjnym, trzech łąpówek w twardej

* Piąta Księga Mojżeszowa, 22, 6.

31

walucie i skrzynki dobrego wina dla portiera, którego brat znał faceta mieszkającego drzwi w drzwi z burmistrzem Rzymu. Wieczne Miasto szczyliło się swoją skrajną niewydolnością. Jego wielkoduszną anarchia sprawiała, że pod koniec każdego dnia czułem się kompletnie wyczerpany z sił. Prawdziwe problemy czekały mnie jednak dopiero, gdy zapominając o niezbędnych środkach ostrożności, wybrałem się pewnego dnia na zakupy pod markizami, które ocieniały słynne stragany owocowe i warzywne na Campo dei Fiori. Prowadząc Leah przez tę hałaśliwą ptaszarnię ludzkiego handlu, uwielbiałem przyglądać się wielkim piramidom żółtych śliwek, winogron i brzoskwiń i spijającym ich nektar, baraszkującym niczym szczeniaki osom. Pokazując osy mojej córce, wychwalałem zgodę, jaka panuje między nimi i sprzedawcami - tak jakby podpisali ze sobą traktat, zatwierdzający wspólne prowadzenie interesu i konsumpcję owoców.

Teatralny charakter ulicznego życia Campo oczarował Leah od pierwszego tygodnia naszego pobytu w tej dzielnicy. Dzień w dzień dryfowaliśmy od północnej pierzei, gdzie kupowaliśmy chleb, do ostatniego przystanku przy sklepie Fratelli Ruggieri. Unosiły się tam zapachy serów i wieprzowiny, a pod sufitem wisiało pięćdziesiąt udźców prosciutto. Z zaplecza wytaczano koła parmezanu, wielkie jak opony ciężarówki. Sklep prowadziło pięciu braci i każdy z nich miał unikalną i tragiczną osobowość, zupełnie jakby odgrywali pięć drugoplanowych ról w pięciu różnych operach. Każdy robił, co chciał, i wspólnie wnosili piętno improwizacji i teatralności w swój aromatyczny interes. W kłopoty wpadłem przed ich sklepem, kiedy przypomniałem sobie o kupnie oliwek.

Wracając z Leah przez cały plac, obok faceta ostrzającego noże i jego stacjonarnego roweru, a także straganów, gdzie sprzedawano płucka i inne podroby, trafiliśmy prosto na jedną z ognistych sprzeczek małżeństwa De Angelo. Chociaż nie od razu poznaliśmy ich imiona, już przedtem byłem świadkiem kilku awantur między Mimmem i Sophią De Angelo. Mimmo był robotnikiem i nałogowym pijakiem i często widywano go z butelką grappy, popijającego samotnie na jednej ze stojących przed pałacem kamiennych ławek. Tęgi i przysadzisty, miał owłosione ramiona i silne krótkie ręce. Sącząc swoją grappę, wydawał się raczej pogrążyć w mroku, aniżeli upijać. Z nadejściem nocy zaczynał mamrotać przekleństwa na wszystko,

32

co go w życiu rozczarowało. Jego żona znajdowała go na ogół w tym stanie i obelgi, którymi obrzucali się nawzajem, dobiegały nawet przechodniów podążających wzdłuż Tybru i tych, którzy wychodzili z Piazza Navona. Żadne zasady savoir-vivre'u, których De Angelo przestrzegali w domowym zaciszu, nie obowiązywały podczas ich głośnych publicznych awantur. Leah i ja obserwowaliśmy kilka z nich z naszego wysokiego okna nad placem i choćby z racji samej siły głosu i jakości inwektyw, ta rzymska para stanowiła klasę dla siebie. Klótnie kończyły się na ogół w momencie, gdy wytracona z równowagi i zapłakana Sophia uciekała do domu, uświadamiając sobie, iż cały plac znakomicie się bawi w trakcie odgrywanego przez nich spektaklu.

— To zły człowiek - stwierdziła Leah.

— Włosi nie biją kobiet - zapewniłem ją. - Tylko na nie krzyczą.

Małżeńskie sprzeczki De Angelo stawały się jednak coraz częstsze i głośniejsze. Sophia była ładna, wymowna i dziesięć lat młodsza od swego nieokrzesanego nieczulego męża. Miała piękne nogi, pełną figurę i oczy podkrążone bólem. Z każdym dniem Mimmo coraz bardziej się upijał, a Sophia coraz częściej płakała - w ich mowie pobrzmiwała stara rozpacz biednych i pozbawionych nadziei.

Maria poinformowała mnie, iż Mimmo groził, że zabije Sophię, bo przynosi mu wstyd przed sąsiadami, a mężczyzna jest zerem, jeśli nie cieszy się szacunkiem swoich przyjaciół i ziomków. Wszystko to nie powinno mnie w najmniejszym stopniu obchodzić. De Angelo należeli do lokalnego kolorytu, stanowili niepokojący epizod wojny płci, z którą nie miałem dzięki Bogu nic wspólnego.

• A jednak w tamtym konkretnym dniu, gdy dobiegał końca pierwszy rok naszego pobytu w Rzymie, kupując oliwki u stra-ganiarza, gderliwego posepnego faceta, którego zaczynałem lubić za oryginalny charakter jego ponuractwa, usłyszałem nagle krzyk Leah. Kiedy się odwróciłem, pięść Mimma łądowała właśnie na policzku Sophii.

To nie widok krwi wzbudził mój gniew, nie łzy i nie współczucie dla biednej Włoszki. Wzbudził go głęboki żal, jaki poczułem, widząc w oczach Leah przerażenie i bezradność, które tak często oglądałem będąc dzieckiem. Podchodząc do Mimma, całkowicie się jednak kontrolowałem; zdawałem sobie sprawę,

iż znajduję się w obcym kraju, którego obyczaje różnią się od moich i w którym moja interwencja może kogoś dotkliwie urazić.

Mimmo miał zadać kolejny cios, kiedy chwyciłem go za ramię. Widząc, że przeszkadzam mu w ukaraniu własnej żony, wpadł w prawdziwą wściekłość. Próbował uderzyć mnie wolną dłonią, ale ja uchyliłem się i przycisnąłem obie jego ręce do boków.

- No, signore - powiedziałem z szacunkiem, posługując się moją loporną włoszczyzną. - E mało. Mimmo bluznął strumieniem włoskich przekleństw, które powinny w znacznym stopniu pomóc mi wyjaśnić treść graffiti wypisanych na murach i mostach Rzymu, gdy zwiedzałem później wraz z Leah mniej uczęszczane zaułki starego miasta. Zrozumiałem słowo morle, co skłoniło mnie do przekonania, iż grozi mi śmiercią, oraz słowo stronzo, uliczny termin zawierający wszechstronne konotacje i oznaczający z grubsza rzecz biorąc "dupka".

Mimmo uwolnił jedną rękę i chciał uderzyć mnie sierpowym w policzek, ale ja ponownie chwyciłem go za ramię, podniosłem w powietrze i rąbnąłem nim o ścianę piekarni. Ludzie zaczęli krzyczeć i obejrzawszy się do tyłu, zobaczyłem przerażoną twarz Leah. Głównie ze względu na nią próbowałem znaleźć w miarę spokojne wyjście z sytuacji, która przybierała rozmiary wielkiej operowej sceny. Chwilę później Mimmo splunął mi w twarz i przez krótki moment myślałem, że urwę mu głowę, ale potem znowu popatrzyłem na swoją córkę i uświadomiłem sobie, że muszę się wycofać i zrobić to szybko, zanim zjawi się policja.

Postawiłem Mimma na ziemi obok Sophii, która krzyczała, abym nie robił krzywdy jej mężowi. Następnie wziąłem Leah za rękę i przeprosiłem Mimma oraz jego żonę, powtarzając kilka razy mi dispiace. Kiedy ruszyliśmy szybko w stronę domu, kilka stojących w tłumie kobiet zaczęło bić brawo i wiwatować. Po chwili usłyszałem syrenę policyjnego samochodu i poczułem, jak ogarniają mnie złe przeczucia.

Wydostałem się bez przeszkód z tłumu. Idąc przez plac czułem jednak utkwione we mnie oczy. Nie dochodząc do domu, daliśmy nurka do kafejki przy Vicolo del Galio, do której po południu często zabierałem Leah na lody. Właścicielką była pełna macierzyńskich uczuć kobieta, która bardzo lubiła

34

Leah i dawała jej cukierka za każdym razem, kiedy mała nauczyła się nowego włoskiego słowa. Zamawiając cappuccino dla siebie i lody dla mojej córki, nie zauważyłem, że do kafejki wślizgnął się w ślad za mną Signor De Angelo. Właścicielka podała loda Leah i zajęła się skomplikowaną czynnością parzenia kawy, czynnością, którą Włosi potrafią wykonywać z takim ceremoniałem. Nie widziałem, jak Mimmo De Angelo kupuje sobie butelkę piwa i szybko ją wypija.

Nim zdążyłem się zorientować, podstawa butelki trafiła mnie tuż nad łukiem brwiowym i krew zalala mój zdrętwiały policzek. Dużo mniejszy Mimmo zamierzył się po raz drugi, ale ja złapałem go za ramię, podniosłem do góry i położyłem na ocynkowanym barze. Trzymając go płasko na brzuchu i obserwując w lustrze płynącą po mojej twarzy krew, słyszałem krzyk Leah, krzyk

właścicielki, krzyk Sophii i miałem wrażenie, że krzyczy połowa Rzymu. A potem ruszyłem razem z Mimmem do przodu, ciągnąc go za sobą po barze, niczym worek z praniem, i szybko się rozpędzając. Przebiegłem tak może z dziesięć stóp, trzymając go za pasek i tył koszuli i strącając na podłogę kieliszki, filiżanki i sztućce. Kiedy bar się skończył, Mimmo przefrunął w powietrzu nad stolikiem, przy którym siedzieli zdumieni goście, i w powodzi szkła i krwi rozbił z głośnym hukiem automatyczny bilard.

Tę noc Leah i ja spędziliśmy razem w więzieniu Regina Coeli nad Tybrem, słuchając, jak stojące na wzgórzu Janiculum rzymianki wołają swoich zamkniętych w celach kochanków. Więzienny lekarz założył pięć szwów na mój pęknięty łuk brwiowy i przekonał dyrektora, że Leah jest sierotą, której dopiero co umarła matka, i nie wolno jej w żadnym wypadku oddzielać od ojca. Strażnik, który zaprowadził mnie i Leah do celi, zapytał, jakie spaghetti chcielibyśmy zjeść na kolację i czy do posiłku wolę wino białe, czy czerwone. Napisałem później do "European Travel and Life" artykuł na temat swojego pobytu w więzieniu i przyznałem więziennej restauracji dwie gwiazdki.

Powracających z Regina Coeli Leah i mnie witano z wielkimi honorami. Spędzona w więzieniu noc wpłynęła nader korzystnie na moją znajomość włoskiego i rekomendowałem później pobyt w kryminale jako najpewniejszy sposób opanowania tego języka każdemu Amerykaninowi, który zamierzał stać się w krótkim czasie dwujęzyczny.

35

Najbardziej jednak trwałym efektem naszego aresztowania stała się pozycja, którą zdobyliśmy jako obywatele piazzы. Wielu jegomości przesiadujących na ławkach przed pałacem uważało, iż wielkość Włoch zależy w znacznej mierze od stanowczości, z jaką mężczyźni traktują swoje kobiety. W krajach śródziemnomorskich, zwłaszcza na południu Włoch oraz wśród klas niższych, bicie żony stanowi, podobnie jak zapędzanie mułów do pracy w polu, formę utrzymywania dyscypliny w rodzinie i z całą pewnością nie powinno interesować amerykańskich turystów. Żeńska populacja placu jednomyślnie pogardzała jednak Mimmem, podziwiając zarazem bezgranicznie każdego, kto przelał swoją krew i poszedł do kryminału w obronie włoskich kobiet.

Dlatego właśnie cały plac obserwował tego ranka obcego mężczyznę, który ruszył za nami Via di Monserrato.

Leah miała na sobie żółtą sukienkę i lśniące pantofle z brązowej skórki i przyglądała się swemu odbiciu w każdej mijanej szybie. Wiedziała, że jest ładna; jej ciemne włosy połyskiwały w słońcu niczym skrzydła ptaka. Giancarlo, czterdziestoletni kaleka z wadą mózgu, zawołał do nas, kiedy jego wyczerpana, schorowana matka przetoczyła go na wózku obok angielskiego seminarium. Nikt w całej dzielnicy nie wiedział, co stanie się z Giancarlem po śmierci matki i zawsze oddychano z ulgą, kiedy pojawiali się rankiem na ulicy. Głuchoniemy Antonio pomachał do nas i przystanąłem, aby podać mu ogień. Co chwila mijali nas idący na zajęcia angielscy seminarzyści, poważni chłopcy, którzy rzadko się uśmiechali i mieli dziwnie bladą cerę, jakby wychowano ich w jaskini.

— Myślisz, że ten człowiek chce nas zabić, tato? - zapytała

Leah.

— Nie. Wydaje mi się, że chce się po prostu dowiedzieć, gdzie mieszkamy, co robimy i gdzie chodzisz do szkoły.

— Przecież już to wie. Śledził nas w piątek.

— Nie ma się czym martwić, kochanie - powiedziałem, ściskając jej rękę. - Nie uda mu się zepsuć nam spaceru.

Pod numerem dwudziestym Via di Monserrato zajrzeliśmy na pograżony w głębokim cieniu, pachnący dziedziniec i Leah zawołała kota Gerardo, aby odebrał od nas swój poranny plasterpek pepperoni. Kot przybiegł z ogrodu - ruchoma plama nakrapianego liśćmi brązowego jedwabiu - i porwawszy mięso, uciekł z nim na górę po stopniach klatki schodowej, ozdobionej

36

fragmentami marmurowych tablic i zwietrzałymi płaskorzeźbami. Śledzący nas mężczyzna udawał, że czyta kartę dań trattorii przy małym skwerku.

— Jeśli wstąpi tam coś zjeść, mam nadzieję, że zamówi małże - oznajmiła Leah.

— Wstydz się - odparłem; przed kilkoma dniami amerykański turysta dostał wirusowego zapalenia wątroby po zjedzeniu małży w jednej z rzymskich restauracji.

— To na pewno członek Czerwonych Brygad - stwierdziła.

— Kto ci powiedział o Czerwonych Brygadach? - zapytałem.

— Maria. Ona o wszystkim mi opowiada. Zabili włoskiego premiera i zostawili go w bagażniku samochodu. Jak chcesz, mogę ci pokazać, gdzie to było.

— Ten facet nie należy do Czerwonych Brygad. Za dobrze się ubiera.

— Ty też powinieneś się lepiej ubierać. Jak Włoch - za uważała.

— Przepraszam, że nie mam pięknej figury, ty szelmo.

— To będzie cię kosztowało kolejny tysiąc lirów. Nie jest miło nazywać własną córkę szelmą.

— To dowód czułości. Trochę inny sposób powiedzenia, że się kogoś kocha. Wszyscy ojcowie w Stanach mówią tak do swoich córek.

— To ordynarne słowo. Żaden Włoch nie zwróciłby się tak do własnej córki. Za bardzo je kochają.

— Tak mówi Maria?

— I Suor Rosaria.

— Masz absolutną rację. Od tej chwili będę robił codziennie pięćset pompek, żeby wszyscy zachwycali się moją piękną figurą.

Przechodząc na drugą stronę ulicy, zawsze uważnie się rozglądaliśmy, wiedziałem bowiem, iż siedzący za kierownicą rzymianin nigdy nie prowadzi po prostu samochodu - on celuje - i dlatego idąc z Leah do szkoły, starałem się zachować wyjątkową ostrożność. Widzieliśmy kiedyś na Ponte Mazzini angielskiego turystę, który zatrzymał pośrodku mostu swój samochód i podniósł ręce do góry w udawanym geście kapitulacji.

— To nie jest jazda. Moim zdaniem to rugby - stwierdził, kiedy podszedłem, żeby zapytać, czy nie potrzebuje pomocy.

— Zapowiada się piękny dzień, tato - oznajmiła Leah. -

Żadnych zanieczyszczeń. - Smog był czasami tak gęsty, że nie

widać było hotelu Hilton, i dodawało mi otuchy to, iż zanieczyszczenia mogą odegrać niekiedy pozytywną rolę.

- Głowa świętego Piotra - powiedziała, kiedy nad rosnącymi przy rzece platanami ukazała się kopuła bazyliki Świętego Piotra. Wkrótce po naszym przyjeździe do Rzymu pomyliła słowa "głowa" i "kopuła" i stało się to przedmiotem naszych ciągłych żartów. Spojrzałem w dół na zakole Tybru. Żadna rzeka, bez względu na to jak zanieczyszczona i brudna, nie może w moich oczach wydać się brzydka. Niewiele rzeczy działa na mnie tak mocno jak piękno płynącej wody.

Mężczyzna zachowywał dystans i nie odważył się wejść na most, póki nie zobaczył, że schodzimy po schodach obok więzienia Regina Coeli. Teraz, kiedy zdawał sobie sprawę, że wiemy o jego obecności, zachowywał większą ostrożność. Być może mieszkańcy placu opowiedzieli mu, jak rozbiłem automatyczny bilard, rzucając nań Mimma.

Weszliśmy na dziedziniec Sacra Cuore, położony przy końcu długiej ulicy, Via di San Francesco di Sales. Z daleka zobaczyła nas Suor Rosaria - drobna, lecz piękna zakonnica, która cieszyła się opinią jednej z najlepszych nauczycielek klas początkowych w całym Rzymie. Uczyła Leah już trzy lata i zawsze świetnie się rozumiały. Zakonnice, które znałem w Karolinie Południowej, złośliwe, rozgryzione kobiety, pomogły w walnym stopniu zatruć moje dziwaczne i bolesne dzieciństwo i chociaż wiedziałem, że nie sposób zostać eks-katolikiem, podobnie jak nie sposób zostać eks-człowiekiem Orientu, przyrzekłem sobie, że nigdy nie wychowam Leah w duchu katolickim. Nie mogłem przewidzieć, że mieszkając w kraju katolickim, nie zdołam wymknąć się spod apodyktycznej kurateli Kościoła.

Suor Rosaria podbiegła do Leah i obie rzuciły się sobie w objęcia niczym szkolne koleżanki. Głęboko wzruszała mnie autentyczna i nie skrywana miłość, jaką ta zakonnica żywiła do mojej córki. Suor Rosaria posłała mi zalotne spojrzenie swoich jasnych oczu. Cieszy się, stwierdziła, że znowu przyprowadziliśmy do szkoły naszego gościa. Mówiąc to, wskazała wzrokiem mężczyznę, który chodził za nami po Rzymie przez czwarty dzień z rzędu.

— Chi e? - zapytała.

— Sam mi to powie - odrzekłem po włosku. - Nie krył wcale tego, że nas śledzi. Może dzisiaj zdradzi mi, czego chce.

38

— Czy pan wie, Signor McCall, że ma pan najmądrzejszą i najpiękniejszą córkę w całym Rzymie? - zapytała Suor Rosaria.

— Si, Suor a - odparłem. - Jestem najszcześniejszym czło-
wiekiem pod słońcem.

— Jesteś najmilszym tata pod słońcem - stwierdziła, przy-
tulając się do mnie, Leah.

— Mówiąc takie rzeczy możesz zarobić prawdziwą forszę,
tygrysku - oznajmiłem. - Mandaty za brzydkie słowa to
w porównaniu z tym nędzne grosze.

— Uważaj na tego człowieka, tato - ostrzegła mnie. - Jeśli
zginiesz, zostanę sama jak palec.

- Nic złego się nie zdarzy. Obiecuję - powiedziałem.

Pożegnałem się i wychodząc z terenu klasztoru, omiotłem
szybkim wzrokiem ulicę. Młodziutkie baleriny podążały eterycznym krokiem do położonego w
połowie Via di San Francesco di Sales studia baletowego; na schodach szkoły plastycznej rozsiedli
się, kopiąc papierosy, studenci sztuki. Nigdzie nie widziałem jednak naszego szpicla. Dopiero po
minucie zobaczyłem, jak w drzwiach baru, naprzeciwko studia baletowego, pojawia się i szybko
znika jego głowa.

Tego ranka włożyłem specjalnie tenisówki i bez chwili wahania ruszyłem spokojnym truchtem
jedną z tych eleganckich prostych rzymskich uliczek, wzdłuż których ciągną się po obu stronach
pozbawione drzwi i bram wysokie mury.

Kiedy wszedłem do baru, mężczyzna wskazał gestem, abym przysiadł się do jego stolika.

— Zamówił już dla pana cappuccino, Signor McCall -
oznajmił grzecznym tonem.

— Straszy pan moją córkę, Sherlocku. Chcę, żeby to się
skończyło.

— Słodzi pan zdaje się cappuccino jedną kostką cukru -
stwierdził. - Znam chyba dobrze pana zwyczaję.

— Więc wie pan zapewne, że kiedy ktoś mnie zdenerwuje,
lubię skopać mu tyłek?

— Nieraz opisywano mi pańską skłonność do rozwiązań
siłowych. Tak się jednak składa, że jestem weteranem wielu

kursów samoobrony. Tai kwon do, dżiu-dżitsu, karate. Mam dużo czarnych pasów w swej szafie. Mistrzowie nauczyli mnie, jak unikać niebezpieczeństwa. Ale wypijmy najpierw kawę, dobrze? Potem będziemy mogli przejść do interesów.

39

- Nie wiedziałem, że we Włoszech mają prywatnych detektywów - powiedziałem, kiedy barman podał mi przez kontuar filiżankę cappuccino.

Mężczyzna wypił łyżeczkę kawy i pokiwał z uznaniem głową.

— Przypominamy księży. Ludzie przychodzą do nas tylko wtedy, kiedy mają kłopoty. Nazywam się Pericle Starraci. Mam biuro w Mediolanie, lubię jednak podróżować po całych Włoszech. Interesuje mnie sztuka etruska.

— Dlaczego pan mnie śledzi, Pericle?

— Bo mi za to zapłacono.

— Zacznijmy od początku. Kto pana wynajął?

— Osoba, która chce się z panem spotkać.

— Kto to jest?

— Chce podpisać z panem traktat pokojowy.

— Moja matka. Moja przeklęta, niegodna zaufania, wbija jąca mi nóż w plecy, nieznośna matka.

— To nie jest pańska matka - stwierdził Pericle.

— W takim razie to na pewno mój teść.

— Nie - zaprzeczył Pericle. - To jego córka.

— Martha? - zapytałem zaskoczony. - Po kiego diabła miałyby pana wynajmować?

— Ponieważ nikt nie chciał jej dać pańskiego adresu. Pańska rodzina odmówiła jej pomocy.

— Bardzo dobrze zrobili - oświadczyłem. - To pierwsza miła rzecz, jaką od wielu lat słyszę o mojej rodzinie.

— Martha musi z panem porozmawiać.

— Niech pan jej powtórzy, że nie spotkam się z żadnym członkiem jej rodziny, jeśli nawet poprosi mnie o to za pośrednictwem elektronicznej poczty sam Pan Bóg. Powinna o tym wiedzieć.

— Powiedziała, że zaszło wielkie nieporozumienie, które jej zdaniem można wyjaśnić.

— To nie było żadne nieporozumienie - odparłem, szykując się do wyjścia. - Przyrzekłem sobie, że nigdy już nie spotkam się z tymi ludźmi. To najłatwiejsze do spełnienia przyrzeczenie, jakie kiedykolwiek złożyłem. Następnym jest obietnica niewidywania się więcej z moją własną rodziną. Jeśli o to chodzi, jestem prawdziwym demokratą. Nie chcę widzieć nikogo, kto kiedykolwiek odezwał się do mnie po angielsku w ciągu pierwszych trzydziestu lat, jakie spędziłem na tej ziemi.

40

.- Signora Fox zdaje sobie teraz sprawę, że nie był pan odpowiedzialny za śmierć jej siostry.

— Niech pan jej przekaże moje podziękowania i powie, że nie obarczam jej odpowiedzialnością za powiększanie się dziury

ozonowej, topienie czapy lodowej na biegunach oraz wzrost cen pepperoni. Miło się z panem gawędziło, Pericle - rzuciłem na zakończenie, po czym wstałem i wyszedłem na ulicę.

— Ona ma pewne informacje - oznajmił Pericle, doganiając mnie i usiłując dotrzymać mi kroku. - Coś, co jej zdaniem, będzie chciał pan wiedzieć. Informacja dotyczy pewnej kobiety. "Damy z monetami", tak ją chyba nazwała.

Kiedy wymówił te trzy słowa, zatrzymałem się jak wryty: przeszły mnie niczym odłamek szrapnela.

— Niech pan jej powie, że mogę z nią dziś zjeść kolację.

Będę w Da Fortunato, niedaleko Pantheonu.

— Już jej to przekazałem, Signor McCall - oświadczył gładko Pericle. - Widzi pan? Mówiłem, że dobrze znam wszystkie pana zwyczaje.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy z początkiem lata odwiedzają mnie w Rzymie przyjaciele, lubię zabierać ich podczas burzy do Pantheonu, stawać pod lekką, odznaczającą się idealnymi proporcjami, otwartą kopułą i obserwować rozpryskujący się na marmurowej posadzce deszcz i przecinające zachmurzone niebo błyskawice. Cesarz Hadrian przebudował tę świątynię, by złożyć hołd bogom, którym nie oddawano już dłużej kultu, w dostojnej i harmonijnej bryle Pantheonu wyczuwa się jednak gorącą, gniewną pasję. Moim zdaniem rzadko kiedy udało się tak dobrze uczcić bogów.

Podczas pierwszego pobytu w Rzymie studiowałem kiedyś przez cały dzień architekturę Pantheonu, zbierając materiały do artykułu zamówionego przez "Southern Living". Kiedy strażnik wygonił mnie wreszcie na godzinę przed zachodem słońca na dwór, wybrałem się na poszukiwanie restauracji, gdzie ja i Shyla moglibyśmy zjeść kolację. Shyla, która spędziła dzień na zakupach przy Via Condotti, wyszła z hotelu, aby się ze mną przejść. Kupiła sobie szalik oraz półbuty na swoje piękne małe stopy, które stanowiły przedmiot jej szczególnej dumy. Nagle, kiedy szliśmy Via del Pantheon, w nozdrza wpadła mi dziwna piżmowa, podziemna woń, której żadne z nas nie rozpoznawało. Niczym dwa wyżły ruszyliśmy śladem zapachu i po jakimś czasie znaleźliśmy jego źródło przy wejściu do Da Fortunato. W zalatujących czosnkiem i spryskanych winem powietrznych prądach, które wypełniały alejkę przed trattorią, gryzący egzotyczny aromat tkwiących w koszu białych trufli wydawał się przeistoczony w jakiś cudowny sposób esencją lasu. Wróciliśmy tam wieczorem, ale najpierw pokochaliśmy się

42

w naszym hotelowym pokoju. Leżeliśmy później, trzymając się mocno w objęciach, wciąż zdziwieni i onieśmieleni tym, jak wysoko potrafimy wznieść płomień czulej żądz, jaką budziły w nas nasze ciała. Czasami rozsadzało nas wprost pragnienie, aby dokonywać w łóżku niesamowitych rzeczy. W obcych miastach, leżąc we dwoje, szeptaaliśmy sobie do uszu słowa, których nie zdradzilibyśmy nikomu innemu pod słońcem. Wyprawialiśmy sobie wzajemnie uczyty i karmiliśmy naszą miłość językami ognia. Nasze ciała były dla nas zaczarowanymi ogrodami.

Kelner, który podawał nam tej nocy, nazywał się Fernando, lecz wszyscy zwracali się do niego Freddie. Silnie zbudowany i obdarzony głębokim głosem, znakomicie dawał sobie radę ze swoim rewirem. Zaprowadził nas do małego stolika na dworze, z widokiem na Pantheon, i polecił na pierwsze danie risotto oraz butelkę barolo. Przyniósłszy risotto, wyjął elegancki ostry jak brzytwa instrument i skroił cienkie kawałki trufli do parującej gorącej potrawy. Ryż i grzyby połączyły się w niemy koncordacie i do końca życia nie zapomnę, jak podniosłem do nosa talerz, dziękując Bogu za to, iż tej samej nocy pozwolił nam poznać Freddiego i trufle.

Kolacja była długa; nigdzie nam się nie śpieszyło. Z początku rozmawialiśmy o przeszłości i o wielu rzeczach, które nie ułożyły się między nami, potem jednak szybko zwróciliśmy wzrok ku przyszłości i zaczęliśmy mówić o dzieciach: jakie damy im imiona, gdzie z nimi zamieszkamy i jak

będziemy wychowywać te eteryczne i piękne istoty, które choć jeszcze nie narodzone, cieszyły się już naszą wielką miłością.

Shyla flirtowała z Freddiem za każdym razem, kiedy podchodził do stolika, a on reagował na to jednocześnie z powściągliwością i śródziemnomorskim wdziękiem. Polecił nam świeże krewetki, podgrzane lekko na grillu i skropione oliwą z oliwek oraz sokiem cytrynowym. Oliwa miała odcień głębokiej zieleni i wyglądała, jakby dostarczono ją wprost ze szmaragdowej winnicy. Krewetki były słodkie niczym karmione miodem homary i kontrpunktowały niskie tony, pozostawione w kubeczkach smakowych przez trufle. Shyla wylała trochę oliwy na swoje palce i polizała je. A potem oblała moje palce i oblizała je jeden po drugim. Freddie, który obserwował nas z zazdrością i uznaniem, uhonorował jej występ sałatką z aruguli, następnie zaś wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i zaczął uroczystą

43

ceremonię obierania czerwonokrwistej pomarańczy z Sycylii. Pomarańczowa skórka schodziła z rubinowego owocu, zwijając się w długą spiralną wstęgę. Myślałem, że się choć raz pomyli, ale ostrze scyzoryka żeglowało przez cały czas bezbłędnie wokół pomarańczy i w końcu zaczęli mu bić brawo inni goście. Kiedy długa jak wąż skórka spadła na podłogę, Freddie podniósł ją i wręczył z ukłonem Shyli, która wciągnęła w nozdrza jej ostry zapach. Freddie podzielił i położył przed nią pomarańczę, nieskazitelnie rozciętą i piękną jak kwiat róży. A potem przyniósł dwa kieliszki z wyrytym w szkle wizerunkiem Pantheonu i nalał nam grappy.

Nad miastem wisiał księżyc w pełni; młoda Cyganka sprzedawała kwiaty o długich łodygach, lawirując zgrabnie między stolikami. Trzej wieśniacy z Abruzji śpiewali neapolitańskie pieśni miłosne, a potem puścili w obieg kapelusz, do którego wrzucaliśmy datki. Połykacz ognia wysuwał z ust swój płomienny miecz, a facet z ukulele zaśpiewał / Want to Hold Your Hand i Love Me Tender.

- Zupełnie jak w filmie Felliniego, Jack - powiedziała

Shyla. - W ogóle stąd nie wychodźmy.

W stronę Piazza delia Rotonda płynęły nieprzerwanym strumieniem tłumy beztroskich włoskich nastolatków. Cyganki we wspaniałych barwnych strojach zaczęły ochryłym głosem kawiarnianych gości, nie zwracając wcale uwagi na starających się je odpędzić kelnerów.

Emerytowane konie wyścigowe ciągnęły dorożki z niemieckimi i japońskimi turystami, którzy wszystko filmowali i niczego nie widzieli.

Pod koniec wieczoru Freddie przyniósł nam dwie filiżanki espresso i poprosił, abyśmy na zawsze zapamiętali Da Fortunato oraz kierownika sali, Freddiego, który miał zaszczyt obsługiwać nas tej rzymskiej nocy, określonej przez niego mianem fantas-tica. Shyla pocałowała go w spontanicznym geście, który wydawał się całkowicie na miejscu.

Kiedy studiowałem rachunek, ścisnęła moją dłoń i szepnęła, żebym podniósł wzrok.

Zobaczyłem Freddiego, który prowadził do sąsiedniego stolika Federica Felliniego w towarzystwie dwóch najbardziej olśniewających kobiet, jakie w życiu widziałem.

- Do zobaczenia w Da Fortunato - powiedział mrugając okiem Freddie, a potem, pomny potęgi gestu, kupił różę u Cyganki i ofiarował ją Shyli wraz z firmowym kieliszkiem do wina.

44

Po śmierci Shyli odnalazłem ten kieliszek, tę zaszuszoną różę i tę pomarańczową skórę, starannie opakowane i złożone w jej skrytce w banku. Przypomniały mi, że bywają takie noce na ziemi, kiedy parze zakochanych sprzyja dosłownie wszystko, noce, kiedy świeci księżyc w pełni i między stolikami krążą Cyganki z kwiatami, kiedy trufle przyciągają spacerujących ulicą nieznanomych, Fellini siada przy sąsiednim stoliku, a Freddie obiera w akcie hołdu czerwonokrwistą pomarańczę. Przypomniały mi, że tamtej nocy w Rzymie kochaliśmy się tak, jak nie ma prawa nawet marzyć, że będzie się kochał, nikt inny na tej planecie, i poczęliśmy naszą córkę, Leah, w związku niewysłowionej, okaleczonej miłości, w wielkim strzelistym akcie aprobaty dla naszej przyszłości.

Dwa i pół roku później Shyla wspięła się na balustradę mostu.
Wiele lat później Freddie objął mnie, kiedy wszedłem wieczorem do restauracji, i pocałował w oba policzki, w europejski sposób.

— Dov' e Leah? - zapytał.

— Została w domu z Marią.

— Przy pana stoliku czeka piękna signorina.

Martha wstała, kiedy do niej podszedłem. Podała mi dłoń, a ja niechętnie ją uściśnałem. Nie próbowała mnie pocałować; i tak bym jej na to nie pozwolił.

— Miło, że przyszedłeś - powiedziała.

— Z całą pewnością, Marino.

— Właściwie wcale na to nie liczyłam.

— Gdybym tego nie zrobił, porwałabyś któregoś dnia Leah, kiedy wyszłaby na spacer po placu.

— Masz rację. Tak właśnie bym postąpiła. Wyrosła na piękną dziewczynkę.

— Nie chcę się z tobą przyjaźnić, Martho - oznajmiłem. - Co tutaj, do diabła, robisz i dlaczego próbujesz wtrącać się znowu w moje życie? Dałem chyba wystarczająco jasno do zrozumienia, że już nigdy nie chcę widzieć ciebie ani kogokolwiek z twojej rodziny.

— Czy zamierzasz wrócić kiedyś na Południe? Czy pokażesz kiedyś Leah, skąd naprawdę pochodzi?

— Nie twój interes - odpowiedziałem.

— Byłam kiedyś twoją szwagierką. Przyznaję, że nigdy dobrze cię nie poznałam, ale lubiłam cię, Jack. Prawie wszyscy cię lubiliśmy.

45

- Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, Martho, zeznałaś, jak mi się zdaje, pod przysięgą, że nie jestem w stanie wychować Leah.

Martha spuściła wzrok i studiowała przez krótki moment kartę dań. Dałem znak Freddiemu, żeby przyniósł nam wino. Chwilę później pojawił się przy naszym stoliku i otworzył schłodzoną butelkę gavi dei gavi.

— To był straszny błąd - zaczęła się tłumaczyć drżącym z emocji głosem Martha. - Po śmierci Shyli moi rodzice zupełnie się pogubili. Na pewno potrafisz to zrozumieć i okazać im trochę współczucia. Leah była jedynym ogniwem, które łączyło ich z Shylą i z przeszłością.

— Miałbym dla nich trochę więcej współczucia, gdyby sami okazali mi go choć odrobinę.

— Po śmierci Shyli cała moja rodzina kompletnie się zała mała, Jack - stwierdziła Martha. - Wszyscy winili cię za to, co się stało. Ja też. Sądziliśmy, że gdybyś był dobrym mężem, moja siostra nigdy nie skoczyłaby z tego mostu. Teraz nikt cię o nic nie wini... z wyjątkiem oczywiście mojego ojca.

— Powiedz mi coś miłego - mruknąłem. - Powiedz, że ten stary piernik stuknął w kalendarz.

— Bardzo kocham swojego ojca i nie podoba mi się, kiedy tak o nim mówisz.

— Gówno prawda.

— Mój ojciec jest bardzo nieszczęśliwym człowiekiem -

stwierdziła Martha, pochylając się w moją stronę. - Ma uza sadnione powody, żeby być nieszczęśliwy i wiesz o tym równie dobrze jak wszyscy.

— Chciałbym, żebyśmy sobie coś wyjaśnili. Nie cierpię, kiedy odgrywasz rolę ukochanej córeczki, i nie musisz zachowywać się, jakbyś była rzecznikiem prasowym swoich starych. Teraz możemy coś zamówić.

Stanąwszy przy stoliku, Freddie długo wpatrywał się w twarz Marthy.

— Sorella di Shyla? - zapytał w końcu.

— Martho, poznaj Freddiego. Miał słabość do twojej siostry.

— To pani jest Martha? Pani siostra była prawdziwą pięknoscia. Promykiem słońca. Bardzo ją pani przypomina - powie dział Freddie, składając głęboki ukłon.

— Miło cię poznać, Freddie. Wiele o tobie słyszeliśmy w Karolinie Południowej.

46

— Mamy bardzo dobre tłuste małże, Jack. Świeże sardele, bardzo dobre. Calamari fritti. Na co miałaby ochotę Signorina Martha? Może na pastę a WamatriciancP.

— Bardzo chciałabym zacząć od pasty, Freddie - zadecydowała Martha.

— Dla siostry Shyli wszystko. Witajcie w naszej trattorii.

Wracajcie tu tysiące razy. Małże dla pana, Signor Jack. Może pan zaufać Freddiemu - oznajmił, po czym wycofał się do kuchni, lustrując po drodze wzrokiem wszystkie stoliki. Jego profesjonalizm bawił mnie. Freddie był niczym sierżant sztabowy w wojsku; inni zdobywali order, bez niego jednak cała operacja utknęłaby w miejscu.

Odwrociłem się i spoglądając na Marthę, zobaczyłem świetliste miękkie rysy, które tak bardzo upodobniały ją do siostry. Odnaczała się tą samą sarnioką nieśmiałą urodą, która u Shyli olśniewała i rzucała na kolana. U Marthy ta uroda wstrzymywała oddech, stapała na palcach, zaskakując za każdym razem, gdy pękała mocno nakręcona sprężyna, zamykająca klatkę jej cichej niepewności. Nawet makijaż nie był w stanie zakamufłować złapanej w pułapkę zdeorientowanej dziewczyny, strojącej się w perły i czarną suknię światowej kobiety.

— Mój ojciec wciąż wini ciebie za śmierć Shyli - kontynuowała. - Powinieneś chyba o tym wiedzieć.

— Wiesz co, Martho? - odezwałem się znużonym głosem. - Zawsze myślałem, że będzie ze mnie wspaniały zięć. Że będę ze swoim teściem chodził na ryby. Rznął w karty. Tego rodzaju bzdury. Zamiast tego dostał mi się ten twój ponury bezkrwisty wybebeszony ojciec. Nigdy nie potrafiłem go rozgryźć. Ale ty przecież świetnie o tym wiesz. Spędziłaś całą młodość w tej szklarni cierpienia.

— Dlaczego nienawidzisz mnie za to, że kocham swego ojca? - zapytała.

— Z powodu twojego żalnego braku uczciwości. Z powodu okropnych i niebezpiecznych pozorów lojalności. Ten facet zatruwa cię, podobnie jak zatruwał Shylę i twoją matkę. Kobiety krzątają się wokół niego, ochraniają go, starają się odkryć cnotę w jego goryczy. Ty wcale go nie kochasz. Ty się nad nim litujesz. Tak samo jak ja. Mimo że nie spotkałem

chyba w życiu większego sukinsyna.

— Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz?

— Lituję się nad tym cholernym dupkiem.

47

— On nie potrzebuje twojej litości.

— W takim razie może zawsze liczyć na moją nienawiść.

Do stolika podszedł Freddie z pastą aWamatriciana dla Marthy oraz z małżami dla mnie i powitaliśmy go jednocześnie z ulgą i apetytem. Jej potrawa była ostra i pikantna i zawierała w dodatku zakazaną przyjemność w postaci kawałków wieprzowiny. Choć była wierzącą Żydówką, Martha nie widziała żadnego powodu, aby przestrzegać przepisów wyłożonych w Trzeciej Księdze Mojżeszowej. Przez większą część swego dorosłego życia staczała ze swymi rodzicami potyczki o wieprzowinę i ostrygi. Judaizm był dla niej czymś ważnym i cennym, nie potrafiła jednak udawać, że przestrzega jego licznych kulinarnych zakazów.

— Czy mogę spróbować twoich małży? - zapytała.

— Są trefne - stwierdziłem, podając jej jednego.

— Ale wyśmienite - ucięła, zjadając go ze smakiem.

— Co cię tu sprowadza, Martho? - zapytałem. - Nie odpowiedziałas mi jeszcze na to najważniejsze pytanie.

— Chcę zrozumieć, dlaczego moja siostra skoczyła z tego mostu. Chcę, żeby ktoś wyjaśnił mi, dlaczego miała w sobie tyle rozpacz. Dlaczego to zrobiła, skoro wydawało się, że całe życie stoi przed nią otworem. To nie ma sensu. Moi rodzice nie chcą o tym mówić.

— Potrafię to zrozumieć. Ja sam nie zdradziłem Leah, że jej matka popełniła samobójstwo. Nie potrafiłem znaleźć od powiednich słów, żeby opowiedzieć jej o tym moście. Wystarczająco trudne było zakomunikowanie jej, że jest sierotą.

— Czy ona coś o mnie wie? Czy wie, że ma ciotkę, dziadka i babcię, którzy ją kochają?

— Bardzo mgliste pojęcie - odparłem. - Opowiadam się jednak za całkowitą amnezją. Proszę cię, nie rób takiej miny. Ludzi, których właśnie wymieniłaś, widziałem ostatnio na sali sądowej w Karolinie Południowej. Jeśli nie zawodzi mnie pamięć, każde z was zeznało, że nie potrafię wychować mojej jedynej córki. Wychowałem wspaniałe dziecko. Magiczne. Zrobiłem to bez waszej pomocy.

— Uważasz, że ukarzesz nas w odpowiedni sposób, nie pozwalając nam do końca życia zobaczyć Leah? - zapytała.

— Tak, uważam, że to odpowiednia kara. Sprawiedliwa.

Pamiętasz może, jak często mógłbym odwiedzać Leah, gdyby twoi rodzice wygrali sprawę?

48

- Chcieli, aby sąd zakazał ci wszelkich odwiedzin - szepnęła Martha, zamykając oczy i biorąc głęboki oddech. - Zdają sobie sprawę, jak bardzo się mylili. Chcą, żebyś dał im jeszcze jedną szansę.

W tej samej chwili pojawił się Freddie z dwoma podgrzаныmi na grillu morskimi leszczami. Przygotowując ryby do prezentacji na bocznym stoliku, odciął jednym ruchem noża obie głowy, ściągnął skórę i usunął kręgosłupy, zupełnie jakby wyjmował skrzypce z futerału. Położył biały, na

pół przezroczysty filet na talerzu Marthy, skropił go zieloną oliwą z oliwek oraz połówką cytryny, po czym powtórzył te same ablucje na moim talerzu.

— Ten leszcz jest tak dobry - zapewnił - że lzy staną wam w oczach.

— Czy ja zamawiałam rybę? - zdziwiła się Martha, kiedy Freddie zostawił nas samych.

— Wyglądasz na osobę, która lubi ryby. Freddie odznacza się wielką przenikliwością i zawsze potrafi mnie zaskakiwać.

Jedząc Martha spoglądała często gdzieś za mnie. Była podenerwowana i bez przerwy odgarniała wyimaginowany lok z czoła. Jej twarz była niczym otwarta książka: rejestrowała każdą emocję i mogłem w niej z łatwością czytać. Coś było nie w porządku, coś, co nie miało nic wspólnego ze złożonymi uczuciami, jakie budziło w niej nasze dziwne spotkanie. Bruzdy na jej czole ostrzegały mnie o grożącym niebezpieczeństwie. Po opuszczeniu Południa poznałem dobrze fortele i sztuczki, jakich ima się uciekinier - nauczyłem się rozpoznawać symptomy zasadzki.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedziałem, po czym wstałem i ruszyłem w stronę męskiej toalety. Zatelefonowałem do domu i kazałem Marii zajrzeć do Leah. Kiedy Maria wróciła po pewnym czasie i oznajmiła, że mała śpi jak aniołek, ode tchnąłem z ulgą.

Gdy wychodziłem z toalety, Freddie dał znak, żebym wstąpił do kuchni.

— W ogródku siedzi mężczyzna, który zadaje wiele pytań na twój temat, Jack - szepnął. Wokół nas uwijali się oszczędni w ruchach kelnerzy i kucharze. - Wypytywał Emilia, czy nie traktujesz czasami źle Leah. Emiliowi wcale się to nie spodobało.

— Przekaż Emiliowi moje podziękowania, Freddie - po prosiłem. Wyszedłem z kuchni i ruszyłem ku wejściu do trattorii,
49

gdzie osobiście witał gości Signor Fortunato. Lustrując wzrokiem ogrodzony teren, gdzie ustawiono stoliki, zobaczyłem Pericle'a Starraciego, który zaglądał do wnętrza restauracji. Prywatny detektyw dawał znaki komuś w środku.

Kiedy wróciłem do stolika, Martha kończyła już prawie swoje danie.

— To najlepsza ryba, jaką kiedykolwiek jadłam - stwierdziła.

— To było ulubione danie Shyli. Dlatego Freddie ci je podał.

— Dlaczego nie widzisz się z żadnym ze swoich starych znajomych, Jack? - zapytała.

— Ponieważ nie lubię swojej przeszłości - odparłem. -

Sama myśl o niej napawa mnie przerażeniem, ergo, wcale o niej nie myślę.

Martha pochyliła się do przodu.

— Rozumiem. Ty nienawidzisz, a jednocześnie kochasz swoją rodzinę, przyjaciół, nawet całe Południe.

— Mylisz się - odpowiedziałem. - Jeśli o to chodzi, jestem nietypowy. Jednocześnie nienawidzę i nienawidzę Południa.

— Niebezpiecznie jest zgadywać, skąd pochodzisz - skwitowała Martha i ponownie spostrzegłem, że rzuca okiem w stronę stojących na dworze stolików.

— Kiedy wracasz do domu, Martho?

— Gdy zobaczę się z Leah i kiedy powiesz mi, w jaki sposób moi rodzice mogą zdobyć twoją przychylność.

— Rozmawiałaś z agentem nieruchomości? - zapytałem. - To może potrwać całe wieki.

— Mam prawo zobaczyć się z Leah. Nie możesz mi tego zabronić.

— Owszem, mogę. I zamiast mnie straszyć albo prowokować, spróbuj bardziej ugodowego tonu. Zorganizowałem sobie życie w ten sposób, że mogę dziś wieczorem opuścić to miasto i przenieść się bez większych trudności do innego kraju. Żyję niczym uciekinier, ponieważ boję się spotkań takich jak to dzisiejsze. Nie potrzebuję cię w moim życiu i z całą pewnością nie potrzebuje cię moja córka.

— Jest moją siostrzenicą.

— Jest krewną wielu osób, ale ja jestem konsekwentny: nie ujrzy jej również żaden z moich braci. Wychowuję Leah tak, by mogła jej zatruć życie tylko jedna osoba. Tą osobą jestem ja sam. Moja rodzina pokpiła sprawę i to samo zrobiła twoja.
50

Ale udało mi się tak ułożyć nasze życie, żeby ta chroniczna skłonność do zatruwania wszystkiego, co nas otacza, nie przeszła na moje dziecko.

— Oboje moi rodzice płaczą, kiedy rozmawiają o Leah.

Płaczą, kiedy uświadamiają sobie, że od tylu lat już jej nie widzieli.

— To dobrze - stwierdziłem z uśmiechem. - Serce rośnie mi w piersi, kiedy o tym pomyślę. Mogą płakać, ile dusza zapagnie.

— Twierdzą, że zakaz widywania się z Leah jest gorszy od tego, co spotkało ich podczas wojny.

— Proszę cię - powiedziałem, kryjąc twarz w dłoniach, zmęczony wysiłkiem, jaki wkładałem, aby być uprzejmym dla jedynej siostry mojej żony. - W twojej rodzinie, jeśli zacznie się mówić o skoszeniu trawy, przysyciu guzika albo wymianie kół w samochodzie, zawsze kończy się to Oświęcimiem albo Bergen-Belsen. Człowiek proponuje, żeby wyskoczyć na hamburgera i mleczny koktajl albo obejrzeć jakiś film w telewizji i zanim się spostrzeże, bingo, siedzi w bydłowym wagonie przez mierzającym niziny Europy Wschodniej.

— Naprawdę mi przykro, Jack, jeśli moi rodzice zbyt często wspominali w twojej obecności o Holocauście - odparła z gniewem Martha. - Mają za sobą straszne przeżycia. Cierpią po dziś dzień.

— Nie cierpieli tak bardzo jak twoja siostra - stwierdziłem. - Tak bardzo jak moja żona.

— Jak możesz to w ogóle porównywać?

— Ponieważ Shyla umarła, a twoi starzy wciąż żyją. W mojej punktacji ona zgarnia wszystkie laury.

— Ojciec uważa, że Shyla nie odebrałaby sobie życia, gdyby wyszła za Żyda.

— I ty wciąż się dziwisz, że nie pozwalałam im odwiedzić mojej córki?

— Dlaczego twoim zdaniem Shyla popełniła samobójstwo, Jack? - zapytała Martha.

— Nie mam pojęcia. Z tego, co wiem, zaczęły ją dręczyć halucynacje, ale nie chciała o nich mówić. Sądziła, że w końcu miną. I rzeczywiście minęły. Kiedy skoczyła z tego mostu.

— Czy opowiadała ci o halucynacjach, które miała jako dziecko?

— Nie. Nie mówiła ani słowa nawet o tych, które nawiedzały

51

ją, kiedy była mężatką. Uważała, że obłąd to jej prywatna sprawa.

— Ja wiem, co to były za halucynacje, Jack.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

— Nie mam pojęcia, jak wyrazić to delikatniej. I co z tego?

— Moja matka chce się z tobą zobaczyć, Jack - oznajmiła Martha. - Dlatego tu jestem. Ona chyba wie, dlaczego Shyla to zrobiła. Chce ci to sama powiedzieć.

— Ruth - powiedziałem, smakując to słowo. - Ruth.

Uważałem ją kiedyś za jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem w swoim życiu.

— Zestarzała się.

— Dorastając kochałem się w niej.

— Ale to właśnie twoja matka była legendą w naszym mieście.

— Pożądanie własnej matki budzi poczucie winy. Nie czułem się winny, pożądając twojej.

— Moja matka przyznaje, że nie mieli racji, starając się odebrać ci Leah. Zrobili to z rozpacz, złości i strachu. Wie 0 tym moja matka i wie mój ojciec, choć nigdy się do tego nie przyzna.

- Przyjdź do nas jutro na kolację, Martho - powiedziałem

nagle. - Będziesz mogła zobaczyć się ze swoją siostrzenicą.

Martha wzięła w dłonie moją głowę i pocałowała mnie w policzek.

- Zwolnij Starraciego - dodałem. - Nie będziesz już

potrzebowała tego sukinsyna.

Na jej twarzy pojawił się rumieniec, a ja odwróciłem się

1 pomachałem prywatnemu detektywowi chowającemu się za kompozycją z kwiatów.

— Będę musiał zaznajomić wstępnie Leah z jej drzewem genealogicznym.

— Jeszcze jedno, Jack.

— Szybko, zanim zmienię zdanie.

— Moja matka kazała ci powtórzyć, że to ona zabiła Shylę.

Twierdzi, że jest tak samo winna, jakby to ona pociągnęła za cyngiel.

— Dlaczego tak twierdzi? - zapytałem zdumiony.

— Chce ci to sama powiedzieć, Jack. Tutaj albo w Ameryce.

— Muszę się nad tym zastanowić - odparłem. - Jutro

jadę do Wenecji. Możesz przenocować w naszym mieszkaniu

52

i poznać lepiej Leah. Proszę cię, nie mów jej na razie nic o matce. Wciąż nie wiem, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, żeby wyjawić jej, że Shyla odebrała sobie życie.

Kiedy wróciłem do domu, Maria spała już, a Leah usnęła w moim łóżku. Widok jej twarzy na poduszce nappełnił mnie bezbrzeżną czułością i zacząłem się zastanawiać, czy wszyscy ojcowie spijają tak łączywie wzrokiem rysy swoich dzieci. Pamiętałem każdą linię i kontur jej profilu; był dla mnie tajemnym tekstem niezrównanego piękna. Nie potrafiłem sobie po prostu wyobrazić, jakich użyć słów, aby powiedzieć temu uroczemu dziecku, że jego matka zabiła się, ponieważ życie było dla niej zbyt trudne do zniesienia.

Sekret śmierci jej matki leżał między nami i nie bez powodu wybrałem Rzym na miejsce naszego wygnania. Spinające brzegi Tybru piękne mosty wisiały wszystkie nisko nad lustrem wody i w tym mieście naprawdę trudno się było zabić, skacząc do rzeki.

ROZDZIAŁ 3

Od przyjazdu do Włoch napisałem o Wenecji osiem artykułów dla siedmiu różnych czasopism. Wenecja dostarcza środków utrzymania setkom autorów i kocham ją, gdyż jest jedynym miastem, które przerosło moje o nim wyobrażenia. Płynąc jej kanałami, czując, jak mnie odmienia i podnosi na duchu, szukam ulotnych werbalnych ekwiwalentów, zdolnych przekazać rozedrganą magię miasta czytelnikom, którzy na zawsze pozostaną dla mnie niewidzialni.

Wchodząc na pokład taxi acąuei, wciągnąłem w nozdrza zapach morza, intensywną mieszankę wiejących znad Adriatyku wiatrów i trujących wyziewów, które zagroziły samemu istnieniu miasta. Pociągnięta lakierem mahoniowa łódź ruszyła wzdłuż Canal Grande, a ja zauważyłem, że gorączka i woń ścieków ciągle wiszą nad miastem. Mijane gondole kołysały się na wodzie niczym zaludniające senne koszmary czarne okaleczone łabędzie. Słońce wyjrzało zza chmur i po raz kolejny byłem świadkiem chwili, gdy Wenecja odmieniła dla mnie naturę światła. Światło jest piękne wszędzie, jednak tylko tutaj ukazuje się w całej pełni. W mieście, w którym wynaleziono lustro, każdy stojący przy kanale pałac wdzięczy się niczym płatki śniegu w swoich nietrwałych, stworzonych z wody formach.

Wynająłem pokój w Gritti Pałace, jednym z najlepszych hoteli, którym szczydzi się to kapryśne, okolone balustradami miasto. Na tarasie Gritti zająłem najlepsze na tej planecie miejsce, aby napić się wytrawnego martini. Spoglądając na słońce kanałem łodzie wzięłem do ręki kieliszek i wzniosłem toast za wszystkie niebiańskie zastępy, które schroniły się pod

54

kolumnami Maria delia Salute po drugiej stronie toru wodnego. Napisałem swego czasu na cześć Gritti Pałace mały hymn pochwalny, który ukazał się w "Esquire", i od tamtego czasu, gdy zjawiałem się w mieście, dyrektor traktował mnie, jakbym był członkiem rodziny królewskiej. W każdym autorze przewodników jest coś z kurwy i spędza mi to sen z powiek wszędzie poza Wenecją. Gritti Pałace ma w sobie ten wypieszczony, wypielęgowany styl, który cechuje wszystkie wielkie hotele. Obsługa jest tu dyskretna, a personel, niewidoczny lecz kompetentny, zatrudniono wyłącznie po to, by uszczęśliwić gości.

Tu zatem, w tym mieście masek, w którym podają sobie ręce Europa i Bizancjum, siedziałem samotnie na tarasie, trzymając w dłoni kieliszek i czekając na przybycie dwojga przyjaciół z dzieciństwa. Po raz drugi w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin miałem stanąć twarzą w twarz z własną przeszłością, jednak Wenecja tak znakomicie uodparnia na świat, że byłem gotów prawie na wszystko. Studiując bryły bogato zdobionych pałaców, miałem wrażenie, jakby to miasto zaprojektowała w hołdzie dmuchaczom szkła banda kataryniarzy i szalonych szachistów. Kult, jaki oddawano tu czystej fanaberii, czyniło z Wenecji plac zabaw i zagadkę, miejsce, gdzie dekadencja miała jednocześnie dzień wolny i dzień rewii. Zawsze żałowałem tutaj, że nie jestem kimś weselszym, mniej poważnym.

— Buon giorno - powiedział portier, wręczając mi list. -

Come sta?

— Molto bene, Arturo - odparłem. - Czy Signor Hess i Signora Ansley zameldowali się już w hotelu?

— Przybyli oddzielnie dzisiaj rano - rzekł. - Signor Hess

zostawił panu ten list. To słynny producent z Hollywoodu, prawda?

— Czy trudno było to poznać? - zapytałem.

- Pan Hess jest wielkim człowiekiem.

— Był nim już od dziecka - stwierdziłem.

— Signora e bellissima - zauważył Arturo.

- Taka się urodziła - oznajmiłem. - Byłem naocznym świadkiem.

Otworzyłem zaadresowany do mnie list Mike'a i rozpoznałem jego prawie nieczytelny charakter pisma, nasuwający na myśl rozwiązane sznurowadła.

Cześć, nygusie - zaczynał słodko. - Spotkamy się na tarasie

55

0 szóstej. Całkiem miła dziura. Nie spuść się w prześcieradło.

Ciao i wszystkie te dyrdymały. Mikę.

Szkoła średnia stanowi coś w rodzaju bloków startowych, myślałem, czekając nad Canal Grandę na Mike'a i Ledare. Zawsze uważałem swych przyjaciół z dzieciństwa za ludzi wyjątkowych, nie spodziewałem się jednak, że jeden z nich zdobędzie światową sławę już w wieku trzydziestu lat.

Siedząc na widowni Breeze Theater, Mikę Hess zakochał się w kinie

1 otaczającym je światem. Oglądał filmy z taką samą zaborczą

pasją, z jaką historyk sztuki studiuje Tycjana. Obdarzony

niesamowitą zdolnością koncentracji oraz fenomenalną pamięć

cią, potrafił wymienić każdego aktora, który wystąpił w filmie

"Wszystko o Ewie" i powiedzieć, jaką odtwarzał postać.

Pierwszym filmem, jaki w życiu obejrzał, była "Królowna

Śnieżka" i potrafił wciąż, nie pomijając żadnego szczegółu,

opowiedzieć jego treść, poczynając od wstępnych napisów, aż

po ujęcie, na którym królowna odjeżdża wraz ze swoim księ

ciem w różaną przyszłość.

Bardziej jednak ciekawiło mnie spotkanie z Ledare Ansley. Po ukończeniu Uniwersytetu Karoliny

Południowej Mikę i ja trzymaliśmy się jakiś czas razem, z Ledare jednak widywałem się nader

rzadko. Chociaż chodziliśmy ze sobą przez cały okres szkoły średniej, nigdy chyba nie znaliśmy się

zbyt dobrze. Uroda Ledare czyniła z niej niedostępne, odległe zjawisko. Należała do dziewcząt,

które przechodzą przez czyjeś życie, pozostawiając tajemne, niewidoczne gołym okiem zgliszcza.

Pamięta się je, ale wyłącznie z niewłaściwych powodów. Napisała mi kiedyś swój pierwszy

miłosny wiersz i ofiarowała na urodziny, list był jednak zaszyfrowany, a ona nigdy nie miała dość

odwagi, by dać mi do niego klucz. Przez całą pierwszą klasę włóczyłem się po szkole, trzymając w

rękę zapisaną bzdurami kartkę, nieprzetłumaczalny miłosny list. Nie potrafiłem go ani

odszyfrować, ani się nim cieszyć. Pomyślałem o tym wierszu teraz, w Wenecji, gdzie wszystkie

obrazy są plagiatami ukradzionymi wodzie.

Czyjaś ręka dotknęła mojego ramienia i poznałem ten dotyk.

— Witaj, nieznajomy - usłyszałem głos Ledare. - Kup mi

ten hotel, a być może pošlę ci pocałunek przed pójściem do

łóżka.

— Cześć, Ledare - pozdrowiłem ją, wstając z fotela. -

Wiedziałem, że urodziłaś się, by podarowano ci ten pałac.

56

— Nawet niebiosy nie mogą być tak piękne - stwierdziła

i objęliśmy się. - Co słyhać, Jack? Wszyscy się o ciebie martwili.

— Świetnie sobie radzę - odparłem. - Wyjazd z Karoliny

Południowej dobrze mi zrobił.

— Ostatnie pięć lat spędziłam w Nowym Jorku - powie
działa. - Nie musisz mi mówić, dlaczego wyjechałaś.

— Nie miałem wcale takiego zamiaru. Jak twoje dzieci?

— Chyba dobrze - odparła i domyśliłem się, że trafiłem
w czuły punkt. - Mieszkają razem z ojcem. Capers przekonał
je, że potrzebuje ich teraz, kiedy ubiega się o urząd gubernatora.

— Jeśli Capers zostanie gubernatorem, to znaczy, że demo
kracja zeszła na psy.

Ledare roześmiała się.

— Prosił, żeby cię pozdrowić. Wciąż ma o tobie bardzo dobre
zdanie.

— Skoro przekazujemy sobie uprzejmości, powiedz proszę
Capersowi, że często go wspominam. Robię to za każdym
razem, kiedy myślę o wirusach albo trujących grzybach. Gdy
przychodzą mi na myśl hemoroidy lub salmonella...

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

— Wiedziałem, że nie będę ci musiał długo tłumaczyć. Za
wsze szybko się uczyłaś.

— Au contraire - zaprotestowała. - Uczyłam się najwolniej
z was wszystkich. Pamiętaj, że to ja wysłałam za tego czarującego
sukinsyna.

— Małe zboczenie z kursu. Przedwczesny zjazd z autostrady.

— Raczej coś w rodzaju wojny totalnej - sprostowała. -

Najpierw splądrowałam całe miasto, poddałam torturom wszys
tkich swoich przyjaciół, spaliłam zboże na pniu i posypałam
ziemię solą, następnie zaś wysadziłam wszystkie mosty, którymi
mogłam wrócić do punktu wyjścia.

— I zostałaś na łodzi? - zapytałem rozbawiony.

— Potrafisz czytać między wierszami.

— Oho - zauważyłem, spoglądając w stronę hotelowego
holu. - Nadchodzi jakiś odmieniec.

W naszym kierunku sunął szybkim zdecydowanym krokiem Mikę Hess. Widać było, że rozsadza
go energia; przypominał wstrząśniętą przed otwarciem musującą butelkę pepsi. Kiedy zbliżał się do
naszego stolika, utkwione były w nim wszystkie oczy. Jego strój był nieskazitelny; sposób bycia
zdradzał człowieka kompetentnego i rzeczowego.

57

Mikę złapał mnie w niedźwiedzi uścisk, kiedy tylko wstałem, i ucałował w oba policzki, bardziej w
hollywoodzkim niż włoskim stylu. Ledare pocałował w usta.

— Hollywoodzkie klepy nawet się do ciebie nie umywają,

Ledare. Wciąż mi staje, gdy wyobrażam sobie ciebie w kostiumie
klakierki.

— Zawsze znałeś drogę do serca dziewczyny, Mikę - stwier
dziła Ledare, kiedy wszyscy usiedliśmy.

— Nie poznałem cię bez twoich złotych łańcuchów - po
wiedziałem, zwracając się do Mike'a.

— To był największy błąd, jaki w życiu popełniłem - za
wołał, wybuchając śmiechem. - To, że nosiłem te przekłete
łańcuchy w trakcie naszego zjazdu. Ale, do diabła, wszyscy
chcieli zobaczyć, jaki ze mnie wielki producent filmowy. Górę
wzięła miłość do starych kumpli. Dałem publiczności to, czego

chciała. Rozpięta jedwabna koszula. Połyskujące na włochatej piersi łańcuchy. Z kim wtedy przyjechałem?

— Z Tiffany Blake - podpowiedziała mu Ledare. - Była twoją żoną.

— Wspaniała kobieta - stwierdził Mikę. - Musiałem usunąć ją z mojego życia zaraz po tym, jak urodził się mój syn, Creighton. Miała fatalny zwyczaj pieprzenia się z ludźmi, z którymi nie łączyły jej więzy małżeńskie.

— O tobie mówią dokładnie to samo - zauważyła Ledare.

— Hej, ostrożnie - ostrzegł Mikę, wskazując mnie ręką. - Ostatnim razem, kiedy spotkałem się z Jackiem, nazwał mnie płytkim sukinsynem.

— Przyznaję, że zachowałem się bardzo ordynarnie - odparłem z uśmiechem. - Ty płytki sukinsynu - dodałem po chwili.

Mikę zerwał się z miejsca i udał, że postrzelono go w brzuch. Zatoczył się do tyłu, okręcił na pięcie, po czym zawisł na balustradzie nad Canal Grandę. Występ był do tego stopnia sugestywny, że wzbudził zainteresowanie dwóch kelnerów, którzy zaczęli dopytywać się o jego zdrowie.

— Uspokój się, Mikę - zawołała Ledare. - Udawaj, że wiesz, jak zachowywać się w porządnym hotelu.

— Dostałem w brzuch, amigos. Nie ma sensu wzywać medicos - jęknął Mikę. - Powiedźcie mamie, że umarłem, od mawiając kadisz za papę.

Nagle wyprężył się na baczność, usiadł z powrotem w fotelu

58

i uklonił się starszej Włoszce, której z całą pewnością nie spodobał się jego występ. Jej lodowate spojrzenie najwyraźniej wytrąciło go z równowagi.

— Popatrzcie na tę twarz - powiedział. - Oto dlaczego zagraniczne filmy są diabła warte. Nie ma w nich życia. Nie ma brio.

— Nie ma brio! - powtórzyłem. - We Włoszech?

— Nie ma życia? - zdziwiła się Ledare. - Przypomnij sobie Annę Magnani i Sopię Loren.

— Byliście ostatnio na jakimś zagranicznym filmie? - kontynuował Mikę, zupełnie ją ignorując. - Nie robią tam nic, tylko wchodzi i wychodzi. Przez bite dwie godziny. Nikt nie odważa kity. Nikomu nie odstrzeliwiają dupy. Nikt się nie dyma ani nie śmieje. Przez cały czas wchodzi i wychodzi. I jedzą nie kończące się kolacje. Wchodzi jednymi drzwiami, wychodzi innymi. O, właśnie podają zupę. Krojenie kurczaka trwa na ekranie ponad pół godziny. Popatrzcie na twarz tej kobiety. Ta twarz wyjaśnia, dlaczego europejskie filmy są diabła warte.

Ledare pokiwała głową.

— Ona krytykowała po prostu twoją grę aktorską. Nie olśniła jej scena śmierci nastolatka z filmu "W samo południe".

— Daj spokój - zaprotestował Mikę. - Nie tak dawno odstawiłem ten sam numer w Polo Lounge. Ten sam. Na oczach moich kumpi z branży. I dostałem stojącą owację. Biło mi brawo kilku największych twardzieli, jacy kiedykolwiek stąpali po tej ziemi. Przynoszę tym ludziom dobrą nowinę.

— Uważasz, że to, co uchodzi w Polo Lounge, można za prezentować w Gritti Pałace? - zapytałem.

— Hej, dojrzewaliśmy chyba razem w Karolinie Południowej. Na moim świadectwie urodzenia wytłoczona jest palemka.

— Przyznaj się, Mike - powiedziałem - twoim rodzinnym krajem jest teraz Rodeo Drive. To jesteś prawdziwy ty. Cała reszta to tylko poza.

— Czy to nie wspaniałe? - stwierdził Mike, śmiejąc się z uznaniem. - Mógłbym pięćdziesiąt razy kupić i sprzedać tego tandeciarza, a on traktuje mnie jak gnojka. Co za człowiek.

Do stolika podszedł nowy kelner, podał mi rękę i wymieniliśmy ze sobą po włosku uprzejmości. Następnie zamówiłem po angielsku wytrawne martini Tanqueray z plasterkiem cytryny. Mike zmarszczył nos.

59

— Martini. Zupełnie jak w filmie June Allyson. Wiecie, że grozi mi śmierć z przedawkowania wody Perrier i soku cytrynowego? Ta maszynka zasuwa tylko na bezołowiowej. Muszę was oboje zabrać do LA. Po miesiącu będziecie chuchać papają.

— Przetłumaczę to na włoski -- zwróciłem się do Ledare - jeśli powiesz mi, o czym on mówi.

— Mike nie pije już alkoholu - powiedziała.

— Mam osobistego trenera i własną siłownię - oznajmił. - Kotek był obrońcą u Ramsów i wierzę, że daje mi dobrze do wiwatu...

— Czytałeś ostatnio coś Tolstoja, Mike? - zapytałem, kiedy kelner przyniósł mu jego drinka.

— To mi się podoba. Naprawdę podoba. Ludzie dostają drżączki, kiedy pojawiają się na zebraniu w wytwórni, a Jack siedzi tutaj i pieprzy mi o Tolstoju. Kurwa, człowieku, ja od rana do wieczora czytam scenariusze. Bez jednej chwili przerwy. Jeśli tekst nie zaciekawi mnie już na pierwszej albo drugiej stronie, maszynopis wylatuje przez pierdolone okno i szybuje w przestworzach... Czas jest dla mnie na wagę złota, człowieku.

— Proszę o przekład - powiedziałem, patrząc na Ledare.

— On czyta dużo scenariuszy. Niewiele z nich przypada mu do gustu. Zapracowany facet - oznajmiła.

— Za naszą przyjaźń - zdecydowałem się na toast, wznowiając swoje martini.

Wszyscy troje stuknęliśmy się kieliszkami.

— W przyjaźniach, które człowiek zawiera będąc dzieckiem, jest coś nie do powtórzenia - stwierdził załamującym się lekko głosem Mike.

— Mów za siebie - zaprotestowała Ledare. - Jako dorosła kobieta zaprzyjaźniłam się z wieloma ludźmi, których lubię o wiele bardziej.

— Kiedy człowiek robi się sentymentalny, Ledare natychmiast przebija włócznią jego serce. Niewiele się zmieniła, prawda, Jack?

— Ja sama mogę ci odpowiedzieć, Mike. Nie musisz prosić o to Jacka. Zawsze szukaj informacji z pierwszej ręki - odparowała zreźnie Ledare, nim zdążyłem otworzyć usta.

— Dlaczego chciałeś spotkać się w Wenecji? - zapytałem

widząc, że Ledare naprawdę go uraziła. - Mówiłeś, że masz jakiś projekt.

— Projekt! Ten pomysł to prawdziwy pocisk balistyczny. Mógłbym nim uzbroić atomową łódź podwodną.

60

— Chce powiedzieć, że ma świetną koncepcję - wyjaśniła Ledare.

— Nie pozwolę ci stłumić mojego wrodzonego entuzjazmu, Ledare. Więc lepiej daj za wygraną. Mówię żargonem mojego środowiska, podobnie jak obecny tutaj Jack. Jeśli chcesz za mówić ośmiornicę w tym zamku, musisz znać słowo calamari.

— Cóż to za projekt, Mike? - powtórzyłem pytanie.

— Hej, nie tak szybko. Nigdzie się nam nie śpieszy. Posiedź my tu po prostu i otrzymamy z oczu łzy, jak mówi poeta.

— Jak się miewa Leah, Jack? - zmieniła temat Ledare.

— Aha... mowa o tym tajemniczym dziecku. Tym, które porwałś z Karoliny Południowej.

— Nie porwałem jej, Mike. To moja córka i postanowiłem, że wyjedziemy razem do Włoch.

— Daj spokój, stary, nie chciałem cię urazić. To tylko taka kumpelska gadka.

— Kumpelska gadka - powtórzyłem cicho. - Mam ochotę schować głowę w piasek za każdym razem, kiedy słyszę kumpelską gadkę.

— Miewaliśmy lepsze i gorsze chwile, ale kilka razy ubawiliś my się po pachy.

— Jack ma na myśli straty w ludziach - wtrąciła Ledare.

— Straty w ludziach. Podoba mi się to. Zrobi dużą kasę.

— Pięknie to skwitowałeś - przygryzła mu Ledare. - Wnoś trochę egzotyki do tych weneckich wnętrz. Naprawdę.

— Mam nadzieję, że nie zepsuje to naszych stosunków, Ledare, ale z głębi mego serca mówię ci, odpierdol się, proszę. Może teraz zrozumiesz, dlaczego nie potrafiłem się zmusić, żeby przeczytać twój scenariusz.

— Czytałeś go - odparła chłodnym tonem. - Czytałeś go, bo w nim występujesz.

— Nie byłaś zbyt uczciwa. Zraniłaś mnie.

— Miło mi to słyszeć - odparła, dając znak kelnerowi, żeby podał jej następnego drinka.

— To właśnie mnie denerwuje - przerwałem im. - I za czynam żałować, że zgodziłem się w ogóle z wami spotkać. Nie podoba mi się, kiedy ludzie wszczynają na nowo stare wojny, wojny, których nie mogą wygrać. Zwłaszcza że ja sam powinienem za udział w nich dostać kombatancką rentę.

— Uspokój się, Jack - powiedział Mike, unosząc ręce w geście kapitulacji. - Ostrzegano mnie, że możesz w każdej chwili

61

stracić cierpliwość i dać nogę. Ale musisz mnie wysłuchać. Od dawna nad tym myślałem. Obracałem w głowie na wszystkie strony. Próbowałem zdobyć odpowiednią pozycję w branży, aby, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, móc rozłupać melon i wypluć pestki. Wszystko jest

przygotowane. Zrobiłem film, który wejdzie na ekrany jesienią i który próbuję wcisnąć na festiwal w Wenecji. Zarobię na nim trochę forsy i powinien się także spodobać koneserom. Przestań wbijać mi szpile, zabciu, to może ujrzysz kiedyś na srebrnym ekranie jeden ze swoich scenariuszy - dodał, posyłając wymowne spojrzenie Ledare.

— Południowe serduszek dziewczyny zaczęło pikać szybciej, kiedy zbliżył się jej ukochany generał - odparła z chłodną nonszalancją, przyglądając się kościołowi po drugiej stronie kanału. - Nie obchodzi mnie, czy wykorzystasz kiedyś któryś z moich scenariuszy, Mikę. I za to właśnie mnie kochasz.

— Chcę, żebyście oboje napisali dla mnie miniserial o Południu. Oparty na dziejach naszego miasta i naszych rodzin. Od samego początku, gdy do Waterfordu przybył mój dziadek, aż do chwili obecnej.

— Miniserial - powtórzyłem z niechęcią. - Cóż to za brzydkie słowo.

— Pomyśl o tym jak o worku dolarów. To złagodzi wszelkie estetyczne opory, jakie mógłbyś mieć, pisząc dla telewizji.

— Moje opory wynikają z tego, że musiałabym z tobą pracować, Mikę - stwierdziła Ledare. - Powiedziała ci to, kiedy pierwszy raz wspomniałeś o tym projekcie, i mam te same obiekcje teraz.

— Nie miałaś żadnych obiekcji, przyjmując darmowy bilet do Wenecji...

— Najmniejszych - odparła Ledare. - Chciałam zobaczyć się znowu z Jackiem i poprosić, żeby pokazał mi wszystkie sekrety tego miasta.

— Czy można napić się wody w tym zamku, Jack? - zapytał ścisząc głos Mikę. - Mam na myśli kranowe. A może powinienem raczej wymyć zęby perrierem? W zeszłym roku byłem w Meksyku. Myślałem, że Montezuma wślizgnął mi się do tyłka i uciął tam sobie drzemkę.

— To Wenecja, nie Tijuana. Woda jest dobra.

Myśl o tym, że przestał mu zagrażać jeden z najbardziej przykrych kłopotów, czyhających na podróżnych, najwyraźniej uszczęśliwiła Mike'a.

62

— Co myślicie o mojej koncepcji? - zapytał. - Strzelajcie śmiało.

— Na mnie możesz nie liczyć - oznajmiła Ledare.

— Poczekaj chwilę, kwiatuszku. Obecny tu Mikę nie wspomniał jeszcze o najważniejszej części.

Wyjął pióro, napisał na kartce kilka cyfr i podniósł ją w górę, abyśmy mogli je zobaczyć. Między nim i Ledare przepłynęła sylwetka wracającego do domu gondoliera, kierującego swą piękną łodzią wyłącznie dla swojej, nie cudzej przyjemności.

— Tyle właśnie szmalu dostaną ode mnie autorzy scenariusza. Spójrzcie prawdzie w oczy. To więcej, niż Jack zarobił w całym swoim życiu, smażąc hamburgery. Dołączam do tego wydanie w miękkiej oprawie. Jack na pewno nie natłucze tyle forsy, pisząc o jagnięcych nerczkach i pizza bianca.

— Ciesz się, że tak wysoko cenisz mój zawód - odparłem poirytowany.

Ledare studiowała przez chwilę liczbę, którą Mikę napisał na kartce.

— To dlatego wszyscy w Kalifornii wydają się tacy powierchowni - stwierdziła w końcu z ironią.

— Niewykluczone - zgodził się Mikę, podnosząc nieco głos. - Ale z całą pewnością lepiej znają się na wyższej materii.

Popatrzyłem na sunące niżej łodzie i potrząsnąłem głową.

— Przyjechałem do Włoch, żeby od tego wszystkiego uciec - mruknąłem.

— Daj spokój, nie mówię przecież, żebyś pisał o sprawach osobistych. O tym, jak dałeś stamtąd dyla. O Shyli i tej całej historii z mostem. Mówię o dziejach całego regionu. O szerokim obrazie. Moi dziadkowie, twoi dziadkowie. Dziadek Capersa był jednym z największych polityków swoich czasów. W tym tkwi wspaniały materiał. Wyszliśmy z gnoju, ale nasze rodziny za wszelką cenę chciały uczynić świat lepszym dla swoich dzieci i wnuków i, do diabła, przecież im się to udało. Pomyśl tylko. Jest tutaj wszystko. Dwie wojny światowe. Ruch praw człowieka. Lata sześćdziesiąte. Wietnam. Aż do dzisiaj.

— Jak długo chcesz nadawać ten serial? - zapytała Ledare.

— Będzie dużo zdjęć z lotu ptaka. Dużo głosu zza kadru.

Zajmiemy się najważniejszymi momentami i opowiemy o całym stuleciu. Ten projekt wydaje mi się cholernie ekscytujący i jeśli

63

wy dwoje odmówicie, zechce w nim wziąć udział wielu innych autorów.

— Weź ich - zaproponowałem.

— Żadnego z nich tam nie było - powiedział Mikę i po raz pierwszy zobaczyłem w nim ślad starego Michaela, chłopa, z którym dorastałem i którego kochałem. - Nie przeżyli tego, co my. Przez cały czas czekam, że Ledare napisze o tej Karolinie Południowej, którą oglądaliśmy jako dzieci, ale wszystko, co wychodzi spod jej pióra, rozgrywa się w salonie kawiarni jak osy feministek na Manhattanie.

— Nie kłóćmy się - przerwałem mu.

— Kto chce się kłócić? - zaprotestował. - Człowieku, w Karolinie Południowej nie wiedzieliśmy nawet, co to znaczy się kłócić. W Los Angeles wiesz, że brałeś udział w porządnej zadymie, kiedy kutas wpada ci do kibla przy porannym sikaniu.

— Nie chcę z tobą pracować, Mikę - powiedziałem. -

Przyjechałem tutaj, bo byłem ciekaw i chciałem zobaczyć, jak to będzie, kiedy znowu znajdziemy się razem. Nie traktuję przeszłości z taką samą nostalgią jak ty. Ale traktuję z nostalgią nas samych, naszą niewinność, to, przez co razem przeszliśmy i jak mogło się potoczyć nasze życie, gdybyśmy mieli więcej szczęścia.

— Więc napisz, jak chciałbyś, żeby się potoczyło - stwierdził, pochylając się do mnie. - Chcesz przedstawić to ładniej? Bardzo dobrze. Przedstaw to ładniej. Praca ze mną będzie istnym rajem. Jestem idealnym współpracownikiem. Masz tu

numery, pod które chcę, żebyś zatelefonował. Na koszt rozmówcy. Ich właściciele wiedzą, że skontaktujesz się z nimi.

— Co to za numery? - zapytałem.

— Ludzi, którzy ze mną współpracowali - odparł. - Po wiedzą ci, jaki ze mnie anioł.

— Pozwól, że dam Jackowi kilka innych numerów - wtrąciła Ledare. - Ludzi, którzy spluwają przez lewe ramię, gdy słyszą, jak ktoś wymienia twoje nazwisko.

— W mojej branży człowiek ma wielu wrogów - przyznał Mike. - Taka jest natura tego kurestwa.

— Daj Jackowi numery ludzi, którzy spaliliby cię na wolnym ogniu tylko po to, by sprawdzić, jak działają ich zapalniczki. Połowa LA uważa cię za sukinsyna.

— W przeciwieństwie do was nie znali mnie, kiedy byłem chłopcem - mruknął Mike. - Wtedy taki nie byłem.

64

— Przepraszam, Mike - odparła. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

— Nie ma sprawy, Ledare. Rozumiem, skąd to się bierze. Podobnie jak wy nie bardzo wiem, co się ze mną stało. Dlatego właśnie chcę, żebyś napisała razem z Jackiem ten scenariusz. Chcę, byście pomogli mi się odnaleźć. Ja wiem, że jeszcze żyję. Nie wiem tylko, jak to poczuć. Ciao, amigos. Mam następne spotkanie. Wy dwoje zastanówcie się.

— Nie przyjmiesz chyba jego oferty, Jack? - spytała Ledare, kiedy szliśmy w stronę wind.

— Nie - odparłem. - W przeszłości najbardziej pociąga mnie to, że mogę o niej nie myśleć.

—

ROZDZIAŁ 4

Nazajutrz po południu, spacerując wraz z Ledare po mieście, obserwowałem, jak przygląda się parującym wąskimi uliczkami wystrojonym Włoszkom. W pewnym momencie z małego sklepiku tuż przy Calle del Traghetto wyszła w naszą stronę młoda kobieta i musiałem ustąpić jej z drogi. Ledare stanęła w miejscu i utkwiała w niej oczy, obejmując jednym spojrzeniem jej strój, jej długi krok, piękne nogi, całą bezmyślną elegancję. Wciągnęła w nozdrza jej zapach.

— Jeszcze się do tego przyzwyczaisz - powiedziałem.

— Wątpię - odparła Ledare. - Była piękna.

— We Włoszkach jest coś magicznego - zgodziłem się.

— Wyglądała, jakby była utkana ze złotej nici. Na twoim miejscu pobiegłbym za tą kobietą i nigdy nie stracił jej z oczu.

Śmiejąc się zająłem z powrotem miejsce u jej boku. Na Campo di Santa Margherita grupka wyrostków grała w piłkę nożną na oczach obserwującego ich z dezaprobatą starszego monsignora. Stara kobieta podlewała rosnące w skrzynkach przy oknie geranium, a stojący przy wejściu na Campo artysta malował całą scenę skąpaną w promieniach południowego słońca.

Zdawałem sobie świetnie sprawę, że podążam ścieżką, z której dawno temu świadomie zszedłem.

W przeszłości nasze losy splecione były tak wieloma więzami, iż wydawało się, że pozostaniemy ze sobą na zawsze, jeśli tylko poddamy się działaniu najprostszej inercji. Szkolni koledzy skojarzyli nas prawie na mocy dekretu. Od samego początku uzupełnialiśmy się temperamentami. Oboje graliśmy tymi samymi pionkami na sza-

chownicy. To moja matka dała mi pierwsza do zrozumienia, że Ledare jest aż do bólu nieśmiała. Piękno może być wspaniałym nietykalnym darem, powiedziała, lecz zawsze należy w większym stopniu do świata niż do dziewczyny. Widziała, jakim ciężarem stała się dla Ledare jej nieproszona uroda, i zorientowała się, jak bardzo jest osamotniona. Ledare i ja dokonaliśmy bez słowa fuzji naszych samotności, poddając się temu, co wydawało się nieuniknione. Spacerując teraz ramię w ramię po Wenecji, czuliśmy oboje brzemię nieopowiedzianej historii i niepodjętej podróży, zupełnie jakby towarzyszył nam ktoś trzeci.

Wiedziałem, że moja towarzyszka surowo osądza swoje życiowe decyzje. Wychowano ją pod kloszem, w tej szczebiotliwej infantylnej atmosferze Południa, która skłania dziewczęta do pójścia po linii najmniejszego oporu. A potem, dokładnie wtedy gdy wydawało jej się, iż uczy się myśleć na własny rachunek, odkryła, że idzie śladem najgorszych przesądów swoich rodziców.

Przekonana, iż dawno już uodporniła się na podawaną przez nich w pięknym opakowaniu truciznę, poczuła jej siłę dopiero wówczas, gdy wybrała sobie męża. Dzięki sprytnym fortelom i starannie przemyślanym krokom udało jej się poślubić jedyne go człowieka, który uważał ją za bezwartościową i zarazem godną pogardy. Poślubiła mężczyznę, który z radością ratyfikował najgorsze opinie i odczucia, jakie żywiła na własny temat, i który znienawidził w końcu wszystko, co się z nią wiązało.

W młodości uważałem tego rodzaju małżeństwa za rzadkie. Teraz wiem, że spotyka się je na każdym kroku. Widziałem w życiu wystarczająco dużo pozbawionych miłości par małżeńskich, by zaludnić nimi większość pustynnych rejonów amerykańskiego Zachodu. Amerykańskie matki uczą swoich synów, jak łamać kręgosłup dziewczynie, nie zdając sobie nawet sprawy, że przekazują im tę niebezpieczną wiedzę. Jako chłopcy uczymy się zdradzać przyszłe żony, dowiadując się, jak przez subtelne dozowanie złości i dezaprobaty można niszczyć własne matki. Moja matka zaopatrzyła mnie w cały arsenał potrzebny do zatrucia życia każdej kobiecie, która okazałaby się dość nierozsądna, by mnie pokochać.

Ledare wzięła mnie pod ramię i przez krótki moment byliśmy oboje szczęśliwi.

Poślubiła jednego z tych Amerykanów, którzy wykorzystują

67

słowo i seks, nie bacząc w najmniejszym stopniu na przyzwoitość lub konsekwencje. Miłość do niego zniszczyła jej wiarę w to, że zdolna jest kochać samą siebie. Przez pięć lat próbowała odzyskać poczucie równowagi, kiedy mąż porzucił ją dla dwudziestoletniej kobiety, która pod względem fizycznym stanowiła młodszą i jaskrawszą wersję jej samej. Powiedziała mi, że sporządziła pewnego dnia listę mężczyzn, których spotkała w życiu i których mogłaby bezpiecznie pokochać. Ja również znajdowałem się na tej liście - do momentu kiedy Ledare przypomniała sobie o samobójstwie Shyli. Starannie mnie wtedy wykreśliła i zatelefonowała do pozostałych trzech panów z listy. Chociaż wiedziała bardzo mało albo prawie nic o moim małżeństwie, uważała - podobnie jak wiele innych kobiet, które znałem - iż ponoszę znaczną część odpowiedzialności za śmierć Shyli.

Przystając na moście, z którego widać było mniejsze kanały, pokazałem jej dwóch starszych szkutników wykańczających gondole. Zatrudnieni byli w warsztacie, w którym wciąż wyrabiano się ręcznie łodzie.

— Mam przyjaciela o imieniu Gino - powiedziałem, biorąc ją pod ramię. - Jego przystań jest niedaleko stąd.

— Wybrałeś sobie przyjemne zajęcie, Jack. Wiedziałam, że potrafisz przyrządzić ostrygi i upiec prosiaka, ale nigdy nie spodziewałam się, że zostaniesz autorem książek kucharskich. I nigdy nie przyszło mi do głowy, że będziesz pisał o pięknych miastach i wspaniałych restauracjach.

— Nikt nie spodziewał się także, że ty będziesz pisała scenariusze.

— Myślę, że ja chyba się tego spodziewałam - stwierdziła, odwracając się do mnie. - Ale myślę również, że twoja praca jest formą ucieczki.

— Możliwe, Ledare. Ale taki jest mój zawód, a poza tym robię to, co chcę robić. To jedna z niewielu korzyści bycia dorosłym.

— Opowiadam czasami przyjaciółom w Nowym Jorku, jak wyglądało nasze życie w Waterfordzie. Opowiadam im o naszej paczce i nie potrafią po prostu uwierzyć w te historie. Twierdzą, że mówię o tym, jakbym wychowała się wśród bogów i bogiń. Uważają, że przesadzam. Nigdy mi nie wierzą. Opowiadam im najpierw o Mike'u, bo wszyscy o nim słyszeli. Opowiadam o tobie i o twojej rodzinie. O Shyli i jej rodzinie. O Capersie

68
i Jordanie. O Maksie, Wielkim Żydzie. O matce... Nigdy nie potrafię przedstawić tego tak, żeby we wszystko uwierzyli. Czy był wśród nas ktoś, kto nie wydawał ci się wtedy genialny?

— Był. Ja sam nie wydawałem się sobie zbyt genialny. Nie byłem dość genialny, żeby usunąć się z drogi.

— Usunąć się przed czym?

— Nie wiedziałem, że wszystko, co się robi, jest niebezpieczne... wszystko... Czasem przez najdrobniejszy, pozbawiony znaczenia błąd człowiek może roztrzaskać się o ziemię.

— Czy były jakieś znaki na niebie albo na ziemi? Liście herbaty, w których mogliśmy czytać, gdybyśmy zachowali czujność?

— Człowiek nigdy nie widzi znaków. Są niewidzialne, bezwonne i nie zostawiają żadnych śladów. Człowiek nigdy ich nie czuje aż do chwili, gdy pada na kolana, płacząc pod ich nieznośnym ciężarem - powiedziałem.

Skreśliłem w alejkę, przy której znajdowała się trattoria i chemiczna pralnia z zaparowanymi szybami. Z otwartych drzwi restauracji dolatywał zapach czosnku i wiszącej na hakach wieprzowiny.

— Nigdy nie jadłem w tej trattorii. Musi być nowa.

— Wspaniale - stwierdziła Ledare. - Czy tak właśnie zmieniasz temat, chcąc uciec od tego całego horroru?

— Nauczyłem się nie myśleć zbyt często o Karolinie Południowej, Ledare. Zwłaszcza o rzeczach, które sprawiają wyłącznie ból. Jak Shyla. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Jeśli nie, wybacz, ale nie muszę pytać cię o pozwolenie, o czym mam, a o czym nie mam myśleć. Podobnie jak ty nie musisz pytać mnie o zgodę, żeby pisać o wszystkim, na co masz ochotę. Tak się jednak składa, że nigdy, ani razu, nie napisałaś jednego słowa o tym, co przydarzyło się nam, bogom i boginiom twojego dzieciństwa.

— No no, Jack, od lat nie słyszałam, żeby nasz gospodarz ostatniej klasy wygłosił tak długie przemówienie - odparła z uśmiechem.

— Podeszłaś mnie, spryciaro.

— To śmieszne, Jack. Karolina Południowa zawsze była dla mnie tematem tabu. Nigdy o niej nie pisałam, ani razu o niej

nie napomknęłam i nigdy nie myślałam aż do chwili, gdy miesiąc temu Mikę zaprosił mnie na lunch w Nowym Jorku. Moi rodzice żyją w wiecznym strachu, że zdradzę jakieś rodzinne sekrety i okryję ich nazwisko hańbą i wstydem.

69

— Twoja rodzina nie ma żadnych sekretów, Ledare - po wiedziałem. - Ma tylko prochy swoich przodków.

— Dziwi cię, że Capers ubiega się o urząd gubernatora?

— Capers ubiega się o urząd gubernatora... - powtórzyłem, wybuchając głośnym śmiechem. - To było nieuniknione. Pamiętasz, jak w pierwszej i drugiej klasie podstawówki opowiadał, że nim zostanie? Potrafisz uwierzyć, że ktoś już w wieku siedmiu lat może być tak ambitny albo jednostronnie ukierunkowany?

— Oczywiście, że potrafię. Nie wiem, czy o tym pamiętasz, Jack, ale tak się składa, że wysłałam za tego człowieka i urodziłam mu dwójkę dzieci.

W jej głosie zabrzmiała nutka gorzkości.

— Wiesz, co myślę o twoim byłym mężu - stwierdziłam. - Zmieńmy temat.

— Ale nie masz pojęcia, co ja o nim myślę - zaprotestowała. - Przynajmniej obecnie. Uwierzysz, że startuje w wyborach jako kandydat republikanów?

— Republikanów? - powtórzyłem autentycznie zdumiony. - Wolałbym chyba, by zmieniono mi operacyjnie płęć, niż głosować na republikanów w Karolinie Południowej. Nawet Capers powinien się tego wstydzić. Chociaż nie. Nie Capers. Wstyd nie ma wstępu do jego zapiętego na ostatni guzik teatru absurdu.

— Nasze dzieci są jego największymi fanami. - Ledare przerwała i wstrzymała na chwilę oddech. - Lubią mnie o wiele mniej niż swego ojca. Jest sukinsynem, ale ma w sobie ten czar. Mógłbyś postawić Capersa przy kameleonie i to Capers pierwszy zmieniłby kolor.

— Kiedy tylko pomyślę o którymkolwiek z tych ludzi, zaraz ogarnia mnie poczucie winy. Czuję się winny, nienawidząc Capersa, choć wiem, że mam do tego święte prawo.

— Ja nie czuję się ani trochę winna, że go nienawidzę - stwierdziła Ledare. Przystaliśmy na chwilę, żeby przyjrzeć się śpiącemu w oknie cętkowanemu kotu. - Próbowaleś mi kiedyś wyjaśnić relację między katolicyzmem i poczuciem winy, ale nie rozumiałam z tego ani słowa. Twój katolicyzm był kolejną dziwną rzeczą, która wyróżniała rodzinę McCallów.

— Wina to mój lejtmotyw - wyjaśniłem. - Centralny wątek mojego życia. Kościół zaszczerpił we mnie poczucie winy. Wzniósł świątynię we wrażliwym wnętrzu dziecka. Jej dziedzi-

70

nieć wybrukowany był winą. Figury świętych wyciosane były z jej bloków.

— Jesteś teraz dorosły, Jack. Daj sobie z tym spokój. Na pewno zdajesz sobie sprawę, jakie to wszystko było głupie

i niepoważne.

— Całkowicie się z tobą zgadzam. Ale jesteś anglikanką, tak cię wychowano, a anglikanie czują się winni tylko wtedy, kiedy zapomną nakarmić swoje kucyki albo nie zlikwidują niedoboru na rachunku maklerskim.

— Nie o tym mówię. Zawsze zachowywałeś się, jakby wina była czymś rzeczywistym, czymś, co można wziąć do ręki. Musisz z tym skończyć, Jack.

Zapuszczaliśmy się coraz dalej w weneckie zaułki. Zerkając na Ledare, zdałem sobie sprawę, że jej uroda wciąż ma w sobie coś nieśmiałego i powściągliwego. Była tak niesamowicie ładna, że jej urok wydawał się bardziej misją niż darem. Zawsze niechętnie przyjmowała do wiadomości obowiązki, jakie piękno nakłada na kobiety.

Wciąż pamiętałem, jak sunęła na nartach wodnych po Water-ford River, ubrana w żółte bikini, które matka kupiła jej w Charlestonie. Zawsze lubiła popisywać się na nartach, mknąc za motorówką i wykonując wspaniałe ewolucje. Tego dnia jednak mężczyźni wylegli gromadnie na brzeg rzeki i sterczeli tam niczym wrony na drucie, aby podziwiać miękkie, pączkujące kształty, które przybrało całkiem niedawno jej szczupłe dziewczęce ciało. Dokonujące się w niej zmiany były tak szybkie i bujne, że stały się tematem rozmów w klubach bilardowych i barach. Ledare wycierpiała się już dosyć, będąc ładną, ale bycie seksowną stało się nie do zniesienia. Ponieważ nic nie peszyło jej bardziej niż niepożądane zainteresowanie mężczyzn, już nazajutrz zapakowała żółte bikini do tego samego pudła, w którym leżały sukienki z dzieciństwa.

Studiowałem teraz jej twarz, jej urok, jej delikatne rysy.

— Obiecałeś mi przejażdżkę gondolą - powiedziała, zmieniając temat. Szliśmy teraz z powrotem w stronę Canal Grandę.

— Jesteśmy niedaleko przystani Giną. Najprzystojniejszego z gondolierów.

— Czy on uwodzi amerykańskie dziewczęta?

— Twój los jest już przesądzony, mała - oznajmiłem, mru gając do niej okiem.

71

Idąc ulicami, które wydawały się zbyt wąskie, by móc odetchnąć w nich pełną piersią, czuliśmy zapach smażonej na oliwie cebuli i słyszeliśmy niosące się kanałami melodyjne i tajemnicze głosy. Mijaliśmy domy, w których kanarki śpiewały do siebie z jasno oświetlonych okien, wdychaliśmy woń smażonej wątróbki i słyszeliśmy piski kocurów i wodę bijącą o ciemne rzeźbione kadłuby gondoli. Ledare zatrzymała się przed sklepem z maskami i z witryny spojrzały na nas w niemym przerażeniu pustych oczodołów quasi-ludzkie groteskowe twarze. A potem ruszyliśmy dalej, słuchając kościelnych dzwonów, odgłosów dziecinnych sprzeczek, gruchających na dachach gołębi i echa naszych własnych kroków.

Gino czekał na swojej przystani niedaleko Accademia Belle Arti i uśmiechnął się na nasz widok. Kiedy przedstawiłem go Ledare, uklonił się głęboko. Niski i jasnowłosy, miał rzeźbione w marmurze ciało gondoliera. Zauważyłem, jak objął całą Ledare długim, pełnym aprobaty spojrzeniem.

Gondola ruszyła Canal Grandę, pyszniąc się niczym rumak, z wysoko uniesioną łabędzią szyją. Ledare siedziała, obejmując mnie ramieniem, a Gino poruszał z tyłu silnie wiosłem w idealnie skoordynowanym, słodkim tańcu nadgarstków i przedramion.

Kiedy podniesiona przez \aporetto fala omyła bok gondoli, Ledare zanurzyła dłoń w wodzie. Gino manewrował sprawnie łodzią po rozkołysanym kanale.

— To miasto wyprawia jakieś sztuczki z rzeczywistością - powiedziała Ledare. - Odkąd tu przyjechałam, czuję się jak contessa. Płynąc tą łodzią mam wrażenie, że jestem utkana

z jedwabiu.

— Przed wyjazdem będziesz żałowała, iż nie jesteś z piędzy - obiecałem. - Taniej jest chyba utrzymać się w niebie.

— Myślisz, że w niebie jest ładniej niż w Wenecji? - zapytała, rozglądając się dookoła.

— Zadajesz za dużo pytań - odparłem.

Pamiętałem swój pobyt w Wenecji podczas karnawału, po śmierci Shyli, gdy relacjonowałem bachanalia urządzone przez mieszkańców miasta przed długimi wyrzeczeniami Wielkiego Postu. Kiedy szaleństwo pierwszej nocy sięgnęło szczytu, nie potrafiłem pojąć, jak ludzie, którzy z tak wielkim nieumiar-kowaniem oddają się cielesnym uciechom, mogą tak szybko obrócić się ku mrocznym radościom ascezy.

Tamtego lutego na ulicach leżał śnieg, głęboki kopny śnieg,

72

zrodzony w wysokich alpejskich przełęczach, i obrzucając się wraz z innymi turystami śnieżkami na placu Świętego Marka, czułem się niczym dziecko. Zapomniałem, że widok śniegu zawsze uszczęśliwia mieszkańców Południa. Zawsze nas zaskakuje.

Kupiłem maskę i kostium, aby roztopić się w tłumie wene-cjan, w ich nagle odmienionym mieście. Przebiegając ulice i ruszając w ślad za kolejnymi grupkami uczestników zabawy, przyłączałem się do kompanii, do których nie byłem zaproszony, mijalem tłum zmierzający do przyprószonych śniegiem skąpanych w blasku świec pałaców. Dryfowałem w milczeniu i w przebraniu przez biały rozgwieżdżony świat, tak dziwny jak anioły stojące w orszaku pod ścianami zapomnianych kaplic. Nie odzywając się ani jednym słowem i poddając anarchii karnawału, czułem, jak potęga masek odmienia w pierwotnym rytuale święta kształt mego własnego ja. Aż do tej pory uważałem, że samobójstwo Shyli demaskuje mnie w jakiś głęboki, nie dający się określić sposób. Tej nocy jednak maska przywróciła mnie samemu sobie i biegnąc przez miasto czułem, jak ogarnia mnie coraz większa radość. W lodowatym chłodziu Wenecji wypalała się moja przeszłość; tańcząc z obcymi kobietami i pijąc wino, które lało się strumieniami w tej świątyni rozpusty, czułem, że odzyskuję coś, co dawno już utraciłem. Obserwowałem przez chwilę młodego księdza, który sunął szybko w stronę bezpiecznej bramy klasztoru, jakby nieczyste było samo powietrze, którym oddychał. Obejrzał się raz, obejmując wszystko wzrokiem i ukloniliśmy się sobie wzajemnie. Miał rację, uchodząc przed ową rozpasaną nocą, religijną tylko z imienia, i żegnając się znakiem krzyża u progu swej pustelni.

Biegłem potem śliskimi, słabo oświetlonymi uliczkami, zapuszczając się w nie znaną mi część Wenecji i zastanawiając się, czy będę mógł nareszcie zapłakać nad duszą biednej martwej Shyli. Myślałem, że łzy popłyną łatwiej pod maską, ale ponownie się okazało, że się mylę. W codziennym życiu nie miałem czasu oplakiwać Shyli i kryłem swój smutek, tłumacząc sobie, iż Leah bardziej potrzebuje mojej siły niż rozpaczy. Tamtego karnawału umówiłem się jednak na spotkanie z samym sobą i włócząc się po pokrytej śnieżnym ornatem Wenecji, próbowałem wylać wszystkie łzy, które nosiłem w swoim wnętrzu. Nie popłynęła ani jedna. Duch miasta porwał mnie wraz z mgłą, unoszącą się znad wody, którą ścinał zacierający ślady prądów kożuch lodu.

73

Kolejna grupka kilkunastu osób przebiegła wąską śliską alejką i jedna z kobiet złapała mnie za rękę. Wysoko nad Canal Grandę eksplodowały sztuczne ognie, gdzieś daleko w bezsensnym mieście zabrzmiała syrena. Kobieta zaprowadziła mnie po schodach do mieszkania, gdzie zaczęliśmy powoli tańczyć przy dźwiękach miłosnych piosenek Franka Sinatry. W zadymionej sali panował taki ścisk, że kołysaliśmy się jedynie, ocierając o inne ciała.

Kobieta była zamaskowana, ale oczyma wyobraźni widziałem wszystkie rysy jej twarzy. W maskach wszystkie panie zmieniały się w piękności, wszyscy panowie byli olśniewająco przystojni. Moja partnerka zaczęła mnie o coś pytać po włosku, ale ja nie potrafiłem odezwać się w tym języku, nie powiadamiając jednocześnie całego świata, że jestem Amerykaninem.

— Ach - zawołała głębokim melodyjnym głosem. - Mia-
łam nadzieję, że jesteś Chińczykiem.

— W takim razie jestem Chińczykiem - odparłem po-
włosku.

- Ja jestem contessą - oznajmiła z dumą. - Potrafię
wymienić wszystkich swoich przodków aż do dwunastego doży.

- To prawda? - zapytałem.

- Tej nocy wszystko jest prawdą - odpowiedziała. - Po-
czas Carnevale wszystkie kobiety są contessami.

Mój włoski sięgnął w tym momencie najdalszych granic i musiałem przerzucić się na angielski.

— Czy maska pozwala łatwiej kłamać? - zapytałem.

— Maską sprawia, że trzeba kłamać.

- W takim razie nie jesteś contessą - oznajmiłem.

- Jestem contessą co rok tej samej nocy. I oczekuję, że cały
świat odda należny mi hołd.

H

Dałem krok do tyłu i skłoniłem się głęboko.

- Pani mojego serca... - powiedziałem.

- Mój sługo... - odrzekła, po czym dygnęła i zniknęła
w tłumie.

Znalazłszy się z powrotem na dworze, ruszyłem na zachód przez coraz wyższe zasy śniegu,
czując, jak marzną mi stopy w cienkich butach, które kupiłem razem z kostiumem. Schowane za
lakierowanymi maskami ślicznotki śmiały się i uciekały, gdy do nich podchodziłem. Weneckie
uliczki, klaustrofobiczne i wąskie, sprawiały, że czułem się większy, niż byłem w rzeczywistości;
mój sunący przez podwórza cień wydawał się ogromny,

74

eklezyjastyczny. Przy barokowej fasadzie Chiesa Gesuiti stała samotna, ubrana w dziewiczą biel
kobieta. Widząc mnie, skostniałego z zimna i śmiesznego w tanim kostiumie, zachichotała, lecz nie
uciekła. Oboje roześmieliśmy się, uświadamiając sobie, że jesteśmy jedynymi ludźmi w tej
wyludnionej części miasta.

Ubrana na białą, zamaskowana kobieta wzięła mnie za rękę. Chciałem coś powiedzieć, ale ona
położyła mi palec na ustach. Kiedy odwzajemniając ten gest, przesunąłem palcem po jej dolnej
wardze, mocno mnie ugryzła. A potem, nie puszczając mojej ręki, poprowadziła mnie przez zaułki i
bramy, aż dotarliśmy do dzielnicy, w której nigdy jeszcze nie byłem.

Gdy znaleźliśmy się w alejce zbyt wąskiej, by iść obok siebie, odwróciła się i zawiązała mi na
oczach szarfę, sprawdzając ze śmiechem, czy zakrywa całą maskę. Upewniwszy się, że nic nie
widzę, ruszyła dalej alejką, prowadząc mnie niczym stąpającego po linie akrobatę. Gdzieś daleko
słyszałem niewyraźne i nierzeczywiste nawoływania świętujących.

Stąpałem po omacku, ufając mojej przewodniczce, która skręciła w bramę domu i zaprowadziła
mnie wąskimi schodami na czwarte piętro. Kiedy weszliśmy do pokoju, zdjęła mi z oczu opaskę; w
środku panował mrok i słyszałem tylko wodę uderzającą o kadłuby przycumowanych na dole łodzi.
Nagle poczułem przy sobie nagie ciało. Jej wargi znalazły moje wargi, a język dopadł mojego
języka, każąc mu się cofnąć w głąb gardła. Usta dziewczyny miały smak wina i morskiej wody,
smak czystej wydestylowanej kobiecości. Obsypując pocałunkami jej szyję i piersi, dałem się
zaprowadzić do łóżka i położyłem na świeżo wypranym bawełnianym prześcieradle. Nieznajoma
rozpięła guziki mego kostiumu i zaczęła sunąć w dół, mruczając cicho i liżąc mnie po piersi, a potem
wzięła do ust penisa i odchyliła się, niczym połykacz ognia, do tyłu, przekraczając w tym jednym
momencie granice burleski i pożądania. Kiedy jej język zawiódł mnie na wysokie skalne półki
orgazmu, przerwała nagle pieścizotę i wsunęła się pode mnie. Zaczęliśmy się znowu całować i gdy
w nią wszedłem, smak jej ust był inny, zmieszany ze smakiem mnie samego. Wiedziałem już teraz,
że woli pozostać anonimowa. Nie będzie ceremonii zdejmowania masek. Dając się porwać tej nocy,

pozwoiliem, by seks zakwitl jak polny kwiat w sekretnej alkwie naszej wyobrazni. W uszach szumiala nam pierwotna, zwierzcza, nienazwana zadzza - taka sama, jaka byla w pieczarach, lasach

75

i przy swietle ognisk, kiedy nie znano jeszcze slowa na ogien i na ludzkie ciało.

Teraz, po latach, gdy gondola przecinala kladace sie na Canal Grandę smugi swiatła, próbowałem przypomniec sobie dlugie nogi nieznojmej, próbowałem odtworzyc kazdy jej ruch w nietrwalym imperium dotyku, kazde musniecie piersi, kazda odpowiedz pięt i kolan, wszystkie dreszcze i westchnienia jasnego wybuchu jej pasji. Oboje ani razu nie odezwalismy sie do siebie i to jeszcze bardziej mnie podniecalo.

Kiedy osiagnalem orgazm, mój krzyk spotkal sie z jej krzykiem i nasze jezyki pokaleczył dzwięk. A potem odsunelismy sie wyczerpani i spoceni od siebie i ponownie uslyszelismy plusk wody, stukot uderzajacych o brzeg, walczacych z cumami i pradam i nasz własny ciężki oddech. Jej włosy opadły na moja pierś i lezelismy w ciemnym pokoju, pozwalajac, by ostygła w nas namiętność.

Ledare dotknela mojego policzka mokrymi palcami.

— Grosika za twoje myśli - powiedziala.

— Zastanawialem sie, jakie jest miejsce egzystencjalizmu we wspolczesnej literaturze - odparlem.

— Klamca - stwierdzila, ochlapujac mnie wodą. - Cokolwiek to bylo, musiało być przyjemne.

— Myslalem o tym, jak zmienia sie nasze zycie.

— Zbudowali to miasto tak, by nikt nie chcial z niego nigdy wyjechać, prawda, Jack? - zapytala.

— Nie - odparlem. - Moim zdaniem byli jeszcze zmyslniejsi. Zbudowali je tak, zebyś zawsze miala o czym marzyc.

— Peka mi serce, kiedy pomysle, jakie to wszystko piekne.

— Z Wenecją dobrze sie podrozujecie. To miasto nigdy cie nie opuści.

Lezac wtedy wczesniej w pokoju, uslyszalem nagle, jak ktos stapa lekko po sniegu. Kobieta wstala szybko z lozka, ponownie polozyla palec na moich wargach i wyszla. Po chwili przyniosla mój kostium i przemoczzone buty, ktore musiala postawic na jakimś piecyku. Kiedy sie ubralem i stanalem w progu, podniosla moje rece i przesunela je po swojej twarzy, jakbym byl slepcem czytajacym zapisany brajlem ulubiony wiersz. A potem wlozyla z powrotem maski nam obojgu, zawiązala mi na oczach opaskę i sprowadzila na dol.

Ruszyliśmy, drzac z chłodu, w strone hałasów, tłumy i zblizajacego sie Wielkiego Postu.

Próbowałem porozumiec sie z nią

76

moim nieporadnym włoskim rodem z Berlitz, błagałem, by zdradzila mi chociaz swoje imię, tłumaczyłem, ze chce sie z nią znowu zobaczyc, zaprosic na kolacje.

Śmiała sie, gdy strzepilem sobie jezyk. Wiedziala, ze tajemnica i milczenie stanowia erotyczna kwintesencję spedzonej przez nas wspólnie nocy.

Przeszlismy przez most i nagle, gdy pytalem, czy Wenecja jest jej rodzinnym miastem, jej dlon wysunela sie z mojej dloni. Chcialem ja zawolac, ale zdalem sobie sprawe, ze nie znam nawet jej imienia. Ściagnalem szarfe z oczu i odkrylem, ze stoję na skrzyzowaniu czterech weneckich uliczek. Nasluchiwalem przez chwile, lecz nieznojma zniknela zupełnie bezszelestnie. Obracajac sie na piecie, zobaczyłem tylko innych zamaskowanych tak jak ja ludzi. Niektórzy niesli butelki wina, inni swiece lub latarki. W sniezhnej zamieci krzyzowaly sie snopy swiatła. Wszedzie slychac bylo glosy, mnie jednak brakowalo jej milczenia.

Próbowałem wrócic po własnych śladach, ale to byla Wenecja i kobieta ofiarowala mi cały czas, jaki zamierzala ofiarowac.

Przed wyjazdem z miasta dlugo sie po nim wloczyłem, zwlaszcza w okolicy kościoła Gesuiti, gdzie

spotkałem swą tajemniczą kochankę. Chciałem jej podziękować, chciałem chwalić i wykrzykiwać na głos jej imię. Nie kochałem się z nikim od śmierci Shyli. Moje ciało było zamknięte aż do owej śnieżnej nocy w Wenecji, do spotkania z kobietą w masce, która rozumiała sekret bezimienności i nie odezwała się do mnie ani słowem.

Dużo później zacząłem podejrzewać, że tą kobietą mogła być sama Shyla, która dawała mi do zrozumienia, że pora już zacząć nowe życie, pora o niej zapomnieć. Przebieranie się i udawanie kogoś innego były dwiema rzeczami, które lubiła najbardziej.

Kiedy przyплыliśmy z Ledare do Gritti Pałace, dałem gondolierowi pięćdziesiąt tysięcy liro w. Gino pocałował Ledare w rękę i zaproponował, że zabierze ją nazajutrz za darmo na przejażdżkę mniejszymi kanałami. A potem poszliśmy przebrać się przed kolacją.

Gdy weszliśmy wieczorem do tawerny La Fenice, Mikę już na nas czekał.

- Siadajcie. Wyglądasz wspaniale, Ledare. Mogą cię aresztować w tej sukience - stwierdził. - Miła knajpa, Jack. Różni się trochę od pierwszej lepszej pizzerii na rogu.

77

- To mój ulubiony lokal - powiedziałem. - Sądziłem, że spodoba się wam obojgu.

Do stolika podszedł kelner, a ja wyjaśniłem im tajniki menu.

— Robią tutaj wspaniałe spaghetti. Do bigoli con granzeola dodają sos z krabów. Nie smakują tak jak nasze błękitne kraby, ale i tak są wyborne. Wszystkie dania z cielęciny są dobre. Jeśli lubicie wątróbkę, Wenecja jest odpowiednim miejscem, by jej spróbować.

— Powiedz po prostu temu facetowi, że zamawiam hamburgera i zieloną sałatkę z roquefortem - oświadczył Mikę.

— Nie mają hamburgerów. I nigdzie we Włoszech nie dostaniesz roqueforta.

— Nie mają hamburgerów? To ma być restauracja? W Four Seasons w Nowym Jorku podają hamburgery.

— Zaufam Jackowi - odezwała się Ledare. - To jego teren.

— Nie wierzę, żeby nie mieli tutaj roqueforta. Gdzie robią ten ser? Czy ktoś odpowie mi na to pytanie?

— We Francji - odparła Ledare.

— Zgadza się. We Francji. W sąsiednim pieprzonym kraju.

Założę się, że leży nie dalej jak trzysta mil stąd. Nie jem sałatki bez roqueforta.

— Dzisiaj zjesz - stwierdziłem.

— Włochy to wciąż Trzeci Świat, człowieku. A wydawałoby się, że załapali się na dwudziesty wiek. Zamów mi trochę jarzyn i cielęciny. Jak nazywa się ta ich naprawdę chuda cielęcina? Zaczyna się na "s".

— Scallopini.

— Dla mnie zamów, co chcesz, Jack - zdecydowała

Ledare.

— Mądra dziewczyna - pochwaliłem ją z uśmiechem, po czym zaprosiłem na wenecką ucztę, która zaczęła się od carpaccia i risotta przybranego świeżymi zielonymi pędami szparagów. Na drugie dostaliśmy udziec jagnięcy z oberżyną i szpinakiem i zbyt najedzeni, by zdecydować się na deser, zamówiliśmy my espresso i po kieliszku grappy.

Podano sałatkę dla Mike'a, ten jednak nie chciał jej tknąć, gdy odkrył, że skropiono ją oliwą z oliwek. Kazałem więc po włosku kelnerowi przynieść z kuchni kilka składników i kiedy wrócił do

naszego stolika, poprosiłem, aby zmieszał w misce trochę jogurtu z majonezem, dodał sosu Worcestershire i tabas-co, dosypał parę deko pokruszonej gorgonzoli i przybrał spo-

78

rzadzonym w ten sposób dressingiem sałatkę, nie ukrywając pogardy dla efektu swej pracy.

- Pycha - stwierdził uszczęśliwiony Mike. - Mówiłem ci, że zamelinowali gdzieś na zapleczu trochę roqueforta. Chwilę później poruszył temat, który przywiódł go do Wenecji. — Porozmawiajmy przez chwilę o projekcie. Co o nim oboje myślicie? Jaka największa zmiana zaszła na Południu po drugiej wojnie światowej?

— Wynalezienie rozpuszczalnej kaszki - stwierdziła po chwili namysłu Ledare. - Nie, nieprawda. To, że prawie w każdym mieście można kupić taco.

— Wygłupiasz się - uciął Mike, marszcząc brwi. - A ty, Jack?

— Nie zamierzam dla ciebie pracować, Mike, i osobiście nie obchodzi mnie, jaka największa albo najmniejsza zmiana zaszła na Południu.

— W grę wchodzi duże pieniądze, Jack. Nie zarobiłeś tyle forsy w całym swoim życiu. Proponując to, oddaję ci osobistą przysługę. Będę się musiał nieźle nagimnastykować, żeby cię zaakceptowali. Ledare zrobiła już parę rzeczy i zna jej nazwisko. Twoje imitacje Julii Child * zdadzą się co najwyżej psu na budę.

— Nie wchodzę w to, Mike.

— Czy przyjmiesz posadę konsultanta?

— Nie.

— Dlaczego?

— Ponieważ chcesz, żebyśmy wspomnieli o Shyli, a ja tego nie zrobię.

— Nie musimy mówić, że skoczyła z mostu. Albo możemy to zrobić spoza kadru.

— Na mnie nie licz. Na pewno będziesz chciał, żebyśmy opowiedzieli również o Jordanie i latach sześćdziesiątych.

— Nie. Zaczekaj chwilę - zawołał Mike, podnosząc rękę. - Za bardzo się śpieszysz. Ja chcę to wszystko umieścić w odpowiednim kontekście. Nie widzisz tego? To nie będzie tylko o nas. To będzie historia tego stulecia. Mój dziadek przybywa do Waterfordu, nie znając nawet dziesięciu słów po angielsku. Spotyka twojego dziadka, Jack. To zmienia na zawsze życie ich obu. Gdyby nie pogrom, do którego doszło * Amerykańska autorka przewodników kulinarnych.

79

w Rosji w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, nie siedzielibyśmy teraz przy tym stole w Wenecji. Może kłamię?

— Nie - odparłem. - Nie kłamiesz.

— Zrozum, ta przeszłość nas ukształtowała, czy to ci się podoba, czy nie. A potem przeszliśmy przez ten sam syf. Pytałeś o Jordana. Do diabła, musimy o nim opowiedzieć. Kto wywarł

na nas większy wpływ od Jordana Elliotta? Swoją drogą, wiesz może, gdzie on się podziewa, Jack?

— Podobno zginął. Byliśmy wszyscy na jego nabożeństwie żałobnym.

— Podobno żyje i podobno znasz jego miejsce pobytu. Krążą plotki, że jest tutaj, we Włoszech.

— Jeśli to prawda, nigdy się ze mną nie skontaktował.

— Powiedziałbyś mi, gdyby to zrobił? - zapytał Mikę.

— Nie, nie powiedziałbym.

— Nie pochwalam tego, co ten sukinsyn zrobił podczas wojny, ale, na Boga, to może być wspaniały materiał, jeśli dowiemy się, jak udało mu się zwać.

— W tym miejscu mógłbyś coś wymyślić - dodała Ledare, zwracając się do Mike'a. - Może Jack ma rację. Może Jordan zginął, próbując uciec albo gdzieś się ukryć.

— Chcę znać prawdę - rzekł Mikę. - Powinniśmy, kiedy to tylko możliwe, trzymać się faktów. To kwestia profesjonalnej uczciwości. Mam zamiar odnaleźć tego sukinsyna i zapłacić mu kupę szmalu, żeby opowiedział mi swoją historię.

— Czy on wspomniał coś o uczciwości? - zapytała z udawanym zdziwieniem Ledare. - Czy Mikę wspomniał coś o uczciwości?

— Jest jeszcze jedna sprawa - kontynuował Mikę, komplementnie ignorując jej docinki. - Chcę, żebyście dokładnie mnie wysłuchali, zanim narobicie krzyku. Wiem chyba, jakie będzie wasze zdanie, ale to, co powiem, może was zaskoczyć.

— Strzelaj - zachęciła go Ledare, wzruszając ramionami.

— Jestem członkiem komitetu wyborczego Capersa Middletona. Pełnię funkcję zastępcy szefa finansów. Chcielibyśmy bardzo umieścić wasze oba nazwiska na liście komitetu.

Ledare na krótką chwilę zupełnie zamurowało.

— Jak się mówi po włosku "odpierdol się", Jack? - zapytała w końcu.

— Nie musisz tego wiedzieć - oświadczyłem. - Powiedz

—
80

po prostu "odpierdol się" po angielsku i powtórz to jeszcze raz w moim imieniu.

Wiem, skąd się bierze wasza niechęć. Ale oboje nie macie racji. Facet się zmienił. Rozmawiałem z nim w Nowym Jorku, zanim tu przyleciałem, i sukinsyn naprawdę wybiega myślą daleko naprzód. Ma bardzo radykalne pomysły, jeśli chodzi o finansowanie oświaty i rozwój przemysłu. Pomysły na miarę dwudziestego pierwszego wieku.

— Hip hip hura! - mruknęła Ledare. - Zapomniałeś chyba, że byłam żoną tego wybiegającego myślą naprzód sukin syna. Ma naprawdę radykalne pomysły, jeśli chodzi o alimenty. W ogóle ich nie płaci.

— Wasz rozwód przysparza mu trochę kłopotów podczas kampanii. Nie będę cię okłamywał - stwierdził Mikę.

— To dobrze - odparła. - Capers jest pozbawionym serca bezwzględnym łajdakiem. Zakochałam się w nim kiedyś, wyszłam za niego, miałam z nim dwoje dzieci i powoli nauczyłam się go nienawidzić. Ten facet zatruwa wszystko wokół siebie.

— Ma wobec ciebie wyrzuty sumienia. Sam mi to powiedział.

Przyznaje, że okazał się w stosunku do ciebie łajzą.

— Przypomnij sobie, co zdarzyło się w roku tysiąc dziewięć set siedemdziesiątym na Uniwersytecie Karoliny Południowej - przerwałem mu. - To był ważny rok. Może wypadło ci z to z pamięci, ale dowiedzieliśmy się wtedy czegoś bardzo ważnego o naszym kochanym Capersie Middletonie.

— Nie wszyscy - zaprzeczyła Ledare. - Niektórzy z nas w tym przełomowym momencie nie wyciągnęli żadnych wniosków co do jego charakteru albo poczucia przyzwoitości. Na przykład ja przeszłam nad tym do porządku dziennego i poślubiłam go.

Mikę odetchnął głęboko i poczekał, aż się uspokoiimy.

— Nikt bardziej ode mnie nie nienawidził Capersa za to, co wtedy zrobił. Ale on upiera się, że postąpił właściwie, i wciąż uważa to za akt patriotyzmu. Chce opowiedzieć nam o wszystkim, co poprzedziło włamanie do komendy uzupełnień. To wejdzie do miniseriału.

— Przykro mi, Mikę, ale ja nie biorę w tym udziału - potwierdziła swoją decyzję Ledare.

— Na litość boską, dlaczegoście się tak zaparli? Wiem, że przydałoby wam się obojgu trochę gotówki.

— O to ci chodzi, Mikę? - zapytałem. - Uważasz, że

81

można nas kupić? Że jesteśmy na sprzedaż, jeśli tylko wymienisz właściwą cenę?

— Ja nie chcę nikogo kupować, Jack - odparł zmienionym tonem Mikę. - Chcę odwalić kawał dobrej roboty, opowiedzieć wspaniałą historię i przy okazji spowodować, że lepiej się po znamy. Pieniądze to tylko przyprawa.

— A twój przyjaciel Capers pragnie opowiedzieć o heroicznej roli, jaką odegrał na uniwersytecie? Zrobić z siebie bohatera?

— Tak się składa, że dla wielu ludzi rzeczywiście był bohaterem. To, co zrobił, zaakceptowało moim zdaniem jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent ludności Karoliny Południowej.

— Wszyscy ci ludzie popierali wojnę w Wietnamie.

— Lata sześćdziesiąte to ograny temat. Nie robi się na tym kasy - stwierdził Mikę.

Widziałem, że bezkompromisowy wzrok Ledare wprawia go w zakłopotanie.

— Posłuchaj uważnie, co ci powiem, Mikę - oświadczyłem. - Nie będę owijał niczego w bawełnę. Wciąż wierzę z całego serca we wszystko, w co wtedy wierzyłem. Z niczego się nie wycofałem.

— Przyznaj, że było w tym wiele obłudy - powiedział Mikę.

— Przyznaję. I wciąż w to wierzę.

— W porządku - zgodził się Mikę. - To, co zrobił Capers, może być przedmiotem kontrowersji. Jestem otwarty na różne zdania w tej kwestii. Ale nikogo nie zranił. Aresztowali cię, Jack, ale przecież nie siedziałeś.

— Nieprawda. Zranił nas wszystkich. To był zabójczy cios, Mikę. Nie rozumiesz tego? Wszyscy kochaliśmy Capersa, wszyscy mu wierzyliśmy i poszliśmy za nim - oznajmiłem z uśmiechem.

— Ale jakoś się pozbialiśmy. Wszyscy.

— Z wyjątkiem faceta, którego szukasz. Założę się, że Jordan się po tym nie pozbiał - odezwała się Ledare. - Oczywiście, jeśli jeszcze żyje.

— Wiesz, gdzie on jest? - zapytał mnie ponownie Mikę.

— Nie, Mikę. Byliśmy razem na nabożeństwie żalobnym, pamiętasz? Z powodu Capersa Middletona żaden z nas nie widział Jordana od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego.

Mikę wyjął z kieszeni na piersi książeczkę czekową, wypisał czek na dziesięć tysięcy dolarów i położył przede mną.

- To zaliczka. Zaprowadź mnie do Jordana... a dostaniesz kolejną dychę.

82

Przyjrzałem się czekowi, roześmiałem się i przypaliłem jego koniec od stojącej na stole świeczki. Obserwowałem przez chwilę wysoki jasny płomień, po czym wrzuciłem czek do filiżanki Mike'a.

- Powinieneś mi się bliżej przyjrzeć, Mikę. Przyjrzeć mi się, nim przystąpisz do końcowych egzaminów. Musisz się nauczyć, jak zostać z powrotem ludzką istotą. Byłeś w tym kiedyś całkiem niezły. Zapomniałeś po prostu kroków.

Mikę pochylił się w moją stronę. W jego oczach płonęła uraza.

— Mam dla ciebie wiadomość, Jack - rzekł. - Nie jesteś już dłużej kapitanem drużyny. Szkoła średnia się skończyła i nie da się ukryć, że mały Mikę radzi sobie lepiej niż ktokolwiek inny. Zajrzyj do magazynu "People" i do Who's Who. W świecie filmu Mikę Hess jest kimś, z kim trzeba się liczyć. Wszystkim nam się powiodło, nie powiem. Ledare pisze swoje ambitne scenariusze. Ty piszesz książki kucharskie dla tłustych turystów i przewodniki, w których objaśniasz różnym dupkom, jak trafić do Kaplicy Sykstyńskiej. Ale ja zgarnąłem najwyższe laury.

— Zamknij się, proszę, Mikę - przerwała mu Ledare. - Posłuchaj tylko, co ty wygadujesz. Chwalić się, że piszą o tobie w "People". Na litość boską, to takie żalodne.

— Mówię, co mi się podoba. Spójrz na Jacka. Jak bardzo jest przekonany o własnej nieomyślności i zadowolony z siebie. Dlaczego, Jack? Dlaczego, do jasnej cholery? Spaliłeś ten czek, jakbyś był jakimś pierdolonym Franciszkiem z Asyżu. Ale wiesz, czego się nauczyłem? Będę dodawał cyfry tak długo, aż w końcu padniesz na kolana i zrobisz to, co chcę, żebyś zrobił.

— Będziesz musiał długo dodawać - odparłem z uśmiechem. Chciałem rozładować napięcie, ale Mikę postanowił, nie bacząc na nic, kontynuować frontalny atak.

— Szydzisz ze mnie. Szydzisz z Capersa Middletona, którego jedynym grzechem jest to, że chce zrobić z Karoliny Połu dniowej lepsze miejsce do życia. Być może nie dorastamy ci do pięt, Jack, ale żadna z naszych żon nie skoczyła nigdy z mostu. Wszystkie nasze dziewczyny paradują w dalszym ciągu ze swoimi kartami kredytowymi i torebkami od Gucciego. Żadnej nie trzeba było wylawiać z rzeki. Przepraszam, że to mówię, chłopie, ale takie są fakty.

Zamknąłem oczy i nie otwierałem ich aż do chwili, gdy odzyskałem nad sobą panowanie. Miałem ochotę rzucić się na

Mike'a i okładać go, aż pięści spłyną mi krwią. Ale potem pomyślałem o Leah i o Shyli i nie odpowiedziałem na jego napaść.

— Śmiało, Jack - odezwała się Ledare spokojnym tonem. - Zabij go. Zasluguje na to.

— Przepraszam - rzucił nagle Mike. - Jezus, przepraszam cię, Jack. To nie ja powiedziałem. Otwórz oczy. Na mojej twarzy widzisz wypisaną wielkimi literami skruchę. S-K-R-U-C-H-Ę. Najczystsza skruchę. Przysięgam ci, Jack. To nie byłem ja. Nikt nie kochał Shyli bardziej ode mnie. Musisz mi to przyznać.

— Przyznaję - powiedziałem, otwierając oczy. - Kochałeś Shylę i tylko dlatego nie złapałem cię przed chwilą za dupę i nie wrzuciłem do Canal Grandę.

— Pozwól, że ja go wrzucę - zwróciła się do mnie Ledare. - Mężczyźni muszą zawsze mieć najlepszą zabawę.

— Wspaniała kwestia - skonkludował Mike. - Zapisz to zdanie, a jutro rano każę je wydrukować. Wejdzie do scenariusza.

Wieczór dobiegł końca. W drodze powrotnej do Gritti Pałace Mike starał się naprawić szkody, które wyrządził. Był absolutnie uroczy i udało mu się mnie nawet rozśmieszyć.

Nie mówiłem nic, wyłącznie słuchałem. Znałem Mike'a dość dobrze, by wiedzieć, że żarty i śmiech stanowią fragment skomplikowanego rytuału przeprosin. Śmiejąc się, wybiegałem jednak myślą naprzód. Musiałem wrócić do Rzymu, aby ostrzec Jordana Elliotta, że Michael Hess jest na jego tropie.

ROZDZIAŁ 5

Odwiozłem Marthę na lotnisko Fiumicino i kiedy czekałem z nią w kolejce do odprawy biletowej, kilka razy minęli nas uzbrojeni po zęby włoscy żołnierze.

— Nigdy nie przyzwyczaję się do pistoletów maszynowych na lotnisku - stwierdziła.

— Dzięki temu skończyły się kradzieże w wolnocłowych sklepach - poinformowałem ją. - Pozwól, że postawię ci cappuccino. Dalej mnie nie puszczą.

— Z powodu terroryzmu?

— Tak sędzę. Czerwone Brygady nie są już takie groźne. Ale wciąż należy się obawiać OWP. Odgraża się Libia. Może dać o sobie znać IRA. Nawet ruch wyzwolenia Korsyki.

— Dlaczego mieszkasz w takim kraju?

— Czy w Atlantycie nie popełniono w zeszłym roku najwięcej morderstw w całych Stanach Zjednoczonych?

- Tak, ale lotnisko jest całkowicie bezpieczne - odparła.

Popijając cappuccino, obserwowaliśmy grupę Saudyjczyków w eleganckich garniturach, którzy mijali spory kontyngent odzianych w tradycyjne szaty mieszkańców Ghany. Mogło się zdawać, że wystarczy postać trochę dłużej na rzymskim lotnisku, aby zawrzeć znajomość z obywatelami wszystkich krajów i ta otwartość na świat nigdy nie przestawała mnie zadziwiać. Czuło się tutaj miłość do podróży, czuło falę adrenaliny u pasażerów zerkających na tablice odlotów i studiujących małe cyferki na starannie wydrukowanych biletach. Lotnisko było miejscem, gdzie naprawdę widziałem biegnący do przodu czas. Ludzie wysypywali się z poczekalni i korytarzy niczym piasek w klepsydrze.

— Nie muszę ci tego mówić, Jack. Leah jest cudownym dzieckiem. Wspaniale ją wychowałeś.

— Ja tylko się przyglądam, Martho. Ona sama się wychowuje.

— Chciałabym, żebyś wrócił z nią do domu.

— Nie sądzę, żeby to było możliwe - powiedziałem najdelikatniej, jak mogłem. - Przykro mi, Martho.

— Mogę ci obiecać, że nie będzie żadnych scen.

— Nie jesteś w stanie tego zrobić. Nie możesz mówić w imieniu swojego ojca.

— Czy zawsze go nienawidziłeś? - zapytała cicho. - Nawet kiedy byłeś dzieckiem? Nasze domy sąsiadowały ze sobą od tyłu.

— Nie. Zacząłem go nienawidzić, dopiero kiedy go lepiej poznałem. Myślę, że to się zaczęło, gdy ogłosił sziwę po naszym małżeństwie.

— Matka błagała go, żeby tego nie robił.

— Potem, gdy ogłosił ponownie sziwę po śmierci Shyli, mój szacunek do niego tylko się powiększył.

— Jest pobożnym Żydem. Wtedy miał prawo to zrobić.

— I nie miał, kurwa, najmniejszego prawa robić tego, kiedy za mnie wyszła - wybuchnąłem.

— Wtedy też uważał, że postępuje jak pobożny Żyd.

— I jak zły człowiek. Czy ty lubisz swojego ojca, Martho? Shyla na pewno go nie lubiła.

Martha przez chwilę się zastanawiała.

— Szanuję go, Jack. Lituję się nad nim. Pamiętam, przez co przeszedł.

— Niezależnie od tego, co przeszedł, na pewno odplacił za to światu z nawiązką.

— Mówi, że odebranie mu prawa widzenia się z wnuczką jest najgorszą rzeczą, jaka go kiedykolwiek spotkała.

— Znakomicie. Jack McCall wyprzedził drugą wojnę światową w konkursie na to, kto potrafi bardziej dopiec George'owi Foxowi.

— Nie może nic poradzić na to, kim jest i co go boli.

— Podobnie jak i ja, Martho. Pora już, żebyś przeszła przez punkt kontrolny.

Przy posterunku służb bezpieczeństwa objęliśmy się i trwaliśmy przez dłuższą chwilę w uścisku.

- Doceniam to, co zrobiłaś, Martho - powiedziałem. - To był wspaniały gest. Podjęłaś ryzyko i doceniam to.

86

— Mam nadzieję, że to dopiero początek. Chcemy, żeby Leah stała się częścią naszego życia, Jack. Moja matka bardzo pragnie się z tobą zobaczyć.

— Powiedz jej, że się nad tym zastanowię.

— Ty i Shyla, Jack - zaczęła mówić i w jej głosie zabrzmiał podziw. - Nigdy nie wiedziałam, co was łączyło.

— Nikt tego nie wiedział - odparłem cicho, gdy Martha ruszyła w stronę obserwujących ją z kamiennym wyrazem twarzy pięciu uzbrojonych strażników.

Wróciłem do domu i przez pozostałą część dnia pisałem artykuł o Wenecji i o Gritti Pałace. Lubię

pisać o obcych miastach i egzotycznej kuchni, robiąc to, odsuwam bowiem od siebie tematy, które są dla mnie zbyt bliskie.

Chcąc oddać genius loci każdego z odwiedzanych przeze mnie krajów, staram się, jak mogę, przekształcić nostalgię w rodzaj świętej księgi, opisując to, co miejscowi cenią u siebie najbardziej. Pisanie o Wenecji zawsze stanowi prawdziwe wyzwanie. Olśniewający urok tego miasta rozpościerającego pawie ogony nad Adriatykiem sprawia, że człowiek zaczyna tęsknić za jakimś nowym tajemnym językiem, pełnym nie zużytych słów, którymi mógłby się posłużyć. Wenecja i jej ponadczasowe piękno zawsze kazały mi ubolewać nad niewystarczalnością ludzkiej mowy. Strawiłem długie godziny, starając się uczynić to zbyt często odwiedzane miejsce moim i tylko moim. Próbowałem odkryć w nim rzeczy, które zaskoczyłyby samych Wenecjan.

Skończywszy artykuł, wystukałem na maszynie cztery przepisy, które dostałem od różnych weneckich kucharzy, po czym umieściłem na kopercie adres redaktora działu Sophisticated Traveler w "New York Timesie". Oddałem przesyłkę portierowi i udałem się na drugą stronę Tybru, aby odebrać Leah z synagogi, do której chodziła raz w tygodniu.

Leah wyszła w otoczeniu dziewczynek i chłopców, którzy mieli na głowach małe jarmużki. Widząc, że na nią czekam, puściła się biegiem w moją stronę, a ja podniosłem ją wysoko i obróciłem kilka razy wokół siebie.

— Czy ciocia Martha zdążyła na samolot? - zapytała. -

Od razu ją pokochałam, tatusiu. Tyle miałyśmy sobie do opowiedzenia.

— Ona cię uwielbia, kochanie. Podobnie zresztą jak wszyscy.

— Zadała mi pytanie, na które nie potrafiłam odpowiedzieć - poinformowała mnie, kiedy ruszyliśmy do domu.

87

— Jakie pytanie?

— Czy ja jestem Żydówką, tato? Martha zapytała mnie o to, a rabbi pyta się bez przerwy. Rabbiemu nie podoba się, że chodzę do katolickiej szkoły.

— Suor Rosarii nie podoba się, że chodzisz do synagogi.

Ale według prawa żydowskiego jesteś Żydówką.

— A według ciebie? - zapytała. - Kim jestem według ciebie?

— Nie wiem, Leah - przyznałem, kiedy szliśmy przez hałaśliwe ulice Trastevere w stronę rzeki. - Religia jest mi obca. Wychowywałem się jako katolik, ale Kościół zranił mnie. Sprawiał, że zacząłem bać się świata. Jednocześnie jednak kazał mi go podziwiać. Twoja matka była Żydówką i szczyliła się tym. Chciała, żebym wychował cię w duchu żydowskim, i dlatego właśnie wysyłam cię do synagogi.

— Ale kim chcesz, żebym była?

— To, czego chcę, nie jest ważne. Możesz wybrać sama. Ja chciałbym, żebyś poznała obie religie i obie odrzuciła.

— Czy oni oddają cześć różnym Bogom? - zapytała.

— Nie, kwiatuszku. Myślę, że to ten sam facet. Posłuchaj, wiem, że zapłacę za to kiedyś w przyszłości. Będziesz dorastać, nie utożsamiając się do końca z żadną religią i wreszcie, kiedy skończysz osiemnaście lat, odnajdę cię z ogoloną głową, odzianą w szafranowe szaty Hare Krishna, nucającą mantrę i grającą na tamburynie na lotnisku w Atlancie.

— Chcę po prostu wiedzieć, czy jestem Żydówką, czy katoliczką.

— To twoja decyzja - powiedziałem, ściskając jej dłoń.

— Martha mówi, że jestem Żydówką.

— Jeśli chcesz nią zostać, w takim razie jesteś Żydówką. Bardzo bym się z tego cieszył. Nic nie wyprowadziłoby bardziej z równowagi mojej rodziny.

— Jak wygląda Karolina Południowa? - zapytała Leah, zmieniając temat.

— Okropnie. Jest bardzo brzydka i przygnębiająca. Bez przerwy czuć tam przykry odór, a po ziemi pełzają grzechotniki. Wszystkie dzieci od urodzenia aż do ukończenia osiemnastego roku życia oddaje się w niewolę. W całym stanie zabroniona jest sprzedaż lodów i dzieciaki muszą wcinać codziennie pięć funtów brukselki.

— Nienawidzę brukselki.

— To dopiero początek. Wszystkie szczeniaki i kociaki to pione są zaraz po urodzeniu. Tak to wygląda. Na pewno nie będziesz chciała tam jechać. Zaufaj mi.

— Ciocia Martha mówi, że tam jest pięknie. Chce, żebym odwiedziła ją latem przyszłego roku. Czy będę mogła pojechać? Nie odpowiedziałem jej i przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

— Jakie ci kupić lody? - zapytałem, kiedy weszliśmy do baru niedaleko Piazza Trilussa. - Limone o fragola?

— Fragola - odparła - ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Chcesz, żeby kazali ci zajadać pięć funtów brukselki dziennie i sprzedali na targu niewolników?

— Opowiadasz takie rzeczy, żebym nie spytała cię o mamę.

Jedliśmy w milczeniu nasze rożki. Mój był orzechowy i przywodził na myśl dym, lód i ciemność. Leah wybrała tego dnia smak truskawkowy. Jadła na zmianę lody cytrynowe i truskawkowe i był to jeden z wielu sposobów, za pomocą których próbowała wprowadzić ład i porządek w swoje sieroce życie.

Na Ponte Sisto zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na Tybr, który przyśpieszając biegu zbliżał się do progów przy Isola Tiberina. Dwaj starsi panowie moczyli wędkę w rzece. Mnie osobiście brakowało zwykłej fizycznej odwagi, aby zjeść jakąkolwiek rybę wyłowioną w tych brudnych wodach. Nawet w najbardziej miękkim świetle Tybr wydawał się zreumatyzowany i chory.

— Wiem wszystko o mamie - odezwała się Leah, liżąc swój rożek.

— Jeśli Martha powiedziała choć jedno słowo...

— Ona nic mi nie powiedziała - przerwała mi szybko Leah. - Wiem już od dawna.

— Jak się dowiedziałaś? - zapytałem, uważając, żeby na nią nie spojrzeć, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z wędki.

— Słyszałam, jak Maria rozmawiała z portierem - odparła. - Nie wiedzieli, że podsłuchuję.

— Co mówili?

— Że mama zabiła się, skacząc z mostu.

Słyszając te słowa wypowiedziane przez moją śliczną, zbyt poważną jak na swój wiek córkę, poczułem, że serce zamiera mi w piersi. Próbowała powiedzieć to zwykłym tonem, w jej głosie zabrzmiała jednak straszliwa powaga czynu Shyli. Uświadomiłem sobie w tym momencie, że traktując ją jak kogoś

równego sobie, pozbawiłem wszelkich szans na normalne dzieciństwo. Co gorsza, pozwoliłem, aby mi matkowała, wyłudając od tego wielkodusznego, hojnego dziecka to, co moja własna matka tak rzadko mogła mi zaoferować. Pozwoliłem, aby Leah dźwigała wraz ze mną moją rozpacz, zamieniając jej dzieciństwo w obowiązek.

— Maria mówiła, że moja matka smaży się w piekle. Taki los czeka każdego, kto odbiera sobie życie.

— Nie - powiedziałem, klękając obok i biorąc ją w ramiona. Chciałem zobaczyć, czy Leah płacze, ale nie widziałem nic przez własne łzy. - Twoja matka była najśłodsza, najwspanialszą kobietą, jaka kiedykolwiek chodziła po tej ziemi. Żaden Bóg nie skrzywdziłby tak porządnej i dobrej kobiety. Żaden Bóg nie powiedziałby złego słowa kobiecie, która tyle wycierpiała. Jeśli istnieje taki Bóg, ja pluję na niego. Rozumiesz?

— Nie - odparła.

— Twoja matka miała okresy wielkiego smutku - szepnąłem. - Czowała, kiedy się zbliżały, i ostrzegała, że jakiś czas nie będzie jej w domu. Ale zawsze wracała. Byli lekarze i były pobyty w szpitalach. Dawali jej tabletki, robili wszystko, co mogli; i zawsze wracała. Z wyjątkiem ostatniego razu.

— Musiała być bardzo smutna, tato - wyrzuciła z siebie, otwarcie teraz płacząc.

— Była.

— Nie mogłeś jej pomóc?

— Próbowałem jej pomóc, Leah. Możesz być tego pewna.

— Czy to chodziło o mnie? Czy była nieszczęśliwa, dlatego że się urodziłam? - zapytała.

Objąłem ją jeszcze mocniej, pozwalając, by wybuchnęła głośnym długim szlochem, i nie odzywając się, póki trochę się nie uspokoiła.

— Nikt nie kochał nigdy swego dziecka tak mocno, jak kochała cię twoja matka. Za każdym razem, kiedy na ciebie spojrzała, w jej oczach płonęła miłość. Nie potrafiła oderwać od ciebie rąk, nie chciała przestać karmić cię piersią. Shyla kochała w tobie wszystko.

— W takim razie dlaczego? Dlaczego?

— Nie wiem, kochanie. Ale spróbuję powiedzieć ci wszystko, co rozumiem. Obiecuję, że zrobię to, jeśli tylko zabierzesz lody z mojej szyi.

Oboje roześmieliśmy się i otarliśmy sobie wzajemnie oczy

90

serwetkami, które dostaliśmy w lodziarni. Ukłękłem na jednym kolanie i pozwoliłem, żeby Leah wytarła lody z mojej koszuli i szyi. Podeszły do nas dwie zakonnice, ale kiedy zmierzyłem wzrokiem jedną z nich, spuściła natychmiast oczy, nieśmiała niczym pensjonarka.

— Myślisz, że to bolało? - zapytała Leah. - Kiedy wpadła do wody?

— Nie wydaje mi się, żeby dużo czuła. Zanim pojechała na ten most, zażyła dużo tabletek.

— Ten most, tato... czy był wyższy od tego?

— O wiele wyższy.

— Sądysz, że myślała o tej nocy na plaży? Kiedy dom runął

do morza? Kiedy się w tobie zakochała?

— Nie, kochanie. Doszła po prostu do takiego momentu, kiedy nie mogła ciągnąć tego dalej.

— To jest zbyt smutne. Po prostu zbyt smutne.

— Dlatego nie potrafiłem ci o tym opowiedzieć. Dlatego pragnąłem, żeby ten dzień nigdy nie nadszedł. Dlaczego nie porozmawiałaś ze mną, kiedy się o wszystkim dowiedziałaś?

— Wiedziałaś, że będziesz płakał, tato. Nie chciałam, żebyś był nieszczęśliwy.

— Bycie nieszczęśliwym to mój obowiązek - tłumaczyłem, gładząc ją po ciemnych włosach. - Nie musisz się o mnie martwić. Powiedz mi wszystko, co myślisz.

— Zawsze mówiłeś co innego. Mówiłeś, że naszym obowiązkiem jest wzajemnie się o siebie martwić.

Wziąłem moje drogocenne dziecko na ręce, uścisnąłem je mocno, a potem posadziłem na swoich szerokich ramionach.

— Teraz już wiesz, moja mała. Przez całe życie będziesz uczyła się, jak żyć ze świadomością śmierci swojej mamy. Ale ty i ja należymy do tej samej drużyny i czekają nas jeszcze wspaniałe czasy. Jasne?

— Jasne - odparła, wciąż płacząc, Leah.

— Powiedziałaś coś z tego ciotce?

— Nie. Wiedziałaś, że byłbyś na nią wściekły. Chcę ją odwiedzić. Chcę odwiedzić resztę mojej rodziny, tato - oznajmiła Leah z całym spokojem nad wiek rozwiniętego, upartego dziecka.

—

ROZDZIAŁ 6

Nazajutrz rano, jeszcze przed świtem, Leah wślizgnęła się do mnie do łóżka i przytuliła do moich pleców, zwinna i miękka jak kociak. Gładziła mnie po włosach, aż oboje z powrotem usnęliśmy. Niepotrzebne były żadne słowa; podziwiałem olbrzymią siłę tego dziecka.

Kiedy się w końcu obudziliśmy, uświadomiłem sobie, jak jest późno, i delikatnie nią potrząsnąłem.

— Musisz wstawać. Maria zabiera cię dzisiaj do swojej rodziny na wsi.

— Dlaczego nie jedziesz z nami? - zapytała, ściskając mnie mocno i wyskakując z łóżka.

— Przyjadę później - obiecałem. - Najpierw muszę załatwić pewną sprawę w Rzymie.

— Maria już przyszła - zauważyła Leah. - Czuję zapach kawy.

Odprowadziłem je do autobusu, który jechał do wioski Marii, a potem ruszyłem Via dei Giubbonari, wciąż obolały i wstrząśnięty po przeżyciach poprzedniego dnia.

Przeszedłem przez getto żydowskie, obok teatru Marcellusa, gdzie pod czarnymi arkadami mieszkał razem z hordą kotów bezdomny mężczyzna, nieszkodliwy schizofrenik, którego starsze kobiety z sąsiedztwa karmiły resztkami spaghetti z tych samych misek co koty. Następnie skręciłem w Via di San Teodoro i minąwszy Circus Maximus, wszedłem do ogrodu różanego u podnóża Awentynu, z którego roztaczał się panoramiczny widok na Circus Maximus oraz Palatyn z ruinami

92

pałaców, sterczącymi na wzgórzu niczym szarobure litery zapomnianego alfabetu.

Znalazłszy pośród róż odpowiednie miejsce, odwróciłem się i omiotłem wzrokiem dzielnicę, z której dopiero co przybyłem, sprawdzając, czy nikt mnie nie śledzi. Robiąc to, czułem się czasami

głupio, ale nagle pojawienie się Pericle'a Starraciego i filmowe plany Mike'a wydawały się potwierdzać słuszność moich obaw.

Po wyjściu z ogrodu różanego minąłem oranżerię, w której matki zabawiały swoje pociechy, a turyści robili sobie zdjęcia na tle stojącego daleko po drugiej stronie Tybru miniaturowego Watykanu. Za kościołem Santa Sabina skręciłem na dziedziniec i przez chwilę udawałem, że studiuję fragmenty mozaiki za główną nawą, wypatrując jednocześnie osobnika, który, gdybym nie zachował odpowiedniej ostrożności, mógł odkryć miejsce pobytu Jordana Elliotta.

To właśnie z powodu Jordana, nie Leah, zwróciłem uwagę na Pericle'a Starraciego, kiedy zaczął mnie śledzić na Campo dei Fiori. Paranoja ma ostrzejszy smak, gdy grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo, napisałem niegdyś Jordanowi, wysyłając mu pocztówkę z Bergen w Norwegii. Przeszedłem szybko przez Piazza dei Cavalieri di Malta, gdzie zapakowany Amerykanami turystyczny autokar pozbywał się powoli swego ładunku, po czym sprawdziwszy po raz ostatni, czy nikt mnie śledzi, wślizgnąłem się do benedyktyńskiego kościoła Sant' Anselmo. Trwała właśnie msza i podchodząc do trzeciego konfesjonału z lewej strony, słyszałem gregoriańskie chorały mnichów. Tabliczka informowała, że spowiednik mówi po niemiecku, włosku, francusku i angielsku. Kiedy od konfesjonału odeszły kolejno, żegnając się znakiem krzyża, dwie Włoszki, przykleknąłem przy kratce. Siedzący w środku ksiądz zgasił światło, dając znać, że tego dnia odpuścił już dość grzechów.

— Ojcie Jordanie - zacząłem.

— Czekałem na ciebie, Jack - odezwał się Jordan. - Dziś rano wypowiadałem już cztery osoby. To chyba rekord.

— Dobre wieści szybko się rozchodzą - szepnąłem. -

W kościele Sant' Anselmo pojawił się prawdziwy święty.

— Przesadzasz. Chciałbyś się może wypowiadać, Jack?

- Nie, nie sędzę. Nie jestem na to jeszcze gotów.

Czyste głosy mnichów unosiły się w jasnej pieśni do Pana.

93

— Bóg jest cierpliwy, Jack. Poczekaj.

— Nie, nie poczekaj. On nie istnieje. Przynajmniej dla mnie.

— To nieprawda. Istnieje dla każdego z nas w inny sposób.

— Udowodnij to.

— Udowodnij, że go nie ma - odparł cicho ksiądz.

— To nie jest odpowiedź.

— To nie było pytanie - stwierdził Jordan.

— Próbowałem przynajmniej je zadać - upierałem się. -

Opowiedz mi o pięknie zachodów słońca i o wspaniałych wozach płatków śniegu. Znajdź słowa, nieważne jak głupie lub śmieszne, aby wytłumaczyć mi, dlaczego wierzysz w Boga.

Jordan westchnął. Wiedziałem, że wiara prowadziła go przez długie dni i noce rozpaczy i kiedy w końcu zwyciężyła, był na to gotów i poddał się niczym składany w ofierze baranek. Bóg potrzebuje gotowości, pomyślałem, słuchając mego przyjaciela w mrocznym łacińskim wnętrzu.

— Dla mnie wystarczającym dowodem na istnienie Boga jest skrzydło muchy, Jack - powiedział.

— Straciłem dar wiary. Miałem go, ale potem straciłem i nie sędzę, bym zdołał go kiedyś odzyskać. Nie wiem nawet, czy tego chcę. Nie potrafię już się modlić.

— Modlisz się właśnie w tej chwili, Jack. Szukasz prawdy.

Każdy z nas czyni to na swój własny sposób. - Jordan na chwilę przerwał. - Jak się udała wycieczka do Wenecji? Co słyhać u Mike'a? Jak się miewa piękna Ledare?

— Oboje mają się świetnie, chociaż Mike przesiał na wskroś

obyczajami Hollywoodu. Jego garnitury wyglądają, jakby uszy to je z napletków lam.

— O czym ma być ten film, który zamierza zrobić? - zapytał Jordan, ignorując moje komentarze.

— O niejakim Jordanie Elliotcie, który zaginał w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym i o którym nikt od tej pory nie słyszał.

Chorał ucichł i poczułem silny zapach kadzidła i topiącego się łożu. W zapadłej ciszy kościół wydawał się zawieszony w powietrzu. Zdałem sobie sprawę, że Jordan dziwnie znieruchomiał.

— Co takiego Mikę chce opowiedzieć o Jordanie Elliotcie?

— Chce opisać całe nasze dzieje. Łącznie z latami sześćdziesiątymi. To niesamowita historia.

— Kończy się śmiercią Jordana.

94

- To stereotypowe zakończenie. Ale Mikę z całą pewnością w nie nie wierzy. Moim zdaniem zrobił się trochę powierchowny. Ale na pewno nie zgłupiał.

Próbowałem przyjrzeć się twarzy Jordana przez kratkę konfesjonału, ale on jak zwykle nasunął kaptur na głowę. Był dla mnie teraz tylko głosem - próbował nim być od owego zdumiewającego dnia, gdy jego matka przybyła do Rzymu, aby powiedzieć mi, że jej syn żyje tutaj w ukryciu. Ponieważ był poszukiwany, Jordan zgodził się ze mną spotkać tylko pod warunkiem, że nie odkryje swojej twarzy.

— Skąd Mikę dowiedział się, że żyję? - zapytał. W jego głosie zabrzmiało znużenie i zniecierpliwienie, których nie słyszałem nigdy dotąd.

— Z tego samego źródła. Zawsze z tego samego źródła.

Pamiętasz panią McEachern? Kilka lat temu w Watykanie poszła się wyspowiadać i natrafiła w konfesjonale na człowieka, którego uczyła w jedenastej klasie angielskiego.

— Wzięła mnie za kogoś innego. Tak jej wtedy powiedziałem.

— W Waterford High uczyła również dykcji. Szczyci się tym, że nigdy nie zapomniała brzmienia niczyjego głosu.

— Jakie są szanse na to, że przyjdzie do ciebie we Włoszech do spowiedzi nauczycielka z Karoliny Południowej, ta sama, z którą przerabiałeś kiedyś w szkole "Życie na Missisipi"? - zapytał kpiącym tonem Jordan, wiedziałem jednak, że to, co ode mnie usłyszał, najwyraźniej go poruszyło.

— Niezbyt duże - zgodziłem się. - Plotki nasiliły się, kiedy wróciła do Waterfordu. Tak naprawdę krążyły jednak od dnia twojej przedwczesnej śmierci.

— Byłem wtedy taki rozkojarzony. Nie miałem czasu lepiej tego obmyśleć.

— Spisałeś się całkiem nieźle. Sam uroniłem łezkę, czytając twój nekrolog, a potem dźwigając twoją trumnę na cmentarz.

— Podobnie jak Mikę.

— Rozmawiał z panią McEachern. Mnóstwo ludzi uważa, że jej opowieść trzyma się kupy. Facetka wydaje się całkiem rozsądna. Jak można się lepiej ukryć we współczesnym świecie niż przywdziewając habit?

— Nie masz racji, Jack - odparł ksiądz. - Ty też tego nigdy nie zrozumiałeś. Kapłaństwo jest najgorszym możliwym

schronieniem. Zostając księdzem, odrzucasz maskę, wychodzisz z za skały.

95

— Zostałeś księdzem dlatego, że umiesz się świetnie zaszyć, nie dlatego, że potrafisz stawić czoło rzeczywistości. Jeśli o to chodzi, łączy nas braterstwo krwi.

— Zostałem księdzem, aby lepiej czcić mojego Boga, ty przyziemny sukinsynu - stwierdził z gniewem Jordan.

— Przepraszam, Panie Boże. Mój spowiednik właśnie mi naubliżał - odparłem, stukając w cienką membranę, która oddzielała mnie od Jordana.

— Tylko dlatego, że zostałem podle sprowokowany.

— Przyniosłem ci pocztę od twojej matki.

— Chce przyjechać tutaj na wiosnę przyszłego roku.

— Nie powiedziałem ci jeszcze... Do Rzymu przyjechała siostra Shyli. Wyśledziła mnie za pośrednictwem prywatnego detektywa. Zdziwiła się, kiedy ją mile przyjąłem. Próbuje do wiedzieć się wszystkiego o swojej siostrze.

— W takim razie powinieneś jej pomóc.

— Mógłbym to zrobić.

— Powiedz jej, co sądzę o Shyli, Jack. Powiedz jej, że uważam ją za świętą, jedyną świętą kobietę, jaką w życiu spotkałem.

— Szkoda, że nie wyszła za świętego - odparłem, podnosząc się z klęczek.

— Ty nim rzeczywiście nie jesteś. Ale wyszła za człowieka, który był jej prawdziwym przyjacielem - stwierdził Jordan. Odmówił cicho modlitwę i uczynił znak krzyża. - Idź i nie grzesz więcej - powiedział. - Odpuszczam ci twoje grzechy.

— To nie był sakrament - zaprotestowałem. - Doręczyłem tylko pocztę.

— Więc nie traktuj tego jako konwencjonalnego rozgrzeszenia. Nie jesteś w końcu kimś konwencjonalnym.

— Przyczaj się na jakiś czas - poradziłem. - Mikę ma dosyć pieniędzy, aby odnaleźć Jimmy'ego Hoffę*.

Odchodząc od konfesjonau, minąłem stojących w ławkach mnichów i ruszyłem w stronę ołtarza, przy którym kończył właśnie odprawiać mszę ksiądz. Włoskie słowa przypomniały mi odpowiedzi, których udzielałem po łacinie, uczestnicząc jako młody chłopak w posłudze mszy świętej. Mój wzrok padł na obraz w bocznym ołtarzu, przedstawiający Zwiastowanie, i przez chwilę zastanawiałem się, czy wyszedł spod pędzla

* Amerykański gangster, który zginął bez śladu, najprawdopodobniej zamordowany podczas mafijnych porachunków.

96

Rafaela, czy też kogoś, kto bardzo dobrze opanował technikę mistrza. Rzym jest miastem arcydzieł i nigdy nie wiadomo, czy nie trafi się na jedno z nich podczas wędrówek po mieście. Znałem się w wystarczającym stopniu na historii sztuki, żeby wiedzieć, iż samemu nie uda mi się rozstrzygnąć kwestii autorstwa, i zakonotowałem sobie w pamięci, by przy następnej bytności w bibliotece watykańskiej przejrzeć dzieła mistrza.

Minąwszy środek nawy, wrzuciłem pięćset lirów do skarbonki, zapaliłem świeczkę za wieczny odpoczynek duszy Shyli i przyklęknałem obok starszej rzymianki. A potem, rozdrażniony własnym gestem i widokiem niespokojnego płomienia świecy, podniosłem się trochę zbyt szybko z klęczek i

ruszyłem w stronę wyjścia. Po drugiej stronie kościoła Jordan wyszedł z konfesjonału i skierował się ku bocznym drzwiom, prowadzącym na teren klasztoru.

Odkąd spotkaliśmy się po długiej przerwie w Rzymie, rzadko kiedy miałem okazję dobrze mu się przyjrzeć. Jordan uważał, że im mniej wiem o jego klasztornym życiu, tym mniej kłopotów będę miał, jeśli ktoś go zdemaskuje. Wiedziałem, że w zakonie przybrał inne imię, nigdy jednak nie wyjawiał go ani mnie, ani swojej matce. Patrząc, jak zmierza szybkim krokiem do świata modłów i umartwień, którego był teraz częścią, wciąż dostrzegałem pod habitem umięśnioną sylwetkę sportowca. Jordan zapuścił brodę i ogolił głowę, ale jego męska uroda nie powinna ujść oka żadnej spostrzegawczej kobiety. Ze wszystkich chłopców, z którymi grałem kiedyś w futbol, na boisku obawiałem się jedynie Jordana Elliotta. Klasztorny reżim sprawił, że jego silne ciało stało się jeszcze bardziej proporcjonalne. W odróżnieniu od nas wszystkich, nie miał chyba wewnętrznych regulatorów, które poskramiałyby jego odwagę. Ten łagodny ksiądz, który stapał delikatnie po posadzce, by schronić się w skromnej klasztornej celi, potrafił staranować na boisku w Waterfordzie każdego, kto stanął mu na drodze, i wszyscy o tym świetnie wiedzieliśmy. Podczas treningu, przed meczem ze szkołą Bishop England, Jordan o mało nie urwał mi głowy, gdy ruszyłem, aby odebrać podanie od Capersa Middletona. Tego dnia dowiedziałem się, co to są sole trzeźwiące.

Zbliżając się do wyjścia zauważyłem, że z jednego z konfesjonałów wystaje coś, co przypomina grubą lufę i wycelowane jest prosto w Jordana. Współpracowałem wystarczająco długo z licznymi fotografami, by wiedzieć, że wielu z nich sprzedałoby

* 97

za dobre ujęcie własną matkę, nie znałem jednak żadnego, który zaszyłby się w tym celu w konfesjonale podczas mszy, bez względu na to, jak dużą kwotę zaproponowano by mu za zdjęcie. Usłyszałem terkoczącą niczym pistolet maszynowy migawkę nikon, który rejestrował każdy krok oddalającego się Jordana. A potem mnisi podjęli przerwana pieśń i teleobiektyw zniknął we wnętrzu konfesjonału.

Schroniwszy się w bocznej kaplicy czekałem, aż niewidoczny fotograf opuści swoją kryjówkę. Przez pięć minut w konfesjonale nie zadrżała nawet zasłonka, potem jednak zobaczyłem eleganckiego mężczyznę ze skórzaną torbą, który wyszedł na zewnątrz, uczynił znak krzyża, przykleknął i ruszył w stronę wyjścia. Nie zobaczył mnie, ale wiedziałem, że moja obecność w kościele na pewno by go zdziwiła. Przebiegłem w myśli całą swoją drogę do Sant' Anselmo, zastanawiając się, w którym miejscu popełniłem błąd i dlaczego stało się to akurat tego dnia, kiedy traktowałem poważniej niż zwykle wymogi ostrożności i bezpieczeństwa.

Patrząc, jak prywatny detektyw Pericle Starraci przystaje obok misy ze święconą wodą i moczy w niej palce, ujrzałem malującą się na jego twarzy głęboką satysfakcję. Wiedziałem, że jest przekonany, iż raz na zawsze rozwiązał zagadkę zniknięcia Jordana Elliotta i ma zdjęcia, które pozwolą to potwierdzić.

ROZDZIAŁ 7

W połowie snu o Shyli, gdzieś o trzeciej nad ranem, obudziły mnie strzały na piazzy. Ryk pędzącego uliczką tuż pod moim oknem motorino przypominał brzęczenie przywiązanych do żyłki i kręcących się w kółko majowych chrabąszczy. Sen odleciał gdzieś. Zapaliłem nocną lampkę i ruszyłem ciemnym korytarzem do salonu. Usłyszałem kroki i wołanie ludzi, a potem rozbrzmiewającą echem syrenę karetki, która zjeżdżała krętą uliczką ze wzgórza nad Trastavere. Leah stała już przy jednym z okien, obserwując leżącego na ziemi policjanta, który wykrwawiał się na śmierć.

Trudno było uwierzyć, że ludzkie ciało może zawierać tyle krwi. Zamach, jak się później okazało, był jedną z ostatnich akcji tracących na znaczeniu Czerwonych Brygad, a ten biedny konający posterunkowy ostatnią ofiarą, jaką miał złożyć Rzym na ołtarzu ekstremalnych poglądów tej grupy. — Jest taki młody - szepnęła Leah.

— To jeszcze dzieciak - przytaknąłem, przyglądając się mężczyźnie, wokół którego zbierał się tłum gapiów miotających

przekleństwa i odmawiających modlitwy. Pilnujący ambasady francuskiej karabinierzy starali się zachować porządek, a lekarz z sąsiedniej kamienicy sprawdził puls rannego i pokiwał ze smutkiem głową.

— Dlaczego go zabili? - zapytała Leah.

— Z powodu munduru. Reprezentuje rząd. Władzę w Rzymie - odparłem.

— Musi być jakiś ważniejszy powód - dociekała. - Po myśl, jak się będą czuli jego rodzice.

99

— Taka jest właśnie polityka, kwiatuszku - powiedziała łem. - Wszyscy dostają od niej małego rozumu. Kiedy dorośniesz, zrozumiesz, co mam na myśli.

— Nie mów o tym Ledare, kiedy się z nią dzisiaj spotkasz - poprosiła Leah, kiedy niosłem ją z powrotem do sypialni. - Chcemy przecież, żeby polubiła Rzym, prawda?

— Tego właśnie chcemy.

— Czy zmyją ślady krwi przed jej przyjazdem?

— To jedna z rzeczy, które Europejczycy opanowali do perfekcji - stwierdziłem, kładąc ją do łóżka. - W tym stuleciu robili to prawie bez przerwy. Nikt nie jest w tym tak dobry jak oni.

— Gdyby była tu z nami Wielka Chippie - mamrotała, zasypiając powoli na moich oczach - ludzie, którzy to zrobili, znaleźliby się w wielkich opałach, prawda, tato?

— Leżeliby na placu ciężko pogryzieni - odparłem ci cho. - Chippie była zawsze tam, gdzie jej potrzebowano.

— Wspaniała suka - szepnęła Leah i zasnęła.

Kiedy Ledare Ansley rozpakowała się w gościnnym pokoju, wspomniałem o porannym zamachu i zaproponowałem, żeby spędziła ze mną typowy dzień Amerykanina mieszkającego w Rzymie. W ciągu dwóch ostatnich tygodni, w Paryżu i w Wenecji, Mikę opowiedział jej prawie wszystko, co pamiętał, o swojej rodzinie i o Waterfordzie, nie tracąc nadziei, że zdoła ją skaptować. Prowadząc ją przez kręte uliczki, wiedziałem, że wkrótce przestanie o tym myśleć. Wystarczy dziesięć minut przechadzki po Rzymie, by człowiek zapomniał, że przebywał w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi. Idąc z Ledare, obserwowałem z przyjemnością, jak poddaje się magii kamieni i potrzaskanych kolumn. W Rzymie prawie wszędzie stąpa się po śladach cesarzy, papieży i barbarzyńców. Czując, jak wszędzie wokół nas pulsuje historia Zachodu, słuchałem Ledare, która przekazywała mi najnowsze plotki z Waterfordu. Każdy krok przenosił nas ponad tuzinem cywilizacji, ułożonych warstwami niczym koszule w szufladzie.

Na szczycie wzgórza przystanęliśmy na chwilę, żeby przyjrzeć się eleganckiej parze młodożeńców, którzy wyszli z kaplicy Palazzo dei Conservatori, witani brawami krewnych, przyjaciół i podobnych do nas przechodniów.

100

Przecisnąwszy się razem z Ledare przez tłum, skręciłem na dziedziniec muzeum, gdzie stały deprymujące swymi rozmiarami fragmenty gigantycznego posągu Konstantyna. Minęliśmy wielką jak piec żylastą lewą dłoń i wyższy ode mnie palec wskazujący.

— Ponieważ jesteś pisarką, Ledare, i ponieważ piszesz po angielsku, muszę ci pokazać pewną świętą relikwię - powie działem wskazując wyryte na architrawie łacińskie słowa.

— Nie znam łaciny - odparła. - Co to znaczy?

— Pokazała mi tę tablicę pewna starsza Angielka, kiedy byłem tutaj razem z Leah. Opowiedziała nam, jak cesarz Klau diusz przeprowadził swoje legiony przez kanał La Manche i zapytała, czy potrafię wyobrazić sobie zdumienie naszych przodków, oglądających bojowe słonie stąpające po plaży Dover.

— My czuliśmy prawdopodobnie to samo, oglądając po raz pierwszy telewizję - stwierdziła z uśmiechem Ledare.

— Cicho - rozkazałem. - Nie strój sobie żartów. Po po wrocie ze zwycięskiej kampanii w Anglii Klaudiusz kazał wyryć ten napis na płycie czystego marmuru z Luny. Przyjrzyj się uważnie tym czterem popękanym literom, które tworzą słowo B-R-I-T.

— Dobrze, poddaję się - powiedziała.

— To pierwsza w historii wzmianka o Brytanii. W tym miejscu zaczyna się nasz ojczysty język, dziewczyno z Południa.

— Nie mogę tego wszystkiego ogarnąć. Zaczyna mnie boleć głowa - poskarżyła się.

— Powinnaś paść na kolana z wdzięczności - zasugerowałem.

— Najpierw ty, kochanie. Jestem w rajstopach.

— Widzę, że nie masz w sobie za grosz romantyzmu - oznajmiłem.

— Jestem romantyczna w stosunkach z ludźmi - zaprotestowała. - Kamienie niezbyt mnie podniecają.

Po wyjściu z muzeum ruszyliśmy na wschód, w stronę Forum, mijając Belvedere Tarpeo, gdzie grupka japońskich turystów tłoczyła się wokół przewodnika, który pokazywał im świątynię Saturna. Trzaskanie migawek ich minolt i nikonów przypominało debatę parlamentarną dawno wymarłych owadów. Jakaś przystojna, stojąca na uboczu para poprosiła, abym zrobił im zdjęcie, i z radością spełniłem tę prośbę. Wziąłem od nich aparat, przesunąłem film i nastawiłem ostrość,

101

a potem Ledare poprosiła, aby przesunęli się kilka kroków na prawo, dzięki czemu udało mi się ich sfotografować jednocześnie na tle świątyni Kastora i Polluksa oraz Colloseum. Kiedy oddaliśmy sobie wzajemnie ukłony, ruszyłem z Ledare dalej, dziwnie podniesiony na duchu przez to spotkanie.

Na Via di San Teodoro napiliśmy się z fontanny przed ambasadą belgijską. Spływająca z Apeninów woda była czysta i zimna i smakowała jak śnieg topniejący w dłoniach pięknej dziewczyny. Kilka przecznic dalej znajdował się antykwariat, do którego przychodziłem raz w miesiącu, aby zapłacić czynsz.

Kiedy weszliśmy do środka, Savo Raskovic podniósł wzrok znad wielkiej oprawnej w skórę księgi.

— Nareszcie poderwałeś jakąś dziewczynę - stwierdził. -

Niezdrowo jest tak długo żyć bez kobiety. Jestem Savo Raskovic.

— Miło cię poznać, Savo - powiedziała Ledare, kiedy wysoki elegancki antykwariusz pocałował ją w rękę. - Nazywam się Ledare Ansley.

— Ach, Jack, przyjacielu - ciągnął dalej Savo. - Mógłbym ci sprzedać tyle pięknych rzeczy. Masz wspaniały gust, ale nie śmierdzisz groszem.

Położyłem dłoń na ramieniu równego mi wzrostem, wyrzeźbionego w drzewie weneccjanina, który strzegł wejścia do antykwariatu.

— Sprzedaj mi weneccjanina. Wziąwszy pod uwagę wysokość czynszu, który ci zapłaciłem, cena powinna być symboliczna.

— Cena specjalnie dla ciebie - odparł Savo, mrugając okiem do Ledare. - Dwanaście tysięcy dolarów.

— Za mniejsze pieniądze mógłbym kupić prawdziwego we necjanina. To rozbój na prostej drodze.

— Tak, ale lepiej dać się obrabować przyjacielowi niż wrogowi.

Brat Sava, Spiro, wyszedł z kantorka na zapleczu, gdzie podliczał rachunki. O wiele bardziej wylewny od brata, objął mnie i ucałował w oba policzki.

— Nie całuj go, Spiro - zaprotestował Savo - dopóki nie zapłaci nam czynszu.

— Mój brat tylko żartuje. Proszę nie brać poważnie tego, co mówi - uspokoił nas Spiro. - Amerykanie to bardzo wrażliwa nacja, braciszku. Nie rozumieją bałkańskiego humoru.

— To miał być bałkański humor? - zdziwiłem się. - Nic dziwnego, że musieliście wyemigrować do Włoch.

102

— Jest pani prawdziwą piękną, beliamericana - przy-
miał się Spiro, całując dłoń Ledare. - I odpowiedzią na
nasze modlitwy. Zamierza pani wyjść za mąż za tego biedaka?

— Musicie nad nim popracować, chłopcy - stwierdziła
Ledare. - Nie zaprosił mnie jeszcze na randkę.

— Jesteśmy przyjaciółmi z dzieciństwa - wyjaśniłem. -
Bracia Raskovicowie to przystojni rabusie, którzy podają się
za kamieniczników - poinformowałem Ledare.

— Ach, Jack, spójrz tylko, jacy byliśmy piękni w młodo-
ści - rozmarzył się Spiro, pokazując zrobioną na początku
lat pięćdziesiątych fotografię, przedstawiającą grupę przystoj-
nych mężczyzn i kobiet, wśród których obok braci Raskoviców
widać było Glorię Swanson.

— Kiedyś stały przed nami otworem najlepsze salony, sig-
nore - dodał Savo. - Naszą jedyną przepustkę stanowiła
uroda.

— Lustro było niegdyś moim najlepszym przyjacielem -
kontynuował Spiro. - Teraz jest zabójcą.

— Oto mój czek za następne trzy miesiące - oświadczyłem.

— Skrzypienie wypisującego czek pióra to najpiękniejsza
muzyka dla moich uszu - zauważył Savo, uśmiechając się do
brata.

— Nie znam piękniejszej symfonii - zgodził się Spiro. -
Niechaj bella donna zajrzy jeszcze kiedyś do naszego sklepu.

— Ulice Rzymu są o wiele piękniejsze, gdy pani po nich
stąpa, signora - dodał Savo.

— Niech pani za niego wyjdzie - poradził Spiro. - Wyrwie
go z naszych macek.

— Panowie... - zaprotestowałem.

— Niedobrze mi się robi na twój widok - zawołał Savo,
kiedy ruszyłem wraz z Ledare ku drzwiom. - Amerykanie nie
wiedzą nic o miłości. Kobiety potrzebują komplementów,
poezji...

— Całkiem rozsądne podejście - powiedziała Ledare, kiedy
obaj mężczyźni pocałowali ją na pożegnanie w rękę. - Pracujcie

nad nim dalej, chłopcy.

Na Via dei Foraggi pokazałem Ledare apartament na pierwszym piętrze, który zajmowaliśmy w pierwszym roku pobytu w Rzymie, a także mały placzyk przy Via dei Fienili, gdzie przyjęli nas do swego grona sąsiedzi. Na tej piazzie po raz pierwszy poczułem, że zaopiekowano się nami w prawdziwie

103

rzymskim stylu. Kiedy wychodziłem z Leah na zakupy, piekarka Martina dawała jej świeżo ukrojony kawałek pizza bianca; Roberto, który prowadził alimentari, częstował ją parmezanem, a Adele, sprzedająca najświeższe, starannie przebrane warzywa, odcinała dla Leah plasterki śnieżnobiałej pietruszki, żeby mogła ją pożuć, kiedy skończy jeść ser. To właśnie ci ludzie nauczyli Leah mówić po włosku z najbardziej autentycznym rzymskim akcentem i zrobili to na mocy podjętej wspólnie decyzji. Kiedy razem z Leah przenieśliśmy się na Piazza Farnese, potraktowali to jak zdradę i przejaw snobizmu: Adele płakała, gdy przyszliśmy się pożegnać. Teraz jednak, widząc nas, zawołała mnie po imieniu. Kiedy pytała o zdrowie Leah, zobaczyłem, że dłonie ma w dalszym ciągu poplamione chlorofilem od obierania karczochów, a ona opowiedziała Ledare, jak łąpczywie moja córka objada się w sezonie poziomkami i malinami. Zakupiłem wiktuały na nasz wieczorny posiłek i już miałem zamiar ruszyć dalej, żeby zjeść gdzieś lunch z Ledare, kiedy zobaczyłem Natashę, dziewczynę z białym psem. Wydawała się wyższa i ładniejsza, niż kiedy ją ostatnio widziałem. Dziewczyna z białym psem, jak nazywała ją Leah, była pierwszą osobą, którą spotkałem, wybrawszy się na przechadzkę po wynajęciu mieszkania przy Via dei Foraggi. Szukałem właśnie jakiegoś sklepu, kiedy Nata-sha wyszła ze swego domu, prowadząc na smyczy psa, dobrze ułożonego teriera o manierach starego arystokraty i wyglądzie cierpiącego na paranoję małego zwierzęcia, które przez całe życie stara się unikać tłumu.

Próbowałem porozumieć się z nią moim koślawym włoskim, udużnionym dodatkowo przez południowokaroliński akcent. Przywitałem się, po czym oznajmiłem, że jestem mieszkającym w sąsiedztwie Amerykaninem, że moja córka ma trzy lata i nazywa się Leah i że chciałbym się dowiedzieć, gdzie tu można zrobić zakupy. Ten długi monolog wyczerpał mnie samego i moje zasoby elementarnej włoszczyzny. Dziewczyna z białym psem odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem.

— Mam to w dupie - zakląłem. - Sam znajdę te cholerne sklepy.

— Mówię po angielsku - poinformowała mnie dziewczyna. - Moja matka jest Włoszką, a ojciec pracuje w agencji UPI.

— Proszę mu nigdy nie powtarzać, jak się przed chwilą wyraziłem. Najmocniej przepraszam. Nazywam się Jack McCall.

— Natasha Jones - odparła. - Oprowadzę pana po wszys-

104

tkich sklepach i przedstawię właścicielom. Ludzie są tutaj bardzo życzliwi, kiedy się ich lepiej pozna.

Teraz, po latach, podszedłem z tyłu do Natashy.

- Przepraszam. Czy mam przyjemność z Sophią Loren? - zapytałem znięty.

Dziewczyna obróciła się na pięcie, zobaczyła mnie i głośno się roześmiała.

— Nigdy pan nas nie odwiedza, Signor McCall - poskarżyła się po chwili. - Leah będzie staruszką, kiedy ją znowu zobaczę.

— To Ledare Ansley, moja przyjaciółka ze Stanów - powiedziałem.

Natasha dygnęła grzecznie.

— Znała pani matkę Leah? - zagadnęła.

— Bardzo dobrze. Wszyscy razem dorastaliśmy.

— Czy Signor McCall już wtedy lubił opowiadać dowcipy? - kontynuowała Natasha, unikając mojego wzroku.
— Oczywiście - potwierdziła Ledare.
— I nigdy nie były śmieszne?
— Ani razu.
— W takim razie w ogóle się nie zmienił - oznajmiła Natasha, chytrze się do mnie uśmiechając.
— Natasha jest we mnie zakochana - wyjaśniłem Ledare. - Często przytrafia się to młodym dziewczętom, kiedy spotykają dorosłych przystojnych mężczyzn.
— Niech pani nie wierzy ani jednemu jego słowu, signora - zaprotestowała dziewczyna.
— Nigdy nie wierzyłam - odparła Ledare.
— Tęsknisz za mną, prawda, Natasho? - zapytałem.
— Wcale nie. Bianco tęskni za panem - odrzekła, wskazując ręką psa.
— Tylko Bianco?
— Tylko Bianco. Nikt więcej.
— Wpadnij do nas posłuchać nowych kaset Bruce'a Springsteena. Leah niedawno je dostała - zaproponowałem. - Na pewno się ucieszy.
— Może wpadnę - odpowiedziała Natasha, ruszając wraz z psem w stronę Via di San Teodoro.

Sąsiednią ulicą przejechał, strzelając z gaźnika, motocykl i jakiś przestraszony starszy mężczyzna rzucił się na ziemię, zakrywając głowę rękoma. Ze sklepów wyszli powoli sprzedawcy, żeby zobaczyć, co się stało. Motocykl wjechał hałasując na

105

plac i wszyscy zaczęli się śmiać ze staruszka, ja jednak, po porannym zabójstwie policjanta, dobrze rozumiałem jego strach.

Natasha odwróciła się w naszą stronę.

— Koło Salerno zamordowano dzisiaj amerykańskiego turystę - zakomunikowała nam. - Dowiedziałam się o tym od ojca.

— Terrorysty? - zainteresowałem się.

— Nie wiadomo - oświadczyła. - Ale Amerykanie powinni bardziej uważać. Niech pan to wyjaśni swojej przyjaciółce.

— Jak mam jej to wyjaśnić?

— Niech pan jej powie, że Włochy to skomplikowany kraj - zawołała Natasha i w tej samej chwili zobaczyłem obserwującego nas z bocznej alejki Jordana Elliotta.

Nigdy dotąd nie widziałem Jordana w Rzymie w miejscu publicznym i w pierwszej chwili odwróciłem się do niego tyłem. Schodząc wraz z Ledare schodami na mały plac z boku Kapitolu, obejrzałem się przez ramię, ale Jordan zniknął z pola widzenia. W Rzymie nikt bardziej nie zlewa się z otoczeniem aniżeli ksiądz lub zakonnica. Codziennie można tu spotkać całe tabuny duchownych, przybywających ze wszystkich zakątków świata.

Zastanawiałem się, czy do wyjścia w biały dzień z klasztoru nie skłonił go nagły przyptyw nostalgii. Kierując się w stronę teatru Marcellusa, przecięliśmy ulicę, przy której stały budynki z okresu faszystowskiego, i nagle znów go zobaczyłem, odwróconego do nas plecami, siedzącego na fragmencie marmurowej kolumny. Zdałem sobie sprawę, że tak znacznie nas wyprzedzając, mój przyjaciel musiał o wiele lepiej, niż sądziłem, znać zaułki Rzymu i wszystkie możliwe skróty. Może chciał po prostu zobaczyć, jak po wszystkich tych latach wygląda Ledare. Ograbiony ze swojej

młodości, nie potrafił być może opanować pragnienia, by spojrzeć na wszystkie te utracone lata z pewnego dystansu.

Jordan wstał z kolumny i szedł jakieś dwadzieścia pięć jardów przed nami, ani razu się nie oglądając, a ja odgrywałem dalej rolę przewodnika, pokazując Ledare historyczne zabytki. Minęliśmy główną ulicę żydowskiego getta i weszliśmy w labirynt wąskich, mrocznych zaułków. Co jakiś czas zerkałem ukradkiem na Jordana. Miejsce, w którym się znaleźliśmy, idealnie nadawało się do dokonania zamachu albo nawiązania romansu, trzeba było jednak znać na pamięć te uliczki.

106

Idąc za Jordanem, dotarliśmy do Fontana delie Tartaru-ghe, z czterema posągami nagich chłopców, którzy pomagają żółwiom wdrapać się do wyższej misy. Zobaczyłem, że Jordan przeszedł obok karty dań, wywieszonej przy restauracji Vecchia Roma, zamienił kilka słów z kelnerem i zniknął w środku.

— Zjedzmy lunch tu w ogródku - zaproponowałem. - Na słońcu.

— To ma być najpiękniejsza restauracja na świecie? - za pytała Ledare, siadając przy stoliku. Zauważyłem, że jest znu żona spacerem. Rzym męczy szybko ludzkie oko, a za duża dawka zbyt prędko podanego piękna po prostu się marnuje. Zamówiłem butelkę aqua minerale, po czym przeprosiłem Ledare i zajrzałem do środka, żeby odkryć, gdzie podział się Jordan. Czekał na mnie, zamknięty w kabinie w męskiej toa lecie.

— Znalazłem to w konfesjonale w Sant' Anselmo - po wiedział, kiedy tylko wszedłem, wysuwając na zewnątrz brą zową kopertę. Otworzyłem ją i wyjąłem plik powiększonych fotografii, przedstawiających mnie w chwili, gdy zbliżam się do konfesjonatu, a także wychodzącego zeń Jordana.

— Dobrze wyszedłeś - stwierdziłem.

— Bardzo się postarzałem - zaprotestował. - Trapiści nigdy się nie fotografują. Fakt, że tak marnie wyglądam, na prawdę mną wstrząsnął.

— Wychodząc z kościoła, zauważyłem prywatnego detek tywa - poinformowałem go. - To ten sam facet, którego Martha wynajęła, żeby śledził mnie i Leah w Rzymie.

— Z drugiej strony ucieszyłem się, widząc, że ty wyglądasz jeszcze starzej ode mnie - kontynuował swoją myśl Jordan.

— Jesteś mnichem - odparłem. - Nie musisz wstawać w środku nocy do płaczącego dziecka, nie musisz martwić się o rachunki ani o to, skąd wziąć następnego dolara. Wy, ko chani, odkryliście źródło młodości, prawdziwy sekret, który nie pozwala się wam zestarzeć.

— Co to takiego?

— Nie zadajecie się z kobietami.

— Więc to kobiety cię postarzają? - zapytał i domyśliłem się, że uśmiecha się za zamkniętymi drzwiami.

— Nie, kobiety zabijają nas od środka. Postarza nas alkohol, który pijemy, żeby móc z nimi wytrzymać.

107

— Mój przeor przeniósł mnie do innego klasztoru, Jack - poinformował mnie. - Nie pozwolił mi zdradzić, gdzie to jest. Nawet tobie.

— Ma rację - odparłem. - Zawiodłem cię. Ściągnąłem ci na głowę kłopoty.

— Mike Hess napisał do mnie list. Zaproponował mi spotkanie. Wspomniał coś o filmie. Zaraz po otrzymaniu listu zatelefonowałem do matki i uprzedziłem, żeby była wyjątkowo ostrożna.

— Czy twój ojciec wie, że żyjesz? Czy Celestine kiedykolwiek mu o tym powiedziała?

— Ona zdaje sobie sprawę, że ojciec oddałby mnie w ręce władz - stwierdził Jordan. - Całe jego życie było jednokierunkową ulicą. Nie potrafi się zmienić.

— Te fotografie - zastanawiałem się głośno, ponownie im się przyglądając. - Przedstawiają mnie oraz mojego spowiednika, któremu nigdy dobrze się nie przyjrzałem. Nie przypominasz zbytnio Jordana, z którym dorastaliśmy.

— Muszę się na jakiś czas przyczaić, Jack. Nawet przed tobą.

— Rozumiem - przyznałem mu rację. - Będzie mi ciebie brakować, Jordan. Postaraj się, żeby nie trwało to zbyt długo.

— Ledare wciąż wygląda bombowo, prawda? Oddałbym wszystko, żeby móc z nią przez kilka dni pogadać.

— Może okaże się to kiedyś możliwe.

— Nie, Jack - zaprzeczył Jordan Elliott. - Dla ludzi takich jak Ledare pozostaną na zawsze martwy.

— Musi być jakaś ustawa, która położy temu kres - powiedziałem.

— Być może - odparł, gdy zbierałem się do wyjścia. - Ale nie obejmuje kogoś, kto popełnił morderstwo.

ROZDZIAŁ 8

Obserwując własną córkę odkryłem, że tęsknota za matką jest jedną z najdotkliwszych udręk w życiu człowieka. Leah nie potrafiła spojrzeć na żadną kobietę, nie oceniając od razu, czy nie nadaje się czasami na żonę dla mnie i na matkę dla niej. Nigdy nie straciła nadziei, iż zaproszę któregoś dnia do domu tę wyjątkową osobę, która wprowadzi harmonię w nasze koczownicze życie.

Przedstawiając jej Ledare, dostrzegłem wyraźnie moment, gdy Leah dokonała cichego wyboru, uznając moją starą znajomą za czołową kandydatkę do zajęcia miejsca przy naszym domowym ognisku. Leah miała niedobry zwyczaj zachwycania się każdą kobietą, którą zapraszałem do domu na kolację, dodatkowy atut Ledare wynikał jednak z tego, iż należała do owych mitycznych istot, zaludniających bajki, które opowiadałem jej o swoim dzieciństwie.

— Nigdy nie sądziłam, że spotkam w życiu Ledare Ansley - oznajmiła. - W szkole w Waterfordzie była pani Miss Gracji, przewodniczącą Narodowego Towarzystwa Honoru i drużynową klakierek.

— Skąd, u licha, wiesz o tym wszystkim? - zdziwiła się Ledare.

— Szkolny album jest dla Leah świętą księgą - powiedziałem, kiedy przeszliśmy do kuchni i zacząłem przygotowywać wieczorny posiłek.

— Moja mama go redagowała-wyjaśniła Leah.-Napisała do pani, że nigdy nie zapomni miłych chwil, jakie spędziłyście na lekcjach ekonomii u pana Moseleya. To było na piątym semestrze. Opowiadałyście sobie miliony sekretów. Tak napisała.
109

— Ach, te cielejące lata... - westchnęła z uśmiechem Ledare. - Jak ja je uwielbiałam.

— Pojechała pani razem z moim ojcem do letniego domu na St. Michael's Island - poinformowała ją Leah. - Tej nocy zerwała pani z tatą i całowała się w jego samochodzie z Caperssem Middletonem.

— Nie był to najrozsądniejszy krok - przyznała Ledare.

— Zawsze wyobrażałam sobie, że Capers musiał być bardzo miły - kontynuowała Leah. - Moja mama była jego dziewczyną na studiach, a pani za niego wyszła. Jest bardzo przy stojny.

— Przypominało to dorastanie z gwiazdorem filmowym - stwierdziłem włączając piekarnik, po czym postawiłem wodę na makaron, osoliłem ją i zwiększyłem gaz pod garnkiem. Leah wybiegła z kuchni i po chwili wróciła ze sfatygowanym egzemplarzem szkolnego albumu matki. Przerzuciła szybko kartki i otworzyła go w miejscu, gdzie znajdowało się zdjęcie drużyny klakierów.

— Moja mama była bardzo ładna, prawda? - zapytała.

— Była po prostu cudowna, kochanie - odparła Ledare. - Masz jej oczy, jej śliczne włosy i uśmiech.

— Czy miałyście jakąś ulubioną piosenkę? - kontynuowała przepytanie Leah. - Tato twierdzi, że żadnej nie pamięta.

— Nigdy nie nauczył cię "Pieśni Bojowej Waterfordu"? - udała zdziwienie Ledare. - To poważne zaniedbanie.

— Nie wiedziałam nawet, że była jakaś pieśń bojowa - przyznała Leah.

— Spójrz na swoją mamę. Tu, na tym zdjęciu. Na górze. - Ledare pokazała złożoną z dziewięciu dziewcząt piramidę, która chwiała się niebezpiecznie w powietrzu. - Kiedy zeskakiwałyśmy z piramidy, ludzie wiedzieli, że zaraz zabrzmi pieśń bojowa.

— Cóż to był za kicz - wtrąciłem. - Nie wiem, czy można sobie wyobrazić bardziej prymitywną formę muzyczną od tych pieśni bojowych z amerykańskiego Południa.

— Cicho, Jack. Nie wtrącaj się - zaprotestowała Ledare. - Stań obok mnie, Leah. Teraz podnieś w górę ręce, o tak. Wszyscy uczniowie podrywają się na nasz widok z miejsc. A teraz obracamy się trzy razy na pięcie i stajemy twarzą do flagi Waterford High School.

Ledare okręciła się trzy razy, a Leah poszła za jej przykładem, niezbyt zgrabnie, ale obserwując bacznie każdy jej ruch.

110

- Teraz podniesiemy pompony i będziemy nimi rytmicznie potrząsać, a orkiestra zagra nasz hymn. Potrząśnij nimi, kochanie.

Obie stały pośrodku kuchni i zaczęły potrząsać wyimaginowanymi pomponami. Ja w tym czasie wałkowałem świeże ciasto, aż nabrało jasnego blasku, a potem, krojąc je na długie wstęgi, zaśpiewałem wraz z Ledare pieśń, którą po raz ostatni słyszałem przed wielu laty.

Walczcie, walczcie, dzielne Delfiny, Walczcie za nasze piękne miasto. Pokonamy każdego, kto stawi nam czoło, Nikt nie dorówna naszej drużynie.

Walczcie, walczcie, dzielne Delfiny, Okryjcie dziś chwałą naszą szkołę. Zwycięstwo uczcimy, waląc w bębny Na boisku, gdzie grają nasze drużyny.

— To naprawdę najgorsza piosenka, jaką kiedykolwiek na pisano - stwierdziłem.

— Twój ojciec nigdy nie miał w sobie ducha walki - wyjaśniła Ledare. - Ale matka nadrabiała to z nawiązką.

— Już wówczas wyróżniałem się nieposzlakowaną uczciwością na tle swych nieodpowiedzialnych kolegów - oznajmiłem, otwierając butelkę barolo i pozwalając winu odetchnąć.

— To prawda? - zacięła się Leah.

— Tylko tak mówi - uśmiechnęła się Ledare. - Był tak samo zabawny jak cała reszta.

— Brała pani udział w pogrzebie mojej mamy? - zapytała nagle Leah.

— Oczywiście. To była najsmutniejsza uroczystość, w jakiej kiedykolwiek brałam udział, kochanie.

— Wszyscy naprawdę kochali mamę, prawda?

— Ubóstwialiśmy ją - odparła Ledare.

— Wrzucam makaron - oznajmiłem. - Przygotujcie się do królewskiej uczty.

— Kiedy chce zmienić temat, zawsze wrzuca do wody makaron - wyjaśniła Leah.

Czułem, jak czerwone wino użycza trochę swego jedwabistego smaku unoszącym się z rondla zapachom, łącząc pogodne

111

usposobienie pomidorów i czosnku z wesołym zielonym uśmiechem bazylii.

Kiedy zjedliśmy spaghetti, uszykowałem wielką armię zielonych jarzyn i musztrowałem ją tak długo, aż ustawiła się w jakim takim ordynku. Olej z oliwek był dziewiczy, świeżo tłoczony w Luce, ocet zaś balsamiczny i czarny od długiego składowania w beczkach, i wkrótce zakręciło mi się w głowie od kuchennych zapachów. Ucałowałem obie kobiety mojego życia i nalałem sobie wina, aby wypić za zdrowie całej naszej trójki.

— Daj mi spróbować, tato - poprosiła Leah.

— Tylko mały łyżeczek. Włoskie władze nabierają podejrzeń, kiedy małe dziewczynki umierają na marskość wątroby.

— Za często próbowały wina - stwierdziła Leah, marszcząc swój śliczny nosek.

Noc była bezwietrzna i w powietrzu unosiła się woń rozmarynu. Ledare zapaliła na tarasie osiem świeczek i siadła razem z Leah pod pnącymi się po kratce żółtymi różami, a ja podałem deser i ściałem dla nich kilka kwiatów. Wąchając je, przypomniałem sobie Karolinę Południową i szybko odłożyłem róże na bok. Osy poszły już spać, z niewidocznych gniazd pod dachami dobiegało gruchanie gołębi, a ulicą wzdłuż Tybru pędziła z włączoną syreną karetka, powtarzając posępną, składającą się z dwóch nut melodię.

— Ach, tato - odezwała się nagle Leah, podnosząc do ust obie dłonie. - Zapomniałam. Dostałeś telegram. Antonio przyniósł go Marii, a ona oddała mi, zanim poszła do domu.

— Ciesz się, że zapomniałaś. Telegram nie oznacza nic

dobrego. Jego treść na pewno zepsuje nam deser i przyprawi o niestrawność. Nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy przerwać posiłek, aby czytać coś, co może nam sprawić wyłącznie przykrość.

- To może być coś pilnego, Jack - powiedziała Ledare.

Ale Leah zeskoczyła już z krzesła i popędziła na złamanie karku do pokoju. Zanim zdążyłem ją zawołać, była w połowie spiralnych schodów. Słyszeliśmy, jak biegnie długim korytarzem do swojej sypialni, a potem, kiedy skrzypek w Er Giggetto zagrał pierwsze takty Fur Elise, jej kroki rozległy się z powrotem.

- Masz - wysapała, kładąc telegram na stole. - Dostarczyć go specjalny posłaniec.

112

Przyglądając się żółtej kopercie z jej nieprzezroczystym matowym okienkiem, czułem, jak ogarniają mnie złe przeczucia. Ponownie doleciał mnie zapach żółtych róż.

— Otworzę go, kiedy skończymy.

— Jak możesz jeść, wiedząc, że zdarzyło się coś ważnego? - zdziwiła się Ledare.

— Ktoś mógł ci ofiarować milion dolarów - dodała Leah.

— Za dużo oglądasz telewizję, moja droga.

— To nie jest telewizja - stwierdziła Ledare. - To prawdziwe życie. To prawdziwy telegram. Otwórz go.

Ostrożnie otworzyłem kopertę. Wracaj do domu. Mama umiera na raka. Dupree, brzmiała wiadomość.

Wstałem, podszedłem do skraju tarasu i przyjrzałem się ciemnej wstędze rzeki i światłom nad Trastavere. Ledare przeczytała telegram i głośno westchnęła.

Nagle, ku własnemu zdumieniu, parsknąłem idiotycznym chichotem, którego nie potrafiłem opanować i który rozwiął wszelkie obawy, jakie mogło budzić we mnie tych osiem słów. Stojąc przy balustradzie, zaniosłem się jednocześnie bezradnym i bolesnym śmiechem.

— Proszę, powiedz mi, co cię tak śmieszy, Jack - powiedziała Ledare. - Potrafię wyobrazić sobie wiele reakcji na taką depezę, ale śmiech do nich nie należy.

— Moja matka nie jest nawet przeziębiona - oświadczyłem. - Po prostu czegoś ode mnie chce. Czegoś ważnego. Lucy jest wielkim strategiem.

— Skąd wiesz, tato? - zapytała Leah, biorąc telegram z rąk Ledare. Przeczytawszy go, wybuchnęła płaczem i przytuliła się do niej, szukając pociechy. Telegram otworzył starą rodzinną ranę, o której już dawno zdążyłem zapomnieć. Nie wiedziałem, jak mam opowiedzieć Ledare i mojej córce o urządzanych przez matkę scenach, w trakcie których wielokrotnie już groziła nam swoim rychłym zgonem.

— Matka robi to, żeby zwrócić na siebie uwagę - próbowałem wyjaśnić, zdając sobie sprawę, że nie uda mi się ich przekonać. - To jej stara sztuczka.

— Może powinieneś zatelefonować do brata i się upewnić - zasugerowała Ledare.

— Gdybyś wysłał mi telegram, że jesteś chory - pochlipowała Leah - na pewno bym do ciebie przyjechała.

— Żeby śmiać się z choroby własnej matki... tego się po

113

tobie nie spodziewałam - zganiła mnie Ledare. - Lucy nie jest może ideałem, ale z pewnością zasługuje na kilka łez.

— Mówię wam, ona nie umiera na raka. Być może wydają się wyrodnym synem, ale jeśli umieścicie ten telegram w odpowiednim kontekście, moja reakcja będzie całkowicie zrozumiała, łatwa do przewidzenia.

— Dlaczego się śmiejesz, kiedy umiera moja babcia? Co byś sobie pomyślał, gdybym śmiała się słysząc, że umierasz? - za wołała Leah.

Zaczęła znowu cicho płakać i Ledare wzięła ją w ramiona. Przez chwilę przyglądałem się im obu.

— Nie przygotowałem cię chyba zbyt dobrze na ten moment, Leah. Nie sądziłem, że kiedykolwiek nadejdzie - powiedziałem. - Myślałem, że moi rodzice umrą, zostaną pochowani i nikt nie zatroszczy się, żeby mnie o tym zawiadomić. Dałem jasno do zrozumienia, żeby żaden z braci i w ogóle nikt z rodziny nie zwracał mi już nigdy więcej głowy. Wydaje mi się jednak, że nie miałem racji.

— To również moja rodzina, tato.

— Tylko w teorii. Od wielu lat nikogo z nich nie oglądałaś i w ogóle ich nie pamiętasz. Moja matka nie umiera. Urządza przedstawienie. Chce nam wykrecić jakiś spektakularny numer.

— Rak nie jest dla ciebie dość spektakularny, Jack? - za pytała Ledare, wciąż gładząc długie ciemne włosy Leah.

— To ona twierdzi, że ma raka. Jeśli moja matka powie, że mamy pogodny dzień, nie uwierzę jej, dopóki nie zostanie podłączona do wykrywacza kłamstw i nie otrzymam notarialnie potwierdzonego komunikatu z instytutu meteorologii. Zrozum cie. Mama straszyla mnie już wcześniej, że ma raka. To stara historia. Ta kobieta uważa, że wiadomość o raku wzbudzi współczucie jej gruboskórnych niewdzięcznych synów.

— Żaden z was nie przejąłby się, gdyby ta biedna kobieta naprawdę umierała? - Ledare w dalszym ciągu mi nie dowierzała.

— Nie słuchasz tego, co mówię. Moja matka wycięła iden tyczny numer piętnaście lat temu. Oglądałem już to przedstawie nie i moi bracia też je widzieli. Dobrze, udowodnię wam. Zejdziemy do salonu, połączę się z moim wścibskim bratem Dupree i dam ci posłuchać rozmowy z drugiego aparatu, Leah. Ty, Ledare, będziesz się mogła domyślić, co jest grane, słuchając moich wesołych odzywek. McCallowie z Waterfordu znani są

114

z rubasznego humoru, jakim popisują się na swych rodzinnych spędach, ze swoich ostrych jak rapier grepsów...

— Co to znaczy "rubaszny", tato? - przerwała mi Leah.

— Co to znaczy "rubaszny"? - powtórzyłem. - Nie są dzisz, że zbyt długo już trzymam to dziecko we Włoszech? Biedaczka nie czuje już melodii swojego ojczystego języka.

Leah położyła się na moim łóżku przy telefonie, a ja usiadłem przy drugim aparacie i wybrałem numer mojego brata w Columbii, sześć stref czasowych od Rzymu.

— Jesteś tam, kochanie? - zapytałem Leah, kiedy odezwał się sygnał jego aparatu.

— Leżę na twoim łóżku, tato. Wysłucham całej rozmowy.

— Czy mówiłem ci już, że jesteś najmilszą małą dziewczynką, jaka kiedykolwiek żyła na tej planecie?

— Jakieś sto razy. Ale jako mój ojciec nie jesteś obiektywny - odparła, a potem słuchawkę podniósł Dupree McCall i powiedział "halo?" z akcentem i intonacją, które rozpoznałbym, gdyby nawet nie było mnie w Karolinie Południowej sto lat.

— Halo? - powtórzył Dupree.

- Dupree, to ja, Jack. Jack McCall. Twój brat.

Zapadło długie milczenie.

— Przykro mi, ale nie mam żadnego brata Jacka. Imię brzmi jakby znajomo, krążą nawet legendy na temat faceta, który się tak nazywał, ale przykro mi, chłopie, nie mogę ci pomóc. Z tego, co wiem, w mojej rodzinie nie ma żadnego Jacka.

— Bardzo śmieszne, Dupree. Rozumiem, że chcesz mi wsa dzić szpilę z powodu mojej przedłużającej się nieobecności, ale bez przesady.

— Wydaje ci się, że jestem w nastroju do żartów? Wybacz mi, ty głupi kutasie. Jestem wkurwiony jak wszyscy diabli i zamierzam sprawić ci manto, kiedy tylko zobaczę twoją żalona mordę...

— Powiedz "dzień dobry" wujkowi Dupree, Leah - powiedziałem.

— Dzień dobry, wujku Dupree. Tu twoja bratanica, Leah. Nie mogę się wprost doczekać, żeby się z tobą zobaczyć.

— Leah, kochanie - odezwał się lekko zażenowany Dupree. - Zapomnij o tym, co powiedziałem przed chwilą twojemu tacie. Przekomarzałem się tylko z tym podłym łajdakiem. Jak się masz, dziecinko?

115

— Doskonale, wujku Dupree. Niedługo będę obchodzić dziewiąte urodziny.

— Mam dziewięcioletniego syna, na imię ma Priolieu.

— Jakie ładne imię. Nigdy o nim nie słyszałam.

— Ożeniłem się z dziewczyną z Charlestonu. Na imię dają tu dzieciakom nazwiska. To stary zwyczaj, zapytaj swojego staruszka.

— Dostałem twój telegram, Dupree. Dlatego dzwonię.

— Czy mógłbym teraz porozmawiać tylko z twoim ojcem, kochanie? - zapytał Dupree. - Wiem, dlaczego chciał, żebyś słuchała naszej rozmowy, ale wyjaśni ci wszystko, kiedy skończymy. Chcę z nim porozmawiać jak brat z bratem. Nie gniewasz się, Leah?

— Oczywiście, że nie, wujku Dupree. Mam odłożyć słuchawkę, tato?

— Naturalnie, kochanie. Potem ci wszystko opowiem.

— Trzymaj się, Leah - powiedział Dupree. - Jest tutaj mnóstwo ludzi, którzy cię kochają. Nie znamy cię zbyt dobrze, ale czekamy na sposobność, żeby to naprawić.

Leah odłożyła słuchawkę.

— Telegram, Dupree.
— Dzwonisz, żeby dowiedzieć się, czy to nie blef, tak?
— Zgadłeś. Ryczałem ze śmiechu, kiedy go przeczytałem. Moja córka, a także Ledare Ansley, która jest tutaj w Rzymie, uważają, że może to źle świadczyć o moim charakterze.
— Wszyscy bracia zaśmiewali się, kiedy dostali wiadomość.
— Śmieli się wszyscy moi bracia - poinformowałem Ledare, która nie spuszczała mnie z oczu. Leah weszła do salonu i przy cupnęła obok niej na sofie. Patrzyły na mnie, jakbym siedział na ławie oskarżonych.
— Słuchaj, Jack. Wiem, że zastanawiasz się, czy nie nabieram cię mówiąc, w jakim stanie jest mama... Zadam ci tylko jedno pytanie. Czy sądzisz, że ściągałbym w jedno miejsce czterech największych dupków, jakich kiedykolwiek znałem, tylko po to, żeby udał mi się kawał?
— Nie, to wydaje się wykluczone - przyznałem. - Co to za nowotwór?
— Nie odpowiem na to pytanie - odrzekł Dupree. - Przy sługują mi jeszcze jakieś prawa.
— Nie chcesz chyba powiedzieć... - mruknąłem wiedząc, co za chwilę usłyszę.
116

- Zgadnij - odparł. - Jeśli się nad tym zastanowić, Bóg ma dość specyficzne poczucie humoru. Mama jest chora na białaczkę.
Krzyknąłem głośno i znowu wybuchnąłem śmiechem. Leah i Ledare spojrzały na siebie przerażone.
— To kolejne kłamstwo? - zapytałem, odzyskując nad sobą panowanie.
— To szczerza prawda - stwierdził Dupree. - Naszą matkę zabija białaczka. - Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale potem przerwał i usłyszałem, jak zmienił mu się głos. - Ona zapadła w śpiączkę, Jack. Może już się nigdy nie obudzić. Chcę, żebyś przyjechał. Prosiła mnie już wcześniej, żebyś do mnie zadzwonił. Odparłem, że mam dosyć własnych kłopotów, żeby się z tobą handryczyć.
— Co to za dźwięk?
— Jaki dźwięk?
— Ty płaczesz, Dupree?
— Tylko trochę. I co z tego, kurwa?
— Nigdy przedtem nie słyszałem, żebyś płakał.
— Jeszcze się do tego przyzwyczaisz, chłopie. Mama umiera. Możesz się śmiać, ile ci się podoba, ale ja byłem tam i ją widziałem. Jest źle, Jack, i nie jestem pewien, czy zostało jej dużo czasu.
Popatrzyłem na zegarek i zacząłem myśleć o rozkładach lotu, rezerwacjach i o tym, jak wcześniej otwierają jutro rano biura Alitalii.
— Będę w Savannah jutro wieczorem. Możesz odebrać mnie z lotniska?
— Chce cię odebrać Dallas. Zadzwoń już do rodziców Shyli i powiedz im, że przyjeżdżasz.
— Po co, do diabła, to zrobiłeś?

— Dokumenty, które podpisałeś, gwarantują im prawo od wiedzien.

— Nie we Włoszech.

— Dowiodłeś tego. Chcą zawrzeć z tobą układ pokojowy. Uważam, że to dobry pomysł.

— Powiedzieli ci, że była tu Martha?

— Zatelefonowała, by poinformować, że się do ciebie wybiera.

— Dziękuję za ostrzeżenie.

— Od lat ze mną nie rozmawiasz, Jack.

117

— Zadzwoń do ciebie jutro i powiem, kiedy dokładnie przylatuję.

— Przywozisz Leah?

— Nie tym razem. Do widzenia, Dupree.

Odłożyłem słuchawkę, podszedłem do okna i przyglądałem się przez chwilę przejeżdżającym przez plac samochodom.

— Muszę jechać do Karoliny Południowej, Leah - powie działem. - Zostanę tam przez parę dni. Jeśli moja mama umrze, przylecisz na pogrzeb. Jeśli przeżyje, pojedziemy tam razem latem przyszłego roku. Czas już, żebyś poznała rodzinę Frankensteina.

— Nie miałaś racji, śmiejąc się, prawda, tato? - zapytała Leah.

— Wygląda na to, że bardzo się myliłem.

— Martwisz się o swoją mamę?

Popatrzyłem na swoją córkę czując, jak po raz kolejny wypełnia mnie bezbrzeżna czułość do tego dziecka, które dało mi wszystko, co naprawdę liczy się w moim życiu.

— Zawsze martwiłem się o swoją matkę - odpowiedziałem. - Ale teraz muszę chyba zadzwonić do Marii i powiedzieć, żeby spakowała mi walizkę.

— Idź się pakować! - rozkazała Ledare. - Ja i Leah mamy ze sobą do pomówienia.

Łamałem uroczystą przysięgę, którą złożyłem, kiedy Shyla skoczyła z mostu w Charlestonie. Wracalem do domu.

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 9

Fakt, że nie miała córki, zawsze napelniał moją matkę wielkim smutkiem. Wydała na świat całą bandę chłopaków i w naszym domu stale panował wściekły rejwach, każdy pokój na-buzowany był testosteronem, a świat oglądało się z perspektywy męskich portek. Przez całe życie dokupywała kolejne lalki do swojej kolekcji w nadziei, że przekaze ją kiedyś córce, która nigdy się nie urodziła. Lucy McCall robiła wrażenie zbyt kruchej i porcelanowej, by wydać na świat tak drągalowate i niesforne plemię. Odkąd sięgam pamięcią, matkę zawsze dręczył wewnętrzny ból, i jestem przekonany, że narodziny córki w dużym stopniu pomogłyby go uśmierzyć. Ale my zmieniliśmy jej życie w zaludniony przez młokosów koszmar. Jeśli istnieje w ogóle coś takiego jak nadmiar męskości, my, bracia McCallowie, stanowiliśmy jego świetny przykład.

Dostrzegłem mego brata, Dallasa, zanim mnie zobaczył. Był trzecim synem, jedynym, który poszedł w ślady ojca i został prawnikiem. Dawno temu nauczył się skrywać głęboko swoje emocje i tkwiący w nim mrok.

Podaliśmy sobie ręce i wymieniliśmy zdawkowe uprzejmości.

— Nigdy nie powiedziałeś żadnemu z nas "do widzenia" - poskarżył się, kiedy ruszyliśmy po odbiór bagażu.

— Śpieszyłem się - wyjaśniłem. - Do widzenia.

— Głupie dowcipy pogarszają tylko sytuację - stwierdził. - Musisz odpowiedzieć na wiele pytań.

— Nie muszę odpowiadać na żadne pytania, Dallas.

— Nie możesz tak po prostu wrócić po pięciu latach na łono rodziny i udawać, że nic się nie stało...

121

II

— Owszem, mogę. Jestem Amerykaninem i wolnym czło-
wiekiem. Urodziłem się w demokratycznym społeczeństwie i nie
ma takiego prawa na świecie, które nakazywałoby mi utrzy-
mywać jakiegokolwiek stosunki z moją stukniętą rodziną.

— Wymaga tego wyłącznie prawo przyzwoitości - oświad-
czył Dallas, kiedy czekaliśmy na bagaż. - Powinieneś przywieźć
ze sobą Leah: musimy ją poznać, a ona również zasługuje na
to, żeby poznać swoją rodzinę.

— Leah nie wie, co oznacza słowo "rodzina" - odpar-
łem. - Przyznaję, że na dłuższą metę może jej to zaszkodzić.
Ale może również uczynić z niej najzdrowszą istotę na ziemi.

— Mówisz o niej tak, jakby była jakimś cholernym bachorem
z próbki - skwitował moje słowa Dallas.

— Czy mając do wyboru dzieciństwo, jakie zafundowali nam
mama i tato, nie wolałbyś być raczej bachorem z próbki?

— Mój szanowny kolega naprowadza pytaniem świadka -
powiedział Dallas, zwracając się do wymyślanego sędziego.

— Jak wychowujesz swoich synów, Dallas? - zapytałem.

— Powtarzam im, że jedyną rzeczą, na którą muszą uważać,
jest... wszystko. Uważajcie na wszystko, powtarzam. Chowajcie
głowę w piasek, zakrywajcie tyłek i pamiętajcie, żeby zawsze
mieć przy sobie latarkę i suche zapalki.

— McCallowie - roześmiałem się. - Wychowujesz ich na
typowych McCallów.

— Wprost przeciwnie, wychowuję ich tak, żeby nimi nie
zostali - odparł z naciskiem Dallas. - Nie zapytałeś, jak się
czuje mama.

— Jak się czuje mama?

— Dzisiaj o wiele gorzej.

— W jakim leży szpitalu?

— Upierała się, żeby zostać w Waterfordzie.

— Nie przenieśliście jej do Charlestonu albo Savannah?

Oddaliście ją do tej cholernej mordowni? Dlaczego nie przy-
stawiliście po prostu lufy do jej skroni i nie pociągnęliście za
cyngiel? Ona ma białaczkę, Dallas. Do szpitala w Waterfordzie
idzie się, żeby leczyć kaca, pęcherze na rękach albo opryszczkę,
ale nie z żadną poważną chorobą. Czy gdybyś ty miał białaczkę,
leczyłbyś się w tym cholernym prowincjonalnym lazarecie?

— Jasne, że nie - przyznał. - Ale mama upierała się. Do miasta przyjechało dużo nowych lekarzy. Mamy nawet własnego chirurga.

122

— Nasza matka ma nie po kolei w głowie - mruknąłem. - Zabije ją jej własna głupota. Poważne choroby wymagają poważnych lekarzy, a poważni lekarze idą do poważnych miast, żeby zarabiać poważne pieniądze. Marni lekarze idą do marnych miast, podobnie jak gówno spływa w dół rzeki. To mój bagaż.

— Dlaczego mam wysłuchiwać od ciebie pretensji na temat złej opieki, jaką zapewnił mi matce, którą olewasz równo od pięciu lat? - zapytał Dallas. - Pomysł Dupree, żeby do ciebie zadepeszować, nie spotkał się wcale z jednomyślnym poparciem.

— Żałuję, że to zrobił - warknąłem, biorąc swoją torbę z taśmociągami i ruszając razem z tłumem przyjezdnych w stronę parkingu.

— Możesz uznać, że jesteśmy staroświeccy - powiedział, biorąc ode mnie walizeczkę - ale pochodzimy ze szkoły, która każe zadepeszować do syna, skoro jego matka wyraziła takie życzenie.

— Powinniście to uczynić po jej śmierci.

— Mama bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich pięciu lat. Szkoda, że nie mogłeś tego zobaczyć. Jej nowy mąż jest dla niej bardzo dobry.

— Czy muszę się z nim spotykać? - zapytałem. Nie mogłem znieść myśli, że mojemu powrotowi do domu towarzyszyć będą dodatkowe emocje. Zupełnie zapomniałem, iż mogę po raz pierwszy spotkać się ze swoim ojczymem. - Nie udało mi się jeszcze rozgryźć własnego ojca - stwierdziłem. - Nie widzę najmniejszego powodu, aby nawiązywać znajomość z facetem, który popełnił tak poważną zbrodnię.

— Jaką zbrodnię popełnił biedny Jim Pitts?

— Ożenił się z kobietą, która zniszczyła mi życie i na zawsze zamknęła drogę do szczęścia.

Dallas roześmiał się.

— Kiedy dorastałeś, była nowicjuską. Nie miała wprawy. Dopiero twoi młodsi bracia mogli zapoznać się lepiej z jej pedagogicznymi talentami.

— To znaczy, że miałem szczęście - oświadczyłem. - Śmieszna rzecz. Przez całe życie byłem na nią chyba wściekły, lecz mimo to uwielbiam ją. Nie mogę znieść myśli, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo albo kłopoty.

— Jest chodzącym paradoksem - stwierdził Dallas. - To ostatnia rzecz, jakiej ktoś mógłby życzyć własnej matce.

123

IUL

— Jak rozwija się twoja kancelaria?

— Klientów jest tyle, że muszę wydawać numerki w po

czekalni. Zatrudniłem uzbrojonych strażników, żeby trzymali w ryzach tłum.

— Wejście w spółkę z ojcem nie okazało się zbyt fortunnym krokiem - roześmiałem się.

— Ludzie w małych miasteczkach lubią, żeby adwokat był trzeźwy, kiedy spisuje testament albo sprawdza tytuł własności - odparł Dallas. - W zeszłym tygodniu tato usnął przy stole konferencyjnym, kiedy odbieraliśmy zaprzysiężone ze znanie.

— Mówiłeś zdaje się, że zerwał z nałogiem? - zauważyłem.

— Jego wątroba musi przypominać gorzelnię - ciągnął Dallas. - Powiedzmy po prostu, że nie pomaga to w prowadzeniu kancelarii.

— Czy w dalszym ciągu mnie podziwiasz i uważasz za wcieleno boga? - zapytałem. - Jak wówczas, gdy byłeś dzieckiem?

— Brakowało mi ciebie, Jack - odparł cicho. - Niezbyt łatwo się zaprzyjaźniam. Jesteśmy braćmi i jeśli o to chodzi, nie mamy większego wyboru. Traktuję moją rodzinę poważnie. Jest wszystkim, co mam.

— Musiałem zaleczyć rany, Dallas. Moja ucieczka nie była może zbyt elegancka, ale działałem pod wpływem impulsu. Wyjazd do Rzymu wydawał mi się najlepszym wyjściem.

— Mogłeś wyjechać - zgodził się. - Nie widzę w tym żadnego problemu. Ale nikt nie zabronił ci odwiedzać rodziny. Ani pisać listów.

— Zaraz po wyjeździe chciałem po prostu amputować całą swoją przeszłość - przyznałem. - Czuleś kiedyś coś podobnego?

— Nie - odrzekł. - Nigdy w życiu.

— Różnimy się od siebie.

— O wiele bardziej lubię facetów podobnych do mnie niż podobnych do ciebie - stwierdził Dallas.

— Ja tak samo - odparłem i mój brat roześmiał się. Chciaż cała nasza rodzina była pokaleczona i doświadczona przez los, pociechę odnajdywaliśmy w uzdrawiającym działaniu śmiechu. Czarny humor chronił nas zarówno przed obłudą, jak i rozpaczą.

— Jak się miewa twoja urocza żoneczka i reszta rodziny? - zapytałem.

124

— Doskonale. Dziękuję, że zadałeś to pytanie.

— Nie obawiaj się. Nie powiem do niej Miss Scarlett, kiedy się zobaczymy.

— Nie będę ci za to dziękował.

— Poinformowałeś ją już, że Lincoln uwolnił niewolników?

— Nie obchodzi mnie to, że nienawidzisz mojej żony.

— Ja wcale nie nienawidzę twojej żony, Dallas - odpowiedziałem, rozbawiony jego czupurnym tonem. - Chodzi mi po prostu o to, że kiedy pojawia się w pokoju, przypomina unoszącą się na falach stulbię albo meduzę. A ja nie ufam kobietom, które się unoszą.

— Porusza się po prostu z gracją. Jesteśmy ze sobą bardzo szczęśliwi.

— Kiedy nie pytany o nic mąż oświadcza żalosnym tonem, że jest szczęśliwy ze swoją żoną, zawsze widzę przed oczyma sądowe korytarze, kochankę i nocny lot do Dominikany w celu uzyskania szybkiej separacji. Szczęśliwi małżonkowie nigdy nie chwala się swym szczęściem. Żyją po prostu samym powietrzem i bez przerwy się uśmiechają.

— Pozytywne nastawienie bardzo się przydaje - stwierdził. - Tobie brakowało go przez całe życie.

— Nie ma nic bardziej fałszywego niż pozytywne nastawienie. Jest takie amerykańskie.

— Jak to miło znowu z tobą pogawędzić - oświadczył, potrząsając głową, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał z parkingu. - Mam wrażenie, że nie dalej jak wczoraj uważałem cię za genialnego faceta.

— Czas biegnie do przodu.

— Cieszę się, że wróciłeś, Jack. Mama może umrzeć, zanim dojedziemy na miejsce.

— Nie ma jak pozytywne nastawienie - powiedziałem i przymknąłem się.

Kiedy Dallas nie odzywał się przez dłuższą chwilę, spróbowałem bezpieczniejszego tematu.

— Gdzie będę mieszkał?

— Jeśli chcesz, możesz zatrzymać się u nas, ale tata upierał się, żebyś zamieszkał u niego. Powiedział, że możesz zająć swój stary pokój.

— Wspaniale... o niczym innym nie marzyłem - mruknąłem z przekąsem.

— Dokuczają mi samotność, Jack. Sam zobaczysz. Trudno

125

jest nienawidzić kogoś, kto tak bardzo cię potrzebuje i stara ci się dogodzić.

— Mnie nie sprawia to większych trudności.

— Czy nie męczy cię to, że masz na wszystko odpowiedź?

— Nie - uciąłem. - A ciebie nigdy nie zmęczyło zadawanie wyłącznie niewłaściwych pytań?

— Czy wybaczysz kiedyś mamie i tacie, że byli dokładnie tacy, jacy się urodzili?

Oczy Dallasa utkwione były w ciemnym pasie drogi, która biegła z Garden City w stronę małego mostu przecinającego Savannah River na zachód od miasta.

— Nie, to jedyna rzecz, której nie potrafię im wybaczyć.

— Doskonale - odparł ponuro. - Wygląda na to, że wkrótce będziesz miał z głowy połowę swoich problemów, chojraku.

— Uważaj, jak jedziesz, mecenasie - mruknąłem. - Wjeżdżamy do naszego rodzinnego stanu.

Zadna rzeka nie ma dla mnie takiego znaczenia jak wyznaczająca granicę dwóch stanów Savannah River. Duży znak pożegnał nas z Georgią, a potem kolejny powitał ze stanem, w którym urodziły się, dorastały i poznały zwyczaje i dialekty naszej ojczyzny wszystkie dzieci McCallów.

Jakaś inna niewidzialna rzeka dzieli jednak członków mojej rodziny, znacząc zupełnie odmienne rejony ducha i sprawiając, iż nasze braterskie więzi są równocześnie nieodgadnione i warunkowe.

Ludzie zawsze mylili się sądząc, iż jesteśmy sobie bliżsi, niż naprawdę byliśmy. Jesteśmy do siebie podobni, ale tylko w jakiś niezgrabny, nie przemyślany sposób, niczym źle odbite kopie, w

większości wypadków bowiem każdy z nas komunikuje się ze światem w zupełnie innym stylu. Dallas dobrze się czuje w roli południowca i nigdy nie zamierzał być kim innym. Wszystko, co pozwala mu osiągnąć pełnię i daje poczucie zadomowienia, można znaleźć w promieniu stu mil od miejsca naszego urodzenia. Zachowuje się z powagą, której brakuje reszcie. Ze wszystkich moich braci to Dallas wybrał najbardziej konwencjonalną drogę, tę, która zapewnia największe bezpieczeństwo. Przez całe życie podziwiał tych, którzy weszli do rady parafialnej, rady miejskiej albo brali udział w zbieraniu funduszy na United Way*. Ludzie ufają mu, ponieważ stara się unikać skrajności. W naszej nie-

Organizacja charytatywna, opiekująca się dziećmi.
126

zrównoważonej rodzinie, w której głośne wrzaski uchodzą za wyższą formę dyskusji, a wściekła awantura stanowi ukoronowanie dialogu, odgrywa rolę autentycznego rzecznika rozsądku. Wyciągnąłem rękę i ścisnąłem za kark swojego brata. Miał napięte mięśnie i skrzywił się z bólu. Chociaż Dallas cieszył się reputacją utalentowanego mediatora, który potrafi negocjować zawieszenie broni i wyprawić się na terytorium wroga, wiedziałem, że to tylko prawniczy trik, którego nauczył się na studiach. Za pozory spokoju i zdrowego rozsądku zapłacił wysoką cenę, połykając tony środków uspokajających. Chłodny dystans uzyskiwał dzięki kredowym tabletkom maaloxu. Mimo że w życiu zawodowym udawał z powodzeniem opanowanego flegmatyka, wiedział, że w żadnym wypadku nie dam się nabrać na tę szaradę. Szukał swego miejsca pośród spokojnych obywateli miasta, ale każdy, kto chciał dotrzeć do jego serca, musiał znać fizykę wysokich temperatur.

Powoli zostawialiśmy za sobą gorące przemysłowe wyziewy Savannah i wdychałem coraz wyraźniejszy zapach nadmorskich nizin.

Z każdą pokonywaną przez nas milą napływało jaśniejsze, bardziej jedwabiste powietrze; czułem, jak ukradkiem, niczym we śnie, wracają do mnie moje chłopięce lata. Zamknąłem oczy i pozwoliłem, by chemia czasu oddała mi te odpędzane, upiorne zapachy młodości. Kiedy samochód minął sosnowe zagajniki Garbade Island i w oddali ukazał się długi elegancki most, spinający brzegi szerokiej na milę Broad Plum River, pochyliłem się do przodu w oczekiwaniu. Moja dusza rozprostowała się niczym pozostawiony przy basenie leżak. Wiedziałem, że na zawsze pozostanę więźniem tych wonnych i rozpustnych szerokości geograficznych, obramowanych palmami i zielonymi moczarami, które ciągną się czasem i trzydzieści mil wzdłuż ujścia rzek aż po strzegące dostępu do Atlantyku płaskie archipelagi. Ślad, jaki odcisnęły na mnie niziny, przypominał odbity na antycznej monecie królewski profil. Cała ziemia pachniała tak intensywnie, jakby gdzieś obok wracała po całodziennych połowach krewetkowa flota.

— Brakowało ci tego zapachu? - zapytał Dallas. - Możesz mieszkać w Rzymie przez tysiąc lat, ale założę się, że zawsze będzie ci brakowało zapachu naszych moczarów.

— Rzym ma swoje własne zapachy.

127

— Pozbyłeś się w końcu urazy? - dociekał. - Trudno jest żyć latami na walizkach.

— Moje życie toczy się w innej części świata - odparłem. - Nie ma w tym nic złego.

— Wychowujesz Leah na Włoszkę?

— Żebyś wiedział.

— Lepiej ją tutaj przywieź. Udzielimy jej kilkutygodniowego szkolenia. Zrobimy z niej prawdziwą prowincjuszkę.

— Odgrywając przede mną "chłopaka z Południa", zachowujesz się jak kompletny idiota - oznajmiłem.

Dallas szturchnął mnie wesoło w ramię.

— Dlatego to robię. Sprawdzam, czy wciąż się wściekasz, kiedy odstawiam swoje numery.

— To nie są wcale numery, Dallas. Podejrzewam, że to najszczęśliwsza prawda.

— Jestem południowcem do szpiku kości - stwierdził, ze rkając na mnie. - I w przeciwieństwie do ciebie, nie wstydę się mówić tego na głos.

— Sam wiesz najlepiej - mruknąłem, po czym zmieniłem temat. - Jak wygląda mama?

— Niczym ofiara wypadku drogowego.

— Jak wszyscy to przyjęli?

— Wspaniale - odparł z przekąsem. - Mama umiera na raka. Trudno nie wpaść w szampański humor.

Miejski szpital wzniesiono w malowniczym miejscu, przy brzegu Waterford River, wewnątrz unosiła się jednak taka sama jak w całej Ameryce woń antyseptyków. Na korytarzach wisiały obrazki dzieci, starców oraz wariatów, którzy wyróżnili się, rozmazując farbę palcami podczas terapii zajęciowej. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dokonałem wielkiego wysiłku, próbując myśleć o wszystkim oprócz stanu mojej matki. Przeszłość była jedynym rejonem, do którego starałem się ograniczyć do minimum liczbę darmowych wycieczek. Wchodząc do poczekalni, gdzie czuwała w ponurym milczeniu moja rodzina, poczułem, że stąkam po polu minowym.

— Witam wszystkich - powiedziałem, starając się nie pa trzeć na nikogo w szczególności. - Kopeć lat.

— Jestem Jim Pitts - odezwał się obcy głos. - Mąż pana matki. Nie mieliśmy dotąd przyjemności.

Uścisnąłem dłoń swemu ojczymowi, nie mogąc się oprzeć

128

wrażeniu, iż znalazłem się na innej planecie, w atmosferze tak gęstej, że nie mogą w niej latać ani śpiewać ptaki.

— Miło pana poznać, doktorze Pitts - oznajmiłem. - Ma pan dobry gust, jeśli chodzi o kobiety.

— Pańska matka bardzo się ucieszy, że pan przyjechał - stwierdził doktor.

— Jak ona się czuje?

Doktor Pitts zrobił najpierw zakłopotaną, później zaś wystraszoną minę i zobaczyłem, że ten wysoki, białowłosy, przemawiający głębokim barytonem mężczyzna jest bliski łez. Chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła nie wydobyło się ani jedno słowo i właściwie nie mógł w lepszy lub bardziej precyzyjny sposób zakomunikować mi, jak tragiczny jest stan mojej matki. Wydawał się bardziej miękka, stonowaną wersją ojca, kiedy jednak wspomniałem o tym później braciom, żaden z nich nie zauważył podobieństwa. Doktor i moja matka zadurzyli się jak dzieci przed dwoma laty, kiedy na dokumencie rozwodowym rodziców nie wysechł jeszcze atrament. Moi bracia traktowali doktora Pittsa z dystansem i w rodzinnym gronie ciągle uważali go za intruza. Wyglądał na człowieka ceniącego w życiu stałość i recytującego maksymy o wróblu, którego trzyma się w garści.

- Inne dzieci zwracają się do mnie "doktorze" - powie dział. - Proszę mów mi Jim.

Z wyjątkiem mego najmłodszego brata, Johna Hardina, "inne dzieci" przekroczyły już dawno trzydziestkę, nie chciałem się jednak czepiać.

— Z przyjemnością, Jim - odparłem.

— Twarz wydaje się znajoma - odezwał się mój brat Tee, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności. - Ale nie

mogę przypomnieć sobie nazwiska.

— Pochodzi pan z tych stron? - zapytał Dupree, mrugając do Dallasa.

Warknąłem im obu po włosku, żeby się odwalili, i Dallas wybuchnął śmiechem. Dupree wstał pierwszy z krzesła i objął mnie. Był jedyną znaną mi osobą, która potrafiła jednocześnie ścisnąć kogoś i trzymać go na dystans. Najniższy z nas i obdarzony wrodzonym talentem arbitrażowym, był specjalistą od delikatnych negocjacji, które mogły równie dobrze uratować rodzinę, jak rozbić ją na nie dające się połączyć fragmenty.

- Cieszę się, że cię widzę, Jack - powiedział. - Czy jest jakaś szansa zobaczenia znowu Leah?

129

— Wygląda na to, że wszystko jest możliwe - odparłem, wyzwalając się z jego uścisku, po czym wpadłem w niedźwiedzie objęcia następnego brata, Tee, przedostatniego z całej piątki. Tee nie potrafił nigdy zapanować nad emocjami, które wzbierały w nim i wylewały się jak z rozchybotanego naczynia. Matka uważała, że jest najsłabszym mężczyzną w rodzinie, i najchętniej wypłakiwała się na jego ramieniu, a jednak to właśnie Tee żywił do niej największe pretensje. On jeden miał odwagę powiedzieć na głos, że winna jest wobec nas zbrodni niekompetencji i zaniedbania. Dlatego szczególnie boleśnie przeżywał teraz jej śpiączkę.

— Zbierz siły, Jack - ostrzegał mnie. - Mama wygląda fatalnie. Nie wiem, co powiedział ci Dallas, ale jest gorzej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

— I tak wkrótce ją zobaczy - mruknął Dallas.

— Myślałem, że udaje - kontynuował Tee. - Wiesz, mama lubi się czasem powygłupiać, żeby postawić na swoim. Próbo wałem domyślić się, czego tym razem chce. Doktor Pitts kupił jej cadillaca, więc wiedziałem, że nie chodzi o gablotę. Dał jej tak wielką obrączkę, że goryłowi opadłaby z nią łapa. Wie działem więc, że nie chodzi o brylant. Ale matka potrafi wszystko po mistrzowsku zaplanować. Prawda? Wiedzieliśmy, że chowa coś w zanadrzu. Prawda?

— Nie podoba mi się sposób, w jaki mówisz o mojej żonie - zauważył doktor Pitts.

— Spokojnie, doktorze - usprawiedliwiał go Dupree. - Tee po prostu głośno myśli.

— Zaufaj mi, doktorku - mówił dalej Tee. - Nie znasz tej facetki. Jesteś całkiem nowy na boisku. Ja wcale nie krytykuję mamy. Ja ją podziwiam. Choćby dlatego, że zatrała mi życie. Ale nie myślcie, że mam do niej z tego powodu pretensje.

— Czy mógłby pan wypisać receptę na koński środek uspokajający, doktorze? - zapytał Dupree. - Muszę położyć dziś w nocy Tee do łóżka.

— Wasza matka jest najwspanialszą kobietą pod słońcem - oświadczył doktor Pitts, wstając i ruszając do drzwi. - Wielka szkoda, że nie widzą tego jej synowie.

— Wystarczy, że wypuszczę się gdzieś na dłużej, a schodzicie wszyscy na psy - stwierdziłem, kiedy wyszedł. - Wydawało mi się, że zrobiłem z was ludzi.

— Doktor Pitts ma pewne kłopoty adaptacyjne - powie-
130

dział, potrząsając głową, Dallas. - Brakuje mu dowcipu, ironii, sarkazmu i całego niezbędnego okrucieństwa, bez którego nie sposób przetrwać w tej rodzinie.

— Uważa mamę za idealną kobietę - dodał Dupree. - Nie ma w tym nic złego. Tak powinien myśleć każdy mąż.

— Dupree wcale się nie zmienił - oznajmił Tee. - Wciąż jest największym kabotynem pod słońcem.

— Chodźmy do mamy, Jack - poderwał się Dallas. - Przygotuj się na największy szok w swoim życiu.

Ruszyłem razem z nim korytarzem i wszedłem na oddział intensywnej opieki medycznej. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, zacisnąłem powieki, wziąłem głęboki oddech i oparłem się o ścianę, próbując odzyskać choć częściowo równowagę, zanim przyjrzą się matce.

- Dali ci trochę w kość, prawda? - zapytał Dallas. -

Powinienem cię uprzedzić, że zebrali się wszyscy bracia.

Pielegniarka w masce z gazy wskazała nam łóżko i pokazała lewą dłonią pięć minut, a ja podszedłem do chorej i kiedy na nią spojrzałem, nie potrafiłem rozpoznać własnej matki. Na tabliczce widniało nazwisko "Lucy Pitts" i przez krótką chwilę zabiło mi szybciej serce, pomyślałem bowiem, że popełniono straszną pomyłkę: że ta sterana życiem kobieta podszyła się pod naszą piękną matkę, która wydała na świat pięciu synów i na którą w dalszym ciągu pasowała jej ślubna suknia. Teraz patrzyłem na wycieńczone, pokryte sińcami ciało.

Dotknąłem jej policzka; miała rozpaloną skórę i spocone potargane włosy. Pochyliłem się, żeby ją pocałować, i zobaczyłem własne łzy, które kapały na jej twarz.

— Jezus, Dallas - wydusiłem z siebie. - Ona nie udaje.

Kto mógłby kiedykolwiek pomyśleć, że mama jest śmiertelna.

— Uważaj. Lekarze mówią, że może nas słyszeć, nawet w śpiączce.

— Naprawdę? - zapytałem, ocierając łzy. A potem pochyliłem się ponownie i powiedziałem: - Twój Jack kochał cię zawsze najbardziej. Inni synowie nie lubili cię i uważali za jędzę. To Jack był zawsze twoim największym fanem, twoim największym wielbicielem. Jack, Jack, Jack. To jedyne imię, które powinno budzić twoją miłość i oddanie, kiedy się obu dzisz.

Wziąłem rękę mojej matki i przycisnąłem ją delikatnie do policzka.

131

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zaraz otworzy oczy i zawoła: "niespodzianka!" - szepnąłem.

— Nie tym razem - odparł Dallas.

— Ten facet, za którego wyszła, wydaje się w porządku - powiedziałem.

— Miły gość. Poglądy ma bardziej prawicowe od Attyli, ale poza tym jest całkiem przyzwoity.

— Mama zasługuje na kogoś przyzwoitego. Zawsze zasługowała.

— Uważa, że jej nienawidzisz.

— Były takie chwile.

— Tato też uważa, że go nienawidzisz.

— Jest na właściwym tropie. Dużo pije?

— Ostatnio jakby mniej - odparł. - Kiedy mama poślubiła

doktora Pittsa, chlał przez cały miesiąc, ale potem wytrzeźwiał i zaczął podrywać nastolatki.

— Odwiedził od tego czasu mamę?

— Wypadłeś trochę z obiegu, Jack. Mama spędziła miodowy miesiąc z doktorem Pittsem i kiedy wrócili do swojego domu na Isle of Orion, w salonie siedział ojciec. Zdażył opróżnić cały barek doktora i celował do niego z dubeltówki. Wymyślił sobie, że zabije najpierw doktora Pittsa, potem mamę, a na samym końcu siebie.

— Czy powinieneś o tym przy niej mówić? - zapytałem, wskazując głową łóżko.

— Ona o wszystkim wie - odparł. - Po jakimś czasie mogła się już z tego śmiać, ale trochę to trwało. Tato pił przez cały miesiąc, a potem jeszcze przez tydzień, kiedy mama i doktor Pitts byli na Jamajce. Jego plan był niezawodny, nie przewidział tylko, że będzie w sztok pijany, kiedy para młodożenców po wróci z podróży. I tego, że doktor Pitts ma tak świetnie zaopatrzone barek. Wypił co do kropli alkohol doktora, ale zajęło mu to bity tydzień. Był zbyt pijany, żeby nacisnąć cyngiel. Zanim się zorientował, mama i doktor Pitts wybiegli z krzykiem w ciemną noc.

— Czy wnieśli oskarżenie?

— Tak. Oczywiście.

— Namówiłeś ich, żeby je wycofali...

— Zgadza się. Ale wymagało to z mojej strony trochę per swazji. Doktor Pitts panicznie boi się człowieka, który ofiarował wielkodusznie swoją spermę, abyśmy mogli przyjść na świat.

132

Musiałem posłużyć się całym swoim darem przekonywania. To była prawdziwa męka.

— Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

— Ten kij ma dwa końce, chłopie. Skoro wypinasz się na rodzinę, nie możesz wymagać, żebyśmy opowiadali ci o wszystkim, co się akurat wydarzy.

— Dopiero co przyznałeś, że mój stary groził, iż zamorduje moją matkę i jej nowego męża. Ktoś powinien mi o tym powiedzieć - upierałem się.

— Bynajmniej. Jeśli się nie mylę, wielki człowiek napisał kiedyś list do wszystkich swoich krewnych... - zaczął z gorzką ironią Dallas.

— Ten list był pomyłką.

— Całkiem możliwe, ale mimo to znalazł się we wszystkich skrzynkach pocztowych rodziny McCallów. Wielki człowiek stwierdził tam całkiem jednoznacznie, że nie życzy sobie, aby truł mu odtąd dupę jakikolwiek członek najbliższej rodziny. I nie życzy sobie, aby próbował się z nim skontaktować ktokolwiek, kto znał go w dzieciństwie albo młodości. Nie chciał oglądać na oczy nikogo ze swego rodzinnego miasta i ze stąd. Wielki człowiek zaczynał nowe życie i tym razem chciał je urządzić we właściwy sposób.

— Kiedy pisałem ten list, wydawało mi się, że wiem, co robię.

— My też - odparł Dallas. - Zastosowaliśmy się do twoich

życzeń i większość z nas nie próbowała się z tobą kontaktować przez wszystkie te lata.

— Shyla - wyjąkałem. - Nie wiedziałem, co robić.

— Podobnie jak my - mówił Dallas. - My też ją ko-

chaliśmy.
Uklękłem przy łóżku mojej matki i próbowałem się modlić, lecz żadne ze starych słów nie wydawało mi się odpowiednie. Słuchałem przez chwilę jej chrapliwego urwanego oddechu, a potem przyłożyłem głowę do piersi. Dzielne serce biło mocno i pewnie i to jedno dawało powód do nadziei.

Jej oddech nagle stał się trochę inny i coś musiały zarejestrować monitory w pokoju pielęgniarek, ponieważ na salę weszła czarna siostra i zmierzwszy puls matce, zmieniła tempo, w jakim skapywał roztwór w kroplówce.

A potem pojawiła się kolejna siostra i dotknęła gniewnym gestem zegarka - zupełnie jak nauczycielka, która zakreśla czerwonym tuszem napisane błędnie słowo.

133

— Ona nie umrze - szepnąłem do Dallasa.

— Uważają, że jeśli przeżyje kilka następnych dni, ma duże szanse na to, żeby się z tego wykaraskać.

Pochyliłem się i pocałowałem matkę w policzek, a potem wziąłem jej rękę i przycisnąłem do własnego policzka.

— Powiedz jej "do widzenia", Jack - poradził Dallas. -

Na wszelki wypadek, jeśli cię rzeczywiście słyszy.

— Posłuchaj mnie, mamó. To ja, twój syn Jack, który zawsze kochał cię najbardziej. Inne dzieci nie znosiły cię i wygadywały na ciebie za plecami straszne rzeczy. Ale Jack był zawsze twoim największym fanem, największym wielbicielem. Pamiętasz tego drania Dallasa? To on był zawsze złośliwy i wrogo się do ciebie odnosił.

Dallas roześmiał się i siostra wygoniła nas z oddziału intensywnej opieki.

Na korytarzu poczułem, jak bardzo jestem zdruzgotany i wy-pruty z sił.

— Przyszykowaliśmy dla ciebie twój stary pokój - tłuma-
czył mi Dallas. - Tato naprawdę bardzo się cieszył na twój przyjazd.

— Będzie tam?

— Dziś w nocy nie. Musieliśmy go zamknąć w izbie wy-
trzeźwień. Po prostu, żeby doszedł do siebie. Bardzo źle przyjął wiadomość o mamie. To dziwne, Jack, ale on wciąż ją kocha.

Wydaje się bez niej kompletnie zagubiony.

— Zabierz mnie do domu - zdecydowałem. - Na miejsce zbrodni.

—

ROZDZIAŁ 10

Żadna historia nie biegnie wzdłuż linii prostej. Geometria ludzkiego życia jest zbyt niedoskonała i złożona, zbyt często deformuje ją ironia czasu i dezorientujące zawilości przeznaczenia, by mogła przyjąć linię prostą do zbioru swych praw.

Nazajutrz rano rodzina zebrała się ponownie, by śledzić nierówną bezgłośną walkę, jaką okaleczone komórki Lucy prowadziły w arteriach jej krwiobiegu. Stanowiliśmy chimeryczną, pozbawioną środka ciężkości grupę - każdy z nas wolałby znajdować się gdzie indziej. Pograżona w śpiączce, podłączona do urządzeń kontrolnych, Lucy i tak nie mogła wiedzieć, że ród McCallów czuwa przy jej boku. Nikt bardziej od mojej matki nie kochał teatru i spektaklu, nasze zgromadzenie nie dawało jednak okazji do popisów, nie było w nim nic zabawnego. Lucy nauczyła swych synów śmiać się,

nie płakać. Nie mając nic do roboty, siedzieliśmy i czekaliśmy, ucząc się *savoir-vivre'u* śmierci i w warunkach olbrzymiej presji coraz lepiej poznając się wzajemnie. Moment, w którym się znaleźliśmy, skłaniał do podsumowań i kazał zarazem mrugać porozumiewawczo do bogów ciemności. W poczekalni pojawiły się dziwne szczeliny, prześwity i pochyłe okna, z których rozciągał się widok na naszą przeszłość. Wszystkie drzwi były jednak zabite na głucho i szukając po omacku wspólnego gruntu, szukając łączącej nas prostej linii, nie potrafiliśmy odnaleźć wyjścia na zewnątrz.

Tego ranka przyjechałem do szpitala o siódmej rano i odwiedziłem matkę pośród szumiących maszyn, kontrolujących oznaki jej życia. Pielęgniarki powiedziały mi, że nie nastąpiła

135

żadna zmiana i wkrótce wygoniły do poczekalni, gdzie czekając na jakąś wiadomość, uczyłem się sztuki wegetacji i bezruchu. Przerzucając machinalnie stertę nędznych czasopism i przyglądając się meblom i dekoracji wnętrza, doszedłem do wniosku, iż tylko prawdziwy geniusz mógł zaprojektować tak paskudny wystrój. Kupiłem sobie w automacie filiżankę kawy, okazała się jednak tak nędzna, że miałem ochotę napisać artykuł błagający państwa produkujące kawę, aby wstrzymały jej eksport do Stanów Zjednoczonych do chwili, kiedy Amerykanie nauczą się ją porządnie parzyć.

Następny pojawił się mój brat Tee, nie ogolony i ubrany tak, jakby całą garderobę wyjął z kosza z brudną bielizną. Tee uczył autystyczne dzieci w hrabstwie Georgetown i kiedy pytano go, dlaczego wybrał akurat taką profesję, odpowiadał: "Po tym, co przeszedłem w mojej rodzinie, wydaje mi się to czymś odświeżającym". Zawsze lądował w samym środku rodzinnych utarczek i choć nikt nigdy nie wątpił w jego dobrą wolę, stale przyłapywa-no go na próbach niejasnej i dwuznacznej dyplomacji.

— Nie jestem pewien, czy się cieszę, że cię widzę - oznajmił.

— Masz mniej więcej tydzień, żeby się zdecydować - odparłem. - Potem wracam do Rzymu.

— Co będzie, jak mama umrze? - zapytał i szybko do

dał: - Nie odpowiadaj na to pytanie. Zapomnij, że je zadałem.

I bez tego czuję się wystarczająco winien. Przeczytałem, że białaczka jest jedyną formą raka, do której powstania przy czynią się emocje. Pamiętasz ten dzień, kiedy dostałem pałę z biologii? Albo kiedy mając pięć lat ukradłem w sklepie paczkę M i M? To ją zdenerwowało. Komórka rakowa mogła powstać, kiedy trzepała mi skórę.

— Ciekawe rozumowanie - stwierdziłem.

— Masz mnie już dosyć, prawda?

— Nie, Tee. Martwię się o mamę - odparłem. - Bałbym

się przyjść do tego szpitala z nieświeżym oddechem. W tym miejscu uważają wynalezienie łopatkę do przyciskania języka za najważniejszy przełom w medycynie.

— Opieka bardzo się tu poprawiła - oświadczył Tee. -

Swoją drogą przygotuj się na coś ekstra. John Hardin wybiera się do miasta.

— Co u niego słyhać? - zainteresowałem się.

— Od jakiegoś czasu nie mieszka w domu wariatów. Dupree ma na niego oko i trzyma rękę na pulsie. Mama wciąż nie chce

136

słyszeć, że coś jest z nim nie w porządku. Ale to w końcu jej ukochany synek. Zawsze najbardziej o niego dbała.

— Czy on wie, że mama jest chora?

— Powiedziałem mu wczoraj. Też się roześmiał, kiedy usłyszał, że to białaczka. Myślał, że go podpuszczam. Bądź z nim ostrożny. Może wydawać się uroczy, ale byle co wyprowadza go z równowagi. Łatwo się obraża.

— Dzięki za ostrzeżenie - odrzekłem widząc, jak długim szpitalnym korytarzem idą ku nam Dupree i Dallas.

— Bez zmian! - powiedział Dallas, siadając ciężko na sofie. - Byłeś u niej, Tee?

Tee potrząsnął głową.

— Moją zaletą jest umiejętność czekania - stwierdził. -

Kiedy wy już się kompletnie załamiecie, Tee niczym Gibraltarska Skała skieruje wasz statek z powrotem na właściwy kurs. Nie byłem jeszcze ani razu u mamy. Wystarczająco potworna jest sama myśl, że umiera. Staram się trzymać z daleka od rzeczywistości.

— Brzmi to całkiem sensownie - przyznał Dupree, ruszając w stronę oddziału intensywnej opieki. - Aha, Jack, pomyślałem, że przyda ci się wczesne ostrzeżenie. John Hardin opuścił swój dom na wyspie i zmierza do tutejszego szpitala. Tę wypuszczają właśnie z izby wytrzeźwień.

— Zapowiada się scena jak z obrazu Normana Rockwella * - skomentowałem.

— Zapomniałem ci powiedzieć, Jack - odezwał się Dallas. - Życie w Waterfordzie jest wciąż interesujące. Przesrane, ale interesujące.

— Kiepski film - dodał Tee. - Fatalny scenariusz. Nędzne plenery. Egzaltowani aktorzy. Trzeciorzędny reżyser. Lecz mimo to mamy melodramat jak się patrzy.

Korytarzem zbliżał się nasz ojczym, Jim Pitts. Maszerował nawet dość żwawo, chociaż wyraźnie powłóczył prawą nogą. Widząc, że Dupree wybiera się do mamy, podniósł w górę rękę, dając do zrozumienia, że chce z nami wszystkimi pomówić. Nie potrafiłem powściągnąć do niego urazy za to, iż poślubił moją matkę, pamiętałem jednak, że cieszyłem się w Rzymie, gdy napisała, że odchodzi od ojca. Otoczyliśmy doktora, który czuł się zdecydowanie nieswojo w naszym

* Norman Rockwell - (1894-1978), amerykański karykaturzysta i malarz.

137

towarzystwie. Choroba Lucy zmusiła nas do zawarcia aliansu, którego nie chciała żadna ze stron. Doktor Pitts był układnym cichym mężczyzną, powoli formułującym zdania. Podenerwowany, zaczynał się jąkać, co czyniło go jeszcze bardziej oszczędnym w słowach.

— Spotkałem się z waszym ojcem - oświadczył - i poinformowałem go dokładnie, w jakim stanie znajduje się Lucy.

Wasza matka nie chciała go co prawda widzieć, ale fakt, że jest w śpiączce, zmienia sytuację. Zrobiłem to, co uważałem za stosowne. Poprosiłem, aby odwiedził ją dziś rano.

— To miły gest, doktorze - powiedziałem.

— Zbyt miły - stwierdził Tee. - Nieuzasadniona życzliwość sprawia, że mam się na baczności. Nabieram podejrzeń.

— Nigdy nie miałem własnych dzieci... - zaczął doktor Pitts.

— Nic pan nie stracił - przerwał mu Dallas.

— Chciałem po prostu powiedzieć, że jeśli tylko mogę coś dla was zrobić... zawsze będę starał się uwzględnić wasze życzenia. Jeśli moja obecność wam przeszkadza albo jeśli chcecie ze sobą porozmawiać, mogę zawsze wyjść na papierosa. Ro

zumiem, jak bardzo ktoś obcy może krępować was w takim momencie.

— Jest pan naszym ojczymem, doktorze - odrzekł Dupree. - I mężem mamy. Nikt bardziej od pana nie ma prawa tu przebywać.

— To bardzo uprzejmie z waszej strony - stwierdził doktor. - Zdaję sobie jednak sprawę, że możecie czuć się nieswojo w mojej obecności.

— Nieswojo w pana obecności? - zdziwił się Tee. - Zobaczy pan, jak będziemy się zachowywać, kiedy pojawi się tu nasz prawdziwy ojciec.

— Działamy panu na nerwy, doktorze - dodał Dallas. - Ale nie powinien pan traktować tego osobiście. Bracia McCallowie działają na nerwy wszystkim.

— Mów za siebie, brachu - zaprotestował Tee.

— Był pan miły dla naszej matki. Doceniamy to, doktorze - oznajmił Dupree.

— Pozwolicie, że zajrzę teraz do mojej ukochanej - powiedział doktor Pitts, ruszając w stronę oddziału intensywnej opieki.

— Miły facet - przyznał Dupree.

— Jeśli komuś odpowiada ten typ osobowości - odrzekł
138

Dallas. - Dla mnie jest zbyt bezbarwny. Bez jaj. Bez bigla. Bez wigoru.

— Facet, który poślubił mamę, nie musi mieć wcale jaj - stwierdził Tee.

— Po tacie nie tęsknię specjalnie za większym wigorem - dodałem.

— Ani za biglem - dorzucił Dupree. - Dla mnie idealny dzień jest wtedy, kiedy nie dzieje się nic nadzwyczajnego, kiedy ani razu nie tracę nad sobą panowania, nie wściekam się na swojego szefa. Chciałbym, aby temperatura wynosiła zawsze dwadzieścia stopni, niebo było czyste, a samochód zapalał za pierwszym razem. Chciałbym mieć zawsze trzydzieści parę lat, nigdy nie chorować i grać przez okrągły rok w baseball. Nie lubię niespodzianek. Lubię rutynę. Utarte wzory.

— Pleciesz głupoty - stwierdził Dallas.

— Mówi to samo, co ty myślisz w głębi duszy - skomentował Tee. - Jesteś adwokatem, mierzwą tej planety. We własnym życiu pragniesz ciszy i spokoju, ale reszta świata może walić się w gruzy. Jeśli trzystu pasażerów zginie w płonącym samolocie nad Atlantą, trzystu adwokatów zaciera z radością ręce. Wiedzą, że kroi się grubsza forsa.

— Muszę nakarmić rodzinę - odparł Dallas, szczerząc zęby.

— Twoja rodzina karmi się ludzkim cierpieniem - poprawił go Tee.

— Skończ z tą grą słów - znecierpliwiał się Dallas. - Cóż to za uroczy dźwięk?

— Syrena karetki - poinformował go Dupree. - Dla ciebie to muzyka Mozarta.

— Szykują się pieniądze - stwierdził Dallas i żaden z nas

nie zwrócił uwagi na ojca, który zataczając się lekko, zbliżał się korytarzem. Kiedy wszedł do poczekalni, wszyscy zorientowali się, że coś wypił.

— Lekarstwo na wszystkie smutki - szepnął Tee, przerywając milczenie.

— Skąd wytrzasnął wóde o tak wczesnej porze? - zdziwił się Dupree. - Musi zakopywać butelki po całym mieście, a potem odkopywać je jak pies, kiedy go przyciśnie.

— Tak się składa, że jestem jego współnikiem - powiedział Dallas. - Znalazłem raz flaszkę w książce prawniczej, którą specjalnie w tym celu wydrążył. Kolejne schowane były za rezerwuarem w damskiej toalecie na parterze i w rynnie za

oknem jego gabinetu. Gdyby na grze w chowanego można było zarobić większy szmal, już dawno zostałby milionerem.

Kiedy mój ojciec, sędzia Johnson Hagood McCall, wszedł do poczekalni, starałem się popatrzeć na niego świeżym okiem - zapomnieć, co czułem jako młody chłopak, który wstydził się, iż jego tato jest miejscowym pijakiem. Wciąż zachowywał się z godnością i wciąż miał ten dziwny urok, który ułatwia pewnym mężczyznom wejście w trzeci wiek. Jego gęste siwe włosy przypominały kolorem poszarzały serwis do herbaty; ciało straciło dawną sprężystość, nietrudno było jednak zgadnąć, że był z niego kiedyś postawny mężczyzna. Czekałem, aż usłyszę jego głos, ów precyzyjnie ustawiony baryton, który dodawał znaczenia każdemu wypowiedzianemu słowu, on jednak utkwiał w nas podbiegłe krwią oczy i milczał, tak jakby oczekiwał, że ktoś przedstawi go nieznanemu. Nabrał wyjątkowej wprawy w utrudnianiu każdej chwili spędzonej w jego obecności.

— Myślisz pewnie, że powinienem wynająć orkiestrę dętą, aby uczcić twój powrót - przemówił w końcu.

— Cieszę się, że cię widzę, tato - powiedziałem.

— Nie patrz na mnie w ten sposób - rozkazał. - Nie przyjmuję do wiadomości twoich przeprosin.

— Jezu Chryste - szepnął Tee.

— Może przywitasz się z Jackiem, tato - zasugerował Dupree. - To kwestia dobrych manier.

— Witaj, Jack - rzekł, krzywiąc się. Kiedy mówił, poszczególne sylaby zlewały się ze sobą. - Cieszę się, że wróciłeś. Dziękuję za to, że ani razu nie zadzwoniłeś. Że nie starałeś się ze mną skontaktować.

— Próbowałem się do ciebie kilka razy dodzwonić, tato - odparłem. - Ale trudno jest uciąć pogawędkę z człowiekiem, któremu urwał się film.

— Chcesz powiedzieć, że mam problemy z alkoholem? - zagrzmiął sędzia, prostując się i unosząc podbródek.

— Oburzające - stwierdził wesołym tonem Tee.

— To tak jakby dowodzić, że Noe miał problemy z pogodą - dodał Dallas.

— Napij się kawy - zaproponował Dupree. - Wyrzeźwiej trochę, zanim zajrzysz do mamy.

Ojciec spiorunował mnie wzrokiem, po czym usiadł w fotelu, pokonując kilka ostatnich cali nieco szybciej, niż zamierzał.

- Słyszałeś pewnie, że twoja matka opuściła mnie dla jakiegoś młokosa - oświadczył.

— Doktor jest o cały rok młodszy od ojca - poinformował mnie Dallas.

— Nie prosiłem, żebyś wygłaszał swoje komentarze - zganiał go ojciec. - Stwierdzam po prostu fakty. Zaślepiły ją jego pieniądze. Wasza matka zawsze była materialistką. Zawsze miała słabość do nieuczciwie zdobytej mamony.

— Do mamony? - zdziwił się Tee. - Mama lubiła mamonę? Ja nie wiem nawet, co znaczy to słowo.

— Dlatego właśnie jesteś nauczycielem w szkole publicznej w stanie, który pod względem poziomu edukacji sytuuje się na ostatnim miejscu w naszym wielkim kraju - zgromił go sędzia. - Podobno pozwolili ci nauczać innych idiotów.

— To są dzieci cierpiące na autyzm - wyjaśnił Tee.

— Czy to nie wspaniałe, że tato znowu zagląda do butelki? - zapytał Dupree, próbując odwrócić uwagę ojca od Tee. - Nigdy nie wydawał mi się bardziej bliski niż podczas delirium tremens.

— Nie jestem pijany - oświadczył sędzia. - Zażywam leki.

— Przepisane przez doktora Jima Beama - oznajmił Dallas. - Wciąż praktykuje po wszystkich tych latach.

— Mam zapalenie ucha środkowego - upierał się sędzia. - Lekarstwo powoduje problemy z błędnikiem.

— To musi być cholernie złośliwe zapalenie - zauważył Tee. - Trwa od jakichś trzydziestu lat.

— Wszyscy sprzymierzyliście się z matką przeciwko mnie - powiedział sędzia, zamykając oczy.

— Trafiłeś w dziesiątkę - odparł Tee.

— Boże, nie każ mi słuchać skowytu tych podłych psów - mruknął sędzia.

Tee zaczął szczeakać.

— Weź się w garść, tato - upomniał go Dallas. - Nie rób nam wstydu przed doktorem Pittsem. To miło z jego strony, że cię zaprosił.

— Mówisz o tym lowelasio? - zagrzmiął sędzia. - Nikt na świecie nie zabroni mi czuć przy wezglowiu żony w momencie, gdy staje przed obliczem swego Stwórcy. Obawiam się, że Pan Bóg nie potraktuje zbyt dobrze biednej Lucy. Jest bardzo surowy dla niewiast, które porzucają mężów w godzinie największej potrzeby. Zapamiętajcie moje słowa.

— W godzinie największej potrzeby? - zdziwił się Tee.

— Zapalenie ucha - przyszedł mu z pomocą Dupree.

— Mam dla ciebie wiadomość - powiedział Dallas, pod-

141

chodząc do ojca, żeby strzepnąć pyłek z jego pogniecionej marynarki. - Ona nie jest już twoją żoną. Staraj się o tym nie zapominać, kiedy do niej zajrzysz.

— Rozwiodła się ze mną wyłącznie z powodu kryzysu wieku średniego - stwierdził sędzia, mówiąc bardziej do siebie niż do nas. - Ta przypadłość dotyka więcej osób, niż myślicie. Pojawia się, kiedy kobieta nie może już nosić owocu w swoim łonie.

— Owoc to my - wyjaśnił Tee, wskazując na siebie.

— Ogarnij się trochę, tato - mruknął Dupree, podając ojcu gorącą kawę w papierowej filiżance. - Będziemy cię jeszcze potrzebować, zanim to się skończy.

— Gdzie jest John Hardin? - zapytał sędzia. - To jedyna osoba w całej naszej rodzinie, która nie wypięła się na swego ojca. Po wszystkich tych przejściach on jeden i tylko on wciąż mnie kocha, wciąż szanuje instytucję ojcostwa. Potraficie w to uwierzyć?

— Z trudem - odparł Dupree.

— Niewiarygodne - dodał Tee.

— W moim domu jest dużo miejsca, Jack - oświadczył ojciec po chwili ciszy. - Chcę, żebyś wiedział, że możesz się u mnie zatrzymać.

— Już się zatrzymałem, tato. Spałem tam dzisiaj w nocy.

— A gdzie ja wtedy byłem? - zapytał ojciec i zobaczyłem strach w jego oczach, gdy zmagał się z własną pamięcią.

— Trzeźwiałeś - przypomniał mu Dallas. - W swojej tymczasowej kwaterze w areszcie hrabstwa.

— W takim razie dziś w nocy pogadamy - poinformował mnie sędzia. - Jak dawniej. Zapraszam was wszystkich, chłopcy. Upiekę steki w ogrodzie, tak jak to robiłem, kiedy byliście dziećmi.

— To bardzo miło z twojej strony, tato - powiedział Dupree. - Dzięki.

— Brzmi wspaniale - zgodził się Tee.

— Opowiedz im, Jack - kontynuował ojciec i coś załśniło w jego oczach. - Opowiedz im, jakim kiedyś byłem człowiekiem. Gdy szedłem ulicą, wszyscy ustępowali mi z drogi. Byłem zamożnym obywatelem, kimś, z kim należało się liczyć, prawda, Jack? Powiedz im, co mówili o mnie ludzie. Chłopcy byli wtedy jeszcze mali, mogą nie pamiętać.

— Mówili, że jesteś najlepszym prawnikiem w całym sta-
142

nie - odparłem. - Najlepszym adwokatem przed ławą przysięgłych. Najsprawiedliwszym sędzią.

— Wszystko to straciłem, chłopcy. Na dobrej reputacji da leko się nie zajedzie. Moją diabli wzięli, zanim się obejrzałem. To nie była uczciwa walka... zostałem zaskoczony od tyłu. Złapany w pułapkę. Powiedz im, Jack. Byłeś kiedyś dumny, że jesteś moim synem.

— Nie było rzeczy, która napawałaby mnie większą dumą - przyznałem zgodnie z prawdą.

— W tym roku trzy razy przestawałem pić, Jack - ciągnął sędzia. - Ale życie rani mnie i nie pozostawia żadnej nadziei. Weźcie choćby tę historię z Lucy. Z Lucy. Z moją Lucy.

— Nie jest już twoja - przerwał mu Dallas. - Wbij to sobie do głowy, zanim doktor Pitts zabierze cię do mamy.

Stojący przy oknie Tee wyjrzał na zewnątrz i zaczął się czemuś pilnie przyglądać. Kiedy chwilę później z oddziału intensywnej opieki wyszedł Jim Pitts, od rzeki dobiegło nas zawrozczenie silnika motorówki, pracującego na wysokich obrotach.

— Bez zmian - poinformował wszystkich doktor Pitts. -

Dziękuję, że pan przyszedł, sędzio. Lekarz powiedział, że następne dwa dni będą kluczowe. Uważa, że jeśli je przeżyje, to może wyjść z tego cało.

— Nie daj się, mamó! - wrzasnął nagle Tee. - Daj im popalić.

— Jesteś w szpitalu, Tee - zwrócił mu uwagę Dallas - a nie w barze ze swoimi koleżkami.

— Dziękuję za informację, brachu. I przygotuj się na czołowe starcie. Przy nabrzeżu cumuje właśnie łódź John Hardin.

— Jezu, miej nas w swojej opiece - jęknął Dallas.

— Jest gorzej niż dawniej? - zapytał Dupree.

— Wciąż odbija mu palma - odparł. - Ale ostatnio zrobił się niebezpieczny. Łatwiej go wystraszyć.

— A teraz, panie i panowie, kolejna atrakcja naszego na dawanego na żywo programu. Przedstawiamy czysty obłęd - oznajmił Dallas.

— Najpierw śmierć - powiedział Tee - potem delirka, teraz to.

— Uspokój się, Tee - poradził mu Dupree. - Nie daj mu odczuć, że jesteś zdenerwowany.

— Nie jestem wcale zdenerwowany. Sram po prostu ze strachu.

143

- Nie dali mu w tym miesiącu zastrzyku - ciągnął Dupree. - Po zastrzyku jest spokojniejszy.

Rozległo się stukanie w szybę i John Hardin dał znak Tee, żeby otworzył mu okno. Ten pokazał mu, żeby okrążył szpital i wszedł głównym wejściem, w odpowiedzi na co John Hardin podniósł jedną z cegieł, które okalały rabatkę z kwiatami obok fontanny. Kiedy wydawało się, że zaraz ciśnie nią w okno, Tee otworzył je szybko i John Hardin wskoczył z kocią zręcznością do środka.

— Słyszałeś kiedyś o drzwiach, John Hardin? - zapytał Dallas.

— Tak, słyszałem o nich - odparł mój najmłodszy brat. - Słyszałem, ale ich nie lubię.

Jego oczy obiewały poczekalnię i zatrzymały się na mnie.

— Pan Pizza - powiedział.

— Sie masz, John Hardin - przywitałem go. - Tak, zgadza się, wciąż mieszkam we Włoszech.

— Szukałem ostatnio Włoch w atlasie - oświadczył. - Nie leżą blisko Ameryki. Jaki sens mieszkać w kraju, który nie leży nawet blisko Ameryki?

— Ludzie są różni - odrzekłem. - Dlatego lody Baskin-Robbins mają trzydzieści jeden smaków do wyboru.

— Smak Karoliny Południowej jest jedynym, którego potrzebuję.

— Miło jest znowu zobaczyć Jacka, prawda, John Hardin? - zapytał Dupree.

— Mów za siebie - odburknął John Hardin. - Jak się czuje mama?

— Źle - powiedział Dallas. - Naprawdę źle.

— Co to ma znaczyć, Dallas? - zagrzmiął John Hardin.

— Ma się świetnie - poprawił się Dallas. - Wróci do nas,

jak tylko skończy bieg na dziesięć tysięcy jardów.

— Spokojnie, brachu - wtrącił Tee. - Przyniosę ci fi
liżankę kawy.

— Kofeina doprowadza mnie do szału - stwierdził John
Hardin.

— Nie dawaj mu kawy - mruknął Dupree.

— Domyślam się, że powinniśmy oddać hołd bohaterskiemu
podróżnikowi - John Hardin zwracał się do mnie.

— Odłóż to na jutro albo pojutrze - odparłem. - Nie
musisz się śpieszyć.

144

— Właściwie nie zauważyłem nawet, że wyjechałeś - oznaj
mił, po czym siadł maksymalnie daleko od nas, zapalił pierw
szego papierosa i zaczął się intensywnie zaciągać.

— Słyszałeś kiedyś o raku płuc? - zapytał Dupree.

— Słyszałeś kiedyś o ustnej sraczce? - odciął się John Har
din i daliśmy mu spokój.

W dalszym ciągu jednak dyskretnie go obserwowaliśmy. John Hardin był wysoki, chudy i w
niezdrowy sposób opalony. Coś w jego oczach przywodziło na myśl strach świeżo wypuszczonych
na wolność ptaków. Zdawaliśmy sobie sprawę, że dzieciństwo zasiało w nas wszystkich ziarna
słabości i zwątpienia, żaden z braci nie odniósł jednak tak głębokich obrażeń jak John Hardin
McCall. Już jako małe dziecko odznaczał się wyjątkową wrażliwością, dzięki której reagował na
najmniejsze zakłócenia. Zawsze wydawał się zbyt prostoduszny i niewinny, by móc przetrwać
wieczną wojnę, którą była nieszczęsna miłość naszych rodziców.

Był rodzinnym beniaminkiem, najbardziej ukochanym dzieckiem, lecz nie okazał się dość odporny,
by przetrwać wszystkie te lata, patrząc, jak nasz świat zżera gangrena, ojciec wypija wystarczającą
ilość alkoholu, by wypełnić nim średniej wielkości kempingową przyczepę, a matka przestaje nawet
udawać, że spełnia macierzyńskie obowiązki.

Najbliższy mu wiekiem Tee obserwował go z przerażeniem.

— Opowiedz Jackowi o swoim domku na drzewie, John
Hardin - powiedział nagle.

— O domku na drzewie? - zdziwiłem się.

— Dziadek podarował mu akr ziemi nad wodą - szepnął
Dupree. - Nasz brat stał się kimś w rodzaju pustelnika. Przez cały
ostatni rok budował dom w gałęziach dębu nad Yemassee Creek.

— Jest całkiem ładny, ale z pewnością nie zaliczą go do
zabytków klasy zerowej - stwierdził Dallas.

— W tym chłopaku winda nigdy nie dojechała na najwyższe
piętro - szepnął mi do ucha Dupree.

— Dlaczego ta rodzina nie może się zamknąć? - warknął
John Hardin. - Czy stanie się coś złego, jeśli się w końcu
wszyscy zamkniecie?

— Zrobili ci zastrzyk w tym miesiącu? - zapytał Dupree.

— Za każdym razem, kiedy się denerwuję, pytasz, czy zrobili
mi ten cholerny zastrzyk - odparł John Hardin, rumieniąc się
i waląc pięścią w dłoń, żeby powstrzymać drżenie rąk.

— Zatelefonował do mnie twój lekarz - powiedział Dupree,

145

podchodząc do niego. - Nie przyszedłeś na wizytę. Wiesz, że robisz się nadpobudliwy, kiedy nie
dostaniesz zastrzyku.

— Robię się nadpobudliwy, kiedy trujesz mi dupę w sprawie zastrzyku.

— Powinieneś odstawić na jakiś czas surowe mięso, brachu - poradził mu Tee. - Spróbuj medytacji Zen. Ja sam też nie wierzę w farmaceutyki.

— Pojawił się nowy guru - stwierdził z przekąsem Dallas. - Nie przemawiaj tak, jakbyś urodził się w Kalifornii.

— Nienawidzę Kalifornii i wszystkiego, co stamtąd pochodzi - zgodził się Dupree. - Żałuję, że wygraliśmy wojnę z Meksykiem.

— Czternastu lekarzy oskarżono w zeszłym roku o zamordowanie swoich pacjentów - uciął rozmowę o geografii i farmacji John Hardin. - Taka jest prawda bez względu na to, czy wam się to podoba, czy nie.

— I co z tego? - zapytał Dupree po chwili krępującego milczenia.

— Nie kapujecie? Nie trzepnęło was po mózgownicy? Czego wam potrzeba, żebyście spojrzeli prawdzie w oczy? Ognistych liter wypisanych na niebie? Obudźcie się. To przecież zupełnie jasne.

— Straszysz Jacka - zwrócił mu uwagę Dupree. - Widzi cię po raz pierwszy, odkąd zmieniłeś się w Quasimodo.

— Mam zamiar pogadać z twoim szefem, Dupree - ostrzegł go John Hardin. - Mam zamiar donieść na ciebie do władz. Zobaczysz, że to zrobię. Pracujesz na państwowym etacie w sta nowym szpitalu psychiatrycznym. To minus trzy w skali od jednego do dziesięciu. Parszywy status, parszywe pieniądze, najniższy szczebel drabiny społecznej.

Tee rzucił zwiniętą gazetę do Dupree.

— Może będziesz chciał sprawdzić oferty pracy, brachu - powiedział.

— Jestem zadowolony z tego, co robię - odparł Dupree. - Mogę przez cały boży dzień obcować z takimi przyjemniaczkami jak John Hardin.

— Któregoś dnia, dupki, posuniecie się za daleko. Zajdziecie mi za skórę, bo wiem, co o mnie gadacie. Mam sposoby, żeby dowiedzieć się, co kombinujecie.

— Daj spokój - powiedział Dallas. - Teraz mówisz, jakbyś rzeczywiście nażarł się surowego mięsa.

146

— Nie masz ochoty zajrzeć do matki, John Hardin? - za pytał doktor Pitts. - Twój ojciec jest podenerwowany, może będziesz mógł mu pomóc.

— Wiem, o co panu chodzi - syknął John Hardin i zoba czyliśmy, jak rysy jego twarzy wykrzywają gorące podmuchy paranoi. - Niech pan nie myśli, że nie wiem, co pan planuje. Przejrzałem pana. Przejrzałem was wszystkich na wylot.

— Chciałem po prostu, żebyś zobaczył swoją matkę - próbo

wał wyjaśnić doktor Pitts. - Nie miałem zamiaru cię denerwować.
— Wie pan dobrze, że ona nie żyje! - krzyknął John Hardin, w jego głosie zamiast rozpaczki pobrzmiwała jednak rosnąca furia. - Chce pan, żebym to ja pierwszy odkrył, że jest martwa, ale to pan ją zabił. Pan. Rozwodząc się z ojcem, nie miała raka. Myślał pan o tym kiedyś? Jest pan doktorem. Cholernym doktorem. Codziennie mógł ją pan dokładnie zbadać. Ale nie zrobił pan tego. Zlekceważył pan wszystkie symptomy raka. Siedem jego najważniejszych symptomów. Każdy lekarz zna siedem symptomów raka.

— Jezu Chryste - szepnąłem.

— Chodźmy razem do doktora. Zrobi ci zastrzyk - za proponował Dupree.

— Ciebie nienawidzę najbardziej - stwierdził John Hardin, obracając ku niemu płonące oczy. - Jesteś pierwszy na mojej liście. Drugi jest Jack. Najdroższy Jack, pierworodny syn, który myśli, że urodził się w żłóbku na sianie. A następny Dallas, któremu wydaje się, że pozjadał wszystkie rozumy, podczas gdy w rzeczywistości jest starym głupcem.

— Chodź synu, postawię ci drinka - odezwał się ojciec, który wyszedł właśnie wstrząśnięty z oddziału intensywnej opieki i usłyszał podniesione głosy.

— To ostatnia rzecz, jakiej on potrzebuje, tato - ostrzegł Dupree. - Alkohol pogarsza tylko jego stan.

— Ojcu też zbytnio nie służy - zauważył Dallas. - Może powinniśmy przepisać jeden z tych zastrzyków tacie?

— Pójdę z tobą - Tee zwrócił się do Johna Hardina. -

Odprowadzimy cię razem z Dupree i zrobią ci ten zastrzyk.

— Pomogłoby mi jedynie to, gdybyście wy wszyscy dostali raka, a ja wyszedłbym stąd ze śpiewem na ustach razem z moją słodką mamą.

Dupree wstał i zbliżył się ostrożnie do brata.

- Proszę cię, John Hardin. Wiesz, czym to się kończy.

147

^

Tracisz nad sobą panowanie i robisz coś głupiego. Nie masz nawet zamiaru tego robić, ani nie wiesz, że to robisz. Ale na razie wszystko jest w twoich rękach. Daj sobie zrobić ten zastrzyk albo gliniarze wyślą za tobą list gończy.

— Gdybym potrzebował ciasteczka z przepowiednią, zamówiłbym sobie chińskie żarcie, ty łajzo! - wrzasnął John Hardin. - Chcesz, żebym poszedł sobie zrobić ten zastrzyk, bo należysz do spisku. Może nie? Wiesz, że zabijają mamę właśnie w tej chwili. Zatrują jej krew. Trucizna niszczy jej wątrobę, jej nerki... wszystko. Słyszeliście kiedyś coś o biologii, popaprańcy? Czy któryś z was uważał na lekcji chemii pana Gnanna? Mama nigdy nie wyjdzie żywa z tego szpitala. Nie wyjdzie. Nie wyjdzie.

— Tego tylko potrzebowaliśmy - szepnął Dallas, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Optymista przy łożu śmierci.

— Jestem najmilszy z was wszystkich - oświadczył John

Hardin. - To słowa mamy, nie moje. Przytaczam tylko fakty. Powiedziała, że jestem jej faworytem. Skarbem odnalezionym na śmietniku.

— Byłeś jej słodkim maleństwem - przyznałem. - Zawsze kochała cię najbardziej.

— No i jak wam się to podoba? - rozpromienił się John Hardin, zwracając się do pozostałych. - Nawet najmądrzejszy i najstarszy brat bierze moją stronę.

— Może usiądziesz ze mną, synu, i porozmawiamy o starych dobrych czasach - zaproponował sędzia.

— O dobrych starych czasach? Co za bzdury... Chcecie usłyszeć coś zabawnego, łajzy? Coś, co was rozśmieszy? Co nadaje się na puentę? Dobre stare czasy - parsknął John Hardin, po czym wyskoczył szybko przez otwarte okno na trawnik. Patrzyliśmy, jak biegnie do motorówki, wskakuje do niej i rusza w stronę głównego kanału.

— Trochę to potrwa - stwierdził sędzia - ale ta historia na pewno scementuje naszą rodzinę.

— Już teraz to widać - powiedział Dallas, obserwując oddalającą się łódź Johna Hardina.

Po południu objąłem piętnastominutową wachtę przy łóżku matki. Trzymając ją za rękę i całując co jakiś czas w policzek, opowiadałem cichym głosem wszystko, co mogłem sobie przypomnieć o Leah i chociaż wiedziałem, że byłaby wściekła, wiedząc, że oglądam ją bez makijażu i z nie uczesаныmi włosami,

148

powtarzałem, iż mimo wieku i choroby ma wciąż piękną twarz. Od jej oczu rozchodziły się dziesiątki zmarszczek przecinających promieniście skórę. Podobne linie biegingy od kącików ust, ale czoło miała gładkie jak u dziecka. Swoją urodą matka posługiwała się niczym sztyletem; była to jedyna broń, którą dysponowała w swym smutnym życiu. W Waterfordzie nie brakowało piękniejszych od niej kobiet, żadna jednak nie była bardziej zmysłowa ani tak bezwstydnie ponętna. Nigdy nie widziałem kobiety, która miałaby w sobie większy ładunek seksu. Odkąd pamiętam, fascynowała tabuny mężczyzn. Jej jednocześnie szczupła i zaokrąglona sylwetka była przedmiotem zazdrości przyjaciółek i zachwyty synów. Szczególnie szczyliła się swymi pięknymi stopami i kształtnymi łydkami.

- Wasza matka to skończona piękność - powtarzał z uwielbieniem sędzia. - Skończona piękność. Przyjrzałem się bliżej srebrnej torbie, z której trucizna skąpy wała do żył matki. Czysta niczym źródłana woda, miała kolor szlachetnego dżinu, i patrząc na nią, wyobrażałem sobie zażartą bitwę, jaka toczyła się w mroku jej krwiobiegu. Roztwór miał kwaśny zgniły zapach i przypominałem sobie ostrzeżenie lekarzy, że chemioterapia może się okazać dla Lucy równie zabójcza jak sama białaczka.

Kiedy po piętnastu minutach zmienił mnie Dupree, uświadomiłem sobie, że instynktownie przestrzegamy naturalnej hierarchii, pełniąc dyżury w kolejności od najstarszego do najmłodszego. Po powrocie do poczekalni z trudem wytrzymywałem badawcze spojrzenia braci. Mój wyjazd sprawił, że przestali mnie dobrze rozumieć, i czułem, iż zżera ich niezdrowa ciekawość. Prowadziłem życie, o jakim żaden z nich nie miał najmniejszego pojęcia i wychowywałem dziecko, którego nikt nie zdołałby rozpoznać, gdyby weszło nagle do tego pokoju. Pisałem o miejscach, których nie widzieli, o potrawach, których nigdy nie próbowali, oraz o ludziach mówiących językami, o których większość z nich nawet nie słyszała. Inaczej się ubierałem i ani oni, ani ja nie czuliśmy się już swobodnie w swojej obecności. W pewnym sensie wszyscy byliśmy sobie obcy. A winę za to ponosiłem ja, swą ucieczką dałem bowiem do zrozumienia, iż Południe nie jest miejscem, w którym mógłbym mieszkać i wychowywać córkę.

Lucy przysyłano bez przerwy kwiaty, a ponieważ nie wolno było ich trzymać na oddziale intensywnej terapii, ja i moi bracia rozbiegliśmy się po szpitalu, rozdając bukiety innym pacjentom.

0 trzeciej pojawiła się wraz z dwójką synów żona Dallasa, Janice, i patrzyłem, jak Jimmy i Michael rzucają mi podejrzliwe spojrzenia, wdrapując się swobodnie na kolana innych wujków.

- Należy ci się za to, że tak długo byłeś dla nich kimś obcym - powiedział Dallas.

Roześmiałem się, ale w duchu przyznałem mu rację.

O piątej młody lekarz, Steve Peyton, przekazał nam niewesołą, aczkolwiek nie pozbawioną nadziei diagnozę. Matka zlekceważyła pierwsze symptomy i zdecydowanie zbyt późno zgłosiła się do szpitala. Peyton powtórzył raz jeszcze, że wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin

1 jeśli Lucy zdoła je przeżyć, ma dużą szansę na przeżycie.

Staliśmy przed nim, przestępując z nogi na nogę, niczym aresztanci przed znanym z surowości sędzią. Choć nieźle nas wystraszył, staraliśmy się robić dobrą minę do złej gry. Wkrótce po jego wyjściu doktor Pitts z powrotem udał się do swojej żony.

Moi bracia i ja siedzieliśmy w milczeniu.

— Czy ktoś widział tatę? - zapytał nagle Dallas.

— Zawiozłeś go do domu, żeby się przebrał - odparł Tee.

— I przywiozłem z powrotem.

— Kilka godzin temu wyszedł na papierosa - powiedziałem.

— Niedobrze - stwierdził Dupree. - Sprawdzę zachodnie skrzydło.

Dallas odnalazł ojca nieprzytomnego w pokoju na pierwszym piętrze. Wypił całą butelkę absolutu. Mój ojciec wierzył, że nikt nie zdoła wyczuć wódki w jego oddechu i często upijał się w towarzystwie. Zdradzał go nie odór, lecz utrata przytomności. Dupree i ja wynieśliśmy go z pokoju, w którym przysnął, i ruszyliśmy na dół po schodach, poprzedzani przez Tee i Dallasa, którzy otwierali przed nami kolejne drzwi. Ułożyliśmy go na tylnym siedzeniu samochodu Dupree. Tee położył sobie na kolanach jego głowę, a Dallas i ja usiedliśmy obok Dupree, który ruszył do domu ojca. Nie było mnie w Waterfordzie bardzo długo i słuchając jednym uchem swoich braci, czułem, jak uroda tego miasta tamuje mi oddech.

Dupree jechał wolno wysadzonym dębami bulwarem, biegnącym wzdłuż Waterford River. Po drugiej stronie ulicy stało dwanaście wiekowych pałacyków, dostojnych jak szachowe

150

królowe. Dworki i dęby znakomicie się dopełniały, budząc tęsknotę za dawno zmarłymi architektami, twórcami pozbawionych sztuczności i fanaberii domów, które dawały schronienie podczas długich letnich miesięcy i miały przetrwać tysiąc lat, nie przynosząc ujmy drzewom, szlachetnym i pięknym na tle ścielącego się nad rzeką zielonego ołtarza.

Usłyszałem, jak ojciec rusza się na tylnym siedzeniu. Przez moment zdawało mi się, że przestał oddychać, ale potem ponownie rozległo się ciche dziecinne chrapanie i odetchnąłem z ulgą.

— Myślałem, że przestał pić - powiedziałem.

— Przestał - odparł Dupree, zerkając na ojca w tylnym lusterku. - Doszedł do wniosku, że mama wzięła z nim rozwód dlatego, że za dużo popijał. Tak jakby na trzeźwo był istnym aniołem.

— Kiedy uderzył z powrotem w gaz?

— Natychmiast po odejściu mamy - rzekł Dallas. - Uwa

za, że tylko alkohol pozwala mu przeżyć rozpacz, w jaką wpadł po utracie swojej połowicy. Tak właśnie się wyraził: połowicy. To staroświecki facet.

— Myślisz, że jestem głuchy, ty sukinsynu? - odezwał się sędzia z tylnego siedzenia.

— Wspaniale - ucieszył się Tee. - Tatko się obudził.

— Myślicie, że jestem pozbawiony uczuć?

Dupree spojrział na mnie i obaj wzruszyliśmy ramionami.

— To, czego doznajesz, to nie są uczucia, tato - powie działem. - To delirium tremens.

— Jak się mówi "odpierdol się" po włosku?! - ryknął z tyłu ojciec.

— Vafanculo.

— No więc możesz się vafanculo przez całą noc. Cieszę się, że zabrałeś swój tłusty tyłek do Europy. Żałuję tylko, że wróciłeś tutaj, żeby nadużywać mojej gościnności.

— Ty, ja i Tee zostajemy z tatą - zdecydował Dupree. -

Prześpimy się w naszych starych pokojach. Odwiedzimy miejsca dzieciennych tortur.

— Buuu, buuu - zapłakał ojciec, przedrzeźniając nas. -

Nie macie najmniejszego pojęcia, co to są prawdziwe tortury.

Nie przetrwalibyście nawet pięciu minut podczas Wielkiej Depresji.

Dupree i ja powtórzyliśmy jednocześnie ostatnie zdanie z tym samym dydaktycznym zacięciem co ojciec.

151

— Wielka Depresja musiała być prawdziwym piekłem - zauważył Tee.

— Z każdym rokiem robi się coraz gorsza - dodał Dupree. - Właściwie nikt jej, kurwa, nie przeżył. Diabli wzięli całą Amerykę, z wyjątkiem paru twardzieli podobnych do ojca. Jego wymoczkowaci synowie nie przetrwaliby nawet dnia.

Dupree skręcił w Dolphin Street, która na odcinku dwóch przecznic biegła przez środek miasta. Sklepy utrzymane były tu w stylu typowym dla Waterfordu. Każdy był inny, ale oglądane razem, nadawały ulicy niepowtarzalny charakter, upodabiając ją do oświetlonej przystani, przy której stoją eleganckie jachty. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego tak piękne miasto wydało tak nikczemnych ludzi.

— Dlaczego mama oddała mu dom? - zapytałem Dupree. -

Myślałem, że nie wyrzeknie się go nawet za milion dolców.

— Przy waszej matce nawet babilońska hetera wydaje się czysta jak dziewiczy śnieg. - Głos dobiegał z tylnego siedzenia: ojciec starał się podtrzymać rozmowę. - Oddałem swe nasienie Dalili, a ona złożyła na mych wargach judaszowy pocałunek.

— Mówiąc o mamie uderza w tony biblijne - wyjaśnił

Dallas. - Wydaje mu się, że to stawia go w korzystniejszym świetle.

— Ale dlaczego oddała mu dom? - powtórzyłem, nie dając

za wygraną. - Myślałem, że kocha tę rudę bardziej od nas.

— Jej zdaniem - powiedział Dupree - tyle tam było złych wspomnień, że nie pomógłby jej żaden egzorcyta.

— Ten dom jest pełen pięknych wspomnień. Pięknych wspo

mnień - zaprotestował płaczliwym głosem ojciec.

— Co to jest piękne wspomnienie, Dupree?

— Nie mam pojęcia. Słyszałem o nich, ale sam nie mam żadnego.

Wszyscy oprócz ojca roześmieliśmy się, ale nasz śmiech był zgrzytliwy i zgorzkniały. Dupree wyciągnął rękę i uścisnął moją dłoń. Tym dyskretnym gestem witał mnie w domu: zapewniał, że zawsze mogę liczyć na pomoc w kraju moich braci. Płomyk ich przyjaźni tlił się przez wszystkie te lata i nawet podczas mej nieobecności nie wygasł do końca.

Kiedy Dupree skręcił w podjazd, na rzece zaczynał się przypływ. Dom, w którym się urodziłem, stał w ostatnich promieniach słońca. Wpatrując się weń, miałem wrażenie, że przyglądam się tajemnej części samego siebie, pokrytej bliznami

152

i szramami ciemnej stronie mojej duszy, miejscu, gdzie cierpienie, udręka i ból, zbyt wielkie, by je znieść, lizały własne rany. Tuż obok mieszkała kiedyś Shyla.

- Wyciągnijcie mnie z tego cholernego pudła! - ryknął ojciec.

Dupree i ja pomogliśmy mu wysiąść z samochodu i przejść przez ogród, powtarzając scenę, w której uczestniczyliśmy setki razy w dzieciństwie. Ten rytuał pozostawił w nas trwałe ślady i - nie miałem co do tego żadnych wątpliwości - przyczynił się w walnym stopniu do klęsk, które ponieśliśmy w dorosłym życiu.

— Nie miałbym nic przeciwko jego pijaństwu - powiedział Dupree - gdyby tylko nie był taki podły.

— Nie można mieć w życiu wszystkiego - zauważyłem.

— Rozumiesz teraz, dlaczego mieszkam w Columbii? - zapytał.

— Masz jakieś pytania co do Rzymu?

— Ani jednego. Zawsze wydawał mi się sensownym miejscem.

— Dość już tych bredni - oświadczył ojciec. - Zaraz sprawię wam obu manto.

— Jest nas czterech, tato - ostrzegł go Tee.

— Spójrz prawdzie w oczy, tatku. Jesteś stary, osłabiony i najlepsze lata masz już za sobą. My wszyscy jesteśmy w szczytowej formie i niezbyt cię lubimy - oznajmił Dallas.

— A ja dopuściłem go do spółki. Boże - zapłakał się dzia. - Oddałem mu wycenioną na milion dolarów kancelarię prawniczą.

— Po spotkaniu z tatą moi klienci kupują adidasy - poinformował nas Dallas. - Tak szybko chcą się rozstać z naszą firmą.

— Jak miło znaleźć się w domu - powiedziałem. - Nie ma to jak stare kąty. Rodzinne albumy. Domowe obiady. Kościelne pikniki. Pocziwy dziadek pokazujący sztuczki wnu kom.

— Nie muszę słuchać tych bredni - zaprotestował ponownie ojciec.

— Owszem, musisz, tato - stwierdziłem. - Nie możesz postawić kroku bez naszej pomocy. A swoją drogą, nie musisz nam wcale dziękować. Cała przyjemność po naszej stronie. Nie ma o czym mówić.

153

- Nie mam wam za co dziękować, łajzy - oznajmił ojciec.

Dupree i ja doholowaliśmy go pod sam dom. Waterford wciąż należy do tych amerykańskich miast, gdzie drzwi zamykają na klucz wyłącznie paranoicy lub ludzie pozbawieni przyjaciół. Obaj wykonaliśmy bezbłędne pas de deux, obróciliśmy się w drzwiach, po czym wtaszczyliśmy sędziego do przedpokoju, ani razu nie dotykając przy tym framugi - niepowtarzalny trik, który opanowują do perfekcji dzieci rodziców wlewających w siebie rzeki bourbona lub dżinu.

Ojciec stanowczo nie chciał wchodzić po schodach, w związku z czym zaprowadziliśmy go do salonu, stawiając niezgrabnie kroki niczym para zawodników finiszujących w biegu ze skrepowanymi nogami. Położyliśmy go delikatnie na sofie i nim zdążyliśmy wsunąć mu pod nogi poduszkę i zdjąć buty, pogrążył się w głębokim śnie.

- Nareszcie - odetchnął Dupree. - Czy to nie było zabawne? Mój Boże, w tej rodzinie zawsze można "liczyć na trochę mocnych wrażeń."

Przyjrzałem się ojcu i nagle zrobiło mi się go żal. Jakaż ponurą przygodą, pomyślałem, musiało być ojcostwo dla tego skomplikowanego i wyniosłego mężczyzny.

- Naprawdę mi wstyd - powiedział Dallas - ale muszę się po tym wszystkim napić. Chodźmy do gabinetu, zrobię wam po drinku.

W gabinecie przyjrzałem się książkom w bibliotece i ogarnęła mnie ta sama duma, jaką czułem zawsze, uświadamiając sobie, jakich mam odczytanych rodziców. Przesuwając dłonią po sfatygowanych dziełach Tolstoja, ponownie zadumałem się nad pokrętnym charakterem ojca, który kochał autora "Wojny i pokoju", nie potrafił jednak pokochać własnej rodziny.

Wciągając w nozdrza unoszący się w gabinecie zapach, uświadomiłem sobie, że oto wraca do mnie znajome kadzidło przeszłości: woń drzewnego dymu, prawniczych książek, pasty do podłóg, morskiego powietrza i tysiąca innych aromatów wchodzących w skład dziwnego bukietu pamięci.

Za biurkiem wisiały przepięknie oprawione i uszeregowane w chronologicznym porządku fotografie. Pierwsza przedstawiała mnie samego: jasnowłosego słodkiego dzidziusia. Moi rodzice byli tak przystojni, że przypominali potomków jakiegoś królewskiego rodu. Oboje tryskali zdrowiem: tato, muskularny i silny, świeżo po powrocie z wojny; mama, piękna i zmysłowa, niczym

154

zroszone deszczem pole kwiatów. Pomyślałem, ile radości musieli odnajdywać w swych ciałach, ile ognia i pasji musiało towarzyszyć mojemu poczęciu.

Każde z tych zdjęć łamało mi serce. Jak większość fotografowanych dzieci, zawsze się na nich uśmiechaliśmy, a rodzice śmieli się wesoło. Wszystkie te wiszące na ścianie obrazki opowiadały radosnym językiem o przepięknej parze, która wydała na świat gromadkę jasnowłosych szkrabów: dobrze odżywionych, pełnych wigoru, naiwnych, krzepkich i niesfornych. Jakaż to urocza rodzinka, powiedziałem sobie, studiując zdjęcia, które stanowiły parawan wielkiego kłamstwa.

Na jednej z fotografii stałem z tyłu i w ogóle się nie uśmiechałem. Przyjrzałem się jej uważnie, próbując wyobrazić sobie, co wtedy myślałem. Zrobione było kilka dni po tym, jak ojciec złamał mi nos i musiałem pojechać do szpitala. Powiedziałem lekarzowi, że odniosłem kontuzję, grając w piłkę, i płakałem, kiedy go nastawiał. W drodze do domu ojciec uderzył mnie ponownie za to, że płakałem.

Któż nie pokochałby takiego jak ja szkraba, dumalem, przyglądając się nieśmialemu chłopcu, którym wówczas byłem. Nieśmialemu, lecz całkiem ładnemu. Dlaczego nikt wtedy nawet nie pomyślał, żeby mi o tym powiedzieć?

Dupree wszedł do gabinetu i podał mi dżin z tonikiem.

— Wyglądasz okropnie - stwierdził. - To przez tę zmianę czasu?

— Jestem zmęczony, ale nie sędzę, żebym zdołał zasnąć.
Chciałbym porozmawiać z Leah, ale jest już za późno. Od dawna śpi.

— Masz jakieś jej zdjęcia?

— Tak - odparłem, wręczając kopertę Dupree.

Tee i Dallas stanęli za jego plecami i powoli, uśmiechając się i co jakiś czas wybuchając śmiechem, przeglądali fotografie swojej nie znanej siostrzenicy.

— Wykapana Shyla - stwierdził Dupree. - Ale oczy ma naszej mamy. Znam kilka kobiet, które zrobiłyby wszystko, żeby mieć oczy mamy.

— To magiczne dziecko, Dupree. Dojrzewa sama, ja staram się po prostu nie przeszkadzać.

— Zerknąłeś po drodze na dom Shyli? - zapytał Tee.

— Nie, nie chcę oglądać tego domu do końca życia. Oczywiście

155

wszystko to może się zmienić w ciągu następnych trzydziestu sekund.

— Nie sędzę, aby udało ci się tak łatwo wywinąć. Ruth Fox dzwoniła wczoraj do mnie do biura, żeby zapytać, kiedy przyjeżdżasz. Słyszałem, że Martha wysledziła cię w Rzymie.

— Tej wiosny wiele osób uwzględniło mnie w swoich planach podróży.

— Ruth bardzo chce się z tobą zobaczyć. Po śmierci Shyli cierpiała bardziej niż ktokolwiek - ciągnął Dallas.

— Nie wiedziałem, że czeka mnie ten zaszczyt - odparłem.

— To wspaniała kobieta, Jack. Mam nadzieję, że o tym nie zapomniłeś - powiedział.

— Ostatnim razem widzieliśmy się w sądzie. Zeznała, że byłem nieodpowiednim mężem dla jej córki i że nie nadaję się na ojca dla Leah.

Podniosłem się ciężko z fotela, znużony bardziej, niż się tego spodziewałem, lecz nie senny. Minąwszy znajome pokoje naszego zaniedbanego domu, wyszedłem na ganek i stanąłem między białymi kolumnami, które symbolizowały elegancję i prostotę stylu, określanego w Karolinie Południowej mianem waterfordzkiego. Zapadł już zmierzch. Patrzyłem przez chwilę na rzekę i rozgwieżdżone niebo, na którym wisiał emaliowany księżyc, a potem obszedłem dookoła werandę i spojrzałem w stronę dużego domu, przylegającego do terenów, gdzie spędziłem swoje dzieciństwo. Kiedy Shyla była mała, dostrzegłem bardzo wcześnie jej rozkwitającą urodę i obserwowałem okno sypialni, w której, gdy spało całe miasto, zachodziły tak mistyczne transformacje. Wiedziałem, że jest urocza, na długo przedtem, nim poczuliśmy do siebie słabość. Stojąc teraz w półmroku, zobaczyłem na werandzie pierwszego piętra Ruth Fox, ubraną w biały szlafrok i wciąż smukłą jak płomień świecy. Stała dokładnie w tym samym miejscu, z którego Shyla przesyłała mi przed laty pocałunki, te pocałunki, które ozłociły mi niegdyś cały świat.

Ruth pomachała do mnie - smutny, dławiący w gardle gest.

Skloniłem lekko głowę. Stać mnie było tylko na ten sztywny ukłon i oddając go myślałem, że skonom.

ROZDZIAŁ 11

Z oparów snu, zbyt ciemnego, by go zapamiętać, wyrwało mnie buczenie obładowanej drzewem barki, próbującej bezskutecznie zbudzić dyżurującego przy zwodzonym moście strażnika. Czułem, jak ze wszystkich stron oplata mnie zastygłe w bezruchu dzieciństwo. Od najmłodszych lat dorastałem otoczony rzekami. Każdy plusk wody zdawał się wołać mnie po imieniu. Wstałem po ciemku z łóżka, bojąc się o życie matki, czując w sobie tę obawę, tak samo teraz naturalną jak głód.

Słyszałem, jak w sypialniach, w których nic nie zmieniło się od dnia, gdy wymaszerowaliśmy z domu na spotkanie własnego losu, budzą się moi bracia. Odgłosy ich krzątania wypełniały wskrzeszone do życia gospodarstwo. Goląc się, poczułem zapach parzonej kawy; nim wyruszyliśmy do szpitala, by czuwać dalej przy łożu matki, Dupree zrobił nam solidne śniadanie. Kiedy weszliśmy do poczekalni, Dallas już tam był. Próbował nawiązać rozmowę z nie wyspanym i nasrożonym Johnem Hardinem.

- Bez zmian - oznajmił, kiedy zajęliśmy nasze terytorium.

John Hardin zmierzył mnie wzrokiem. Jego twarz była tak czujna, że przypominała tajne głosowanie. Tee podszedł i objął go ramieniem.

— Dobrze się czujesz, brachu? - zapytał. - Żałuj, że nie było cię z nami wczoraj wieczorem... bracia McCallowie odbyli wojenną naradę. To było coś ekstra. Ubawiliśmy się po pachy.

— Nie byłem zaproszony - odparł John Hardin, strącając jego dłoń z ramienia. - Zabieraj precz łapska. Wiem, że macie mnie za pedała, bo się nie ożeniłem.

157

— Wprost przeciwnie - oświadczył Dallas. - Uważamy cię za wielkiego cwaniaka.

— Nie obchodzi nas, kim jesteś, brachu - dodał Tee. - Chcielibyśmy po prostu, żebyś lepiej poczuł się w naszym towarzystwie.

— Uważaj, o co prosisz świętego Mikołaja - ostrzegł go Dupree.

— Dupree nie będzie zadowolony, dopóki nie zobaczy mnie w kaftanie bezpieczeństwa - stwierdził John Hardin, obserwując bacznie swego brata. - Świetnie się wtedy bawi. Prawda, Dupree?

— Wolę oglądać Johnny'ego Carsona * - odrzekł Dupree.

— Cicho, brachu - upomniał go Tee.

— Dupree widuje Johna Hardina w sytuacjach, o których my nie mamy zielonego pojęcia, Tee - powiedział Dallas. - Jest przy nim, gdy zaczyna się przedstawienie.

— Co to znaczy? - zainteresowałem się.

— Dowiesz się, kiedy nie da sobie zrobić tego zastrzyku - mruknął Dupree, przerzucając kartki działu sportowego gazety. Kiedy na niego spojrzałem, uderzyła mnie pewna anomalia; chwilami wydawał się napięty jak struna, a chwilami odprężony, jakby jakieś chłodziwo chroniło przed przegrzaniem jego głów ny silnik. Napięcie między nim i Johnem Hardinem dawało się mierzyć w voltach.

— Traktujesz mnie, jakbym był dalej dzieckiem - poskarżył się John Hardin.

— Dla mnie zawsze będziesz moim małym braciszkiem - odparł Dupree, chowając głowę w gazetę.

— Widzicie, to nie w porządku - zaprotestował John Hardin, krzywiąc się, jakby wypił sok z cytryny. - W waszych oczach nigdy nie zdołam dorosnąć. Ponieważ mam te ataki, te problemy, nigdy nie uwierzycie, że jestem już dojrzałym facetem.

Kiedy dostaję szalę, to nie ma nic wspólnego z moją młodością. To zupełnie osobna sprawa. Coś, co jest poza mną. To coś porywa mnie i nie mogę na to nic poradzić. Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

— Żadnego - stwierdził Dupree.

— Owszem, ma sens - powiedziałem. - Dokładnie wiem, o czym mówisz.

* Autor słynnego talk-show, nadawanego przez sieć CBS, poprzednik Jaya Leno.

158

— Ja też - dodał Tee.

— Wszystko to ma sens, dopóki nie wydarzy się coś złego, John Hardin - odezwał się Dallas. - Wtedy nikt nie pamięta, że nie mogłeś na to nic poradzić.

— Zgoda na zastrzyk jest najłatwiejszą rzeczą pod słońcem - mruknął Dupree. - Dają ci zastrzyk, wszystko jest w porządku. Nie dostajesz go, zaczyna się odliczanie.

— John Hardin jest wystarczająco dorosły, żeby decydować, czy chce dostać zastrzyk - oświadczył Tee.

— Dziękuję, Tee - odrzekł John Hardin. - Naprawdę jestem ci wdzięczny.

— Tee nigdy nie ma w pobliżu, kiedy bomba idzie w górę - stwierdził Dupree.

— Ale ma rację - poparłem brata. - Decyzja należy do Johna Hardina.

— Łatwo jest teoretyzować, gdy się mieszka w Rzymie - zauważył Dallas.

Po tej wymianie zdań John Hardin oddalił się od nas i kopiąc bez przerwy papierosy obserwował ruch na rzece. Otaczała go nieprzenikniona aura samotności i zagrożenia. Chociaż słuchał wszystkiego, co mówiliśmy, nasze słowa docierały do niego przez niedoskonały, zawodny filtr. Dallas wyjaśnił mi, na czym polega problem, gdy przechadzaliśmy się razem po szpitalnym ogrodzie. Język angielski był dla Johna Hardina narzędziem dysharmonii, chaosu i zamętu. Każde niewinne, wypowiedziane przez jednego z nas słowo potrafiło nabrać w jego umyśle złowrogiego znaczenia. Każda prowadzona z nim rozmowa mogła w jednej chwili przybrać niewłaściwy obrót. Miał mnóstwo zainteresowań i był niesamowicie odczytany, ale nawet drobna zmiana intonacji lub akcentu mogła go kompletnie zdezorientować i wyprowadzić z równowagi. Aby dotrzeć do rejonów, w których John Hardin czuł się względnie bezpieczny, trzeba było pokonać ponurą strefę zdemilitaryzowaną, naszpikowaną pułapkami i wieżami obserwacyjnymi i wymagającą znajomości ekscentrycznych zmiennych haseł.

— Czy któryś z was pomyślał o mamie? - zapytał otoczony chmurą dymu. - Mówicie o wszystkim, tylko nie o niej. Czy któryś wie, czy będzie żyła, czy umrze?

— Jest z nią teraz doktor Pitts - powiedział Dupree, wstając i podchodząc do Johna Hardina. - Konferuje z lekarzem.

— On nie jest naszym prawdziwym ojcem - kontynuował

159

nasz najmłodszy brat. - Jeśli spojrzycie do mojego świadectwa urodzenia, nie znajdziecie tam nawet najmniejszej wzmianki o doktorze Jamesie Pittsie. Skąd wiecie, że mówi nam prawdę o mamie? Mógł ją naszpikować narkotykami. Może ją powoli zabijać, żeby pozbawić nas prawowitego dziedzictwa.

— Mama nie ma zbyt wielkiego majątku - odezwał się Dallas. - Wierz mi, jestem egzekutorem jej testamentu.

— Zapisła nam mnóstwo rzeczy - upierał się John Hardin. - Wy, chłopcy, możecie machnąć ręką na majątek, który zgromadziła ciężką pracą, ale ja nie zamierzam się z tym po godzić. Jestem zrobiony z mocniejszego włókna.

— Z włókna - szepnął Dallas. - Uważa się za dywanik.

— Doktor Pitts lubi nas - powiedział Tee. - Nie próbował by nas wykiwać.

— Ma oczy włamywacza - stwierdził John Hardin. - Tacy faceci jak on zawsze wypatrują otwartego okna na piętrze.

— Jego oczy są przenikliwe - zaprzeczył Dallas. - Na litość boską, jest przecież chirurgiem.

— Właściwie John Hardin ma rację - zmienił nagle zdanie Tee. - Z jego oczyma jest coś nie w porządku. Czasami chwiejność Tee czyniła z niego jednocześnie sprzymierzeńca i przeciwnika obu stron. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że nie mogąc się zdecydować, zdradza wszystkich zaangażowanych w spór.

Dallas zaczął chodzić po poczekalni, dzwoniąc tak głośno trzymanymi w kieszeni kluczami, że zwróciliśmy na niego nagle oczy. Miał nadzieję, że ukończenie prawa, małżeństwo z panną z dobrego domu i prowadzenie uczciwego, usatko-wanego życia pozwoli mu uniknąć rozpasanych ekscesów swych bliskich. Własna rodzina zawsze wprawiała go w zakłopotanie; od lat starał się uodpornić na jej ekstrawagancje oraz całkowity brak ostrożności i umiaru. Dallas pragnął tylko, by go szanowano, i uważał, że to bardzo mało, zwłaszcza w momencie, kiedy umierała matka. Wiedział jednak, że jeśli poruszy teraz tę sprawę, jeśli przedstawi nam ten postulat, mogą się zdarzyć różne rzeczy. Wiedział, że ta grupka jest zdolna do wszystkiego.

— To nie jest rodzina. To cały naród - jęknął zdesperowany, siadając obok mnie.

— Kiedy tylko wyjaśni się sprawa z mamą, wyjeżdżam - powiedziałem.

160

— Normalnie tak nie bywa - dodał. - Ale kiedy jesteśmy uwięzieni... kiedy sterczymy wszyscy w jednym pomieszczeniu...

— Dante nie potrafiłby tego lepiej opisać - mruknąłem.

— Nigdy nie czytałem sukinsyna - przyznał Dallas. - Powiedziałem żonie, żeby tu dziś nie przychodziła - szepnął, rozglądając się ukradkiem dookoła. - Nie dlatego, że nie życzę sobie jej obecności, ale dlatego, że boję się spraw, których nie potrafię przewidzieć. Nigdy nie wiem, co się tu wydarzy albo kto dostanie małego rozumu. Upokorzenie przybiera tutaj tyle różnych form. Nie wiem, czego mam się wystrzegać.

— W naszej rodzinie to łatwe - odparłem. - Wystrzegaj się wszystkich mężczyzn, wszystkich kobiet i w ogóle życia.

— O Boże - jęknął Dallas. - Właśnie teraz, kiedy myślałem, że czeka nas chwila spokoju, nadchodzi tato. Czy jest pijany, czy trzeźwy?

Mój ojciec, zwłaszcza w tych rzadkich chwilach, gdy nie nadużywał alkoholu, znał wszystkie niuanse i sekrety wielkiego wejścia. Stając gładko ogolony i nieskazitelnie ubrany w progę, wyprężył się na baczność, niczym żołnierz piechoty, którym kiedyś był, i potoczył po poczekalni oczyma drapieżcy wypatrującego ofiary. Policzyłem do czterech i wciągnąłem powietrze; w nozdrza wpadł mi zapach wody kolońskiej

English Leather, przynosząc ze sobą wszystko, co było złe w moim dzieciństwie. English Leather był nieomylnym znakiem, że ojciec stara się zatrzeć niekorzystne wrażenie i przez kilka następnych dni nie będzie pić. Tkwił w nim chyba jakiś samoregulujący się mechanizm, wewnętrzny barometr pokazujący, w którym momencie przekroczył pewną granicę. Nie był zwyczajnym alkoholikiem, był alkoholikiem wyrafinowanym. Posługiwał się trzeźwością niczym tajną bronią. Wiele razy w ciągu mojego dzieciństwa przestawał nagle pić, skrapiał się wodą kolońską i dawał tym, którzy go kochali, nadzieję, iż życie nie będzie jednak takie straszne. To było w nim najpodlejsze. W końcu nauczyliśmy się jednak wszyscy nie zakochiwać z powrotem w naszym trzeźwym ojcu.

— English Leather - powiedziałem. - Zapach bólu.

— Robi mi się fizycznie niedobrze, kiedy czuję ten syf.

Przysięgam. Kupuję mu nowy rodzaj płynu po goleniu. Myślisz, że się nim spryskuje? Gdzie tam - narzekał Dallas. - Ten właśnie zapach unosi się w mojej kancelarii.

161

— Chciałbym wam podziękować, chłopcy, że zaopiekowaliście się wczoraj swoim biednym ojcem - oświadczył dobrotliwym tonem sędzia. - Pomyślałem, że zdrzemnę się chwilę w pustym pokoju. Martwiłem się bardzo o Lucy i nie miałem pojęcia, jak strasznie jestem zmęczony.

— Nie ma sprawy, tatku - zapewnił go Tee.

— Dziś rano obudziłem się we wspaniałym nastroju - poinformował nas sędzia.

— Jedyna znana mi osoba, która uwielbia kaca - stwierdził z kamienną twarzą Dallas.

— Uważam, że jej białaczka bierze, jak to się mówi, nogi za pas - kontynuował mój ojciec - i za miesiąc albo dwa będziemy się wszyscy śmiać z tego, co tu przeżyliśmy. Spójrzcie tylko, jak wyglądacie: co za ponure miny... Głowy do góry, chłopcy.

— Nie potrzebujemy wodzireja, tato - skwitował Dallas. - Spróbuj zachowywać się jak ojciec. To mogłoby pomóc.

— Pozytywne nastawienie pozwala wiele osiągnąć - oznajmił sędzia. - Moim zdaniem powinniście, chłopcy, nad nim popracować.

— Trudno o pozytywne nastawienie, kiedy matka umiera na raka - mruknął Dupree.

— Daj spokój, brachu - włączył się do rozmowy Tee. -

Nie pozwolisz chyba, żeby taki drobiazg zepsuł ci humor.

— Przyznaję - stwierdził Dupree - że trochę mi doskwiera.

— Odprężcie się, chłopcy - oświadczył ojciec, próbując nas pocieszyć. - Znam tę kobietę lepiej niż ktokolwiek pod słońcem. Ktoś tak twardy jak ona na pewno z tego wyjdzie. Jest śliczna jak obrazek i dlatego ludzie myślą się czasem co do jej charakteru. W rzeczywistości jednak powiła was kobieta o duszy trojańskiego wojownika. Moglibyście wsadzić jej rękę do ognia, a ona i tak nie zdradziłaby wam hasła do Troi.

— Nasz tatku - rozmarzył się Tee. - Prawdziwy Homer.

— Usiądź, tato - zaproponował Dallas. - Wkrótce przyjdzie do nas jej lekarz.

— Żaden nowotwór nie jest dość silny, żeby zabić Lucy McCall - kontynuował swą myśl sędzia. - Jest twarda jak

głaz. Muszę tam wejść i zawiadomić ją, że czuwam przy jej boku. Zawsze potrafiłem pocieszyć Lucy, gdy wokół nas walił się cały świat. Byłem jej opoką, bezpiecznym portem, w którym zawsze znajdowała schronienie podczas sztormu. Ludzie często

162

przychodzili do mnie, abym bronił ich przed niesprawiedliwością. Jestem adeptem prawa i byłem nim przez całe życie. Znam prawo na wylot. Znam cały jego majestat i bezwzględność.

— Opanuj się, tato - odezwał się Dallas. - To nie jest sala sądowa. Jesteśmy twoimi synami. Nie wygłaszaj do nas mowy.

— Kiedy prawo, jak to się czasem zdarza, było bezradne, znajdowałem oparcie w modlitwie - ciągnął sędzia.

Jego wywody najwyraźniej zdenerwowały Tee.

— Lubię go bardziej, kiedy pije - oświadczył.

— Nikt nie lubi go, kiedy pije - poprawił go Dallas. -

Lubisz go, kiedy traci przytomność.

— Chodź, przejedziemy się - zwrócił się Dupree do Johna Hardina, który stąpał nerwowo po poczekalni, niczym leopold po swoim nowym wybiegu w zoo.

— Skończ już, tato - rzuciłem, zaniepokojony tym, co zobaczyłem w oczach Johna Hardina. Przypominały oczy śmiertelnie zmęczonego konia. Coś zamykało się w nim od środka.

— Przyniosę ci kawy, brachu - zaofiarował się Tee.

— Kofeina tylko pogarsza sprawę - ostrzegł Dupree.

— Kto wynajął cię, żebyś mnie pilnował? - syknął przez zaciśnięte zęby John Hardin. - Czy odpowiedziałeś na ogłoszenie? Kto dał ci robotę strażnika? Kto kazał ci kontrolować moje życie?

— Samo to na mnie spadło - odparł Dupree. Przerzucił powoli kartki gazety, ale nie czytał ani słowa, napięty i gotów do akcji. - Takie już mam parszywe szczęście.

— On mnie prowokuje. Sami widzicie, że doprowadza mnie do szału. W subtelny sposób. Metodą aluzji i podtekstów. Jest niczym echo. Mówię coś, a jego głos odzywa się kilka sekund później. Zawsze słyhać w nim lekką przyganę. Komentarz, który sprawia, że czuję się jak wariat, który uciekł z domu bez klamek. Prawda jest taka, jak widać. Widzicie wszyscy, że nic mi nie jest. Nie cierpię na żadną przypadłość, której nie mogłaby wyleczyć odrobina ciszy i spokoju. Oczywiście martwię się o mamę. Okłamują nas, mówiąc o jej stanie. Ale ja nie dam się nabrać. Przejrzałem ich kłamstwa na wylot. Nie twierdzę, że mama nie jest chora. Może mieć zapalenie płuc. Ale nie białaczkę. Białaczka jest wykluczona. Wyobrażacie sobie mamę chorą na białaczkę? To statystycznie niemożliwe.

— Wyobrażamy sobie mamę chorą na białaczkę - powie działem. - Możesz mi wierzyć.

163

r

- To żart - stwierdził John Hardin.
Ojcu zaczęły drżeć ręce.

— Ostatniej nocy nie mogłem zasnąć... - zaczął swój nowy monolog.

— Był sztywny jak bela - szepnął Dallas, otwierając okno i wpuszczając do środka pachnące rzeką świeże powietrze.

— Modliłem się do Pana o cud i kiedy zobaczyłem wstające dziś rano nad Atlantykiem słońce, uznałem to za znak. Pan Bóg usłyszał moją modlitwę i odroczył spotkanie, które wyznaczył biednej Lucy Czarny Anioł Ciemności.

— Nie wiedziałem, że śmierć jest Murzynem - mruknął Dupree, ale nie patrzył teraz na ojca; obserwował każdy ruch swego brata.

— Zamknij się, tato - wrzasnął nagle John Hardin. - Czy ty nigdy nie wiesz, kiedy się zamknąć? Nad naszymi głowami krążą satelity. Setki mil nad nami. Umieścili je tam Rosjanie. Podśłuchują nas stamtąd anioły. Używają satelitów. Satelity podłączone są do tych kontaktów. Wszyscy słyszą to, co mówimy albo myślimy. Więc może się jednak zamkniesz?

— Chodź ze mną, John Hardin - powiedział Dupree przyjaznym, lecz stanowczym tonem.

— Zostaw mojego syna w spokoju - zaprotestował sędzia. - Martwi się o swoją matkę.

Dallas posłał mi wymowne spojrzenie.

— Dlatego właśnie przeniosłeś się do Włoch. Jesteś najsprytniejszy z nas wszystkich.

— Zostało tam jeszcze mnóstwo miejsca - odparłem, obserwując Dupree, który zbliżał się do Johna Hardina.

— Dwie rzeczy, o które nie muszę się akurat martwić, brachu, to satelity i anioły - stwierdził Tee, próbując uspokoić młodszego brata.

— Zawsze miałeś klapki na oczach - warknął John Hardin.

Drzwi na oddział intensywnej opieki otworzyły się i do poczekalni wszedł lekarz matki, Steve Peyton, w towarzystwie Jamesa Pittsa. Nasz ojczym miał łzy w oczach i kiedy doktor Peyton próbował go pocieszać, John Hardin zaczął głośno krzyczeć.

- Cicho, synu - rozkazał sędzia. - To jest szpital. Mogą złożyć na ciebie skargę.

To łzy ojczyma wyprowadziły ostatecznie Johna Hardina z równowagi. Wśród męskich przedstawicieli rodu McCallów

164

łzy prawie się nie zdarzały; w skarbcu, w którym złożyliśmy nasz smutek, były rzadkie niczym perły.

— Bez zmian - powiedział doktor Peyton. - Nie mam żadnych dobrych wiadomości, prócz tego, że pacjentka żyje.

— Opanuj się, chłopcze - zwrócił się sędzia do syna, którego krzyk zniżył się do cichego jęku.

— Nie dostał zastrzyku - wyjaśnił Dupree. - Nietoperze wydostały się na wolność.

John Hardin odwrócił się ku nam i zamknął powieki, starając się oczyścić głowę z obcych hałasów i zgiełku, ale wszystko się w niej kotłowało i kłębiło i żaden świat, ani ten wewnątrz, ani ten, na który spojrział, gdy otworzył z powrotem oczy, nie wydawał się bezpieczny.

— Zabijają moją matkę za tymi drzwiami i nikogo z was to nie obchodzi - zaszlochał. - Powinniśmy tam pójść i jej

pomóc. Broniła nas przed nim, kiedy byliśmy małymi dziećmi...

a ten sukinsyn zabija naszą matkę.

— To jest John Hardin, doktorze - powiedział Tee. -

Założę się, że nie uczył się pan o nim w żadnej akademii medycznej.

John Hardin ruszył mechanicznym złowrogim krokiem w stronę doktora Peytona.

— Szybko, Jack - rzucił Dupree i obaj wstaliśmy, żeby przeciąć mu drogę. Zmieniliśmy sprawnie kierunek jego marszu i podeszliśmy wszyscy trzej do automatu z napojami orzeźwiającyymi. Dupree wrzucił do otworu trzy dwudziestopięciocentówki i fundnął bratu coca-colę.

— Wolałbym raczej dietetyczną colę - oświadczył John Hardin. - Staram się zrzucić trochę funtów. Wszyscy w tym mieście są grubi jak świnie. Chcę diet coke.

- Ja wezmę tę colę - powiedział Dallas.

Wygrzebałem z kieszeni trzy dwudziestopięciocentówki, i odzieliłem je od włoskich pieniędzy.

— Co to za syf? - zapytał John Hardin, zabierając mi z dłoni włoską monetę i podnosząc ją do światła.

— Tysiąc lirów - odparłem. - Moneta z Włoch.

— Co za głupi kraj - stwierdził. - Nie potrafią nawet wyprodukować porządnej dwudziestopięciocentówki. - Włożył tysiąc lirów do otworu i moneta przeleciała przez całą maszynę, nigdzie się nie zatrzymując. - Bezwartościowa. Nie chce jej nawet automat.

165

Moneta odwróciła jednak na jakiś czas jego uwagę.

Doktor Peyton omiółł niespokojnym spojrzeniem poczekalnię. Widać było, że nie czuje się zbyt dobrze w towarzystwie kłótliwego, żywego jak srebro klanu McCallów. Nasza wesoła nieobliczalność wyprowadzała go z równowagi.

— Pani Pitts ma w tej chwili czterdzieści i pół stopnia gorączki - oświadczył i po tej informacji w poczekalni zapadła grobowa cisza. - Formalnie rzecz biorąc, John Hardin ma rację, mówiąc, że zabijam waszą matkę. Zastosowaliśmy najsilniejszą, jaka jest możliwa, chemioterapię. Poziom jej białych krwinek jest alarmująco wysoki. Grozi jej straszliwe niebezpieczeństwo. Może w każdej chwili umrzeć. Staram się do tego nie dopuścić, ale nie wiem, czy potrafię.

— Ha! - zawołał John Hardin, ruszając ponownie ku młodemu lekarzowi i wymachując groźnie palcem. - Wszyscy go słyszeliście. Sam powiedział, że jest gównem wart. Przyznał się, że ją zabija. Za mną, bracia. Musimy ocalić życie matce.

— Uspokój się, John Hardin, albo osobiście odwiozę cię na Buli Street - zagroził Dupree. Przy Buli Street w Columbii mieścił się stanowy szpital psychiatryczny.

— Przecież sam to słyszałeś, Dupree - John Hardin rozłożył bezradnie ręce. - On zabija nasze matkę. Przed chwilą to powiedział.

— On próbuje ją ocalić - odparł Dupree. - Nie utrudniajmy mu życia.

Za naszymi plecami rozległo się głośne chrząknięcie ojca i akcja po raz kolejny przeniosła się w inny punkt poczekalni.

- W ten właśnie sposób Pan Bóg pokarał Lucy za to, że mnie porzuciła - oświadczył sędzia. - Taka jest jej nagroda, nie mniej, ni więcej.

Obiecałem sobie solennie, że zachowam spokój i nie będę wdawał się w żadne awantury, stwierdzenie ojca wytrąciło mnie jednak z równowagi.

— Może byś tak się przymknął, tato - poradziłem mu. -

Ni mniej, ni więcej.

— Nie uda ci się mnie przestraszyć, synu - odparł sędzia. - Kiedy ostatnim razem zajrzałem do biblioteki, wolność słowa była w dalszym ciągu świętym prawem każdego mieszkańca Ameryki. Poza tym jestem uzbrojony.

Doktor Pitts i doktor Peyton utkwili przerażone oczy w moim

166

ojcu, który odwzajemnił ich spojrzenie bez złości i z absolutnym spokojem.

- On żartuje, doktorze Peyton - zapewnił pośpiesznie

Tee. - Tatko nie ma przy sobie broni.

Sprovokowany w ten sposób tato wyjął pistolet z kabury na kostce i zakręcił nim na palcu, parodiując starego rewolwerowca. Dallas odebrał mu broń i otworzył cylinder. Broń nie była naładowana.

— Nie wolno przebywać z bronią w poczekalni, panie sędzio - oświadczył doktor Peyton, oddychając z ulgą.

— Mam przy sobie odznakę zastępcy szeryfa - stwierdził ojciec, wyjmując portfel. - Piszą tutaj, że mam prawo nosić broń na terenie całego hrabstwa. Zwróć ją prawowitemu właścicielowi, synu.

— Oddam ci później, tato - sprzeciwił się Dallas. - Denerwuje mnie, kiedy nią wymachujesz.

— Cieszę się, że w tym kraju nie obowiązuje zakaz posiadania broni - stwierdził Dupree. - Dzięki temu pijacy tacy jak tato mogą paradować po mieście i sprawdzać, który z nich wyciąga szybciej kolta z kabury.

— Ale Indianie trzymają się z daleka - próbował zażartować sędzia, jego synowie byli na niego jednak poważnie zagniewani.

Czułem, jak zmęczenie poraża każdą cząstkę mojego ciała. Napisałem ponad dziesięć artykułów o dolegliwościach związanych z długimi podróżami oraz o cenie, jaką płaci podróżnik za przekroczenie stref czasowych, i uważałem się w tej dziedzinie za kogoś w rodzaju eksperta.

Chociaż w Karolinie Południowej dzień dopiero się zaczynał, czułem, jak moje ciało przygotowuje się do zachodu słońca we Włoszech. Przywykłem do nocnych odgłosów mojej piazzy, zawodzących gdzieś w śródmieściu Rzymu policyjnych syren, muzyków szarpiących struny mandoliny i plaskania bosych stóp Leah, biegnącej do mojego pokoju, abym przeczytał jej bajkę.

Leah. Jej imię przeszło mnie nagłą tęsknotą. Spojrzałem na zegarek i przyrzekłem sobie, że zatelefonuję do niej o trzeciej po południu, w porze, gdy będzie kładła się spać. Rozglądając się dookoła, zdałem sobie sprawę, że prócz mnie Leah nie rozpoznałaby żadnej z osób siedzących w poczekalni, i nie potrafiłem powiedzieć, czy wyświadczyłem jej wielką przysługę, czy też może raczej odciąłem od tych potężnych mocy, które

167

uformowały w połowie jej inteligencję, wyobraźnię i całą psychikę, a teraz zebrały się, by czuć

przy łożu mojej matki i zaprotestować przeciwko jej śmierci. Chociaż niemal z każdym z tu obecnych dzieliła mnie jakaś różnica zdań i chociaż moja rodzina doprowadziła do perfekcji sztukę dysonansu, czułem, że porusza mnie nieodparte piękno i pozytywny aspekt tego spotkania. Przed pięć laty ogłosiłem się człowiekiem bez rodziny. Teraz nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy był to śmiertelny grzech, czy tylko pobożne życzenie.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, wstałem i wyszedłem z poczekalni. Chwilę później podążył za mną korytarzem doktor Pitts; zatrzymaliśmy się dopiero na zewnątrz, przy głównym wejściu. Wciąż nie czułem się swobodnie w mojej obecności, ale wzruszała mnie troska, jaką przejawiał o matkę.

— Czy mogę zamienić z tobą dwa słowa, Jack? - zapytał.

— Jasne.

— Twoja matka chce otrzymać ostatnie namaszczenie.

— Skąd wiesz?

— Wiem o niej wszystko - odparł doktor Pitts. - Wiem, że chciałaby, abym skontaktował się z ojcem Jude'em w opactwie Mepkin. Znasz go.

— Tego trapistę? - powiedziałem. - Mama często go odwiedzała, kiedy byliśmy dziećmi. W latach pięćdziesiątych mieszkał nawet jakiś czas razem z nami.

Zatelefonowałem z automatu do opactwa, a potem wróciłem do poczekalni i podszedłem razem z doktorem Pittsem do otwartego okna, jak najdalej od rodzinnych swarów.

— Rozmawiałeś z ojcem Jude'em? - zapytał.

— Rozmawiałem z jego opatem. Zaraz po niego pojedę.

— Weź samochód matki. Stoi na parkingu - powiedział doktor Pitts. A potem łzy popłynęły z jego oczu i widząc je, ponownie zdałem sobie sprawę, że nasz ojczym kocha Lucy co najmniej tak samo mocno jak jej synowie.

ROZDZIAŁ 12

Czułem perfumy mojej matki, White Shoulders, w powietrznych prądach i wszystkich zakamarkach jej cadillaca. Okazały, pożerający hektolitry benzyny, krążownik szos świetnie pasował do wizerunku, jaki Lucy stworzyła na swój użytek, odkąd wyszła za doktora Pittsa. Żonę sędziego stale ograniczają w różnych poczynaniach względy rozsądku i ostrożności. Chociaż całe życie Lucy było spektakularnym pasmem ekstrawagancji, zawsze odczuwała presję tych surowych nakazów. Po ślubie z doktorem nic nie krępowało już jej słodkiej próżności i wrodzonego entuzjazmu. I takiej oto, pomyślałem, doczekała się nagrody.

Klucząc przez cały czas bocznymi drogami, podążałem w stronę opactwa Mepkin, małej wysepki modlitwy, ukrytej w podzwrotnikowych lasach, trzydzieści mil od Charlestonu. Izolacja klasztoru była zamierzona. Cisi mężczyźni o ogolonych głowach schronili się przed światem w labiryncie dopływów Cooper River, by móc żyć w samotności, wyrzekając się ziemskich rozkoszy.

Milczenie było tu jednym z pomniejszych bogów, post jego towarzyszem. Głosy mnichów codziennie wznosiły się w nabożnej pieśni; wielu było wśród nich kruchych jak szklane klepsydry wątych starców. Sprzedawali jajka i miód lokalnym hurtownikom, baptystom lub metodystom, którzy rozprowadzali je po całym stanie. Zawsze wydawali mi się najdziwniejszymi ludźmi pod słońcem, chociaż kiedy sędzia uderzał w gaz, wielokrotnie znajdowaliśmy tu razem z matką schronienie i azyl. Wyjeżdżaliśmy do Mepkin, by uciec przed niebezpieczeństwem i leczyć pokaleczone dusze. Mieszkaliśmy zawsze w jednym

169

z gościnnych domków; codziennie chodziliśmy razem z zakonnikami na mszę, a matka godzinami spacerowała z ojcem Jude'em po lesie. Dorastając wierzyłem, że Lucy kocha się w tym zakłopotanym i cichym mężczyźnie.

Kiedy jechałem prowadzącą do klasztoru długą aleją, z zagajnika wybiegł nagle zuchwały czerwony lisek i zatrzymał się na środku drogi. Przyhamowałem i obserwowałem zwierzę, które nie okazywało najmniejszego lęku. Gdy gwizdnałem, zadarło łepki do góry i przyjrzało mi się bacznie nieruchomymi ślepkami. A potem z lasu wyskoczyła jego matka, złapała niesforne dziecko za kark i pognęła z nim szybko do swojej nory.

Łono natury, oto czego brakowało mi we Włoszech, pomyślałem: intymnej więzi z tym, co nieczłowiecze i nieposkromione.

Ojciec Jude czekał na mnie obok dzwonnicy, odmierzającej ściśle wyliczone godziny zakonnego życia. Był lekko niezrównoważonym, podobnym do czapli wysokim mężczyzną o twarzy wystraszonego trawożernego zwierzęcia. W stosunkach międzyludzkich zawsze sprawiał wrażenie topornego i przesadnie ostrożnego. Matka uważała Jude'a za świętego człowieka, mnie jednak jego wiara bardziej przypominała melancholię. W dzieciństwie stałe miałem poczucie, że się o mnie boi - dotykał mnie tak, jakby moje kości zrobione były z najbardziej kruchej porcelany. Potem, gdy dorosłem, unikał ze mną wszelkiego kontaktu wzrokowego. Kiedy wsiedliśmy do samochodu i ruszyłem z powrotem, był tak spięty, że ktoś mógłby pomyśleć, iż wiozę go do burdelu.

W drodze do Waterfordu odzywał się bardzo rzadko i nie zwracał w ogóle uwagi na porośnięte cyprysami trzęsawiska i atramentowoczarne wody Edisto, Ashpoo i Combahee River. Dopiero gdy minęliśmy pierwszy z mostów, wyznaczających granicę słonej wody - miejsce, gdzie topole amerykańskie i drzewa gumowe ustępowały miejsca waterfordzkim moczarom, zakonnik przypomniał sobie o mojej obecności.

— Brakuje ci Boga? - zapytał. Prostota tego pytania za skoczyła mnie.

— Dlaczego o to pytasz, ojczu?

— Byłeś kiedyś bardzo religijnym chłopcem.

— Wierzyłem wtedy również w babę-jagę - odparłem. -

I w monetę pod poduszką. Lubię niezbite dowody.

— Twoja matka powiedziała, że jesteś odszczepieńcem.

— To prawda - przytaknąłem, starając się zachować spo-

—

kój, mimo że zdenerwowało mnie to określenie. - Co nie oznacza, że nie lubię czasami zagrać w bingo.

— To wszystko, co oznacza dla ciebie Kościół? - zapytał. - Bingo?

— Nie - odrzekłem. - Oznacza również Inkwizycję. Generała Franco. Milczenie papieża podczas Holocaustu. Aborcję. Kontrolę urodzin. Celibat księży.

— Rozumiem - mruknął zakonnik.

— To tylko wierzchołek góry lodowej - wyjaśniłem.

— Ale co z Bogiem? - zapytał.

— Pokłóciłem się z nim.

— Dlaczego?

— Pomógł uśmiercić moją żonę. To oczywiście nieprawda.

Ale łatwiej mi jest winić jego niż siebie.

- Dziwne podejście - stwierdził zakonnik.

Spojrzałem na jego wychudły profil drugorzędnego świętego.

Ostre rysy nadawały jego twarzy żarliwość, której brakowało miękkiemu głosowi.

- Kiedy byliśmy młodszy, sądziliśmy, że mama ma z tobą

romans - powiedziałem. - Byliśmy tego pewni.

Zakonnik uśmiechnął się, nie wydawał się jednak wcale poruszony tą rewelacją.

— Łączyły was zbyt bliskie stosunki - kontynuowa-

łem. - W waszych spotkaniach było zawsze coś dziwnego

i niedopowiedzianego. Szepty i muśnięcia rąk. Wspólne spacery po lesie. Mój ojciec był chorobliwie zazdrosny. Zawsze cię nienawidził.

— No tak. Sędzia - westchnął ojciec Jude. - On też niczego nie rozumiał. Oznajmił mi kiedyś, że ma dowody na to, iż ja i twoja matka jesteśmy kochankami. Twierdził nawet, że napisał w tej sprawie list do papieża.

— A byliście kochankami? - zapytałem.

— Nie, ale kochaliśmy się - odparł zakonnik.

— Ale dlaczego? Co was w sobie pociągało?

— To nie był fizyczny pociąg. Łączyły nas wspólne dzieje.

— Wspólne dzieje?

— Znałem ją, jeszcze zanim spotkała twego ojca.

— Mów dalej - zachęciłem go.

— Wzajemnie podtrzymywaliśmy się na duchu. Łączyły nas sekrety. Stare sekrety.

— Dlaczego nie mówisz po łacinie? Prędzej bym cię zrozumiał - mruknąłem.

171

— Czy wiesz coś o dzieciństwie swojej matki? - zapytał.

— Jasne.

— Co?

— Urodziła się w górach Karoliny Północnej. Dorastała w Atlancie. Poznała mojego ojca w Charlestonie.

— Nic nie wiesz. Dokładnie tak, jak myślałem - stwierdził.

- Wiem więcej od ciebie... przyjacielu - dodałem po chwili.

Jechaliśmy w milczeniu przez całą minutę, nim w końcu odpowiedział.

- Nie, nic nie wiesz... - mruknął i dopiero po dziesięciu sekundach dokończył zdanie - ...przyjacielu.

Prosto z parkingu ruszyliśmy szybko na oddział, gdzie leżała matka. Mijając braci, pomachałem im ręką, ale Jude przeszedł przez poczekalnię, jakby ich tam w ogóle nie było. Kiedy kładł swoją walizeczkę przy łóżku i przygotowywał się do namaszczenia jej świętymi olejami, jego usta bez przerwy poruszały się w modlitwie. Przed udzieleniem sakramentu uklęknął przy matce, wziął ją za rękę, pocałował w środek dłoni i zapłakał.

Jego zachowanie wydało mi się dziwne i niestosowne. Podeszedłem do okna i rozchyliwszy żaluzje, spojrzałem na rzekę, starając się usunąć w cień. Ojciec Jude był dziwnym człowiekiem, o lodowato zimnym wnętrzu i chmurnej powierzchowności. Zawsze uważałem, że utrzymując z nim przyjazne stosunki, matka odsuwa się ode mnie.

- Oni nie wiedzą, przez co razem przeszliśmy, Lucy - usłyszałem nagle jego głos. - Nie wiedzą, skąd tu się wzięliśmy.

Te słowa zaskoczyły mnie podobnie jak jego łzy. Zarzucałem temu wychudłemu zakonnikowi powściągliwość i chłód, ale przecież to ja, nie on, nie potrafiłem okazać żadnych emocji przy łóżku umierającej matki. Moje własne łzy wydawały się tkwić w głębi lodowca, do którego nie miałem żadnego dostępu. Cóż ze mnie za człowiek, pomyślałem, skoro nie umiem zapłakać nawet w takiej chwili. Matka wychowała nas na twardych stoików i teraz płaciła za to brakiem naszych łez, których nie byliśmy w stanie uronić w szpitalu. Przygryzając wargę, odwróciłem się do ojca Jude'a, który przygotowywał się do udzielenia jej ostatniego namaszczenia.

Ostatnie namaszczenie, powtórzyłem w myśli, kiedy zakonnik zapalał i wręczał mi kolejne świeczki. Introit, kompleta, eucharystia, konsekracja, kyrie i confiteor. Czy był kiedyś ministrant bardziej ode mnie rozkochany we wzniosłym języku religii? Znajdując oparcie w smukłych jak róże słowach, mogłem zbliżyć

172

się do Pańskiego ołtarza. Pozbawiony od tak dawna wiary, słyszałem teraz ponownie miłosną pieśń mego kościoła: skrzydlate pierzaste słowa unosiły się wokół mnie niczym emanacje Ducha Świętego. Ten kościół, ta bazylika użyczyła mi kiedyś dachu nad głową.

Ojciec Jude włożył fioletową stulę i przystawił krucyfiks do warg matki. Ponieważ była nieprzytomna i pozostawała w bezpośrednim zagrożeniu życia, odpuścił jej wszystkie grzechy. Wedle kanonów wiary nieśmiertelna dusza Lucy jaśniała teraz niczym świeżo sformowana moneta. Ojciec Jude zrobił w powietrzu znak krzyża.

— Czy możesz mi odpowiadać? - zapytał.

— Minęło dużo czasu - odparłem, kiwając głową. - Po angielsku czy po łacinie?

— Pax huk domui - zaczął, nie odpowiadając na moje pytanie i natychmiast zbudziła się we mnie dusza ministranta. Pokój temu domowi, przetłumaczyłem w myśli te trzy słowa, czując, jak uderzają mnie swoim pięknem.

- Et omnibus habitantibus in ea - odparłem.

I wszystkim, którzy w nim mieszkają.

Ojciec Jude skropił święconą wodą moją matkę, łóżko oraz mnie, po czym wręczył mi mały czarny modlitewnik, otworzył go na stronie 484 i wskazał palcem odpowiedni ustęp. "Niechaj diabeł lęka się wejść do tego domu - przeczytałem. - Niechaj mieszkają w nim aniołowie pokoju i opuszczają go wszelkie nieprawości. Chwalmy Pana". Krople święconej wody spływały mi po twarzy.

Przypomniałem sobie, jak często modliłem się, aby ojca trafił szlag po jednym z jego pijaństw, i recytując teraz łacińskie odpowiedzi, nie potrafiłem uwolnić się od tej myśli. Zakonnik był spokojny, zajęty udzielaniem sakramentu, bez reszty pochłonięty sprawowaną funkcją.

Odmawialiśmy gładko wszystkie formułki, podobnie jak przed wielu laty, gdy służyłem do mszy w opactwie Mepkin. Ojciec Jude zanurzył kciuk w fiołce ze świętym olejem i robiąc znak krzyża, namaścił powieki Lucy.

— "Niech poprzez te święte oleje Pan odpuści w swej nie skończonej łasce wszystkie nie wyznane grzechy, które popełniłaś" - przeczytałem po angielsku. Zakonnik wyrecytował to samo po łacinie, po czym namaścił jej uszy, nozdrza, usta, dłonie oraz stopy.

— Kyrie eleison - powiedział. Panie, zmiłuj się.

173

- Chryste eleison - odparłem. Chryste, zmiłuj się.

Na koniec odmówił modlitwę, która miała odsunąć od niej wszelkie zakusy Złego, i poprosił Jezusa, aby przyjął Lucy z otwartymi ramionami po wszystkich cierpieniach i zgryzotach, jakich zaznała w swoim krótkim i grzesznym życiu.

Po raz pierwszy, odkąd wróciłem do domu, spojrzałem na Lucy jak na własną matkę. Był czas, że żyłem kiedyś w tej kobiecie, połączony z nią wspólnym krwiobiegami. Jedząc, odżywiała siebie i mnie. Próbowałem wyobrazić ją sobie jeszcze przed moim urodzeniem, marzącą o spoczywającym w jej łonie dziecku, nadającą mu kształt chłopca, którego pragnęła - chłopca, który dojrzewał potem zbyt blisko niej i zbyt mocno ją pokochał, olśniony jej kwitnącym zdrowiem i legendarną urodą. Czy syn może pokochać zbyt mocno własną matkę? Co dzieje się z duszą, kiedy ta miłość odpływa, jak to się stało w moim wypadku, i podąża ku innym celom? Jak to wszystko mogło się przytrafić

jednemu człowiekowi i dlaczego musiało się przytrafić właśnie mnie?

Rytuał dobiegł końca i ojciec Jude zdjął z szyi fioletową stułę.

— Po raz kolejny zawdzięczasz coś Kościołowi - powie
dział.

— Dlaczego?

— Ponieważ twoja matka będzie żyć.

— Skąd wiesz?

— Zostałem wysłuchany - oświadczył zakonnik.

- Co za brednie! - zawołałem. - Co za arogancja.

Ojciec Jude złapał mnie za nadgarstek, odcinając dopływ
krwi.

- Nie, Jack - oświadczył z pasją. - To wiara.

Tego dnia wyszedłem nieco wcześniej ze szpitala, aby zakupić w Piggly Wiggly wiktuały na
kolację, którą chciałem podjąć ojca i braci. Po nieskończonej obfitości dóbr na Campo dei Fiori
trochę zaskoczyło mnie skąpe zaopatrzenie przeciętnego małomiasteczkowego supermarketu.
Będąc jednak człowiekiem elastycznym, zwłaszcza jeśli idzie o kuchnię, zakupiłem fasolkę,
warzywa i żeberka i pośpieszyłem do domu ojca, aby zabrać się do dzieła.

Moich braci również znużyła ponura atmosfera poczekalni i wkrótce pojawili się wszyscy w
kuchni, w której przygotowywałem posiłek. Ojciec oraz doktor Pitts i zakonnik pozostali

174

w szpitalu, by czuwać przy chorej. Obierając kartofle, przypomniałem sobie, że od przyjazdu do
Waterfordu ani razu nie rozmawiałem z Leah. Zerkając na wiszący na ścianie zegar, uświadomiłem
sobie, że w Rzymie dochodzi właśnie północ.

— Czy zaprosiliście na kolację Johna Hardina? - zapytałem,
podnosząc słuchawkę kuchennego telefonu.

— Jasne, brachu - odparł Tee, pociągając łyk piwa. -

Kazał mi przekazać, że całuje cię w dupę i nie ma ochoty na
żaden z twoich frykasów.

— Jego strata - mruknąłem, po czym podałem telefonistce
numer mojej karty kredytowej, kierunkowy do Włoch, kierun
kowy do Rzymu i na koniec numer mojego telefonu przy Piazza
Farnese.

Telefon zadzwonił dwa razy, zanim Leah podniosła słuchawkę.

— To ty, tato? - zapytała.

— Cześć, mała - odparłem czując, jak ściska mnie w gardle
miłość do tego dziecka. - Siedzę tutaj razem z moimi braćmi
i wszyscy przesyłają ci całusy.

— Jak się czuje babcia, tato? Czy wyzdrowieje?

— Nie wiadomo. Lekarze mają nadzieję, że będzie żyć, ale
nie są tego do końca pewni.

— Czy będę mogła przyjechać na pogrzeb, jeśli umrze?

— Przylecisz tu pierwszym samolotem, obiecuję. Czy Maria
dobrze się tobą opiekuje?

— Oczywiście, tato. Ale każe mi za dużo jeść. Pakuje we
mnie za dużo jedzenia. Za ciepło mnie ubiera. Uważa, że wszys
tkie moje lalki mają zarazki. Każe mi się za ciebie bez przerwy
modlić. Wczoraj zapaliłyśmy za twoją matkę trzy świece
w trzech różnych kościołach.

— To miło z jej strony. Co słychać w szkole? Jak się miewa
Suor Rosaria? Co słychać na piazzy?

— Wszyscy mają się świetnie, tatusiu - poinformowała mnie

Leah. - Wczoraj wieczorem zadzwonili do mnie rodzice ma
my - dodała ciszej. - Długo rozmawialiśmy.
Zamarło mi serce.

— Co mówili?

— Dziadek prawie nic nie powiedział. Płakał tylko, kiedy
usłyszał mój głos. Potem babcia Fox odebrała mu słuchawkę.
Była taka miła. Taka słodka. Powiedziała, że ma nadzieję, że
się z tobą teraz zobaczy. Wybierasz się do nich?

— Jeśli tylko będę miał chwilę czasu, kwiatuszku - odpar-
175

łem. - To nie jest takie łatwe. Dziadek Fox niezbyt mnie lubi. Nigdy mnie nie lubił.

— Powiedział, że mają prawo się ze mną widywać - oznaj
miła Leah.

— Jest wiele rzeczy, których ci jeszcze nie opowiedziałem,
kochanie.

— Ale teraz mi powiesz?

— Kiedy tylko znów się spotkamy. Kiedy tylko dowiem się
czegoś więcej o mamie.

— Znalazłam w bibliotece album z fotografiami. Na jednej
z nich widać dwoje ludzi stojących nad rzeką. Czy to są rodzice
mojej mamy? Czy to są moi dziadkowie?

— Znam to zdjęcie - odparłem. - Tak, to oni.

— Wyglądają tak miło.

— Zgadza się, tak właśnie wyglądają.

— Dzisiaj wieczorem telefonowała Martha - powiedziała
Leah. - Bała się, że możesz się na nią gniewać. Za to, że dała
nasz numer swoim rodzicom.

— Nie jestem tym zbyt zachwycony - odparłem - ale
wygląda na to, że w tym miesiącu zaskoczył nas trochę bieg
wydarzeń. Coś wisi w powietrzu, Leah. A kiedy coś wisi w po
wietrzu, nie sposób z tym walczyć.

— Czy wszyscy o mnie pytają? Czy chcą mnie zobaczyć?

— Nie mogą się doczekać, żeby się z tobą spotkać, a ja nie
mogę się doczekać, żeby do ciebie wrócić.

Obejrzałem się i zobaczyłem za sobą Dupree, Dallasa i Tee.

- Czy możemy zamienić kilka słów z naszą bratanicą? -

zapytał Dupree. - To nie potrwa długo. Chcemy ją tylko
powitać w rodzinie. Cześć, Leah - powiedział, biorąc do ręki
słuchawkę. - Mówi twój wujek Dupree. Jeszcze o tym nie
wiesz, ale zamierzam się w tobie zakochać, a ty z pewnością
zakochasz się we mnie. W gruncie rzeczy zakochałem się w tobie
już teraz, słuchając, jak rozmawiasz ze swoim tatą.

Dupree puścił do mnie oko i słuchał przez chwilę odpowiedzi Leah. Malujący się na jego twarzy
zachwyt dawał pojęcie, w jakim kierunku rozwija się rozmowa. Dallas chciał mu odebrać
słuchawkę, ale Dupree trzepnął go po dłoni.

- Teraz chce z tobą pogadać wujek Dallas, kochanie, ale
nie zapominaj, że to właśnie Dupree jest twoim najfajniejszym
wujkiem.

Dallas odebrał mu w końcu słuchawkę.

- Nie wierz ani jednemu jego słowu, Leah. Mówi twój

ulubiony wujek Dallas. Polubisz mnie o wiele bardziej od Dupree, ponieważ jestem od niego zabawniejszy, przystojniejszy i o wiele bogatszy. Mam dwójkę dzieci w twoim wieku. Będziesz mogła się z nimi bawić, a ja codziennie będę ci kupować tyle lodów, ile tylko zdołasz zjeść. Teraz rwie się do telefonu mój brat Tee... Tak, świetnie się bawimy. Za chwilę usłyszysz wujka Tee. Waży czterysta funtów, nigdy się nie kąpie i opowiada świńskie kawały nawet małym dziewczynkom. Nikt nie lubi Tee i ty nie będziesz w tym względzie wyjątkiem.

Podał słuchawkę Tee, który przywitał się i pierwszy z nich wysłuchał spokojnie tego, co miała do powiedzenia Leah. Kilka razy się roześmiał i w końcu powiedział:

- Boże, kiedy tu przyjedziesz, zapowiada się wystrzałowa zabawa. Nauczę cię łowienia krabów i zarzucania sieci na krewetki. Będziemy łowić ryby z pomostu i możemy nawet wypłynąć na pełne morze, jeśli będziesz grzeczna. Jeśli będziesz niegrzeczna, nauczę cię palić papierosy i kupię ci pierwszą parę butów na wysokim obcasie. Oddaję teraz słuchawkę twojemu tacie. Ludzie mówią, że jesteśmy podobni, ale ja jestem od niego dwa razy przystojniejszy.

Powiedziałem Leah dobranoc, a potem do telefonu podeszła Maria, twierdząc, że musi ze mną zamienić kilka słów. Marię zawsze przerażały wysokie koszty rozmowy międzynarodowej, w związku z czym mówiła bardzo szybko, posługując się prawie niezrozumiałą gwarą swojej wioski.

- Lentamente, Maria - powiedziałem.

Maria podjęła przerwany monolog. Skarżyła się na wysokie ceny jedzenia, powtórzyła mi plotki z piązzy i zapewniła, że Leah jest tak samo mądra i piękna jak przed moim wyjazdem. Zakończyła rozmowę, wyrażając nadzieję, że nie naraziła mnie na zbyt duże koszty i że nie zapomnę zapierających dech uroków Rzymu.

A potem ponownie usłyszałem głos Leah.

— Zrobisz coś dla mnie, tatusiu?

— Wszystko, moja mała. Wiesz o tym.

— Nie wściekaj się na rodziców mamy za to, że zadzwonili.

Obiecuj.

— Obiecuję - odparłem.

— I jeszcze jedno - poprosiła.

— Masz to jak w banku.

— Opowiedz mi bajkę.

— Nigdy nie zapomnę roku, kiedy wylały rzeki i Wielka

Chippie... - zacząłem.

177

ROZDZIAŁ 13

Nauczyliśmy się odmierzać czas, słuchając kropel, które skapywały do igły tkwiącej w ramieniu matki. Jej serce pozostawiało niewyraźny podpis na przesuwającej się pod baczynym okiem pielęgniarek wstędze milimetrowego papieru. Dwa razy dziennie lekarz zdawał beznamiętnym oschłym głosem raport o stanie jej zdrowia. Tee przyniósł z domu piłkę i nazajutrz wyszliśmy kilka razy na parking, żeby trochę pograć. Temperatura ciała matki spadła o cały stopień. Po raz pierwszy pozwoliliśmy sobie na ostrożny optymizm.

Nazajutrz zdrzemnąłem się trochę po wyjściu ze szpitala, a potem pojechałem samochodem matki do niedawno kupionej letniej posiadłości Mike'a Hessa.

Błade światło trzymało Waterford w gorącej dłoni umykającego dnia. Koniec kwietnia jest tą porą roku, kiedy słońce wydaje się roztopiać w wodzie i dotykać obsypanych kwiatami, przeistoczonych drzew; skąpane w jego promieniach miasto wyglądało, jakby ktoś składał na jego skórze czuły i smutny pocałunek.

Jechałem powoli w stronę wysp leżących na wschód od miasta. Zwodzony most był podniesiony i

musiałem przepuścić płynący na południe jacht. Aby ponownie poczuć się stuprocentowym południowcem, złapałem stację country nadającą z Sa-vannah. Muzyka działała niczym marynata na mój znużony umysł.

Dom Mike'a stał na stuakrowej, zapierającej dech posiadłości, tuż przy torze wodnym: liczącym tysiąc mil, wyznaczonym przez boje i radiolatarnie krętym kanale, biegnącym od Miami 178

aż po Maine. Zawsze wiedziałem, że ten, kto ma smykałkę do żagli, może dotrzeć z Waterford River do każdego portu na świecie. Może dopłynąć wszędzie, zrobić wszystko. Może dać się ponieść przyływowi i uciec przed grozą własnego życia.

Rezydencję otaczał przepyszny ogród, mieniący się barwami konwalii, narcyzów, alizji i niezapominajek. Przy ścianach rosły azalie, a boczny ogródek rozświetlały białym ogniem derenie. Sam dom wzniesiono w lipnym południowym stylu, który jest główną atrakcją i głównym utrapieniem tutejszych przedmieść. Wszystkie budowle będące jego urzeczywistnieniem stanowią upiorne imitacje Tary z "Przeminęło z wiatrem" bądź dzieła przez nią inspirowane. Od ilorazu inteligencji każdego mieszkańca Południa można śmiało odjąć pięć punktów za każdą kolumnę stojącą przed jego domem. Białe kolumny są metaforycznymi prętami krat południowego więzienia - więzienia, z którego nie sposób uciec ani wyjść za kaucją.

Obchodząc z boku dom, ruszyłem przez wypielegnowany ogród. Kiedy zbliżałem się do pomostu, mój wzrok padł na krzak gardenii i poczułem nagłe uczucie bólu, uświadamiając sobie, że tego wieczoru nie zostałem, żeby czuć przy matce. Daleko, po drugiej stronie rzeki stał szpital, w którym leżała pogrążona w śpiączce.

- Cześć. Witaj w domu - zaskoczył mnie głos Ledare.

Odwróciłem się i przez chwilę cieszyłem oczy widokiem stojącej przede mną pięknej kobiety. A potem dałem krok do przodu i pocałowałem ją lekko w usta, tak jak całują się bracia i siostry.

— Czy w środku dom jest ładniejszy? - zapytałem.

— Mikę zatrudnił hollywoodzkiego dekoratora - odparła

Ledare. - Przywiózł go tu i dał carte blanche. Wygląda to, jak połączenie Monticello z baśniami tysiąca i jednej nocy.

Unikalny wystrój.

Podeszliśmy brukowaną alejką do frontowych drzwi. Wnętrza wyglądały, jakby zaprojektowano je w pośpiechu; wszystko lśniło nowością, a każdy pokój był bardziej aseptyczny od poprzedniego. W salonie wisało kilka scen myśliwskich; wychudli angielscy jeźdźcy pędzili za sforą ogarów po wytapetowanych karolińskich ścianach. Tego rodzaju herbowe obrazki zdobią na Południu orzechowe boazerie drugorzędnych kancelarii prawniczych.

- Mikę ma prawdziwego hopla na punkcie scen myśliw-

179

skich - oznajmiła Ledare, jakby czytała w moich myślach. - W jego domu w Los Angeles wiszą na każdej ścianie.

— Rozumiem - mruknąłem. - Gdzie jest gospodarz?

— Zadzwoił z lotniska ze swojego komórkowego telefonu. Może tu być lada chwila. Powinam cię ostrzec. Powie dział, że zaprosił po kolacji na drinka jakichś tajemniczych gości.

— Jak tu przyjechałaś? Nie widzę drugiego samochodu.

— Wzięłam łódź mojego ojca - odparła Ledare.

— Wciąż znasz dobrze rzekę - powiedziałem z nutką po dziwu w głosie.

Ledare uśmiechnęła się.

— Mogę ci pomóc przy kolacji? - zapytałem.

— Zapomniałam ci powiedzieć? To ty ją przyrządzasz.

— Znakomicie.

— Ty piszesz książki kucharskie. Ja piszę scenariusze. Nie było trudno zgadnąć. Mój ojciec dał nam całą balię krewetek.

— Oprawmy je razem. Masz jakiś makaron?

— Mam wszystko - odparła Ledare. - Mikę powiedział, żebym zaopatrzyła spiżarnię, wykupiłam więc wszystko, co mieli do jedzenia w Charlestonie.

Istnieje niepisane prawo, na mocy którego ludzie nie umiejący gotować i nie delektujący się jedzeniem mają najlepiej wyposażone kuchnie, i Mikę nie był w tym względzie wyjątkiem.

Stanąwszy przy nieskazitelnym blacie, zaczęliśmy oprawiać krewetki, które jeszcze przed dwiema godzinami pływały w kanałach Waterfordu. Odgłowiliśmy je i zdjęliśmy z białego mięsa blade przezroczyste skorupki; na koniec odkroiłem ostrym nożem biegnącą od głowy aż do ogona długą atramentową żyłę. Na dworze słońce kładło się na wodzie i fale zakwitały różanym złotem. Nawet z kuchni roztaczał się tu widok na rzekę. Z każdą minutą w zlewie piętrzyły się coraz wyższe girlandy krewetek.

- Czy przyjąłś propozycję Mikę'a? - zapytałem.

Ledare kiwnęła głową.

— Nasze spotkanie nie jest przypadkowe - odpowiedziała. - Mikę dowiedział się o chorobie twojej matki i zatelefonował do mnie do Nowego Jorku. Wciąż ma nadzieję, że będziesz w tym w jakiś sposób partycypował. Jak się czuje twoja matka? Słyszałam, że nie nastąpiła większa poprawa?

— Jako tako - odparłem. - Zatrzymałaś się w domu

180

swoich rodziców? - zapytałem, zmieniając jak mogłem naj-taktowniej temat.

— Tylko na kilka dni. Myślę, że zanim napiszę pierwszą linijkę, co najmniej przez pół roku będzie trwało zbieranie materiałów. Możesz się przyłączyć, Jack. Bardzo bym się cie szyła.

— To nie dla mnie.

— Zastanów się jeszcze. Mikę traktuje całą sprawę bardzo poważnie. To będzie najdłuższy miniserial w historii, jeśli uda mu się go zrealizować.

Sprawdziłem temperaturę wody w garnku.

- W tym mieście nie wydarzyło się dość ciekawych rzeczy, żeby robić o tym miniserial - stwierdziłem. - W tym mieście nie wydarzyło się dość ciekawych rzeczy, żeby zrealizować sześćdziesięciosekundową reklamówkę.

Ledare przyjrzała mi się uważnie.

— Ty i ja należymy do głównych bohaterów... oczywiście w późniejszych odcinkach. Nazwiska będą zmienione, wszystko sfabularyzowane, ale to my.

— Mikę oczywiście nic mi o tym nie wspomniał.

— Powiedziałby ci, gdybyś choć trochę zainteresował się projektem.

— Projektem! Brzmi to, jakbyście pracowali w NASA. Nie bardzo poznaję Mike'a w tym jego nowym wcieleniu. Nie podoba mi się to, kim został. - Przetawiłem gałkę elektrycznej kuchni na maksimum, a potem ją wyłączyłem. Nienawidzę elektrycznych piecyków i uwielbiam widok płonącego na ku chence gazu.

— Mike jest teraz producentem i przejął wszystkie najgorsze cechy tego zawodu - zaczęła wyjaśniać Ledare i w tej samej chwili usłyszeliśmy zajeżdżający pod dom samochód. - To najpodlejszy gatunek człowieka pod słońcem, ale on jest akurat najsympatyczniejszym producentem, jakiego znam. Uśmiechnij się, Jack. Powierzchnowy stosunek do życia jest składową częścią tej branży.

Do domu wpadł biegiem Mike.

— Przykro mi z powodu twojej mamy, Jack - powiedział, obejmując mnie. - W Hollywoodzie jest co najmniej tysiąc ludzi, którzy powinni zachorować na białaczkę, ale Pan Bóg musiał obdarować nią kogoś tak słodkiego jak ona.

— Miło, że to mówisz, Mike - odparłem. - Tak sądzę.

181

— Ciao, kochanie - zawołał, całując Ledare w policzek. - Bosko jest widzieć znowu was oboje. W Los Angeles przestają już poznawać sam siebie. Wczoraj obsztorcowałem dziesiętnastoletnią praktykantkę. Biedaczka aż się popłakała. Czuję się jak świnia.

— Jesteś znany z tego, że obsztorcowujesz ludzi - powiedziała Ledare.

— Ale wcale tego nie lubię. Nie jestem wtedy sobą.

— Jesteś, jeśli robisz to bez przerwy - stwierdziłem. - Napijesz się czegoś?

— Jasne i z całą pewnością nie wody sodowej - rzekł Mike. - Zrób mi margaritę.

— Nie mogę - powiedziałem. - Jestem Amerykaninem.

— W takim razie bourbona.

— Mnie też, Jack - poprosiła Ledare.

Zrobiłem drinki i usiedliśmy na osłoniętej siatką werandzie, pozwalając, by owionęły nas zapachy ogrodu. Cieszyłem się, że mogę odpocząć trochę od szpitalnej atmosfery.

— Chciałbym przeprosić cię za swoje zachowanie w Wenecji - zaczął się tłumaczyć Mike. - Ten facet, którego tam spotkałeś, to nie byłem ja. To ten dupek, którym się stałem i którego się wstydzę. Zachowuję się w ten sposób, ponieważ tylko tak udaje mi się załatwiać sprawy w tej branży. Uprzejmość jest wyśmiewana... dobroć spotyka się ze wzgardą. Na prawdę się wstydzę i mam nadzieję, że mi wybaczysz.

— Znamy się od małego - powiedziałem.

— Wszyscy troje - dodała Ledare. - Kochamy cię z całego serca, Mike.

— Wiemy, kim jesteś i skąd pochodzisz - zapewniłem. - Niełatwo jest być sławnym, nieprawdaż?

Mike podniósł wzrok i nagle w jego oczach zaśniły łzy.

— Sława to jeden wielki syf. Nie dała mi niczego, z wyjątkiem pieniędzy. A czasami wydaje mi się, że one są najgorsze.

— Oczyszczyć sumienie - poradziła mu Ledare. - Podziel się forszą z przyjaciółmi.

— Robiłem szmatławe filmy - przyznał Mike. - Byłem skończonym kutasem i jedyne, co mi z tego pozostało, to

pieniądze.

— Ja też byłem skończonym kutasem i jedyne, co mi z tego pozostało, to umiejętność robienia spaghetti - powiedziałem, 182

pochylając się i ściskając go za ramię. - Chodź, skończymy przyrządzać kolację.

- Ja ci pomogę - zaofiarowała się Ledare.

Nastawiłem niechętnie elektryczną kuchenkę i wkrótce zapach podsmażanego na zielonej oliwie czosnku zawędrował na werandę, gdzie samotny Mike wpatrywał się w ogród i rzekę.

Zorientowałem się, że we dwoje, ja i Ledare czujemy się o wiele swobodniej. Zaczęła opowiadać mi o tym, co zdarzyło się w życiu Mike'a po moim wyjeździe. Przez pięć lat odwiedzał najstynniejszych psychiatrów w Beverly Hills i to właśnie strzępy wspomnień z dzieciństwa nasunęły mu pomysł filmu o Water-fordzie.

Jego specjalnością stały się filmy akcji, bazujące na heroicznym fantazjach nastolatków.

Realizujące je ekipy potrzebowały więcej plazmy niż ambulanse Czerwonego Krzyża po trzęsieniu ziemi i więcej amunicji niż izraelski batalion, stawiający czoło Syryjczykom na Wzgórzach Golan.

Jego produkcje nie powodowały jednak odruchów wymiotnych - były po prostu nieistotne.

Dostarczały rozrywki "przez duże R", jak powtarzał Mike swoim inwestorom, ludziom, którzy polegali na jego bezbłędnie złym smaku. Narzędziem, które pozwalało Mike'owi poznać kapryśny gust publiczności, były tak zwane pokazy przedpremierowe. W jednym z filmów bohater ginął w apokaliptycznej strzelaninie z lokalnym gangiem, jednak po wstępnej projekcji okazało się, że publiczność woli wyjść z kina, mając w pamięci triumfującego z uśmiechem na ustach herosa, a nie jego zwłoki. Dokrecono zatem szybko kilka ujęć, nastąpiło współczesne zmartwychwstanie i oto, na tle kończących film napisów, bohater oddalał się zdrów i cały, pozostawiając na placu boju unieszkodliwionych łajdaków. Opierając się na swoich pokazach, Mike nie musiał się przejmować fochami reżyserów i kaprysami scenarzystów. Publiczność wiedziała dokładnie, czego chce, a on był dość sprytny, by karmić ją z ręki.

Jak wielu innych hollywoodzkich potentatów, którzy zbyt szybko dorobili się zbyt dużych pieniędzy, Mike znalazł się obecnie w dziwnym iluzorycznym okresie, kiedy zapragnął robić wartościowe i ambitne filmy. W Hollywoodzie budził dotąd wyłącznie strach i zazdrość; teraz chciał, by go szanowano. W rozmowie z Ledare przyznał, że to najbardziej niebezpieczna faza jego życia. Nie ma nic żałośniejszego i bardziej banalnego od producenta, który chce w swoim filmie zawrzeć

183

jakiś osobiste przesłanie. Choć nie cierpiał czułościowości, słyszał jej głos w samym sobie, odległy niczym brzęczące na werandzie dzwonki. Za wszelką cenę pragnął opowiedzieć światu o swojej odważnej rodzinie, a także o małym miasteczku na Południu, które udzieliło jej niegdyś schronienia.

W tych planach Ledare i ja odgrywaliśmy kluczową rolę.

Przy kolacji Mike przedstawił mi szczegółowo zamysł serialu. Chciał rozpocząć go od historii swego dziadka, Maxa Rusoffa, który pracował jako rzeźnik w żydowskim miasteczku w Rosji i był świadkiem pogromu dokonanego przez kozacki pułk. Razem z jego dziadkiem akcja filmu miała przenieść się potem z Rosji do Karoliny Południowej, gdzie Max zarabiał na życie jako wędrowny kramarz, kursując drogą numer 17 między Charlestonem i Waterfordem. Jednym z jego pierwszych water-fordzkich klientów był mój dziadek i ich przyjaźń przetrwała ponad pięćdziesiąt lat.

— Znam te wszystkie opowieści - stwierdziłem. - Słyszałem je dorastając.

— Chcę opowiedzieć historię mojej rodziny, ponieważ inni Żydzi w ogóle nie wierzą, że ich ziomkowie żyją na Południu.

— Pozwól, że o coś cię zapytam, Mike, i chcę, żebyś mi szczerze odpowiedział. Czy masz zamiar wspomnieć w tym

serialu o samobójstwie mojej żony Shyli?

Rozmowa nagle się urwała; moje słowa zawisły w powietrzu. Ledare spojrzała na Mike'a.

- Zmieniamy wszystkie nazwiska - odrzekł. - Cała historia będzie od początku do końca sfabularyzowana.

- Ale pewna młoda Żydówka zabije się, skacząc z mostu?

Ledare wzięła mnie za rękę.

— Wszyscy byliśmy w pewnym stopniu związani z Shylą,

Jack - powiedziała. - Nie tylko ty.

— Była moją kuzynką - dodał Mike. - Jej historia należy zarówno do mojej, jak i do twojej rodziny.

— Znakomicie - odparłem. - Cieszę się, że tak wysoko cenisz rodzinne więzi. Ciekawe, co powiesz innej swojej kuzynce, mojej córce, kiedy będzie oglądała twój program i zobaczy skaczącą z mostu sfabularyzowaną wersję swojej matki? Jak, waszym zdaniem, będę się czuł ja sam i jak macie w ogóle czelność sądzić, że mógłbym partycypować w czymś takim?

— Samobójstwo nie będzie pokazane na ekranie - wtrącił

184

szybko Mike. - Musisz się zgodzić, Jack. Potrzebuję twojej pomocy. Ja i Ledare.

— Samobójstwo Shyli nie ma prawa znaleźć się w tym scenariuszu! - wrzasnąłem.

— Zgoda, pod warunkiem że pomożesz nam przy reszcie.

— Dobrze znacie całą resztę. Wszyscy przeżyliśmy to samo. Tańczyliśmy do tej samej muzyki. Chodziliśmy na te same filmy. Umawialiśmy się nawet na randki z tymi samymi osobami.

— Jemu chodzi o Jordana - przerwała mi neutralnym tonem Ledare.

— Wszyscy wzięliśmy udział w nabożeństwie żałobnym za jego duszę - oznajmiłem spokojnie. - Siedzieliśmy tam razem i płakaliśmy, gdyż był to pierwszy z naszych przyjaciół, który pożegnał się z życiem.

— Łesz - oświadczył Mike. - Przykro mi, że jestem tak brutalnie szczery, przyjacielu. Ale łesz w żywe oczy.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął z niej pakiet fotografii i rozrzucił je przede mną na stole. Przedstawiały Jordana wychodzącego z konfesjonału w Sant' Anselmo i znikającego w klasztornej ogrodzie. Zobaczyłem również samego siebie, uchwyconego w momencie, gdy oglądałem się sprawdzając, czy nikt mnie nie śledzi.

— Sympatyczne fotki mojego rzymskiego spowiednika - powiedziałem, przyglądając się kolejno zdjęciom. - A tutaj śliczny obrazek, jak wchodzę na Awentyn. I kolejny, jak przyśpiewuję do spowiedzi. I co powiecie, oto pojawia się z powrotem, rozgrzeszony i w stanie łaski uświęcającej.

— Kazałem powiększyć te fotografie w Warner Brothers i porównać je ze zdjęciami Jordana ze szkoły średniej. Twoim spowiednikiem we Włoszech jest Jordan Elliott. Przekazujesz mu wiadomości i listy od matki. Mam na taśmie jedną z twoich rzekomych spowiedzi.

Przez dłuższy moment nie byłem w stanie się odezwać.

— Wiedziałaś o tym? - zapytałem Ledare.

— Nie róbmy z tego melodramatu - zaproponował Mike. - Zapłacę ci za historię Jordana i zapłacę, żebyś opowiedział wszystko, co wydarzyło się między tobą i Capersem Middletonem na uniwersytecie.

— Jedno pytanie, Mike. Kto mi zapłaci za skopanie ci tyłka? Nie lubię, kiedy ktoś mnie śledzi. Nie lubię, kiedy ktoś robi

185

mi po kryjomu zdjęcia. I na pewno nie lubię, kiedy ktoś nagrywa moją spowiedź.

— To nie była spowiedź - stwierdził Mike. - Nie było tam żadnych treści religijnych. Ta historia jest mi potrzebna, żeby opowiedzieć o losach mojej rodziny, poczynając od Rosji i Holocaustu. Chcę opowiedzieć o ludziach, z którymi się przyjaźniliśmy... naprawdę się przyjaźniliśmy, Jack. A wszystko zakończy się wyborem Capersa Middletona na gubernatora Karoliny Południowej.

— Jeśli Capers Middleton zostanie gubernatorem Karoliny Południowej, stracę wiarę w demokrację - powiedziałem, starając się opanować drżenie głosu. - Ten stan i tak zdążył już ją osłabić, wybierając do Senatu Stroma Thurmonda.

— Byłeś szefem komitetu wyborczego Capersa, kiedy ubiegał się o stanowisko starosty pierwszego roku.

— Nie rób mu z tego zarzutu - zaprotestowała Ledare. - Capers był wtedy zupełnie inny. Ja byłam jego pierwszą żoną. Urodziłam mu dwójkę dzieci.

— Capers przyznaje, że był dla ciebie złym mężem - dodał Mike. - Ale któż z nas nim nie jest? Ja sam ożeniłem się cztery razy. Shyla wzbila się łabędzim lotem z mostu.

Zanim Mike zorientował się, co się dzieje, złapałem go za krawat i podniosłem z krzesła, tak że nasze nosy znalazły się tuż obok siebie.

— Lubię powtarzać sobie, Mike, że samobójstwo Shyli nie miało nic wspólnego z tym, że byłem złym mężem. Byłem nim dla twojej informacji, ale Bóg mi świadkiem, nie aż tak bardzo złym, aby posłać moją cudowną i udręczoną żonę na ten most nad Cooper River. Rozumiesz, Mike? Czy mam ci rozbić nos, żebyś to sobie lepiej zapamiętał?

— Puść go, Jack - syknęła Ledare.

— Przepraszam, Jack. Wygaduję straszne głupoty. Naprawdę bardzo mi przykro. To nie byłem prawdziwy ja...

— To był ten dupek, którym stałem się w Hollywoodzie... - dokończyła za niego kwestię Ledare.

Posadziłem ostrożnie Mike'a z powrotem na fotelu i poprawiłem mu krawat.

— Przepraszam, Mike - powiedziałem.

— Zasłużyłem na to. Powinieneś rozkwasić mi gębę. Sam nie potrafię uwierzyć, że wygaduję ciągle takie rzeczy - jęknął Mike i w jego głosie zabrzmiała autentyczna skru-

186

cha. - Wiecie, że moja matka mnie nienawidzi? Naprawdę. Nie patrzcie na mnie w ten sposób. Mówię wam, ona nienawidzi człowieka, którym się stałem. Budzę odrazę we własnej matce. Patrzy na mnie i pyta: "Co jest złego w tym, że człowiek jest po prostu szczęśliwy? Gdzie tkwi grzech?" Salon oświetliły nagle reflektory samochodu i przed domem zatrzymał się samochód.

— Przyjechali nasi goście - rzucił wesoło Mike, ruszając szybkim krokiem do drzwi.

— Wiesz, kto to może być? - zapytał Ledare.

— Nie mam pojęcia.

A potem zobaczyłem w jej oczach zaskoczenie i ból, których nie zdołała ukryć mimo swojej słynnej zimnej krwi. W jej staraniach, aby odzyskać nad sobą panowanie, było coś heroicznego.

Obejrzałem się i zobaczyłem jej byłego męża i mojego byłego przyjaciela, Capersa Middletona, który wszedł do pokoju w towarzystwie swej drugiej żony Betsy.

— Cześć, Capers - przywitała go Ledare. - Cześć, Betsy.

— Mieliśmy zamiar zabrać dzieci - powiedziała Betsy - ale oboje mają jutro testy, a zanim wrócimy do Charlestonu, zrobi się na pewno późno.

— Zobaczę się z nimi w weekend - odparła sztywno Ledare.

— Miałaś rację, Mike - oświadczył z uznaniem Capers. - Zupełnie ich замуrowało.

— Człowieku - zapał zadowolony z siebie Mike. - Bingo!

— Cześć, Jack - pozdrowił mnie Capers. - Dawno się nie widzieliśmy. Opowiedziałem o nas Betsy wszystko.

— Przyjrzyj mi się dobrze, Betsy - powiedziałem - po nieważ widzis mnie po raz ostatni w życiu.

— Uprzedził mnie, że tak właśnie się zachowasz - odparła Betsy, rzucając mężowi pełne uznania spojrzenie.

Capers Middleton był jednym z tych południowych przystojniaków, których olśniewającej urody nie plami najmniejsza nawet skaza. Efekt potęgowały nieskazitelne maniery i wychowanie.

Podobnie jak wiele dziewcząt, uwielbiałem niegdyś przyglądać się jego twarzy. To ona właśnie nauczyła mnie, że uroda jest ostatnią rzeczą, jakiej można ufać.

Capers podał mi rękę, ale ja nie kwapiłem się, żeby ją uścisnąć.

- Dla mnie ta historia nie jest wcale zakończona, Capers.

I nigdy nie będzie - stwierdziłem.

187

— To wszystko należy do przeszłości - skomentował. -

Przykro mi z powodu tego, co się stało. Chciałem ci to powie dzieć prosto w twarz.

— Zrobiłeś to - odparłem. - A teraz zejź mi z oczu.

— Capers nie przyjechał tutaj bez powodu - wtrącił Mike. - To ja go zaprosiłem i chcę, żebyś zachowywał się grzecznie wobec przyszłego gubernatora i jego żony. Chodźmy napić się czegoś w gabinecie. Capers ma propozycję, której moim zdaniem powinieneś wysłuchać.

— Wracam do domu, Mike - oznajmiła Ledare.

— Proszę cię, zostań, Ledare - zwróciła się do niej Betsy. - Mężczyźni zajmą się swoimi sprawami, a my możemy porozmawiać o dzieciach.

Ledare posłała Capersowi spojrzenie przestraszonego ptaka.

— Nie mogę uwierzyć, że mi to zaproponowała - szepnęła.

— Betsy jest trochę staroświecka. Pomyślała, że może chcesz dowiedzieć się, co słychać u naszych wspólnych dzieci.

— Wszyscy do gabinetu - rozkazał Mike. - Napijemy się koniaku.

Powietrze wokół nas było dziwnie naelektryzowane. Mike nalewał alkohol do kieliszków, a ja próbowałem zgadnąć, w jakim wieku jest Betsy. Po chwili przypomniałem sobie, że ma

dwadzieścia pięć lat. Byłem pewien, że już ją kiedyś widziałem, nie potrafiłem sobie jednak uświadomić gdzie. A potem doznałem nagłego olśnienia i wybuchnąłem śmiechem.

— Przyszło mi do głowy kilka reakcji, Jack - powiedziała Ledare. - Nie pomyślałam jednak, żeby to wszystko obrócić w śmiech.

— Betsy to Miss Karoliny Południowej - oświadczyłem, wciąż krztusząc się ze śmiechu. - Capers porzucił cię dla Miss Karoliny Południowej. Dla Betsy Singleton ze Spartanburga.

— Byłam bardzo dumna, mogąc przez cały rok służyć mojemu stanowi - odcięła się Betsy i spodobała mi się jej zadziorność. - A dzień, kiedy reprezentowałam Karolinę Południową w Atlantic City, był najszcześniejszym dniem w moim życiu przed ślubem z Caperssem.

— Za dużo czasu spędziłem w Europie, Betsy. Zapomniałem już, że istnieją dziewczęta takie jak ty. Całkiem możliwe, że wygrasz te wybory, Capers. Karolinie Południowej może spodobać się ten kicz.

188

— Daj jej spokój - upomniał mnie Mikę. - To jeszcze dziecko.

— Jest bardzo dobra dla naszych dzieci - stwierdził Capers. - Ledare może to potwierdzić.

— Dla mnie też była bardzo miła - przyznała Ledare.

— Kochana jesteś, że to mówisz - pochwaliła ją Betsy.

— Ledare nie powiedziała tego serio - stwierdziłem. -

Słysząc było w jej głosie nieszczerłość.

— Nie tobie o tym sądzić - ofuknęła mnie.

— Porzuciłeś Ledare Ansley dla Betsy - ciągnąłem dalej, zwracając się do Capersa. - Straszny z ciebie kutas, Capers.

— Jack, proszę cię, kontroluj się, człowieku - zachnął się Mikę.

— Pocałuj mnie w dupę - odparłem. - Choćbym żył tysiąc lat, nigdy nie zapomnę tego, co zrobił Capers Middleton. I nigdy mu tego nie wybaczę. Coś ty sobie, do diabła, myślał, ściągając nas tutaj? Że o wszystkim zapomnimy i jutro rano wybierzemy się na kaczki?

— To był bardzo okrutny pomysł - dodała Ledare, wstając nagle i wlewając swój koniak do kieliszka Mike'a. - Nie powinieneś tego robić ani mnie, ani Jackowi. Nie powinieneś tego robić Capersowi ani Betsy.

— Jak inaczej mogłem was wszystkich zebrać? - zapytał Mikę. - Robię to ze względu na serial. Pamiętaj, kto jest jego producentem. Zostań, proszę.

Ale Ledare była już w drzwiach. Mikę pobiegł za nią błagając, żeby nie odchodziła, po chwili jednak usłyszałem odgłos zapuszczanego silnika i domyśliłem się, że motorówka odpływa w stronę Waterfordu.

Teraz mogłem się nareszcie przyjrzeć młodocianej żonie Capersa.

Była dla mnie zdecydowanie zbyt ładna: wyglądała jak dziecko z plakatu zachwalającego picie mleka. Wszystko wydawało mi się w niej przesadzone, przyczesane i wydumane. Jej witalność miała w sobie tę senną mechaniczną jakość, dzięki której startujące w konkursach piękności

dziewczyny otrzymują często tytuł Miss Gracji. Jej uroda budziła podziw, nie pożądanie, a uśmiech sprawiał, że miałem ochotę spytać o nazwisko jej dentysty.

— Masz dwadzieścia pięć lat, prawda, Betsy? - zapytałem.

— Prowadzisz spis ludności? - odcięła się.

189

— Tak, ma dwadzieścia pięć lat - odparł za nią Capers.

— Pozwól, że zgadnę. Należałaś do Tri Delt * w Karolinie Południowej.

— Bingo! - zawołał Mikę, wchodząc z powrotem do pokoju.

— I do Junior League **.

— Bingo - powtórzył Mikę.

— Skąd wiesz? - zapytała Betsy.

— Twoje spojrzenie, Betsy. Wszystkie dziewczęta z Junior League uczą się mrużyć w ten sposób oczy. Robią to, żeby ich mężowie czuli się adorowani, kiedy plotą od rzeczy.

— Próbujesz mnie zaszufładować - stwierdziła i zobaczyłem w jej oczach prawdziwy ogień.

— To Południe cię zaszufładowało, Betsy. Ja sprawdzam tylko, czy jest w tobie coś oprócz stereotypu.

— Betsy wychowano na południową piękność - oznajmił Capers, obejmując ramieniem swoją żonę. - Nie ma w tym nic złego.

— Ja jestem z tego dumna - dodała Betsy.

— Południowa piękność - powtórzyłem. - Na Południu to dzisiaj rodzaj obelgi, Betsy. Inteligentne kobiety nie określają się już w ten sposób. Kiedy jakaś kobieta mówi o sobie coś takiego, oznacza to na ogół, że jest głupia jak but. Ale ty jesteś z pewnością bardzo błyskotliwa, chociaż masz fatalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

— Wcale się nie wstydzę, że jestem południową pięknością.

A jeśli chodzi o mężczyzn, mam najlepszy gust w całej Karolinie Południowej.

— Poślubiłem Betsy, dlatego że jest lojalna, Jack.

— Nieprawda. Istnieje tylko jedna prawdziwa zbrodnia, której nie wybacza się żadnemu mężczyźnie - stwierdziłem.

— Mianowicie? - zapytał Capers. Mikę usiadł z powrotem w swoim fotelu.

— Nie wybacza się żadnemu mężczyźnie... młodemu i staremu... kiedy zdradza i upokarza partnerkę, która jest jego rówieśniczką, aby poślubić kogoś o wiele młodszego. Nie ożeniłeś się z Betsy dlatego, że była lojalna. Ożeniłeś się z nią, bo była młoda.

* Korporacja studencka, której członkowie legitymują się bardzo dobrymi wynikami w nauce.

** Stowarzyszenie młodych kobiet, udzielających się społecznie wśród klas niższych.

190

— Zdrada kryje w sobie czasem nieoczekiwane przyjemności - odparł Capers i Mikę roześmiał się na znak zgody. -

Zawsze imponowała mi twoja pryncypialność, Jack.

— Jestem o wiele mądrzejsza od kobiet z waszego pokolenia - dodała Betsy, włączając się do gry.

— Nieprawda, juniorko. - Zdawałem sobie sprawę, że zachowuję jak cham. Zaczynał działać na mnie koniak; udzielała mi się panująca w gabinecie napięta atmosfera. Zmierzyłem jeszcze raz wzrokiem Betsy i ruszyłem do frontального ataku. - Moje rówieśniczki były najmądrzejszymi, najbardziej seksownymi i fascynującymi kobietami, jakie kiedykolwiek żyły w Ameryce. Stworzyły ruch wyzwolenia kobiet i wyszły na ulicę, aby powstrzymać niewiarygodnie głupią wojnę w Wietnamie. Walczyły jak lwice o równe prawa w miejscu pracy, studiowały prawo i medycynę, weszły przebojem do biznesu i wychowały swoje dzieci o wiele lepiej, niż robiły to nasze matki.

— Uspokój się, Jack - wtrącił Mikę. - Betsy to jeszcze dziecko.

— To głupia gęś - stwierdziłem. - W porównaniu z moimi rówieśniczkami, ja, Mikę i twój tchórzliwy małżonek wydajemy się słabi i nieciekawi. Nie waż się o nich mówić ani słowa, Betsy, chyba że masz zamiar paść przed nimi na kolana.

— Jack podkochiwał się kiedyś w Ledare, Betsy - oświadczył wcale nie zbity z tropu Capers. - Zerwała z nim tuż przed balem Świętej Cecylii w Charlestonie. Nie mógł nigdy przeboleć, że wywodzi się z klas niższych.

— Nie jesteś godna, żeby całować jej nogi, Betsy - ciągnąłem dalej.

— Ale ona zerwała z tobą i wyszła za Capersa - odpaliła. - Muszę powiedzieć, że to znacznie podnosi ją w moich oczach.

— Myślałem, że mogę polegać na twoich dobrych manierach - upomniał mnie Mikę, próbując załagodzić zaostrzającą się wymianę zdań. - Betsy to bombowa dziewczyna. Razem z Caperssem odwiedzili mnie parę razy w moim domu w Beverly Hills.

— Chodzi mi wyłącznie o to, żeby zranić Capersa - od rzekłem. - On wie, że potrafię opowiedzieć wam jej życiorys tu, w tym pokoju, ani chwili się nie zastanawiając. Spotkałem w życiu tysiące kobiet takich jak Betsy. Nie daje mu spokoju

191

fakt, że poślubił żywe wcielenie południowego stereotypu. Mogę powiedzieć Capersowi, na kogo będzie głosowała w ciągu następnych pięćdziesięciu lat, ile będzie miała dzieci i jakie nada im imiona. Mogę powiedzieć, jaki wzór będą miały jej srebra i porcelana, jaki był zawód jej ojca i nazwisko panińskiego matki, a także pod sztandarami jakiego pułku Konfederacji jej pra-pradziadek walczył w drugiej bitwie pod Buli Run.

— Mój prapradziadek zginął pod Antietam.

— Przepraszam, Betsy. Czasami myślę się w detalach.

— A gdzie zrobiłam dyplom, dupku? - zapytała Betsy, pociągając łyk koniaku.

— Wolałbym, żebyś nie posługiwała się tego rodzaju językiem, kochanie - zwrócił jej uwagę Capers.

Mnie jednak bardzo spodobała się i zaskoczyła jej werwa.

— Nieźle, Betsy. Complimenti. Nigdy bym nie zgadł. Zawsze kiedy wydaje mi się, że wiem już wszystko, co można wiedzieć

o dziewczynach z Południa, jedna z nich posyła mi kręconą piłkę, której nie potrafię odebrać. To było po prostu wspaniałe.

— Żenię się wyłącznie ze sprytnymi, bystrzymi i pięknymi kobietami, Jack - oświadczył Capers. - Powinieneś o tym już dawno wiedzieć.

— Zamknij się, Capers - warknąłem. - Muszę zranić twoją żonę jeszcze bardziej, żeby w końcu wybiegła stąd z płaczem.

— Zastanawiam się, czy nie wyrzucić cię z mojego domu - mruknął Mike.

— Niestety, Mike, obawiam się, że biorąc pod uwagę różnicę wagi, będziesz miał z tym mały problem. Ty też się zamknij, bo będziesz musiał się długo tłumaczyć, dlaczego mnie tutaj zwabiłeś.

— Rozumiem teraz, czemu twoja żona skoczyła z mostu - stwierdziła nagle Betsy. - Dziwię się tylko, że tak długo z tym zwlekała.

— Nie mów tego nigdy więcej, Betsy, bo sprawię lanie twojemu mężowi. Zdefasonuję mu gębę tak gruntownie, że zamiast na zebraniach wyborczych będą go pokazywać na jarmarku. Betsy odwróciła się do Capersa, który nie wydawał się specjalnie poruszony.

— Mój mąż wcale się nie boi.

— Boi się, tylko tego nie pokazuje.

— Walczył w Wietnamie. Ty uciekleś przed poborem.

192

— Zgadza się, Miss Karoliny Południowej. Tak się jednak składa, że wciąż mogę skopać mu tyłek. Gdyby ludzie tacy jak ja walczyli w Wietnamie, wygralibyśmy tę wojnę. Pomyśl o tym, kiedy następnym razem będziesz robiła biskwity z serem albo smażyła jajecznicę.

— Wszyscy liberałowie są tacy sami - syknęła Betsy. Widać było, że nie czuje się zbyt pewnie w świetle jupiterów. - Słyszałam, że twoja żona była zagorzałą feministką.

— Oboje byliśmy - wyjaśniłem. - Moją córkę też wychowuję na feministkę.

— I jaką będzie miała z tego korzyść?

— Nie będzie cię w najmniejszym stopniu przypominać - odparłem. - Gdyby była do ciebie podobna albo wyszła za kogoś podobnego do Capersa Middletona, własnoręcznie zrzuciłbym ją z mostu na Cooper River.

Betsy Middleton wstała z wielką godnością z fotela.

— Chodźmy, Capers - powiedziała. - Możemy spędzić noc u twojej matki. Zatelefonuję do pokojówki.

— Dobranoc, Betsy - zawołałem słysząc, jak w moim głosie pobrzmiwa okrucieństwo. - Przypomniałem sobie teraz, jaki numer odstawiłaś podczas wyborów Miss Ameryki. Żonglowałaś pochodniami. Wstydzilem się za cały mój stan i wszystkie jego mieszkanki.

Wychodząc Betsy miała łzy w oczach, a ja czułem, jak ogarnia mnie żal i wstręt do samego siebie.

— Pięknie, Jack - powiedział kręcąc głową Mike. - Prawdziwy z ciebie skurwysyn.

— Przedzwoń jutro do Betsy w moim imieniu, Mike - poprosiłem. - Powiedz, że ją przepraszam i że normalnie nie jestem takim szuja. To nie ona, lecz jej mąż budzi we mnie odrazę.

Mój atak na Betsy najwyraźniej nie wyprowadził z równowagi Capersa Middletona; w jego błękitnych oczach nie widać było śladu gniewu. O tej porze dnia i w tym oświetleniu wyglądał jak mężczyzna, który wyklął się z jaja na kręgu polarnym.

— Gdybyś to ty postąpił w ten sposób wobec kobiety, którą kocham - dodałem po chwili - musiałbyś załatwić sobie wizytę u chirurga szczękowego.

— Przesada - stwierdził Mike, stając między nami. - Zawsze miałeś do niej skłonności.

Spojrzałem na niego z ukosa.

193

II

- Facet z Hollywoodu nigdy nie powinien wdawać się w dyskusję na temat przesady - powiedziałem.

Capers odchrząknął i spojrzał mi prosto w oczy.

— Potrzebuję twojej pomocy, Jack. Brakuje mi naszej przyjaźni - oznajmił.

— Wysłuchaj go, Jack - poprosił Mike. - Wysłuchaj Capersa. Jeśli zostanie gubernatorem, za parę lat ma zamiar ubiegać się o urząd prezydenta.

— Jeśli Capers zostanie prezydentem, biorę Boga za świadka, że wystąpię o włoskie obywatelstwo - stwierdziłem.

— Chcę, żebyś wziął udział w mojej kampanii wyborczej, Jack - powiedział Capers.

Posłałem zdumione spojrzenie Mike'owi.

— Czy ten dupek nie potrafi zrozumieć, co do niego mówię?

Nienawidzę cię, Capers, a poza tym jesteś republikaninem.

Nienawidzę republikanów.

— Ja też ich nienawidziłem - przyznał Mike. - A potem zostałem zamożnym człowiekiem.

— Okoliczności naszego zerwania są w tym stanie szeroko znane i mogą mi przysporzyć trochę kłopotów podczas kampanii - kontynuował Capers.

— Mam nadzieję, że przysporzą ci miliona kłopotów. Całkowicie na nie zasłużyłeś - odparłem.

— W przyszłym miesiącu stanowa gazeta opublikuje o mnie obszerny artykuł. W lokalnej stacji telewizyjnej kończą montować program na temat mojej działalności politycznej w Karolinie Południowej.

— Czy opowiedzą o tym, co zdarzyło się na uniwersytecie? - zapytałem.

— Oczywiście - oznajmił Capers i spokój, z jakim to powiedział, był niesamowity. - Większość mieszkańców tego stanu uważa, że postępując tak, jak postąpiłem, dałem dowód patriotyzmu. Mniejszość jednak jest zdania, że nadużyłem wtedy zaufania przyjaciół. Może się z tego zrobić dyskusja o moralności i obawiamy się, że demokraci mają zamiar to wykorzystać.

— Niech żyje mniejszość. Gdyby Judasz Iskariota zawarł przymierze z Benedictem Arnoldem*, tobie dostałaby się w spadku cała planeta.

* Amerykański generał (1741-1801), spiskował z Brytyjczykami, chcąc poddać im West Point.

194

— Capers powiedział mi, jaką ma wizję tego stanu - wtrącił Mikę. - Jeśli go wybiorą, w całym kraju nie znajdziesz gubernatora, który wybiegałby bardziej myślą naprzód.

— Przestań, Mikę. Pocą mi się oczy.

— To, co stało się wtedy na uniwersytecie, mogło się wydarzyć tylko podczas wojny w Wietnamie - stwierdził Capers. - Bronilem zasad, w które święcie wierzyłem. Uważałem, że kraj znalazł się w niebezpieczeństwie.

— Nie mogę powstrzymać łez. Zawsze się rozczulam, kiedy słyszę te brednie.

— To były ciężkie czasy - oświadczył Mikę. - Nawet ty musisz to przyznać, Jack. Wymigałem się od wojska, ponieważ uważałem, że tak będzie lepiej, a poza tym nie chciałem nadstawić tyłka za kraj, którego nazwy nie potrafiłem nawet wymówić.

— Wszyscy popełnialiśmy błędy podczas tej wojny - dodał Capers.

— Ja nie popełniłem. Nie popełniłem ani jednego błędu podczas całej tej pierdolonej wojny. To, że występowałem przeciw niej, przynosi mi zaszczyt.

— Na wietnamskich weteranów patrzy się teraz życzliwszym okiem - powiedział Capers.

— Ja nie patrzę. Mam powyżej dziurek w nosie ich skamienia. Czy mieliśmy kiedyś w tym kraju weteranów, wśród których tylu byłoby mazgajów? Którzy tak głośno i często wzywaliby, aby się nad nimi użalać? Nie wydaje mi się, żeby ci ludzie mieli choć trochę szacunku do samych siebie.

— Opluwano nas, gdy wracaliśmy do kraju.

— Brednie - stwierdziłem. - Jedno wielkie kłamstwo.

Słyszałem to tysiące razy i nie daję temu wiary. Oczywiście zawsze działo się to na lotnisku.

— Tak było w moim przypadku.

— Gdyby działo się to tak często, jak twierdzą weterani, amerykańskie lotniska zostałyby zalane potokami śliny. Kłamalesz, Capers, a jeśli rzeczywiście ci się to przytrafiło, powinieneś wybić zęby temu dupkowi, który cię opluł. W to właśnie nie mogę uwierzyć. Opluto milion wietnamskich weteranów i nikt nie stracił przy tym ani jednego zęba. Nic dziwnego, że przegraliście tę pierdoloną wojnę.

— Jack zawsze mi tym imponował - powiedział Mikę, zwracając się do Capersa. - I wciąż imponuje. Niektórym może się to nie podobać, ale on zawsze idzie na całość.

195

— A mnie to właśnie w nim drażni - odparł Capers, patrząc na mnie. - W jego świecie nie ma miejsca na kompromis, na odcienie znaczeniowe, na przepychanki. Nie ma żadnego pola

manewru. To świat, w którym obowiązuje zasada albo-albo, wszystko albo nic. Świat skrajności, bez żadnego marginesu bezpieczeństwa. To, co opowiada, brzmi szczerze, ale nie ma nic wspólnego z życiem na tej ziemi.

— Dobrze powiedziane - pochwalił go Mike.

— Ja jestem elastyczny - dodał Capers. - Dlatego zaszedłem tak wysoko.

— Jesteś amoralny. Dlatego zaszedłeś tak wysoko - warknąłem, ruszając bez pożegnania do wyjścia.

— Jeszcze do mnie zadzwonisz, Jack - usłyszałem za sobą głos Capersa. - Zrobisz to, bo znam twoją największą słabość. Kochasz Jordana Elliotta.

Wystartowałem w ślepej furii spod domu Mike'a, zostawiając smugi spalonej gumy na polnej drodze, która biegła środkiem jego posiadłości. Trzęsły mi się ręce i chociaż kwietniowe powietrze było ciepłe i przesycone zapachem kwiatów, czułem, jak ogarnia mnie lodowaty chłód. Byłem wystarczająco wściekły, by kogoś przejechać albo rozwalić znak drogowy, na szczęście jednak udało mi się bez przeszkód dotrzeć do głównej szosy, prowadzącej do miasta.

Pojechałem prosto do domu Ledare, która czekała na mnie w białym wiklinowym fotelu na werandzie. Na wiklinowym stole stała butelka whiskey Maker's Mark i wiaderko z lodem. Wciąż dygotałem po rozmowie z Caperssem i nalewając sobie bourbona, rozlałem kilka kropel.

— Wiedziałaś, że przyjedziesz. Właściwie o tym marzyłam - powiedziała, kiedy usiadłem w fotelu. - Jak się czujesz po spotkaniu z Księciem Ciemności?

— Będzie ci przeszkadzać, jeśli rozbiję tę butelkę i poderżnę sobie szkłem żyły? - zapytałem.

Ledare zrzuciła ze stóp sandały i podkuliła pod siebie nogi, a ja pociągnąłem łyk bourbona.

- Nienawidzę tego miasta, tego stanu, tej nocy, tych ludzi, mojej przeszłości, mojej teraźniejszości i mojej przyszłości... - oznajmiłem. - Jediną rzeczą, na którą czekam z utęsknieniem, jest śmierć. To odróżnia mnie od ogółu ludzi, którzy jej się

196

boją. Ja widzę ją jako długi płatny urlop, w trakcie którego nie będę musiał myśleć o Karolinie Południowej ani o Capersie Middletonie. Ledare roześmiała się.

— W kinie następuje w takiej chwili scena, kiedy bohaterka wypowiada jakąś bardzo ważną, krzepiącą kwestię. Na przykład: "Wiem, że przeszedłeś piekło, kochanie, ale czy nie sądzisz, że wyglądam dziś bombowo?" Potem spoglądasz na mnie, stwierdzasz, że wyglądam bombowo, zaczynasz mnie wściekle pożądać i uświadamiasz sobie nagle, że noc dopiero się zaczęła i masz przed sobą całe życie.

— Tak to wygląda w kinie? - zapytałem.

— W kinie i czasami w rzeczywistości - odparła.

— A zatem powinienem teraz stwierdzić, że wyglądasz bombowo.

— Wolałabym "uroczo".

Przyjrzałem się jej i jak zwykle spodobało mi się to, co zobaczyłem.

— Pastwiłem się nad Betsy - powiedziałem. - Ta biedna dziewczyna nigdy nie zrobiła mi nic złego, a ja rzuciłem się jej prosto do gardła. Tylko dlatego, że chciałem dokuczyć Capersowi.

— Nie mógłbyś mi sprawić większej przyjemności. Nie wiem,

czy jest coś bardziej upokarzającego, niż to, że wychowaniem twoich własnych dzieci zajmuje się inne dziecko.

— Oboje procesowaliśmy się o przyznanie opieki nad dziećmi. Jak to się stało, że Capers wygrał? Liczyłem się z tym, że stracę Leah, i wiedziałem dlaczego, ale ty byłaś przecież dobrą matką.

— Dobrą, lecz niezbyt sprytną. Po urodzeniu Sarah przybrałam dość dużo na wadze. Popełniłam błąd, nie starając się szybko schudnąć. Nie wiedziałam, że Capers nie znosi otyłych kobiet. W czym nie różni się zresztą od większości mężczyzn w tym kraju. Żaden z was nie będzie zadowolony, póki bulimia nie stanie się częścią małżeńskich ślubów. Pan Capers wdał się więc w liczne romanse, które zakończyły się na uroczej Betsy.

— Ale co z dziećmi?

— Przeszło rok zajęło mi pozbycie się tych kilku funtów, przez które straciłam Capersa. Ale on opowiadał już wtedy na lewo i na prawo, że pisanie scenariuszy jest dla mnie ważniejsze niż małżeństwo. Rozstaliśmy się i wyjechałam z dziećmi do

Nowego Jorku. Spotykałam się tam z każdym, kto miał na mnie ochotę. Nie byłam zbyt wybredna. Ani zbyt ostrożna. To nie był dobry okres, Jack. Wstydę się każdej jego minuty. Ale pomógł mi się pozbyć nienawiści do Capersa. Żyjąc z nim, miałam wrażenie, że tkwię pod taflą lodu. Walczył ze mną w ten sam sposób co z tobą. Prywatni detektywi. Fotografie. Spotykałam się między innymi z pewnym czarnym pisarzem. Poznałam go na wieczorze autorskim. Kilku innych było żonatych. To wystarczyło, żeby zabrać mi dzieci.

— Chcesz, żebym tam wrócił i złożył mu skórę?

— Czy ty nie potrafisz mówić o niczym poza biciem ludzi?

— Wolałbym, żebyś potraktowała to jako dowód mojej odwagi. Jestem facetem, Ledare. Wiem, czego obawiają się inni faceci. Strach, że dostaną od kogoś w zęby, naprawdę potrafi im zatruć życie. Poza tym wiesz przecież, że próbowałam ci po prostu poprawić samopoczucie.

— Jeśli chcesz poprawić mi samopoczucie, powiedz, że go zabijesz. Przetrzepanie skóry to za mało.

Podniosła moją lewą dłoń, przyjrzała jej się w słabym świetle, które padało od rzeki, i dwukrotnie przekreśliła ślubną obrączkę na serdecznym palcu. Moje dłonie są drobne i wyglądają, jakby należały do człowieka niższego ode mnie o pół stopy.

— Dlaczego wciąż nosisz obrączkę?

— Bo nigdy nie wziąłem rozwodu. I nie ożeniłem się ponownie. Przypomina mi Shylę.

— Słodki Jack. Mimo swojej groźnej miny jesteś łagodny jak baranek.

— Nie, nie jestem, ale byłbym, gdybym miał innego ojca.

— Przed chwilą pokłóciłam się z matką. Za każdym razem, kiedy słyszę jej głos, żałuję, że nie jestem sierotą.

— Uważasz, że to dziwne? Że wciąż noszę obrączkę?

— Nie. Powiedziałałam już, że moim zdaniem to słodkie.

— Ale trochę dziwne.

— Może trochę. Zdejmujesz ją, kiedy chodzisz na randki?

— Nie chodzę zbyt często na randki.

— Dlaczego?

— Kiedy kobieta, którą się kocha, popełnia samobójstwo, człowiek traci do siebie zaufanie, Ledare. Jeśli nawet wie, że wpływ na jej śmierć miały skomplikowane siły... siły, których właściwie nie znał i nigdy nie zdołał zrozumieć... pozostaje przeświadczenie, że się do tego przyczynił. Zastanawiam się

198

nad tym za każdym razem, kiedy dzwonię do kobiety, żeby zaprosić ją na kolację.

- Obawiasz się, że kobieta, którą zaprosisz na kolację, może popełnić samobójstwo?

Roześmiałem się z jej żartu.

— Nie. Obawiam się, że jeśli ją polubię, a ona polubi mnie, jeśli dojdzie do następnych kolacji i pocałunków, a potem weselnych dzwonów, któregoś dnia będę być może oglądał kolejne ciało w kostnicy.

— Przepraszam, że to powiedziałam, Jack. Wybacz.

— Co noc widzę w moich snach skaczącą do wody Shylę.

Dzieje się to w najróżniejszych okolicznościach. Płynę na przykład kajakiem po rzece na Alasce, a ona wychodzi z lasu i rzuca się w dół ze skały. Albo spaceruję brzegiem kanału w Amsterdampie i widzę, jak Shyla skacze z okna jednej z tych wspaniałych kamienic, których fasady odbijają się w wodzie. Skaczę za nią i kiedy otwieram oczy pod wodą, widzę, że wokół mnie unoszą się tysiące Shyli, wszystkie martwe.

— Nie możesz się chyba doczekać, żeby zasnąć.

— Noc nie jest moją ulubioną porą dnia.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Jak udało ci się zatrzymać Leah?-zapytała cicho Ledare.

— Co się stało z waszym dębem? - zapytałem, odchylając się do tyłu i zmieniając temat. - Mieliście najpiękniejszy dąb w okolicy.

— To Capers - odparła. - Przez cały okres naszego małżeństwa powtarzał, że dąb zasłania zachodzące nad rzeką słońce. W tamtym roku, kiedy zaczęło się między nami psuć, podchodził często do drzewa ze wszystkimi swoimi pracownikami. Trzymali w rękach szklanki z czymś, co przypominało piwo, i udawali, że podziwiają zachód słońca.

— Nie rozumiem.

— W szklankach był w rzeczywistości silny środek chwasobójczy. Podziwiając zachód słońca, wylewali ukradkiem truciznę na ziemię. Sześć miesięcy trwało, zanim biedne drzewo zaczęło w końcu usychać. Ludzie w Waterfordzie byli oburzeni, ale Capers wszystkiemu zaprzeczył.

— Wiedziałaś o tym? - zapytałem.

— Nie, oczywiście, że nie - odparła. - Kilka lat później opowiedział mi o wszystkim jeden z jego pracowników. Ale ojciec podejrzewał Capersa od samego początku.

199

— To dziwne, ale doszedłem w swoim życiu do takiego

momentu, że bardziej mi zależy na dębie niż na człowieku.

Wolę żdźbło trawy od Capersa Middletona.

— On wciąż uważa, że zostanieie z powrotem przyjaciółmi.

— Po dzisiejszej nocy zmienił chyba zdanie.

— Wracając do Leah... Opowiedz mi o procesie - po prosiła.

— Rodzice Shyli obciążali mnie oczywiście odpowiedzialnością za jej śmierć. Po pogrzebie wpadłem w jedną z moich drobnych depresji. Bracia oddali mnie do szpitala w Columbii i poddano mnie leczeniu. Jakiś czas trwało, zanim leki poprawiły mi humor i zacząłem grać w podkowy z innymi pacjentami.

— Gdzie była wtedy Leah?

— Mieszkała u Foxów, oczywiście załamanych po stracie Shyli. Leah już wtedy była magicznym dzieckiem. Wpadli na pomysł, moim zdaniem całkiem niewinny, że Leah może im zastąpić Shylę. Wystąpili o pozbawienie mnie władzy rodzicielskiej, kiedy się leczyłem.

— Jak udało ci się wygrać, skoro byłeś w szpitalu psychiatrycznym?

— W szpitalu pracuje mój brat Dupree. Przyszedł i opowiedział mi, co zrobili Foxowie. Gniew stanowi najlepsze antidotum na depresję. Ból po śmierci Shyli ustąpił miejsca wściekłości na teściów, którzy chcieli ukraść mi dziecko. Jej ojciec zeznał podczas procesu, że wielokrotnie biłem Shylę... lista moich łajdactw była bardzo długa. Oczywiście kłamał, ale oni rozpaczliwie chcieli zatrzymać Leah, mieć jakąś pamiątkę po Shyli.

— Nic dziwnego, że wyjechałeś do Włoch.

— Moja rodzina bardzo mnie wtedy wspierała. Dallas prowadził sprawę praktycznie za darmo. Foxowie skompromitowali się podczas przesłuchań. Shyla napisała pożegnalny list. A potem moi bliscy zeznali, że jestem dobrym ojcem. Nigdy nie podejrzewałem, że jest w nich tyle godności... tyle wielkości ducha, mimo tego, co razem przeszliśmy. Zobaczyłem swoją rodzinę z nowej strony i dlatego byli tak urażeni, kiedy zaraz po procesie wyjechałem, zrywając z nimi wszystkie kontakty.

— Im też się nie dziwię.

— Popełniłem wiele błędów - powiedziałem. - Teraz jednak nie mogę już ich naprawić.

— Shyli nie spodobałoby się, że opuściłeś na zawsze Południe.

200

Usłyszałem w głosie Ledare lekką wymówkę i uważniej jej się przyjrzałem.

— Musiałem odpocząć od Południa - stwierdziłem w końcu. - Uznałem, że jest zbyt męczące, żeby o nim myśleć, zbyt absorbujące, żeby tu mieszkać, zbyt irytujące, żeby je analizować.

— Jeśli Mikę nie zrealizuje tego projektu, i tak będę chciała o nas wszystkich napisać - powiedziała.

— Zrób ze mnie charlestończyka - poprosiłem. - Twoja matka nie będzie musiała dezynfekować ganku za każdym razem, kiedy wchodzę przez frontowe drzwi.

— Nie robi tego za każdym razem. Wolałaby po prostu, żebyś nauczył się korzystać z tylnych drzwi.
— Jak układają ci się stosunki z rodzicami?
— Tato patrzy na mnie i myśli: złe nasienie. Mamie łyzy napływają do oczu i myśli: złe jajo. Obojgu robi się niedobrze, kiedy pomyślą, że o mały włos nie zostałam żoną gubernatora.
— Jeśli ten dupek obejmie fotel gubernatora, ptaki przestaną jesienią przelatywać nad tym stanem.
— Przyjmij ofertę Mike'a, Jack - powiedziała nagle Ledare.
— Dlaczego? - zapytałem. - Nic mi się w niej nie podoba. Zbyt wiele w niej zasadzek.
— Moglibyśmy poznać się lepiej jako dorośli. Na pewno byś mnie polubił - stwierdziła, biorąc mnie za rękę.
— Ty jesteś największą zasadzką ze wszystkich - odparłem.

ROZDZIAŁ 14

Nazajutrz rano wyjechałem z miasta dwupasmową drogą, biegnącą przez moczary, lasy i płataninę dopływów Waterford River. Trwał właśnie odpływ i świeciło jasne słońce; stojący na moście czarny mężczyzna zarzucił konopną sieć, która zawirowała niczym spódniczka baletnicy, rozpościerając się w idealnym kręgu, dotykając powierzchni wody i natychmiast zanurzając. Wyobraziłem sobie, jak ciężarki opadają na muliste dno, łapiąc w pułapkę wszystkie znajdujące się wewnątrz małże i skorupiaki, a potem próbowałem sobie przypomnieć, gdzie leży moja własna sieć - na wypadek gdyby przyszła mi ochota wypełnić lodówkę szybkimi i silnymi na wiosnę krewetkami. Przejeżdżając przez mostek nad Bazemore Creek, przypomniałem sobie mapę z gabinetu taty, przedstawiającą w rzucie Mercatora całą Gaston Sound, razem z Waterford River i samym Waterfordem. Zaznaczone były na niej granice szelfu kontynentalnego i przyległej strefy i właśnie dzięki tej mapie mogłem się przekonać, ile piękna może zawierać w sobie prosty zbiór użytecznych informacji. Miasto położone było na szerokości 32 stopni i 15 minut, średni przyptyw sięgał siedmiu i pół stopy powyżej poziomu Waterford River. Małe, lecz ważne cyferki pokrywały niczym misternie zaaranżowane graffiti błękit kanałów i rzek, określając głębokość drogi wodnej przy średnim poziomie odpływu. Uwielbiałem studiować tę mapę, ukazywała bowiem moje miejsce na ziemi. Była pieśnią miłosną kartografii, hymnem pochwalnym mili i stopnia. Mknąc teraz przez kolejne wyspy, mijałem zamknięte stacje benzynowe, czarne salony piękności i słone bagna, które zmieniały pogląd człowieka na

202

to, czym jest kolor zielony. Widziałem przed oczyma każdy szczegół tamtej mapy i czułem, jak moje zmysły rozpala zwierzęca woń moczarów.
Przy wjeździe na Isle of Orion zatrzymałem się przed szlabanem i podałem swoje nazwisko strażnicze. Mierząc mnie podejrzliwym wzrokiem, jakbym miał zamiar ukraść wszystkie srebra zgromadzone na wyspie, wystawiła mi niechętnie przepustkę i powiedziała, jak dojechać do domu Elliottów.
— Niech pan nie karmi aligatorów - ostrzegła.
— A po co pani zdaniem wiozę martwego psa w bagażniku? - zapytałem, ruszając szybko spod szlabanu.
Elliottowie mieszkali w pięknym piętrowym domu tuż przy oceanie. Już po kilku sekundach drzwi się otworzyły i Celestine Elliott rzuciła mi się w ramiona.
— Wciąż jesteś taki duży - powiedziała.
— Wciąż jesteś taka ładna - odparłem.
— Nieprawda. W przyszłym miesiącu skończę sześćdziesiąt osiem lat - stwierdziła, ale myliła się. Rysy jej twarzy odznaczały się naturalnym pięknem, które czas mógł co najwyżej

przyćmić, lecz nie zniszczyć.

Celestine Elliott zawsze uchodziła za wzorową żonę oficera, współautorkę błyskotliwej kariery, jaką jej małżonek zrobił w szeregach piechoty morskiej. Potrafiła zawrócić w głowie prawie każdemu mężczyźnie; Rembert wydawał się przy niej kimś o wiele wartościowszym, niż był w istocie, po prostu dlatego, że udało mu się zdobyć tak atrakcyjną kobietę. Miała dar zwracania na siebie uwagi - zwłaszcza gdy rozmawiała z ludźmi, od których zależał jego awans.

Wiele osób, łącznie z Celestine, było zdania, że gdyby generał Rembert Elliott nie miał syna, dawno już zostałby komendantem marines. Jordan zaszkodził jego karierze bardziej niż japoński pocisk, który o mało nie pozbawił go życia w bitwie o Tarawę.

Celestine zaprowadziła mnie do salonu i naląła dwie filiżanki kawy. Kilka mil od brzegu płynął statek, kierując się na północ, w stronę Charlestonu. Po wstępnej wymianie uprzejmości wręczyłem jej elegancką torbę Fendiego, w której były dwa listy i prezenty od syna.

— Jest pewien kłopot, Celestine - powiedziałem cicho.

— Większy, niż ci się wydaje, kochanie - usłyszeliśmy, nim zdążyła odpowiedzieć.

203

Rembert Elliott, generał marines w każdym calu, stał w drzwiach prowadzących na tyły domu, wpatrując się w żonę swymi błękitnymi oczyma, które były jasne i nieskomplikowane niczym morskie powietrze. Z twarzy Celestine odpłynęła cała krew, a ja spokojnie pochyliłem się i zabrałem dwa listy, które trzymała w dłoni.

— Oddaj mi te listy, Jack - rozkazał generał.

— Są moje. Ja je napisałem - oznajmiłem wstając.

— Kłamiesz. Ty i moja żona jesteście oboje kłamcami - oświadczył. Złość wykrzywiła jego twarz w nieprzyzwoitym grymasie. - Zdradziłeś mnie, Celestine. Moja własna żona okazała się zdrajczynią.

— Dlaczego nie pojechał pan do Hilton Head, żeby pograć w golfa, generale? - zapytałem. Nie spodziewałem się zastać go w domu.

— Użyłem fortelu, aby złapać was na gorącym uczynku - stwierdził.

— Ja nazwałbym to raczej kłamstwem - odparłem. -

Witamy w naszym małym klubie.

— Dostałem te zdjęcia od Capersa Middletona. Zrobiono je w Rzymie - mówiąc to uniósł w górę plik fotografii. Przez chwilę myślałem, że wręczy je żonie, ale on zmienił nagle zdanie i cisnął je na podłogę. Celestine zaczęła je bez słowa zbierać. Poczucie ładu i porządku nie opuszczało jej nawet w trakcie najbardziej gwałtownych napaści generała. Trzymając w ręku jedną z fotografii, przyjrzała się nieco dłużej bladej ascetycznej postaci syna.

A potem Rembert Elliott zrobił coś, co zaskoczyło nas oboje. Celestine w dalszym ciągu zbierała zdjęcia, a on cofnął się nagle, jakby nie wiedział, co ma robić dalej. Potrafił zdobywać ufortyfikowane plaże, jednak przyczółek, który miał teraz zaatakować, wydawał się o wiele trudniejszy do opanowania. Jedyna możliwa do zastosowania strategia opierała się tutaj na podstępnie, biefie i prowokacji. Generał nie uczęszczał do żadnej wojskowej akademii, która ułatwiłaby mu potyczkę z własną niewielką rodziną. Nawet posyłająca mu przekorne spojrzenie żona wydawała się w tej chwili nieprzyjacielskim zwiadowcą, któremu udało się prześlizgnąć pod podczepionym do miny drutem i zakraść do jego domu.

Zanim ów człowiek czynu okazał się zdolny do jakiegokolwiek akcji, wykorzystałem jego dziwny paraliż, mijając go i udając

się do łazienki. Podarłem na drobne strzępy listy Jordana, wrzuciłem je do toalety i spuściłem wodę. Kiedy wróciłem, oboje siedzieli w fotelach, mierząc się nieufnym wzrokiem.

— Kazałaś mi uczestniczyć w nabożeństwie żałobnym syna wiedząc, że okrył mnie hańbą i żyje? - zapytał generał.

— Myślałam, że zginął - odparła.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, kiedy odkryłaś, że żyje?

— Ponieważ pan go nienawdził, generale - wtrąciłem się do ich rozmowy. - Zawsze pan go nienawdził. Wiedział o tym Jordan, wiedziała Celestine, wiedziałem ja i pan też o tym wiedział. Dlatego panu nie powiedziała.

— Miałem prawo wiedzieć. Twoim obowiązkiem było mnie zawiadomić - stwierdził, zwracając się do żony.

— Nie jestem żołnierzem piechoty morskiej. Stale o tym zapominasz - odcięła się.

— Twoim obowiązkiem jako żony - uściślił generał.

— Porozmawiajmy lepiej o twoich ojcowskich obowiązkach - rzekła z gniewem. - Porozmawiajmy o tym, jak traktowałeś swojego syna od dnia, kiedy się urodził. Jak dręczyłeś i pastwiłeś się nad tym wspaniałym uroczym chłopcem, podczas gdy ja bezradnie się temu przyglądałam.

— Jako dziecko był zupełnie zniewieściał - oświadczył. - Wiesz, że tej jednej rzeczy nie byłem w stanie tolerować.

— Nie był wcale zniewieściał - zaprzeczyła. - Był wrazliwy, ale ty nie odróżniasz jednego od drugiego.

— Gdybym powierzył ci jego wychowanie, zostałby jednym z nich - stwierdził generał głosem, w którym zabrzmiała bezbrzeżna pogarda.

— Jednym z nich? - zdziwiłem się.

— Homoseksualistą - wyjaśniła Celestine.

— Ach, cóż za hańba-jęknąłem. - Los gorszy od śmierci.

— Otóż to - powiedziała.

— Nie wywierałbym tak silnej presji na Jordana - ciągnął generał - gdybyś była w stanie urodzić więcej dzieci.

— Oczywiście najwygodniej jest zwalić wszystko na mnie.

— Samotny wilk to najgorszy gatunek żołnierza. Stanowi zagrożenie dla każdego oddziału. Nie potrafi dostosować się do grupy.

— Zupełnie tak jak ty, mój drogi - skwitowała Celestine. - Skoro już mówimy o rodzinie.

— Nigdy nie potrafiłaś zrozumieć rygorów armii.

205

^

— Rozumiem je aż nadto dobrze - odparła ze śmiechem.

— Przez czternaście lat myślałem, że mój syn nie żyje - stwierdził generał zwracając się do mnie. - Jak mam twoim zdaniem się czuć?

— Może powinien pan się cieszyć - zasugerowałem.

— Powiadomiłem już odpowiednie władze - oznajmił.
— Co im powiedziałaś? - zapytała Celestine.
— W jakim kościele zostały zrobione te zdjęcia. Oraz że mój syn popełnił prawdopodobnie przestępstwo. Będziesz musiał odpowiedzieć na mnóstwo pytań, Jack.
— Na niewiele z nich udzielę odpowiedzi, generale.
— Domyślam się, że zniszczyłeś te listy?
— To była moja korespondencja z Ledare Ansley.
— Przekaż jej moje pozdrowienia - powiedziała Celestine. - Słyszałam, że wróciła na jakiś czas do miasta.
— Mógłbym cię kazać aresztować za ukrywanie podejrzanego, Jack - nie dawał za wygraną generał.
— Naturalnie. Tyle że jak dotąd nikt nie został o nic oskarżony. A sprawca, którego pan podejrzewa, nie żyje.
— Zaprzeczasz, że te zdjęcia przedstawiają mojego syna?
— We Włoszech chodzę wyłącznie do spowiedników, którzy mówią po angielsku.
— To Jordan, prawda, Jack? - zapytał niepewnym tonem.
— Nie mogę tego powiedzieć.
— Masz na myśli, że nie chcesz. Celestine?
— Nie wiem, o czym mówisz, kochanie.
— Wszystkie te podróże do Włoch... Myślałem, że tak bardzo kochasz sztukę.
— Chwile, kiedy obcowałam ze sztuką, były tymi, które wspominam najmilej.
— Nienawidzę muzeów - poinformował mnie generał. - Tam właśnie spotykała się z Jordanem. Teraz to rozumiem. Przyglądając się twarzy tego emocjonalnie ograniczonego i napiętego jak struna człowieka, poczułem dla niego cień współczucia. Niski, lecz silnie zbudowany, zbliżał się do siedemdziesiątki. Jego usta były wąskie niczym ostrze noża, a płonący w oczach błękitny ogień potrafił przerazić mężczyzn i oczarować kobiety. Ludzie zawsze bali się Remberta Elliotta i świadomość tego dawała mu wielką satysfakcję. Należał do ludzi, których Ameryka potrzebowała podczas wojny i z którymi nie wiedziała, co zrobić, gdy podpisywano zawieszenie broni.

206

Podobnie jak wielu mężczyzn, których nauczono, jak najskuteczniej zabijać przeciwnika, Rembert Elliott okazał się potwornym mężem i ojcem. Przez całe życie traktował żonę niczym adiutanta, któremu nie udało się zaliczyć prób sprawnościowych. Jordana wychowały pocałunki matki i pięści ojca.

Generał wstał ciężko z fotela i zaczął ponownie studiować fotografie.

— Ten ksiądz... To mój syn, prawda? - zapytał.
— Skąd mam, u diabła, wiedzieć? - odparłem. - To mój spowiednik. Powinien pan częściej bywać w kościele, generale. Zauważyłby pan wtedy tę małą kratkę, która oddziela księdza od nieszczęsnego grzesznika. Nie umieszczono jej tam bez powodu. Chodzi o to, aby jeden nie rozpoznał drugiego.
— Twierdzisz, że to nie jest mój syn?
— To mój spowiednik - powtórzyłem. - Żaden sąd ani prawo nie może zmusić mojego spowiednika, aby zeznawał przeciwko mnie i vice versa.
— Moim zdaniem to mój syn.
— No to znakomicie. Moje gratulacje. Nareszcie razem. Nie

lubi pan happy endu?

Celestine podeszła do swojego męża i spojrzała mu prosto w oczy.

— To Jordan, Rembercie - powiedziała. - Spotykałam się z nim za każdym razem, kiedy byliśmy w Rzymie. Mówiłam ci, że idę na zakupy.

— Oszustka. Oszustka - szepnął.

— Nie, kochanie - odparła cicho. - Matka. Matka.

— A ty byłeś kurierem - stwierdził generał, zwracając się do mnie.

— Można to tak ująć - zgodziłem się.

— Wychowywałem go na oficera piechoty morskiej - oznajmił.

— Mnie przypominało to bardziej Archipelag Gułag - odparłem.

— Jordan dojrzywał w latach sześćdziesiątych. To go zniszczyło. Co wy wiedzieliście o lojalności, patriotyzmie albo kodeksie moralnym?

— Niech pan raczej zapyta, co wiedzieliśmy o maltretowaniu dzieci.

— Byliście pokoleniem kłamców i tchórzy. Nie spełniliście swego obowiązku, kiedy potrzebowała was Ameryka.

207

— Odbyłem niedawno taką samą głupią rozmowę z Caperssem Middletonem. Podsumujmy: zła wojna, wszczęta przez złych polityków, prowadzona przez złych generałów i pięćdziesiąt tysięcy ludzi, których skasowano bez żadnego powodu.

— Dla wolności trzeba czasem poświęcić życie.

— Dla wolności Ameryki czy Wietnamu?

- Ameryki i Wietnamu.

Podszedłem do Celestine i uściskałem ją.

- Przeniesiono go do innego klasztoru w Rzymie. Jest bezpieczny. Przykro mi, że musiałem zniszczyć jego listy - powiedziałem, po czym wyszedłem z domu.

Kiedy wsiałem do samochodu matki, na ganku pojawił się generał Elliott.

— McCall - zawołał.

— Tak jest, generale.

— Chcę się spotkać z moim synem.

— Powiem mu o tym, generale. Nigdy dotąd nie miał ojca.

Ten pomysł może mu się nawet spodobać.

— Pomożesz to zaaranżować?

— Nie, nie zrobię tego.

— Mogę zapytać dlaczego?

— Nie ufam panu, generale - odparłem.

— Co mam twoim zdaniem teraz robić?

— Czekać.

— Nie wierzysz, że człowiek może się zmienić, prawda? - zapytał.

Przez chwilę przyglądałem się sztywnemu jak kij generałowi.

- Nie wierzę - odpowiedziałem.

- Całkiem mądrze - stwierdził. - Ja też nie.

Na ganek wybiegła nagle Celestine.

- Jack, jedź prosto do szpitala. Przed chwilą dzwonił Tee.
Twoja matka obudziła się ze śpiączki.

Kiedy zajechałem pod szpital, wszyscy bracia, z wyjątkiem Johna Hardina, czekali na mnie przed głównym wejściem. Wskoczyłem z samochodu i natychmiast znalazłem się w ich objęciach.

— Mama! - krzyczał głośno Tee. - Udało jej się!

— Ta kobieta jest ze stali - zachwycił się Dupree.

— Rak nie dał rady naszej staruszce - stwierdził Dallas.

—

208

- Cały czas mam wrażenie, że tylko udawała, iż umiera -
dodał Tee. - Po prostu, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy.

Dupree szturchnął go figlarnie w ramię.

— Mama ma na głowie ważniejsze sprawy, niż wzbudzać
w tobie poczucie winy.

— Naprawdę? - zdziwił się Tee. - Na przykład jakie?

— No właśnie. Na przykład jakie? - pośpieszył mu z po-
mocą Dallas.

— Na razie widział ją tylko doktor Pitts. Uważa, że byłoby
wspaniale, gdybyś ty poszedł do niej pierwszy - powiedział
Dupree.

— Mama - szepnąłem. - Mama.

Zaczęliśmy znowu wiwatować i pohukiwać, a potem Tee wziął mnie za rękę i przez krótki moment przytrzymał, tak jak robił to, gdy był małym dzieckiem, a ja największym i najłagodniejszym bratem, jakiego miał pod słońcem.

Siostry przeniosły Lucy na normalny oddział i rodzina zebrała się w odmienionej, bardziej radoszej poczekalni.

Wszystkich nas ogarnęła euforia; nawet posepny ojciec Jude wydawał się uszczęśliwiony obrotem wydarzeń. Otoczyliśmy doktora Pittsa, który powtórzył to, co usłyszał od lekarza mamy. Kiedy poinformował nas o spadającej gorączce, stabilizującym się ciśnieniu krwi i powolnym odzyskiwaniu świadomości, moi bracia i ja czuliśmy się niczym więźniowie słuchający dekretu o amnestii. Po tak długim przygnębieniu i irytacji radość miała dziwny smak, entuzjazm wydawał się nienaturalny.

— Może pójdziesz zobaczyć się z twoją matką, Jack -
powiedział nagle doktor Pitts.

— Opowiedz jej kilka dowcipów - poradził mi Tee. - Tak
żeby zwiłała się ze śmiechu.

— Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł - za-
protestował doktor Pitts.

— Myślenie nigdy nie było mocną stroną Tee - stwierdził
Dallas.

Pozostawiając im rozstrzygnięcie tego problemu, ruszyłem do izolatki, w której leżała matka. Miała zamknięte oczy, ale jej twarz była wciąż zadziwiająco piękna jak na pięćdziesięcioośmioletnią kobietę. Nie rozmawiałem z nią od pięciu lat i podchodząc do łóżka, czułem, że świadomość tego rozdziera mi serce. Wyjechałem do Rzymu,

209

aby ratować to, co pozostało z mojego życia, i ani razu nie pomyślałem, jak okrutnie ranie swoich bliskich.

Lucy uniosła powieki i jej błękitne oczy spoczęły na mojej twarzy. Była niewątpliwie najbardziej irytującą, czarującą, pełną sprzeczności i niebezpieczną kobietą, jaką zdarzyło mi się w życiu spotkać. Twierdziła, iż wie wszystko, co trzeba wiedzieć o mężczyznach, a ja wierzyłem jej na słowo. Miała wybitny talent narracyjny i bujną, nie dającą się okiełznać wyobraźnię. Genialna oszustka, nigdy nie uważała prawdomówności za wielką cnotę. Wchodząc do pomieszczenia pełnego mężczyzn, potrafiła poruszyć ich szybciej, niż gdyby ktoś rzucił między nich jadowitego grzechotnika. Razem z braćmi przekonaliśmy się na własnej skórze, jak trudno jest być synem najbardziej seksownej, kokieteryjnej i legendarnej kobiety w mieście. Matka twierdziła, iż nie zna małżeństwa, którego nie potrafiłaby rozbić. Przechwalała się, że niewiele spotkała kobiet, które mogłyby się z nią równać.

Czekałem na jej pierwsze słowa.

— Daj mi szminkę i puder - zażądała.

— Cześć, Jack - powiedziałem. - Cieszę się, że cię widzę, synu. Minęło tyle lat.

— Wyglądam na pewno jak staruszka - zmartwiła się. -

Czy wyglądam jak staruszka?

— Wyglądasz wspaniale.

— Nie znoszę, kiedy jesteś nieszczerzy.

— Wyglądasz jak staruszka.

— Dlatego właśnie potrzebuję makijażu - wyjaśniła.

— Musisz być strasznie zmęczona - powiedziałem, starając się znaleźć jakiś bezpieczny temat.

— Zmęczona? - zdziwiła się. - Chyba nie mówisz poważnie. Byłam w stanie śpiączki. Jeszcze nigdy w życiu tak dobrze nie odpoczęłam.

— To znaczy, że czujesz się dobrze? - spróbowałem ponownie.

— Dobrze? Nigdy nie czułam się gorzej. Wpompowali we mnie całe morze chemii.

— Teraz chyba rozumiem. Czujesz się paskudnie, ale jesteś przynajmniej wypoczęta.

— Przywiozłeś ze sobą Leah? - zapytała.

— Nie, ale przesyła pozdrowienia.

— To za mało. Chcę uściskać tę małą i opowiedzieć jej

210

o kilku rzeczach - oznajmiła. - Tobie też. Muszę ci wiele wyjaśnić.

— Nie musisz nic wyjaśniać - odparłem. - I bez tego udało ci się spaprać mi życie. Nie ma tu nic do dodania.

— Widzę, że dopisuje ci humor.

— Zgadza się.

— Tak myślałam. Budząc się ze śpiączki, człowiek dziwnie się czuje. Tak jakby wychodził z własnego grobu. Czy wciąż jestem ładna?

— Jak lalka. Już ci mówiłem.

— Sprowadź tu żonę Dupree. Powiedz jej, że potrzebuję całej masy kosmetyków. Ona wie, jakich używam marek.

— Śpiączka nie osłabiła twojej próżności - zażartowałem.

— Ale porządnie mnie odchudziła. Założę się, że straciłam co najmniej pięć funtów.

— Martwiliśmy się o ciebie.

— Białaczkę mnie zabije, Jack - stwierdziła. - U kobiecie w moim wieku jest nieuleczalna. Wcześniej czy później wróci i zabije mnie. Lekarz uważa, że został mi najwyżej rok życia.

— Przerażasz mnie.

— Muszę to komuś powiedzieć. Innym opowiem jakieś bajdy - oznajmiła i zobaczyłem, jak bardzo osłabła. - Chcę odwiedzić ciebie i Leah w Rzymie.

— Serdecznie cię zapraszamy.

— Muszę zobaczyć, jak ci się tam żyje. Musisz mnie znowu pokochać. Potrzebuję tego bardziej niż cokolwiek na świecie.

Nie patrzyłem na matkę, ale jej słowa zapadły mi głęboko w serce. A potem, kiedy milczenie przedłużało się, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że z powrotem zasnęła. Lucy McCall Pitts miała ochotę odwiedzić Rzym. Skoro Italia przetrwała najazd Hunów, pomyślałem, z pewnością nie zaszkodzi jej krótka wizyta mojej wojowniczej matki. Spała teraz głębokim snem i ja, jej najstarszy syn, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jest niezniszczalna, nie do zdarcia. Do izolatki wszedł Dallas

1 dał znak, że powinienem wyjść.

- Co powiedziała? - zapytał, kiedy szliśmy korytarzem.

— Niewiele. Stwierdziła, że jestem jej najukochańszym synem i że gdyby wiedziała, że pozostałe dzieci tak gorzko ją rozczarują, kazałaby sobie podwiązać jajowody.

— Znowu to samo - jęknął. - Coś jeszcze?

211

— Zażądała kosmetyków.

— To znaczy, że najgorsze ma za sobą - stwierdził podniecony.

Tee i Dupree czekali na nas na końcu korytarza.

- Dobre wiadomości - szepnął Tee tak, aby nie usłyszeli nas inni siedzący w poczekalni. - Kolejne rodzinne kłopoty.

Dallas jęknął głośno.

— Przed chwilą dzwonił dziadek - kontynuował Tee. -

Ginny Penn dała nogę z domu starców.

— Nie, tylko nie to - mruknął Dallas.

— Żaden problem - stwierdził jak zawsze pragmatyczny Dupree. - Porusza się w fotelu na kółkach. Nie musimy chyba zawiadamiać drogówki.

— To jej trzecia ucieczka - powiedział Tee. - Dochodzę do wniosku, że ma pewne trudności adaptacyjne.

— Dziadek nie może jej podnosić - wyjaśnił Dallas. - To tymczasowe rozwiązanie. Do czasu, aż zagoi się jej biodro.

— Uważa, że zostawiliśmy ją na pastwę losu - stwierdził Dupree.

Wyszliśmy ze szpitala i wsiedliśmy do samochodu matki.

— Mogła wybrać tylko trzy drogi - myślał głośno Dallas, kiedy jechałem szybko przez miasto. - I nie mogła dotrzeć zbyt daleko. Niezbyt podobają jej się porządki panujące w domu starców.

— Rozmawiałem z nią przez telefon - dodałem. - Nie nawidzi tego miejsca.

Dziesięć minut później skręciłem w lewo, w długą asfaltową alejkę, która prowadziła w stronę rzeki

i domu opieki. Prawie natychmiast zobaczyliśmy naszą babcie, kręcącą z ponurą determinacją obu kołami wózka. Minałem ją, zakręciłem w jednej z mniejszych alejek i przyhamowałem. Ginny Penn nie zwracała najmniejszej uwagi na samochód, kręcąc jednocześnie obu kołami wózka niczym wioślarz pokonujący trudny odcinek rzeki. Była cała spocona i czerwona jak burak, ale ucieczka dodała jej najwyraźniej wigoru. Przebyła większy dystans, niż można się było tego spodziewać. Nagle zerknęła w bok, spostrzegła, że jedziemy powoli obok niej i wybuchnęła płaczem. Przez krótką chwilę obracała jeszcze szybciej kołami, napinając mięśnie ramion, a potem zatrzymała się i schowała twarz w dłonie, na których zaczęły się już formować pęcherze.

212

— Może cię podwieźć, Ginny Penn? - zapytał łagodnie Dallas.

— Zostawcie mnie w spokoju - zaszlochała.

— Dzwonił twój lekarz - oznajmił Dallas. - Bardzo się o ciebie niepokoi.

— Ten stary głupiec? Kazałam mu się wypchać trocinami. Ktoś musi mi pomóc, chłopcy. Ktoś musi mnie uratować, bo inaczej tam zdechnę. Kiedy człowiek się zestarzeje, nikt się z nim nie liczy. Nikt go nie słucha i nikt się o niego nie troszczy.

— Spróbujemy ci pomóc, jeśli to będzie możliwe - odezwał się zza kierownicy.

— W takim razie jedźcie prosto do szpitala i powiedzcie, że zabieracie mnie z tego piekła. Spakujcie wszystkie moje rzeczy.

1 — jeśli naprawdę chcecie pomóc starszym ludziom w tym mieście, zastrzelcie kucharza. Nie potrafi przyrządzić nawet tartej marchewki.

Dallas spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

— Mielśmy na myśli bardziej dyplomatyczne podejście - stwierdził.

— Po prostu mnie tu zostawcie, chłopcy - zaszlochała Ginny Penn. - Jadę do przyjaciółki. Będę dzwoniła.

— Jakiej przyjaciółki? - zapytał Dallas.

— Jeszcze się nie zdecydowałam. Mam przyjaciółki w całym hrabstwie i wszystkie będą zaszczycone, mogąc gościć taką jak ja damę. Nie urodziłam się w rynsztoku jak wasz dziadek. Moi rodzice byli kimś.

— Chodź, babciu - powiedziałem. - Wsiadaj do samochodu, spróbujemy cię odpowiednio ugościć.

— Wychowano cię na prostaka, Jack - oznajmiła, mierząc mnie władcym spojrzeniem. - Twoja biedna matka jest nic nie warta, a ojcem też nie możesz się pochwalić.

— To ty wychowałeś tatę - zauważył Dallas. - Nie powinien nas umniejszać swoich zasług.

— Biorę za wszystko pełną odpowiedzialność - odparła. - Wychodząc za waszego dziadka, miałam oczy szeroko otwarte i doskonale wiedziałam, w co się pakuję. Wysłałam za męża z samych złych powodów.

— Podaj nam choć jeden - powiedziałem.

— Był z niego prawdziwy adonis - przyznała w końcu. - Oblewałam się potem na sam jego widok.

— Dostyc tych bezeceństw, Ginny Penn - wkroczył do akcji

213

Dupree, otwierając drzwiczki i podchodząc do babci. Tee i ja unieśliśmy ją delikatnie z wózka i umieściliśmy na tylnym siedzeniu. Miałem wrażenie, że trzymam w rękach klatkę z ptakami; kiedy położyliśmy ją na plecach, przypominała wydrażoną łupinę. Osłabła tak bardzo, że nie była w stanie usiąść.

- Zawrzemy z tobą umowę, Ginny Penn - zaproponowałem. - Spróbujemy cię stamtąd wyciągnąć, ale musisz tam teraz wrócić. Musimy załatwić to po ludzku.

Ale Ginny Penn spała już, gdy to mówiłem. Odwieźliśmy ją do domu starców i przekazaliśmy pielęgniarce, które obudziły ją i zganiły za złe zachowanie.

- Zdrajcy - syknęła, kiedy siostra pchała wózek z powrotem do jej pokoju, do jej celi, do jej samotni.

Kiedy odwoziłem Dallasa do kancelarii, siedzieliśmy wszyscy pogrążeni w myślach, nie odzywając się ani słowem.

— Starzenie się musi być straszne - stwierdził w końcu

Dallas. - Ginny Penn otwiera pewnie codziennie rano oczy i zastanawia się, czy to nie jest jej ostatni dzień na ziemi.

— Moim zdaniem otwiera oczy i ma nadzieję, że to jest jej ostatni dzień na ziemi - odparłem.

— Zapomnieliśmy powiedzieć, że mama obudziła się ze śpiączki - zauważył Tee.

— Dlaczego mieliśmy jej dodatkowo pogarszać humor? - powiedział Dupree i wszyscy się roześmieliśmy.

— Przez całe życie starała się przekonać świat, że jest arystokratką - przypomniał Dallas. - Myślę, że spotykając się z nią powinniśmy po prostu przykłęknąć; oszczędziłoby to nam tych wszystkich bzdur.

— W jej żyłach płynie błękitna krew. W porównaniu z nią jesteśmy przybłędami - dodał Tee.

— Pamiętasz jej opowieści o plantacji, na której dorastała? - zapytał Dupree. - Podejrzewaliśmy, że zmyśla, bo nigdy nas tam nie zabrała.

— Burnside - odrzekłem. - Słynna plantacja Burnside.

— Wcale nas nie nabierała. Plantacja istniała naprawdę i Ginny Penn rzeczywiście tam się wychowała.

— Gdzie to jest?

— Pod wodą - odparł Dallas.

— Pod wodą? - powtórzyłem.

— Plantacja leżała niedaleko Charlestonu, w okolicy Pinopolis. Kiedy przegradzili rzekę tamą, żeby utworzyć Lake Moul-

214

li

trie, plantacja Burnside znalazła się pod wodą. Matka Ginny Penn nazywała się Sinkler, a Burnside należało do Sinklerów.

— Teraz rozumiem - oznajmiłem. - Po stracie rodzinnego gniazda Ginny Penn wpadła w taką depresję, że poślubiła Portorykańczyka, naszego dziadka.

— Nigdy nie zdobyła się na odwagę, żeby opowiedzieć, jak skończyło się jej rajskie dzieciństwo - dodał Dupree. - Za topienie domu traktowała najwyraźniej jako dopust boży. Swe

go rodzaju omen.

— Skąd o tym wiesz? - zapytał Tee.

— Moja żona dwa razy w tygodniu jeździ do Charlestonu.

Pisze pracę magisterską z historii. Przesiaduje często w bibliotece przy King Street i któregoś dnia natrafiła na pamiętniki Sinklerów. Wspomina się tam dwukrotnie o Ginny Penn. Dom był rzeczywiście taki piękny, jak zawsze twierdziła.

— Dobrze jest wiedzieć, że w tych steranych żyłach płynie królewska krew - powiedziałem.

— Mnie wcale nie przeszkadza, że jestem prowincjuszem - oznajmił nagle Tee. - Nawet mi z tym do twarzy.

— Masz stuprocentową rację - potwierdził Dallas, przyglądając się uważnie bratu.

— Nie musiałeś się tak szybko zgadzać - oburzył się Tee.

— Najbardziej martwią mnie twoi przyjaciele - mruknął Dupree.

— Święta racja - przytaknął Dallas.

— Uwielbiam swoich przyjaciół. Bombowi faceci, bombowe dziewczyny - bronił się Tee.

— Łowca krewetek wygląda w porównaniu z nimi jak Rockefeller - stwierdził Dallas.

— Pociągają go społeczne doły - dodał Dupree. - Wolałbym, żeby obracał się w nieco lepszym towarzystwie.

— Nie brakuje mi niczego prócz lepszych braci - odciął się Tee. - Ha. Znakomita kwestia. Może nie? Kiedy byłem dzieckiem, bez przerwy się nade mną znęcaliście. Ale teraz mały Tee chodzi własnymi ścieżkami. Bracia nie mogą już go traktować jak byle kogo.

Po powrocie do domu obejrzelśmy zachód słońca z górnej werandy, na której bawiliśmy się kiedyś jako dzieci. Przypomniałem sobie, jak przed ponad dwudziestu laty siedziałem w tym samym wiklinowym fotelu, karmiąc Tee z butelki. Matka, w ósmym miesiącu ciąży z Johnem Hardinem, szykowała

215

kolację, ojciec nie wrócił jeszcze z sądu, a Dupree uczył na trawniku Dallasa rzucać piłkę. Gdyby nie pamięć, czas pozbawiony byłby wszelkiego znaczenia. Siedząc teraz w miejscu, gdzie światło było zawsze cudowne, a ostatnie jego promienie najbardziej cudowne ze wszystkich, żegnaliśmy nasze opalone śniade dni, które malowały czułymi pociągnięciami pędzla bezsenną rzekę.

Ze skromnie zaopatrzonej ojcowskiej kuchni przyniosłem zimne piwo oraz orzeszki, korniszony i ostry cheddar, który pokroiłem i położyłem razem z plasterkami czerwonej cebuli na posypanym solą talerzu. Moi bracia jedli nie dla przyjemności, lecz żeby wypełnić czymś brzuchy i niewiele było rzeczy, których nie włożyliby do ust. W głębi domu zadźwięczał dzwonek telefonu i Dallas poszedł go odebrać.

- Mama zjadła coś konkretnego - oznajmił po powrocie.

Uszczęśliwieni tym faktem, wznieśliśmy toast za rzekę i za naszą matkę, która oglądała Waterford River z okna szpitala.

ROZDZIAŁ 15

Nie wiem, dlaczego tak jest, ale myśląc o miejscach, gdzie kiedyś byłem albo dokąd się dopiero wybieram, czuję się zawsze szczęśliwszy, niż kiedy tam akurat jestem. Nie potrafię się cieszyć czasem teraźniejszym.

W trakcie długich bankietów w Rzymie, dotrzymując towarzystwa pięknym księżniczkom o

perlistym śmiechu i oddechu pachnącym winem Pinot Grigio, czułem, iż wbrew powziętemu przeze mnie solennemu postanowieniu stale powracam myślami na zachód. Nosiłem ze sobą Waterford niczym złotw dźwigający swoją skorupę. Ani na chwilę nie milkł we mnie czuły zew nostalgii i kiedy zamykałem w końcu oczy, wydawało mi się, że spaceruję szerokimi alejami rodzinnego miasta, alejami, które moja tęsknota wprawiała w stan nieważkości.

Teraz z kolei, idąc Blue Heron Drive do firmy prawniczej mego ojca i brata, tęskniłem za dysonansami i surowym zgielkiem Rzymu. Pokonując po dwa stopnie naraz, wbiegłem po schodach i otworzyłem drzwi. Mieszcząca się na pierwszym piętrze kancelaria sprawiała wrażenie stojącej na krawędzi bankructwa.

Dallas pisał coś w notesie i podniósł wzrok dopiero po chwili.

- Cześć, Jack - powitał mnie. - Witaj w mojej maszynie do robienia pieniędzy. Skończę tylko myśl i zaraz będę do twojej dyspozycji.

Pisał jeszcze przez moment, a potem postawił energicznym gestem kropkę.

- Straciłem dziś dwu kolejnych klientów. Ludziom nie po doba się, kiedy założyciel firmy puszcza na ulicy pawia.

217

— Czy kancelaria przynosi jakiś dochód?

— Dzisiaj robi ze mną wywiad facet z magazynu "Money" - odparł i w jego głosie zabrzmiała gorycz i cynizm. - Magazyn "Fortune" ma zamiar postawić mi pomnik, tak wiele napływa tutaj gotówki.

— Jest fatalnie?

— Niedobrze.

— Masz jakiś pożytek z ojca?

— Kiedy jest trzeźwy. Przestaje pić kilka razy w roku. To smutne, bo widzę wtedy jasno, jakim mógłby być wspaniałym prawnikiem. Kiedy mama zachorowała, naprawdę zaczął się staczać.

— On zaczął się staczać przed trzydziestu laty - stwierdziłem. - Ten człowiek naprawdę potrafi zniechęcić do picia alkoholu.

— Wciąż kocha mamę.

— Myślałem, że jej nowy mąż go oświeci - westchnąłem i przyjrzałem się przystojnemu Dallasowi, który siedział wyprostowany za swoim biurkiem. - Dlaczego nie spróbujesz czegoś na własną rękę?

— On mnie potrzebuje, Jack. To wszystko, co mu pozostało - odparł, zataczając ręką krąg. - Nie ma innego miejsca, dokąd mógłby pójść. Może tego nie zauważyłeś, ale nasz ojciec to tragiczna postać.

— Jaki jest jego wkład w działalność firmy?

— Był kiedyś szanowanym sędzią i to się liczy - odparł Dallas. - Kiedy jego mózg nie jest zamarynowany w bourbonie, wciąż świetnie się prezentuje na sali rozpraw.

— Jak się miewa dziadek? Wciąż chodzi z Jankeśami na polowania?

— W dalszym ciągu oprawia jelenia szybciej, niż ty zdążysz zawiązać sznurowadła - oświadczył z dumą w głosie Dallas. - Przed twoim wyjazdem powinniśmy wszyscy wybrać się do niego na pieczone ostrygi.

— Bardzo chętnie. Ale to zależy, jak szybko mama wstanie z łóżka.

— Masz jakieś nowe wiadomości?

— Jeszcze u niej nie byłem - przyznałem. - Męczy mnie samo psychiczne obcowanie z rodziną. W szpitalu są już Dupree i Tee. Wybieram się tam po południu. Teraz idę odwiedzić Maxa. Wszędzie zostawia dla mnie wiadomości.

218

- Wciąż jest klientem naszej firmy - poinformował mnie Dallas. - Max jest niczym skała.

Ruszyłem do wyjścia, ale po chwili zatrzymałem się i posłałem bratu uważne spojrzenie.

— Czy zwróciłbyś się do mnie, gdyby kiedykolwiek potrzebne ci były pieniądze? - zapytałem.

— Nie, nie zrobiłbym tego - odparł. - Ale dziękuję za ofertę.

Znalazłszy się na ulicy, ruszyłem dalej, mijając znajome sklepy, których istnieniu zagroziły przeszklone ośrodki handlowe i supermarkety sieci Wal-Mart. Idąc, kłaniałem się ludziom, których znałem przez całe życie, czyniłem to jednak z rezerwą, którą odwzajemniali. Nie miałem ochoty wdawać w pogawędki. W małych miasteczkach najwspanialsze jest to, iż dorastając człowiek poznaje praktycznie wszystkich. I to jest w nich również najgorsze.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, po czym przestąpiłem próg domu handlowego Maxa Rusoffa i ruszyłem prosto na górę, do kantoru, gdzie Max sprawdzał z ołówkiem w rękę rachunki. Ten ołówek w erze komputerów stanowił klucz do jego osobowości.

- Witaj, Wielki Żydzie - powiedziałem i Max wstał, żeby mnie powitać.

Uściskał mnie i choć sięgał mi tylko do piersi, poczułem nadzwyczajną siłę jego ramion.

- Gdzieś ty się podziewał, Jack? Max jest, jak widzę, ostatni na twojej liście - upomniał mnie.

Cofnąłem się o pół kroku i podałem mu rękę.

— Uściśnij mi dłoń, staruszk. Zobaczymy, czy wciąż to potrafisz.

— Moje ręce nie są stare, Jack - odparł z uśmiechem Max. - Wszystko, ale nie ręce.

Miałem przed sobą przysadzistego silnego mężczyznę, krót-konogiego i podobnego z wyglądu do przeciwpożarowego hydrantu. Sam jego kark wydawał się dość mocny, by można go było zaprząć do pług, i widziałem kiedyś, jak rzucał memu dziadkowi stufuntowe worki, jakby to były hotelowe poduszki. Przypominał głęboko zakorzenione i rozłożyste drzewo. Podając mu jako dziecko rękę, zawsze miałem wrażenie, że przytrzasnęły mi ją drzewiczki buicka - jakby miażdżyło ją coś mechanicznego i większego niż dłoń.

219

Jako młody chłopak zawsze starałem się go pokonać. Ubzdurałem sobie, że kiedy Max będzie mnie błagał o litość i skrecał się w moim uścisku, potwierdzą w jakiś sposób swoją męskość. Ten dzień nigdy jednak nie nadszedł. To zawsze pode mną uginały się kolana i prosiłem go, by przestał, czując, jak kości mojej prawej dłoni zgniata potężne imadło.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Max poczekał kilka sekund, a potem po raz kolejny posłał mnie na kolana. Pocierając obolałą dłoń, usiadłem w jasnym, funkcjonalnie urządzonej kantorce, z którego roztaczał się zapierający dech widok na rzekę.

— Jak idą interesy? - zapytałem wiedząc, jak bardzo Max lubi posługiwać się kasandrycznym językiem amerykańskiego kupca.

— Pieniędzy starcza ledwie na zapłacenie rachunków - poskarżył się. - Jest tak źle, że nie może po prostu być gorzej.
— Słyszałem, że zarabiasz miliony - droczyłem się z nim.
— Jeśli nie wydarzy się cud, nie wiem, czy w przyszłym roku zachowamy dach nad głową - stwierdził. - Ale podobno ta książka kucharska przyniosła ci całkiem niezły dochód.
— Nie sprzedało się dość egzemplarzy, żebym mógł kupić mojej córce porządną parę butów - odparłem.
— Miała czternaście wydań. Nakład przekroczył dziewięć dziesiąt tysięcy egzemplarzy. Myślisz, że przestałem się tobą interesować? Tylko dlatego, że ukryłeś się jak jakiś bandyta we Włoszech? Domyślam się, że inspektor podatkowy uśmiecha się za każdym razem, kiedy wysyłasz mu swoje zeznanie.
— Kiedy ty płacisz podatki, też nie ma złego dnia - odciąłem się.
— Skoro mowa o pieniądzach, Mike wspomniał, że się z tobą widział. Mój wnuk zbił w Hollywoodzie prawdziwą fortunę. Powiedział ci, że się po raz czwarty ożenił? Kolejna gojka. Śliczna jak z obrazka, podobnie jak wszystkie poprzednie. Ktoś mógłby pomyśleć, że przynajmniej za czwartym razem poślubi jakąś Żydówkę, żeby uszczęśliwić swoich rodziców.
— Mike próbuje uszczęśliwić sam siebie - powiedziałem, biorąc w obronę przyjaciela.

Max potrząsnął głową.

- W takim razie to jego największa klęska. Wokół niego są sami miszigeneci. Pracuje wyłącznie z szaleńcami. Zatrudnia wyłącznie szaleńców. A może to on sam doprowadza ich do obłądki, sam nie wiem. Odwiedziłem go z żoną w tej stolicy

220

blichtru. Wszystkie jego dzieci mają blond włosy. Nigdy nie słyszały o czymś takim jak synagoga. W życiu nie widziałeś podobnego domu. Wielki jak to całe miasto. Powiem ci prawdę. Mike wybiera sobie coraz młodsze żony i obawiam się, że następnym razem ożeni się z dwunastoletnią dziewczynką. Jego basen jest tak wielki, że mógłby w nim hodować wieloryby.

— Dobrze sobie radzi - stwierdziłem ze śmiechem.

— Powiedz mi, jak się miewa twoja matka? Co u Lucy?

— Czuje się lepiej, ale nie chcemy sobie zbyt wiele obiecywać.

— Bardzo wam współczuję. Choć z drugiej strony się cieszę. Gdyby nie jej choroba, nigdy nie przyjechałbyś z powrotem do Waterfordu. Dlaczego nie zabrałeś ze sobą Leah?

— Wiesz dlaczego, Max - odparłem, przyglądając się pilnie deseniowi wiszącego na ścianie orientального dywanu.

— Chcę, żebyś porozmawiał z Ruth i George'em, kiedy tutaj jesteś. Nie wzruszaj ramionami, kiedy rozmawiasz z Maxem. Kto dał ci pierwszą pracę? Pytam się ciebie.

— Max Rusoff.

— A drugą pracę?

— Max.

— A trzecią, czwartą i piątą?

— Max, Max, Max - uśmiechnąłem się wiedząc, do czego zmierza.

— Czy Max był dobry dla Jacka?
— Najlepszy.
— W takim razie spraw Maxowi przyjemność i zobacz się z Ruth i George'em. Tyle już wycierpieli. Popelnili błąd. Teraz o tym wiedzą. Zobaczysz.
— To był naprawdę duży błąd - powiedziałem.
— Pogadaj z nimi. Ja to zaaranżuję. Wiem, co trzeba zrobić. Jesteś jeszcze chłopcem, a co może wiedzieć mały chłopiec?
— Nie jestem małym chłopcem od bardzo dawna.
— Dla mnie zawsze nim będziesz - oznajmił.
— Do widzenia, Max - powiedziałem, wstając z fotela. - Wszystkim we Włoszech opowiadam o Wielkim Żydzie. Opo wiadam im o Kozakach, o pogromie i o twoim przyjeździe do Ameryki.
— Przestań nazywać mnie w ten sposób - rozkazał Max
1 w jego głosie usłyszałem ból i zakłopotanie. - To przezwisko mnie krępuje.
221

— Nazywam cię tak, bo robią to wszyscy.
— Ten przydomek ciągnie się za mną wszędzie, dokąd pójde - przyznał. - Jest niczym tik... łatwiej się go nabawić, trudniej pozbyć.
— Nadaliśmy ci go wiedząc, czego dokonałeś na Ukrainie.
— Nie wiesz nic o Ukrainie - zaprotestował. - W tym, co opowiadają, jest wiele przesady.
— A także w uznaniu twych zasług w Waterfordzie - do dałem. - Opowiadał mi o tym mój dziadek, a Silas na ogół nie przesadza.
— Nie odwiedziłeś swojego dziadka - powiedział Max. - Jest urażony.
— Uganialiśmy się po całym mieście za jego żoną. Ginny Penn znowu uciekła wczoraj z domu starców.
— Tak czy owak, Silas chce się z tobą spotkać.
— Mam niewiele czasu, Max - stwierdziłem, ale on po trząsnął tylko głową. - Pokaż mi, jakiej użyłeś broni - próbowałem zmienić temat. - Pokaż mi, czym walczyłeś.
— To nie jest broń, ale narzędzie - poprawił mnie.
— Ale kiedyś użyłeś go jako broni - upierałem się.
— Tylko raz.
— To jedyna rzecz, którą zabrałeś ze starego kraju. Max podszedł do sejfów, który, odkąd sięgam pamięcią, stał w rogu jego gabinetu, i zaczął ustawiać cyfry kombinacji. Kiedy drzwi sejfów otworzyły się, wyjął ze środka ręcznie zrobione pudełko, zdjął pokrywkę i odwinął z atlasowej szmatki wciąż ostry rzeźnicki tasak. Od ostrza wąskiego jak zaciśnięte usta odbijało się światło.
— Zabrałem to z mojej rodzinnej Kironicki - powie dzał. - Pracowałem tam w rzeźni.
— Opowiedz, jak to było, Max. Chcę to znowu usłyszeć.
— Człowiek nigdy nie wie, dokąd zaprowadzi go miłość - westchnął Max i zaczął opowiadać historię, którą słyszałem już dziesiątki razy jako młody chłopak.
Max urodził się na Ukrainie w czasie, gdy na mocy carskiego ukazu Żydzi mogli mieszkać

wyłącznie w zachodniej części imperium. Żyli w nędzy i beznadziei na terenie dwudziestu pięciu guberni, tworzących tak zwaną strefę osiedlenia.

Przyszedł na świat trzydziestego pierwszego marca 1903 roku, jako ostatni spośród czwórki rodzeństwa, w małym mieście o nazwie Kironicka. W tym świecie, gdzie często nie starczało

222

strawy dla tych, którzy urodzili się wcześniej, kolejną gęba do wyżywienia była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała jego rodzina. Nędza nie nobilituje nikogo, odciska jednak swe piętno na każdym i również na Maksie pozostawiła niezatarty ślad, tym bardziej dotkliwy, że jego ojciec był zawodowym żebrakiem, który codziennie z wyjątkiem szabasu chodził po prośbie, przemierzając kręte kupieckie zaułki dzielnicy żydowskiej. Nikogo nie cieszył widok zbliżającego się Berła Schnorera, który wypełniał ulicę piskliwym zawodzeniem i błaganiami. Swoją upokarzającą procedurę Berl uprawiał często razem z dziećmi, prosząc o pieniądze ludzi, którzy ciężko pracowali, żeby je zarobić. Chociaż Żydzi tolerowali swoich żebraków w większym stopniu niż inne narody, nikt nie mógł upaść niżej od Berła Schnorera.

Rodzina mieszkała w walącej się w gruzy ruderze w najbiedniejszej dzielnicy i tak już biednego miasta. Głód był jedynym stołownikiem, na którego można tam było liczyć przy każdym posiłku. Matka Maxa, Peszke, sprzedawała dzień w dzień jajka na rynku i rosyjskie zimy wryły na jej prostej twarzy surowe graffiti. Wczesnym rankiem, jeszcze przed brzaskiem, wychodziła, aby kupić jaja od chłopów; potem szła na swoje miejsce na targu, gdzie wolno jej było legalnie prowadzić handel. Podatek, jaki płaciła za to miejsce, dawał jej rodzinie jedyne prawne uzasadnienie istnienia. Niełatwo było sprzedać dość jaj, aby zarobić na codzienny obiad, i dlatego Peszke musiała z goryczą patrzeć, jak na rynek wkracza jej lamentujący i wymachujący rękoma mąż. Wydawało jej się, że Berl pojawił się na tej ziemi wyłącznie po to, aby okryć ją hańbą.

Przez pierwsze lata Maxem opiekowała się siostra Sarah, która miała dziesięć lat, gdy się urodził, i która prócz niego musiała się także zajmować siedmioletnią Tabel.

Kiedy Max miał trzy lata, Tabel wysłano do pracy w fabryce guzików i ojciec zaczął zabierać go ze sobą na żebrzy. Nauczył go podchodzić z małą puszką do bogaczy i z rozbijającym uśmiechem prosić o datki. Berl nie przypuszczał nawet, ile kopiejek może wyciągnąć z sakiewki fabrykanta małego uroczego chłopca. Max okazał się nagle szczęśliwą maskotką całej rodziny.

Peszke pierwsza usłyszała krzyki, które dobiegały z ulicy biegnącej ku rzece, krzyki, którym towarzyszył stukot podków i głosy przerażenia. Przekupnie złapali, co mogli ze swoich

223

straganów i uciekli w popłochu, ścigani przez sześciu Kozaków, którzy wpadli na rynek z obnażonymi i zakrwawionymi szablami.

Berl obserwował całą scenę z kamiennego murku, na którym przysiadł razem z Maxem. Wietrząc nadzwyczajną okazję, pobiegł z chłopcem wzdłuż murku i zakradłszy się pod jeden ze straganów, zabrał stamtąd cztery pomarańcze, pięć jabłek i dwa dojrzałe banany. A potem, gdy spostrzegł, że nikt go nie obserwuje, zwinął słoik miodu, cztery cukrowe buraki i kalafior, kryjąc wszystkie łupy w przepastnych kieszeniach swojego podartego brudnego chałatu.

Berl nie ruszył się z miejsca aż do chwili, gdy usłyszał oddalający się stukot kopyt. Czując przypływ odwagi, wylazł spod straganu i ruszył biegiem w stronę ulicy, przy której stał jego dom. Nie wiedział, że na targu pozostało dwóch Kozaków, podobnie jak on raczących się porzuconym jadem. Większy z nich, olbrzymi jak posąg blondyn, natychmiast "posiadł konia i pognął w jego kierunku, zrosnięty w jedno ze swoim ogierem. Berl uciekał, ile sił w nogach, widząc jednak, że nie ma żadnych szans, odwrócił się do Kozaka i uniósł ku niemu w błagalnym geście swego syna - apelując do miłości, jaką wszyscy mężczyźni obdarzają małe dzieci. Max wrzasnął głośno, widząc krwiożerczą szarżę Kozaka. Szabla błysnęła pod jego bosymi stopami i zadając równie morderczy co mistrzowski sztych przeszła Berła Schnorera, nie czyniąc najmniejszej krzywdy jego synowi. Max upadł na ziemię razem z ojcem, który złapał go ar-tretycznymi palcami i przycisnął mocno do piersi. "Odmów za mnie kadisz", powiedział, po czym skonał na oczach swego umazanego krwią,

zanoszącego się histerycznym płaczem dziecka.

Niesamowita szarża trzymającego obnażoną szablę kozackiego jeźdźca była pierwszym obrazem, który Max Rusoff zapamiętał ze swego dzieciństwa. W tamtym momencie narodziła się jego świadomość.

Po zabójstwie Berła umysł Peszke zaczął się powoli pogrążyć w mroku. Samo ubóstwo potrafi doprowadzić do demencji, na nią jednak, jakby tego było mało, spadła śmierć męża i jego niechlubny pogrzeb we wspólnym grobie biedaków. Tragedię Berła i jego rodziny umniejszał w oczach większości miejscowych Żydów fakt, iż w kieszeniach jego chałatu znaleziono

224

kradzione towary. Być żebrakiem to jedno, ale okradać przekupniów, którzy uciekli przed pogromem, to całkiem inna sprawa. Chociaż matka nigdy nie wspomniała o tym ani słowem, Max dowiedział się, że hańba może pognębić człowieka

0 wiele dotkliwiej niż jakikolwiek pogrom.

Kiedy miał osiem lat, wysłano go do terminu do kowala Ariela. Przez pięć lat wykonywał różne czynności w kuźni. Opiekował się końmi, nosił narzędzia i ciężkie sztaby żelaza oraz służył pomocą jego wymagającej i nieszczęśliwej żonie Iris. Ariel był łagodnym i cierpliwym człowiekiem i pomagał chłopcu uczyć się hebrajskiego i Tory.

W wieku trzynastu lat Max przystąpił wraz z innymi tak samo jak on biednymi chłopcami do bar-micwy. Ceremonia była krótka i nieskomplikowana i nazajutrz Max włożył po raz pierwszy tefilin swojego ojca, aby odmówić poranne modlitwy.

W tym samym roku Ariel zmarł w swojej kuźni i Iris oznajmiła Maxowi, że jako wdowa ma teraz na głowie więcej kłopotów niż granat ma pestek i nie stać jej na wyżywienie dodatkowej gęby. Maxa przyjął niechętnie do terminu rzeźnik Mot-tele. Człowiek ten miał przykre usposobienie, prowadził jednak porządną geszeft. Jego uczciwość była tak samo słynna jak napady nieposkromionego gniewu, a do klientów jatki należeli szajner Jid, szanowani Żydzi. Wszyscy wiedzieli, że Max gotów jest harować ciężko za parę kopiejek, niewiele osób zdawało sobie jednak sprawę, że lata spędzone w kuźni oraz w rzeźni, gdzie dźwigał i oprawiał ostrymi narzędziami tusze wołowe

1 baranie, zrobiły z niego silnego żylastego młodzieńca.

Rok po tym, jak Sarah i jej mąż Chaim wyjechali do Warszawy, żeby zacząć tam nowe życie, Maxa wezwano na rynek. Powiedziano mu, że jego matka dostała pomieszania zmysłów, kiedy banda ukraińskich wyrostków przewróciła jej stragan i potłukła wszystkie przeznaczone na sprzedaż jajka. Idąc, z daleka słyszał głośnie zawroźnienie Peszke, zagłuszające wszystkie inne odgłosy dochodzące z rynku. Zaprowadził ją do domu, nie potrafił jej jednak w żaden sposób ukoić ani pocieszyć. Niczym skorupka jednego z jajek, którymi handlowała przez całe życie, coś bezpowrotnie pękło w Peszke podczas tego trywialnego incydentu.

Nigdy już nie wróciła na rynek, żeby sprzedawać jajka; jej umysł pogrążył się w kompletnym mroku, a Max stał się jej

225

jedynym opiekunem. Przez cały rok we wszystkim jej usługiwał, karmił ją, mył i kiedy tylko miał wolną chwilę, zabierał na długie spacerunki nad rzekę.

Którejś nocy w środku zimy obudziło go lodowate, wiejące w twarz powietrze. Szybko wstał, zapalił świeczkę i zobaczył, że matki nie ma w łóżku. Zauważył również, że jej ubranie wisi na swoim miejscu. Stając w progu, zapłakał głośnie, gdy zobaczył, że w nocy z gór zesła zadymka i w głębokim śniegu widnieją ślady bosych stóp Peszke. W pośpiechu ubrał się i wybiegł na ulicę.

Wołał ją po imieniu, błagając Pana wszechświata, aby zmiłował się nad jego matką, wokół siebie widział jednak tylko cichy zamrożony świat, cały biały i jednocześnie cały czarny. Szedł po jej śladach, aż zniknęły w śniegu, a potem przemierzał w rozpaczycie całe miasto, przeklinając Boga za to, że pozbawia ludzi wszelkiej nadziei, nim pozwoli im łaskawie umrzeć.

Odnalazł ją w końcu martwą i nagą na rynku. Siedziała w tym samym miejscu, w którym przez całe

życie sprzedawała jajka. Max obsypał ją pocałunkami, a potem wziął na ręce i poniosł przez uśpione miasto. Potrafił teraz zarzucić na furgon pół wołu i Peszke wydawała mu się wyjątkowo lekka. Jego rozpacz była bezdena i straszna. Przez siedem dni obchodził sziwę, oplakując swą nieszczęsną matkę i przez cały ten czas rzeźnik Mottele wraz z rodziną opiekowali się nim, a klienci przynosili jedzenie. Siostry i brat wyjechali już dawno na zachód, do Polski. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu Max oglądał każdy wschód i zachód słońca, odmawiając przepiękne słowa kadiszu.

Lata pierwszej wojny światowej nie były łatwe dla Żydów w Kironicce. A potem, wkrótce po zawieszeniu broni, zamordowano cara wraz z całą rodziną i w Rosji wybuchła wojna domowa.

- Nawet dobre czasy są złe dla Żydów. Złe czasy są dla nich po prostu nie do zniesienia - stwierdził Mottele, gdy po raz pierwszy przypuszczono atak na miasto.

Kiedy Kironicka znajdowała się w rękach białych, Żydzi cierpieli o wiele bardziej niż podczas władzy bolszewików. Raz po raz dochodziło do pogromów; wielu Żydów poległo z rąk niezdyscyplinowanych maruderów. Nikt nie spał spokojnie w dzielnicy żydowskiej; Anioł Śmierci trzymał miasto w dłoni niczym złapaną w pułapkę muchę.

226

Mottele ostrzegał Maxa również przed bolszewikami.

- Prawdziwi mordercy i świniopasy to ludzie, którzy się uśmiechają i mówią ci "towarzyszu". Zapamiętaj to sobie dobrze, Max. Długo się nad tym zastanawiałem. Komunizm pozwala rządowi okradać wszystkich. Kapitalizm? Komunizm? To wszystko jedno draństwo, niczym się od siebie nie różni. Bez względu na to, kto rządzi, Żydzi zawsze będą mieli najgorzej.

Mottele nie zdążył skończyć swej tyrady, kiedy do sklepu weszły po rostbef na szabasową wieczerzę Rachel Singer i jej szesnastoletnia córka Anna. Abraham Singer, właściciel fabryki dachówek zatrudniającej siedmiuset robotników, był jak dotąd najbogatszym Żydem w Kironicce. Rzeźnik ujrzał, iż Max podchodzi szybko do lady, tak jakby nie wiedział, że to jemu, Mottelemu, przypada zaszczyt obsłużenia najbardziej dystygowanych klientów.

- Idź oprawiać dalej tego byka - burknął, odpychając go na bok i dopiero w tym momencie zobaczył, że Max nie może oderwać oczu od Anny Singer. Wszyscy zgadzali się, iż w dzielnicy żydowskiej nie było tak ślicznej panny od czasu żyjącej w poprzednim stuleciu córki rebe Kuszmana. Nawet goje przyznawali, że jest najpiękniejszą dziewczyną w całym mieście. Jej twarz przyciągała niczym magnes spojrzenia mężczyzn i kobiet. Miała śliczną figurę i łagodny charakter.

Kiedy matka z córką opuściły sklep, Max podbiegł do drzwi i przyglądał się Annie idącej przez tłum adoratorów. Mottele śmiał się pod wąsem widząc, jak beznadziejnie zadurzył się jego pomocnik i jak mało wie o surowych zasadach, które regulowały życie żydowskiej społeczności w Kironicce.

— Nu, Max - oznajmił. - Najwyższy tak już urządził ten świat, że dziewczyna taka jak Anna Singer nigdy nie spojrzy na takiego szlemiela jak Max Rusoff. Są rzeczy, które zawsze będą sobie przeciwne. Jabłka i pomarańcze, Rosjanie i Żydzi. Polacy i Rosjanie, koszerne i trefne, świny i krowy, rabini i przechrzty i tak dalej. Anna stąpała przez całe życie po miękkich dywanach, podczas gdy ty taplałeś się w błocie. Miała prywatnego guwernera, który oprócz hebrajskiego nauczył ją rosyjskiego, francuskiego i matematyki. Gra na fortepianie jak anioł. Wszyscy Żydzi w Kironicce są z niej dumni.

— Jest niczym kwiat - westchnął Max, wracając do swych

pokrwawionych wypatroszonych zwierząt.

— Ale kto inny będzie go wachał - odparł Mottele, w jego

227

głosie nie było jednak złośliwości, ponieważ wszyscy mężczyźni czuli to samo co Max.

— Czy Anna jest już zaręczona? - zapytał Max.

— Wszyscy szajner Jid starają się o rękę Anny Singer. A teraz wracaj do roboty. Myśl o krowich, a nie kobiecych udach. I nie powtarzaj nikomu tych głupot o Annie Singer, bo staniesz się pośmiewiskiem całego miasta. Wolno ci się zwierzać tylko Mottelemu. Jemu możesz zaufać.

Czwartego maja 1919 roku miasto obudziła niesamowita cisza; jego mieszkańcy zdali sobie sprawę, że po raz trzeci w ciągu wojny domowej bolszewicy wycofali się z Kironicki. Przez dwa dni żaden Żyd nie wystawił nosa za próg-siedząc w domach czekali na atak białych, Kozaków albo którejś z band. Po jakimś czasie jednak ten i ów ośmielił się wyjść na ulicę i umiarkowany optymizm i nadzieja wstąpiły w serca mieszkańców wyniszczonego przez wojnę miasta.

Tydzień później rynek ponownie tętnił życiem. Klienci targowali się ze sprzedawcami, koguty piałły, gęsi żałośnie gęgały, młode dziewczęta kupowały kolorowe grzebienie, a pijani wieśniacy z kieszeniami pełnymi kopiejek po sprzedaży drobiu i żywego inwentarza zataczali się między straganami. Z zaułka piekarzy dobiegał zapach drożdży i świeżego chleba, koło stoiska z rybami pływały w balii żywe karpie, a sprzedawca parasoli modlił się o deszcz.

A potem nagle wszyscy ucichli. Na moście prowadzącym do Kironicki pojawili się pędzący z obnażonymi szablami Kozacy. Wysłano ich po to, by siali terror i zniszczenie. Stuosobowy oddział stanowił część kozackiego pułku, ścigającego jednostki Armii Czerwonej, które wycofały się tydzień wcześniej. Kironi-cka miała zostać ukarana za to, że tak długo okupowały ją wraz z wojska. Kozacy przeszli przez rynek niczym trąba powietrzna. Dwaj jadący strzemię w strzemię jeźdźcy stratowali na śmierć osiemdziesięcioletnią Żydówkę, która sprzedawała rodzyunki i winogrona. Ośmiu Żydów i pięciu gojów zginęło, zanim mieszkańcy rozpierzchli się po zaułkach. Kolejnych dziesięciu Żydów rozstało się z życiem, kiedy biegli do głównej synagogi, przekonani, że Bóg uchroni ich tam przed gniewem nieprzyjaciół. Ale Bóg milczał, gdy padli martwi na bruk, milczał także, kiedy Kozacy podpalili bóżnicę. Wkrótce napastnicy zaczęli wycofywać się z miasta, aby dołączyć do swego pułku. Wznieśli siedem pożarów i zostawili po sobie dwudziestu sześciu zabitych, setki

228

rannych i udrećzone miasto. Z odległych uliczek wciąż dochodziły krzyki mieszkańców, których atakowali maruderzy.

Max zamknął okiennice sklepu, kiedy tylko usłyszał rejwach i lament. Tak właśnie kazał mu postąpić Mottele w razie niebezpieczeństwa. Na dworze słychać było rozpaczliwe krzyki sąsiadów. Max chciał wybiec i pomóc swoim ziomkom, ale pamiętał dobrze olbrzymiego Kozaka, który zabił jego ojca. Wspomnienie ponurych jeźdźców napawało go przerażeniem.

A potem usłyszał walącego w okiennice Mottelego. Kiedy otworzył drzwi, rzeźnik padł na próg, cięty po plecach szablą. Max wciągnął go do środka i położył na ladzie, przy której sprzedawali mięso klientom.

Tordes, cyrulik z naprzeciwka, widział, jak Max wciąga Mottelego do sklepu, i przybiegł pomóc. Chociaż główną jego profesją było fryzjerstwo, potrafił również wyrywać zęby, stawiał pijawki i znał się dobrze na lekach i ziołach.

- Sukinsyny. Sukinsyny - jęczał bez przerwy Mottele.

Tordes przyniósł ze sobą flaszkę spirytusu.

- To będzie bolało, Mottele, ale rana zostanie zdezynfekowana. Nie wiadomo, czy ten zbój nie kroił wczoraj szablą boczką.

Max jeszcze nigdy w życiu nie słyszał, aby ktoś krzychał tak głośno jak Mottele, kiedy spirytus zetknął się z otwartą raną.

— To boli bardziej niż cięcie szablą - skarżył się rzeźnik.

— Podpalili synagogę - powiedział Tordes, czyszcząc jego ranę. - Niechaj ich imiona wyróżnione zostaną na posładkach Szatana.

Nagle rozległo się cichsze, ale bardziej natarczywe stukanie w blaszane okiennice i kiedy Max otworzył drzwi, stanęła w nich zapłakana Rachel Singer. Z rany na jej głowie płynęła krew.

- Mój mąż - zaszlochała. - Moja córka Anna. Niech ktoś mi pomoże.

I syn Berła Sznorera, Max Rusoff - który bał się panicznie Kozaków i którego obłąkana matka zamarzyła naga w śniegu; który nie odgrywał żadnej roli w życiu Kironicki i kochał się potajemnie w pięknej i niedostępnej Annie - ten sam ubogi, ale bogobojny Max Rusoff skinął głową zakrwawionej Rachel, złapał swój tasak i pobiegł jak szalony w stronę domu Singerów.

Dom stał dziesięć przecznic dalej i pędząc ku niemu krętą wąską uliczką Max nie spotkał po drodze żywego ducha. Kozacy strzelali znad rzeki i mieszkańcy pochowali się, gdzie kto

229

mógł. Z każdym krokiem Max zapuszczał się coraz głębiej w uprzywilejowany świat szajner Jid, świat zamożnych Żydów, którzy mieszkali w eleganckich domach i z których osiągnięć dumna była cała gmina. Biegając zapomniał o swoim strachu - myślał tylko o tym, że coś złego może stać się Annie. Przy otwartej bramie domu Singerów zatrzymał się, zebrał w sobie całą odwagę i uspokoił oddech. A potem pomodlił się do Boga, który stworzył Samsona, aby dał mu siłę do walki z Filistynami, i w tej samej chwili usłyszał krzyk Anny. W parok-szymie tchórzostwa i zwątpienia wbiegł na podwórko.

Abraham Singer leżał na bruku, trafiony kulą prosto w serce. Obok niego leżało dwóch służących.

Siedzący w siodle Kozak obserwował swego kolegę, który gwałcił Annę Singer w sieni tuż za otwartymi drzwiami. Kozak na koniu zanosił się śmiechem i spostrzegł młodego rzeźnika, dopiero gdy ten znalazł się tuż przy nim. Spoglądając nań z góry wymówił tylko jedno słowo: "Jid".

Tak, Max był Żydem, ale był również rzeźnikiem. Nigdy dotąd nie zabił człowieka - wszystko, co przeżył, cała jego żydowska wrażliwość buntowała się przeciw tej ewentualności, ale jako rzeźnik znał świetnie wszystkie arterie, słabe miejsca i zabójcze punkty i mógł to teraz wykorzystać.

Kozacy od dawien dawna prześladowali Żydów, lecz napadając na Kironi-ckę, popełnili jeden fatalny błąd: postanowili zgwałcić młodą dziewczynę, w której potajemnie kochał się Max Rusoff.

Siedząc na swoim wielkim wierzchowcu, Kozak widział przed sobą przysadzistego niskiego młokosa - nie mógł jednak wiedzieć, że Max potrafi jednym płynnym ruchem zarzucić na rzeźniczy hak wyrosniętego młodego wołu. Śmiejąc się głośno i dziwiąc, że trafił na pobożnego Żyda, który chce z nim walczyć, nie mógł wiedzieć, że Max zasłynął wśród innych rzeźników z tego, że jego narzędzia są zawsze dobrze naostrzone. Kozacka szabla nie wysunęła się jeszcze do końca z pochwy, kiedy Max zadał pierwsze uderzenie, odejmując gładko ramię Kozaka tuż przy łokciu i ucinając na zawsze jego śmiech. Atak był tak szybki i szokujący, że młody jeździec podniósł po prostu w górę krwawiący kikut, przyglądając mu się ze zdumieniem i niedowierzaniem, i nie zdążył się uchylić, kiedy Max złapał za łęk siodła, skoczył w górę i wbił mu tasak prosto w gardło, urywając w półkrzyku jego skargę.

Świadkowie tej sceny, a byli nimi dwaj ukryci w ogrodzie służący, twierdzili potem zgodnie, że w ataku Maxa najbardziej

230

przeraziła ich jego zajadłość. Widząc, jak pokryta piaskowego koloru włosami kozacka głowa pada na bruk w tym zdumiewającym akcie kozacko-żydowskiej sprawiedliwości, czuli, jak przechodzi ich dreszcz grozy.

Z domu dobiegł kolejny krzyk Anny Singer i Max poczuł, że pęka mu serce. Z twarzą spryskaną

rosyjską krwią wpadł do sieni i jego furia sięgnęła szczytu, gdy zobaczył drugiego Kozaka, który ze ściągniętymi do kostek spodniami gwałcił leżącą na plecach, usiłującą się bronić Annę.

Max Rusoff złapał Kozaka za włosy i szarpnął do tyłu tak mocno, że o mało nie zdarł mu z głowy skalpu. Ten wrzasnął z bólu i zerwał się wściekły na nogi, ale tasak zataczał już kolejny łuk. Ostrze przecięło ze świstem powietrze i penis Kozaka wylądował pod krzesłem w jadalni. A potem, zaciskając tasak w obu dłoniach, Max zatopił z morderczą prezyzją ostrze w mózgu czarnowłosego gwałciciela i wojna między nim a Kozakami dobiegła końca.

Zapłakana Anna odwróciła się w stronę schodów, starając się ukryć swoją nagość. Zebrawszy z podłogi strzępy jej sukienki Max okrył ją, jak mógł najlepiej, a potem ściągnął ze stołu obrus i pomógł jej się nim owinąć. Chciał coś powiedzieć, chciał pocieszyć tę piękną, skrzywdzoną dziewczynę, której ojciec leżał zamordowany za drzwiami domu. Nie potrafił jednak wykrztusić z siebie ani słowa.

Wrócił do drzwi i widząc obok bramy domu Singerów porzucony wózek z warzywami, wtoczył go szybko na podwórko. Zaniepokojone zapachem krwi swych panów, kozackie konie płoszyły się i wydymały chrapy. A potem z ogrodu wychynęli dwaj żydowscy służący.

- Zabierzcie te konie do jatki Mottelego - rozkazał im Max.

Przyciągnął ciała obu Kozaków i rzucił je niczym worki kartofli na wózek, a potem zebrał brakujące części ciała: ramię i głowę z podwórka i penis spod krzesła. Anna schowała się tymczasem na górze; Max zerwał zasłonę z okna w bawialni, przykrył nią zwłoki Kozaków i pchając przed sobą wózek, ruszył pogrążony w mroku ulicą w stronę zaułka rzeźników i jatki Mottelego.

Wchodząc do sklepu Mottelego, rabbi Awram Szorr o mało nie zemdlał, widząc opartych o ścianę niczym kłody drzewa

231

dwóch martwych Kozaków. Pojedyncza świeczka rzucała niesamowity blask na ich okaleczone zwłoki.

— Kto jest odpowiedzialny za ten nikczemny czyn? - za pytał rabin.

— Ja. Max Rusoff.

— Kiedy Kozacy odkryją, co się stało, wrócą tu tysiącami, żeby pomścić śmierć swoich ziomków.

— Witaj, Wielki Rabbi - powiedział Mottele, kłaniając się nisko, żeby oddać hołd dostojnemu gościowi. - To wielki zaszczyt widzieć cię pod moim skromnym dachem. Max ma parę pytań, które chciałby zadać i na które tylko rabbi zna odpowiedź.

— Max naraził całą gminę żydowską na wielkie niebezpieczeństwo - stwierdził rabin. - Co to za pytania, rzeźniku?

— Za pozwoleniem, rebe - zaczął Max. - Czy można zawiesić na jedną noc przepisy dotyczące tego, co jest, a co nie jest koszerne?

— Żydzi nie zawieszają praw dotyczących koszeru z tak błahego powodu jak pogrom - odparł rabin. - W tym momencie powinniśmy jeszcze bardziej skrupulatnie przestrzegać naszych praw. Bóg zesłał na nas pogrom, bo Żydzi nie wypełniają swoich powinności.

— Tylko na jedną noc, rebe - powtórzył Max.

— To kozackie konie - powiedział rabin, spoglądając na stojące na zapleczu jatki dwa wielkie rumaki. - Któż uwierzy, że należą do Żydów? Kiedy Kozacy odnajdą te konie, zaczną się wielka rzeź.

— Jesteś naszym świadkiem, rebe - powiedział Max. - Te

dwa wierzchowce nie zginęły okrutną śmiercią.

— Nie rozumiem cię - zdziwił się rabin.

W tej samej chwili nogi stojącego obok niego konia ugięły się i zwierzę osunęło się na kolana, wydając z siebie ciche rżenie. Max poderżnął gardło jednemu, a Mottele drugiemu koniowi, zrobili to jednak tak szybko i precyzyjnie, że kiedy naostrzone z największą dokładnością noże przecięły ich tętnice, zwierzęta odczuły tylko lekki ból, o wiele mniejszy, niż gdyby ukąsił je giez.

- Przesuń się, rebe - powiedział cicho Max.

Rabin cofnął się ku drzwiom, a oba konie osunęły się na podłogę, łapiąc kurczowo oddech.

- Dlaczego uśmierciliście te biedne stworzenia? - zapytał

232

rabin. Był uczonym w piśmie i wielkim nauczycielem i nigdy dotąd nie oglądał śmierci tak dużego zwierzęcia.

— Aby nie odnaleźli ich Kozacy - odpowiedział Max. -

Gdyby rebe mógł zawiesić przepisy na jedną noc, moglibyśmy nakarmić końskim mięsem wszystkich biednych Żydów w mias teczku.

— To wykluczone. Końskie mięso jest trefne, nieczyste, a Trzecia Księga Mojżeszowa zabrania Żydom spożywać mięsa zwierzęcia, które nie przeżuwa swojego pokarmu.

— Tylko na jedną noc, rebe - powtórzył Mottele. - Moglibyśmy wysłać steki do najbiedniejszych domów.

— Ani na jedną noc. Ani na sekundę. Nie zawiesza się praw koszem, tylko dlatego że pewnemu rzeźnikowi w Kironicce pomieszało się w głowie. Uważasz, że jestem zbyt surowy, ale to Tora jest surowa.

— Jeszcze jedno pytanie, rebe - odezwał się nieśmiało Max.

— Słucham - odparł rabbi Awram Szorr. - Przypuszczam, że teraz zechcesz, abym pozwolił wam zjeść tych Kozaków.

— Pytanie rzeczywiście dotyczy Kozaków, rebe - potwierdził Max. - Chodzi o to, czy będziemy mogli ich pogrzebać, kiedy Żydzi pochowają jutro swoich zmarłych na żydowskim cmentarzu.

— Pochowałbyś takie barachło razem ze zwłokami naszych świętych męczenników? - zapytał rabin. - Zbecześciłbyś kości naszych przodków, grzebiąc obok nich coś tak trefnego? To absolutnie wykluczone.

— W takim razie co mamy zrobić z tymi Kozakami, rebe? - zapytał Mottele.

— Dlaczego miałbym się przejmować tym, co stanie się z Kozakami? - odparł rabin.

— Ponieważ sam powiedziałeś, rebe, że ci dwaj mogą ściągnąć na nasze miasto zemstę swoich ziomków.

— Rozumiem, o co ci chodzi, rzeźniku. Niechaj stolarz Maczulat zrobi dla nich dwie trumny. Kiedy zabite zostaną gwoździami, w środku nie będą leżeć Kozacy, ale zwyczajne zwłoki. Zastanowię się nad tym dylematem w nocy i na pewno znajdę jakieś rozwiązanie. Powiedz mi, rzeźniku - dodał rabin, zwracając się do Maxa - czy wiedziałeś, że drzemie w tobie dzika bestia?

— Nie, rebe - odparł zawstydzony Max.

— Jesteś tak samo okrutny jak Polak albo litwak - stwierdził

233

rabin, rozglądając się po wnętrzu sklepu. - Jesteś zwierzęciem, jak najgorszy goj. Kiedy przyglądam się tej jatce, wstydę się za wszystkich Żydów. Jesteśmy łagodnym, miłującym pokój narodem i przechodzi mnie dreszcz, gdy pomyślę, że my, Żydzi, wydaliśmy takiego zwyrodnialca, takiego okrutnika.

— Mojego ojca zabili Kozacy - powiedział Max.

— Max jest pobożnym Żydem - dodał Mottele.

— Ty, Mottele, powinienes przemówić mu do rozumu -

kontynuował rabin. - Co powiedziałaś temu wojowniczemu

Żydowi, kiedy przywiózł do twojej jatki zwłoki dwóch Kozaków? Widzę, że on cię szanuje, Mottele. Co mu powiedziałaś?

W jaki sposób go skarciłaś?

Mottele spojrział najpierw na Maxa, potem na rabina.

- Wybacz mi, rebe, ale pierwszą rzeczą, jaką powiedziałem, było: Mazel tow!

Wychodząc z jatki Mottelego, rabbi Awram Szorr minął w drzwiach pięciu rzeźników, których sklepy znajdowały się przy tej samej ulicy. Wszyscy stawili się z nożami i tasakami, dowiedziawszy się, jakie zadanie czeka tej nocy Mottelego i Maxa - przyszli w imię braterstwa, jakie łączy przedstawiciele tej brudnej, melancholijnej profesji, w imię cichej solidarności ludzi, którzy zarabiają na życie, dzieląc zwierzęta na kawałki mięsa. Ubrani w białe fartuchy, byli wszyscy co do jednego silnymi, ciężko harującymi mężczyznami, którzy rozumieli, dlaczego trzeba pozbyć się wszelkiego śladu po Kozakach i ich koniach. Trzech podeszło do zwierzęcia, które zabił Max, dwóch pozostałych pomogło Mottelemu.

Dwa piękne wierzchowce zaczęły znikać pod nożami masarzy, którzy pracując w pocie czoła, szybko i sprawnie przerabiali je na koninę.

Max i Mottele jednocześnie spostrzegli pokrytego parchami czarnego psa, który kręcił się po ulicy, łaszac się i skamłac

0 ochłapy. Mottele miał zamiar przepędzić chude jak szkielet zwierzę, ale Max powstrzymał go.

- Dzisiaj możemy go nakarmić.

Tej nocy wszystkie bezpańskie psy i koty pożywiły się końskim mięsem - sztuka rzeźnicza jest sztuką redukcji i rzeźnicy Kironicki przeżyli godzinę chwały, gdy dwa konie opuściły jatkę w formie steków, kotletów i żeberk. Podrobów było dość, by przez kilka dni żywić domowe zwierzęta. Kiedy skończyli pracę

1 oczyścili podłogę z wielkiej ilości końskiej krwi, nikt nie

234

zgadłby, że dwa konie kozackich kawalerzystów kiedykolwiek stały splecione w jatce Mottelego. Wszystkich członków cechu rozpierała duma.

Nazajutrz rano w stronę oddalonego o dwie mile kirkutu ruszyła procesja, w której uczestniczyło ponad pięciuset żałobników. Chociaż w trakcie pogromu zginęło dwudziestu sześciu Żydów, w pochodzie niesiono dwadzieścia osiem trumien. Rabbi Awram Szorr rozważył problem, jak pozbyć się zwłok dwóch Kozaków, i znalazł najbardziej stosowne rozwiązanie.

W samym środku lamentującego tłumu szli członkowie cechu rzeźników, dźwigając na ramionach dwie trumny i sunąc wraz z żałobnikami w stronę leżących za mostem, czerwieniących się od maków pól.

Ludzie wypełnili cmentarz, ale było ich tylu, że część musiała obserwować pogrzeb zza ogrodzenia. Podczas gdy Żydzi grzebali swoich zmarłych w poświęconej ziemi, Max i rzeźnicy pochowali dwóch Kozaków za murem i udeptali płasko ziemię na ich grobach. Ciżba ubranych na czarno żałobników zasłoniła ich przed oczyma obcych. Kiedy ceremonia dobiegła końca, każdy Żyd

przeszedł po kozackich grobach, i robiąc to, każdy splunął. Dzień wcześniej Kozacy przelali żydowską krew, teraz zaś szli do swego Stwórcy obmyci żydowską śliną.

Miesiąc później Armia Czerwona zajęła z powrotem Kironi-ckę. W tym czasie wielu ludzi ginęło bez wieści w wojennej zawierusze - jak dzieje się w każdym kraju, w którym brat powstaje przeciw bratu. Rosja straciła wówczas tysiące żołnierzy i dwóch bezimiennych Kozaków dołączyło do długiej listy zaginionych.

Życie Maxa Rusoffa nigdy nie wróciło jednak w stare koleiny. Od tej pory Żydzi mówili o nim z mieszaniną strachu, odrazy i podziwu. Chociaż nikt nie żałował zabitych Kozaków, większości nie dawał spokoju sposób, w jaki ponieśli śmierć. Obraz Maxa zatapiającego tasak w kozackim gardle na zawsze odmienił go w oczach ziomków.

Żydzi z Kironicki zaczęli się od niego odsuwać. Cierpiały na tym interesy Mottelego. Rachel Singer nigdy nie pojawiła się już w jego sklepie. Kilka tygodni po pogrzebie Abrahama Max wybrał się z wizytą do Anny, aby zapytać o jej zdrowie, ale został z wielką i niepotrzebną brutalnością odprowadzony od drzwi przez służącego, który dał mu wyraźnie do zrozumienia, iż nie jest tu mile widziany. "Z wyjątkiem pogromów", mruknął pod

235

nosem Max, wracając do swego sklepu. Sześć miesięcy później ogłoszono zaręczyny młodej Singerówny z bogatym handlarzem futer z Odessy i Anna na zawsze zniknęła z życia Maxa Rusoffa. Niedługo po weselu Anny rabbi Awram Szorr wezwał do siebie Maxa.

— Słyszałem, że doprowadziłeś do ruiny interes Mottelego - powiedział.

— Ludzie unikają naszego sklepu. To prawda, rebe.

— Masz zły wpływ na Żydów z Kironicki - oświadczył rabbin. - Jesteś niczym dybuk, który opętał wszystkich Żydów, zły duch, który zamieszkał w nas wszystkich. Pewna kobieta zobaczyła niedawno na ulicy swoich bawiących się synów. Jeden z nich miał nóż i udawał, że przebija nim młodszego brata. Złowszy mu skórę, zapytała, co to za zabawa. Chłopak odparł, że bawią się w Maxa Rzeźnika. Jego młodszy brat odgrywał rolę Kozaka.

— Przykro mi, rebe.

— Nawet nasze dzieci nie uchroniły się przed złym wpływem. Swoją drogą chciałbym wiedzieć, Max, co wyzwoliło w tobie złe moce?

- Kochałem Annę Singer. Potajemnie - wyznał Max. Rabbin wybuchnął śmiechem, od którego zdrząły mury synagogi.

— Uczeń rzeźnika zakochany w córce Abrahama Singera? - zapytał z niedowierzaniem.

— Nie marzyłem o tym, żeby się z nią żenić - wyjaśnił Max. - Po prostu ją kochałem. Mottele powiedział mi, że ślub jest niemożliwy.

— Abraham wyrzuciłby cię z domu, gdybyś kiedykolwiek ośmielił się poprosić o jej rękę - stwierdził rabbin.

— Nie podczas pogromu - zaprzeczył Max. - Tamtej nocy Abraham powitałby mnie niczym rabiego.

— Byłeś świadkiem gwałtu na jego córce - mówił dalej rabbin. - Abrahamowi na pewno by się to nie spodobało.

— Zabiłem jej gwałciciela - powiedział Max. - Abrahama mowi na pewno bardzo by się to spodobało.

— Tamtej nocy byłeś dziką bestią - zarzucił mu rabbin.

— Byłem Żydem - bronił się Max.
— Żydem bardziej okrutnym od goja.
— Żydem, który nie pozwala, aby gwałcono żydowskie dziewczęta.
236

— Nie należysz do Kironicki, rzeźnika. Wzburzyłeś członków naszej gminy.
— Zrobię, co każe rabbi - oświadczył Max.
— Chcę, abyś na zawsze opuścił Kironickę. Jedź do Polski. Jedź, gdzie cię oczy poniosą. Jedź do Ameryki.
— Nie mam pieniędzy na bilet.
— Przyszła do mnie matka Anny Singer - poinformował go rabin. - Da ci pieniądze na bilet. Singerom nie podoba się, że nie wyniosłeś się jeszcze z miasta. Abraham ma wielu wpływowych braci. Wszyscy obawiają się, że zaczniesz rozpowiadać, co widziałeś tamtej nocy.
— Nie mówiłem o tym nikomu - odparł Max.
— Bracia Singerowie nie wierzą, aby pomocnik rzeźnika potrafił trzymać język za zębami. Biedacy znani są ze swojej gadatliwości.
— Nie widziałem braci Singerów w noc pogromu.
— Podobnie jak wszyscy pobożni Żydzi, modlili się do Najwyższego, aby wybawił z opresji naszych współziomków.
— Ja też się modliłem - odparł Max. - Ale moja modlitwa przybrała inną formę.
— Nie bluźnij. Morderstwo nigdy nie jest modlitwą.
— Przepraszam, rebe. Nie jestem wykształconym człowiekiem.

Niedługo potem Max Rusoff opuścił Kironickę, udając się w długą i niebezpieczną podróż do Polski, gdzie kupił bilet na pływący do Ameryki frachtowiec. Podczas podróży w przepelnionych kabinach trzeciej klasy poznał nauczyciela z Krakowa, niejakiego Mojsze Zuckermana. To właśnie Zuckerman udzielił mu pierwszych lekcji angielskiego i ku zdziwieniu ich obu okazało się, że Max ma wrodzoną łatwość do języków.

Nocami Max stał na pokładzie, studiując gwiazdy i ćwicząc dziwny nowy język, którym niedługo miał zacząć mówić. Nikt nie czekał na niego na Ellis Island i to odróżniało go od innych Żydów, którzy przyплыли tym samym statkiem. Mojsze Zuckerman zajął się wszystkimi formalnościami, załatwił Maxowi tymczasowy nocleg w domu kuzyna i w końcu umieścił go w pociągu jadącym z Pennsylvania Station do Karoliny Południowej, gdzie, jak oznajmił, kraj jest piękny i nie ma ani jednego getta. Jadąc całą noc przez stany Wschodniego Wybrzeża, Max starał się powściągnąć dręczące go obawy. Wiedział, że nie ma dla niego odwrotu. Im dalej na południe podążał

237

pociąg, tym mniej rozumiała stawała się mowa, której nauczył się na statku. Kiedy o dziesiątej rano dotarł do Charlestonu, wszystkie słowa zlewały się ze sobą w miękkich elizjach południowego dialektu.

Na dworcu czekał na niego nieskazitelnie ubrany Henry Rittenberg, który zaskoczył go, przemawiając w jidisz. Elegancki ubiór i wyszukane maniery Henry'ego sprawiły, że Max wziął go w pierwszej chwili za Amerykanina. Charlestońscy Żydzi potraktowali z niezwykłą życzliwością dziwnego ziomka, którego koleje losu rzuciły do ich miasta. Henry Rittenberg zadzwonił do swego przyjaciela, Jacoba Popowskiego, który utracił niedawno jednego z komiwojażerów na terytorium graniczącym od południa z Georgią.

Tydzień później Max wyszedł z Charlestonu, obładowany niczym juczne zwierzę dwoma olbrzymimi tobołami.

Przez pierwszy rok Max wędrował samotnie traktami przecinającymi słabo zaludnioną, lesistą okolicę. Farmerzy, którym składał nie zapowiedzianą wizytę, gdy orali mułami pola lub karmili drób na gliniastych podwórkach, traktowali go jak przybysza z innej planety. Jego angielski był z początku toporny i śmieszny. Max rozkładał swoje towary przed gospodynią i czekał po prostu, aż ta pokaże palcem szczotki i świecidełka, które wybrała. "Podoba się. Kupuje", mówił ze swoim ciężkim obcym akcentem, który przerażał zwłaszcza Murzynki. W jego twarzy było jednak coś, co budziło zaufanie wielu kobiet mieszkających przy drodze numer 17. Kiedy nabrał wprawy w angielskim i oswojono się z widokiem pojawiającej się w polu widzenia charakterystycznej postaci, wizyty Maxa Rusoffa stały się dla tych samotnych, ciężko pracujących ludzi prawdziwym świętem. Wiejskie dzieci uwielbiały go od samego początku. Zawsze miał w swoich tobołach coś, co dawał im za darmo. Raz była to wstążka, innym razem cukierek.

Max płacił towarami za nocleg w stodole i za jajka, którymi się posilał. Gospodynie zaczęły nazywać go "jajczarzem", nie jadł bowiem nic, co dla niego przygotowały, z wyjątkiem gotowanych na twardo jajek. Jajka na twardo były jedynym posiłkiem, na który mógł sobie pozwolić jako pobożny Żyd, nie naruszający zasad koszem. Widząc, jak bardzo różni się od innych mieszkańców, w tym również od swych ziomków z Charlestonu, ściał pejsy i zgolił brodę.

Przeobrażenie się

238

w południowca wymagało jednak od niego więcej elastyczności, niż potrafił sobie wyobrazić.

Pod koniec pierwszego roku Max kupił sobie furgon i konia i skala jego interesów, a także ambicji, znacznie się powiększyła.

Koń i furgon umożliwiały mu dalsze podróże. W drugim roku swego pobytu w Karolinie Południowej Max odwiedził małe nadrzeczne miasteczko Waterford, następnie zaś zapuścił się jeszcze dalej, na wyspy, które wrzynały się długimi cyplami w Atlantyckie. Przejeżdżając przez Waterford, nie popędzał konia, starając się zapamiętać, jakie sklepy znajdują się już w miasteczku. Mieszkańcy, których wypytywał, traktowali go z uprzejmą, aczkolwiek nieco nonszalancką rezerwą, jaką południowcy okazują na ogół obcym. Słyszając jego akcent, niektórzy wybuchali śmiechem, ale Maxowi to nie przeszkadzało.

Przemierzając któregoś dnia wyspę St. Michael's, usłyszał, jak ktoś woła go z drugiego brzegu słonej rzeczulki.

— Hej, proszę pana! To pan jest tym Żydem? - zagadnął go młody barczysty mężczyzna o sympatycznej opalanej twarzy.

— Tak, to ja - odkrzyknął Max.

— Słyszałem o panu. Potrzebuję paru rzeczy, ale niech pan chwilę zaczeka. Muszę przepłynąć na drugi brzeg.

— Nie pali się - odparł Max, dumny, że może się pochwalić jednym z idiomów, którymi codziennie wzbogacał swój język. - Mam mnóstwo czasu.

Nieznajomy przepłynął rzeczulkę drewnianą łódką i Max podał mu rękę.

— Jestem Max Rusoff

— A ja Silas McCall. Moja żona nazywa się Ginny Penn.

Może pan zostać u nas na noc. Nigdy w życiu nie spotkaliśmy jeszcze Żyda, członka narodu wybranego.

— Nie sprawię wiele kłopotu - odparł z uśmiechem Max.

— Ginny Penn ugotowała już tuzin jaj - powiedział Si las. - Powinien pan założyć sklep i osiąść tu na stałe. Nie zmęczyło pana to pukanie od drzwi do drzwi?

— Zmęczyło - rzekł Max.

Tak oto Max Rusoff poznał swego najlepszego przyjaciela w Nowym Świecie i tak oto losy pewnej

żydowskiej rodziny nierozzerwalnie związały się z losami rodziny chrześcijańskiej. Przeznaczenie samo wytycza sobie ścieżki; to przypadkowe spotkanie miało zmienić życie nas wszystkich. Obaj mężczyźni zdążyli już w swoim życiu zakosztować samotności i od dawna

239

na siebie czekali. Niespełna rok później Max założył swój pierwszy mały sklepik w Waterfordzie i sprowadził do Ameryki Esther, córkę rzeźnika Mottelego. Wesele wyprawili im Silas i Ginny Penn, a udział wzięli w nim najzamożniejsi obywatele miasteczka.

W roku 1968 Rusoffowie pojechali na wycieczkę do Izraela i w Yad Vashem, na tablicy ufundowanej ku czci Żydów zamordowanych podczas Shoah, Max odnalazł ślubne nazwisko Anny Singer. Była w grupie Żydów z Kironicki, których esesmani rozstrzelali i pochowali w masowych grobach. Max stał przez całą godzinę w Yad Vashem, oplakując swoją nierealną i niewinną miłość do Anny. Czystość tego uczucia symbolizowała to, co było w nim najlepsze. Choć miał już sześćdziesiąt pięć lat, wciąż czuł się jak szesnastolatek, zadurzony w ślicznej, strzelającej oczyma Żydówce. Nie mógł znieść myśli, że klęczała naga i zawstydzona przed swoimi mordercami, że zginęła przez nikogo nie oplakiwana, a jej ciało spoczęło w anonimowym grobie. Nigdy nie powiedział Esther, że odnalazł nazwisko Anny. Tej samej nocy przyśnił mu się sen.

Zobaczył w nim, jak naziści wypędzają z domu Annę Singer, jej męża i dzieci. Widział na jej twarzy strach, ten sam strach, który spostrzegł tamtej nocy, gdy gwałcono ją we własnym domu, a jej ojciec leżał martwy na podwórzu. Anna wiedziała, iż będzie musiała zginąć, ponieważ należy do narodu wybranego. Jej włosy przypominały spływający po ramionach ciemny ogień. Podchodząc do wykopanego w ziemi dołu i trzymając za ręce swoje dzieci, mijała rechoczących głośno nazistów.

W tym momencie jego snu Anna zaczynała nagle tańczyć. Jej tańca nie widzieli ani żołnierze, ani inni skazani Żydzi i dopiero po kilku chwilach zdumiony i zdezorientowany Max zdał sobie sprawę, że Anna Singer tańczy dla niego, że składa hołd samotnemu, okrytemu hańbą Żydowi, który mógł ją kochać tylko z daleka. Kolejni, popychani przez żołnierzy, Żydzi klękali na skraju dołu, gdzie czekała ich śmierć, ale Anna nie przestawała tańczyć i nagle zaczęły śpiewać ptaki, a w powietrzu rozszedł się zapach mięty i goździków.

Po krótkiej chwili Max spostrzegł, co skłoniło Annę Singer do tańca. Po drugiej stronie masowego grobu widać było stojącą w wąskim zaułku Kironicki mięsną jatkę i szesnastoletniego pomocnika rzeźnika, który stanął w progu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Silny i muskularny, przez chwilę rozglądał się nie-

240

śmiało, mrużąc oczy przed słońcem, a potem ujrzał tańczącą Annę i nisko się jej uklonił. Chciał zatańczyć razem z nią, czekało go jednak dużo pracy.

Zanim się do niej zabrał, przyjrzał się uważniej Annie i zobaczył, że zmieniła się w panienkę, która odwiedziła kiedyś jego sklep wraz ze swoją matką. Wiedziała, że Max ją kocha, i będąc dziewczyną, która sama decyduje o swoim losie, dokonała tym razem właściwego wyboru. Tak, krzyknęła do Maxa, tak, teraz zawsze już będę należeć do ciebie, mój ty mścicielu, mój obrońco, mój ukochany.

Młody Max Rusoff podbiegł do dwóch nie znających litości tchórzliwych Niemców, którzy strzelali do bezbronnych tłumów kobiet, dzieci i starców, i rozłupał im głowy, tak jak łamie się baranie żebro. A potem ruszył wzdłuż szpalery znieruchomiałych nazistów i rozszczepiając tasakiem ich mózgi, zatapiając jego ostrze aż po gałki ich oczu, ciął jednego po drugim, zbliżając się przez cały czas do swej ukochanej. Kiedy wreszcie do niej dotarł i kłaniając się nisko, ofiarował w darze batalion pozarynanych żołnierzy, jego silne ramiona unurzane były w niemieckiej krwi.

Nagle cała krew zniknęła i zostały tylko promienie słońca. Anna pocałowała czule Maxa i zaprosiła go do tańca. Wirując w rytmie walca, dotarli do sklepu mięsnego i tego, co czekało na nich po drugiej stronie czasu, a potem, trzymając się w ramionach, podążyli tanecznym krokiem dalej, ku rajskiemu ogrodowi, w którym gwiazdy świecą niczym miłosny list od szczodrobliwego Boga.

Z marzeń obudził Maxa Rusoffa grzechot karabinu maszynowego i widok podziurawionego pociskami ciała Anny, ciała, które osuwało się wraz z jej dziećmi w głąb dołu.

Po powrocie do Waterfordu poszedł do synagogi, którą pomagał kiedyś własnymi rękoma wznosić, i odmówił kadisza za Annę.

Pomodlił się za jej duszę na amerykańskim Południu. W tym czasie ludzie mówili już o nim:

"Wielki Żyd" - nie w uznaniu czynów, których dokonał w szerokim świecie, ale podziwiając to, co osiągnął we własnym mieście. Kiedy jechał po raz pierwszy do Izraela, był burmistrzem Waterfordu.

ROZDZIAŁ 16

Resztę przedpołudnia spędziłem, załatwiając różne sprawy dla matki. Wraz z Dupree wróciliśmy do domu towarowego Rusoffa i kupiliśmy jej nocną koszulę i kosmetyki, a także trzy peruki, aby mogła je nosić w ciągu najbliższych tygodni, kiedy po chemioterapii straci włosy. Wybraliśmy najlepsze peruki, jakie można było dostać w Waterfordzie, i w drodze do szpitala Dupree włożył jedną z nich, opowiadając mi o swoich pacjentach ze stanowego instytutu psychiatrycznego. Pracowało mu się dobrze z cyklofrenikami i miał wiele współczucia dla, jak ich określał, "wszelkiej maści schizofreników".

Po południu jedna z pielęgniarek pomogła mamie przebrać się w nową nocną koszulę i kiedy złożyłem jej codzienną dzie-sięciominutową wizytę, Lucy miała na głowie perukę.

— Musiała kosztować fortunę - stwierdziła.

— Dziesięć tysięcy - odparłem. - Ale w zakupie partycy pował Dupree. Dorzucił pięć dolców.

— Nocna koszula jest śliczna - cieszyła się.

— Wyglądasz w niej jak gwiazda filmowa.

— Gdzie jest John Hardin, Jack? - zapytała.

— Od kilku dni go nie widziałem.

— Miej na niego oczy otwarte - poprosiła. - Mogą z nim być kłopoty.

— Tak słyszałem.

— Zatelefonowałam dzisiaj do Leah - oznajmiła, zupełnie mnie zaskakując.

— Co ci powiedziała?

— Zaprosiła mnie do Rzymu. Obiecałam, że odwiedzę ją,

242

kiedy tylko nabiorę trochę sił. Ja też ją zaprosiłam. Chcę, żeby przyjechała na dłużej, najlepiej między majem a sierpniem, kiedy żółwie morskie składają jaja.

— Żółwie złożą jaja bez względu na to, czy Leah wróci, czy nie wróci do domu - stwierdziłem.

— Kieruję programem ochrony żółwi na Isle of Orion - poinformowała mnie matka. - Pełnimy dyżury na plaży. Liczymy gniazda. Pilnujemy, żeby nikt nie ruszał jaj.

— Leah na pewno będzie zachwycona. Słuchaj, mamó, w poczekalni kłębi się cały tłum. Jest tam dziadek. Wszyscy chcą się z tobą zobaczyć. Wrócę później. W niedzielę muszę wyjechać.

— Nie możesz. To nie w porządku.

— Nie w porządku jest to, że Leah musi być tak długo sama.

— Kto się nią opiekuje?

— Charles Manson - odparłem. - Wypuścili go za dobre sprawowanie i pilnie potrzebował roboty.

— Możesz iść. Wpadnij do mnie jutro. I proszę cię, uważaj na Johna Hardina.

Kiedy wróciłem do domu ojca, nie było jeszcze trzeciej; na werandzie siedziała Ruth Fox. Wyłączyłem silnik, zamknąłem oczy i oparłem czoło o kierownicę. Byłem tak zmęczony i poobijany psychicznie, że przestałem już cokolwiek odczuwać. Nie sądziłem, bym po raz kolejny zdołał stawić czoło upiorom mej skomplikowanej przeszłości. Nie miałem najmniejszej ochoty wdawać się w ostrą wymianę zdań z matką najbardziej przeze mnie w życiu uwielbianej kobiety. A potem pomyślałem o czekającej na mnie w Rzymie Leah i o tym, jak bardzo mi jej brakuje. O ileż bardziej musiała cierpieć Ruth Fox, tracąc w ciągu zaledwie jednego roku Shylę i Leah? Przyjrzałem się ponownie czekającej cierpliwie w białym wiklinowym fotelu nieruchomej postaci, po czym wysiadłem z samochodu i ruszyłem znużonym krokiem w stronę mojej teściowej. Nawet w jaskrawych promieniach słońca jej uroda wywierała na mnie potężne wrażenie. Jak to możliwe, pomyślałem, by jedno miasto wydało w jednym pokoleniu tyle pięknych kobiet? Ujrzałem w nagłym olśnieniu, jak wyglądałaby Shyla w wieku sześćdziesięciu lat. Ruth była szczupła jak dziewczyna i srebrnowłosa. Kiedy się do niej zbliżałem, ta długa fala włosów sprawiała wrażenie czegoś, co skradła nocnemu niebu. Jej podkrążone oczy były ciemne nawet w świetle dnia, a twarz zupełnie nieprzenikniona.

243

Zaczynał się przyptyw i od strony moczarów dolatywał mroczny zapach, przywodzący na myśl czającą się w ukryciu bestię. Chciałem coś powiedzieć, ale nie przyszedł mi do głowy żaden gambit. Wszedłem na werandę i przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Zbyt długo trwał okres, kiedy byliśmy dla siebie oboje martwi. W końcu Ruth odezwała się pierwsza.

— Jak się czuje nasza Leah? - zapytała z akcentem, w którym pobrzmiwały echa żydowskiej strefy osiedlenia i rucho mych granic Europy Wschodniej. - Zapytałam cię, Jack, jak się czuje nasza Leah? - powtórzyła po chwili.

— Moja Leah czuje się świetnie - odparłem.

— Wyrosła na piękną dziewczynkę. Martha przywiozła nam jej zdjęcia. Nagrała nawet na wideo uroczy film, na którym Leah przekazała nam kilka słów.

— Leah to wspaniałe dziecko, Ruth.

— Musimy porozmawiać, Jack.

— Właśnie rozmawiamy - powiedziałem, słysząc w swoim głosie więcej niechęci, niż chciałem zawrzeć. W twarzy Ruth odnajdywałem rysy Shyli, a także rysy Leah i to ostatnie po dobieństwo zaskoczyło mnie.

— Musimy całkowicie zrewidować nasze stosunki...

— Zacznijmy może od tego, że nie łączą nas żadne stosunki - przerwałem jej. - Nasze stosunki skończyły się w dniu, kiedy ty i twój mąż stanęliście za barierką dla świadków i próbowaliście odebrać mi moje dziecko. Dziś wszyscy oczywiście rozumieją, że to był błąd, ale rozumieją tylko dzięki temu, iż wygrałem. Gdybym przegrał, nigdy już nie zobaczyłbym Leah.

— Masz wszelkie prawa nas nienawidzić - przyznała.

— Ja nie nienawidzę ciebie, Ruth - odparłem spokojnie. - Nienawidzę twojego męża. Ciebie nigdy nie nienawidziłem. To nie ty zeznałaś, że biłem Shylę i Leah. Zrobił to twój mąż.

— Bardzo tego żałuje - stwierdziła Ruth. - Wie, że wy rządził ci krzywdę. Chciałby ci opowiedzieć kilka rzeczy. Mnie też bardzo zależy, żeby to i owo wyjaśnić.

— Możesz zacząć od damy z monetami.

— Na damie z monetami muszę zakończyć. Nie mogę od niej zacząć - powiedziała. W silnym świetle jej twarz wydawała

się blada i krucha.

— Te słowa znalazły się w jej ostatnim liście. Zupełnie ich nie rozumiem. Martha mówiła, że wiesz, co one oznaczają. Wytłumacz mi.

244

— Te słowa nie będą miały sensu, dopóki nie opowiem ci całej historii, mój kochany.

— Proszę, nie mów do mnie "mój kochany".

— Czyż się nie kochamy, Jack?

— Kochałaś mnie, dopóki nie ożeniłem się z twoją córką.

— Jesteśmy ortodoksyjnymi Żydami. Nie możesz nas winić o to, że martwiliśmy się, gdy nasza córka wyszła za goja. Twoi rodzice byli tak samo zmartwieni, że poślubiasz Żydówkę.

— Wyrównuję po prostu rachunki - ożeniłem, siadając na huśtawce i zaczynając się kołysać. - Bardzo mnie skrzywdziliście.

— Gdybym wyjaśniła ci wówczas, kim była dama z mone tami... - zaczęła mówić i nagle zadrżał jej głos. Po chwili skończyła myśl, jednak każde słowo kosztowało ją wiele wysiłku. - ...nie mogłabym obciążać cię winą za jej śmierć. Obciążając cię, Jack, mogłam podjąć jakąś akcję. Winiąc ciebie, ratowałam się przed depresją.

— I dlatego wtrącałaś w nią mnie.

Ruth Fox zmierzyła mnie wzrokiem.

— Ty nie wiesz, co to jest depresja, Jack.

— Zawarłem z nią bliską znajomość - szepnąłem z pasją, pochylając się w jej stronę.

— Nic o niej nie wiesz. Znasz tylko jej dalekie peryferia. Ja znam jądro - ciągnęła cichym zdecydowanym głosem.

— Znowu do tego wracamy. Wasza karta atutowa: Holo caust.

— Zgadza się - potwierdziła. - I będę grała tą kartą. Mam do tego prawo. Podobnie jak mój mąż.

— Zawsze nią graliście. Za każdym razem kiedy Shyla nie zjadła wszystkiego z talerza, twój mąż przypominał jej Oświęcim.

— Zobaczysz się z George'em? - zapytała. - On bardzo chce się z tobą spotkać.

— Nie. Powiedz temu żalonnemu sukinsynowi, żeby nie pokazywał mi się na oczy.

Ruth wstała i podeszła do mnie, ale ja umknąłem w bok wzrokiem. Nagle wzięła w dłonie obie moje ręce i lekko je pocałowała. Poczulem na dłoniach jej łzy, pocałunki i włosy.

— Proszę, zobacz się z nim. Zrób to dla mnie.

— Nie - odparłem z uporem.

— Proszę, zobacz się z moim mężem - powtórzyła. -

245

Proszę cię, zrób to dla Shyli. Dla tej małej dziewczynki, którą poczęliśmy. Dla dziewczyny, którą pokochałeś. Która urodziła Leah. Zrób to dla Shyli.

Przyjrzałem się Ruth Fox i zobaczyłem w niej kobietę, która udzieliła pierwszego schronienia mojej przyszłej żonie. Pomyślałem o spoczywającej w jej łonie Shyli, a także o olbrzymiej miłości, jaką Ruth żywiła do swej udręczonej córki, i przez chwilę zastanawiałem się, czy zdołałbym przeżyć samobójstwo Leah. To Leah, nie pamięć o Shyli, postawiła mnie z powrotem na nogi.

— Wracam teraz do Rzymu - powiedziałem. - Moja mama odwiedzi nas, jeśli odzyska siły do grudnia. Leah i ja wrócimy razem z nią po Bożym Narodzeniu. Mama chce pójść na pasterkę w Watykanie.

— Leah, tutaj w Waterfordzie... - szepnęła Ruth.

— Kochałem Shylę. Każdy, kto nas oglądał, wiedział, że kocham twoją córkę. Przykro mi, że byłem katolikiem. Przykro mi, że była Żydówką. Ale czasami tak to bywa z miłością.

— Wiemy, że ją kochałeś, Jack - szepnęła. - Martha powiedziała nam, że wychowujesz Leah w żydowskim duchu. Mówiła, że w każdy szabas zabierasz ją do najstarszej synagogi w Rzymie.

— Przynależę Shyli, że jeśli coś jej się stanie, nie pozwolę Leah zapomnieć, że jest Żydówką. Lubię dotrzymywać obietnic.

— Leah... - powtórzyła Ruth. - Pozwolisz nam się z nią spotkać?

— Pozwolę wam się z nią spotykać, ile dusza zapagnie, ale pod jednym warunkiem.

— Zgodzę się na wszystko.

— Chciałbym usłyszeć, co ty i George wiecie o śmierci Shyli. Nie musimy się o nic wzajemnie winić. Mogę powiedzieć ci, co mówiła i myślała w dniach poprzedzających samobójstwo. Nie mam pojęcia, w jakim stopniu znała waszą przeszłość. Zawsze był w niej jakiś wewnętrzny smutek, ale to samo można powiedzieć i o mnie. To między innymi nas połączyło. Po trafiliśmy się wzajemnie rozśmieszać. Wydawało mi się, że wiem o niej wszystko. Nie wiedziałem jednak paru ważnych rzeczy, które mogły ją uratować.

— Mój mąż czeka na ciebie.

— Powiedz George'owi, że teraz nie mogę. Ale kiedy wrócę tu z Leah... wtedy zaczniemy wszystko od nowa.

246

— Odwiedziłeś po przyjeździe grób Shyli? - zapytała.

— Nie - odparłem prawie ze złością.

— Ma bardzo przyjemny nagrobek. Bardzo ładny. Na pewno ci się spodoba.

— Pojedziemy tam razem z Leah.

Gdy wróciłem do szpitala, doktor Pitts prowadził akurat do mamy mego ojca i dziadka. Bracia czuli się już znacznie swobodniej w moim towarzystwie i kiedy z kancelarii przyjechał Dallas, opowiedzieliśmy sobie wzajemnie, co zdarzyło się w ciągu dnia. Lekarz mamy stwierdził, że najdalej za tydzień będzie ją można przewieźć do domu. Gdzieś daleko słyhać było brzęczenie klaksonów. Dallas zaczął opowiadać o sprawie rozwodowej, nad którą właśnie pracował, a Dupree podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

— Most jest otwarty - zauważył. - Daj mi lornetkę, Tee.

— Mam ją w teczce - rzekł Dallas. - Na słupie telefonicznym naprzeciwko kancelarii założył gniazdo myszołów i ma teraz młode.

Klaksony jazgotały coraz natarczywiej.
— Powolny statek w godzinie szczytu - stwierdził Dallas. - Nie ma nic gorszego pod słońcem.
— Godzina szczytu w Waterfordzie? - zdziwiłem się.
— Miasto się rozwija - powiedział Tee.
— Nie ma żadnego statku - poinformował nas Dupree, obserwując most przez lornetkę.
Stanęliśmy obok niego przy oknie, lustrując wzrokiem rzekę przy moście.
— Musi być, brachu - upierał się Tee. - Nie podnoszą przecież mostu dla zabawy.
— Mówię wam. Nie ma żadnego statku - powtórzył Dupree.
— John Hardin zna strażnika mostu, Johnsona - przypomniał sobie Tee. - Dotrzymuje mu czasami towarzystwa.
— Nie wiem dlaczego, ale mam złe przeczucia - szepnął Dallas.
— Na co się tak gapicie, chłopcy? - zapytał ojciec, zachodząc nas od tyłu.
— Gdzie jest John Hardin, tato? - zapytałem.
— Czuje się świetnie. Wpadł do mnie dziś rano do domu. Był w fantastycznej formie. Poprosił, żebym pożyczył mu pistolet.
247

Dupree spiorunował ojca wzrokiem, a potem podniósł lornetkę z powrotem do oczu i przyjrzał się uważnie mostowi.
— Jezus, widzę Johna Hardina - jęknął. - Trzyma coś w ręku. No tak. Moje gratulacje, tato. To twój pistolet.
— Pożyczyłeś pistolet paranoikowi? - zapytał Dallas.
— Nie, pożyczyłem go Johnowi Hardinowi - odparł z naciskiem sędzia. - Chłopak chciał postrzelać trochę do rzutków.
Kiedy wyrzeliśmy ponownie przez okno, na otwartym moście pojawił się biegnący, ile sił w nogach, mężczyzna. Patrzyliśmy z zapartym tchem, jak nie zwalniając ani trochę kroku, dobiega do skraju przęsła i skacze głową w dół do Waterford River.
- To Johnson - domyślił się Tee i cała nasza czwórka wybiegła z poczekalni, kierując się w stronę parkingu.
Ruszając samochodem Dupree spod szpitala, zobaczyliśmy po naszej stronie mostu migające zgodnym rytmem trzy niebieskie światła wozów patrolowych.
- Bezpieczeństwo szlaków wodnych władze traktują bardzo poważnie, chłopcy - stwierdził Dallas. - John Hardin nie narusza jakiegoś tam lokalnego przepisu. Tym razem sprawą zajmą się służby federalne, a one nie lubią blokowania ruchu ulicznego o tej porze dnia. I na pewno nie lubią facetów z pistoletami, którzy zdobywają jedyny most prowadzący na wyspy. Mogą mu zrobić krzywdę.
Dupree wybierał boczne uliczki, unikając korków, które utworzyły się od Anchorage Lane aż po Lafayette Street, w końcu musiał jednak skrócić w zastawioną samochodami Calhoun Street, która prowadziła bezpośrednio do mostu.
- Ci kierowcy są porządnie wkurzeni - mruknął Dallas, kiedy Dupree zatrąbił na starszą panią, zmuszając ją do cofnięcia się pod sam zderzak stojącej za nią toyoty corolli.
Trąbiąc przeraźliwie, przeskoczyliśmy na lewy pas i z gazem wciśniętym do dechy przemknęliśmy

obok unieruchomionych samochodów, zatrzymując się dopiero przy wozach patrolowych, które również stały zaparkowane po drugiej stronie jezdni. Wskoczyliśmy z samochodu i przyłączyliśmy się wszyscy czterej do grupy policjantów, którzy obserwowali stojącego po drugiej stronie rzeki zbuntowanego Johna Hardina. Nasz brat stawiał w końcu czoło reszcie świata.

Podchodząc do skraju mostu, dostrzegliśmy szeryfa Arby'ego Vandivera, który próbował negocjować z Johnem Hardinem. Zdawaliśmy sobie jednak wszyscy sprawę, że nasz brat wkroczył

248

na zakazany teren; odzywające się w jego głowie głosy i rejdach przy moście kazały mu słuchać wyłącznie zweryfikowanego świata własnego wnętrza. Dawno temu zbudował swoją wyspę i był głuchy na wszelkie sugestie, gdy ogarniał go nieposkromiony ogień szaleństwa.

— Hej, Waterford! - krzyczał teraz. - Pierdolę cię. Oto, co myślę o tym mieście i o wszystkich, którzy w nim mieszkają.

Cóż to za żałosna karykatura miasta. Każdy, kto tu dojrze albo mieszka choć przez kilka tygodni, staje się kompletnym, bezwartościowym dupkiem. To nie twoja wina, Waterford. Nie możesz nic poradzić, że jesteś przegniłym do szpiku kości zadupiem. Ale nadszedł już czas. Jesteś gównem wart i to widać.

— Słuchając tego człowiek jest dumny, że nazywa się McCall - szepnął Dallas.

— W porządku, John Hardin - zawołał przez tubę szeryf Vandiver. - Wciśnij guzik i opuść most w dół. Zakorkowałeś ulicę na kilka mil.

— Nie powinno się nigdy pozwolić na wybudowanie tego mostu, szeryfie. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek. Pamiętasz, jak piękne były te wyspy, zanim go wzniesiono? Człowiek przemierzał całe mile i nie widział ani jednego domu. Wszędzie biegały dzikie indyki. Nie sposób było zarzucić wędki, żeby nie złowić ryby. A teraz? Jedno wielkie gówno. Teraz mieszka tutaj przy swoich głupich polach golfowych tysiąc generałów. Milion emerytowanych pułkowników ze swoimi durnymi żonami buduje tutaj obleśne domy. Między tym miejscem i plażą urządzono siedem pól golfowych. Ilu pól golfowych potrzebują te dupki?

— Ma rację - odezwał się ktoś i za naszymi plecami zaczął się zbierać tłum. Ludzie gromadzili się również po drugiej stronie mostu.

— Chcę, żebyś opuścił ten most, chłopcze - powtórzył szeryf.

— To było kiedyś bajeczne miasto! - wrzasnął John Hardin, apelując do poczucia nostalgii, które, o czym był przekonany, nie było obce również szeryfowi.

— Zgadza się, chłopcze, kiedyś był tu raj na ziemi - po twierdził bez przekonania Vandiver. Jego głos był dziwnie zniekształcony przez podobną do krateru tubę. - A teraz wciśnij guzik i opuść most z powrotem albo będę musiał zrobić ci kuku.

249

Dupree spiorunował ojca wzrokiem, a potem podniósł lornetkę z powrotem do oczu i przyjrzał się uważniej mostowi.

— Jezus, widzę Johna Hardina - jęknął. - Trzyma coś

w ręku. No tak. Moje gratulacje, tato. To twój pistolet.

— Pożyczyłeś pistolet paranoikowi? - zapytał Dallas.

— Nie, pożyczyłem go Johnowi Hardinowi - odparł z naciskiem sędzia. - Chłopak chciał postrzelać trochę do rzutków.

Kiedy wyrzeliśmy ponownie przez okno, na otwartym moście pojawił się biegnący, ile sił w nogach, mężczyzna. Patrzyliśmy z zapartym tchem, jak nie zwalniając ani trochę kroku, dobiega do skraju przęsła i skacze głową w dół do Waterford River.

- To Johnson - domyślił się Tee i cała nasza czwórka wybiegła z poczekalni, kierując się w stronę parkingu.

Ruszając samochodem Dupree spod szpitala, zobaczyliśmy po naszej stronie mostu migające zgodnym rytmem trzy niebieskie światła wozów patrolowych.

- Bezpieczeństwo szlaków wodnych władze traktują bardzo poważnie, chłopcy - stwierdził Dallas. - John Hardin nie narusza jakiegoś tam lokalnego przepisu. Tym razem sprawą zajmą się służby federalne, a one nie lubią blokowania ruchu ulicznego o tej porze dnia. I na pewno nie lubią facetów z pistoletami, którzy zdobywają jedyny most prowadzący na wyspy. Mogą mu zrobić krzywdę.

Dupree wybierał boczne uliczki, unikając korków, które utworzyły się od Anchorage Lane aż po Lafayette Street, w końcu musiał jednak skrócić w zastawioną samochodami Calhoun Street, która prowadziła bezpośrednio do mostu.

- Ci kierowcy są porządnie wkurzeni - mruknął Dallas, kiedy Dupree zderzył na starszą panią, zmuszając ją do cofnięcia się pod sam zderzak stojącej za nią toyoty corolli.

Trąbiąc przeraźliwie, przeskoczyliśmy na lewy pas i z gazem wciśniętym do dechy przemknęliśmy obok unieruchomionych samochodów, zatrzymując się dopiero przy wozach patrolowych, które również stały zaparkowane po drugiej stronie jezdni. Wskoczyliśmy z samochodu i przyłączyliśmy się wszyscy czterej do grupy policjantów, którzy obserwowali stojącego po drugiej stronie rzeki zbuntowanego Johna Hardina. Nasz brat stawił w końcu czoło reszcie świata.

Podchodząc do skraju mostu, dostrzegliśmy szeryfa Arby'ego Vandivera, który próbował negocjować z Johnem Hardinem. Zdawaliśmy sobie jednak wszyscy sprawę, że nasz brat wkroczył

248

na zakazany teren; odzywające się w jego głowie głosy i rejwach przy moście kazały mu słuchać wyłącznie zweryfikowanego świata własnego wnętrza. Dawno temu zbudował swoją wyspę i był głuchy na wszelkie sugestie, gdy ogarniał go nieposkromiony ogień szaleństwa.

— Hej, Waterford! - krzyczał teraz. - Pierdolę cię. Oto, co myślę o tym mieście i o wszystkich, którzy w nim mieszkają.

Cóż to za żalosna karykatura miasta. Każdy, kto tu dojrzewa albo mieszka choć przez kilka tygodni, staje się kompletnym, bezwartościowym dupkiem. To nie twoja wina, Waterford. Nie możesz nic poradzić, że jesteś przegniłym do szpiku kości zadupiem. Ale nadszedł już czas. Jesteś gównem wart i to widać.

— Słuchając tego człowiek jest dumny, że nazywa się McCall - szepnął Dallas.

— W porządku, John Hardin - zawołał przez tubę szeryf Vandiver. - Weśnij guzik i opuść most w dół. Zakorkowałeś ulicę na kilka mil.

— Nie powinno się nigdy pozwolić na wybudowanie tego mostu, szeryfie. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek. Pamiętasz, jak piękne były te wyspy, zanim go wzniesiono? Człowiek przemierzał całe mile i nie widział ani jednego domu. Wszędzie

biegały dzikie indyki. Nie sposób było zarzucić wędki, żeby nie złowić ryby. A teraz? Jedno wielkie gównno. Teraz mieszka tutaj przy swoich głupich polach golfowych tysiąc generałów. Milion emerytowanych pułkowników ze swoimi durnymi żonami buduje tutaj obleśne domy. Między tym miejscem i plażą urządzono siedem pól golfowych. Ilu pól golfowych potrzebują te dupki?

— Ma rację - odezwał się ktoś i za naszymi plecami zaczął się zbierać tłum. Ludzie gromadzili się również po drugiej stronie mostu.

— Chcę, żebyś opuścił ten most, chłopcze - powtórzył szeryf.

— To było kiedyś bajeczne miasto! - wrzasnął John Hardin, apelując do poczucia nostalgii, które, o czym był przekonany, nie było obce również szeryfowi.

— Zgadza się, chłopcze, kiedyś był tu raj na ziemi - po twierdzi! bez przekonania Vandiver. Jego głos był dziwnie zniekształcony przez podobną do krateru tubę. - A teraz wciśnij guzik i opuść most z powrotem albo będę musiał zrobić ci kuku.

249

Słyszając to, Dupree podszedł do Arby'ego Vandivera, żeby włączyć się do negocjacji.

— Hej, Vandiver, ustalmy to raz na zawsze - oświadczył. - Nie zrobisz nic złego Jołmowi Hardinowi.

— Ja osobiście nic mu nie zrobię - odparł szeryf. - W krytycznej sytuacji mam obowiązek wezwać brygadę antyterrorystyczną z Charlestonu. Już tu lecą helikopterem.

— Co zrobią Johnowi Hardinowi? - zapytałem.

— Zabiją go - poinformował mnie szeryf. - Tym bardziej, że jest uzbrojony.

— Odwołaj brygadę antyterrorystyczną, szeryfie - poprosił Dallas. - Każ im wracać do Charlestonu. Spróbujemy namówić Johna Hardina, żeby opuścił most.

— To nic nie da - stwierdził szeryf.

— Więc powiedz im, że są tu jego bracia i załatwią to po lubownie - zaproponował Dupree.

- Przekażę to - zgodził się szeryf, ruszając do samochodu. John Hardin obserwował nas uważnie w trakcie całej dyskusji.

- Wiem, co tam chrzanisz, Dupree! - krzyknął. - Opo wiadasz wszystkim, że trzeba mi zrobić zastrzyk i wtedy się uspokoję. Świat może mnie uważać za wariata, ale moim zdaniem to świat jest stuknięty... i kto teraz zgadnie, do kogo należy racja? Nigdy już nie pozwolę, żeby jakikolwiek samochód przejechał przez ten przeklęty most. Pierdolę cię, Waterford. Pierdolę cię, mała dziuro. Małe miasteczka nie bez powodu są takie małe. Są małe, bo nikt nie da za nie złamanego grosza. Łódź nigdy nie powinna czekać na samochód. Samochód jest gorszym środkiem transportu. Uwolniłem Waterford River dla wszystkich łodzi świata.

Do przodu wysunął się Dupree, ten, który najbardziej z nas wszystkich kochał Johna Hardina i

którego John Hardin najbardziej nienawidził.

— Opuść most, John Hardin - zażądał.

— Wypchaj się trocinami, Dupree - odparł John Hardin, pokazując mu środkowy palec, żeby zwiększyć efekt swoich słów. - Przez to zasrane miasto mama dostała białaczki. Kiedy byłem dzieckiem, nikt nie umierał na raka. Teraz mają go wszyscy. Spróbujcie mi to wyjaśnić, głupie sukinsyny. Żadnego z was, szczerzących zęby idiotów, nie obchodzi los tego miasta. Zaczęło się od mostu. Za wielu dupków przejeżdżało przez ten

most w drodze do swoich pól golfowych. Nie wiedzieli, co jest naprawdę ważne. Ważne jest piękno.

— Jutro rano stracę wszystkich moich klientów - szepnął do mnie Dallas. - Nie zostanie ani jeden.

— Tylko i wyłącznie piękno! - wrzeszczał John Hardin. - Byliście może ostatnio na Hilton Head? Ta pierdolona wyspa pójdzie niedługo na dno, tyle wylali na nią betonu.

— Opuść ten cholerny most! - zawołał Dupree wystarczająco głośno, żeby John Hardin go usłyszał. Sfrustrowani kierowcy znowu zaczęli trąbić i w końcu zrobił się taki zgiełk, że nie słychać było nic poza klaksonami. John Hardin strzelił w powietrze i szeryf oraz jego zastępcy zaczęli krzyczeć na kierowców, żeby się uciszyli.

— To mój brat, Dupree! - krzyknął John Hardin ze swojej stalowej wysepki. - Gdyby zorganizowali konkurs na największego dupka na świecie, gwarantuję, że znalazłby się w finale.

— Tak czy owak - zawołałem, przejmując pałeczkę od Dupree - proszę cię, opuść ten most, John Hardin. To ja, twój brat, Jack. Proszę cię bardzo, opuść most.

— Mój brat Jack zostawił Waterford i swoją rodzinę, żeby przenieść się do kraju, gdzie jedzą wyłącznie lazanie, pizzę i podobny syf. Ktoś taki nie potrafi zrozumieć, że nie opuszczę tego mostu, ponieważ ważne jest tylko piękno. Tylko piękno.

— Pierdol piękno! - wrzasnął podenerwowany i zażenowany Tee.

— Spokojnie - ostrzegł go Dallas. - Mamy do czynienia z czystym obłądem.

— Genialna diagnoza - szepnął z przekąsem Tee.

— Kiedy byłem dzieckiem, na Isle of Orion nie zbudowano ani jednego nowego domu - zawołał John Hardin. - Teraz nie ma wolnej działki na całym wybrzeżu. Wszędzie postępuje erozja. Żółwie morskie nie mają gdzie składać jaj. Wyobraźcie sobie tylko, co sobie myślą te biedne samice.

— Żółwie nie myślą. To tylko żółwie! - odkrzyknął Dupree. - Chrzanisz głupoty, John Hardin. Byłeś łajzą i pozerem od dnia, kiedy się urodziłeś. Przed chwilą powiedziała mi to mama. Obudziła się ze śpiączki.

— Mama obudziła się ze śpiączki? - powtórzył John Hardin. - Kłamiesz. Pierdolę cię, Dupree McCall. - Jego głos

był teraz piskliwy niczym gwizd pociągu. - Nie opuszczę tego mostu, dopóki wszyscy nie zawołają: "Pierdolimy cię, Dupree McCall".

- Zorganizujcie chórek, bracia - powiedział Dupree. -

On nie żartuje. A jeśli przyleci tu brygada antyterrorystyczna, załatwią go w pięć minut. Oni się nie patyczkują.

Podbiegliśmy do samochodów i zwerbowaaliśmy ochotników, którzy mieli przekazać wiadomość innym kierowcom. Szeryf podał przez tubę instrukcje dla tłumu, który zebrał się po drugiej stronie mostu. Napięcie rosło; nawet powietrze wydawało się zbyt naelektryzowane, żeby nim oddychać.

— Na trzy - powiedział szeryf. - Raz. Dwa. Trzy.

— Pierdolimy cię, Dupree McCall - zaśpiewał tłum.

— Głośniej - zażądał John Hardin.

— Głośniej.

— Pierdolimy cię, Dupree McCall! - ryknęli ludzie.

— Teraz opuść most! - wrzasnął Dupree. - Bo zaraz tam przyjdę i zrobię z ciebie miazgę.

— Skoczysz tu o tyczcze, łajzo? - odkrzyknął John Hardin.

— Tutaj są panie - zawołał Dallas, zmieniając taktykę.

— Przepraszam panie, które mogłem niechcący obrazić - powiedział John Hardin i w jego głosie zabrzmiała autentyczna skrucha. - Ale moja mama ma białaczkę i naprawdę nie jestem dzisiaj sobą.

— Mama się obudziła - powtórzył Dupree. - Chce z tobą porozmawiać. Nie chce widzieć żadnego z nas, dopóki z tobą nie pogada. Zamknij most.

— Zrobię to pod jednym warunkiem - oznajmił John Hardin.

— To będzie coś ekstra - mruknął Dupree, nie poruszając prawie wargami, niczym brzuchomówca. - Nigdy nie widziałem go w gorszym stanie.

— Chcę, żeby wszyscy moi bracia rozebrali się do naga i skoczyli do rzeki! - wrzasnął John Hardin. W tłumie rozległy się śmiechy.

— Pracuję w tym mieście jako adwokat - przeraził się Dallas. - Ludzie nie powierzają swoich spraw facetowi, którego widzieli gołego na moście.

— Musimy to zrobić - stwierdził Dupree.

— Pierdolę cię, Dupree McCall - odparł Tee. - Jestem nauczycielem w szkole publicznej. Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę.

252

- Jeśli tego nie zrobimy, brygada antyterrorystyczna zastrzeli Johna Hardina.

Dupree szedł już na skraj mostu, zdejmując po drodze ubranie. Ruszyliśmy za nim, powoli się rozbierając.

- My się rozbierzemy - zawołał - a ty wrzucisz pistolet do rzeki. My skoczymy do rzeki, a ty opuścisz most. Umowa stoi?

John Hardin przez chwilę się zastanawiał.

- Zgoda - stwierdził w końcu.

Dupree zdjął szorty. W ślad za nim zrobił to Tee, potem ja i w końcu Dallas, bardzo niechętnie i

mamroczać coś pod nosem.

John Hardin wyszczerzył zęby, rozkoszując się widokiem swoich nagich upokorzonych braci.

- Macie wszyscy małe kutasy - stwierdził.

Wszędzie dookoła rozległy się salwy śmiechu. Śmiał się nawet szeryf i jego zastępcy.

- Czy są tutaj reporterzy? - zapytał Dallas.

Obróciłem się i zobaczyłem fotografa z kilkoma wiszącymi na szyi aparatami, a obok niego faceta z kamerą.

- Są reporterzy i kamerzyści - poinformowałem brata.

- Moja kariera jest skończona - oświadczył coraz bardziej zgnębiony Dallas.

— Będą o tym trąbić w całym stanie - narzekał Tee.

Dupree podniósł wzrok i przez chwilę wpatrywał się w niebo.

— Rzuć pistolet do wody! - krzyknął. - Taka była umowa.

John Hardin przez chwilę się wahał, a potem cisnął pistolet do słonej wody.

— Teraz skoczymy - oznajmił Dupree - a ty zamkniesz most. Umowa stoi?

— To pitna woda spowodowała u mamy białaczkę. Spro wadzacie wodę z Savannah River, głupie kutasy. Jest zanieczyszczona odpadami nuklearnymi i syfami z papierni...

— Umowa stoi? - powtórzył Dupree. - Mama obudziła się ze śpiączki. Pierwsze jej pytanie dotyczyło ciebie. Naprawdę chce się z tobą zobaczyć.

— Mama. Mama - zapłakał nagle John Hardin.

— Umowa stoi? - upewnił się jeszcze raz Dupree.

John Hardin zmierzył nas wzrokiem. W jego oczach zabłyśła złośliwość.

253

— Skaczcicie, golasy, skaczcicie. Mam nadzieję, że rekiny od gryzą wam te małe siusiaki. Skaczcicie, a ja zamknę most.

— Mam lęk wysokości - wzdragał się Tee.

— Ja ci pomogę - rzekł Dupree, spychając go z mostu.

Przerażony Tee wrzasnął głośno i nie przestawał krzyczeć aż do chwili, gdy wpadł do wody. Kiedy się wynurzył, cała nasza trójka skoczyła w ślad za nim z Waterford Bridge i uważam, że zrobiliśmy to w dobrym stylu.

Zanurzony w chłodnej kwietniowej wodzie, zanurkowałem głębiej niż kiedykolwiek, tak głęboko, że kiedy otworzyłem oczy, musiałem płynąć na oślep w stronę światła. Woda była mętna; unosiły się w niej kwitnące na moczarach zielone glony. Wynurzając się na powierzchnię, zobaczyłem, że oczy moich braci utkwione są w stalowych belkach mostu. Kiedy podniosłem wzrok, przęsło zaczynało właśnie swoją majestatyczną podróż w dół. John Hardin dotrzymał umowy. Szeryf pomachał nam ręką i podziękował głośno za pomoc.

Trwał właśnie przypływ i zdążyliśmy się oddalić o co najmniej sto jardów od mostu, kiedy szeryf i jego ludzie założyli Johnowi Hardinowi kajdanki i wsadzili go do samochodu.

— Co teraz? - zapytał Tee.

— Popłyniemy z prądem do domu taty - powiedziałem.

— Moja kariera jest skończona - jęknął Dallas.

— Znajdź sobie jakieś nowe zajęcie, brachu - zaproponował Tee. - Na przykład pływanie synchroniczne. Na golasa.

Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem. Tee i Dupree dali nurka i z wody wynurzyły się tuż obok siebie ich owłosione stopy z wyprostowanymi palcami. Zrobili kilka zgodnych wymachów i po paru sekundach wypłynęli na powierzchnię, kaszląc, wydychając wodę z nozdrzy i wciąż się

śmiejąc.

— Rzeczywiście mamy małe kutasy - powiedział Tee.

— Mów za siebie - obruszył się Dallas.

— Widzę twojego ptaka. U wszystkich nas nie są większe niż u królika - stwierdził Tee, płynąc na plecach i przyglądając się ze smutkiem swoim niepokaźnym genitaliom.

— Mam pytanie - odezwałem się, młócąc wodę rękoma, zadowolony, że blokadę mamy już za sobą. - Jak często John Hardin wyprawia takie numery?

— Dwa albo trzy razy w roku - odparł Dupree. - Ale dzisiaj przeszedł sam siebie. Nigdy przedtem nie posłużył się

254

bronią i nigdy nie podniósł mostu. Daję mu piątkę za nowatorstwo.

— To wszystko jest bardzo smutne. Żalodne - powiedział Dallas, obracając się na plecy.

— Zgadza się - przyznał Dupree. - Ale także zabawne.

— Powiedz mi, co w tym jest zabawnego - zażądał Dallas. - Naszego brata zabrali w kajdankach do domu wariatów.

— Wyobrażałeś sobie kiedyś, że rozbierzesz się do rosołu i skoczysz na oczach całego miasta z mostu? - zapytał Dupree.

Śmiejąc się głośno i czując, jak wypełnia mnie miłość do braci, obróciłem się na plecy. Przez kilka chwil nie odzywaliśmy się do siebie; przez głowę przelatywały mi jednocześnie radosne i posępne myśli. Byliśmy chłopakami z nizin, silnymi pływakami i świetnymi rybakami, wychowanymi w domu, w którym wiało grozą. Ta groza naznaczyła każdego z nas w inny sposób: pozostawiła mrok, nieufność i różnego rodzaju aberracje. Śmiechem posługiwaliśmy się jednocześnie jako bronią i jako szczepionką.

Woda była miękka niczym jedwab i nigdy w życiu nie doświadczyłem jeszcze takiej zwierzęcej czystej nagości. Przysłuchując się pogawędce braci, czułem, jak zbliża mnie do nich każde wypowiedziane słowo. Patrząc na nich, miałem okazję przyjrzeć się odbitym niczym w lustrze własnym wadom. Podobnie jak ja odznaczali się kłótliwym, skrytym usposobieniem, traktowali jednak z niemal przesadną grzecznością każdego napotkanego przechodnia. Wszyscy byli nieokrzesani i szorstcy, ale potrafili spojrzeć mi prosto w oczy, wyrazić swoje uczucia śmiechem i nigdy nie śpieszyli się do innych zajęć i rozrywek, kiedy przebywałem w ich towarzystwie.

Niesieni prądem, pozdrawialiśmy uniesionymi dłońmi stojących na brzegu ludzi i wiedziałem, że moi bracia, podobnie jak ja, pragnęliby, żeby ten dzień nigdy się nie skończył. Opowiadaliśmy sobie po kolei różne historie, szlifując z upodobaniem detale, które nadają blask każdej wspaniałej opowieści. Jako mieszkańcy Południa wiedzieliśmy, czego trzeba, aby anegdota zaskwier-czała jak tłuszcz na gorącej blasze. Wokół mnie kwitły ich głosy i czułem, że kocham brzmienie płynącej z ust południowców ojczyściej mowy. Dryfując środkiem naszej rzeki, tej samej rzeki, która kołysała nas do snu, gdy byliśmy małymi dziećmi, Dupree, Tee i Dallas przekrzykiwali się wzajemnie, a ja wsłuchiwałem się w ich przypominające koci pomruk spółgłoski i syczące niczym

255

wodny wąż głoski szczelinowe, wszystkie czułe słowa, które przeglądały się w kropkach iluzji mojego ojczystego języka.

Otoczony małą armadą braci, płynąłem do domu ojca wiedząc, że już nazajutrz będę siedział w samolocie lecącym do Europy i do mojej córki i że tydzień, który tu przeżyłem, na zawsze odmieni moje życie. Czułem się związany z tą rzeką, tym miastem, tym bezchmurnym niebem i wszystkim, co mnie otaczało.

Moja córka nie miała pojęcia o żadnej z tych rzeczy; nie wiedziała, dlaczego są dla mnie takie ważne. Jutro wrócę do domu, pomyślałem, i opowiem jej o wszystkim, co tu zobaczyłem,

usłyszałem i poczułem. Miałem nadzieję, że to szczerze, spragnione uczucia, pozbawione matki dziecko zdoła mi wybaczyć. Odciąłem ją od tego, czym oboje byliśmy. Dałem jej wszystko prócz Południa. Ukradłem jej atutową kartę.

Nazajutrz Mikę Hess i Ledare odwieźli mnie na lotnisko w Savannah i podpisałem kontrakt na scenariusz miniseriale. Mikę dopadł mnie w chwili słabości, kiedy na nowo zakochałem się po uszy w swych własnych dziejach.

ROZDZIAŁ 17

Lata, które nazywam swoim dzieciństwem i które widzę w niezdrowym, aczkolwiek fascynującym świetle, spędziłem w dwupiętrowym obszernym domu, darząc miłością niepraktycznych architektów, projektujących dziwne alkowy i pokoje o wymyślnych kształtach, dość duże, by można się było w nich schronić w trakcie najbardziej nawet dzikich awantur mych rodziców. Byłem nerwowym chłopcem i ze wszystkich pomieszczeń najbardziej lubiłem ukrytą klatkę schodową. Dla ojca, zapewne dlatego, iż kochał prawo i dobrego bourbona, dom był czymś danym raz na zawsze i oczywistym. Matka wdychała go jednak wszystkimi porami skóry, znała na pamięć każdy jego cal i często nawet do niego przemawiała podczas wiosennych porządków. Dla ojca dom był miejscem, gdzie mógł powiesić swój kapelusz i płaszcz oraz przechowywać swoją kolekcję książek - a dla matki odpowiedzią, której wielkoduszny świat udzielił na jej modlitwy.

Wzniesiono go w roku 1818 w stylu określanym mianem waterfordzkiego; solidne fundamenty pokrywała gruba warstwa białego tynku, a werandy na parterze i pierwszym piętrze wychodziły na wschód, gdzie nawet podczas najbardziej upalnych letnich dni docierała chłodna wiejąca od rzeki bryza.

Pokoje były przestronne i wysokie; na strychu pachnącym naftaliną i cedrowym drzewem stało mnóstwo starych mebli, kufrow i bel materiału, między którymi mogła się w razie niebezpieczeństwa ukryć cała chmara dzieci. Co ciekawe, dom wszedł w posiadanie Johnsona Hagooda i Lucy McCallów całkiem przypadkowo, w wyniku pewnej kontrowersji.

257

Od dnia ślubu nasi rodzice zachowywali się jak dwa sunące ku sobie burzowe fronty. W ich związku było coś niedopasowanego i sztucznego. Informacji tych udzieliła mi moja elokwentna babka, Ginny Penn; słuchając jej opowieści doszedłem do przekonania, iż Lucy wypadła po prostu z fury z kapustą i zaciągnęła mojego nieopierzonego ojca do ołtarza. Być może to właśnie snobizm Ginny Penn był powodem, dla którego ojciec nie wspominał w domu ani słowem o Lucy i przywiózł ją do Waterfordu dopiero, gdy była jego prawnie poślubioną małżonką. Nikt jej tu nie znał i żaden obywatel Waterfordu nie słyszał nic o jej rodzicach. Dla południowca nie ma nic ważniejszego od pochodzenia, a rodowód Lucy od pierwszego momentu, gdy spotkała ojca w nocnym klubie w Atlancie, był podejrzanym. Ojciec był na rauszu i nie zorientował się, że Lucy jest striptizerką, która zakończyła niedawno swój występ. Dopiero co wrócił z europejskiego teatru działań wojennych, gdzie za wszystkie czasy napatrzył się krwawych jatek. Kiedy się spotkali, chciał zacząć nowe życie, Lucy zależało natomiast, żeby wyrwać się z nocnego klubu. Wzięli ślub w biurze sędziego pokoju niedaleko Fort McClellan: ojciec miał na sobie galowy mundur, matka luźną białą suknię z wysokim kołnierzem. Urodziłem się pięć miesięcy później i aż do chwili kiedy odzwyczała ją od tego Ginny Penn, matka nazywała mnie często "dzieckiem miłości". Lubilem, kiedy tak do mnie mówiła.

Dorastając niewiele z tego wiedziałem; odkrywałem wszystko dopiero teraz, kawałek po kawałku, po pierwszym pobycie mojej matki w szpitalu. Źródła były różnorodne i zaskakujące, najwięcej informacji przekazała mi jednak sama Lucy. Wyczerpana chorobą, zobaczyła swoją przeszłość w zupełnie nowym świetle, szokująco wyzbytą wszelkiego uroku. Ojciec wydał jej się dobrze urodzony i przystojny. Stanowił w jej mniemaniu znakomitą partię, szansę zerwania z dotychczasowym życiem, i wyszła za niego prawie bez zastanowienia. Ponieważ była dziewczyną

bez przeszłości, użyła więc całej swej bujnej wyobraźni, aby takową stworzyć. Nie mając innego wyjścia, wymyśliła sobie autobiografię i widząc, że przypadła do gustu John-sonowi Hagoodowi, powtarzała ją wszystkim, którzy chcieli się dowiedzieć czegoś o jej życiu.

Ojciec uwierzył Lucy O'Neill na słowo i oznajmił rodzicom, że ożenił się z tancerką z Atlanty, która doskonaliła swą sztukę w corps de ballet. W roku 1947 w granicach miasta Atlanty

258

nie funkcjonował ani jeden zespół baletowy godny tej nazwy, nasz ojciec jednak nie miał żadnej szansy tego sprawdzić. Lucy O'Neill odznaczała się niekonwencjonalnym typem urody, wyrastającym z porządnie zachwaszczanej puli genetycznej, którą gęsto obstawiały ostrzegawcze znaki. Mężczyźni zachwycali się jednak głównie jej figurą, owymi zaskakującymi krągłościami, dzięki którym słowa takie jak "zmysłowość" eksplodują na języku niczym słodki tropikalny owoc. Zawsze podejrzewałem, iż ojciec poślubił po prostu kształty Lucy, nie mając najmniejszego pojęcia o jej charakterze. Zdawał sobie sprawę, iż jest nieokrzesa i niedouczone, nie wiedział jednak, że ma do czynienia z analfabetką. Wydawało mu się, że widzi w niej "czystą duszę" i to go zafascynowało. W gruncie rzeczy ożenił się z Lucy O'Neill, aby zranić swoją matkę i udało mu się to w nadspodziewanym stopniu. Ginny Penn Sinkler McCall rozpoznała w Lucy "dziadówkę", kiedy tylko spoczęły na niej jej oczy.

Dla szesnastoletniej dziewczyny, która nie uczęszczała nigdy do szkoły, nocny klub okazał się nie najgorszym źródłem wiedzy o męskim zachowaniu. W tym świecie kobieta musiała znać alfabet i księgę pożądania, a zawarte w niej kwestie nie były trudne do nauczenia. Lucy miała zawsze przewagę nad wyfio-kowanymi i trzymanymi pod kloszem damami, które spotkała później w Waterfordzie, wiedzę o mężczyznach wyniosła bowiem z dołów, a nie ze szczytów. Znała otumanionych piwem wyrostków, domagających się, by zrzuciła biustonosz, i wtykających banknoty za gumkę jej majtek - nigdy nie miała za to okazji poznać młodzieńców w smokingach, rozprawiających na studenckich balach o poezji Sidneya Laniera. Jej zdanie o płci przeciwnej było jednostronne, ale nie bezpodstawne: mężczyźni byli niewolnikami własnych genitaliów, a kobiety strażniczkami bramy do raju. Jej teorie na temat stosunków męsko-damskich były brutalnie szczerze i animalistyczne i nie zmieniła ich przez całe życie. Gdy krążyła podczas przyjęcia między grupkami dyskutujących mężczyzn, wszystkie obecne w salonie kobiety wodziły za nią oczyma z zazdrością i podziwem. Chociaż brakowało jej poloru i wyrafinowania, nikt nie rozumiał lepiej od Lucy McCall spraw podstawowych.

Już w pierwszym dniu ich znajomości Lucy oznajmiła John-sonowi Hagoodowi, iż jest jedynym dzieckiem szanowanej rodziny z Atlanty. Wychowała się w zbudowanym w stylu

259

Tudorów domu pod numerem 17 przy Palisades Road na Brookwood Hills. Ojciec był pracownikiem firmy prawniczej Kinga i Spauldinga, jedynej katolickiej kancelarii w całym mieście, i specjalizował się w funduszach powierniczych. Jej matka Catherine, spokrewniona od strony matki ze Spauldin-gami z Atlanty, była pierwszą katoliczką, która wstąpiła do Junior League; oboje rodzice należeli do parafii Najświętszego Serca Jezusowego. Zginęli w wypadku niedaleko Austell, kiedy Garner O'Neill próbował wyprzedzić pociąg na przejeździe kolejowym.

Lucy wysłano do mieszkającej w Albany w Georgii niezamężnej ciotki, którą znienawidziła.

Uciekła od niej w wieku szesnastu lat i wróciła do Atlanty razem z farmerem wiozącym jaja na targ. W latach 1947-1986 taka była oficjalna wersja dziejów Lucy i pod żadnym pozorem nie wolno było w niej zmienić ani słowa.

Historia była prawdziwa; Lucy usłyszała ją od starszej stip-tizerki, która przez wiele lat, zanim Garner O'Neill zginął ze swą żoną w wypadku na przejeździe, była jego kochanką. Wypytywana niekiedy przez męża lub dzieci o swoich rodziców, Lucy zalewała się natychmiast łzami, co z miejsca ucinano wszelkie dociekania. W ten sposób poznała siłę słowa i siłę łez. Tragiczna śmierć O'Neillów stanowiła najważniejsze wydarzenie dzieciństwa, o którym opowiadała, którego jednak wcale nie przeżyła. Ta historia, której pozostała wierna, pozwoliła jej zawrzeć bliższą znajomość z

potęgą zmyślenia, nieodpartym urokiem fikcji.

GINNY PENN McCall, która wychowała się w rodzinie Sink-Ierów w Charlestonie i od podszewki znała subtelne tajemnice towarzyskiej oglądy, wystarczyło raz tylko spojrzeć na Lucy, aby odkryć cały fałsz. Słyszając akcent mojej matki, domyśliła się, iż nie tylko nie pochodzi ona z dystygowanej rodziny, ale w ogóle nie wychowała się w Atlancie. Już pierwszego wieczoru babka oznajmiła synowi, że Lucy "to dziadówka z najgorszej białej hołoty" i że ona, Ginny Penn, nie wierzy "w ani jedno słowo na temat jej rodziców i tego wypadku na przejeździe w Austell". Uświadamiając sobie, iż nie udało jej się nabrać Ginny Penn, Lucy postanowiła zdobyć sympatię swego teścia, Silasa Clairborne'a McCalla.

260

Silas słynął w całym hrabstwie jako znakomity myśliwy i rybak, Lucy zaś szybko odkryła, że Ginny Penn nigdy w życiu nie trzymała w ręku strzelby. Kiedy zaczynał się sezon polowań na jelenie, powierzała synów opiece teściowej i wyruszała w knieje razem ze swym teściem. Wiosną można ich było zawsze spotkać na rzece, gdzie zarzucali wędki na ałozy i kobie, które płynęły w górę strumieni, by złożyć ikrę w czystej wodzie. Zimą marzli razem na zalanych wodą polach ryżowych, czekając na stada rożeńców, perkozów i krzyżówek. Poznając tajemne narzecze, którym określano rodzaj sprzętu i amunicji, Lucy uświadomiła sobie, iż coraz bardziej pociągają ją dziecinne zabawy Silasa McCalla. Chociaż Ginny Penn od pierwszego dnia powtarzała, że "ta dziadówka" nie odróżnia greckiego srebra od sreber Rogersa, Silas przechwalał się, iż jego synowa potrafi wytropić odyńca na bagnach i zarzuca spinning równie daleko jak mężczyzna. Zarzuty Ginny Penn wobec Lucy do złudzenia przypominały te, które stawiała niegdyś swemu mężowi. Podczas gdy Silas starał się poznać bliżej gościa, Ginny Penn sprawdzała, czy nie zwędził przypadkiem niczego z kredensu. Silas ogłosił w mieście, że Lucy jest jego zdaniem "równą babką". W pewnych męskich kręgach na Południu stanowi to najwyższą pochwałę i za to właśnie Ginny Penn najbardziej znieawidziła moją matkę.

Jesienią 1948 roku, niedługo po ślubie z Lucy, Johnson Hagood McCall dostał się, korzystając z ustawy o byłych poborowych, na pierwszy rok prawa na Uniwersytecie Południowej Karoliny w Columbii. Dojeżdżał tam z Waterfordu, mieszkając przez trzy dni na stacji i wracając na resztę tygodnia do żony i rodzinnego miasta. Wojna rozbudziła jego ambicje, a prawnicze studia nie okazały się zbyt trudne. Był dobrze zorganizowany, rozsądny i uczciwy i wkrótce odkrył, że ma dar słowa i potrafi składnie wyłożyć swoje racje. Studia pozwoliły mu również spotkać kobiety, które przerwały w swoim czasie edukację, aby pracować w przemyśle wojennym. Towarzystwo inteligentnych dam było czymś, o czym zdążył już zapomnieć i ten pierwszy rok kazał mu spojrzeć bardziej krytycznym okiem na Lucy, której pospolitość pogłębiały rozsadzające ją energia i werwa. Wkrótce wkradła się między nich pierwsza gorycz. Johnson Hagood zaczął żałować swego zawartego pochopnie ślubu i uświadamiać sobie, jak mało wartościowym nabytkiem okazała się Lucy. Zupełnie przypadkowo

261

odkrył, że nigdy nie słyszała o Mozarcie, Miltonie ani o Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego. Nie tylko była zupełnie nieoczytana, ale nie zdradzała prawie żadnego zainteresowania jego studiami.

Codziennie słuchała radia, nigdy jednak nie widział, żeby czytała książkę albo gazetę i wydawała się śmiertelnie znudzona za każdym razem, gdy chciał z nią przedyskutować jakiś zawiły problem prawniczy. Kiedy zaproponował, żeby zapisała się na kurs w college'u i poszerzyła w ten sposób swoje horyzonty, Lucy oznajmiła prosto z mostu, iż całą energię zamierza poświęcić wychowaniu dzieci. Jeśli chciał dziewczyny z college'u, powinien o tym pomyśleć przed ślubem. Radość, jaką okazała, zachodząc w ciążę, była tak wzruszająca, że Johnson Hagood dał się uwieść dziecinnemu poczuciu tajemnicy, z jakim traktowała swoją misję. Jego kapitulacja przypieczętowała trwający między nimi przez całe życie układ. Dziecko tkwiące w Lucy zawsze panowało nad mężczyzną w moim ojcu.

- Strzeżcie się bezbronnych kobiet - powtarzał nam później. - Bezbronna kobieta zawsze wyprowadzi was w pole.

Ciąża skłoniła Ginny Penn do działania. Porwała praktycznie na cały miesiąc moją matkę do Charlestonu i udzieliła jej przyspieszonego kursu etykiety oraz savoir-vivre'u Południa. Każąc jej w trakcie owych czterech tygodni intensywnego szkolenia trzymać uszy szeroko otwarte i w ogóle się nie odzywać, Ginny Penn przekazała Lucy podstawowe informacje na temat sreber, porcelany, manier przy stole, zasad konwersacji oraz dobrego wychowania. Przy okazji uświadomiła sobie ku własnej konsternacji, iż jej synowa pochodzi z jeszcze niższych warstw, niż pierwotnie sądziła. W restauracji Henry'ego przy Market Street Lucy studiowała z wielką uwagą i skupieniem menu, po czym zamawiała dokładnie to samo co Ginny Penn. Ginny brała to za wynik ograniczonej wyobraźni i odwagi, w istocie jednak świadczyło to o pilności i graniczącym z heroizmem darze mimikry.

Zaskoczona teściowa odkryła, iż Lucy uczy się bardzo szybko. Kiedy wróciły do Waterfordu, potrafiła trzymać poprawnie widelec i krojąc mięso na talerzu nie zwracała już na siebie powszechnej uwagi. Umiała nakryć do stołu na dziesięć osób, wiedziała, jak posługiwać się widelcem do sałatek i nożem do ryby, a także czym różnią się kieliszki do białego i do czerwonego wina. Ponieważ Johnson Hagood skarżył się, że Lucy

262

nie potrafi gotować, Ginny Penn nauczyła ją również przygotowywać siedem różnych posiłków na każdy dzień tygodnia. Sama nie była wielką kucharką, znała jednak podstawy sztuki kulinarnej i umiała przyrządzać potrawy w charakterystyczny dla Charlestonu solidny sposób. Z wielką ceremonią przekazała nawet Lucy zachowywany w tajemnicy przepis na crab pilau, miejscowy specjał, którego nazwę wymawiano z hugenocką emfazą jako purr-low. Po tym, jak gotuje kobieta, uczyła synową, najlepiej można poznać jej klasę. Zamknięcie się w czterech ścianach kuchni może być oznaką niezadowolenia z życia, ale umiejętność przyrządzenia siedmiu olśniewających dań, z których każde stanowi rozkosz dla podniebienia i dla oka, znamionuje kobietę poważną, wiedzącą, jak osiągnąć odpowiedni efekt przy użyciu minimalnych środków.

Wkrótce po powrocie do Waterfordu moi rodzice wynajęli stojącą za należącym do Harriet Varnadoe Cotesworth dworkiem uroczą, chociaż może niezbyt starannie wyremontowaną oficynę, którą zajmowali kiedyś niewolnicy. Johnson Hagood musiał użyć całego swego czaru i elokwencji, aby dostąpić zaszczytu rozmowy z żyjącą samotnie panną Cotesworth, jedną z wielu dziwaczek, bez których nie może się obyć żadne miasteczko na Południu. Obrażona na cały świat, Harriet miała silne skłonności do paranoi i bano się jej w mieście jak ognia. Dom, w którym mieszkała, po raz ostatni odmalowano w latach dwudziestych i aby zdobyć pieniądze na życie, Harriet sprzedawała zabytkowe meble swojej rodziny Hermanowi Schindlerowi, antykwariuszowi z Charlestonu. Zawarła umowę z John-sonem Hagoodem przez uchylone lekko drzwi, nie patrząc w twarz mężczyźnie, któremu wynajmowała mieszkanie, i nie pytając go nawet o nazwisko małżonki. Pozostawiona przez większą część tygodnia samej sobie, Lucy zaczęła starać się cierpliwie o względy Harriet, próbując wszystkich sztuczek, których nauczyła się podczas kursu w Charlestonie. Rwała kwiaty, polne i ogrodowe, i zostawiała je w prostych szklanych wazonach na progu tylnych drzwi Harriet. Robiąc zakupy, zawsze kupowała dla swojej gospodyni pomidory, ogórki i w ogóle wszystko, na co był akurat sezon. Jeśli piekła biszkopty albo chleb, oddawała część Harriet. Nie kierował nią żaden ukryty motyw ani powód - Lucy McCall była po prostu w Waterfordzie równie samotna i wyobcowana, jak Harriet Varnadoe Cotesworth.

263

W pierwszym miesiącu po wprowadzeniu się McCallów do oficyny Harriet nie wpuszczała Lucy za próg domu, przyjmowała jednak ofiarowywane jej kwiaty i przysmaki. Wypisywała na trzydziestoletniej papeterii wymyślne podziękowania, którymi Lucy zachwycała się, których jednak

nie potrafiła przeczytać. Czytał je na głos Johnson Hagood, wracając do domu na weekend, Lucy twierdziła bowiem, że uwielbia brzmienie jego głosu. Wkrótce zaczęła zlecać Johnsonowi różne prace na terenie posiadłości. Któregoś weekendu kazała mu wzmocnić niebezpiecznie rozchybotane schody na ganek. Innym razem namówiła Harriet, aby pozwoliła mu wejść na dach, gdzie spędził dwa dni, naprawiając przeciek. Miał złote ręce i Harriet wkrótce wystawiła nos ze swojej samotni i zaczęła prosić go o wykonanie drobnych prac we wnętrzu domu. Ale to Lucy zdobyła jej serce. Któregoś razu, kiedy przez kilka kolejnych dni Harriet nie dawała znaku życia, Lucy pchnęła tylne drzwi i weszła do pachnącego pleśnią, obracającego się w ruinę dworku. Meble piętrzyły się miejscami aż pod sam sufit, ale ona znalazła między nimi przejście i mijając kolejne pokoje dotarła do przepięknie rzeźbionych spiralnych schodów. Dom sprawiał wrażenie zatopionego głęboko w wodzie; zapach pleśni przywodził na myśl jodynę. Kiedy wspinając się po schodach, Lucy dotknęła ręką ściany, odpadł od niej kawałek tapety w kwiatki.

- Panno Cotesworth, panno Cotesworth! - zawołała.

Pchnąwszy w końcu drzwi do głównej sypialni, zobaczyła nieprzytomną Harriet, leżącą na łóżku w kałuży własnego moczu.

Kiedy panna Cotesworth obudziła się wieczorem tego dnia w swojej sypialni, Lucy czuwała przy jej łóżku. Zakomunikowała starszej pani, że ma obustronne zapalenie płuc, lecz stary doktor Lawrence dał jej potężną dawkę penicyliny i jest zdania, iż choroba została na czas powstrzymana. Matka wysprzątała sypialnię, poustawiała wszędzie świeże kwiaty, wydezynfekowała łazienkę, zmieniła pościel i po raz pierwszy od wielu lat odsunęła zasłony, aby wpuścić do środka trochę słońca. Harriet była zbyt słaba i zdezorientowana, żeby protestować. Chociaż w jej błękitnych oczach czaiły się nieufność i strach, odzyskała przytomność na zbyt krótko, aby zrobić scenę. Kiedy się ponownie obudziła, Lucy nakarmiła ją pożywną zupą jarzynową.

Lucy pielęgnowała Harriet przez cały okres jej choroby i robiła to z wdziękiem i pogodą ducha. Podczas tych dwu tygodni

264

oplotkowywana przez całe miasto panna Cotesworth odnalazła dziecko, którego nigdy nie miała. W ciągu ostatnich dwóch lat życia Harriet, Lucy traktowała ją tak, jak córka traktuje dogorywającą matkę. Przeszłość zadała im obu dość ran, aby zasypać dzielącą je towarzyską przepaść.

Harriet kontynuowała dzieło, zapoczątkowane w Charlestonie przez Ginny Penn. Uczulała Lucy na wszelkie pułapki i niebezpieczeństwa, które mogą na nią czyhać w Waterfordzie. Zdradziła jej tajemnice, które odmieniły dzieje starych rodów tego miasta. Nic bardziej od miłosnego skandalu nie demitologizowało wielkich nazwisk Karoliny Południowej i Harriet wykazała to czarno na białym, opowiadając o upadku kilkunastu dystyngowanych rodzin, których ojcowie i synowie nie potrafili trzymać rąk z daleka od dziewcząt z plebsu. Chociaż dokładnie taka sama historia przytrafiła się Johnsonowi Ha-goodowi, zakochana w Lucy, Harriet Cotesworth najwyraźniej tego nie dostrzegала.

Piątego listopada 1948 roku urodziłem się w sypialni na pierwszym piętrze domu Harriet Cotesworth, w wielkim łożu z baldachimem, w którym przyszły na świat całe pokolenia Varnadoe'ów i Cotesworthów. Na chrzcie dano mi imiona Johnson Varnadoe Cotesworth. Wybrała je Harriet, a moja matka w ogóle nie protestowała, doprowadzały bowiem do szewskiej pasji Ginny Penn. Całe miasto pękało ze śmiechu, dowiedziawszy się, jakie to zaszczytne imiona Lucy nadała swemu pierwotnemu synowi. Jedna Harriet płakała ze szczęścia. Od dawna marzyła, by mieć syna, którego mogłaby nazwać po swoim ukochanym ojcu i jej pragnienie nareszcie się spełniło. Dwa ostatnie nadane na chrzcie imiona przysporzyły mi w dzieciństwie niemało przykrości, wszyscy obywatele Waterfordu wiedzieli bowiem, że nie jestem Cotesworthem i nigdy w życiu nie widziałem na oczy Varnadoe'a. W moim paszporcie i prawie jazdy wpisane było zawsze John V. C. McCall i w czasie wojny wietnamskiej chętnie opowiadałem studenckim aktywistom, iż rodzice nazwali mnie tak na cześć Vietcongu. Prawdziwego brzmienia moich pretensjonalnych imion nie zdradzałem nikomu prócz najbliższych przyjaciół względnie pod sam koniec suto zakrapianego wieczoru i zawsze czyniłem to ze wstydem i skruchą.

Waterford przez sześć miesięcy śmiał się z megalomańskich ambicji Lucy, a potem przestał się śmiać raz na zawsze, kiedy
265

starsza pani zmarła nagle we śnie i okazało się, iż wszystko, co posiadała, łącznie z domem Varnadoe'ów-Cotesworthów, zapisała w spadku Johnsonowi Hagooodowi i Lucy McCallom. Majątek odmienił Lucy. Pokochała kształt, rozmiary i majestatyczną prostotę rezydencji, w której miała wychować swoje dzieci. Dom wzbudził w niej sentyment do pięknej architektury, upodobanie do antyków, nawyki ogrodnika, wytrwałość ornitologa i miłość do deszczu, którego krople stepowały po oksydowanym cynowym dachu podczas letniej burzy. Razem z ojcem odrestaurowali wnętrza, ustawiając w nich antyki, zgromadzone w przedsionkach i na strychu. Nic, nawet moje narodziny, nie połączyło rodziców tak bardzo jak ten dom.

Dom Varnadoe'ów i Cotesworthów oglądał również finał ich dziwnego związku, lecz historia, która rozegrała się w nim

0 wiele wcześniej, przeistoczyła moją matkę i pozwoliła jej mieć nadzieję, iż mimo wszystko odnajdzie w życiu trochę szczęścia.

Lucy uważała ją za najwspanialszą historię, jaka kiedykolwiek wydarzyła się na Południu, i opowiadała ją rzeszom turystów, którzy dreptali onieśmieleni po naszym domu podczas Wiosennej Tury Wycieczek. Ubrana w krynoliny, ze ślicznymi w świetle świec, odsłoniętymi ramionami, przedstawiała najpierw gościom krótkie dzieje domu, by rzucić ich następnie na kolana i na zawsze odmienić kształt Wiosennej Tury, powtarzając opowieść, którą usłyszała od Harriet Cotesworth w dniach poprzedzających moje narodziny.

Co rok moi bracia i ja gromadziliśmy się na piętrze, kiedy matka opowiadała o ciotecznej prababce Harriet, uroczej Eli-zabeth Barnwell Cotesworth, która przechadzała się niegdyś po tych samych sosnowych parkietach, gdzie teraz tak beztrudno się bawiliśmy. Lucy wkładała w tę opowieść tyle przekonania

1 pasji, że my, jej zachwyceni synowie, wierzyliśmy, iż opowiada o swoim własnym panieństwie. Nie wątpiliśmy, że wszyscy młodzi mężczyźni szaleli za nią wówczas tak samo jak my.

- Nazywała się Elizabeth Barnwell Cotesworth - rozpoczynała moja matka - i przyszła na świat w tej samej sypialni, w której ponad sto lat później urodził się mój syn Jack. Kiedy rodzice wysłali ją na pensję do Charlestonu, ojej urodzie krążyły już legendy. Na balu South of Broad poznała stacjonującego w Fort Moultrie przystojnego młodego porucznika nazwiskiem William Tecumseh Sherman. Już po pierwszym tańcu Elizabeth kompletnie oczarowała młodego absolwenta West Point.

266

Za każdym razem kiedy Lucy wymieniała nazwisko antychrysta, szmer przebiegał przez grupę turystów, którzy pochodzili przeważnie z Południa i dorastali, słuchając o gwałtach i rabunkach, jakich dokonywała tu armia Shermana. Żaden południowiec, bez względu na to, jak liberalne wyznawał poglądy, nie potrafił wybaczyć generałowi pamiętnego Marszu do Morza, marszu, który raz na zawsze złamał kręgosłup Konfederacji. Moja matka umiała w mistrzowski sposób grać na uczuciach tłumu. Staliśmy w piżamach przy słupkach balustrady; Lucy mrugała do nas, a my mrugaliśmy do niej, poddając się czarowi opowieści o pięknej Elizabeth i jej zalotniku. Chociaż turyści nigdy nas nie widzieli, ustawialiśmy się tak, by mieć przed oczyma Lucy i jej historia wzruszała nas za każdym razem, gdy ją słyszeliśmy. Matka dodawała co rok jakieś szczegóły i legenda bez przerwy się zmieniała i rozrastała. Należąca tylko do niej i do nikogo więcej historia Shermana i Elizabeth, wyraźnie podniosła jej pozycję społeczną. Przez cały okres mojego dzieciństwa witała podczas Wiosennej Tury grupy elegancko ubranych turystów, których prowadzili

do nas przewodnicy trzymający w dłoniach srebrne lichtarze. Lucy, która występowała już wcześniej na scenie, odkryła, że udawanie dobrze wychowanej damy nie przysparza jej większych trudności. Pojawiając się na werandzie w podarowanej przez Ginny Penn sukni i pozdrawiając speszonych, przestępujących z nogi na nogę gości, którzy traktowali te stare domy, jakby były prywatnymi kaplicami, słyszała, jak przez tłum przechodzi stłumione westchnienie. W miarę upływu lat, gdy nabrała większej pewności siebie i awansowała w społecznej hierarchii, coraz częściej powtarzano, że potrafi wspaniale opowiadać. Matka oddawała cesarzowi, co cesarskie, twierdząc, że wszystko to zawdzięcza generałowi Shermanowi. Mojego biednego brata Tee, który cierpiał męki z powodu nadanego mu na chrzcie imienia Tecum-seh, nazwano tak ku czci żołnierza, nie wielkiego wodza.

W ostatniej klasie szkoły średniej dostałem na gwiazdkę bilet na organizowaną co rok Wiosenną Turę. Rodzice moich kolegów porozumieli się ze sobą i nabyli specjalny zbiorowy bilet, uważając, że nadszedł już czas, aby ich pociechy poznały architektoniczne zabytki naszego miasta. Pewnego wieczoru w roku 1966 po raz pierwszy przestąpiłem jako turysta próg domu, w którym się wychowałem, i razem z całym tłumem oniemiałem z podziwu, kiedy pojawiła się moja matka - w

szkownej

267

sukni, z włosami w lokach i z twarzą rozjaśnioną miękkim migotliwym blaskiem świec. Podnosząc wzrok, zobaczyłem swoich braci zajmujących pozycje między słupkami balustrady na pierwszym piętrze. We wcześniejszych latach Lucy zdarzało się mylić fakty, tego wieczoru jednak przedstawiła historię domu Varnadoe'ów i Cotesworthów z prawdziwym profesjonalizmem. Sympatycznym głosem powitała gości, którzy ustawili się u stóp schodów wiodących na pierwsze piętro. Kiedy pozdrowiła dziesięciu uczniów ostatniej klasy Waterford High, zgotowaliśmy jej głośną owację. Trzymałem za rękę Ledare Ansley; dobiegał właśnie końca nasz szkolny romans. Jordan chodził wtedy z Shylą, a Mikę i Capers pojawili się w towarzystwie smarkatych bliźniaczek McGhee, których rodzice zasiadali w radzie Fundacji Historycznej.

Zawsze dotąd słuchałem historii Shermana skryty w mroku, łowiąc jej strzępy, kiedy matka oprowadzała ludzi po pokojach. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo dumny byłem owej nocy, gdy zaczęła opowieść o Harriet Varnadoe Cotesworth, która stanowiła wprowadzenie do historii samej Elizabeth. Prababka Harriet urodziła się podczas śnieżnej zadymki, zdarzającej się w Waterfordzie nader rzadko i jej niezwykłą urodę przypisywano między innymi sześcioalowej kołdrze śniegu, która okryła tamtej nocy całe miasto. Słuchając, jak Lucy wylicza wszystkie smakowite szczegóły, świadczące o zniewalającym powabie dawnej mieszkanki tego domu, czułem, że po raz kolejny działa na mnie magia tej opowieści.

Matka dała znak, abyśmy przeszli za nią do salonu, i poczekała cierpliwie, aż wszyscy znajdą sobie miejsce. Shyla, która stała obok Jordana, trzymając go pod ramię, spostrzegła, że ich obserwuję, i posłała mi przesadnie namiętny pocałunek, a ja udałem, że łapię go w powietrzu. Mikę Hess już wówczas interesował się historią i chłonał z uwagą każde słowo Lucy. Capers podniósł tackę leżącą na sekretarzyku, obrócił ją i przeczytał widniejącą na spodzie nazwę firmy "Spode". Wiedział, że moja matka jest parweniuszką i uzurpatorką i miał nadzieję, że odkryje coś, co będzie świadczyło o jej złym smaku. Ale Lucy miała nad nim siedemnaście lat przewagi i dawno już doprowadziła do perfekcji swój program artystyczny. Wszystkie nieautentyczne przedmioty, a było ich w domu całkiem sporo, chowano głęboko podczas pachnących azalią dni Tury Wiosen-

268

nej. W przeszłości zdarzyło jej się popełnić kilka pomyłek, ale wynikłe stąd towarzyskie upokorzenie okazało się najlepszym lekiem na ignorancję. Lucy była mistrzynią w zacieraniu śladów i nigdy nie popełniła dwa razy tego samego błędu.

— Po tym pierwszym spotkaniu porucznik Sherman napisał do Elizabeth list utrzymany w prostym żołnierskim stylu, z którego zasłynął później jako autor pamiętników. Wyznał, że taniec

z nią na zawsze odmienił jego życie.

— Czy ja też tak na ciebie działałam, Jordan? - szepnęła Shyla.

— Tak samo - odparł.

— A na ciebie, Jack? - zapytała, puszczając do mnie oko.

— Elizabeth - westchnąłem. - Och, Elizabeth...

Shyla dygnęła z gracją, a stojąca obok nas starsza pani przyłożyła palec do ust.

- Sherman napisał, że po raz pierwszy w swoim życiu zapragnął, aby orkiestra grała przez całą wieczność i aby ten walc nigdy się nie skończył - mówiła matka. - Musiał jednak dołączyć do prawdziwej armii miejscowych zalotników, którzy świetnie wiedzieli, iż Elizabeth stanowi główną atrakcję sezonu. Szaleli za nią wszyscy chłopcy z Charlestonu. Ale ją zaintrygował Sherman i o nim pisała rodzicom, którzy czytali jej listy w tym właśnie pokoju. Opisywała w nich długie intymne spacerunki, na które chodziła po południu z porucznikiem. Opo wiadali sobie wówczas sekrety, których nie zdradzali nikomu innemu.

Capers podniósł rękę.

— Tak, Capers, czy masz jakieś pytanie? - zainteresowała się Lucy.

— Czy Sherman był przystojny? - zapytał. - Zawsze wydawało mi się, że był brzydki jak noc.

Kilka osób w grupie parsknęło śmiechem.

- Czy Sherman był tak samo przystojny jak Capers? To wszystko, co obchodzi Capersa, pani McCall - powiedział Mike.

W salonie znowu zabrzmiały wesołe śmiechy.

- Współcześni nie uważali go za przystojnego - odparła Lucy. - Ale, co może potwierdzić wiele obecnych w tym pokoju pań, uroda nie zawsze jest najważniejsza. Liczy się charakter, ambicja i pasja. Ludzie mówią, że porucznik miał w sobie dziwną intensywność. Krążyły nawet plotki o pewnym chłopcu

269

z charlestońskiej dobrej rodziny, który chciał z powodu Elizabeth wyzwać go na pojedynek. Coś w oczach Shermana sprawiło jednak, że zmienił zdanie. Sherman pocałował co najmniej raz Elizabeth i mamy na to dowód w liście, który Elizabeth napisała do swojej młodej siostrzenicy, matki Harriet Cotes-worth. Po tym pocałunku oboje poczuli, że związali się ze sobą na zawsze. Właśnie w tym pokoju Sherman zapytał ojca Elizabeth, czy może zamienić z nim na osobności kilka słów, potem zaś poprosił go o rękę córki. Kiedy Elizabeth wróciła wraz z matką z nerwowej przechadzki po ogrodzie, w salonie unosił się zapach cygar. Obie wybuchnęły płaczem. Przejdźmy teraz do biblioteki, gdzie opowiem państwu, co się wydarzyło.

Lucy ruszyła przodem, szczupła i dziewczęca, i myślałem, że zaraz pęknę z dumy na jej widok. Lata poświęceń i ciężkiej pracy uczyniły z niej damę, która zasługiwała na to, by mieszkać w tym domu. Kształcąc się sama, zmieniła się w kogoś, kim z racji swego urodzenia nigdy nie powinna być. Miałem wrażenie, że noszę na plecach znak informujący, że to moja matka oprowadza ludzi po pokojach i opowiada tę historię. Czuję, jak całą grupę zaczyna fascynować nieprawdopodobny romans Shermana i Elizabeth.

— Co się wydarzyło? - zapytał Mike Hess, kiedy wszyscy ustawili się w bibliotece, w której unosił się zapach oprawnych w skórę książek.

— Cokolwiek to było, nie wyszło Południu na dobre - stwierdził jakiś starszy mężczyzna. - Ona opowiada o wcielonym diable.

— Ten młody Sherman sprawia na mnie wrażenie uroczego chłopca - przekomarzała się z nim jego żona.

— Trzynastego maja tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku Kongres wypowiedział wojnę Meksykowi - podjęła matka - i tydzień później porucznik Sherman otrzymał rozkaz, na mocy którego jego batalion miał wejść w skład Armii Zachodniej, następnie zaś udać się na terytorium Nowego Meksyku, aby bronić Sante Fe.

— Co się stało z Elizabeth? - zapytała Shyla.

- Czy wyszła za męża, pani McCall? - dodał Jordan.

Matka odczekała, aż napięcie sięgnie zenitu.

- William Tecumseh Sherman i Elizabeth Barnwell Cotesworth - oznajmiła w końcu - nie zobaczyli się już nigdy w życiu.

270

Rozległo się głośne westchnienie. Lucy ponownie odczekała chwilę, nim podjęła przerwana opowieść. Trzymała ich teraz wszystkich w ręku; obserwując tego wieczoru matkę, nauczyłem się, jak przykuć uwagę obcej widowni. Wkrótce odezwała się ponownie i wszyscy słuchali jej z zapartym tchem, starając się nie uronić ani jednego słowa.

Po całym roku obie strony zerwały z wielkim żalem zaręczyny, sześć miesięcy później zaś Elizabeth poślubiła Tannera Prioleau Samsa, kupca z Charlestonu i potomka znakomitej rodziny, odznaczającego się wrodzonym południowym wdziękiem, którego brakowało pochodzącemu z Północnego Zachodu chłodnemu i powściągliwemu Shermanowi. To właśnie Tanner Sams był owym odrażającym zalotnikiem, który miał zamiar wyzwać młodego Shermana na pojedynek. Jego cierpliwość i wybuch wojny z Meksykiem sprawiły, że Elizabeth oddała w końcu serce Samsowi, który do końca życia pozostał wdzięczny armiom generała Santa Anny.

Elizabeth Barnwell Cotesworth została zatem żoną, matką i gospodynią i wszyscy zgadzali się, że wypełniała z wielką godnością swoje obowiązki. Miała otwarty charakter, jej uroda stawała się z każdym rokiem bardziej dojrzała, a wzmianki o organizowanych z jej udziałem balach znalazły się nawet w wojennych pamiętnikach Mary Chesnut, która pisała o Elizabeth z wielkim podziwem.

Sherman pojawił się ponownie na Południu dopiero po wybuchu wojny secesyjnej i tym razem szły za nim pożoga i zniszczenie. Cały kraj stanął w płomieniach, spalając się w ogniu własnej żarliwości. Sherman bardziej niż jakikolwiek inny generał Unii kochał Południe, rozumiał bowiem zarówno jego dumę, jak i sprzeczności, wiedza ta nie przeszkadzała mu jednak pustoszyć z zimną furią tutejszych osad i miast. Dotarłszy ze swymi chłopcami znad Missisipi do granic miejskich Atlanty, patrzył, jak jego armie krztuszą się własną krwią, pozostawiając dziesiątki tysięcy żołnierzy z Ohio i Illinois na uświęconej ich ofiarą ziemi Południa. Odcięty od linii zaopatrzeniowych, uczył swoich ludzi, jak cenne mogą się okazać zapalki, gdy chce się upokorzyć i rzucić na kolana przeciwnika. Pamiętał dobrze elegijny, spędzony w Charlestonie okres, i wiedział, jak niezwykłą miłością darzą południowcy swój pachnący kraj i wspaniałe dwory. Teraz obracał w perzynę to piękne Południe, puszczając z dymem każdy dom, do którego zbliżyła się jego

271

armia na liczącym pięćset mil szlaku. W strugach deszczu i w palącym słońcu szedł od Chickamauga aż do Atlantyku, zapisując ogniem i krwią swe imię na męczeńskim ciele Georgii. To właśnie przez niego żołnierze Konfederacji przelewali krew i oddawali życie na polach, drogach

i w setkach strumieni Południa. Ich żony i córki opłakiwały zabitych i wkrótce generał odkrył, że zrozpaczone głodne kobiety mogą w tym samym stopniu co świeży pułk przyczynić się do szybszego zakończenia wojny. Przecinając Georgię, jakby była zrobiona z masła, udzielił jej kilku lekcji na temat niezmiennych okropności wojny. Przez całą długą chłodną jesień roku 1864 przemierzał uprawne pola na czele luźnych oddziałów, zostawiając za sobą swąd palonych plantacji.

Nazwisko Shermana stało się na Południu najbardziej zniechęcającym słowem. Piękne damy o manierach księżniczek spluwały w błoto za każdym razem, gdy wymówiły je na głos. Generał wprowadził swoich ludzi do Savannah i na karty historii wojskowości. Szedł ku Elizabeth. - Kiedy generał Sherman - opowiadała dalej matka - spustoszył Georgię i zdobył Savannah, obawiano się, że ruszy teraz na Charleston, miasto, w którym doszło do pierwszych zbrojnych wystąpień w wojnie między stanami. Charleston przeszedł już jedno oblężenie i wszyscy szykowali się do ewakuacji przed szturmem wojsk Unii. Mieszkańcy postanowili, że sami spalą swoje miasto, aby nie pozwolić, by puściły je z dymem hordy Shermana. Podpalić Charleston mieli ci, którzy go kochali. Jankesi nie byli tego godni. Rozeszły się pogłoski, że Sherman przeprowadził swoje wojska przez Savannah River, pogłoski, które okazały się prawdziwe. Całe Południe i cały naród oczekiwał, że generał obróci swą furję przeciw miastu, w którym rozpoczął się straszliwy konflikt. Jednak dotarwszy do Pocotaligo, Sherman dokonał nagłego zwrotu i poprowadził swoje oddziały na Columbię, którą spustoszył i zrównał z ziemią. Po tym niespodziewanym szturmie napisał list do matki Elizabeth, która wciąż mieszkała w tym domu. Kiedy wojska Unii zdobyły wcześniej Waterford, matka Elizabeth nie uciekła wraz z innymi i spędziła całą wojnę pod okupacją. Jankesi traktowali ją z wielkim szacunkiem. A oto list, który generał Sherman napisał do matki Elizabeth. Tłum rozstał się na boki, a matka przeszła przez całą bibliotekę i zapaliła zamontowaną w chińskiej wazie lampę, która oświetlała wiszący na ścianie, napisany odręcznie list.

272

- Ponieważ nie mogą państwo wszyscy podejść tak blisko, pozwólcie, że przeczytam go na głos. Matka nie musiała wcale czytać oprawnego w ramkę listu; dawno temu nauczyła się go na pamięć. Słuchaliśmy jej dźwięcznego głosu w absolutnym milczeniu.

Droga pani Cotesworth

Wspominam z wielką satysfakcją i wielkim żalem wieczór spędzony w Pani domu. Słyszałem, że małżonek Pani zginął pod Chancellorsville i wiadomość ta bardzo mnie zasmuciła. Szarża kawalerii, którą wówczas poprowadził, przełamała linie Unii i zadała duże straty naszym wojskom. Poległ śmiercią bohatera i mam nadzieję, że będzie to dla Pani stanowić pewną pociechę. Doszły Panią zapewne wieści, iż skierowałem swoje wojska przeciw broniącym Columbii oddziałom konfederatów. Południe jest już pokonane i wojna wkrótce się zakończy. Chciałbym, aby przekazała Pani moje najlepsze pozdrowienia swojej córce Elizabeth, i zapewniła, iż wciąż darzę ją najwyższym szacunkiem. Do dziś nie jestem pewien, czy wojna z Meksykiem i wielkie zwycięstwa, jakie w niej odnieśliśmy, warte były jej utraty. Myślałem o niej wielokrotnie, kiedy moje wojska przemierzały Południe, zbliżając się nieubłaganie do tej krainy, którą Elizabeth uczyniła dla mnie niegdyś magiczną przez sam fakt swego istnienia.

Chciałbym również, aby powtórzyła Pani córce pewną wiadomość. Proszę przekazać Elizabeth, iż ofiarowuję jej miasto Charleston w podarunku.

Szczerze oddany, William T. Sherman Generał armii

Żaden turysta nie otrzymał nigdy więcej za swoje pieniądze niż miłośnicy starych dworów, których oprowadzała po domu Varnadoe'ów i Cotesworthów moja matka. Wiedziałem, że opowiadając historię Elizabeth, za każdym razem stara się zachować z niej coś dla siebie. Chciała, aby ktoś poczuł do niej to samo, co Sherman czuł do swej ukochanej, i wiedziała, że nasz ojciec nigdy nie będzie tym mężczyzną. Stawałem czasem na naszym pomoście i patrząc na skąpany w słońcu dom mego dzieciństwa, mówiłem sobie, iż któregoś dnia pokocham kobietę

273

miłością podobną do tej, którą odczuwał Sherman. Gotów byłem przemierzyć cały świat, aby znaleźć dziewczynę i pisać do niej listy, które jej potomkowie wieszaliby na ścianie biblioteki. Poszedłbym z jej imieniem na ustach do samego morza i pisałbym to imię na piasku, aż zmyłyby je fale przyprływu. Ta opowieść wyryła we mnie niezatarty ślad - ale jeszcze większy wpływ wywarła na matkę, zmieniając całe jej życie.

Lucy uczyniła z niej swoją wyłączną własność. Historia Shermana poruszała ukrytą w niej głęboko i silnie rezonującą strunę. Nie mogła zmasakrać nieskończonego zła, jakiego doznała w dzieciństwie, natchnęła ją jednak potężną wiarą w przyszłość, w całą możliwą do wynegocjowania walutę czystego przypadku. Dzięki niej matka potrafiła znieść prawdę. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Lucy stała się strażniczką domu Elizabeth, spadkobierczynią nie spełnionej tragicznej miłości generała Shermana.

Kiedy wychodziliśmy wszyscy z domu, usłyszałem, że wołają mnie Tee, Dallas i Dupree, i odwróciłem się, żeby im pomachać. Za kilka miesięcy miałem wyjechać z domu i wiedziałem, że moi kochani bracia będą odtąd zdani sami na siebie.

- Hej, przystojniaku - zawołała Lucy. - Nie odejdziesz chyba, nie ucałowawszy na dobranoc swojej matki.

Wbiegłem zaczerwieniony po schodach i wpadłem w objęcia Lucy, która przytuliła mnie mocno do siebie. Mike, Capers i Jordan zaczęli głośno bić brawo i zaczerwieniłem się jeszcze bardziej.

Matka starła mi szminkę z policzka i spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. Ujrzałem nagle w tym jednym błysku całe okrucieństwo przeszłości i o mało nie osunąłem się na kolana. Matka też je zobaczyła i poczuła. Utkwiła we mnie oczy i dotknęła dłonią policzka.

— Generale Sherman, generale Sherman - rozległ się nagle przesadnie afektowany dziewczęcy głos. - Już idziemy.

— Zaraz do ciebie przyjdzie, Elizabeth - odparła ze śmiechem matka.

Pobiegłem w stronę głosu i wyciągniętej ręki i ku swemu zaskoczeniu odkryłem, że woła mnie Shyla.

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ 18

Jako autor przewodników znam swoje porty lotnicze i rzymskie lotnisko Leonarda da Vinci nie ma przede mną żadnych tajemnic. Tego grudniowego popołudnia, kiedy moja matka wylądowała w Rzymie, by po raz pierwszy w życiu odwiedzić Włochy, byłem jednak tak przejęty, że hala dworca wydała mi się jakaś inna, większa niż zwykle. O mało nie straciliśmy Lucy w trakcie owego tygodnia, gdy zapadła w śpiączkę. Jej powrót do zdrowia zdawał nam się prawdziwym cudem i sprawił, że pogodziłem się z rodziną po długim okresie gojenia duchowych ran, odniesionych po śmierci Shyli. Odnowiłem więc z czymś bardzo ważnym i reperkusje tej wizyty odzywały się we mnie zdumiewająco bogatym echem. Wracając do ciężko chorej matki, nigdy nie sądziłem, że spotkam przy jej łóżku utraconą część samego siebie.

Kiedy wychodzący przez podwójne drzwi pasażerowie zaczęli mijać celników i uzbrojonych po zęby żołnierzy, wskazałem Lucy mojej córce.

- Uściskaj tę kobietę, Leah. To twoja babcia - powie działałem.

Leah precyzyjnie się z łatwością przez tłum i podeszła do szukającej nas wzrokiem Lucy.

- Ciao, babciu - pozdrowiła ją. - Jestem Leah McCall, twoja wnuczka.

Lucy przyjrzała się mojej ciemnookiej ślicznej córce.

- Gdzieś ty się podziewała przez całe moje życie, kochanie? - szepnęła, przyklękając i biorąc ją w ramiona. Po chwili wstała i ucałowała mnie. Zabraliśmy jej bagaże z taśmociągu

i trzymając się za ręce, matka i Leah ruszyły w ślad za mną na postój taksówek.

Twarz Lucy tryskała zdrowiem; nie chciało się wprost wierzyć, że tak szybko doszła do siebie po bezpardonowym ataku, jaki przypuściła na jej ciało choroba. Włosy odrosły jej, ale były bardzo krótkie; stapała lekkim krokiem i zauważyłem, że kilku Włochów w średnim wieku obejrzało się, mierząc ją pełnym uznania, rozmarzonym spojrzeniem. Napisała mi, że codziennie odbywa pięciomilowe spacerki i tylko przez jeden letni miesiąc nie sprawdzała rankiem śladów, które pozostawiały na plaży składające jaja morskie żółwie. Nawet w grudniu matka była najbardziej opaloną osobą na całym lotnisku.

— Tak właśnie musi wyglądać chiński alarm przeciwpożarowy - stwierdziła, przyglądając się ciągnącym od drzwi hałas liwym tłumom i kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Staram się wychowywać Leah tak, żeby nie wyrosła na rasistkę, mamó - rzuciłem lekkim tonem.

— A co w tym jest rasistowskiego? Aż do dzisiaj nigdy w życiu nie widziałam chińskiego alarmu przeciwpożarowego - odparła, po czym wyjęła z torebki włoskie pieniądze, które wymieniła w Savannah. - Nie wiem, czy to jest warte pięć centów czy miliard dolarów - powiedziała, pokazując Leah tysiąc lirów.

— To równowartość jednodolarowego banknotu, babciu - poinformowała ją moja córka.

— Jakie z ciebie mądre dziecko. Dziewczynka, która ma głowę do liczb, nie musi się martwić o swoją przyszłość.

— Wyglądasz wspaniale, mamó - powiedziałem.

— Przez kilka miesięcy byłam łysa jak kolano. Jeśli masz jakieś wolne pieniądze, synu, inwestuj w peruki. Masz przepiękne włosy, Leah. Zupełnie jak twoja matka.

— Dziękuję, babciu - odparła Leah.

— Mam w torbach więcej prezentów dla ciebie niż własnych ubrań - stwierdziła Lucy. - Wszyscy z Waterfordu przesyłają ci podarki. Chcą, żebyś wiedziała, jak bardzo pragniemy cię powitać z powrotem w domu.

— Dwudziestego siódmego grudnia - oznajmiła Leah. - Tego dnia wracamy razem z tobą do Waterfordu. Boże Narodzenie w Rzymie na pewno ci się spodoba.

— Pamiętasz, jak bardzo kochałam cię, kiedy byłaś małym dzidziusiem? - zapytała Lucy, przytulając Leah do siebie.

278

— Nie pamiętam niczego z Karoliny Południowej, babciu - odparła Leah. - Próbowałam sobie przypomnieć, ale bez skutku.

— W przyszłym roku musisz wziąć w lecie udział w moim programie ochrony żółwi na Isle of Orion. Ratujemy wielkie żółwie morskie przed wymarciem.

— Ekstra. Będę mogła to zobaczyć? - zapytała z radością Leah.

— Zobaczyć? - odparła z udawanym zdziwieniem Lucy. - Nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć, i zostaniesz prawdziwą żółwiową damą.

— Waterford musi być wspaniałym miastem - cieszyła się Leah. - Czy wiesz, babciu, że nie licząc taty, jesteś pierwszą

spotkaną przeze mnie osobą, która знаła Wspaniałą Chippie?

— Wspaniałą Chippie? - powtórzyła Lucy, spoglądając z ukosa na swego syna.

— Opowiadam Leah historyjki o Chippie - wyjaśniłem.

— Co tu jest do opowiadania? - zdziwiła się matka. -

Chippie była zwykłym kundlem. Przybłądą.

— Nie, mamu - zaprotestowałem i Lucy usłyszała w moim głosie lekką przyganę. - Chippie była wspaniałą suką. Nie ustraszonym, mądrym obrońcą całej rodziny McCallów.

— Na pewno wyratowała was wiele razy z opresji, prawda, babciu? - zapytała Leah.

Lucy w końcu załapała.

- Oczywiście - przytaknęła. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas miał szansę na znalezienie się tutaj, gdyby nie Chippie...

To wspaniała suka.

Wieczorem, kiedy kładłem Leah do łóżka, przytuliła się do mnie mocno i podziękowała, że zgodziłem się na wizytę jej babci.

— Kocham twoją mamę, tato. Jest dla mnie taka słodka; zupełnie jak ty.

— Nie wpadaj w zbyt ni entuzjazm - ostrzegłem ją.

— Kiedy to prawda. Powiedziała, że jestem kubek w kubek podobna do mamy. Co to znaczy?

— Kubek w kubek? - powtórzyłem. - To znaczy, że wyglądasz dokładnie tak jak twoja matka. Chcesz, żebym ci coś opowiedział? Może o tym, jak ja i Shyla zakochaliśmy się na plaży? Albo o czymś innym?

— Czy twoja mama potrafiła opowiadać bajki, tato?

— Najlepiej z nas wszystkich - przyznałem. - Nikt nie potrafił kłamać tak dobrze jak moja matka.

279

- Czy opowiadanie jest zawsze kłamstwem?

Zastanowiłem się dobrze, zanim odpowiedziałem na jej pytanie.

— Nie, opowiadanie nigdy nie jest kłamstwem. Opowiadanie sprawia przyjemność. Kłamstwa sprawiają przeważnie ból.

— W takim razie chcę, żeby dzisiaj opowiedziała mi coś na dobranoc moja babcia - oznajmiła Leah. - Nie będziesz chyba zły, tato?

— Pójdę po nią - odparłem.

— Dobranoc - szepnęła Leah i pocałowała mnie w policzek. - Lubię opowieści o Wspaniałej Chippie tylko wtedy, kiedy jestem smutna. Dziś w nocy czuję się szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Znalazłszy się sam w salonie, wyjrzałem przez okno na Piazza Farnese i obserwowałem przez chwilę rzymian, którzy podążali szybkim krokiem przez zimne wyludnione uliczki. W oświetlonej od tyłu szybie widziałem zarówno przechodniów, jak i swoje własne anonimowe odbicie. W tej samej szklanej tafli mogłem śledzić z ukrycia mieszkańców miasta, bądź też pozwolić sobie na luksus autoanalizy. Autor przewodników zdecydował się tym razem na introspekcję i przyjrzałem się samemu sobie.

Skończyłem właśnie trzydzieści siedem lat, lecz ocieżały mężczyzna spoglądający na mnie z okiennej szyby, zbyt długo już tkwił bez ruchu poza głównym nurtem wydarzeń. Ludzie,

przemierzający plac i znikający w jednej z siedmiu uliczek, które wiodły ku sercu renesansowego Rzymu, zdawali się wszyscy posiadać jasno określony cel. Podążali różnym zdecydowanym krokiem ku swoim sprawom, podczas gdy wszystko, czym ja się zajmowałem, wydawało się pozbawione znaczenia i wymuszone. Czekałem, aż coś się wydarzy, coś, w co mógłbym się zaangażować - chciałem, by w moim życiu więcej było karnawału niż postu. Być może to przyjazd matki i tryskająca z niej zaskakująca energia uświadomiły mi, że zbyt długo zadowalałem się statusem obserwatora ludzkiej rasy. Sparaliżowała mnie ostrożność. Kłępiący ruchy strach spowolnił mój krok, przyćmił spontaniczność, pozbawił pragnienia, by pokonywać zakręty na dwóch kołach. Zobaczyłem w tej okiennej ramie, kim jestem naprawdę - mężczyzną, który boi się kobiet, boi się miłości, pasji i szczerzej przyjaźni. W tym przełomowym momencie mojego życia wszystkie ścieżki wydawały mi się jednakowo kuszące i wiedziałem, że na tym właśnie polega mój problem.

280

Usłyszałem, że Lucy wchodzi do salonu.

— Zimno tutaj jak na Alasce - stwierdziła. - Czy w tym kraju nie znają ogrzewania?

— Zaraz je włączę - powiedziałem. - W tych starych domach są straszne przeciągi.

— Bądź taki miły i nalej swojej kochanej mamie chivas regał.

Z lodem - mruknęła. - Mają chyba lód w tym kraju?

Przyrządziłem nam obojgu drinki, włączyłem ogrzewanie i wróciłem do salonu. Lucy stała przy wysokim oknie, od którego przed chwilą odszedłem, i obserwowała idących przez piazzę ludzi.

— Dokąd oni się tak śpieszą? - zapytała, odwracając się, żeby wziąć ode mnie szklankę. - Dziękuję, kochanie. Czuję się naprawdę okropnie. Mam wrażenie, jakby stratowało mnie stado bizonów.

— To zmiana czasu. Powinnaś się chyba położyć.

— Przywiozłam ci kilkanaście listów. I mnóstwo wiadomości, ale one mogą poczekać. Co to za plotki o tobie i Jordanie Elliotcie?

— To tylko plotki - odparłem. - Nie zawierają słowa prawdy.

— Nie ma nic gorszego od syna, który okłamuje umierającą matkę.

— Wcale nie umierasz. Nie mów do mnie w ten sposób.

— Oficjalnie umieram - oznajmiła z dumą Lucy. - Mogę ci pokazać zaświadczenie od mojego lekarza, który stwierdza to czarno na białym. Powiedz Jordanowi, że to dla mnie ostatnia szansa zobaczenia go.

— Nie wiem, o czym mówisz - odparłem, czując się złapany w potrzask przez kobietę, która nauczyła mnie jednocześnie nienawidzić kłamstwa i kłamać, kiedy to konieczne.

— Będzie zachwycony, mogąc się ze mną spotkać - stwierdziła. Nie potrafiła uwierzyć, iż ktoś mógłby dobrowolnie wyrzec się przyjemności dotrzymywania jej towarzystwa.

— Czy jest coś, co chciałabyś szczególnie zobaczyć podczas pobytu w Rzymie? - zapytałem, usiłując zmienić temat.

— Lourdes - odpowiedziała.

— Lourdes? - zdziwiłem się.

— Tak, Lourdes.

— Ale Lourdes leży we Francji, mamó - odparłem. -

Jesteśmy we Włoszech.

281

— Czy to nie jest tuż obok? - zapytała.

— Nie, to nie jest tuż obok - roześmiałem się.

— Cóż, jeśli moje zdrowie nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, będziemy musieli z tego zrezygnować - stwierdziła, wydymając wargi.

— Byłem tam, mamó - powiedziałem. - To jedna wielka lipa, a poza tym trzeba tam jechać ponad tysiąc mil.

— Nieprawda.

— Jestem autorem przewodników i wiem, ile jest z pieprzonego Rzymu do Lourdes.

— Nie musisz być taki wulgarny - zwróciła mi uwagę.

— W branży cudów panuje ostatnio zastój - mruknąłem.

— Słyszałam, że i w Rzymie jest kilka kościołów, w których miały miejsce cudowne zdarzenia - nie dawała za wygraną Lucy.

Strzeliłem palcami.

— Dlaczego o tym nie pomyślałem? Oczywiście, mamó. Ty potrzebujesz cudów. W tym mieście na pewno ich nie zabraknie. W jednym z kościołów przechowują kawałek drewna z Krzyża Świętego, w innym koronę cierniową. Czeka nas świetna zabawa. Odwiedzimy wszystkie wsławione cudami świątynie w tym mieście, a nie wspomniałem jeszcze o bazylice Świętego Piotra.

— Muszę odwiedzić Watykan - szepnęła Lucy.

— Załatwiłem ci audiencję u papieża. I wszyscy pójdziemy na pasterkę do bazyliki.

— Audiencja u papieża - powtórzyła z przejęciem Lucy. - Jaką powinnam włożyć sukienkę? Dzięki Bogu, że odrosły mi włosy. W peruce wyglądam trochę wyzywająco.

— Postaraj się nieco przespać - powiedziałem. - Musisz odpocząć, zanim zaczniesz się rozkoszować urokami Rzymu.

— Już się nimi rozkoszuję - stwierdziła. - Czy masz jakąś panią, którą chciałbyś mi przedstawić? - zapytała po chwili.

— Nie - odparłem. - Nie mam żadnej pani, którą chciałbym ci przedstawić.

— To dziecko potrzebuje matki. Może nie powinnam ci tego mówić, ale Leah spragniona jest kobiecego uczucia. Ma oczy sieroty.

— To nieprawda - zaprzeczyłem poirytowany.

— Nie widzisz tego - upierała się Lucy - bo nie chcesz widzieć. Powinieneś czym prędzej znaleźć temu biednemu dziecku mamę.

282

— Ona nie potrzebuje mamy - powiedziałem, zdając sobie sprawę, że w moim głosie pobrzmiwa defensywny ton. - Maria kocha ją tak jak matka.

— Maria nie mówi nawet po angielsku - odparła Lucy. - Jak Leah może dowiedzieć się czegoś o matczynej miłości od kobiety, która nie zna jej języka?

— Mnie osobiście wyszłoby na dobre, gdybyś nie mówiła po angielsku - oświadczyłem.

Jej śmiech zadźwięczał w powietrzu niczym garść rzuconych wysoko srebrnych monet. Słyszałem go przez cały czas, gdy szła długim korytarzem do swojej sypialni.

Przez następne kilka dni odwiedziliśmy kościoły, kaplice i bazyliki Rzymu, szukając świętego, który mógłby się wstawić za Lucy. W trakcie tych wędrówek nauczyłem ją cenić smak rzymskiej kawy, zapraszając często na espresso lub cappuccino. Codziennie jedliśmy lunch w Da Fortunato, gdzie czekał na nas ze swymi nienagannymi manierami i łamaną angielszczyzną kelner Freddie. Freddie zakochał się od pierwszego wejrzenia w matce i lunch stał się zarówno wyszukaną ucztą, jak i porą, w której licząca sobie pięćdziesiąt osiem wiosen Lucy mogła doskonalić sztukę niewinnego flirtu w mieście, gdzie jedzenie i flirt ceni się o wiele wyżej niż niewinność.

Odwiedziliśmy łącznie dwadzieścia jeden grobów wyniesionych na piedestał osobników, którzy mieli dość szczęścia, by znaleźć się w Kalendarzu Świętych. Lucy zapisywała skrupulatnie imiona patronów, których zdążyliśmy zaliczyć. Była przekonana, że będą na nią czekać przy niebieskich bramach, jeśli jej modlitwy pozostaną nie wysłuchane i przyjdzie jej pożegnać się z tym światem. Słyszając to przewracałem ze zgrozą oczyma, nic nie było jednak w stanie złamać uporów, z jakim przemierzała mroczne średniowieczne zaułki, połyskujące wyblakłymi różami, ochrą, plamami cynamonu, a niekiedy niepewnego pochodzenia złotem.

W każdym kościele, który odwiedziliśmy, Lucy polewała obficie wodą święconą węzły limfatyczne, gdzie gromadziły się zabójcze białe krwinki, po czym wychodziła z dumnie podniesioną głową na ulicę, nie przejmując się wodą, która skąpy wała z zimowego płaszcza. Ten chrzestny rytuał wydawał mi się nie tylko niedorzeczny, ale i krępujący.

- To dodaje mi otuchy - tłumaczyła, wyczuwając moją dezaprobatę. - Musisz się z tym pogodzić.

283

— Dlaczego nie każesz po prostu poświęcić księdzu wody w fontannie di Trevi? Mogłabyś codziennie w niej popływać - powiedziałem.

— Starasz się być dowcipny, ale rzadko kiedy ci się to udaje - odcięła się.

— Będziemy pierwszymi ludźmi, których aresztują za marnotrawstwo święconej wody - mruknąłem.

— Kościół na to stać, mój synu - oświadczyła z przekonaniem.

- Po raz pierwszy jesteśmy tego samego zdania - odparłem.

Ponieważ znam Forum jak własną kieszeń, miałem nadzieję, że uda mi się choć raz namówić matkę na regularne zwiedzanie i pokazać ruiny tego ekshumowanego miasta. Nic z tego jednak, co mówiłem o pracy rzymskiego Senatu, względnie o rozwoju i upadku Imperium, nie było dla niej w najmniejszym stopniu interesujące. Zależało jej wyłącznie na zapewnieniu sobie sympatii i medycznego wstawiennictwa kogoś z pomniejszych świętych; przedchrześcijański Rzym w ogóle jej nie obchodził.

— To tylko kamienie - powiedziała, kiedy wyjaśniałem, z jakiego powodu wzniesiono Łuk Tytusa. - Gdybym miała ochotę obejrzeć kamienie, pojechałabym w Smoky Mountains.

— To jedno z miejsc, w których narodziła się zachodnia cywilizacja - tłumaczyłem.

— Mówisz, jakbyś czytał broszurę - stwierdziła, zaglądając do napisanego przeze mnie przewodnika. - Twoje książki pisane są trudnym językiem.

— Nie musisz korzystać z książki, droga mamo. Masz mnie.

— Nic tylko gadasz i gadasz. Postaraj się streścić. Zawrzeć

wszystko w pigułce.

— Doskonale - odparłem, z trudem nad sobą panując. -

To jest Forum, mamó. A teraz pozwól, że pokażę ci inne sterty kamieni. Przedtem jednak rzuć okiem na Świątynię Saturna.

Poproś tego boga, żeby cię uzdrowił.

— Jakiego boga? - spytała nieufnym tonem.

— Saturna - odparłem uszczęśliwiony. - Najważniejszego z rzymskich bogów. Na pewno nie zaszkodzi.

— Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną - oświadczyła z dumą.

— Jaka wybredna - mruknąłem, po czym odwróciłem się w stronę ośmiu kolumn portyku. - Saturnie, proszę cię, uzdrów moją mamę - powiedziałem.

284

— Nie słuchaj go, Saturnie - przerwała mi Lucy. - Ten chłopak robi z siebie idiotę.

— Po prostu wszechstronnie się zabezpieczam - roześmiałem się, biorąc ją pod ramię i prowadząc ku Campidoglio.

W Wigilię zabrałem Lucy do kościoła Santa Maria della Pace, by mogła oczyścić duszę z wszelkich grzechów, nim przystąpi do komunii podczas pasterki. Przechodząc przez Piazza Navona, przystawaliśmy przy wszystkich kolejnych straganach, by matka mogła kupić do swojej szopki w Waterfordzie figurki Świętej Rodziny oraz ubranych w kolorowe szaty mędrców i pasterzy

o pogodnych twarzach. Plac emanował świąteczną zmysłowość

cią; między turystami kręciły się, stąpając kocim krokiem, prostytutki. Elegancka kobieta w futrze targowała się z hałaśliwym wieśniakiem z Apeninów o cenę leżącego w żłóbku Dzieciątka Jezus. Pozbawiony talentu uliczny artysta rysował kredą portret Japonki, która skarżyła się, że wygląda na nim jak Koreanka.

Po wejściu do kościoła wskazałem matce namalowane przez Rafaela, pełne gracji Sybille, ona jednak nie zdradzała żadnego zainteresowania sztuką, gdy w grę wchodziło zbawienie duszy.

— Jak mam się wyświadczyć, kiedy nie znam ani słowa po włosku? - zapytała przyglądając się ciemnemu rzędowi konfesjonałów.

— Oto słownik angielsko-włoski - powiedziałem, wręczając jej niewielką książeczkę.

— Bardzo śmieszne - skomentowała. - Nigdy nie pomyślałam, że pielgrzym może spotkać się z takim problemem.

— Ale pomyśleli o tym ojcowie Kościoła - oświadczyłem, wskazując jej stojący w głębi konfesjonał. - Ksiądz, który tam siedzi, mówi po angielsku. Masz jakieś grzechy? Trudno je chyba popełnić podczas chemioterapii.

— Kilka razy wpadłam w czarną rozpacz, synu - odparła Lucy, nie rozumiejąc, że tylko się z nią przekomarzam.

— To nie jest grzech, mamó - uspokajałem ją. - Tak wygląda dzisiejsze życie. W ten sposób klepie cię po ramieniu i mówi "cześć".

- To nie potrwa długo - stwierdziła, wchodząc za brązową zasłonę konfesjonału i zaraz potem usłyszałem stuk otwieranej kratki.

Przez chwilę słuchałem dochodzącego zza atlasowej zasłony stłumionego szeptu matki i niższego rejestru odpowiadającego jej księdza. Ukłękłem i usiłowałem się modlić, nie wyczuwałem

jednak większego poruszenia w regionach, gdzie szuka najczęściej pociechy zboląła dusza. Zachodząc ostatnio do kościoła, dumalem na ogół nad planami poszczególnych pięt pustki, nie próbując nawet nawiązać rozmowy z Panem Bogiem. W dzieciństwie nie nastęczało mi to większych trudności, wtedy jednak łatwiej było mi nawiązać luźną pogawędkę i nie traktowałem tak poważnie samego siebie.

Matka wystawiła nagle głowę zza zasłony i wlepiła we mnie wzrok.

— Robisz sobie ze mnie żarty? - zapytała.

— Zajęło ci to trochę czasu - odparłem.

— Na pokutę ten ksiądz kazał mi odmówić pięć razy Ojcie nasz, pięć zdrowasiek oraz upiec mu tuzin ciasteczek z czekoladą.

— Ci nowocześni księża - westchnąłem. - Posuwają się za daleko.

— Jordan uwielbiał moje ciasteczka - przypomniała sobie nagle i schowała się z powrotem za zasłoną.

— To jest dom boży - usłyszałem głos Jordana. - Pani zachowanie jest niedopuszczalne.

Oboje wyszli jednocześnie zza zasłony. Matka rzuciła się w ramiona Jordana, a on podniósł ją wysoko, tak że jej stopy zawisły w powietrzu.

— To dowód na to, że niektóre modlitwy naprawdę zostają wysłuchane - powiedziała.

— Moje również zostały wysłuchane - odparł Jordan.

— Odkąd zniknąłeś, stale modliłam się, żeby okazało się, że jesteś zdrow i cały.

— Twoje modlitwy pomogły. Czujęm je - oświadczył Jordan, stawiając ją z powrotem na marmurowej posadzce.

— Proszę was. Przed chwilą jadłem lunch - mruknąłem.

— Nie zwracaj na niego uwagi - poradziła mu.

— Nigdy tego nie robiłem - roześmiał się Jordan.

— Jesteś prawdziwym księdzem?

— Tak o mnie mówią. Przygotowałem właśnie twoją duszę na przyjęcie Boga. Możesz przystąpić do komunii podczas pasterki u Świętego Piotra.

— Czy Jack chodzi do spowiedzi?

— Nigdy. Jest niepoprawny.

— Zmusz go.

— Niestety, Jack, podobnie jak my wszyscy, obdarzony jest wolną wolą.

286

— Wyglądasz wspaniale. Zupełnie jak ksiądz.

— Wciąż jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie chodziły po tej ziemi, Lucy - powiedział Jordan.

— Twój zakon powinien wydawać więcej pieniędzy na oku listów - odparła. - Ale dziękuję.

- Do zobaczenia w Watykanie. Cześć, Lucy. Cześć, Jack.

Tego wieczoru wszyscy troje długo stroiliśmy się na przyjęcie, na które zaproszono nas przed pasterką. Nie śpiesząc się przymierzałem smoking, a Leah przysłała, żeby mnie podziwiać i pomóc założyć spinki. Miała na sobie długą białą suknię z prostokątnym dekoltem, świetnie harmonizującą z jej delikatną urodą. Wyjąłem sznur pereł ze szkatułki Shyli i zawiesiłem je na szyi mojej córki, a potem oboje przyjrzelśmy się z zadowoleniem swoim

odbiciom w zabytkowym lustrze.

— Chcę przekłuć sobie uszy, tato - oznajmiła.

— Czy nie jesteś jeszcze za młoda?

— Trzy dziewczynki w mojej klasie przekłuły już sobie uszy - poinformowała mnie. - Chciałabym nosić kolczyki mamy. Są takie ładne.

— Zobaczmy - odparłem, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Jej piwne oczy przypominały barwą rzymskie pałace.

— Czy będę mogła umalować dziś usta?

— Oczywiście, jeśli masz ochotę.

— Mam wielką ochotę.

— Wiesz, jak to się robi? - zapytałem. - Bo ja nie.

— Jasne - odparła. - Ćwiczę to zawsze, kiedy spędzam noc u Natashy.

Wyjęła szminkę z wizytowej torebki, która należała kiedyś do Shyli, wyjęła usta i umiejętnie nałożyła ją na dolną wargę, potem zaś złożyła usta razem i poruszała nimi do przodu i do tyłu, aż górna warga również pokryła się czerwienią. Zdałem sobie sprawę, że ten gest, to niewinne i proste nałożenie szminki jest jednym z pierwszych kamieni milowych w życiu każdego dziecka, które oddała się nieodwołalnie od swoich rodziców. Jej ciało było zegarem i to Leah, a nie ja, była jego szczęśliwym posiadaczem.

- O nie, młoda damo, nawet o tym nie myśl - odezwała się nagle Lucy, wchodząc do pokoju i przerywając ten rytuał inicjacji. Podeszła do lustra i wyjęła jej szminkę z ręki. - Jesteś zdecydowanie zbyt młoda, żeby malować sobie usta, Leah. Proszę natychmiast pójść do swojej sypialni i zdjąć również te perły.

287

Leah posiała mi zdumione spojrzenie i uświadomiłem sobie, że nikt jeszcze nie traktował jej w ten sposób. Dyskutując z nią na różne ważne tematy, uciekałem się wyłącznie do metod łagodnej perswazji. Moja córka wiedziała bardzo mało o upokorzeniach, które niesie ze sobą status dziecka; o tym, jak regularnie dorośli depreczują uczucia bezbronnych małych ludzi, znajdujących się pod ich opieką.

- Idź do salonu, Leah - powiedziałem. - Wyglądasz cudownie.

Leah opuściła wzburzona pokój, nie patrząc w ogóle na babcię. Nieodrodna córka McCallów, pomyślałem, obserwując jej dumne wyjście.

— Zraniłaś jej uczucia - zwróciłem się do matki. - Nie rób tego nigdy więcej.

— Ktoś musi zadbać o interesy tego dziecka - odparła. - Stroisz ją jak jakąś dziwkę.

— Paris i Linda Shaw wydają dziś na twoją cześć przyjęcie, mamó. - Staralem się zachować spokój, ale czułem, jak wzbiera we mnie głuchy gniew. - On jest znakomitym pisarzem, ona wspaniałą gospodynią i mieszkają w przepięknym apartamencie. Będą tam wszyscy nasi rzymscy przyjaciele. Chcą pokazać mnie i Leah, że nas kochają. Chcą pokazać, że cieszą się z twojego powrotu do zdrowia, a także z tego, że przyjechałaś do Rzymu i że pogodziłem się z rodziną po latach rozstania. Ale ja wiem, że ty znajdziesz jakiś sposób, żeby zepsuć ten wieczór. Odkąd pamiętam, starałaś się, jak mogłaś, zniszczyć

każdą szczęśliwą chwilę. Szczęście cię denerwuje. Świąteczny nastrój wyprowadza cię z równowagi.

— Sam nie wiesz, o czym mówisz - stwierdziła pojednawczym tonem. - Zawsze uwielbiałam przyjęcia.

— Zgadza się. I na pewno będziesz się dzisiaj świetnie bawiła. Ale udało ci się właśnie popsuć wieczór Leah, a ponieważ Leah będzie nieszczęśliwa, popsulaś go także mnie.

— To nie moja wina, że nie wiesz, co wypada, a co nie wypada małej panience.

— Idę teraz do salonu, mam - oświadczyłem lodowatym tonem. - Mam zamiar powiedzieć Leah, że wygląda wspaniale. Przypomniałaś mi po prostu, dlaczego nienawidzę Ameryki i dlaczego czułem się zawsze taki brzydki w dzieciństwie.

— Twoje dzieciństwo było prawdziwym rajem - zaprzeczyła z przekąsem Lucy. - Nie masz najmniejszego pojęcia, jak
288

wygląda nieszczęśliwe dzieciństwo. I wychowujesz Leah, jakby była jakąś królową Saby.

— Opanuj się, matko. Idę porozmawiać z Leah.

— Proszę cię, nie podważaj tego, co powiedziałam, Jack - szepnęła. - Jeśli to zrobisz, to dziecko nie będzie miało do mnie żadnego szacunku.

Znalazłem Leah na tarasie, drżącą z zimna i zanoszącą się płaczem. Zaprowadziłem ją do salonu i usiedliśmy razem na kanapie. Kiedy się w końcu uspokoiła, przemówiłem do niej, starannie dobierając słowa.

— Lucy postąpiła bardzo źle, mówiąc to, co ci powiedziała - stwierdziłem, przytulając ją do siebie.

— W takim razie dlaczego to zrobiła? - zapytała Leah, ocierając łzy wierzchem dłoni.

— Bo denerwuje się przed przyjęciem - wyjaśniłem. -

Moja matka ma kompleks niższości wobec każdej nowo poznanej osoby. Łatwiej jest jej sprawić przykrość tobie i mnie, niż przyznać, że panicznie boi się spotkania z naszymi rzymskimi przyjaciółmi.

— Myślałam, że wyglądam ładnie - szepnęła Leah.

— Nikt nie wyglądał ładniej od samego stworzenia świata - zapewniłem, całując ją. - Przynajmniej dla mnie.

Leah powoli odzyskiwała panowanie nad sobą.

— Czy mam schować perły z powrotem do szkatułki?

— Wyglądasz w nich doskonale. Tyle że masz teraz podpuchnięte i zaczerwienione oczy.

— Nie mogłam powstrzymać płaczu. Nikt jeszcze tak się do mnie nie zwracał.

— Babcia zazdrości ci - stwierdziłem. - Zazdrości rzeczy, które masz. Zawsze powtarzała, że miała ciężkie dzieciństwo, nie chciała jednak mówić o szczegółach. Zaczynam teraz podejrzywać, że nie było po prostu ciężkie, że musiało być naprawdę straszne.

— Skoro miała nieszczęśliwe dzieciństwo, dlaczego chce mnie zranić?

— Bo jeśli cię zrani, stracisz zaufanie do świata - odparłem. - Jeżeli świat jest wobec ciebie podły, kiedy jesteś dziec

kiem, przez resztę życia odpłacasz mu pięknym za nadobne.

— Nie sędzę, żebym lubiła twoją matkę, tato.

Roześmiałem się.

— Wcale nie musisz. Wolno ci lubić, kogo masz ochotę.

289

Zależy to tylko od ciebie i w tej kwestii, Leah, masz prawo do podjęcia suwerennej decyzji. Nie wiesz tylko, że za chwilę zobaczysz ją w zupełnie nowej roli.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Twoja babcia jest wielką niedocenioną aktorką - za cząłem tłumaczyć i w tej samej chwili usłyszeliśmy stukające po marmurowej posadzce obcasy Lucy. Po kilku sekundach matka weszła do salonu, dzwoniąc głośno złotymi łańcuszkami i bran soletami.

— Wyglądasz absolutnie bosko, kochanie - zawołała, spoglądając na Leah. - Po prostu olśniewająco. Czy to perły Shyli? Wyglądają na tobie tak samo pięknie jak na niej. Pozwól, że zetrę twoją szminkę tą ściereczką. Chcę, żebyś umalowała usta moją własną pomadką. Jest o wiele modniejsza i bardziej dorosła. Kupiłam dzisiaj jedną specjalnie dla ciebie.

Usuważąc delikatnie szminkę z warg Leah i nakładając na nie swoją własną, Lucy spostrzegła na jej twarzy ślady łez.

— Czy twój ojciec powiedział coś, co zraniło twoje uczucie? - zapytała, obracając ku mnie wściekle spojrzenie. - Ach ci mężczyźni! Potrafią tylko łamać serca i wypuszczać świnie z chlewu.

— Wypuszczać świnie z chlewu? - zdziwiła się Leah.

— To tylko takie powiedzenie, kwiatuszku - wyjaśniła skwapliwie Lucy. - Dorastając na Południu nauczyłam się wielu wiejskich powiedzonek. Bądź dobry dla Leah, Jack. Nie zdajesz sobie sprawy, co to za skarb. I ciesz się nią, póki możesz. Nie będziesz jej miał wiecznie.

Po kilku minutach wyszliśmy, aby zjawić się na przyjęciu dokładnie godzinę później, niż napisano w zaproszeniu. Czas jest w Wiecznym Mieście nieuchwytnym i egzotycznym pojęciem i żaden szanujący się rzymianin nie potrafi ukryć zakłopotania, gdy ktoś przybywa punktualnie na bankiet. Zaraz po przyjeździe do Włoch pojawiałem się na przyjęciach o ósmej, nieodmiennie zastając gospodynię pod prysznicem. Znani ze swojej śmiesznej punktualności Amerykanie nie od razu dostosowują się do tutejszych zwyczajów, mnie jednak w końcu się to udało.

Stojąc niedaleko drzwi, przedstawiałem matkę swoim rzymskim przyjaciom. Lucy wyglądała ślicznie i była wyjątkowo czarująca.

- Kto to jest? - zapytała mnie szeptem, gdy w progu pojawił się przystojny mężczyzna z lwią grzywą włosów.

290

— Mamo, chciałbym ci przedstawić Gore'a Vidala - powiedziałem. - Gore, to moja matka, krwiożercza Lucy McCall Pitts.

— Gadaj zdrów - odparła Lucy. - To nie jest Gore Vidal.

— Słucham panią? - odezwał się Gore Vidal, unosząc brwi niczym zdetronizowany król.

— Nie baw się ze mną w Elizę Doolittle, mamo - upo

mniałem ją zdenerwowany. Wiedziałem, jak olbrzymią pogardę żywi Vidal dla swoich nieokrzesanych ziomków.

— To pan jest tym pisarzem, Gore'em Vidalem? - zapytała. - Czytałam wszystkie pańskie książki.

— Pozwolę sobie w to wątpić, madame. Napisałem ich zbyt wiele. Sam mam kłopoty z zapamiętaniem wszystkich.

— Ale ja je pamiętam - upierała się Lucy. - W bibliotece w Waterfordzie zdobyłam nagrodę ufundowaną dla czytelnika, który przeczyta najwięcej książek w historii naszego miasta.

— To jakiś żart, Jack. Widzę, że robicie sobie ze mnie kpiny. Tego rodzaju prostactwo sprawia, że muszę sobie wstrzyknąć insulinę.

— Taka jest po prostu moja matka - wyjaśniłem, wzruszając ramionami.

— To miło, że odwiedza pani swego syna - mruknął Gore. - Moja matka była prawdziwym potworem.

— Założę się, że nie miała po prostu dużo do roboty - odparła Lucy. Gore wybuchnął śmiechem i przeszedł dalej.

Przez następne dwie godziny matka bawiła się świetnie w towarzystwie moich rzymskich przyjaciół i wydawało się, że wszystkim udzielił się jej południowy wdzięk. Przechodziła od grupki do grupki i przez cały wieczór słyszałem jej wypowiedane z charakterystycznym akcentem uwagi, po których następowały salwy śmiechu.

Ja i Leah również krążyliśmy między bankietującymi i wydawało nam się, że minęło zaledwie parę minut, kiedy w dziesiątkach najbliższych kościołów zaczęły rozgrzewać się dzwony, a miękkie wskazówki zegarów niebezpiecznie zbliżyły się do godziny dwunastej. Matka podziękowała Lindzie i Parisowi za uroczne przyjęcie i pożegnała się z Gore'em Vidalem, który najwyraźniej przypadł jej do gustu.

— Odwiedź nas kiedyś w Karolinie Południowej, Gore - powiedziała.

— Dlaczego, u licha, miałbym dobrowolnie narażać się na

coś takiego, droga Lucy? - odparł Gore i oboje wybuchnęli śmiechem. Gore pocałował w rękę najpierw moją matkę, a potem córkę.

— To dziecko jest urocze - stwierdził, obserwując dygnięcie Leah. - Wygląda, jakby urodziła się w perłach.

— Perły były moim pomysłem - poinformowała go Lucy. Ja i Leah wymieniliśmy między sobą porozumiewawcze spojrzenie.

Wysiedliśmy z taksówki niedaleko Tybru i dołączyliśmy do wspaniale wystrojonego tłumu, który sunął między dwoma kolumnadami okalającymi plac Świętego Piotra. Pogrążeni w zadumie ludzie stąpali powoli niczym stado żywiących się modlitwą, kadzidłem i prząsnym chlebem parzystokopytnych zwierząt. Bliskość świątyni przypomniła Lucy, że ma raka, i czekając wraz z nami w jednej z olbrzymich kolejek, które utworzyły się przy wejściu, zaczęła odmawiać różaniec. Kapiąca od złota bazylika Świętego Piotra nie dawała mi nigdy zapomnieć o prostocie protestantyzmu, stanowiącej naturalną reakcję na przepych takich właśnie świątyń. Znajomi baptyści z Południa z trudem powstrzymywali odruch wymiotny, gdy stawiałem ich twarzą w twarz z charakterystyczną dla kościoła rzymskokatolickiego inflacją smaku. Ja jednak lubiłem tę wybujałość i przepych i starałem się wyjaśnić turystom, iż tak właśnie wyobrażali sobie niebo średniowieczni artyści. Woń kadzidła przypomniła mi lata, gdy służyłem do mszy - zapach modlitwy, do której przytknięto pochodnię.

— Babci nie podoba się, że jestem Żydówką - szepnęła Leah, kiedy zajęliśmy nasze miejsca i uklękliśmy w ławkach.

— Nie dbam o to. A ty?
— Ona mówi, że zamąci mi to tylko w głowie.
— Wychowano mnie w duchu katolickim - odpowiedzia-
łem szeptem - i też mam totalny zamęt w głowie.
— Babcia twierdzi, że nie masz najmniejszego pojęcia, jak
powinno się wychowywać młodą Żydówkę.
— Tu się akurat nie myli - przyznałem. - Robię to na
wyczucie. Ale staram się, jak mogę.
— Powiedziałam jej, że świetnie ci to idzie.
— Dzięki. Później zmienisz zdanie.
— Dlaczego?
— To kwestia dojrzewania - wyjaśniłem. - Za parę lat
wszystko, co powiem, będzie ci się wydawało głupie albo śmiesz-
ne. Będzie cię irytował sam dźwięk mojego głosu.

292

— Nie sędzę. Jesteś tego pewien? Certo? - zapytała.
— Certo - odparłem. - Taki jest naturalny porządek
rzeczy. Kiedyś wszystko, co mówiła moja matka, wydawało mi
się genialne. Uważałem, że jest najmądrzejszą osobą na świecie.
— Nie żartuj.
— Wcale nie żartuję - odpowiedziałem. - A potem zo-
stałem nastolatkiem i zdałem sobie sprawę, że jest kompletną
idiotką. Podobnie jak wszystkie inne osoby, które mnie ota-
czały.
— To musi być interesujące - stwierdziła Leah, spoglądając
z ukosa na moją matkę. - To stawianie się nastolatką.
— Nastolatki też tak uważają - odparłem.
Do środka bazyliki wciąż napływali w milczeniu ludzie. Kiedy podniosłem się z kolan, ktoś
poklepał mnie po ramieniu i usłyszałem za sobą szept Jordana. Trochę mnie to zdziwiło, ale potem
przypomniałem sobie, że to on właśnie załatwił nam bilety na pasterkę.
— Leah jest cudowna. Mam wrażenie, jakbym patrzył na
Shylę - powiedział. Lucy pokazywała właśnie mojej córce, jak
posługiwać się różańcem i obie skupiły uwagę na trzymany-
ch w dłoniach białych paciorkach. - Mój ojciec chce przyjechać po
Nowym Roku do Rzymu i spotkać się ze mną - dodał Jor-
dan. - Dowiedziałem się o tym z listu, który mi dzisiaj przeka-
załeś.
— Jeśli cię to cieszy, ja cieszę się razem z tobą. Nigdy nie
darzyłem sympatią twojego ojca - odparłem wstając, aby
przepuścić kilku spóźnionych uczestników pasterki.
— Zawsze miałeś te małoduszne zastrzeżenia wobec sadyz-
mu - stwierdził Jordan. - Co o tym sądzisz?
— Pamiętam referat, który przygotowałeś kiedyś w lice-
um - szepnąłem. - Ten na temat węzów koralowych. Rzadko
kogoś atakują, ale kiedy już to robią, ukąszony ma niewielkie
szanse przeżycia. Twój tato jest właśnie taki.
— Mama twierdzi, że przybywa w misji pokojowej. Chce
mi podać gałązkę oliwną.
— Albo zatłuc cię nią na śmierć.
— Ojciec przyjedzie tutaj, czy tego chcę, czy nie chcę. Co
mam robić?

— Załatw sobie przeniesienie do Patagonii.

— Cicho, synu - odezwała się matka najbardziej władczym ze swoich tonów. - Nadchodzi papież.

293

- Do zobaczenia później - szepnął Jordan, znikając w mroku.

Papież szedł środkiem nawy, błogosławiąc po drodze wszystkich zgromadzonych. Gdzieś z daleka dobiegały ptasie trele zakonnice, a ja patrzyłem, jak moja matka pochyla głowę i przyjmuje błogosławieństwo z wdzięcznością odbierającego wysoką piłkę futbolisty. Jana Pawła II otaczał orszak kardynałów i biskupów; eskortowali go z taką samą cierpliwością, jaką u nas, na nizinach, widziałem u kosów stąpających po śladach pasącego się na łące dorodnego byka.

Kiedy nadeszła pora komunii, podążyłem za matką do ołtarza, gdzie oboje otrzymaliśmy eucharystię z rąk papieża. Tłocząc się wraz z innymi przy balustradzie, przyglądałem się dziesiątkom księży, którzy pojawili się przy głównym i bocznych ołtarzach, aby rozdać Ciało i Krew Chrystusa obecnego w udzielanym taśmowo sakramencie. Ale matka wydawała się rozpromieniona i ożywiona nadzieją i gdy wróciliśmy na nasze miejsca, długo modliła się, nie wstając z kolan. Spoglądając w głąb kościoła, zauważyłem uzbrojonych w pistolety maszynowe umundurowanych mężczyzn, którzy obserwowali bacznie zachowanie tłumu. Papież był wymizerowany i chudy i przypomniałem sobie, że przed dwoma laty postrzelił go na placu przed bazyliką młody turecki terrorysta. Czułem, jak msza przepływa przeze mnie, w ogóle nie dotykając. Stanowiłem część tego, co było złe w moim stuleciu.

Dopiero później miałem zdać sobie sprawę, że to właśnie w tamtej chwili w bazylice zaczęło się dla mnie straszliwe odliczanie przed podróżą w nieznane. Po wielu dniach próbowałem przypomnieć sobie wszystkie luźne myśli, które przyszły mi do głowy, gdy obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem mężczyzn ochraniających papieża. Czekало mnie spotkanie z mrokiem, a ja podążałem na nie z całą niewinnością dziecka i wiarą w lepsze jutro. Sam czas wypatrzył mnie w otwartym polu. Skryte pod kapturem bezlitosne oczy wysłedziły mnie w momencie, gdy nie czułem nic poza błogą radością, przekonany, że życie zaczyna mi się nareszcie układać, że zagoją się wszystkie pęknięcia i rany. Najpierw jednak musiałem doświadczyć zięjącej grozą pustki zapomnienia. Musiałem poczekać na swoją kolej, na światła, które wyluskają mnie z tłumu, na niewypowiedzianą chwilę, kiedy los wywoła mnie po nazwisku, tak jakby wzywał na scenę wcielone zło.

294

Dwa dni później, dwudziestego siódmego grudnia 1985 roku, płacąc taksówkarzowi, który pomógł mi wyładować bagaż na rzymskim lotnisku, nie czułem, aby ciśnienie atmosferyczne zmieniło się choć o jeden milimetr słupka rtęci. Z tego, co mogłem powiedzieć, żadna z gwiazd nie zajaśniała większym blaskiem, gdy razem z Lucy i Leah minąłem stojących przy wejściu karabinierów i ruszyłem w stronę stanowiska Pan Amu. Nic nie różniło tej podróży od setek innych, które odbyłem w swym koczowniczym życiu.

Nie pamiętam, kiedy wręczyłem bilety i paszporty przy stanowisku odprawy ani kiedy spojrzałem na swój nowy zegarek i poinformowałem matkę, że są dwie minuty po dziewiątej. Mieliśmy razem dziesięć walizek i toreb i dłuższą chwilę zajęło mi przekonanie urzędnika, iż nie powinienem płacić za dodatkowy bagaż. Po drugiej stronie hali odprawiano lot El Alu i olbrzymi tłum kłębił się przed stanowiskiem kontroli osobistej, której trzeba było się poddać przed wejściem do samolotu.

Uzbrojeni w pistolety maszynowe żołnierze patrolowali halę ze stalowej kładki nad naszymi głowami i wszędzie widać było znudzone i obojętne twarze strażników. Leah zrekonstruowała to wszystko znacznie później.

Po odebraniu kart pokładowych, kiedy ruszyliśmy w stronę wejścia do samolotów, zobaczyłem idących ku nam czterech dziwnie ubranych mężczyzn. Dwaj byli w eleganckich garniturach, dwaj inni w niebieskich dzinsach i wszyscy mieli twarze częściowo zasłonięte chustami. Mężczyźni otworzyli płócienne torby, które nieśli; jeden z nich wyciągnął zawleczkę z granatu i rzucił go w tłum. A potem wszyscy czterej wyjęli z toreb pistolety maszynowe i zaczęli w ślepej bezmyślnej

furii strzelać do ludzi, którzy znaleźli się w długiej na osiemset dwadzieścia stóp hali. Złapałem Leah i przerzuciłem ją przez kontuar na urzędnika, który wydał nam przed chwilą karty pokładowe. - Nie podnoś się, Leah! - krzyknąłem i podbiegłem do przestraszonej, zdezorientowanej matki, która odeszła od nas i stała trochę dalej w głębi hali. Siły bezpieczeństwa zaczęły odpowiadać ogniem na atak, a włoscy żołnierze osaczyli szybko palestyńskich terrorystów, którzy chcieli po prostu zabić jak największą liczbę osób, zanim sami zostaną posiekani przez kule. Dopadając stojącej z otwartymi szeroko ustami Lucy, przewróciłem ją na posadzkę i przykryłem własnym ciałem. W tej

295

samej chwili poczułem, jak trafiają mnie, jeden w głowę, drugi w ramię, dwa pociski z AK-47. Usłyszałem pojedynczy krzyk matki, a potem wszystko zagłuszył huk wybuchających obok granatów, strzały z broni palnej oraz głosy ludzi, którzy nie odnieśli żadnych obrażeń, lecz krzyczeli ze strachu.

- Nic ci się nie stało, mamó? Nic ci się nie stało?-zawołałem widząc, jak krew plami jej zimowy płaszcz. Chwilę potem straciłem przytomność. Leżący obok nas mężczyzna i kobieta byli martwi. O tym, co teraz opowiem, dowiedziałem się później.

Kiedy skończyła się strzelanina, naliczono szesnastu zabitych i siedemdziesięciu czterech rannych, a cały dworzec wyglądał jak owcza jatka. Leah biegła od ciała do ciała, rozpaczliwie szukając ojca i babci. Przygwoździłem swoim ciałem Lucy do podłogi i Leah musiała prosić pracownika El Alu, aby pomógł mi z niej ściągnąć. Głowę i oczy zalane miałem krwią i, przekonana, że nie żyję, Leah zanosła się płaczem. Tego dnia miała jednak poznać siłę ducha, jaką odznaczają się babcie.

- Jack wciąż oddycha - stwierdziła Lucy. - On żyje.

Musimy dopilnować, żeby zabrała go jedna z pierwszych karettek. Będzie nam potrzebny twój włoski, kochanie.

W całym Rzymie słychać było syreny ambulansów, które razem z wozami transmisyjnymi telewizji i samochodami reporterów pędziły na Fiumicino. Leah i Lucy pobiegły w stronę otwartych drzwi i kiedy pierwsza karetka dotarła na lotnisko, Leah złapała za rękę sanitariusza.

- Mio papa! - krzyczała. - Mio papa! Non e morto!

Sangue, signori, il sangue e terribile. Per favore, mio papa, signori.

Dwaj sanitariusze ruszyli za ładną czarnowłosą dziewczynką, biorąc ją za Włoszkę, i byłem pierwszym rannym, którego zabrano z lotniska, oraz pierwszą ofiarą, która pojawiła się we włoskiej telewizji, kiedy rozpoczęli pracę kamerzyści. Głowę i pierś miałem całe zakrwawione, a zimowy płaszcz trzymającej mnie za rękę Lucy wyglądał, jakby zanurzyła go we krwi swojego syna. Ten obraz obiegł całe Włochy.

W tym samym czasie Jordan Elliott wychodził właśnie z sali wykładowej North American College, niedaleko fontanny di Trevi, gdzie uczył dogmatyki. Zaglądając do pokoju nauczycielskiego, zobaczył wianuszek tłoczących się wokół telewizora zakonników.

- Na lotnisku w Rzymie doszło do masakry - powiedział ojciec Regis, nauczyciel łaciny.-Wygląda to naprawdę strasznie.

296

- Właśnie kogoś wynoszą - zauważył inny ksiądz.

Jordan nie rozpoznał mnie, ponieważ byłem zalany krwią, ale krzyknął głośno, widząc Leah i moją matkę, które biegły obok dźwigających nosze sanitariuszy. Jak przez watę usłyszał głos spikera, który podał nazwę szpitala niedaleko Watykanu, gdzie zjeżdżali już, by przyjąć rannych, chirurdzy z całego Rzymu. Wybiegł bez słowa wyjaśnienia z pokoju i popędził na złamanie karku na postój taksówek. Grał jako prawy halfback w tej samej szkolnej drużynie piłkarskiej, gdzie ja byłem full-backiem, Mikę Hess lewym halfbackiem, a Capers Middleton rozgrywającym. W roku 1965 nasze ustawienie było dobrze znane w całym stanie jako atak Middletona i gdy do bramki było niewiele jardów, piłka wędrowała do wielkiego

fullbacka z zadartym nosem, czyli do mnie. Kiedy jednak trzeba było przebiec dłuższy dystans, otrzymywał ją facet, który pokonywał setkę w dziesięć sekund, szybki i nieuchwytny Jordan Elliott. Żaden rzymianin, którego minął Jordan biegnący na postój przy Piazza Venezia, nigdy nie zapomniał tempa, z jakim pędził ten ksiądz - tak przynajmniej utrzymywał później on sam.

- Al pronto soccorso! - krzyknął wskazując na przednie siedzenie pierwszej czekającej taksówki. - Aliospedale. Al pronto soccorso.

Kiedy wioząca mnie karetka podjechała pod szpital Santo Spirito, Jordan już tam na mnie czekał.

- Leah i Lucy, idźcie do poczekalni - rozkazał. - Potem tam do was wrócę. Miejcie ufność w Bogu.

Pchający mój wózek pielęgniarki ruszyli na salę operacyjną, a on biegł obok, żegnając mnie znakiem krzyża i udzielając skróconego rozgrzeszenia, które stosuje się tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Czynił to po łacinie, wiedział bowiem, że należę do owych irytujących odstępców, którzy odczuwają silną nostalgię za posługą w tym języku.

- Ego te absofoo ab omnibus censuris, et peccatis, in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.

Udzielone w ten sposób ostatnie namaszczenie znalazło się na pierwszym miejscu w wieczornych wiadomościach. Trzymając mnie za rękę, Jordan zaczął następnie żegnać znakiem krzyża moje dwie ciężkie rany.

- Jeśli żałujesz za swoje grzechy i mnie słyszysz, ściśnij moją dłoń, Jack - poprosił i, jak dowiedziałem się później, poczuł lekki uścisk. - Jesteś oczyszczony ze wszystkich grzechów,
297

Jack. Możesz poddać się tej operacji i nie lękać się o swoją duszę. Ale nie zapominaj, kim jesteś. Jesteś Jack McCall z miasta Waterford w Karolinie Południowej, najsilniejszy chłopak i mężczyzna, jakiego kiedykolwiek znałem. Zbierz w sobie całą siłę, Jack. Wykorzystaj każdą jej uncję. Pokonaj słabość. Leah, twoja mama i ja czekamy na ciebie. Użyj dla nas swojej siły. Jesteś potrzebny tym, którzy cię kochają.

W tym momencie otworzyły się drzwi do jaskrawo oświetlonej sali operacyjnej. Zanim mnie zabrali, uścisnąłem, jak mi później powiedział, po raz drugi jego rękę i tym razem zrobiłem to mocniej.

- Oddaję cię w boskie ręce, Jacku McCallu - szepnął, wykonując ostatni znak krzyża. Chwilę później chirurdzy zaczęli oczyszczać moje dwie rany postrzałowe.

Po wielu dniach, gdy zacząłem składać razem ułamki wspomnień, które pozostawił we mnie cały incydent, przypomniałem sobie chwilę szalonej jazdy z lotniska do Rzymu. Leah płakała i powtarzała "tato, tato, tato". Próbowałem wziąć ją za rękę, ale czułem, jak zalewa mnie podobna do narkotyku fala odrętwienia, i ponownie ogarnęła mnie cisza i mrok. Pamiętałem również ostry zakręt, jaki wzięła karetka, krzyk Lucy "Niech pan zwolni!", a potem znowu łamiący serce płacz Leah i żal, jaki ogarnął mnie na myśl, że nie mogę jej pocieszyć.

Spędziłem na bloku operacyjnym sześć godzin. Chirurgom udało się uratować moje lewe oko. Pocisk, który trafił mnie w ramię, przeszedł tuż obok serca, i to właśnie on o mało mnie nie zabił. Wykrwawiłem się obficie, jeszcze przed dotarciem na salę operacyjną, i dwukrotnie w czasie operacji przestawało mi bić serce. Ale siła, o której mówił Jordan, przeważyła. Los, szczęście, a może także modlitwy tych, którzy mnie kochali, wszystko to sprawiło, iż przeżyłem masakrę na rzymskim lotnisku.

Przez sześć dni leżałem w śpiączce, stanowiącej replikę niedawnej śpiączki mojej matki. Nie potrafiłem później przypomnieć sobie żadnego ze snów, które nawiedziły mnie w tym okresie uśpienia i bezruchu. Czułem, że był to czas intensywnej pracy umysłu, ale poza fantasmagorią jasnych kolorów nie pozostało po niej nic, na czym mógłbym się oprzeć. Szarża kolorów była jedyną rzeczą, którą zapamiętałem z podróży w beczasie, kiedy moje ciało koncentrowało się na walce o przetrwanie.

W końcu zaczął mnie powoli budzić odgłos dzwonów. Miałem wrażenie, że jestem ptakiem i wyfruwam z pieczary położonej gdzieś w samym środku ziemi. Formułując pierwszą świadomą myśl, od chwili gdy zostałem ranny, czułem, jak w moim krwiobiegu rekonstruuje się to, co nazywają "jaźnią". Przez całą godzinę słuchałem Wiecznego Miasta, które wołało mnie po imieniu - i słuchając tego wołania, zastanawiałem się, gdzie jestem i dlaczego nic nie widzę. Wszystko to odbywało się jednak w spokoju i bez paniki. Potem usłyszałem ludzi, którzy rozmawiali półgłosem w moim pokoju. Skupiłem się, jak mogłem, chcąc rozpoznać ich głosy, ale oni mówili cicho, żeby mnie nie budzić albo nie przeszkadzać. A potem odezwał się kolejny głos i ten głos kazał mi walczyć o odzyskanie samego siebie, gdziekolwiek się ukryłem. Przez kolejną godzinę starałem się wynurzyć na powierzchnię, wyjść na światło, wkroczyć w świat dzwonów i głosów, w ten porzucony świat, w którym mógłbym śmiać się i rozmawiać. Długo zastanawiałem się, jakie powinno być moje pierwsze słowo, i zmagając się ze ślepotą i bólem, który zacząłem odczuwać, starałem się je wymówić. W końcu usłyszałem to słowo, które formowało się niczym szlachetny kamień w mojej piersi.

— Leah!

— Tatusiu! - usłyszałem krzyk Leah, a potem poczułem, jak moje dziecko całuje mnie w nie zabandażowany prawy policzek. - Tatusiu, dzięki Ci, Boże, tatusiu, dzięki Ci, Boże, tatusiu, tatusiu - powtarzała bez przerwy. - Tak się bałam, że umrzesz, tatusiu.

— Nie miałem tyle szczęścia - powiedziałem powoli, zdając sobie sprawę, jak bardzo jestem zdezorientowany.

— Cześć, Jack - odezwała się Lucy. - Witaj z powrotem. Długo cię nie było.

— Czy zdążyliśmy w końcu na ten samolot? - zapytałem i wszyscy obecni w pokoju wybuchnęli śmiechem.

— Nie pamiętasz, tatusiu? - zdziwiła się Leah.

— Pomóż mi - odparłem. - Po pierwsze, dlaczego w ogóle was nie widzę?

— Masz zabandażowane oczy - wyjaśniła Lucy.

— Czy straciłem wzrok?

— O mało nie straciłeś.

— Jakie to miłe określenie: "o mało". Czuję się, jakby straszył mnie nosorożec.

299

— Zostałeś dwukrotnie postrzelony - odezwał się trzeci głos.

— Kto tu jeszcze jest? To ty, Ledare? - zapytałem, podnosząc ku niej dłoń.

Ledare wzięła mnie za rękę i usiadła na łóżku.

— Cześć, Jack. Przyjechałam, kiedy tylko dostałam wiadomość - powiedziała.

— To miło z twojej strony, Ledare.

— Leah nie opuściła cię nawet na chwilę - mówiła dalej. - Twoja matka i ja wracałyśmy na zmianę do twojego mieszkania, żeby trochę się ogarnąć i przespać. Leah była tu przez cały czas. Wychowałeś cudowne dziecko, Jack.

Słyszając te słowa, Leah nie potrafiła się dłużej opanować i zapłakała tak gwałtownie, jak może płakać tylko dziecko. Ledare wstała z łóżka i Leah przytuliła się do mnie. Łkała przez dziesięć

minut, a ja nie robiłem nic, by ją powstrzymać, przyciskałem tylko mocno do piersi. Czekałem, aż umilknie szloch i wyschną łzy, i nie odzywałem się aż do chwili, gdy poczułem, że leży spokojnie obok mnie.

— Chcesz, żebym ci coś opowiedział? - zapytałem.

— Tak, tatusiu. Opowiedz mi jakąś cudowną historię - odparła wyczerpana.

— Znam tylko jeden wspaniały temat - stwierdziłem.

— O Chippie - powiedziała rozpromieniając się Leah. - Znałaś Chippie, Ledare?

— Tak - roześmiała się Ledare. - Znałam Chippie.

— To był tylko kundel, na litość boską - wtrąciła Lucy, ale słysząc ją, podniosłem ostrzegawczo palec.

— Chcę, żebyś opowiedział mi o Wspaniałej Chippie, tatusiu - prosiła Leah.

— Wybierz temat.

— W porządku - odpowiedziała i przez chwilę była dziwnie spokojna i zamyślona. - Wiem, o czym chciałabym usłyszeć - oznajmiła w końcu.

— Słucham cię - odparłem zaintrygowany.

— Może nie będziesz chciał o tym opowiadać, tatusiu.

- Opowiem wszystko - przyrzekłem. - To tylko bajka.

Leah zaczęła znowu płakać, a potem opanowała się i po prosiła:

- Chcę usłyszeć historię o Wspaniałej Chippie i o rzymskim lotnisku.

300

— To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - zachnęła się Lucy.

— Nie, mamu - zaprotestowałem słysząc, że Leah znów pociąga nosem. - Wiem, o co jej chodzi.

— Uważam po prostu, że nie ma sensu przywoływać złych wspomnień - stwierdziła matka. - Wszyscy bardzo to przeżyliśmy. Całe to zamieszanie sprawiło, że zapomniałam prawie, że mam białaczkę.

— Nie przeszkadzaj im, Lucy - usłyszałem głos Ledare i zacząłem opowiadać.

— Dwudziestego siódmego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku Jack McCall i jego śliczna córka pakowali się przed wyjazdem do Karoliny Południowej. Niedobra matka Jacka, Lucy, beształa po angielsku gosposię Marię, mimo że ta mówiła tylko po włosku.

— Bardzo tego żałuję - mruknęła Lucy.

— To tylko bajka, mamu - wyjaśniłem i mówiłem dalej. - Wszystkie szkolne koleżanki Leah przyszły życzyć jej buon viaggio! i stały na placu, śpiewając na pożegnanie, kiedy taksówka ruszyła spod domu. Nagle usłyszałem coś, czego nie słyszałem już od lat. Było to znajome szczekanie. Oglądając się do tyłu, zobaczyłem biegnącego za taksówką małego czarnego psa z białym krzyżykiem na karku...

— To była Wspaniała Chippie - wtrąciła Leah.

— Myślałem, że Chippie nie żyje, ponieważ zaginęła przed

wielu laty w Waterfordzie, a moja matka, niegodziwa Lucy, twierdziła, że Chippie uciekła do lasu, żeby tam zdechnąć.

— Musiałam stale karmić tego głupiego psiaka - zaprotes towała Lucy.

— W każdej opowieści występuje jakiś łajdak-wyjaśniłem.

— Wierzcie mi, w tej ich nie zabraknie - mruknęła Lucy.

— Kazałem się zatrzymać taksówkarzowi i otworzyłem tylne drzwi. Wspaniała Chippie wskoczyła do środka i lizała mnie po twarzy przez całe pięć minut. Następnie przedstawiłem Wspaniałą Chippie Wspaniałej Leah i Chippie lizała ją po twarzy przez kolejne pięć minut. A potem Chippie zobaczyła Lucy i włosy na jej karku zjeżyły się, a z gardła dobył się głośny warkot: gggrrrr.

— Przyznaję, że ta parszywa suka niezbyt mnie lubiła - burknęła Lucy. - Z pewnością jednak nabierała do mnie sympatii w porze karmienia.

— Dlaczego cię nie lubiła, babciu? - zapytała Leah.

301

— Waliłam ją szczotką po zadzie za każdym razem, gdy wylegiwała się na kanapie. Oczywiście zdarzało się to pięć razy dziennie. Nie sposób było nauczyć jej dyscypliny.

— Wspaniałej Chippie zbyt wiele czasu zajmowały bohater skie czyny, by miała uczyć się głupich zwierzęcych sztuczek. Jechała z nami teraz na rzymskie lotnisko, a ja postanowiłem kupić specjalną klatkę, żebyśmy mogli zawieźć ją z powrotem do Karoliny Południowej. Taksówka zatrzymała się przed głównym wejściem i wszyscy razem: Wspaniała Chippie, Leah, ja oraz niegodziwa Lucy weszliśmy szczęśliwi na halę. Pierwszą osobą, którą zobaczyliśmy, była Natasha Jones ze swoim pięknym białym psem Bianco. Leah przedstawiła Bianca Wspaniałej Chippie i postanowiono, że oba psy odbędą w tej samej klatce podróż powrotną do Stanów...

Wyczułem, że w pokoju zapadła dziwna, pełna napięcia cisza i nie wiedziałem, co się stało, dopóki nie wyjaśniła mi tego Ledare.

— Natasha Jones zginęła podczas masakry, Jack. Jej ojciec i brat są ranni.

— Jezu Chryste - wyjąkałem. - Nie pamiętam nawet, że bym ich tego dnia widział.

— Nie poszłam na jej pogrzeb, bo chciałam być z tobą, tatusiu - wyjaśniła drżącym głosem Leah.

— Dobrze zrobiłaś, Leah - stwierdziłem. - Potrzebowałem cię bardziej niż Natasha. Czy ktoś może mi powiedzieć, co się wydarzyło? Jeśli mam dokończyć tę opowieść, potrzebuję po mocy. Nie pamiętam, co się potem stało. Kompletnie.

— Na lotnisko wtargnęło czterech terrorystów z ukrytą bronią - powiedziała Ledare widząc, że ani Lucy, ani Leah nie mają zamiaru się odezwać. - Mieli ze sobą trzynaście ręcznych granatów i cztery pistolety maszynowe AK-47. Kiedy zaczęła się strzelanina, stałem przy stanowisku odprawy bileto wej. Złapałem Leah i przerzuciłem ją przez kontuar, gdzie leżała aż do chwili, gdy umilkły strzały. Potem podbiegłem do swojej matki, przewróciłem ją i osłoniłem przed pociskami. Wtedy właś

nie dosięgły cię kule. Jedna raniła cię w głowę tuż nad lewym okiem. Minęła mózg o centymetr. Druga trafiła cię w ramię i wyszła z przodu, przesywając płuco.

— Nic z tego nie pamiętam - powtórzyłem.

— Jakiś człowiek w Maladze w Hiszpanii zatelefonował do miejscowego radia i poinformował, że zamachu na lotnisku dokonała grupa Abu Nidala i OWP - wyjaśniła Lucy. -

302

W tym samym czasie doszło do masakry w Wiedniu. Potrafisz sobie wyobrazić ich tupet?

— Niech żyje Izrael - odparłem. - Doskonale, teraz możemy wrócić do naszej opowieści. Zawarłszy znajomość z Biankiem, Wspaniała Chippie zaczęła włóczyć się po lotnisku. Chippie potrafiła wyjątkowo trafnie oceniać od pierwszego spojrzenia ludzkie charaktery. Po prostu się z tym urodziła. Psy myśliwskie mają niewiarygodny zmysł węchu, Chippie zaś potrafiła genialnie odróżnić dobro od zła. Rozglądając się dookoła, wszędzie widziała szukających się do wspaniałych po dróży szczęśliwych ludzi. Nagle jej oczy spoczęły na czterech mężczyznach, którzy wcale jej się nie spodobali. W gruncie rzeczy nie musimy tego owijać w bawełnę: Wspaniała Chippie z miejsca poczuła antypatię do tych czterech drani.

— Uch - westchnęła przejęta Leah. - Ci czterej faceci zaraz będą mieli za swoje.

— Wspaniała Chippie zbliżyła się, żeby mieć ich na oku. Im bliżej podchodziła do tej czwórki, tym bardziej robiła się groźna i podobna do wilczycy. Łapiąc w nozdrza zapach zła, jakiego nie czuła nigdy dotąd, wydawała się coraz większa i silniej umięśniona, a jej kły robiły się coraz ostrzejsze. Skoczyła na kontuar baru i poruszała się niczym wielki kot, stąpając ostrożnie między filiżankami kawy, żeby nie wylać niczyjego cappuccino. Dochodząc do końca kontuaru, Wspaniała Chippie przeobraziła się w psa wojny, w krwawą bestię. Miasto, w którym wilczyca wykarmiła kiedyś Romulusa i Remusa, ponownie potrzebowało wilków, bardziej zajadłych i krwiożerczych niż ten, który niańczył jego założycieli. Rzym wzywał wilki...

— A Wspaniała Chippie odpowiedziała na to wezwanie - zawołała Leah.

— Zgadza się - odparłem. - Czterej mężczyźni zaczęli wyjmować ze swoich toreb pistolety maszynowe i ręczne granaty. A potem odwrócili się ku ludziom, którzy tłoczyli się przy stanowiskach Pan Amu i El Alu. Jeden z nich wziął na muszkę śliczną i słodką Natashę Jones, a drugi piękną i uroczą Leah McCall, ale zanim zdążyli pociągnąć za spust, wszyscy czterej usłyszeli dźwięk, który sprawił, że dusze poszły im w pięty.

— Ggrrrr - zawarczała energicznie Leah.

— Ggrrrr - zawarczałem razem z nią. - Zapomnieli o jednej rzeczy.

303

— Zapomnieli o Wspaniałej Chippie - powiedziała Leah.

— Wspaniała Chippie skoczyła do gardła pierwszemu terrorysty, wbijając kły w jego tętnicę szyjną i stało się jasne, że ten człowiek nigdy już nikogo nie skrzywdzi. Pistolet wypadł mu z rąk, prując nieszkodliwą serią w sufit. Drugi terrorysta strzelił do Wspaniałej Chippie, ale ona zatapiała już zęby w jego genitaliach. Wrzask tego biedaka zaalarmował wszystkich obecnych na lotnisku strażników. Chippie zawróciła tymczasem i pobiegła przez grad pocisków w stronę dwóch pozostałych terrorystów, którzy uprzytomnili sobie teraz, kto jest ich prawdziwym wrogiem. Jedna z kul trafiła ją, ale jedna kula to za mało, żeby powstrzymać Wspaniałą Chippie.

— Nie ma mowy - potwierdziła uszczęśliwiona Leah. -

Jedna kula to tyle co nic dla Wspaniałej Chippie.

— Niech skonam, jeśli widziałam tam gdzieś tego przekłętego kundla - mruknęła Lucy.

— Trzeci napastnik miał długą bliznę, która biegła przez cały policzek. Wielka Chippie skoczyła w górę i jej kły rozorały mu twarz. Kiedy terrorysta osunął się na podłogę, Chippie zaatakowała ostatniego napastnika, ten jednak nie cofnął się i wpakował w nią cały magazynek. Wspaniała Chippie zatoczyła się w jego stronę, nie miała jednak dość sił, by go dopaść. Odwróciła się do Jacka, Leah i Lucy i z jej gardła wydobyło się ostatnie pożegnalne szczenięcie. A potem włożyła łeb między łapy i umarła lekką słodką śmiercią. Strażnik El Alu strzelił do drania, który uśmiercił Wspaniałą Chippie, i położył go trupem na miejscu.

— Nie, tatusiu - zaprotestowała Leah. - Wspaniała Chippie nie może umrzeć. To nie w porządku.

— Chippie umarła, kiedy miałem osiemnaście lat, kochanie. Nie chciałem ci tego mówić, bo nie masz mamy.

— Grób Chippie stoi w ogródku za domem - dodała Lucy. - Całkiem niebrzydki. Jack własnoręcznie zrobił nagrobek.

— Czekałam na tę bajkę, odkąd zostałeś ranny - powie działa Leah. - Żałuję, że jest nieprawdziwa.

— Bajki nie muszą być prawdziwe. Najważniejsze, żeby pomagały - stwierdziłem. - Jestem teraz zmęczony, kochanie.

— Daj mu trochę odpocząć, Leah - poprosiła Lucy. - Zabiorę cię do domu i dam coś do zjedzenia.

— Zostaję tutaj - odparła Leah.

— Zrobisz co mówię, moja panno - odezwała się moja matka i w jej głosie słyszałem jednocześnie strach i ulgę.

304

— Leah i ja należymy do tej samej drużyny, mamó. Pozwól jej zostać - powiedziałem.

— Czy chcesz jechać do Waterfordu, kiedy wydobrzejesz? - zapytała Leah.

— Tak, dziecko. W swoim czasie podjąłem kilka nie najmądrzejszych decyzji. Nie znasz żadnego z faktów, które uczyły cię tym, kim jesteś.

— Film został zaaprobowany - wtrąciła Ledare. - Mikę wysłał mi pierwszy czek, kiedy tylko dowiedział się, że cię postrzelono. Czy tego chcesz, czy nie, figurujesz na liście płac.

— Wiele z wydarzeń, które interesują Mike'a, powinna także poznać Leah - stwierdziłem.

— Opowiesz o tym, o czym wiesz - odparła Ledare. - Ja uzupełnię narrację tam, gdzie będę mogła.

— Czy przyjechałaś tu z powodu filmu, Ledare? - zapytałem.

— Przykro mi, ale cię rozczaruję. Przyjechałam, bo mnie potrzebujesz.

— Witaj we Włoszech - powiedziała matka. - Pojutrze wracam do Waterfordu. Muszę uciec z tego zwariowanego kraju. Wynajmę chyba opancerzony samochód, żeby dojechać na lotnisko. Nie będę się czuła bezpieczna, dopóki nie poczuję znowu zapachu duszonej kapusty.

— Przyjedziemy, kiedy tylko będziemy mogli, mamó - zapewniłem ją.

— Pokazali w telewizji Jordana, kiedy udzielał ci ostatniego namaszczenia - poinformowała mnie Ledare. - Mikę ma taśmy. A także generał Elliott.

— Intryga zagęszcza się - mruknąłem.

— Dlaczego Jordan się ukrywa, tatusiu? - zapytała Leah. - Kilka razy odwiedził cię w szpitalu, ale zawsze w środ ku nocy.

Chciałem odpowiedzieć, ale nagle poczułem, że się od nich wszystkich oddalam. Sen przypominał czarną dziurę, w którą wpadała kaskada czasu - dobiegły mnie jakieś słowa Leah i poczułem dotyk jej ręki, a potem zbyt szybko zapadłem w letarg.

ROZDZIAŁ 19

Kilka dni później opuściłem szpital, z raną postrzałową przypominającą kolorem śliwkę. Leah obmacała ją delikatnie, kiedy zdjęto mi po raz ostatni bandaże. Doktor Guido Guccioli, który uratował mi wzrok, ostrzegł ponownie, iż powinienem dawać często wypoczywać oczom i nie narażać ich na zbyt duży wysiłek. Opowiedział mi o przecikach i czopkach, otaczających nerwy siatkówki, a także o przeprowadzonej przez siebie operacji, która, wedle tego, co mówił, przypominała strojenie fortepianu o rozmiarach przepiórczego jaja. Kiedy Ledare i Leah pomagały mi wsiąść do taksówki, doktor wraz z trzema pielęgniarkami wyszedł na ulicę.

— Cześć, Guido - zawołałem. - Czy mogę pocałować cię po francusku?

— Oczywiście, że nie. Byłoby to nieprzyzwoite i niehigieniczne - odparł doktor, całując mnie w oba policzki. - Co innego gdyby chodziło o Signorę Ledare.

Wracając taksówką do domu, odkręciłem szybę, pozwalając, aby owiało mnie miękkie, pachnące niczym świeżo wyprana pościel powietrze. Nawet Tybr wydzielał mroczny intensywny zapach, kiedy przejeżdżaliśmy przez most, przy którym dzielił się na dwie odnogi, obejmując wrzynający się weń ostry cypel Isola Tiberina.

Przed moim domem na Piazza Farnese zgromadziła się mała grupka znajomych. Była tam Maria zaciskająca palce na paciorkach różańca, dwie zakonnice, które wyszły w ogrodowych rękawicach z klasztoru, bracia Ruggieri z rękoma pachnącymi serem, Freddie w swej białej kurtce kelnera, sprzedawca oliwy,

306

dwie przekupki handlujące owocami i jedna handlująca jajkami, piękna blondynka ze sklepu z zaopatrzeniem biurowym, Edoar-do, mistrz kawy i cornetti, kioskarcz Aldo oraz właściciel jedynej położonej przy placu restauracji.

Kiedy wysiadłem z taksówki i ruszyłem chwiejnym krokiem do frontowych drzwi, przyjaciele zgotowali mi skromną owację. Ponieważ zostałem ranny, masakra dotknęła nasz plac w bezpośredni i osobisty sposób. Kupcy z Campo dei Fiori przysyłali mi owoce oraz jarzyny i w pierwszym tygodniu po moim powrocie ze szpitala nie chcieli brać od Ledare żadnych pieniędzy. Ekspedientki ze sklepu rybnego dostarczały małże i dorsze. Właściciel straganu z nabiałem przynosił świeże kury. W ciągu tych pierwszych kilku tygodni moi wielkoduszni sąsiedzi zajęli się dosłownie wszystkim.

Codziennie przechadzałem się wąskimi uliczkami, pozdrawiając ich i starając się odzyskać siły. Chociaż odwiedziłem prawie wszystkie kontynenty i poznałem zwyczaje wielu narodów, nigdy nie zdołałem zrozumieć do końca specyficznego szorstkiego charakteru rzymskiej wrażliwości.

Mieszkańcy tego miasta mają nieomylny instynkt, jeśli idzie o drobne gesty przyjaźni. Maestria, z jaką potrafią okazać serce zaakceptowanemu wcześniej przybyszowi, stanowi rodzaj sztuki. Moi sąsiedzi powitali mnie na placu i cieszyli się, gdy wracałem do zdrowia. Ach, ci rzymianie, myślałem. Nie potrafią ruszyć małym palcem, nie udzielając przy okazji całemu światu niezrównanych lekcji na temat gościnności i galanterii.

Mój powrót, o czym dowiedziałem się później, obserwował również przez silną lornetkę nikona Jordan Elliott - gładko ogolony i ubrany w dżinsy, wysokie buty oraz świetnie skrojoną wieczorową koszulę od Armaniego. Patrzył, jak wchodzę razem z Ledare do budynku, opierając się bardziej o nią niż o laskę z gumową końcówką, którą dali mi w szpitalu. Formalności związane z wypisaniem się ze szpitala nielecho mnie zmęczyły, a ciepłe powitanie pozbawiło resztek sił, jakie zdołałem z siebie wykrzesać. Podziękowałem uśmiechem portierowi, który przytrzymał przede mną drzwi, jakbym był jakimś udzielnym księciem. Fotografowi z "II Messaggero" udało się uchwycić autentyczną nutę serdeczności i nostalgii, jaka towarzyszyła tej scenie. Kwiaciarki wcisnęły w ręce Leah bukiety anemonów i cynii.

Ani śladu czułościowości nie było jednak widać na twarzy Jordana, który obserwował witającą mnie grupę. Gdy znikalem

307

za zamykającymi się niczym skrzydła archanioła masywnymi czarnymi drzwiami, jego lornetka skierowana była na tłum, nie na mnie. Dopiero kiedy ludzie się rozeszli, Jordan dostrzegł obiekt swojej cierplivej inwigilacji. Mężczyzna, którego wypatrzył, był schludny i przypominał z postawy wojskowego. Musiał oglądać mój powrót z bezpiecznego wnętrza kafejki i wyszedł na plac dopiero, gdy tłum zaczął się powoli rozchodzić. Kiedy dotarł do fontanny położonej najbliżej mojego mieszkania, Jordan poczuł, jak przechodzi go dreszcz - tak dziwne było obserwowanie przez powiększające szkła krzepkiej postaci własnego ojca. Generał Elliott poruszał się z godnością i gracją starego wiarusa, studiując twarz każdego mijanego przechodnia. Szukał swojego syna i Jordan mógł sobie wyobrazić jego zniecierpliwienie, gdy nie znalazł go w tłumie.

Wkrótce po przywiezieniu mnie do szpitala Jordan pojawił się na ekranach wszystkich włoskich telewizorów. Należał do zakonu trapistów, którzy większość życia spędzają w klasztorze, i nie rozumiał zbyt dobrze potęgi i szybkości współczesnych środków przekazu. Smutek i przerażenie, które ukazały się na jego pociągłej twarzy, gdy zobaczył, jak otwierają się drzwi ambulansu i pielęgniarze wtaczają mnie na izbę przyjęć, zostały natychmiast przekazane przez satelitę do studiów telewizyjnych całego świata. Kiedy trzymając mnie za rękę i biegnąc obok sanitariuszy szpitalnymi korytarzami, wypowiadał szeptem słowa ostatniego namaszczenia, jego ściągnięte troską i współczuciem rysy odzwierciedlały zbiorowy ból, jaki poraził całe Włochy. W ciągu dwudziestu czterech godzin twarz Jordana stała się powszechnie znana na całym półwyspie: wyrażała wszystko, co Włosi mieli do powiedzenia na temat masakry niewinnych podróżnych. Miejscowi dziennikarze zaczęli szukać tajemniczego kapłana. Kiedy jednak jego zdjęcia zaczęły się ukazywać na pierwszych stronach amerykańskich gazet, Jordan ulotnił się bez śladu w mieście zamieszkanym przez tysiące duchownych.

Na Isle of Orion generał Elliott natychmiast rozpoznał swego syna. Kiedy tę samą informację nadała ponownie po piętnastu minutach CNN, nagrał ją na wideo, by móc puszczać taśmę, kiedy

tylko będzie miał ochotę. W przeciwieństwie do nieprzeniknionej twarzy generała, twarz jego syna była zawsze otwartą księgą. Elegancko przystrzyżona bródka kryła dołek, który odziedziczył po Celestine, piętnaście lat nie zmieniło

308

jednak jego rysów, pogłębiło je tylko i uczyniło łatwiejszymi do rozpoznania. Oczu Jordana nie sposób było zapomnieć i z pewnością nie zapomniał ich jego ojciec. Nie powiedział nic żonie, która dowiedziała się o moim wypadku dopiero nazajutrz. Do tego czasu, jak się później dowiedzieliśmy, generał zdążył się skontaktować z Mike'em Hessem i Capersem Middletonem. Tamtej nocy porównali wszyscy fotografie księdza, wychodzącego z konfesjonu na wzgórzu awentyńskim, z utrwaloną na taśmie twarzą duchownego, który czekał na ambulans przed wejściem do szpitala na Trastavere. Podczas tajnej telefonicznej konferencji, którą odbyli nazajutrz, wszyscy zgodzili się, że znaleźli właściwego człowieka.

Tych kilka sekund, w trakcie których uchwyciła go kamera, mogło sprowadzić Jordanowi na kark całą masę nieproszonych gości, zaraz potem jednak mój przyjaciel zapadł się jak pod ziemię w cichym labiryncie monastycznego Rzymu. Jeszcze nim przewieziono mnie na blok kooperacyjny, Jordan przeniósł się z mało znanego opactwa na wzgórzu celijskim do domu opieki na Trastavere, gdzie zajmowano się duchownymi mającymi problemy z narkotykami. Fryzjer zgolił jego bródkę i wydano mu okulary w szylkretowych oprawkach.

Tajna machina zaczęła działać, kiedy do rzymskiego biura Interpolu przesłano fotografię przedstawiającą młodego Jordana Elliotta i mnie po meczu baseballowym, który rozegraliśmy w ostatniej klasie szkoły średniej. Towarzyszyło jej powiększone zdjęcie twarzy Jordana spoglądającego na wózek, na którym wieziono mnie w pośpiechu na izbę przyjęć. Laborantka w Interpolu skopiowała obie fotografie i przekazała swemu bratu, który pracował dla biskupa nadzorującego działalność komitetu, reformującego system rozliczeń Banku Watykańskiego. Jordan Elliott był poszukiwany w związku ze śmiercią w roku 1971 młodego kaprała piechoty morskiej oraz jego dziewczyny. W liście gończym informowano, że mógł zmienić nazwisko i udaje prawdopodobnie katolickiego mnicha niewiadomego zakonu. Uprzedzano, że jest bardzo inteligentny, fizycznie silny i być może nawet uzbrojony. Generał Elliott zawiadomił potajemnie wywiad marynarki, który skontaktował się ze swoimi wtyczkami w Interpolu i we Włoszech. Po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Europy, Jordan poczuł na karku gorący oddech pogoni. W głębi duszy zawsze się tego obawiał. Jego zerwanie z Karoliną Południową było jednak

309

tak definitywne - wyprawiono mu tam nawet pogrzeb - że uspokajał się myślą, iż wszelkie poszukiwania zostały dawno zarzucone z braku dowodów i świeżego tropu. Tylko ja i jego matka braliśmy udział w spisku. Jordan doszedł do wniosku, że jest bezpieczny, i dopiero teraz, obserwując swego ojca, zdał sobie sprawę, że jego troska o moją osobę naraziła nas obu na niebezpieczeństwo.

Generał zajął stanowisko w cieniu fontanny tryskającej na wyciosany z egipskiego granitu sarkofag, wokół którego stały zaparkowane nieprawidłowo samochody. Przyglądając się jego ogorzalej twarzy golfisty i opalonym muskularnym rękóm, Jordan musiał przyznać, że ojciec jest wciąż niezwykle przystojny. Zauważył jednak również pierwsze zwiotczenia na jego szyi. Wątpił, by ktokolwiek bał się tak bardzo jak on swojego ojca. Na sam dźwięk tego słowa - świętego i kluczowego słowa w wielu religiach świata, słowa, na którym opiera się harmonia i misterium katolicyzmu - ciarki chodziły mu po grzbiecie. Jordanowi kojarzyło się ono nie z sympatycznym mężczyzną, uzbrojonym wyłącznie w grzechotki i zabawki, lecz z przedzierającym się przez front komandosem o rękach splamionych krwią.

- Ojciec - powiedział teraz na głos. - Ojciec wrócił do domu, ojciec wrócił do domu, ojciec wrócił do domu... - Cztery najbardziej przerażające słowa jego dzieciństwa, płynące ze słodkich ust matki. Strach i nienawiść do ojca stanowiły zawsze najczystsze i najbardziej jednoznaczne uczucia w całym jego życiu. Siła tej nienawiści wstrząsała każdym spowiednikiem, do którego zwracał się o

odpuszczenie grzechów w swojej karierze księdza. Jego przeor oznajmił nie dalej jak przed rokiem, iż królestwo niebieskie na zawsze pozostanie dla niego zamknięte, jeśli nie znajdzie w swoim sercu przebaczenia. Przyglądając się teraz generałowi, Jordan zdał sobie sprawę, iż nie jest ani trochę bliższy zbawienia, niż kiedy w wieku dziesięciu lat płakał po kolejnym dotkliwym laniu, marząc o dniu, gdy zabije ojca gołymi rękoma.

Matka napisała mu, że ojciec pragnie zgody i Jordan postanowił już prawie, iż się z nim spotka. I właśnie wtedy przesłana do rzymskiego biura Interpolu młodzieńcza fotografia wylądowała po przebyciu krętych watykańskich ścieżek na skromnym biurku przeora. Jordan skłaniał się do przekonania, iż wydał go ojciec, nie wykluczał jednak również, że zrobił to

310

Capers Middleton, aby zebrać w ten sposób punkty w trakcie kampanii wyborczej na gubernatora Karoliny Południowej. Przeor uważał, że ta druga możliwość jest bardziej prawdopodobna. Jak każdy Włoch, nie ufał zbytnio politykom, darzył za to silnym sentymentem instytucję ojcostwa. Kilka dni po moim powrocie do domu ktoś zadzwonił do drzwi i po krótkiej chwili Maria wprowadziła do salonu Mike'a i Capersa. Mikę sprawiał wrażenie podenerwowanego i krążył bez przerwy od okna do okna, jakby napędzał go zainstalowany w rdzeniu kręgowym motorek. Capers za to był zupełnie spokojny i interesowały go wyłącznie moje antyki i obrazy.

— Masz masę ładnych rzeczy - stwierdził, wodząc oczyma po ścianach. - Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał.

— Zrób szybki inwentarz i wynoś się z mojego domu - po wiedziałem.

— Przyszliśmy w interesach - wtrącił szybko Mikę. -

Chodzi o nasz film. Nie musisz darzyć miłością Capersa. Po prostu go wysłuchaj.

— Nie lubię go - odparłem. - Próbowałem dać mu to do zrozumienia w Waterfordzie.

— Dałeś mu to jasno do zrozumienia, ale nie miałeś racji - stwierdził Mikę.

— Nie powinieneś tego robić ani Jackowi, ani mnie, Mikę - odezwała się Ledare.

— Jesteś związana kontraktem, kochanie - odparł. - Nie muszę stosować się do twoich wymagań. Zapytaj w Związku Autorów.

— Capers jest przy nas niczym zapalona zapałka - nie ustępowała Ledare. - My jesteśmy benzyną. Dobrze o tym wiesz.

— Obaj chcieliśmy zobaczyć, jak się czuje Jack. Martwiliśmy się o niego - oznajmił Mikę.

— Modliłem się za ciebie - dodał Capers.

— Na stoliku przy moim łóżku leży Biblia, Mikę - powiedziałem. - Otwórz ją na Nowym Testamencie i zacznij czytać o Judaszu Iszkariocie. Capers na pewno odnajdzie tam wątki z własnej biografii.

— Skubaniec nigdy nie zapomina języka w gębie - stwierdził z podziwem Mikę.

— Stary poczciwy Jack - uśmiechnął się Capers. - Zawsze przyrównuje się do Dzieciątka Jezus.

311

— Tylko kiedy jestem w towarzystwie faceta, który ukrzyżował kiedyś mnie i wszystkich moich przyjaciół - powiedziałem czując, jak wzbiera we mnie chłodna furia. - Normalnie wzoruję się na Julii Child.

— Wiadomość, że zostałeś postrzelony, znalazła się w Karolinie Południowej na pierwszych stronach gazet - oznajmił Capers niesamowicie opanowanym tonem. - Kiedy tylko się o tym dowiedziałem, zarezerwowałem miejsce w samolocie do Rzymu, żeby odwiedzić cię w szpitalu. Tak się składa, że artykuł o naszej wizycie we Włoszech ukaże się w przyszłą niedzielę w stanowej gazecie.

— Chcecie pewnie, żeby towarzyszyły mu fotografie - do myślałem się.

— Ile mnie to będzie kosztować? - zapytał Capers.

— Więcej, niż jesteś w stanie zapłacić - odparłem.

— Nie odnaleźliście Jordana - dodała Ledare. - Dlatego tu przyszliście.

— Nie udało nam się nawet potwierdzić, że Jordan Elliott żyje - oznajmił Capers. - Sprawdziliśmy u franciszkanów, jezuitów, paulinów, trapistów i benedyktynów. Pomagał nam biskup Charlestonu. Mikę był w stałym kontakcie z kardynałem Los Angeles. Coś się zacięło: cała machina kompletnie się przed nami zamknęła. Puściliśmy w obieg zdjęcia zrobione przez detektywa. Ani jeden franciszkanin w tym mieście nie potrafił zidentyfikować brodatego amerykańskiego księdza. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, byli święcie przekonani, że ten czło-wiek nie należy do ich zakonu. A jednak nosi ich habit i udzielał spowiedzi w jednym z ich najważniejszych kościołów.

— Opowiedz Jackowi o najdziwniejszym - wtrącił Mikę.

— Właśnie do tego zmierzam - podjął Capers. - Udało nam się spotkać z głównym bonzą u franciszkanów. Facet jest urodzonym przywódcą, zachowuje się jak udzielny książę. Ura czył nas tą samą historyjką. Popatrzył na fotografię. Nigdy nie widziałem tego człowieka. Ale potem powiedział coś ciekawego. Oznajmił prosto z mostu, że franciszkanom jako zakonowi oraz jemu w szczególności nie podoba się presja, jaką wywierają Amerykanie, chcąc wytropić zakonnika, oskarżonego o prze-stępstwa wojenne w Stanach. Następnie poprosił grzecznie, abyśmy opuścili jego gabinet. Dowcip polega na tym, Jack - kontynuował Capers, pochylając się do przodu - że nikomu nie szepnęliśmy ani słówka o przestępstwach wojennych. Szu-

312

-

kaliśmy po prostu Jordana. Nikomu nie powiedzieliśmy dlaczego.

— I co z tego? - warknąłem. - Myślisz, że franciszkanie nie przeprowadzili własnego dochodzenia? Ten zakon istnieje od trzynastego wieku.

— To ty ostrzegłeś Jordana? - zapytał Capers.

— Posłuchaj mnie uważnie, Capers. Nie chcę tego ponownie przerabiać. Leżałem w szpitalu i byłem kompletnie nieprzytom

ny - oświadczyłem. - Ale na pewno ostrzegłbym go, gdybym wiedział, że się tutaj wybieracie. Zasugerowałbym mu, żeby zrobił dokładnie to, co zrobił... żeby się gdzieś zaszły i nie wystawiał nosa, dopóki się stąd nie wyniesiecie.

— Skoro nie ma Jordana, nie będzie umowy z telewizją - stwierdził Mike. - Nie będzie filmu.

Ledare posłała mu uważne spojrzenie.

— Dlaczego Jacka miałyby to w ogóle obchodzić?

— Jeśli nie będzie filmu, prezydent nie ułaskawi Jordana Elliotta - odparł Mike. - To wszystko stanowi część wielkiego planu, Jack.

— Rozumiem - stwierdziła Ledare. - Serial zakończy się wzmianką, że Capers Middleton załatwił u prezydenta ułaskawienie dla swego starego kumpla, Jordana Elliotta. A po tem, podczas inauguracji w Columbi, dojdzie w końcu do spotkania starej drużyny i cały stan się dowie, jak skutecznie gubernator Middleton potrafi leczyć rany, które odniosło jego pokolenie.

— Nawet niegłupio to wymyśliłaś, moja droga - przyznał Mike. - Ale pociągnij to dalej. Poczekaj sześć lat aż do konwencji republikanów. Albo jeszcze lepiej dziesięć lat do wyborów na prezydenta Stanów Zjednoczonych, w których wystartuje Capers.

— Spokojnie, mój paszporcie - powiedziałem, potrząsając ze smutkiem głową. - Gdybym naprawdę kochał mój kraj, Capers, wyrzuciłbym cię przez otwarte okno i patrzyłbym, jak lądujesz pięć piętér niżej na piazzy. Ale cały mój patriotyzm to tylko mielenie jęczorem.

— Kimkolwiek będzie twój przeciwnik - dodała Ledare - będę mu pisała za darmo przemówienia. Udzielę wywiadu każdemu szmatławcowi, który się do mnie zwróci. Podam im nazwiska i wymiary wszystkich dziwek, z którymi spałeś w trakcie naszego koszmarnego małżeństwa.

313

— Nie zrobisz tego ze względu na dzieci - odparował rzeczowo Capers.

— Będą już wtedy wystarczająco dorosłe, a poza tym nie obchodzi mnie, co myślą.

— Twoja słabość, moja droga, polega na tym, że zawsze za bardzo przejmowałaś się tym, co myślą - oświadczył Capers. - Dobrze wiesz, że Dzień Matki nie jest ich najbardziej ulubionym świętem.

— Wracajmy do rzeczy, Jack - przerwał mu Mike. - Pomożesz nam odnaleźć Jordana, czy nie? Ty też podpisałeś kontrakt.

— Nadstaw ucha, Mike, i tym razem dokładnie mnie wysłuchaj. Odbyliśmy już na ten temat jedno przykre spotkanie i nie chciałbym, aby doszło do następnego. Nie ruszę palcem, żeby ci pomóc, ponieważ nienawidzę twojego kumpla Capersa. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

— Sądzisz, że uczucie, jakie do mnie żywisz, można nazwać

nienawiścią? - zapytał Capers.

— To chyba najlepsze słowo.

— Czy mogę coś zrobić, żeby zmienić twoje nastawienie?

— Obawiam się, że nie, Capers. Przykro mi, stary byku.

— Pozwól, że będę z tobą szczery, Jack - powiedział Mike, patrząc na Capersa, który skinął głową. - Potrzebujemy w filmie Jordana, ponieważ nikt nie zna całej jego historii. On stanowi klucz do wszystkiego. Muszę go zaangażować, w przeciwnym razie nie sądzę, żebym mógł sprzedać to którejś z sieci. Rozumiesz? Jestem tym profesjonalnie zainteresowany. Teraz, co się tyczy Capersa: demokraci mają zamiar wyciągnąć to, jak postąpił wobec swoich przyjaciół w college'u. Zdobyli już fotografie Capersa i Jordana pływających razem na deskach surfingowych oraz nas wszystkich, kiedy świętujemy zwycięstwo w mistrzostwach stanu w futbolu. Domyślasz się, co jest grane? Widzę już te pisane przez nich płatne ogłoszenia. Ten materiał to prawdziwa katastrofa.

— Więc to nie ma nic wspólnego z przyjaźnią, nostalgią ani prostą skruczą - zauważyłem.

— Absolutnie nic - przytaknęła Ledare. - Chodzi wyłącznie nie o ulubiony temat Capersa... o niego samego.

— Kiedy silisz się na cynizm, nie jesteś zbyt piękna - odciął się Capers.

— Ale za to znacznie sprytniejsza - odpaliła.

314

— Świat, w którym żyjesz, musi być naprawdę wredny, Capers - skwitowałem.

— Jest wredny dla nas wszystkich - odparł. - Chodzi o to, by stawić mu czoło w dobrym stylu.

— Styl to coś, na czym rzeczywiście się znasz - przyznała Ledare. - Brakuje ci tylko treści, kochanie. Wsadu.

— Powiedz Jordanowi, że chcielibyśmy się z nim spotkać - powiedział Mike. - Jesteśmy w kontakcie z jego ojcem. Mamy dla niego propozycję nie do odrzucenia.

— Rozumiem - odrzekłem. - Bohaterem naszego filmu jest Capers.

— Zawsze nim byłem, Jack - rzucił Capers, wstając z fotela. - Ty od samego początku grałeś podrzędną rolę: kumpla, brata łąty, kompana od kielicha.

— Bądź miły dla autorów, zanim umieszczą cię na koturnach - mruknęła Ledare.

— Dlatego właśnie zwracam się najpierw do producenta - odparł Capers. - Dobra odżywka, Ledare. Ale nie próbuj mnie uczyć, jak mam grać pierwsze skrzypce. Zatrzymaliśmy się w Hasslerze.

Po ich wyjściu zdrzemnąłem się trochę i kiedy się obudziłem, noc zrobiła się chłodniejsza. Wiejący od Tybru wiatr niósł zapach liści i gazetowego papieru. Przez plac sunęły zadrukowane wiadomościami z poprzedniego dnia płachty "II Mesag-gero". Podeszedłem do okna w rzadko używanym przedsionku

1 zerknąłem ponownie na zegarek. Była punkt dziewiąta. Za paleniem światła za plecami i stanąłem w jasnym prostokącie

okna, z którego widać było uświetniającą skromny rzymski pejzaż kopułę Świętego Piotra. Po chwili zobaczyłem zapalającą się i gasnącą w mroku latarkę. Cześć, zamrugła alfabetem Morse'a. Pomachałem ręką i poprosiłem Ledare, aby stanęła obok mnie. Wskazałem jej dzwonnice Świętego Tomasza z Canterbury i ona też zobaczyła błysk latarki.

— To Jordan - wyjaśniłem. - W ten sposób się teraz komunikujemy.

— Czego on chce?

Światło zapaliło się na trochę dłużej, a potem nastąpiło krótkie mrugnięcie i ponownie dłuższy sygnał.

— W alfabecie Morse'a oznacza to: "chcę się z tobą spotkać".

— Skąd będziesz wiedział gdzie?

315

Podrapałem się w głowę, co oznaczało, że otrzymałem wiadomość. Nastąpiły trzy krótkie, a po nich trzy długie sygnały. Identyczny komunikat powtórzony został po kilku chwilach.

— Liczba trzydzieści trzy, Ledare - powiedziałem. - Weź przewodnik po Rzymie i okolicach; leży na stoliku. Znajdź indeks, jest na stronie 399. Na szpalcie po prawej stronie zamieszczono listę rzymskich kościołów. Pierwszy jest SanfAdriano. Znajdź trzydziesty trzeci w kolejności.

— Parafia Świętej Cecylii na Trastavere - odparła po dłuższej chwili.

- Bardzo dobrze - stwierdziłem. - To duży kościół.

Podrapałem się ponownie w głowę i w oknie dzwonnicy po raz ostatni błysnęło światło.

— Jordan życzy nam dobrej nocy. Spotkamy się za dwa dni na Trastavere.

— Tam właśnie znalazł schronienie?

— Nie sądzę. Nie mam pojęcia, gdzie przebywa. Uważa, że ze względu na własne bezpieczeństwo nie powinienem wiedzieć zbyt dużo na jego temat.

— Myślisz, że Jordan jest samotny? - zapytała Ledare, patrząc na smagany wiatrem plac, który przecinał szybkim krokiem jakiś mężczyzna.

— Myślę, że samotność jest treścią jego życia - odparłem.

Po długiej jeździe krętymi uliczkami Rzymu i upewnieniu się, że nikt nas nie śledzi, kazałem taksówkarzowi zatrzymać się przy restauracji Galeassi na Trastavere. Wyszliśmy szybko z taksówki i ruszyliśmy ku potężnej bryle kościoła Świętej Cecylii. Zostawiłem Ledare pod plafonem przedstawiającym Zwiastowanie i stąpając po starych kamiennych płytach ruszyłem w stronę konfesjonałów, które stały w wojskowym orydyku po drugiej stronie nawy.

W dwóch z nich paliło się światło, wskazujące, że w środku siedzi spowiednik, ale tylko na jednym widniała dyskretnie umieszczona tabliczka z napisem: English. Dałem znak Ledare, aby zaczekała na mnie w ławce, i wszedłem za kotarę, następnie zaś z czystego nawyku uchyliłem ją lekko, sprawdzając, czy nikt nie wszedł za nami do kościoła. Usłyszałem stłumiony głos Jordana udzielającego po włosku rozgrzeszenia przygłuchej starszej damie, której grzechy miał okazję poznać każdy, kto znalazł się w promieniu kilkudziesięciu jardów od konfesjonału.

316

Drzwiczki otworzyły się i przez kratkę, która oddziela grzesznika od kapłana, zobaczyłem

niewyraźny profil Jordana.

— Cześć, Jordan - przywitałem go.

— Cześć, grubasie. Cieszę się, że wróciłeś do zdrowia - odparł, po czym poinformował mnie, iż funkcjonariusze Interpolu wypytywali jego zwierzchników o zakonnika, którego poszukuje się listem gończym w związku z przestępstwem popełnionym w roku 1971.

— Donos mogło złożyć kilka osób, najprawdopodobniej jednak zrobił to mój ojciec albo Capers Middleton.

— Twoja matka zabiłaby generała, gdyby to zrobił - powiedziałem. - A Capers praktycznie przekonał mnie, iż potrzebuje cię bardziej, niż ty jego.

— Niełatwo jest zaufać Capersowi - stwierdził oschle Jordan.

— Kto jeszcze mógł złożyć ten donos? - zapytałem.

— Mike mógł poinformować swoich znajomych w Hollywoodzie, że wynajął prywatnego detektywa. Twoja matka mogła powiedzieć komuś z rodziny. Mój ojciec mógł zwierzyć się któremuś ze starych kumpli. Są miliony możliwości.

— Co teraz?

— Mój przeor chce, żebym na jakiś czas wyjechał z Rzymu - odparł Jordan. - Aż wyklaruje się sytuacja.

— Powiesz mi, dokąd jedziesz?

— Wiesz, że nie mogę tego zrobić, Jack. Ale muszę cię prosić o pewną przysługę. Chcę, żebyś zaaranżował moje spotkanie z ojcem. Ale miej oczy szeroko otwarte. Zachowaj wyjątkową ostrożność.

— Zrobię to - zapewniłem go. - Jest ze mną Ledare i może mi pomóc.

— Dobrze. Powiedz jej, żeby podeszła z drugiej strony konfesjonu. Zaplanujemy razem, jak powinno wyglądać spotkanie z generałem.

— Kiedy zobaczysz się z matką? - zapytałem.

— Już się widziałem. Ona rozumie, dlaczego muszę się z nim spotkać. Zawsze chciałem mieć ojca. Wiesz o tym. Nigdy go nie miałem.

— Przeceniasz płynące z tego korzyści.

— Nie, Jack - odparł. - Ja po prostu go potrzebuję.

—

ROZDZIAŁ 20

Dwa dni później czekałem na generała Elliotta w barze hotelu Raphael.

Kiedy się w końcu zjawiał, jego oczy omiotły salę twardym agresywnym spojrzeniem. Zerkając na wszystkie strony, podszedł do mojego stolika i wyciągnął rękę na powitanie. Wstałem i uścisnęliśmy sobie sztywno dłonie.

— Jak się goją rany? - zapytał.

— Czuję się znacznie lepiej, dziękuję - odparłem.

— Rozumiem, że zaprowadzisz mnie teraz do syna - stwierdził.

— Nie, źle pan rozumie. Zabieram pana na przechadzkę po Rzymie. Jordan sam zadecyduje, czy się z panem zobaczy.

— Ale wie chyba, że chcę to wszystko rozwikłać dla jego dobra. Musi zdawać sobie sprawę, że nie przejechałbym tyle

mil, gdybym go nie kochał.

— Przede wszystkim chce sprawdzić, czy nie jesteśmy obserwowani.

— Wydaje mi się to lekką paranoją - mruknął generał.

— Nie sądzi pan, generale, że paranoja jest w tym wypadku w pełni uzasadniona?

— Nigdy nie zrobiłbym niczego, co zaszkodziłoby mojemu synowi.

— Już pan to zrobił - powiedziałem. - Dzisiaj dowiemy się, czy chce pan to zmienić.

— Co przez to rozumiesz? - warknął.

— Zobaczymy, co się wydarzy.

Wyszliśmy obaj z hotelu i po krótkim spacerze stanęliśmy

318

-

przed bocznymi drzwiami kościoła Santa Maria della Pace. Zapukałem do nich głośno trzy razy i w odpowiedzi usłyszałem trzy takie same puknięcia. Drzwi uchyliły się i wprowadziłem generała do środka. Minęliśmy pełne gracji Sybille namalowane przez Rafaela, następnie zaś, nie dochodząc do pięknego marmurowego ołtarza, skręciliśmy ku drzwiom zakrystii i wyszliśmy na teren klasztoru. Nieśmiałe zakonnice obserwowały bez jednego słowa komentarsza nasz przemarsz. Przy otwartej furtce czekał na nas kolejny odźwierny, któremu wręczyłem tysiąc lirów za usługi oddane przez obydwu.

Znaleźliśmy się teraz w labiryncie rzymskich zaułków, w części miasta, którą najbardziej lubiłem. Spacer po tej zabudowanej murami dzielnicy, z jej długimi jak kiszki sklepikami, których właściciele siedzieli za starymi biurkami, cierpliwi niczym stalagmity, przypominał przechadzkę po polach rdzy i spalonej sjeny. Klucząc uliczkami, które biegły w pobliżu Via dei Coronari, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie pokazać generałowi kilku zabytkowych kamieniczek. Pokonawszy dwa razy tę samą trasę, wsiedliśmy do taksówki, stojącej na postoju niedaleko Corso Vittorio Emanuele. Kazałem kierowcy, żeby zawiózł nas do Pincio, przy Villa Borghese.

— To amatorszczyzna, Jack - stwierdził generał. - Pracowałem przez dwa lata w wywiadzie marynarki wojennej i wiem, że nie można zgubić ogona, bawiąc się w ten sposób.

— Jesteśmy amatorami, generale - zgodziłem się. - Będzie pan musiał się do tego przyzwyczaić.

— Kto sprawdza, czy nikt nas nie śledzi?

— Jordan.

— Minęliśmy go?

— Dwa razy - odparłem. - Jak się panu podoba Rzym?

— W ogóle mi się nie podoba. To miasto nie ma żadnego poczucia ładu.

— Ma idealne poczucie ładu - zaprotestowałem. - Ale to rzymskie poczucie ładu i niekoniecznie rozumieją je obcy.

Wysiedliśmy z taksówki przy Pincio i ruszyliśmy pieszo promenadą, z której rozciąga się widok na Rzym. Z tego miejsca miasto wygląda zupełnie inaczej; z góry widać tysiące eleganckich tarasów ukrytych między dachami domów.

Po pewnym czasie dotarliśmy do Schodów Hiszpańskich. Schodząc po nich, trzymałem się, aby nie stracić równowagi, ramienia generała, twardego i żyłastego jak u młodego zapaśnika.

319

Podziwiając jego wspaniałą sylwetkę, potrafiłem zrozumieć, dlaczego młody żołnierz idzie w bój za

kimś tak niewzruszonym i posagowym. Jeśli mój towarzysz miał jakieś słabe miejsca, były dobrze zakamuflowane.

Generała wyraźnie niecierpliwiło całe to kluczenie. Ja też byłem coraz bardziej zmęczony i poirytowany, mijając jednak Dal Bolognese na Piazza del Popolo, miałem prawie stuprocentową pewność, że nikt nas nie śledzi. Nie podobało mi się tylko, że generał jest taki spięty. Miasto zupełnie go nie interesowało i najwyraźniej nie potrafił się odprężyć i zmusić do luźnej pogawędki. Weszliśmy do baru Rosati, gdzie zapłaciłem kasjerce za dwie kawy cappuccino. Choć rozdrażniony, generał wiedział, że nie ma wyboru - musiał uczestniczyć dalej w tej długiej denerwującej zabawie. Bar wypełniał się biznesmenami, którzy wychylali tu swoje aperitify przed udaniem się do ulubionych restauracji na lunch.

Generał przyjrzał mi się bacznie, gdy obaj usłyszeliśmy nad głowami warkot helikoptera, wciąż jednak zachowywał zimną krew. Prawie wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, mogło otworzyć stare nie zagojone rany i zaczynało mnie już męczyć milczenie. W normalnych okolicznościach generał nie czułby się wcale skrępowany w towarzystwie osób, o których wiedział, że go nie znoszą. Ktoś taki był na ogół podenerwowany i skłonny do błędu, a on mógł to zawsze wykorzystać.

— Co teraz? - zapytał.

— Nie wiem - odpowiedziałem, spoglądając w stronę Piazz del Popolo. - Musimy zachować cierpliwość.

— Jestem cierpliwy, ale na razie kręcimy się tylko w kółko - mruknął.

W tej samej chwili zobaczyłem Ledare, która wyszła szybko z Via del Babuino, nie spoglądając w naszą stronę i kierując się ku monumentalnej Porta del Popolo. Generał nie odrywał od niej wzroku, kiedy zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami przemierzała w poprzek plac. Przez Porta del Popolo przejechało niebieskie volvo kombi i zatrzymało się przy obelisku na środku placu, niedaleko Ledare. Z samochodu wyszli czterej mężczyźni, wszyscy w habitach franciszkanów, i zaczęli się oddalać, każdy w innym kierunku. Jeden z nich przystanął obok Ledare, która pocałowała go lekko w policzek i wskazała miejsce, gdzie siedzieliśmy.

320

— Co się stało z jego brodą? - zapytał generał.

— Zgolił ją zaraz po tym, jak pokazali go w telewizji - odparłem. - Widział pan to na fotografiach.

— Jest jakiś cięższy.

Zakonnik zbliżał się do nas, mając za sobą słońce. Szedł wolnym niezdecydowanym krokiem.

— To on? - zapytał generał. - Tyle czasu się nie widzieliśmy. I słońce świeci mi prosto w twarz. Nie potrafię powiedzieć, czy to on.

— Chce pan zostać z nim sam na sam? - zapytałem.

— Jeszcze nie teraz. Nie odchodź, proszę. Przynajmniej do chwili, kiedy nie zostaniemy sobie przedstawieni.

— Nie muszę go panu przedstawiać - odparłem. - To pański syn.

Zbliżając się do nas, zakonnik ściągnął kaptur z głowy, odsłaniając kędzierzawą ciemną czuprynę. Generał wyciągnął do niego dłoń. W tej samej chwili w barze za nami powstał nagły tumult i z Dal Bolognese wyskoczyli trzej mężczyźni. Generał przytrzymał mocno rękę syna, a nieumundurowany agent Interpolu założył mu sprawnym ruchem kajdanki. Wszystkie ulice prowadzące na Piazza del Popolo zablokowały nagle niebieskie fiaty z włączonymi syrenami i obracającymi się na dachach błękitnymi światłami.

— Mówiłem ci, że to amatorszczyzna, Jack - stwierdził generał. - Dali mi nadajnik. Szli za nami przez cały czas.

— Jordan chciał, abym przekazał panu pewną wiadomość,

jeśli tak to się zakończy, generale - powiedziałem obserwując, jak dwaj agenci ciągną brutalnie Ledare w naszą stronę. - Jest całkiem prosta. Wcale go pan nie zdziwił.

— Może mi ją przekazać osobiście - odparł generał, wpatrując się w swego syna.

— O co chodzi w tej głupiej szaradzie, Jack? - zwrócił się do mnie zakonnik, zdejmując z nosa ciemne okulary. Miał tak wyraźny irlandzki akcent, że nawet włoscy policjanci domyślili się, że nie jest Amerykaninem.

— Gdzie jest mój syn Jordan Elliott? - ryknął generał.

— Nie mam pojęcia, o kim pan mówi - odparł grzecznie zakonnik, zupełnie nie speszony gromadzącym się wokół niego tłumem.

321

Przez kilka godzin przesłuchiowano mnie w biurze Interpolu, wypyując o stosunki, jakie łączyły mnie z Jordanem, a ja odpowiadałem szczerze na wszystkie pytania. Nie potrafiłem nic powiedzieć na temat jego codziennej egzystencji w Rzymie. Nie miałem pojęcia, do jakiego należy zakonu, gdzie nocuje i gdzie odprawia mszę. Bez ociągania przedstawiłem jednak wykaz kościołów, w których przekazywaliśmy sobie listy, i poinformowałem policję, że Jordan zwykł nosić habity kilku różnych zakonów.

Celestine Elliott również poddano przykremu i długiemu przesłuchaniu, Jordan zadbał jednak, by wiedziała o nim równie mało jak ja. Odpowiadała policjantom z chłodną niepokonaną furją, nie podając żadnych informacji, które nie stanowiłyby bezpośrednich odpowiedzi na zadane pytania. Ledare uwolniono po niecałej godzinie. W tej historii odgrywała za własnym przyzwoleniem jedynie pomniejszą rolę: nie widziała Jordana od ukończenia studiów i rozmawiała tylko z kimś, kto się za niego podawał, przez kratkę konfesjonau. Po uwolnieniu wróciła do mojego mieszkania przy Piazza Far-nese i razem z Marią zaczęła pakować rzeczy Leah na dłuższy wyjazd do Ameryki. Jordan opowiedział mi później, że w czasie gdy generał przyglądał się idącemu przez Piazza del Popolo irlandzkiemu zakonnikowi, on sam stał na tarasie nad księgarnią Pod Czerwonym Lwem, obserwując, jak wychodzi na jaw wiarołomstwo jego ojca. Zdrada i niezrozumienie były jedynymi stałymi elementami w ich wzajemnych stosunkach. Jordan mógł wybaczyć ojcu wszystko, ale nie zdradę, nie po raz kolejny zdradę. Pozostał na tarasie dość długo, by zobaczyć zmieszanie generała, który uświadomił sobie w końcu, że ptaszek wymknął się z klatki i on sam znalazł się w potrzasku. Na twarzy ojca malowała się taka udręka, że Jordanowi zrobiło się go przez chwilę naprawdę żal. Patrzył, jak generał obraca się na pięcie i lustruje wzrokiem bramy, dachy i obwałowania Villa Borghese, wiedząc, że Jordan go obserwuje i zdając sobie sprawę, że został wystrychnięty na dudka i pobity w polu przez przeciwnika, który nigdy nie poprowadził żołnierzy do walki. I że tym, co zrobił, bezpowrotnie zniszczył swoje małżeństwo.

Stając tego wieczoru w oknie, z którego widać było dzwonnice Świętego Tomasza z Canterbury, zobaczyłem tylko ciemność. Razem z Ledare omówiliśmy wypadki minionego dnia. Od

322

wydarzeń na Piazza del Popolo żadne z nas nie miało wiadomości od Jordana, Celestine ani generała. Wieczorem, kiedy Leah kładła się spać, opowiedziałem jej o swojej przyjaźni z Jordanem. W życiu wszystko się łączy, stwierdziłem. Nic, co się dzieje, nie jest bez znaczenia.

Zgasiwszy światło u Leah, wróciłem do salonu i nalałem Ledare i sobie po kieliszku schłodzonego w wiaderku z lodem gavi dei gavi. Wznieśliśmy bez większego entuzjazmu toast i wypiliśmy w milczeniu.

- Jak się czujesz, Jack? - zapytała po pewnym czasie Ledare. - Nie doszedłeś jeszcze do zdrowia. Musisz być piekielnie zmęczony.
Dotknąłem ręką najpierw głowy, a potem piersi.
— Przez to całe zamieszanie w ogóle zapomniałem, że mnie postrzelono - odparłem.
— Czy widzisz lepiej na lewe oko? Czy obraz ciągle jest zamazany?
Zakryłem dłonią prawe oko i przez chwilę wpatrywałem się w nią tylko lewym.
— Facet w kabinie projekcyjnej mógłby poprawić ostrość... ale tylko trochę. Jest wyraźnie lepiej.
— Zadzwońłam do Mike'a i poinformowałam go, że to generał zawiadomił Interpol - powiedziała Ledare. - Odetchnął z ulgą. Odniosłam wrażenie, że podejrzewał o to Capersa.
— Scenariusz jego filmu wyraźnie się sypie - stwierdziłem.
— Mike'owi nawet się to spodobało - mówiła dalej. - Fakt, że generał po raz drugi zdradził swego syna. Według niego to ma wydźwięk biblijny.
— To straszne. Każde nieszczęście, które nas spotyka, może się okazać wspianym materiałem do jego filmu.
Nagle zobaczyłem coś za oknem i wybiegłem do przedpokoju. Zapaliłem światło i stanąłem w oknie, z którego widać było bazylikę Świętego Piotra. Ktoś wysyłał sygnały z dzwonnicy. Jeśli był to Jordan, robił to godzinę po umówionym czasie. Ktokolwiek to był, nie znał zbyt dobrze alfabetu Morse'a i dopiero za trzecim razem zdołałem coś odszyfrować.
"Jordan jest bezpieczny", brzmiał pierwszy komunikat.
"Niech cię Bóg błogosławi", mówił drugi.
— Gdzie twoim zdaniem może być teraz Jordan?
— Nie wiem, Ledare. Nigdy tego nie wiedziałem.
— Jak się z tobą ponownie skontaktuje?

323

Chciałem jej odpowiedzieć, ale nagle zobaczyłem idącego przez plac mężczyznę, który kierował się prosto do moich drzwi.

- Jezu Chryste - jęknąłem. - Powiedz, że oszukuje mnie moje chore oko.

Przez plac szedł generał Elliott. Przypominał złapaną na haczyk, wyciąganą na brzeg rybę.

- Masz może strzelbę? - zapytała Ledare. - Spełniłbyś dobry uczynek, kładąc go trupem, nim dojdzie do tych drzwi.

Kiedy odezwał się zgrzytliwy dzwonek domofonu, pocałowała mnie w policzek i życzyła dobrej nocy. Miała dosyć psycho-dramy jak na jeden dzień.

Podszedłem do zamontowanego w holu domofonu i podniosłem słuchawkę.

— Chi e? - zapytałem.

— To ja, Jack. Generał Elliott. Chciałbym się z tobą zobaczyć. Proszę, wpuść mnie do środka.

Zastanawiałem się prawie całą minutę, zanim nacisnąłem przycisk otwierający podwójne masywne drzwi, które prowadziły do mojego palazzo. Odczekałem, aż winda wjedzie, ciężko sapiąc, na czwarte piętro, po czym wprowadziłem generała Elliotta do salonu i zrobiłem mu bez pytania drinka z dzinu Bombay i kilku kropel cytryny.

— Na twoim miejscu nigdy nie wpuściłbym kogoś takiego jak ja do swojego mieszkania - powiedział generał, kiedy podałem mu pękata niską szklanę.

— Zastanawiałem się, czy tak właśnie nie postąpić. Moja wrodzona dobroć zawsze bierze jednak górę nad bardziej wrednymi cechami charakteru - odparłem, nie starając się nawet ukryć kpiny w głosie. - Ciekawi mnie również, co pana tu sprowadza. Sądziłem, że nigdy już pana nie zobaczę, i przyznaję, że ta myśl sprawiała mi dużą przyjemność.

— Mojej żony nie było w hotelu, kiedy tam wróciłem - wyznał generał. Widziałem, że przychodzi mu to z prawdziwym bólem. - Wymeldowała się i zostawiła mi list. Opuszcza mnie.

— Kto by się spodziewał... Po wszystkich tych latach Celestine nareszcie zmadrzała.

— Zostawiła mnie bez żadnych środków. Z paroma groszami w kieszeni. Bez paszportu. Bez biletu. Bez ubrania - kontynuował generał, upijając trochę dżinu.

— Niech pan skorzysta z karty kredytowej i kupi sobie

324

ubranie i bilet - poradziłem. - A jutro pójdzie do ambasady i poprosi, żeby załatwili panu nowy paszport.

— Nie mam karty kredytowej - odparł z zakłopotaniem. - Celestine zajmowała się wszystkimi przyziemnymi sprawami w naszym związku. Nie noszę portfela, bo wypycha spodnie i człowiek wygląda z nim jak cywil.

— Pomogę panu wrócić do Stanów, generale - zaproponowałem.

— Obawiam się, że zaufałem jej w zbyt wielu sprawach - kontynuował. - Chyba nie uda mi się jej odzyskać.

— Zaskoczył mnie pan - przyznałem. - Osobiście uważałem, że Jordan niepotrzebnie podejmuje tyle środków ostrożności.

— Pomyliłem się co do mego syna. Wydawało mi się, że nie ma zmysłu strategicznego i buja w obłokach. Zaskoczył mnie. Najpierw na studiach. A teraz dzisiaj.

— Zaskakując pana, zniszczył sobie życie - powiedziałem.

— A także życie moje i mojej żony.

Próbowałem rozgryźć siedzącego przede mną mężczyznę, jego irytacja nie ułatwiała mi jednak specjalnie zadania. Starał się kontrolować, lecz coś kotłowało się w nim pod samą powierzchnią, niczym uwięziony w butelce podstępny dżinn. Chociaż ubrany był po cywilnemu, znad kołnierzyka koszuli Brooks Brothers wycierała twarda żołnierska fizjonomia. Wiedziałem, że bycie generałem jest jednocześnie sztuką, powołaniem oraz nieuleczalną chorobą. Jego paliwem jest arogancja, a ulubioną rozrywką piętnaście minut spędzanych codziennie przed lustrem.

— Co do dzisiejszego dnia... - zaczął.

— Tak. Zacznijmy od dzisiaj.

— Jakiś czas temu przyszedł do mnie Capers z pomysłem prezydenckiego ułaskawienia dla Jordana - oznajmił generał. - Zdziwiło mnie to, ponieważ mimo różnych plotek byłem pewien, że Jordan nie żyje. Uwierzyłem w jego samobójstwo albo przynajmniej przekonałem sam siebie, że wierzę. Ale Capers pokazał mi fotografie Jordana wychodzącego z konfesjonu... To były straszne czasy dla nas wszystkich. Żadne pokolenie nie wzbudzało we mnie tyle nienawiści jak to, do którego należeliście. W swoich uczuciach nie byłem zresztą osamotniony.

— Pan też nie zajmował czołowego miejsca w naszych modlitwach - zapewniłem go.

325

— Jordan zabił żołnierza piechoty morskiej. A także córkę innego żołnierza. Jako człowiek honoru muszę dochować wierności poległym. Nie mogę na to nic poradzić, Jack. Taki po prostu jestem.

— Był pan wierny samemu sobie. Nie musi pan za nic przepraszać.

— Nie potrafię się zmienić. Jestem przede wszystkim żołnierzem piechoty morskiej, dopiero potem ojcem i mężem, a nawet Amerykaninem. Gdyby dowódca mojego korpusu uznał, że prezydent Stanów Zjednoczonych stanowi zagrożenie dla państwa, poprowadziłbym batalion marines przez Memoriał Bridge do ataku na Biały Dom.

W jego słowach nie było czelej przechwałki; wierzyłem, że mówi prawdę.

— Jak daleko zdołałby pan dotrzeć ze swymi marines? - zapytałem z czystej ciekawości.

— Gdybym miał odpowiednich ludzi i wykorzystał element zaskoczenia, mógłbym tej samej nocy podać ci na tacy głowę prezydenta.

— Jak miętówkę na poduszce - zauważyłem.

— Wybrałem zawód wojskowego - odparł. - I trudne stulecie, by go wykonywać.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, generale, że młody żołnierz, o którym mówimy, oraz córka innego żołnierza, która była razem z nim... zginęli przez czysty przypadek?

— Tak uważa moja żona. Gdybyśmy ujeli dzisiaj Jordana, stanąłby przed sądem i prawda mogłaby wyjść na jaw. Prawnicy, z którymi rozmawiałem, zapewnili mnie, że biorąc pod uwagę to, iż Jordan został księdzem, oraz jego skrucę, całkiem prawdopodobne jest, że nie spędzi ani jednego dnia za kratkami. Ale muszę go oddać w ręce sprawiedliwości. Jestem to winien tamtemu żołnierzowi i jego przyjaciółce. Jeżeli oni mogli umrzeć, on może zasiąść na ławie oskarżonych i wyjaśnić, w jaki sposób doprowadził do ich śmierci.

— Jordan mógł panu przyznać rację - oznajmiłem. - Ale panu zabrakło przyzwoitości, żeby poczekać i samemu go o to zapytać.

— Nie mów mi nic o przyzwoitości. Uważam, że mój syn zdradził swój kraj podczas wojny wietnamskiej.

— Jestem gotów się z panem zgodzić.

— Żona powiedziała mi, że pomogłeś mu uciec.

326

— Popęłnił zdradę celowo - oświadczyłem, zaniepokojony tym, że Celestine przekazała mężowi tego rodzaju obciążającą informację. - Nie chciał nikogo zabijać.

— Pomógłbyś osobie, która zdradziła swój kraj? - zdziwił się generał. - Co z ciebie za Amerykanin?

— Taki, który z pewnością nie podałby panu na tacy głowy

swojego prezydenta - odpałitem. - Wracając do pańskiego syna: pomógłbym mu zawsze, gdyby potrzebował pomocy. Dowiodłem tego.

— Nawet gdybyś miał podeptać przy tym flagę swojego kraju? - zapytał generał, wstając z fotela i stąpając po marmurowej posadzce. Zwlekałem z odpowiedzią, starając się rozważyć wszystkie implikacje jego pytania. Zbyt często udzielałem w życiu szybkich odpowiedzi. Cięty język był metodą obrony przed ludźmi, którzy starali się do mnie nadmiernie zbliżyć.

— Dla pańskiego syna podeptałbym nawet moją flagę, generale - odparłem w końcu.

— Obaj nie macie za grosz tego, co uczyniło wielkim ten kraj! - zawołał generał. Jego głos odbił się echem w całym mieszkaniu.

— Może rzeczywiście nie mamy tego zbyt wiele - zgodziłem się. - Ale trochę dałoby się wskrobać.

— Nie walczyliście w obronie ojczyzny - ciągnął dalej.

— Owszem, walczyliśmy. Tego właśnie nigdy pan nie zrozumie.

— Jak śmiesz w ogóle tak mówić? Widziałem wielu wspaniałych młodych ludzi, którzy oddali życie, walcząc w mojej dywizji.

— Byli rzeczywiście wspaniali - przyznałem mu rację. -

Na wojnie zawsze giną wspaniali młodzi ludzie. To powszechnie znany fakt.

— Nigdy się nie dowiesz, jak słodko jest ginąć za ojczyznę - nie dawał za wygraną generał.

— Podobnie jak pan. Nie chciałem, żeby zabrzmiało to jak pretensja, ale przeżył pan wszystkie wojny, jakie toczył ostatnio pański kraj.

— W co ty wierzysz, Jack? - zapytał z przekąsem. - Czy w ogóle jest dla ciebie coś świętego? Coś, czego nie pozwoliłbyś nikomu splugawić?

Ponownie zastanawiałem się chwilę nad odpowiedzią.

- Tak. Jest coś takiego - odparłem w końcu. - Nigdy nie zdradziłbym własnego dziecka.

327

Generał Elliott cofnął się, jakbym prysnął mu w twarz karbolem.

— Semper Fidelis - wyszeptał. - Te dwa słowa wryte są w moim sercu. Tylko one mogą wyjaśnić dzisiejsze wydarzenia. Utratę żony i syna. Semper Fidelis.

— Po raz pierwszy użyto ich właśnie w tym mieście - powiedziałem. - Ma pan jakieś pieniądze, generale? Miejsce, żeby się zatrzymać? Jadł pan coś dzisiaj?

Generał potrząsnął głową.

Objąłem go ramieniem i wyprowadziłem na korytarz.

— Nigdy nie dowodziłem oddziałem marines w Kambodży, generale, ale potrafię gotować jak mało kto. Mam pełno forsy w portfelu i wolny pokój z przyjemnym widokiem na plażę. Być może nie będzie to trwałe uczucie, ale dziś wieczór powinien mnie pan polubić.

— Dlaczego to robisz? - spytał podejrzliwie. - Powinieneś

nienawidzić mnie bardziej niż kogokolwiek.

— Oczywiście, że pana nienawidzę - odparłem ze śmiechem, wchodząc do kuchni i szukając paczki z makaronem. - Ale jest pan ojcem mojego najlepszego przyjaciela i nie chcę, żeby spędził pan noc na ławce nad Tybrem. Poza tym przygarniając pana, mam szansę udowodnienia naturalnej wyższości liberałów nad nazistami. Taka okazja zdarza się tylko raz w życiu.

Tak oto, w tę chłodną rzymską noc, kiedy wiejący od Apeninów wiatr ścinał cienkim lodem dysze małych fontann, generał Elliott zasiadł na stołku w mojej kuchni i po raz pierwszy w historii naszych ciernistych stosunków, my, dwaj wrogowie, rozmawialiśmy ze sobą jak mężczyzna z mężczyzną. Fakt, iż otarłem się o śmierć, otworzył we mnie coś, co wydawało się zamknięte na cztery spusty. Generał miał za sobą trudny dzień. Te dwa samotne słowa - Semper Fidelis - wiedły mu na języku, kiedy przypominał sobie pułapkę, jaką zastawił w dobrej wierze na własnego syna. Rozmawialiśmy ostrożnie, unikając sedna rzeczy, wszystkich tych pól minowych, które kępowały nasze ruchy i doprowadziły do przykrych wydarzeń minionego dnia. Z tego, co mogłem zaobserwować, Południe uwięziło Remberta Elliotta zaraz po urodzeniu, wzięło w jasyr jego szare komórki i nigdy nie pozwoliło mu na przerwę w odbywaniu kary ani jej nie skróciło. Przy tym wszystkim generał odznaczał się wrodzonym powierzchownym wdziękiem, bez którego nie sposób sobie wyobrazić

328

—
szybkiej kariery w wojsku. Ujmował mnie nim, gdy przygotowywałem mu posiłek i przyrządzałem kolejne drinki. Tego wieczoru dowiedziałem się wielu rzeczy o jego dzieciństwie, a także o moim dziadku, o Wielkim Żydzie, o rodzicach Shyli oraz o latach, które sam spędził w Citadel. Kiedy odprowadzałem go do jego pokoju, obaj zdążyliśmy się poznać z zupełnie nowej strony. Rozmawialiśmy jak dżentelmeni. Dzielili nas wiele pretensji i animozji, ale obchodziliśmy je ostrożnie, starając się spędzić z godnością ten trudny wieczór.

Podziwiałem odwagę, jaką okazał generał Elliott, pukając do drzwi swojego wroga, a on wydawał się wdzięczny za to, że je przed nim otworzyłem.

— Czy Jordan jest dobrym księdzem? - zapytał, kiedy dałem mu ręcznik i szczoteczkę do zębów. - Czy to tylko kamuflaż? Fragment gry, którą prowadzi?

— Pański syn jest prawdziwym sługą bożym - odparłem po krótkim namyśle.

— Nie dziwi cię to? - generał potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Czyżbym tak bardzo mylił się co do własnego syna? Czy nie było w nim choć odrobiny szaleństwa?

— Jordan Elliott był najbardziej szalonym sukinsynem, jakiego w życiu spotkałem - oznajmiłem, śmiejąc się cicho do własnych wspomnień.

ROZDZIAŁ 21

Od dnia kiedy przybył do Waterfordu, Jordan Elliott znany był jako "chłopak z Kalifornii". Dla mieszkańców Karoliny Południowej Kalifornia była miejscem, w którym amerykański sen zaczął płowieć na słońcu i szedł na manowce. Była zakazaną krainą, gdzie oddawano przesadną cześć wszelakim ludzkim pasjom i dawno wyzbyto się wszelkich hamulców.

Ten okres na zawsze miał pozostać dla nas latem Jordana. Nigdy przedtem nie widzieliśmy kogoś podobnego. Na ramiona opadały mu długie blond włosy i cały tryskał niespożytym, danym przez Boga zdrowiem. Choć niezbyt przystojny w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, miał odlaną w brzoju twarz długodystansowca i nieulekłą, choć nieco przygaszone oczy - oczy, które zapierały dech. Cały Waterford miał niebawem odkryć, że Jordan Elliott żyje tak, jakby swobodnie spadał z

lecącego wysoko samolotu. Przywiózł ze sobą z Kalifornii rewolucyjne idee i dzielił się nimi bez żadnego skrepowania.

Z owego lata pozostało mi wspomnienie przyjaciół i ich dusz - lekkich i szybujących jak dzikie kaczkę nad rozległym białym obrusem wielkich słonych moczarów; upajających się zielonym bogactwem łąd do tego stopnia kipiącego życiem, że rzeki pachniały niczym wydestylowana esencja sitowia i kurzego białka. Chłopcy z nizin tradycyjnie już spędzali wolny czas na otaczających Waterford wodach: wypływali na parodniowe rybackie wyprawy, unosząc się na falach zmiennych pływów i wcierając w opalone ramiona rozcieńczony dziecienną oliwką merkurochrom, podczas gdy ryby żerujące w rozświe-

330

lonej księżycową poświatą wodzie - sargusy, migrujące kobie, strzępiele z cętkowanym ogonem i słodkie pstrągi - walczyły

0 to, która pierwsza złapie się na haczyk i wylądnie na patelni, a potem w naszych brzuchach, by umilić nam te niewinne szczenięce lata. Rozlewiska po stokroć syciły chłopięce zmysły. Rzucając sieć, aby złowić przynętę, zamykałem oczy i czułem, jak płuca wypełnia mi nagrzone letnie powietrze. Wyobrażałem sobie, że jestem żeglarzem, marynarzem floty handlowej, za mieszkującą morze i bagna wodną istotą. Czując, jak spomiędzy palców stóp wypływa mi czarne błoto, słyszałem, jak morświn wlecze cefala w stronę piaszczystej łąchy na rzece.

Jordan spowodował w Waterfordzie prawdziwy kataklizm, choć dopiero po wielu latach mogliśmy ocenić, czy jego śmiałe pojawienie się w naszym mieście przyniosło więcej szkód, czy pożytku.

Przed swoimi rówieśnikami otworzył okno czasu, przynosząc im wiadomości z szerokiego świata. Życie było bajką, teatrem i mitem, ponieważ tego właśnie chciał Jordan.

Był synem podpułkownika, jednym z owych wędrownych, wymieniających się i zupełnie nie rzucających w oczy nastolatków, którzy wprowadzali się do bezbarwnych bloków mieszkalnych obu baz piechoty morskiej oraz szpitala marynarki, a potem z nich wyprowadzali. Ich życie było tak ulotne, że żaden z rdzennych waterfordczyków nie widział powodu, by tracić czas na zawieranie z nimi bliższej znajomości. Przewijali się po prostu przez nasze miasto i jego szkoły, w większości nie zauważeni i nie docenieni.

Capers, Mikę i ja po raz pierwszy zobaczyliśmy Jordana, idąc Dolphin Street na organizowany przez Legion Amerykański mecz baseballu. Był jeden z owych dni, kiedy powietrze aż kipi od intensywnych zapachów, chodnik parzy w dotyku

1 wszystkie rośliny wyglądają, jakby miały za chwilę stanąć w ogniu. Żar tkwił w samym środku rzeczy. Szliśmy główną handlową ulicą miasta, specjalnie się nie śpiesząc i wystawiając chciwie twarze na prądy chłodnego powietrza, płynące przez otwarte drzwi z wnętrza klimatyzowanych sklepów. Stojące na gładkiej zatoce żaglówki przypominały ważki zatopione w bur sztynie bezwietrznego popołudnia. Czas zatrzymał się w miejscu; w dzieciennych wózkach popłakiwały rozdrażnione upałem i obojętnością matek, skrepowane ubraniem niemowlaki. Słońce pisało swoje imię na skwierczącym asfalcie i w zasięgu wzroku nie widać było ani jednego psa.

331

— Co się tam, u licha, dzieje? - zapytał Mikę. On pierwszy z naszej trójki zauważył Jordana, który jadąc na deskorolce,

umiejętnie wymijał stojące w korku na Dolphin Street samo chody.

— Niech mnie diabli, jeśli wiem, i niech mnie diabli, jeśli mnie to obchodzi - prychnął z udaną obojętnością Capers, ale razem z Mike'em usłyszeliśmy w jego głosie lekki niepokój. Capers pełnił w naszej grupie rolę arbitra elegancji. Chętnie witał akolitów, reagował jednak gęsią skórą na wszelkich rywali.

— To ten nowy chłopak - powiedziałem. - Ten z Kalifornii.

Nigdy nie zapomnę widoku Jordana Elliotta, jego włosów koloru złota, spływających na ramiona, gdy sunął lekko na pierwszym skateboardzie, jaki kiedykolwiek przekroczył granice Karoliny Południowej. Patrzyłem z podziwem, jak kluczy między buickami i studebackerami, nie zwracając uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenia ludzi zatrzymujących się przy krawężniku. Miał na sobie kąpielówki, podartą koszulkę i tenisówki i pędził hałaśliwie i ostentacyjnie ulicą, biorąc ostre zakręty i wykonując zwroty, które wydawały się niewiarygodne i niemal nadludzkie.

Przeciwsłoneczne okulary, zabezpieczone gumową taśmą z tyłu głowy, przypominały bardziej maskę buntownika i banity aniżeli przedmiot, który ma coś wspólnego z prawami optyki.

Właściciele sklepów i klienci wybiegli na rozprażoną ulicę, żeby oglądać jego jazdę.

Zastępca szeryfa Cooter Rivers, który wypisywał właśnie mandat za niewłaściwe parkowanie turyście z Ohio, zauważył sprawcę poruszenia i gwizdnąwszy donośnie, kazał zatrzymać się Jordanowi pośrodku ulicy.

Zastępca Rivers był tęgim, niezbyt inteligentnym mężczyzną, który jak każdy niespełniony aktor uwielbiał wszelkie zgromadzenia. Zainteresowanie, jakie wzbudził wśród swych współobywateli, zbliżając się do długowłosego skateboardzisty, mile połechtало jego dumę.

— No, no, Mały Orle - powiedział. - Co my tutaj mamy?

— O co chodzi? Śpieszę się - Jordan spojrzał zza swoich ciemnych okularów, nie przejmując się najwyraźniej całym zbiegowiskiem.

— Umieść "proszę pana" na końcu tego zdania - rozkazał Cooter.

332

— Którego zdania?

— Co? - zapytał zmieszany zastępca. - Na końcu każdego, mój chłopcze. Każdego pieprzonego zdania, jeśli nie chcesz sobie napytać biedy.

— Przepraszam pana - odparł Jordan - ale nie rozumiem ani słowa z tego, co pan mówi. Czy mógłby pan mówić po angielsku?

Mikę i ja wybuchnęliśmy gromkim śmiechem. Zaśmiało się także kilku innych przechodniów.

- Słuchaj no, chłopcze - oświadczył podenerwowany zastępca. - Nie wiem, czy uważają cię za wesołka tam, skąd się urwałeś, ale spróbuj tylko zagrzechotać prętami mojej klatki, a zaraz policzę ci wszystkie dziąsła.

Jordan przyglądał mu się zza ciemnych okularów, nieprzenikniony, obcy, całkowicie opanowany.

- Co ten facet gada? - zwrócił się do tłumu i ponownie rozległy się głośnie śmiechy.

Cooter Rivers nie miał rzeczywiście najlepszej dykcji i nawet jego ziomkom z Karoliny Południowej trudno było nieraz zrozumieć, o co mu chodzi. Podenerwowany, mówił dwa razy szybciej niż zwykle i wychodziła wtedy na jaw lekka wada wymowy, której nie udało się nigdy skorygować w publicznych szkołach Waterfordu. Połykał głoski gardłowe i prawie nie wymawiał

wargowych. Kiedy wpadał w złość, wszystkie słowa zlewały się w niezrozumiały bełkot. Przeklinając pod nosem, wypisał mandat i wręczył go Jordanowi. Kiedy ten zaczął go studiować, w tłumie rozległy się brawa,

— Skończył pan szkołę średnią? - zapytał po chwili Jordan.

— Prawie skończyłem - odparł wzburzony Rivers.

— Źle napisał pan słowo "przekroczenie". I "ruch".

— I tak wiadomo, o co chodzi - zapewnił go zastępca.

— Co mam zrobić z tym mandatem, człowieku? - dociekał Jordan.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz go zjeść na lunch, Mały Orle - zawołał zastępca Rivers, oddalając się.

Tłum zaczął się rozchodzić i dlatego niewiele osób zauważyło, że Jordan włożył do ust swój mandat i zaczął go żuć z podobną metodycznością i flegmą, jak chrupiący marchew dorożkarski koń. Dokładnie pogryzł kartkę, a potem lekko się krztusząc, przełknął to, co z niej zostało.

- Grasz w baseball? - odezwałem się.

333

— Gram we wszystko - odparł Jordan, zerkając po raz pierwszy na wysokiego dryblasza z zadartym nosem, jakim wtedy byłem.

— Dobrze? - zapytał Mikę.

— Nie najgorzej - odpowiedział Jordan. W sportowym języku oznaczało to, że znaleźliśmy się w obecności prawdziwego mistrza. - Nazywam się Jordan Elliott.

— Wiem, kim jesteś - stwierdził Capers. - Jesteśmy da lekimi kuzynami. Nazywam się Capers Middleton.

— Matka powiedziała, że będziesz się wstydził mnie po znać - rzucił lekkim tonem Jordan. Jego pewność siebie była jednocześnie czarująca i odstręczająca.

— Słyszałem, że jesteś stuknięty - podjął Capers. - Właśnie to udowodniłeś.

— Capers! Cóż to za imię? Kapar to taka jagoda, którą w Europie dodają do ryb i sałatek. Ma parszywy smak.

— To rodzinne imię - odparł urażonym tonem Capers. - Występuje bardzo często w dziejach Karoliny Południowej.

— O kurczę - jęknął Mikę udając, że wymiotuje na kra węznik.

— Mój ojciec twierdzi, że tutejsi Elliottowie to grube szycy - bąknął Jordan.

— W Karolinie Południowej to znane nazwisko - zgodził się Capers. - Bardzo znane.

— Wiedziałem, że powinienem zabrać torbę do rzygania, kiedy ostatnio leciałem Deltą - powiedział Mikę i Jordan roześmiał się.

— Nazywam się Jack McCall - przedstawiłem się, podając mu rękę. - Moja rodzina praktycznie nie liczy się w tym mieście.

— Mikę Hess - uklonił się Mikę. - Capers dopuszcza nas czasem do komitywy, żeby tym piękniej jaśniał jego rodowy herb.

— Jack i Mikę pochodzą z bardzo dobrych rodzin - pośpieszył z wyjaśnieniem Capers.

— On uważa, że należymy do białej hołoty - powiedziałem. - Ale gdyby nie my, dawno umarłby z samotności.

— Nie powinieneś zjadać tego mandatu - pouczył go Capers. - Okazałeś w ten sposób brak szacunku dla prawa.
— Niech idzie z nami na trening - zaproponowałem. -
Mamy trzech kontuzjowanych graczy.
— Jak wytłumaczymy trenerowi Langfordowi jego długie włosy?

334

- Facet jest z Kalifornii - odparł Mikę. - To tłumaczy wszystko.

Trener Langford nie zdziwiłby się bardziej, gdybyśmy pojawili się na boisku z wodzem plemienia Mau Mau albo z tybetańskim wyplataczem koszyków.

— Co my tutaj widzimy? - zapytał.

— To chłopak z koszar, trenerze - powiedziałem. - Przyjechał prosto z Kalifornii.

— Wygląda jak ruski komunista - szepnął Langford.

— To kuzyn Capersa - stwierdził Mikę.

— Bardzo daleki - dodał szybko Capers.

— Powiadasz, że przyjechał z Kalifornii - powtórzył Langford. - Mamy jeden zapasowy strój. Grałeś kiedyś w baseball, synu?

— Trochę - odparł Jordan.

— Rzucałeś?

— Raz czy dwa.

— Dodaj do tego "proszę pana", synu - zażądał trener Langford.

— Proszę pana - powiedział Jordan takim tonem, jakby mówił "ty kutasie". Potrafił wyprowadzać dorosłych z równowagi, nie będąc przy tym w otwarty sposób niegrzeczny. Jordan Elliott był pierwszym znanym mi buntownikiem, który pojawił się w granicach Waterfordu, pierwszym, który traktował przed stawicieli wszelkiej władzy jak intruzów, starających się za wszelką cenę stłumić naturalną radość i entuzjazm młodości.

— Mam wrażenie, że popełniliśmy duży błąd, zabierając go na trening - mruknął Capers, kiedy obserwowaliśmy przebiegającego się Jordana.

— Mnie się podoba - stwierdził Mikę. - Ma wszystko w dupie. Zachowuje się dokładnie tak, jak zachowywałbym się ja sam, gdybym miał choć trochę więcej odwagi. Nie mam jej jednak i wcale się tego nie wstydzę.

— Jest wysportowany - dodałem, przyglądając się deskorolce. - Macie ochotę się na tym przejechać?

— Moja matka wszystko mi o nim opowiedziała. Już dawno powinni go oddać do poprawczaka - oświadczył Capers.

— Zobaczymy, czy potrafi rzucać - mruknałem.

— To biedny chłopak z koszar. Co roku zmieniają miejsce zamieszkania. Dajcie mu szansę - dodał Mikę.

— Żaden z nich nie potrafi nigdzie zagrzać miejsca - ciągnął

335

Capers. - Sami nie wiedzą, kim są. Nie mają żadnego kąta, który mogliby nazwać swoim własnym. Naprawdę mi ich żal.

— To przecież Elliott. Karoliński Elliott - przypomniałem, żeby się z nim podroczyć.

— Ze znakomitej rodziny. Naprawdę znakomitej - wpadł mi w ton rozradowany Mike.

Obserwując wychodzącego na boisko Jordana, Capers uśmiechnął się.

— Rzucaj, nowy - zawołał trener Langford, podając Jordanowi swoją własną rękawicę i piłeczkę. - Gdzie twoja czapeczka?

— Nie pasowała.

— To przez te przeklęte kalifornijskie włosy - stwierdził trener. - Musimy z nimi coś zrobić. Otis, bierz kij, synu.

Pozostali niech zajmą pozycje na boisku.

Łapacz, Benny Michaels, skończył zakładać swój ekwipunek, po czym przykucnął za stanowiskiem pałkarza i zaczął przyjmować próbne piłki od Jordana. Ten rozgrzewał się powoli, ale widać było, że nie po raz pierwszy rzuca piłkę. Nie wykonywał ani jednego zbędnego ruchu, jego rzuty były fachowe i precyzyjne. W tym momencie Otis Creed zaczął swoją gadkę.

Otis był jedynym chłopakiem w Pony League, który regularnie żuł tabakę i nie rzygał. Jego ojciec był bosmanem na przystani. Obaj mieli piegowate, opalone twarze ludzi, którzy dorastali wśród łodzi, i czuć było od nich mechaniczny zapach reperowanych silników. Potrafił rozłożyć na części silnik łodzi z równą łatwością, z jaką rekrut składa karabin M-1, ale był zupełnie bezradny, kiedy trzeba było narysować diagram zdania oznajmującego albo ustalić wartość x w najprostszym równaniu algebraicznym. Waterford słynął z ulicznych bójek, a Otis paradował po mieście z wysuniętym do przodu podbródkiem urodzonego zawiadacza.

- Nigdy jeszcze nie przyjmowałem piłki od panienki - oznajmił teraz wystarczająco głośno, żeby usłyszeli go inni. - Nawet niebrzydka.

Wśród zawodników rozległ się śmiech, ale był to śmiech nerwowy i ostrożny.

Jordan wziął rozmach i cisnął piłkę, celując prosto w wypełnioną plombami górną szczękę Otisa Creeda. To właśnie obserwując ten rzut, chłopcy z Waterfordu dowiedzieli się, jaką szybkość Jordan potrafi nadać piłeczce baseballowej. Benny

336

nie próbował nawet jej złapać. Uderzyła w drucianą siatkę z donośnym brzękiem, który przypominał pęknięcie struny w przestrojonej gitarze.

— Próbował mnie uderzyć. Zrobił to celowo - zawołał

Otis, wstając z ziemi. Otrzepał spodnie i pogroził kijem Jordanowi, ale ten nie zwracał na niego uwagi. Wsadził dłonie do pudełka z kalafonią i złapał piłkę, którą podał mu Benny.

Kiedy odbił ją o ziemię i chwycił z powrotem, pył eksplodował między jego palcami niczym puch osypujący się z kwitnącego mlecza.

— Rzucaj, nowy - rozkazał trener.

Następny rzut był równie mocny. Minał zaledwie o milimetr szyję Otisa, który ponownie stracił równowagę i przewrócił się jak długi na ziemię.

— Nie bądź taki spięty, Otis - zawołał trener Langford.

— To szalony człowiek, trenerze - odparł Otis.

— Wciąż przypominam ci panienkę? - zapytał Jordan.

— Żebyś wiedział, Żłoty Loczku.

Następna piłka trafiła Otisa prosto w zębra, z odgłosem, jaki wydaje trafiony nożem melon.

— Otis nigdy nie potrafił się w porę zreflektować - powie działem do Miice'a, który stał razem ze mną w głębi pola.

— Wygląda na to, że znaleźliśmy prawdziwego miotacza -

zauważył.

- Pytanie brzmi: czy umie trafić w bazę? - dodałem.

Otis podniósł się z ziemi, ryknął jak bawół i wymachując kijem, ruszył w stronę Jordana. Długowłosy chłopak nie wydawał się wcale przestraszony i wyszedł mu naprzeciw. Trener Langford dotarł między nich pierwszy i rozdzielił swymi sękatymi rękoma.

- Nie powinieneś robić sobie żartów z chłopaka, który ma taki mocny rzut - poradził Otisowi. - Potrafisz trafić w bazę, synu?

Nowy utkwiał błękitne oczy w cedzącym powoli słowa, cierpiącym na nadwagę trenerze, który prowadził stację benzynową, aby zarobić na życie, i wykonywał swe trenerskie rzemiosło z miłości do sportu i młodych chłopców. Już wówczas Jordan umiał w lot oceniać ludzi i był równie inteligentny jak nieobliczalny. Pod prymitywną, faszystowską skorupą, która stanowi regułę wśród południowych trenerów, dojrzał zacnego w gruncie rzeczy człowieka.

337

- Chciałbym teraz zobaczyć, jak posyłasz go na zieloną trawkę *, synu - powiedział Langford, rzucając mu z powrotem piłkę i w tym momencie Jordan wyczuł w nim braterską duszę.

Wylimitował Otisa w czterech rzutach. Co kilkadziesiąt sekund na boisku słychać było głośny pomruk podziwu, gdy lecąca z niesamowitą szybkością piłka lądowała z głośnym satysfakcjonującym plaśnięciem w rękawicy Benny'ego.

Jordan uzupełniał w jakiś elementarny sposób naszą trójkę. W trzeciej i czwartej klasie grał jako prawy halfback w ustawieniu, które zyskało sławę jako atak Middletona, i przez całe dwa lata przegraliśmy tylko dwa mecze. Jako koszykarz świetnie skakał i zbierał piłkę spod kosza, zdobył również w decydującym momencie punkty, które zapewniły nam mistrzostwo stanu w meczu ze szkołą z North Augusta. W baseballu z biegiem lat coraz bardziej poprawiał jakość swojego rzutu, a pod koniec ostatniej klasy, kiedy omal nie zawiódł swojej drużyny na mistrzowskie podium, jego piłka leciała z szybkością prawie dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

Capers pierwszy dostrzegł tkwiący w nim potencjał: pod rozwianą grzywą blond włosów zauważył czarujący i zarazem niebezpieczny uśmiech, niezwykle w swojej otwartości i szczerości. Rozpoznał też seksualny urok w aroganckiej pewności siebie tego nieszczęśliwego zbuntowanego chłopaka, który wydawał się prowadzić wojnę z całym światem dorosłych. Wyczuwając potencjalnego rywala, postanowił zaprzyjaźnić się z nim, zanim przybysz zdąży zagrozić jego pozycji.

Mike i ja nie protestowaliśmy, od najwcześniejszych lat nauczyliśmy się bowiem we wszystkim go naśladować. Capers traktował to jako jeden z przywilejów, przysługujących mu w ramach naszej od samego początku asymetrycznej przyjaźni. Dorastając w domu, w którym na serio traktowało się politykę, opanował dobrze strategię przemilczeń i zakulisowych intryg. Podrzucał Mike'owi pomysł, który wywoływał mój sprzeciw, i w końcu obaj zwracaliśmy się do niego z prośbą o pomoc i wstawiennictwo, a on odgrywał rolę arbitra, godzącego skaczących sobie do oczu przyjaciół. Swoją tyranie sprawował w atlasowych rękawiczkach i była to tyrania mile widziana.

* Pałkarz (batter), który nie odbije trzech prawidłowo wykonanych rzutów, schodzi ze stanowiska.

338

Capers lubił figle i dzikie wybryki, które Mike i ja wnosiliśmy do jego uporządkowanego życia; rzadko kiedy czegoś się od nas domagał i nigdy nie zwróciliśmy uwagi, że zawsze stawiał na swoim. Byliśmy pionkami w rękach politycznego gracza, który dyrygował nami w najbardziej wielkoduszny, uroczy sposób. Na Południu kotylion Machiavellego tańczy się bez przytupów, w rytmie na trzy czwarte.

Ale dopiero Skeeter Spinks naprawdę scementował przyjaźń naszej czwórki. Skeeter wywodził się z najniższych warstw białego Południa i wyniósł stamtąd naprawdę podły charakter. Lata, które spędził w szkole, były dla nastolatków z Waterfordu prawdziwymi rządami terroru. Skeeter lubił się przechwalać, że przynajmniej raz sprawił łomot każdemu uczniowi. Szczególnie bali się go ci bardziej inteligentni, znajdował bowiem szczególną przyjemność w ich upokarzaniu. Potężnie

zbudowany, łączył w sobie siłę wiejskiego parobka z wyjątkowo paskudnymi manierami oraz drażliwym i nieobliczalnym usposobieniem. Był jednym z tych śniących się po nocach łobuzów, którzy zatruwają w Ameryce młode lata każdemu, kto urodził się z penisem między nogami. Latem 1962 roku Skeeter Spinks szczególnie mnie sobie upodobał. Początki integracji rasowej wzbudziły w nim zacieklą nienawiść do czarnych, a jego tato twierdził, iż mój ojciec, sędzia McCall, jest osobiście odpowiedzialny za wprowadzenie tego wynalazku do walerfordzkich szkół. Jako świeżo upieczony dziewięcioklasista byłem trochę za młody, by mógł pobić mnie do utraty zmysłów, ale za każdym razem, kiedy znalazłem się w jego pobliżu, zakładał mi nelsona i upokarzał przed dziewczętami. Lubił także klepać mnie żartobliwie po twarzy, w miarę upływu czasu wkładając w tę czynność coraz więcej wigoru. Starłem się unikać jak ognia wszelkich miejsc, gdzie można go było spotkać, ale Skeeter zauważył to i szczególną frajdę sprawiało mu teraz szukanie, gdzie się przed nim schowałem.

Podczas odbywających się tego lata rozgrywek Pony League nie bardzo mogłem się przed nim ukryć, ponieważ Skeeter nie opuszczał żadnego meczu. Miałem od niedawna sześć stóp wzrostu przy stu pięćdziesięciu funtach wagi i nie byłem przyzwyczajony do swych nowych rozmiarów. Czułem się śmieszny i niezgrabny, Skeeter uznał jednak, że mój wzrost stanowi dla niego zagrożenie. Rok wcześniej skończył szkołę i pracował

339

teraz jako mechanik w warsztacie Chevroleta. Któregoś dnia dowiedział się, że nazwałem go "pryszczatym palantem".

Wiadomość była prawdziwa. Rzeczywiście splamiłem jego dobre imię, używając dokładnie wyżej wymienionych słów, wypowiedziałem je jednak w gronie przyjaciół i nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś powtórzy je Skee terowi. Tego dnia wracałem razem z Caperssem, Mike'em i Jordanem z emocjonującego meczu, który przegraliśmy ze szkołą z Summerville jeden do zera. Omawialiśmy właśnie po kolei wszystkie rzuty, kiedy nagle zahamowały przy nas z piskiem opon dwa samochody i wyskoczyli z nich Skeeter oraz pięciu jego koleżków, którzy przed rokiem grali w pierwszej linii w drużynie futbolowej. Wciąż byliśmy spoceni po meczu i mieliśmy na rękach rękawice. Jordan trzymał mierzący trzydzieści cztery cale kij marki Louisville Slugger, który zламаłem przy niewłaściwym odbiciu i który zakleił taśmą.

Skeeter przystąpił od razu do dzieła, uderzając mnie wierzchem dłoni w twarz. Upadłem na kolana, czując w ustach smak krwi.

— Słyszałem, że brzydko mnie nazwałeś - zaskrzeczał. -

Chcę zobaczyć, czy masz dość odwagi, żeby powiedzieć mi to w twarz.

— Jack powiedział, że masz książęce maniery i przynosisz prawdziwy szczyt białej rasie - próbował mi pomóc Mike.

— Zamknij się, Żydku - rozkazał Skeeter.

— Odczep się, Skeeter - odezwał się Capers. - Nikogo nie zaczepiamy.

— Stul dziób, piękniśiu, bo wyrwę ci język i rzucę krabom na pożarcie - ryknął Skeeter, waląc mnie w kark i posyłając ponownie na ziemię.

Wtedy właśnie Jordan uderzył kijem w chodnik, żeby dać po prostu do zrozumienia Skeeterowi, że w mieście pojawił się ktoś nowy.

- Hej, świński ryju - zawołał. - Wyglądasz, jak ten dzieciak z reklamy clearasilu. Masz jakieś policzki pod tymi krostami?

Mike zamknął ze smutkiem oczy. Jak później przyznał, wydawało mu się, że Jordan wymówił właśnie ostatnie słowa w swoim życiu i że Skeeter, ze swoim ilorazem inteligencji jarosza z epoki lodowcowej, wymyśli dla niego jakiś nowy straszliwy rodzaj śmierci.

— Nazwał cię świńskim ryjem - stwierdził Henry Oprych, który był środkowym w ich drużynie.

— Henry ma rację - wtrącił Mike.

— Zamknij się, Hess, bo wypatroszę z ciebie flaki i połknę je na surowo - odpalił Henry.

— Nie wierzę własnym uszom - syknął Skeeter, ruszając powoli w stronę Jordana, który zacisnął tylko mocniej palce na kiju. - Możesz to powtórzyć, bardzo proszę?

— Nie, szczytnośmrodzie - warknął Jordan. - Nie potwórzę tego, ty szpetny, oślouchy, szczerbaty kmiotku z hienim pyskiem. I nie podchodź do mnie bliżej, bo przez całą noc będziesz srał drzazgami z tego kija.

— Ooooch! - jęknęli z udanym przerażeniem członkowie bandy Skeetera. On sam roześmiał się głośno i udał, że kurczy się ze strachu.

— Jesteś jednym z tych gnojzków, których fala wyrzuca co roku na brzeg Pollock Island?

— Tak, jestem jednym z tych gnojzków - potwierdził Jordan. - Ale tak się składa, że jestem gnojkiem, który trzyma w ręku kij baseballowy.

— Zaraz zabiorę ci ten kij i zrobię z ciebie krwawą miazgę - poinformował go Skeeter. Jego głos przypominał syk węża. - A potem ogolę cię na łysą pałę.

— Najpierw musisz mi zabrać kij, kutasi łbie - przypomniał mu Jordan.

— Nie wkurzaj go jeszcze bardziej - poradziłem mu cicho.

— Ten gnojek jest już martwy, McCall - mruknął Henry Oprych.

— Nie masz dość jaj, żeby uderzyć mnie tym kijem - pro wokował Skeeter.

— Módl się, żeby to była prawda - odparł Jordan i ku zdumieniu wszystkich uśmiechnął się do Skeetera.

Wydawało się nienaturalne, że Jordan nie czuje najmniejszego lęku ani respektu przed Skeeterem. Przeciwnicy w oczywisty sposób nie pasowali do siebie: rosły mężczyzna stał naprzeciwko chłopca. Jordan trzymał po prostu kij i obserwował Skeetera, czekając ze spokojem i opanowaniem na jego atak. Nikt z uczestniczących w scysji nie wiedział, że Jordan Elliott od samego urodzenia musiał stawiać czoło rosłemu żołnierzowi piechoty morskiej. Bał się tego żołnierza z całego serca i niestraszni mu byli uliczni chuligani i łapsy.

Skeeter ściągnął splamiony potem i olejem podkoszulek i rzucił go jednemu ze swoich towarzyszy. Splunął w dłoń, zatarł je i stanął naprzeciwko Jordana z nagą klatką i wyraźnie zarysowanymi mięśniami, okrutnymi w swej prostej elegancji.

— Jezu - szepnął Henry Oprych, podziwiając jego wysportowane, wspaniałe ukształtowane ciało.

— Opowiedzcie o mnie swojemu przyjacielowi - poradził Skeeter, robiąc kilka markujących atak zwodów. - Jest w tym mięście nowy i jeszcze nie wie, że za chwilę pożegna się z życiem.

— Jordan, chciałbym ci przedstawić naszego naprawdę blis

kiego kumpla, Skeetera Spinksa - powiedział Mike. - Jesteśmy naprawdę dumni ze Skeetera. To nasz miejscowy rabiak.

Capers i ja roześmieliśmy się i przez chwilę wydawało się, że Skeeter zmieni kierunek ataku.

— Ja pierwszy, Skeeter - rzucił Jordan, ponownie skupiając jego uwagę na swojej osobie. - Skeeter? Nazywasz się jak ten mały przykry owad, który wysysa krew z dziecinnych tyłków? Facet, którego baliśmy się w Kalifornii, był surferem i miał ksywę Turek. My w Kalifornii nie przejmujemy się zbytnio dupkami nazywanymi się tak jak insekty.

— O Boże - jęknął Henry Oprych. - Ten chłopak aż się o to prosi.

— Tylko tchórz zamierza się na przeciwnika kijem baseballowym zamiast użyć pięści - mruknął Skeeter.

— Zgadza się - potwierdził Jordan. - Wielka szkoda, że nie walczysz z naprawdę odważnym sukinsynem.

— Bij się na pięści - rozkazał Skeeter. - Walcz jak mężczyzna.

— Chętnie bym to zrobił, Skeeter - odparł Jordan. - Ale różnimy się wzrostem. I różnimy się wiekiem. Jesteś ode mnie większy. Jesteś także większy od Jacka. Ten kij baseballowy wyrównuje więc choć trochę moje szansę.

— Jestem pewien, że nie odważysz się go użyć - zawołał Skeeter, rzucając się nagle bez ostrzeżenia na Jordana.

Tej nocy, gdy Skeeter Spinks leżał na oddziale intensywnej opieki w miejscowym szpitalu, całe miasto wiedziało, że się pomylił.

Dowiedziało się również o cechującym Jordana niezwykłym zmyśle równowagi i kamiennym spokojem. Jego ruchy były prędkie jak błyskawica; owego popołudnia, gdy Skeeter pró-

342
bował go zaatakować, przekonałem się, iż Jordan potrafi reagować z szybkością grzechotnika. Nie ulegało kwestii, że gotów był do walki od pierwszej chwili, gdy stuknął kijem w chodnik. Już wtedy zajął właściwą pozycję i wprowadził się w stan koncentracji, która przypominała modlitwę. To, czego byliśmy świadkami, to nie była po prostu odwaga, lecz rodzaj niefrasobliwości, której źródło było głęboko w jego wnętrzu. O mało nie zabił Skeetera Spinksa tym kijem.

Jordan ustąpił na bok, unikając pierwszej szarży napastnika. Plan Skeetera nie był taki zły: próbował zbić Jordana z nóg w ten sam sposób, w jaki przewracał małych obrońców, którzy stanęli mu na drodze podczas szkolnych meczów. Plan wziął jednak w łeb, kiedy Jordan zszedł z linii ataku i trzasnął go kijem w potylicę. To pierwsze uderzenie spowodowało lekki wstrząs mózgu; towarzyszący mu odgłos brzmiał, jakby ktoś kroił tasakiem kurczaka. Zamiast dać sobie spokój, upokorzony i wściekły Skeeter podniósł się na nogi i ruszył do kolejnego, aczkolwiek znacznie mniej precyzyjnego ataku na Jordana, który nie bez racji pokładał tak wielką wiarę w swoim kiju. Drugie uderzenie złamało Skeeterowi trzy żebra -jedno z nich przebiło mu prawe płuco. Dlatego właśnie rzygał krwią, kiedy przyjechała po niego karetka.

Skeeter jednak nie chciał pogodzić się z przegraną i po raz trzeci rzucił się na Jordana, który przyjął jego atak z tym samym niewzruszonym spokojem. Wtedy właśnie rozbił mu szczękę. Złamana szczęka zakończyła karierę Skeetera w roli miejscowego łobuza. Nigdy więcej nie przyśnił się żadnemu nastolatkowi w Waterfordzie i nie było nazajutrz ani jednego chłopaka w mieście, który nie powtarzałby z wdzięcznością nazwiska Jordana Elliotta. Policja nie interweniowała i przeciwko sprawcy pobicia nigdy nie wniesiono żadnych zarzutów.

Dopiero później miałem odkryć, że miłość i ból były w życiu Jordana synonimami. Kiedy się bliżej zaprzyjaźniliśmy i zdarzyło mu się być kilka razy świadkiem upokorzeń, których doznawałem

podczas pijackich burd mojego ojca, opowiedział mi, jak będąc w siódmej klasie uciekł z domu. Jego matka objechała wszystkie plaże południowej Kalifornii; kiedy go znalazła, wypatrywał właśnie następnej fali, która zaniósłaby go do Azji. Wkrótce potem pani Elliott zmusiła syna, by udał się do gabinetu psychiatry, do kapitana Jacoba Brilla. Jordan wiele razy opowiadał mi tę historię.

343

Po wejściu do gabinetu nie podał ręki psychiatrze i nie zwracając na niego w ogóle uwagi, zaczął studiować wystroj wnętrza. Po całej minucie, w trakcie której obaj nie odezwali się ani słowem, psychiatra odchrząknął.

- Cóż... - zaczął.

Jordanowi odpowiadało jednak milczenie i w ogóle nie zareagował. Mógł tak siedzieć całymi godzinami, nie wydając żadnego dźwięku.

- Cóż... - powtórzył doktor Brill.

Jordan w dalszym ciągu się nie odzywał, ale tym razem skupił uwagę na psychiatrze. Przez całe życie patrzył dorosłym prosto w oczy i niewielu potrafiło znieść zawarty w jego spojrzeniu niemy wyrzut.

- Dlaczego twoim zdaniem przysłała cię tu twoja matka? - zapytał doktor Brill, próbując nawiązać jakiś kontakt.

Jordan wzruszył ramionami i dalej przyglądał się siedzącemu przed nim, niezbyt przystojnemu blademu mężczyźnie.

- Musiała mieć jakiś uzasadniony powód - kontynuował doktor. - Sprawia wrażenie bardzo sympatycznej kobiety.

Chłopak kiwnął głową.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? Przyszedłeś tutaj, żeby mówić. Wuj Sam dobrze mi płaci, żebym cię wysłuchał.

W odpowiedzi Jordan odwrócił wzrok od doktora i zaczął się przyglądać wiszącemu na ścianie obrazowi, przedstawiającemu namalowane w różnych kolorach i przecinające się kwadrat, koło i trójkąt.

— Co widzisz, patrząc na ten obraz?

— Zły smak - odparł Jordan, spoglądając z powrotem na doktora.

— Jesteś krytykiem sztuki?

— Nie, ale biorąc pod uwagę mój wiek, można mnie uznać za aficionado.

— Aficionado? - powtórzył z przekąsem psychiatra. - Można cię również uznać za kabotyna.

— Mówię po hiszpańsku, doktorze, więc użycie tego słowa nie jest wcale kabotyństwem. Mówię także po francusku i włosku. Mieszkałem w Rzymie, Paryżu i Madrycie. Mój ojciec pracował w tamtejszych ambasadach. Moja matka kocha sztukę i uzyskała stopień magistra historii sztuki na uniwersytecie w Rzymie. Przekazała mi tę miłość. Niech pan mi wierzy, ten obraz nie spodobałby się jej jeszcze bardziej niż mnie.

344

— Nie jesteśmy tutaj, żeby dyskutować o moim smaku artystycznym - stwierdził doktor Brill. - Jesteśmy tutaj, żeby mówić o tobie.

— Nie potrzebuję pana pomocy, doktorze - oznajmił Jor

dan. - Świetnie sobie radzę.

— Nie tak oceniają to twoi rodzice i nauczyciele.

— Ja tak to oceniam.

— Wszyscy uważają, że cierpisz na głębokie zaburzenia psychiczne. Uważają, że jesteś nieszczęśliwy. Jestem tego samego zdania, Jordan. Chciałbym ci pomóc - powiedział doktor Brill. Miał łagodny głos i Jordan nie usłyszał w nim ani jednej fałszywej nuty.

— Jestem trochę rozstrojony - przyznał po krótkim wahaniu. - To prawda. Ale wszyscy myślą się co do przyczyny... Zasluguje po prostu na lepszych rodziców. Bóg popełnił fatalny błąd. Dostarczył mnie nieodpowiednim ludziom.

— Często to robi - zgodził się doktor Brill. - Ale twoi rodzice cieszą się dobrą opinią. Ty nie cieszysz się żadną. Mówią, że nie masz przyjaciół.

— Wolę być sam.

— Samotnicy są często nieprzystosowani - stwierdził doktor Brill.

Jordan nie dał się zaskoczyć.

— Podobnie jak psychiatry - odparł.

— Słucham?

— Psychiatry to najwięksi nieudacznicy pod słońcem. Mój ojciec powtarza to bez przerwy. Powiedział to i dzisiaj.

— Co dokładnie dzisiaj powiedział? - zapytał doktor Brill.

— Powiedział, że zostajecie psychiatrami, bo macie przesrane życie.

— Jeśli o mnie chodzi, twój ojciec ma absolutną rację - oświadczył doktor Brill, kiwając głową. - Miałem naprawdę parszywe dzieciństwo. Dlatego chcę teraz naprawiać świat.

— Nie potrafi pan naprawić mojego świata.

— Mogę spróbować, jeśli mi na to pozwolisz, Jordan.

— Znalazłem się tutaj przez pomyłkę. Moim rodzicom nie podoba się to, kim jestem. Problem polega na tym, że w ogóle mnie nie znają. Nic o mnie nie wiedzą.

— Wiedzą tylko, że masz same trójki i dwójki na świadectwie.

— Olewam to. Moi nauczyciele są tacy nudni, że przestają

345

przy nich tykać zegary. Nudziarstwo powinno zostać uznane za jeden z siedmiu grzechów głównych.

— Co cię nudzi?

— Wszystko - odparł Jordan.

— Ja też? - zapytał pogodnym tonem doktor Brill.

— Ludzie tacy jak pan, doktorze Brill, są jak śmierć - stwierdził Jordan, mierzając doktora swymi błękitnymi oczyma. - Nigdy nie uda się panu choć trochę mnie zrozumieć.

— Jestem piątym psychiatrą, do którego cię skierowano - powiedział doktor, zaglądając do swoich notatek. - Wszyscy podkreślają twój nieprzyjazny stosunek i niechęć do poddania się terapii.

— Nie potrzebuję psychiatry, doktorze. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas, ale jest coś, co pomaga mi tam, gdzie żaden z was nie może mi pomóc.

— Możesz mi powiedzieć, co to takiego? Chciałbym wiedzieć.

— Wierzę w Boga.

— Co?

— Wierzę w Boga. Jestem katolikiem.

— Niezupełnie rozumiem.

— Oczywiście, że pan nie rozumie - przytaknął Jordan. - Jest pan Żydem. Wśród psychiatrów jest wielu Żydów. Przynajmniej wśród tych, których spotkałem.

— Wydaje mi się, że twoja religijność stanowi pozytywny symptom.

— Dzięki - uciał Jordan, wstając z fotela. - Czy mogę już iść?

— Zdecydowanie nie - sprzeciwił się doktor pokazując, żeby siadł z powrotem. - Twoja matka powiedziała, że żywisz pewne obawy w związku z przejściem ojca na nową placówkę.

— Nie żywię żadnych obaw. Po prostu nie zamierzam tam z nimi jechać.

— Skończyłeś dwanaście lat. Obawiam się, że nie masz w tej kwestii żadnego wyboru. Powinniśmy chyba zastanowić się nad strategią, która ułatwiłaby ci odnalezienie się w nowym miejscu.

— Tak, mam dwanaście lat - potwierdził Jordan. - Wie pan, do ilu chodziłem szkół? Do dziesięciu. Zaliczyłem dziesięć szkół, doktorze. Wie pan, co to znaczy zaczynać każdą klasę w nowej szkole? To okropność. Nie ma w tym nic przyjemnego.

346

Kompletnie nic. Dlatego dzieci wojskowych mają takie prze-srane życie. Liżą każdemu dupę albo kończą w domu wariatów.

— Zmieniając szkoły, człowiek uczy się zawierać nowe znajomości - oznajmił doktor Brill głosem, w którym pobrzmięła nutka ironii. - Dzięki temu nabiera zaufania do siebie samego i staje się bardziej elastyczny. Uczy się organizować sobie czas i radzić sobie z przeciwnościami losu.

— Człowiek uczy się samotności - szepnął Jordan. - Tego tylko się uczy. Nikogo nie zna. Uczy się, jak żyć, nie nawiązując żadnych przyjaźni. A potem przychodzi do takiego jak ten gabinetu i ktoś taki jak pan zaczyna go pytać, dlaczego, do diabła, nie ma żadnych przyjaciół.

— Twój ojciec dostał transfer na Pollock Island w Karolinie Południowej - powiedział doktor, ponownie zaglądając do swoich notatek.

— Karolina Południowa - powtórzył z pogardą Jordan. - Rzeczywiście wymarzona placówka.

— Twój ojciec jest z niej zadowolony. Powinieneś się cieszyć, bo to korzystne dla jego kariery. To duży awans.

— Mój ojciec mnie nienawidzi - oznajmił Jordan, rzucając znowu okiem na abstrakcyjny obraz.

— Skąd o tym wiesz? - zapytał cicho doktor.
— Z autopsji - odparł chłopak.
— Twoja matka mówiła, że ojciec bardzo cię kocha. Twierdziła, że brakuje mu po prostu czasu, żeby wyrazić swoją miłość.
— Ma za to wiele czasu, żeby wyrazić swoją nienawiść.
— Czy twój ojciec kiedykolwiek cię uderzył? - zapytał doktor i w tym samym momencie poczuł, jak zamykają się wszelkie bramy, przez które mógł się komunikować ze swoim pacjentem.
— Nie - skłamał Jordan, wierny syn oficera piechoty morskiej.
— Czy kiedykolwiek uderzył twoją matkę?
— Nie - skłamał ponownie Jordan, rycerz tajnego bractwa.
— Czy ci dokucza?
— Tak.
— Czy krzyczy na ciebie i zamienia twoje życie w koszmar?
— Tak.

- W takim razie ustalmy strategię postępowania w Karolinie Południowej. Musimy obejść z flanki starego wiarusa.

347

Twoja matka powiedziała mi, że ojciec może stacjonować na Pollock Island przez wszystkie cztery lata twojej szkoły średniej.

— I co z tego?
— Będziesz miał czas się zaprzyjaźnić. Spróbuj to zrobić szybko. Poszukaj chłopaków, z którymi miałbyś ochotę trzymać sztamę. Jakichś miłych kolegów.
— W Karolinie Południowej? - zapytał Jordan. - Daj pan spokój. Będę miał szczęście, jeśli okaże się, że tamtejsze dzieciaki potrafią zawiązać sznurowadła.
— Uprawiaj wszystkie sporty. Znajdź sobie jakąś dziewczynę. Spędź noc poza domem razem z przyjaciółmi. Wybierz się na ryby. Twój ojciec będzie miał na głowie wiele obowiązków. Będzie często w stresie. Trzymaj się od niego z daleka. Znajdź sposoby, żeby nie wchodzić mu w drogę.
— Ja jestem jego hobby - oznajmił Jordan. - Chce, żeby był dokładnie taki jak on, a ja... ja prędzej umrę.
— Dlaczego pływasz na desce? Dlaczego zapuściłeś długie włosy? Żeby zrobić mu na złość?
— To doprowadza go do wściekłości - odparł z uśmiechem Jordan. - Dlatego zapuściłem długie włosy. Ale nie dlatego pływam na desce.
— A dlaczego? Chciałbym to wiedzieć.
— Surfing sprawia, że czuję przy sobie obecność Boga. Ocean. Słońce. Fale. Piąza. Niebo. Nie potrafię tego wyjaśnić, doktorze. To tak, jakbym się modlił bez słów.
— Czy rodzice wiedzą o twoich religijnych doznaniach?
— Nic o mnie nie wiedzą.
— Czy zawsze miałeś taki stosunek do wiary?
— To jedyna rzecz w moim życiu, która się nie zmieniła - przyznał Jordan. - Znajdowałem w wierze pociechę, kiedy byłem mały. Znajduję pociechę teraz. Tylko modlitwa sprawia,

że nie czuję się samotny.

— Jesteś szczęśliwy, mając swoją wiarę, chłopcze. Bardzo szczęśliwy.

— Jest pan Żydem. W co pan wierzy?

— Jestem Żydem - odparł cicho doktor, wycierając krawatem okulary. - I w nic nie wierzę.

— Przepraszam. To musi być straszne.

— Wspaniały z ciebie chłopak. Naprawdę wspaniały.

- Wchodząc tutaj chciałem, żeby pan mnie znienawidził.

Doktor roześmiał się.

348

— Spisałeś się na medal. Zaimponował mi twój duch walki.

Podoba mi się w tobie wszystko z wyjątkiem tego, że jesteś kłamcą.

— W którym miejscu skłamałem?

— Powiedziałeś, że ojciec nigdy cię nie uderzył. Powiedziałeś, że ojciec nigdy nie uderzył twojej matki - przypomniał doktor. Jego ton wskazywał, że wie o wszystkim.

— Nigdy w życiu nawet nas nie dotknął - zaprotestował Jordan, ale zrobił to bez przekonania.

Doktor klasnął w dłonie - nie dlatego, żeby się z niego naigrawać, ale w dowód szczerego uznania.

— Moje gratulacje. Obaj wiemy, że gdybyś powiedział prawdę, mogłoby to zaszkodzić jego karierze. Rozumiem, dlaczego musisz kłamać. Schodź mu z drogi, Jordan. Widziałem wielu mężczyzn jego pokroju. Stają się tym groźniejsi, im starsi robią się ich synowie. Jesteś wystarczająco inteligentny, żeby uniknąć jego pięści. Spróbuj go przechytryzić.

— Spróbuję - obiecał Jordan.

— Nie zaznałeś chyba w życiu zbyt wielu radości?

— Raczej nie.

— Jakie jest twoje najgorsze wspomnienie? Najgorsza rzecz, jaka ci się przydarzyła? Wiem, nie możesz powiedzieć mi niczego o twoim starym. Chodzi mi o twoją szkołę.

Jordan pomyślał o swoim krótkim życiu i uświadomił sobie, że nigdy nie otrzymał ani jednego listu od szkolnego kolegi. Nigdy nie zaproszono go na przyjęcie i nigdy jeszcze nie tańczył z dziewczyną.

— W trzeciej klasie - powiedział w końcu - przeniosłem się do nowej szkoły w lutym. To była moja trzecia szkoła w ciągu roku. W dzień świętego Walentego klasa urządziła wielkie przyjęcie i nauczyciel wystawił skrzynki z nazwiskami wszystkich uczniów. Rano każdy wrzucił walentynkowe kartki do skrzynek przyjaciół i osób, które lubił, a potem nauczyciel wyczytywał kolejno nazwiska uczniów, którzy wstawali i odbierali swoje kartki. Jedna dziewczynka, nazywała się Janet Te tu, dostała więcej niż sześćdziesiąt waleń tynek. Była taka ładna i miła, że niektórzy chłopcy wysłali jej po cztery albo pięć.

— A ty nie dostałeś żadnej - szepnął doktor.

— Nigdy żadnej nie dostałem - odparł chłopak. - Mój ojciec nie uznaje dnia świętego Walentego. Mówi, że to dobre dla smarkaczy.

349

- Żałuję, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Kiedy znajdziesz się w nowej szkole, uprawiaj dużo sportów. To sprawi przyjemność twojemu ojcu i pozwoli ci trzymać się od niego z daleka - poradził doktor.

Jordan potrząsnął ze smutkiem głową.

— Niezupełnie. Ojciec odbiera mnie po treningach. Wtedy właśnie jestem w potrzasku. To są najgorsze chwile. Kiedy jestem z nim sam na sam.

— Będzie cię odbierała twoja matka. Obiecuję.

— To pułkownik dyktuje prawa w naszym domu.

— To prawo wprowadzam ja - oświadczył doktor Brill. -

Odbiera cię twoja matka, w przeciwnym razie nie będziesz uprawiał sportów. Koniec. Kropka.

Później Jordan powiedział mi, że nie bardzo dowierzał psychiatrze, ale zgodził się zawrzeć z nim umowę.

— Twoja matka odwiedzała mnie przez cały ostatni rok - poinformował go doktor.

— Nic o tym nie wiedziałem - odparł zaskoczony Jordan.

— Bardzo się o ciebie martwi. Martwi się również o siebie.

— I co z tego?

— Dowiedziałem się od niej, co robi twój ojciec. Nie, nie bój się. Kazała mi przysiąc, że zachowam tajemnicę. Nie pozwoliła mi informować zwierzchników, a wszyscy wiemy, że oni i tak nie ruszyliby palcem. Matka uważa, że ojciec bardzo cię kocha, ale... obawia się również, że któregoś dnia może cię zabić.

Jordan wyznał mi, że słysząc te wypowiedziane na głos słowa, słowa, które zawsze uważał w głębi duszy za prawdziwe, wybuchnął płaczem. Poczł, jak coś w nim pęka, odkrywając ciemną czeluść, którą od dawna w sobie ukrywał. Wylał w życiu dość łez, by założyć małe akwarium słonowodnych rybek, ale były to zawsze łzy gniewu i połykał je w samotności. Siedząc teraz naprzeciwko tego niskiego miłego doktora, czuł, jak płyną ciepłymi strugami po jego twarzy. Płakał, ponieważ wyszedł na jaw ich sekret: ten niezgrabny niepozorny mężczyzna zdołał skłonić jego matkę, by nie kryła dłużej koszmaru, jaki oboje przeżywają. W dzieciństwie budził się często w środku nocy i przewracając z boku na bok dotykał policzkiem chłodnej wilgoci w miejscu, gdzie polały się łzy. Można było pomyśleć, że ktoś wylał szklankę wody na poduszkę.

- Rozmawiałem o tym z twoim ojcem - powiedział cicho doktor Brill, kiedy Jordan odzyskał nad sobą panowanie.

350

— Och, nie - jęknął zdesperowany chłopak. W jego oczach czaił się lęk.

— Wszystkiemu zaprzeczył. Pokazałem mu świadectwo lekarskie z zeszłego września, kiedy przyjęto cię do szpitala marynarki wojennej ze złamaną szczęką.

— Złamałem ją, grając w futbol - wyjaśnił Jordan.

— To samo powiedziałeś lekarzowi dyżurnemu - oznajmił doktor Brill, wręczając mu brązową kopertę. - Ale w tamtym roku w ogóle nie grałeś w futbol. Potwierdził to trener McCann.

— W tamtym meczu wzięło udział kilku zawodników spoza listy - oświadczył Jordan, próbując przechytryć psychiatrę.

— Zrobił to twój ojciec, Jordan - stwierdził z naciskiem doktor Brill. - Nie musisz dłużej kłamać, żeby go chronić.

— Co powiedział?

— Wszystkiego się wyparł. Z początku był bardzo spokojny i grzeczny. Potem, w dalszym ciągu wszystkiego się wypierając, zaczął tracić nad sobą panowanie. Kiedy przekonał w końcu sam siebie, że wszystko to wymyśliłem, wpadł w furję. Stawić mu czoło, kiedy jest się jego synem albo żoną, to naprawdę straszne.

— Czy w końcu się przyznał? - zapytał Jordan.

— Nie. Oznajmiłem mu, że nie szanuję oficerów, którzy łąą w żywe oczy.

— Powiedział pan to mojemu ojcu?

— Tak - odparł psychiatra. - Obiecał, że skopie mój tłusty tyłek.

— On mógł to zrobić, doktorze.

— Oczywiście, że mógł, ale zwróciłem mu uwagę, że sąd wojskowy z pewnością zakończyłby jego karierę. Zawarłem z nim umowę. Nie powiem nikomu ani słowa, jeśli przestanie was maltretować.

— Myśli pan, że to zda egzamin?

— Nie. Ale twoja matka w to wierzy. Chcę, żebyś ty też starał się pomóc, schodząc ojcu z drogi. Bądź grzeczny. Do stosuj się do jego reguł gry. Twoja poza twardziela i mądrali doprowadza go do białej gorączki. Unikaj jej, kiedy jest w do mu. Co jakiś czas będę kontaktował się z twoją matką. Czy możesz ściąć włosy?

— Nie. Na razie nie mogę dać mu tej satysfakcji. Zetnę je przed pójściem do szkoły średniej. Obiecuję.

— To wydaje mi się uczciwe. Życzę powodzenia. Napiszę do ciebie.

351

— Nigdy nie skontaktował się ze mną żaden z psychiatrów, których wcześniej odwiedzałem. I tak pan nie napisze, więc po co pan to mówi?

— Owszem, napiszę - powtórzył doktor Brill. - Co rok będziesz dostawał ode mnie list.

— Kiedy? - zapytał, wzruszając ramionami, Jordan.

— W dniu świętego Walentego - odparł lekarz.

Tego właśnie lata, w cienistych alejkach Waterfordu i na przesiewanych słońcem plażach Isle of Orion, Jordan Elliott wkroczył w nasze życie.

W rozgrywkach Pony League my czterej pierwsi stawaliśmy na pozycji pałkarza. Mikę odbijał pierwszy i prowadził w punktacji trafień. Capers odbijał drugi i prowadził w dublach i triplach. Jordan odbijał trzeci i doprowadził drużynę do finałów stanowych. Ja byłem najwyższym zawodnikiem w całej lidze i udało mi się tego lata zaliczyć dwanaście home-runów *.

Rozegrany przy sztucznym świetle mecz o mistrzostwo stanu z drużyną z Greer przerznięliśmy jeden do zera, kiedy grając na prawym skrzydle nie złapałem wysokiej piłki. Klęska była dla mnie prawdziwym ciosem, trener Langford przypomniał nam jednak, że żadna drużyna z Waterfordu nie zakwalifikowała się dotąd do finałów stanowych Pony League. Powiedział mi, że czeka nas jeszcze wiele mistrzostw i powinienem nauczyć się przegrywać, żeby później, kiedy dorosnę, bardziej cieszyć się wygraną.

Po meczu Jordan zaprosił nas na noc do swojego domu na Pollock Island. Możemy porządnie się

wyspać, powiedział, a potem pograć w koszykówkę na sali gimnastycznej albo popływać w basenie w klubie oficerskim. Zapytałem matkę o zgodę i otrzymawszy ją, dołączyłem do Mike'a i Capersa, którzy zajęli już miejsca na tylnym siedzeniu samochodu pułkownika Elliotta. Wyczerpany rzutami Jordan siedział z przodu, z włosami wciąż mokrymi od potu. Klęska bardzo nas zdeprymowała i obserwując pułkownika, który dyskutował na temat meczu z trenerem Langfordem, byliśmy bardziej przygaszeni niż zwykle.

- Zapytałeś ojca, czy nie ma nic przeciwko, żebyśmy prze-
nocowali? - zapytał Mike.

* Obiegnięcie wszystkich czterech baz przez pałkarza, za co drużyna otrzymuje punkt.

352

- Zapytałem mamę jeszcze przed meczem - odparł Jor-
dan. - Ojciec nie zwróciłby uwagi, gdybym zaprosił całą dru-
żynę Globetrotterów.

Pułkownik Elliott pożegnał się z trenerem i podszedł do stojącego w mroku samochodu. Miał na sobie mundur piechoty morskiej: nawet jego sylwetka wyglądała, jakby zamówił ją w kwatermistrzostwie. Wyprostowany jak struna poruszał się z wdziękiem pantery. Stanąwszy przy samochodzie, szukał przez chwilę kluczyków, a potem otworzył drzwi, wsiadł i zapalił silnik.

- Tato - odezwał się w ciemności Jordan.

Pułkownik Elliott nie odpowiedział. Zamiast tego trzepnął Jordana wierzchem dłoni w twarz tak mocno, że jego głowa uderzyła o zagłówek, a czapeczka baseballowa spadła na kolana siedzącego z tyłu Capersa.

— Podarowałeś punkty pięciu pałkarzom *. Pięciu cholernym pałkarzom. Mówiłem ci, żebyś nie ryzykował tego rzutu, dopóki go dobrze nie opanujesz. Nie mówiłem ci tego, mamin synku? Nie mówiłem?

— Tato - powtórzył Jordan, próbując ostrzec ojca o naszej obecności, ale natychmiast uciszyło go kolejne uderzenie.

— Podarowałeś temu gnojkwowi ostatni punkt. Twoja głupota kosztowała nas przegrany mecz.

— Ale to ja nie złapałem piłki, pułkowniku - odezwałem się z tyłu.

Zaskoczony pułkownik Elliott odwrócił się i zobaczył przyglądającą mu się w niemym szoku naszą trójkę.

- Nie wiedziałem, że tu siedzicie, chłopcy. Rozegraliście wspaniały mecz. To był w ogóle niesamowity sezon. Powiem wam tylko jedno: wy trzej pokażecie jeszcze temu miastu, na co was stać. Wstąpimy po drodze na koktajl. Co powiesz na koktajl truskawkowy, synu? - zapytał, zwracając się do Jordana, który wyglądał przez otwarte okno, wpatrując się w oświetlone boisko.

Jordan kiwnął głową i wiedziałem, że zrobił to, ponieważ bał się odezwać. Pułkownik Elliott fundnął nam wszystkim koktajle i w drodze do domu był naprawdę czarujący. Mnie i Jordana połączyła jednak tego dnia tajemna więź. Należeliśmy

* Po trzech nieprawidłowo wykonanych rzutach miotacza pałkarz ma prawo obieć wszystkie cztery bazy i jego drużyna uzyskuje punkt.

353

do tego samego obolałego plemienia. Nie ma silniejszego braterstwa niż to, które łączy dwóch chłopców zmuszonych toczyć nie wypowiedzianą wojnę ze swymi ojcami. Tej nocy opowiedziałem

Jordanowi o swoim własnym tacie oraz o roli, jaką odgrywał bourbon w nieszczęsnych dziejach naszej rodziny. Rozmawialiśmy aż do świtu, podczas gdy Capers i Mikę chrapali smacznie w pokoju gościnnym - szczęśliwi Capers i Mikę, których rodzice ani razu nie sprawili im lania. Kiedy dobiegł końca sezon Pony League, cała nasza czwórka spędziła dwa tygodnie na Isle of Orion pod opieką moich dziadków, Silasa i Ginny Penn McCallów. Pływając przy brzegu na deskach, łowiliśmy flądry i strzępiele z cętkowanym ogonem, a potem pałaszowaliśmy je na kolację. Tego lata odkryłem, że lubię gotować i karmić swoich przyjaciół, i cieszyło mnie, kiedy zajadali ze smakiem posiłki, które przyrządzałem na rozpalonej blasze. Kładłem na nią owinięte w aluminiową folię kolby kukurydzy, które obmyłem przedtem w morskiej wodzie i natarłem masłem, solą i pieprzem. Siedząc pod gwiazdami, opychaliśmy się wielkimi pomidorami, piżmianem, grochem i soloną wieprzowiną, przyprawioną papryką jalapeiro. Dziadkowie pozwolili mi buszować w ogrodzie i zbierając warzywa na następny posiłek, spacerowałem między karnymi rzędami purpurowych bakłażanów, melonów i ogórków. Silas powtarzał owego lata, iż ziemia na wyspach jest tak płodna, że można zakopać w niej dziesięć centów i zbierać pieniądze z drzewa, które z nich wyrosnie.

Co noc rozpalałem na plaży ognisko z wyrzuconych na brzeg gałęzi, podczas gdy pozostała trójka czyściła ryby. Drewno pachniało sargasem i słonym powietrzem - różanym olejkiem Golsztromu, którym nasiąkały smażone na maśle filety z pstrąga i strzępiela.

Podczas odpływu można nas było odnaleźć przy zachodnim brzegu wyspy, gdzie łowiliśmy krewetki. Wszyscy trzej pokazaliśmy po kolei Jordanowi, jak zarzucać sieć. Capers zrobił to pierwszy. Owinał linę wokół lewego nadgarstka, włożył między zęby fragment obciążonej sieci i złapał ją w dwu innych miejscach lewą i prawą ręką. Prawidłowy rzut wymagał posłużenia się nadgarstkiem, zębami i obu dłońmi. Wymagał również poczucia rytmu, praktyki i dobrej koordynacji ręki i oka. Jordan miał wszystko, co potrzeba, i przy piątym rzucie sieć rozkwitła przed nim w idealnym okręgu, piękna i cienka

354

jak pajęczyna. Tego dnia Jordan złapał swoje pierwsze białe krewetki i pierwszego błękitnego kraba. Wypełniliśmy krewetkami całą lodówkę i pitasiłem z nich różne dania przez następne dwa dni. Kiedy się skończyły, wybraliśmy się na kraby i złowiliśmy ich dosyć, żeby mieć co jeść przez cały tydzień. Któregoś dnia nadziałem ważącą cztery funty flądre farszem z krabów i krewetek, skropiłem ją sokiem z cytryny, dodałem czosnku i upiekłem w piekarniku babki. Eksperymentując z cayenne, papryką oraz oliwą z oliwek, stawiałem pierwsze kroki w tym, co miało się później stać moją profesją.

Leżeliśmy potem na plecach na piasku, stękając z przejedzenia. Jordan zaskoczył nas tym, że potrafił nazwać prawie wszystkie widoczne na firmamencie ciała niebieskie. Wenus była latarnikiem, który co noc zaczynał po zachodniej stronie nieba całe przedstawienie. Gapiąc się w gwiazdy, opowiadaliśmy sobie rzeczy, które nie miały żadnego znaczenia, ponieważ tylko takie historie potrafią opowiadać amerykańscy chłopcy.

Jordana czekało tego lata tylko jedno rozczarowanie - kiedy odkrył, jak wygląda przybój w jego nowym miejscu zamieszkania. Nigdy nie sądził, że ocean może sprawić mu tak wielki zawód. Stojąc obok deski surfingowej, wpatrywał się z niedowierzaniem w fale sunące do brzegu podczas odpływu.

— Co za frajerski ocean - stwierdził w końcu.

— Co to znaczy "frajerski ocean"? - zaprotestował Capers, jakby Jordan obraził całą jego ojczyznę. - To jest ocean, człowieku. Atlantyk.

— Do niczego się nie nadaje - oświadczył Jordan. - Nie jest dość duży.

— Nie jest dość duży? - zdziwił się Mikę. - Jak duży ma być twoim zdaniem? Przecież to ocean, na litość boską.

— Prawdziwy ocean to Pacyfik. Ten tutaj to zupełnie coś

innego.

— Czy wszystko w Kalifornii jest lepsze od tego, co mamy w Karolinie Południowej? - zapytał Capers. Już w pierwszym okresie ich przyjaźni Jordan potrafił obudzić w nim południowego szowinistę.

— Zgadza się. W Kalifornii wszystko jest lepsze. Ten wasz stan leży w Trzecim Świecie, chłopaki - odparł Jordan, obserwując niemrawe fale.

— Co chcesz przez to powiedzieć? - włączyłem się do rozmowy.

355

— Ujmijmy to w ten sposób. Karolina Południowa to Oklahoma Południa. Nie mogliście upaść niżej.

— Ale ty nazywasz się przecież Elliott - powiedział Capers. - To jedno z najświetniejszych nazwisk w dziejach Karoliny Południowej.

— Nic na to nie poradzę - kontynuował Jordan. - Ten stan i tak jest do dupy.

— Pochodzisz ze znakomitego rodu - upierał się Capers. - Niestety, nikt ci tego nie wytłumaczył. Ja też jestem EUiottem po kądzieli. Jesteśmy dalekimi krewnymi. O rodzinie Elliottów napisano wiele książek.

— O mojej rodzinie też napisano wiele książek - wtrącił Mikę.

— Wymień choć jedną - zażądał pół żartem, pół serio Capers.

— Genesis, Exodus, Księga Królów, Deuteronomium... - zaczął wyliczać Mikę.

— To się nie liczy - stwierdził Capers.

— Dla mnie się liczy - odparł Mikę.

— Dla ciebie może się liczyć. Dla mnie nie.

A potem, w połowie lipca, kiedy słabnący huragan z Karaibów dotarł do wybrzeży Karoliny Południowej i Atlantyk urodził wreszcie fale, które zrobiły wrażenie na chłopaku z Kalifornii, Jordan nauczył nas surfingu. Cierpliwy nauczyciel najpierw pokazał Mikę'owi, jak stanąć na desce, a potem zabrał Capersa w miejsce, gdzie łamały się duże bałwany i przejechał się razem z nim na trzeciej fali. Sztorm wzmagął się. Kiedy płynąłem wpraw w stronę siedzącego na desce Jordana, nad naszymi głowami zahuczał grzmot i skłębione czarne chmury przecięła błyskawica. Żeby nie dać się znieść z powrotem do brzegu, musiałem nurkować pod falami, które spadały na mnie z mocą walącego się małego budynku. Niebo było ciemne; deszcz smagał mnie po policzkach i oczach. Dotarłszy wreszcie na głęboką wodę, gdzie czekał na mnie Jordan, złapałem się kurczowo jego deski i nim poprosiłem instruktora o rozpoczęcie lekcji, przez kilka minut regenerowałem siły. Na lądzie widziałem gibkie jak tancerki palmy, które chyliły ku ziemi głowy w poddańczym nieśmiałym ukłonie.

- Nie boisz się piorunów? - zapytałem, kiedy niebo przecięły po raz kolejny straszliwe zygzaki.

356

— Pioruny nie trafiają kogoś takiego jak my - odparł z przekonaniem.

— A to dlaczego?

— Jesteśmy tutaj, żeby uczyć się surfingu - przypomniał mi Jordan. - To nie jest wykład o elektryczności. Więc postaraj się uważać. Obserwuj mnie. Wybierz falę, która wydaje ci się odpowiednia. Taką, której możesz stać się częścią. Mnie podoba się ta trzecia. Teraz patrz. Najważniejsze to wyczuć właściwy moment.

Patrzyłem, jak jego oczy śledzą rosnącą za nami trzecią falę. Kiedy nabrała siły i wysokości, Jordan zaczął energicznie wiosłować, aż deska przecinała wodę z tą samą szybkością co fala, która złapała ją i uniosła na swoim grzbiecie. W tym samym momencie Jordan stanął na desce, skulony, ale jednocześnie rozluźniony, kierując się ku przodowi fali, jak ktoś, kto pierwszy raz jedzie ruchomymi schodami. Deska przecinała wodę niczym tnący płótno nóż; Jordan wspiął się wysoko i zjechał w dół, a fala poniosła go w stronę plaży. Wyglądało to, jakby płynął do brzegu, trzymając się lwiej grzywy.

Stojąc na przygiętych nogach, ani na chwilę nie stracił równowagi; słyszałem, jak Mikę i Capers biją brawo, gdy spieniona biała kipiela dopadła go i poniosła na brzeg, gdzie zeskokczył z deski tak samo elegancko i lekko jak wchodząca do operowej łoży dama.

Płynąc do mnie z powrotem, podnosił deskę przy każdym nadbiegającym bałwanie i widziałem, jak wynurza się razem z nią z wody. Fale wydawały się nie mieć końca.

— Czy są takie same jak w Kalifornii? - zapytałem, kiedy podpłynął do mnie i złapałem się za brzeg deski.

— To są kalifornijskie fale! - odkrzyknął. - Fale, które zabłądziły. Należą do Pacyfiku. To jakaś wymiana między szkolna czy coś w tym rodzaju.

— Ta ostatnia karolińska fala dała ci wszystko, czego po trzebowałeś - powiedziałem.

— Nie ma w nich żadnego ładu. Kalifornijskie fale przychodzą seriami po siedem. Wybiera się trzecią albo czwartą, ponieważ są największe w cyklu. Tutaj panuje kompletny chaos.

— Z tego, co mówisz, Pacyfik wydaje mi się zbyt przewidywalny! - zawołałem, przekrzykując szum wiatru i morza.

- Nieskomplikowany.

— Atlantyk jest niewydarzonym, drugorzędnym oceanem! - odkrzyknął Jordan, ale widziałem, że ponownie obserwuje

357

zbliżające się bałwany. - Byłoby całkiem niezłe, gdyby huragan wiał tu codziennie. Ale nigdy nie będzie się umywać do Pacyfiku. Teraz twoja kolej, Jack. Widzisz tę formującą się czwartą falę? Nie bój się, kiedy runie w dół. Deska wchodzi wtedy w serce fali. Po prostu uklęknij na niej. Pamiętaj, wszystko polega na tym, żeby wyczuć powierzchnię nośną.

— Powierzchnię nośną? - zapytałem.

— Przypomnij sobie, czego uczyłeś się o powierzchni nośnej - odparł, popychając mnie mocno w stronę fali. - Wtedy wszystko stanie się jasne.

Tego lata zdobyliśmy sławę surferów, którzy okiełznali sztorm - pogromców huraganu, którzy nauczyli się pływać na największych falach, jakie nawiedziły w ciągu całego roku wybrzeże. Przejechałem się tamtego popołudnia na pięciu falach i zmieniło to mój stosunek do wody. Trzy razy spadłem z deski i zmieniło to mój stosunek do spadania. Olbrzymia fala wessała mnie pod siebie, obróciła kilka razy, trzasnęła w głowę deską, a potem katowała tak długo, aż straciłem wszelką orientację. Opity wodą wpadłem w panikę i rzucałem się wściekle we wszystkie strony, a później wyskokczyłem nagle jak korek na powierzchnię tylko po to, żeby po ułamku sekundy zmiądzły mnie ponownie spadające w dół tony wody. Morze było tego dnia niesamowite, Jordan

nauczył nas jednak, że jeśli się je dobrze pozna, nie musi być nieposkromione. Podkreślał bez przerwy, że trzeba zwracać uwagę na powierzchnie nośne zarówno fali, jak i deski. Wszystkie sporty stają się łatwe, powtarzał, jeśli sprowadzi się je do najprostszych praw fizyki.

Jordan był jednocześnie postrzelony i szaleńczo odważny i chociaż Capers traktował nieufnie jego brawurę, Mikę i ja skoczylibyśmy za nim w ogień. Jego pogoń za skrajnościami, odkrywanie doznań, których nie znali inni ludzie, uczyniły z tego lata czas wielkiej przygody. Od najmłodszego dzieciństwa obawiał się tylko jednego: że pochowają go żywcem w amerykańskim czarnoziemie rozpacz i marazmu, tam, gdzie niczego się nie czuje, a życie jest stwierdzonym notarialnie faktem, nie biletem na seans magii. Nie był poszukiwaczem wrażeń - w działaniu odnajdywał po prostu elegancję, której nie widział nigdzie indziej.

Tego lata wdrapaliśmy się wszyscy czterej na wieżę ciśnień w środku miasta, ponieważ Jordan chciał obejrzeć Waterford z lotu ptaka. Wskoczyliśmy w biegu do pociągu towarowego

358

i dotarliśmy aż do Charlestonu, a potem wróciliśmy ciężarówką wyładowaną dojrzałymi melonami. Jordan uwielbiał pokonywać wpływ duże dystanse i zadziwił Silasa McCalla, przepływając dwukrotnie między Pollock Island i Isle of Orion. Odległość między wyspami wynosiła osiem mil i po drodze trzeba było przeciąć tor żeglugowy. Jordan nie bał się głębi, prądów ani rekinów, a Silas nie widział w życiu pływaka, który byłby od niego silniejszy. Płynąc, wydawał się stanowić fragment tej samej tajemnicy, która reguluje rytm przyływów i odpływów.

Którejś nocy, gdy zaprosił nas do siebie Mikę, Jordan wymyślił, że jesteśmy członkami francuskiego ruchu oporu, wysłanymi w samobójczej misji przez de Gaulle'a. Mieliśmy wysadzić Pont Neuf w Paryżu w momencie, gdy będzie nim przejeżdżał Hitler wizytujący zwycięskie armie Rzeszy. Jordan sporządził fałszywe, ale realistycznie wyglądające bomby, które każdy z nas miał przymocować wodoodporną taśmą do filarów Waterford Bridge. Schowaliśmy ubrania i ręczniki na pokładzie stojącej na przystani łodzi i trzymając w rękach przypominające laski dynamitu, umiejętnie opakowane atrapy, skoczyliśmy nogami w dół do chłodnej rzeki. Kiedy założyliśmy ładunki, Jordan podpłynął do każdego z nas, aby sprawdzić, jak wykonaliśmy zadanie, i niezadowolony z tego, co zobaczył, przymocował ponownie fałszywy dynamit poniżej linii wodnej, zgodnie ze swoimi perfekcyjnymi wymaganiami. Patrzyliśmy, jak podłącza do lontów budzik oraz fałszywy zapalnik i daje wreszcie znak, że możemy popłynąć z prądem w stronę przystani. Jordan planował każde przedsięwzięcie z dokładnością do najmniejszego szczegółu. Gdy zdrowi i cali płynęliśmy z powrotem, zerknął na zegarek i powiedział: "teraz!", a my obejrzeliśmy się wszyscy, wiedząc, że most wyleciał w powietrze i zmasakrowane ciało Fuhrera spoczęło na dnie Sekwany. Jego zafascynowanie anarchią i mitem uciekiniera stawało się czasami źródłem nieporozumień, zwłaszcza w starciu z poglądami Capersa, który nigdy dotąd nie spotkał kogoś, kto tak uparcie wyzywałby los. Capers nie pamiętał, by którykolwiek z jego licznych kuzynów wykazał się podobnie buntowniczym usposobieniem. Fascynacja, jaką budził w nim Jordan, była jednocześnie poznawczej i osobistej natury, wszyscy Elliottowie i Middletonowie, których znał, byli bowiem fle-gmatycznymi konserwatywnymi dżentelmenami. Jordan przypominał mu, że ich wspólni przodkowie pomagali niegdyś

359

zrzucić jarzmo angielskiego króla, niektórzy zaś walczyli z Brytyjczykami pod komendą Francisza Mariona, tocząc z nimi zaciekle boje na malarycznych bagnach na północ od Char-lestonu.

- Zaczynaliśmy jako rebelianci, ludzie, którzy szli pod prąd - poinformował Capersa. - Nasi pradziadowie zapalali lonty, kiedy pod Fort Sumter padły pierwsze strzały wojny secesyjnej. Jestem bardziej od ciebie wierny duchowi naszych przodków.

- To się jeszcze okaże - odparł z powątpiewaniem Capers.

Kiedy w końcu sierpnia zaczęła się pełnia, postanowiliśmy wszyscy czterej wypłynąć księżycowi na spotkanie - dalej, niż odważyliśmy się kiedykolwiek przedtem. Jordan minął przybój i leżąc na desce wiosłował rękoma, sunąc po taili czarnej wody ćwierć mili od brzegu. Płynęliśmy powoli obok niego, łapiąc czasami za skraj deski i dając się pociągnąć niczym remora, która zażywa przejazdki na grzbiecie rekina.

— Skończył się grunt - ostrzegł Capers.

— Jeszcze trochę dalej - namawiał Jordan.

— Jesteśmy w mieście rekinów - stwierdził Mike.

- Nie należymy do ich łańcucha pokarmowego - uspokoił nas Jordan.

Mając pod sobą dwadzieścia stóp wody, zsunął się z deski i wszyscy czterej obserwowaliśmy przez chwilę migotliwą poświatę, która otuliła go swymi koronkami. Księżyc rozlewał się po powierzchni Atlantyku niczym wino z przewróconego kieliszka. Przebierając w wodzie nogami, bezbronni niczym przynęty, czuliśmy, jak prądy omywają nasze stopy. W oddali widać było domek strażnika, w którym siedział zapewne mój dziadek, czytając książkę i słuchając stacji nadającej muzykę country. Wypłynęliśmy tak daleko, że domek wyglądał jak stojący na mieliźnie kuter. Otoczeni ze wszystkich stron światłem, zanurzeni w posrebrzonym księżycem morzu czuliśmy się niczym perły, dojrzewające w miękkiej tkance ostryg. Puls naszych serc zaciekawił polujące pod wodą kulbiny, sierpiki i witlinki.

Nagle w odległości dwudziestu jardów od nas zaświstał wyrzucający wodę z nozdrzy morski ssak.

- Morświn - powiedziałem. - Dzięki Bogu, że to nie wielki biały rekin.

Po chwili na powierzchnię wynurzył się i podpłynął do nas kolejny morświn, a potem do deski zbliżył się trzeci i czwarty.

360

Czuliśmy obecność wielkich niewidocznych stworzeń, które obserwowały nas z morskiej głębin. Wyciągnąłem rękę, żeby dotknąć nefrytowej skóry jednego z nich, ale kiedy to zrobiłem, morświn zanurkował i w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą przecinała wodę jego płetwa, moja ręka dotknęła księżycowej poświaty. Delfiny wyczuły najwyraźniej woń chłopiącego przyływu i usłyszały śpiewające w wodzie hormony. Nikt z nas nie odezwał się, kiedy krążyły dookoła. To nocne spotkanie było czymś tak niezwykłym i doskonałym, że instynkt kazał nam zachować milczenie - a potem, tak samo szybko, jak się pojawiły, morświny odpłynęły na południe, gdzie czekały na nich ławice ryb.

Każdy z nas zapamiętał na zawsze tę noc na falach Atlantyku. Było to na kilka tygodni przed pójściem do szkoły średniej, w czasie gdy przekraczaliśmy śliską krawędź między dzieciństwem i dorosłością - pełni podziwu dla własnej odwagi, wolni od czujnego nadzoru dorosłych i zdani na łaskę obojętnych gwiazd i przeznaczenia. Nigdy w życiu nie zaznałem tak wielkiej swobody i radości. Tej nocy, kiedy przypląnęły do nas morświny, zawarliśmy ze sobą cichy pakt. Każdy z nas miał stale wracać pamięcią do owej deski surfingowej, do chwili gdy szczęście wydawało się w zasięgu ręki.

Przez ponad godzinę unosiliśmy się na falach naszego prywatnego Golfsztromu, rozmawiając o czekającym nas życiu i opowiadając żarty i anegdoty, które wśród nastolatków są jednocześnie źródłem intymności i metodą uniku.

Prowadząc ze mną i Ledare wstępne rozmowy na temat miniseriale, Mike bez końca powracał do owej nocy.

— Kto pierwszy zaczął wtedy mówić o samobójstwie? - zapytał mnie.

— Capers - odparłem. - Chciał wiedzieć, w jaki sposób każdy z nas odebrałby sobie życie.

— Co wtedy powiedziałem? - zapytał Mike. - Mam dziurawą pamięć.

— Alkohol i tabletki - przypomniałem mu. - Powiedziałeś, że ukradłbyś butelkę bourbona ojcu i fiolkę tabletek nasennych matce.

— Nadal dokonałbym tego samego wyboru - oświadczył Mike.

361

— Ja stwierdziłem, że wpakowałbym sobie kulę w łeb - dodałem. - Ale Jordan bardzo dokładnie zaplanował swoje samobójstwo.

— Tyle mniej więcej pamiętam - przyznał Mike.

— Powiedział, że ukradłby motorówkę z przystani na Pollock Island. Przedtem jeszcze napisałby list do rodziców o tym, jak bardzo kochał matkę i jak bardzo nienawidził ojca. Właśnie ojca obciążyłby winą za swoją śmierć. Ukradłszy łódź, płynąłby tak długo, aż zabrakłoby benzyny. Następnie starannie i me todycznie przeciąłby sobie żyły w obu rękach i pochłapał krwią całą łódź, pragnął bowiem, żeby zobaczył ją jego ojciec. Potem, czując, że słabnie, ześlizgnąłby się za burzę, ofiarowując swoje ciało Kahunie, bogowi przyboju. Wiedział, że jego ojciec wpadnie w szal, nie mogąc pogrzebać zwłok.

— Zaplanował sobie to wszystko w ósmej klasie? - zdziwiła się Ledare. - A jakiej odpowiedzi udzielił wara Capers?

— Bardzo prostej. Powiedział, że nigdy nie zdecydowałby się na taki krok. To dowód tchórzostwa, a on zawsze wolałby pozostać na miejscu i stawić czoło najbardziej nawet trudnemu problemowi.

— Cóż za szlachetność - mruknęła Ledare.

— Jesteś do niego uprzedzona - stwierdził Mike.

— To prawda - przyznała. - Biedny Jordan. Musiał być znacznie bardziej nieszczęśliwy, niż nam się wydawało.

— To będzie wielka scena - powiedział Mike.

Wiedziałem jednak, że spośród wszystkich osób, które dryfowały tamtej nocy na desce, centralną postacią był Capers. Capers, który urzeczywistniał konsekwentnie wizję tego, kim jest i kim będzie. On jeden z całej czwórki rzeczywiście obserwował sam siebie w różnych etapach swojego życia. Obce mu były wszelkie wątpliwości. Zawsze wiedział dokładnie, dokąd zmierza, i opanował bezbłędnie sztukę przybrzeżnej nawigacji.

Mieliśmy to odkryć znacznie później, gdy przypadkiem weszliśmy mu w drogę. Tamto lato przypieczętowało jednak naszą przyjaźń - przyjaźń, która w przyszłości miała przynieść gorzkie owoce i wycisnąć łzy z oczu wszystkim, którzy nas kochali.

CZEŚĆ IV

ROZDZIAŁ 22

W miarę zbliżania się wielkimi krokami dnia, w którym miałem zabrać Leah w zapomniane rejony mej przeszłości, czułem, jak jedna po drugiej otwierają się śluzy pamięci. Jako autor przewodników wyspecjalizowałem się w sztuce ucieczki od tego, co było we mnie najbardziej osobiste.

Utkwiwszy oczy w horyzoncie, odrzucałem wszelkie wezwania, by opisać własne gniazdo. Cała moja profesjonalna kariera zależała od tego, jak szczerze potrafię zerwać z przeszłością. Świat stał się moim tematem, a rodzinne strony bodźcem, który kazał go poszukać. W mojej głowie migotały światła tysiąca obcych miast, które potrafiłem opisać we wszystkich fascynujących detalach. Mogłem opowiadać bez końca o portach, do których wpływają wypełnione mandarynkami i

papryką czarne statki; o zadymionych bazarach, gdzie mały sprzedaje się na mięso, a młode dziewczęta na prostytutki; o zaułkach, gdzie pochyleni nad kartami tarota mężczyźni wymieniają uwagi w językach kompletnie pozbawionych samogłosek.

Waterford nie zapadł się jednak pod ziemię; jego dzieje drażniły uparcie moją podświadomość. Zbierając okruchy przeszłości i dzieląc się nimi z Leah, słyszałem brzące gdzieś w moim wnętrzu nuty dalekiego oratorium. Leah szczególnie ceniła te kilka opowieści o Waterfordzie, które ode mnie usłyszała, wiedziała bowiem, iż otwierają historię, w której pewnego dnia będzie musiała się odnaleźć. Zawsze powtarzałem jej, że nie ma na świecie nic wspanialszego od anegdoty, a jednak to ja właśnie byłem głównym cenzorem tekstów jej wyobraźni.

W ciągu trzech miesięcy, które dzieliły nas od wyjazdu do

365

Ameryki, usiłowałem opowiedzieć mojej córce wszystko, co pozwoliłoby jej zrozumieć i przetrwać zbliżające się spotkanie z rodziną. Po poznaniu kolejnych faktów Leah wzywała często Ledare i wysłuchiwała jej wersji tego samego wydarzenia. Pamięć Ledare była na ogół bardziej bezlitosna i precyzyjna od mojej: w jej relacji Waterford sprawiał wrażenie miasta, w którym króluje duszne decorum. Mój Waterford przypominał bardziej bal maskowy, którego przewodnim motywem były obłęd i niespodzianka. Nasze połączone relacje kształtowały w umyśle Leah dwoisty pejzaż.

Kiedy lecieliśmy przez Atlantyk, wyjąłem z teczki oprawny w skórę album fotograficzny, szczególny album, który trzymałem pod kluczem przez wszystkie te lata, gdy ukrywałem przed nią przeszłość. Otworzyłem go i pokazałem zdjęcia stojących przed stróżówką na Isle of Orion moich dziadków oraz fotografie jej wujów, następnie zaś, siedząc w samolocie, który przecinał jasne ultramarynowe niebo, przedstawiłem ich krótkie intymne życiorysy.

Uważne i grzeczne dziecko, Leah nauczyła się na pamięć wszystkich nazwisk i twarzy swoich bliskich i dalekich krewnych.

— Kto to jest, tato? - zapytała, spoglądając na wyblakłą odbitkę, zrobioną na papierze Kodachrome.

— To Mikę Hess, Capers Middleton i ja w pierwszej klasie.

— Jesteś mniejszy niż ja teraz - stwierdziła.

— Na tym polega działanie czasu - odparłem, studiując zrobione przed ponad trzydziestu laty zdjęcie. Pamiętałem moment, kiedy matka Capersa pstryknęła tę fotografię, i czułem na języku smak pecan sandies, które moja matka wkładała mi w pierwszej klasie do pudełka na lunch.

— A to co? - zapytałem.

— Mały śliczny piesek.

— To nie jest pierwszy lepszy mały śliczny piesek - odparłem.

— To Wspaniała Chippie! - zawołała Leah. - Ależ tato, ona jest taka mała i ładna. Myślałam, że Chippie była wielkości bernardyna.

— Nie - powiedziałem. - Co noc spała ze mną w łóżku.

Matka zaglądała do sypialni i wyganiała ją na dół, ale kiedy budziłem się rano, Chippie zawsze była z powrotem.

— Czy to mama? - Leah pokazała wystrojoną dziewczynkę o smutnych oczach.

366

— Tak, to mama. Chodziła wtedy do trzeciej klasy i przyszła, żeby pokazać mojej matce nową parę półbutów.

— Jestem taka podniecona, tatusiu - wyznała Leah, ścis kając mnie za ramię. - Nigdy nie śniłam, że spotkam swoją

rodzinę. Myślisz, że mnie polubią?

— Utopią cię w łyżce miodu.

— To coś dobrego? - zapytała.

— Pokochają twoją małą rzymską dupcię.

— To brzydkie słowo. Jesteś mi winien tysiąc lirów.

— Teraz już nie. Niedługo wylądujemy. Teraz jestem ci winien dolara.

— Czy czeka na nas Ledare?

— Nie. Przejdziemy przez odprawę celną w Atlancie, a ona będzie czekała w Savannah.

— Czy czujesz się podniecony, wracając do Waterfordu? - zapytała moja córka.

— Jestem przerażony - przyznałem. - Ale w Waterfordzie jest przynajmniej spokojnie. Nie dzieje się nic ciekawego - dodałem po chwili.

— W Waterfordzie dzieją się same ciekawe rzeczy - odparła Leah i zorientowałem się, że mówi to do albumu ze zdjęciami.

Przed wylądowaniem spojrzałem na zielone wzgórza i ukryte wśród lasów jeziora Georgii i próbowałem opanować ogarniający mnie lęk.

A potem, patrząc, jak moja córka przewraca w tę i z powrotem kartki albumu, zdałem sobie sprawę, że wychowałem dziecko, które spragnione jest prawdziwego domu, i będę musiał zapomnieć o własnych obawach.

Ledare odebrała nas z lotniska w Savannah i zawiozła prosto do restauracji Elizabeth przy Trzydziestej Siódmej, gdzie zamówiłem stolik jeszcze przed wyjazdem z Rzymu. Nie bardzo wiedziałem, jak będę zarabiał na życie, ograniczony do jednodniowych wypadów z Waterfordu, mój wydawca z "Food and Wine" opowiedział mi jednak o nowym pokoleniu kucharzy, którzy łączyli klasyczne kulinarne wykształcenie z zamiarem zrewolucjonizowania południowej kuchni. Choć próbowali, jak mi mówiono, dodawać owczego sera do sałatek, wszyscy zachowali sentyment do kasz i potraw z różną.

W eleganckim wiktoriańskim lokalu na obrzeżach starego miasta zajrzałem do kuchni, aby porozmawiać z Elizabeth Terry i jej pracownikami, którzy przygotowywali aromatyczne

367

i wymyślnie zaaranżowane dania dla elegancko ubranych gości. Elizabeth podała mi nazwiska kucharzy, którzy najmocniej zaangażowali się w dzieło transformacji. Tego pierwszego wieczoru w Ameryce zjedliśmy lekko strawną wspaniałą kolację, której na Południu w latach siedemdziesiątych nie sposób było spożyć nigdzie poza Nowym Orleanem. Leah zamówiła pasta amatriciana i uznała ją za wyśmienitą, dziwiąc się ojcu, który uprzedzał, aby nie liczyła na porządne spaghetti przed powrotem do Rzymu. Przyznając się do błędu, opowiedziałem jej o latach, kiedy harowałem jako recenzent kulinarny, kosztując upiornych kombinacji makaronu i sosu w wyrastających od Teksasu po Wirginię pseudowłoskich knajpach, które wszystkie, co do jednej, zasługiwały na zamach bombowy, w najlepszym zaś razie na zamknięcie przez inspekcję sanitarną.

Pierwszą noc pod niebem Karoliny Południowej spędziliśmy na Isle of Orion, w domu, który wynajęła dla nas Lucy. Ledare odebrała od niej wcześniej klucze, przeprowadziła wstępną inspekcję i uznała, że jest bardzo przyjemny. Stał na wysokim brzegu, z którego rozciągał się widok na słono wodną lagunę.

Przechodząc z pokoju do pokoju, miałem okazję stwierdzić, że właściciele, państwo Bonnerowie, bardzo starannie dobierali meble i obrazy. Byli ludźmi o wyrafinowanym smaku i przyglądając się ich rodzinnym fotografiom poczułem, że miałbym ochotę ich poznać. Na zdjęciach widać było zdrowe jasnowłose dzieci, których uśmiechy świadczyły dobrze o kunszcie orto-donty. Kuchnia była w sam raz i Ledare zaopatrzyła ją w zapasy żywności. W sypialni znalazłem biurko oraz łóżko z baldachimem, które - mogłem się założyć - przechodziło w rodzinie Bonnerów z pokolenia na

pokolenie.

Leah piszczała na górze z radości, znajdując sypialnię dokładnie taką, jaką sobie wymarzyła. Potem, kiedy brała prysznic, rozpakowałem jej walizki. Uważając, żeby nie pognieść ubrań, które z takim smutkiem i miłością składała Maria, włożyłem je do zabytkowej komody i parsknąłem śmiechem, odkrywając trzy paczki makaronu i całe pęto salami, zapakowane przez nią na wypadek, gdyby Amerykanie nie potrafili odpowiednio nakarmić jej podopiecznej. Zakarbowałem sobie w pamięci, aby zadzwonić rano do Marii i poinformować ją, że bezpiecznie wylądowaliśmy oraz że Leah zjadła spaghetti, które jej smakowało. Leah wyszła ze swojej nowej łazienki

368

pachnąca pudrem, z klejącymi się oczyma i zasnęła, zanim skończyłem pierwsze zdanie bajki. Kiedy zszedłem na dół, Ledare rozpałała ogień na kominku, do którego wcześniej już włożyła drzewo. Przyrzędziła mi drinka i podała go, a ja patrzyłem, jak płomień liże suche dębowe szczapy.

— Za twój powrót - powiedziała.

— Życie w tym domu może okazać się piekłem - stwierdziłem - ale jego wystrój jest uroczy.

— Może podejdziesz raz do życia inaczej i spróbujesz spędzić tu przyjemnie czas - zasugerowała.

— Postaraj się znieść moje egzystencjalne udręki - poprosiłem.

— Będziesz miał na nie mnóstwo czasu - odparła. - Dzwonił Mikę. Chce, żebyśmy w ciągu miesiąca napisali szkic scenariusza. Kazał ci powtórzyć, że ma dość wymówek i nalega, byś pokazał mu zaświadczenie od lekarza, że rzeczywiście postrzelił cię w głowę terrorysta.

— Ten projekt wciąż budzi wiele moich wątpliwości. Nie wiem, jak uda nam się spełnić jego oczekiwania, nie liżąc przy okazji tyłka Capersowi.

— To fascynujący temat - zaprotestowała. - Uważam, że możemy dowiedzieć się wielu rzeczy, o których nie mamy pojęcia. Może uda nam się odtworzyć trochę magii tamtych czasów.

— Niebezpiecznie jest pisać o tym, o czym się nie wie - powiedziałem.

— Niebezpiecznie jest tego nie robić - odparła, wstając do wyjścia.

Nazajutrz obudziłem się bardzo wcześnie i kiedy odwiedziła nas Lucy, oglądaliśmy właśnie występ telewizyjnego kaznodziei, który ostrzegał, iż dzień sądu jest bliski, ludzkość pogrążyła się bowiem w rui i poróbstwie. Lucy przygotowała obfite śniadanie dla Leah i zapytana o znaczenie słowa "poróbstwo", udzieliła jej kłamliwej odpowiedzi, którą natychmiast skorygowałem. Po śniadaniu matka upewniła się, czy Leah jest ciepło ubrana, po czym zabrała nas na pierwszy długi spacer cztero-milową plażą Isle of Orion. Trwał właśnie odpływ i ocean był gładki jak jezioro. Idąc wzdłuż brzegu, zbieraliśmy muszle

369

i przyglądaliśmy się obrośniętym przez skorupiaki gałęziom, które fale wyrzuciły na piasek podczas nocnego przypływu. Dzień był bezwietrzny i nawet mowy musiały trzepotać swoimi wielkimi skrzydłami, aby utrzymać się w powietrzu. Niebo odbijało się w wodzie, a dwadzieścia jardów od nas unosił się na leniwych falach brązowy pelikan.

Lucy pokazywała Leah miejsca, gdzie można się bezpiecznie kąpać, a także takie, gdzie woda jest

zdradliwa i można trafić na gwałtowne wiry. Wyjaśniła, że jeśli złapie ją powrotna fala, powinna poddać się prądowi, nie próbując z nim walczyć.

- Pozwól, żeby podwodny prąd zabrał cię na głęboką wodę, kochanie - mówiła. - Tam osłabnie i będziesz mogła wrócić powoli do brzegu, dając się nieść grzbietom fal.

Kobieta i dziewczynka studiowały razem usypane niedaleko słonych bajorek szczątki skorupiaków. Podnosząc pękniętą skorupę atlantyckiego błękitnego kraba, Lucy pokazała mojej córce biegnącą wzdłuż oderwanych szczypiec intensywnie niebieską smugę, "najpiękniejszy błękit, jaki można spotkać w naturze".

Leah była tak zaciekawiona i szczęśliwa, że spacer przedłużył się do kilku godzin. Lucy dzieliła się z nią całą wiedzą, jaką miała na temat wybrzeża. Zbierały wszystkie muszle, na które natrafiły, ale plaża usiana była głównie małymi muszelkami urąbków. Lucy obiecała, że sytuacja zmieni się wraz z nadejściem wiosennych przyływów, kiedy ocean zacznie się ogrzewać.

— Znajdziemy najpiękniejsze muszle, jakie ma do zaoferowania Atlantyk. I najradsze. Ale nie możemy się lenić. Będziemy wstawać o świcie i przychodzić tutaj po każdym wysokim przyływie.

— Możemy to zrobić, babciu - odparła Leah. - Tato powiedział, że potrafisz nauczyć mnie wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć o morzu.

— On sam też wie coś niecoś - stwierdziła skromnie Lucy, ale z jej twarzy było zadowolenie. - Oczywiście musiał dużo zapamiętać, odkąd uparł się, żeby zostać Europejczykiem. Po dejdź tu, moje dziecko. Pokażę ci, jak erozja niszczy tę plażę.

Lucy odnajdywała na Isle of Orion drukowany codziennie na nowo tekst całego stworzenia.

Podczas tych porannych spacerów umocniła się w wierze i zrozumiała, że dla życia tej planety nie jest ważniejsza od drobnego planktonu, który unosi

370

się w niewidocznej zawieszynie, stanowiąc najniższe ogniwo łańcucha pokarmowego. Lubiła wyobrazić sobie własny krwiobieg jako coś w rodzaju morza, nie różniącego się zbytnio od tego, którego brzegiem spacerowała teraz z Leah. Jej białaczka przypominała złośliwe czerwone przyływy, które atakowały latem brzegi Południa, uśmiercając całe ławice ryb i wprawiając w szal obżarstwa morskie ptactwo. Plaża była odpowiednim miejscem, by pogodzić się z cyklami wszechświata. Łagodziła strach przed śmiercią.

Patrzyła teraz, jak jej wnuczka biegnie w stronę wyrzuconego na brzeg młodego rekina. Kraby i mewy zaczęły go już trybować: rekin miał wydziobane oczy, a jakiś inny drapieżnik oderwał mu płetwę grzbietową.

- Nauczę ją wszystkiego - szepnęła korzystając z tego, że Leah nas nie słyszy - i zwiążę z Południem tak mocno, że nigdy nie uda ci się wrócić z nią do Włoch.

Posłałem jej wymowne spojrzenie, ale potem uznałem, że nie ma sensu się kłócić.

Po powrocie z plaży wybraliśmy się z Leah na przejażdżkę olbrzymim chryslerem le baron, którego za namową Lucy zostawili nam moi gospodarze. Pięć wysp i osiemnaście mil dzieliło nas od mostu J. Eugene'a Norrisa, za którym zaczynał się Waterford. Zaplanowałem tę wycieczkę jeszcze podczas rekonwalescencji w Rzymie, powtarzając wielokrotnie w myśli trasę i wybierając starannie ulice oraz domy, o których jej opowiem.

Zaraz za mostem skręciłem w prawo i ruszyłem powoli bulwarem, mijając pałacyki plantatorów, z fasadami zwróconymi na wschód, w stronę Afryki i słońca. Konary dębów obwieszane były soplami hiszpańskiego mchu i schowane za nimi domy wyglądały jak otulone welonem kaplice. Na marmurowych stopniach dworków drzemały myśliwskie labradory; za ceglanyimi murami kryły się przed oczyma gapiów starannie wypielegnowane ogrody. W tej części miasta dorastaliśmy razem z Shylą i mijane ulice zdawały się znikać we mgle straconego czasu, podobnie jak całe nasze

dzieciństwo.

Po kilku minutach znaleźliśmy się na głównej arterii handlowej, Porpoise Avenue, z jej osiemnastymi i dziewiętnastowiecznymi fasadami. Potrafiłem niegdyś wymienić z zamkniętymi oczyma wszystkie branże i właścicieli sklepów, w ostatnich latach napłynęło jednak do miasta wielu przybyszów,

371

otwierających sklepy ze zdrową żywnością i zaopatrzeniem biurowym. Pojawiło się także kilka banków o obcych nazwach, powiązanych z wielkimi instytucjami finansowymi z Charlotte. Przyglądając się szyldom najbardziej szacownych firm prawniczych, zauważyłem zmiany świadczące o śmierci starszych wspólników i awansie młodych ambitnych adwokatów, którzy pragnęli, aby ich nazwiska wygrawerowane były na widocznym miejscu na Porpoise Avenue. Mijając Lafayette House, pokazałem Leah szyld mojego ojca i brata: McCall i McCall, Kancelaria Prawnicza. Zamknięta była apteka Luthera, bliźniacy Huddle'owie przekazali w inne ręce swój zakład fryzjerski, a w kinie Breeze mieścił się teraz sklep z wytworną męską odzieżą. Tylko sklep Lipsitza z obuwiem stał na starym miejscu i jego trwanie wydawało się wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Mijając dom towarowy Rusoffa, poinformowałem Leah, że tu właśnie będziemy mogli znaleźć Maxa, Wielkiego Żyda. A potem, gdy trafiliśmy do biedniejszej części miasta, pokazałem jej mały piętrowy budynek z cegły, gdzie Rusoff założył pierwszy sklep zaraz po osiedleniu się w Waterfordzie. Minęliśmy Waterford High School oraz boisko futbolowe, gdzie dawno temu, gdy niewinność była iluzją, którą karmili się młodzi mieszkańcy Południa, nim świat nie dał im po głowie, grałem jako fullback, a Shyla i Ledare należały do drużyny klakierek. Każda uliczka przypominała mi przeszłość: widziałem rysy Shyli na każdej tablicy reklamowej, na każdym znaku stopu. Zrozumiałem, że wróciłem tutaj, aby po raz pierwszy od śmierci mojej żony stanąć z nią twarzą w twarz.

Jadąc De Marlotte Road, nazwaną tak ku czci francuskiego badacza, który wylądował w roku 1562 w miejscu, gdzie później wybudowano miasto, pokazałem Leah wstęgę Waterford River, połyskującą między wzniesionymi na wysokiej skarpie domami. Był czas, kiedy potrafiłem wymienić nazwiska wszystkich tutejszych rodzin i imiona dzieci, jednak śmierć i ludzka mobilność podważyły wiarygodność moich wspomnień. W końcu zatrzymaliśmy się przy bramie niewielkiego, lecz zadbanego żydowskiego cmentarza, pół mili od śródmieścia.

Otoczający go ceglany mur był pokryty bujnym bluszczem; dęby i topole zapewniały przyjemny cień. Otworzyłem ozdobioną Gwiazdą Dawida furtkę i trzymając za rękę Leah, ruszyłem wzdłuż grobów z hebrajskimi literami, które upamięt-

372

niały wszystkich Żydów, przybyłych do Waterfordu w ślad za Maxem Rusoffem.

Zatrzymałem się przy jednym z nagrobków i kiedy przeczytałem wyryte na nim imię Shyli, zaparło mi dech w piersi. Nie odwiedzałem tego grobu, odkąd ją pochowaliśmy, i widząc napis Shyla McCall, machinalnie zakryłem dłonią oczy. Nazwisko McCall wydawało się nie na miejscu pośród wszystkich tych Scheinów, Steinbergów i Keyserlingów.

- Och, tato - zawołała Leah. - To grób mamy, prawda?

Myślałem, że zdołam pocieszyć jakoś moją córkę, ale zupełnie odebrało mi mowę. Nagle powróciły do mnie wszystkie detale tamtej śmierci, a potem proces, który miał zdecydować o losie naszego dziecka. Ból wypalił we mnie wówczas łyżę i pozbawił czucia. Choć czułem się zupełnie zdruzgotany, w dalszym ciągu nie potrafiłem płakać. Wlepiając wzrok w nagrobek, głaskałem tylko po głowie płaczącą Leah.

— To nie ten cmentarz - wykrztusiłem w końcu.

— Wiedziałaś, że będziesz żartował.

— Tak łatwo przewidzieć, co zrobię?

— Tak. Zawsze żartujesz, kiedy jesteś smutny. Opowiedz

jakaś historię o mamie - poprosiła, klękając, żeby wyrwać chwasty pniące się pośród rosnącej na grobie jasnej trawy.

— Jaką lubisz najbardziej? - zapytałem.

— Opowiedz mi coś, czego jeszcze nigdy nie opowiadałeś.

Nigdy nie potrafię wyobrazić sobie, jaka była naprawdę. Nigdy nie wydaje mi się realna.

— Czy opowiadałem ci kiedyś, jak twoja mama doprowa dzała mnie do szału? Jak potrafiła działać mi na nerwy?

— Nie - odparła.

Opowiedziałem zatem Leah o Murzynce, na którą Shyla natknęła się w Charlestonie nie opodal sklepu z meblami Hen-ry'ego. Shyla miała serce socjalistki i duszę misjonarza, wrażliwą na każde ludzkie i zwierzęce cierpienie. Krótco po naszym ślubie, robiąc zakupy, znalazła leżącą w alejce, pokrytą wrzodami nieprzytomną Murzynkę.

Shyla zawróciła do sklepu i poprosiła Henry'ego Popow-skiego, żeby wezwał jej taksówkę, co ten z radością uczynił. Następnie nakłoniła niezbyt chętnego kierowcę, aby pomógł usadowić anonimową czarną kobietę na tylnym siedzeniu samochodu. Po przyjeździe na miejsce ponownie namówiła taksówkarza, aby pomógł jej wnieść kobietę do stojącej za jednym

373

z dworków przy Church Street dawnej powozowni, w której wynajmowaliśmy mieszkanie.

Kiedy wróciłem do domu z "News and Courier", gdzie pracowałem jako krytyk filmowy i kulinarny, doszło między nami do jednej z najgorszych awantur w całym małżeństwie. Shyla upierała się, że nikt o elementarnym poczuciu przyzwoitości nie przeszedłby obojętnie obok bezbronnej biednej Murzynki, która zemdląła w środku dzielnicy zamieszkaanej przez białych rasistów, ja natomiast utrzymywałem, że chętnie bym ją tam pozostawił. Jeśli to prawda! -

wrzasnęła Shyla, to poślubiła z całą pewnością niewłaściwego człowieka i musi poszukać sobie męża, który ma trochę więcej ludzkich uczuć. Ludzkie uczucia nie musiały wcale moim zdaniem oznaczać, iż oddam jedyne w naszym mieszkaniu łóżko pokrytej wrzodami i cuchnącej jak cap czarnej narkomance. Kiedy nasi gospodarze, mówiłem, dowiedzą się, że na liście lokatorów znalazła się czarna dziwka, natychmiast otrzymamy nakaz eksmisji. Nie mam zamiaru dostosowywać się do życzeń rasistów, odparła Shyla, i na pewno nie wyszłabym za ciebie za mąż, gdybym wiedziała, że jesteś zakamuflowanym nazistą. Nazistą! - wrzasnąłem. Wystarczy, że nie podoba mi się fakt, iż sprowadzasz do domu nieprzytomną narkomanę i ładujesz ją do naszego cholernego łóżka, aby okazało się, że jestem odpowiedzialny za istnienie wszystkich krematoriów w Bergen-Belsen. Każda kłótnia z tobą kończy się tym, że maszeruję przed Bramą Brandenburską na czele oddziału chłopców śpiewających uduchowioną wersję Horst Wessel Song. Nie musisz ukrywać swojej prawdziwej natury, odpaliła Shyla i żadne z nas nie zauważyło, że nasz gość ocknął się z letargu.

— Gdzie ja, kurwa, jestem? - usłyszeliśmy nagle.

— Jesteś, kurwa, w moim domu - odparłem.

— I możesz tu zostać, dopóki nie poczujesz się lepiej - dodała słodkim głosem Shyla.

— Nawet o tym nie myśl - wtrąciłem.

— Mój mąż jest podłym rasistą - wyjaśniła Shyla. - Nie zwracaj na niego uwagi.

— Porwaliście mnie czy co? - spytała zdezorientowana kobieta.

— Jasne - oznajmiłem poirytowany. - Żądanie okupu zostawiliśmy w sraczu twojej babki.

— Rasista do szpiku kości! - wrzasnęła Shyla, bijąc mnie

374

pięściami po piersi. - Rasistowski prymityw. Chodzę co noc do łóżka z szefem Ku-Klux-Klanu.

— Wspaniale - odparłem. - To coś nowego. W ciągu jednej minuty przenieśliśmy się z Oświęcimia do Selmy *.

— Należysz do klanu, człowieku? - zapytała kobieta.

— Nie, proszę pani - wyjaśniłem, starając się nie tracić nad sobą panowania. - Nie należę do klanu. Jestem białym biedakiem, nisko opłacanym i nie docenianym, który ma wielką ochotę zrzucić pani parszywy tyłek ze swojego łóżka.

— Ty świnió! - krzyknęła Shyla. - To właśnie przez takich jak ty drani południowcy zyskali sobie reputację zwyrodniałych oprawców.

— Dobrze to ujęłaś, złotko - stwierdziła kiwając głową kobieta.

— Nasz gość się ze mną zgadza - oświadczyła z triumfem Shyla.

— Ona nie jest naszym gościem - zaprotestowałem.

— Jeśli nie jestem waszym gościem, to co ja tutaj, kurwa, robię? - odezwała się rezolutnie kobieta.

— Jesteśmy jak dwie siostry - rozmarzyła się Shyla. - Jakie to piękne.

— Czy mogę się wykąpać? - zapytała kobieta.

— Oczywiście - odparła Shyla.

— Wykluczone - zawołałem jednocześnie z nią. - Zapomniałaś, że zaprosił nas na drinka mój wydawca?

— Wyobraź sobie, że nie zapomniałam - odpowiedziała Shyla. - Jestem gotowa udać się z tobą do domu tego neandertalczyka.

— Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli nie zabierzemy tam twojej nowej przyjaciółki?

— Muszę iść na przyjęcie z moim w niedługiej już przyszłości byłym mężem - powiedziała Shyla, zwracając się do Murzynki. - Ty możesz wziąć prysznic i zrobić się na bóstwo. Oto dziesięć dolarów na taksówkę. Zostaw swoje nazwisko i adres, żebym mogła zaprosić cię w przyszłym tygodniu na lunch.

— Nie ruszę się z domu, jeśli ta kobieta najpierw stąd nie wyjdzie - oznajmiłem.

* W miejscowości Selma podczas akcji rejestrowania się czarnych wyborców członkowie Ku-Klux-Klanu zamordowali w roku 1965 duchownego z Bostonu.

375

- Owszem, ruszysz się - zapewniła mnie Shyla - w przeciwnym razie jutro wystąpię o rozwód. Pierwszy rozwód w Karolinie Południowej, którego powodem będzie biały rasizm.

Mówiąc to wybiegła z naszego domku, a ja, łypiąc podejrzliwie okiem na Murzynkę, wyszedłem za nią.

Zanim wróciliśmy z przyjęcia u pana Manigaulta, kobieta zdążyła się wykąpać i najeść, po czym ukradła wszystkie ubrania, buty i kosmetyki Shyli, pakując je do skórzanej torby, którą dostałem od mojej żony na urodziny. Wychodząc z domu zabrała jeszcze srebrną tackę, która stała na sekretarzyku przy drzwiach. Następnie wezwała taksówkę i zadowolona z siebie zniknęła z powrotem w podziemnym świecie czarnego Charlestonu.

Stojąc teraz z Leah przy grobie Shyli, zachichotałem na wspomnienie tego epizodu.

— Z niczego, co nam się przytrafiło, nie zaśmiewaliśmy się tak bardzo jak z tej historii - powiedziałem. - Za każdym razem, kiedy lądowaliśmy w jakimś nowym mieście w Europie, twoja matka pytała szeptem: "Gdzie ja, kurwa, jestem?"

— Czy policja złapała kiedykolwiek tę złodziejkę? - zapytała Leah.

— Mama nie pozwoliła mi zawiadomić policji - odparłem. - Twierdziła, że Murzynka bardziej od niej potrzebowała tych rzeczy. Była zadowolona, że ją okradzione. Ja miałem wielką ochotę wpakować facetkę za kratki.

— Mama nie przejmowała się tym, że ta kobieta ukradła jej ubrania? - zdziwiła się Leah.

— Widziałem potem, jak paradowała w strojach Shyli - odparłem. - Robiąc raz reportaż, zobaczyłem, jak czeka na klientów niedaleko mostu na Cooper River, i poprosiłem fotografa, żeby zrobił jej zdjęcie. Shyla była zachwycona, kiedy umieściłem je w naszym albumie.

— Czy dostała nowe stroje?

— Pojechała do Waterfordu do Wielkiego Żyda, powiedziała mu, co się stało, i wróciła do Charlestonu z nowym kompletem garderoby. Zawsze mogła liczyć na Maxa.

— Gniewałeś się na mamę?

— Z początku byłem oczywiście wściekły. Ale całe to wydarzenie najlepiej oddaje charakter Shyli. Mogłem ożenić się ze stu dziewczynami z Karoliny Południowej i żadna nie zwróciłaby uwagi na leżącą na ziemi Murzynkę. Ale ja poślubiłem jedyną, która sprowadziła ją do domu.

376

Leah przez dłuższy czas wpatrywała się w grób matki.

— Mama była miłą osobą, prawda, tatusiu? - zapytała w końcu.

— Była kochana.

— To takie smutne, tato - wyszeptała. - To najsmutniejsza rzecz na świecie. Nic o mnie nie wie. Nie wie, jaka jestem i jak bardzo mogłabym ją kochać. Myślisz, że jest w niebie?

Uklękłem obok mojej córki? czując pod kolanem twardą chłodną ziemię. Pocałowałem ją w policzki i odgarnąłem włosy z jej twarzy.

— Wiem, co powinienem powiedzieć, żebyś poczuła się lepiej - szepnąłem. - Ale już ci mówiłem. Kwestie religijne wprawiają mnie w zakłopotanie. Zawsze tak było. Nie wiem, czy Żydzi wierzą w niebo. Zapytaj swojego rabbiego. Zapytaj Suor Rosarię.

— Myślę, że mama jest w niebie - stwierdziła Leah.

— W takim razie ja też tak myślę - odparłem. Trzymając się za ręce ruszyliśmy w stronę furtki, a potem, wsiadając do samochodu, obejrzelśmy się oboje, żeby po raz ostatni spojrzeć na grób Shyli.

Zapamiętałem tę wizytę na cmentarzu jako jeden z najtrudniejszych momentów w moim życiu. Czuję, jak ponownie wzbiera we mnie gniew na Shylę, starałem się go jednak nie okazywać. Skacząc wtedy z mostu, nie pomyślała o dniu, kiedy będę musiał przyprowadzić naszą córkę na jej grób i patrzeć, jak ją oplakuje. Tyle było rzeczy, o których Shyla w ogóle nie pomyślała.

Z cmentarza pojechaliśmy z powrotem Perimeter Road, mijając po drodze Williford Curve. Za szpetnym budynkiem miejskiego college'u skręciliśmy w lewo i po minięciu czterech przecznic zatrzymaliśmy się przed domem mojego dzieciństwa.

- Tutaj dorastałem - powiedziałem.

- Dom jest taki piękny. I taki duży - zachwyciła się Leah.

Weszliśmy na pomost i pokazałem jej miejsce, w którym

rzeka zakręca ostro w lewo, kierując się w stronę morza. Chcąc, aby Leah zorientowała się dokładnie w naszym położeniu, wskazałem najpierw, gdzie leży wyspa, na której spędziliśmy ostatnią noc, a potem, z grubsza, gdzie leżą Włochy. Mojej córki nie interesowała jednak ta lekcja geografii, w związku z czym ruszyłem z powrotem w stronę domu, mijając rosnące na grzędzawisku, nadwątlone przez chłód kępy trzciny. W zimie

377

mokradła zapadały w sen, w warstwie błota formowały się już jednak ostre jak okruchy szkła nowe pędy. Rodziły się nowe szuwary.

Tylne drzwi domu nie były zamknięte i kiedy weszliśmy razem do kuchni, poczułem zapach, który przywołał całe moje skomplikowane dzieciństwo. W jego skład wchodziła woń słonych moczarów, ale był tam również śmiech matki, mielona kawa, pieczone kurczaki, rzucone na stertę przepocone dresy, papierosowy dym i detergenty... prowadząc Leah za rękę, przypomniałem sobie to wszystko. Mroczny korytarz wiódł do jadalni. Wziąłem do ręki kryształową solniczkę i próbowałem wysypać na dłoń trochę soli, ale wilgotne powietrze zmieniło ją już dawno w miniaturową imitację żony Lota. Powąchałem pieprz, lecz był tak zwietrzały, że nie zakręciło mi się nawet w nosie.

Na górze pokazałem Leah moją sypialnię. Na jej ścianach wciąż znajdowały się proporczyki, które zawiesiłem jako chłopiec. Od dawna nie otwierany, zakurzony album z wycinkami opowiadał o mojej karierze prowincjonalnego sportowca, od Little League aż do college'u.

Leah wskazała drzwi, które prowadziły na strych. Jak wszystkie dzieci, uwielbiała stare rupiecie i połamane meble. Znalazła torbę z wrotkami i stertę dziwnie wyglądających kluczy, a zapuściwszy się głębiej, album fotografii, które zrobiono mi, kiedy byłem niemowlakiem. Był tam także klarnet, dziecinna łódka i pudło przeterminowanych kapoków.

Pozwalając jej myszkować na strychu, usiadłem i zacząłem machinalnie przeglądać stare albumy.

Wycinki postarzały się wraz ze mną; kiedy trafiłem na fotografię Shyli, która rzucała się w typowy dla klakierów sposób w ramiona Capersa, gratulując mu wygranego meczu, ogarnął mnie nieznośny smutek i odłożyłem album z powrotem na zakurzoną półkę.

Potem przyjrzałem się książkom w miękkich okładkach; najwyraźniej nikt nie ruszał ich przez cały ten czas. Strych służył mi przez wiele lat za schronienie przed dysonansami i smutkiem parteru i tutaj właśnie zakochałem się w książkach i autorach w sposób, jaki potrafią zrozumieć tylko zagorzali czytelnicy. Żaden dobry film nigdy nie poruszył mnie w takim stopniu jak dobra książka. Książki potrafiły na zawsze odmienić dla mnie świat. Wspaniały film był w stanie zmienić moją percepcję najwyżej na jeden dzień.

378

Ustawiałem zawsze książki w porządku alfabetycznym, od Agee do Zoli, i czytałem je z powodu brzmienia zawartych w nich słów, nie dla idei, które zawierały.

- Witaj, Holdenie Caulfieldzie - powiedziałem, biorąc z półki "Buszującego w zbożu". - Do zobaczenia pod zegarem w Biltmore. Przywitaj się z Phoebe. Jesteś księciem, Holdenie. Prawdziwym księciem.

Otwierając "Spójrz ku domowi, aniele", przeczytałem ponownie wspaniałą pierwszą stronę i przypomniałem sobie, jak w szesnastym roku życia te same słowa olśniły mnie nieludzkim pięknem języka, który był jednocześnie prośbą o zmiłowanie, inkantacją i szumiącą w mroku potężną rzeką.

— Cześć, Eugene. Cześć, Benie Grancie - powiedziałem

cicho. Znałem te postaci nie gorzej niż żywych ludzi. Literatura

jest miejscem, w którym odnajduję sens świata.

— Witaj, Jane Eyre. Cześć, Dawidzie Copperfieldzie. W Hiszpanii ryby biorą jak złoto, Jake. Strzeż się Osmonda, Isabel Archer. Bądź ostrożna, Nataszo. Nie daj się pokonać, Prince Andre. Śniegi, Ethan Frome. Zielone światło, Gatsby. Strzeż się dużych chłopców, Prosiaczku*. Naprawdę mnie to obchodzi, panno Scarlett. Las Birnam ruszył z miejsca, Lady Macbeth.

Z zadumy wyrwał mnie głos Leah.

— Z kim rozmawiasz, tato?

— Z moimi książkami. Wciąż tu wszystkie są, Leah. Mam zamiar je spakować i zabrać dla ciebie do Rzymu - powie działem. Zszedłem na dół, zajrzałem ponownie do swojej sypialni i otworzyłem okno, które wychodziło na ogród. Drewno było spalone i dobrych kilka minut zajęło mi odsunięcie siatki. Uporawszy się z nią, wyszedłem na płaski dach, z którego roztaczał się widok na rzekę i ogród.

— Chodziłaś kiedyś po drzewach? - zapytałem Leah.

— Nie po takich dużych. Czy to nie jest niebezpieczne?

— Kiedy byłem chłopcem, wcale tak nie sądziłem. Ale teraz,

* Holden Caulfield, Phoebe - bohaterowie powieści "Buszujący w zbożu" Jerome'a Salingera.

Eugene, Ben Grant - bohaterowie "Spójrz ku domowi, aniele" Thomasa Wolfe'a. Jane Eyre -

bohaterka powieści „Dziwne losy Jane Eyre” Charlotte Brónte. Osmond, Isabel Archer -

bohaterowie "Wieku niewinności" Edith Wharton. Ethan Frome - tytułowy bohater innej powieści

tej samej autorki. Prosiaczek - przezwisko jednego z bohaterów "Władcy much" Williama Goldinga.

379

kiedy pomyślę, że mogłabyś się na nie wdrapać, robi mi się słabo, kręci się w głowie i czuję się tak, jakbym miał zaraz dostać ataku serca.

— To po tym drzewie chodziłeś razem z mamą? - zapytała.

— Po tym - odparłem. - Teraz konary są takie grube, że można po nich śmiało stąpać, ale my będziemy szli na czwo rakach. Musimy być ostrożni.

— Czy ty i mama byliście ostrożni?

— Nie, byliśmy postrzeleni.

Postawiłem stopę na gałęzi, która dotykała dachu, a potem zszedłem niżej na kolejny konar, szeroki jak chodnik i stojąc na nim, podałem rękę Leah. Ten dąb był jedyną rzeczą z mojego dzieciństwa, która nie wydawała się mniejsza, niż ją zapamiętałem. Dotarliśmy do resztek domku zbudowanego kiedyś w koronie drzewa. Wciąż stanowił znakomity punkt obserwacyjny. Leah była zachwycona. Pokazałem jej ręką stojący na samym końcu ogrodu mniejszy biały dom. Stopnie jego skromnej werandy zamiatała starsza kobieta.

— To mama Shyli. Twoja babcia.

— Czy mogę z nią porozmawiać? - zapytała szeptem Leah.

— Zawołaj ją - powiedziałem. - Zapytaj, czy możemy ją odwiedzić.

— Jak mam się do niej zwracać?

— Spróbuj "babciu" - poradziłem.

— Babciu - zawołała Leah. Jej głos zadźwięczał niczym dzwonek pośrodku wielkiego drzewa. - Babciu.

Ruth Fox podniosła zaskoczona wzrok i nie odkładając szczotki, ruszyła do ogrodu, kierując się w stronę, z której dobiegał dziecinnie głos.

— Tutaj, babciu. To ja, Leah - pisnęła Leah, machając do niej ręką.

— Leah. Leah. Moja Leah - wyjąkała Ruth. - Oszaleliście? Złazcie z tego drzewa. Co ty wyprawiasz, Jack? Chcesz zabić przez głupotę moją jedyną wnuczkę?

Zeszliśmy po pniu i Leah skoczyła prosto w ramiona babki. Ruth przytuliła ją i wybuchnęła płaczem, a ja nie chcąc im przeszkadzać, odwróciłem się i nagle spostrzegłem coś, o czym dawno zapomniałem. W ciemnej toni ogrodowej sadzawki pływały przypominające chryzantemy złote rybki; stojący obok niewielki nagrobek był w oplakany stanie. Starłem brud

380

z płaskiego kamienia i zobaczyłem litery, które układały się w napis: Wspaniała Chippie. Postanowiłem, że pokażę Leah grób Chippie innego dnia, a potem, obracając się z powrotem, zobaczyłem, że Ruth powiedziała malej coś, co rozjaśniło jej twarz w uśmiechu. Byłem ciekaw, czy George Fox wie, że jego wnuczka wróciła.

Nagle usłyszałem dobiegające z ich domu dźwięki muzyki: rapsodię Rachmaninowa na temat Paganiniego. Wybór tej kompozycji zdziwił mnie, wiedziałem bowiem, że George Fox pogardza nią, uważając za banalną i sentymentalną. Wiedziałem jednak również, że rapsodia Rachmaninowa była ulubionym utworem symfonicznym Shyli. George grał ją teraz z taką pasją i przekonaniem, pragnąc złożyć hołd swojej córce i podziękować mi, że przywiozłem Leah do domu.

Muzyka umilkła i George Fox pojawił się w oknie swojego pokoju. Zmierzyliśmy się wzrokiem i fala nienawiści przepłynęła między nami niczym spieniony strumień.

- To dziadek - usłyszałem głos Leah, kiedy Ruth pokazała jej swego męża. Miłość do tego dziecka złagodziła naszą wzajemną wrogość i kazała poszukać w sercach bardziej ludzkich uczuć. Kiedy Leah wbiegała po schodach do ich domu, mój teść i ja ukloniliśmy się sobie wzajemnie. A potem George wymówił bezgłośnie słowo "dziękuję" i zniknął mi z oczu.

ROZDZIAŁ 23

Doświadczony autor przewodników, wracałem oto do punktu wyjścia; wkraczałem do zakazanego miasta Waterford, jakby udzielono mi wreszcie zezwolenia na podróż do surowej zaczarowanej krainy, która zabiła moją żonę i sprawiła, że zerwałem z rodziną i przyjaciółmi. To miasto było w moich oczach niebezpiecznym miejscem, miejscem najeżonym pułapkami i wilczymi dołami, w którym trzeba było mieć się stale na baczności.

To moja córka ofiarowała mi z powrotem Waterford w nadaniu i w darze. Odnalazła w nim magię, ponieważ tutaj zaczynały się i kończyły wszystkie moje opowieści i ponieważ każdego dnia natrafiała całkiem przypadkowo na ślady Shyli. W szkole siedziała w tej samej ławce przy oknie, gdzie, jak jej powiedziano, siedziała kiedyś jej matka. Po zajęciach szła do domu Foxów, gdzie George udzielał jej lekcji gry na fortepianie, a Ruth rozpieszczała, jak mogła, i była z tego bardzo dumna. Leah nie mogła się nadziwić, że tak długo unikałem tak miłego miasta. Rzym mógł zmieścić Waterford w małej kieszonce kamizelki i nie zauważyć nawet, że zmieniły się jego ruchliwe hałaśliwe przedmieścia. Pobyt tutaj był dla Leah czymś w rodzaju życia w miniaturze. W to miejsce wpisane były jej intymne uczucia. Uciekając z córką z rodzinnego miasta, udowodniłem jedynie, że uchodźstwo jest najpewniejszym sposobem uświęcenia drogi powrotnej do domu.

Choć nie mówiłem nikomu, jak długo zamierzam zostać, okres swego pobytu uzależniałem od zdrowia matki. Razem z Ledare pracowaliśmy nad scenariuszem dla Mike'a, ponieważ

382

dobrze nam płacił; oddawaliśmy się niespiesznie studiom nad przeszłością, odkrywając nowe zaskakujące szczegóły i prawie codziennie mogąc przebywać jakiś czas ze sobą. Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z kobietą, z którą dłuższa styczność byłaby do tego stopnia niekłopotliwa. Dzieje, które rekonstruowaliśmy, dotyczyły w znacznej części nas samych, im więcej jednak wskazówek otrzymywaliśmy od Mike'a, tym wyraźniej zdawaliśmy sobie sprawę, że motywem

kluczowym dla sukcesu całego projektu jest historia Jordana Elliotta. Miałem najwyraźniej zdania, że uda mu się wyprostować nasze życie, jeśli zdołamy odnaleźć sens w serii katastrofalnych wydarzeń, które poróżniły nas w tak wczesnym wieku. Dręczyła go nostalgia za czasem i przyjaciółmi, których nic nie mogło zastąpić. Ledare i ja odbyliśmy setki rozmów i pisaliśmy wspólnie scenariusz, który stanowiąc podstawę serialu, rzucał zarazem światło na najważniejsze chwile naszego życia. Wypytyując o innych, zebraliśmy tysiąc informacji o nas samych, jednak fakt, że w dalszym ciągu nie mogliśmy dowiedzieć się wielu rzeczy, sprawiało, że cała konstrukcja wydawała się nie dokończona i niestrawna. Jordan zaszył się w labiryncie katolickiej Europy. Ani Celestine, ani ja nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości od dnia, kiedy ojciec zdradził go na Piazza del Popolo. Wojna, jaką Jordan prowadził z ojcem, i skok Shyli z mostu były dwoma faktami, które wyznaczały horyzont naszych życiorysów na rozdzieranym konfliktami Południu. Koniec zimy i pierwsze miesiące wiosny zajęło nam rekonstruowanie faktów. Czekaliśmy na wydarzenie, które wyjaśni wszystkie niewiadome i dwuznaczne motywy naszej przeszłości. Brakowało nam rozwiązania, zakończenia. Powtarzałem sobie, że wróciłem do Waterfordu, aby pisać scenariusz, pokazać córce ludzi oraz kraj, z którego się wywodzi, i być może zadurzyć się trochę w Ledare. Tylko moja matka, która знаła mnie jak zły szeląg, wiedziała, iż wróciłem z powodów, do których nie mam odwagi przyznać się samemu sobie, i że nie wyjadę przed jej śmiercią. Serial stał się moją wymówką.

Każdego ranka o wpół do siódmej Lucy zabierała Leah przed szkołą na długi spacer brzegiem morza, zamieniając plażę w rękopis wielkiej piękności. W trakcie tych porannych przechadzek pokazała Leah, jak rozpoznać jaja rai i ciemny trójkąt rekiniego zęba, mówiła, jakie są różnice między rozgwiazdami i uczyła ogólnej estetyki zbierania muszli. Sama

383

najbardziej lubiła fantazyjnie pofałdowane anielskie skrzydła, ale także skromne oliwidy oraz muszle trąbika i wiercielca z racji ich wymyślnej, choć przypadkowej architektury. Zachowała również dziewczęcy sentyment do piaskowych dolarów, mimo że na plażach Isle of Orion można było spotkać istne zatrzęsienie tych krewniaków języ morskich, przypominających kształtem dublony. Obfitość, w jakiej występowały, deprecjonowała je nawet w oczach Leah, ich urok tkwił jednak, podobnie jak to było z innymi muszlami, w symetrii formy. Dla Lucy całe wybrzeże Karoliny Południowej było miłosnym listem od Boga - dosłownym tłumaczeniem olbrzymiej miłości, jaką żywił dla poszukiwaczy muszli z całego świata. Nauczyła także Leah rozpoznawać ślady pozostawiane na piasku przez samice żółwi morskich, gdy zaczynają w maju składać jaja. Po spacerze myły nogi wodą ze szlauchy, wycierały je pozostawionymi na pomoście wielkimi ręcznikami, po czym Lucy odwoziła Leah do szkoły. Ze względu na swoją chorobę matka nalegała, abym spędzał z nią wszystkie ranki, a ja z tego samego powodu specjalnie nie protestowałem. Dawała mi w ten sposób do zrozumienia, że jej dni są policzone, że musi ostatecznie uporządkować swoje życie i potrzebuje ze strony synów odrobiny wyrozumiałości, by móc to z godnością uczynić. Codziennie po południu George i Ruth Foxowie odbierali moją córkę ze szkoły, po czym szli w trójkę do ich domu na Point, gdzie Ruth częstowała Leah mlekiem i ciasteczkami, a George trzy razy w tygodniu udzielał jej lekcji gry na fortepianie. Leah grała z niezwykłą werwą jak na dziewczynkę w jej wieku i jedyną rzeczą, która przeszkadzała jej w osiągnięciu wielkości, był brak obsesji. Fortepian wymaga monogamii, a ona miała zbyt wiele innych zainteresowań, by poświęcić życie klawiaturze. George był jednak cierpliwym nauczycielem, a Leah nauczyła się dobrze podstaw gry we Włoszech. Wrodzona żywiołowość mojej córki przełamywała jego fascynację mrokiem. Grana przez nich muzyka sprawiała olbrzymią radość obojgu. Po każdej lekcji George grał specjalnie dla Leah, próbując jej pokazać, ile piękna można wydobyć z fortepianu, gdy ktoś ma dość czasu, by zostać jego wiernym sługą i miłośnikiem.

Każdy piątkowy wieczór Leah spędzała razem z dziadkami. Ruth zapalała szabasowe świece i podawała szabasowe potrawy. Przyrzekając Shyli, że wychowamy Leah w duchu żydowskim, byłem przekonany, iż główna część związanej z tym odpowie-

384

działności spadnie na ramiona mojej żony. Niewiele było pytań dotyczących judaizmu, na które potrafiłbym bez trudu odpowiedzieć; bez względu na to, ile czytałem książek, żaden tekst nie był w stanie rozjaśnić teologicznej dżungli, w której pieniały się niczym papaje dogmaty tej dzielącej włos na czworo, skomplikowanej religii. Starając się wychować ją na dobrą Żydówkę, nie rozumiałem w gruncie rzeczy, jakimi powinna odznaczać się cechami, by nią zostać. Nauczyliśmy się wspólnie kilku hebrajskich modlitw, czułem się jednak jak szarlatan za każdym razem, gdy wymawiałem te piękne tajemnicze słowa. Tekst, który czyta się od prawej do lewej strony, wprawiał mnie w podobną konsternację, co płynące na północ rzeki. Choć świetnie wiedziałem, że hebrajski jest starszy od angielskiego

O blisko dwa tysiące lat, wydawało mi się to sprzeczne z naturalnym porządkiem rzeczy. Odetchnąłem z ulgą, kiedy George i Ruth, w ogóle nie poruszając tej kwestii, wzięli na siebie religijne nauczanie Leah. Choć byli mi wdzięczni, nigdy nie zaprosili mnie na którąś z tych szabasowych wieczery. To, co zaszło między nami, wciąż paliło żywym ogniem. Grzeczność, z jaką się traktowaliśmy, graniczyła ze śmiesznością. Grając role w tym samym przedstawieniu, nie potrafiliśmy uniknąć pewnej sztywności i dysonansów. Wszystkie kwestie wypowiedziane były miłym głosem i wszystkie trąciły fałszem. Ruth próbowała złagodzić napięcie potokiem wymowy i piskliwym śmiechem i kiedy przychodziłem o wpół do szóstej po Leah, trze potęła dłońmi jak ptaszek. George chował się zawsze za nią, ze splecionymi z tyłu rękoma. Kłaniał mi się z powagą, na co odpowiadałem własnym straszliwie oficjalnym skinieniem głowy. Chociaż obaj ceniliśmy korzyści płynące z zawieszenia broni, żaden z nas nie wiedział, co zrobić, aby przełamać nieufność i nienawiść, które czuliśmy za każdym razem, gdy spotkały się nasze oczy. Ze względu na Leah udawaliśmy serdeczność, ze względu na Shylę nie stać nas było na nic więcej.

W pierwszym miesiącu po naszym przyjeździe przedstawiłem Leah wszystkim osobom, które odegrały jakąś rolę w życiu moim i Shyli, i pokazałem jej cały świat, w którym dojrzewialiśmy. Przeglądaliśmy razem szkolne albumy, które po ślubie ze mną Shyla zostawiła na strychu u swoich rodziców.

Między ich kartkami tkwiły licealne pamiątki: zasuszone płatki orchidei ze szkolnych balów sypały się na podłogę niczym zagubione rękawiczki elfów. Shyla zachowywała bilety do kina, odnotowując na nich skrupulatnie tytuł filmu oraz nazwisko

385

chłopca, który jej towarzyszył. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, odczytując raz po raz nazwisko Jordana Elliotta, zapisane jej wyraźnym charakterem pisma. Były tam programy szkolnych przedstawień, meczów futbolowych i spotkań w synagodze. Zapisywała również, opatrując je dokładną datą, oceny, które otrzymała z różnych przedmiotów. Między ostatnie strony, tam gdzie zamieszczone były wpisy przyjaciół, wsadziła swoje ocenione na piątkę z plusem wypracowanie na temat Lady Macbeth oraz entuzjastyczny list z gratulacjami, jaki dostała od nauczyciela angielskiego, Johna Loringa.

— Zobaczmy, co jej wpisałeś - powiedziała Leah, przerzucając kartki albumu.

— Mój Boże, mam nadzieję, że nie podpisałem się pod tymi głupotami.

— Owszem, podpisałeś się. Ożeniłeś się z mamą.

— Tak, ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to zrobię.

— Zobacz, znalazłam. Przeczytaj mi.

— Ten list jest gorszy, niż myślałem. Po prostu okropny.

Na trzeźwo nie zdołam go przeczytać.

Pod ujętym w wyraźny nawias słowem "zarezerwowane" wpisałem w swej nieopierzanej durnej młodości, następujący tekst: Droga Shylo, to ja, Twój stary kumpel, który też ma ochotę przesiać kilka „słodkich słówek” najśodszej dziewczynie pod słońcem. Nigdy nie zapomnę lekcji angielskiego w piątym semestrze i tego, jak rumienił się pan Loring za każdym razem, kiedy nazywałaś go ogierem. Spędziliśmy ze sobą masę czasu, ale powiem ci szczerze, że nie żałuję ani jednej minuty i wszystkie upływały w duchu dobrej niewinnej zabawy. (No, może nie do końca takiej niewinnej!) Kiedy będziesz miała dosyć tego sprośnego maniaka seksualnego, Jordana, wiedz, że możesz zawsze wdrapać się po drzewie do mojej sypialni. (Ha! Ha! To był żart). Nie zapomnij, kto był najlepszy w "bop-she-bop" i „ram-a-lang--a-ding-dong". Zapamiętaj do końca życia tegoroczną wycieczkę, zwłaszcza moment, kiedy Szalony Mikę wrzucił grzechotnika do samochodu pani Barlow. Postaraj się nie wpaść w lecie w zbyt wielkie tarapaty. W przyszłym roku, na uniwersytecie, będziemy się codziennie upijać. Dziewczynie, która jest zbyt słodka, żeby ją zapomnieć. Jack.

Podnosząc wzrok znad albumu, czułem się bardziej zakłopotany niż wzruszony.

- Byłem idiotą. Skończonym dupkiem. Teraz rozumiem, dlaczego Foxowie nienawidzą mnie ze szczerego serca - oznaj-

386

miłem. - Natomiast powód, dla którego wyszła za mnie twoja matka, pozostanie na zawsze wielką zagadką. - Mnie bardzo się spodobało - stwierdziła Leah.

Systematyczność nigdy nie należała do moich największych cnót, starałem się jednak zachować jej pozory wobec Leah. Jak większość dzieci, moja córka ceniła regularność. Przyzwyczajona była do stałego rozkładu zajęć, który wprowadzał w jej życie ład, porządek i poczucie celowości. Gdyby nie ona, wszystkie moje podróże zaczynałyby się pewnie o północy, a posiłki kończyły w ciszy i blasku gwiazd o trzeciej nad ranem. Obecność Leah wnosila w moje życie trochę normalności; stanowiła antidotum na moją wrodzoną chaotyczność.

Kilka razy w tygodniu wpadaliśmy o szóstej na drinka do Lucy i doktora Pittsa. Zależało mi, aby spędzić jak najwięcej czasu z moją matką i chociaż przeszkadzała mi trochę obecność względnie obcego człowieka, uprzytomniłem sobie szybko, że w gruncie rzeczy doktor Pitts należy do naszej paczki. Przez całe swoje życie Lucy szukała mężczyzny, który traktowałby jak wyroczenie każde wypowiedziane przez nią słowo i odnosił się z największą powagą do jej najbardziej ekstrawaganckich pomysłów. Znalazła kogoś takiego w osobie Jima Pittsa. Doktor ubóstwiał ją. Nie chciałem przekazać Leah w spadku mojej chłodnej mil-kliwości. W głębi duszy obawiałem się, że to ona właśnie była przyczyną śmierci Shyli. Wracając do domu, aby być razem z matką, miałem nadzieję, że uwięziona we mnie góra lodowa wypłynie w końcu na ciepłe wody Golfsztromu, który także należał przecież do mojego dziedzictwa.

Matka wyjątkowo dobrze znosiła okres remisji; odzyskała różaną cerę i dopisywało jej zdrowie.

Wiedzieliśmy, że są to oznaki fałszywej wiosny, lecz Lucy zaraziła nas swoją radością życia i wszystkim udzielił się jej entuzjazm. Widać było, że nie ma zamiaru poddać się bez walki.

Tego popołudnia siedziałem w salonie ich nadmorskiego domku, obserwując doktora Pittsa, który jak zawsze o szóstej po południu przystępował do sztywnego rytuału nalewania drinków.

— Jaką wybierasz truciznę? - zapytał.

— Dżin Bombay. Czysty. Z kropelką cytryny - odpowie
działem.

387

— A pani, mademoiselle! - zwrócił się do Leah.

— Poproszę o lemoniadę, doktorze - odparła.

Z ogrodu wyszła Lucy i ucałowała nas oboje. Jej pocałunki były nonszalanckie i lekkie, tak jakby

nie przywiązywała do nich żadnego znaczenia. Pachniała dziką szalwią i ziemią.

— To co zwykle, złotko? - zapytał doktor Pitts, krzątając się przy zastawionym kryształowymi karafkami zabytkowym barku. - Napój miłosny numer dziewięć?

— To brzmi bosko, kochanie - odparła Lucy, mrugając do mojej córki. - Nie sądzisz, że pora już nakarmić Czterech Jeźdźców Apokalipsy, Leah?

— Owszem - odpowiedziała Leah, zerkając na stojący w kącie zegar.

Lucy siadła naprzeciwko mnie i zaczęła śpiewać jedną z piosenek country, które miała w swoim bogatym repertuarze. Tym razem wybrała / Walk the Line Johnny'ego Casha. Miała głęboki, dobrze ustawiony głos i lubiła się nim popisywać. Na twarzy przyrządzającego koktajle doktora Pittsa ukazał się błogi uśmiech.

Coś poruszyło się pod krzesłem po drugiej stronie pokoju, a potem obok zasłony wychodzącego na południe okna. W ciągu niespełna minuty wszystkie cztery trzymane przez Lucy w domu żółwie wymaszerowały dostojnym krokiem ze swoich kryjówek. Ich pojawienie się urzekło Leah za każdym razem, gdy Lucy wysyłała swoje śpiewne zaproszenie. Pokryte delikatnymi złobieniami skorupy przypominały fosforyzującą brunatną porcelanę. Stanąwszy wokół stóp gospodyni, żółwie zaczęły wpatrywać się w nią z tą samą nieskończoną cierpliwością, która wydaje się cechować wszystkie zimnokrwiste zwierzęta. Lucy dała Leah dwie miski i patrzyła, jak jej wnuczka karmi żółwie surowym hamburgerem i sałatą. Stołownicy byli dobrze wychowani i każdy czekał spokojnie na swoją kolej. Zaspokoiwszy głód, wycofali się z liturgiczną gracją do swoich zakamarków i w tym samym momencie doktor Pitts podał nam drinki.

— Próbowałam zaśpiewać im kiedyś rock and rolla - po wiedziała Lucy, odbierając wódkę z tonikiem od swego męża i spoglądając mu prosto w oczy.

— Wódka krzepi, cukier lepiej - oznajmił doktor Pitts, po czym podał lemoniadę Leah, która grzecznie mu podziękowała.

— Ale żółwie nie zareagowały na rock and rolla - kontynuowała Lucy. - Potem próbowałam kolęd. Nic. Ze względu

388

na doktora Jima zaśpiewałam im hymn marynarki. Nie ruszył się ani jeden. W końcu zanuciłam The Wabash Cannonball i wtedy wystartowały jak konie wyścigowe. To są nasze wiejskie żółwie i reagują tylko na rytm country. Nic innego ich nie rusza.

- To szczerą prawdą, Leah - potwierdził doktor Pitts. - Jestem głównym świadkiem obrony. Mogę w każdej chwili podpisać stosowne oświadczenie. Człowiek ma w końcu swoje słowo i powinien je szanować, nieprawdaż? - dodał, wręczając mi mój koktajl. Jak wszyscy wojskowi, których znałem, przyrządzał znakomite drinki. - Oby nam się - powiedział, unosząc w górę swoją szklanę. - No to chlup.

Zauważyłem podczas tych wizyt, że większość z tego, co doktor Pitts miał nam do powiedzenia, nosiło rytualny bądź też wyłącznie towarzyski charakter. Był wystarczająco dobrze wychowany, by wiedzieć, kiedy powinien się odezwać, jednocześnie zaś dość wrażliwy, by zdawać sobie sprawę, iż najlepszą dla niego w tym momencie strategią jest okazywanie względów żonie. Lubił powtarzać, iż jest człowiekiem, który nie sprawia żadnych niespodzianek, w gruncie rzeczy uważał się chyba jednak za starego nudziarza.

— Wygląda na to, że w końcu zacznie się coś dziać - po wiedziała Lucy, zwracając się do Leah. - Od twojego przyjazdu na wyspę nie zdarzyło się nic ciekawego. Ale to się zmieni.

— Co takiego się wydarzy, babciu? - zapytała Leah, sia

dając na kolanach Lucy, która zaczęła przeczesywać palcami jej czarne włosy.

— Wielkie rzeczy - odparła moja matka. - Jutro wraca z domu opieki Ginny Penn. A na weekend przyjadą tu wszyscy moi chłopcy.

— John Hardin też? - dopytywała się Leah.

— Dzisiaj do mnie dzwonił - poinformowała ją Lucy. -

Był w cudownym nastroju. Wychodzi ze szpitala i przyjeżdża do Waterfordu, żeby wybrać się z nami na niedzielny festiwal.

John Hardin chce pokazać Leah swój domek na drzewie -

dodała, zwracając się do mnie. - Chciałabym pojechać tam

razem z tobą. Z tego, co słyszałam, to prawdziwe чудо.

— Czy John Hardin na pewno dobrze się czuje, mamó? - zapytałam. - Ostatnim razem, kiedy go widziałem, trzymał na

muszce całe miasto i wydawał się lekko wytrącony z równowagi. — Nigdy nie rozumiałeś zbyt dobrze Johna Hardina -

oznajmiła Lucy. - Nigdy nie chciałeś spojrzeć na świat jego oczyma.

389

— Gdybym oglądał świat jego oczyma, droga mamó, leżałbym teraz przywiązany do łóżka w tej samej sali stanowego szpitala.

— Twoje żarty są czasami poniżej wszelkiej krytyki, synu.

— To wcale nie był żart.

— Czy coś jest nie w porządku z Johnem Hardinem? - zapytała Leah.

— Często boli go głowa - odparła Lucy.

— Ma w niej źle poukładane - stwierdziłem.

Zbliżała się siódma i na zachodzie było jeszcze zupełnie jasno. Wiatr porywał grzebień fal i wciągał do rozmowy rosnące na brzegu palmy. Dla Lucy, która przekonała się, co znaczy żyć pełną piersią, przesycone jodem morskie powietrze miało w sobie coś świętego. Jej zmysły płonęły niczym pięć wielkopostnych świec, gdy spoglądała na rozciągający się za oknami ocean.

Wiedziałem, że wierzy, iż słone powietrze i słona woda potrafią ją uleczyć.

W ogrodzie za domem zebrały się już szopy, hałasując i walcząc o to, który zajmie lepszą pozycję wyjściową. Z wykrzywionymi błazeńsko pyskami i wygiętymi w łuk grzbietami przypominały stado awanturujących się bezpańskich psów. Usłyszałem, jak otwierają się tylne drzwi; do ogrodu wyszła Leah z torbą suchej karmy dla kotów oraz resztkami, które Lucy odłożyła specjalnie na tę okazję. Przez pięć minut szopy trajkotały, syczały i przeganiały jeden drugiego, a potem, kiedy nie zostało już nic do jedzenia, wyniosły się z ogrodu, znikając jak duchy za linią drzew rosnących na sąsiedniej pustej działce.

— Kiedy tu przyjechałam, twój pradziadek powiedział mi coś, czego do dziś nie zapomniałam - odezwała się Lucy.

— Pradziadek Silas? - zapytała Leah.

— Był moim pierwszym nauczycielem. Nauczył mnie wszystkiego, co wiedział o tych wyspach.

— Chce, żebym zapolowała z nim na jelenie - wyznała

Leah. - Ale tato uważa, że pradziadek mógłby mnie nauczyć czegoś ciekawszego.

— Silas oznajmił mi to pierwszego dnia, gdy się spotkaliśmy - podjęła po chwili Lucy. - Powiedział, że kiedy biały człowiek pojawił się po raz pierwszy na tych wyspach, wiewiórka mogła wdrapać się na drzewo na tej plaży i nie schodząc

na ziemię, dotrzeć aż do ujścia Missisipi. Tak gęste były lasy w tej części kraju.

— A moczary? - zainteresowała się Leah. - Jak wiewiórka mogła przeskoczyć przez moczary?

390

- Sprytna dziewczynka - pochwaliła ją Lucy. - Nigdy nie wierz nikomu na słowo.

Razem z doktorem Pittsem obserwowaliśmy wieczorne karmienie przez wielkie okno w gabinecie. Czuliśmy się obaj dziwnie skrępowani, tak jakby dzieląca nas różnica jednego pokolenia była zdradliwą, usianą wrakami rzeką, przez którą żaden portowy pilot nie potrafi zapewnić bezpiecznej żeglugi. Widziałem, że mąż Lucy stara się za wszelką cenę zaskarbić moją sympatię; nawiązując ze mną luźną pogawędkę, pragnął zasypać dzielącą nas przepaść.

— Czy ona nie jest piękna? - zapytał nagle.

— Z całą pewnością - odparłem i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że doktor nie mówi o Leah.

— Wszystko ją interesuje. Ma w sobie entuzjazm młodej dziewczyny. Poziom jej energii przekracza wszystkie normy. Ja na przykład w ogóle nie jestem w stanie dotrzymać jej kroku.

To prawdziwe szczęście mieć taką matkę. Co za kobieta. Co za kobieta...

Wiedziałem, że doktor Pitts wyraża się niezbyt składnie, ponieważ peszy go moja obecność. Mimo że bardzo się starałem, nie potrafiłem wymyślić niczego, co pomogłoby mu się odprężyć. Mogłem poruszyć wiele bezpiecznych tematów - ryby, golf, pielęgnacja ogrodu, inflacja, podatki - w sumie jednak nie przychodziło mi do głowy nic spontanicznego. Wysilek umysłowy wyczerpał mnie, w rezultacie jednak nie odezwałem się ani słowem.

— Interesują mnie twoi bracia, Jack - powiedział w końcu doktor. - Czy coś o mnie mówią? Czy mnie lubią? Byłbym głęboko wdzięczny za każdą informację, której mógłbyś do starczyć mi w tej kwestii. Nie potrzebuję oczywiście dodawać, że dochowam absolutnej dyskrecji.

— Wszyscy wiemy, że kochasz naszą matkę, doktorze. Jes teśmy ci za to bardzo wdzięczni.

— Nie mają więc pretensji, że stanąłem, że tak powiem, za sterem? - upewniał się doktor i obaj utkwiliśmy oczy w ko bietach naszego życia.

— Nasz ojciec jest alkoholikiem, doktorze. Gdzieś głęboko pod tym jeziorem gorzałki, którą wlewa w siebie od początku lat sześćdziesiątych, tkwi być może przyzwoity człowiek. Wydaje mi się jednak, że byłoby lepiej, gdyby zamiast bourbona zaczął chlać benzynę. Prędzej by się wtedy wykończył i mnH hyśmy go znienawidzili.

391

— Twój ojciec telefonował dzisiaj - oznajmił doktor Pitts. - Niestety, nie po raz pierwszy.

— Po co tu wydzwania?

— Wprawia się w stan lekkiego zamroczenia i telefonuje, żeby naprzykrzać się twojej biednej matce. Mam wrażenie, że powinienem wkroczyć i położyć temu kres, ale ona twierdzi,

że da sobie radę. Wiesz dobrze, że musi teraz zmobilizować wszystkie siły. Niedobrze jest, kiedy je rozprasza. Zwłaszcza na takie bzdury.

— Nie znam się na białaczce, doktorze - powiedziałem - ale mama wydaje mi się zdrowsza niż kiedykolwiek. Codziennie rano chodzi na pięciomilowe spacerki. Odzyskała piękną cerę. Czy jest w stanie pokonać chorobę?

— Wszystko jest możliwe. Ciało ludzkie to przedziwna rzecz, Jack. Tyle w nim niespodzianek, że konwencjonalna wiedza wydaje się czasem nic nie warta.

— Więc myślisz, że może z tego wyjść? - zapytałem wiedząc, iż po raz pierwszy pozwalam sobie na łut nadziei.

— Wolałbym myśleć, że twoja mama będzie żyła wiecznie - odparł doktor Pitts, starannie ważąc słowa. - Nie wyobrażam sobie po prostu, że mógłbym bez niej żyć. Utwierdzam się w nadziei, bo nie mam innego wyboru.

— Na jaki rodzaj białaczki choruje? - zapytałem.

— Na ten najgorszy.

— Czy jej lekarz to dobry specjalista?

Doktor Pitts chrząknął zakłopotany.

— To, jakim jest specjalistą, nie ma większego znaczenia.

Kiedy wstał, aby napełnić ponownie szklanki, zauważyłem, że lekko się zachwiał, tak jakby chciał ukryć przede mną fakt, że kuleje. Wzięliśmy do ręki drinki i wyszliśmy na dwór, by pooddychać wraz z Lucy ciepłym wiosennym powietrzem. Z Ameryki Południowej przyleciały pierwsze siewki, zwiastując zbliżający się zielony tumult.

Siedzieliśmy na pomoście, rozkoszując się błogim spokojem i słuchając morza, które ani na chwilę nie zmyliło kroku. Fale sunęły w ustalonym nieodmiennym rytmie niczym piasek w rozświetlonej księżycem klepsydrze, a ja spoglądałem z miłością na matkę, która zawsze tęskniła za domową sielanką. Niestychanie wzruszały ją rytuały czystej codzienności.

Lucy zobaczyła go pierwsza. Nie dając po sobie nic poznać, wstała i wygładziła dłońmi fałdy na sukience.

- Jim, kochanie - zwróciła się do męża. - Czy mógłbyś

392

zawieźć mnie szybko do sklepu, zanim go zamkną? Zapomniałam kupić makaronu i chleba na kolację.

— Oczywiście - odparł doktor Pitts, odstawiając drinka. - Pojadę sam. Ty zabawiaj naszych gości.

— Ja i Leah pojedziemy razem z tobą - zdecydowała Lucy i zobaczyłem, jak zerka z niepokojem w stronę plaży. Spojrzałem w tym samym kierunku i zrozumiałem wszystko bez jednego słowa.

— Czy mogłabyś kupić mi słoik majonezu Hellmanna, mammo? - poprosiłem.

— Naturalnie - przytaknęła. - Proszę cię, wstaw wodę na makaron.

— Zaraz to zrobię - powiedziałem, obserwując postać zbliżającego się mężczyzny. - Wybierz sobie coś odpowiedniego na deser, Leah.

Kiedy zniknęli we wnętrzu domu, zszedłem po schodkach, które prowadziły na plażę. Robiło się coraz ciemniej i zaczynał się przypyływ; patrzyłem, jak mój ojciec podchodzi coraz bliżej, zaciskając

w dłoni butelkę, jakby była po same brzegi wypełniona szlachetnym kruszczem. Stąpając niepewnym krokiem, szedł prosto w stronę domu i dopiero w ostatniej chwili zorientował się, że blokuje mu drogę. Zmierzyliśmy się obaj wzrokiem.

— Masz zamiar trenować surfing? - zapytałem. - Czy po prostu wybrałeś się na szybki spacer, żeby zrzucić trochę funtów?

— Muszę porozmawiać z twoją matką - oświadczył niezbyt sympatycznym tonem Johnson Hagood. - Muszę się dowiedzieć, jaki jest stan jej zdrowia.

— Stan jej zdrowia jest fatalny. Mama umiera. Idź stąd, tato. Straszysz mamę za każdym razem, kiedy to robisz. Ojciec spojrział w stronę domu, a potem z powrotem na mnie.

— Wcale nie piłem - oświadczył, podnosząc prawie pełną butelkę. - Zabrałem to na pokaz.

— Oczywiście.

— Moje dzieci niczym wściekłe psy obróciły się wszystkie przeciw swemu ojcu.

— O wiele lat za późno.

— Nie przyprowadziłeś do mnie jeszcze swojej córki - powiedział z urazą. - Teraz, kiedy żyjecie w Europie i od wiedzacie koronowane głowy, moje progi są pewnie dla was za niskie.

— Jasne. Codziennie bywamy w innym pałacu Habsburgów - odparłem, potrząsając ze smutkiem głową. - Byliśmy

393

u ciebie dwukrotnie, tato. Za każdym razem byłeś nieprzytomny.

— Jestem ostatnio w wielkim stresie - poinformował mnie Johnson Hagood, sprawdzając poziom płynu w butelce.

— Z czego on wynika?

— Staram się zerwać z nałogiem - wyznał bez cienia ironii, ale ja głośno się roześmiałem. - Zawsze mnie nienawidziłeś, Jack. Zawsze byłeś inicjatorem wszelkich zawiązywanych przeciwko mnie spisków.

— Nie zawsze - poprawiłem go. - Przez kilka lat było mi cię po prostu żal. Nienawiść przyszła później.

— Codziennie zabierasz Leah do rodziców Shyli. Foxowie potraktowali cię o wiele gorzej niż ja.

— Foxowie próbowali mi odebrać dziecko. Ty próbowałeś odebrać mi moje dzieciństwo. Foxowie ponieśli klęskę. Tobie się udało.

Ojciec spojrział ponownie w stronę domu, z którego, jak się spodziewała, obserwowała całą scenę matka.

— Lucy! Lucy! - zawołał. - Zawrzyjmy zawieszenie broni.

Muszę z tobą porozmawiać.

— Narobisz jej wstydu przed sąsiadami.

— To był zawsze jej słaby punkt - zachichotał ojciec. -

Naprawdę obchodzi ją, co myślą sąsiedzi. Przez całe lata dawało mi to przewagę taktyczną. Słuchaj, zejdź mi z drogi. W Hilton Head jest doktor, który potrafi wyleczyć matkę. Ma ten cudowny lek, który produkuje się z pestek moreli i który można kupić tylko w Meksyku.

— Jasne - odparłem. - W Meksyku nikt nie umiera już

na raka. Mama ma swojego doktora. Potrafi ją uśmiercić tak samo dobrze jak każdy inny.

Ojciec odkręcił zakrętkę i pociągnął szybki łyk z butelki. Widziałem kiedyś, jak wypił duszkiem pół kwarty bourbona, nie przerywając ani razu dla zaczerpnięcia oddechu. Przez chwilę mi się przyglądał.

- Byłeś najbardziej pokręcony z wszystkich moich dzieci i nie mówię tego na wiatr - stwierdził w końcu. - Jeśli o to chodzi, należy ci się palma pierwszeństwa. Cóż to była za wesoła banda łachmytów. Urodziłeś się brzydki jak noc - dodał, odkorkowując ponownie butelkę. - Nie można mnie o to winić, chociaż ty i reszta świata chcielibyście zwalić na mnie winę za to, że w oceanie jest za dużo soli. Wszyscy powtarzali, że jesteś najbrzydszym dzieciakiem, jaki kiedykolwiek urodził

się w Waterfordzie. Czerwonym na twarzy, wrzaskliwym i pomarszczonym. Twoja gęba zawsze przypominała mi wypadek drogowy.

Podłość, do jakiej zdolny był mój ojciec, zapierała mi dech. Biada dziecku, które urodziło się z piegami, astygmatyzmem, myszką na twarzy lub rudymi włosami. Potrafił zawsze znaleźć najślabszy punkt przeciwnika i nic nie było w stanie go pohamować, kiedy chciał zniszczyć ludzi, których najbardziej kochał.

— Mamy tutaj nie ma. Zabrała Leah i Jima, kiedy tylko cię zobaczyła. Wysłała mnie, żebym się ciebie pozbył.

— Ciebie i kogo jeszcze? - zapytał.

— Mama wyszła za innego mężczyznę, tato - powiedziałem potrząsając głową. - Zaczęła nowe życie. Nie musisz robić jej wstydu i upokarzać przed nowym mężem.

— Ślubowaliśmy sobie wierność przed Bogiem Wszchemmogącym - oświadczył uroczyście. - Przed Królem Królów. Panem Zastępów. Stwórcą Wszystkich Rzeczy Dużych i Małych.

— Ona rozwiązała te śluby - odparłem. - Przy pomocy adwokata. Słyszałeś kiedyś o adwokatach?

— Opuściła mnie, kiedy jej najbardziej potrzebowałem. Była noc, rzygałem jak kot i na próżno unosiłem ramiona, błagając o zmiłowanie. Alkoholizm to choroba, synu. Twoja matka zeszła z posterunku niczym siostra porzucająca trędowatego. Dlatego Bóg pokarał ją rakiem.

— Powtórzę jej to. Na pewno się ucieszy. Odejdź, tato.

Odprowadzę cię do dziadka.

— Nie toleruję towarzystwa dupków i degeneratów, a ciebie uważam za jednego i drugiego. Zajrzałem nawet do tej twojej pedalskiej książki. Chcę, abyś wiedział, że nie tknąłbym żadnej z polecanych przez ciebie potraw. Nawet podczas klęski głodu.

— Napiszę książkę kucharską specjalnie dla ciebie, tato.

Pierwszy rozdział zatytułowany będzie "Wytrawne martini".

Drugi: "Margarita". Trzeci: "Whisky z wodą sodową", a czwarty: "Krwawa Mary".

— Piję wyłącznie czysty alkohol - oznajmił z dumą ojciec.

— W takim razie znacznie ją uproszczę. Przepis będzie brzmiał: "Kup butelkę wody. Otwórz ją. Wypij ścierwo do dna. Ciśnij butelkę jak najdalej od siebie. Uwal się na ziemię, gdzie ci wygodnie". Możemy go zatytułować: "Śniadanie".

— Trochę więcej szacunku, synu - upomniał mnie Johnson Hagood. - Powiedziałem ci już, że to choroba. Potrzebuję współczucia, nie złościwości.

395

— Wynoś się z podwórka mamy - warknąłem czując, że zacznym tracić nad sobą panowanie.

— Nie jestem na jej podwórku. Ziemia, na której stoję, stanowi pas wybrzeża i należy do wielkiego stanu Karoliny Południowej. Żaden mężczyzna ani kobieta nie może nabyć jakiegokolwiek części plaży, która po wsze czasy należy do tego stanu i zamieszkujących go obywateli. Nie próbuj prowadzić ze mną sporu prawnego, kretynie. Jestem najlepszym adwokatem, jakiego kiedykolwiek widziałeś, i znałem kiedyś więcej kodeksów, niż potrafisz zliczyć.

— Utopiłeś swoją karierę prawniczą w butelce jima beama.

— Jest we mnie więcej głębi, niż ty będziesz miał kiedykolwiek, Jack. Piję, bo dręczy mnie rozpacz, rozczarowanie i pustka. Rzeczy, o których ty nie masz najmniejszego pojęcia.

— Dzięki tobie mógłbym prowadzić wykłady na Harvardzie na każdy z tych tematów - odpaliłem. - Postawmy sprawę jasno: pijesz, bo lubisz być pijany.

— Dlaczego mam wysłuchiwać wszystkich tych bzdur? - odparł mój ojciec i w jego głosie zabrzmiał jad. - Kim ty w ogóle jesteś? Pedalem, który pisze książki kucharskie. Mamin synkiem, który opanował arkana sztuki kulinarnej, żeby trzy mać się dłużej fartuszka mamusi. Zawsze wiedziałem, jaki kupić ci prezent. Wystarczyło pomyśleć, jaki fatałaszek spodobałby się Lucy.

— Słyszałem to już wcześniej - powiedziałem, ponownie starając się uspokoić. - Potem zapominasz wszystko, co plotłeś, bo jesteś pijany. Ale my pamiętamy, bo byliśmy trzeźwi. Ty zapamiętasz tylko, że dałem ci w zęby na plaży. Za długo już tańczymy ten taniec. Spróbujmy czegoś innego.

— Mnie podoba się tak, jak jest. Muszę jakoś wyrazić pogardę, jaką do ciebie czuję. Moją skrajną odrazę. Zawsze udajesz, że nie obchodzi cię to, co mówię, drogi chłopcze. W gruncie rzeczy nie różnisz się jednak wcale od reszty rodzeństwa. Za bardzo się wszystkim przejmujesz. Odnajduję punkt, w którym można cię najgorzej zranić, i wbijam tam świder. Taki wymyśliłem sobie sport. Ulubioną rozrywkę. Nazywam ją dymaniem gówniarzy. Odkrywam, gdzie są najsłabsi. Obrabiam to miejsce, niczym dentysta, który czyści małą plamkę próchnicy. Posuwam dalej wiertło i trafiam w sam nerw. Posuwam dalej o milimetr i padają z rykiem na kolana.

— Nie rób tego, tato - szepnąłem. - Ostrzegam cię.

396

- Panie i panowie, powitajcie wraz ze mną na głównej scenie uroczą i zwiewną Shylę Fox.

Złapałem ojca za gardło i podniosłem w górę, tak że dotykał ziemi tylko czubkami palców. Szarpał

się i próbował uderzyć mnie w twarz butelką, ale wyrwałem mu ją i rzuciłem daleko w spienione fale.

— Twoja rozpacz po śmierci Shyli jest udawana - wycharczał. - Wszystko w tobie jest sztuczne. Patrzyłem, jak wychodzisz ze swoją córeczką z domu Foxów. Sama słodycz. Kochający ojciec. Pograżony w żałobie wdowiec. Ale to wszystko fikcja. Jeśli tatuś będzie udawał dostatecznie długo, wtedy cały świat uwierzy, że kocha swoją małą córeczkę. Widzę w tobie wyłącznie chłód, Jack. Oto nadchodzi Człowiek z Krainy Wiecznych Lodów. Widzę to, ponieważ ja też mam go w sobie. Ten chłód zniszczył całe moje życie.

— Nie jestem do ciebie w ogóle podobny.

— Przypominasz mnie do złudzenia - mówił ze śmiechem. - Wszyscy moi synowie noszą to samo lodowe znamię, z którym zawsze walczyłem. Spójrz na biednego Dallasa. Mojego partnera. Ma miłą żonę i kilkoro dzieci, ale jemu to nie wystarcza. Leci za pierwszą lepszą dziwką, która rozłoży przed nim za darmo nogi, i myśli, że wygrał los na loterii. Wszyscy będziecie przez całe życie szukali miłości i nigdy nie zauważycie, kiedy przejdzie wam koło nosa.

— Nic o nas nie wiesz - syknąłem.

— Popatrz tam - powiedział Johnson Hagood, spoglądając w stronę domu.

Lucy wróciła już z Jimem i Leah ze sklepu. Patrzyłem, jak podchodzi do okna i staje w prostokącie sztucznego światła, wpatrując się w mrok. My widzieliśmy ją bardzo dobrze; ona nie widziała nas wcale.

- Oto, co straciłem. Straciłem, bo nie zdawałem sobie sprawy, jaki mam skarb. Założę się, że ty też nie wiedziałeś, jak bardzo kochasz Shylę, póki nie zobaczyłeś jej w kostnicy. Mam rację, Jack? - zapytał mnie mój ojciec. - Kocham cię, Lucy! Wciąż cię kocham! - zawołał, spoglądając po raz ostatni na swoją byłą żonę. - Kocham cię, ty potworna cipo! - dodał, kiedy Lucy zniknęła z okna.

ROZDZIAŁ 24

Prowadzenie rodzinnego interesu dostarczało Maxowi i Esther Rusoffom wiele przyjemności. Max dokonywał cudów za ladą, a Esther prowadziła skrupulatnie księgi, wypełniając je rządkami cyfr pięknych jak płatki tulipanów. Biznes stanowił dla nich przedłużenie sztuki kurtuazji i każdy, kto wstępował do ich sklepu, traktowany był jak honorowy gość. Max witał go przy drzwiach, oferował towary i opowiadał dowcipy, a ukryta za zasłoną Esther prowadziła księgowość i zaopatrzenie. Powodziło im się bardzo dobrze. W miejsce małego sklepu spożywczego otworzyli pierwszy w mieście supermarket, a na wiosnę 1937 powstał dom towarowy Rusoffa, który szybko zasłynął z uczciwych cen i modnych ciuchów. Pierwsza kobieta, która przyjechała z Charlestonu do Waterfordu na zakupy, dostała w prezencie torebkę, a jej zdjęcie ukazało się tydzień później w wydaniu lokalnej gazety. Sami Rusoffowie nie spodziewali się, że tak świetnie poradzą sobie z marketingiem i reklamą. Wszystko, czego się dotknęli, zamieniało się w złoto i czasami nie wierzyli po prostu we własne szczęście i w to, że Bóg zsyła na nich tyle błogosławieństw. W roku 1939 Bóg Żydów zszedł do podziemia. Przez całe lata do domu Rusoffow przychodziły listy od porozrzucanych po szerokich przestrzeniach Rosji i Polski bliższych i dalszych krewnych. Esther uważała za swój święty obowiązek korespondować z każdym, kto należał do rodziny, a Max

posyłał pieniądze krewnym w Europie, odkąd tylko osiadł w Waterfordzie.
W roku 1939 przestały przychodzić listy z Polski. Skrzynka
398

pocztowa opustoszała i jidisz umarł dla Esther Rusoff w tamtym roku.

Widząc, że Rusoffowie obawiają się o swoich krewnych, Silas McCall zorganizował spotkanie z Barnwellem Middletonem, który reprezentował ich dystrykt w Kongresie Stanów Zjednoczonych. Middleton, arystokrata z krwi i kości, umówił się z nimi w październiku 1941 w restauracji Harry'ego w Waterfordzie. Siedząc przy stoliku razem z Silasem, wpatrywał się w ogorzałą twarz i olbrzymie ramiona Maxa Rusoffa, który poinformował go o urwaniu się wszelkich wiadomości od obu rodzin po wkroczeniu armii niemieckiej do Polski, następnie zaś wręczył kongresmanowi listę wszystkich krewnych, łącznie z ich adresami. Znajdowało się na niej sześćdziesiąt osiem nazwisk, w tym czworga dzieci.

Middleton odchrząknął i wypił łyk czarnej kawy.

— Nadeszły złe czasy - powiedział.

— Co pan konkretnie wie? - zapytał Max.

— Że sytuacja jest zła. Gorsza, niż pan sobie wyobraża. Jest gorsza, niż ktokolwiek sobie wyobraża.

— Do diabła, Barnwell - przerwał mu z gniewem Silas. -

Ten człowiek zamartwia się na śmierć. Nie strasz go, jeśli nie wiesz nic na pewno.

— Czegokolwiek się dowiem, czekają pana złe wiadomości.

— Jesteśmy Żydami - odparł Max. - Złe wiadomości to dla nas nie pierwszyna.

Przez ponad rok Rusoffowie nie mieli żadnych wieści od Barnwella Middletona. W tym czasie Stany Zjednoczone zaangażowały się już w pełni w wojnę. Max nie otrzymywał żadnych listów od Żydów z Kironicki i grobowa cisza, jaka zapanowała w Polsce, objęła teraz również Rosję. W tamtym roku synowie Rusoffów, Mark i Henry, zaciągnęli się do armii amerykańskiej. Wysyłając synów, by walczyli z Niemcami, Max i Esther jak nigdy dotąd poczuli się Amerykanami. Max dał im przed wyjazdem za morze miniaturowe repliki Statui Wolności i obaj nie rozstawali się z nimi przez całą wojnę. Walczyli w szeregach amerykańskiej armii z ogromnym męstwem, a ponieważ w ich żyłach płynęła krew Wielkiego Żyda, nie bali się Kozaków. Posuwając się na północ, szli ku tej części Europy, gdzie umilkł zbiorowy głos ich rodziny.

Barnwell Middleton spotkał się z Maxem i Silasem dopiero w połowie 1943 roku. Przez pierwsze piętnaście minut lunchu

399

opowiadał o tym, jak toczy się wojna, o zwycięstwach i klęskach aliantów i nie najlepszych nastrojach w Waszyngtonie. Silas słuchał go, nie kryjąc zniecierpliwienia.

— Przejdź do rzeczy, Barnwell - powiedział w końcu.

— Zdołał się pan czegoś dowiedzieć o naszych rodzinach? - zapytał Max.

— Tak. Wolałbym nie dostać żadnej wiadomości. Ale do stałem - odparł ponurym głosem Middleton. Następnie pochylił się, wziął Maxa za rękę i siedząc w jednej z tych południowokarolińskich kafejek, które znane są ze złej kawy i pysznych pierożków, przekazał mu informacje z Europy Wschodniej. - Max... - szepnął. - Sprawdziliśmy wszystkie nazwiska, które mi pan dał. Żadna z tych osób nie żyje. Nikt nie ocalał.

Max nie odpowiedział. Nie próbował się odezwać i nie sądził, by zdołał coś z siebie wykrztusić, gdyby zadano mu jakieś pytanie.

— Nie możesz tego na pewno wiedzieć - zaprotestował Silas. - Trwa wojna. Panuje wielki zamęt. Na frontach walczą armie. Nie możesz mieć pewności.

— Masz rację, Silas - zgodził się Barnwell. - Niektórzy z tych ludzi mogli uciec albo zostać przeoczeni. Inni mogli się ukryć. Długo trwało, zanim dotarła do mnie ta informacja. Nie jestem nawet pewien, skąd pochodzi ani kto ją uzyskał. Informator mieszka w Szwajcarii i jest Niemcem. To wszystko, co wiem. Twierdzi, że cała pańska rodzina nie żyje, Max. Nie żyje również nikt z rodziny Esther. W żadnym z miast, które wymienił pan na swojej liście, nie ma w tej chwili ani jednego Żyda.

— Judenrein - odezwał się w końcu Max.

— Zabijają każdego Żyda, którego uda im się dopaść - stwierdził Barnwell. - Z wyjątkiem tych, których zmuszają do niewolniczej pracy. Członków pańskiej rodziny zabito w więksości podczas masowych egzekucji. Kazał Żydom kopać własne groby, a potem rozstrzeliwują ich z karabinów maszynowych.

— Wymieniłem tam czwórkę dzieci. Małych dzieci - powiedział Max.

— Niemcy nie są aż tacy drobiazgowi - odparł Barnwell.

— Zabijają z karabinów maszynowych niemowlęta? - zapytał Silas.

— Albo zakopują je żywcem, kiedy zabijają już ich matki. Jest pewna kilkunastoletnia dziewczynka, którą początkowo

wzięto za siostrzenicę Esther. Ukrywa się w Polsce. Ma takie samo nazwisko jak dziewczynka z listy Esther, Ruth Graubart, okazało się jednak, że nie jest z nią wcale spokrewniona.

- Co stało się z jej rodziną? - zapytał Max.

Barnwell wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że to samo, co z pańską. Mówią, że polski ruch oporu może ją przesz mugłować.

— Więc załatwmy to - powiedział Silas.

— Cena jest astronomiczna - stwierdził obojętnym, lekko ironicznym tonem Barnwell. - Chcą pięćdziesięciu tysięcy dolarów w gotówce.

Silas gwizdnął, a Barnwell puścił w końcu rękę Maxa i podnosząc w górę palec, dał znak kelnerce, żeby nalała im świeżej kawy.

— Co za świat - szepnął Silas. - Powiedzcie mi choć jedną miłą rzecz na temat rodzaju ludzkiego.

— Ta dziewczynka... - zaczął po chwili Max.

— Jaka dziewczynka? - zapytał Barnwell.

— Ta, która się ukrywa. Ta, którą wzięto za siostrzenicę Esther.

— Nie jest waszą żadną krewną. Pochodzi z zupełnie innej części Polski.

— Nie szkodzi. Jest Żydówką i grozi jej niebezpieczeństwo.

— Owszem - zgodził się Barnwell.

— Esther i ja chcielibyśmy sprowadzić ją do Ameryki -

oświadczył Max.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego, tak jakby się przesłyszeli.

— Ona nie jest twoją krewną, Max. Nie jest również krewną Esther - powiedział Silas. - I trzeba za nią wybulić pięć dziesiąt tysięcy dolców.

— Jest Żydówką i grozi jej niebezpieczeństwo. To czyni z niej moją krewną. I krewną Esther. Mówi pan, że jej rodzina prawdopodobnie nie żyje. Podobnie jak moja rodzina. Kto jej po może, jeśli my tego nie zrobimy?

— Jedna dziewczynka mniej czy więcej nie ma znaczenia podczas tak wielkiej wojny - stwierdził Barnwell.

— Moim zdaniem ma - odparł Max.

— Ale pan nie ma pięćdziesięciu tysięcy dolarów - zakończył rozmowę kongresman, wstając od stołu z miną człowieka, któremu dość czasu zajęła ta nieprzyjemna sprawa. - Nikt w tym mieście nie ma tyle gotówki.

—

401

— Z wyjątkiem ciebie - rzucił Silas. - W tym stanie wystarczy wybrać kogoś do Kongresu i za cztery lata facet staje się milionerem. Powiedz mi, jak to się robi, Barnwell.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje - odparł kongresman.

Tej nocy Max zabrał Esther na werandę, z której roztaczał się widok na Waterford River. Patrząc, jak słońce pozłaca wiszące nisko chmury, wypili sznapsa z małych kryształowych kieliszków. W ten sposób świętowali powodzenie w interesach, odpoczywając zarazem po trudach pierwszych lat spędzonych w tym mieście.

Max nie potrafił znaleźć słów, by powiedzieć kobiecie, którą kochał nad życie, że straciła swoich krewnych. W rodzinie Esther wszyscy darzyli się zawsze wielkim uczuciem. Nie wiedział, jak ma powiedzieć, że jej Europa umarła.

Wypił drugiego sznapsa i opowiedział jej wszystko w jidisz.

Przez sześć dni Esther Rusoff oplakiwała zmarłych. Młody rabbi odprawił nabożeństwo szabasowe w ich domu, a Max i Esther ślubowali, że w hołdzie swoim zmarłym wybudują w Waterfordzie synagogę.

Kiedy sziwa dobiegła końca, Esther wróciła do ich wspólnego łóżka i zanim zasnęli, odbyła z Maxem krótką rozmowę.

— Ta dziewczynka, Max. Ta, o której wspomniał ci Barnwell - szepnęła.

— Ja też o niej myślałem - przyznał Max.

— Co możemy zrobić?

— Sprzedać wszystko - odparł Max. - Nasz dom. Dom towarowy. Supermarket. Zacząć wszystko od nowa.

— Uda nam się uzbierać pięćdziesiąt tysięcy dolarów? To dużo. Chyba nie starczy.

— Bank pożyczycy nam różnicę - stwierdził Max. - Jestem tego pewien.

— W takim razie powinniśmy to zrobić - powiedziała Esther.

— Masz rację - przytaknął Max.

— Zrobiłbyś to bez względu na to, czybym się zgodziła - szepnęła Esther. - Znam cię, mój mężu. Jestem dość sprytna,

żeby popierać to, na co i tak już się zdecydowałeś. Ale to słuszna decyzja. Jeśli nawet odbieramy w ten sposób chleb naszym własnym dzieciom.

— Jak możemy skrzywdzić nasze własne dzieci, ratując inne dziecko? - zapytał Max.

402

W ciągu kilku następnych miesięcy Max sprzedał swój dom towarowy sieci handlowej z Charlotte, sklep kupcowi z Char-lestonu, a własny dom przy Dolphin Street stacjonującemu na Pollock Island i zbliżającemu się do emerytury generałowi marines. Następnie wysłał telegraficznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów Barnwellowi Middletonowi w Waszyngtonie, od którego dostał utrzymaną w minorowym tonie depeszę, informującą, jak nikłe są szanse i jak mało prawdopodobne wydaje się, by całą rzecz udało się sfinalizować. Kongresman obiecał jednak, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

Max nie sprzedał budynku, w którym zaraz po przyjeździe do Waterfordu założył swój pierwszy sklepik i który stał teraz pusty. Rodzina Rusoffów wprowadziła się tam z powrotem na pierwsze piętro i nim się ktoś obejrzał, Max i Esther ponownie rozkręcili interes.

Dopiero po roku Max otrzymał od Barnwella Middletona telegram informujący, iż osiemnastego lipca 1944 do małego portu Waterford zawinie statek handlowy, na którego pokładzie znajduje się niejaka Ruth Graubart. Max podzielił się dobrą nowiną z żoną, następnie zaś zadzwonił do Silasa McCalla, który opowiedział o wszystkim Ginny Penn. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy po całym mieście, wnosząc nieco optymizmu w serca ludzi, którzy zbyt często dowiadywali się o śmierci chłopców z sąsiedniej ulicy, poległych za morzem.

Kiedy statek zawinął do Waterfordu, po trapie zeszła ład na kilkunastoletnia dziewczynka w towarzystwie asystującego jej z wielką ceremonią kapitana. Szmer, jaki przeszedł na jej widok przez tłum, najwyraźniej ją zdeprymował. Witając się z Maxem i Esther, którzy pozdrowili ją w jidisz, dygnęła.

Max zapłakał i rozpostarł ramiona. Kiedy przypadła do nich i przytuliła głowę do jego wielkiej piersi, całe miasto ryknęło na powitanie. Zebrany tłum dawał jej do zrozumienia, że od tej chwili należy do Waterfordu w Karolinie Południowej i że odnalazła swój dom. Miasto przyjęło Ruth Graubart do swe go serca i obserwowało, jak kończy szkołę średnią, a potem wychodzi za George'a Foxa. Asystowało jej, kiedy urodziła swoją pierwszą córkę, Shylę, i było przy niej, kiedy ją po chowała.

Najgłębiej jednak zapadł ludziom w pamięć moment, gdy wykupiona przez obcych żydowska sierota postawiła po raz pierwszy stopę na tej ziemi i padła w ramiona Wielkiego Żyda.

403

Silas McCall opowiadał później swoim wnukom, że obserwując przyjazd Ruth, po raz pierwszy zyskał absolutną pewność, że Ameryka wygra tę wojnę. Chociaż opowiadał tę historię setki razy, zawsze kończyła się w ten sam sposób i dzieci McCallów zawsze dostawały gęsiej skórki, kiedy zbliżał się do końca.

Miasto ryknęło, mówił, po prostu ryknęło na powitanie.

Swojej własnej historii Ruth nie zdradziła jednak nikomu poza mężem i starszą córką. Ja sam poznałem ją dopiero wiosną 1986 roku, gdy wróciłem do miasta z jej wnuczką Leah, by pomóc umrzeć mej matce.

Dopiero wówczas Ruth opowiedziała mi o swoich strasznych przejściach w Polsce, i dowiedziałem

się w końcu, kim jest dama z monetami.

ROZDZIAŁ 25

Nazajutrz po spotkaniu z ojcem pojechałem wraz z Silasem McCallem do Waterfordu, aby odebrać Ginny Penn z domu opieki. Moi bracia zostali w domu dziadków i wykańczali rampę, po której Ginny Penn miała wjeżdżać wózkiem na werandę. Silas był krępy, kopcącym bez przerwy papierosy staruszkim, spostrzegawczym, lecz małomównym.

— Cieszysz się, że zabieramy Ginny Penn do domu? - zapytałem.

— Nie mam wielkiego wyboru - odparł. - Lubi doprowadzać do szafu pielęgniarki.

— Z tatą wszystko w porządku?

- Przespał całego kaca. A potem wrócił do miasta.

Babcię umieściliśmy na tylnym siedzeniu. Była wyczerpana wysiłkiem i emocjami, jakie towarzyszyły procedurze wypisania jej do domu. Biurokracja zawsze wymaga wydatkowania więcej energii, niż można z siebie wykrzesać, zwłaszcza gdy ktoś jest stary i schorowany. Ginny Penn nie pomachała nawet siostram, które ustawiły się na ganku, żeby ją pożegnać.

— Wiedzmy - powiedziała, kiedy ja i Silas odpowiedzieliśmy na ich pozdrowienia. - Pijawki. Czyścicielki basenów. Roznosicielki chorób. Penicylinowe grzyby. Powinno im się zakazać dotykania prawdziwych dam i wytwornych kobiet.

— Wydawały się całkiem miłe - mruknął pod nosem Silas.

— Ani razu do mnie nie przyszedłeś - syknęła Ginny Penn. - Wolalabym poślubić Ulyssesa S. Granta niż takiego łachudrę jak ty, Silasie McCallu.

405

— Czy mógłbyś się zatrzymać przy sklepie dla zwierząt? - zapytał mnie dziadek. - Chciałbym kupić kaganiec.

— Dziadek codziennie cię odwiedzał, Ginny Penn - powiedziałem.

— Wnuki zupełnie o mnie zapomniały. Całe miasto czekało na moją śmierć. Gdybym umarła, wszyscy szaleliby z radości.

— Sam poprowadziłbym paradę główną ulicą - mruknął Silas.

— Nie rozdrażniaj jej - poprosiłem, dotykając jego dłoń. - Czekają na ciebie wszyscy moi bracia, Ginny Penn. Cały dzień budowaliśmy rampę dla twojego wózka.

— I wy to nazywacie prezentem powitalnym? Rampę dla wózka?

— Nadzorowałem początek prac - oznajmiłem. - Będzie wspaniała.

Kiedy wjechałem na podwórko, na werandzie czekali wszyscy moi czterej bracia. Dom dziadków, choć stary, był w całkiem dobrym stanie i wyróżniał się na tle otaczającej go nowoczesnej zabudowy. Tuż za tylnym ogródkiem znajdował się czternasty dołek pola golfowego zaprojektowanego przez Roberta Trenta Jonesa. Wózek golfowy z dwoma dystyngowanymi emerytami sunął bezgłośnie jak żaglowiec w stronę zielonego pola. Nie opodał skubały wysoką trawę cztery piękne smukłe łanie. Kiedy byłem małym chłopcem, pomyślałem, wyspa tchnęła dzikością: nie sposób było tu znaleźć ani jednej piłki golfowej - ale wszystko zmieniło się od czasu,

gdy byłem małym chłopcem.

Z wyjątkiem, być może, moich dziadków. Zawsze wydawali się tak samo dziwacznymi i nie dopasowanymi. Można było przypuszczać, że łączy ich ze sobą wyłącznie przyzwyczajenie, nie miłość. Ginny Penn miała pretensję, że jej wnukowie wolą od niej Silasa i okazują mu przywiązanie, którego ona sama nigdy nie zaznała. Nie zgadzając się z tą opinią, dawaliśmy jej jasno do zrozumienia, iż kochamy ją dokładnie na tyle, na ile pozwala się kochać, to jednak zawsze zależało od jej nieobliczalnego i zmiennego nastroju.

— Są wszyscy moi bracia - powiedziałem.

— Najlepsze chłopaki pod słońcem - dodał Silas.

— Nie przesadzaj - stwierdziła zgryźliwie Ginny Penn, ale widziałem, że powrót do domu i obecność komitetu powitalnego podniosły ją na duchu.

Moi bracia wznieśli radosny okrzyk i zbiegli na dół, aby ją powitać. Walili w błotniki samochodu i wiwatowali tak długo,

406

że nawet gderliwa Ginny Penn musiała się uśmiechnąć. Kiedy to zrobiła, wszyscy czterej udali, że kręci im się w głowie, i przewrócili się na plecy.

- Zawsze byli durni jak szczeniaki - mruknęła.

Silas pomógł jej wysiąść z samochodu, ja zniosłem wózek z werandy, a Tee wbiegł na górę po pachnącej świeżym drewnem nowej rampie.

— Cześć, staruszek! - wrzasnął, kładąc się na deskach.

— Nie waż się nazywać mnie staruszką - warknęła poirytowana Ginny Penn - bo zedrę z ciebie pasy.

— Spójrz, Ginny Penn. Idealny kąt nachylenia - zawołał wesoło Tee. A potem, udając, że gra w filmie kategorii B i śmiertelnie go postrzelono, stoczył się z rampy i legł na chodniku.

— Trzeba ją polakierować - oznajmiła Ginny Penn. - Nie nawidzę zapachu surowego drewna. Razi moje poczucie estetyki.

— Miło cię znowu widzieć, babciu - przywitał ją Dallas.

— Dziękuję, chłopcy, że zbudowaliście tę rampę - dodał dziewczęcym głosem Dupree.

— Nie odmieniło jej nawet to, że otarła się o śmierć, chłopcy - stwierdził ponuro Silas, wtaczając Ginny Penn na górę. - Do końca życia pozostanie jędzą.

— Taki mam zamiar - potwierdziła.

Pośrodku rampy moi bracia zatrzymali wózek i zaczęli całować ją na powitanie. Obsypali pocałunkami jej twarz i szyję i łaskotali pod pachami. Całowali ją w oczy, w policzki i czoło, aż w końcu zaczęła oganiać się od nich laską. Odskokczyli wówczas ze śmiechem, żeby po chwili rzucić się na nią ponownie, gdy Silas manewrował wózkiem przy drzwiach. Widać było, że Ginny Penn jednocześnie cieszy i drażni ich zachowanie. Chciała, żeby się nią interesowali, ale nie dotykali. Zawsze uważała, że całowanie się jest najbardziej przereklamowaną formą ludzkiej aktywności. Usiedliśmy potem na werandzie i obserwowaliśmy Johna Hardina, który polerował deski, wygładzając nierówne miejsca. On jeden spośród nas był prawdziwym cieślą i mało było rzeczy, których nie potrafiłby własnoręcznie zrobić. Chociaż utalentowany, nie mógł sobie znaleźć żadnego zajęcia, nie potrafił bowiem znieść stresów, których nie sposób uniknąć w najbardziej nawet miłym miejscu pracy. Patrzyliśmy, jak poleruje świeże drewno, podziwiając ekonomię jego ruchów.

- Spójrzmy prawdzie w oczy - odezwał się Tee, przerywając milczenie. - Ginny Penn to prawdziwa żołą. Czy tylko ja jeden to zauważam?

407

- Kto jest żoną? - zapytał Dupree. - Ta słodka staruszka?
Otworzyły się drzwi i na werandę wyszła Leah, która przeczytała Ginny Penn wierszyk napisany specjalnie z okazji jej powrotu.
— Czy Ginny Penn spodobał się twój wierszyk, kochanie? - zapytał wujek Dupree.
— Nie wiem - odparła Leah. - Powiedziała, że tak.
— Nie martw się - pocieszył ją Tee. - Życzliwość jest oznaką braku charakteru.
— Nie można wymagać zbyt wiele - dodał Dallas.
— Czy wszyscy znaliście moją mamę? - zapytała nagle Leah swoich wujków, którzy otoczyli ją z troskami i zaskoczeniem pytaniem.
— Jasne, Leah - odparł Dupree. - Co chciałabyś wiedzieć? Jaka jej cecha najmocniej utkwiała ci w pamięci?
— Właściwie w ogóle jej nie pamiętam, wujku Dupree.
— Na pewno była bardzo miła, kochanie - powiedział Dallas.
— Ładna jak z obrazka, tak samo jak ty - uzupełnił Tee.
— Czy wszyscy ją lubiliście?
— Czy ją lubiliśmy? - powtórzył Dupree. - Wszyscy byliśmy w niej po uszy zakochani. Nie wiem, czy powiedział ci o tym twój tato, ale była z niej bardzo ponętna dziewczyna.
— Najlepsza tancerka, jaką widziałem na oczy - stwierdził Tee. - Nie znam nikogo, kto tańczyłby tak dobrze shaga.
— Co to jest shag?
— Dziewczyna urodzona w Karolinie Południowej nie wie, co to jest shag? - zdziwił się Dupree. - To zbrodnia przeciwko ludzkości.
— Dupree chce powiedzieć, że twój tato stanowczo się nie spisał - wyjaśnił Tee.
— We Włoszech tego nie tańczą, chłopcy - broniłem się. - Równie dobrze mógłbym ją nauczyć tańca hula-hula.
— Nic cię nie usprawiedliwia - stwierdził Dupree. - Podjadę pick-upem pod werandę i puszczać taśmę. W edukacji mojej siostrzenicy są tragiczne luki.
— Byłoby chyba lepiej, gdyby dziewczyna wychowała się w sierocińcu w Karolinie Południowej - dokuczał mi dalej Dallas. - Wstyd mi, że jestem twoim bratem, Jack.
— Popatrzcie tylko na Dupree w tej jego półciązarówce - przerwał im nagle drwiącym głosem John Hardin. - Nie znam nikogo, kto bardziej lubiłby udawać kmiotka.

408

- Dupree jest w głębi duszy prowincjuszem - stwierdził Tee. - I strasznie chciałby, żeby wszyscy go za takiego uważali. Niżej nie można już upaść.
Dupree podjechał pod poszarzałą od morskich wiatrów werandę, wsunął kasetę i włączył głośniki na cały regulator.
— Muzyka plażowa Karoliny Południowej - oznajmił, wchodząc na górę. - Najświętsza muzyka pod słońcem.

— Wujkowie naprawią zaraz niedopatrzenie twojego ojca - powiedział Dallas. - W gruncie rzeczy mógłbym mu to wytoczyć sprawę z powództwa cywilnego.

Dupree wziął Leah za rękę i zaczął jej pokazywać kroki, a ja chwyciłem Tee i puściłem się z nim w tany. Leah patrzyła na nas jak urzeczona, nigdy dotąd nie widziała bowiem, jak tańczyć.

— W tym tańcu, Leah, chodzi przede wszystkim o to, żeby nie dać po sobie nic poznać - tłumaczyłem. - Shag nie ma nic wspólnego z emocjami. Shag to gorące lato, ukryte głęboko żądze i szpan. Musisz mieć na twarzy wyraz absolutnej obojętności.

— Co to za facet? Platon? Uczymy po prostu to dziecko tańczyć - przerwał mi Dupree.

— Daję się prowadzić w tańcu - wyjaśnił Tee, zwracając się do Leah - ponieważ jestem młodszy i kiedy uczyli się kroków, zmuszali mnie, żebym im partnerował.

Kiedy z głośników popłynęła następna piosenka, Double Shot of My Baby's Love, Dallas poprosił Leah do tańca.

— Twoja matka była najlepszą tancerką shaga, jaka kiedykolwiek chodziła po tej ziemi - powiedział.

— Potrafiła zatańczyć wszystko - dodał Dupree.

— Niech ktoś powie, że Leah szybko się nie uczy - stwierdził z podziwem Dallas.

— To krew matki - oznajmił Tee. - Ta dziewczyna urodziła się po to, żeby tańczyć. Zamawiam taniec po Dallasie. Nauczę ją wyuzdanego shaga.

— Wyuzdany shag - pisnęła Leah. - To brzmi całkiem nieźle.

Tego dnia Leah na zawsze pokochała swoich wujków. Ich wesole umizgi całkowicie ją oczarowały; jej buzia jaśniała zadowoleniem, a ciało zaczęło poruszać się w rytmie muzyki

1 kiedy tak wirowała, ubóstwiana przez swoich wujków, coś zaczęło dojrzewać w jej dziewczęcym sercu. Moi bracia prosili ją wszyscy naraz do tańca, i kłócili się, na kogo przypada kolej. Zmienili to popołudnie na werandzie w dziwny i cudowny bal,

409

który miała zapamiętać do końca życia. Czowała się jedyna i wybrana; rządziła nimi niczym królowa wróżek, otoczona przez swoje wiwatujące, wesole armie. Wieczorem potrafiła tańczyć shaga równie dobrze jak każdy z jej wujków.

Obserwowałem wszystkie tańce i serdeczność moich braci bardzo mnie poruszyła. Nagle Dupree poklepał mnie po ramieniu.

- Następny przebój rezerwujemy dla ciebie - powiedział.

W powietrzu zabrzmiały dźwięki piosenki Driftersów Save the Last Dance for Me i Leah zauważyła zmianę, jaka we mnie zaszła.

— Co się stało, tato? - zapytała, kiedy wziąłem ją za rękę i poprosiłem do tańca.

— Czy możesz puścić to od samego początku, Dupree?

Muszę jej wyjaśnić znaczenie tej piosenki. Pamiętasz opowieść o tym, jak mama i ja się w sobie zakochaliśmy? - zapytałem, zwracając się do Leah.

— Tej nocy, kiedy dom runął do morza?

— Tej samej. Gdy wszyscy uciekli na wydmy i zostaliśmy sami, twoja mama i ja tańczyliśmy przy dźwiękach właśnie tej

piosenki.

— Nie wiedziałam o tym.

— Powinienem nauczyć cię wcześniej tego tańca. Moi bracia mają rację.

— Nic nie szkodzi, tato. Nauczyłeś mnie mnóstwa rzeczy.

— To była nasza ulubiona piosenka. Tańcząc ją, zakochaliś my się w sobie.

Leah nigdy ze mną nie tańczyła, ale kurażu dodawał jej radosny pomruk moich braci, którzy obserwowali bacznie nasze ruchy. Wirowałem z nią po wysmaganych wiatrem deskach werandy, a oni klaskali w dłonie, tupali i pohukiwali. Najbardziej zdziwiło Leah to, że tańczy gorzej ode mnie, i zaraz mi to powiedziała. Trzymając ją w objęciach, zobaczyłem, jak moja córka zmienia się powoli w zwierciadlane odbicie Shyli, a potem z oczu popłynęły mi łzy; nareszcie popłynęły. Zauważyła, że płacę, dopiero kiedy umilkli moi bracia. Przestaliśmy tańczyć i usiadłem na stopniach werandy. Moje dziecko objęło mnie i nie wypuszczało z ramion, kiedy piosenka, którą ja i jej matka ukochaliśmy najbardziej w świecie, raniła mi serce. Mogłem znieść pamięć, nie mogłem jednak znieść muzyki, która czyniła z pamięci tak morderczą broń.

ROZDZIAŁ 26

W pierwszych dniach maja, miesiąc po moim powrocie, pojechałem z Lucy do klasztoru trapistów w Mepkin. Nie wyjawiała mi dokładnie powodów swojej wizyty, wspomniała jedynie, iż chce się wyspowiadać u ojca Jude'a. Pamiętałem dobrze dzień, kiedy przywiozłem ojca Jude'a do szpitala, aby udzielił jej ostatniego namaszczenia, i chociaż nie wydawało mi się już prawdopodobne, aby Lucy i Jude byli kochankami, jak myśleliśmy w dzieciństwie, wciąż podejrzewałem, że jest dla niej kimś więcej niż tylko spowiednikiem. Próbowałem wyciągnąć coś z matki, ale ona była mistrzynią niedomówień. Nie udało mi się zadać pytania, na które nie potrafiłaby udzielić wykrętej odpowiedzi. Język angielski stawał się w jej ustach zasłoną dymną, zza której spoglądały niewinne i szczerze oczy. Jadąc drogą numer 17 w stronę Charlestonu, często na nią spoglądałem. Wyglądała ładnie i spokojnie.

Od dawna już chciałem odsłonić rąbek tajemnicy i zapytać ją o to, co nie dawało mi spokoju w dzieciństwie i powróciło, gdy leżałem z zabandażowanymi oczyma w Rzymie. Nie wiedziałem dokładnie, jak skłonić ją do zwierzeń, chciałem jednak zrobić to tak, by nie wzbudzać większych podejrzeń.

- Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość - oznajmiła nagle, przeciągając się w promieniach słońca. Dała się namówić do zakładania pasów dopiero, kiedy stwierdzono u niej białaczkę. Przedtem za żadne skarby nie chciała z nich korzystać i miałem teraz dziwne wrażenie patrząc, jak siedzi zapięta bezpiecznie w fotelu. - Chcę się nią z tobą podzielić, ale musisz obiecać, że nie powiesz żywej duszy.

411

— Obiecuję, że powtórzę ją tylko jednej osobie. W przeciwnym razie okażę się niegodny zaufania. Za bardzo cięży mi każdy sekret.

— Papież unieważnił właśnie moje małżeństwo z twoim ojcem. Mogę ponownie otrzymać sakramenty. Doktor Pitts i ja wzięliśmy wczoraj ślub w kościele.

— Dziękuję, że zaprosiliście synów.

— Nie chcieliśmy robić z tego wielkiego wydarzenia - odparła. - Napisałam do papieża list z podziękowaniami.

— Masz z tatą pięcioro dzieci - powiedziałem.

— To była straszliwa pomyłka. Mam wrażenie, jakbym obudziła się ze złego snu.

— Czy to oznacza, że jesteśmy wszyscy bękartami? - za

pytałem, poprawiając tylne lusterko.

Lucy zachichotała.

— Nigdy nie przyszło mi to do głowy - przyznała. -

O rany. Jakie to komiczne. Tak, chyba jesteście. Nie pomyślałam nawet, żeby o to zapytać. Jude będzie wiedział.

— Więc to małżeństwo nigdy nie istniało. Nie było całego tego bólu, rozpacz i cierpienia. Nic się nie wydarzyło.

— Wszystko się wydarzyło - wyjaśniła Lucy - ale Kościół wymazał to z akt. Nie został po tym żaden ślad.

— Ja jestem śladem - upierałem się.

— Nie - odparła Lucy. - Zostałeś unieważniony.

— Jeśli mnie nie ma, nie mogę prowadzić tego samochodu - zawołałem. - Nie istnieję. Moi rodzice nigdy nie zawarli ze sobą ślubu, a ja nigdy się nie urodziłem. Trzymaj kierownicę, mamó. Zostałem unieważniony.

Podniosłem ręce w górę, a Lucy pochyliła się i złapała za kierownicę.

— Czasem myślę, że nie rodząc swoich dzieci, wyświadczyla bym im największą przysługę - powiedziała. - Dom, w którym się wychowywałeś, nie należał do najszczęśliwszych.

— Au contraire. To był dom spełnionych marzeń - zaprotektowałem. - Zamieszkały przez pięciu bękartów, ich niepokalaną matkę i zamarynowanego w spirytusie ojca, któremu w przyszłości miał przyprawić rogi sam papież.

— Kiedy dowie się o tym twój ojciec, chcę znać każde słowo, które wyjdzie z jego ust. Będę delektowała się każdą sylabą jego bólu.

— Nie powinnaś mieć pretensji do taty - stwierdziłem,

412

biorąc z powrotem do ręki kierownicę. - Nie byłaś w końcu nigdy jego żoną.

— Nie muszę go już gorzko wspominać. Tak jakby nic się nie stało. Być może zostaniemy nawet przyjaciółmi.

— Mogę was sobie przedstawić - zaproponowałem. -

Sędzio McCall, chciałbym ci przedstawić panią Lucy Pitts. Papież zaprzeczył wszystkim pogłoskom o tym, że byliście kiedyś mężem i żoną i spłodziliście pięcioro dzieci w trakcie waszego długiego i upiornego małżeństwa.

— Teraz robisz sobie żarty - upomniała mnie Lucy.

— Kościół rzymskokatolicki... - powiedziałem potrząsając głową. - Dlaczego wychowałeś mnie w takim śmiesznym, nierozgarniętym, przygłupim, seksualnie zboczonym, pokręconym i bzdurnym Kościele? Jesteśmy przecież, na litość boską, południowcami. Mógłbym być anglikaninem i świetnie grać w golfa. Prezbiterianinem i chrząkać z powagą przy każdej okazji. Metodystą i nie zbierałoby mi się na wymioty, kiedy ktoś zajada kartofle z syropem kukurydzianym. Baptystą i z wielką frajdą pociągać cichaczem z butelki. Wyznawcą Kościoła Boga i mówić nieznanymi językami. Ale nie, ty skazałaś mnie na dziwactwo, aberrację i samotność, wychowując w wierze, która sprawiła, że czułem się jak łachudra w rajach moich przyjaciół.

— Wychowałam moje dzieci w cadillacu religii - oznajmiła

Lucy.

— Nie jesteśmy twoimi prawdziwymi dziećmi - przypomniałem jej. - Małżeństwo zostało unieważnione. Możesz zapomnieć o porannych mdłościach, bólach porodowych, kłopotach z łóżyskiem, karmieniu o drugiej w nocy, odrze, wie trznej ospie... nic z tego się nie zdarzyło. Twoje dzieci to tylko pięć sennych koszmarów, które ulotniły się z nastaniem świtu.

— W cadillacu. Najbardziej luksusowym modelu - powtórzyła, po czym odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy.

— Chcę, żeby ojciec Jude wysłuchał mojej spowiedzi - oznajmiła, kiedy przejechaliliśmy kilka mil. - Tylko on może to zrobić.

— Powiedz mi, dlaczego ojciec Jude jest dla ciebie taki ważny.

Widziałem, że mojej matce nie spodobało się to pytanie.

- Później - oświadczyła po dłuższej chwili. - Nie pozwolę, żebyś popsuł mi dzień. Zawsze próbujesz mi wmówić, że cię
413

źle wychowywałam. Powiem ci, co jest najważniejsze. Zapewniłam ci wyższe wykształcenie, przystojniaku. Wydałeś kilka książek i na każdej z nich widnieje twoje nazwisko i zdjęcie. Mimo to masz czelność budzić we mnie poczucie winy. Miałeś wspaniałe dzieciństwo.

— Jasne, miałem wyjątkowe szczęście.

— Nie wiesz nawet, jak może wyglądać zły los.

— Powiedz, na czym polegało moje szczęście - powiedziałem, chcąc, żeby zabrzmiało to ironicznie, ale moja ironia była podszyta goryczą.

— Kiedy dostawałeś w twarz, krwawiłeś tak samo jak ja - wyjaśniła Lucy. - Ale krwawiłeś w ciepłym łóżku... z pełnym brzuchem i mamą, która przykładła ci do policzka zimny kompres.

— Kiedy byłem mały, mówiłaś, że wychowałam się w Atlancie.

— Spędziłam trochę czasu w Atlancie - odparła ostrożnie.

— Na twojej nocnej szafce stała fotografia rodziców.

— To była sprytna bajeczka. Twój ojciec dał się nabrać.

— Ale nie Ginny Penn - dodałem, zerkając na nią kątem oka.

— Oczywiście, że nie. Nie Ginny Penn. Domyśliła się, skąd pochodzę, kiedy tylko na mnie spojrzała.

- Dlaczego cię nie zdemaskowała? - zapytałem.

Lucy przez kilka chwil milczała.

— Ginny Penn zajęło trochę czasu sprawdzenie mojego życiorysu - odezwała się wreszcie. - Krok po kroku odkrywała prawdę. Ale zanim dowiedziała się wszystkiego, urodziłam jej już trzech wnuków, a czwarty był w drodze. W tym czasie twój tato robił, co mógł, żeby w pojedynkę doprowadzić do rozkwitu gorzelnię Jacka Danielsa w Tennessee. Ginny Penn zdała sobie sprawę, że bez względu na to, kim są moi rodzice, nadają się do tego, aby sprzątać rzygowiny jej synalka. Drogo zapłaciłam

za to małe kłamstwo.

— Kim byli twoi rodzice?

— Nie będziesz chciał tego wiedzieć - odparła. - Pocho dzili z samego dna, z plebsu. Nie ma na ziemi gorszego plebsu niż plebs z Południa. Tacy właśnie byli moi rodzice. Mama była dobra z natury, ale coś pękło w niej w samym środku. Ojciec był podły, lecz jak powtarzała mama, tylko kiedy nie spał... ha ha.

414

Jej śmiech zmroził mnie.

— Podłość w górach ma inny smak - podjęła po chwili. - W miejscu, gdzie światło dociera dopiero późnym rankiem, dojrzewa twardszy gatunek człowieka. Tato nigdy nie widział zbyt wiele światła.

— Kochałaś ich?

— Jego nigdy. Nie bardzo było za co. Nie widziałam w nim nic, co zasługiwałoby na miłość... Nie pozwalał sobie na żadną słabość. Nie widziałam, żeby choć raz w życiu się uśmiechnął.

— Czy jeszcze żyją?

— Nie, dzięki Bogu - odparła. - Gdyby żyli, mnie i Jude'a w ogóle by tu nie było.

— Ciebie i Jude'a? Co masz na myśli?

— Nie słyszałaś tego.

— Czy twój ojciec pił?

— Ha - parsknęła głośno. - Twój tato przy nim to prawie abstynent.

— Nikt nie może być gorszym pijakiem od taty.

— Ja też tak myślałam o swoim ojcu. Rozumujesz zbyt stereotypowo. Wydaje ci się, że wiesz, czego powinienes się wystrzegać w życiu. Wydaje ci się, że w dzieciństwie poznałeś wszystkie pułapki, na które powinienes uważać. Ale rzeczywistość jest inna. Cierpienie nie podróżuje po linii prostej. Ono zatacza kręgi i zachodzi cię od tyłu. Zabijają cię właśnie te powroty.

Skręciliśmy w drogę prowadzącą do opactwa. Samochód sunął między plamami nieruchomego cienia, który budził we mnie dziwną niepewność. Sama ziemia wydawała się cichnąć, kiedy zbliżaliśmy się do rozmodlonej, wygolonej społeczności Mepkin; ściana lasu wyrastała przed nami w całej swej nieokiełznanej okazałości niczym stojący na pustkowiu rząd zakazanych flag. Z gałęzi brzoź i rosochatych dębów zwiślał podobny do takiełunku stuletni bluszcz. Wjeżdżając w długą aleję biegnącą do klasztoru, oboje nie odzywaliśmy się ani słowem, jakbyśmy udawali się tam w tajnej misji. Pogoda też wydawała się uczestniczyć w zмовie: gałązek nie poruszał nawet najlżejszy powiew wiatru. Zaparkowałam samochód, podszedłem do bramy i pociągnąłem za dzwonek, który zadźwięczał głośno w wonnym powietrzu. Z oddali dobiegał śpiew mnichów. Budynki były nowe; pasowały bardziej do kalifornijskich wzgórz niż do zabitego deskami Południa.

415

Na końcu ścieżki pojawił się ojciec Jude. Szedł z wysuniętą lekko do przodu głową i splecionymi dłońmi, które krył w długich rękawach. Objęli się z Lucy i przez dłuższy czas trzymali w

ramionach.

Jude wydawał mi się nierzeczywisty, podobny do rośliny; jego blada cera przypominała słynne białe szparagi, rosnące we francuskim rejonie Argenteuil. Miał udreńczoną twarz człowieka, który wiele przeszedł, wiedziałem jednak, że praktycznie nie wystawiał nosa z klasztoru. Obserwując, jak prowadzi Lucy do kaplicy, gdzie odprawiano mszę, zastanawiałem się, co może ich łączyć.

Po nabożeństwie przeprosiłem ich i poszedłem do biblioteki, gdzie przez całe popołudnie pisałem listy i przeglądałem osobliwą kolekcję czasopism, które przeszły przez cenzurę mnicha odpowiedzialnego za zamawianie periodyków. Lucy zwiedzała w tym czasie razem z Jude'em tereny klasztoru i chociaż prosili mnie, żebym im towarzyszył, wiedziałem, że wolą być sami. Kameralny, kontemplacyjny charakter klasztorowego życia od dawna budził moją zazdrość; podziwiałem bezkompromisowość panującej tu dyscypliny. Moje stulecie wydawało mi się z każdym upływającym rokiem coraz bardziej dziwaczne i gotów byłem uznać, że samotność, modlitwa i śluby ubóstwa stanowią najbardziej wymowną i skuteczną odpowiedź na absurd epoki, w której alienacja stała się zarówno postawą, jak i filozofią.

Zafascynowany prostotą mnichów, myślałem, że chętnie pokochałbym Boga ich wszechobejmującą nieskomplikowaną miłością. Podobała mi się idea wyrzeczeń i milczenia, wątpiłem jednak, czy zdołałbym się poddać ich surowej regule.

Wracaliśmy do Waterfordu w zapadającym zmierzchu. W koronach drzew, które rosły wzdłuż szosy, tliły się resztki światła i zerkając na Lucy, widziałem, że jest kompletnie wykończona. Jej zmęczenie martwiło mnie; wyobrażałem sobie marsz białych krwinek, które gromadziły się wzdłuż spornych granic jej krwio-biegu. Kiedyś uwiłem w jej wnętrzu gniazdo i karmiłem się płynącą w niej ciepłą rzeką, ucząc się kochać bezpieczny mrok kobiety, poznając łagodną muzykę jej pulsu i dowiadując się, że miłość matki zaczyna się w świątyni jej łona, pośród witraży sławiących eliksir zrodzonego z krwi życia. Krew, która mnie karmiła, teraz ją zabijała. Dlatego właśnie ludzie wierzą w bogów, pomyślałem, i potrzebują ich w czarnej godzinie, kiedy nad głową widać zimne światło gwiazd. Nic innego nie było

416

w stanie poruszyć wyniosłej obojętności świata. To jest moja matka, pomyślałem; to właśnie w niej po raz pierwszy poznałem Eden oraz planetę, na którą miałem przybyć nagi i pełen lęku.

— Przestań myśleć o moim pogrzebie - odezwała się, nie otwierając oczu. - Jeszcze nie umarłam. Jestem po prostu skonana jak pies.

— Zastanawiałem się, jak można żyć w stanie, w którym nie znają porządnego chińskiego żarcia.

— Kłamiesz - stwierdziła. - Uśmierciłeś mnie i pogrzebałeś.

— Powiniennem zabić tatę - powiedziałem. - Wszyscy moglibyśmy wtedy zobaczyć, jak to jest, gdy umiera któreś z rodziców. A ponieważ chodzi tylko o ojca, żaden z nas nie musiałby się emocjonalnie angażować.

— Nie mów w ten sposób o swoim ojcu - rozkazała.

— On nie jest moim ojcem. Nie zapominaj o unieważnieniu małżeństwa i o wstydzie, jaki budzi w nas fakt, że jesteśmy bękartami.

— Co ty wiesz o wstydzie, synu? - zapytała Lucy. Wyprostowała się i wygładziła fałdy na sukience, a potem otworzyła torebkę i wyjęła perfumy White Shoulders. Spryskała nimi dłoń i przez otwartą szybę uleciała na zewnątrz cała historia mego dzieciństwa.

— Dużo. Wiem dużo na temat wstydu.

Lucy potrząsnęła głową i wtarła perfumy w szyję i twarz.

— Jude martwi się, że odszedłeś od Kościoła - powiedziała.

— Nie jego interes.

— Jude ochrzcił wszystkich moich synów. Udzielił ci pierwszej komunii.

— Myśleliśmy kiedyś, że jesteście kochankami - poinformowałem ją. - Powiedziałem mu to, kiedy udzielał ci ostatniego namaszczenia.

— Co na to odparł? - zapytała, śmiejąc się.

— Właściwie nic. Nie jest zbyt rozmowny.

— Jude powiedział mi, że już czas - oświadczyła matka, zamykając oczy.

— Czas na co?

— Żeby wyłożyć karty na stół.

— Wracamy do kwestii wstydu, tak?

— Tak. Zawsze będziemy tam wracać - odparła Lucy. - Ojciec Jude jest moim bratem.

— Dziwne - powiedziałem, kiedy przejechaliśmy w milczeniu całą milę. - Nawet jak na ciebie, to dziwne.

417

— Zaplątałam się we własne kłamstwa. Nigdy nie wiedziałam, jak się wycofać i zacząć od nowa. Potrafiłam znieść wszystko prócz pogardy Ginny Penn. Wiesz, co mam na myśli?

— Nie - odparłem szczerze. - Nie mam pojęcia. W tradycyjnej rodzinie na Południu siostrzeńców przedstawia się na ogół wujkom, zanim ci pierwsi skończą trzydziesty siódmy rok życia.

Lucy roześmiała się.

— Jesteś taki staroświecki - stwierdziła.

— Nawet jak na naszą rodzinę, mamó, wydaje mi się to wszystko zbyt niedorzeczne. Szczerze mówiąc, wołałbym, żeby Jude był po prostu twoim kochankiem. O wiele łatwiej byłoby mi to przelknąć.

— Kiedyś, dawno temu, wydawało mi się to zupełnie sensowne - odparła.

— Nie mogę się wprost doczekać szczegółów - mruknąłem, a potem wrzasnąłem przez otwartą szybę: - Upiornych, kurewsko niewiarygodnych szczegółów!

— Opanuj się - powiedziała Lucy i zaczęła opowiadać mi swoją historię.

—

ROZDZIAŁ 27

W rzeczywistości Lucy urodziła się na brudnym barłogu w trzyizbowej chałupie, o rzut kamieniem od Horsepasture River, w hrabstwie Pelzer, w górach Karoliny Północnej. W promieniu stu mil nie było tam ani jednego doktora i dentysty i jedynie nieliczni spośród tych, którzy przekroczyli czterdziestkę, mogli się poszczycić własnymi zębami. Jej ojciec, A. J. Dillard, uważał się za farmera, nie był jednak farmerem pracowitym ani zaradnym. Pił, kiedy powinien orać, pił również przez cały okres żniw aż do pierwszych śniegów. Jego córka nigdy nie dowiedziała się, co oznaczają inicjały A. J., nikt też nie powiedział jej, jak brzmi nazwisko panięńskie matki, która na imię miała Margaret.

Brat Lucy, Jude, urodził się dwa lata po niej na tym samym brudnym barłogu. Ojciec ponownie spił się do nieprzytomności i Margaret urodziła dziecko sama, w kompletnej ciszy, nie wydając ani

jednego dźwięku, który mógłby wyrwać męża z pijackiego letargu. Szczyciła się tym, że nigdy nie zwróciła się do niego o pomoc ani nie prosiła się o lanie - kiedy ją bił, czynił to wyłącznie z własnej inicjatywy. Bicie żony było dla A. J. Dillarda wewnętrzną potrzebą i sposobem spędzania wolnego czasu, sposobem, którego nauczył się na kolanie własnego ojca. Nikt w rodzinie nie potrafił czytać ani pisać. Żeby znaleźć egzemplarz jakiegokolwiek książki poza Biblią, trzeba było jechać aż do Ashville. Małe dzieci marły jak muchy w tych okolicach i zdesperowane kobiety w rodzaju Margaret modliły się dla nich o litościwą wczesną śmierć. Później Margaret zwykła marzyć, że jej dzieci staną po śmierci przed obliczem Pana

419

Jezusa i otrzymają przepiękne anielskie skrzydła utkane z koronek i śniegu. Miała dwanaście lat, kiedy urodziła Lucy, czternaście, gdy na świat przyszedł Jude. W tym rejonie Ap-palachii, w hrabstwie Pelzer, nie uchodziła za szczególnie młodą matkę, sąsiedzi jednak współczuli jej z powodu męża, o którym nikt nie mógł powiedzieć dobrego słowa. A. J. Dillard zajmował w hierarchii społecznej najniższe miejsce, jakie może zająć biały mężczyzna w tej części świata - w zamieszkanym wyłącznie przez białych hrabstwie, do którego niepisane "słoneczne" prawo zabraniało wstępu po zmierzchu jakiemukolwiek osobnikowi o ciemniejszym kolorze skóry. Kiedy Amerykę dotknął w końcu Wielki Kryzys, żaden z mieszkańców hrabstwa Pelzer nie odczuł w najmniejszym stopniu, aby pogorszyła się jego sytuacja finansowa.

Dziecko urodziło się głodne i cierpiało głód przez całe dzieciństwo. Margaret nie miała dużo pokarmu i nie był on zbyt pożywny.

Lucy nie mogła przypomnieć sobie momentu, kiedy zrozumiała, że jej ojciec jest niebezpieczny. Dorastając, widziała krew i sińce na twarzy matki i wydawało jej się naturalne, że mąż i żona okładają się wzajemnie pięściami. Razy zmieniły wygląd Margaret; z biegiem lat jej oczy stawały się coraz bardziej podkrążone, a linie szczęki i policzków układały się pod różnymi kątami, w zależności od tego, jak zrastały się połamane kości. Lucy na zawsze jednak zapamiętała jej słodki charakter.

Kiedy miała pięć lat, a Jude trzy, ojciec zszedł z gór i najął się do pracy na farmie tytoniowej niedaleko Raleigh. Czasami wracał do domu na zimę, czasami też przysyłał pocztą pieniądze, w ciągu następnych pięciu lat w coraz mniejszym stopniu uczestniczył jednak w ich życiu. Margaret rozkwitła podczas jego nieobecności. Odkryła również, że potrafi zebrać z ich kamienistego pola większe plony, niż kiedykolwiek udawało się to mężowi. Na podwórku otaczającym chałupę hodowała kurczaki, przepiórki i pszczoły. Lucy i Jude nauczyli się łowić ryby w Horsepasture River i przez większą część roku jedli na kolację pstrągi. Margaret potrafiła posługiwać się strzelbą równie dobrze jak większość mężczyzn w okolicy i sprzedawała mięso upolowanych jeleni i niedźwiedzi, żeby zaopatrzyć się w artykuły, których potrzebowała na farmie. W wieku dziesięciu lat Lucy umiała strzelać nie gorzej od matki i kładąc się spać po kolejnym udanym polowaniu, dotykała z dumą obolałego

420

miejsca na ramieniu. Należąca do ojca dubeltówka kalibru .22 nie miała przed nią tajemnic; kiedy wchodziła do lasu, błąd strach padał na wszystkie króliki, oposy i wiewiórki. Dubeltówka stała się przedłużeniem jej ciała; Lucy posługiwała się nią z równą swobodą jak wałkiem do ciasta.

Kiedyś upolowała po całodziennym podchodzeniu dzikiego indyka. Był to dorosły indor, imponujący i nieposkromiony, i obserwowała z prawdziwym podziwem, jak umyka przed nią, sadząc szybko niczym koń wyścigowy przez krzewy czarnych jagód i dzikich róż i pozostawiając w miejscach, gdzie dotknął łapami gołej ziemi, ślady wielkości chłopięcej dłoni.

W kościołach Appalachii czczono wówczas surowego i bezwzględного Boga. Rodziny zarówno Margaret, jak i A. J., choć niepiśmienne, były bogobojne i skrajne w swych wierzeniach. Ich religia była twarda, bezkompromisowa i prostodusz-na w swej żarliwości. W szczytowym momencie ekstazy i zjednoczenia z Panem zgromadzeni w Kościele Prymitywnego Boga cnotliwi wierni podawali sobie z rąk do rąk jadowite węże wierząc, iż nie zrobią one krzywdy tym, których wiara

płyńcie ze szczerego serca. Lucy pamiętała dzień, kiedy dwaj mężczyźni nie przeszli próby i runęli w drgawkach na posadzkę, powaleni przez grzechotnika, który debiutował wówczas w swojej roli. Jeden z nich, ukąszony w gałkę oczną, skonał w ciągu paru minut. Gdy chowali Oakiego Shiversa, kaznodzieja upomniał swoją trzódkę, aby postarała się mniej grzeszyć, i oznajmił, iż Bóg zesłał mu widzenie, w którym oglądał Oakiego smażącego się przez całą wieczność w piekle, z zębami grzechotnika wciąż tkwiącymi w jego oku. Kaznodzieja nazywał się Mały Tommie Green. Pan ukazał mu się w płonącym rydwanie na polu pod Chimney Rock i rozkazał grzmiącym głosem poświęcić się uprawianemu z pomocą węży kapłaństwu. Swoje kazania, których nigdy nie zapisywał, Mały Tommie wykrzykiwał, ile miał sił w płucach, i nigdy nie wymówił cicho imienia Jezus. Kiedy nauczał, słowo "Jezus" przecinało powietrze niczym ostrze noża, przerażając przytłoczonych ogromem gór grzeszników, którzy przyszli do jego kościoła w poszukiwaniu pociechy i pomocy. Życie wieczne wydawało się mieć szczególny powab dla ludzi, którzy jedli na kolację małe ptaki i bezpańskie psy i którzy starali się wycisnąć nędzne plony z gleby zawierającej więcej granitu niż gliny.

Jak wielu górali w tej okolicy, A. J. pędził własną whiskey

421

i co rok, kiedy kończyła się praca przy tytoniu i odwiedził wszystkich kumpli od kielicha, nastawiał zacier wysoko nad Horsepasture River. Z biegiem lat coraz bardziej obawiano się jego powrotów do domu; Lucy nie pamiętała, żeby ojciec zjawił się choć raz miły i trzeźwy. Wszystko było w nim twarde jak wydobyty z ziemi kamień. Bicie żony i dzieci stanowiło dla niego formę rozrywki, której mógł się oddawać w okresach trzeźwości, upojenia i kaca. Tłukł ich za grzechy, których nie popełnili, a potem dręczony żalem i skruchą wypijał kolejny kieliszek i cały cykl zaczynał się od nowa. Lucy i Jude modlili się w środku zimy, żeby na polach Karoliny Północnej zaczął kwitnąć tytoń. Od kaznodziei słyszeli, że mężowie są panami swych domów i dzierżą władzę nad kobietami, dziećmi i całym żywym inwentarzem, ale to właśnie Mały Tommie miał wybawić ich od gniewu i wrodzonej podłości ojca.

Mały Tommie potrafił mówić nieznanymi językami i mógł wyrecytować z pamięci całą Ewangelię według świętego Łukasza. Nikt nie znał się tak dobrze jak on na sprawach boskich, trudno było go jednak uznać za świętego męża, jego słabość do kobiet okazała się bowiem równie wielka jak wiedza na temat Biblii.

Mały Tommie odwiedzał farmę Dillarda wyłącznie, kiedy trwały zbiory tytoniu i wiedział, że nie spotka tam męża Mar-garet. Przed wejściem do domu, gdzie czytali wspólnie z Mar-garet Biblię, rzucał na gołą ziemię jadowitą miedziankę, po czym dawał Lucy i małemu Jude'owi długie kije i pokazywał im, jak bawić się z węzem na podwórku, nie dając mu uciec do strumienia ani do lasu. Wąż miał kolor paździenikowej ścieżki i kiedy dzieci drażniły się z nim na dworze, Tommie Green udzielał Margaret duchowego wsparcia w sypialni.

Któregoś roku A. J. wrócił nie zapowiedziany na początku września, ze złamaną ręką, nastawioną niezbyt dobrze przez miejscowego konowala, który łątał parobków pokiereszowanych na polu tytoniowym albo podczas walk na noże. A. J. obdarzony był intuicją analfabety i spostrzegłszy swoje dzieci, które nie pilnowane przez nikogo podnosiły na kiju węza w nieziemskiej ciszy późnego popołudnia, natychmiast zorientował się w sytuacji. Kiedy zobaczył Małego Tommiego, który leżał nagi na jego nagiej żonie, zabił go jednym uderzeniem siekiery. Jej ostrze rozplątało na pół czaszkę kaznodziei, a krew spryskała obie ściany i twarz Margaret. A. J. rozmasował krew kochanka

422

na policzkach i szyi żony, a potem rozsmarował jego mózg na jej piersiach i brzuchu. Bił ją po twarzy, aż jej krew i krew Małego Tommiego połączyły się w jednym zrodzonym z miłości sakramencie. Bił Margaret zdrową ręką aż do chwili, kiedy uświadomił sobie, że połamał ją o kości

policzkowe żony. Zwlókł ją wtedy naga z łóżka i wygonił kopniakami na podwórko, na oczach domowego drobiu, muła i dwojga zastygłych z przerażenia dzieci. A potem, umazany podobnie jak i ona krwią martwego kaznodziei, zaciągnął Margaret do Horsepas-ture River i przeklinając na przemian imię boskie i imię swojej żony, zanurzył jej głowę w rwącej wodzie, która już po chwili przybrała szkarłatny kolor. Przytrzymał ją tam przez chwilę, po czym wyciągnął z powrotem i kazał przygotować się na śmierć w odmętach, Pan powiedział bowiem, że odrodzą się w wodzie żywota. Krzyki Margaret były niczym w porównaniu z jego furią i słusznym gniewem, A. J. popełnił jednak błąd, niewybaczalny błąd, którego miał żałować do końca swego krótkiego życia. Nie zwrócił uwagi na swoją zdesperowaną córkę, skradającą się cicho ku strumieniowi i trzymającą na końcu długiego kija miedziankę, węża, któremu ufała i którego nauczyła się kochać.

A. J. złapał za gardło Margaret i uderzył jej głową o skałę. Ostra krawędź rozcięła skórę i strumieniem popłynęła kolejna krwawa wstęga. Zanurzona pod wodą kobieta usłyszała nagle stłumiony krzyk męża, który nie zorientował się, iż córka kładzie mu na plecach węża i ma na karku luźno dopasowany, wijący się brunatny kołnierz. Zęby miedzianki wbiły się najpierw w jego łopatkę, a potem wstrzyknęły kolejną porcję jadu pod drugim kręgiem szyjnym. A. J. złapał węża i cisnął go daleko od siebie. Miedzianka przepłynęła kilkanaście jardów, po czym wypłynęła na brzeg i uciekła do lasu po długim okresie niewoli u zbawionych.

Kiedy A. J. puścił Margaret, ona również popłynęła z prądem, staczając się po bystrzu. Czując, że tonie, złapała się wystającego korzenia sykomy i zawisała na nim, łapiąc kurczowo oddech. Patrzyła, jak Lucy i mały Jude biegną ścieżką prowadzącą prosto pod górę. A. J. rzucił się za nimi w pogon, ale już po kilkunastu jardach zwolnił kroku. Zdrowymi palcami obmacywał obolałe miejsca, szukając na plecach śladów ukąszeń, których najwyraźniej nie mógł odnaleźć. Raz czy drugi wrzasnął głośno, a potem obrócił się, szukając wzrokiem żony.

423

Chociaż w jego żyłach płonęła trucizna, wściekłość dodała mu sił i starczyło mu ich, by zaciągnąć ciało Tommiego Greena do strumienia i splunąć, gdy prąd porwał je w stronę wodospadu, gdzie utkwilo między dwoma kamieniami. Margaret patrzyła z przerażeniem na siedzącego pośrodku potoku trupa, na jego otwarte usta, martwe oczy i zalewane białą kipiela ramiona. Tkwiąc po samą szyję w lodowatej wodzie, czuła, jak coraz wolniej bije jej serce, wciąż jednak trzymała się korzenia i odważyła się wyjść na brzeg dopiero, gdy zapadł zmierzch i uznała, że osłabł już gniew i ból jej męża.

Zostawiając za sobą mokry ślad, dobiegła do domu i zajrzała do środka, żeby sprawdzić, czy nie ma tam dzieci. Lucy i Jude obserwowały scenę z wielkiego głazu, z którego widać było całą farmę, gdzie upłynęło ich nieszczęsne dzieciństwo. Margaret, znając na pamięć położenie wszystkich sprzętów, zdjęła klosz z lampy naftowej, wyjęła z szuflady zapalniczki i zapaliła knot, po czym wyszła na podwórko i podniosła lampę do twarzy, aby zobaczyć ją dzieci, które, jak trafnie sądziła, skryły się gdzieś w pobliżu. Wzywała je krzykiem sowy, którą umiała znakomicie naśladować. Jude i Lucy mieli zapamiętać to pohukiwanie lepiej od jej własnego głosu. Stercząc na szczycie głazu, czekali, czy ojciec nie wyjdzie z domu i nie zacznie ponownie okładać matki. Nawet góry wydawały się obawiać jego powrotu. Kiedy przez dłuższy czas nic się nie działo, Lucy ścisnęła brata za ramię i ruszyli w dół skalistą ścieżką.

Matka, którą spotkali przy stodole, wynosiła z niej ciężki zwój grubego sznura; w mroku rozbrzmiewało nerwowe gdakanie kurczaków. Po chwili poczuli pod stopami twarde klepisko podwórza i uspokoił ich szept potoku.

- Osiodłajcie muła - powiedziała Margaret, bardziej do otulającego ją mroku niż do Lucy i Jude'a. Dzieci wróciły do stodoły, a ona weszła do domu, zataczając się lekko pod ciężarem sznura. Światło lampy naftowej padało na podwórze, złowrogie i żółte niczym oko jastrzębia. Kiedy postanowiła już, co ma robić, jej ruchy były bardzo oszczędne. A. J. chrapał, leżąc na plecach na zakrwawionym łóżku, gdzie zabił Tommiego Greena i gdzie w smutku i żalości ich nędznego życia poczętych

zostało dwoje dzieci. Kark miał spuchnięty od jadu. Nie poczuł nawet, kiedy żona przerzuciła mu sznur przez pierś i przywiązała jego koniec do stalowej ramy, a potem zaczęła go owijać, wchodząc pod łóżko, przeczołgując się na drugą stronę i ścياً-

424

gając za każdym razem ciasno powróż, tak by przylegał do jego ciała. Cierpliwie, niczym pająk obwiązała męża sznurem dość grubym, by spętać dojrzałego byka, i w końcu A. J. wyglądał jak owinięta jedwabną nicią ćma. Nie chciała dać mu żadnej szansy ucieczki, wiedziała bowiem dobrze, jaka jest stawka tej gry i jak smakuje nienawiść na końcu języka i w dołku pod piersiami. Nie miała lustra, ale czując obolałe miejsca na twarzy i wodząc po nich skaleczonym o skały palcem, wolałaby się pewnie nie oglądać. Pogruchotane kości żgały przy każdym ruchu jej centralny układ nerwowy, Margaret pracowała jednak dalej, powoli i metodycznie, przyświecał jej bowiem konkretny plan. Pomogła dzieciom załadować na wóz wszystkie ubrania i koce, a także całą żywność, która znajdowała się w domu. Lucy i Jude wypełniali co do słowa jej polecenia, w ogóle się nie odzywając. Wydawała im się podobna do zjawy - dziwna kobieta, dość święta, by spać z mężczyzną, którego kochały wężę, związana ślubem z mężczyzną, dość szalonym, by próbował zabić ich oboje.

Margaret poszła do strumienia i wybrała kamień wielkości dziecięcego buta. Był przyjemny w dotyku; podobały jej się jego waga i kształt. Kazała dzieciom wdrapać się na wóz i próbować zasnąć na stosie pościeli i ubrań. Jude zasnął prawie natychmiast, ale Lucy udawała tylko, że zamyka oczy. Patrzyła, jak jej matka wraca do domu, w którym paliło się żółte światło i z którego miała wynieść dużą część wiedzy na temat stosunków łączących kobiety i mężczyznę.

A. J. Dillarda obudził potworny ból po ukąszeniach, które były wystarczająco mocne, by skazać go na męczarnie, ale nie mogły zabić. Zanim zwałił się nieprzytomny na łóżko, udało mu się do pewnego stopnia znieczulić alkoholem. Budząc się z niespokojnego snu, miał wyschnięte na wiór usta i oddałby wszystko za łyk wody. Na języku czuł smak bawelny i piasku. Próbował odwrócić się na bok, ale natychmiast poczuł wpijający mu się w gardło powróż. Płacząc, zawołał po imieniu Margaret.

— Rozwiąż mnie, kobieto - rozkazał, widząc na ścianie jej cień. Odczuwał zbyt wielki ból, by zwracać uwagę na detale.

Detalem, na który nie zwrócił uwagi, był kamień w jej ręku. - Rozwiąż mnie, żebym mógł dokończyć to, co zacząłem.

A potem zabić tę dziewczuchę, która położyła mi na plecach węża.

— Nie zejdziesz już z tego łóżka - oznajmiła Margaret, podchodząc bliżej.

425

— Skoro chcesz mnie zabić, daj mi chociaż łyk wody.

— Tam, dokąd idziesz, woda nie będzie ci potrzebna - odparła, siadając na nim okrakiem i spoglądając mu prosto w oczy.

— Stukłem cię na kwaśne jabłko - stwierdził, śmiejąc się mimo bólu.

— Zrobiłeś to po raz ostatni - powiedziała żona, uderzając go w głowę kamieniem. A. J. wrzasnął głośno i zaraz po tem kamień opadł ponownie, wybijając mu zęby w górnej szczęce. Margaret tłukła go bardzo długo - tak długo, że w końcu nie mogła rozpoznać jego twarzy pokrytej krwią, śluzem i łzami. Lucy przyglądała się temu przez jakiś czas, a potem poczuła, że nie może znieść dłużej błagań swego ojca.

A. J. powtarzał, że żałuje wszystkich swoich złych uczynków i że nie jest jeszcze gotów umrzeć i stanąć przed gniewnym obliczem Pana. Im więcej tracił krwi, tym bardziej stawał się religijny i w końcu zaczął przemawiać zupełnie jak Mały Tommie. Lucy podbiegła do Margaret i próbowała odciągnąć ją od ojca, ale kobieta zatraciła się w gniewie i nic nie mogło jej powstrzymać. Biła swego męża, aż osłabła jej ręka. Dopiero wtedy podeszła do wiadra z wodą i zmyła z twarzy i dłoni ślady jego krwi.

A potem zaczęła, nie dbając o nic, wylewać naftę na sosnową podłogę, na zasłony i prymitywne meble. Lucy nie rozumiała, dlaczego Margaret ochlapuje naftą stół i drewniane ściany, ale zrozumiał to jej ojciec i próbował zerwać więzy, napinając je z całej siły. Udało mu się poruszyć łóżko, które zaczęło sunąć cal po calu po podłodze, ale wtedy Margaret wylała na niego resztkę nafty.

— Nie będziesz miała odwagi - stwierdził A. J., nie wiedział jednak nic o rozmiarach gniewu, który jego żona skrywała w tajnych zakamarkach duszy.

— Pocałuj ode mnie Szatana, A. J. - pozdrowiła go, stając w progu domu, po czym cisnęła lampę naftową na łóżko i pobiegła do wozu.

Krzyk umierającego ojca brzmiał w uszach Lucy, gdy opuszczała Horsepasture Valley i jeszcze długo potem, gdy zjeżdżali przepaścistą krętą drogą biegnącą z gór do miasteczka Seneca w Karolinie Południowej. Nikt nie mieszkał dość blisko, by zobaczyć pożar lub usłyszeć udręczone jęki A. J. Dillarda. Ich matka nie przejmowała się w najmniejszym stopniu spalonym

426

domem ani swym małżonkiem, całą uwagę skupiając na prowadzeniu muła środkiem drogi. Opuszczając góry, w których skalistym kręgu Margaret spędziła całe swoje życie, wszędzie spotykali się ze spontaniczną życzliwością. Znające dobrze gorączkę samotności, żony farmerów rozpoznały ów śmiały, nie dający się wysłowić impuls, który sprowadził do ich drzwi zebrzącą o trochę strawy kobietę ze zmasakrowaną twarzą. Dawały jej jajka, mleko i ser, ponieważ była kobietą i ponieważ miała dwójkę dzieci. Żadna z nich nie byłaby tak hojna w stosunku do podróżującego samotnie mężczyzny.

Przez cały miesiąc włóczyli się bocznymi drogami, mijając niewielkie miasteczka Karoliny Południowej. Margaret starała się wymyślić jakiś plan. Przejrzała się raz w lustro, gdy zatrzymali się na farmie niedaleko Clinton, i zapłakała widząc, jak straszliwie oszpecił ją A. J. Ona, która szczyliła się niegdyś swą urodą, odczuwała teraz ów szczególny rodzaj wstydu, jaki bez dodatkowych opłat zapewnia kobiecie brzydota. Nie wierzyła, by jakiś młody mężczyzna mógł zakochać się w kimś

0 tak zniekształconej twarzy. Skoro sama patrzyła z odrazą na własne odbicie w lustrze, nie mogła mieć nadziei, że przyciągnie uwagę jakiegokolwiek przyzwoitego bądź nastawionego życzliwie mężczyzny. Nie wiedząc, co robić dalej ani gdzie osiąść, popędzała muła od miasta do miasta w nadziei, że wydarzy się jakiś cud. Żaden cud się nie przytrafił jednak Margaret Dillard

1 jej dzieciom i niedaleko Newberry padł ich muł.

W następnej wiosce zaprowadziła dzieci pod bramę protestanckiej instytucji o nazwie Sierociniec Zakonu Baranka. Miejscowość nazywała się Duffordville i leżała między Newberry i Prosperity; ochronkę prowadzili misjonarze, którzy przez długie lata nauczali słowa Bożego subsaharyjskie plemiona w Afryce. Stojące wzdłuż linii kolejowej zabudowania odznaczały się typową anonimową nijakością, która zgodnie z małomiasteczkowym mniemaniem miała chronić przed zakusami złego. W całej architekturze i otoczeniu Duffordville nie było ani jednego akcentu, który świadczyłby o

próżności jego mieszkańców. Stojąc przy bramie, Margaret pokazała dzieciom główny budynek sierocińca, piętrowy drewniany dom z oknami pozbawionymi okiennic i dwiema doryckimi kolumnami, które wyglądały jak podtrzymujące dach kule inwalidy.

- Przyjmują tu sieroty - powiedziała. - Tutaj zamieszkacie.

427

- Ale my mamy przecież ciebie - zawołała Lucy. - Mamy przecież matkę.

- Wiem - odparła Margaret sennym nieobecny głosem.

Tej nocy rozbili obóz pod przęsłem mostu i rozpalili ognisko, które ich rozgrzało. Margaret nakarmiła dzieci resztkami jedzenia, które udało jej się zachować. Miała dosyć niezdecydowania; w jej oczach zgasła wszelka nadzieja. Choć modliła się tak mocno, jak tylko może się modlić ludzka istota, jedyną nagrodą była śmierć muła i zmęczone przepracowane serce. Margaret Dillard zanuciła kołysankę dzieciom i szepnęła, że ich buzie wyglądają przepięknie w blasku ogniska. Kiedy zasnęły, ucałowała je, przykryła własnym kocem i powiesiła się na krótkim sznurze, który przywiązała do przęsła. Własna śmierć wydawała jej się ostatnim i jedynym darem, jaki może ofiarować swoim dzieciom. Ten właśnie dar czekał je, gdy obudziły się ze snu.

W późniejszych latach Lucy nie potrafiła nigdy wymówić słowa "sierota", by nie zabrzmiał w nim straszliwy rezonans. Sierota była dla niej dzieckiem, które można do woli krzywdzić, niewinną istotą, oddaną w ofierze siłom zła. W wieku dziesięciu lat Lucy Dillard widziała już swego ginącego w płomieniach ojca i powieszoną na przęsle mostu matkę i miała wszelkie powody sądzić, iż obejrzała najgorsze rzeczy, jakie świat miał do zaoferowania młodej dziewczynie. Wtedy właśnie spotkała wielbnego Willisa Bedenbaugha.

Bardzo wcześnie dowiedziała się, iż zwyczajnym ludziom trudno jest pokochać sierotę. Sierota to ktoś porzucony, zostawiony na poboczu drogi, zdany na miłosierdzie i łaskę obcych ludzi. W książkach i filmach doprowadzało ją później do furii, gdy pozbawione matki i ojca dziecko przygarniała wielkoduszną kochającą rodziną i traktowała je tak, jakby nie doznało ono w przeszłości niczego złego. Wiedziała, że świat pełen jest Willisów Bedenbaughów, którzy uczynili z pastwienia się nad sierotami rodzaj sztuki.

Wielbny Bedenbaugh stanowił nieco łagodniejszą wersję sługi Bożego, którego można było spotkać w górach Karoliny Północnej. Szczycił się swoją jasną cerą i splewiałymi blond włosami, które upodabniały go do wielkiej, zadowolonej z siebie brzoskwini. Jego drogie buty wyczyszczone były zawsze na glans przez osiemnastoletniego niezrównoważonego, upośledzonego umysłowo chłopaka, którego nie udało się oddać żadnej chrześ-

428

cijańskiej rodzinie. Chłopak miał na imię Enoch i mieszkał w zagrodzie na tyłach stodoły. Ponieważ w sierocińcu nie było szkoły, osiemnaścioro wychowanków dwa razy dziennie chodziło do kaplicy, aby wysłuchać kazania, które wielbny odczytywał im słowo w słowo z księgi zatytułowanej "Sztuka homilii". Jego donośny głos wypełniał szczerze małe wnętrza i miał w sobie pewną kojącą szorstkość, która spodobała się Lucy. Wielbny Bedenbaugh był pierwszym absolwentem college'u, jakiego kiedykolwiek spotkała. Przez kilka pierwszych dni zastanawiali się z bratem, gdzie są węże. Nie wiedzieli, w jaki sposób chrześcijanie mają dowieść, iż kochają Jezusa, nie podając sobie z rąk do rąk węży, które mogą ich ugryźć i zabić. Nie zdradzili jednak nikomu swoich wątpliwości i przyzwyczajali się powoli do bardziej powściągliwej sztuki oratorskiej, która kwitła na wyżynach Karoliny Południowej.

Wielbny Bedenbaugh zgwałcił Lucy dopiero w drugim miesiącu jej pobytu w sierocińcu. Dokonawszy tego, osuszył jej łzy, czytając długi fragment z Listu do Efezjan i opowiadając o swawoli kobiet, które wzbudzają rozwiązłość w pobożnych mężczyznach. W nagrodę dostała cukierek lukrecjowy i od tamtego dnia zniechęciła smak lukrecji.

Wkrótce odkryła, że wielbny Bedenbaugh nie gwałci wszystkich dziewcząt jak leci, lecz ma swoje

ulubione, które dostają dokładkę na obiad i nie muszą wykonywać najcięższych prac na farmie. Wychyliwszy parę szklaneczek, zaglądał do dużej sypialni, w której spali w piętrowych łóżkach wychowankowie. Pojawiał się tam na ogół o trzeciej nad ranem. Wszystkie dziewczęta, które lubił, miały spać na dolnym łóżku i nie wolno im było wkładać majtek. Lucy stała się wkrótce jego ulubioną ofiarą i nauczyła się nienawidzić zapachu szkockiej whisky tak samo mocno jak nienawidziła smaku lukrecji.

Pewnej nocy, kiedy wielebny przyszedł do niej, Lucy otworzyła oczy i zobaczyła swego brata, Jude'a, wpatrującego się w nią z wściekłością, bezradnością i żalem - normalnymi u każdego chłopca, oglądającego taką scenę. Podniosła ku niemu w ciemności rękę, a Jude wziął ją i trzymał aż do chwili, gdy wielebny zrobił swoje i zsunął się na bok. Bedenbaugh wracał potem do swego gabinetu, czytał Biblię i palił fajkę. Zapach liści tytoniowych płynął do pogrążonej w mroku sypialni i dzieci zapadały w sen, wiedząc, że tej nocy nie

429

grozi im już niebezpieczeństwo. Po jakimś czasie Bedenbaugh gasił lampę naftową i kładł się spać na małej kozetce obok biurka.

W listopadzie zgwałcił nową dziewczynkę już w pierwszym dniu jej pobytu w sierocińcu. Pozostali słyszeli, jak biedaczka wrywa się i krzyczy w ciemności, a wielebny Bedenbaugh każe jej się zamknąć i poddać woli Pana. Słyszeli także wyraźnie, jak łamie jej kark. Enoch zabrał przed świtem jej ciało i pogrzebał je obok Margaret Dillard na przylegającym do sierocińca cmentarzu dla biedaków. Po tym incydencie Bedenbaugh częściej niż przedtem zaglądał do kieliszka i zaczął faworyzować Lucy, ponieważ nie wrywała się i w ogóle nie odzywała. Jej brat, Jude, również milczał, zawsze jednak trzymał siostrę za rękę, kiedy wielebny gwałcił ją na dolnej pryczy. Jude śledził każdy ruch Bedenbaucha, kiedy ten wracał do swego gabinetu. Duże pozbawione szyby okno pozwalało kaznodziei kontrolować sypialnię, umożliwiało jednak również obserwację Jude'owi. Zasiadłszy w swoim fotelu, wielebny rozpoczynał skomplikowaną ceremonię zapalania fajki. Oskro-bywał starannie scyzorykiem osad z główki, a potem czyścił cybuch specjalną białą bibułką. Tytoń marki Prince Albert trzymał w dużych puszkach w swoim biurku. Oczyszczywszy fajkę, wdychał w nozdrza jego silny zapach, po czym brał między kciuk i palec wskazujący dużą szczyptę i upychał ją ciasno zaopatrzoną w płaski łypek narzędziem, przypominającym Jude'owi gwóźdź. Następnie wyjmował srebrną zapalniczkę, podziwiał ją przez chwilę w świetle lampy, przekręcał kciukiem małe kółeczko i zapalał tytoń. Jego zapach zakradał się wkrótce do sypialni i usypiał Jude'a. Wielebny kończył wówczas butelkę szkockiej i zapadał w ciężki sen, któremu towarzyszyło donośne komiczne chrapanie.

Dopiero po miesiącu Jude'owi przyszedł do głowy pomysł, o który modlił się dwa razy dziennie w kaplicy. Tej nocy, kiedy wielebny wrócił jak zwykle do siebie, a na pryczy niżej popłakiwała cichutko jego siostra, długo obserwował postkoitalne ablucje i ceremonie. Lucy spała już, kiedy Jude ześlizgnął się jak kot z górnej pryczy i ruszył ku drzwiom. Wielebny Bedenbaugh miał gorzko pożałować, iż wybrał na swoją ofiarę siostrę Jude'a Dillarda, który pochodził z Appalachów i odziedziczył po swych przodkach góralską zaciekłość. Chłopiec zaczekał, aż rozlegnie się chrapanie, i słysząc je, wślizgnął się do gabinetu.

430

Pod puchową pierzyną widać było zarys miękkiego ciała. Podchodząc do biurka, Jude zobaczył płonące oko leżącej na popielniczce, nie zgaszonej fajki. Otworzył pierwszą szufladę z prawej strony, jak czynił to często Bedenbaugh, i wymacał blaszaną puszkę z płynem do zapalniczki. Trzymając w prawej ręce płyn, do lewej wziął leżącą obok fajki zapalniczkę. Matka zrobiła to trochę inaczej, lecz sam pomysł był w gruncie rzeczy podobny. Swoją siłę czerpała ze stanowczości, z faktu, że przyświecał jej plan. Jude żałował, że nie jest starszy i nie rozumie lepiej tego, co ma zamiar zrobić, wiedział jednak, że umrze ze wstydu, jeśli będzie musiał choć raz jeszcze trzymać za rękę swoją siostrę.

Odkręcił małą czerwoną nakrętkę i zaczął wylewać zawartość puszek na puchową pierzynę, pod

którą leżał wielebny. Płyn bulgotał cicho i Jude musiał zsynchronizować swoją czynność z odgłosem chrapania. Był wyjątkowo cierpliwy i chociaż zajęło mu to prawie pół godziny, zdołał opróżnić puszkę, nie wylewając ani kropli na samego siebie.

Przez kolejne dziesięć minut zbierał w sobie odwagę, żeby zapalić zapalniczkę. Nigdy w życiu tego nie próbował; widział tylko, jak robi to wielebny Bedenbaugh. Pod opuszką kciuka czuł chropowate kółko. Oczyma wyobraźni widział, jak po jego przekręceniu płomień bucha aż pod dach sierocińca. Przekręcił je raz, ale rozległ się tylko cichy chrzęst, tak jakby w środku siedział uwięziony gryzoń. Hałas spowodował, że zmienił się rytm chrapania i Jude odczekał całą minutę, zanim zdecydował się powtórnie zaryzykować. Druga próba również zakończyła się niepowodzeniem; duchowny ponownie poruszył się przez sen. Za trzecim razem Bedenbaugh obudził się i poczuł zapach płynu, który zmoczył jego nocną koszulę. Dopiero za czwartym razem Jude nauczył się, jak działa zapalniczka.

- Dlaczego nie leżysz w łóżku? - wybełkotał duchowny.

W tej samej chwili z zapalniczki strzelił płomyk i chłopiec przytknął go do pierzyny.

- Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami - zaśpiewał czystym głosem.

Bedenbaugh zerwał się z łóżka, wypadł w płonącej nocnej koszuli z gabinetu i przebiegł z krzykiem przez sypialnię, przypominając z każdym krokiem bardziej pochodnię niż człowieka. Płonął coraz jaśniej i jaśniej, a z nie tkniętych przez ogień ust wydobywał się tylko niezrozumiały ryk, ani jednego słowa.

431

Przy końcu sali od włosów duchownego zapaliły się ciemne bawełniane zasłony. Jego szerniałe ciało osunęło się na kolana i skonał, czując w nozdrzach smród własnego zwęglonego mięsa. Patrząc, jak płonący mężczyzna pada na podłogę po drugiej stronie sypialni i jak zasłonę liże język ognia, Jude Dillard zdał sobie sprawę, że w wieku ośmiu lat zamordował pierwszego w swoim życiu człowieka. Czuł, jak ogarnia go euforia, która zawsze towarzyszy wymierzeniu sprawiedliwej kary. Płonąca postać mężczyzny na zawsze wryła się w jego pamięć. W każdej spowiedzi, do której przystępował, wyrażał żal i skruchę z powodu śmierci Willisa Bedenbaugha. W nocnych koszmarach wielebny zlewał się w jedną postać z jego ojcem i krzyki obydwu skazywały pogrążonego we śnie księdza na kłatwę ognia. Jego poświęcone kontemplacji, spędzone na uboczu życie zaczęło się właśnie w tamtym momencie - gdy ujrzał, jak jego wróg pada na sosnową podłogę, i usłyszał głosy sierot, powtarzających ze strachem "pali się". Wtedy również oniemiał. Jude nie był w stanie wymówić ani jednego słowa przez dwa lata od pożaru sierocińca. Lucy wyprowadziła go za rękę z płonącego budynku, a on szedł za nią posłusznie, godząc się ponieść wszystkie konsekwencje swego czynu.

Pożar szalał przez całą noc i w jego wyniku straciła pracę połowa mieszkańców wioski. Zgodzono się, że Bedenbaugh musiał zasnąć po wypiciu kolejnej butelki i od popiołu z jego fajki zapaliła się pościel. Tylko on jeden zginął w spowodowanym przez siebie pożarze i wieśniacy widzieli w tym akt swoistej sprawiedliwości. Szczątki duchownego szybko pochowano i szybko o nim zapomniano, z wypalonego budynku udało się bowiem wydobyć niewiele poza stertę kości. Sieroty zakwaterowano tymczasowo w żeńskim akademiku Newberry College, następnie zaś rozdzielono między wiejskie rodziny Piedmontu, które odpowiedziały na apel o pomoc. Właściciel położonej niedaleko Florence farmy tytoniowej wybrał Jude'a z szeregu, Lucy wybiła mu to jednak szybko z głowy, upierając się, iż nikomu nie wolno rozłączać brata i siostry i rozbijać w ten sposób wciąż tworzonej przez nich małej rodziny. Kiedy do Newberry wróciły po wakacyjnej przerwie studentki, Lucy i Jude byli jedynymi sierotami, którym nie udało się znaleźć nowego domu.

Lucy spragniona była życzliwości i serca, lecz pojawiający

432

się w Newberry ludzie spoglądali na nią i brata, tak jakby taksowali żywy inwentarz.

Wiedziała już, że nie ma nic bardziej zbędnego i spisane na straty od sieroty. Wiążąc się z upośledzonym niemym bratem, zamykała przed sobą możliwość adopcji, znalezienia jakiegokolwiek miejsca. Z każdym spędzonym w Newberry dniem twardniał jej wzrok; poznając, co czuje człowiek uznany za bezwartościowego, odnajdywała w sobie źródło wewnętrznej siły. Tamtego lata ukształtował się jej charakter. Lucy była żywym dowodem tego, jak wiele ryzykuje ktoś, kto wchodzi w drogę skrzywdzonemu przez los dziecku. Dbając o interesy brata, zmieniła się. We wrześniu podsłuchiwała rozmowę kapelana uczelni z kierowniczką żeńskiego akademika. Zastanawiali się, czy nie oddać Jude'a do stanowego szpitala psychiatrycznego przy Buli Street w Columbii. Słyszała już wcześniej o dzieciach, które wysłano na Buli Street i którym nigdy nie wolno było opuścić tej instytucji, i uznała, że oboje z bratem dość już wycierpieli. Ona jedna wiedziała, że niemotę Jude'a spowodowała głęboka skrucha, paraliżująca go w każdym momencie świadomej egzystencji. Był wrażliwym chłopcem, ptakiem, który przestał śpiewać ze strachu przed jastrzębiami. Potrzebował silnej siostry i Lucy stała się silna. Jude wystawił jej gwałcicielowi straszliwy rachunek za wyrządzoną siostrze krzywdę i Lucy nie mogła teraz pozwolić, by zamknięto go w celi bez klamek. Przez dwa dni kradła jedzenie z kuchni i chowała je pod materacem. Używając kawałka wyrzuconej przez studentkę gumy do żucia wydobyła osiemdziesiąt sześć centów ze stojącej w anglikańskiej kaplicy skarbonki dla biednych. Rozgrzeszyła się z winy, wyjaśniając nie zgłaszającemu żadnych obiekcji bratu, że są równie biedni jak ci, którzy otrzymują wsparcie z wrzucanych do skarbonki monet.

Następnej nocy wyslizgnęli się z akademika. Trzymając brata za rękę, Lucy poprowadziła go przez uśpione, wyludnione miasto w stronę drogi, która, jak słyszała wcześniej, prowadziła do Columbii. Przez osiem godzin zmuszała Jude'a do forsownego marszu, starając się maksymalnie oddalić od Newberry. Przez miesiąc wędrowali bocznymi drogami Karoliny Południowej, śpiąc na leśnych polanach, polach kukurydzy, w stogach siana i stajniach. Nieufni, jak wszystkie nocne stworzenia, przemieszczali się wyłącznie po zmierzchu i szybko polubili

433

smak surowych jajek i ciepłego mleka prosto od krowy. Myszkując po krańcach wsi, kradli, co tylko wpadło im w ręce. Przez przypadek podążali w stronę wybrzeża, omijając z daleka Columbię, paniczny strach budziła w nich bowiem wszelka wzmianka o Buli Street i o domu wariatów. Podróżując dopiero po zapadnięciu zmroku, przyzwyczaili się do światła gwiazd; maszerowali przez pola dojrzałej kukurydzy, pod niebem rozświetlonym konstelacjami, których nie potrafili nazwać. Żadne z nich nie spędziło ani jednego dnia w szkole i świat nie miał dla nich zbyt wielu nazw.

Trzymając się za ręce, przemierzali niepostrzeżenie cały stan. Zostawiali po sobie skorupki jajek, objadali się jagodami i dzikimi jabłkami. Widzieli kiedyś, jak pijany farmer zatłukł pałką psa, który zagryzł kurczaka. Zjedli tego kurczaka tej samej nocy, przy ognisku widzianym z odległości paru mil, a Lucy śmiała się przez długie lata, wspominając, że Jude miał również ochotę zjeść psa. Dowiedziała się w trakcie tej dziwnej odysei, iż głód poszerza granice tego, co uznajemy za jadalne. Wzajemna miłość podtrzymywała ich na duchu i oboje uważali potem tę długą podróż, przedsięwziętą z dala od dorosłych, za najszcześniejszy okres ich nieszczęsnego dzieciństwa. Nie mając żadnego planu, snuli się niczym lunatycy między palmami, które niosły wieść o zbliżającym się wybrzeżu, i dębami, które obszyte były coraz dłuższymi szarfami mchu. Gleba, po której stąpali, stała się bardziej piaszczysta i kwaśna. Podnosił się poziom wód podskórnych; z porośniętych cyprysami moczarów dobiegały echa sowych kolokwiów i skrzeczenie aligatora zaniepokojonego pojawieniem się rywala na wodach czarnych od szlamu, ikry i alg. Przemierzali lasy, nie zauważeni przez tysiące oczu lustrujących mroczny zamknięty świat, gdzie większość stworzeń była drapieżcami, a wszystkie łowną zwierzyną.

Oglądany przez pryzmat nocy świat miał w sobie coś z baśni. Ponieważ Jude w dalszym ciągu się nie odzywał, Lucy podejmowała za niego wszystkie decyzje, wybierając między innymi miejsca, gdzie mieli schronić się w ciągu dnia. Włóczęga trwała, póki nie osłabli, a kiedy osłabli, zaczęli

szybko umierać. Nie mogąc obudzić Jude'a z głodowej śpiączki, Lucy pomaszerowała prosto do najbliższego nie pomalowanego domu, z którego komina unosiła się smuga dymu. Zapukała bez wahania do drzwi, które otworzyła potężna Murzynka, pierwsza czarna

434

kobieta, z jaką przyszło jej w życiu rozmawiać. Murzynka miała na imię Lotus. Dzień, w którym ją spotkali, miał się okazać dla Lucy i jej nieprzytomnego brata dniem wybawienia. Razem z Jude'em nie mogła trafić do domu, w którym mieszkaliby ubożsi i zarazem bardziej wielkoduszni ludzie. Jude obudził się, ssąc mały palec Murzynki, która zanurzyła go w słoiku z wyrabianą przez męża melasą i rozsmarowała ją po dziąsłach i zębach chłopca. Jako mała dziewczynka też wiele wycierpiała i teraz postanowiła podtuczyć dwójkę białych dzieci, które pojawiły się nie wiadomo skąd na progu jej domu, na skraju bagien Congaree.

Przez trzy tygodnie Lotus karmiła parę białych przybłędów, patrząc, jak różowieją ich policzki, i podtykając im pod nos posmarowane masłem biskwity, chrupiący, podsmażany na stalowej patelni bekon i tyle jajek, ile zdołali przełknąć. Na obiad i kolację gotowała wszystkie rodzaje warzyw, jakie rosły w jej ogrodzie, i Lucy z Jude'em obżerali się kapustą, grochem i ówikłą. Lotus nasyciła ich krwiobieg cząsteczkami tłuszczu, witaminami i żelazem.

Dwójkę białych dzieci bawiących się na podwórku czarnej rodziny zobaczył jednak farmer wiozący siano do Orangeburga i poinformował o tym sędziego, z którym odbył luźną pogawędkę w składzie paszy, cztery mile dalej. Spełniwszy swój obowiązek, anonimowy farmer ruszył dalej ze swym sianem do Orangeburga, nie zdając sobie sprawy, że po raz kolejny odmienił los Lucy i Jude'a Dillardów.

Ponieważ wspólne zamieszkiwanie białych i czarnych było niezgodne z prawem, szeryf Whittier odebrał po prostu dzieci Murzynce, po czym wsadził je na tylne siedzenie swego samochodu i zawiózł do aresztu, gdzie spędziły noc.

Ponownie odkryły, że są nie chciane i bezwartościowe. Z aresztu przeniesiono je do domu parafialnego, potem zaś odesłano pociągiem do Charlestonu. Tam sędzia okręgowy przekazał Lucy i Jude'a przerażającej kobiecie w czarnym habicie, która zaprowadziła ich do Katolickiego Sierocińca pod wezwaniem Świętej Urszuli. Przy cichej, wysadzonej drzewami, cętkowanej mchem ulicy Lucy i Jude wkroczyli w dziwny świat złotych kielichów, wonnego kadzidła i odzianych we wspaniałe sutanny, mamroczących łacińskie modlitwy księży. Oboje przyjęli katolicyzm bez zastrzeżeń, nigdy w życiu nie widzieli bowiem na oczy katolika ani nie słyszeli o takiej

435

religii. Z początku zdumiewały ich rytuały i egzotyka nowej wiary; przerażała milcząca dominacja stojących w niszach kościoła posągów Jezusa i świętych. Lucy miała wrażenie, że nikt nie zdoła uciec przed surowymi spojrzeniami tych pozbawionych powiek, widzących wszystko figur. Zakonnice i księży wydawali się z innego świata i byli pierwszymi spotkanymi przez Lucy dorosłymi, którzy ubierali się inaczej niż normalni ludzie, podobni bardziej do owych gipsowych posągów, którym oddawali cześć, składając razem dłonie i ściskając w palcach sznury czarnych kamyków.

Jude od samego początku rozkwitł w cieplarnianych warunkach, podporządkowując się narzucanej przez siostry łagodnej dyscyplinie. Podobała mu się ich surowość i umiłowanie porządku.

Zakonnice wzięły milczenie chłopca za oznakę świętości oraz pokory i od pierwszego dnia go faworyzowały. Jedną z nich, siostra John Appassionata, szczególnie go polubiła i pod jej troskliwą opieką Jude odzyskał głos. Nauczyła go alfabetu i wkrótce potem potrafił czytać od deski do deski elementarz i rozwiązywać zadania z arytmetyki. Miał bystry umysł i szybko się uczył.

Lucy nie wiodło się w sierocińcu tak dobrze. Po wspaniałych trzech tygodniach spędzonych u Lotus czuła się u Świętej Urszuli bardziej jak więzień niż gość. Zakonnica nadzorująca żeńską sypialnię była sztywną jak kij kobietą o zaciśniętych ustach, która nie tolerowała najmniejszego niedbalstwa i

lekkomyślności. Świat przerażał ją i starała się przekazać swój lęk wszystkim powierzonym jej opiece szesnastu dziewczętom. Nauczyła je nienawidzić własnego ciała, popełniły bowiem niewybaczalny grzech, rodząc się kobietami. W samej Biblii znajdował się niezbity dowód na to, że Bóg nienawidzi kobiet, ponieważ stworzył je w drugiej kolejności ze zbędnego zebra Adama i podkreślał konieczność podporządkowania się mężczyźnie. O zbrodni kobiety i jej nieczystości świadczyła również menstruacja. Dla siostry Bernadine fakt, że było się dziewczyną, nie stanowił powodu do radości.

Tak oto miasto Charleston - kolorowa stolica rozpasanego bogactwa i łypiącej zbiełałym okiem perwersji - przyszło z pomocą dwojgu zabłąkanym dzieciom, które miały nieszczęście urodzić się na surowym Południu. To miasto niszczyło swoich nędzarzy tak samo skutecznie, jak czyniły to góry, zło było tu jednak o wiele lepiej zakamuflowane.

436

Charleston okazał się szczęśliwym miastem dla Jude'a i pechowym dla Lucy. Ich ścieżki rozeszły się tutaj i stracili ze sobą kontakt na długie lata. Jude dorastał pod troskliwą opieką zakonnic i księży, zachwyconych jego wrodzoną dobrocią, która z biegiem lat przybierała coraz bardziej uduchowiony charakter. Od pierwszego dnia pobytu w sierocińcu chłonał rytuały katolicyzmu. Wycofał się do krainy modlitwy i w wycofaniu tym tkwiły ziarna powołania. Komunia mszy była dla niego bogata zarówno w milczeniu, jak w słowach i jego dusza dojrzewiała w przepychu form. Za podszeptem siostry John Appassionaty poprosił, by ochrzczono go razem z siostrą w rzymskokatolickiej katedrze. Zahartowana w bojach i cyniczna Lucy doceniała mądrość tego posunięcia i nauczyła się na pamięć formułek katechizmu, które inne dziewczęta recytowały podczas zajęć. Zakonnice zauważyły już, że Lucy nie potrafi czytać ani pisać; siostra Bernadine otwarcie mówiła o niej, że jest "opóźniona". To słowo uczyniło Lucy niewidzialną i sprawiło, że czas stanął dla niej w miejscu.

Wkrótce po raz pierwszy uciekła z sierocińca. Wiedziała, jak wygląda życie zbiega, teraz jednak była zupełnie sama w środku dużego miasta. Mając trzynaście lat przeszła na drugą stronę East Bay Street i znalazła się w dzielnicy portowej. Udzielono jej kilku szybkich lekcji i wkrótce odkryła, że nie ma na świecie gorszych zagrożeń niż te, którym musi stawić czoło młoda dziewczyna, próbująca radzić sobie na własną rękę w zakazanej części miasta. Jakiś mężczyzna kupił jej bilet do Atlanty, gdzie wiodła niewesołą rozwiązałą egzystencję aż do dnia, gdy spotkała swojego ojca. Tak wyglądał szczęśliwy dzień w życiu mojej matki.

ROZDZIAŁ 28

Od pierwszego dnia naszego pobytu w Waterfordzie Leah czuła, jak bardzo zależy wszystkim, by była szczęśliwa. Sprawianie wrażenia, że się dobrze bawi, stało się dla niej czymś w rodzaju obywatelskiego obowiązku. Ludzie wypowiadali się na temat jej szczęścia równie często, jak na temat pogody i ciśnienia barycznego. Czując na sobie baczne spojrzenia, miała czasem wrażenie, iż jest więźniem wypuszczonym z celi za dobre sprawowanie. Nie przeszkadzało jej, że jest zauważana, nienawidziła jednak, gdy studiowano ją wzrokiem. W tym mieście o wiele silniej niż w Rzymie odczuwała brak matki. Gdziekolwiek się obróciła, trafiała na ślady Shyli. Jej matka zdawała się być wszędzie, a jednak pozostawała nieuchwytna i ulotna, zarówno we wspomnieniach, jak i w życiu. Im więcej dowiadywała się na jej temat, tym mniej była pewna, że w ogóle coś wie o Shyli. Którejś soboty Elsie Rosentgarten, starsza Żydówka, która uczyła Shylę w drugiej klasie, wybuchnęła płaczem w synagodze, gdy je sobie przedstawiła.

— Ludzie są zszokowani, bo jesteś tak bardzo podobna do matki - wyjaśniłem później, trzymając ją za rękę.

— Do ciebie też jestem podobna.

— Za mało, żeby ktoś to dostrzegł - powiedziałem, spog

ładając z ukosa na Leah i zastanawiając się, czy uroda dzieci zawsze wpędza w nerwicę rodziców. Odkąd wróciliśmy, rzadko kiedy nie wstawałem o trzeciej w nocy jedynie po to, by sprawdzić, czy Leah wciąż oddycha.

— Czy ludzie myślą, że coś s * . zrobię tylko dlatego, że
438

zrobiła to mama? - zapytała. - Czy dlatego tak mi się przyglądają?

— Skądże znowu - odparłem.

— Zaprzeczasz, bo chcesz mnie chronić.

— Wcale nie. Ludzie nie mogą po prostu uwierzyć, że wychowałem sam dziewczynkę, która ma tak dobrze poukładane w głowie - wyjaśniłem. - Kiedy byłaś mała, matka szalała na twoim punkcie. Przez pierwszy rok nikomu nie było wolno się do ciebie zbliżyć. Można było pomyśleć, że robi mi wielką łaskę, kiedy pozwalała zmienić ci pieluszkę.

— To obrzydliwe - stwierdziła Leah.

— Tylko tak ci się wydaje. Zmienianie pieluszki własnemu dziecku jest całkiem przyjemne. I należy do rzeczy, które trzeba zrobić. Lubiłem zmieniać ci pieluszki.

— Martwisz się, że twoja matka umrze, tak? - zapytała nagle Leah, przytulając policzek do mojego przedramienia. - Widzę to.

Przez moment wahałem się, co odpowiedzieć. Słyszałem w jej głosie wezwanie do otwartości, pragnienie, bym podzielił się szczerze obawami związanymi z chorobą matki.

— Nie masz pojęcia, jakim byłem dla niej złym synem, Leah - wyznałem. - Nie wiesz, jakie mówiłem jej rzeczy.

Niewybaczalne rzeczy. Tyle razy patrzyłem na nią z czystą nienawiścią. Nigdy jej nie rozumiałem i karałem za swoją ignorancję. Obawiam się, że umrze, zanim zdążę ją dość razy przeprosić.

— Ona wie, że ją kochasz, tatusiu - odparła Leah. -

Słyszałam, jak mówiła przedwczoraj doktorowi Pittsowi, że nie sądzi, by jakikolwiek inny syn przyleciał aż z Włoch, aby być ze swoją mamą, kiedy ta go potrzebuje.

— Nie wymyśliłaś tego czasami?

— Powiedziała coś w tym rodzaju. To w każdym razie miała na myśli.

Wczesnym wieczorem tego samego dnia wybraliśmy się ponownie na spacer plażą i brodząc w pozostawionych przez przypyły bajorkach, stąpaliśmy po przegładającej się w nich po wielokroć gwieździe Wenus. Lato zwiastowało swoje nadejście coraz cieplejszą temperaturą wody. Z początkiem czerwca zaczęły się rozjaśniać grzebienie fal, a na polach, które mijaliśmy w drodze do miasta, zieleniły się krzaki pomidorów i grzały w słońcu niedojrzałe owoce. Dni zrobiły się ciepłe na długo

439

przedtem, nim ociepliło się morze. Nielatwo było ogrzać ocean, ale idąc jego brzegiem i czekając na wschód księżyca, czuliśmy, że woda rzeczywiście robi się coraz cieplejsza. Ze stygnących piasków unosiła się mgiełka; w ostatnich promieniach słońca widać było frunące na północ mewy. Jedna z nich krzyknęła i jak zawsze w takiej chwili pomyślałem o złamanym sercu i samotności, której nie sposób nazwać. Miałem nadzieję, że mój smutek nie jest zaraźliwy i nie przekażę go w spadku córce. Kochałem podobne do tej nocy i prowadząc Leah za rękę pod rozpościerającym się

na nieboskłonie wielkim braterstwem gwiazd, żalowałam, że nie jestem kimś weselszym, mniej skłonny do zamyśleń. Po godzinie, gdy zapadł kompletny zmrok, zawróciliśmy z powrotem do domu Lucy. Gwiazdy błyszczały teraz o wiele jaśniej; w powietrzu unosił się zapach sargasu, mięczaków i sosny. Daleko przed sobą usłyszeliśmy nagle jakiś hałas. Księżyc był w nowiu i w jego blasku spostrzegliśmy wielkiego morskiego żółwia, na którego grzbiecie siedział młody chłopak, waląc pięściami w skorupę i przednie łapy zwierzęcia i wrzeszcząc jak dosiadający byka kowboj. Leah krzyknęła głośno i podbiegliśmy do przodu.

— Zejdź z tego żółwia, synu - powiedziałem, starając się zachować spokój.

— Odpierdol się pan - warknął chłopak i zorientowałam się, że popisuje się przed swoją stojącą obok dziewczyną.

— Proszę cię, zejdź z tego żółwia, synu - powtórzyłem. - Nie mogę wyrazić się grzeczniej.

— Masz kłopoty ze słuchem? - odparł chłopak, który mógł mieć dziewiętnaście, dwadzieścia lat. - Odpierdol się.

Złapałem go za koszulę na plecach i ściągnąłem z żółwia. Był starszy i większy, niż z początku sądziłem, i zerwał się z ziemi gotów do walki.

— Spokojnie. To samica żółwia morskiego, która wychodzi na brzeg, żeby złożyć jaja - oznajmiłem.

— Mam nadzieję, że masz dobrego adwokata, frajerze - odparował - bo zamierzam złożyć na ciebie skargę.

- Tatusiu, ona wraca do oceanu - zawołała Leah.

Żółwica skręciła w prawo, stąpając ociężale. Znajdowała się właśnie w połowie zakrętu, który miał ją zaprowadzić z powrotem do morza.

- Jej szczęki mogą odgryźć ci nogę, synu. Potrafi nimi zabić dorosłego rekina - ostrzegłem chłopaka, który chciał przeciąć jej drogę.

440

Chłopak ustąpił, a żółwica ruszyła sycząc do przodu. Jej cuchnący rybi oddech zanieczyścił powietrze, wypełniając je nieziemskim smrodem. Kiedy tylko znalazła się na wystarczającej głębokości, aby powierzyć wodzie swoją olbrzymią masę, zmieniła się w coś szybkiego i anielskiego i zniknęła niczym morski ptak w oceanie.

— Pozwoliłeś jej uciec! - wrzasnął chłopak.

— Co miałeś z nią zamiar zrobić, synu? - zapytałem. -

Pomalować jej skorupę i sprzedać na pchlim targu?

— Miałem zamiar poderżnąć jej gardło.

Nie zauważyłem zbliżającego się światła latarki, ale Leah biegła już w stronę nadchodzącej postaci. Zanim się zorientowałem, chłopak wyjął nóż i zbliżył jego ostrze niebezpiecznie blisko do mojej twarzy.

— Żółwie morskie są na liście zagrożonych gatunków. Przeszkadzanie im w składaniu jaj jest przestępstwem - poinformowałem go.

— Odłóż ten nóż, Oggie - poprosiła dziewczyna.

— Wędkowałem i polowałem przez całe życie, frajerze - oświadczył Oggie - i ojciec zawsze powtarzał mi, że nie ma nic lepszego od upieczonych przy ognisku żółwich steków.

— Twój tato jest trochę niedzisiejszy - odparłem. - Teraz mogliby cię za to wsadzić do paki. Są łatwiejsze sposoby, żeby zafundować sobie jakieś danie z żółwia.

— Mogę zobaczyć akt własności, w którym stwierdzono, że

ta plaża należy do ciebie, frajerze? - zapytał Oggie.

— Kiedy byłem w twoim wieku, też udawałem bohatera.

Nie obrażałem jednak bez przerwy ludzi. Taki właśnie wpływ wywarła MTV na wasze żalosne pokolenie.

— Kto wdrapał się na grzbiet żółwia? - usłyszałem głos mojej matki.

Światło latarki oślepiło Oggiego, który odwrócił w bok głowę.

— Ja - powiedział. - Przejechałem się na nim całe dziesięć jardów, zanim ten świr mnie ściągnął.

— Po co ci ten nóż, synu? - zapytała Lucy.

— Facet zaatakował mnie - poinformował ją Oggie. -

Muszę się bronić.

Latarka uderzyła go w nadgarstek i nóż upadł na ziemię. Podniosłem go, podszedłem do brzegu i cisnąłem tak daleko, jak mogłem, w morze.

441

— Ten nóż jest prywatną własnością - powiedział Oggie, masując rękę.

— Pozostaje nią w dalszym ciągu - odparłem.

— Moja matka doniesie na pana gliniarzom - zagroził, cofając się w stronę jaskrawo oświetlonych domów.

— Kim są twoi rodzice? - zapytała Lucy. - Skąd się tu wziąłeś?

— Nazywam się Jeter. Mój dziadek to Leonard Jeter.

— Przekaż Lenowi moje pozdrowienia. Jestem Lucy Pitts. I trzymaj się z daleka od żółwi. Chcemy, żeby składały jaja w piasku.

— Nie widzę, żeby nosiła pani jakąś odznakę - nie dawał za wygraną chłopak.

— Zamknij się, Oggie - poradziła mu dziewczyna i po chwili zniknęli oboje w mroku.

— Co teraz robi ta żółwica? - martwiła się Leah.

— Może porzucić jaja w oceanie, moja droga - odparła matka, kierując snop światła w stronę fal. - Ale instynkt każe jej zakopać je w piasku. Może zaczeka, aż odejdziemy, i wróci, kiedy na plaży nie będzie żywego ducha.

— Zwłaszcza Oggiego - dodała Leah.

— To Jeter - oznajmiła Lucy. - Jego rodzice to najgorsza hołota.

— Proszę cię, mamó - przerwałem jej.

— Stwierdzam po prostu fakty - odpowiedziała. - Cała rodzina ma brud za paznokciami. To dziedziczne, jak piegi.

— Tato nie lubi, kiedy przyczepia się ludziom etykietki, babciu - wyjaśniła Leah.

— Nie lubi? - zdziwiła się Lucy. - Można nazwać żółwia dwugłowym cieleciem, ale i tak nie zmieni to istoty rzeczy. Podobnie jest z Jeterem. Można ubrać tego chłopca w smoking i nauczyć go królewskich manier, ale z butów wciąż będzie mu wylaziła słoma. Jetera można nazwać Rockefellerem, ale nadal będzie wchodził do domu tylnymi drzwiami. Prawda, Jack?

— Daj spokój, mamó - poprosiłem. - Chcę wychować to dziecko w innym duchu.

— Niedobrze robisz, synu - roześmiała się Lucy. - Przy wiozłeś ją na Południe. Tak właśnie myślą południowcy i dziewczyna powinna przywyknąć do lokalnych zwyczajów.

442

Nazajutrz Leah obudziła mnie jeszcze przed świtem, każąc się pośpieszyć. Na stole czekała kawa, którą mieliśmy zabrać na poranny patrol. Pojechaliśmy rowerami do domu mojej matki, zaparkowaliśmy je przy zewnętrznym prysznicu, po czym zdjęliśmy z nóg docksidery i podeszliśmy do czekającej na plaży Lucy, która wręczyła Leah trzy muszle zebrane przy linii przypląwu.

— Będą w sam raz do twojej kolekcji. Uzbieramy cały słoik i zrobimy z nich lampę, którą zabierzesz do Rzymu - oznajmiła, kładąc trzy anielskie skrzydła na otwartej dłoni Leah. Ta podziwiała je przez chwilę, a potem włożyła ostrożnie do mojej kieszeni, ostrzegając, bym nie zapomniał, że tam są.

— Czy żółwica wróciła? - zapytała.

— Musicie to sprawdzić - odparła Lucy. - Ty i twój ojciec jesteście odpowiedzialni za następną milę wybrzeża. Ja odpowiadam za cały program.

— Jesteśmy dzisiaj pierwsi - stwierdziła z dumą Leah, lustrując w obu kierunkach plażę.

Nad naszymi głowami przefrunęły brązowe pelikany, szybując tak lekko na rozpiętych skrzydłach, że wydawały się cichym psalmem wielbiącym samą ideę lotu. Przemknęły i zniknęły niczym cienie, które ukradły dusze innym ceniom.

— Popływajmy trochę - zaproponowałem, ale Leah po trząśnięciu głową.

— Najpierw musimy sprawdzić, czy na plaży nie ma śladów żółwi.

— Wierzę, że Leah podejdzie rzetelnie do sprawy - pochwaliła ją Lucy. - Na tobie nie można polegać, Jack.

- Kilka minut nie zrobiłoby żadnej różnicy.

Przeszliśmy około trzystu jardów, zostawiając w mokrym piasku ślady różniące się rozmiarami, lecz zbliżone kształtem i świadczące o podobnym sklepieniu stopy. Leah nie odrywała wzroku od plaży i krzyknęła głośno, widząc przecinające piasek głębokie ślady żółwia.

- Wróciła! Wróciła! - zawołała, ruszając tropem głębokich żłobień, które pozostawiły łapy wracającej z morza żółwicy.

Lucy i ja trzymaliśmy się z tyłu, pozwalając Leah odkryć miejsce, w którym ślady kończyły się i samica złożyła jaja.

Niosłem wiadro i kij golfowy numer dziewięć z odłamaną dolną częścią, który miał nam służyć za próbnik. Leah wzięła go do ręki i zbliżyła się do kopczyka, który żółwica przyklepała niczym tytoń w fajce.

443

- Samica składa jaja zwrócona przodem do morza. Przyjrzyj się śladowi jej ciała. Wykopuje dół i zasypuje go tylnymi łapami - powiedziała matka.

Leah sprawdziła miejsce lęgowe zgodnie z zasadami, których nauczyła ją Lucy podczas trwającego ponad dwa miesiące szkolenia. Wbiła próbnik w owalne wgłębienie, przypominające kształtem żółwia, i czując, że trzonek zatrzymuje się po kilku calach, posłała pytające spojrzenie mojej matce. Lucy pokazała jej wzrokiem, aby spróbowała w innym miejscu. Leah zaczęła dźgać szybkimi zdecydowanymi ruchami sprasowany piasek i po pewnym czasie trafiła na punkt, w którym trzonek

kija zapadł się głębiej. Wtedy uklękła i sprawdziła ostrożnie piasek palcem wskazującym.

— To tutaj, babciu! - krzyknęła. - Piasek ma konsystencję świeżo przesypanej mąki. W innych miejscach jest twardo ubity.

— Tej żółwicy udało się wywieść w pole dużo szopów, ale nie Leah McCall - pochwaliła ją Lucy.

— Czy mam wykopać jaja? - zapytała Leah, spoglądając na babcię.

— W tym roku zabieramy wszystkie. Zakopimy je ponownie koło mojego domu, tam, gdzie będą bezpieczne.

— Co mówi na to Urząd Ochrony Przyrody Karoliny Południowej? - zainteresowałem się.

— Wcale im się to nie podoba - przyznała Lucy. - Kop, Leah. Kop, kochanie.

Przez kilka minut obserwowałem moją córkę, która wydobywała pełnymi garściami piasek ze starannie zrobionego otworu, przypominającego kształtem klepsydrę. Choć nie odrywała ani na chwilę oczu od jego wnętrza, mogła polegać wyłącznie na zmyśle dotyku. Kopiąc coraz głębiej, starała się sunąć dłońmi w ślad za osypującym się piaskiem. Nagle wyprostowała się i znieruchomiła.

— Coś tam jest - stwierdziła.

— Podnieś to ostrożnie - poleciła Lucy. - Wszystko, co stąd wyjmiesz, jest na wagę złota.

Ręka Leah wynurzyła się powoli z otworu, wyjmując białe jajo trochę tylko większe od dziecinnej pięści. Było koloru kości słoniowej, miękkie jak skórzana torba i całkiem zdrowe; sprawiało wrażenie dość dużego, by mógł wykluć się z niego rybołów lub sęp, lecz nie zwierzę tak potężne i majestatyczne jak żółw morski.

444

- Proszę, włóż jajo ostrożnie do wiadra, Leah - powie działa Lucy. - Połóż je dokładnie w tej samej pozycji, jaką zajmowało w gnieździe. W naturze wszystko ma swoje uzasadnienie. Ale najpierw wsyp trochę piasku na dno wiadra. O właśnie.

Raz po raz Leah sięgała aż po pachę w mroczne wnętrze gniazda i wyjmowała z niego podobne do klejnotów pojedyncze jaja. Jej ruchy były pełne nabożeństwa i chociaż podekscytowana, ani razu się nie pośpieszyła; zawarcie znajomości z każdym jajem wydawało się fragmentem jakiegoś skomplikowanego tańca pór roku.

— Czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt - liczyła, wkładając je do wiadra, podczas gdy Lucy stawiała znaczki w małym notesie.

— Popatrz. Nasza żółwica próbowała wdrapać się na te kamienie, ale dała za wygraną - zauważyła moja matka, pokazując ślady prowadzące w stronę wielkich granitowych głazów, które właściciele domów zwieźli tutaj, aby powstrzymać erozję wydm. Na Isle of Orion zawsze dominował piasek i ani jeden głaz nie należał do tego środowiska. - Nasze domy zabijają więcej żółwi niż wszystkie razem wzięte szopy i kra by - dodała. - Nie powinni pozwolić na wybudowanie nawet jednej budki na tych wydmach.

— Siedemdziesiąt jeden, siedemdziesiąt dwa, siedemdziesiąt trzy - liczyła dalej Leah.

— Czy to dobre miejsce na gniazdo? - zapytałem.

— Porządny wiosenny przyływ na pewno zalałby ten ot

wór - odparła Lucy. - To gniazdo nie miałyby najmniejszej szansy. Ale nie można o to winić żółwicy. Co mogła poradzić na te przekłete głązy? Potrzebowałyby czekana i długiej liny, żeby się na nie wdrapać. A potem jak wróciłyby do morza małe żółwiątka? Nie ma tu dobrego wyjścia.

Lucy starannie odnotowała położenie gniazda, dzień i godzinę jego odkrycia, liczbę złożonych jaj i przybliżony czas zakopania ich przez samicę. Kiedy w wiadrze znalazły się wszystkie sto dwadzieścia dwa jaja, Leah zasypała dokładnie gniazdo i udeptała na nim piasek.

- Teraz zaniesiemy te maleństwa w bezpieczne miejsce - oznajmiła Lucy, wręczając mi ciężkie wiadro.

Leah wyprzedziła nas, zmierzając szybkim krokiem ku miejscu, które moja matka przeznaczyła na teren lęgowy dla tego

445

rocznika żółwi. Lucy zatrzymała się, aby zabrać kilka ślicznych jak cukierki muszli, które wyrzucił na brzeg nocny przypływ. Kiedy podniosłem ponownie wzrok, zobaczyłem, że do Leah podchodzi umundurowana kobieta.

— Kto to jest? - zapytałem mamę. - Tam, przy twoim domu?

— Kłopot, z dyplomem wyższej uczelni - odparła z jękiem Lucy. - Nie przerywaj mi, kiedy będę z nią rozmawiała.

Facetka wpada w zakłopotanie, kiedy ktoś jest dla niej miły.

Kobieta była młoda i ładna i prowadziła z Leah ożywioną rozmowę na temat żółwich jaj. Moja córka wskazała ręką w stronę gniazda, a potem uklękła na piasku, żeby zademonstrować, jak znalazła i wydobyla jaja, które niosłem w wiadrze.

— Zawsze brzydziłam się kobiet, które mają na imię Jane - stwierdziła Lucy, szykując się do starcia. - Są złośliwsze od innych. I częściej cierpią na niestrawność.

— Prowadziłaś w tej dziedzinie jakieś badania?

— To wniosek wysnuty na podstawie wieloletnich obserwacji, synu - odparła szeptem. Kiedy zbliżyliśmy się do mierzającej nas surowym wzrokiem funkcjonariuszki, głos matki stał się słodki i melodyjny. - Cześć, Jane. Mówiłam właśnie mojemu synowi, jakie masz ładne imię. Jack, pozwól, że przedstawię ci Jane Hartley. Poznałaś już moją wnuczkę, Leah.

— Pozwoliłaś jej wykopać całe gniazdo żółwi morskich - stwierdziła Jane ubrana w mundur Urzędu Ochrony Przyrody. - Założę się, że zapomniałaś powiedzieć Leah, że to nie zgodne z prawem i że w zeszłym roku spędziłaś w areszcie cały dzień za takie samo wykroczenie.

— To chyba nieprawda, babciu? - zapytała Leah.

— Formalnie rzecz biorąc, to prawda - przyznała Lucy - ale nie ma nic mniej przekonującego niż prawda, która jest nią tylko z formalnego punktu widzenia. Podaj mi szpadel, Jack. Wykopię im świeżą dziurę.

— Konfiskuję te jaja - oznajmiła Jane. Dała krok w moją stronę, ale Lucy natychmiast wkroczyła między nas.

— W tym roku nie zamierzam stracić ani jednego jaja przez waszą głupotę. Ani jednego - oświadczyła.

— Lubisz bawić się w Pana Boga, prawda, Lucy? - za pytała Jane.

— Przez długi okres postępowałam zgodnie z przepisami -

odparła Lucy, kartkując swój pochłapany słoną wodą no-
446

tes. - Przyznaj, Jane. Nie dotknęłam ani jednego gniazda. Przestrzegałam co do joty wszystkich waszych zaleceń. Natura wie lepiej, twierdziła Jane Hartley i Urząd Ochrony Przyrody. Zostawcie jaja tam, gdzie zakopała je matka. Nie wtrącajcie się w naturalny bieg rzeczy, rozkazaliście. Natura jest okrutna, ale ma swój rozum.

— Te zalecenia wciąż obowiązują - dodała Jane. - Uważamy, że mądrzej jest zdać się w tej dziedzinie na prawa boskie niż na prawa Lucy.

— Dzięki moim prawom o wiele więcej małych żółwi dociera do wody, niż docierałoby dzięki prawom boskim, i mam na to dowód w tym notesie - stwierdziła Lucy, wymachując niczym bronią swoim zeszykiem.

— Moja babcia kocha żółwie - wtrąciła Leah.

— Może i kocha - zgodziła się Jane - ale ma głęboko gdzieś całe prawo.

— Mój syn jest znanym na całym świecie pisarzem i autorem esejów kulinarnych - oznajmiła Lucy, decydując się na ujawnienie tego faktu w najmniej odpowiednim momencie. - Zapamiętaj każde oszczerstwo, które na mnie rzucisz. Ma umysł jak stalowe imadło.

— Widzę, że nie działa na panią urok mojej matki, pani Hartley - odezwał się.

— Mamy z pana matką wieczne utrapienie - odparła kobieta. - Moja praca jest wystarczająco ciężka bez konieczności użerania się z kimś, kto utrzymuje, że jest po stronie ekologów.

— Posłuchajcie, co zrobili ludzie tacy jak ona. Wysłali memorandum do wszystkich komitetów zajmujących się ochroną żółwi na wybrzeżu Karoliny Południowej. Takie komitety znajdują się na każdej wyspie aż do granicy z Karoliną Północną. Wszędzie występują problemy z erozją. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zniszczeniu uległa połowa terenów lęgowych. Ludzie zaangażowani w program ochrony żółwi rwą sobie włosy z głowy. Ale ci genialni urzędnicy wymyślili nowy regulamin, który zabrania nam dotknąć choćby jednego złożonego w gnieździe jaja. Nie możemy ich chronić, nie możemy pilnować, nie możemy przenosić... nie wolno nam nic robić. Gamonie mają piękne gabinety w Columbii, wszyscy dostają wysokie pensje i wysysają ostatnią krew z takich jak ja podatników.

— Ktoś musi zapłacić za moje maserati - zauważyła z kamienną twarzą Jane.

447

— Czy nie moglibyśmy zawrzeć kompromisu? - zapytałam. - I tak już przekroczyliśmy trochę przepisy.

— Gdyby to ode mnie zależało, dostalibyście rok odsiadki za każde znalezione w tym wiadrze jajo - odpowiedziała z werwą Jane i w tej samej chwili Leah wybuchnęła płaczem.

— Mogliby nas zamknąć na sto dwadzieścia dwa lata, ta to - zawołała, obejmując mnie rękoma. - Tylko za to, że pomogliśmy babci.

— Wiedziałem, że zadawanie się z tą kobietą nie przyniesie nam nic dobrego - oznajmiłem. - Uspokój się, Leah. Nie pójdziemy do więzienia.

— Lucy może tam tym razem trafić - stwierdziła Jane. - Wygląda na to, że złapałam was na gorącym uczynku.

— Próbowałam załatwić to z wami po dobroci - oświadczyła moja matka, zabierając mi wiadro. - Naprawdę próbowałam. Nie stykasz się na co dzień z tym problemem, Jane. To, co robisz, jest nieuczciwe, niesłuszne i na pewno nie sprzyja przetrwaniu żółwi na tych wyspach.

— Jeśli człowiek będzie się stale wtrącał w ich zwyczaje łęgowe, te żółwie nie mają żadnej szansy przeżycia - zaprotowała Jane.

— To tylko teoria. Coś, co piszesz na kawałku papieru. Coś, co nieźle wygląda, nieźle brzmi i przyjemnie się czyta. Ale to nie zdaje egzaminu.

— Zdawało egzamin przez miliony lat, Lucy. Było skuteczne od ery dinozaurów.

— Posłuchajcie, Jack i Leah. Posłuchajcie, co się stało. Robiliśmy tak, jak mówi obecna tutaj Jane. Wykonywaliśmy co do joty jej instrukcje. Ponieważ ci ludzie mieli swoje wyliczenia, swoje wykresy i swoje cholerne dyplomy. Ponieważ mieli odznaki, broń i reprezentowali prawo. Jane, powiedz Leah, co się stało. Powiedz temu dziecku, jak sprawdziły się wasze teorie.

— Nasze teorie sprawdziły się idealnie - odparła kobieta, zaciskając pas z bronią. - Natura ocaliła pewną liczbę gniazd i pozwoliła przetrwać pewnej liczbie żółwi. Niektóre gniazda padły ofiarą drapieżców. Należało się tego spodziewać.

— To brzmi rozsądnie, mamo.

— Szanuję twoją wiedzę, jeśli chodzi o ziti albo pizzę pepperoni, synu. Ale jesteś kompletnym ignorantem, jeśli idzie o żółwie morskie - odcięła się Lucy, piorunując wzrokiem funkcjonariuszkę, która nie pozostała jej dłużna.

448

— Lucy stawia się ponad prawami natury - stwierdziła Jane.

— To właśnie prawa natury zabijają mnie w tej chwili - odpaliła moja matka. - Odczułam na własnej skórze, jak bardzo im podlegam. W przyszłym roku na pewno nie będziesz miała okazji się ze mną spierać, ale modłę się do Boga, żeby któraś z innych ochotniczek zajęła moje miejsce.

— Oddaj mi te jaja, Lucy.

— Na pewno ich ode mnie nie dostaniesz. Co chcesz z nimi zrobić?

— Zabrać je do mojego biura - odpowiedziała Jane. - Sfotoграфować jako dowód rzeczowy. Zbadać, czy nie zostały zniszczone. A potem przywieźć z powrotem na wyspę i zakopać możliwie jak najbliżej pierwotnego miejsca łęgowego.

— Musimy zakopać te jaja już teraz - upierała się Lucy, podchodząc do swojej werandy i biorąc do ręki szpadel, który opierał się o jeden z podtrzymujących ją pali. - Przenoszę

wszystkie żółwie gniazda znalezione na tej wyspie do suchego piasku przed moim domem. W ten sposób mogę chronić je sama, ponieważ będą się znajdować w odległości dwudziestu jardów od mojej sypialni.

— I w ten sposób będziesz łamała prawo za każdym razem, kiedy samica żółwia wyjdzie na tę plażę.

— Co stało się z gniazdami w zeszłym roku? - zapytałem.

— Nic się z nimi nie stało - odparła Jane.

— Tylko z dwudziestu procent jaj wykluły się jakiekolwiek żółwie - zawołała Lucy, zaczynając kopać dół.

— Takie są prawa natury - stwierdziła Jane, zwracając się bardziej do mnie niż do mojej matki. - Lucy traktuje zbyt osobiście wszystkie te jaja i żółwie. To błąd.

— W zeszłym roku było tu sto dwadzieścia gniazd - kontynuowała moja matka. - Ale na południowym skraju wyspy doszło do straszliwej erozji. Cały fragment plaży zabrało morze podczas potężnego sztormu w lutym. Wszyscy zaczęli sypać granitowe szańce przed swoimi domami. Buldożery nanosiły tony piasku na skały. Wszędzie roilo się od ciężarówek. Kiedy w maju pojawiły się żółwie, wyglądało to tak, jakby ktoś wznosił na ich terenach lęgowych wielki chiński mur. Dwie samice złożyły jaja na łachach piasku dwadzieścia jardów w głębi oceanu. Takie były zdesperowane. Przenieśliśmy te gniazda.

— Za naszym pozwoleniem - dodała Jane.

449

— Owszem, ale nie pozwoliliście przenieść ani jednego z gniazd założonych pod głazami na odcinku całych dwóch mil południowej plaży - broniła się Lucy, wbijając szpadel w piasek. - Wiosenne przyływy były w zeszłym roku wyjątkowo wysokie. Wydawało się, że cały ocean ruszył do ataku na suchy ląd. Woda sięgała czasem szczytów rosnących na moczarach trzciny. Te przyływy zniszczyły pięćdziesiąt sześć gniazd. To oznacza mniej więcej sześć tysięcy żółwi, które nie przeżyły z powodu głupoty Jane i jej kolegów.

— Popełniliśmy błąd, Lucy. Przyznaliśmy się do tego.

— Nie pozwolili mi zagrozić siatką miejsc lęgowych, żeby uchronić je przed szopami i psami. Straciliśmy przez to dwadzieścia siedem kolejnych gniazd. Te cholerne szopy rozplenily się na wyspie jak robactwo, ponieważ uwielbiają wywracać kosze ze śmieciami, które wyrzucają turyści z Ohio. Natknęłam się raz na siedemnaście szopów, awanturujących się wniebogłosy i walczących o jaja, które rozwłóczyły po całej plaży.

— Jesteśmy po tej samej stronie barykady - przerwała jej Jane. - Nigdy tego nie rozumiałaś, Lucy.

— W takim razie pomóż mi nauczyć moją wnuczkę, jak wykopać dół, w którym te jaja czułyby się tak jak w gnieździe mamusi.

— Chcę, żeby pan wiedział, panie McCall, że pańska matka była taka sama, nim zachorowała - stwierdziła zniecierpli

wiona Jane, podnosząc w górę ręce.

Lucy potrafiła fachowo posługiwać się łopatą i powoli w piasku pojawił się zaokrąglony otwór, podobny do przypominającego kształtem klepsydrę gniazda, wykopanego tylnymi łapami przez żółwicę. Był to osobliwy i piękny rodzaj mimikry i obserwując matkę, zdałem sobie sprawę, ile długich godzin musiała spędzić, studiując cierpliwie zwyczaje tych niezgrabnych stworzeń.

— Podejdź tu, dziecko - powiedziała do Leah. - Wyrów naj teraz z obu stron boki. Wyobraź sobie, że jesteś matką i chcesz wykopać najpiękniejsze i najbardziej bezpieczne gniazdo dla swoich dzieci. Ten szpadel to twoje tylne łapy i chcesz, żeby jaja spadły prosto do ślicznego okrągłego pokoiku, gdzie maleństwa nie będą słyszały nic oprócz przyboju.

— Tak jak teraz? - zapytała Leah. Zagryzając wargi z przejęcia, wyrównała szpadlem krawędź dołu i wydobyła z niego nie więcej niż pół funta piasku.

450

- Doskonale. Teraz wyrównaj boki z drugiej strony. Czy ten dół jest twoim zdaniem dość głęboki, Jane?

Jane podeszła bliżej i przyjrzała się dziurze, a potem uklękła i wsadziła do niej rękę prawie po samą pachę.

- Poglębiłabym go jeszcze o sześć cali - odparła i Lucy skinęła głową na znak, że się zgadza.

Leah wykopała piasek, sypiąc go na mały kopczyk z boku gniazda.

— Co będzie, jeśli zrobimy coś nie tak, jak trzeba, babciu? Co się stanie?

— Prawdopodobnie nic. Ponieważ poruszamy się po omacku, musimy zachować jak największą ostrożność. W tej chwili zależy od nas życie stu dwudziestu dwóch małych żółwiątek.

— Rozumie pan, co miałam na myśli mówiąc, że ona traktuje to zbyt osobiście - wtrąciła Jane.

— A teraz czeka nas to, co najprzyjemniejsze - stwierdziła Lucy, instruując Leah z niezwykłą jak na nią cierpliwością. - Moim zdaniem to najwspanialsze szukanie wielkanocnego jajka, jakie można sobie wymyślić. Znaleźliśmy jaja, odkopaliśmy je, przenieśliśmy w bezpieczne miejsce, a teraz musimy je z powrotem zakopać.

— Zrób to ty, babciu - poprosiła Leah. - Za pierwszym razem będę się tylko przyglądać.

— O nie. To powinno być od początku do końca twoje gniazdo. Będiesz pomagała mi się nim opiekować, podobnie zresztą jak pozostałymi. Chcę, żebyś osobiście włożyła każde jajo do środka. Potem, kiedy się wyklują, odkopiesz je i poznają twój zapach.

— To nie odbywa się w ten sposób, Lucy - powiedziała rozbawiona Jane.

— Skąd, u diabła, możesz o tym wiedzieć? - odparła moja matka.

Leah wyjęła z wiadra pierwsze jajo, przyjrzała mu się uważnie, gdy załśniło w promieniach majowego słońca, a potem, trzymając je z największą delikatnością, skierowała czubek dokładnie w tę samą stronę, w którą skierowane było w gnieździe. Jej głowa zniknęła prawie z pola widzenia, kiedy kładła jajo na dnie, traktując tę czynność z nie mniejszą powagą niż ksiądz, który stawia poświęconą hostię na korporale. Kiedy pierwsze jajo znalazło się na swoim miejscu, podniosła

głowę w oczekiwaniu pochwały i otrzymała ją od całej naszej trójki.

451

Wypełnienie dołu zajęło Leah prawie pół godziny; w miarę jak nabierała pewności siebie, praca postępowała coraz szybciej. Na początku każde jajo wydawało się jej bezcennym skarbem; pod koniec obchodziła się z nimi z dużą swobodą.

Lucy pokazała jej następnie, jak przysypać jaja piaskiem, który wykopały wcześniej z dziury, i udeptać go tak samo mocno, jak zrobiłaby to ważąca trzysta funtów matka, pragnąca ukryć miejsce lęgowe przed okiem drapieżników. Wyrównywały właśnie piasek nad gniazdem, a Jane ciągnęła w jego stronę drucianą klatkę, kiedy wszystkich zaskoczył donośny męski głos.

- Czy ta dziwka znowu ci się naprzykrza, mamó?

Obróciłem się i ujrzałem mego brata, Johna Hardina, który stał bez koszuli za furtką, przyglądając się uważnie całej scenie.

— Zapomniałam ci powiedzieć, Jack. Wczoraj późnym wieczorem twój brat wrócił z Columbii - poinformowała mnie Lucy.

— Cześć, John Hardin - powiedziała Jane, kładąc drucianą klatkę dokładnie nad gniazdem. - Ta dziwka tylko trochę naprzykrza się twojej mamie. Nie ma się czym denerwować.

— Czy mam jej spuścić lanie, mamó? - zapytał John Hardin.

— Cicho, synu. Jeśli nie powściągniesz języka, zabiorą cię z powrotem na Buli Street - ostrzegła go Lucy.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, że odwiedziłaś mnie w szpitalu, Jack - powiedział John Hardin, dopiero teraz zwracając na mnie uwagę. - Czekałem na ciebie codziennie, kiedy za czynąły się godziny odwiedzin. Miałem nadzieję, że przyniesiesz mi trochę prażonych orzeszków i batony Heatha, tak jak to kiedyś robiłaś. Ale nie, ty zrobiłaś się za ważny dla Johna Hardina. Za dużo czasu zabiera ci sranie we francuskich restauracjach i wypisywanie banialuków o suszonych na słońcu pomidorach i balsamicznym occie, żebyś mógł odwiedzić młodszego brata w domu wariatów.

— Zamknij się, John Hardin. Twój brat wciąż dochodzi do zdrowia po tym, jak postrzelono go w Rzymie.

— Zapomniałem o tym, Jack - zreflektował się mój brat. - Przepraszam cię. Przeczytałem wszystko, co napisali o twoim wypadku, i chciałem od razu lecieć do Rzymu, żeby się tobą zaopiekować. Prawda, mamó?

— Oczywiście, kotku - odparła Lucy, sprawdzając, czy Jane

452

prawidłowo założyła siatkę na gniazdo. - W stanie, w jakim wtedy był, mógł polecieć tam i z powrotem, nie dzwoniąc nawet do Deltę - mruknęła do mnie.

— Co to za ślicznotka? - zapytał John Hardin, spostrzegając Leah. - Czy to nie jest przypadkiem uroczą panną Leah McCall?

— Dzień dobry, wujku Johnie Hardinie.

— Chodź tutaj i daj swojemu wujkowi wielkiego całusa - poprosił John Hardin i zobaczyłem, że Leah posyła mi błagalne spojrzenie. W tej samej chwili mój brat otworzył furtkę i dopiero teraz zorientowałem się, że jest kompletnie nagi.

— Może byś tak najpierw coś na siebie włożył - powie
działem, kręcąc głową. - Leah nigdy dotąd nie całowała na
gięgo mężczyzny.

— Dziękuję, tato - szepnęła Leah.

Obie, Jane i Lucy, odwróciły się od gniazda i zmierzyły wzrokiem Johna Hardina, który stał przed
nimi goły jak święty turecki, nie okazując nawet cienia skrępowania.

— Zostałem nudystą w szpitalu, mam - oznajmił. - To
tylko kwestia zasad i wiem, że poprzesz moją decyzję. To akt
wiary, a nie jakiś kaprys. Mogę cię o tym zapewnić.

— W tej chwili coś na siebie włoż, chłopcze - rozkazała
zabójczym tonem Lucy - bo dzielę cię, nie powiem gdzie,
tym szpadlem. Okryj się, kiedy stoisz przed niewinną młodą
kobietą. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś paradował na golasa
w biały dzień.

Mówiąc to, zdjęła kapelusz z głowy Jane Hartley i zasłoniła jej oczy, nie chcąc, by oglądała blade
genitalia jej syna.

— Jestem naukowcem, Lucy. Takie rzeczy mnie nie gorszą.

— A ja jestem matką, Jane, i takie rzeczy cholernie mnie
gorszą. Zadzwoń do domu wariatów, Jack, i powiedz, że nie
udało im się w ogóle ustalić, co dolega temu nudyście.

— Takim stworzył mnie Bóg, Leah - oznajmił John Har
din. - Czy spostrzegasz coś odstręczającego albo obrzydliwego
w boskim dziele? Przyznaję, że mój fiut nie jest być może
najpiękniejszy, ale kimże w końcu jesteśmy, by krytykować
dzieło Pana? Nie mam racji?

— Co to jest "fiut", tato? - zapytała Leah.

— To slangowe określenie penisa.

— Dziękuję, tato.

— Nie ma za co, kochanie.

453

— Moim zdaniem twój fiut jest bardzo ładny, wujku Johnie
Hardinie - zauważyła grzecznie Leah.

— Widzisz, mam, jaką jesteś zadowoloną purytanką! - wrzas
nęła John Hardin. - Piękno jest w oku tego, który udaje.

— Chciałaś powiedzieć, w oku tego, który patrzy - po
prawie go Lucy.

— Chciałem powiedzieć dokładnie to, co powiedziałem -
stwierdził z naciskiem John Hardin.

— Dobrze, możesz mówić to, co chcesz, zasłoń tylko swoje
organy.

— Organy! Nie jesteśmy na Plymouth Rock, droga matko.
Nic by ci się nie stało, gdybyś wymówiła słowo fiut, kutas,
pyta albo chuj...

— To są właśnie te słowa, o których ci niedawno mówiłam,
tato - oznajmiła Leah. - Te, które usłyszałam w szkole.

— Kiedy poznasz je wszystkie, będziesz mogła o sobie po
wiedzieć, że jesteś prawdziwą amerykańską dziewczyną - od
parłem.

— Przyszedłem na świat całkiem nagi... - zaczął John Ha
rdin.

— Tak się składa, że to pamiętam - mruknęła Lucy. -
Napijesz się filiżankę kawy? - zapytała, zwracając się do Jane.
— Z miłą chęcią - odparła Jane.
— I nagi wróć na łono mojej prawdziwej matki, matki ziemi,
a nie tej niewiasty, która twierdzi, że wydała mnie na ten podły
świat. Ten pies biegający po plaży jest nagi. Ta mewa, ten
pelikan, ten morświn pływający niedaleko brzegu: wszystkie są
nagie i naturalne od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzały światło
dnia. Ja też ujrzałem światło, ale potem moje oczy padły na tę
nieczułą jędrę, która mnie wychowała. To ona zrobiła ze mnie
wariata, który chodzi samotnie po tej ziemi i którego nikt nie
chce zaprosić do swojego domu.
— Włóż spodnie i napij się z nami kawy, synu - powiedziała
Lucy, zmywając piasek ze stóp i dłoni.
— Odezwałaś się do mnie w miły sposób, mamó - ucieszył
się John Hardin. - Napiję się z wami. Smarując język miodem,
można zwojować więcej niż zwojował Cezar w Galii.
— Co miał na myśli John Hardin, mówiąc o smarowaniu
języka miodem? - zainteresowała się Leah.
— Chce, żeby się do niego uprzejmię zwracać - odparła
Lucy. - Ma dziwny stosunek do języka angielskiego.
454

— Wiesz, że nudyści popełniają mniej zbrodni niż wszystkie
inne grupy mniejszościowe? - zapytał John Hardin, zwracając
się do Jane.
— Nigdy o tym nie słyszałam - odpowiedziała. - Ale wcale
mnie to nie dziwi.
— Boisz się mnie, prawda? - pytał dalej John Hardin. -
Nigdy dotąd nie spotkałaś w życiu dorosłego schizofrenika
i widzę strach w twoich oczach.
— Zamknij się, synu - rozkazała Lucy, wręczając mu ręcz-
nik kąpielowy, którym się przepasał. - Nie musisz prezentować
swoich listów uwierzytelniających. Wystarczyło, że pojawiłeś
się całkiem nagi - dodała, wchodząc przez oszklone drzwi do
salonu.
— Moja siostra też cierpi na schizofrenię - uspokoiła go
Jane, ruszając w ślad za Lucy. - Nieraz byłam świadkiem
podobnego zachowania.
John Hardin patrzył na znikającą w salonie młodą kobietę.
— Jest bardzo ładna, prawda, Jack?
— Bardzo ładna.
— Myślisz, że mnie polubiła, Leah? - zapytał cicho.
— Polubiłaby cię bardziej, gdybyś był ubrany - odparła
moja córka.
— To głupie przesady - stwierdził John Hardin głosem
ciemniejącym o całą oktawę.
— Przyzwyczajona jest po prostu do chłopców, którzy noszą
ubrania - wyjaśniła Leah.
— Aha - mruknął John Hardin, rozpromieniając się z po-
wrotem. - Nigdy nie wiedziałem, jak rozmawiać z ładnymi
dziewczynami. Może ty mogłabyś mi pomóc. Jesteś ładna.

Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że któregoś dnia zostaniesz Miss Włoch. Chyba że wrócisz tutaj i zostaniesz Miss Ameryki.

— Mów do niej właśnie w ten sposób - poradziła mu. -

Może jej się to spodoba.

— Wiem, że do dziewczyn trzeba mówić "cześć". Zawsze to robię. A potem trzeba powiedzieć coś w rodzaju "uroczy mamy dziś dzień, nieprawdaż?" Mówię to, kiedy jest ładna pogoda. Ale co się mówi, kiedy pada deszcz albo jest zimno, i co mówi się potem? Wiem, że jest milion rzeczy, które można powiedzieć. Ale co chce usłyszeć ładna dziewczyna po prognozie pogody? To dla mnie prawdziwa zagadka. Czy zainteresuje ją to, że poprzedniej nocy w Pakistanie było trzęsienie ziemi? To

455

bardzo ważne. A może wolałaby raczej dowiedzieć się, jak skończył się film z Jerrym Lewisem, który oglądałem przedwczoraj w szpitalu? Może coś na temat kosmetyków? Może chciałaby porozmawiać o kosmetykach? Niestety ich nie używam. Chętnie pogwarzyłbym o czymkolwiek, ale do głowy przychodzi mi za dużo tematów naraz i w końcu nie mówię nic. Ładne dziewczyny mnie nie znoszą.

— Nieprawda - pocieszyła go Leah. - Wiedzą, co czujesz.

Mów im-to, co nam przed chwilą powiedziałeś. Opowiedz to pannie Hartley. Ona zrozumie.

— Teraz? Mam tam teraz wejść?

— Nie, pozwól, żeby wszystko odbyło się całkiem naturalnie. Zaczekaj, aż nadejdzie odpowiedni moment - tłumaczyła mu Leah.

— Nie, nie mogę - odparł John Hardin. - Mnie żaden moment nie wydaje się odpowiedni.

Nazajutrz pojechałem wraz z Leah na południowo-zachodni skraj Isle of Orion, żeby odwiedzić Johna Hardina w samotni, którą zbudował, by mieć się gdzie schronić, gdy chciał uciec od ludzi. O domku na drzewie mówiło się dużo na wyspie i w Waterfordzie, mało kto jednak naprawdę go widział. John Hardin zbudował go w koronie dwustuletniego dębu, którego konary zwisały nad wijącą się przez słone moczary rzeczka. Ponieważ był dobrym cieślą i miał dużo wolnego czasu, z biegiem lat dom coraz bardziej się rozrastał i po kilku remontach i przeróbkach składał się obecnie z pięciu oddzielnych pomieszczeń oraz osłoniętej siatką werandy. Zatrzymawszy samochód pod dębem, nacisnąłem klakson i pokazałem Leah zbudowaną przeze mnie i moich braci budkę, w której obozowaliśmy podczas wędkarskich wypadów. Zdziwiło mnie, że pomost jest wciąż w tak dobrym stanie; dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że John Hardin mieszka tutaj prawie stale, jeśli nie leży akurat w szpitalu. Zbity z pociągniętych bezbarwnym lakierem sosnowych desek, dom miał w sobie jakiś ekstrawagancki urok. Im wyżej w górę piął się wokół pnia, tym pokoje robiły się mniejsze i bardziej strzeliste, dostosowując się do kształtu cieńszych i słabszych gałęzi. Wszędzie, gdzie spojrzeliśmy, widać było budki i baseniki dla ptaków oraz zawieszane na sznurkach dzwoneczki. Wystarczył najlżejszy powiew i przez wszystkie

456

liście i gałązki płynęła muzyka. Większość dzwoneczków była własnej roboty i ich brzmienie wydawało się trochę ekscentryczne i może nie do końca czyste. Ale dom wydawał się przestronny, pasował do otoczenia i Leah nie kryła swojego zachwyty.

Usłyszeliśmy, jak John Hardin pozdrawia nas z góry, i zaraz potem spuścił drewnianą drabinę. Dom miał trzy sprytnie połączone kondygnacje. Na najwyższej John Hardin umieścił sypialnię, z hamakiem i biblioteczką wypełnioną tanimi książkami. Oświetlał pomieszczenia za pomocą świeczek i lamp naftowych, a posiłki gotował na małym rożnie. Morska bryza stanowiła jedyny

rodzaj klimatyzacji i gospodarz szczerze przyznawał, że w zimie jego dom nie nadaje się do zamieszkania. Tak się jednak składało, że z nastaniem chłodnych miesięcy pogarszał się stan jego zdrowia i zawsze mógł skorzystać z darmowego zakwaterowania, które zapewniano mu przy Buli Street w Columbii. Żywił się głównie tym, co za pomocą sieci, wędki i kołowrotka złowił w rzece. Dumny ze swojej samowystarczalności, pokazał nam wygodkę, schowaną za gęstą kępą mirtu.

— Na tej głupiej wyspie nie wolno nawet mieć sraczyka - powiedział do Leah. - Zabraniają tego przepisy dotyczące użytkowania gruntów. W Ameryce chcą doprowadzić do tego, aby człowiek wstydził się swoich odchodów. Jeśli o mnie chodzi, jestem z nich dumny.

— Ja nigdy nie poświęcałam swoim zbyt wiele uwagi - odparła Leah, uśmiechając się do mnie i wchodząc wraz z Johnem Hardinem do małego pomieszczenia o dziwacznym kształcie. Prawie w całości wypełniał je hamak z Pawley's Island.

— To jest pokój gościnny. Nie miałem jeszcze żadnych gości, ale jeśli się trafią, tu właśnie będą nocować. Możesz tu przyjeżdżać, kiedy chcesz, nawet bez zaproszenia.

— Bardzo dziękuję, wujku. Jesteś naprawdę słodki.

— Nie dotyczy to oczywiście reszty rodziny. Lepiej, żebym cię nie złapał, jak myszkujesz po mojej posiadłości, Jack.

— Nie mam najmniejszego zamiaru tego robić - odparłem, czując, jak ogarnia mnie klaustrofobia. Przejście z jednego do drugiego pomieszczenia wymagało nie lada zręczności, a deski pod stopami nigdzie nie wydawały się zbyt pewne. Miałem wrażenie, że stoję na pokładzie jachtu, zakotwiczonego w wie trznie popołudnie na środku zatoki. John Hardin ozdobił ściany

457

swojego saloniku dziełami sztuki, które podarowali mu zaprzyjaźnieni pacjenci stanowego szpitala. Malowidła przypominały znaczki wprowadzone do obiegu w kraju, w którym koszmarami próbuje się przyciągnąć specyficzny rodzaj turystów. Był to zdesperowany rodzaj sztuki, niepokojący zarówno w formie, jak i treści.

— Wszyscy artyści są schizofrenikami - wyjaśnił John Hardin, zwracając się do mojej córki. - Wiedziałaś o tym, Leah?

— Nie sądzę.

— Wszyscy oglądają świat ze skrzywionej perspektywy. Malują to, co znają najlepiej: deformację.

— Czy to twoi przyjaciele? - zapytała.

— Jedyni przyjaciele, których warto mieć. Ci, którzy co najmniej rok byli na thorazynie. Thorazyna oddala cię tak bardzo od samego siebie, że tylko twoja sztuka pozwala ci poczuć, że jeszcze istniejesz.

— Bardzo miłe obrazki - stwierdziła trochę nerwowo Leah, bojąc się, by nie powiedzieć czegoś, co urazi jej spiętego, przez wrażliwionego wujka. - Mogę namalować kilka do twojej jadalni. Chcesz?

Rysy twarzy Johna Hardina wyraźnie złagodniały.

— Zachowam je do końca życia. Możesz być tego pewna - oznajmił.

— Namaluję ci widok Piazza Farnese w Rzymie - obiecała. - Tak za nim tęsknię, że widzę cały plac, kiedy tylko zamknę oczy.

— Tak bardzo za nim tęsknisz, kochanie? - zapytałem.
— Oczywiście. To przecież nasz dom.
— Nasz dom jest w Waterfordzie - stwierdził John Hardin. - Cała reszta to tylko lokalny koloryt.
— Ale ja wychowałam się w Rzymie - zaprotestowała. - Na pewno by ci się tam spodobało.
— Nigdy nie lubiłem ludzi, którzy nie mówią po angielsku - przyznał John Hardin. - Zawsze wydaje mi się, że mają coś do ukrycia.
— Dziwaczny punkt widzenia - powiedziałem. - Typowo południowy.
— Nieważne - mruknął John Hardin, wprowadzając nas do największego pokoju, w którym znajdowały się trzy ogrodowe fotele, hamak i osłonięta siatka weranda. John Hardin okazał się naprawdę zdolnym cieślą; mimo chybliwej podłogi

wszystkie pokoje miały w sobie jakąś spontaniczną naturalność, tak jakby wyśniło je z siebie samo drzewo. Od oceanu powiała bryza i kilkaset wiszących w różnych miejscach dzwoneczków zabręczało niczym wrzucone do srebrnych pucharów kostki lodu. Zmieniły nastrój w ten sam sposób, w jaki w operze zmienia nastrój strojąca instrumenty orkiestra. Ich brzmienie wydało mi się nieharmonijne, ale miało zbawienny wpływ na Johna Hardina.

Mój brat wyjął z kieszeni kartkę i przez kilka chwil czytał po cichu jej treść.

— Napisałem coś i chciałbym cię prosić o pomoc - powiedział do Leah. - Zauważyłem wczoraj, że świetnie znasz się na stosunkach męsko-damskich.

— Nieprawda - odparła. - Nie miałam jeszcze żadnego chłopca.

— Ale wiesz, jak powinienem rozmawiać z Jane Hartley, jeśli chcę zrobić na niej wrażenie.

— Powinieneś być sobą - poradziła mu. - Na pewno jej się to spodoba.

— Posłuchaj tego - poprosił. - Ty będziesz grała rolę Jane. Ja będę grał siebie.

— Jezu Chryste - mruknąłem.

— W porządku, tato - uspokoiła mnie Leah, zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej. - Przeczytaj to, co napisałeś, wujku, a ja spróbuję zagrać pannę Hartley.

— Ona jest ekologiem. Naukowcem. Powinieneś zatem tak pokierować rozmową, żeby ją zaciekawić. Dać jej od razu do zrozumienia, że mamy mnóstwo wspólnych zainteresowań. Siedliśmy przy stoliku i zamówiliśmy kolację. Poprosiłem o dania jarskie na wypadek, gdyby okazała się wegetarianką i nie nawidziła ludzi jedzących zwierzęta, które ślubowała chronić. To zepsułoby nam cały wieczór.

— Ja zamówiłabym po prostu to, na co miałabym ochotę - zasugerowała Leah.

— Dobry pomysł - stwierdził John Hardin, pisząc coś na kartce. - Zamówię rybę. Jeśli nawet jest wegetarianką, wiem, że większość z nich nie ma nic przeciwko daniom rybnym. A ja uwielbiam ryby. Teraz ty coś powiedz. Udawaj, że jesteś Jane.

— Jaki masz dziś piękny krawat, John Hardin - powie

działa Leah po krótkim namyśle. - Świetnie pasuje do twojego garnitur. Cieszę się, że nie jesteś już nudystą.
459

John Hardin na chwilę stracił rezon, ale potem zajął do swoich notatek.

- Czy wiesz, Jane, że samiec ómy wydaje tak silny krzyk, że jego fale dźwiękowe potrafią zabijać inne lecące w pobliżu owady?

Spojrzał na Leah, która choć lekko zdumiona, nie chciała sprawić mu zawodu.

— Nie, nie wiedziałam o tym. Bardzo ciekawe.

— Samiec ómy jest prawdziwym postrachem świata owa dów - przeczytał ponownie z kartki John Hardin. - Wiesz, że ostatnie badania wykazały, iż aligatorom bardziej smakuja labradory niż francuskie pudle? Naukowcy uważają, że aligatory do tego stopnia przyzwyczyły się do sąsiedztwa pól golfowych i rezydencji, że domowe psy na stałe weszły do ich jadłospisu.

— Biedne labradory - szepnęła autentycznie przerażona Leah.

— Piękną mamy pogodę, nieprawdaż? - przeczytał John Hardin.

— Tak, z każdym dniem robi się coraz cieplej - odparła Leah, zerkając na mnie, żeby zobaczyć, czy dobrze gra swoją rolę. Kiedy kiwnąłem głową, podjęła przerwana kwestię. - Myślisz, że jutro będzie padać?

— Ciekawe, że wspomniałaś o deszczu. To przywodzi mi na myśl śnieg. Czy wiesz, że biała niedźwiedzica zakrywa łapą nos, kiedy poluje na foki? Robi to, ponieważ ma czarny nos, a śnieg wokół niej jest biały. Skradając się w stronę foki, niedźwiedzica staje się niewidzialna.

— Skąd wiesz tyle rzeczy na temat natury? - zdziwiła się Leah.

John Hardin uśmiechnął się.

— Ponieważ uważam - przeczytał z kartki - że człowiek również jest częścią natury i że studiując naturę, studujemy własne wnętrze. Pająk musi jeść muchy, tak samo jak człowiek musi jeść cheeseburgera. Wszystko jest ze sobą związane i wszystko jest jednym i tym samym.

— Na twoim miejscu wyciąłbym ten kawałek o pająku i cheeseburgerze - wtrąciłem. Dzwoneczki zaczynały działać mi na nerwy.

— Pokarm to pokarm. W naturze to nie ma najmniejszego znaczenia. Jane jest wystarczająco inteligentna, żeby zrozumieć, o co mi chodzi.

460

— Możesz powiedzieć, że koń musi jeść owies - zaproponowała Leah. - Mucha jest trochę odrażająca.

— Wspaniały pomysł, Leah. Ty i Jane jesteście obdarzone podobną wrażliwością - stwierdził John Hardin. - Ty nie masz za grosz wrażliwości, Jack - dodał po chwili.

— Dzięki - powiedziałem i w tej samej chwili zobaczyłem łódź, która wyłoniła się zza zakola Sawgrass Creek. - To Ledare. Chcesz popływać z nami motorówką, John Hardin? Powiedziała, że ma dla nas niespodziankę.

— Nie - odparł. - Muszę zostać tutaj i popracować nad moją rozmową z Jane Hartley. Masz może jeszcze jakieś sugestie, Leah? Coś, co pozwoliłoby mi się zorientować, co myślą ładne dziewczęta?

Leah wzięła swego wujka za rękę i pocałowała go w policzek.

— Każdy chce mieć przyjaciela. Daj jej po prostu do zrozumienia, jak bardzo ją lubisz, i cała reszta sama się ułoży.

— Jutro jadę do biblioteki. Mam zamiar przeczytać wszystkie, jakie tam mają, książki na temat natury. Kiedy zaproszę ją na kolację, będę wiedział o zwierzętach więcej niż ktokolwiek, z kim się dotychczas spotykała.

— Kiedy zamierzasz ją zabrać na tę kolację, John Hardin? - zapytałem.

— Za parę lat - odparł. - Powiniennem studiować co najmniej dwa, trzy lata, zanim będę mógł pomyśleć o tym, żeby ją zaprosić.

— Ale w tym czasie Jane może poznać kogoś innego - zatroskała się Leah.

— To ryzyko, z którym zawsze muszę się liczyć - stwierdził, kiedy Leah i ja zaczęliśmy schodzić na dół. - Nie mówcie nikomu o moim domu na drzewie - poprosił, ruszając za nami. - Moi wrogowie czają się wszędzie i wiadomość o tym, że jestem na wolności, doprowadza ich do szału.

— Na pewno dochowamy tajemnicy - obiecałem, obserwując motorówkę, którą dzieliła od nas jeszcze co najmniej mila. Pomruk silnika kołł moje stargane nerwy - był tak swojski, że nie zdołałby mnie obudzić nawet z lekkiego snu.

Kiedy mijaliśmy starą rybacką budkę, John Hardin otworzył drzwi i zaprosił nas do środka.

Ucieszyłem się widząc, że gruntownie ją odnowił, naprawił wyłamane okienne ramy i pomalował nawet wewnętrzne ściany. W kącie wciąż stał piec na drzewo, a do przeciwległej ściany przylegały te same co kiedyś

461

przegniłe prycze, ale John Hardin urządził teraz w budce swój warsztat. Na stole leżały elegancko poukładane narzędzia, a obok piętrzył się stos świeżo spłowanej pachnącej tarcicy.

— Wiecie, po co kupiłem to drewno? - zapytał.

— Nie mam pojęcia.

— Mam zamiar zrobić trumnę dla mamy.

— Cóż to za upiorny pomysł - stwierdziłem. - Ona

0 tym wie?

- Oczywiście, że nie. To ma być niespodzianka - odparł

John Hardin, najwyraźniej urażony tonem mego głosu. -

Będzie miała o jedno zmartwienie mniej. Zrobię mocną trumnę.

1 piękną.

- Na pewno bardzo jej się spodoba - zapewniła go Leah.

- Nie jestem o tym taki przekonany - powiedziałem.

Leah spojrzała na mnie z dezaprobatą.

— Mój ojciec nie ma racji - oznajmiła. - To wspaniała

rzecz.

— To będzie dzieło sztuki, Jack, zobaczysz. To będzie najpiękniejsza trumna, jaką kiedykolwiek oglądano w tym hrabstwie - zapewniał nas John Hardin, oglądając się przez ramię, jakby podsłuchiwali go nieproszeni goście. - W tym hrabstwie, w którym roi się od pijaków, szalbierzy, łotrów, alfonsów, satanistów i oszustów podatkowych.

— Oszustów podatkowych? - zdziwiłem się.

— Ja nie muszę płacić podatków, bo mam wariackie papiery, ale są ludzie, którzy nie wypełniają żadnych deklaracji podatkowych. Są gorsi od grzyba, który niszczy dłużyce.

- Dlaczego nie chcesz z nami popływać? - zapytała Leah. John Hardin obserwował przez chwilę zbliżającą się do mostu motorówkę.

- Nie, płyńcie sami - zawołał i pobiegł jak zwierzę z powrotem do swojej samotni. Wspiął się po drabinie, wciągnął ją na górę i zatrzasnął za sobą drzwi przed nieprzyjaznym światem.

Ledare patrzyła, jak ściągamy koszule i spodnie, zostając w samych kostiumach kąpielowych.

Kiedy weszliśmy na pokład, poprosiła Leah, żeby siadła jej między nogami i złapała za kierownicę.

- Nie zostaniesz prawdziwą dziewczyną z wysp, jeśli nie nauczysz się prowadzić łodzi - powiedziała. - Wrzuć tylny bieg i kieruj się w stronę Cieśniny Waterfordzkiej.

462

Leah postąpiła zgodnie z instrukcją i łódź zaczęła się powoli cofać na środek rzeki.

— Skręć kierownicę w prawo i wyrównaj ster - zakomenderowała Ledare, a ja patrzyłem, jak Leah wykonuje jej polecenia. Ciemna karnacja ciała mojej córki wyraźnie odbijała od jasnej skóry Ledare. Leah wydawała się pomalowana słońcem; Ledare wyglądała, jakby jego promienie przemykały po jej skórze nie pozostawiając żadnego śladu.

— Przyptyw wciąż trwa. Za chwilę osiągnie najwyższy poziom - stwierdziła. - Możesz nie przejmować się mieliznami.

— Jak szybko możemy płynąć? - zapytała Leah.

— Dodaj gazu, mała - zachęciła ją Ledare. - Kiedy jest się dzieckiem, trzeba nacieszyć się szybkością.

Leah otworzyła przepustnicę i łódź - wyprodukowany w Charlestonie, szesnastostopowy Renken - uniosła się kilka cali wyżej i przecięła tor wodny biegnący między Isle of Orion i nie zamieszkaną Barnwell Island. Ledare pokazywała małej drogę i po chwili wpłynęliśmy na rozlewiska za wyspami zewnętrznymi, mijając po obu stronach ciągnące się aż po horyzont zielone szuwary. Kiedy dotarliśmy do Waterford River, Ledare dała Leah znak, żeby zwolniła i wrzuciła jałowy bieg. Przysunąłem się do nich, otworzyłem piwo, poprawiłem na głowie czapkę baseballową Atlanta Braves i przejąłem kierownicę. Gdy smarowałem twarz i szyję kremem do opalania, Ledare rozwinęła zwój przymocowanej przy burcie liny i zaczęła zanurzać ją powoli w wodzie, badając każdy odcinek niczym artystka trapezu, która sprawdza swój sprzęt pod kopułą cyrkowego namiotu.

— Co robisz, Ledare? - zapytała Leah.

— Widzisz ten błysk w jej oku? - powiedziałem. - Ledare cztery razy wygrała turniej nart wodnych na Festiwalu Sea Island.

— Pięć razy - poprawiła mnie Ledare. - I w wyścigach brali udział również chłopcy. Potrafię pływać na nartach lepiej

niż jakikolwiek facet, który urodził się w tym mieście.

— Lepiej od taty?

Leadare roześmiała się i posłała mi czułe spojrzenie.

- Twój tato jest bardzo miły, Leah, ale jeśli idzie o narty wodne, nie dorasta mi do pięt. Powiedz jej, Jack. Zapomnij o męskiej dumie i powiedz jej prawdę.

463

- Jest niewiarygodnie bezczelna - stwierdziłem. - Ale

kiedy sunie po wodzie, rzeczywiście wydaje się tracić cechy ludzkie. Staje się uchwyconą w ruchu poezją. Morską boginią.

Ledare i, chwilę później, Leah skoczyły do wody nogami w dół, a ja wrzuciłem bieg i ruszyłem powoli do przodu, ciągnąc w ich stronę koniec liny. Czując w nozdrzach zapach rzeki i słysząc cichy pomruk silnika, miałem wrażenie, że cofam się kilkadziesiąt lat wstecz, wchodząc w samo jądro przeżytego do bólu czasu. Przypomniałem sobie utrwalony setki razy pod powiekami obraz płynącej slalomem Ledare - przechylonej tak nisko, że wyglądała, jakby jej całe ciało ślizgało się po powierzchni wody. Kiedy Ledare sunęła za motorówką, w każdym jej ruchu można było odnaleźć wszystkie prawa fizyki i całe piękno geometrii. Patrząc, jak poucza i dodaje odwagi Leah, uświadomiłem sobie, że jako nastolatek byłem święcie przekonany, iż to właśnie Ledare będzie matką moich dzieci. Obserwowałem, jak pokazuje Leah, w którym miejscu złapać za drążek holowniczy, a potem zakłada jej narty na nogi i zaciska paski.

Wszystko, co robiła w wodzie Ledare, było pełne gracji. Miało się wrażenie, że woda jest jej żywiołem, gdy zataczała kręgi wokół trochę przestraszonej, lecz podekscytowanej Leah, która odziedziczyła po mnie sportową żyłkę i nie znosiła przegrywać - zwłaszcza na oczach świadków. Ledare uspokajała ją, kazała trzymać narty blisko siebie, wyprostować ramiona i pozwolić, by łódź wykonała za nią całą pracę. Ustawiła Leah przed sobą, obejmując swoimi nartami jej narty, a potem złapała za drążek z lewej i prawej strony jej obu dłoni i dała sygnał, żebym ruszał. Spoglądając za siebie, zobaczyłem, że Leah puściła drążek, kiedy tylko usłyszała ryk motorówki, i że Ledare natychmiast zrobiła to samo. Podpłynęła do Leah i zaczęła jej coś łagodnie tłumaczyć, a ja zatoczyłem koło, podając lekki drążek prosto do jej rąk.

- Chwyć mocno za drążek - mówiła, przygotowując Leah do kolejnej próby. - Potem wyprostuj ręce. Nie wolno ci ich zginać. Ustaw narty po obu stronach liny. Świetnie, Leah. Teraz dam sygnał twojemu tacie i popłyniemy razem przez miasto.

Leah nie puściła drążka za drugim razem i uniosła się na nartach, opierając ciężar ciała o szeroko rozstawione nogi

464

Ledare. Wynurzyły się razem z wody i dopiero po mniej więcej dwustu jardach Leah zgubiła nartę i wywróciła się.

Po kilku chwilach Ledare ponownie dała znak. Moja córka wynurzyła się z wody i tym razem przepłynęły przez całe miasto - Leah bojąc się poruszyć choć jednym mięśniem, Ledare machając do spacerujących nabrzeżem przechodniów. Kiedy holowałem je pod mostem, Leah zerknęła szybko na przejeżdżające górą samochody.

Ledare dotknęła jej ramienia i pokazała ścielący się za łodzią kilwater, a potem naciskając lewą ręką drążek, skłoniła Leah do zejścia z prostego kursu. Kierując narty ku przystani jachtowej przy Oyster Creek i wykonując bliźniacze ruchy, przecięły niczym jedna osoba pozostawiony przez motorówkę ślad i pędziły teraz obok niej, szybkie i piękne w swoim dziwnym, lecz radosnym pas de deux. Słyszałem, jak Leah piszczy z radości, a potem lina zrobiła się nagle luźna. Obie poczekały na moment, gdy ponownie się napięła, i pokonując dwoma szybkimi ślizgami kilwater,

przepląły na drugą stronę. Przez warkot motoru dobiegał mnie głos Ledare. Nie potrafiłem rozróżnić pojedynczych słów, widziałem jednak, że Leah odprężyla się i nabrała pewności siebie. Człowiek jest w stanie zrobić wszystko, pomyślałem, jeśli tylko ma oddanego i utalentowanego nauczyciela.

Pokazałem im palcem, że będę zawracał, ale w tej samej chwili Leah ponownie się przewróciła. Kiedy do nich wróciłem, Ledare kazała mi rzucić do wody przymocowaną z tyłu łodzi drugą linę, aby mogły teraz płynąć oddzielnie.

— Czy trochę nie za wcześnie? - zapytałem.

— Leah czuje się jak ryba w wodzie - odparła Ledare, kiwając w jej stronę głową.

I rzeczywiście czuła się jak ryba w wodzie, kiedy znowu rozpedziłem motorówkę i obie, kobieta i dziewczynka, wynurzyły się z Waterford River, krzycząc głośno z radości i mijając po raz drugi centrum miasta i białe kolumny pałaców, migające między rosnącymi przy Water Street dębami. Przyszła mi na myśl Wenecja, to miasto wydarte Adriatykowi, i jej zmysłowe, niedościgłe pałace, zaprojektowane przez architektów, którzy pokochali kształt orchidei i weselnego tortu. Nie mogłem jednak zaprzeczyć, iż prostota i spokojne proporcje waterfordzkich dworków budzą we mnie tak samo mocne doznania estetyczne jak przejażdżka którymkolwiek weneckim kanałem.

465

Przez ponad pół godziny holowałem je tam i z powrotem po Waterford River, a potem, gdy Ledare dała mi znak, że Leah jest zmęczona, zarzuciłem kotwicę przy ławicy naprzeciw miasta. Kiedy wdrapały się obie do łodzi i wytarły ręcznikami, Ledare wyjęła kanapki z sałatą, majonezem, cebulą i pomidorami z ogródka jej matki. Wbijając zęby w jedną z nich i czując, jak po brodzie i piersi ścieka mi gęsty czerwony sok, miałem ochotę piąć z zachwytu. Rozłożyłem kanapkę i przyjrzałem się nadgryzionemu plastrowi pomidora. Wielki i czerwony jak wóz straży pożarnej, tryskał zdrowiem i sokiem. Przypomniałem sobie, jak przed wielu laty wyszedłem kiedyś na pole z moim dziadkiem, który pochylił się i ściał dojrzały owoc z obwieszonego pomidorami krzaka, a potem pokroił go na plastry, posolił i dał mi do spróbowania. Nie sądzę, by niebiański nektar mógł smakować lepiej od tamtego świeżo zerwanego pomidora. Jego smak miał na zawsze utożsamić się dla mnie ze smakiem Waterfordu i lata.

Kiedy ruszyliśmy z powrotem na Isle of Orion, zbliżał się wieczór. Słońce migotało na powierzchni wody, barwiąc na czerwono pięttrzący się na zachodzie wał cumulusów. Po drodze mijaliśmy boje i radiolatarnie; teraz, kiedy zrobiło się chłodniej, czułem, jak opalenizna ściąga mi skórę na twarzy. Na wysokości Ladyface Island Ledare pokazała nam nagle kanał, w którym, będąc chłopcem, często łowiłem ryby. Przylegającej do niego części wyspy udało się uniknąć przeinwestowania, które zmieniło charakter i duszę całego wybrzeża.

— Niedaleko stąd jest dom Henry'ego Thomasa - powie działa.

— Nie widziałem Henry'ego od szkoły średniej - odparłem. - Wciąż prowadzi warsztat spawalniczy?

— Warsztat zbankrutował. Henry pracuje teraz na budowie w Hilton Head. O kogokolwiek spytasz, pracuje teraz w Hilton Head. Przedwczoraj spotkałam go w supermarkecie Piggly-Wiggly. Pytał o ciebie.

— Henry i ja graliśmy razem w futbol - wyjaśniłem Leah. - Prawdziwy buldożer.

— Co to znaczy? - zapytała, mrużąc zmęczone, szkliste oczy.

— Że chłopak był twardy. Gdybyś dała mu okazję, urwałby ci głowę.

— Chcesz powiedzieć, że to kmiołek? Taki, o jakim mówią moi wujkowie?

— Najczystszej krwi - stwierdziła Ledare. - Stuprocen-
towy kmiotek. Mógłby przez całe życie brać udział w Darlington
pięćset. To taki wyścig samochodowy, kochanie.

— Henry nie jest orłem, ale to porządny gość - powie
działem.

— Przepływałam obok jego domu w zeszłym tygodniu.
Chciał, żebym poznała jego najmłodszego syna - podjęła
Ledare. - Mały ma zespół Downa, ale jest uroczy. Odwie-
dźmy go.

— Leah jest zmęczona.

— Chcę, żeby Leah to zobaczyła.

Przyплыw kończył się i musiałem kluczyć między trzcinami, nad którymi zaledwie przed paru
godzinami przepłynęliśmy bez żadnych problemów. Znałem kiedyś wszystkie te kanały dość
dobrze, by bez zaglądanja do mapy odnaleźć drogę w środku nocy, teraz jednak musiałem
dwukrotnie sprawdzić położenie ławic i mielizn, zanim zobaczyliśmy przed sobą dom Henry'ego
Thomasa, starą drewnianą chałupę z osłoniętą siatką werandą. Na podwórku stały zaparkowane
cztery pojazdy, jeden z nich na stałe. Gdzieś na polu piał kogut. Pod palami pomostu polowała
czapla, czmychnęła jednak, gdy podплыnęliśmy zbyt blisko jej terenów łowieckich. Ledare pokazała
mi miejsce po drugiej stronie kanału, gdzie woda była trochę płytsza, i szepnęła, żebym zgasił silnik
i zarzucił kotwicę.

— Nie przybijemy do pomostu, żeby przywitać się z Hen-
rym?

— Їśśśś - syknęła Ledare, przykładając palec do ust. -

On wie, że tu jesteśmy. Uprzedziłam go, że przyjedziemy.

Gasnące słońce ozłociło moczary, zmieniając niebo na zachodzie w różanofioletowe okno o
konturach falujących lekko w rozgrzanym powietrzu. Woda wokół nas zapłonęła odbitym światłem
i motorówka stanęła w basenie zimnego ognia. Patrzyliśmy w milczeniu, jak drobne fale migoczą
niczym pawie pióra w blasku cofającego się przyплыwu. Leah wystawiła dłoń za burtę i dotknęła
cytrynowej tafli wody.

Z domu Henry'ego Thomasa wybiegł mały chłopiec, za którym w pewnej odległości wyszli matka,
ojciec i dwie starsze siostry. Malec miał na sobie podkoszulek, szorty, parę wysokich czarnych
tenisówek i kamizelkę ratunkową. Biegając, nie okazywał ani cienia strachu i zwolnił dopiero, gdy
znalazł się na pomoście.

467

— Nazywa się Oliver - szepnęła Ledare, kiedy chłopiec
wyciągnął ręce w stronę zachodzącego nad moczarami słońca
i zaczął tanecznym krokiem kręcić się w kółko. Po chwili
zaśpiewał wysokim piskliwym głosem jakąś pieśń i choć nie
potrafiłem odróżnić słów, poznałem melodię Mary Had a Little
Lamb. Oliver spojrział z nadzieją w kierunku wody, nie widząc
w niej jednak tego, co spodziewał się zobaczyć, wydał z siebie
okrzyk zdumienia i zawodu. Uklęknął na spaczonych, nie po
malowanych deskach i zaczął walić w nie pięściami, intonując
kolejną pieśń. Jej słowa i tym razem były niezrozumiałe, ale
melodia wydawała się znajoma.

— Rock of Ages - szepnęła Ledare, nachylając się do Leah.

Urażony i zaniepokojony Oliver odwrócił się ku swojej rodzinie, a potem podniósł ręce do góry i
zaczął wybijać stopami rytm, który niósł się uporczywym echem przez moczary. Po chwili
zaśpiewał trzecią i czwartą pieśń. Rodzina obserwowowała go w niemym bezruchu; Henry uniósł tylko

raz dłoń, aby pozdrowić gości w motorówce.

- Nadpływa - szepnęła Ledare.

W odległości dwustu jardów, w miejscu, gdzie było o wiele głębiej, pojawiła się nagle na wodzie zakrzywiona niczym dziób gondoli płetwa grzbietowa. W naszą stronę zmierzał szybko morświn; jego zielonkawe ciało przybierało w ostatnich promieniach słońca kolejno kolor żonkili, słomy i surowego płótna, i w końcu, zbliżając się do pomostu, na którym śpiewał Oliver, wynurzyło się do połowy z wody. Morświn podniósł w górę pysk, a Leah wstała i pochyliła się do przodu, słysząc, jak zwierzę emituje swój własny piskliwy dźwięk.

Uszczęśliwiony chłopak zakręcił się w kółko i zaczął wyrzucać z siebie strumień słów, okrzyków i chrapliwych dźwięków, zbyt chaotycznych, by ktoś mógł doszukać się w nich jakichś znamion języka. Jeśli była to mowa, miała w sobie coś nieludzkiego i obcego. Twarz Olivera rozjaśniła ekstaza. Wyciągnął ręce do morświna i zanucił *Jesus Loves Me* - jemu i wszystkim długonogim brodzącym ptakom, które zatrzymały się, aby wysłuchać tego dziwnego wołania: prymitywnego interludium między zachodem słońca i ciemną nocą. W miarę jak chłopak wpadał w coraz większe upojenie, dźwięki stawały się coraz bardziej piskliwe i niewyraźne. Wydawały się uspokajać obdarzonego nosem podobnym do butelki walenia, który zataczał wolne kręgi i wynurzał się co chwila z wody, aby wydać własne cichsze

468

odgłosy. Pieśń Olivera miała w sobie posępną niezemską harmonię; głos zwierzęcia wydawał się przy niej bardziej ludzki i swojski. Coraz bardziej podniecony chłopak tańczył, pokazywał palcem morświna i spoglądał z powrotem w stronę rodziny. Pod sam koniec z jego ust zaczęło się wydobywać niezrozumiałe skrzeczenie i za każdym razem waleń odpowiadał stłumionym i o wiele smutniejszym głosem.

Kiedy zwierzę zawróciło w stronę morza, Oliver wydał z siebie okrzyk protestu, a potem zaczął mu machać wściekle na pożegnanie. W końcu osunął się na kolana i wyczerpany zastygł w bezruchu. Henry zszedł w półmroku na pomost, podniósł go z klęczek, pomachał do nas i odprowadził chłopca z powrotem do domu. Przez całą minutę siedzieliśmy wszyscy troje w milczeniu, wciąż pozostając pod wrażeniem tego, co rozegrało się przed naszymi oczyma. Nie potrafiliśmy dokładnie nazwać własnych uczuć - wiedzieliśmy tylko, że dane nam było obejrzeć niezwykle formę komunii i dialogu.

— Co takiego Oliver mówił morświnowi, tato? - zapytała w końcu Leah.

— Chyba coś cudownego - odparłem. - Ale nie mam pojęcia co.

— Zgadnij.

— Ja wiem, o czym mówili - odezwała się nagle Ledare, kiedy zapaliłem silnik.

— Powiedz mi - poprosiła Leah.

— Oliver pytał morświna: "Czy Jack kocha Ledare? Czy Jack kocha Ledare?" A morświn odpowiadał mu: "Powinien. Powinien".

Leah usiadła Ledare na kolanach i ruszyliśmy śladem morświna, podążającego w stronę morskich szlaków, skapani w obojętnym blasku świecących nad naszymi głowami gwiazd.

ROZDZIAŁ 29

Pamięć była dla mnie wyłącznie krainą dającej się spożytkować przeszłości, teraz jednak zaczęła mnie dręczyć obawa, czy zło nie tkwi również w zapomnieniu. Uświadomiłem sobie, iż nawet drobne błędy w rozłożeniu akcentów i nieuchronnie niedoskonała interpretacja własnego doświadczenia mogą prowadzić do fałszywej oceny wielu spraw. Wydawało mi się zawsze, że Shyla była dość szczęśliwa w naszym małżeństwie. Znałem oczywiście dobrze historię jej nastrojów, depresji i migren, obecnie jednak skłaniałem się coraz bardziej do przekonania, iż nie

doceniłem siły tych przewrotnych podziemnych demonów, które zawiodły ją na most Silasa Pearlmana w Charlestonie. Zawsze sądziłem, iż jej smutek świadczy o głębi osobowości, nie bowiem nie budziło u mnie większej nieufności do ludzi aniżeli nieuzasadniony optymizm. Shyla miała w sobie tyle głębi, że kiedy brały ją we władanie ciemne duchy, nie mogłem się czasem oprzeć wrażeniu, iż bada jakieś nowo odkryte lodowce i śnieżne równiny. Na jej urok składały się również niefrasobliwość i nieprzewidywalność. Nigdy nie pozostawała długo w kleszczach depresji, lecz teraz zdałem sobie sprawę, iż nie udało mi się dostrzec drugiej strony medalu, tego, że czas spędzony w słońcu był ograniczony, ponieważ to, co było w niej najprawdziwsze, tkwiło w najtrudniej dostępnych zakamarkach.

Opowiadając Leah historie z życia jej matki, co chwila natrafiałem na momenty, których znaczenia w swoim czasie nie potrafiłem zrozumieć. Podążając za muzyką swego wnętrza, Shyla szła prostą drogą na plac kaźni. Kiedy odtwarzałem

470

teraz tę drogę, przed oczyma stawały mi obrazy, które zapamiętałem, nie zdając sobie sprawy z ich znaczenia. Uświadomiłem sobie, iż odkąd pamiętam, Shylę wprowadzali zawsze w zakłopotanie jej rodzice. Wstydzili się ich akcentu. Nienawidziła ich obcości.

Od najwcześniejszych lat lubiła spędzać u nas popołudnia, wchłaniając atmosferę hałaśliwego amerykańskiego domu, który na niej sprawiał wrażenie całkiem normalnego. Za każdym razem, gdy poczuła dobiegający z naszej kuchni zapach hamburgerów, prażonej kukurydzy lub pieczonego kurczaka, do drzwi rozlegało się jej nieśmiałe pukanie i Lucy zapraszała ją, aby skosztowała tego, co akurat jedliśmy.

Pamiętam dobrze pierwsze urodzinowe przyjęcie, które Fo-xowie wyprawili Shyli.

Moja matka zabrała mnie i Shylę na popołudniowy seans do kina Breeze, gdzie obejrzelśmy "Wróc, mała Sabo" z Shirley Booth. Film nie bardzo nadawał się dla dzieci w naszym wieku, w mieście nie grali jednak nic innego i matka musiała przesiedzieć bite dwie godziny w kinie, podczas gdy my włóczyliśmy się między rzędami foteli i zawędrowaliśmy nawet na górę, do "Sektora dla kolorowych", który był kompletnie pusty. To odkrycie bardzo nas podekscytowało i kiedy Lucy odnalazła nas w połowie filmu, mazaliśmy sobie długopisem tatuaże na rękach. Przed wyjściem z kina matka starła je kleenexem i własną śliną.

Przyjęcie miało być niespodzianką. Kiedy Shyla weszła do domu, jej ojciec zagrał barokową i natchnioną wersję Happy Birthday, po której wśród młodocianych gości zapadło niezręczne milczenie. Śpiewały tylko trzy osoby: Ruth, George i Lucy, a Shyla ukryła twarz w dłoniach widząc, jak kilku chłopców z sąsiedztwa wyśmiewa gardłowy akcent jej ojca. George Fox oznajmił następnie z namaszczeniem, jakby przemawiał do zgromadzonej w Carnegie Hali publiczności, iż przygotował na cześć swojej córki specjalny koncert. Dziesięcioro zaproszonych na przyjęcie dzieci musiało, nie ruszając się z miejsca, wysłuchać drugiej "Rapsodii węgierskiej" Liszta.

Kiedy koncert dobiegł szczęśliwie końca, oszołomionych, lecz bardzo niesfornych gości zapędzono do jadalni. Stół nakryty był śnieżnobiałym obrusem, w srebrnych lichtarzach paliły się świece.

Shyla przyglądała się wszystkiemu z miną, która mogła świadczyć o niedowierzaniu lub lęku - jej twarz wyglądała

471

jak na zrobionej z fleszem fotografii. Wiedziała, co ją czeka, czuła jednak, że nie ma żadnego wpływu na bieg wypadków.

- No tak - powiedziała Ruth, kiedy szkolni koledzy jej córki usiedli ze zbolętymi minami przy stole.
- Teraz będziemy jedli jak świnki. Uczta dla mojej słodkiej Shyli, która urodziła się, jak wszyscyście, właśnie tego dnia. Jest amerykańską dziewczynką, American girl, i powinna mieć chyba amerykańskie urodziny, nie?

Ruth wymawiała girl jak guli i siedzące przy stole dzieci nie rozumiały ani słowa z tego, co powiedziała. Kilku chłopców schowało się pod stół, tłumiąc chichot. Tylko obecność mojej matki, która okrążyła trzy razy jadalnię, uciszając wesołków, ratowała jakoś sytuację.

Nawet moja matka nie zdołała jednak uciszyć spontanicznych okrzyków zdumienia, kiedy Ruth odkryła liczne półmiski z potrawami, które od wielu dni przygotowywała w tajemnicy przed córką. Był tam barszcz i kwaśna śmietana, których nikt z nas nigdy nie widział na oczy, była rosyjska sałatka, składająca się z majonezu, groszku i kawałków łososa, a także coś, co nazywało się kreplach. Jeden z chłopców, Samuel Burbage, spróbował śledzia w śmietanie i natychmiast wypluł go na własne spodnie. Herbatę podano w szklankach z metalowymi uchwytami; półmisek z roladą domowej roboty okrążył cały stół, nie tknięty przez żadnego z biesiadników. Długo dziwowano się rybie w galarecie, na szczęście jednak kilku chłopców odkryło w końcu półmiskę z jajami na twardo, które szybko zidentyfikowano i zaczęto sobie nakładać jako jedyne nadające się do przełknięcia amerykańskie danie.

Shyla zносиła to wszystko bez słowa komentarza, pamiętam jednak ulgę malującą się na jej twarzy, kiedy do jadalni wróciły Ruth Fox i moja matka, niosąc lodowy urodzinowy tort, w którym tkwiły zapalone świece. Lucy zaintonowała jeszcze raz Happy Birthday, po czym zaniósła tort na werandę, aby zabrać dzieci z miejsca popełnionej przez panią Fox zbrodni. Shyla zdmuchnęła świece i zaczęła rozpakowywać prezenty, a później Lucy zaproponowała zabawę w chowanego. W czasie gdy moja matka organizowała przed domem gry i zabawy, Ruth Fox płakała cicho, sprząając ze stołu półmiski z nietkniętymi potrawami.

Lucy uratowała przyjęcie Shyli, pozwalając dzieciom zapo-

472

mnąć o daniach, których nie odważyły się spróbować, amnezja nie trwała jednak zbyt długo. Kiedy matka Samuela Burbage'a przysłała po syna, ten podbiegł do niej z głośną skargą.

- Dali nam surową rybę z bitą śmietaną, mamó. Od razu ją wyrzygałem.

Matka Harper Price dowiedziała się, że jej córka sparzyła sobie język herbatą i że pączki były twarde jak kamienie.

- Nazywają się bajgle - próbowała tłumaczyć Shyla. -

Moja matka kupiła je u Gottlieba w Savannah.

Capers Middleton nigdy w życiu nie widział czerwonej zupy, Ledare nigdy nie jadła ryby na zimno ani słodkich klusek, a Elmer Bazemore, syn poławiacza krewetek, wypluł na serwetkę kawałek karpia w galarecie. Przysięgał swoim rodzicom, że nie ma pojęcia, gdzie wyłowiono w Ameryce taką rybę. Paliło go po niej w ustach i musiał prosić panią Fox o kilka szklanek wody. Ruth Fox wyjaśniała potem, że podała do ryby za dużo chrzanu.

Cudzoziemski charakter domu Shyli drażnił jej kolegów i koleżanki ze szkoły. Dzieci rodzą się z instynktem stadnym i nic nie rani ich dotkliwiej aniżeli obyczaje rodziców, z powodu których są krytykowane i wyśmiewane. Przez całe swoje dzieciństwo Shyla pragnęła aż do bólu zostać Amerykanką. W gruncie rzeczy jednak przyświecał jej jeszcze ambitniejszy cel: próbowała przeobrazić się w mieszkankę Południa - najbardziej ulotny i nieuchwytny gatunek ludzi zamieszkujących ten kraj. Całe swoje życie podporządkowała mimikrze. Pilnie wsłuchiwała się w głosy żyjących w jej mieście kobiet i z każdym rokiem zmieniała się i gęstniała jej wymowa. Uwielbiała południowe idiomy w takim samym stopniu, w jakim przerażała ją jidisz jej rodziców. Tyranizując ich, zabraniała posługiwać się nim w swojej obecności. Ich jidisz brzmiał fałszywie i był nie na miejscu w kraju azalii, mamałygi, wycieczek po plantacjach, smażonych plastrów cebuli, popcornu z masłem, wafli Necco i batonów o nazwie Trzej Muszkieterowie, "dość dużych, by podzielić się z przyjacielem".

— Wydaje jej się, że jest Jankeską - zrzędził często George.

— Chce żyć jak normalny człowiek - protestowała matka.

- Pokaż mi, co w tym złego. Ja chcę dla niej tego samego.

Bardziej intuicyjnie niż na podstawie konkretnych faktów wyczuwałem, iż atmosfera w domu po drugiej stronie podwórka

473

jest dziwna i nienormalna. Fakt, że obchodzili święta, o których nigdy nie słyszałem i których nazw nie potrafiłem wymówić, wydawał się bardzo egzotyczny; próbowałem nawet namówić Ruth Fox, aby nauczyła mnie nieprzyzwoitych słów w jidisz, mając zamiar użyć ich, kiedy będą mi działali na nerwy moi bracia. W domu Foxów było coś głęboko niepokojącego i zatrważającego, coś, z czego nie zdawał sobie sprawy nikt w naszym miasteczku. Wyróżniało ich nie tylko to, że byli cudzoziemcami, lecz wszechobecny smutek - tak bezbrzeżny, iż wydawał się osiadać niczym zabójczy kurz w każdym z wypucowanych przestronnych pokoiów ich domu.

George i Ruth Foxowie bali się psów, kotów i własnych cieni. Pukając do ich tylnych drzwi, widziałem, jak zerkają podejrzliwie zza zasuniętych zasłon. Skakali w górę przy każdym niespodziewanym hałasie. Ręce trzęsły im się, kiedy odbierali telefon. Rozwieszając pranie, żeby wyschło na słońcu, Ruth Fox bez przerwy oglądała się sprawdzając, czy nikt nie zachodzi jej od tyłu. Przez długie lata próbowałem odkryć, co jest z nimi nie w porządku. Szpiegowałem ich i podsłuchiwałem, siedząc po zmroku w koronie mojego dębu. Jediną rzeczą, którą zauważyłem, było to, że rodzice Shyli stawali się z biegiem lat nie coraz starsi, lecz coraz mroczniejsi. George'a Foxa budziły często w środku nocy koszmary, które przywiózł ze sobą ze starego kraju. Kiedy spytałem Shylę, dlaczego jej ojciec krzyczy w nocy, odparła, że musiało mi się coś przyśnić i sama nigdy nic nie słyszała. Któregoś razu usłyszałem, jak wykrzykuje przez sen imię jakiejś kobiety, nie znałem jednak nikogo, kto by się tak nazywał. Nikt taki nie mieszkał nigdy w naszej okolicy. Kiedy obudził się z imieniem tej kobiety na ustach, przesunąłem się bliżej po konarach dębu, z którego śledziłem ich tajemnice, i usłyszałem pocieszającą go Ruth. Słuchając ich smutnych stłumionych głosów, przypomniałem sobie, co powiedziała mi Shyla, i uszczypnąłem się mocno, żeby sprawdzić, czy to nie sen. Starąłem się podsłuchać rozmowę, ale rozmawiali w innym języku. Nie znałem go, rozumiałem jednak w wystarczającym stopniu brzmienie słów, żeby zdać sobie sprawę, że Ruth kocha George'a Foxa nad wszystko na świecie.

W latach, które nastąpiły po przyjęciu u Shyli, mroczna i opresyjna atmosfera domu Foxów wydawała się zagęszczać. Często przychodziło mi na myśl, że powodem jest fanatyczne zauroczenie muzyką George'a Foxa. Wszyscy baliśmy się ojca

474

Shyli, z jego wyniesionymi ze Starego Świata nienagannymi manierami, zniekształconą dłonią, cierpieniem i małowównością, która w połączeniu z surowym wzrokiem sprawiała naprawdę niesamowite wrażenie. Jego uczniowie uwielbiali go, lecz Fox wybierał ich spośród najbardziej wrażliwych i uzdolnionych dzieci. Próbując zasnąć w nocy, słyszałem, jak gra na fortepianie, i te wieczorne recitale nauczyły mnie, że muzyka może boleć i ranić, że piękna muzyka jest ustroniem, gdzie szuka schronienia cierpiący człowiek.

Pamiętam, kiedy pierwszy raz powiedziałem matce, że moim zdaniem coś jest nie w porządku z Shylą. Zauważyłem, że Ruth mówi do niej zupełnie innym tonem, gdy jest przekonana, że nie ma mnie w pobliżu. Któregoś dnia zsunąłem się z gałęzi dębu do sypialni Shyli i miałem właśnie zamiar poszukać jej w domu, kiedy nagle usłyszałem z dołu głos jej matki. Zanim zdążyłem podejść na palcach do okna i wrócić tajemnym przejściem, które łączyło nasze domy, Ruth odezwała się ponownie. Ton jej głosu kazał mi się zatrzymać i upewnić, czy się nie przesłyszałem.

- Zamknij te drzwi, kiedy ze mną rozmawiasz - krzyczała Ruth - albo wszyscy umrzemy na zapalenie płuc. Chyba tego nie chcesz? Żebyśmy wszyscy umarli? Idź umyj ręce. Nie babraj się więcej w ziemi. Bóg nie stworzył cię mrówką. Mój Boże, jakie ty masz brudne ręce. Podejdz tutaj. Wyłącz gaz. Zwarto walaś czy co? Chcesz, żeby zwałała nam się na głowę straż pożarna?

Nie poznawałem kobiety, która to mówiła, tej roztrzęsionej, nerwowo wykończonej Ruth Fox. Po raz pierwszy miałem okazję przekonać się z bliska, jak wyglądało dzieciństwo Shyli dlatego, że Niemcy podeptali i zniszczyli świat jej rodziców. Znacznie później dowiedziałem się, że błękitnoocy naziści byli częstymi gośćmi w tym domu; siedzieli przy ich stole i bekali głośno w

trakcie każdej szabasowej wieczerzy, a Shyla przez dłuższy czas wierzyła, że zarazki są po prostu miniaturowymi Niemcami, którzy żywią się żydowskimi duszami *.

- Odejdź od tego okna, Shyla - usłyszałem, pełznąc po grubym konarze. - Może tędy przechodzić Anioł Śmierci.

Odwrociłem się i zobaczyłem małą przestraszoną twarz Shyli.

* Gra słów wynikająca z podobieństwa angielskich wyrazów: germ - zarazek i German - Niemiec.
475

Pomachała mi ręką, a ja odwzajemniłem jej gest. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że dom Foxów był po prostu przybudówką Bergen-Belsen, przystankiem w drodze do krematorium. Żadne z rodziców Shyli nie potrafiło zerwać z upiorną przeszłością. George Fox grał swoje utwory, aby złożyć hołd tym, którzy poszli z dymem i których prochy unosiły się w powietrznych prądach nad Polską. Każda czarna nuta upamiętniała duszę, która zanurzyła się w rzece śmierci bez pociechy, jaką daje muzyka. Cały dom tonął we łzach, lęku, niepohamowanym gniewie i muzyce i słuchając jej dzieci śniły o najeźdźcach w wysokich butach, którzy oświetlali sobie drogę pochodniami splecionymi z żydowskich włosów.

Po naszym ślubie Shyla opowiadała mi czasami o swoim dzieciństwie. Obawiała się, że niemieccy żołnierze mogą w każdym momencie okrążyć dom, wykonując szybki oskrzydłujący manewr, w trakcie którego zniszczone zostaną wszystkie osiki, winorośle i azalie. Tego rodzaju zwierzenia zdarzały się jej jednak niezwykle rzadko. Na ogół prawie obsesyjnie ukrywała przede mną wojenne doświadczenia rodziców. Był to temat tabu, zwłaszcza po urodzeniu Leah. Shyla nie potrafiła znieść myśli o świecie, w którym dziecko tak słodkie i bezbronne jak Leah mogło trafić do komory gazowej. Ten świat stał się budulcem jej nocnych koszmarów, rzadko kiedy jednak pozwalała ujawniać mu się w świetle dnia.

Nie miałem pojęcia o sile tej chorobliwej obsesji aż do owego dnia w kostnicy w Charlestonie, kiedy zauważyłem na jej ręce świeżo wytatuowany obozowy numer ojca. Ten surowy gniewny tatuaż stanowił wyraźne iunctim z wielką masakrą jej narodu.

Po śmierci Shyli to mną owładnęła obsesja Holocaustu; studiowałem tę otwartą ranę historii z pasją i skrupulatnością, której nigdy bym się po sobie nie spodziewał. Numer na ramieniu Shyli nie dawał mi spokoju, przypominał bowiem o torturach, które znosiła bez mojej wiedzy. Jestem pewien, że mógłbym jej pomóc, gdybym tylko wiedział, jak mocno przeżywa zagładę Żydów. Przez całe życie ukrywała swą żydowskość, oplatając ją kokonem tajemnego drogocennego jedwabiu. Jej duchowość dojrzewała w mroku; groteskowa ćma z trupimi czaszkami na mechatych skrzydłach próbowała wtargnąć do muzeum, w którym trzymała pod chloroformem swą przypiętą do aksamitnej poduszki duszę. Dopiero po urodzeniu córki doszła do wniosku, iż powinna wrócić do swych żydowskich

476

korzeni. Shyla Fox dojrzewała w samym środku chrześcijańskiego Południa - zaakceptowana przez kolegów i przyzwyczajona do leniwego nurtu małomiasteczkowego życia, w którym jej żydowskość wydawała się tylko trochę egzotyczna i odbiegająca od normy. Rodzice mieli opinię pobożnych, regularnie odwiedzających dom boży Żydów i Shyla traktowała swoją niewielką synagogę jako schron przeciwlotniczy, teatr, maskaradę i oazę. Gdy chodziła do ostatniej klasy liceum, na szabasowym nabożeństwie spotykało się co tydzień pięćdziesiąt żydowskich rodzin i stojąc w migotliwym blasku świec, Shyla czuła, że należy do świata, który otacza ją troską i jest z niej dumny.

Ruth nie powiedziała jej nic o okresie dojrzewania i nie uprzedziła o zmianach, które zajdą w jej ciele. Kiedy dostała po raz pierwszy okres, wydawało jej się, że ma raka i uraziła Boga w jakiś straszny, trudny do opisanie sposób. Wkroczyła w kobiecość niewinna i nie przygotowana i to uczyniło z niej, przynajmniej we własnych oczach, kogoś niezwykłego, dziwnego i wybranego. Stopniowo popadała w coraz większe rozmarzenie i zamykała się w sobie. Matka chroniła ją, jak mogła, i w roku, który poprzedził pierwsze ataki depresji, obie bardzo się do siebie zbliżyły. Wtedy

właśnie Ruth Fox postanowiła opowiedzieć córce o swoich wojennych przeżyciach i kiedy zaczęła się zwierzać, nic nie mogło powstrzymać ani zatamować płynącego z jej ust potoku słów. Straszliwe przejścia Ruth i George'a przeorały wyobraźnię ich dojrzewającej, przewrażliwionej córki i wracały do niej w całym swym przejmującym kształcie, najczęściej podczas menstruacji. W umyśle Shyli cierpienia, których doznali w czasie wojny jej rodzice, połączyły się z wpływem jej własnej krwi. Ruth od dawna miała zamiar opowiedzieć córce o tym, co przydarzyło się jej samej i mężowi oraz ich rodzinom w Europie Wschodniej, czekała jednak na odpowiedni moment, na to, aż Shyla osiągnie pewien stopień dojrzałości. Shyla musiała według niej zrozumieć, że świat jest niebezpiecznym i bezwzględny miejscem, ta informacja nie powinna jednak zostać przekazana zbyt wcześnie - nie powinna zrodzić w niej lęku przed okrucieństwem i nikczemnością rodzaju ludzkiego. Nieco arbitralnie Ruth Fox uznała, iż okres dojrzewania Shyli będzie najlepszym momentem, by opowiedzieć jej o swojej przeszłości.

Przyglądając się swoim sąsiadom w Waterfordzie, Ruth

477

zastanawiała się bez przerwy, czego trzeba, by wybiegli w dzikim nieposkromionym szale na ulice, spragnieni żydowskiej krwi. Kiedy byłem mały, studiowała ukradkiem moją twarz, próbując wyobrazić ją sobie pod daszkiem esesmańskiej czapki. W każdym napotkanym goju szukała zakamuflowanego nazisty. O tym wszystkim miałem się jednak dowiedzieć dopiero później. Shyla była uważną słuchaczką; przyjęła bez zastrzeżeń jej relacje i uczyniła z nich swoją własność. Wojenne opowieści wypełniły szczelnie jej umysł, stając się źródłem migren i koszmarów. To, że Ruth podzieliła się z kimś bliskim skrywaną przez długie lata tajemnicą, przyniosło jej ulgę. Dopiero poniewczasie uświadomiła sobie ogrom cierpienia, jakie zadała własnemu dziecku. Między dziesiątym i trzynastym rokiem życia Shyla zamknęła się w sobie i oddaliła od rodziny i przyjaciół. Zdarzyło jej się także kilka dziwnych przygód, w wyniku których trafiła do gabinetów dziecięcych psychiatrów. W dalszym ciągu dobrze się uczyła, zerwała jednak większość szkolnych znajomości. W tych właśnie latach poczyniła największe postępy w grze na fortepianie i choć brakowało jej wirtuozerii i pasji, którymi odznaczają się wszyscy wielcy pianiści, jej ojciec zaczął mieć nadzieję, iż zostanie przynajmniej dobrą nauczycielką muzyki. Shyla ćwiczyła całymi godzinami i podobnie jak George znajdowała ulgę i azyl w czarnych nutach i tajemnym porządku muzyki. Umiłowanie fortepianu przerodziło się z cnoty w rodzaj demencji.

Wkrótce zaczęła opuszczać posiłki, aby opanować do perfekcji nowy utwór. Umiłowanie sztuki każe jej pościć, stwierdzili rodzice i w ich głosie pobrzmiwała duma. Muzyka zdawała się nie mieć końca; wypływała spod jej palców nie kończącym się strumieniem nut, rzeką dźwięków, gregoriańską pieśnią i elegią. Posłuszna córka dawała nią pośrednio wyraz swojej źle ulokowanej miłości do ojca, który nie ufał słowom i wierzył tylko w harmonię klawiatury. Jako nauczyciel, George traktował córkę z wielką surowością, uważał bowiem, że Shyla stara się osiągnąć poziom, który jego zdaniem był dla niej za wysoki. Wymagał od niej bardzo wiele, a ona za każdym razem przekraczała wyimaginowane bariery, które przed nią stawiał. Grała bezbłędnie koncerty, których jego zdaniem nie miała prawa opanować. Stawała dzielnie w szranki, a on podnosił poprzeczkę coraz wyżej i wyżej, wiedząc, że jej talent nie ma

478

tej rangi i biegłości, jakich wymaga prawdziwa wielkość. Miał rację; w końcu zaczął wymagać od niej zbyt wiele i udało mu się ją złamać. Kiedy to się stało, straciła dziesięć funtów, których nie wolno jej było stracić. Lekarze w Waterfordzie za żadne skarby nie potrafili jej zmusić do jedzenia. W szpitalu, do którego ją oddali, leżała podłączona do kroplówki, wygrywając leżącymi na kocu palcami bezgłośnie sonaty.

Po wyjściu ze szpitala w jej życiu zaczął się okres, który nazwała później "ciemnym rokiem": rok masek, halucynacji i żałoby po anonimowych zmarłych. Nie mówiąc ani słowa rodzicom, przywłaszczyła sobie historię, którą opowiedziała jej w tajemnicy matka, przywłaszczyła sobie ich ból, stąpała po ich śladach i cierpiała to, co oni wycierpieli. Shyla głodziła się, umierała z

pragnienia, jej palce uderzały w wymaginowane klawisze za każdym razem, kiedy czegoś dotknęła. Spędziła ten rok, użalając się nad rodzicami, którzy w latach, gdy spotkało ich całe zło, nie mieli czasu, sił ani z całą pewnością przyzwolenia, by się nad sobą użalać.

Któregoś dnia usłyszałem, jak Shyla płacze po drugiej stronie ceglanego ogrodzenia, które oddzielało nasze domy. Wdrapałem się szybko na mur, podbiegłem, balansując rękoma, do ławki, na której siedziała, i zapytałem, co się stało. Shyla nie odpowiedziała i dopiero po chwili zobaczyłem krew między jej nogami. Zeskoczyłem na dół, wziąłem ją za rękę i poprowadziłem przez zapuszczony ogród i szuwary w stronę pomostu. Wszędzie dookoła kwitły jaśminy, a bzyzące głośno pszczoły zszywały kwiaty niewidzialną, jedwabną nicią. Kazałem Shyli zdjąć buty i skarpetki i oboje w lekkich ubraniach zanurzyliśmy się w wodzie.

— Słona woda jest dobra na wszystko - zapewniłem ją.

— Umieram. Tak bardzo się wstydzę, że chciałabym umrzeć.

— Na pewno coś zjadłaś - powiedziałem, używając stan dardowego wyjaśnienia mojej matki.

— Mama zabije mnie, kiedy zobaczy, że pływałam w tej sukience.

— Wrócimy po cichu do mojej sypialni. Wejdziemy po drzewie - zaproponowałem.

Kiedy waterfordzkie prądy obmyły Shylę, wróciliśmy oboje na podwórko i wdrapaliśmy się do mojej sypialni po pniu dębu, do którego poprzybijałem tego lata poziome listwy. Shyla rozebrała się, włożyła mój podkoszulek i stare szorty, a potem

479

oddała mi mokrą sukienkę i majtki, prosząc, żebym je wyrzucił. Bojąc się o nią i nie chcąc, żeby ktoś je znalazł, wykopałem głęboki dół przy skraju moczarów, w miejscu, gdzie zasłaniał mnie płot, po czym wrzuciłem do niego torbę i zasypałem ją ziemią. W tym czasie Shyla poszła zawiadomić swoją matkę, że wykrwawia się na śmierć.

Tym, co ją powoli zabijało, nie była jednak miesiączka, lecz niemożność pogodzenia się ze światem, w którym jąrzyły się rany jej rodziców. Chociaż wychowała się w spokojnym, prowincjonalnym miasteczku, gdzie prawie każde dziecko dojrzewało w poczuciu bezpieczeństwa, wspólnoty i harmonii, od urodzenia wchłaniała każdy elektron z aury cierpienia, otaczającej jej bliskich. Żywiła się cudzym bólem, bo taką wybrała sobie strawę i tylko taki owoc gotowa była przemyć z rajskiego ogrodu. Chorowała na Oświęcim, ale w Karolinie Południowej w roku 1960 niełatwo było postawić tego rodzaju diagnozę.

Przez ponad rok udawało jej się nad sobą panować. A potem któregoś wieczoru, po kolacji, której Shyla prawie nie tknęła, Ruth poszła za nią na górę i stanąwszy przy drzwiach na strych, usłyszała szept swojej córki, instruującej i pocieszającej grupę dziewcząt, które się w ogóle nie odzywały. Przez ponad piętnaście minut przysłuchiwała się temu ponuremu monologowi, a później otworzyła nagle drzwi i zobaczyła Shylę w towarzystwie dziecinnych lalek odzianych w czarne zakonne habity. Shyla przynosiła im co wieczór jedzenie i ostrzegała, żeby siedziały jak mysz pod miotłą, bo teren na dole patrolują Niemcy.

Przerażona Ruth złapała Shylę w objęcia i zaczęła przeproszać za to, że opowiedziała jej o swojej strasznej przeszłości. Nie doceniła niezwyklej siły oddziaływania własnej opowieści i chorobliwej wrażliwości Shyli.

Nazajutrz rano moja matka przyglądała się z niedowierzaniem Shyli, która wyszła na nasze podwórko i pochowała wszystkie lalki w wykopanym w nocy masowym grobie. Ten sierpień należał do najgorętszych, jakie odnotowano w historii, i pozostał w mojej pamięci jako miesiąc, kiedy Shyla znalazła się po raz pierwszy na oddziale dziecięcym stanowego szpitala psychiatrycznego. Na Buli Street stwierdzono u niej objawy skrajnej depresji i leczono przez sześć tygodni.

Shyla wróciła z Columbii praktycznie nie zmieniona, może tylko trochę bardziej zamknięta i opanowana. Jej kruchość wyróżniała ją, wciąż jednak dobrze czuliśmy się w swoim to-

warzyństwie i odrabialiśmy często lekcje przy kuchennym stole w moim domu, którego zgiełk najwyraźniej koił jej stargane nerwy. Sądziłem, że stanie się z powrotem tą samą Shylą, którą dobrze znałem, lecz potem przyszła zima i kiedy w Waterfordzie spadł po raz trzeci w dwudziestym wieku śnieg, w jej umyśle pojawiła się wyrazista choć niezrozumiała wizja, która nie miała nic wspólnego z pogodą. Dziwna chemia śniegu i pamięci zawładnęła jej wyobraźnią i Shyla przekonała się po raz kolejny, iż szaleństwo nosi wiele masek, potrafi zmieniać, kiedy chce, adresy, że jest mistrzem przebrania, zasadzki i strzału w plecy. Tym razem przyszło do niej w ludzkiej formie, w postaci pięknej smutnej damy.

Kobieta pochodziła z wymagowanej krainy, do której tylko Shyla miała prawo wstępu. Ukazując się jej w całym swym milczącym majestacie, zawieszając istnienie realnego świata. Odznaczała się niezwykle dobrocią.

Choć Shyla zdawała sobie sprawę, że dama odwiedzają wyłącznie w jej wyobraźni, nie była w stanie opanować podniecenia, jakie odczuwała na jej widok. Nie potrafiła wzywać jej w dowolnym momencie. Dama planowała swoje odwiedziny starannie i z wyprzedzeniem. Podporządkowując się regułom menstruacji, pojawiała się co miesiąc, kiedy u Shyli zaczynał się okres.

Pewnego razu zobaczyłem Shylę w ogrodzie w podobnym do transu stanie. Zaczynał prószyć śnieg. — Coś jest nie w porządku z Shylą - powiedziałem, odnalazłszy panią Fox.

— Co się stało? - zapytała, wycierając ręce w fartuch i wybiegając na podwórko. Shyla klęczała przy ceglanym murze, poruszając bezgłośnie ustami i wlepiając nieruchomy wzrok w coś, czego nie widzieliśmy.

— Shyla, to ja, twoja matka. Nie możesz mi tego robić.

Mnie i swojemu ojcu. Jesteś szczęśliwą dziewczynką. Masz wszystko, czego ci trzeba. Wszystko, słyszysz? Nie musisz się niczego bać. Nie stanie ci się nic złego. Musisz być szczęśliwa. To twój obowiązek. Co on ci zrobił? Czy Jack cię skrzywdził? Czy cię dotykał?

— Jack nigdy nie skrzywdziłby Shyli - usłyszałem głos swojej matki. - Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek, Ruth. Jak śmiesz oskarżać mojego syna o takie rzeczy?

Ruth obróciła smutny wzrok ku mojej matce i uniosła obie ręce w błagalnym geście.

481

- Nie mogę znieść, kiedy coś złego dzieje się z Shylą. Po prostu nie mogę tego znieść, Lucy. Nie rozumiesz tego. Ona jest moją nadzieją i nadzieją mego męża. Wszystkie nasze marzenia związaliśmy z nią i z jej siostrą. Co jej może zagrażać? Mamy w bród jedzenia i otaczają nas sami mili ludzie. Na głowy nie spadają nam bomby. Wszystko jest w porządku, a jednak znajduję ją w takim stanie. Dlaczego, Lucy? Powiedz mi dlaczego.

Lucy podeszła do klęczącej na śniegu dziewczyny, uklękła obok niej i objęła ramieniem.

— Dobrze się czujesz, gołębeczko? - zapytała po dłuższej chwili.

— Co to jest? - szepnęła Shyla, zauważając białe płatki na swoim swetrze.

— To śnieg. Tam, gdzie dorastałam, było go pełno. Ale tutaj pada bardzo rzadko. Przestraszyłaś nas, kochanie. Myśleliśmy, że wybrałaś się z wizytą na księżyc.

— Nie, pani McCall. Przez cały czas tutaj byłam. Pani też ją widziała?

— Kogo, kwiatuszku? - zapytała Lucy, rzucając szybkie spojrzenie jej matce.

— Tę damę - odpowiedziała Shyla.

— O mój Boże, ona na pewno oszalała - jęknęła Ruth i zaczęła chodzić w kółko. Moja matka zatrzymała ją wzrokiem.

— To musiało być bardzo miłe. Jesteś pewna, że to była dama?

— Tak. Była bardzo piękna.

— Ja też miewam podobne sny, Shylo - szepnęła Lucy. - Czasami wydaje mi się, że widzę moją biedną mamę i rozmawiam z nią o samych miłych rzeczach. Jest taka prawdziwa, że mogłabym wyciągnąć rękę i odgarnąć włosy z jej twarzy, ale potem uświadamiam sobie, że wcale jej nie ma. Może to sobie wyobraziłaś. Może to ci się przyśniło.

— O nie, pani McCall. Ona wciąż tu jest. Na murze.

— Jak wygląda? Opisz ją dokładniej.

— Ma ręce złożone do modlitwy i światło wokół głowy.

— Nie pytaj jej o nic więcej - odezwała się Ruth. - Błagam cię. Ona jest szalona i nie powinna odpowiadać na takie pytania.

— To Najświętsza Panienska - stwierdziła Lucy, patrząc na mnie i całkowicie ignorując Ruth. - Matka Jezusa. Jesteśmy świadkami świętego widzenia.

482

— Nie sądzę, żeby Najświętsza Panienska ukazywała się Żydom, mamó - powiedziałem.

— Pewnie ty układasz terminarz jej spotkań? - odparła z przekąsem i widziałem, że wyzbyła się wszelkich wątpliwości w tej kwestii. - Maria była Żydówką - dodała. - Jeśli spojrzeć na to z odpowiedniego punktu widzenia, rzecz wydaje się całkiem logiczna.

— Pani Fox nie podziela chyba twojego zdania-zauważyłem.

— Pamiętasz ten posąg, który stoi w sieni mojego domu, Shylo? - zapytała delikatnie Lucy.

Shyla kiwnęła głową.

— Czy tak właśnie wygląda dama, którą widzisz? Czy to Błogosławiona Panienska? Matka Jezusa z Nazaretu?

— Tak mi się zdaje - odparła Shyla, potwierdzając przy puszczeniu mojej matki.

Lucy przeżegnała się znakiem krzyża i zaczęła odmawiać Skład Apostolski.

— Módl się razem ze mną, Jack. Jesteśmy świadkami cudu, jak ci pastuszkowie z Fatimy albo ludzie, którzy towarzyszyli Bernadecie w Lourdes.

— Pani Fox płacze, mamó. Powinniśmy chyba odprowadzić Shylę do domu. Ma pełno śniegu we włosach.

— I zostawić tutaj Najświętszą Panienskę? - oburzyła się Lucy. - Coś takiego nigdy nie przysłoby mi do głowy.

— Ja nic nie widzę - stwierdziłem nerwowo.

— Ty i ja nie dostąpiliśmy tej łaski - wyjaśniła Lucy. - Ale wybrano nas, abyśmy byli świadkami widzenia Shyli.

— Nie widziałem tego, co widziała Shyla. Ona cała drży, mamó. Zabierz ją do domu.
— Zostaniesz tutaj, żeby dotrzymać Marii towarzystwa?
— Tak, mamó - odparłem. - Posiedzimy tu sobie razem.
— Nie rób sobie żartów, młody człowieku - ostrzegła mnie Lucy, pomagając Shyli wstać z klęczek, by odprowadzić ją do domu. - Poproś Matkę Boską o wstawiennictwo. Poproś, żeby twój ojciec przestał pić.
— Mario, spraw, żeby mój ojciec przestał zaglądać do butelki - powiedziałem.
— To ma być modlitwa? - oburzyła się Lucy, oglądając się przez ramię. - Może byś tak włożył w to więcej uczucia? Na miejscu Matki Boskiej nie spełniłabym żadnej twojej prośby słysząc, jakim wypowiadasz je tonem.

483

— Nigdy dotąd nie modliłem się do ściany - odparłem, poirytowany i zmarznięty.
— Nikt nie lubi niedowiarków, synu. Tacy ludzie na pewno nie odniosą w życiu żadnych sukcesów.
— A może to był tylko wytwór jej wyobraźni? - zapytałem. - Może na tej ścianie nie ma nic oprócz powoju? Skoro tak, po co mam się tutaj modlić?
— W takim razie módl się, żeby dodać Shyli otuchy. Żeby pokazać, że ją wspieramy i wierzymy jej. Jeśli na tej ścianie nic nie ma, pomódl się po prostu do tego samego Boga, do którego modlisz się normalnie.
— Mogę to zrobić w ciepłym domu.
— Dotrzymaj Jej towarzystwa - rozkazała Lucy głosem, który wykluczał wszelki sprzeciw.
Było to pierwsze pojawienie się Marii, które odnotowano w annałach południowokarolińskiej diecezji. Wiadomość o nim nie ucieszyła wcale waterfordzkiego rabina ani ojca Marcellusa Byrda, nietowarzyskiego, apatycznego księdza, którego od dwudziestu lat przrzucano z parafii do parafii. W gruncie rzeczy, nie ucieszyła nikogo oprócz mojej matki.
Shyla spędziła sześć miesięcy wśród obłąkanych pacjentów szpitala przy Buli Street. Poznała tutaj prawa elektryczności. Wizję płaczącej damy zastąpiły w jej głowie chaos i pustka. Lekarze ogłuszyli jej umysł i wyprali go z obrazów. Dama umarła, kiedy puszczone prąd przez miękkie tkanki jej mózgu. Obojętna na wszystko Shyla dreptała w przydeptanych kapciach po oddziale, a psychiatrzy kiwali z zadowoleniem głowami, kiedy po zakończonej kuracji nie potrafiła wymienić nazwy swego rodzinnego miasta. Terapia wstrząsowa okazała się naturalnym wrogiem pamięci i kiedy wysłałem jej po tym pierwszym tygodniu list, nie miała pojęcia, kim jestem.
Pisałem do niej co tydzień przez cały okres jej pobytu w szpitalu. Dąb, który służył nam obojgu za most i kryjówkę, wydawał się bez niej martwy. Moje listy były nieśmiałe i sztywne, w każdym jednak powtarzałem, że chcę, aby jak najszybciej wróciła do domu. Przez całe nasze dzieciństwo Shyla znajdowała się w zasięgu mego głosu i czułem się bez niej wytracony z równowagi. W ciągu tego półrocza nie wspomniał o niej nikt w miasteczku. Stygmat domu wariatów sprawił, że nie było to w dobrym tonie i nawet jej rodzice wydawali się mnie unikać, kiedy

484

widywałem ich na ulicy. Jej zniknięcie przypominało bardziej skreślenie z listy żywych niż wyjazd do szpitala.
W czerwcu, w ostatnim dniu szkoły zostawiłem rodzicom wiadomość, że razem z Mike'em i

Caperssem wybieramy się na ryby na Isle of Orion i że pozostanę tam przez kilka dni. Zaczynał się dwumiesięczny okres złotej wolności. Mieliśmy spędzić ten czas na rzece, z dala od czujnych i troskliwych spojrzeń starszych. Tak naprawdę rodzice zaczynali się niepokoić dopiero, gdy jakiś młody waterfordczyk nie chciał pływać łódką albo uprawiać innych sportów. Mój ojciec odnalazł list i wspominając długie leniwe godziny spędzone na rozlewiskach, z wędką zarzuconą na żerujące wśród krewetek okonie lub sargusy, poczuł ukłucie nostalgii za tymi odległymi czasami, gdy wolno mu było uważać się za młokosa.

O piątej rano otworzyłem okno i zeskoczyłem na gałąź dębu, która dotykała niemal dachu naszego domu. Do Columbii podwiózł mnie zastępca szeryfa, transportujący więźnia do centralnego zakładu karnego. Wysadził mnie przed samą bramą szpitala, wygłosiwszy najpierw surowe kazanie na temat niebezpieczeństw, które czyhają na autostopowiczów.

Szpital położony był w odludnym miejscu; jego budynki sprawiały solidne, lecz posępne wrażenie. Przez blisko godzinę spacerowałem z nonszalancką miną po wyłożonym cegłą dziedzińcu, starając się pokazać, że sam jestem jak najbardziej normalny. Kiedy zaczęła się w końcu pora odwiedzin, nie byłem już tego wcale taki pewien.

Shyla zrobiła na mnie wrażenie starszej i bardziej kobiecej. Zaprowadziła mnie najpierw do biblioteki, a potem do kantyny, gdzie fundnęła mi lunch, podpisując się własnym nazwiskiem. Na koniec zajrzeliśmy do bezwyznaniowej kaplicy.

- Powinieneś zobaczyć, jak wariaci przychodzą tu się modlić. To lepsze od cyrku. Jedni wołają bez przerwy "amen", drudzy "mamo", a jeszcze inni dostają szału i pielęgniarze muszą zaciągać ich siłą do izolatek. Ale większość tylko śpiewa, pięknie jak anioły. Wariaci mają dobre głosy. Bardzo mnie to zaskoczyło.

Włócząc się razem z Shylą po siedemdziesięciu siedmiu akrach ogrodzonego wysokim płotem terenu i zaglądając w każdy kąt i zakamarek szpitala, zdałem relację ze wszystkiego, co wydarzyło się podczas jej nieobecności w szkole i Waterfordzie.

Kiedy przechodziliśmy obok Babcock Building, gdzie mieściły

485

się szpitalne biura, Shyla złapała mnie nagle za rękę i wbiegła po schodkach do środka. Pognaliśmy korytarzem na tyły budynku i skacząc po trzy stopnie naraz, wdrapaliśmy się pod wielką, kopułę, która z odległości wielu mil górowała nad równiną. Wąskie schodki poprowadziły nas między mroczną płataniną belek podtrzymujących całe sklepienie. Drewniana konstrukcja była bardzo skomplikowana; miało się wrażenie, że wycięto co najmniej dziesięć lasów, aby wesprzeć pełną gracji srebrzystą kopułę, która unosiła się, lżejsza od powietrza, nad dachami Columbii. Kiedy schodki się skończyły, od najwyższego punktu wciąż dzieliła nas wielka otwarta przestrzeń. Pod sklepieniem wisiały niczym baseballowe rękawice setki przebijających spojrzeniem mrok nietoperzy. Słyszałem gruchanie siedzących pod okapem gołębi; w stęchłym powietrzu unosił się zapach pleśni, ptasich odchodów i próchna.

- Spójrz w górę. Chciałam ci sprawić niespodziankę - szepnęła Shyla. - Prosto aż pod sam szczyt kopuły.

Wbiłem wzrok w kompletną ciemność, w pustkę, do której nie docierał nawet jeden gram światła, i po chwili poczułem, jak rozszerzają mi się źrenice. Stopniowo wyłonił się przede mną owal kopuły, nie zobaczyłem jednak nic więcej.

— Zmruż oczy - powiedziała. - Przyglądają ci się.

— Kto mi się przygląda? - zapytałem.

— Niespodzianka.

A potem zobaczyłem je w całej dyskretnej okazałości. Z zawieszzonego dwadzieścia stóp wyżej okapu przyglądała się nam siedząca w gnieździe para sów płomyków, przypominających kształtem puszki od piwa. Ptaki nie mogły wybrać bardziej nietrwałego miejsca dla swoich młodych. Połyskiwały jakby nieziemskim blaskiem i słyszeliśmy niecierpliwe piski niewidocznych sówek, podobne do odgłosów, jakie wydają dzieciaki sączące przez słomki resztki mleka słodowego. Do takiego miejsca, pomyślałem, diabeł przychodzi lizać rany i planować następne

nieczne czyny, w takim miejscu w bajce pojawiają się porywające dzieci wielkoludy. Przyglądałem się z zapartym tchem obserwującym mnie, siedzącym z ciasno złożonymi skrzydłami rudym sowom, nie mogąc się zdecydować, czy przypominają mi pingwiny czy małpy. W ich dzikości i bezruchu było coś niesamowicie pięknego. Z pewnością nadawały się na wartowników w krainie obłąkanych.

486

— Ile mają młodych? - szepnąłem.

— Zostały trzy. Na początku było pięć - odparła cicho Shyla.

— Co stało się z pozostałymi dwoma?

— Zjadły je ich bracia i siostry. Widziałam to. Nie potrafisz sobie wyobrazić, ile trzeba złapać szczurów i myszy, żeby na karmić małe sówki.

— Jak je odkryłaś?

— Wolno mi chodzić po całym terenie - odparła Shy

la. - Wiedzą, że jestem normalna.

— Więc dlaczego tutaj jesteś?

— Bo widziałam damę.

— Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? Tak tu strasznie.

— Żebyśmy byli sami.

— Dlaczego chcesz, żebyśmy byli sami? - zapytałem, czując się złapany w potrzask i kompletnie zagubiony.

Na jej wargach zatrzepotał uśmiech.

— Dlatego - odparła i pocałowała mnie w usta. Cofnąłem się gwałtownie, jakby wymierzyła mi policzek.

— Nie ruszaj się, głuptasie - powiedziała.

Pocałowała mnie ponownie. Jej usta miały słodki smak i poczułem, że podoba mi się to miejsce zamieszkane przez strachy i sowy.

— Doskonale - stwierdziła, kiedy pocałowaliśmy się jeszcze kilka razy. - Mamy to już za sobą.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Wszystkie dziewczęta na oddziale mówią tylko o cało waniu i tych innych rzeczach - odparła. - Chciałam zobaczyć, jak to jest, i nie sądziłam, że będziesz miał coś przeciwko temu.

— Poszło nam całkiem nieźle - oznajmiłem, oblizując pachnącą nią wciąż wargi. - Jak na początkujących.

— Spodziewałam się czegoś więcej - przyznała Shyla.

— Czego się spodziewałaś?

— Sama nie wiem. Po prostu czegoś więcej. Ale te pocałunki się nie liczą. Nie były prawdziwe. Nie ogarnęła nas pasja.

— Nie podobały ci się?

— Tego nie powiedziałam. Nie były takie złe. Po prostu nie miały w sobie tego wszystkiego, co powinny.

— Może powinniśmy jeszcze trochę poćwiczyć - stwierdziłem, ale nie pocałowałem jej. Miałem to zrobić dopiero wiele lat później, w dniu, kiedy tańczyliśmy w zagrożonym przez przyływ domu.

487

— Nie wiem - szepnęła. - Lubię wspinać się pod tę kopułę.

Czuję się wtedy, jakbym była na świecie zupełnie sama. Czy w szkole wiedzą, że jestem w domu wariatów?

— Myślę, że jesteś chora. Że złapałaś jakąś okropną chorobę czy coś w tym rodzaju. Pani Pickney każe nam co tydzień się za ciebie modlić. Odmawiamy Ojczy Nasz za twój szybki powrót do zdrowia.

— Ojczy Nasz? - zdziwiła się Shyla. - Przecież jestem Żydówką.

— Nie szkodzi - odparłem. - Pani Pickney chce po prostu, żebyś wyzdrowiała. Wszyscy tego chcemy.

— Twój tato ciągle pije?

— Tak - odpowiedziałem.

W zimie zabrano Shylę z Waterfordu, a w lecie nam ją zwrócono; jej nieobecności prawie nie dostrzegli zaabsorbowani zdumiewającymi detalami własnego dojrzewania koledzy i koleżanki z klasy. Jej ponowne wejście w nasze życie odbyło się bezboleśnie i bez komentarza i szybko zapomniano o jej absencji. Zamieszkała z powrotem w domu mrocznej muzyki i ponownie spotykaliśmy się w koronie dębu, komentując zachodzące w miasteczku wydarzenia. Żadne z nas nie wspomniało ani razu o dniu, kiedy wspięliśmy się pod kopułę Bab-cock Building i wymieniliśmy nieśmiało pocałunki pod czujnym wzrokiem sów płomykówek. To, co się tam stało, miało jednak dla nas wielkie znaczenie i oboje zachowaliśmy tamten dzień w pamięci.

Tego lata do Waterfordu przyjechał Jordan i jego przybycie miało zmienić życie Shyli i życie nas wszystkich. Ponieważ zwiedził cały świat, miał odwagę wyrażać opinie, których z obawy przed śmiesznością nie śmiał wygłaszać żaden inny chłopak w Waterfordzie. Choć trudno było go uważać za wolnomyśliciela, prawie w każdej sprawie miał swoje własne zdanie i nie potrafił iść za głosem stada.

Jordan zobaczył po raz pierwszy Shylę po popołudniowym meczu baseballu, kiedy odprowadził mnie razem z Capersem i Mike'em do domu. Moi bracia bawili się w chowanego i Lucy, która smażyła nam hamburgery, wrzasnęła, że nie wolno im się zbliżać do jej azalii. W sąsiedztwie również pieczono na grillu mięso i zapachy węgla drzewnego, tłuszczu i przypala-

488

jących się steków połączyły się w jedną woń, która każdemu, kto wciągnął ją w nozdrza, miała na zawsze kojarzyć się z latem. Ojciec, który nie poszedł na mecz, nalał sobie bourbona w swoim zastawionym książkami gabinecie i wiadomo było, że będzie go sobie nalewał tak długo, aż urwie mu się film. Jego absencja zajmowała zawsze tyle samo miejsca, ile jego obecność i co jakiś czas zerkałem z niepokojem w stronę tylnych drzwi, bojąc się, że się w nich pojawi.

Moja matka, rozkwitająca w otoczeniu dzieci, lubiła zapraszać po meczu mnie i moich przyjaciół i nie przeszkadzał jej wcale zapach potu, którym przesiąkły nasze koszulki. Uwielbiała swój ogród, swój dom, całą okolicę i widok rozświetlonej słońcem rzeki, która zakręcała przy naszej posiadłości i oddalała się od miasta. Przewracając na drugą stronę hamburgery, zauważyła Shylę, która przyglądała się nam zza obrośniętej powojem furtki.

- Chodź tutaj, kochanie - zawołała. - Usmażę ci hamburgera, a Jack przedstawi ci Jordana. To ich nowy kolega. Właśnie się wprowadził.

Trudno powiedzieć, kto bardziej się zaczerwienił, Jordan czy Shyla, ale dziewczyna usiadła z nami przy stole i zaśmiewała się do łez, gdy przytaczaliśmy zabawne momenty meczu. Po chwili usłyszeliśmy, jak jej ojciec gra na fortepianie. Była to jego ulubiona forma dezaprobaty. Zaczynał bębnić w klawisze za każdym razem, gdy dobrze bawiła się z przyjaciółmi. Karcił ją swoją muzyką.

— To sonata fortepianowa Beethovena - stwierdził Jordan, obracając głowę w stronę jej domu. - Kto to gra?

— Ojciec Shyli - odpowiedziała moja matka.

— Jest wspaniały, Shyla.

— Ja tam wolę Elvisa - oznajmił Capers i wybuchnęliśmy śmiechem.

Capers i Mikę odjechali wkrótce do domu na swoich rowerach. W ogrodzie zapadł zmierzch i Lucy poszła położyć spać młodsze dzieci. George Fox grał w dalszym ciągu i dźwięki bachowskiej sonaty opadały między nas niczym rzucone w górę monety. Jordan i Shyla rozmawiali o ulubionych utworach muzycznych, a ja czułem się coraz bardziej wyobcowany. A potem nagle zorientowałem się, że Jordan umilkł i studiuje twarz Shyli w zmieniającym się, wciąż żywym świetle.

- Ależ z was idioci, Jack - stwierdził w końcu. - W ogóle

489

tego nie zauważyliście, prawda? Mielicie to cały czas przed oczyma. Żaden z was się nie kapnął.

- O czym ty mówisz? - zapytałem.

Jordan wstał z ławki i podszedł do onieśmiałej Shyli. Zdjął jej delikatnie z nosa okulary i położył na stole, a potem rozpuścił warkocze, pozwalając ciemnym bujnym włosom opaść na ramiona.

Shyla zeszytniała trochę, ale w ogóle nie protestowała.

- Jestem jedynakiem, Shyla, i cieszę moją mamę, kiedy tylko nie ma w pobliżu ojca. Mój Boże, jakie ty masz cudowne włosy.

Jej włosy były czarną rzeką płynącą zakolami w gasnącym świetle dnia. Jordan gładził je opuszkami palców i wyglądało to, jakby zanurzał ręce w krypcie wypełnionej czarnymi klejnotami.

Zbyt późno to zauważyłem. Zbyt późno odkryłem to, co Jordan zobaczył już pierwszego dnia.

Jordan usiadł obok i dotknął jej twarzy, gładząc ją koło oczu, a potem sunąc palcem wzdłuż linii policzka i szczęki. Wiedziałem, co powie, na długo, zanim to zrobił. Ja sam też chciałem to wykrzyczeć, ale nie miałem prawa, nie zobaczyłem bowiem tego, co było jasne jak słońce.

— Nie zauważyłeś tego, Jack - powtórzył Jordan. - Nikt

z was tego nie zauważył. A Shyla nawet o tym nie wie. Prawda, Shyla?

— O czym nie wiem, Jordan? - zapytała.

— Jesteś taka piękna - powiedział. - Jesteś najpiękniejszą dziewczyną w tym mieście.

- Och, nie - zawołała, kryjąc twarz w dłoniach.

Jordan nie odrywał od niej oczu.

- Musisz przyzwyczaić się do tej myśli, Shylo. Jesteś olśniewająca. Żadna dziewczyna w tej zabitej deskami dziurze nie dorasta ci do pięt.

Shyla wstała i ruszyła w stronę dobiegającej z domu Foxów muzyki. Słowa Jordana zapadły jej jednak głęboko w pamięć i rozmyślając o nich, nie mogła zasnąć tej nocy. Później, w pierwszym roku naszego małżeństwa, powiedziała mi kiedyś w łóżku, że w tamtym momencie zaczęło się jej życie.

— Twoje życie zaczęło się, kiedy pojawił się Jordan - po twierdziłem.

— To był rok, kiedy oddano mnie do domu wariatów. To był rok, kiedy ukazała mi się dama.

— Nigdy nie odkryli, kim była - powiedziałem, wdychając w ciemności jej zapach.

490

— Moja matka wiedziała to od samego początku - stwierdziła Shyla. - Wspomniała o niej, opowiadając mi o swoich wojennych przeżyciach.

— Jakich przeżyciach?

— Nie pamiętam. Próbowałam sobie przypomnieć, ale w głowie mam kompletny mętlik.

— Kim była ta dama według twojej matki?

— To nieistotne, kochanie.

— Dla mnie to istotne. Jestem twoim mężem.

— Matka powiedziała mi, kim była, już pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłam.

— Jak brzmi jej nazwisko? - upierałem się.

Shyla pocałowała mnie i przewróciła się na drugi bok, żeby zasnąć.

Dopiero po wielu latach zdołałem złożyć z okrucich całą historię i zdałem sobie sprawę, że Shyli ukazała się dama z monetami.

ROZDZIAŁ 30

Byłem podenerwowany za każdym razem, kiedy stawałem przed drzwiami Shyli. Prowadząc Leah do domu, gdzie jej matka spędziła dzieciństwo i wyrosła na najpiękniejszą samobójczynię, jaką kiedykolwiek znało to miasto, nie miałem wcale poczucia, że wracam do starych kątów. Jej zwłoki leżały między mną i Foxami i najwyraźniej nie mogliśmy na to nic poradzić. Nasze spotkania staraliśmy się skrócić do minimum, lecz w ich trakcie zachowywaliśmy się w miarę poprawnie. Emanująca z Leah dobroć i radość życia zmusiła nas do zawarcia aliansu, który uważaliśmy zgodnie za cenny rezultat mego powrotu do Waterfordu. Ponieważ Leah chciała, żebyśmy się kochali, próbowaliśmy najlepiej, jak umieliśmy, sprostać jej wymaganiom. Moje rozmowy z Ruth utrzymane były w rzeczowym i przyjaznym tonie, z George'em zaś staraliśmy się nie wchodzić sobie w paradę i traktować tak, jakbyśmy zapomnieli o wzajemnej pogardzie. Uprzejmość stąpiła ostrze naszej wrogości.

Dom Foxów na zawsze miał pozostać przemieszczonym w przestrzeni i czasie halucynacyjnym fragmentem Europy. Środek ciężkości ich nostalgii wciąż spoczywał w kufrach i walizach. Nowa ojczyzna zmieniła ich córki w Amerykanki, nie wpłynęła jednak w najmniejszym stopniu na rodziców. Język angielski puchł im w ustach, zbyt różnorodny, by pozwolić na precyzję, z drugiej strony zbyt kolokwialny i nieprzystępny, by imigrant mógł go do końca przyswoić. Angielski był czwartym językiem dla George'a i trzecim dla Ruth. George wciąż śnił po polsku, Ruth zaś w jidisz; i oboje uważali za cud, że w ogóle coś im się jeszcze śni.

492

W czasie trwania Spoleto Festival Ruth zadzwoniła do mnie i zapytała, czy nie mam nic przeciwko temu, aby George zabrał Leah na koncert muzyki kameralnej w Charlestonie. Kiedy się zgodziłem, zaprosiła mnie do siebie na lunch, dodając, że są pewne rzeczy, które chciałaby przedyskutować. W oficjalnym języku, w jakim się ze sobą komunikowaliśmy, oznaczało to, iż Ruth ma chyba zamiar opowiedzieć mi o swoim dzieciństwie spędzonym w ogarniętej wojną Europie. Stworzyliśmy coś w rodzaju stenograficznego kodu, by móc informować się przy użyciu jak najmniejszej liczby słów. Ze względu na Shylę staraliśmy się być dla siebie grzeczni. Ze względu na Leah próbowaliśmy znaleźć solidne podstawy zawieszenia broni, dzięki któremu moglibyśmy się kiedyś ponownie pokochać.

Najbezpieczniejszym tematem była dla nas moja córka i rozmawialiśmy o niej przez dłuższy czas, pomachawszy George'owi i Leah, którzy odjechali do Charlestonu odległego o półtorej godziny drogi. Zjedliśmy lunch przy stole z białej wikliny, a Ruth nalała nam po kieliszku kalifornijskiego chardonnay. Gdzieś daleko w mieście szczekał pies i słychać było warkot kosiarek sunących po niewidocznych trawnikach. Powietrze wypełniały zapachy lata; miodne pszczoły śpiewały w pełnej glorii jaśminu. W tym najbardziej bezpiecznym i sennym z miast Południa Ruth opowiedziała mi o okupowanej przez Niemców Polsce. Rezygnując niemal z wszelkich wstępów, zaczęła mówić stłumionym ochryplym głosem, który z trudem rozpoznawałem. Próbowalem ją raz powstrzymać, ale uciszyła mnie gestem uniesionej dłoni. Musiała opowiedzieć mi o wydarzeniach, które zawiodły ją z Polski do Waterfordu - opowiedzieć, jak skomplikowany może być los żydowskiej dziewczyny, która siedziała teraz na werandzie naprzeciw swego wyznającego inną wiarę zięcia, przekazując mu wszystko, co wiedziała o zniszczeniach, terrorze i obłędzie w ogarniętym pożogą, obróconym do góry nogami świecie. Zdałem sobie po chwili sprawę, że Ruth ofiarowuje mi dar nieoszacowanej wartości. Opowiadając o swoich przejściach, demonstrowała chęć zamknięcia naszej wypełnionej

potyczkami przeszłości. Nigdy dotąd nie była wobec mnie tak szczodra: przekazując swoją historię, dawała mi klucz do rozwiązania zagadki śmierci Shyli.

493

Ruth Fox urodziła się w polskim mieście Kroniów, jako córka Hanny Shem-Tov i słynącego z miłości do Talmudu ortodoksyjnego rabina Efraima Graubarta. Ojciec jej matki handlował wódką i winiakiem i był energicznym pyskatym mężczyzną, mającym opinię na każdy możliwy temat.

Babka miała na imię Marta i była pobożną kobietą, lubianą przez Żydów i nie-Żydów.

Dzieciństwo Ruth upływało w spokoju i szczęściu aż do trzynastego roku życia, kiedy wybuchła wojna. Na Kroniów spadły bomby i cały jej świat stanął w ogniu, a drogi wypełniły się wkrótce przerażonymi uchodźcami.

Po pierwszych bombardowaniach rodzina Ruth położyła się spać, wdychając zapach spalonego końskiego mięsa. Dziadek, Mosze Shem-Tov, przekonywał ojca, iż powinni uciekać w stronę granicy rosyjskiej, gdzie jego znajomi mogli ich przeprowadzić na drugą stronę. Efraim Graubart miał jednak pod opieką swoich wiernych: jako rabin nigdy dotąd nie czuł się tak potrzebny i ceniony przez biednych Żydów, którzy gromadzili się w jego synagodze. Córka Moszego nie chciała opuścić męża, a żona pozostawić swej jedynej córki. Planowany wyjazd nie doszedł w końcu do skutku, jednak w straszliwych dniach, które nadeszły, Mosze nigdy nie przestał myśleć o ucieczce. Polska armia była już pokonana i Niemcy obrócili swą furję ku Żydom, najbardziej bezbronnym mieszkańcom kraju. Niemcy, którzy okupowali Kroniów, byli wszechobecni i niepokonani.

Już w pierwszych dniach bombardowań i ostrzału artyleryjskiego Hanna zaczęła szyć ubrania dla swoich dzieci. Kiedy nowe sukienki dla Ruth i jej siostry Toni były prawie gotowe, Hanna udała się do domu ojca i poprosiła go o pieniądze, które zamierzał zostawić jej po swojej śmierci.

Zaskoczony Mosze ostro zaprotestował, Hanna odziedziczyła jednak po swoim ojcu spryt i instynkt samozachowawczy. Słyszała dyskusje kro-niowskich Żydów na temat nazistów oraz Adolfa Hitlera i wiedziała, że ci, którzy pozostaną w miasteczku, mają przed sobą bardzo krótką przyszłość.

Mama przygotowała się na przyście Niemców, szyjąc sukienki dla mnie i dla mojej siostry - opowiadała Ruth. - Dziadek Mosze nie potrafił nigdy powiedzieć "nie" swojej córce i kiedy wyjaśniła mu, że musi zostać ze swym mężem rabinem, chce jednak pomóc uciec swoim dzieciom, dał jej szesnaście

494

złotych monet, które trzymał w specjalnej książce i na których widniała podobizna cara Mikołaja II. Hanna wzięła monety, obszyła je materiałem, zrobiła z nich guziki i przyszyła osiem do mojej nowej sukienki i osiem do sukienki Toni.

Niemcy wprowadzili tymczasem w zniszczonym i sparaliżowanym miasteczku swoje własne rządy i upokarzali na każdym kroku przerażonych cywilów. Dla czystej rozrywki poniżali nie uzbrojonych mężczyzn. Przyjemność sprawiało im dżganie bagnetami chasydów, których obcy wygląd napawał ich wstrętem. Przyjemność sprawiało im wysłuchiwanie błagań pobożnych Żydów, którzy prosili ich o życie, posługując się mało zrozumiałym niemieckim.

Kiedy milkły strzały, moja matka zawsze wychodziła na ulicę, żeby pomóc rannym. Pewnego dnia przyprowadziła do domu młodego Polaka, który został poważnie ranny, gdy Niemcy zaczęli strzelać do tłumu. Chłopak miał na imię Stefan. Matka siedziała i opiekowała się nim, jakby był jej własnym synem. Stefan walczył przez dłuższy czas ze śmiercią, ale Hanna nie pozwoliła mu umrzeć, karmiąc go i doglądając. Taka była zawsze: kiedy ktoś był ranny i potrzebował pomocy, nie obchodziło jej, czy jest Żydem, czy gojem. Przez kilka dni Stefan był nieprzytomny, majaczył i nie wiedział nawet, że żyje. W końcu zaczął wracać do zdrowia. Pochodził z chłopskiej rodziny spod Kroniowa i kiedy odzyskał siły, by móc wrócić do domu, matka powiedziała o wszystkim druciarzowi o nazwisku Fisz-man, który naprawiał garnki po wioskach. Fiszman poinformował matkę Stefana, Krystynę, że jej syn przebywa w domu rabiego. Kiedy Krystyna przyjechała do naszego domu i zobaczyła, że jej syn żyje, padła uszczęśliwiona na kolana, dziękując mojej matce i

całując ją po rękach.

Z biegiem czasu sytuacja Żydów w Polsce stawała się coraz cięższa. Niemcy zbudowali szubienicę przed siedzibą komendanta miasta, Landaua, i wieszali na niej Żydów, których złapali na kradzieży chleba albo próbie przemytu kosztowności. W najbiedniejszych dzielnicach miast, tam, gdzie panował największy brud i nie było czystej wody, utworzono getta i zagoniono do nich Żydów. Po pierwszej okupacyjnej zimie zaczęło brakować jedzenia. Ludzi wywożono do obozów pracy, rozdzielając rodziny, które starały się rozpaczliwie trzymać razem. Żydów zabijano codziennie na ulicy za to tylko, że byli Żydami.

495

W dzieciństwie matka przyjaźniła się blisko z chrześcijanką, która miała na imię Maria i mieszkała w sąsiedztwie. Matka Marii zmarła bardzo wcześnie na zapalenie płuc, a ojciec poślubił wdowę z pięciorgiem dzieci. Ponieważ w domu się nie przelewało, oddano Marię do klasztoru. W zakonie przyjęła imię Pauliny i pisała kilka razy w roku do mojej matki, opowiadając o swoim życiu i prosząc o odpowiedź. Powtarzała w listach, że jeśli tylko będzie mogła pomóc mojej matce, zrobi wszystko co w jej mocy, mimo iż nie ma żadnych pieniędzy, tylko swoje modlitwy i swojego Boga. Dlatego oprócz monet z podobizną cara Mikołaja II, matka zaszyla w mojej sukience adres klasztoru w Warszawie, gdzie mieszkała siostra Paulina. Zapisała go bardzo wyraźnym charakterem pisma i zaszyla pod podszewką, żebyśmy mogli odnaleźć zakonnicę, jeśli tylko trafimy do Warszawy. Kazała nam także nauczyć się adresu na pamięć i codziennie sprawdzała, czy go pamiętamy, zupełnie jak nauczycielka.

Po jakimś czasie miasto obudziły przed świtem głośnie krzyki:

- Żydzi, wychodzić! Wychodźcie z domów, szuje! Wychodźcie, gnidy! Juden! Juden!

Nie potrafisz sobie wyobrazić, Jack, jak brzmi słowo "Żyd" w ustach kogoś, kto cię nienawidzi.

Niemcy wymawiali słowo Juden, jakby było najgorszym przekleństwem.

Kazali wszystkim Żydom wyjść na plac i przygotować się do wywózki. Z liczby podstawionych ciężarówek mój dziadek domyślił się, że będzie to bardzo duża wywózka i nie wątpił, że tym razem obejmie również i naszą rodzinę. W tajemnicy przed nami przygotował już wcześniej z przyjacielem kryjówkę na strychu sąsiedniego domu. Kiedy inni Żydzi wybiegali na ulice, dziadek kazał nam wyslizgnąć się tylnymi drzwiami i wdrapać po stopniach prowadzących na strych.

Zapłacili za to miejsce mnóstwo pieniędzy. Było zupełnie niewidoczne z zewnątrz i zaopatrzone w żywność kupioną na czarnym rynku. Można się tam było dostać tylko po drabinie. Dziadek z przyjacielem ustalili surowe zasady, ile osób z każdej rodziny może tam się schronić.

Naziści okrążyli całe getto, podczas gdy my - dwie wybrane rodziny - wspieliśmy się po drabinie, która wiodła ku ocaleniu. Strych był mały i duszny i wciąż dobiegały nas krzyki Niemców i warkot opuszczających powoli plac, załadowanych Żydami ciężarówek. Moja babcia trzęsła się ze strachu, chowając twarz

496

we włosach Toni. Baliśmy się wszyscy, siedzieliśmy jednak cicho jak trusie. Każdy hałas mógł oznaczać śmierć.

Niemcy zaczęli wkrótce chodzić po domach, szukając ludzi, którzy się ukryli. Słyszeliśmy krzyki, a potem strzały z pistoletu maszynowego. Mój ojciec miał na twarzy uduchowiony wyraz.

Widziałam, że jest zatopiony w modlitwie i nie myśli o sprawach tego świata. Ale my nie potrafiliśmy zapomnieć, gdzie się znajdujemy, i baliśmy się tak bardzo, że można było kroić nożem nasz strach.

Słyszeliśmy, jak Niemcy przeszukują parter naszego domu, tego, w którym się ukrywaliśmy.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. A potem, kiedy Niemcy stanęli u stóp schodów, zaczęło nagle płakać dziecko najstarszej córki Smithbergów.

Zobaczyłam spojrzenie, jakie wymienili między sobą córka Smithbergów i jej mąż. A także Smithberg i jego żona. Słyszając płacz niemowlęcia, moja babka wpadła w rozpacz.

- Zabiłeś nas wszystkich, mój mężu - szepnęła, kiedy Niemcy zaczęli wchodzić po schodach.

Matka zakryła dłonią usta dziecka, ale to nic nie dało. Niemowlę zdenerwowało się, tak jak zdenerwowałoby się każde niemowlę. Matka dała mu piersi, ale dziecko nie chciało ssać. Płacz wzmagął się i w końcu jej mąż wziął maleństwo na kolana i przykrył swoją wielką dłonią jego twarz. Zaciśnął palce na jego nosie i zatkał usta. Dziecko ucichło i posiniało i nikt nie powiedział ani słowa, kiedy umarło na naszych oczach. Niemcy zaczęli przeszukiwać pierwsze piętro. Po chwili kogoś znaleźli, ponieważ usłyszeliśmy krótką serię z pistoletu maszynowego. Usłyszeliśmy również coś o wiele gorszego: szczekanie psa. Niemcy przeszli do pomieszczenia bezpośrednio pod nami i pies zaczął wściekle ujadać, skacząc w górę i wskazując miejsce, gdzie się ukryliśmy. Wygonili nas ze strychu. Wszyscy krzyczeli tak głośno, że pamiętam tylko, jak dziadek, uderzony w głowę kolbą karabinu, runął na podłogę. Podbiegłam do niego, obejmując rękoma i próbując zasłonić przed dalszymi razami. Matka zawołała mnie i moje imię było ostatnim słowem, jakie wymówiła. Żołnierz strzelił jej prosto w głowę. Tuż przed moimi oczyma błysnęło długie ostrze bagnetu i z gardła dziadka trysnął strumień krwi, ochlapując ścianę naprzeciwko. Pies wbił zęby w genitalia Smithberga, który próbował się bronić. Dwaj żołnierze zabrali następnie mnie i moją siostrę na dół, gdzie nas zgwałcili.

497

Moja siostra leżała obok mnie. Zgwałciwszy ją, żołnierz wyciągnął nóż i poderżnął jej gardło. Inne dziewczęta zastrzelono.

Żołnierz, który mnie gwałcił, był bardzo młody. Niemiecki chłopak o przestraszonych oczach. Kiedy skończył, spojrzął na mnie. Byliśmy sami w pokoju, obok leżały martwe dziewczęta. Żołnierz podarł mi majtki i teraz wstydził się na mnie patrzeć. Poprawił spodnie, otrzepał z kurzu mundur i podniósł karabin, żeby mnie zastrzelić. A potem go opuścił. Przyłożył palec do ust, dając znak, żebym się nie odzywała, po czym umoczył dłoń we krwi mojej siostry i rozsmarował mi ją po twarzy. Krew była wciąż ciepła. Żołnierz strzelił do martwej Toni i pokazał, bym udawała nieżywą. Leżałam tam, aż wszystkie ciężarówki odjechały i zapadła cisza. Dopiero wtedy wstałam i zesłam do kanału, który prowadził ku rzece. Teraz już w ogóle się nie bałam. Brodząc przez płynące pod ulicami nieczystości, dotarłam do rzeki i poczekałam, aż zapadnie zmrok. W nocy wykapałam się. Zmyłam z siebie krew, miejskie ścieki i to, co pozostawił we mnie młody Niemiec, a potem zaczęłam się przy moście i upewniwszy się, że nikt po nim nie idzie, przebiegłam na drugą stronę. Idąc w ciemności, starałam się odnaleźć gospodarstwo, w którym mieszkał Stefan i jego matka, Krystyna. "Odszukaj Krystynę - słyszałam głos swojej matki. - Odszukaj Stefana. Przez jakiś czas się tobą zaopiekują. Ale to bardzo biedni ludzie. Nie możesz u nich długo zostać. Inni Polacy doniosą na ciebie, a wtedy Niemcy przyjdą i zabiją was wszystkich".

Noc była czarna. Nie świeciła się ani jedna gwiazda i prawie nic nie widziałam, ale wciąż szłam przed siebie. Idąc myślałam o swoich bliskich i przez całą noc się za nich modliłam.

Rano zatrzymałam się przy jakichś zabudowaniach i zobaczyłam chłopca, który wyszedł ze stodoły, żeby zapalić papierosa. Chciałam zapytać, jak trafić do gospodarstwa Stefana i Krystyny, ale jego twarz nie wzbudziła we mnie zaufania. Ruszyłam chyłkiem do następnych zabudowań i zobaczyłam tam dziewczynę, trochę starszą ode mnie. Na polu widziałam mężczyzn, ale byli daleko. Czując, jak głód skręca mi kiszkę, zawołałam ją. Była zaskoczona, ale podeszła, przyglądając mi się, jakby coś było ze mną nie w porządku. Po mojej nodze spływała niewielka strużka krwi po tym, co przydarzyło mi się poprzedniego dnia. Dziewczyna zabrała mnie do domu, do swojej matki

498

i dwóch młodszych braci. Zapytałam ich o Stefana i Krystynę, ale kobieta powiedziała córce, że jestem Żydówką i kazała odprowadzić tam, gdzie mnie znalazła.

Wyszliśmy z domu, lecz młoda Polka nie posłuchała matki. Zabrała mnie do stodoły i dała jajko, a potem wzięła za rękę i poprowadziła przez pola. Kiedy mijaliśmy chłopów, machała im przyjaźnie ręką i mnie też kazała machać, jakby wszystko było w porządku. Chociaż nie powiedziała ani słowa, wiedziałam, że idziemy do Krystyny. Przy strumieniu kazała mi umyć nogę. Droga

wydawała mi się bardzo długa, pewnie dlatego, że byłam głodna. W końcu przybyliśmy do domu Krystyny i Stefana, którzy ucieszyli się na mój widok. Zanim dziewczyna opuściła nas, wyszłam do drugiego pokoju i oderwałam guzik z mojej sukienki. Żegnając się, podziękowałam jej i dałam pierwszą złotą monetę. Pierwszą pięciorublówkę z podobizną cara Mikołaja II.

Wiedziałam, że moja obecność zagraża Krystynie i Stefanowi. Ukryli mnie w chlewie, nad świniami, które śmierdziały tak mocno, że nawet niemieckie psy nie potrafiły wytropić małej Żydówki. Krystyna uprzedziła mnie, że jej mąż nienawidzi Żydów i nie mogą mu zdradzić mojej kryjówki. Odparłam na to, że nie wiem, czy mój ojciec zginął, i że chciałabym go odnaleźć i podzielić jego los bez względu na to, co się z nim stało. Krystyna i Stefan popatrzyli na siebie dziwnym wzrokiem. Pokaż jej, powiedziała matka, ale ostrożnie.

Dali mi coś do zjedzenia, a potem Stefan zaprowadził mnie polami w stronę długiego zalesionego wzniesienia. Usłyszałam strzały na długo przedtem, nim dotarliśmy do linii drzew. Musimy być ostrożni i dobrze się schować, powiedział Stefan, bo w przeciwnym razie zabiją nas Niemcy.

Daleko w dolinie zobaczyłam ciężarówkę, które przywoziły setki Żydów. Niemcy kazali biednym Żydom rozbierać się do naga i stawać przy skraju wykopanych wcześniej wielkich dołów. Małe dzieci płakały i nie chciały puścić rąk matek. Starcy. Kobiety. Niemowlęta. Wszyscy wpadali do tych wielkich dołów. A potem inni więźniowie sypali wapno i ziemię na pomordowanych. Zabito tylu ludzi, że nie sposób było ich zliczyć. Szukałam wzrokiem mojego ojca, ale nikt nie odróżniłby ojca w takim tłumie, a poza tym byliśmy tak daleko, że ludzie wyglądali jak mrówki. W końcu odwróciłam się i płakałam, aż zabrakło mi łez. Miałam wtedy trzynaście lat. Stefan oglądał wszystko, a ja płakałam. Po jakimś

499

czasie słońce zaszło za horyzont i wszystkie ciężarówkę odjechały.

Kiedy Stefan ruszył z powrotem do domu, nie chciałam z nim wracać. Zamiast tego wyskoczyłam z kryjówki i pognałam w dół. Biegłam i biegłam, ale wydawało mi się, że od dołów wciąż dzielą mnie całe kilometry. Stefan próbował mnie z początku zatrzymać, potem jednak zrozumiał i biegł po prostu obok mnie. Wiedział, że chcę sprawdzić, czy mój ojciec nie ocalał przypadkiem z tej rzezi. Nad nami wisiał księżyc w pełni. W miejscu, w którym dokonano mordy, unosił się zapach krwi, wapna i ekskrementów. Usłyszałam jakieś odgłosy, ale nie wiedziałam, skąd dochodzą. Zbiegając na dół, czułam obecność Stefana, który szedł obok niczym anioł stróż albo boży posłaniec, obserwując mnie i strzegąc. Zaczęłam wołać mojego ojca. Idąc po świeżo zasypnym dole, wołałam po imieniu wszystkich członków mojej rodziny. A potem znowu coś usłyszałam i poczułam, jak pod moimi stopami porusza się ziemia. To, co słyszałam, było krzykami zasypanych Żydów. Ich usta odszukały wypełnione powietrzem kieszenie i błagali o pomoc, póki mieli czym oddychać. Wszędzie pode mną skręcali się w agonii żywi ludzie, wszędzie zapadała się i podnosiła świeżo skopana ziemia. Przejęta grozą, stapałam po dogorywających Żydach. Moje kroki sprawiły, że zaczęli się poruszać. Wołając ojca, chodziłam po tych biedakach, którzy byli moimi sąsiadami z Kroniłowa. Stefan odprowadził mnie w końcu do chlewu i codziennie karmił, aż do dnia, kiedy jego ojciec zakradł się za nim i odkrył moją kryjówkę.

Ojciec był zwałistym silnym mężczyzną i strasznie się wściekał na Krystynę i Stefana. Jak śmieli ukrywać Żydówkę w jego chlewie, nic mu o tym nie mówiąc? Powiedzieli mu, że moja matka uratowała Stefanowi życie, ale nic nie mogło poruszyć tego człowieka. Oznajmił, że zabije mnie i rzuci na pożarcie świniom, jeśli do jutra się stamtąd nie wyniosę. Tego wieczoru Krystyna i Stefan wyprowadzili mnie z chlewu i ukryli w lesie. A potem, któregoś ranka, Krystyna powiedziała mi, że jej brat Józef zabierze mnie do siostry Pauliny. Józef jechał do Warszawy, żeby sprzedać na targu transport bydłowych skór, i mógł ukryć mnie między nimi. Przed wyjazdem wręczyłam Stefanowi i Krystynie po jednej złotej monecie za uratowanie mi życia. Józefowi dałam zaszyty przez matkę w sukience adres klasztoru, w którym mieszkała siostra Paulina.

500

Przez kilka dni leżałam zagrzebana pod bydłęcymi skórami. Często zatrzymywały nas niemieckie patrole, ale wiezione przez Józefa skóry przeznaczone były na buty dla żołnierzy Wehr-machtu, w związku z czym nie mieliśmy żadnych problemów. W nocy przyjechaliśmy do Warszawy. W życiu nie widziałam tak wielkiego i pięknego miasta. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Wisłę, Józef powiedział mi, że to największa rzeka na świecie. Wydawała się szeroka na kilometr. Józef pokazywał mi piękne budynki. Był bardzo dumny ze stolicy swojego kraju. Był także dumny, że jest Polakiem. Kiedy mijaliśmy Niemców, zdejmował przed nimi czapkę, ale potem mruczał, że chętnie dorzuciłby dREW do ognia, w którym będą się przez całą wieczność smażyły ich dusze. Był zabawnym człowiekiem i traktował mnie bardzo dobrze.

W końcu podjechaliśmy pod klasztor. Józef podszedł do drzwi, zastukał w nie mosiężną kołatką i puścił do mnie oko.

Drzwi otworzyła stara zakonnica i przez jakiś czas rozmawiali półgłosem. Józef pokazywał palcem furgon, zakonnica kręciła przecząco głową. Rozmowa robiła się coraz głośniejsza; w końcu starsza zakonnica zniknęła i pojawiła się kolejna. Ta też kłóciła się z Józefem, ale bez skutku. Był upartym człowiekiem. Chciał widzieć się z konkretną osobą i tylko ona mogła go wysłuchać. W końcu do drzwi podeszła kolejna siostra i wysłuchała tego, co miał jej do powiedzenia. Wiedziałam, że tym razem będzie inaczej, ponieważ słuchając Józefa, wyszła z cienia i podeszła do furgonu.

- Jesteś córką Hanny? - zapytała, a ja kiwnęłam głową i domyśliłam się, że to Paulina. Całując w oba policzki Józefa, wsunęłam do jego kieszeni kolejną złotą monetę. Zrobiłam to ukradkiem, żeby odnalazł ją później, coś mówiło mi bowiem, że nie przyjmie podarunku.

Paulina zaprowadziła mnie do matki przełożonej, która zgodziła się mnie przyjąć. Jej decyzja nie spodobała się jednak jednej z sióstr. Miała na imię Magdalena i twierdziła, że jeśli Żydówce pozwoli się pozostać w klasztorze, Niemcy zgwałcą i zamęczą na śmierć wszystkie zakonnice i zbezczeszczą Najświętszy Sakrament. Mówiła, że w klasztorze poświęconym modlitwie i ciężkiej pracy nie ma miejsca dla Żydów. Ale inne zakonnice nie słuchały Magdaleny.

Paulina powiedziała, ku memu zdumieniu, matce przełożonej, że pragnę poznać zasady ich wiary i zostać katoliczką. Matka

501

przełożona zapytała, czy to prawda, a ja odpowiedziałam twierdząco. Paulina dodała następnie, że po nawróceniu na katolicyzm zamierzam nawet zostać zakonnica. Ponownie odpowiedziałam twierdząco, widziałam bowiem, że Magdalena nienawidzi Żydów tak samo jak naziści. Kiwałam głową, uśmiechałam się do matki przełożonej i powtarzałam, jak bardzo chcę zostać zakonnica. Tej nocy opowiedziałam Paulinie, co stało się z moją rodziną. Płakała gorzko, ponieważ bardzo kochała moją matkę. Już następnego dnia ścięła mi prawie do samej skóry włosy i kazała włożyć habit nowicjuszeki. Mieszkałam w jej celi przez miesiąc i codziennie rano i wieczorem przepytywała mnie z modlitw i katechizmu. Uczyłam się przez cały dzień, a Paulina powtarzała, że któregoś dnia może mi to ocalić życie. Nauczyła mnie żegnać się znakiem krzyża, klękać przed ołtarzem i zanurzać palce w wodzie święconej przy wejściu do kościoła.

- Jeśli kiedykolwiek złapią cię Niemcy, to może uratować ci życie, Ruth - mówiła.

Codziennie rano szłam z Paulina na mszę i obserwowałam uważnie wszystko, co robiła.

Wstawałam, kiedy ona wstawała. Klękałam, kiedy ona klękała. Nauczyłam się łacińskich formułek, różańca oraz innych modlitw i bez przerwy się modliłam.

Spędziłam w tym klasztorze dwa lata. Codziennie przystępowałam do komunii, śpiewałam hymny, szłam do spowiedzi. Miałam jednak jeden sekret, którego nie zdradziłam nikomu. Do klasztoru przyszłam w swojej sukience z obszytymi materiałem złotymi monetami, które według Magdaleny należały się biednym. Nie oddałam tej sukienki, ponieważ mogłam jej jeszcze potrzebować, gdyby stało się coś złego. Dlatego któreś nocy, gdy wszyscy spali, zniosłam ją do kościoła, który przylegał do klasztoru, i wsunęłam w szparę pod stojącym w bocznym ołtarzu posągami Najświętszej Pani.

Codziennie przychodziłam się modlić i odmawiać różaniec przed tym posągami. Paulina i matka przełożona zauważyły to i doszły do wniosku, że otaczam szczególną czcią Błogosławioną Panią, co im się spodobało i do czego bardzo mnie zachęcały. Nie zawsze mogłam dotknąć mojej sukienki, ale czasami robiłam to, kiedy nikogo nie było w pobliżu, wiedziałam bowiem, że ten kawałek materiału trzymała kiedyś w dłoniach moja matka i że każdy szew zrobiony był przez kobietę, którą kochałam i której nie zobaczę już nigdy w życiu. Modląc

się do Marii, odczuwałam na ogół ulgę. Modliłam się do niej jak Żydówka do Żydówki.

- Jesteś, podobnie jak ja, Żydówką, Mario - mówiłam - i wychowałeś swego syna, aby przestrzegał żydowskich praw, tak jak i mnie wychowano. Jako Żydówka proszę cię o pomoc, Mario. Proszę cię, żebyś pomogła mi to wszystko przetrwać. Jeśli ktoś z mojej rodziny jeszcze żyje, proszę, pomóż mu i strzeż od złego. Jestem wciąż pobożną Żydówką i pozostanę Żydówką, ponieważ nią jestem, tak jak ty nią kiedyś byłeś. Proszę cię i twojego syna o opiekę. Powiedz mu, że jestem po prostu biednym żydowskim dzieckiem, takim samym jak on, gdy mieszkał w Nazarecie jako syn biednego cieśli. Proszę, strzeż mnie, a także siostrę Paulinę i inne dobre siostry. Nie obchodzi mnie, jeśli coś złego stanie się siostrze Magdalenie, ponieważ jest straszną antysemitką i powiedziano mi, że nosi imię upadłej kobiety.

Któregoś wieczoru, kiedy modliłam się wieczorem do Marii, poczułam nagle, że ogarnia mnie chłód, że dzieje się coś złego. Przeżegnałam się i szybko wstałam, aby wrócić do swojej małej celi, ale w tej samej chwili usłyszałam hałas w korytarzu łączącym kościół z klasztorem.

Zobaczyłam, jak do kościoła wchodzi siostra Regina i siostra Paulina. Ręce miały złożone na piersiach, tak że nie widać było ich dłoni. Za nimi szedł oficer SS, elegancki niski mężczyzna o bezkrwistej aroganckiej twarzy. Jego mundur wzbudził we mnie lęk, który pamiętam aż do dzisiaj. Zatrzymałam się i skłoniłam głowę przed matką przełożoną.

— Jude? - zapytał mnie Niemiec.

— Nie - odparłam, potrząsając głową.

— Kłamiesz jak wszyscy Żydzi - stwierdził.

— Ona jest jedną z nas - powiedziała siostra Paulina. -

Dorastałam razem z jej matką. Ochrzczono nas w tym samym kościele. Jej matka i ja przystąpiłyśmy razem do bierzmowania.

— Polacy kłamią tak samo często jak Żydzi.

— Chciał pan zobaczyć tę dziewczynę - odezwała się siostra Regina. - Obejrzał ją pan i wie pan teraz, że należy do naszego zakonu.

— Otrzymaliśmy informację, że ukrywacie Żydów - oświadczył esesman. - Wymieniono właśnie tę dziewczynę.

— To katoliczka - powtórzyła Paulina.

503

— Przysięgłaby siostra, że ta mała urodziła się jako katoliczka? - zapytał esesman.

— Przysięgłabym - odparła bez wahania siostra Paulina.

— Smażyłaby się siostra przez całą wieczność w piekle po to, żeby ocalić jednego Żyda?

— Żeby ocalić jedno życie, chętnie smażyłabym się w piekle.
— Nie wierzę już dłużej w Boga ani w bajki dla grzecznych dzieci - oznajmił Niemiec.
— Ale wierzy pan w Hitlera - zauważyła Paulina.
— Wierzę w Wielkie Niemcy - warknął esesman, tracąc nad sobą lekko panowanie.
— W tym klasztorze nie ma Żydów - powiedziała siostra Regina. - Niech pan ich szuka gdzie indziej.
— Jak długo uczyliście tę Żydówkę? - zainteresował się i zaczął chodzić wokół mnie, przypatrując mi się i pociągając nosem, jakbym wydzielala jakiś zapach, który mógł mnie zdradzić. Chyba nigdy w całym życiu tak bardzo się nie bałam. Słyszałam, jak w uszach huczy mi własna krew.
— Studiowałem kiedyś w seminarium w Berlinie. Jak nazywał się anioł, który ukazał się Marii i powiedział jej, że będzie matką Boga? - zapytał, uśmiechając się do dwóch zakonnic, a potem utkwiał we mnie oczy.
— Najświętszej Pani ukaż się archanioł Gabriel - odparłam widząc, jak Paulina uśmiecha się za plecami Niemca.
— Jakim słowem określa się to wydarzenie w świecie katolickim?
— To było zwiastowanie - odpowiedziałam.
Kazał mi odmówić wszystkie modlitwy i różaniec, a ja bezbłędnie je wyrecytowałam. Kazał mi wymienić dwunastu apostołów Chrystusa, lecz ja wymieniałam tylko jedenastu. Zaśpiewałam łaciński hymn O Salutaris Hostia, chwając dla niego Przenajświętszy Sakrament. Odmówiłam akt skruchy i powtórzyłam słowa, które mówi się spowiednikowi w konfesjonale.
Radziłam sobie tak dobrze, że powoli zaczął mi się podobać ten sprawdzian. Esesmanowi udało się uspić moją czujność. Sprawiał wrażenie przyjaźnie nastawionego. Jego oczy zmiękły i zapomniałam, że jest Niemcem i należy do SS. Koncentrowałam się na pytaniach, które były trudne nawet dla katoliczki.
- Co robi twój ojciec? - zapytał mnie nagle.
Nie dotarło do mnie, że zadał to pytanie w jidisz.
504

- Jest rabinem - usłyszałam swój głos, nim zdążyłam się zastanowić.
Zobaczyłam, jak siostra Regina żegna się znakiem krzyża. Siostra Paulina miała złożone ręce i dłonie schowane w fałdach habitu. Widziałam tylko jej słodką twarz, która nagle pobladła. Niemiec uśmiechnął się z satysfakcją. Udało mu się mnie podejść i wiedziałam, że wydałam wyrok śmierci nie tylko na siebie, ale na wszystkie zakonnice i nowicjuszki zakonu.
— Nie wiedziałyśmy, że ta dziewczyna jest Żydówką - powiedziała siostra Regina.
— Wiedziała o tym siostra bardzo dobrze - stwierdził esesman. - Domyśliłem się tego, kiedy tylko ją zobaczyłem. Żydzi mają w sobie coś, czego nie jest w stanie ukryć nawet welon zakonnic.
— Przyproceedził ją tu katolik - kontynuowała siostra Regina. - Jej rodzice zostali zamordowani.
— Dziś po południu zadencjonowała was w kwaterze SS jedna z zakonnic. Powiedziała mi również, że w dzwonnicy kościoła macie ukrytą radiostację, której używa polski ruch oporu. Czy to prawda? Nie próbujcie mnie znowu okłamywać.

— To prawda. Jesteśmy zakonnicami, ale jesteśmy' także Polkami - powiedziała siostra Regina.
Niemiec wziął mnie pod brodę i zmusił, żebym spojrzała mu w oczy.
— Widziałem śmierć tylu Żydów, że przestałem się tym przejmować - stwierdził. - Dlaczego więc miałbym się przejmować tym, że jedna Żydówka pozostanie przy życiu? Chcę, żeby radio zostało usunięte do jutra rana. Zakonnica, która was zadenuncjowała, ma na imię Magdalena. To ona opowie działa mi o Żydówce i radiu.
— Radio zostanie usunięte - odparła Regina. - Czy możemy zatrzymać Ruth? Nawróciła się na naszą wiarę i sądzimy, że będzie z niej dobra zakonnica.
— Jestem dobrym żołnierzem, ale jeszcze lepszym Niemcem - powiedział esesman, odwracając się do wyjścia. - Módlcie się za mnie, siostry.
— Będziemy się za pana modlić - obiecała siostra Regina.
— Ty módl się za mnie także, Żydówko - dodał z uśmiechem.
— Będę się modlić - zapewniłam go.
Słuchając jego oddalających się korytarzem kroków, przez
505

dłuższy czas nie odzywałyśmy się ani słowem. Strach odebrał nam mowę.
— Co zrobimy z siostrą Magdaleną? - zapytała w końcu Paulina.
— Powinna spędzić jakiś czas w macierzystym klasztorze. Izolacja dobrze jej zrobi.
— A co będzie, jeśli znajdzie innego Niemca i opowie mu o tym, co tu widziała... - zaczęła Paulina, ale siostra Regina uciszyła ją podniesioną dłonią.
— Jutro rano nie może tu być radia. Trzeba zawiadomić odpowiednich ludzi.
— Musisz zapomnieć, że kiedykolwiek znałaś jidisz - powiedziała do mnie Paulina.
— Przepraszam, że nie potrafiłam wymienić dwunastu apostołów - szepnęłam.
— Zapomniałaś o Judaszu - odparła Paulina. - Ale mam nadzieję, że Magdalena zapamięta go do końca życia.
W tym samym czasie polskie podziemie szukało już nazywającej się tak samo jak ja młodej Żydówki, której matka mieszkała kiedyś w ukraińskim miasteczku Kironicka, a potem przedostała się przez granicę do Polski. Dwa miesiące później do klasztoru przyszedł w nocy mężczyzna i zadał mi mnóstwo pytań na temat mojej przeszłości. Powiedział, że pewien amerykański Żyd o nazwisku Rusoff zapłacił wielką sumę pieniędzy, aby przemycić mnie w bezpieczne miejsce.
Odpowiedziałam, że nie mam żadnych krewnych w Ameryce. Ale Paulina zaraz mnie uciszyła; ten Rusoff, stwierdziła, zna na pewno wielu amerykańskich polityków, musi być bardzo znany i wpływowy, skoro udało mu się odnaleźć krewną w okupowanej Polsce. Wzięła do ręki list, który trzymał w ręku mężczyzna, i zawołała, udając zaskoczenie:
- Bogu niech będą dzięki. Przecież to twój stryj, Max. Brat twojego ojca.
Na odwrocie koperty widniał adres: Max Rusoff, Waterford, Karolina Południowa, poste restante. Nigdy dotąd nie słyszałam o Karolinie Południowej.
Minęło kilka miesięcy. Przed wyjazdem odprawiono w mojej intencji uroczystą sumę. Po tej mszy

wyjęłam spod posągu sukienkę, którą uszyła mi matka. Którejś nocy przyszedł po mnie wysoki Polak. Byłam gotowa do drogi; wszystkie zakonnice i nowicjuszki zgromadziły się, aby mnie pożegnać. Zabie-

506

rałam ze sobą mały tobolek. Kolejną złotą monetę ukryłam już wcześniej pod poduszką siostry Pauliny. Uściskałam siostrę Reginę i inne zakonnice, a potem pożegnałam się z nowicjuszkami. Były bardzo miłe, ale nie miałam okazji zbyt dobrze ich poznać. Po wojnie dowiedziałam się dlaczego. Prawie osiemdziesiąt procent z nich było również Żydówkami i siostry uważały, że nie powinnyśmy nawzajem wiedzieć o sobie.

- Żegnaj, siostro - tak brzmiały ostatnie słowa, jakie usłyszałam od siostry Pauliny. Odpowiedziałam, że bardzo ją kocham, i wyszłam razem z wysokim Polakiem na ulicę.

Podróż trwała wiele dni; którejś nocy przeschmuglowano mnie na rybacki kuter i ukryto pod pokładem. Żegnając się ze mną, Polak ucałował mnie w oba policzki i życzył szczęścia w Ameryce. Nigdy nie dowiedziałam się, jak się nazywał: w tamtych czasach znajomość nazwisk mogła okazać się niebezpieczna. Potem zsalutował przede mną i - nie zapomnę tych słów do końca życia - powiedział: "Niech żyje wolna Polska".

Max Rusoff i jego dobra rodzina wykupili mnie z rąk wrogów. Po jakimś czasie zesłam na ląd w Karolinie Południowej. Witamy mnie tam setki obcych ludzi. Zesłam po trapie. Przede mną stał Max Rusoff, nazywany Wielkim Żydem. Za nim jego żona, Esther. Tych dwoje ludzi, którzy w ogóle mnie nie znali, wzięło mnie w objęcia. Tych dwoje ludzi, którzy nie byli ze mną nawet spokrewnieni, wychowało mnie jak córkę. Tych dwoje ludzi, którzy nie byli mi nic winni, uratowało mi życie. Nie mam na ramieniu tatuażu, nie byłam w obozie koncentracyjnym. To, co przeżyłam, nie pozostawiło we mnie tyle goryczy, ile w George'u. Pozostawiło we mnie przekonanie, że na świecie jest dużo dobrych ludzi. Biedna żydowska dziewczyna miała dość szczęścia, aby trafić na nich w środku straszliwej wojny. To wszystko. Skończyłam. Opowiadanie ci tego, co przeszłam, było bardzo trudne. Ale taka jest właśnie moja historia. Starłam się opowiedzieć wszystko tak, jak było.

— Czy wychodząc na brzeg w Ameryce, miałaś na sobie sukienkę, którą uszyła ci matka? - zapytałem, przerywając milczenie, które zapadło po jej opowieści.

— Nie - odparła Ruth. - Wyrosłam z niej. Ale przywiozłam ją ze sobą. Przynosiła mi szczęście podczas podróży.

— Gdzie jest teraz?

— W szafce przy moim łóżku. W szufladzie.

507

— Ile zostało ci monet, kiedy przyплыnęłaś do Ameryki? Obdarowałaś nimi wielu ludzi.

— Trzy. Zostały mi tylko trzy. Kiedy ją po raz pierwszy włożyłam, sukienka była bardzo ciężka. W Ameryce zrobiła się całkiem lekka.

— Naszyjnik Shyli... - powiedziałem.

Ruth zdjęła z szyi złoty naszyjnik, który zaświecił w słońcu. Zrobiła go z jednej z pozostałych pięciorubłówek.

— Nigdy go nie zdejmuję. Nigdy - stwierdziła.

— Podobnie jak Shyla - powiedziałem. - Z wyjątkiem ostatniego dnia.

— Trzeci nosi moja córka Martha. Ona też nigdy go nie zdejmuje.

— A dama z monetami? - zapytałem.

— To był posąg Marii w kościele - odparła. - Popełniłam błąd, mówiąc Shyli, że moim zdaniem to właśnie Maria mnie uratowała. Ale takie mam wewnętrzne przekonanie. Do niej się modliłam. Powiedziałam Shyli, że matka Jezusa musiała się nade mną chyba zlitować. Zobaczyła żydowską dziewczynę i przypomniała sobie samą siebie.

— Myślisz, że to właśnie dama z monetami ukazała się Shyli? - zapytałem. - Wtedy, kiedy miała halucynacje?

— Tak mi się wydaje, Jack. Gdybym nie opowiedziała Shyli tej historii, moja córka byłaby może dzisiaj razem z nami. Od dawna dręczy mnie myśl, że przyłożyłam rękę do jej śmierci.

— Nie sądzę - odparłem. - Właściwie to całkiem miły gest.

— Miły gest? Nie rozumiem.

— Czy nie byłoby w porządku, gdyby Maria ukazała się Shyli po wszystkich okropnościach wojny? Moim zdaniem, tak. Żydowska matka chrześcijańskiego Boga przeprasza za to, co przydarzyło się rodzicom Żydówki podczas straszliwej gehenny polskich Żydów. Ze strony Matki Boskiej byłby to całkiem miły gest.

— Takie rzeczy się nie zdarzają - powiedziała Ruth.

— A powinny - odparłem.

— Mój mąż chce z tobą porozmawiać, Jack.

— O tym?

— Tego mi nie powiedział.

Tego wieczoru, po powrocie Leah i George'a ze Spoleto Festival, zjedliśmy kolację razem z Foxami. Leah była zmęczona i ustaliliśmy, że przerucje u dziadków w starym łóżku Shyli

508

i odbiorę ją nazajutrz rano. Zasnęła, gdy czytałem jej bajkę, w towarzystwie wypchanych zwierząt i pluszowych misiów, które kochała kiedyś jej matka. Całując ją lekko w policzek, próbowałem wyobrazić sobie, w jaką wpadłbym rozpacz i furję, gdyby do tego domu wtargnęli żołnierze, mordujący z zimną krwią dzieci. Z dołu dobiegały dźwięki symfonii "Jowiszowej" Mozarta i muzyka kazała mi poszukać towarzystwa George'a Foxa.

Znalazłem go w pokoju na parterze, słuchającego muzyki, popijającego koniak i pogrążonego w myślach. Nawet w swoim własnym domu, w swoim własnym fotelu, George miał wygląd zaszczutego upadłego anioła. Podskoczył w górę, gdy stanąłem w progu i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że każdy intruz, który zbliża się do George'a Foxa, jest esesmanem w przebraniu. Chciałem powiedzieć coś miłego, ale słowa zamarły mi w ustach.

— Pobladłeś, Jack - odezwał się w końcu. - Napij się ze mną koniaku.

— Ruth straciła całą swoją rodzinę. Zawsze o tym wiedziałem. Ale tak naprawdę nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— Mówisz o tym, co ci opowiedziała - stwierdził George, patrząc mi prosto w oczy. - Ruth uważa, że ta historia zabiła Shylę. Moim zdaniem nie ma racji.

— Dlaczego?

— Ponieważ według mnie Shylę zabiła moja przeszłość. A ja nigdy nie opowiadałem jej o swoich przejściach w Europie. Nikt nie wie, co mi się przydarzyło. Wydawało mi się, że gdybym o tym komuś opowiedział, ten ktoś nigdy by już nie zasnął i nie zaznał spokoju ducha. Wiesz, do jakiego wniosku doszedłem, Jack? Jeśli jakaś historia może zabić, to jest nią

właśnie ta, której nie możesz opowiedzieć. Myślę, że Shyla umarła nie przez Ruth, ale przez to, czego jej nie opowiedziałem. Wydawało mi się, że milczenie jest dla mnie odpowiednią strategią. Nie wiedziałem, że zżerająca mnie trucizna, wstyd i nie nawiść zatrują wszystko, co kochałem.

— Mrok - powiedziałem. - To jedno przychodzi mi na myśl, kiedy słyszę twoje nazwisko.

— Czy mogę opowiedzieć ci o sobie? - zapytał George Fox, patrząc na gwiazdy i rzekę. - Czy mnie wysłuchasz? Nie dzisiaj. Ale w najbliższej przyszłości.

— Nie - odparłem. - Nie sądzę, żebym musiał cię słuchać. Wystarczająco straszne było to, czego dowiedziałem się od Ruth.

509

— Jest pewien powód, dla którego chcę, żebyś mnie wysłuchał. Nigdy się nie lubiliśmy, Jack. To jedno można o nas powiedzieć z całą pewnością. Chyba się zgodzisz?

— To prawda - przyznałem.

— Ale wychowujesz Leah w duchu żydowskim. To mnie zdziwiło.

— Spełniam obietnicę, którą dałem Shyli.

— Ale Shyla nie żyje.

— Dla mnie żyje. W wystarczającym stopniu, żebym do trzymał obietnicy.

— Napijesz się koniaku?

— Napiję - odpowiedziałem, siadając naprzeciw mego starego wroga.

— Przyjdiesz tu kiedyś, żeby mnie wysłuchać? - zwrócił się do mnie George, a potem dodał słowo, którego nie słyszałem jeszcze nigdy w jego ustach. - Proszę.

—

ROZDZIAŁ 31

Staralem się obserwować, w jaki sposób nizin działają na wyobraźnię Leah. Była tutaj w końcu nowa i nie wiedziałem, czy poruszają w niej te same magiczne struny co we mnie. Wątpiłem, czy potrafią zmienić dziecko, które wzrastało w bajecznym zgiełku i chaosie Rzymu, nie doceniłem jednak dyskretnego uroku Waterfordu, nieodpartego powabu trzciny i azalii, styraksu i osiki. To miasto brało w niewolę i nie dopuszczało nawet myśli o amnestii lub przedterminowym zwolnieniu. Patrzyłem, jak Waterford pozostawia na Leah delikatne odciski swych palców, i mogłem mieć tylko nadzieję, że chwyci ją nimi za serce, nie za gardło.

Los Leah rozstrzygnął się jednak na Isle of Orion.

Laguna na tyłach naszego wynajętego domu służyła nam jednocześnie za miejsce zabaw i poligon. Kiedy było gorąco, łowiliśmy kraby, używając jako przynęty rybich łbów i kurzych szyjek. Leah dowiedziała się ode mnie, iż mięso atlantyckiego błękitnego kraba należy do największych przysmaków w królestwie zwierząt i przewyższa smakiem nawet homary z Maine. Złowiliśmy razem całą wannę krabów, a potem czyściliśmy je na drewnianym stole w ogrodzie, wyłuskując spod pancerzy błyszczące i pachnące słoną wodą białe mięso. Nauczyłem ją gotować zupę krabową na wywarze z ryb i uwarzyliśmy jej tyle, że starczyło na parę dni. Dla mnie wywar nie może być po prostu dobry, musi być wspaniały. Kiedy znudziła nam się zupa, nauczyłem ją, jak przyrządza się kraby w cieście, wiążąc ich mięso wyłącznie mąką i białkiem i dodając chablis, kapary, dymkę i cayenne. Nie bezczęściłem tej potrawy dodatkiem tartej

511

bułki czy pokruszonymi krakersami. Najbardziej lubię smak samych krabów. Jako kucharz przekazałem wszystkie swoje uprzedzenia Leah, a ona przyjęła je z całą skwapliwością gorliwej uczennicy. Co wieczór gotowaliśmy wspólnie kolację, tworząc wspomnienia, które na zawsze miały pozostać w banku pamięci.

Nauczyłem ją także piec kurczaka i chleb, smażyć potrawy na sposób południowy i włoski, komponować sałatki, przygotowywać mięso do grilla, oprawiać ostrygi w czasie krótszym niż pięć sekund, robić najlepsze czekoladowe ciasteczka w tej części świata, przyrządzać rybę z czosnkiem, imbirem, białym winem i sosem sojowym oraz piec biskwity, które były lepsze od biskwitów Lucy. Przebywając w kuchni, nie czułem na swoich barkach ciężaru świata; gotowanie było dla mnie zawsze najwyższą formą zabawy i ucząc kogoś, jak przyrządzić wyborne danie, nigdy nie czułem zmęczenia.

Podczas odpływów penetrowałem z Leah wąskie kanały na tyłach wyspy i uczyłem ją zarzucania sieci. Kupiłem jej własny sprzęt i pokazywałem, jak owinąwszy sznur dookoła lewego przegubu, rozkłada się szeroko siatkę, przytrzymując zębami obciążony środek. Zarzucanie sieci, tłumaczyłem jej, przypomina ruch, jaki wykonuje podczas walca wirująca suknia partnerki. Złowienie krewetek na kolację trwało dość długo, dostarczało nam jednak wielu satysfakcji. Szybko za to udawało się złowić ryby na przynętę.

Pokazałem Leah, że w każdym miejscu na lądzie i w wodzie trwają wieczne zmagania i walka: wszystko, co żyje, poluje na coś innego. Najmniejszy piskorz mógł wydawać się barakudą z perspektywy drobnych muszek albo larw błękitnych krabów i małży.

Złowiwszy dość drobnych ryb na przynętę, zakładaliśmy je na haczyki i zarzucaliśmy wędki na okonia, flądre i sargusa.

— Nie ma takiego zwierzęcia, którego nie mogłabyś zjeść - powiedziałem któregoś ranka, kiedy Leah złowiła okonia. - Jeśli będziesz musiała, możesz zjeść na surowo tę rybę.

— Nie muszę - odparła. - I nigdy nie będę musiała.

— Skąd wiesz?

— Kiedy dorosnę, będę taka jak ty - oznajmiła. - Będę miała karty kredytowe.

Roześmiałem się.

- Posłuchaj. Mówię poważnie. Możesz jeść insekty i żółwie

512

jaja. Jeśli przyciśnie cię głód, możesz nawet zjeść morskiego żółwia. Żabę, szopa, oposa. Świat protein jest wielki i różnicowany.

— Robi mi się od tego niedobrze - stwierdziła.

— Każdemu z nas może przytrafić się coś strasznego - zacząłem mówić po krótkim namyśle. - Coś, co wykracza poza normalne doświadczenie. Chcę wychować cię tak, żebyś była czujna. Żebyś miała przez cały czas oczy szeroko otwarte. Kiedy to się zdarzy, nie będziesz miała czasu na przygotowania.

Takie rzeczy zawsze przytrafiają się nagle. Spójrz na Lucy: wzięła po wielu latach rozwód z moim zapijaczonym bezwartościowym ojcem, wyszła za miłego faceta i wtedy właśnie zachorowała na białaczkę. Zło przychodzi w nocy, kiedy śpisz. Kiedy nie jesteś przygotowany.

— Nie powinieneś mówić, że twój ojciec jest bezwartościowy - upomniała mnie Lucy.

— Jesteś pierwszym dzieckiem, przy którym czuję się niedo

jrzały - stwierdziłem.

— Jesteś zły dla swego taty - oświadczyła, nie patrząc na mnie. - Wszyscy jesteście.

— Ale on jest przez cały czas pijany.

— Może pijaństwo jest sposobem ucieczki przed samotnością.

— Nie wiesz, o czym mówisz.

— Odwiedza mnie w szkole podczas przerwy na lunch - ciągnęła Leah. - Jest dla mnie zawsze miły i nigdy nie widziałam, żeby był pijany. Jest bardzo fajny i wiem, że chciałby, żebyście go bardziej lubili.

— Ja też chciałbym go bardziej lubić.

— To twój obowiązek. Jest twoim tatą - stwierdziła z przekonaniem.

— Jesteś szalenie despotyczna jak na kogoś, kto nie skończył jeszcze podstawówki.

— Mówiłeś, że mam być miła w stosunku do wszystkich.

— Pozwól, że trochę to zmodyfikujemy. Masz być miła w stosunku do wszystkich z wyjątkiem mego ojca.

Leah pokręciła ze smutkiem głową.

— Jesteś złym synem. Wszyscy jesteście. Oprócz Johna Hardina. On kocha każdego.

— John Hardin się nie liczy - powiedziałem.

— Nie rozumiesz Johna Hardina - odparła. - Tak samo jak nie rozumiesz swojego ojca.

513

— Mówisz, jakbyś pozjadała wszystkie rozumy - stwierdziłem cierpko.

— Dlaczego? Cieszę się, że jestem coraz bardziej dorosła. Tobie się to nie podoba?

— Bynajmniej. Jeśli chcesz znać prawdę, chciałbym, żebyś zawsze miała tyle lat, ile masz teraz. Uwielbiam cię w tym konkretnym momencie twojego życia. Lubię przebywać z tobą dziesięć razy bardziej niż z kimkolwiek innym. Chociaż może ci się to wydać dziwne, lubię cię bardziej niż kogokolwiek, kogo miałem dotąd okazję poznać na tej planecie. Choć w gruncie rzeczy "lubię" nie jest dość mocnym słowem. Lepszym byłoby chyba "ubóstwiam", "szaleję", "mam fioła na twoim punkcie"... nic nie oddaje tego w pełni.

Nie sposób przecenić wpływu, jaki wywiera na swoich uczniów dobry nauczyciel, jednak i zły pedagog potrafi wiele zdziałać. Delia Seignious uczyła ponad czterdzieści lat historii Karoliny Południowej, niszcząc w zarodku wszelkie zamiłowanie do tego przedmiotu, jakie mogło się zrodzić u uczniów dziewiątej klasy. Nie było tematu, którego nie potrafiłaby uczynić paraliżująco nudnym. Treść jej wykładów była sucha jak tabela logarytmiczna, a wysoki monotony głos potrafił wprowadzić w letarg nawet cierpiących na chroniczną bezsenność. Drzemka na lekcji historii pani Seignious była w naszym mieście czymś w rodzaju inicjacji. Jej ciągnący się przez cały tydzień wykład na temat oblężenia Charlestonu był tak drętwy, iż wielu uczniów zdało do następnej klasy, nie uświadamiając sobie, że dobiegło ono w ogóle końca.

Pani Seignious o mało nie padła z rozkoszy pierwszego dnia zajęć w roku 1962, informując klasę, że na liście jej uczniów znalazło się dwóch potomków najznakomitszych rodów w historii Karoliny Południowej. Kazała Capersowi Middletonowi i Jordanowi Elliottowi wstać z ławek, żebyśmy mogli podziwiać potęgę smaku, jakim się wykazali, rodząc się w tak dobrych rodzinach. Capers

wypiął dumnie pierś. Rysy jego twarzy już w dziewiątej klasie wydawały się rzeźbione w marmurze. Jordan za to nie wydawał się wcale uszczęśliwiony i przyglądał się spode łba klasie, zaskoczony tym, iż nowy uczeń okazał się nagle spokrewniony z wielkimi tego świata. Następnego dnia Jordana wyrzucono z klasy za to, że przy-

514

lepił za mapą kolonialnej Karoliny Południowej gumę do żucia Juicy Fruit, na którą pani Seignious była szczególnie "uczulona". Jordan Elliott odznacza się niepokornym i buntowniczym usposobieniem, wyjaśniła klasie, wszystkiemu jednak winne są prawa genetyki, ponieważ każdy głupek wie (to ostatnie stwierdziła z zapartym tchem), iż oderwanie się od Matki Anglii wymagało wielkiego męstwa. Obaj, Capers i Jordan, spokrewnieni są aż z trzema obywatelami Karoliny Południowej, których podpisy widnieją pod Deklaracją Niepodległości. Ona sama, dodała z wrodzoną sobie skromnością, spokrewniona jest tylko z jednym sygnatariuszem tego dokumentu.

- Zarówno pan Middleton, jak i pan Elliott pochodzą ze starych czcigodnych rodów Karoliny Południowej. Ktoś mógł by zapytać, jakie to ma w ogóle znaczenie, doświadczenie jednak uczy nas, że ma, i to zasadnicze. Sama linia ich szczęki wskazuje, że wśród przodków mają ludzi, którzy zawsze stawiali prawdę przed pozorem i fałszem, sprawiedliwość przed zemstą i elegancję przed sztucznym blichтром. Każdy, kto poznał bliżej Middletona albo Elliotta, wie, czego można się po nich spodziewać. Ich charakter jest niezłomny. Ich maniery nieskazitelne. Miej synów, Capersie. Miej synów, Jordanie. Nie możecie pozwolić, aby wasze zapisane złotymi czcionkami nazwiska wygasły albo wylądowały na śmietniku historii. Będziemy w tym roku studiować pisma i czyny waszych znakomitych przodków i obaj podniesiecie wysoko głowy, uprzytamniając sobie, jak ważne jest wasze pochodzenie. Każda spłodzona przez was córka oznaczać będzie niepowetowaną stratę i powód do smutku. Każdy syn będzie nosicielem nazwiska.

Siedzący za Jordanem Mikę udał, że zbiera mu się na wymioty.

- Hej, nosicielu nazwiska - szepnął. - Mogę pożyczyć od ciebie gumę do żucia, kiedy już się porzygam?

Jordan podał mu batonik Juicy Fruit, po czym wykonał pod jego adresem nieprzyzwoity gest.

— Sama linia mego członka wskazuje, iż pochodzę w prostej linii od jednego z najbardziej czcigodnych producentów bajgli z Upper West Side - oznajmił po lekcji Mikę.

— Miej synów, Mikę. Miej synów - zawołałem radośnie.

— Wolałbym wachać spleśniałe ineksprymable, aniżeli słu

chać głosu tej kobiety - stwierdził Jordan. Delia Seignious znalazła jednego gorliwego stronnika w Capersie, który bronił

515

zarówno jej pedagogicznego podejścia, jak i merytorycznej zawartości wykładów.

— To bardzo ważne, żeby wiedzieć, skąd się pochodzi - oznajmił.

— Dlaczego? - zapytałem. - Co to za różnica? W Ameryce mamy demokrację. Każdy ma to, na co zasłużył.

— Bzdura - zaprotestował Jordan. - Połowa tego miasta jest czarna. Nie powiesz chyba, że kolor skóry nie ma znaczenia w tej zaszrannej części świata?

— Czas czarnych dopiero nadejdzie - oświadczył Capers. - Dzisiaj na to jeszcze nie zasłużyli.

— Mówisz jak kompletny kretyn - zdenerwował się Jordan. - Przemawiasz, jakbyś miał sto lat, a chodzisz dopiero do dziewiątej klasy. Wierzysz we wszystko, co opowiadają ci starzy.

— Szanuję moich rodziców bardziej niż kogokolwiek na świecie - stwierdził Capers. - Zawdzięczam im wszystko.

— Jesteś najbardziej nadętym kabotynem, jakiego w życiu spotkałem - oznajmił Jordan, mierząc go swoim nieulekłym kalifornijskim spojrzeniem. - Masz szczęście, że urodziłeś się na tym zadupiu. Na Zachodnim Wybrzeżu miałbyś przesrane już po tygodniu.

— Chcesz powiedzieć, że jestem kołtunem, tak? - zapytał Capers.

— Gorzej, stary. Jesteś kołtunem do kwadratu. Tacy jak ty chodzą w skarpetkach po plaży.

— Może jestem po prostu dumny z tego, kim jestem.

— Może jesteś po prostu typowym południowym dupkiem - odpalił Jordan.

— Miej synów, Capersie. Miej synów, Jordanie - zawołałem, próbując rozładować sytuację.

— Te wykłady przydadzą mi się, kiedy będę pisał swoje pamiętniki. Zatytułuję je: "Żydek w szeregach Konfederacji" - stwierdził Mike. - Myślicie, że pani Seignious słyszała kiedyś o Ellis Island? To tylko parę kroków od Plymouth Rock*.

— Historia Karoliny Południowej... - powiedział, potrząsając głową, Jordan. - W samych tych słowach tkwi wewnę-

* Ellis Island, mała wysepka na wodach Zatoki Nowojorskiej, gdzie w latach 1892-1943 poddawano kontroli przybywających do Stanów emigrantów. Plymouth Rock, skała, przy której w roku 1620 wylądowali na statku Mayflower tak zwani Ojcowie Założyciele.

516

trzną sprzeczność. Mieszkalem w wielu miastach na całym świecie i nie słyszałem, żeby ktokolwiek wymienił kiedyś nazwę tego stanu. Jego po prostu nie ma, człowieka. Jeśli istnieje gdzieś jakiś przegrany stan, to jest nim właśnie Karolina Południowa. Nic się tutaj nigdy nie wydarzyło.

— Nasz stan pierwszy wystąpił z Unii - zjeżył się Capers. - Zaatakowaliśmy Fort Sumter i pierwsi stanęliśmy z bronią u boku.

— A potem przyszli Jankesi i skopali wam dupę od Richmondu aż po Vicksburg.

— Daliśmy z siebie wszystko. Mieliśmy wspaniałych generałów - syknął Capers, ruszając z zaciśniętymi pięściami w stronę całkowicie spokojnego Jordana.

— Nigdy nie czytałem o marszu generała Lee na Nowy Jork, czytałem za to o marszu Shermana do morza. Studiowałem bitwy wojny secesyjnej razem z moim ojcem, Capers. Wiem na ten temat o wiele więcej od ciebie.

— Nie jesteś prawdziwym południowcem - zarzucił mu Capers.

— Jestem Amerykaninem, ciołku, i jestem z tego dumny.

— Twoja rodzina przybyła do Nowego Świata w roku tysiąc siedemset dziewięćm. Moja w tysiąc siedemset szóstym. Co się z tobą porobiło? - ciągnął Capers.

— Kiedy przybyła tutaj twoja rodzina, Jack? - zapytał rozbawionym tonem Mike.

— W tysiąc dziewięćset ósmym. Coś koło tego - odparłem śmiejąc się i Capers doszedł do wniosku, że śmieję się właśnie z niego. - A twoja, Mike?

— Moja rodzina? Bardzo wcześnie. Postawili stopę na tym dziewiczym wybrzeżu w tym samym roku, kiedy w Detroit zaczęto produkować samochody.

— Miej synów. Miej synów - zaśpiewaliśmy razem, śmiejąc się do rozpuku.

Na następnych zajęciach Delia Seignious przeczytała nam rozdział z wydanej w roku 1859 książki Williama Elliotta "Karolińskie sporty wodne i lądowe". Jej głos był monotony niczym odgłos kapiącej z nieszczelnego rezerwuaru wody. Połowa klasy spała, a połowa dumiała o niebieskich migdałach, gdy Delia Seignious zmagiała się z całkiem strawną prozą pradziadka Jordana i stryjecznego pradziadka Capersa od strony matki. Przeczytała nam pierwszy rozdział, najlepszy w całej

517

książce, czytany niegdyś z wypiekami na twarzy przez jankes-kich rybaków, w którym czcigodny pan Elliott opisuje pościg za wielką manta, czyli płaszczką, po wodach Cieśniny Water-fordzkiej. Tylko Delia Seignious ze swoim talentem do zanudzania na śmierć potrafiła uczynić z opisu polowania na dwutonową płaszczkę z wielkimi czarnymi skrzydłami i podobnym do nietoperza ciałem bezbarwną drętwą opowieść, której słowa padały między nas niczym magiczny usypiający proszek. W jej wykonaniu nawet "Szarża Lekkiej Brygady" brzmiałaby jak instrukcja składania serwetki w podręczniku savoir-vivre'u dla pańienek z dobrego domu. Kiedy William Elliott wbił ostrze harpuna w kręgosłup płaszczy i olbrzymia bestia zaczęła ciągnąć jego napędzaną wiosłami niewolników łódź przez spienione wody koło Hilton Head, chrapanie klakierów zlało się w jedno z chrapaniem futbolistów i poczułem, jak koszula przykleja mi się do spoconych pleców. Straszliwy upał i fatalny poziom nauczania przyczyniły się chyba w równym stopniu do obniżenia w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat ilorazu inteligencji mieszkańców Południa.

Tylko jeden uczeń słuchał z zapartym tchem Delii, spijając z jej ust każde wypowiedziane słowo. Dla Capersa Middletona wszystko, co opowiadała nam pani Seignious, sięgając do swej zakurzonej skarbnicy wiedzy, miało zasadnicze znaczenie dla tego, jak postrzegał świat i samego siebie. Nie tylko czuł się osobiście związany z historią Karoliny Południowej, lecz uważał własne życie za jej kulminację i przedłużenie. Od samego początku miał silnie rozwinięte poczucie swej przywilejowanej pozycji, na którą zapracowali, jak sądził, jego przodkowie.

Na gwiazdkę tamtego roku Capers dostał od swoich rodziców pierwsze wydanie "Karolińskich sportów wodnych i lądowych". Zachwyciły go w niej natchnione relacje z polowań i wypraw rybackich, organizowanych w mniej zaludnionym przed wojną secesyjną stanie. Opisywana przez autora Karolina była zielonym rajem obfitującym we wszelkiego rodzaju zwierzyne, ptactwo i ryby. Czując duchową więź z Williamem Elliottem, Capers polował dokładnie w tych samych miejscach i na te same zwierzęta, które z takim sentymentem opisywał jego niestrudzony przodek.

Ojciec Capersa zamówił dla niego u specjalizującego się w naprawie żelaznych ogrodzeń czarnego kowala w Charlestonie taki sam harpun jak ten, który dzierżył w dłoni William

518

Elliott, wypuszczając się na wody cieśnin i kanałów w poszukiwaniu wielkich płaszczyk. Trzymając go w rękę, Capers marzył o dzikich niebezpiecznych pościgach, podobnych do tego, który nastąpił, gdy jedna z trafionych bestii zawróciła w agonii na pełne morze. Tropiąc rysia albo wirgińskiego

jelenia na ciągnących się całymi milami starych plantacjach ryżu, wzywał na pomoc duchy swoich przodków. W tajemnicy przed wszystkimi postawił sobie ambitne zadanie: postanowił, że złowi każdą rybę i upoluje każde zwierzę, które William Elliott wymienił w swojej książce.

W roku 1964 ojciec Jordana, wówczas już dyplomowany pułkownik, pojechał w tajnej misji do odległego kraju o nazwie Wietnam. W tamtym czasie żaden z nas nie słyszał nigdy o Wietnamie. Celestine Elliott zamieszkała na Point, trzy przecznice od mojego domu i jedną przecznicę od Capersa i od Mike'a. Tamtego lata byliśmy nierozłączni. Wtedy też Mike, Jordan i ja mieliśmy gorzko pożałować, iż nie uważaliśmy bardziej na lekcjach historii Delii Seignious.

W każdą kwietniową niedzielę Capers pożyczał od ojca wyposażoną w siedemdziesięciopięciokonny silnik osiemnastostopową łódź Renkena i zabierał nas na całodzienne wyprawy. Wszyscy czterej byliśmy zapalonymi wędkarzami, dumnymi ze swego sprzętu; dostosowując się do warunków, zmienialiśmy co chwila przynęty i błyszczące i docinaliśmy sobie bezlitośnie, zanurzając je raz głębiej, raz płycej w poszukiwaniu lepszego brania. Zakładając na haczyki kawałki mrożonego węgorza, podtykaliśmy je pod nosy wielkich kobii polujących tuż pod powierzchnią wody. Kobie były silne, podobne do kształtu do torpedy i najbardziej ze wszystkich ryb lubiłem je przyrządzać i jeść przy ognisku.

Harpun Capersa okazał się symbolicznym, lecz bezużytecznym darem. Pewnej bezksiężycowej nocy próbował nim trafić schowane w mule i piasku flądry, które wyłuskiwało z mroku światło zawieszona na dziobie latarni. Puszczając łódź w dryf, ciskaliśmy na zmianę ościeniem w kryjące się na dnie drapieżne ryby, które czyhały na przepływające górą ofiary. Zarys flądry widać było tak samo wyraźnie jak kobiecy profil na kamei. Trójzębny oścień spełniał świetnie swoją funkcję, ale wielki

519

harpun Capersa kaleczył rybę, niszcząc kompletnie jej mięso. Którejś niedzieli Capers trafił nim pięćdziesięciofuntowego rekina, lecz i tym razem broń okazała się zbyt potężna w stosunku do zdobyczy. Harpun leżał zatem nie używany w schowku pod dziobem, razem z trzydziestojardowym zwojem grubej liny. Capers usprawiedliwiał od czasu do czasu jego obecność, przypominając Jordanowi, iż potomkowie Williama Elliotta nigdy nie wyruszają na morze, nie będąc przygotowani na każdą ewentualność. Większość ryb można było jednak złapać przy użyciu normalnego sprzętu. Raz udało nam się nawet złowić ważącą przeszło czterdzieści funtów kobię. Wykroiłem z niej filety i upiekłem je przy ognisku, na oleju kukurydzianym i maśle, dodając kilka kropel cytryny, i był to mój pierwszy przepis, jaki sprzedałem później gazecie.

W pierwszym tygodniu sierpnia Mike trzykrotnie odbił piłkę w bandę, zaliczając trzy razy pod rząd trzecią bazę i zapewniając nam zwycięstwo w rozgrywanych w College Park w Charlestonie mistrzostwach dolnego stanu w baseballu. Kiedy Mike odbijał pierwszy rzut rezerwowego miotacza z Conway, Capers stał na trzeciej, ja na drugiej, a Jordan na pierwszej bazie. Wszyscy czterej graliśmy coraz lepiej, wchodząc jednocześnie w okres najlepszej fizycznej formy. Kiedy na pozycji miotacza stawał Jordan, Capers pilnował środka, Mike lewego, a ja prawego skrzydła. Nikt nie ośmielał się wątpić w moją legendarną już wówczas siłę rzutu. Jordan wiedział, że świetnie rozumiemy się na drugiej linii; wyłapywaliśmy prawie wszystkie piłki i bezbłędnie podawaliśmy je do shortstopa*.

Kiedy sezon baseballowy dobiegł końca, przenieśliśmy się na resztę lata do rybackiego domku mojej rodziny na południowo-zachodnim cyplu Isle of Orion.

Już w pierwszym tygodniu załadowaliśmy na łódź Middle-tonów dodatkowe kanistry z paliwem i kiedy trafił się wyjątkowo spokojny dzień i aż do wieczora nie zapowiadano ani jednej chmurki, zapuściliśmy siedemdziesięciopięciokonny silnik i ruszyliśmy w stronę Golsztromu. Starsi rybacy mówili o Golf-sztromie z szacunkiem, opisując go jako wielką tajemną rzekę koloru indyga, która rodziła się na Południu i niosła masy ciepłej wody oraz stada marlinów i wielorybów w stronę Gwiazdy Polarnej i Anglii. Woda była tam srebrna i kobaltowo-

W baseballu zawodnik między drugą i trzecią bazą.

520

błękitna, a ryby ważyły tyle co samochody. Wszyscy, którzy wrócili z Golsztromu, opowiadali z zachwytem o potężnych morskich stworzeniach, które wypływały zwabione przynętą na powierzchnię.

Po mniej więcej godzinie znaleźliśmy się na otwartym morzu. Nikomu nie zdradziliśmy naszych planów, żaden dorosły nie pozwoliłby nam bowiem na tak długą wycieczkę w tak małej łodzi. Przed świtem minęliśmy ostatnią boję oznaczającą wejście do kanału. W pierwszych promieniach słońca morze przypominało jezioro; dziób łodzi zwrócony był w stronę Afryki. Byliśmy tak podnieceni, jakby naszym celem był rzeczywiście Kamerun albo Wybrzeże Kości Słoniowej. Do turystycznej łódki zapakowaliśmy prowiant i napoje na dwa dni. Oddalając się coraz bardziej od lądu, płynęliśmy ze średnią szybkością dwudziestu węzłów.

— Moja mama stłukłaby mój żydowski tyłek, gdyby wie działa, gdzie jestem - oświadczył Mike, lustrując horyzont i widząc wszędzie dookoła bezmiar wody. - Myśli, że łowimy teraz kraby na kolację, tak jak powiedzieliśmy.

— Powinniśmy zabrać radio - stwierdził Jordan.

— Chłopaki z wysp nie potrzebują radia - odparł Capers, nie odrywając wzroku od kompasu i prowadząc łódź prosto na wschód. - Urodziliśmy się w grząskim mule ze skrzelami i płetwami. Człowieku, ja urodziłem się, żeby wypłynąć na wody Golsztromu.

— Nie potrzebujemy radia, chłopaku z Kalifornii - dodałem - bo mamy gonady wielkie jak balony Goodyeara.

— I ptasie mózdzki - oświadczył Jordan, przyglądając się otaczającemu nas morzu. - Całe szczęście, że to taki frajerski ocean. Na Pacyfiku nie zanurzyłbym w wodzie wielkiego palca bez radia.

— Na Mayflower nie mieli żadnego radia - powiedział Capers. - Kolumb nie mógł sobie pogadać z królem Ferdynandem. Nie bójcie się, macie na pokładzie prawdziwego wilka morskiego.

— Nikt nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy - nie dawał za wygraną Jordan.

— Facet na przystani wie, że wybraliśmy się na dłuższą wycieczkę - mruknąłem. - Wzięliśmy sześć kanistrów benzyny.

— Gdybyśmy powiedzieli rodzicom, nie daliby nam wypłynąć - dodał Capers.

521

— Moich starych normalnie by zatkało, gdyby wiedzieli, gdzie teraz jestem - stwierdziłem.

— Twój ojciec mógłby nawet uderzyć w gaz - zawołał Capers, przekrzykując warkot silnika.

Zignorowałem tę uwagę i spojrzałem w stronę, gdzie powinien być ląd.

- Dla mojego starego nigdy nie będę dość twardy - wyznał Jordan. - Mógłbym pojechać do Spartanburga, przelecieć wszystkie dziewczyny w Converse College, a on i tak będzie mnie uważał za pedała.

Przed dotarciem do Prądu Zatokowego wpłynęliśmy na rozległy teren sargasu - dryfującego archipelagu brązowych wodorostów, bogatszych w chlorofil niż cały stan Kansas. Był to pierwszy znak, że zbliżamy się do samego Golsztromu. Nasz nauczyciel geografii, Walter Gmann, narysował kiedyś mapkę prądu, wypływającego z Zatoki Meksykańskiej i skracającego w górę przy wybrzeżu

Florydy. Pan Gnann był jednym z tych naukowców, którzy szukają inspiracji we własnym wnętrzu i wierzą, iż przyroda jest po prostu świadectwem potęgi i matematycznego geniusza Boga. Całymi godzinami mógł rozprawiać o typach pogody, migracjach ryb oraz życiu roślinnym od Karaibów aż po wybrzeże Karoliny Południowej, a także o działaniu siły Coriolisa, która powoduje zakrzywienie linii prostych biegnących po wirującej płaszczyźnie. Ziemia obracała się dookoła swej osi, księżyc unosił marionetkowymi dłońmi wody oceanów, a Golsztrom płynął przez środek Atlantyku niczym jakiś tajemny, ciepłowodny Nil, bez którego Anglia zmieniałaby się w królestwo wiecznych śniegów. Prąd Zatokowy przynosił dobrą nowinę zimnym niegościnnym krajom Europy, był wysłanym z Południa miłosnym listem, który topił góry lodowe na przebiegających w pobliżu Grenlandii morskich szlakach.

Kiedy do niego dopłynęliśmy, morze przybrało jasnoblękitny odcień, tak jakby woda tryskała ze środka jakiejś podwodnej skały. Była przejrzysta i płynęła wartko niczym w górskiej rzece. Przejrzysta woda była dla nas, chłopaków z wysp, czymś niezwykłym. Jeszcze przed chwilą Capers sprawdzał sondę i głębokość wynosiła dwieście stóp. Spoglądając na odczyt po kilku minutach, z zaskoczeniem odkrył, że wzrosła do tysiąca. Kiedy nam o tym powiedział, gwizdaliśmy z niedowierzaniem.

- Utopić można się równie dobrze na głębokości trzech

522

jak i tysiąca stóp - oświadczył Jordan, próbując uspokoić nasze obawy. Zaczęliśmy wszyscy stukać w sondę palcami, żeby sprawdzić, czy odczyt nie jest fałszywy.

— Owszem - odparł Mikę - ale na głębokości trzech stóp łatwiej cię uratować. Jakie ryby żyją na takiej głębokości?

— Olbrzymie - stwierdził Capers.

— Te, którym to pasuje - dodał Jordan. - Trzeba mieć siłę w płetwach, jeśli ma się ochotę na przejażdżkę Golsztromem.

— Może zobaczymy jakieś wieloryby - powiedziałem.

— Powinniśmy zabrać radio - powtórzył po raz któryś z rzędu Jordan.

— Radio jest dla frajerów - roześmiał się Capers. - Za rzucajmy wędki.

Przejąłem od niego ster i skierowałem dziób łodzi na północ, biorąc poprawkę na prędkość prądu i zwalniając trochę, żebyśmy mogli ciągnąć za sobą przynęty. Uwielbiałem wszystko, co wiązało się z wędkarstwem: funkcjonalny i piękny ekwipunek, eleganckie węzły, sprawdzanie linek i wybieranie odpowiedniej przynęty. Z przyjemnością patrzyłem na swoich przyjaciół, którzy zaglądali do pudełek ze skrupulatnie poukładanym sprzętem, studiując ich zawartość przed zarzuceniem żyłek w te bajeczne wody. Na zachodzie widać było księżyc w drugiej kwadrze, błądzący ślad niedawnej nocy. Zobaczyłem szybujące nisko ptaki i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy w życiu oglądam latające ryby. Ich łby przypominały psie pyski, a płetwy skrzydła złych aniołów. Nie znałem dobrze ich zwyczajów, domyśliłem się jednak, iż wyskoczyły z wody, uciekając przed jakimiś potężnymi i groźnymi drapieżcami.

— Do diabła, złapmy najpierw jakąś przynętę - mruknął Mikę. - Nie jestem pewien, czy nasze błyszcze zainteresują tutaj porządną rybę.

— Dobry pomysł - stwierdziłem, po czym zawróciłem łódź w stronę brzegu. Po paru milach wpłynęliśmy na rozległy obszar sargasu, który wydawał się obiecujący. Zakotwiczyliśmy łódź, założyliśmy na haczyki krewetki i kawałki krojonego cefala i zarzuciliśmy je głęboko, używając mniejszych wędek z dwudziestofuntowymi żyłkami. Morze było gładkie jak stół i mieliśmy wrażenie, że tkwimy uwięzieni w zwierciadlanym obrazie

ziemi. Sargasowe ogrody roily się od ryb. Po dwudziestu minutach Capers złapał małego złotoryba, a Mikę i Jordan kolejne

523

cefale. Stłumionym głosem dyskutowaliśmy na temat głębokości, na jaką każdy z nas zarzuci linkę, kiedy wrócimy na głębinę. Uzgodniliśmy, że Capers będzie łowił najgłębiej, a Jordan i Mikę zarzucą linki z boku łodzi, jeden na pięćdziesiąt stóp, drugi tuż przy powierzchni. Sprawdziliśmy oścień i nasze większe wędkę i ustaliliśmy tryb postępowania, kiedy na hak któregoś z nas złapie się większa ryba. Zawiadomiłem ich, gdy ponownie wpłynęliśmy na Golsztrum, i w miarę jak oddalaliśmy się od brzegu, podawałem kolejne odczyty sondy.

— Masz za dużo żyłek - powiedział Mikę do Capersa, który zawsze wypływał ze sprzętem o wiele droższym od naszego. W jego zestawie wędkarskim firmy Piano pełno było haczyków i przynęt, których nigdy nie używał, Capers był jednak gorliwym i ambitnym wędkarzem. Sukces mierzył rozmiarami i liczbą. Wypuszczając się po raz pierwszy na Golsztrum, chciał wrócić do domu z potężną rybą i wiadomo było, że nic mniejszego nie zdoła go zadowolić.

— Wytrzyma obciążenie pięćdziesięciu funtów - oznajmił z dumą.

— Mógłbyś na nią złowić aligatora - odkrzyknąłem.

— Zakładam na hak mojego złotoryba.

— Na co właściwie polujemy? - zapytał Mikę. - Nie wiem nawet, na co mam się nastawiać.

— Nastawiamy się na coś dużego - odparł Jordan.

— Polujemy na trofea - oświadczył Capers. - Coś, co można będzie zawiesić na ścianie.

Przez pół godziny płynąłem na północ, zahipnotyzowany otaczającym mnie kręgiem wody i kręgiem nieba, które zdawały się utkane z tej samej materii i pomalowane na ten sam kolor. Jedyną rzeczą, która nie pasowała do otoczenia, był jednostajny pomruk silnika. Czułem nie dające się wyrazić słowami poczucie harmonii, które ogarnia człowieka, gdy jest zupełnie sam i otacza go katedralna cisza oddalonej od miast natury. Na krótki moment umilkł nawet hałas silnika, wymazany ze świadomości przez jedwabisty bezmiar i bezruch Atlantyku, który dawał nam odczuć swą głębię. Zapomniałem zupełnie o obecności moich trzech przyjaciół, podobnie jak, byłem o tym przekonany, oni zapomnieli o mnie.

A potem coś złapało złotoryba, coś, co płynęło na dużej głębokości. Zgasilem silnik, Jordan i Mikę zwinęli swoje linki i wszyscy trzej zajęliśmy wygodne pozycje, obserwując Capersa,

524

który miał teraz sprawdzić swoje śródlądowe rybackie umiejętności na wodach Golsztrumu. Zawsze zarzucaliśmy mu, że używa za dużych wędek, jednak tym razem wędka na pewno nie była zbyt duża. Ryba złapała się na hak i rzucając się do ucieczki, o mało nie wyrwała mu kija z dłoni, ale Capers rozgrywał to po mistrzowsku. Linka śpiewała w kołowrotku, a on w ogóle jej nie blokował, zadowolony, że znalazł się w centrum zainteresowania. Wszyscy patrzyliśmy z niepokojem na wysuwającą się w błyskawicznym tempie linkę; Capers zaczął ją w końcu leciutko, bardzo delikatnie blokować.

- Co czujesz? - zapytał Mikę.

- Jakbym podczepił się do lokomotywy - odparł Capers.

Postępował z rybą bardzo umiejętnie, ale była to ryba o olbrzymiej sile i olbrzymiej woli walki.

— Chciałbym zobaczyć tego smoka - powiedział Jordan, kiedy po piętnastu minutach zmagania nic nie zmaćiło powierz

chni wody. Twarz, pierś i owłosione nogi Capersa pokrywał teraz gęsty pot.

— Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby go obejrzeć - stwierdził. - Mam zamiar złapać tego sukinsyna.

— Może nie zmieścić się w łodzi - zauważyłem. - Kto wie, co to za diabeł. To może być nawet mąko albo wielki biały rekin.

— Zapomnieliście o moim harpunie - oznajmił ochrypłym z wysiłku głosem napięty jak struna Capers. - Przygotujcie go.

Wydobyłem harpun ze schowka pod dziobem, zsunąłem z niego skórzany pokrowiec i wyjąwszy ośkę z zestawu Capersa, ostrzyłem go tak długo, aż na całej długości grota zobaczyłem złośliwy uśmiech świeżego srebra. Kiedy dotknąłem ostrza, na kciuku ukazała się czerwona kreska. Mike wyjął linę i przywiązał jeden koniec do harpuna, a drugi do uchwyty na dziobie.

A potem zobaczyliśmy rybę. Wszyscy mieliśmy już na swoim koncie całkiem spore sztuki, żaden z nas nie spodziewał się jednak zobaczyć tej wielkości błękitnego marlina, który wyskoczył z wody pięćdziesiąt jardów za łodzią. Czuję, jak ogarnia mnie fala radości i upojenia; strzelisty skok lśniącego w promieniach słońca marlina przeniósł nas w zupełnie nowe rejony ducha. Było to nasze pierwsze spotkanie z rybą jako mitem, z rybą jako koszmarem i bestią.

Zaczęliśmy pohukiwać głośno z zachwyty. Capers był zbyt

525

wyczerpany, żeby w ogóle się odezwać, ale zastrzyk adrenaliny złagodził na chwilę straszliwy ból, jaki odczuwał w plecach, ramionach i dłoniach. Całe jego ciało zmagало się z przeciwnikiem; stosował wszelkie triki, jakich mógł się nauczyć chłopak z wysp, łowiąc okonia, królewską makrełę i migrujące tasergale. Miałem jednak poważne wątpliwości, czy wszystkie złapane przez niego dotychczas sztuki dorównywały wagą tej jednej wyprawiającej dzikie harce rybce. Marlin wynurzył się ponownie z gładkiej toni i zatańczył na rozdwojonym ogonie, zgrabny jak baletnica, a potem runął z powrotem do morza, niczym rozbijający się obok naszej łodzi niewielki samolot. Wszyscy gwizdnęliśmy z podziwu.

— Nie damy rady wciągnąć go do środka - zawołałem.

— Bzdura - krzyknął Capers. Prawie nie poznawałem jego głosu.

— Jest większy od naszej łodzi - wyjaśniłem.

— Zabijemy go harpunem - zaproponował Mike.

— Jack ma rację - stwierdził Jordan. - Zatonimy pod jego ciężarem.

— Przy wiążemy go do łodzi - szepnął Capers.

— Czytałem już tę książkę, człowieku - powiedział Mike. - To "Stary człowiek i morze". Będziemy przez całą noc walczyć z rekinami.

— Mamy silnik - stwierdziłem. - Damy chyba radę szybko wrócić.

— Capers jeszcze tego nie zrozumiał - dodał Jordan. - Ta ryba wcale nie wygląda na zmęczoną. Dopiero się rozgrzewa.

— Chcesz, żeby ktoś z nas cię zmienił, stary?-zapytał Mike.

— To moja ryba - odparł Capers. - Sam ją wyciągnę.

— Dzięki takiej postawie nasz kraj stał się wielkim mocarstwem - mruknąłem z przekąsem.

— Wyglądasz, jakbyś miał zaraz umrzeć - dodał Jordan. - Mike chciał ci tylko pomóc.

— Mogę pobić rekord - sapnął Capers. - Nie będzie się liczyć, jeśli ktoś mi pomoże.

— Skłamiemy - zaproponowałem. - Przysięgniemy wszyscy na cały stos Biblii, że wyciągnąłeś ją samodzielnie.

— Wierzę w zasady - oświadczył Capers. Koszulę miał moką od potu. - Zasady są formą dyscypliny. Istnieją same dla siebie.

Wszyscy trzej zaczęliśmy bić brawo.

526

— Możecie się teraz śmiać, frajerzy - mruknął Capers. - Ale kiedy zważą tego marlina na przystani, przeczytacie moje nazwisko w "Sports Illustrated".

— Ponieważ jesteś taki podły - odpalił Mikę - opowiem wszystkim, że pomogłem ci go wyciągnąć.

— Ja też - oznajmił Jordan.

— I ja - dodałem.

— Możecie pocałować mnie w dupę - odciął się Capers. - W Waterfordzie moje słowo jest święte. Stoi za mną trzysta lat ucziwości Middletonów.

W tej samej chwili marlin zaczął znowu oddalać się od łodzi i linka po raz kolejny zaśpiewała w kołowrotku. Nagle zwisała luźno i Capers zaczął zwijać ją jak szalony z powrotem. Jego zaciśnięta na uchwycie kołowrotka dłoń przypominała wirującą płamę, marlin tymczasem wystrzelił z głębin i wykonał kolejny spektakularny skok w powietrzu. Widziałem, jak ból ściąga twarz Capersa i nie pozwala mu się skoncentrować. Mięśnie rąk i palców kompletnie mu zdrętwiały i chcąc odzyskać w nich czucie, potrząsnął rozpaczliwie dłonią. Po chwili zaczął znowu skracać linkę, ale marlin zmienił nagle kurs i zanurkował z całą siłą w dół. Kiedy linka pękła, wszyscy trzej jęknęliśmy jednym głosem.

- Skurwysyn. Skurwysyn! - ryknął Capers, nawijając z rozpędu luźną linkę. W wywiskach, którymi obsypał obojętny ocean, brzmiała autentyczna rozpacz; a potem cisnął swoją wędkę i kołowrotek najdalej, jak tylko mógł, w morze. Wpadły do wody z pluskiem, który wydawał się żałośnie trywialny po wspaniałym skoku marlina.

Obserwując z zapartym tchem zrozpaczoną minę Capersa, oczekiwałem, że rozplacze się z bezsilności i żalu, zamiast tego jednak skoczył prosto z rufy w morze. Wynurzywszy się dopiero po dwudziestu sekundach, nabrał powietrza i ponownie dał nurka.

— Nie sądzę, żeby udało ci się złapać go w ten sposób - zauważył Jordan, kiedy Capers wynurzył się po raz drugi. - Jest teraz pewnie w połowie drogi do Afryki.

— Nigdy nie będę już miał na haku takiej bestii - wściekał się Capers, młócąc rękoma wodę. - Mężczyzna ma w życiu tylko jedną szansę, żeby złowić rybę tej wielkości.

— Jaką rybę? - zdziwił się Mikę. - Ja nie widziałem żadnej ryby.

— Ty cholerny sukinsynu - jęknął Capers.

527

— Może byś tak wlaź z powrotem do łodzi? - zaproponowałem.

— Nie mogę podnieść ramion - odparł, potrząsając głową.

— Nic dziwnego, że urwał ci się ten marlin - stwierdził Mikę. Podał mu rękę, ale Capers był zbyt zmordowany, by jej dosięgnąć. Mikę pochylił się nisko i złapał go pod pachę,

a potem dał mi znak, żebym zrobił to samo, i wspólnie wciągnęliśmy jęczącego z bólu Capersa do łodzi.

— Przez całe życie miałem wszystko, co chciałem - wymamotałem, osuwając się bezwładnie na siedzenie. - Wszystko. Wspomniałem rodziców, najlepsze stopnie. To ja ustalam wynik meczu w dziewiątej rundzie, to ja strzelam zwycięskiego gola. Najładniejsze dziewczyny w szkole wysyłają do mnie listy. Od trzeciej klasy podstawówki co rok wybierają mnie na gospodarza klasy. A teraz to. Przegrałem. Zostałem pokonany. Udupiony. Niczego w swoim życiu nie pragnąłem tak bardzo jak złapać tego marlina.

— Może on po prostu nie wiedział, kim jesteś - zażartował Jordan. - Gdyby miał pojęcie o twoich stopniach i ładnych dziewczynach, wskoczyłby sam do tej łodzi.

— To była największa ryba, jaką widziałem na oczy - stwierdziłem. - Ile waszym zdaniem mogła ważyć? Założę się, że co najmniej tysiąc funtów.

— Wykluczone - odparł Mikę. - Moim zdaniem najwyżej sto.

— Nie więcej jak pięćdziesiąt - wyraził swą opinię Jordan. - Tu, na Gofsztromie, ryby wydają się większe, niż są w rzeczywistości.

— Sukinsyny - szepnął Capers, zamykając oczy. - Jeśli czegoś mi w życiu brakuje, to lepszych przyjaciół.

Przez następne pół godziny płynęliśmy wzdłuż Gofsztromu. Spalaliśmy dużo paliwa, a szansę na złapanie jakiejś kolejnej dużej sztuki wydawały się niewielkie. W końcu postanowiliśmy zawrócić w stronę wybrzeża i zarzucić wędki w pobliżu któregoś ze skupisk sargasu. Tam, gdzie były wodorosty, musiało pienie się życie. Kiedy zbliżyliśmy się do miejsca, obok którego wznosił się pionowy kanion sargasu, Jordan rzucił kotwicę i jej ramiona utkwily w gęstej podwodnej dżungli. Mikę, Jordan i ja zmieniliśmy sprzęt i założyliśmy przynęty, a Capers wczuł się pod dziób, gdzie nie mogło dosięgnąć go słońce, i natychmiast zasnął. Wciąż był bardzo rozgoryczony i doszliśmy do wniosku,

528

że zamiast namawiać go do łowienia drobnicy, lepiej będzie pozwolić mu odespać wspomnienie klęski.

Rozebraliśmy się do kąpielówek, natarliśmy sobie wzajemnie ramiona i plecy mieszaniną oliwki dla dzieci i merkuriochromu i lśniący od potu i oliwy zarzuciliśmy krojoną przynętę na dużą głębokość. Przed przerwą na lunch złapaliśmy piętnaście strzępieli, z których największy mógł mieć koło dwudziestu funtów.

Na lunch otworzyliśmy torby z chipsami, orzeszkami M & M i ciastkami Hostess oraz puszki z wiedeńskimi parówkami, coca-colą i korzennym piwem. Rozmawialiśmy półgłosem, nie chcąc zbudzić śpiącego, nieruchomego jak głaz Caper-sa. Nasz lunch składał się z najgorszych produktów wytwarzanych w Ameryce i smakował jak królewska uczta. Jordan stwierdził, że wracając powinniśmy pociągnąć za sobą błyszcz, którym, jak słyszał, mogą się zainteresować królewskie makrele żerujące niedaleko charlestońskiego falochronu. Gwarzyliśmy leniwie o rybach, sportach i dziewczynach, później jednak nie potrafiliśmy sobie przypomnieć ani jednego szczegółu rozmowy. Nie śpiesząc się, zebraliśmy wszystkie śmieci i wrzuciliśmy je do jednej torby. Capers spał zbyt głębokim snem, by go budzić.

— Zostanemy tu jeszcze jakąś godzinę, a potem płynemy do brzegu. Powinniśmy wrócić do domu przed zachodem słońca - powiedział Mikę. Ostrzyłem właśnie haczyk, a Jordan

szkował się do zarzucenia wędki.

— Mamy mnóstwo czasu - stwierdziłem, przymocowując haczyk do błyszczu.

— Jesteśmy na mieliźnie - oznajmił nagle Jordan, przyglądając się swojej lince.

— Nie ma takiej możliwości, Jose - odparł Mikę. - Jesteśmy na środku Atlantyku. Mielizny zaczną się dopiero w cieśninie.

Zarzucałem wędkę obok Jordana i natychmiast zorientowałem się, że coś jest nie w porządku. Mój błyszcz osiadł na piaszczystym dnie.

— Widzę moją przynętę - stwierdziłem.

— Ja też. Leży na dnie - oświadczył Jordan.

— Głębokość wynosi co najmniej sześćdziesiąt stóp - poinformował nas Mikę, sprawdzając odczyt sondy.

— Więc jakim cudem obaj widzimy swoje przynęty? - zapytał Jordan.

529

— Mamy pod kilem trzy stopy wody, Mikę - powiedziałem.

— Sonda wciąż pokazuje sześćdziesiąt.

— Może sobie pokazywać, ile chce. Sam zobacz - zawołał Jordan.

Mikę podszedł do nas, potrząsając głową i naciągając zawadiacko na czoło daszek baseballowej czapki. Poprawił na nosie przeciwsłoneczne okulary, a potem zdjął je, żeby lepiej widzieć.

- Tak, widzę wasze przynęty. Są na samym dnie...

A potem obaj usłyszeliśmy, jak głos więźnia mu w gardle, i poczuliśmy jego strach, który rozchodził się w powietrzu niczym śmiertelna toksyna.

— Jezu Chryste. Zwińcie powoli wasze linki, chłopcy. Tak wolno, żeby nic nie poczuł. Nie ruszajcie się. Nie oddychajcie. Nie róbcie nic, tylko zabierzcie powoli swoje haczyki z tego wielkiego sukinsyna.

— Co to jest? - szepnął Jordan.

— Nie wiem, co to za cholera, ale mogłaby połknąć tamtego marlina. Mój Boże, ona w ogóle się nie kończy. Nigdy nie widziałem czegoś tak dużego w całym moim życiu. Nigdy.

Poruszając prawie niedostrzegalnie przegubami, zwinęliśmy linki. Od powierzchni morza odbijały się promienie słońca i woda była ciemna i nieprzejrzysta. Cokolwiek zobaczył Mikę, my tego nie widzieliśmy. Odłożyliśmy wędki i wpatrywaliśmy się w toń. Ponownie mieliśmy wrażenie, że dryfujemy nad łachą piasku, złożoną z najciemniejszych elementów morza i ziemi. Czarne dno było dziwne i obce, wciąż jednak nie miałem pojęcia, co tak bardzo przerażyło Mike'a. A potem Jordan spostrzegł to również i cicho westchnął.

— Boże w niebiosach - szepnął. - Nie poruszaj ani jednym mięśniem, Jack. Widzę to, Mikę. Jest ogromne.

— Ja dalej nic nie widzę - stwierdziłem sfrustrowany. Pa trzymałem dokładnie w to samo miejsce co Jordan -jak dziecko, które wpatruje się w układankę przedstawiającą kryjące się w lesnej gęstwinie zwierzęta - i w końcu moje oczy dostrzegły się do obrazu. Nagle uświadomiłem sobie, że mielizna jest żywa. Patrzyłem na największe morskie stworzenie, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się w życiu oglądać. Nie płynęło, lecz unosiło się w wodzie w ten sam sposób, w jaki unoszą się nad laguną rybołowy i zimorodki, zanim zanurkują w dół po cefala. Po

lewej stronie zobaczyłem falujące delikatnie skrzydło, które musiało ważyć co najmniej tonę, po prawej przecinającą tafle

530

wody czarną płetwę grzbietową, która po chwili zanurzyła się z powrotem, zostawiając na powierzchni tylko małe zmarszczki.

- Widziałem kiedyś jedno z tych stworzeń - szepnąłem. - To płaszczka. Manta. Największa na świecie. Jest nieszkodliwa, po prostu siedzicie bez ruchu. Wyobraźcie sobie, że siedzicie na wykładzie Delii Seignious.

Kiedy miałem osiem lat, ojciec i dziadek zabrali mnie na ryby niedaleko wraku Brunswick Moon, który zatonął przy Isle of Orion podczas huraganu w roku 1893. Traktowali to jako rodzaj inicjacji, wprowadzenia w zwyczaje i zajęcia dorosłych. Silas pokazał mi, jak zlokalizować wrak, ustawiając łódź dokładnie naprzeciwko sześciu palm, rosnących na wybrzeżu po prawej stronie rosochatego dębu. Tym, co zapamiętałem z owego dnia, były jednak nie ryby, które złowiliśmy, lecz historie, które opowiadali obaj mężczyźni, i przekonanie, iż dorosłość stanowi rodzaj klubu i przywileju. Wracając wówczas do domu spotkaliśmy stado młodych płaszczek, które figlowały w kanale prowadzącym do małego waterfordzkiego portu.

Nigdy nie dowiedziałem się, czy płaszczki wykonywały taniec godowy, czy też wyprawiały harce dla czystej przyjemności, zauważyłem jednak, że ojciec i dziadek byli tak samo jak ja poruszeni widokiem tych olbrzymów. Płaszczki dokazywały z takim entuzjazmem, że wokół nich unosiły się iście sztormowe fale. Miałem wrażenie, że patrzę na budzące się nagle do życia pola, ruchome ciemne piaski. Ich kształty miały w sobie coś masywnego i demonicznego zarazem. Z daleka można je było wziąć za miotające się pośród strzępów mięsa i krwi drapieżne rekiny. Zapamiętałem jednak, jakie były wesołe, gotowe do czułości i żartów. Wyskakiwały z wody i bawiły się w berka niczym wypuszczone z przedszkola niesforne dzieci. Ocean kipiał od ich aktywności, a my przez całą godzinę płynęliśmy za nimi patrząc, jak wykonują swój wspaniały i tajemniczy taniec u wybrzeży Karoliny Południowej. Chociaż były olbrzymie, żadna z nich nie umywała się jednak do gigantycznej bestii, która unosiła się niczym czarna ptasia chimera trzy stopy pod naszą łodzią. Mogła spać; mogła też obserwować nas z czystej ciekawości. Jej paszcza była dość duża, żeby połknąć osiemnastostopowe-go renkena. Motorówka, która zawsze sprawiała na mnie wrażenie solidnej, wydawała się teraz krucha niczym tratwa z balsy.

- Spróbuję złowić to maleństwo - powiedziałem, odzyskując rezon. - Słyszałem, że lubią krewetki.

531

Sięgnąłem po wędkę, ale Jordan chwycił mnie mocno za rękę i przytrzymał w miejscu.

— Żartowałem - wyjaśniłem cicho. - Masz mnie za idiotę?

— Z czegoś tak dużego nie wolno nawet żartować - stwierdził.

W tej samej chwili usłyszeliśmy krzyk Mike'a i odwróciliśmy się w samą porę, by zobaczyć, jak Capers Middleton, stryjeczny prawnuk Williama Elliotta, wznosi swój lśniący w promieniach słońca harpun i ciska go z całej siły w grzbiet wielkiej płaszczki. Ani ja, ani Jordan nie zdążyliśmy nawet otworzyć ust - zobaczyliśmy po prostu, jak ostrze harpuna przecina powietrze. Potem rzuciło nas do przodu. Płaszczka wynurzyła się z wody i przeleciała nad łodzią. Uderzyłem głową o reling i spoglądając w górę, zobaczyłem białe podbrzusze, które szybowało nad nami niczym jakiś świeżo wygnany z raju biblijny anioł śmierci. Nasze krzyki zagłuszył straszliwy zgrzyt metalu; zobaczyłem, jak lina od harpuna zaplątuje się w silnik i odrywa go, jakby był zrobiony z wosku. O mało nie przewróciliśmy się do góry dnem, kiedy lina przeleciała przez całą długość łodzi, ścinając przednią szybę; gdyby któryś z nas stał wyprostowany, zdeka-pitowałaby go w ciągu sekundy. Zanim się zorientowaliśmy, płaszczka pociągnęła za sobą łódź, pędząc z szybkością, która wydawała nam się niewyobrazalna.

Przez kilka minut Jordan i ja leżeliśmy ogłuszeni i zdezorientowani na dnie łodzi. Miałem przecięty lewy łuk brwiowy i krew zalewała mi twarz. Jordan, jęcząc z bólu, próbował wyciągnąć haczyk, który utkwiał mu w policzku. Mike i Capers leżeli nieruchomo; spod głowy Capersa sączyła się krew. Słońce wciąż stało wysoko na horyzoncie i oceniałem, że zbliża się trzecia po południu. Nie mogłem uwierzyć, że mkniemy tak szybko po morzu bez silnika. Zanim wstałem, próbowałem przypomnieć sobie, jak wielka była manta, która przeleciała nad nami ugodzona harpunem. Jej cień przesłonił słońce jak podczas zaćmienia; jej kształt wydawał się niezmierny. Chwiejąc się na nogach podszedłem do Mike'a i zorientowałem się, że jest poważnie ranny. Z brzydkiej rany na przedramieniu wystawał kawałek złamanej kości.

- Rany boskie, Mike - zapłakałem.

Po chwili usłyszałem zduszony krzyk i zobaczyłem, że Jordan pokazuje na swoje usta. Podszedłem bliżej i obmacując haczyk, odkryłem, że wbił się w zakrwawioną miękką tkankę przy

532

dolnych zębach trzonowych. Wyciągnąwszy go, wyjąłem z pudełka z przyborami wędkarskimi zestaw pierwszej pomocy i przetrąłem zakrwawiony policzek spirytusem. Jordan ponownie wrzasnął z bólu.

— Jesteśmy załatwieni na cacy - powiedziałem.

— Pomóż mi wyrzucić Capersa za burtę - mruknął Jordan, trzymając się za policzek. - Wpadliśmy w to szambo przez tego kretyna.

— Nie wiedział, co robi - stwierdziłem, próbując oczyścić twarz Jordanowi i odwracając oczy od złamanego przedramienia Mike'a.

— Ta płaszczka mogła nas wszystkich zabić.

— Daj jej jeszcze trochę czasu.

— Dlaczego rzucił w nią harpunem?

— Bo urwał mu się marlin - wyjaśniłem.

— Nie - odparł Jordan, potrząsając głową. - Zrobił to, bo uznał, że postępuje zgodnie z honorowym kodeksem swoich przodków. Te rodzinne tradycje zupełnie pomieszały mu w głowie. Wolałby może zabić jakiegoś Jankesa pod Antietam, ale ugodzenie harpunem płaszczki też nie jest do pogardzenia. Mogliśmy przez niego wszyscy zginąć.

— Będą nas szukać - starałem się podnieść go na duchu. -

W Waterfordzie mają świetny oddział ratownictwa morskiego.

— Nie mają najmniejszego pojęcia, gdzie jesteśmy - stwierdził Jordan. - Wszyscy myślą, że łowimy kraby w jednym z kanałów, przerzucając stare numery "Playboya". W życiu nie przyjdzie im do głowy, że wlecze nas w głąb morza dwutonowa manta.

Założyliśmy kamizelki ratunkowe Mike'owi i Capersowi; obaj nie odzyskali przytomności. A potem wdrapaliśmy się na dziób i przyjrzelśmy napiętej jak struna linie, która zniknęła w morzu jakieś trzydzieści jardów przed nami. Harpun musiał wbić się głęboko w umięśnione czarne skrzydło i uświadomiłem sobie, że płaszczka po prostu ucieka jak każde zwierzę zranione przez myśliwych i cierpiące niewyobrażalny ból. Próbowła umknąć przed naszą łodzią. Tyle tylko wiedzieliśmy, kiedy wiatr rozwiewał nam włosy, a słońce przypiekało twarze i rany, które paliły żywym ogniem za każdym razem, gdy dziób przecinał fale coraz bardziej rozkołysanego morza.

Nieraz powtarzaliśmy sobie później, co powinniśmy zrobić w ciągu tych pierwszych kilku minut, wówczas jednak obaj,

533

Jordan i ja, byliśmy wciąż w szoku, oszołomieni niespodziewanym i gwałtownym finałem naszej rybackiej wyprawy. Wariacka jazda za wielką rybą nie sprawiała nam żadnej frajdy; sterczeliśmy po prostu w łodzi, w stanie zbliżonym do Żen, przytłoczeni groźną potęgą tego, co niewidoczne i niewysłone. Jeden moment skrajnej głupoty naraził nas na olbrzymie niebezpieczeństwo i obserwowaliśmy teraz - mimowolni świadkowie własnej egzekucji - jak nasz los rozstrzyga się w spienionej topieli. Każdym fibrem skóry czuliśmy przerażenie i strach olbrzymiej płaszczki, która pruć przez ocean z tkwiącym w jej ciele grotem. Spodziewaliśmy się rychłej śmierci i choć siedzieliśmy tuż obok siebie, miałem wrażenie, że jestem zupełnie sam. Nie potrafiliśmy dodać sobie w żaden sposób otuchy.

Manta wlokła nas przez jakieś dwadzieścia mil po coraz bardziej spienionym morzu. Po jakimś czasie zerwał się wiatr od wschodu i zwierzę zwolniło, niewątpliwie w wyniku zmęczenia i utraty krwi. Zaczęłam się zastanawiać, czy ginąc nie pociągnie nas za sobą w głębinę.

— Czy nie powinniśmy rozwiązać liny? - zapytałam, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

— Będziemy musieli odciąć ją tuż przy dziobie - odparł Jordan, wciąż trzymając się za skaleczony policzek.

Lina zwisała nagle luźno w wodzie i przez chwilę myślałem, że manta zdołała się uwolnić, ale ona już po paru sekundach wynurzyła się w całej swej monstualnej glorii, podobna do zapomnianego Behemota z zatopionego kontynentu albo drapieżnego prehistorycznego ptaka, i trzepocząc głośno skrzydłami wzbijała się w powietrze. Jej skok zupełnie nas zaskoczył i o mało nie wpadliśmy do wody, kiedy zanurzyła się z powrotem z potwornym hukiem, który musiał być słyszany w promieniu kilku mil. Przestraszeni ześlizgnęliśmy się z dziobu i usiedliśmy na fotelach, trzymając się z całej siły poręczy. Płaszczka wykonała całą serię skoków, wynurzając się raz po raz z wody niczym jakieś nowe wcielenie śmierci i mroku.

A potem zmieniła nagle kurs i zaczęła zbliżać się do łodzi. Obok nas jęknął Mike, budząc się z omdlenia, ale my byliśmy zbyt zaabsorbowani widokiem zwisającej luźno liny i przerażeni tym, co zaraz nastąpi, żeby zwracać na niego uwagę. Mike jęczał z bólu, a płaszczka wynurzyła się z wody i dała susa w naszą stronę, zasłaniając ponownie słońce i odbierając nam wszelką nadzieję, że zdołamy wyjść cało z opresji. Mo-

534

torówka wydawała się filigranowa w cieniu olbrzymiej bestii i gdyby płaszczka wylądowała na pokładzie, rozgniotłaby nas wszystkich niczym larwy węgorza. Zamiast tego jednak skręciła nagle w powietrzu, wywinęła kozła i uwolniła się od harpuna, zrywając jednocześnie linę. Jej lewe skrzydło otarło się lekko o prawą burzę i łódź przechyliła się gwałtownie, nabierając wody.

Jordan i ja zaczęliśmy ją gorączkowo wygarniać rękoma i znalezionymi na dnie papierowymi filizankami. Wybieranie wody wydawało się trwać całą wieczność i dopiero potem mogliśmy się zająć Mike'em, od którego jęków przechodziły nam ciarki po plecach.

Jordan nastawił mu, najlepiej jak mógł, złamaną rękę, bandażując ją ciasno kawałkami podartego T-shirta i wodoszczelną taśmą z jednego z zestawów do wędkowania. Następnie ukląkł przy Capersie, wymyśl głęboką ranę na jego potylicy i stwierdził, że nasz przyjaciel musiał doznać silnego wstrząsu mózgu. Zaproponował nawet, że zszyje paskudną ranę na moim łuku brwiowym, ale nie skorzystałem z oferty.

Dryfowaliśmy przez całą noc, półprzytomni ze zmęczenia, pogrążeni w pozbawionym wizji śnie, głębokim jak samo morze.

Nie spałem już, kiedy Capers ocknął się z letargu i na wschodzie ukazał się pierwszy rąbek światła. Wciąż lekko zamroczony, przyjrzał się śpiącym obok kolegom, dotknął kilka razy palcami swojej rany i ocenił stan motorówki.

— Co, do jasnej cholery, zrobiliście z łodzią mojego ojca? - odezwał się podniesionym głosem.

— Śpij dalej, Capers - poradziłem mu.

— Co zrobiliście z silnikiem? O mój Boże, kiedy ojciec zo

baczy, coście zrobili, wypruje z was wszystkich flaki.

— Nic nie pamiętasz? - zapytałem.

— Czego nie pamiętam?

— Płaszczki.

— Masz na myśli marlina? Złapałem marlina, który zerwał się z linki. Potem zdrzemnąłem się i w tym czasie zdewastowaliś cie łódź mojego taty.

— Daj mi siłę, Ahabie - westchnął Jordan, siadając i spoglądając na otaczający nas ocean.

— Będziecie musieli pomóc mi pokryć straty - kontynuował Capers coraz ostrzejszym tonem. - Sam silnik kosztował ponad dwa tysiące doliczając.

535

Jordan pochylił się nad Mike'em i sprawdził jego przedramię. Mike też się obudził, ale złamana ręka bolała go tak silnie, że nie był w stanie mówić ani się poruszać. Oczy płonęły mu nienaturalnym blaskiem; Jordan przyłożył mu rękę do czoła i wyczuł gorączkę.

— Żądam, żebyście powiedzieli mi, co się stało - domagał się Capers. - Jestem kapitanem tej łodzi i nie pozwolę wam płynąć dalej, jeśli ktoś nie powie mi natychmiast, co się wydarzyło. Jak w ogóle chcecie gdziekolwiek dopłynąć bez motoru?

— Jack i ja podjęliśmy uchwałę, kiedy spałeś - oznajmił Jordan. - Uznaliśmy, że ciekawiej będzie, jeśli wrócimy do Waterfordu bez silnika.

Roześmiałem się, po czym wyjaśniłem Capersowi i Mike'owi, co się stało, kiedy Capers ugodził harpunem płaszczkę. Mike zapamiętał widok Capersa stojącego z harpunem w ręku, on sam jednak niczego sobie nie przypominał i ze skrajnym zdumieniem wysłuchał mojej opowieści.

— Nie powinniście byli mi na to pozwolić - mruknął w końcu, dotykając obolałego miejsca z tyłu głowy. - Któryś z was powinien mnie powstrzymać.

— W porządku, to była nasza wina - syknął Mike. - Dobrze to sobie wykombinowałeś, Capers.

— Pomóście mi wymyślić coś, co mógłbym powiedzieć ta cie - poprosił Capers. - Już wiem. To był wieloryb. Dostaliśmy się między stado humbaków i jeden z nich urwał ogonem silnik. Później dopracuję szczegóły.

— Masz na to mnóstwo czasu - stwierdziłem, patrząc w stronę, gdzie powinien być ład.

Mike chciał się podnieść, ale ból rzucił go niemal na kolana. Jordan usiadł obok niego i próbował mu pomóc, podkładając pod jego rękę poduszki, siedzeń i kamizelki ratunkowe.

— Potem powinieneś zanurzyć się w wodzie - powiedział. - Musimy zadbać o to, żeby rana była czysta.

— Nie ma mowy. Nie zanurzę się w wodzie, w której pływają takie wielkie paskudztwa.

— Żałuję, że jej nie widziałem - mruknął Capers.

— Napatrzyłeś się dosyć, żeby nas w to wkopać - rzucił Jordan.

— Jesteśmy rozbitkami - oświadczył Capers.

- Dzięki za informację - odparł z przekąsem Jordan.

Mike głośno się roześmiał.

536

— Nie, dziecino. Jesteśmy po prostu udupieni - stwierdził. - Tak udupieni, jak tylko mogą być udupieni czterej frajerzy na środku morza.

— Wyciągnę was z tego - pocieszył nas Capers. - Coś wymyślę.

Stał na szeroko rozstawionych nogach i wziął się pod boki, przybierając pozę głęboko zatroskanego przywódcy. Przez całe pięć minut wpatrywał się w otaczający nas bezmiar wód, aż Mikę stracił w końcu cierpliwość.

— No i co? - zapytał.

— Wiecie, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że wszyscy umrzemy? - stwierdził Capers stłumionym ponurym głosem.

— Prawdziwy z niego filozof - zachnął się Mikę. - Wziął pod uwagę wszystkie ewentualności.

— Dzięki, że rzuciłeś trochę więcej światła na interesujący nas temat - powiedziałem.

— Nie umrzemy - oznajmił nagle z mocą Jordan.

— Co nas uratuje? - zapytał Mikę.

— Mój ojciec - odparł Jordan. - Mój cholerny ojciec.

— Przecież go tu nie ma - prychnął Capers.

— Kiedy byłem mały, stary zabierał mnie w soboty i niedziele na manewry. Matce mówił, że jedziemy na biwak. Zabierał mnie głęboko w las, koło Camp Lejeune albo Quantico, zmuszał do pokonania forsownym marszem piętnastu lub dwudziestu mil, a potem kazał udawać, że toczy się wojna. Żywiliśmy się tym, co można było znaleźć w lesie. Jedliśmy grzyby, raki i dzikie szparagi. Jadłem surowe żabie udka, płatki kwiatów i owady. Wiecie, że owad składa się prawie wyłącznie z protein?

— Mam nadzieję, że nigdy nie otworzysz restauracji, czło wieku - wtrącił Mikę.

— Nienawidziłem tych weekendów z ojcem i zawsze się ich bałem - kontynuował, ignorując go, Jordan. - Uwielbiał sprawdzać się w skrajnych warunkach, kiedy nic nie dzieliło go od natury. Kiedy któryś z wrogów Ameryki wylądował na tym wybrzeżu, mówił, ludzie tacy jak on ukryją się w lasach. Będą walczyć z wrogiem tylko w nocy, używając noży, kijów i brzytw. Kiedyś zabił małego jelonka i żywiliśmy się nim przez trzy noce. Zjedliśmy wszystko: wątrobę, nerki, serce.

— Zaraz się porzygam - szepnął Mikę.

— To nam wcale nie pomoże - stwierdził Capers.

— Owszem, pomoże. Róbcie po prostu wszystko to, co wam

537

powiem. Wiem bardzo dużo na temat głodu i pragnienia. Niedługo wy też dobrze je poznacie. Słuchając mnie, macie szansę na utrzymanie się przy życiu.

— W porządku, nie ma sprawy - zgodziłem się.

— Ale to ja jestem gospodarzem klasy - zaprotestował nagle Capers.

Wszyscy trzej przyglądaliśmy mu się przez chwilę w kompletnym osłupieniu.

— Chodzi o to, że przyzwyczailem się do roli przywódcy - pośpieszył z wyjaśnieniem Capers. - Powiedzcie Jordanowi, że zawsze byłem gospodarzem klasy. Powiedz mu, Mikę.

— Nie mówimy teraz o tym, kogo wyznaczyć do ścierania

tablicy - oznajmił Mikę.

— Ojciec Jordana nauczył go sztuki przeżycia - wyjaśniłem. - Teraz on nauczy nas tego samego, żebyśmy mogli wyjść cało z tego syfu.

— Ale nie mamy przecież nic do jedzenia ani do picia - upierał się Capers.

— Nasz najgorszy wróg jest tutaj - oświadczył Jordan, wskazując ręką słońce. - Jeśli przyjdzie nam spędzić więcej czasu w tej łodzi, zabiją nas jego promienie.

— Mamy przynajmniej okazję porządnie się opalić - rzucił lekkim tonem Capers. - To lepsze niż darmowa wycieczka na Florydę.

— Nie pora teraz na żarty, synu - upomniał go Mikę. - Mike'owi nie jest wcale do śmiechu, kiedy Mikę ma umrzeć.

— Wyciągnij nas z tego, Jordan - powiedziałem. - Jeśli chcesz być szefem, bądź szefem.

— Co mamy robić, Jordan? - zapytał Mikę.

— Ty i Capers wejdźcie pod dziób, żeby schować się przed słońcem. Zdejmijcie z siebie ubranie. Ja i Jack okryjemy się czym się da. Zostało nam trochę wody w lodówce. Będziemy ją racjonować, ale tylko w nocy. Jack i ja będziemy przez cały dzień łowić ryby. Nie kręćcie się niepotrzebnie po łodzi. Oszczędzajcie energię.

— Dzisiaj nas znajdą - stwierdził Capers.

— Całkiem możliwe. Ale będziemy się zachowywać tak, jakby mieli nas nigdy nie znaleźć.

— Chcesz nas po prostu nastraszyć - mruknął Capers.

— I doskonale mu się to udaje - dodałem.

— Zgadza się, to właśnie chcę zrobić.

538

— Dlaczego, Jordan? - zapytał Mikę. - Dlaczego chcesz nas nastraszyć?

— Dlatego, że nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Nikt nie wie, gdzie ma zacząć nas szukać. Nie mamy radia, rakiet ani żadnego awaryjnego sprzętu. Wody wystarczy nam na dwa, góra trzy dni. Jeśli w tym czasie nie spadnie deszcz, za pięć dni, najwyżej za tydzień umrzemy z pragnienia.

— Miłe perspektywy - zauważyłem.

— Stuknę w kalendarz, bo Capers Middleton okazał się kretynem - mruknął Mikę, potrząsając głową.

— Nie macie żadnego dowodu, że rzuciłem ten harpun - odparł Capers, kiedy wszyscy trzej utkwiliśmy w nim oskarżycielski wzrok. - Z tego, co wiem, mogliście wszystko zmyślić, kiedy leżałem nieprzytomny.

— Zaufaj nam - powiedziałem. - To nie flądra ani syrena zaciągnęła nas tak daleko i urwała silnik.

— Mój tato zabije mnie, kiedy zobaczy, co zrobiliśmy z jego łodzią - żalił się Capers.

— Zrobiliśmy? - zachnął się Mikę. - Osobiście nie rozumiem, dlaczego ciągle używasz liczby mnogiej. Nie pytałeś nikogo o zdanie, rzucając ten harpun. Dałeś się ponieść ambicji.

Zrobiłeś to zdecydowanie na własny rachunek.

— Wyłynęliśmy przecież na ryby. Chciałem po prostu złowić rybę. Nikt nie może mnie o to winić.

— Tyle że ta ryba była wielka jak dom - oznajmiłem. - Powinieneś to zobaczyć.

Uległość, z jaką podporządkowaliśmy się Jordanowi, była totalna i całkowita. Spełnialiśmy bez słowa sprzeciwu każde jego polecenie. Jak na kogoś, kto przywykł do samotności, Jordan świetnie znosił przymusowe towarzystwo i całkiem łatwo poradził sobie z rolą przywódcy. Mijały bezwietrzne jałowe dni; drugiego wieczoru Jordan stwierdził, że każdy z nas musi wykąpać się w oceanie i dobrze umyć siebie i swoje ubranie.

- Ty pierwszy, Jack. Potem Capers i ja zanurzymy w morzu

Mike'a. Musisz pozwolić, żeby słona woda wypłukała twoją ranę, Mikę. Wszyscy musimy namoczyć nasze rany i skaleczenia. Trzymaj się blisko łodzi, Jack. Zawsze w zasięgu ręki.

Przelazłem przez burtę i zanurzyłem się w oceanie, który był chłodny, głęboki i przerażający. Rana na łuku brwiowym piekła mnie od soli, ale przygryzłem wargę i czekałem, aż Capers

539

i Jordan spuszcza Mike'a w dół, starając się nie urazić jego ręki. Przejąłem go od nich i zanurzyłem delikatnie w wodzie. Żadnemu z nas nie podobał się jego wygląd; pod brązową opalenizną skóra Mike'a wydawała się popielata i woskowa. Nie skarżył się jednak, gdy woda obmyła mu rękę, i pozwolił Jordanowi masować ją i manipulować przy unieruchomionym przedramieniu. Za każdym razem, kiedy Jordan dotykał miejsca złamania, z ust Mike'a wyrwał się cichy jęk, poddawał się jednak cierpliwie wszystkim zabiegom, nasz nowy kapitan budził bowiem respekt, nawet gdy młóćąc rękoma wodę, unosił się nagi w Atlantyku.

— Nie pijcie słonej wody bez względu na to, jak bardzo jesteście spragnieni - powiedział. - Sól odwadnia. Pozbycie się jej z organizmu wymaga trzy razy więcej uryny niż normalnie.

— Gadasz, jakbyś był moim doktorem - rzucił z łodzi Capers.

Wieczorem rozmawialiśmy, łowiliśmy ryby i suszyliśmy ubrania w chłodnym czystym powietrzu. Każdy wykonywał przydzielone mu obowiązki. Używając błyszczki i kawałków jednej jedynej ryby, która pozostała w łodzi po spotkaniu z płaszczką, zarzucaliśmy żyłki, zdając sobie sprawę, że od tego, czy coś złowimy, mogą zależeć nasze dalsze losy. Jordan sprawdził poziom wody w łódźce i stwierdził, że nie starczy nam jej dłużej niż na jeden dzień. Na niebie od kilku dni nie pokazała się ani jedna chmurka.

Kiedy słońce stało wysoko, Jordan nakazał Mike'owi i Caper-sowi schować się w forpiku, który był ciasny i niewygodny, ale dawał osłonę przed gorącymi promieniami. On sam i ja naciągaliśmy na siebie plandekę. Środek dnia był na łodzi porą kompletnej hibernacji i bezruchu; dostosowaliśmy swój biologiczny rytm do całkowicie nowego trybu życia, który był dokładnym przeciwieństwem tego, co robiliśmy na co dzień. Nauczyliśmy się reagować natychmiast na wszelki odgłos samolotów albo motorówek, które mogły nas szukać. Spostrzegliśmy raz nadlatujący z północy samolot i zerwawszy się na nogi krzyczeliśmy i wymachiwaliśmy rękoma aż do chwili, kiedy zniknął za horyzontem. Szansa ratunku wzbudziła w nas nagłą nadzieję, a jej utrata wtrąciła w jeszcze głębszą rozpacz, potęgowaną przez głód i pragnienie. Nasze rozmowy o wodzie stały się obsesyjne, a potem maniackie i w końcu Jordan

540

zabronił w ogóle poruszać ten temat. Ręka Mike'a, chociaż prymitywnie nastawiona, jakimś cudem zaczęła się goić i w miejscu, gdzie złamana kość przebiła skórę, nie było widać śladu infekcji. Dryfując z prądem przekonaliśmy się, iż pragnienie zaostrza kształt koszmarów, a głód stanowi

najlepszą przystawkę do halucynacji. Upał i palące promienie słońca zaludniały nasze sny płonącymi kosmatymi zjawami. O zmierzchu budziliśmy się złani potem i zanurzaliśmy z ulgą w morzu, pływając nago obok unoszącej się na falach łodzi. Kusiło nas, by łyknąć trochę słonej wody, którą płukaliśmy bez przerwy usta i wypluwaliśmy z powrotem do oceanu.

Po powrocie do łodzi Jordan kazał nam zarzucać wszystkie haczyki, nie bacząc na to, że przynęta była już lekko podgniła. Nasza cierpliwość została nagrodzona piątej nocy, kiedy Capers złapał niewielką seriolę i wciągnął ją z krzykiem na pokład. Jordan natychmiast zabił rybę, pociął ją na kawałki i uparł się, żeby na wszystkie haczyki założyć świeżą przynętę.

— Pięć dni na morzu i jedna zaszra mała seriola - narzekał zde gustowany Mike, kiedy wyciągnąłem z wody jego żyłki i założyłem na haczyki kawałki świeżej ryby.

— W ogóle nie rozumiem, po co wędkujemy - dodał Capers. - Jeśli nawet złowimy rybę, nie będziemy jej przecież mogli zjeść.

— Owszem, będziemy mogli - zapewnił go Jordan. -

I zjemy ją.

— Surowa ryba nie nadaje się do jedzenia - powiedziałem.

— Zjemy wszystkie surowe ryby, jakie złapiemy, i polubimy ich smak - odparł Jordan, zarzucając z powrotem żyłkę na większą głębokość.

— Na samą myśl o tym chce mi się rzygać - stwierdził Capers. - Nie zrobię tego, Jordan, choćbyś nie wiem jak mnie przekonywał.

— Zrobisz to, kiedy będziesz bardzo głodny. I bardzo spragniony - zapewnił go ponownie Jordan.

— Nigdy nie potrafiłem zjeść surowej ostrygi - przyznał Mike.

— A teraz zjadłbyś? - zapytał Jordan.

— Tak - odparł po chwili zastanowienia Mike. - Teraz mógłbym zjeść ich ze sto.

541

- Kiedy mój ojciec stacjonował w Japonii, rodzice uwielbiali surową rybę. To największy japoński przysmak; traktują tam rybę z głębokim respektem, a mężczyzna, który ją uprawia, uważany jest za artystę - powiedział Jordan.

Capers nie chciał jednak brać w tym udziału.

— Potrafisz wiele rzeczy, Jordan, ale nie uda ci się zrobić żółtka z Middletona.

— Na pewno mi się uda, ponieważ żując surową rybę, za spokojisz pragnienie. To właśnie zawarta w rybach woda uratuje nam życie.

— Wysysać wodę z rybich nerek... - mruknąłem. - Marzyłem o tym przez całe życie.

— Lepiej się na to przygotuj. Nie piliśmy wody od trzech dni. Zaczynamy już umierać.

— Czy nie mógłbyś ująć tego trochę oględniej? - poprosił Mike.

— Zaczynamy już słabnąć - poprawił się Jordan.

— Tak jest o wiele lepiej - stwierdziłem. - Uważaj, jakiego używasz słownictwa.

— Będę starał się powściągnąć język - obiecał Jordan -

ale wy przygotujcie się lepiej na ucztę z surowej ryby.

Zarzuciliśmy świeżą przynętę i nagle, pogrążony w rozmyślaniach, usłyszałem głośny krzyk Jordana. Coś dużego złapało się na jego haczyk. Przez dziesięć minut zmagął się z rybą i w końcu w łodzi wylądował ważący dwadzieścia funtów strzępiel. Jordan odwrócił się do nas plecami i starannie go oprawił, a potem, gdy zapadł zmrok, wręczył lśniące kawałki ryby trzem niechętnym biesiadnikom. Mięso było przezroczyste i nawet w świetle gwiazd zachowało odcień kości słoniowej.

Jordan żuł je, delektując się każdą kroplą wyciśniętego płynu, Capers i Mikę zwymiotowali jednak dwa razy, a ja raz, zanim zdołaliśmy przełknąć choć jeden kawałek. Wstręt był czysto psychologicznej natury, lecz okazał się niełatwy do przezwyciężenia. Przed świtem każdy z nas skonsumował ponad funt surowej ryby. Jordan był cierpliwy i ani przez chwilę nie tracił głowy. Wyplute przez nas pierwsze kawałki strzępiela zachował na przynętę.

Tej nocy złapaliśmy czternaście innych ryb i nastrój na łodzi wyraźnie się poprawił. Zасыпалиśmy przed falą upału przekonani, iż możemy ufać kapitanowi, który najwyraźniej wiedział, co robi.

542

Nazajutrz rano minął nas przepływający w odległości około dwóch tysięcy stóp frachtowiec, żaden z nas jednak nic nie słyszał ani nie widział aż do chwili, kiedy Jordana obudziła wysoka fala kilwateru. Zerwaliśmy się na nogi i zaczęliśmy wrzeszczeć jak opętani, zdzierając sobie gardła i patrząc, jak statek znika za horyzontem. Wciąż dryfowaliśmy na południe, zdani na łaskę prądów i wiatrów. Bez przerwy mówiliśmy

O ekspedycji ratunkowej, o rozmowach, jakie odbędziemy z rodzicami, o złych uczynkach, jakie naprawimy w domu, i o sekretach, które zawsze trzymaliśmy blisko serca. O burtę uderzały jedna za drugą niezliczone fale i czas wydawał się tracić wszelkie znaczenie. Uświadamialiśmy sobie, że upływa, obserwując nasze coraz bardziej wycieńczone i spalone słońcem twarze i wypatrując ratunku na oceanie, który odpowiadał niewzruszoną wyniosłą obojętnością.

Codziennie sto razy dawaliśmy za wygraną, żeby po jakimś czasie odkryć w sobie nowe zasoby odwagi, których istnienia żaden z nas nie podejrzewał. Opowiadaliśmy sobie dowcipy

1 wpadaliśmy w czarną rozpacz, a potem kończyliśmy każdy dzień tak samo, jak go rozpoczęliśmy, i udawało nam się jakoś zachować dyscyplinę. Któregoś popołudnia Capers wymyślił dokładnie Mike'a, a Jordan kazał mu okrążyć kilka razy łódź, żeby go rozruszać. Gdy wciągałem Mike'a z powrotem, ten zaczął nagle krzyczeć. Myślałem, iż uraziłem go niechcący w rękę, powodem było jednak coś innego, coś, co zobaczył na morzu, które przez cały dzień było gładkie jak stół. Po chwili spostrzegłem to i ja, a potem Jordan, który unosił się na falach. Do odwróconego plecami Capersa zbliżała się szybko potężna płetwa grzbietowa. Była oddalona o jakieś pięćdziesiąt jardów i wystawała z wody o wiele wyżej niż głowy naszych przyjaciół.

- Wieloryb - szepnął Mikę, a ja modliłem się w duchu, żeby to była prawda.

Jordan dotknął ramienia Capersa, który odwrócił się, chcąc zobaczyć, co takiego pokazuje mu Mikę.

Ciemna, rozświetlona słonecznym światłem woda była wystarczająco przejrzysta, żebyśmy rozpoznali w niej zarys rekina młota. Pamiętam po dziś dzień straszliwe lewe oko mijającej nas wielkiej ryby. Mikę zobaczył, jak otwierają się jej szczęki. Capers i Jordan rzucili się przerażeni w stronę łodzi, krzycząc i młócąc rękoma wodę.

543

- Pierdolony rekin - zawołał Mike, po czym nie zważając na złamaną rękę pochylił się i pomógł Capersowi wdrapać się do łodzi. Ale Jordan nagle się zatrzymał - tak jakby nie potrafił zrobić żadnego ruchu, podjąć żadnej decyzji. Po chwili zaczął powoli odpływać od łodzi, nie zwracając najmniejszej uwagi na nasze krzyki.

Mike pierwszy spostrzegł wynurzającą się ponownie płetwę; sunęła w stronę Jordana z niesamowitą prędkością. Rekin pędził pod wodą niczym przecinająca nocne niebo błyskawica i tym razem to Mike spojrzał w dół i zobaczył straszliwe oko, mijające bezbronne nagie ciało Jordana.

Jordan podpłynął w końcu wystarczająco blisko, żebym mógł go złapać za przegub. Capers chwycił jego drugą rękę i razem wyciągnęliśmy go z oceanu i objąć niechybnej śmierci. Płetwa na chwilę zniknęła, potem jednak pojawiła się ponownie i drapieźnik zaatakował nas z całą furją. Przejęci grozą i skuleni w zapewniającej jakie takie bezpieczeństwo łodzi widzieliśmy wyraźnie przyglądające się nam uważnie wielkie prawe oko. Tej nocy wszyscy płakaliśmy, nawet Jordan, i świadomość, że on też się boi, dobrze nam zrobiła.

Przez całą noc prawie nie zmieniliśmy pozycji. Słyszeliśmy, jak rekin krąży wokół łodzi i sfrustrowany wali łbem w kadłub. Szkliste morze i blask okrągłego jak spodek księżycy nadawały jego płetwie miedziany odcień. Czasami znikał na godzinę albo dwie, a potem niespodziewanie wracał, jakby chciał sprawdzić, czy nie popełniliśmy przypadkiem błędu i nie zanurkowaliśmy ponownie w oceanie.

— Już nigdy w życiu nie wejdę do wody, chyba że będzie to basen albo wanna, przy której stanie z pizamą w rękę moja mamusia - obiecywał Mike.

— Co myślałeś, płynąc w stronę tej płetwy? - zapytałem Jordana.

— Zdrętwiałem cały ze strachu - odparł i przeszedł go mimowolny dreszcz. - To było jak paraliż, jak polio. Myślę, że moje ciało szykowało się po prostu na śmierć. Nie wiem, czy coś bym poczuł, gdyby rekin odgryzł mi nogę.

— Na pewno coś byś poczuł - zapewnił go Capers. -

Ciarki mnie przechodzą, kiedy przypomnę sobie, jakie zęby miała ta bestia. Zamykam oczy i od razu widzę jej pysk, który zbliża się, żeby cię capnąć.

— Rzeczywiście miała nieliczne uzębienie - zgodziłem się.

544

- Chcę, żebyście dobrze przyjrzelisi się waszemu staremu kumplowi, Mike'owi Hessowi - oznajmił Mike. - Przyjrzyjcie się uważnie, ponieważ nigdy już nie zobaczycie go z wędką w ręku. Nigdy nie zobaczycie, żeby zjadał jakąś rybę i nigdy nie zobaczycie go w łodzi.

Roześmieliśmy się głośno i w tej samej chwili drapieźnik kolejny raz przepłynął koło motorówki, uderzając ogonem w burzę, jakby chciał przekazać jakąś złą wiadomość ludziom na pokładzie.

Wstrzymaliśmy oddech i nasłuchiwaliliśmy, czy nie pojawi się ponownie. W naszej wyobraźni w oświetlonej księżycową poświatą wodzie krążyły tysiące rekinów młotów. Rekin był wszechwiedzący, wszechobecny, nienasycony. Polował na nas i tylko na nas, używając całego sprytu, jakim odznaczał się jego paskudny gatunek. Sunąc przez ślubne welony aretuz i atramentowe chmury ośmiornic, wdychał zapach naszej krwi.

Przez trzy dni rekin młot pilnował naszej łodzi. Znikał czasami nawet na pół dnia, ale zawsze pojawiał się z powrotem, dokładnie wtedy, gdy ludziliśmy się, że już go nie zobaczymy. A potem nagle zniknął na dobre i jednocześnie zaczęło się zanosić na sztorm. Widząc zbierające się czarne burzowe chmury, krzyczeliśmy z radości. Dręczące nas pragnienie było wówczas tak straszne, iż ponownie wprowadziliśmy zakaz rozmowy o wodzie. Języki szerniały nam i spuchły, tak

jakbyśmy wystawili je na słońce i zakonserwowali w soli, i tęsknie wpatrywaliśmy się w każdą sunącą nad głowami chmurę, modląc się o burzę.

Zaraz potem, jak rekin odpłynął na północ, na wschodzie pojawiła się pierwsza błyskawica. Normalnie balibyśmy się błyskawic w otwartej łodzi, teraz jednak wiwatowaliśmy głośno, bo zapowiadały deszcz. Rozwinęliśmy schowaną pod siedzeniem plandekę i zdjęliśmy pokrywkę z naszej żałośnie pustej turystycznej łódki. Żaden z nas nie odrywał wzroku od gęstniejących powoli chmur. Patrzyliśmy, jak cumulusy rosną, wznosząc się spiralnie w górę, zupełnie jakby rzeźbiły je niewidzialne dłonie, i czekaliśmy ze spierzchniętymi ustami, modląc się o obfitość wody, która miała nas ocalić.

Zaczął wiać wiatr, a potem podniosły się fale i poczuliśmy, jak porywa nas prąd. Burza, która przed minutą była jeszcze daleko, teraz huczała nad naszymi głowami; niebo przecinały zygzaki błyskawic, a chwilę później lunął rzęsy deszcz,

545

chłoszcząc nasze spalone słońcem twarze. Wielkie krople zmoczyły nasze wargi, a my zlizywaliśmy je, płacząc ze szczęścia.

Jordan krzyknął, żebyśmy zachowali dyscyplinę i podnieśli w górę brzegi plandeki. Kiedy deszcz wypełnił jej środek galonami wody, zrobiliśmy coś w rodzaju lejka i wyleliśmy ją do łódki.

Jordan kazał nam ponownie rozpostrzeć plandekę, ale my nabieraliśmy już wodę w tekturowe filizanki i wlewaliśmy ją do gardeł. W końcu on też nie potrafił się opanować i przyłączył się do nas. Elixir słodkiej wody przywrócił nam mowę i gasząc pragnienie chwaliliśmy wielkim głosem burzę. Opróżniwszy całą łódkę, ponownie rozłożyliśmy plandekę i wypełniliśmy ją do pełna.

Sztorm przybierał tymczasem na sile; coraz silniejszy wiatr budził w nas nowe obawy. Chociaż modliliśmy się o deszcz i burzę, nie mówiliśmy nic o wietrze, nawet o nim nie pomyśleliśmy.

Nie widać było gwiazd ani księżycy; kiedy fale zaczęły walić o burty łodzi, zabezpieczyliśmy łódkę z wodą i zajęliśmy wyznaczone pozycje. Fale przez cały czas rosły, wznosząc się nad nami, a potem gwałtownie opadały, tak jakby ktoś wrzucał do morza całe góry. Chociaż łódź była przystosowana do morskiej żeglugi, nie mogliśmy sterować prosto na fale; musieliśmy niczym pelikan ślizgać się między dwiema olbrzymimi dolinami. Jedna z łamiących się fal o mało nie wyrzuciła mnie za burtę, ciskając zachłystującego się wodą spod rufy aż do forpiku.

Następna fala zerwała łódkę z wodą i zmiotła ją z pokładu razem z zestawem wędkarskim, którego odpowiednio nie przymocowaliśmy. Jordan kazał nam zaciągnąć mocniej tasiemki kamizelek ratunkowych, a potem dał kawałki liny, żebyśmy mogli przywiązać się do łodzi. Nagle usłyszeliśmy krzyk porywanego przez wodę Mike'a; Jordan złapał go w ostatniej chwili za spodenki i wciągnął z powrotem do łodzi. Wywijając koziołka, Mike złamał sobie ponownie rękę o koło sterowe.

Błyskawice w miarę przesuwania się sztormu rozjaśniały teraz niebo na zachodzie. Natura z nawiązką odpowiedziała na nasze modlitwy: krucha jak liść łódź unosiła się w kompletnym mroku pośród trzydziestostopowych fal i z nadejściem nocy baliśmy się nawet modlić o deszcz.

Gdy obudziliśmy się rano, łódź była więcej niż do połowy wypełniona wodą. Jordan i ja wylewaliśmy ją przez cały poranek gołymi rękoma - prawie wszystko, co mieliśmy na pokładzie,

546

zostało zmiecione za burtę. Mike jęczał półprzytomny i baliśmy się dotykać jego złamanej w nowym miejscu ręki. Wiedzieliśmy, że wkrótce wda się infekcja, nie mogliśmy jednak na to nic poradzić. Capers po raz kolejny zranił się w głowę; spod naderwanego kawałka skóry wyzierała biała czaszka. Jordan i ja mieliśmy połamane żebra i ból sprawiał nam każdy oddech.

Wybieraliśmy wodę przez kilka godzin, aż w końcu zmogło nas zmęczenie i zapadliśmy w głęboki sen, targani bólem i rozpaczą. Minęła kolejna noc, a potem kolejny dzień i kolejna noc. A potem znowu przyszedł dzień i słońce zaczęło przypiekać nie na żarty, my zaś nie mieliśmy dość sił, by się przed nim ukryć. Gdzieś w połowie następnego dnia zaczęliśmy umierać. Spuchły nam stopy, a na rękach i twarzy pojawiły się pęcherze.

Straciliśmy kompletnie poczucie czasu, przestrzeni i tego, gdzie możemy się znajdować. Myśl o śmierci nie wydawała mi się wcale niemiła. Jordan majaczył w gorączce i którejś nocy wyciągnął do mnie rękę.

— Hej, Tonto * - powiedział. - Wygląda na to, że prze-
graliśmy.

— Daliśmy z siebie wszystko, kemo sabe ** - odparłem.

— Szczerze mówiąc, żałuję, że wybrałem się z wami na ry-
by - mruknął Jordan.

Parsknąłem śmiechem, ale bolało mnie nawet, gdy się śmiałem.

— Słyszysz mnie, Jack?

— Tak.

— Czy tylko my żyjemy?

— Tylko my dwaj jesteśmy przytomni - odparłem. - Za-
zdroszczę Mike'owi i Capersowi.

— Jesteśmy obaj katolikami - szepnął Jordan.

— Tak, mamy prawdziwe szczęście.

— Zmówmy różaniec - zaproponował Jordan. - Złożmy
nasze życie w ofierze Najświętszej Pani.

— Złożyłbym w ofierze życie nawet Zeusowi, gdyby to po-
mogło.

— Jeśli się uda, Jack, będziemy jej zawdzięczać życie.

* Indianin, bohater popularnego w latach sześćdziesiątych serialu The Lone Ranger.

** W języku Siuksów: „mój przyjacielu”.

547

— Jestem jedynym człowiekiem na tej łodzi, który nie osza-
lał - szepnąłem cicho.

— Obiecuj, że jeśli wyjdziemy z tego cało, złożysz życie
w ofierze Najświętszej Pani i jej synowi, Jezusowi - po-
prosił Jordan.

— Odbiło ci? - zapytałem.

Pamiętam, jak Jordan zaczął odmawiać Skład Apostolski, potem znowu pałący blask słońca, potem
gwiazdy, potem nic, potem znowu gwiazdy, potem nic, potem nic...

A potem mgłę i jakiś ruch.

Ocknąłem się, nie mając pojęcia, czy jestem żywy, czy martwy.

- Wstawaj, Jack - usłyszałem głos Jordana. - Potrzebuję
cię. Rusz tyłek.

Wstałem, zataczając się na nogach. Z tyłu motorówki zobaczyłem Jordana, który dziobał wodę
złamanym wiosłem, krzywiąc się za każdym razem, kiedy łódź przesunęła się choćby kilka stóp do
przodu.

- Słyszysz coś?

Przestąpiłem ciała naszych dwóch przyjaciół. Wciąż oddychali, ale obaj wyglądali jak martwi.
Mgła wydawała się innym rodzajem ślepoty. Miałem wrażenie, jakby ktoś zanurzył mnie w rzece
mleka. Rozjaśniało ją fałszywe poranne światło i widziałem przed sobą tylko swoją rękę.

- Wczołgaj się na dziób - powiedział Jordan. - Słyszysz
to? Powiedz, czy też to słyszysz?

Zamknąłem oczy zdumiony tym, że jeszcze żyję i że ktoś prosi mnie, żebym natężył słuch. Przez
moment zastanawiałem się, czy nie jesteśmy już wszyscy martwi, a mgła nie jest naturalnym
zjawiskiem w miejscu, gdzie oddaje się ostatni oddech.

— Słyszę to - powiedziałem nagle. - Słyszę. To przybój.

Odgłos łamiących się przy brzegu fal.

— Nie to - odparł Jordan. - Słyszę coś w wodzie. Coś

żywego.

I wtedy usłyszałem ten inny dźwięk, niesamowity dźwięk, który nie miał nic wspólnego z tym, gdzie się znajdowaliśmy, ani z oceanem. Brzmiał niczym tłoki maszyny albo kowalskie miechy - jakby coś sapało ze zmęczenia gdzieś niedaleko we mgle. Sapanie zbliżało się i przyszło mi do głowy, że w wodzie obok nas kona jakiś człowiek. Ale potem uprzytomniłem sobie, że to nie jest ludzki głos; pomyślałem, że to stado płynących wzdłuż wybrzeża wielorybów i leżąc na dziobie z wyciągniętymi

548

rękoma poczułem się zupełnie bezbronny. Żebra paliły mnie żywym ogniem i bałem się tego stworzenia w wodzie, ale jeszcze bardziej bałem się zawieść Jordana. Nagle zdałem sobie sprawę, że łoskot łamiących się fal jest głosem ratunku i ocalenia.

A potem zobaczyłem, jak w moją stronę płynie jeleń, tak samo jak ja zdeorientowany i zagubiony w obcym żywiole. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem czegoś, co połączyło mnie mocno i bez reszty z moją własną historią, z dzieciństwem spędzonym wśród pól i bagien obu Karolin. Wirgiński jeleń, większy i silniejszy od wszystkich, jakie do tej pory widziałem, przepływał cieśninę między wyspami, szukając dla siebie nowego siedliska. Widziałem już kiedyś jelenia, który to robił, i nie namyślając się długo, zacisnąłem palce na jego lewym rogu. Zwierzę szarpnęło swoją wielką muskularną szyją, próbując się oswobodzić, ale ja trzymałem je z całej siły i czułem, jak łódź zaczyna się poruszać w rytmie, jaki nadawał jej płynący jeleń. Znajdowaliśmy się pośrodku głębokiej cieśniny i zaczynał się przyptyw. Jeleń zmienił kierunek i ciągnąc nas za sobą płynął teraz jak najkrótszą drogą do brzegu, żeby nie utonąć.

Jordan wiosłował z całych sił, starając mu się pomóc, a ja płakałem z bólu, zaciskając palce na rogu. Jeleń sapał ciężko ze zmęczenia i złości, ale łódź sunęła coraz szybciej. Jordan wciąż klepał różaniec, który nie miał początku ani końca, i wreszcie kadłub łodzi zaczął szorować po dnie, a chwilę potem jeleń ściągnął mnie z dziobu na czarną bagienną ziemię.

Wylądowaliśmy na Cumberland Island w Georgii, po piętnastu spędzonych na morzu dniach.

Jordan Elliott powłókł się przez moczary i zatrzymał jadącego dżipem leśniczego, który zaalarmował straż nadbrzeżną; ta zaś przewiozła nas helikopterem do Savannah. Lekarze oświadczyli, że zarówno Capers, jak i Mikę umarliby w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin i że to cud, iż w ogóle przeżyliśmy całą przygodę.

Drugiej nocy w szpitalu Jordan podszedł do mojego łóżka, ciągnąc za sobą podwieszoną kropłówkę.

— Powiedzieć ci zagadkę, Jack?

— Nie jestem w nastroju do zabawy - odparłem.

— Jej rozwiązanie ma olbrzymie implikacje. Kosmiczne.

— To ma być żart?

— Nie, to najpoważniejsza rzecz pod słońcem.

— Mów. Nie mogę cię powstrzymać.

549

— Gdzie spotkaliśmy Boga, Jack? W jakiej objawił się po stacji?

— Nie wiem, o czym mówisz - mruknąłem. - Zostaw mnie w spokoju.

— Czy to był błękitny marlin? Czy płaszczka? Czy też objawił nam się w postaci strzępiela, którego potem złowiliśmy? Czy może w postaci rekina? Sztormu? Albo jelenia?

— Czy wolno mi uchylić się od odpowiedzi? - odparłem podenerwowany.

— Bóg był w nich wszystkich - wyjaśnił Jordan. - Objawił nam się w różnych postaciach. Umiłował nas i troszczył

się o nas.

— Kiepsko się starał - stwierdziłem.

— Wspaniale się starał - sprzeciwił się Jordan. - Wszyscy żyjemy.

— Skąd o tym wszystkim wiesz? O tym, że Bóg objawiał nam się w postaci tych zwierząt?

— Zapytałem Marię, jego matkę - odpowiedział Jordan. - Trzeba zawsze zasięgać informacji z pierwszej ręki.

—
CZEŚĆ V

ROZDZIAŁ 32

Nie z własnej woli lub wyboru roczniki kończące w 1966 roku szkoły średnie w całej Ameryce rzucone zostały niczym kości na pokryte zielonym suknom stoliki historii. Nie było żadnych drogowskazów, katechizmów i kodeksów drogowych, które pomogłyby nam przebyć cierniste labirynty lat sześćdziesiątych. Wystrzelono nas na oślep w niebezpieczną szaloną dekadę, a my mogliśmy tylko wzorem łuskowców lub pancerników zakryć oczy, uszy i genitalia i starać się nie wystawiać miękkich podbrzuszy na ostrze miecza.

Rocznik 1966 wkraczał w życie w zdeformowanej i pogrążonej w majakach Ameryce. Cały kraj oddawał się zbiorowej introspekcji; funkcjonujące dotychczas pewniki okazały się epizodyczne i martwe i dumny naród niemal z dnia na dzień ujrzał, jak jego niewzruszona pewność siebie rozpada się w proch. Kiedy wkroczyliśmy na scenę, nasz kraj podróżował incognito nawet po własnym obszarze. Należeliśmy do pierwszej w tym stuleciu amerykańskiej generacji, która wypowiedziała wojnę samej sobie. Wojna wietnamska stała się jedyną w historii zagraniczną wojną, którą stoczono na amerykańskiej ziemi. Każdemu wolno było opowiedzieć się po którejś ze stron, jednak ci, którzy stali z boku, byli ośmieszani i bojkotowani. Lat sześćdziesiątych nikomu nie udało się przetrwać bez szwanku; pozostawiły po sobie wojennych jeńców i ofiary wojny, a także weteranów, którzy budzili się z krzykiem w ciemności.

Choć uważam to dziesięciolecie za jedno z najgłupszych i najbardziej niepoważnych w historii, przyciśnięty do muru gotów jestem przyznać, iż niektóre jego momenty były wspaniałe, nawet 553

ROZDZIAŁ 32

Nie z własnej woli lub wyboru roczniki kończące w 1966 roku szkoły średnie w całej Ameryce rzucone zostały niczym kości na pokryte zielonym suknom stoliki historii. Nie było żadnych drogowskazów, katechizmów i kodeksów drogowych, które pomogłyby nam przebyć cierniste labirynty lat sześćdziesiątych. Wystrzelono nas na oślep w niebezpieczną szaloną dekadę, a my mogliśmy tylko wzorem łuskowców lub pancerników zakryć oczy, uszy i genitalia i starać się nie wystawiać miękkich podbrzuszy na ostrze miecza.

Rocznik 1966 wkraczał w życie w zdeformowanej i pogrążonej w majakach Ameryce. Cały kraj oddawał się zbiorowej introspekcji; funkcjonujące dotychczas pewniki okazały się epizodyczne i martwe i dumny naród niemal z dnia na dzień ujrzał, jak jego niewzruszona pewność siebie rozpada się w proch. Kiedy wkroczyliśmy na scenę, nasz kraj podróżował incognito nawet po własnym obszarze. Należeliśmy do pierwszej w tym stuleciu amerykańskiej generacji, która wypowiedziała wojnę samej sobie. Wojna wietnamska stała się jedyną w historii zagraniczną wojną, którą stoczono na amerykańskiej ziemi. Każdemu wolno było opowiedzieć się po którejś ze stron, jednak ci, którzy stali z boku, byli ośmieszani i bojkotowani. Lat sześćdziesiątych nikomu nie udało się przetrwać bez szwanku; pozostawiły po sobie wojennych jeńców i ofiary wojny, a także weteranów, którzy budzili się z krzykiem w ciemności.

Choć uważam to dziesięciolecie za jedno z najgłupszych i najbardziej niepoważnych w historii,

przyciśnięty do muru gotów jestem przyznać, iż niektóre jego momenty były wspaniałe, nawet
553

cudowne. Życie miało wtedy dla mnie intensywny, transcendentalny smak, którego nie udało mi się odnaleźć w następnych dekadach. Z drugiej strony nie sądzę, by udało mi się w ogóle rozpoznać chłopaka, jakim wtedy byłem. Nie jestem nawet pewien, czy student college'u, Jack McCall, zwolniłby kroku, by uścisnąć dłoń mężczyźnie, którym miał zostać, gdy rozwiały się tumany mgły. Pokochałem z całego serca Uniwersytet Karoliny Południowej. Ucieczka z domu wydała mi się wyzwoleniem, za które warto było zapłacić każdą cenę. Ojciec nie mógł mnie już dłużej upokarzać, ponieważ zszedłem mu po prostu z oczu: nie mieszkałem pod tym samym dachem. Wykładowcy zmuszali mnie codziennie, bym poświęcał uwagę pisarzom, o których nigdy przedtem nie słyszałem. Odkryłem z radością, że ci obdarzeni znakomitą piórem autorzy opanowali sekrety angielszczyzny na długo przed moim narodzeniem. Czytając staroangielskie utwory Chaucera, uświadomiłem sobie ku własnemu zdumieniu, jakim był dowcipnym pisarzem. Nie przyszło mi wcześniej nigdy do głowy, że ludzie śmieli się i żartowali w średniowiecznej Anglii - uważałem w swej naiwności, że śmiech jest współczesnym wynalazkiem i nie znali go łucznicy i służebne w dawnych czasach. Połykając kolejne książki, prawie codziennie doznawałem radości, jaką daje odkrywanie czegoś nowego.

Moje pierwsze dwa lata studiów były spokojne, radosne i pracowite. Same rozmiary uniwersytetu i anonimowość tego krnąbrnego samorządowego miasta-państwa, funkcjonującego naprzeciwko stanowego kapitolu, sprawiły, iż świat wydał mi się miejscem obfitującym w możliwości i nie zrealizowane szansę, które ktoś odważny mógł do woli wykorzystać. Nowe idee pobudzały mnie i fascynowały - miałem wrażenie, że księżyc stale stoi w pełni i stale trwa wysoki przyptyw.

W czasie gdy na innych amerykańskich uczelniach odbywała się burzliwa debata na temat wojny wietnamskiej, my, studenci Uniwersytetu Karoliny Południowej, piliśmy na umór. Wypijaliśmy całe galony upiornej mikstury o nazwie "purpurowy Jezus", przyrządzanej z nie sfermentowanego soku z winogron i taniej wódki. Tkwiące w roztopionym lodzie srebrzyste baryłki z piwem stały na honorowym miejscu podczas każdego studenckiego konwentyku. W stanie upojenia alkoholowego pozostawała znaczna część studenckiej braci, a wystudiowana, chłodna ironia stanowiła najbardziej pożądaną postawę wśród stro-

554

szących piórka młodzieńców, starających się zdobyć względy nader w tym względzie wybrednych koleżanek.

Kiedy pojawiliśmy się na uczelni, każdy aspekt studenckiego życia regulowały oznaczone greckimi literami korporacje. Pierwszy rok był jedynym okresem w moim życiu, kiedy liznałem trochę greckiego, próbując rozeznaczyć się w niesłychanej mnogości bractw, których nazwy wprowadzały konsternację studentów pierwszego roku. Capers wyznał mi już w pierwszym miesiącu, iż właściwy wybór bractwa jest najważniejszą decyzją, jaką musi w życiu podjąć mężczyzna, ważniejszą nawet od tego, której młodej damie się oświadczy. Dodał, iż pięciu byłych członków KA i sześciu byłych członków SAE napisało mu już w lecie entuzjastyczne listy polecające. Od Ledare dowiedziałem się, iż listy polecające dostała od trzech koleżanek matki, jej przyszłość przesądził jednak przede wszystkim fakt, iż sama pani Ansley należała do karolińskiej korporacji Tri Delt. W konsekwencji, wyznała mi Ledare, przyjęto ją prawie automatycznie, bez żadnych starań z jej strony.

Brałem udział w większości imprez urządzanych przez bractwa i miałem okazję przyjrzeć się z bliska środowisku, o którym wiele słyszałem, ale którego nigdy do końca nie zrozumiałem, tak bardzo było wyrefinowane. Ledare zerwała ze mną zaraz po ukończeniu szkoły średniej, zbliżał się bowiem czas jej towarzyskiego debiutu, a ja nie przypadłem zbytnio do gustu komitetom, które wypowiadały się na temat towarzyskich walorów i pochodzenia młodych panienek i ich narzeczonych. Ponieważ mój ojciec był sędzią i członkiem palestry, babka zaś pochodziła w prostej linii z charlestońskich Sinklerów, zawsze wydawało mi się, że w moich żyłach płynie wystarczająco szlachetna krew. Nigdy jednak nie zdawałem sobie sprawy, jak wielki mezalians popełnił Johnson

Hagood, żeniąc się z moją prostą niewykształconą matką. Lucy nie potrafiła mi oczywiście pomóc w przebyciu tych niebezpiecznych mielizn. Nie rozumiałem obowiązujących w bractwach zasad i form; powinno się wpajać młodym ludziom na długo przedtem, zanim nadejdzie moment podjęcia ostatecznej decyzji. Wszystko to, co w szkole średniej wydawało się moim atutem, teraz przeszkadzało w przyjęciu mnie do najlepszych korporacji. Zawsze szybko się uczyłem, reagując niczym słupek rtęci na panującą w danym miejscu temperaturę, dlatego też natychmiast wyczułem swą obcość, obserwując taksujących mnie wzrokiem, serdecznych aż do bólu braci.

555

Na początku sierpnia otrzymałem kolejną zaskakującą lekcję savoir-vivre'u, którego sekrety moi przyjaciele wydawali się znać od podszewki. Capers poprosił mnie, abym wybrał się wraz z nim i jego despotyczną matką do magazynu pana Berlina w Charlestonie i asystował przy kupnie garderoby, którą miał zamiar nosić na najważniejszym, pierwszym roku studiów.

— Pamiętaj - oświadczyła pani Eulalia Middleton - iż liczy się tak naprawdę tylko pierwsze wrażenie. To jedyne wrażenie... - tu zawiesiła głos, żeby dodać wagi swym słowom - które pozostaje w pamięci.

— Święta prawda. Święta prawda - przytaknął pan Berlin, pomagając Capersowi włożyć niebieski blezer.

— Opakowanie jest tym, co zmienia zwykły podarek w prawdziwy skarb - kontynuowała pani Middleton, kiedy ubrany w garnitur w czarne prążki Capers przeglądał się w lustrze.

— Powinna pani napisać książkę - powiedział pan Berlin, robiąc znaki kredą na mankietach i podwiniętych nogawkach. - Chociaż to wszystko wydaje nam się oczywiste, przecież razibyśmy panią rzeczy, które słyszę czasem w tym sklepie.

— To po prostu kwestia zdrowego rozsądku, a także - stwierdziła, ściągając brwi i łapiąc mój wzrok w lustrze - dobrego smaku, z którym ktoś albo się rodzi, albo nie.

Kiedy Capers nabył tego popołudnia smoking, po raz pierwszy dotarło do mnie, że można po prostu kupić smoking, a nie wynająć go na jeden lub dwa wieczory. Widząc rachunek, przekraczający trzy tysiące dolarów, gwizdnąłem z wrażenia i dopiero po dłuższej chwili, w trakcie której Capers, pani Middleton i pan Berlin zadali sobie wiele trudu, by udać, że nic nie słyszeli, uświadomiłem sobie, jaką popełniłem niewybaczalną gafę. Licząc szybko w pamięci, zastanawiałem się, czy moi starzy zdołali wydać na mnie trzy tysiące w całym życiu, łącznie z wyżywieniem. Niemniej troska, z jaką Capers wybierał wraz z matką studencką garderobę, wywarła na mnie olbrzymie wrażenie.

- Do czego ci to potrzebne? - zapytałem, gdy przymierzał przepięknie skrojony deszczowiec marki London Fog. Na widok jego ceny opadła mi szczęka.

Pani Middleton posłała mi zdumione spojrzenie.

— Myślisz, że na północy stanu nie padają deszcze? - zapytała.

— Jasne, że padają. Ale zawsze można się gdzieś schować. Pobiec do bramy.

—

556

— Prawdziwy dżentelmen nigdzie się nie chowa - wyjaśniła pani Middleton. - I jest przygotowany na wszelkie kaprysy pogody. Będziesz potrzebował czarnego parasola, aby móc

podczas deszczu odprowadzić młode panienki do akademika, Capers. A ty, Jack, jak byś się zachował w towarzystwie młodej damy, gdyby zaczął padać deszcz?

— Złapałbym ją pewnie za rękę i powiedział, żeby pobiegła razem ze mną.

— Tak myślałam - stwierdziła z przekąsem pani Middleton i zobaczyłam kątem oka, jak pan Berlin powstrzymuje uśmiech.

Mimo że w trakcie decydującego pierwszego semestru starałem się przystosować do reguł rządzących studenckim życiem, zbyt wiele było w nich niuansów, bym zdołał je przyswoić w tak krótkim czasie. Byłem za bardzo nieśmiały i toporny, by móc dopasować się do obowiązującej w bractwach skomplikowanej hierarchii. Obserwując entuzjastyczne przyjęcie, z jakim spotykał się w nich mój kolega, zdałem sobie sprawę, że coś o wiele bardziej mistycznego aniżeli brak deszczowca marki London Fog wpływa na letnie i obojętne powitanie, jakiego doznawałem ze strony ewentualnych braci, snując się za Capersem z bankietu na bankiet. Wszyscy byli wobec mnie uprzedząco grzeczni, widziałem jednak, że moja osoba nie wzbudza większego zainteresowania w żadnym z miejsc, w których starałem się odnaleźć cień akceptacji. Chociaż nikt nie powiedział mi tego wprost, uświadomiłem sobie, iż nie mam czego szukać w najwyżej notowanych korporacjach - czekało mnie co najwyżej łaskawe przyjęcie w tych, które zaliczały się drugiej dziesiątki. Zabieg przeprowadzono bez zbędnych słów i bez znieczulenia. Na długo przedtem, nim korporacje dokonały ostatecznego wyboru, wiedziałem dobrze, że odpadłem w przedbiegach, i oznajmiłem swoim przyjaciółom ze szkoły średniej, iż postanowiłem zostać Niezależnym.

Wiele lat później uprzytomniłem sobie, że być może nie działałbym tak aktywnie w ruchu antywojennym, gdyby w SAE potrafili ścierpieć moje tanie ciuchy prosto z katalogu i irytującą niemrawość na bankietach. Przyłgnęła do mnie małomiasteczkowa aura; prowincjonalny zaduch szedł za mną krok w krok, gdy wałęsałem się z miejsca na miejsce, starając się odnaleźć własną niszę. Wyobrażałem sobie początkowo, że większość czasu będę spędzał w gronie starych znajomków z Waterfordu, poznając wspólnie z nimi blaski i cienie studenckiego życia

557

i dodając co jakiś czas nowe olśniewające nazwisko do listy swych przyjaciół. Zmartwiło mnie, a potem niemile dotknęło, gdy Capers i Ledare ograniczyli ze mną kontakty zaraz po rozpoczęciu studiów. Podczas gdy bractwa ubiegały się o względy Capersa, korporacje żeńskie biły się na śmierć i życie o to, która z nich przyjmie w swe szeregi Ledare.

Mikę od samego początku związał się z żydowską korporacją ZBT. Był przewidujący i rozsądny i dobrze wiedział, dokąd zmierza. Już w pierwszej klasie liceum postanowił, że będzie pracować w przemyśle filmowym - teraz krok po kroku urzeczywistniał swoje marzenie. Chociaż studiował administrację biznesu, od razu zaczął uczęszczać na wszystkie wykłady, które miały coś wspólnego z filmem. Chodził również codziennie do kina i starannie notował swoją opinię na temat każdego obejrzanego filmu. Kiedy na widowni gasły światła, a na wielkim ekranie pojawiały się pierwsze napisy, Mikę doznawał pełni szczęścia. Uniwerek fascynował go swoim niezwykle aktywnym życiem towarzyskim, intensywnością pracy akademickiej i otwierającymi się przed kimś, tak ambitnym jak on, możliwościami poszerzania horyzontów. Wychowany w rodzinie, która darzyła go głęboką miłością, Mikę od dawna uważał, iż nikt nie zdoła się oprzeć jego urokowi. Zaraźliwy uśmiech Mike'a wypływał z wielkodusznej, choć również trochę zaborczej natury. Interesował się problemami każdego, kogo spotkał, i zawsze miał czas, żeby z nim pogadać. Potrafił w genialny sposób przyciągać do siebie nieśmiałe osoby i uczynił z nich entuzjastów i potakiwaczy w swoim rozgadany zbzikowanym świecie. Słynął na uczelni z tego, że nigdzie nie ruszał się bez ośmiomilimetrowej kamery. Jego dryg do filmowania powoli zmieniał się w rodzaj sztuki.

Tylko Shyla zupełnie się nie zmieniła w upajającej atmosferze studenckiego życia. W najmniejszym stopniu nie interesowały jej miłosne manewry i próżność koleżanek. Ponieważ była najładniejszą Żydówką na kampusie i z dnia na dzień robiła się coraz piękniejsza, zaraz po zamieszkaniu w Capstone House zaczęła umawiać się z najbardziej pociągającymi i atrakcyjnymi żydowskimi

studentami, wśród nich również z prezesem ZBT. Już po tygodniu weszła do redakcji uniwersyteckiej gazetki "Gamecock", niedługo później zaś wystąpiła w studenckiej inscenizacji "Tymona Ateńczyka". Nic nie wydawało się w niej wymuszone ani wtórne; za każdym razem, kiedy się spotykaliś-

558

my, mogłem cofnąć się w przeszłość i przypomnieć sobie, kim byłem, śledząc po prostu, jak na mnie reaguje. Chociaż zawróciła mi w głowie, gdy tańczyliśmy w skazanym na zagładę plażowym domku Middletonów, zdawała sobie sprawę, że nie jestem jeszcze gotów. Cierpliwa i delikatna, wiedziała, że nasza spędzona w koronie dębu przeszłość w końcu mnie do niej zawiedzie. Często spotykaliśmy się na lunchu w Russell House i zachowaliśmy dziecinny zwyczaj opowiadania sobie o wszystkim. W jednej kwestii zgadzaliśmy się bez zastrzeżeń: obojgu nam brakowało Jordana i żalowaliśmy, że zamiast studiować na uniwersytecie, poszedł w ślady ojca, wstępując do Wojskowej Akademii Citadel. Oboje baliśmy się, że odznaczający się niepokornym duchem Jordan nie znieśnie brutalnej próby ognia, jakiej poddawano sześciolet "kotów" studiujących na pierwszym roku Citadel.

Listy od Jordana zaczęły przychodzić wkrótce po zakończeniu trwających cały tydzień "otrzesin". Udając, że robi notatki do zajęć z historii Ameryki, wypisywał długie diatryby na temat upokorzeń, jakie on i inni kadeci muszą znosić ze strony dysponujących nieograniczoną władzą młodych sadystów. Napisałem list do matki, dziękując, że wysłała mnie do tej diabelskiej dziury. Przypomniałem, że ta właśnie szkoła ukształtowała wspaniałego faceta, którego poślubiła, i że niektórzy ze spotkanych tu osobników sprawiają, że zaczynam tęsknić za ojcem. Jest tutaj pewien sierżant, o nazwisku Bell, który traktuje ze szczególną niechęcią niżej podpisanego, uważa bowiem, iż wyraz malujący się na mojej twarzy świadczy o niewłaściwym nastawieniu. Bell ma iloraz inteligencji nogi stołowej i nie może wiedzieć, jak bardzo niewłaściwe jest moje nastawienie ani jak szybko ewoluuje w jeszcze bardziej niewłaściwym kierunku. Wylądowałem tutaj, ponieważ mój stary nie może się pogodzić z faktem, że żyję i rozpowiadam wszystkim, iż jestem jego synem. Cały ten pomysł jest do dupy. Mojemu współlokatorowi bardzo się tu podoba i marzy o tym, żeby zostać snajperem w Wietnamie. Zupełnie jakbym dzielił sypialnię z Heinrichem Himmlerem. Zapytaj Shylę i Ledare, czy obsypią mnie pocałunkami, kiedy się spotkamy. Aha, zapomniałem opowiedzieć ci o bogatym życiu intelektualnym, jakie kwitnie w tutejszej akademii. Wczoraj wieczorem pokazali kadetom film pornograficzny, na którym kobieta uprawiała seks z osłem. Wierz mi, obaj wolelibyśmy to robić z osłem. A mój współlokator, niech Bóg ma w opiece tego faszystę,

559

jest bardzo dumny z tego, że potrafi pierdzić na komendę. Wyjawił to swojemu sierżantowi i teraz pierdzi głośno i radośnie za każdym razem, kiedy każą mu się popisywać. Gdybym pozwolił sobie pomyśleć, jak bardzo mi was brakuje, nie przetrwałbym tu następnych piętnastu minut. Czy możesz mnie odwiedzić, kiedy wypuszczą mnie na pierwszą przepustkę? Twój szczerze oddany, w bólu i torturach, Jordan.

W dniu gdy Jordan wziął udział w pierwszej uroczystej paradzie, Shyla i ja przyjechaliśmy do Charlestonu, żeby zabrać go na kolację w Colony House. Zanim kadeci pierwszego roku otrzymali zgodę na opuszczenie koszar, starsi koledzy zarządzili zaimprovizowane ćwiczenia kondycyjne, w trakcie których Jordan musiał wykonać ponad sto pompek.

Kiedy pojawił się na wartowni z ogoloną głową, zauważyliśmy, że znacznie stracił na wadze.

— Dlaczego jesteś taki chudy? - zapytała Shyla.

— Mój sierżant jest zdania, że nie powinno się uśmiercać zwierząt i roślin tylko po to, żeby nakarmić rekruta - odparł Jordan. - Matka wbiła mu do głowy, że nie wolno marnować jedzenia, a żywienie kota jest z samej swojej definicji marnowaniem jedzenia.

— Czy w ogóle czegoś cię uczą w tej szkole? - zapyta

łem. - Jaki jest twój kierunek studiów?

— Czyszczenie butów na glans.

— Nie, serio - roześmiała się Shyla. - Co studiujesz?

— Granaty ręczne. Dodatkowo specjalizuję się w miotaczach ognia.

Przez cały wieczór dowcipkowaliśmy i dogadywaliśmy sobie, Jordan nie potrafił jednak ukryć głębokiego przygnębienia. Każda jego opowieść o życiu w koszarach przepojona była goryczą. Jeden z jego kolegów miał na twarzy tyle pryszczy, że w kantynie kazali mu siedzieć z papierową torbą na głowie. Rekrut z Way-cross z Georgii, który dorastał łowiąc aligatory na czarnych bagnach Okefenokee, załamał się nerwowo na zajęciach z fizyki.

Najbardziej bolały Jordana cierpienia innych; do własnych dawno zdążył się przyzwyczać.

Okrucieństwa, jakich doznawał ze strony starszych roczników, wydawały się niezbyt uciążliwe w porównaniu z o wiele bardziej metodyczną tyranią ojca. Bodaj jako jedyne z rekrutów śmieszyła go podłość kolegów. Nie potrafił się jednak pogodzić z myślą, że akademia stanowi instytucjonalny odpowiednik mrocznej natury jego ojca.

560

Zanim cokolwiek zamówiliśmy, Jordan spałaszował cały bochenek świeżego chleba, a także porcję masła, którą kelner przyniósł razem z kartami dań.

— Jestem taki głodny, że mógłbym schrupać krocze szmacianej lalki - oznajmił przeprasającym tonem, wrzucając cztery kostki cukru do swojej mrożonej herbaty.

— Jordan! - upomniała go Shyla.

— Przepraszam, Shyla. Usłyszałem to powiedzonko w kantynie. Zaden kadet nie potrafi skończyć zdania, nie używając co najmniej raz słowa "kurwa".

— Póki nie zobaczyłem tej dziury, mój uniwersytet wydawał mi się całkiem w porządku - przyznałem. - Teraz wpadam w ekstazę, kiedy o nim pomyślę.

— Jack nie bardzo potrafi się zaadaptować - wyjaśniła Shyla - ale całej reszcie naszej paczki zdaje się, że chwycili Pana Boga za nogi. Powinieneś rzucić ten syf i zacząć prawdziwe studia.

— Szukam gorączkowo jakiegoś honorowego wyjścia - oznajmił Jordan. - Jeśli zwyczajnie odejdę, ojciec nigdy nie da mi forsy na inne studia. Problem polega na tym, że z Citadel można odejść w honorowy sposób tylko po zrobieniu dyplomu.

— Wymyśl coś - powiedziała Shyla. - Jack potrzebuje przyjaciela. Kto by pomyślał, że nasz drańgał będzie osamotniony na uczelni, na której kręci się dziesięć tysięcy ludzi?

— Jack jest nieśmiały - stwierdził Jordan. - Trochę po trwa, zanim się zaaklimatyzuje.

— Kadecie Elliott - odezwał się nagle ktoś za naszymi plecami.

Odwracając się, zobaczyliśmy stojącego za Jordanem słuchacza starszego roku Citadel. Jordan natychmiast zerwał się z krzesła i wyprężył na baczność, wprowadzając w lekkie zakłopotanie kadeta.

— Nie tutaj, Elliott. Spokojnie. Jem akurat kolację z rodzicami i zauważyłem niestety, że siedząc rozpiąłeś kurtkę od munduru. To przywilej zarezerwowany wyłącznie dla dziadków.

— Nie zdawałem sobie z tego sprawy, panie sierżancie.

— Zgłoś się do mojego pokoju dziesięć minut przed zgaszeniem światła, dupku - szepnął kadet, po czym uśmiechnął się

do Shyli. Miał właśnie zamiar się przedstawić, kiedy złapałem go mocno za ucho i pociągnąłem w dół.

— Słuchaj, pryszczaty wypierdku - szepnąłem mu do

561

ucha. - Jestem pacjentem kliniki psychiatrycznej przy Buli Street. Zabiłem swoją matkę, wbijając jej w oko rzeźnicki nóż. Nie sędzę, że bym miał do ciebie jakąś urazę, ale jeśli mój kuzyn Jordan szepnie choć słówko... - w tym miejscu przerwałem, podnosząc nóż z obrusu.

— Puść go, Jack - powiedział Jordan. - Bardzo przepraszam, panie sierzancie. Mój kuzyn nie wychodzi zbyt często ze szpitala.

— Jestem jego pielęgniarką, kadecie - dodała Shyla. -

Mam nadzieję, że pana nie przestraszył. Będziemy musieli zwiększyć mu dawkę.

— Dziękuję, Elliott - mruknął wystraszony sierżant, kiedy go puściłem. - Nie musisz się do mnie zgłaszać. Baw się dobrze.

— Dziękuję, panie sierzancie - odparł Jordan. - Na pewno nie chce się pan do nas przyłączyć?

— Moja matka wcale nie cierpiała - poinformowałem ka deta. - Umarła natychmiast.

— Nazywa się Manson Summey i jest najgorszym sukin synem w całej akademii - oznajmił chichocząc Jordan, kiedy kadet wracał szybkim krokiem do rodziców. - Pożera kotów na śniadanie i przechwała się, ilu wykurzył z akademii w tym roku.

— Pozwól, żeby cię wykurzył. Przyjedź do nas, do Columbii - powiedziała Shyla. - W akademikach aż roi się od dziewczyn, które nie dadzą ci spokojnie przejść przez campus. Pijemy, bawimy się, słuchamy jazzu...

— W takim razie dlaczego Jack jest taki samotny? - zapytał Jordan, sięgając przez stół i ściskając moją rękę.

— Bo taki już jest - odpowiedziała Shyla. - Wydawało mu się, że kiedy dorośniemy, ty, ja, Capers, Mike, Ledare i on, zamieszkamy wszyscy w jednym wielkim domu.

— A co w tym złego? - zapytałem.

— Byłoby nam jak w niebie - stwierdził Jordan, wciągając w nozdrza zapach przyniesionego z kuchni steku.

— To niepraktyczny pomysł - powiedziała Shyla. - Świad czy o braku wyobraźni.

— Świadczy o dobrym smaku, Shylo - odparłem. - Znam dobrze swoich przyjaciół.

Jordan Elliott przez miesiąc jeszcze znosił system fali, zanim wpadł na pomysł, który miał mu pozwolić na opuszczenie akademii w pełnej chwale i z błogosławieństwem ojca. Generał

562

Elliott uważał, że Citadel zahartuje rozpieszczonego przez Celestine syna. Chciał, aby szkoła dokonała tego, czego nie udało się jemu samemu - spowodowała, by Jordan w niczym nie przypominał swojej matki.

Opracowany przez Jordana plan wymagał pomocy kolegów z Uniwersytetu Karoliny Południowej i świadczył o jego genialnie rozwiniętym zmyśle strategii. Jordan od dawna odznaczał się wyjątkową jasnością umysłu, a wywołany szykanami fali stres pogłębił jego zdolność podejmowania właściwych decyzji w obliczu zagrożenia.

Dwa tygodnie przed corocznym meczem futbolowym między Akademią Wojskową Citadel i Uniwersytetem Furmana dziesięciu kadetów otrzymało tygodniowy urlop i porwało pięknego araba, który stanowił maskotkę Furmana. Koń był łagodnym zwierzęciem, w trakcie akcji został jednak przypadkowo oślepiiony przez dwóch kadetów zbyt pijanych, by można im było powierzyć załadowanie go do przyczepy. Kiedy ich koledzy zorientowali się, jak poważne odniósł obrażenia, postąpili w sposób, który wydawał im się humanitarny, zabijając go strzałem z pistoletu. Jeden z nich popełnił jednak fatalny błąd, malując sprayem na ciele martwego zwierzęcia słowo Citadel. Już przedtem Furman i Citadel zażarcie ze sobą rywalizowały. Po tym incydencie wojskowa uczelnia stała się dla usytuowanego na wzgórzach niedaleko Greenville, administrowanego przez baptystów sympatycznego college'u ucieleśnieniem wszystkiego, co złe i demoniczne we współczesnym świecie. Kiedy wiadomość o haniebnym czynie obiegła campus, łagodnych niegdyś i spokojnych studentów Furmana ogarnęła dzika furia. Fotografia zabitego konia ukazała się na pierwszych stronach wszystkich stanowych gazet i w obawie przed odwetem komendant Citadel, generał Nugent, zakazał swoim kadetom opuszczać aż do dnia meczu teren uczelni. Kilka bractw Furmana ślubowało, że w zemście za śmierć araba powiesi buldoga Citadel na maszcie przed stanowym kapitołem.

W niedzielę rano fotografia martwego konia pojawiła się w "Greenville Morning News". Dzień wcześniej sierżant Jordana Elliotta, Manson Summey, złożył wizytę swej dziewczynie studiującej na Uniwersytecie Furmana. Kiedy pocałował ją na pożegnanie w drzwiach akademika, przy jego samochodzie czekało już pięćdziesięciu studentów, w tym połowa miejscowej drużyny futbolowej.

563

Dwa dni później dostarczono Mansona Summeya do Citadel, z ogoloną głową i genitaliami, ubranego w damskie majtki i oblepionego kurzym łajnem i pierzem, które dostarczyła lokalna farma drobiarska w Greenville. Jego prześladowcy wymalowali słowo Furman na sześciu budynkach Citadel łącznie z kaplicą. Kiedy dotkliwie pobitego Mansona znaleziono przykutego łańcuchem pośrodku placu apelowego, kadeci poprzysięgli krwawą zemstę. Generał Nugent jednak, po konsultacjach z gubernatorem i rektorem Furmana, nakazał im pozostać w akademikach i wystawić warty wokół kampusu, aby zabezpieczyć się przed dalszymi atakami. Napięcie między uczelniami wzrosło do niebezpiecznego poziomu; obie drużyny ślubowały uroczyście, że wygrają mecz, który miał się odbyć w Charlestonie. Kadetów rozsadzała nie znajdująca ujścia męska energia i Citadel przypominało znajdujący się w stanie oblężenia warowny obóz. Słowo Furman stało się obelgą w ustach wojskowych, dla których pobicie i upokorzenie Mansona Summeya odsuwało w niepamięć zabójstwo biednego araba.

W takich właśnie okolicznościach student pierwszego roku, Jordan Elliott, przedstawił dowódcy swojej kompanii Pinnerowi Worreliowi genialny plan, który łączył w sobie zalety wojskowej strategii z biblijnym nakazem zemsty. Plan był prosty, lecz sprytny i kapitan kadetów Worrell zgodził się mu patronować, a nawet wziąć w nim udział, jeśli tylko Jordan zdoła znaleźć trzech ludzi spoza Citadel, którzy zapewniliby transport. Jordan poinformował swego dowódcę, że ma już trzech śmiałków idealnie nadających się do operacji, która wymagała ludzi lubiących szybką jazdę i ryzyko.

— Czy potrafią trzymać gęby na kłódkę, Elliott? - zapytał Worrell.

— Dałbym sobie za nich uciąć głowę, panie kapitanie - zapewnił go kadet Elliott.

— Ale ty jesteś kotem, Elliott. Najbardziej niebezpieczną formą produktu odpadowego. Zmazą nocną. Zużyty kotexem. Papierem do wycierania dupska. W tej eskapadzie wezmą udział słuchacze wyższych roczników. Sama śmietanka. Prawdziwi bogowie, Elliott, prawdziwi bogowie.

— Chociaż jestem zużyty kotexem, panie kapitanie, mogę śmiało złożyć życie prawdziwych bogów w ręce moich przy

jaciół.

— Biorę na siebie wszystkie apekty wojskowe i strategiczne

564

tej ściśle tajnej misji, gnojku. W przyszłym roku wyjadę do Wietnamu, żeby zabijać żółtków, plądrować wioski, pacyfikować teren i generalnie dawać w dupę Azjatom. Ty, Elliott, będziesz odpowiedzialny wyłącznie za transport. Jesteś tylko kotem, komórką spermową prawdziwego słuchacza Citadel. Nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć na temat wojskowości.

- Może pan zostawić sprawę transportu mnie, panie ka
pitanie.

W środę wieczór, w przeddzień meczu, piętnastu ubranych w polowe mundury kadetów z kompanii G zebrało się, aby wysłuchać instrukcji kapitana Pinnera Worrella, który po raz piąty z rzędu przypomniał im wszystkie etapy misji. Każda drużyna miała pomalować co najmniej trzy budynki przed wycofaniem się na punkt zborny, z którego zamierzali wrócić do Charlestonu jeszcze przed poranną pobudką. Powodzenie wyprawy zależało od tego, czy zmieszczą się w czasie, powtarzał im bez przerwy Worrell. Piętnastu kadetów zsynchronizowało zegarki, a kapitan po raz ostatni przedstawił stojące przed nimi zadania. Puszki z farbą, pędzle, nożyce do przecinania drutu i alkohol załadowane były już do trzech samochodów, które czekały na nich w Hampton Park tuż obok campusu. Kiedy o wpół do jedenastej w koszarach zarządzono gaszenie świateł, cała piętnastka, która stała przy bocznej bramie, przebiegła sprintem obok pełniącego wartę sierżanta i zniknęła w mroku, kierując się w stronę torów kolejowych za budynkiem nauk wojskowych. Kadeci musieli wrócić na uczelnię przed porannym apelem o szóstej piętnaście. Greenville leżało w odległości dwustu dziesięciu mil od Charlestonu.

Capers, Mike i ja siedzieliśmy w trzech samochodach z włączonymi silnikami. Zerkając na zegarki i dodając co jakiś czas gazu, czekaliśmy na kadetów, którzy w każdej chwili mogli wynurzyć się zza rosnących za torami krzaków azalii. Żaden z nas nie wahał się ani chwili, kiedy Jordan poprosił nas telefonicznie o pomoc. Był naszym przyjacielem i każdemu podobał się pomysł jazdy przez cały stan z gazem wciśniętym do dechy.

Kiedy Jordan i dowódca jego kompanii, Pinner Worrell, wcisnęli się obok mnie na przednie siedzenie, bezwiednie wdepnąłem pedał gazu.

- Jedźmy, jedźmy - wołali trzej kadeci, którzy siedzieli
z tyłu.

565

Pontiac GTO Capersa wystartował pierwszy, zostawiając na asfalcie smugi spalonej gumi. Za nim ruszył czerwony chevrolet Mike'a, rocznik 57, utrzymywany przez niego w doskonałym stanie. Mój szary chevrolet z 1959 roku był bardziej wołowaty i miał z tyłu dziwaczne staroświeckie skrzydła, ale był to mój pierwszy samochód i bardzo go polubiłem z powodu jego przytulności i braku stylu. Nie należał do najszybszych, kiedy jednak rozbijał się na autostradzie, nie ustępował obu pozostałym.

Pędząc siedemdziesiąt pięć mil na godzinę, przemknęliśmy przez willowe dzielnice Charlestonu i wyskoczyliśmy na drogę międzystanową numer 26. Z radia płynął rock, a kadeci pociągali z butelki, dodając sobie animuszu przed czekającym ich zadaniem. Jordanowi, jako studentowi pierwszego roku, nie wolno było się odzywać, w związku z czym słuchałem jednym uchem nerwowej rozmowy starszych kadetów, wpatrując się w tylne światła Mike'a i koncentrując na wariackiej jeździe, w trakcie której mieliśmy zamiar osiągnąć średnią szybkość stu pięciu mil na godzinę.

Po niespełna godzinie minęliśmy po prawej stronie światła Columbii leżącej dobre sto mil od Charlestonu. Zbliżając się do Newberry, zobaczyłem w tylnym lusterku niebieskie światła patrolu drogowego i wcisnąłem hamulec, ale Worrell uspokoił mnie mówiąc, że policjant jest wtajemniczonym w plan absolwentem Citadel. Wóz patrolowy wyprzedził nasze samochody i prowadzeni przez jego niebieskie światło przemknęliśmy przez sosnowe lasy Karoliny w miejscu,

gdzie teren wznosił się przed ciągnącym się na północ od Greenville pasmem gór. Czułem, jak sama ziemia pnie się coraz wyżej, oddając energię zbliżającym się wzgórzom. Nigdy w życiu nie podróżowałem z tak zawrotną szybkością, nigdy też nie pokonałem tak dużej odległości, jak owej nocy, gdy pędziliśmy przez Karolinę Południową, eskortowani przez gliniarza z pierścieniem Citadel na palcu.

Kiedy mijaliśmy zjazd do Clinton, zobaczyłem kątem oka zapalającą się i gasnącą na moście latarkę. Na kolejnej estakadzie, daleko przed nami spostrzegłem mrugające w odpowiedzi światelko, tak szybkie jednak, że nie byłem pewien, czy mi się nie zdawało. Uświadomiłem sobie mgliście, że to może być jakiś sygnał, ale byłem tak zaabsorbowany prowadzeniem, że po chwili wypadło mi to z głowy. Tuż przed Greenville Pinner Worrell ponownie przeciwiczył z kadetami

wszystkie szczegóły akcji, sprawdzając, czy dobrze zapamiętali powierzone im zadania.

— Wig, ty bierzesz na siebie bibliotekę. Pomaluj po prostu słowa Bulldog i Citadel na fasadzie. Tył budynku możesz sobie darować. To samo dotyczy wszystkich. Macie być z powrotem o trzeciej zero zero. Rozumiecie mnie, panowie? Czy dotarło do ciebie, co mówię, gnojku?

— Tak jest, panie kapitanie - odparł Jordan.

— Zajmiesz się damskim akademikiem - poinstruował go Worrell. - Nie obwąchuj tylko wiszącej na sznurach bielizny.

— Postaram się opanować, panie kapitanie - powiedział Jordan i siedzący z tyłu kadeci wybuchnęli śmiechem.

— Sprytny kot - stwierdził Worrell. W jego głosie zabrzmiało prawie braterskie uczucie.

— Co zostawiasz dla siebie, Pinner? - zapytał jeden z kadetów, kiedy widząc znak Uniwersytetu Furmana zjechałem z drogi międzystanowej.

— Dowódca zawsze bierze na siebie najtrudniejsze zadanie - odparł Worrell. - Mam zamiar wymalować na kościele PIERDOLIMY MARTWEGO ARABA. CITADEL CIESZY SIĘ, ŻE GO UKATRUPILIŚMY.

— Jesteś stuknięty, Worrell - stwierdził z podziwem po zbawiony twarzy głos. - Kompletny z ciebie szajbus.

— Dziękuję - odpowiedział Worrell. - Bardzo dziękuję.

Właśnie to sprawia, że nadaję się do Wietnamu. Faceci tacy jak wy nadają się w sam raz do malowania akademików. Tylko kapitan Worrell mógł pomyśleć o tym, żeby pomalować kościół w prowadzonej przez baptystów uczelni.

— Ale przecież ty sam jesteś baptystą, Worrell.

— Jestem maszyną do zabijania, Dobbins - odparł kapitan. - A to jest pierdolona wojna.

Kilka minut później zatrzymałem się za samochodem Mike'a tuż przy wysokiej na dziewięć stóp siatce, która otaczała campus Furmana.

- Byłby z ciebie kadet jak się patrzy, McCall - oświadczył na pożegnanie Worrell. - Wielka szkoda, że tracimy takiego człowieka na rzecz tej zasranej szkółki w Columbi. Idziemy, panowie. Od tej chwili obowiązuje nas absolutna precyzja.

Wojskowa precyzja. Nasz plan jest niezawodny. Klęska może być tylko wynikiem ludzkiego błędu. A w armii Worrella, panowie, nie ma takiej rzeczy jak ludzki błąd.

Drużyna z samochodu Capersa wycięła już nożycami wielką dziurę w ogrodzeniu i pierwsi zakamuflowani kadeci biegli z puszkami farby w stronę oddalonych o trzy czwarte mili zabudowań Furmana. Wszyscy byli we wspaniałej formie - ich sprężyste, muskularne ciała zahartowały długie godziny marszobiegów i ćwiczeń na torze przeszkód.

Otwierając bagażnik mojego chevroleta, podziwiałem szybkość i sprawność kadetów, którzy odbierali ode mnie plecaki, zakładali je na plecy, po czym natychmiast biegli do ogrodzenia i przeczołgali się na drugą stronę. Księżyc, do tej pory niewidoczny, wyrzwał nagle zza chmur i wyłuskał z mroku pnące się po wzgórzach ciemne sylwetki. Patrzyłem, jak Pinner Worrell znika za jednym ze wzniesień, i nagle oglądając się przez ramię, zobaczyłem śmiejącego się cicho Jordana Elliotta.

— Będziesz miał kłopoty, Jordan - stwierdził Capers.

— Nie tak duże jak oni. Przynajmniej na razie - odparł Jordan, wskazując ręką na prawo. W miejscu, które wskazał, mrugnęła dwukrotnie latarka, a po chwili odpowiedziało jej światło po lewej stronie.

— Kto oprócz nas nie śpi o tej porze? - zdziwił się Mike.

— Cały campus Furmana. Pamiętacie Fergisa Swangera?

— Obrońca w drużynie Hanahan. Niesamowity gracz - przypomniał sobie Mike.

Jordan wskazał kolejne mrugające światełko na wschodzie.

— Fergis gra teraz w drużynie Furmana. Przedwczoraj do niego zadzwoniłem.

— Po co? - zdziwił się Capers. - Nawet go nie znasz.

— Opowiedziałem mu o planowanym ataku. Z wszystkimi detalami.

— Ty pieprzony cwany sukinsynu - szepnął Mike. - Genialnie to wymyśliłeś.

— Ale to takie dwulicowe - skrzywił się Capers. - Na prawdę zdażyłem polubić tych facetów, z którymi jechałem.

— Więc załatw sobie do nich przeniesienie - odparł Jordan. - A teraz lepiej stąd spływajcie. Jeśli odkryją, że to wy nas przywieźliście, z waszych samochodów zostaną tylko anteny i popielniczki.

— Dlaczego? - chciał wiedzieć Capers. - Dlaczego to zrobiłeś?

— Mam kolegę, który stołuje się w tej samej kantynie. Mamy zaszczyt jadać posiłki z samym kapitanem Worrellem. Tyle że

kapitan Worrell nie chce marnować wojskowych pieniędzy na żywienie kotów. W związku z czym nas głodzi. Ma poza tym swoją ulubioną zabawę. Dowiaduje się, jakich potraw nie znosimy. Ja na przykład nienawidzę brukselki. Kiedy zapytał, czy nie chciałbym jej sobie więcej dołożyć, grzecznie podziękowałem. Kazał mi zjeść całą brukselkę, którą podano na nasz stół. Ten chłopak, Gerald Minshew, nie chciał pić soku pomidorowego, więc Worrell kazał mu wypić dwanaście szklanek. Minshew zapomniał wspomnieć, że jest uczulony na pomidory.

0 mało się nie przekreślił na izbie przyjęć.

- Jaki jest prawdziwy powód tego wszystkiego, Jordan? - zapytał Mike. - Nie dam się nabrać na te pierdoły o brukselce

1 miłości do biednego Geralda.

- Muszę wyrwać się z tej szkoły. Nie jest dla mnie. Niena widzę w niej wszystkiego prócz pory, kiedy idę spać, choć i tak

śni mi się po nocach.

- Więc odejdz - zaproponowałem.

Jordan gorzko się roześmiał.

— Już ci mówiłem, Jack. Błagałem ojca, żeby pozwolił mi zrezygnować, ale on nie chce o tym słyszeć. Mama powiedziała, że muszę znaleźć jakiś honorowy sposób, żeby odejść, inaczej spędzę tam całe cztery lata.

— Nazywasz to honorowym wyjściem? - zapytał Capers. - Ci faceci wyprują z nich flaki.

— Ze mnie też - powiedział cicho Jordan, kucając i przechodząc przez dziurę w siatce. Zamiast jednak pobiec za innymi kadetami, ruszył wzdłuż ogrodzenia na zachód.

— Wracaj z nami - zawołałem. - Ludzie z Furmana zlinczują cię.

— Jeśli tego nie zrobią, wtedy wszyscy będą wiedzieli, że to ja dałem cynk. Dziękuję wam bardzo. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie dzisiaj zrobiliście. A teraz wynoście się stąd, zanim was dorwą.

Kiedy Jordan zniknął za wzgórzem, sto jardów przed nami rozległ się nagle potężny ryk. Co najmniej pięciuset studentów Furmana wykonało podwójny manewr okrążający, który zamknął intruzom z Citadel drogę ucieczki. Na dany sygnał na całym terenie zabłyśły światła i tysiące studentów ukrytych w strategicznych miejscach kampusu otoczyło garstkę kompletnie zaskoczonych kadetów.

Zajadłość i jurność tej wyjącej tłuszczy tak mnie zafascynowały,
569

że dopiero w ostatniej chwili wycofałem się do samochodu. W naszą stronę pędziła już grupa uzbrojonych w kije base-ballistów. Dodaliśmy gazu i pognaliśmy polną drogą, umykając przed kijami, które zatoczyły morderczy łuk nad ogrodzeniem, wgniatając maskę mojego chevroleta i tłukąc tylną szybę Mike'a.

Po kilkunastu minutach zatrzymaliśmy się na czynnej przez całą noc stacji przy drodze numer 26, żeby zatankować i trochę ochłonać.

— Co tu było w ogóle grane? - zapytałem.

— Powinniśmy się wstydzić, że zostawiliśmy tych kadetów na łasce losu - oświadczył Capers.

— Masz rację - odparłem. - Jedź z powrotem i zabierz swoich pasażerów, jak mieliśmy to w planie.

— Nie masz pojęcia, czym jest solidarność - stwierdził. - Nie wstąpiłeś do żadnego bractwa.

— Więc pokaż mi, na czym ona polega, wielki bracie. Wracaj po tych frajerów.

— Jordan nas wykorzystał - mruknął Capers.

— Jordan jest naszym przyjacielem - powiedziałem, po trząsając głową. - I będziemy za nim stali murem.

— Mój Boże - szepnął Mikę. - On wyprawia rzeczy, o których nigdy nam się nie śniło.

— Jest niebezpieczny - przestrzegł Capers.

— Jak na razie - dodał ze śmiechem Mikę - tylko dla kadetów Citadel.

I rzeczywiście okazał się niebezpieczny dla grupki zahartowanych w boju odważnych kadetów,

którzy przyjechali do Greenville w tę jesienną noc. Szesnastu słuchaczy Citadel weszło na teren kampusu i żaden z nich nie wrócił do Charlestonu

0 własnych siłach. Jednego złapał na łąso siedzący na dębim chłopak i gdy biedak legł na ziemi, o mało nie stratował go na śmierć tłum studentów. Pinnerowi Worrellowi złamano szczękę
1 trzy żebra, gdy leżąc na ziemi chciał opryskać farbą napastników. Był jednym z trzech poszkodowanych, u których stwierdzono pęknięcie szczęki na izbie przyjęć szpitala w Greenville. Siedmiu kadetów zawieziono tam nieprzytomnych, w ich liczbie Jordana Elliotta.

Jordanowi jako jedyemu udało się dotrzeć do jakiegoś budynku Furmana i zbezpieścić go słowem Citadel. Kiedy malował je sprayem na ścianie sali gimnastycznej, spostrzegł
570

go przechodzący obok patrol. Po chwili Jordan ścigał się już z chłopcami z Furmana; przez krótki moment wydawało się nawet, że im umknie. Biegł w stronę cichego jeziora, które zauważył na mapie, kiedy Worrell pokazywał im położenie kampusu. Czując, że tłum depta mu po piętach, skoczył w chłodną listopadową toń i zaczął tak szybko, jak mógł, płynąć australijskim kraulem do drugiego brzegu. Za sobą słyszał krzyki pięciu albo sześciu studentów, którzy weszli do wody i zaraz z niej uciekli, nie mogąc wytrzymać zimna. Jordan potrafił pływać jak wydra i przez kilka chwil miał nadzieję, że uda mu się wymknąć.

Potem jednak usłyszał plusk czterech spuszcanych jednocześnie do jeziora czołen i obróciwszy się, zobaczył w każdym z nich po czterech umięśnionych osiłków, którzy młócąc zgodnymi ruchami wodę, wiosłowali w jego stronę. Roześmiał się wtedy i odwrócił, chcąc stawić im czoło w wodzie. Gdy zbliżyło się do niego pierwsze czołno, dał nurka i zdołał je wywrócić, lecz w tej samej chwili dostał wiosłem w tył głowy i zaczął obficie krwawić. Zanurzając się w czarnej toni, widział wszędzie dookoła cienie spadających na niego z góry wiosel.

Jordan doznał ciężkiego wstrząsu mózgu i był ostatnim kadetem, który opuścił szpital w Greenville i powrócił pod strażą do Citadel. Podobnie jak pozostali uczestnicy wyprawy, został wydalony za zachowanie nie licujące z godnością słuchacza akademii i kiedy eskortowano go, żeby zabrał swoje rzeczy z pokoju, tłoczący się za balustradą kadeci z koszar Padgetta--Thomasa zgotowali mu tak długą i głośną owację, iż nawet generał Elliott musiał powściągnąć swą furję.

Resztę semestru Jordan spędził razem z rodzicami w Camp Lejeune. W styczniu zapisał się na Uniwersytet Karoliny Południowej. W akademiku, na drzwiach naszej wspólnej sypialni wymalowałem sprayem na jego powitanie napis Jedź do Greenville.

ROZDZIAŁ 33

Pierwszego lipca Lucy zadzwoniła do mnie i zapytała, czy mógłbym wpaść i porozmawiać z nią w cztery oczy. Ton jej głosu zaniepokoił mnie; czułem, że ma mi do przekazania złe wiadomości.

Kiedy przyszedłem, oznajmiła, że budząc się zeszłej nocy w ciemności, poczuła lekką, prawie niedostrzegalną zmianę we własnym ciele, zupełnie jakby przesuwwały się w niej z cichym szmerem zapadki zamka szyfrowego. Zawsze umiała bezbłędnie odczytywać sygnały, jakie dawał jej własny organizm i zawsze dużo wcześniej, nim oznajmili jej o tym lekarze, wiedziała, że jest w ciąży.

Leżąc w przepoconej pościeli, domyśliła się, że powróciły komórki, które ją w końcu zabijają. Białaczka jest znowu w natarciu, powiedziała, i tym razem już się nie wycofa.

Widziałem już łzy w jej oczach, nigdy jednak nie były to łzy wylewane z powodu własnej śmiertelności. Chociaż wykonywała wszystkie zalecenia swego lekarza, wyrok śmierci nie został zawieszony. Nie sądzę, by użalała się nad sobą, choć to właśnie przyszło mi w pierwszym momencie do głowy, gdy siedziałem tam jako niemy świadek. Po dłuższej chwili zacząłem pojmować. W takim momencie płacze się z powodu utraty tego pięknego świata i wszystkich ról, których nigdy się w nim nie zagra. Ciemność przybiera inne znaczenie. Ciało zaczyna

przygotowywać się do ostatniego zadania, do przyjęcia łaski, jaką daje cisza. Obserwowałem uważnie, jak moja matka usiłuje sobie wyobrazić świat bez Lucy Pitts. Z początku nie mieścił jej się w głowie, ale potem łzy pomogły odnaleźć właściwą ścieżkę. Płacząc w mojej obecności, Lucy stawiała pierwszy krok na drodze ku godnej śmierci.

572

Lepszy syn objąłby zapewne matkę i próbował ją pocieszyć, moje ciało nie potrafiło jednak powściągnąć nieśmiałości, gdy w grę wchodziła prosta intymność dotyku. Wyciągnąłem rękę, a potem cofnąłem ją szybko, kiedy tylko znalazła się kilka cali od jej ramienia. Rozpacz wydawała się ją elektryzować, czynić niebezpieczną. Ale było coś jeszcze: stary jak świat kodeks kazał mi powściągnąć poryw serca. Uniesiona po raz drugi ręka nie zdołała przebyć rosnącej nagle między nami odległości. W upale poranka czułem, jak moje serce okrywa cienka warstwa lodu. Oniemiały, próbowałem znaleźć słowa, które przywrócą jej spokój ducha. Wiedząc, że powinienem ją przytulić, siedziałem jak sparaliżowany, myśląc o zbyt wielu rzeczach naraz - tracąc w ten sposób najcenniejszą życiową szansę. Nie potrafiłem pomyśleć o dotknięciu innej osoby, nie wyobrażając sobie jednocześnie zaciskających się na mojej szyi palców i dławiącego, wpędzającego w panikę braku powietrza. W objęciach kobiet, w których inni mężczyźni potrafią odnaleźć pociechę, ja widziałem tylko węzowe sploty i czułem lęk przed uduszeniem.

Siedząc na werandzie i słuchając szumu fal, Lucy powtórzyła, iż zostało jej tylko kilka miesięcy życia. Nadeszła pora, aby uporządkować wiele spraw, powiedzieć prawdę, która powinna zostać powiedziana, wyjaśnić dzieciom, że nie rzuciła ich wcale na pastwę losu w dniu, w którym się urodziły - choć zdawała sobie świetnie sprawę, iż tak właśnie uważamy. Osądzając niesprawiedliwie matkę, nadaliśmy jej niegdyś w sekrecie miano naszego najczulszego kata. Kryjąc przed nami horror własnego dzieciństwa, nie zdołała uchronić synów przed bardziej przyziemnym cierpieniem. Nie mówiąc, kim jest naprawdę i skąd pochodzi, chciała zapewnić nam lepszy życiowy start w świecie, który od samego początku wyrządzał jej same krzywdy. Miłość stanowiła jej zdaniem najbardziej autentyczny rys jej charakteru, bała się jednak, że ją w niedostatecznym stopniu okazywała - zbyt blisko przyciskała do piersi. Czując zbliżającą się śmierć, chciała, bym wiedział, iż kochała swych synów tak mocno, że czasami ogarniało ją przerażenie. Aby je stłumić, Lucy kochała nas w tajemnicy: zmieniała swoją miłość w ekscentryczną formę kontrwywiadu, z własnymi tajnymi hasłami i szyframi milczenia. Ukryła swe uczucia za zwojami drutu kolczastego i zaminowała prowadzące do nich różane ogrody. Próbując do niej dotrzeć, synowie przemierzali po omacku pola

573

śmierci. Gdyby wiedziała, że na miłość trzeba zasłużyć i trzeba
0 nią walczyć, z pewnością by nas tego nauczyła.

Dopiero gdy rak zaczął wysysać z niej życie, przypomniała sobie dziewczynę, którą kiedyś była, tę samą dziewczynę, która wniosła niedolę i troskę do sztuki kochania. Miłość musiała przestąpić próg domu, w którym jej ojciec zginął w ogniu podłożonym przez matkę. Miłość musiała przejść na palcach obok zrozpaczonej matki, która powiesiła się pod przejazdem kolejowym. Jak wyglądała miłość z rękoma zagłębionymi w skrwawionych pętlach czasu? Czułem, jak Lucy stara się to wszystko wyjaśnić, szukając z trudem właściwych słów. Ale słowa zawiodły ją i po chwili usłyszałem tylko fale bijące o brzeg. Matka ciężko oddychała. Chciała uporządkować swój dom; chciała naprawić przed śmiercią wyrządzone szkody. Taką złożyła mi obietnicę owego ranka, gdy dowiedziałem się, że białaczka wróciła, tym razem na stałe.

Doktor Pitts wyszedł na werandę i zorientowałem się, że matka podzieliła się z nim złą wiadomością. Podeszedł do nas gładko ogolony i wytworny i kiedy pomógł matce wstać z fotela
1 wziął ją w ramiona, poczułem w powietrzu intensywny zapach wody kolońskiej. Lucy przywarła do niego, a on szepnął jej do ucha coś, czego nie zdołałem usłyszeć. Zobaczyłem, jak wiele daje z siebie mojej matce, po prostu się przed nią otwierając.

Żaden z mężczyzn w mojej rodzinie nie potrafił wykonać tak prostego, a zarazem tak ważnego gestu. Lucy przytuliła twarz do jego piersi, a ja odwróciłem wzrok, uprzytamniając sobie, jak bardzo przeszkadzam w tej bolesnej i czulej chwili.

— Uważam, że powinniśmy odwołać przyjęcie na cześć Lucy - powiedział doktor. - Możesz przekazać wiadomość swoim braciom, Jack.

— Nie - zaprotestowała matka, odsuwając się od niego. - To moje przyjęcie. Musi się odbyć.

— Chcą świętować twoje wyzdrowienie - zwrócił jej uwagę mąż.

— Nikt nie musi wiedzieć, że remisja już się skończyła - odparła. - To będzie nasz sekret. Nie ma takiego prawa, które kazałoby ci mówić o wszystkim swoim braciom. Prawda, synu?

— Prawda - zgodziłem się.

— Kupię sobie najładniejszą sukienkę w całej Atlancie - powiedziała, całując doktora Pittsa w policzek, po czym zmroziła mnie, dodając: - W niej właśnie mnie pochowacie.

574

Moi bracia i ja zaczęliśmy zatem organizować bankiet, który miał się odbyć w Dniu Pracy* i którym, jak oznajmiłszy wszem wobec, chcieliśmy uczcić trwającą już od ponad roku remisję. Kiedy zdawaliśmy sobie nawzajem relację z poczynionych przygotowań, dziwnie pokrzepiał mnie fakt, że żaden z nich nie wie, iż białe krwinki przypuściły ponowny atak. Jej krwiobieg przeraził nas już raz swą nieobliczalnością i skłonnością do zdrady i chociaż wiedzieliśmy świetnie, że człowiek jest z natury śmiertelny, i zaakceptowaliśmy to na płaszczyźnie emocjonalnej i intelektualnej, nigdy nie pogodziliśmy się z tym, że nasza matka może umrzeć: że może nas któregoś dnia opuścić. Ponieważ urodziła nas w tak młodym wieku, zawsze widzieliśmy w niej bardziej starszą siostrę i koleżankę. Nigdy nie przestała nas zaskakiwać i żaden z nas nie zdołałby jej opisać w kilku zwięzłych zdaniach. Gdyby ktoś nas do tego zmusił, powstałoby w rezultacie pięć wizerunków zupełnie różnych kobiet, każdy sporządzony w zupełnie innej szerokości geograficznej, a może nawet w innym systemie planetarnym. Lucy szczyciła się tym, że jest tajemnicza, nieodgadniona i nieuchwytna. Kiedy opowiadaliśmy jej o bankiecie, który zamierzamy wydać, nie mogła powstrzymać łez. Moi bracia brali je za łzy wdzięczności, ja jednak wiedziałem, że wzruszają upór, z jakim nie przyjmowali do wiadomości jej bliskiej śmierci. Mikę Hess oddał nam do dyspozycji swój wiejski dom i obiecał dostarczyć alkohol. Dallas, Dupree, Tee i ja przez cały tydzień zastanawialiśmy się nad jadłospisem. Chcieliśmy, aby był to dzień ekstazy, dzień świętowania zwycięstwa, jakie odniosła Lucy w walce z nieubłaganym losem. Dzwoniąc ze szpitala, żeby przekazać wyniki ostatniego badania krwi, doktor Peyton potwierdził, że rzeczywiście zakończył się okres remisji. Chciał, aby Lucy już nazajutrz rozpoczęła kolejną sesję chemioterapii.

— Nie ma mowy, doktoru - odparła. - Wiem już teraz, jak to wygląda. Chemioterapia przysporzyła mi o wiele więcej cierpienia niż białaczka. Moi chłopcy mają zamiar urządzać mi przyjęcie i nie zrezygnuję z niego za żadne skarby świata.

— To pani decyzja. Ale kiedy będzie się pani objadać smażonymi krewetkami, białe krwinki będą miały prawdziwą ucztę.

* Święto pracy obchodzi się w Stanach w pierwszy poniedziałek września.

575

— Przeczytałam, co na temat mojej białaczki piszą w medycznym podręczniku męża. Według jego autorów, jest wyjątkowo

kowo wredna i nie mam żadnych szans niezależnie od tego, czy poddam się, czy nie poddam chemioterapii.

— Zawsze jest jakaś szansa, Lucy - powiedział młody lekarz.

— Taką samą szansę będę miała po przyjęciu - odparła Lucy. - Moi chłopcy planowali je przez całe lato.

— Dlaczego to dla pani takie ważne?

— Ponieważ to ostatnie przyjęcie, w jakim wezmę udział na tym świecie - odpowiedziała. - I mam zamiar rozkoszować się każdą jego minutą. Proszę nas odwiedzić. Moi synowie potrafią nakarmić cały tłum.

To Tee wpadł na pomysł urządzenia wielkiego niezapomnianego bankietu ku czci Lucy. Rzucając luźną myśl, nam pozostawił realizację wszystkich detali.

— Ja jestem autorem ogólnej koncepcji - powiedział. - Wy musicie zadbać o smakołyki i trunki.

— Ile zamierzasz zaprosić osób, autorze koncepcji? - za pytał Dallas.

- Nie widzę żadnych ograniczeń.

Zakomunikowaliśmy więc Lucy, że może zaprosić tyle osób, ile zapragnie, a ona wzięła nas za słowo. Żywiła teraz cieplejsze uczucia nawet wobec niegdysiejszych wrogów; jej oczy zasnuwały się mgłą, gdy wyjaśniała nam, dlaczego nie rozmawia z pewnymi kobietami w mieście. Współczuła każdemu, kto nie miał szczęścia jej spotkać, odkąd zdobyła się na odwagę i skreśliła sędziogo ze swego życia. Spędzając każdą chwilę na tuszowaniu skandali, które wywoływał w trakcie pijackich burd, musiała wydawać się twardsza, niż była w rzeczywistości. To nie fair, myślałem, że jej życie kończy się właśnie teraz, kiedy je uporządkowała i podążała prostą drogą. Cieszyła się, że tak bardzo zależy nam na tym bankiecie, i wzruszało ją, że tyle osób zapowiedziało w nim swój udział.

Przez cały ostatni tydzień sierpnia moi bracia i ja wstawaliśmy o świecie, żeby złowić dużo ryb na przyjęcie. Tee i Dupree wypłynęli na Lakę Moultrie i złapali tam wielkiego okonia, żerującego w chłodnych wodach sztucznego jeziora niedaleko Columbii. Silas McCall i Max Rusoff wykupili licencję i chociaż obaj dawno skończyli osiemdziesiątkę, przez cały tydzień łowili krewetki, które potem własnoręcznie oprawili i zakonserwowali

576

w pojemnikach ze słoną wodą. Gromadzenie produktów na przyjęcie Lucy miało w sobie coś z uroczystego pożegnania. Tylko ja i doktor Pitts zdawaliśmy sobie sprawę, że choroba już wkrótce pozbawi koloru i witalności jej słynną różaną cerę. Wiedzieliśmy, że matka wysycha od środka. Wieczorem, w przeddzień przyjęcia, Lucy zaprowadziła nas na tereny lęgowe przed swoim plażowym domem na Isle of Orion. Tutaj, w oznaczonych płaskimi palikami i ogrodzonych siatką miejscach, ona i jej ochotnicy zakopali po raz drugi jaja, które samice żółwi morskich składały od piętnastego maja w ciepłym, syrkim piasku. Erozja wybrzeża postępowała w zastraszającym tempie: potężne sztormy pochłaniały całe akry plaży. Kiedy zniszczeniu uległy pierwsze cztery gniazda, Lucy zawiadomiła Urząd Ochrony Środowiska, iż nie zamierza przestrzegać ich dyrektywy, nakazującej pozostawienie jaj tam, gdzie złożyły je samice. Od widoku rozbitych przez kraby i mewy, zalanych morską wodą żółwich jaj robiło jej się niedobrze. Każde wyschnięte złociste żółtko, które odnajdywała obok skorupy, było dla niej sygnałem zagrożenia całego gatunku. Tego lata samice założyły trzydzieści siedem gniazd i Lucy wraz ze swymi ochotnikami przeniosła dwa tysiące siedemdziesiąt cztery jaja do szkółki, którą mogła obserwować z werandy swego domu. Wylęg w gorącym piasku trwał dwa miesiące i również teraz, kiedy małe żółwie zaczynały się wykluwać, Lucy nie zamierzała przestrzegać przepisów prawa. Według Urzędu Ochrony Środowiska, jeśli nawet ktoś otrzymał zgodę na przeniesienie żółwich jaj (której Lucy nie otrzymała), nie wolno mu było potem dotknąć małym palcem nowego gniazda. Urząd powtarzał za

Darwinem, iż prawa doboru naturalnego mają bezwzględne pierwszeństwo i nikomu nie wolno w nie ingerować, kiedy żółwie wyklują się z jaj i ruszą w wyścig do morza.

W ciągu ostatnich lat Lucy widziała jednak zbyt wiele strat, jakie poniosła populacja żółwi, by się z tym pogodzić. Kiedyś znalazła dziesięć żółwiątek, upchniętych niczym puszeki w norze kraba tułacza, w większości żywych i czekających bezradnie, aż ten zdekapituje je i pożywi się ich głowami. Patrzyła, jak szopy uwijają się wśród żółwi, walcząc z mewami, które pikowały z góry, odgryzając ich małe główki i porzucając skorupy na płyciźnie. Widziała również, jak żółwie, którym udało się dotrzeć do linii wody, padają ofiarą czekających tam na nie

577

piekielnie szybkich błękitnych krabów bądź też polujących nieco głębiej małych rekinów i tasergali.

Chociaż nie mogła uchronić ich przed wrogami czyhającymi w oceanie, wymyśliła sposób, który dawał im przynajmniej szansę bezpiecznego dotarcia do brzegu. Za każdym razem, gdy wykluwało się żółwie jajo, Lucy Pitts łamała prawo Karoliny Południowej. Ale prawie każde małe żółwiątko, którym się zaopiekowała, poznało smak morskiej wody.

Tuż przed zachodem słońca matka wyszła z domu na czele swoich synów, trzymając za rękę Leah.

Wzięła ze sobą wiadro oraz dużą muszlę do kopania piasku w miejscach, gdzie znajdowały się gniazda. Główni jej asystenci, Betty i Al Sobolowie, czekali już na plaży razem z dość liczną grupką turystów i podekscytowanych dzieci. Program ratowania żółwi stał się jedną z głównych atrakcji turystycznych wyspy, zaraz po golfie. Lucy wprowadziła swój własny regulamin i narzuciła surową dyscyplinę turystom, którzy tłoczyli się posłusznie wokół ogrodzonego przez nią terenu.

— Czy gniazdo jest gotowe? - zapytała.

— Zobacz sama - odparła Betty Soból. - Już się wykluły.

Lucy zaczekała, aż staniamiy tuż obok, a turyści ustawią się

w zasięgu jej głosu. Traktowała swoją rolę nauczycielki z wielką powagą i gdy rzecz dotyczyła jej żółwi, traciła kompletnie poczucie humoru.

Przedstawiała program ich ratowania z takim samym wyczuciem stylu, z jakim opowiadała niegdyś o Shermanie i Eli-zabeth. Tego, co mówiła, nie dałoby się wydrukować na afiszu, ale w jej głosie brzmiała autentyczna troska. Zanim na Isle of Orion wkroczyła nowoczesność, setki żółwi morskich składały niegdyś jaja na tutejszej plaży. To samo dotyczyło wielu innych gatunków na całej planecie: powolny taniec ich zagłady nabierał coraz większego tempa w miarę, jak człowiek zatruwał i zaśmiewał wszystko to, co kocha najbardziej.

Pochylając się nad gniazdem, które mieliśmy odkopać tej nocy, Lucy pokazała dzieciom, że piasek się zapadł, tworząc coś w rodzaju bruzdy. Oznaczało to, że żółwiątko wykluły się z jaj i zaczynały samodzielnie wypełzać na powierzchnię. Ingerujemy w ten proces, wyjaśniła, ponieważ zależy nam, by dać jak największej liczbie osobników szansę przetrwania niebezpiecznej podróży na Morze Sargassowe. Dzieci jęknęły głośno, kiedy poinformowała je, że tylko jedna samica z tego

578

gniazda będzie żyła dość długo, aby powrócić kiedyś na tę plażę i złożyć na niej jaja.

- Wielu z nas nie doczeka dnia, kiedy powróci tu ta samotna żółwica - powiedziała, zwracając się do dzieci. - Chcę, abyście mi przyrzekły, że będziecie tutaj wracać każdego lata i dopilnujecie, żeby te żółwie były otoczone opieką. Niech podniosą ręce ci wszyscy, którzy to obiecują.

Ręka Leah pierwsza powędrowała w górę, a w ślad za nią ręce wszystkich dzieci, które stały dookoła nas na baczność niczym na apelu. Lucy kiwnęła z uznaniem głową, po czym uklękła i zaczęła studiować przypominające kształtem odwróconą literę V zarysy gniazda, które mieliśmy odkopać tej nocy.

— Kop teraz rękoma, kochanie - powiedziała do Leah, która zaczęła wybierać garściami piasek w miejscu, gdzie spo

tykały się ramiona V. Za czwartym razem zaczęła palcami o wijące się, naelektryzowane ciało małego żółwia. - Dokładnie licz. W gnieździe było sto dziewiętnaście jaj - przypomniała Lucy. Odebrała od niej pierwszego żółwia, sprawdziła, czy nie ma przyczepionego do podbrzusza żółtka, po czym włożyła go do wiadra.

— Jeden - powiedziała głośno Leah. Chwilę później trafiła na dwa kolejne żółwie i podała je babci. Dzieci piszczały z radości i przepychały się do przodu.

Lucy oglądała dokładnie każdego żółwia, szukając śladów żółtka, które pociągnęłoby go na dno, gdyby w tym momencie został wrzucony do oceanu. Jedna z dziewczynek wyrwała się matce i zapytała Lucy, czy może potrzymać żółwia.

— Jak się nazywasz, gołąbeczko? - zapytała Lucy, kładąc żółwiątko na otwartej dłoni pięcioletniej blondynki.

— Rachel - odparło dziecko.

— Włóż go do wiadra. Ten żółw będzie miał na imię Rachel.

— Jest mój? - zapytała dziewczynka.

- To twój żółw - zapewniła ją Lucy. - Na zawsze.

Leah wykopała tego wieczoru dziewięćdziesiąt sześć żółwi, gotowych do podjęcia podróży. Dwadzieścia trzy wciąż obciążone były żółtkiem, które musiały wchłonąć, nim mogły zmierzyć się z Atlantykiem. Leah zakopała je z powrotem w tym samym miejscu, a potem wygładziła piasek dłonią i ogrodziła drutem, żeby ochronić żółwie przed szopami, które mogły dobrać się do nich podczas porannego polowania. Tłum ruszył śladem Lucy i Leah na plażę pięćdziesiąt jardów

579

liii

dalej. Lucy narysowała na piasku złamanym kijem golfowym kolistą linię, której nie wolno było przekroczyć. Ustawieni za nią ludzie obserwowali uważnie, jak Leah przechyliła wiadro i dziewięćdziesiąt sześć żółwi wyskakują na zewnątrz, starając się jak najszybciej dotrzeć do morza. Zbliżał się przypływ, fale szły prosto z południa, a małe żółwie, każdy wielkości srebrnego dolara i koloru przybrudzonych wojskowych butów, rozpełzły się, nie zachowując żadnego szyku, nagle pełne życia i obarczone odpowiedzialnością za swój los. Tłum zaczął bić brawo, chcąc zdopingować je do szybszego biegu, a one potykały się, maszerując nieporadnie w stronę huczącego przy-boju. Jeden z żółwi wysforował się do przodu, wyprzedzając znacznie całą resztę, wszystkie jednak podążały w tym samym kierunku.

— Skąd one wiedzą, że powinny iść w stronę oceanu? - zapytała jedna z młodych matek.

— Naukowcy mówią, że idą w stronę światła - odparła Lucy.

— A co pani myśli?

— Te żółwie pochodzą podobnie jak moi synowie z Karoliny Południowej - stwierdziła Lucy, uśmiechając się do nas. -

Myślę, że słuchają przyboju. Myślę, że kochają po prostu muzykę plaży.

Kiedy pierwszy żółw dotarł do wody, fala przewróciła go na grzbiet, on jednak nie zrażony tym szybko się wyprostował. Poczul, że znalazł się w swoim żywiole, i kiedy nadeszła druga fala, potrafił już pływać. Czysty instynkt wiódł małe żółwiątko ku morzu, rejestrując na zawsze topografię i zapach tej plaży w ich świeżo ukształtowanych prymitywnych mózgach. Po tej jednej przechadzce można je było zabrać na Marsa albo do Lido w Wenecji, a mimo to i tak wróciłyby na Isle of Orion, żeby złożyć tu jaja. Miały genialny zmysł orientacji.

Za każdym razem, kiedy kolejny żółw dopełzał do wody, widziałem na twarzy Lucy radosny uśmiech. Ani na chwilę nie przestała obserwować brnących przez piasek małych stworzeń, które znalazłszy się w wodzie, śmigały niczym zrywające się do pierwszego lotu trznadle. Lucy patrzyła, jak wynurzają swoje węzowe główki z rozkołysanego wiatrem morza, łapia łyk powietrza, po czym ruszają dalej w najeżoną niebezpieczeństwami wspaniałą podróż. Zasłużyła na swoje szczęście i potrafiła się nim dzielić z obcymi.

580

— Zawsze, kiedy to widzę, wydaje mi się, że na nowo odkrywam Boga, Leah - powiedziała, biorąc moją córkę za rękę.

— To jest niezgodne z prawem, prawda? - zapytała jedna z turystek, podchodząc do Lucy. - Czytałam ostatnio artykuł, w którym pisali, że człowiek nie powinien ingerować w prawa natury.

— Natura chce, żeby te żółwie zginęły - odparła Lucy.

— W takim razie taka jest wola Boga.

— Możliwe. Ale ja na pewno się z nią nie zgodzę.

— Sprzeciwia się pani woli Boga? - zapytała kobieta. Miała rude włosy i złoty krzyżyk na szyi.

— Nie po raz pierwszy spieramy się na ten temat - zauważyła Lucy. - Już trzeci raz asystuje nam pani przy wykluwaniu się żółwi.

— Czwarty - poprawiła ją kobieta, oglądając się przez ramię w stronę stojących na wydmach domów.

— Niech pani zostanie z nami do jutra - odezwał się John Hardin. - Urządzamy wielkie przyjęcie na cześć mojej mamy. Wszyscy są zaproszeni.

— Nie zamierzam zostać tu tak długo - odparła kobieta i w tej samej chwili Lucy zobaczyła w jej źrenicy odbicie ob racającego się niebieskiego światła. - Właściwie muszę już iść.

— Nie powinna pani wzywać gliniarzy - powiedziała moja matka. - Próbuję tylko dać szansę tym żółwiom.

— Łamię pani prawo - stwierdziła kobieta. - Skończyłam biologię. Ingeruje pani w naturalne procesy.

— Doniosła pani na moją mamę gliniarzom - zawołał John Hardin, zamykając kobiecie drogę ucieczki.

— Zabij ją, John Hardin! - krzyknął Tee.

— Zamknij się, Tee - warknął Dupree, stając między Johnem Hardinem i kobietą. - Tylko spokojnie. Wszystko da się wyjaśnić.

— Moja mama jest chora na białaczkę, paniusiu - oznajmił John Hardin, obserwując z coraz większym wzburzeniem zbliżającą się policję. - Myśli pani, że pobyt w więzieniu pomoże jej zwalczyć raka?

— Nikt nie stoi ponad prawem - upierała się ruda.

— Ile lat dostanę za zabójstwo tej żony, Dallas? - zapytał John Hardin. Część turystów zaczęła szeptać między sobą, a jedna z kobiet zawołała do policjantów, żeby się pośpieszyli.

— Na pewno nie uznają tego za morderstwo z premedyta-

581

cją - odparł Dallas. - Dostałeś szału, kiedy ta pani doniosła na twoją chorą na raka mamę. Uwzględniając to, że złagodzą ci karę za dobre zachowanie, nie sędzę, żebyś musiał odsiedzieć więcej niż trzy lata.

— Moi chłopcy tylko się zgrywają, kochanie - wtrąciła Lucy, starając się uspokoić przerażoną rudą.

— Spędziłem pół życia w domu wariatów w Columbii - oświadczył John Hardin. - Ława przysięgłych na pewno ulituje się nad biednym schizofrenikiem.

— Przymknij się, John Hardin. A ty przestań go podjudzać, Dallas. Zrelaksuj się, kochanie. Idź do mojego domu i zrób sobie drinka - powiedziała matka, po czym widząc zbliżającą się szeryfa, któremu towarzyszyła Jane Hartley z Urzędu Ochrony Przyrody, ostrzegła nas podniesionym palcem.

— To pan, szeryfie? - zapytała słodkim głosem. - Co pan tu robi w tę piękną noc, kiedy kłusownicy polują na jelenie w środku sezonu ochronnego, a na rozlewiskach pełno jest cwaniaków łowiących krewetki?

— Dostałem na ciebie skargę, Lucy - oświadczył szeryf Littlejohn.

— Ja mam ich całą szufladę - dodała Jane Hartley. - Ale Lucy uważa, że jest mądrzejsza od policji i służb ochrony przyrody.

— Skoro taka jesteś wykształcona, wyjaśnij, dlaczego żółwie morskie uznano za zagrożony gatunek? - zwróciła się do niej Lucy.

— Jako twój adwokat doradzam ci, żebyś zachowała milczenie, mamó - powiedział Dallas.

— Czy oni aresztują "żółwiową damę", mamusiu? - za wołała stojąca w tłumie mała dziewczynka.

— Robię to od wielu lat. Dokładnie w ten sam sposób - stwierdziła Lucy. - A oni wciąż szukają na mnie nowego paragrafu.

— Mam nakaz twojego aresztowania, Lucy - oznajmił szeryf Littlejohn.

— Mama jest chora, szeryfie. Nie może spędzić nawet jednej nocy w areszcie - poinformowałem.

— Chodziłem z tobą do szkoły, Littlejohn - dodał Dupree. - Ledwo radziłeś sobie z angielskim.

— Zaliczyłem na trójkę - odparł urażony Littlejohn.

— Czy ktoś ma łyżkę do zdejmowania opon? - krzyknął

582

John Hardin, zwracając się do tłumu. - Zaraz zatłukę tę rudą małpę i rzucę ją krabom na pożarcie.

— Słyszał go pan, szeryfie - zawołała kobieta. - Ten człowiek groził mi w obecności przedstawiciela prawa.

— W jego głowie trajkocze więcej głosów niż w telewizorze - uspokoił ją szeryf. - Niech pani nie zwraca na niego uwagi.

— Jaki paragraf został naruszony, szeryfie? - zapytał Dallas.

— Nikomu nie wolno dotykać żółwiego gniazda - odparł Littlejohn.

— Ona pomaga im dotrzeć do oceanu - dodała Jane Har-

tley. - To sprzeczne z przepisami.

— Moja matka nie tknęła dzisiaj ani jednego jaja - oznajmiłem. - Mamy na to tłum świadków. Gniazdo odkopaliśmy ja i moja córka. Prawda?

W tłumie rozległy się głośnie potakiwania.

— W takim razie z przyjemnością aresztuję ciebie, Jack.

— Ale ona wszystkim kierowała - upierała się ruda. -

Z całą pewnością ona jest tutaj najważniejsza.

— No dalej, załóż mi kajdanki - prowokowała go Lucy, grając na uczuciach tłumu. - Moje zdjęcie znajdzie się jutro na pierwszych stronach wszystkich stanowych gazet.

— Zostaw moją żonę w spokoju, Littlejohn - odezwał się nagle donośny głos za plecami szeryfa. W naszą stronę zmierzał doktor Pitts, który zbiegł z werandy, żeby zobaczyć, jaki jest powód całego zamieszania. - Kiedy osiedliliśmy się na tej wyspie, z żółwich jaj robiono naleśniki i wafle. Zmieniło się to dopiero dzięki Lucy.

— Wracajcie do domu, ludzie - zawołał szeryf, turyści nie chcieli się jednak rozejść i przestępując nerwowo z nogi na nogę czekali, jak zakończy się scysja.

— Poświęciła wszystko dla tych cholernych żółwi - kontynuował doktor Pitts. - Wszystko.

— Nie twierdzimy, że nie robiła pożytecznych rzeczy w przeszłości - przyznała Jane.

— To ja odkopałam wszystkie żółwie - powiedziała Leah. - Wsadziłam je do wiadra i przyniosłam tutaj na plażę. Moja babcia nic nie zrobiła.

— To prawda - potwierdzili ludzie.

— Jeśli ktoś cię tknie, mamó, zabiję go gołymi rękoma - oświadczył John Hardin, stając między nią i szeryfem.

583

— Na nakazie aresztowania jest twoje nazwisko, Lucy - stwierdził szeryf Littlejohn.

— Przejedziemy się po prostu na posterunek - zgodziła się Lucy. - Chodź z nami, Dallas. Postarasz się wyciągnąć mnie za kaucją.

— Mam zaufać cholernemu adwokatowi? W tym kraju? - zaprotestował John Hardin. - Po Watergate nie wierzę, żeby któryś z was potrafił przeczytać numer telefonu zapisany w mej toalecie.

— Zamknij się, John Hardin - syknął Dupree. - Gadasz tak, jakbyś potrzebował zastrzyku.

— Człowiek wyraża zwykłą opinię, a ty chcesz mu od razu zaordynować thorazinę - oburzył się John Hardin.

Szeryf Littlejohn zakończył nagle dyskusję, zakuwając Lucy w kajdanki szybkim oszczędnym ruchem, który kompletnie wszystkich zaskoczył. Trzymana przez niego pod łokieć matka dała dwa kroki w stronę samochodu, następnie zaś stawiała opór władzy, tracąc przytomność i padając twarzą na piasek. Doktor Pitts rzucił się ku niej i uniósł jej głowę, a John Hardin złapał rudą kobietę w pól i przewrócił na ziemię. Moi bracia próbowali go od niej odciągnąć, ale John Hardin najpierw uderzył Tee w twarz, a potem kopnął Dallasa prosto w genitalia. Zrobił się taki harmider, że któryś z siedzących na werandzie mieszkańców zawiadomił posterunek przy wjeździe na Isle of Orion. W

końcu szeryf strzelił raz w powietrze, a doktor Pitts kazał się wszystkim rozstąpić, żeby Lucy miała czym oddychać. Littlejohn westchnął ciężko i pochylając się otworzył kajdanki, które spinały ręce Lucy. Po twarzy doktora Pittsa płynęły ciurkiem łzy, ale były to łzy gniewu, nie smutku. Chciał coś powiedzieć, ale wściekłość odebrała mu głos i jękał się tylko, klęcząc przy ciele swojej żony. Uświadomiłem sobie nie po raz pierwszy, że ten obcy człowiek, który poślubił moją matkę, kochają o wiele mocniej, niż ktokolwiek z nas potrafi sobie wyobrazić.

- W całym hrabstwie Waterford roi się od gwałcicieli, morderców, złodziei, ćpunów i oprychów! - wrzasnął Tee - a nieustraszony szeryf Littlejohn aresztuje naszą chorą na białaczkę matkę, której jedynym grzechem jest to, że pomaga małym żółwiom. Dobra robota, Littlejohn, ty zasrana metaforo dwudziestego wieku.

Thum zaczął powoli rzednąć, rozpraszając się niczym dym w łagodnym świetle zachodu. Zza linii wody wystawił czoło

584

blady księżyc. Ukłękłem, wziąłem matkę na ręce i ruszyłem z nią w stronę domu. Wciąż oniemiały z oburzenia doktor Pitts powlókł się za mną, a Dallas wziął Leah na barana i szybko nas dogonił. W sypialni, do której ją zaniósłem, Lucy wypila łyk wody, przebrała się w nocną koszulę i zaraz zasnęła. Kiedy wróciłem do salonu, doktor Pitts eksplodował.

— Muszę wam coś powiedzieć, chłopcy - zaczął, nalewając sobie pełną szklaneczkę szkockiej. - Wiem, że kochacie waszą matkę, i wiem, że ona was też kocha. Ale jeśli nie będziecie się kontrolować, wpędzicie ją do grobu. To bardzo proste: musicie się tylko nauczyć przebywać w jakimś miejscu, całkowicie go sobą nie wypełniając. Wychodzić na scenę, nie zajmując jej całej dla siebie. Żeby zwrócić na siebie jej uwagę, nie musicie wcale być najzabawniejszymi, najbardziej szalonymi, stukniętymi ani krzykliwymi facetami pod słońcem. Kocha was wszystkich. Ale wy robicie wokół siebie za wiele szumu, chłopcy. Żądam, żebyście przestali zamieniać każdą rzecz w wielką aferę. Kiedy się zjawiacie, wszystko od razu podkreślone jest na najwyższy regulator. Nauczcie się relaksować. Analizować każdą rzecz. Przyglądać jej się powoli i spokojnie. Dlaczego to jest takie trudne u McCallów? Dlaczego każdy wasz dzień wygląda jak zrobiony domową kamerą reportaż o Apokalipsie? Wasza matka musi od tego wszystkiego odpocząć. Potrzebuje spokoju. A jutro wydajecie na jej cześć przyjęcie i zaproszone jest całe miasto. Wszyscy. Nie spotkałem ani jednego człowieka," który nie byłby zaproszony. Czarni i biali, starzy i młodzi, wszyscy walą na ten bankiet, mimo że Lucy nie zna nawet połowy z nich. Najzwyczajniejsza pod słońcem rzecz przekształca się w wydarzenie, potem w spektakl, wreszcie w ekstrawagancję. Przy ciągacie hałas i nieporządek. Kochacie wszystko to, co szkodzi Lucy. Zabijacie ją. Zabijacie to, z czym nie macie odwagi się pożegnać...

— Zgadzam się z doktorem Pittsem - oświadczył John Hardin. - Wszyscy jesteście gówno warci. Powinno wam się zakazać zbliżać do mamy.

— Nie wiem, dlaczego nie prowadzisz kącika złamanych serc w gazecie dla szajbusów, John Hardin - powiedział Dupree.

— Miałeś najgorsze stopnie ze wszystkich braci - odpalił John Hardin. - Nadajesz się tylko do pracy z wariatami.
585

— Nie ma w tym nic złego. Dzięki temu mogę spędzać całe życie z takimi wspaniałymi facetami jak ty.

— Boże, jaki z ciebie prymityw - jęknął John Hardin. - Jak można naśmiewać się z umysłowo chorych.

— Obaj wprawiacie w przerażenie Leah - odezwał się cicho Dallas. - Jack wychował ją w przeświadczeniu, że świat pełen jest pluszowych misiów, darmowej pizzy i świętych Mikołajów. Nie została uodporniona na cały koszmar bycia McCallem.

— Posłuchajcie tylko, do czego to prowadzi - przerwał nam doktor Pitts. - Każdy z was podbechtuje drugiego. Czy nie możecie się po prostu zamknąć? Czy nie możecie się zamknąć i pozwolić mojej biednej żonie trochę się zdrzemnąć?

— Mamy odwołać przyjęcie? - zapytał Tee.

— Wasza matka nigdy by się do mnie nie odezwała, gdybym odwołał jej przyjęcie - powiedział doktor Pitts, wstając i ruszając do jej sypialni. - Pomóżcie mi po prostu jakoś przez to przebrnąć. Proszę. Błagam was.

— Postaramy się, doktorze - odparł poważnym tonem Dupree. - I dziękujemy, że kocha pan naszą mamę. To bardzo miło z pana strony i naprawdę to doceniamy.

— Miała ciężkie życie - dodałem - i rzadko kiedy mogła sobie pozwolić na chwilę relaksu. Ale powiedziała, że związek z panem jest najlepszą rzeczą, jaka jej się kiedykolwiek zdarzyła.

W dniu swojego przyjęcia, które określała z delikatną ironią mianem "Ostatniej Wieczery", Lucy wstała świeża i pełna wigoru. Włożyła śliczną suknię, którą nabyła w Saks Fifth Avenue w Atlancie, oraz kapelusz z szerokim rondem kupiony w butik przy Via del Corso w Rzymie. Obserwując doktora Pittsa, który przygotowywał jej ze strapioną miną śniadanie, promieniowała naturalnym pięknem, wyniesionym z gór Karoliny Północnej. Jego dobroć najwyraźniej sprawiała jej przyjemność, mimo że było w niej coś pruderyjnego i staroświeckiego. Doktor miał przez cały czas ściągnięte usta, jakby przed chwilą powiedział słowo "muchomor", a jego oblicze przypominało twarz starej służącej z talii pozaginanych kart, którymi graliśmy, gdy z powodu gorączki nie musieliśmy iść do szkoły. Domyślałem się, że miłość doktora Pittsa i Lucy opiera się na wspólnej potrzebie porządku i kurtuazji. Oboje zaznali w pierwszym małżeństwie wiele agresji i chaosu i teraz wreszcie trafili do bezpiecznego portu.

586

Miasto Waterford pogodziło się w końcu po czterdziestu latach ze stylem bycia mojej matki. W tym czasie dała się poznać zarówno z dobrej i czulej, jak też ze złej, wulgarnej strony. Pięciuset obywateli miasta przybyło na jej "Ostatnią Wieczere" - o dwustu więcej, niż zostało zaproszonych. Lucy nigdy nie zadzierała nosa i wszyscy w Waterfordzie wiedzieli, że drzwi jej domu są stale otwarte. Wiedzieli również, że w towarzystwie zawsze się uśmiecha. Przyszli pożegnać się z tym słynnym uśmiechem.

Mikę Hess proponował, żeby imprezę obsłużyła w profesjonalny sposób firma cateringowa, my jednak uparliśmy się, że damy sobie radę sami. Podobnie jak wszyscy moi bliscy koledzy, Mikę zakochał się w Lucy na długo przedtem, nim zaczął interesować się rówieśniczkami. Udzielając pierwszego wywiadu czasopismu "Premiere", powiedział dziennikarzowi, że nie miał pojęcia, iż w

małych miasteczkach mieszkają prawdziwe boginie - uświadomił to sobie dopiero w momencie, gdy na piątych urodzinach swego najlepszego przyjaciela ujrzał Lucy McCall. Powodem, dla którego Mikę spędzał u nas tyle czasu, była w równym stopniu łącząca nas przyjaźń, jak i słabość do lubiącej flirtować z młodymi chłopcami Lucy, a ja zawsze

0 tym wiedziałem. Była jedną z owych obdarzonych charyzmą matek, które zawsze znajdują czas, by wysłuchać i dać dobrą radę przyjaciołom swych dzieci, i robiąc to, wywarła lepszy lub

gorszy wpływ na wszystkich, którzy mieli dość szczęścia, by znaleźć się w jej pobliżu. Zespół Red Clay Ramblers ustawił instrumenty przy samym brzegu rzeki i niemal bez chwili przerwy grał swoje słodkie przeboje. Senator Ernest Holling zajął wraz ze swym dworem miejsce po prawej stronie trawnika ciągnącego się między wodą i domem, a jego republikański kolega, Strom Thurmond, cało wał w rękę wszystkie panie, które znalazły się w zasięgu jego wzroku. W powietrzu unosiły się aromaty potraw szkodliwych dla układu krążenia i miłych dla duszy. Dupree ustawił swój kociołek z gulaszem nie opodal linii stołów i czułem dobiegające stamtąd zapachy wieprzowej kielbasy, świeżej kukurydzy i kre wetek, łączące w sobie woń wiejskiego obejścia, otwartych pól i słonych kanałów. Naprzeciw mnie stał ubrany w dżinsy i ko szulę Dallas, rzucając krewetki na leżące na pustakach arkusze blachy, pod którymi paliły się jasnym płomieniem drewniane szczapy. Robił to z wielką precyzją, czekając cierpliwie, aż

587

krewetki pękające pod wpływem wzbierającej wewnątrz pary puszcza na blachę swój aromatyczny sok i będzie mógł je przerzucić na wyłożone gazetami stoły. Krewetki wydzielaly srebrzysty, lekko metaliczny zapach zroszonych deszczem szuwarów. Moje szwagierki i Tee nakładali na talerze oblane sosem musztardowym wieprzowe steki, które wyglądały, jakby pokryto je cieniutką warstwą złota. Przy trzech otwartych barach kłębił się rozgestykulowany tłum, a co parę kroków stały pojemniki ze schłodzonym piwem. Kobiety wystroily się w swoje najlepsze ciuchy, wiedząc z doświadczenia, iż Lucy nie wie, co to jest "ubiór nie zobowiązujący" i pojawi się w kreacji, która zaćmi wszystkie pozostałe, bez względu na to jak bardzo będą się starały poznać sekret obowiązującego na jej bankiecie stylu.

Mikę stał obok Lucy i doktora Pittsa w cieniu ośmiu jońskich kolumn na werandzie, pozdrawiając przybywających, którzy po uściśnięciu dłoni honorowego gościa mijali cały dom i wychodzili z drugiej strony, tam skąd płynęły dźwięki muzyki i zapachy dobrego jedzenia. Leah wręczyłem kamerę wideo, powierzając jej zadanie utrwalenia całego wydarzenia dla przyszłych pokoleń.

- Jesteś producentem, reżyserem, dźwiękowcem i scenarzystą w jednej osobie. Zakasuj Felliniego. Okryj nas sławą - powiedziałem jej.

Przez całe popołudnie Leah kręciła się w białej sukience w kilkusetosobowym tłumie. Należała teraz do Waterfordu tak samo jak wszyscy i za każdym razem, kiedy kierowała obiektyw na jakąś grupkę ludzi, ktoś podchodził do niej i przedstawiał pozostałym. Nieraz słyszałem, jak osoba, której Leah w ogóle nie znała, żywo reagowała na jej widok.

- Jejku, dziecko, aleś ty podobna do swojej matki. Shyla chodziła na lekcje baletu z moim wnukiem Baileyem i niech mnie kule biją, jeśli się razem dobrze nie bawili. Na scenie była śliczna jak lilia. Pamiętam ją, jakby to było wczoraj.

Leah była chyba zadowolona, że kamera oddziela ją od przeszłości, którą ci ludzie widzieli tak wyraźnie, patrząc na jej rysy. Za każdym razem, gdy z daleka dobiegało mnie imię Shyli, czułem chłód samotności, który ogarniał moją osieroconą córkę. I podobnie jak ona cieszyłem się, że ma tę

kamerę, która chroniła ją i pozwalała udawać niewidzialną. Aparat lub kamera jest kuloodporną kamizelką dla bardzo nieśmiałych, którzy nie
588

mają gdzie się schronić. Schowani za obiektywem mogą ukryć fakt, że nie mają obcym nic do powiedzenia.

Trzymając na gazie osiem garów z gotującym się makaronem, miałem wrażenie, że przed oczyma przesuwa się całe moje życie. Pani Lipsitz, u której w dzieciństwie stale kupowałem buty, zamówiła spaghetti z sosem pesto, po czym podjęła przerwana rozmowę z panem Edwardsem, u którego kupiłem swój pierwszy garnitur. Pan Edwards przybył na przyjęcie razem z trenerem Smallem, który nauczył mnie rzucać kręconą piłkę, i trenerem Singletonem, który pokazał mi, jak blokować przeciwnika. Obok stała Miss Ekonomii, która kazała mi śpiewać solo *God Rest Ye Merry Gentlemen* podczas pewnego sylwestrowego balu, kiedy w Colletonie chwycił mróz i zmarł pamiętający czasy Kolumba dąb rosnący nad rzeką. W przyjęciu brało udział ponad pięćdziesiąt osób o czarnym kolorze skóry i ponownie uświadomiłem sobie, ile zawdzięczam rodzicom, którzy nie tylko nie byli rasistami, lecz starali się ze wszystkich sił chronić nas przed zarażeniem się tym wyjątkowo aktywnym na Południu wirusem. Nasi rodzice prezentowali bardzo godną i niebezpieczną postawę w czasach, gdy południowcy jak jeden mąż popierali idee, które były zarówno niegodne poparcia, jak i zupełnie nieamerykańskie.

W 1956 roku, gdy miałem osiem lat, mój ojciec, sędzia Johnson Hagood McCall, był znakomitym, choć nieco krewkim prawnikiem. W tamtym okresie, gdy dopiero zaczynał się jego długi romans z butelką, adwokaci bali się go jak ognia, nie tolerował bowiem braku przygotowania i marnowania swojego cennego czasu. Jego reprimendy były miażdżące i szeroko znane, rozprawy krótkie, a wyroki sprawiedliwe. Chociaż nie był dobrym ojcem ani udanym mężem, praca w sądzie wydobywała z niego najbardziej pozytywne cechy, których istnienia sam nie podejrzewał. W historii Karoliny Południowej nie był to jednak najlepszy moment dla ludzi, którzy łączyli cnoty charakteru z sędziowską togą.

Był sędzią Czternastego Okręgu i w tym charakterze często opuszczał na dłużej Waterford udając się na sesje wyjazdowe. Sprawa, przez którą wpadł w tarapaty, była prosta, aczkolwiek kontrowersyjna. Nauczyciel angielskiego w szkole średniej, niejaki Tony Calabrese, został wyrzucony z pracy za otwarte wypowiedzianie się podczas zajęć za integracją rasową w szkołach publicznych. Pracodawcą pana Calabrese'a była rada szkolna

589

hrabstwa Reese, znanego w całej Karolinie Południowej z zacofanych poglądów swych obywateli. Ojciec określał je mianem "światowej stolicy kazirodztwa" i okazywał głęboką pogardę jego prawnikom. Tony Calabrese nie przeczył, iż opowiadał się za integracją w szkołach, był to jednak jego zdaniem wyłącznie chwyt pedagogiczny mający na celu pobudzenie do dyskusji uczniów, którzy byli tępi jak osły i głusi na wszelkie idee. Tony'emu Calabrese, który urodził się w Haddonfield w New Jersey w rodzinie imigrantów z Neapolu, nie pomógł specjalnie fakt, że był praktykującym katolikiem i republikaninem.

Podczas procesu ojciec ustalił, że zwalniając pana Calabrese, rada szkolna pogwałciła wszelkie możliwe przepisy, których przestrzeganie wymaga się w takich sytuacjach. Sam nauczyciel był nieprzejednany i impulsywny i kiedy tylko mógł, pouczał swoich pracodawców. Nie kryjąc oburzenia powtarzał, że nie pozwoli wyrugować świata idei z żadnej klasy, w której naucza, i nikt nie będzie go prześladował dlatego, że myśli to, co uważa za stosowne myśleć. Przysłuchując mu się, ojciec doszedł do wniosku, że podobny proces przydałby się w każdym małym miasteczku. W miarę jak atmosfera na sali sądowej stawała się coraz bardziej niechętna i wroga, zaczął po cichu sprzyjać, a potem identyfikować się z niepokornym powodem, który wniósł pozew przeciwko źle przygotowanej radzie szkolnej.

— Jak to się stało, że trafił pan do hrabstwa Reese, panie Calabrese? - zapytał go pod koniec procesu.

— Takie już moje parszywe szczęście, Wysoki Sądzie - odparł z uśmiechem Calabrese.

Ojciec roześmiał się, sala jednak przyjęła wybuch jego wesołości w kamiennym milczeniu. Spór został rozstrzygnięty na korzyść Tony'ego Calabrese. Ojciec przywrócił go do pracy i zasądził zaległe pobory, następnie zaś popełnił błąd, udzielając pouczenia radzie szkolnej i obywatelom hrabstwa Reese.

- Nie wolno wam zwalniać nauczyciela za to, że dyskutuje w klasie o problemach, o których pisze się na pierwszych stronach naszych gazet. Można nie zgadzać się z ideą integracji, ale każdy, kto potrafi czytać, zdaje sobie sprawę, że jest ona nieunikniona. Nie zmienicie tego, choćbyście zwolnili dzisiaj stu takich ludzi jak Calabrese. On przygotowywał po prostu wasze dzieci na to, co czeka je w przyszłości. Udzielając mu dymisji, daliście wyraz swojej frustracji, potwierdziliście, że trzymacie się kurczowo przeszłości. Przeczytałem ponownie

akta sprawy Browna przeciwko radzie szkolnej * miasta To-peka. Orzeczeniu można wiele zarzucić z punktu widzenia polityki społecznej, ale pod względem prawnym jest bez zarzutu. Nie można wyrzucić z pracy nauczyciela za to, że uczy praw konstytucyjnych. Integracja stanie się w Karolinie Południowej faktem niezależnie od działalności ludzi takich jak Calabrese.

Tej nocy w hrabstwie Reese dziesięciu zamaskowanych mężczyzn napadło na Tony'ego Calabrese i chociaż stawiał zaciekły opór, pobili go do nieprzytomności pięściami i styliskami siekier. Spalili jego samochód i dom, następnie zaś wywieźli na granicę stanu New Jersey i porzucili tam ośleplego na jedno oko i związanego w worku na ostygi. Napastników nigdy nie udało się ująć, byli jednak dobrze znani swoim ziomkom, którzy uważali w głębi serca, że Calabrese otrzymał w pełni zasłużoną lekcję wychowania obywatelskiego i dowiedział się, jak załatwia się te rzeczy na Południu.

Wieczorem w dniu zakończenia procesu ojciec wydał uroczystą kolację dla lokalnych polityków i ich żon, którzy spotkali się w naszym domu, aby omówić kwestię zbierania funduszy na rzecz ubiegającego się o stanowisko gubernatora młodego polityka o nazwisku Ernest F. Holding.

Wiadomość

0 zaginięciu Calabrese'a dotarła szybko do Waterfordu. Przekazując ją szeryf zasugerował, żeby na tydzień lub dwa wysłać do naszego domu uzbrojonego funkcjonariusza. Ojciec, który w swoim rodzinnym mieście czuł się zupełnie nie zagrożony, wcale się nie przejął. Matkę jednak bardzo to zaniepokoiło

1 szykując przyjęcie sprawdziła wszystkie prowadzące do domu alejki, a potem zadzwoniła w tajemnicy do szeryfa, żeby zapytać, czy nie ma jakichś nowych informacji o porwanym nauczycielu. Była w szóstym miesiącu ciąży z moim najmłodszym bratem, Johnem Hardinem, i uważała, że zna o wiele lepiej od ojca poglądy białych farmerów na temat integracji w szkołach. Położyła wcześniej spać Dallasa, Dupree, Tee i mnie, następnie zaś sprawdziła wszystkie zamki w oknach. Cała nasza czwórka obserwowała ze zdumieniem po południu, jak matka tłucze w zlewie słoiki do przetworów i sypie okruchy szkła na balustradę okalającą werandę. Podczas gdy Lucy

* W sprawie Browna przeciwko Radzie Szkolnej miasta Topeka Sąd Najwyższy orzekł w roku 1954, iż segregacja w szkołach jest sprzeczna z zasadą równości, a przez to niekonstytucyjna.

591

podejmowała środki zapobiegawcze, ojciec uderzył w gaz. Bourbon dodał mu odwagi i uśmierzył obawy związane z zaginięciem Tony'ego Calabrese.

Z powodu Jacka Danielsa nadchodząca noc nie budziła w ojcu żadnych obaw; z powodu Jima Crowa * matka położyła wszystkich moich braci razem za mną i postawiła na straży przy drzwiach Chippie.

Lucy nakryła elegancko do stołu i obserwowała, jak dostojni goście schodzą się powoli do oświetlonej kandelabrami jadalni, w której unosiły się zapachy pieczonych kornwalijskich kurczaków, brązowego ryżu i rzepy. Przypatrywała się Becky Trask i Julii Randel, które niczym siadające na peoniach tropikalne motyle spoczęły z gracją na wysuniętych przez mężów krzesłach. Spałem już, kiedy Chippie wstała z mego łóżka, zbliżyła się do okna i zaczęła wpatrywać się w mrok. Miała zjeżone na karku włosy, a w gardle wzbierał jej groźny pomruk. Podniosłem się i stanąłem obok niej, ale noc była bezksiężycowa i niczego nie zobaczyłem. Nie mogłem jej jednak w żaden sposób uspokoić.

- Nic się nie stało, Chippie - powtarzałem, lecz sierść na jej karku mówiła co innego, a z gardła dobywało się warczenie, którego nie potrafiły uciszyć moje słowa.

Nagle cegła rozbiła szybę na dole i wylądowała dokładnie na środku stołu. Za chwilę poleciały za nią następne i usłyszałem krzyk Becky Trask, która oberwała w ramię. Ludzie przewracali gorączkowo krzesła, usiłując zasłonić się przed pociskami. Niedopalone świece fruwały po całym pokoju, a ojciec zorientował się, że leży na burmistrzu miasta.

- Ukatrupimy cię, ty przyjacielu czarnuchów - rozległ się głos w ciemności. - Ukatrupimy cię na śmierć.

Po chwili w okna posypał się grad kul. Usłyszałem płacz kobiet i krzyki mężczyzn, którzy wzywali jeden drugiego, żeby coś zrobić. A potem, dokładnie pod moim oknem, zagrzmiął wystrzał, zupełnie jakby ktoś stał na werandzie i strzelał z bliskiej odległości do intruzów.

- Wystrzelają nas jak króliki - zawołał burmistrz, ale po kilku sekundach ponownie rozległ się wystrzał z dubeltówki i napastnicy najwyraźniej zrejterowali. W oddali usłyszałem

* Tytuł jednej z wczesnych pieśni spirituals; symbolizuje dyskryminację lub segregację czarnych.

592

wycie syreny, na które zamknięta z nami w pokoju Chippie odpowiedziała histerycznym ujadaniem. Leżący na podłodze goście zobaczyli cień przecinający próg frontowych drzwi, a chwilę później w migotliwym blasku świec pojawiła się Lucy, trzymając w ręku dymiącą dubeltówkę, którą odstawiła na stojak. Matka rozumiała psychikę białych mieszkańców hrabstwa Reese o wiele lepiej aniżeli ojciec ze wszystkimi swoimi dyplomami i finezją, których wymagało rozstrzygnięcie prawniczych sporów.

Przygotowała kolację, a później naładowała dubeltówkę na wypadek, gdyby jacyś nieproszeni goście chcieli wyrządzić krzywdę jej rodzinie. Otworzywszy drzwi, strzeliła prosto z biodra i położyłaby trupem każdego napastnika, który wtargnąłby na pogrążoną w półmroku werandę. Ten incydent był pierwszym w długim szeregu zdarzeń, które skłoniły miasto Waterford do zrewidowania swojej opinii na temat Lucy.

Moi bracia i ja wielokrotnie słyszeliśmy w dzieciństwie opowieść o nocnych jeźdźcach. Widniejące w ścianie w jadalni i nad kominkiem dziury po kulach nigdy nie zostały załatane i przypominały nam stale, że ojciec miał odwagę bronić swoich przekonań i że żyjąc w społeczeństwie, które skłonne jest ulegać swoim najgorszym instynktom, należy zawsze stać na straży wartości.

Przypominały także ojca, z którego mogliśmy być dumni, choć prawdę mówiąc, był to ojciec, którego pamiętaliśmy bardzo słabo. Kulki śrutu po zaskakującej salwie Lucy utkwily w trzech kolumnach na werandzie. Stanowiły memento i lekcję dla jej dzieci oraz ostrzeżenie dla tych, którzy zbliżali się do naszego domu ze złymi zamiarami. Każdy, kto to robił, wiedział, że czyni to

na własne ryzyko. Proces Tony'ego Calabrese był szczytowym punktem w karierze mojego ojca. Wspominałem te heroiczne czasy patrząc, jak gubernator Dick Riley bierze Lucy za rękę i witani brawami schodzą razem do ogrodu. Całkiem niezłe jak na dziewczynę z zabitej deskami prowincji, mamó, pomyślałem, gdy Strom Thurmond pocałował ją w rękę, a Ernest Holding ubiegł biskupa Unterkoefflera, pozując z nią do zdjęć, które robili fotoreporterzy z miast tak odległych jak Charlotte. Kiedy Ramblersi zagrali Tennessee Waltz, burmistrz Charlestonu, Joe Riley, poprosił moją matkę do tańca, Tee zaś namówił Leah, żeby odłożyła kamerę i puściła

593

się w tany ze swoim "ulubionym" wujkiem. Zanim bankiet dobiegł końca, Leah zdążyła zatańczyć z połową męskiej populacji Waterfordu i kręciło jej się w głowie od nowych twarzy, które usiłowała umieścić w rozgrywającej się w tej małej mieścinie historii swych rodziców. Uśmiechając się ukradkiem patrzyłem, jak wiruje po trawniku w objęciach mężczyzn, z których każdy pojawił się kiedyś na dłużej lub krócej w życiu moim i Shyli.

Kiedy Ramblersi zaczęli grać słynne plażowe przeboje z okrytych chwałą, dawno minionych dni Myrtle Beach, cisnąłem swoją kucharską czapkę obok talerzy z dymiącym makaronem i wybiegłszy do ogrodu, w płaczącym się między nogami fartuchu, poprosiłem do tańca moją matkę. Piosenka Green Eyes z repertuaru Jimmy'ego Ricksa i Ravensów przeniosła mnie z powrotem na molo Folly Beach, dokąd latem 1969 roku wybraliśmy się w nocy razem z ośmioma starymi kumplami nową impalą Capersa, mknąc wysadzaną cyprysami szosą numer 17, popijając piwo i śpiewając piosenki płynące z włączonego na cały regulator radia, owiani ciepłą bryzą, która niosła zapach lilii z Edisto River.

Ruszyłem razem z Lucy ku reszcie gości i słońcu i patrząc jak Leah filmuje nasz taniec, zaśpiewałem mojej ślicznej matce Green Eyes. A potem, gdy zamknąłem oczy i wsłuchałem się w rytm muzyki, ręka mamy zmieniła się w rękę Shyli i moje stopy zaczęły sunąć po trawie tak, jak sunęły po drewnianej podłodze domu Middletonów dawno temu, kiedy Atlantyk wyszedł nam na spotkanie. Nasza miłość była wtedy zaledwie szkicem i czekającą na spełnienie zapowiedzią, a przerywany strwożonymi okrzykami kolegów śmiech Shyli planem spisku i obietnicą tego, co miało nastąpić. Owej nocy Shyla pisała oczyma miłosną pieśń za każdym razem, gdy na mnie spojrzała. Krążąca w moich żyłach krew wydawała mi się przy niej miejscem, do którego musieli dotrzeć bogowie, kiedy odkryli ogień. Miłość do Shyli różniła się od miłości, którą czułem do Lucy, a jednak coś je łączyło - coś, co płonęło we mnie czystym surowym ogniem. Coś świętego musiało łączyć kobietę, która wydała mnie na świat, z kobietą, która urodziła moją słodką Leah, filmującą teraz ten taniec. Czy może być na świecie coś bardziej uroczego aniżeli syn tańczący ze swą słynną z urody mamą, przeszło mi przez głowę i pociągnąłem tę myśl dalej. Byłem szczęśliwy, mogąc kochać Lucy czystą nieskażoną miłość-

594

cią, ponieważ tylko ona nosiła dla mnie twarz matki. To słowo odnosiło się tylko do jednej kobiety pod słońcem i głęboko cierpiałem, gdy przyszło mi uciekać przed tym, jak ta kobieta wyobrażała sobie macierzyńską miłość. Pokrętny charakter Lucy nauczył mnie, że matki mogą pojawiać się w najbardziej zaskakujących przebraniach...

Poczułem klepnięcie w ramię i odwróciwszy się, zobaczyłem Dallasa, który poprosił, abym odstąpił mu część tańca. Do pójścia w jego ślady szykowali się Tee i Dupree. Synowie mieli pierwszeństwo; wiedziałem, że dopiero później mogą poprosić matkę do tańca inni mężczyźni. Potem jednak rozejrzałem się i zobaczyłem ojca, który odgrywał nie powierzoną mu przez nikogo, lecz najwyraźniej akceptowaną rolę szarej eminencji, kręcąc się między gośćmi z miną dyrektora cyrku. Ze względu na zszarganą opinię sędziego, obserwowaliśmy bacznie wszystkie jego ruchy i sygnalizowaliśmy sobie dłońmi, kiedy przemieszczał się z pola widzenia jednego w pole widzenia innego syna. Obserwując przez wiele lat jego pijackie burdy, a także horror, w jaki potrafił zamienić życie wszystkich związanych z nim osób, zrozumiałem, dlaczego rozstrzeliwuje się podczas wojny strażników, którzy zasną na posterunku. Widziałem, jak mój ojciec zepsuł dziesiątki przyjęć nie

mniej miłych od tego.

Na razie jednak całkowicie się kontrolował. Jego synowie nalegali, by skreślić nazwisko Johnsona Hagooda z listy zaproszonych, Lucy jednak osobiście udała się do kancelarii i wręczyła mu zaproszenie. Powiedziała mi potem w zaufaniu, że rozmawiali ponad godzinę i sędziego wzruszył intymny charakter spotkania oraz waga, jaką przywiązywała do spędzonych z nim wspólnie lat.

— Twoja matka to niezła sztuka - poinformował mnie teraz.

— Upij się tylko, to cię zabiję - odparłem z miłością.

— Nigdy w życiu nie upiłbym się na przyjęciu własnej żony - stwierdził z irytującą żarliwością.

Okazało się jednak, że przyłączając się z dystygowaną miną mistrza ceremonii raz do jednej, raz do innej grupy, stara się dotrzymać słowa. Ubrany w nieskazitelny biały letni garnitur, zachowywał się przez cały czas z nienagannym wdziękiem i omijał ostrożnie główną scenę, na której królowała Lucy i doktor Pitts.

- Jaki to przystojny mężczyzna - powiedział ktoś, kto

595

rozmawiał z Ledare, i zauważyłem, że Leah filmuje dziadka, gdzie tylko się pokaże.

Kiedy Ramblersi zagrali swoją wersję Wonderful by Night Berta Kaempferta, moi bracia spojrzeli szybko w stronę zespołu, tknięci wszyscy tą samą myślą co ja: że pieniądze przeszły z ręki do ręki. Był to ulubiony wolny taniec moich rodziców, i wstrzymując oddech patrzyłem, jak sędzia podchodzi do Lucy.

Stanąwszy przed nią, skłonił się głęboko, a ona dygnęła w odpowiedzi. Ojciec zapytał doktora, czy wolno mu będzie zatańczyć z jego śliczną żoną, na co doktor odpowiedział przyzwalającym gestem dłoni. Oboje ruszyli wirując na środek elegancko przystrzyżonego trawnika; ojciec pewnie prowadził matkę, tańcząc sugestywną i ekstrawagancką wersję tego, co było niegdyś zwykłym walcem. Wszyscy odsunęli się na bok, ja zaś nie byłem w stanie oderwać od nich wzroku. W ciągu tych dwóch minut nie zdołałbym odezwać się do nikogo. To, że tak pięknie razem tańczyli, głęboko mnie poruszało; to, że ich życie okazało się taką kompletną katastrofą, wstrząsało mną jeszcze bardziej; to, że są moimi rodzicami, rzucało mnie niemal na kolana. Śledziłem ich oczyma, wiedząc, że ten taniec jest dla nich tak samo ważny jak dla ich synów.

Kiedy piosenka się skończyła, ojciec odprowadził matkę z powrotem do doktora Pittsa. Dwaj mężczyźni objęli się i za przykładem Lucy wszyscy zaczęli bić brawo.

Mike i Ledare stanęli obok mnie i objąwszy się ramionami słuchaliśmy w trójkę Ramblersów, którzy grali dalej wiązankę klasycznych plażowych przebojów. Kiedy rozległy się pierwsze takty Sixty Minute Man, tłum zareagował głośnym aplauzem.

— To moja piosenka. Moja piosenka - zawołał Mike, przebierając nogami i dając znak Ledare, że chce z nią zatańczyć. Ledare podała mu rękę z nonszalancją kota mierzącego odległość między podłogą i blatem stołu.

— Cóż za przystojna kobieta - zawołałem za nią.

— Żebyś wiedział - odparła. - Cieszę się, że to zauważyłeś.

— Kto po raz pierwszy zaśpiewał tę piosenkę? Tę świętą pieśń, która powinna zostać umieszczona w Talmudzie? - zapytał Mike.

— Mam to na końcu języka - odpowiedziała.

— Billy Ward i Dominoes - pomogłem jej.

— Bez Jacka nie ruszyłbym z miejsca - stwierdził Mike. - Przeszłość jest dla niego taką samą świętością jak dla

596

mnie. Wyjdź za mnie, Ledare. Jesteś jedyną znaną mi kobietą, z którą jeszcze się nie ożeniłem.

— Czy potrafiłabym cię uszczęśliwić, Mike? - zapytała.

— Oczywiście, że nie. Ponieważ nadal byłbym sobą. Człowiekiem uwięzionym w umyśle i duszy Mike'a Hessa, którego nic nie potrafi zadowolić. Rozglądającym się po całym świecie i próbującym odnaleźć szczęście, którego zaznał tu kiedyś jako dziecko.

— Pragnę kogoś uszczęśliwić - oznajmiła Ledare. - Być może mam nawet w tym kierunku pewne predyspozycje.

— Dobra kwestia - przyznał Mike. - Umieść ją w scenariuszu. Chociaż nie. Za bardzo cię lubię, żeby się z tobą żenić. Wszystkie moje były żony mnie nienawidzą. Wszystkie są milionerkami. Opływają w większe bogactwa niż Ludwik Czternasty i wszystkie utopiłyby mnie w łyżce wody. Podlicz, ile ci się należy, i zadzwoń do mojego księgowego. On jeden tu się liczy. Hej, babciu, puśćmy się w tany - zawołał, ruszając wraz z Ledare ku Esther Rusoff i pomagając staruszce wstać z krzesła. Esther protestowała przy każdym kroku, ale Ledare złapała za rękę Maxa Rusoffa i cała czwórka zaczęła płaszać pośród innych tancerzy.

— Nie zapomnij tego sfilmować, Leah - powiedziałem. -

Ledare tańczy z Wielkim Żydem, a Mike z Esther, jego żoną.

Po chwili zobaczyłem Capersa i jego młodziutką żonę Betsy, którzy nie tracili żadnej okazji, aby zbić polityczny kapitał. Ich uśmiechy prawie nie różniły się od siebie; można było pomyśleć, że ten sam ortodonta nakładał im na zęby ten sam druciany aparat. Skoncentrowani i pełni złowrogiego wdzięku, niczym wyruszająca na polowanie para lwów, urabiali wspólnie szeregi wyborców.

Widziałem, że co jakiś czas wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia, przyznając, że stanowią zgraną parę.

- Czy twój brak pewności siebie jest efektem długich ćwiczeń, Betsy? - zapytałem, kiedy podeszli do mego stolika. -

Czy może taka już się po prostu urodziłaś?

W jej oczach zabłyśły iskierki gniewu, ale była zbyt dobrze wychowana, żeby połknąć haczyk.

— Ach, to ty, Jack. Właśnie o tobie mówiłam. Mam nadzieję, że zarezerwowałeś już sobie bilet powrotny do Włoch.

— To było dobre - przyznałem. - Jaka szkoda, że nasza przyjaźń umrze śmiercią naturalną.

597

— Ja osobiście nie mam nic przeciwko temu.

— Podoba mi się, kiedy jesteś złośliwa, Betsy - odparłem. - To mnie podnieca.

— Nie pozwól, żeby mój stary kumpel Jack wyprowadził cię z równowagi, kochanie - wtrącił Capers. - To do mnie, nie do ciebie żywi urazę.

— Cieszy mnie, że nie owijasz tego w bawełnę - stwierdziłem.

— Słyszałem, że moja była ma na ciebie oko - oznajmił.

— Mam taką nadzieję.

— Będziemy w pewien sposób spokrewnieni - dodał.

— Oczywiście. Mamy nawet zamiar nazwać nasze pierwsze dziecko na twoją cześć.

— Czuję się zaszczycony.

— Nie wydaje mi się tylko, żeby Lewatywa była ładnym

imieniem. Jak sądzisz, Betsy?

— Jack, Jack - upomniał mnie Capers. - Gdzie się po
działy twoje dobre maniery?

— Przepraszam, Betsy - powiedziałem. - Nie wiem, co
we mnie wstąpiło.

— Nie jestem w stanie uwierzyć, że kiedyś lubiłeś tego face
ta - zwróciła się do Capersa.

— Źle mnie oceniasz - powiedziałem, udając rozzale
nie. - Kiedyś przypominałem wszystkim Dzieciątko Jezus.
Ale potem przeczytałem "Das Kapital".

— Zastanawiam się, czy spotkałam kiedyś większego dup
ka - mruknęła.

— W kościele. Czekał na ciebie przy ołtarzu. W dniu twojego
ślubu, kochanie.

Betsy wyglądała przez chwilę tak, jakby miała wybuchnąć, ale potem na jej twarzy ukazał się
promienny uśmiech i ruszyła w stronę przechodzącej przez trawnik przyjaciółki.

- Betsy jest dla ciebie idealną żoną, Capers - stwierdzi
łem. - To chyba najgorsza potwarz, jaką można sobie wyob
razić.

Na chwilę umilkłem, widząc zbliżającego się Mike'a.

- Twoja matka bawi się za wszystkie czasy - oznajmił.
Przyjrzałem się Lucy, która stała otoczona wianuszkami
adoratorów i starych przyjaciół.

- To bal jej życia. Dziękuję, że oddałeś nam do dyspozycji
dom - powiedziałem.

598

— Kiedyś na myśl o Lucy normalnie mi stawał - przyznał
Mike. - Ale te same kłopoty mieli chyba wszyscy.

— To chyba najśłodszy komplement - skomentowałem.

— Łatwo jest być ładnym - oznajmił Capers. - Ale bycie
seksownym to prawdziwa sztuka.

— Ty powinienes o tym wiedzieć najlepiej. Jesteś ładny
i seksowny - odparł Mike.

— Geny to najcenniejszy kapitał - roześmiał się Ca
pers. - Wiesz już o czwartku? - zapytał mnie.

Potrząsnąłem głową.

— Powiedziałem Ledare, żeby poprosiła cię o zarezerwowa
nie dla nas czwartkowego wieczoru - wyjaśnił Mike.

— O co chodzi? - zainteresowałem się.

— Spektakl światła i dźwięku - rzucił Capers, ruszając
w stronę limuzyny Stroma Thurmonda, która zajęła po
senatora.

— Nie mogę ci nic powiedzieć. Nawet Capers nie zna szcze
gółów - dodał Mike. - Ale to będzie prawdziwe wydarzenie.
Być może jeden z najważniejszych dni w całym naszym życiu.

— Powiedz coś więcej.

— Dzwonił Jordan. Chce, żebyśmy wszyscy razem znowu
się spotkali.

— Myślałem, że jest w Europie - mruknałem, poruszony tą
informacją.

— Założę się, że kłamiesz, Jack - odparł ze śmiechem

Mike. - Ale nie musisz się przejmować. To Jordan się ze mną skontaktował. Mnie nie udało się go wytropić.

— Gdzie mamy się spotkać?

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Wciąż trwają negocjacje. Rozmawiając z nim, mam wrażenie, jakbym starał się przyspilić Ducha Świętego. Myślę jednak, że to radykalnie pchnie do przodu sprawę naszego filmu. Jordan chce konfrontacji z Caperssem.

— Dlaczego skontaktował się właśnie z tobą? - zapytałem.

— W końcu zgodził się sprzedać mi historię swojego życia - oświadczył Mike. - Myślę, że ma zamiar się ujawnić. Jeśli chcesz znać moje zdanie, założę się, że potrzebuje forsy na adwokatów.

— Jeśli ty albo Capers spróbujecie go zapuszkować - ostrzegłem Mike'a, łapiąc go za przegub - obaj będziecie pływać twarzą w dół w basenie portowym.

599

— Jestem po twojej stronie, człowieku - oburzył się Mike. - A Capers nie miałby odwagi mnie wykiwać.

— Uważaj, co robisz - upomniałem go. - Połowa ludzi zaproszonych na to przyjęcie brała udział w nabożeństwie żałobnym Jordana w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym. Są przekonani, że nie żyje.

— To wszystko bogobojni chrześcijanie - stwierdził Mike, lustrując wzrokiem gości. - Zmartwychwstanie nie jest ideą, z którą nie potrafiliby się pogodzić.

— Kto tam jeszcze będzie?

— Negocjacje są w toku. I tak powiedziałem ci więcej niż komukolwiek. Zarezerwuj sobie czas w czwartek.

— Nie mogę. Jadę do Fordham's Hardware, żeby kupić nawóz dla moich afrykańskich fiołków - odparłem.

— Jesteś zaproszony razem z Ledare - powtórzył Mike, ignorując moje słowa. - Szczegóły przekażę ci telefonicznie.

— Czy ludzie w Hollywoodzie mówili ci kiedyś, żebyś się odpierdolił? - zapytałem.

— Ludzie w Hollywoodzie trzęsą przede mną portkami - odparł Mike i powiedział to rzeczowym, wcale nie wrogim tonem. - Motłoch nie potrafi zdobyć się na większy komplement.

— Do zobaczenia w czwartek - rzuciłem.

— Byłem kiedyś fajnym smarkaczem, prawda, Jack?

— Byłeś wspaniały. Nie znałem bardziej sympatycznego chłopaka - przytaknąłem.

— Nie podoba ci się to, kim teraz zostałem?

— Zgadłeś.

— Nawet grawitacja nie może powstrzymać swobodnego upadku, Jack - stwierdził Mike głosem, w którym zabrzmiał żal. - Kiedyś inaczej się oceniałem. Uważałem się za młodego człowieka w natarciu. Zdolnego i odnoszącego sukcesy. A po tem obejrzałem film własnego życia i przeraziło mnie to, co

zobaczyłem. Wprawiam w zakłopotanie własną matkę.
— Bądź trochę miłszy, Mike. Jesteśmy południowcami. Wiąże się z tym wiele złego, ale uprzejmość jest czymś, co mamy zapisane w genach. Tacy już jesteśmy.

— Oczywiście - zgodził się Mike, ale spostrzegłem, że jego uwagę przykuwa jadący Avenue of Oaks volkswagen z rozsuwanym dachem, model 1968, niegdyś żółty, teraz jednak spłowiały od słońca i nie myty chyba od dziesięciu lat. - Co
600

to za samochód? Czy nie jeździłeś przypadkiem tym garbusem w college'u?

- Przechodził z brata na brata. Teraz ma go John Hardin. Wykonał własnoręcznie prezent dla mamy - powiedziałem.

Volkswagen, z którego tylnego siedzenia wystawał przykryty kocami mebel, kluczył między zaparkowanymi samochodami, kierując się ku głównemu stołowi, gdzie zasiadała Lucy. Ludzi zrobiło się jakby mniej, ale wciąż obecni byli najbliżsi przyjaciele, a barmani przygotowywali drinki przy obu węglach domu. Lucy zabawiała gości przy swoim stole, opowiadając historyjki, w których, choć skrzyły się dowcipem, nie było ani śladu złośliwości. Siedząca obok niej Leah obserwowała, jak babcia hipnotyzuje słuchaczy, przerywając w pół zdania anegdotę i unosząc figlarnie jedną brew przed wypowiedzeniem pointy. Moja córka wypróbowała na mnie w domu tę samą sztuczkę, nie potrafiła jednak unieść jednej brwi, nie unosząc przy tym drugiej. Na oczach Leah mocarna brew Lucy ponownie powędrowała w górę, kierując się tym razem ku samochodowi syna. John Hardin nieraz wyprowadzał ją z równowagi, nic jednak nie było w stanie osłabić jej miłości do tego biednego skrzywdzonego dziecka. Starła się opanować niepokój, kiedy w podejrzanym, aczkolwiek bardzo wylewnym sposobie pozdrowił ją i jej gości. Ludzie zaczęli bić brawo, a ona wstała i trzymając Johna Hardina za rękę podeszła do volkswagena. Jego czoło lśniło od potu. John Hardin obdarzony był aktorskim instynktem, który czasem dawał efekty dziwaczne, a czasem przerastające rzeczywistość. Niczym prawdziwy showman kazał zasłonić Lucy oczy, a perkusista Ramblersów, wczuwając się w nastrój chwili, poprzedził odsłonięcie uroczystym tuszem. John Hardin zwinął zręcznie plandeki i koce, którymi obwiązany był jego dar, a potem zawahał się chwilę przed zdjęciem ostatniej zasłony. W końcu ściągnął ją jednym silnym szarpnięciem, podniósł prezent z tylnego siedzenia i złożył go u stóp matki, nie zdając sobie sprawy z konsternacji, jaką wzbudził wśród gości.

John Hardin zbił dla Lucy trumnę z rozłupanego przez piorun dębu, który rósł na zachodnim krańcu Isle of Orion. Położył ją na trawie i wodząc dłonią matki po gładko wypolerowanych deskach zademonstrował, z jakim kunsztem została zrobiona - tak jakby sporządził dla niej skrzypce z najbardziej delikatnego, słodko pachnącego drewna. Trumna lśniła się
601

i w miejscach, gdzie pozostawiła ślady piła, widać było wyraźnie słoje. Spostrzegłem, że Lucy też doznała szoku, kiedy John Hardin ściągnął ostatni koc zasłaniający jego dar, szybciej jednak niż inni zreflektowała się wiedząc, że w jego potrzaskanym izolowanym świecie ta trumna jest rodzajem miłosnego listu. Jej chory na schizofrenię syn nigdy nie potrafił dopasować swych nieporadnych żarliwych gestów do powszechnego kanonu.

— Przywiózł jej również trzy galony płynu do balsamowania - szepnął Dallas, potrząsając głową.

— Popatrzcie, co za wykonanie - stwierdził z podziwem Dupree. - Idealne proporcje. John Hardin powinien budować jachty.

— Chciałbym powiedzieć coś dowcipnego - oznajmił Tee, podchodząc do nas bliżej - ale tak się składa, że jestem najmniej dowcipny z wszystkich braci. Wymyślę z pewnością coś

śmiesznego, nie stanie się to jednak wcześniej niż za dwa miesiące, kiedy będę zjeżdżał z autostrady albo próbował wyciągnąć forszę z bankomatu, wiedząc, że nie mam nic na koncie. Wiem, że wy chłopcy rzuciliście już sześć albo siedem grepsów, od których można boki zrywać, i czekacie, żebym dodał do nich choć jeden. Nie potrafię. Sperma taty straciła z wiekiem swoją moc. Jaja mamy były stare i pomarszczone, kiedy przyszła kolej na mnie i Johna Hardina. Powiem tylko jedno: dawanie trumny w prezencie chorej na raka matce wydaje mi się co najmniej dziwne. Tak brzmi moje oświadczenie dla prasy. Możecie przekazać je wszystkim agencjom, jakim chcecie.

— John Hardin dostrzegł autentyczną potrzebę - powie dział Dupree. - Być może prezent jest trochę dziwny. Z pewnością jednak pozwoli doktorowi Pittsowi zaoszczędzić sporo grosza.

— Biedna mama. Co za mebel - mruknął Dallas. - Teraz będzie musiała mu dziękować, tak jakby sfinansował całe skrzydło college'u i nadał mu jej imię.

Lucy wspięła się na palce i pocałowała Johna Hardina w policzek, a potem dotknęła czołem jego czoła i uśmiechała się do niego tak długo, aż się zaczerwienił. Po chwili dała krok do tyłu i spojrzała na trumnę.

- Kto wyjawiał mój sekret? - zapytała głośno. - Tego właśnie najbardziej potrzebowałam. Nie mogę się doczekać, żeby ją przymierzyć.

602

Ludzie roześmieli się z wdzięcznością i ulgą. Wszyscy podziwiali bystrość umysłu Lucy i zręczność, z jaką poradziła sobie z sytuacją.

- Chciałem dać mojej mamie coś, co niewielu synów dało kiedykolwiek swoim matkom - zaskoczył nas, zabierając głos, John Hardin. - Większość z was wie, że przysporzyłem jej wielu zmartwień, ponieważ cierpię w wyniku ułomności, nad którą nie mogę zapanować. Obawiałem się, że mama pomyśli, że zrobiłem to dla niej, bo jestem przekonany, iż niedługo umrze. To w ogóle nie tak. Mama zawsze uczyła swoje dzieci, że słowa są ładne, ale każdy potrafi pytlować jęzorem. Zwracajcie uwagę, mówiła, na ludzi, którzy coś robią, coś czynią, coś wykonują. Nauczyła nas wierzyć w rzeczy, które możemy zobaczyć, a nie w te, o których tylko słyszemy. Umieram prawie, kiedy pomyślę, że może jej zabraknąć. Nie mogę tego znieść. Nie jestem w stanie o tym mówić. Ale kiedy nadejdzie twój czas, mamo, chcę, żebyś wiedziała, że kochałem cię w każdej minucie, w trakcie której robiłem tę trumnę. Ściąłem drzewo, zawiozłem je do tartaku i szlifowałem własnoręcznie każdą deskę. Polerowałem je tak długo, aż ujrzałem w nich własne odbicie. Moi bracia wydali to przyjęcie, a ja w niczym im nie pomogłem. Robiłem tę trumnę. Bałem się, że zdenerwuje cię i twoich przyjaciół. Powtarzałem sobie jednak, że buduję dom, w którym będziesz żyła wiecznie, dom, w którym zamieszkaasz, gdy przyjdzie po ciebie Pan Bóg.

Lucy uściskała ponownie syna, wzbudzając jeszcze większy entuzjazm gości, a John Hardin zapłakał z głową przytuloną do jej ramienia. A potem odsunął się od niej nagle, podniósł trumnę z

taką łatwością, jakby to była deska surfingowa, umieścił ją z powrotem na tylnym siedzeniu i odjechał, nie skosztowawszy nawet steku.

— Zostałem odsunięty w cień przez schizofrenika - powie dział Dallas. - Oto historia mojego życia.

— Nie - zaprotestowałem. - To, co przed chwilą widzieliś my, było czymś więcej. Przyjęcie zostało we właściwy sposób ukoronowane.

—

ROZDZIAŁ 34

- Tak, Jack. Naprawdę chcesz wiedzieć, co przytrafiło mi się podczas wojny? W swojej niewinności wierzysz pewnie, że poznasz dzięki temu odpowiedź, ukryty klucz, powód, dla którego biedna Shyla skoczyła z tego mostu w Charlestonie. Myślisz, że ten most łączy się bezpośrednio z bramą Oświęcimia, prawda, Jack? W twoim życiu na wszystko jest jakiś przepis. Trzeba po prostu stosować się do instrukcji, pilnować odpowiednich proporcji i czasu, nie eksperymentować i wszyscy będziemy mogli spożyć doskonały posiłek w bezpiecznym amerykańskim domu. Ja, twoim zdaniem, pomiąłem jakiś składnik. Kiedy go odkryjesz - będziesz go mógł dotknąć, zważyć w dłoni, powąchać, skatalogować, wrzucić do garnka - recepta na śmierć Shyli Fox będzie gotowa. Masz trochę czasu, żeby zajrzeć do środka piekła, Jack? Pozwól, że przedstawię ci krótką historię robactwa. W tamtych latach robactwo europejskie było najbardziej spalone na całym świecie. Oprowadzę cię po przedsionkach piekła i wierzę, że uznasz mnie za dobrego przewodnika. Byłem tam kiedyś na bezpłatnej wycieczce zorganizowanej przez smętnych agentów podróży Trzeciej Rzeszy. Lubisz żarty, Jack, zawsze je lubiłeś i prawdę mówiąc myślałem, że się uśmiechniesz, kiedy to powiem, ale nie, ty nadal masz kwaśną minę. Nie ma sensu tak się przejmować. Ty i Shyla zawsze mi to powtarzaliście. To wszystko przeszłość. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. W porządku. Widzę, że nie chcesz się śmiać. Ale jedno musisz mi obiecać. Dotrwasz do końca opowieści. Żadnego rzygania. Żadnych łez. Zaduszę cię własnymi rękoma, jeśli ośmielisz się

604

uronić choć jedną gojowską krokodylą łzę nad losem, który spotkał moich najbliższych. Zgoda?

— Zgoda - odparłem.

— Tak, Jack. W końcu się spotkaliśmy. Ty i ja, po wszystkich tych latach wzajemnej pogardy; nikt poza nami nie ma pojęcia, jak bardzo jest głęboka ani od jak dawna ją do siebie czujemy. Nienawidziłem cię z przyczyn, na które nie mogłeś nic poradzić, przyczyn, których nie znałeś. Skąd miałeś wieść, że wyglądasz jak esesman, żołnierz dywizji pancerniej albo pilot Luftwaffe? Błękitne oczy nucą dla mnie tylko jedną pieśń: pieśń śmierci. Błękitne oczy spotkały moją rodzinę w Oświęcimiu. Twoje błękitne oczy spoglądały na mnie z okien sąsiedniego domu w Waterfordzie. Błękitnooki doktor Mengele wskazał ręką na lewo i cała moja rodzina powędrowała do gazu. Shyla również powędrowała na lewo, wychodząc za ciebie za mąż.

Nigdy nie spotkałeś takiego jak ja artysty. Dokładniej rzecz biorąc, takiego artysty, jakim kiedyś byłem. Wyrosłem ze starych tradycji Europy, gdzie sztuka stanowi kwintesencję życia nielicznych wybrańców. Wcześniej związałem swój los z pięcioma poziomymi liniami, na których nanizane są czarne nuty muzyki. Świat notacji muzycznej przemawia do mnie z wyjątkową jasnością. Fermaty, klucze, bemole, szesnastki, trzydziest-tykdwójki i oznaczenia metrum tworzą wspólny język, który jest dziedzictwem muzyków całego świata. To sprawa, o której nie masz najmniejszego pojęcia. Jeśli chodzi o muzykę, ty i twoja rodzina jesteście kompletnymi idiotami. Ja nie potrafię wyobrazić sobie bez niej życia. Bez muzyki byłoby ono podróżą przez pustynię, na której nigdy nie słyszano o

Bogu. W słodkiej harmonii muzyki odnajduję wszystkie potrzebne dowody na istnienie Boga, tego Boga, który umieścił ziemię między słupami podtrzymującymi niebo. Tam właśnie, na wszystkich dających się poprowadzić po nieboskłonie liniach umieścił najdoskonalsze nuty, nuty, które chwala swym pięknem dzieło stworzenia. Kiedyś wydawało mi się, że jestem tak genialny, iż potrafię zagrać muzykę zapisaną i zaszyfrowaną przez Boga w tajemnych układach gwiazd. Tak przynajmniej nauczono mnie myśleć. Spójrz czasem na gwiazdy, Jack. To tylko nuty. To muzyka. Ach, Holocaust. Tak, znowu to słowo. To głupie słowo, ten pusty dźwięk. Jak bardzo mam go już dosyć. To zużyte słowo nic nie oznacza, ale my, Żydzi, przystawiliśmy je światu do

605

t

gardła i nie pozwalamy go w niewłaściwy sposób użyć. Jedno biedne słowo nie może znieść takiego ciężaru, a jednak musi się pod nim uginać. Tory, po których toczyły się bydłce wagony, jęki starców, którzy czuli, jak w plugawym mroku spływa im po nogach własny kał, skargi młodych matek, które patrzyły na umierające w ich ramionach własne niemowlęta, straszliwe, zabójcze pragnienie dzieci, zbierające żniwo podczas nie kończących się transportów, pragnienie, o którym zapominało się dopiero, gdy miliony wspinały się ku sufitom komór gazowych, zdzierając zakrwawione paznokcie i ginąc niczym insekty w oparach gazu... Holocaust. Nie powinno się wymagać od jednego angielskiego słowa, by zawierało tak wiele.

Nie jesteśmy tymi, którzy ocaleli. Żaden z nas. Byliśmy kostkami rzuconymi w samą gardziel piekła i dowiedzieliśmy się, że życie ludzkie nie jest warte więcej od życia muchy. Lęgnące się w ekskrementach larwy miały większe szansę przeżycia aniżeli Żyd, który dostał się w maszynię Trzeciej Rzeszy. Niemcy byli geniuszami śmierci. Przed wybuchem wojny ani razu nie widziałem na własne oczy umierającego człowieka. Zanim wojna dobiegła końca, zawarłem bliską znajomość ze śmiercią: błagałem ją, by zabrała mnie ze świata, który był straszniejszy od koszmaru.

Nauczyłem się, że nie ma nic gorszego, niż kiedy takie błaganie spotyka się z odmową. Ale śmierci nie obchodzą pragnienia marnej kostki. Kostka po prostu się toczy, a potem, zatrzymując się, wskazuje przypadkową liczbę oczek. Nie może niczego odczuwać. Kostkę ciska się w otchłań. Mogę ci powiedzieć, jak szuka się drogi w pustce. Mam jej mapę, Jack. Wszystkie nazwy ulic splamione są tam krwią, a jezdnie wybrukowane czaszkami Żydów. Jesteś chrześcijaninem, Jack, w takim miejscu powinieneś czuć się jak u siebie w domu. Nienawidzę twojej chrześcijańskiej twarzy. Przykro mi. Zawsze jej nienawidziłem i zawsze będę nienawidzić.

Zabójstwa Żydów, łapanie, niewyobrażalne okrucieństwo - wszystko to było na porządku dziennym. Holocaust stanowił od początku do końca dzieło chrześcijan. Czasami wyłącznie katolików. Wszystko zaczęło się od tego pobożnego Żyda, od Chrystusa. Tego pobożnego Żyda Chrystusa, który oglądał, jak miliony jego siostr i braci zabija się w jego imieniu. Wyznawcy Chrystusa, który został ukrzyżowany i który przestrzegał co do joty żydowskich praw, niszczyli Żydów tak, jak niszczy

606

się mikroby albo szkodniki. Nawet krzyki naszych dzieci nie były w stanie poruszyć chrześcijańskiego serca. Płacz naszych niemowląt rozjuszał niemieckich żołnierzy. Fakt, że nie potrafiły go stłumić, stanowił afront dla Rzeszy. Miały szczęście, jeśli udało im się dotrzeć do drzwi komory gazowej.

Nienawidzisz moich oczu, Jack. Wszyscy nienawidzą moich oczu. Dlatego, że są zimne. Martwe. Myślisz, że o tym nie wiem? Mam przecież lustro. Nawet kiedy się gołę, unikam własnych oczu. Te oczy umarły we mnie dawno temu, ale muszą funkcjonować, ponieważ w dalszym ciągu żyje moje ciało. Potrafię zmusić się, żeby zapomnieć. Ale moje oczy widziały i na ich siatkówkach zatrzymał się obraz wiszących na rzeź-nicznych hakach ludzkich ciał. Moje oczy zbieleły, ponieważ za długo wystawione były na horror. Są odrażające nie dlatego, że pragną odpoczynku, ale dlatego, że pragną zapomnienia.

To teraz banał. Któż nie słyszał już tysiąc razy tej historii? "Nie wolno nam zapomnieć", krzyczą Żydzi, a potem powtarzają to samo bez ustanku, tak często i tak desperacko, że słowa tracą swoją ostrość, stają się wyświechtane i nawet ja sam mam ochotę zatkać uszy i zawołać: "zamknijcie się". Boję się, że nadejdzie czas, kiedy nikt nie będzie chciał słuchać naszej historii, bo za często ją opowiadano. Stała się banalna z powodu niemieckiej dokładności. Uruchomiwszy raz maszynę śmierci, naziści ani na cal nie zmienili swojej metodologii. Wchodzili do każdego miasta, wsi i synagogi z dokładnym planem wyniszczenia Żydów. Wszyscy z nas opowiadają to samo. Różni się tylko w drugorzędnych szczegółach.

Nie urodziłem się wśród Żydów, jakich znacie tutaj, w Water-fordzie. Mój ojciec był berlińczykiem, który walczył za kajzera. Został ranny i odznaczony za męstwo okazane w bitwie nad Sommą. Matka pochodziła z rodziny muzyków i fabrykantów znanych w całej Polsce. To byli światowi ludzie, Jack, ludzie, którzy zakosztowali najlepszych rzeczy, jakie miała do zaoferowania Europa. Żydzi w Waterfordzie są potomkami najniższych warstw rosyjskiego i polskiego żydostwa, potomkami analfabetów, którzy wdychali smród zgniłych kartofli i zepsutego śledzia. Dlaczego unosisz brwi? Musisz to zrozumieć, w przeciwnym razie nie zrozumiesz o mnie niczego. Ruth pochodzi właśnie z takiej rodziny. Jej przodkowie byli drwalami i przekupnikami. W dzień szwargotali w jidisz, w nocy

607

iskali wszy. W Ameryce zajmowałiby pozycję czarnych, Schwa-rzen. Nie staram się ich oceniać. Ale takie są korzenie Ruth. Moje są zupełnie inne. Historia Europy sprzysięgła się wraz z moją rodziną, aby uczynić ze mnie muzyka. Skomponowałem pierwszą sonatę, gdy miałem siedem lat. W wieku czternastu lat napisałem symfonię dla uczczenia czterdziestych urodzin mojej matki. W całej Karolinie Południowej nie znajdziesz tak kulturalnej rodziny. Mówię to dla porządku. Nie chcę być arogancki, stwierdzam po prostu fakty. Europa naznaczyła nas swoją głębią. Wzrastaliśmy w kulturze, która dojrzewała tysiąc lat. Ameryka nie ma żadnej kultury. Jest wciąż w powijakach. Miałem cztery siostry, wszystkie starsze ode mnie. Nazywały się Beatrice, Tosca, Tonią i Cordelia - imiona, jak widzisz, wcale nie były żydowskie, lecz wybrane pieczołowicie ze świata literatury i opery. Wszędzie gdzie się pojawiły, słychać było ich perlisty śmiech. Wszystkie wyszły świetnie za mąż. Energiczne i rezolutne, przywodziły mi na myśl młode lwice i nie pozwalały matce powiedzieć na mnie złego słowa. Kiedy tylko chciała mnie skarcić, otaczały mnie wkoło, muskając jedwabnymi sukniemi, pieszcząc, gładząc po głowie i nie dając dojść do głosu mojej biednej mamie. Ojciec podnosił wzrok znad gazety i uśmiechał się pod wąsem, tak jakby oglądał najświeższą paryską komedię.

Nie byliśmy dobrymi Żydami; byliśmy dobrymi Europejczykami. W bibliotece stały zapierające dech, oprawne w skórę dzieła Dickensa, Tolstoja, Balzaka i Zoli. Ojciec był wykształcony i odznaczał się wykwintnymi manierami. W fabryce kochano go. Nie uznawał prymitywnych autorytarnych metod, a rozległe lektury nauczyły go, że zadowolenie robotników przysporzy mu większych bogactw aniżeli bezlitosny wyzysk.

Moja rodzina chodziła do synagogi tylko w wielkie święto. Byli humanistami i racjonalistami. Mój ojciec uważał się za kogoś w rodzaju wolnomyśliciela i kiedy nie musiał dodawać długich kolumn liczb ani zamawiać surowców do swojej fabryki, chodził z głową w obłokach.

W naszym domu w Warszawie centralne miejsce zajmowała matka. Chciała, aby jej dzieci miały wszystko, czego dusza zapagnie. Byłem jej jedynym synem i uwielbiała mnie tak, jak niewiele dzieci było kiedykolwiek uwielbianych przez matki. Jej uśmiech był dla mnie niczym słońce. Ona pierwsza uczyła

608

mnie grać na fortepianie. Już na samym początku powiedziała, że zostanę wielkim wirtuozem. Nie miała żadnych wrogów. Z wyjątkiem oczywiście całego chrześcijańskiego świata, ale wtedy, będąc

chłopcem, jeszcze tego nie wiedziałem.

Mając osiemnaście lat wygrałem ważny konkurs dla młodych pianistów w Paryżu. Moim głównym rywalem był Holender

0 nazwisku Shoemaker. Miał wielki talent, ale przeszkadzała mu trema. W konkursie wziął także udział Jeffrey Stoppard z Londynu. Bardzo dobry. Dysponował wspaniałą techniką, pozbawiony był jednak zmysłu dramatycznego. Krytycy pisali, że podchodząc do fortepianu, poruszam się niczym Księżę Ciemności. Nazwali mnie Le Loup Noir, Czarny Wilk.

Był tam również niemiecki pianista, którego najlepiej zapamiętałem. Nazywał się Heinrich Baumann i nie należał do pierwszej ligi. Muzyka była jego pasją, brakowało mu jednak prawdziwego talentu, z czego już wówczas zdawał sobie sprawę. Przez długie lata korespondowaliśmy ze sobą, wymieniając uwagi na temat muzyki, przebiegu kariery, wszystkiego. Po konkursie łączyliśmy przez całą noc po Paryżu i kiedy nad miastem wstało słońce, malując na różowy kolor stare domy, usiedliśmy na stopniach Sacre-Coeur. Miasto zawsze wydaje się piękniejsze, kiedy człowiek wygrywa konkurs. Heinrich Baumann zajął wtedy trzecie miejsce, najlepsze w całej swojej karierze. Po tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku listy od niego przestały przychodzić. Korespondowanie z Żydem, nawet z Czarnym Wilkiem, stało się wówczas zbyt niebezpieczne.

Wytrwałość w dążeniu do celu była cechą, z którą się urodziłem. Bez niej nikt nie ma szans na to, by zostać wielkim muzykiem. Pogoń za wielkością oznacza, że w twoim życiu nie ma miejsca na lenistwo. Codziennie rano ćwiczyłem gamy. Jestem wielkim zwolennikiem gam. Kiedy opanujesz ich gramatykę, powoli, krok za krokiem, otwierają się przed tobą sekrety największych kompozytorów. Mój talent wymagał wielu poświęceń. Nie miałem czasu na uprzejmości.

Niesympatyczny

1 oschły, myślałem tylko o czarnych nutach, które wypływały z gam niczym woda pluskająca po kamieniach. Pracując nad nowymi symfoniami czułem się tak samo szczęśliwy jak ci kosmonauci, którzy postawili pierwszy krok na Księżycu.

Ale dlaczego tracę czas opowiadając ci to wszystko, Jack? I tak nie zdołasz wykonać żadnej etudy, a wielki Horowitz

609

I

nigdy nie będzie grać z tobą na cztery ręce. Najbardziej niewybaczalną zdradą Shyli było to, że wyszła za kompletnego ignorantą w dziedzinie muzyki.

Miałem pierwszą żonę, Jack. Miałem z nią również trzech synów. Nie wiedziałeś, że byłem żonaty, zanim ożeniłem się z Ruth?

— Nie.

— Nie wiedziałeś, że miałem dzieci przed Shylą i Marthą?

— Nie.

— To nie ma znaczenia. Nie ma sensu mówić o zmarłych.

Chyba się ze mną zgodzisz?

— Nie.

— Nie wiesz, co to znaczy stracić własną żonę.

— Owszem, wiem - odparłem.

— Mnie i Soni sążone było się spotkać. Była piękna, tak samo piękna jak muzyka, którą grałem na jej cześć. Ona też grała niezwykle dobrze jak na kobietę, która żyła w tamtym czasie i miejscu. Wkrótce po moim triumfie w Paryżu miałem koncert w Warszawie. Bilety wyprzedano na kilka tygodni

naprzód. Moje nazwisko było na ustach każdego miłośnika muzyki w Polsce. Tego wieczoru debiutowałem w swoim rodzinnym mieście. Powiem ci, że grałem wspaniale. Bezbłędnie. Zamknąłem recital trzecią "Rapsodią węgierską" Liszta, gdyż jest to efektowny utwór i uwielbia go publiczność. Sonia się działa w drugim rzędzie i zobaczyłem ją, kiedy tylko wyszedłem na estradę. Przypominała mi czysty płomień, który obejmował wszystko, co znajdowało się na sali. Nawet teraz widzę ją, gdy zamknę oczy, jakby czas na zawsze zatrzymał się w tamtej niepowtarzalnej chwili. Sonia przywykła do tego, iż zwraca na siebie uwagę, i od razu zorientowała się, że ją zauważyłem. Spozregła dokładny moment mojej kapitulacji i swojego nade mną zwycięstwa. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Chociaż na sali siedziało ponad pięćset osób, w gruncie rzeczy grałem tylko dla niej. Nagrodzono mnie stojącą owacją i kłaniając się zauważyłem, że ona jedna nie wstała z fotela. Później, kiedy się spotkaliśmy, zapytałem, dlaczego tego nie zrobiła. — Ponieważ chciałam, żebyś mnie odszukał i zadał to właśnie pytanie - odparła. Nasze wesele należało do najwspanialszych i najbardziej wystawnych, jakie kiedykolwiek wyprawili Żydzi w Warszawie.

610

Obie nasze rodziny były bogate i wykształcone, a rodzina Soni jeszcze bardziej znana od mojej, wydała bowiem od strony matki wielu słynnych rabinów. W podróż poślubną pojechaliśmy do Paryża, gdzie zatrzymaliśmy się w hotelu George V. Trzymając się za ręce chodziliśmy po całym mieście. We Francji rozmawialiśmy ze sobą wyłącznie po francusku. Kochając się, szeptałiśmy sobie do uszu francuskie słówka i szepcząc je pozbyłem się całego wstydu. Sonia twierdziła później, iż zaszła w ciążę już pierwszej spędzonej ze mną nocy. Nasze ciała płonęły, gdy byliśmy razem. Nie potrafię tego w inny sposób określić. Myślę, że coś takiego zdarza się tylko raz, tylko we wczesnej młodości. Człowiekowi wydaje się, że jego skóra zapala się od samego dotyku. Nigdy nie miałem jej dość, nigdy nie potrafiłem nacieszyć się jej ciałem. Tak kochać można tylko raz. Sonia znała się na muzyce prawie tak samo dobrze jak ja. Kiedy ćwiczyłem, siedziała w pokoju, a ja starałem się zasłużyć na jej pochwałę. Nigdy nie miałem bardziej spontanicznej i wykształconej słuchaczki. Jej ciąża stanowiła dla nas obojga źródło wielkiej radości, a ja wkładałem w klawiaturę całą duszę, pragnąc, by moje pogrążone we śnie, dojrzewające w łonie matki dziecko słyszało najpiękniejszą muzykę na świecie. Zdarzały się wówczas chwile, że byłem czułościowym niczym pierwszy lepszy człowiek z ulicy. Ty, Jack, nigdy nie miałeś okazji poznać mnie z tej strony. Dawno temu pogrzebałem sentymentalne mrzonki i nigdy się za nimi nie obejrzałem ani nie zmówiłem kadiszu.

Sonia była do nich skłonna o wiele bardziej ode mnie. Bliźniacy, Józef i Aram, urodzili się czwartego lipca według waszego kalendarza. Zagrałem im wtedy pieśń, jaką napisałem z okazji porodu Soni, ponieważ takie właśnie było jej życzenie.

Tak, Jack.

Te lata nie trwały długo, ale teraz wydają mi się okresem pełnego szczęścia. Miłość pięknej Soni i dobiegające z dziecinnego pokoju gaworzenie synów pozwoliły mi rozwinąć talent, z którym się urodziłem. Potrafiłem teraz sprawić, że fortepian płakał, skarżył się albo radował, kiedy tylko dotknąłem palcami klawiatury.

Tuż obok dojrzewała jednak nazistowska bestia. Jako Żyd powinienem czuć się osaczony, słysząc rozbrzmiewający wszędzie złowrogi głos Hitlera. Jako muzyk uważałem jednak, że nic mi nie grozi ze strony walczących armii. Wiara moich ojców

niewiele dla mnie znaczyła, gdy rozkładałem partyturę i interpretowałem pełne pasji nuty, które pozostawili światu Brahms, Chopin, Schumann i inni wielcy geniusze. Hitler w ogóle mnie nie obchodził, bo miałem swoją muzykę, swoją Sonię i ślicznych bliźniaków. Kiedy zaczęły mnie drażnić gazety, przestałem je po prostu czytać. Kiedy po mieście zaczęły krążyć najdziksze plotki, przestałem wychodzić z domu i zakazałem wychodzić Soni. Kiedy słuchając radia, Sonia zaczęła płakać ze strachu, wyłączyłem radio i zabroniłem je włączać. Nie chciałem słuchać ujadania nazistowskiego kundla. Polityka nudziła mnie i doprowadzała do mdłości.

A potem nie przygotowany i niewinny usłyszałem skrobanie do drzwi i zobaczyłem nazistowską bestię. Uderzyłem zatem w klawisze, żeby stłumić jej żądzę krwi. Bestia pokochała moją muzykę, przychodziła na moje koncerty, domagała się bisów, rzucała róże na scenę i wykrzykiwała głośno moje imię. Tak bardzo kochała muzykę, że nie spostrzegłem prawie, kiedy zaczęła ocierać kły i pazury z krwi mojej rodziny. Nienawidzącą Żydów Polskę zaatakowały nienawidzące Żydów Niemcy. Dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że wybuchła druga wojna światowa i razem z całą rodziną znalazłem się w samym środku zawieruchy.

Już w pierwszych dniach wojny zorientowałem się, że nie jestem człowiekiem czynu. Jak muzyk ma reagować na atakujące lotem nurkowym bombowce? Podczas pierwszych nalotów siedziałem sparaliżowany strachem przy fortepianie, odkryłem bowiem, że nie mogę się ruszyć. Fortepian wydawał mi się bezpieczniejszy, bardziej przyjazny od piwnicy, do której uciekli żona i sąsiedzi. Słyszałem zbliżające się samoloty i milknące syreny i choć wiedziałem, co powinienem zrobić, nie byłem w stanie zmusić się do ucieczki. Zamiast tego grałem drugą część trzydziestej drugiej sonaty fortepianowej c-moll Bee-thovena, opus sto jedenaście. Ostatnie takty ostatniej z jego sonat, których skomponował łącznie trzydzieści dwie.

Nigdy nie byłem w napadniętym kraju. Nie jesteś w stanie zrozumieć chaosu, desperacji, paniki na ulicach. Sądzę, że to dlatego współczesna muzyka i współczesna sztuka są takie brzydkie. Kiedy bombowce wróciły do swoich baz, Sonia znalazła mnie siedzącego przy fortepianie, wciąż uderzającego w klawisze, jakby coś mnie opętało. Zsiąłem się w spodnie.

612

Tak bardzo bałem się podczas tego pierwszego nalotu. Myślałem chyba, że moja muzyka mnie ocali, stworzy ochronną barierę, parasol, którego nic nie zdoła naruszyć. Sonia była w stosunku do mnie bardzo delikatna i miła.

- Nic się nie stało, mój mężu - powiedziała. - Proszę, pozwól mi sobie pomóc. Oprzyj się o mnie.

Nie pamiętam, żebym podczas tego nalotu choć raz pomyślał

o Soni lub o moich synach. Aż do owej chwili nigdy nie zdałem sobie sprawy, iż jestem nikczemnym tchórzem. Teraz wiedziała o tym nawet Sonia.

Jej ojciec, Saul Youngerman, bogaty przemysłowiec, który posiadał fabryki w czterech krajach, był człowiekiem czynu. W sytuacji krytycznej potrafił jasno myśleć. Przeczytał już wcześniej "Mein Kampf", obserwował nieufnym okiem wydarzenia w Niemczech i oznajmił nam, że zna plany Hitlera. Kazał nam jak najszybciej uciekać na wschód, aby nie dostać się w ręce niemieckiej armii. Jego dwaj synowie, Marek i Stefan, nie chcieli wyjeżdżać z Warszawy, ponieważ ich żony urodziły się tutaj

1 przyzwyczajone były do wygód, jakie oferuje wielkie miasto.

Mieli dzieci w wieku szkolnym i przekonywali nas, że jeśli nawet Niemcy wygrają wojnę, nie zabronią im przecież dalej chodzić do szkoły. Łatwo jest dzisiaj śmiać się z ich głupoty, pamiętaj jednak, że w tamtym okresie słowa Treblinka, Oświęcim i Mauthausen nic nie znaczyły dla świata. Ani jeden z członków rodziny Soni, którzy zostali w Warszawie, nie ocalał. Ani jeden.

Na ulicach trwało szaleństwo. Warszawa krwawiła, lecz mimo to Saulowi Youngermanowi udało

się załatwić barkę, którą popłynęliśmy w dół Wisły. Potem zaprzężonymi w woły wozami dotarliśmy do oddalonego o dwadzieścia kilometrów od rzeki folwarku, gdzie czekały na nas dwa samochody z umundurowanymi szoferami. Fakt, że ojciec Soni był bogaty, nie miał w tym wypadku znaczenia. Wielu bogaczy zmarło z głodu w warszawskim getcie. Ważne było to, że miał plan i nie zawahał się wprowadzić go w życie. W dzień spaliśmy, a w nocy podążaliśmy na wschód. Po czterech nocach bardzo ciężkiej podróży dotarliśmy do granicy i przedostaliśmy się na terytorium kontrolowane przez Armię Czerwoną. Ponieważ Ribbentrop i Mołotow podpisali pakt o nieagresji, Saul doszedł do wniosku, iż będziemy tam bezpieczni. Jego szwagier był dyrektorem fabryki i wiedział, że przyjeżdżamy. Piątego września przyjęła nas

613

rodzina Szpigłów. Zamieszkaliśmy w pięknym domu ze wspaniałym fortepianem, który nastrojono specjalnie przed moim przyjazdem. Miasto, w którym znaleźliśmy schronienie, nazywało się Kironicka i leżało na Ukrainie.

Historia kołem się toczy i zaskakuje cię, kiedy się tego najmniej spodziewasz. To właśnie z tej miejscowości pochodzi wasz Wielki Żyd, Max Rusoff i jego żona Esther. Zamieszkaliśmy tam, a ja codziennie grałem na fortepianie i przed moim domem gromadziły się tłumy. Od samego początku dobrze nam się działo w Kironicce. W mieście żyło około dwudziestu tysięcy Żydów, byliśmy więc otoczeni troskliwą opieką. Wiadomości z Warszawy z dnia na dzień stawały się coraz gorsze, ale docierały do nas tylko za pośrednictwem radia. Siedemnastego września Związek Sowiecki zaatakował Polskę od wschodu.

Przyjąłem kilku uczniów. Paru z nich miało nawet zadatki na wielkich muzyków, ale nie było to życie, jakiego bym pragnął. Mój teść jeździł kilka razy, narażając się na straszliwe niebezpieczeństwo, do Warszawy. Zawoził jedzenie i lekarstwa swojej rodzinie, a potem, po licznych mrożących krew w żyłach przygodach wracał do Kironicki. Nigdy w życiu nie widziałem odważniejszego mężczyzny. Informacje, jakie przywoził z Warszawy, były za każdym razem gorsze. W listopadzie dzielnice żydowskie zostały ogrodzone kolczastym drutem, a Żydom kazano nosić Gwiazdę Dawida. Nie potrafiłmy przekonać Saula Youngermana, aby zaniechał swoich podróży do Polski. Uważał się przede wszystkim za polskiego patriotę, dopiero potem za Żyda. Chociaż o tym nie wiedzieliśmy, jeszcze przed przyjazdem do Kironicki moja Sonia zaszła w ciążę. Dziecko nie wiedziało, na jaki wybiera się świat, i dojrzewało w jej łonie. Martwiąc się o naszych bliskich, którzy zostali w Polsce, dziękowaliśmy zarazem opatrności, że udało nam się uciec. W czerwcu urodził się mój trzeci syn, Jonatan. Gdybym wiedział, co czeka nas w przyszłości, roztrzaskałbym jego głowę o skałę. Podałbym trutkę na szczury moim bliźniakom i Soni, a potem sam bym ją połknął.

W czerwcu czterdziestego pierwszego roku Niemcy napadli na Związek Sowiecki. Dwudziestego drugiego czerwca doszło do pierwszych zmasowanych ataków powietrznych na cywilną ludność miasta. Trzy tygodnie później, po krótkotrwałym po-

614

bycie w Kironicce okupacyjnych wojsk węgierskich, usłyszałem na ulicy najbardziej przerażające słowa, jakie zdarzyło mi się słyszeć: "do miasta weszli Niemcy".

Do miasta weszli Niemcy. W tym momencie sytuacja Żydów diametralnie się zmieniła. Ponieważ Związek Sowiecki był przez jakiś czas sojusznikiem Niemiec, przestaliśmy mieć się na baczności; doszliśmy do wniosku, że jesteśmy bezpieczni. Z Warszawy i innych części Polski dochodziły nas pogłoski o losie Żydów, nie chcieliśmy ich jednak słuchać. Niemcy byli w końcu takimi samymi ludźmi jak my. W czterdziestym pierwszym zacząłem chodzić do synagogi, żeby odmawiać poranne modlitwy. A potem któregoś dnia Niemcy puścili z dymem synagogę razem z setką modlących się w środku Żydów. Gdyby Sonia nie była chora tego ranka, zginąłbym razem z całą resztą. Wydaje mi się, że ci spaleni wówczas żywcem Żydzi mieli szczęście.

Potem pojawili się gestapowcy, nieludscy, ale w pewien mrożący krew w żyłach sposób nawet fascynujący. Tym, co wyróżnia gestapowca, jest jego duma, duma, która zabija wszelką litość. Nie

można apelować do jego ludzkich uczuć, ponieważ uważa się za nadczłowieka. Hauptsturmführer Rudolf Kriiger zajął największą willę w mieście, eksmitując z niej dyrektora fabryki, niejakiego Kuzaka. Dyrektor protestował, twierdząc, że jest w mieście ważną osobą i domaga się należącego szacunku. Kriiger zastosował się do jego życzenia i powiesił biednego Kuzaka na belce wystającej spod dachu jego własnego domu. Ciało pozostawiono na stryczku przez cały tydzień jako memento dla wszystkich mieszkańców Kironicki. Dopiero kiedy zaczęło śmierdzieć, Kriiger kazał je odciąć i rzucić do rynsztoku.

Niemcy ponosili oczywiście wiele uciążliwych, lecz koniecznych wydatków na wojnę, którą wypowiedzieli Żydom, w związku z czym zmuszeni byli obłożyć żydowską społeczność wysokimi podatkami. Do pomocy w ich egzekwowaniu zaangażowali Ukraińców. Jeśli przejdzie się kiedyś do porządku dziennego nad tym brzydkim rozdziałem ukraińskiej historii, oznaczać to będzie, że Bóg przespał całą wojnę. Zamiast zwykłej żółtej opaski Żydzi z Kironicki obowiązani byli nosić szeroką na dziesięć centymetrów białą opaskę z niebieską Gwiazdą Dawida. Wszystkie wyroby ze srebra i złota kazano nam dostarczyć do siedziby Judenratu. Wtedy właśnie straciliśmy z So-

615
nią nasze ślubne obrączki. Odebrano nam urządzenia elektryczne i wyroby ze skóry. Skonfiskowano wszystkie niemieckie książki. Znaleźliśmy się w rękach zbrodniarzy, morderców i złodziei. My, naród wybrany.

Część zdezorientowanych Żydów myślała, że jeśli wyrzekną się swojej wiary, zostanie im oszczędzony okrutny los współziomków. Któregoś piątku do masowego chrztu przystąpiło dwadzieścia żydowskich rodzin. Wyłamało się tylko kilku starców. Gestapo przygotowało dla tych świeżo upieczonych gojów specjalny upominek. Zagoniono ich wszystkich na chrześcijański cmentarz i zastrzelono z karabinów maszynowych. Razem z kobietami i dziećmi. Po kilku miesiącach pewien członek Judenratu, który poznał trochę lepiej Kriigera, zapytał go o tę masakrę. - Jeśli zabierzesz swinię do katedry - odparł żartobliwym tonem Hauptsturmführer Kruger - nadal będziesz miał szynkę i bekon, a katedra wcale się nie zmieni.

To ja byłem tym członkiem Judenratu. Judenrat. Nie znasz tego słowa, Jack. To słowo to moja hańba; żyję z nią aż do dzisiaj. Nigdy jeszcze nie powiedziałem nikomu, iż pełniłem w Judenracie jakąś funkcję.

Kruger sformował z Żydów specjalny komitet, który miał zajmować się w getcie sprawami administracyjnymi. Odmowa oznaczała szybką i pewną śmierć. Wchodząc w jego skład, godziłem się kolaborować z nazistami w zadawaniu tortur i śmierci własnym ziomkom. Kiedy Niemcy potrzebowali brygady do naprawy mostu, Judenrat wręczał Krugerowi listę żydowskich robotników. Za każdym razem, kiedy przygotowywali się do kolejnej Sonderaktion, zmniejszającej rozmiary getta, to my decydowaliśmy, którzy Żydzi mają zostać zapędzeni na główny plac, załadowani na ciężarówki i wywiezieni w nieznane. Obejmując tę funkcję sądziłem, że ratuję życie Soni i moich synów. I rzeczywiście ratowałem. Ale czyniąc to, na jaki skazywałem ich los?

Przewodniczącym Judenratu był chirurg o nazwisku Izaak Weinberger - cierpliwy niekonfliktowy człowiek, który uważał, że z nazistami można się dogadać tak samo jak z każdym. To on właśnie nalegał, żeby mój teść wszedł w skład rady. Saul natychmiast zdał sobie sprawę ze wszystkich związanych z tym zagrożeń, jednocześnie jednak dostrzegł, ile korzyści przynios-

616

łoby to naszej rodzinie. Chciał, żebym ja też wstąpił do rady. Już wcześniej wyznał mi w zaufaniu, że Niemcy mają zamiar zlikwidować wszystkich Żydów, jacy żyją na ziemi. Kiedy mi to po raz pierwszy powiedział, roześmiałem mu się w twarz. W niektórych ludziach, stwierdziłem, wojna potęguje skłonność do przesady. Saul zdjął okulary i zaczął je wycierać. Zawsze podziwiał mój talent, mruknął, nie przeszkadza to jednak, że rozumiem jak ostatni głupiec. Siedzieliśmy w moim pokoju w getcie, wokół nas bawiły się dzieci, a Sonia i moja teściowa plotkowały przy kuchni, szykując obiad.

- Wszyscy jesteśmy trupami - szepnęła Saul Younger-man. - Wszyscy jesteśmy trupami.

Trzydziestego sierpnia Niemcy zlecieli Judenratowi przygotowanie listy żydowskiej inteligencji. Na liście znalazło się dwustu siedemdziesięciu nauczycieli, trzydziestu czterech aptekarzy, stu dwudziestu sześciu lekarzy, trzydziestu pięciu inżynierów. Mnie umieszczono tam również jako muzyka. Nazajutrz z listy wybrano sto osób. Stawili się o świcie na placu, wdrapali na ciężarówkę, pomachali na pożegnanie rodzinom i zapadli się pod ziemię. Z wyjątkiem jednego człowieka. Nazywał się Lauber i był jednym z trzydziestu czterech aptekarzy umieszczonych na liście. Wrócił w nocy, zakradając się do getta, jakby czekało go tutaj wybawienie. Pragnął tylko jednego: przytulić się do swojej żony i usłyszeć głos swoich dzieci, i odnalazł to. Opowiedział swoją historię żonom innych Żydów, których załadowano na ciężarówkę. Wywieziono ich pięćdziesiąt kilometrów od miasta na pole fasoli, dano łopaty i kazano kopać. Kiedy wykopali wielki dół, rozebrali się do naga, ukłękli na jego skraju i niemieckie karabiny maszynowe wyzwoliły ich od okropności wojny. Członkowie narodu wybranego powrócili do Boga, który ich wybrał. Nikt nie wierzył temu Lauberowi. Gestapo wytropiło go. Zabrali go razem z żoną, dziećmi, rodzicami i dwiema innymi rodzinami, których zastali w jego domu, na żydowski cmentarz, gdzie wszystkich rozstrzelano. Dopiero wtedy biednego Laubera przestano uważać za kłamcę. Jego żona ginąc krzyczała, że nie powinien wracać. Hauptsturmführer Kriiger był kołtunem i okrutnikiem, ale starał się uchodzić za człowieka kulturalnego i konesera. W rozmowie z doktorem Weinbergerem powtarzał, jak bardzo kocha

617

Wagnera, nie potrafił jednak nazwać ani jednej arii, które tak uwielbiał gwizdać. Weinberger wspomniał mu o mnie i kazano mi grać na fortepianie przed grupą Niemców, którzy udawali się na front. Przygrywałem im do kolacji i mogłem usłyszeć, co mówią o wysiłku wojennym i sukcesach odnoszonych w wojnie z Rosjanami. Rozmawiali jak normalni ludzie, póki się nie upili - wtedy zaczęli mówić językiem nazistów. W trakcie tej kolacji zeżarli więcej mięsa, niż Żydzi z naszego miasta mieli okazję widzieć od czasu wzniesienia murów getta. Potem przeszli wszyscy do biblioteki na cygare i koniak. Wszyscy oprócz jednego oficera, który podszedł do fortepianu i przysłuchiwał się przez chwilę muzyce.

- Wciąż grasz jak anioł. Nawet w czasach takich jak te - powiedział w końcu.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem mego przyjaciela Heinricha Baumanna. Usiadł obok mnie i zaczęliśmy grać na zmianę. Kiedy on zagrał jakiś utwór Mozarta, ja odpowiadałem mu Chopinem. Baumann zapytał, jaka jest sytuacja mojej rodziny. Stwierdził, że czekają mnie wielkie kłopoty, ponieważ jestem Żydem. Po obiedzie odwiózł mnie łazikiem do getta. Wartownicy salutowali mu. Był żołnierzem frontowym, nie esesmanem. W domu przywitał się z Sonią, ucałował śpiące dzieci i uklonił się Saulowi i mojej teściowej. Zostawił mi worek mąki, worek kaszy i dużo puszek z mięsem. Żegnając się, ucałował mnie i przeprosił za cały naród niemiecki. Obaj należymy do tajnego bractwa muzyki, stwierdził. Zginął, prowadząc swój oddział do szturm pod Stalingradem. Dobry Niemiec? Nie. Herr Baumann walczył w armii Hitlera. Można go co najwyżej porównać do członka Judenratu, kogoś takiego jak ja. Było kilku Niemców, którzy nie potrafili mi wybaczyć, że wszedłem w skład Judenratu. Znali mnie. Byłem jednym z nich - coś łączyło nas głęboko w naszym smutnym człowieczeństwie. Zgodziliśmy się na taniec z wrogiem i pozwoliliśmy mu prowadzić. Czy mógłbyś wrzucić swoją córkę Leah do pieca krematorium, Jack? Oczywiście, że nie. Za bardzo ją kochasz, prawda? Powiedzmy, że będę cię głodził przez cały rok. Że będę cię bił dopóty, dopóki się nie poddasz. Że zabiję wszystkich, których kochasz, i zmuszę cię do niewolniczej pracy. Że upokorzę cię, każę spać na zawszonej pryczy i dam do jedzenia robaczywy

618

chleb. Że wystawię cię na próbę i sprawdzę, gdzie kończą się cywilizowane normy i gdzie na krańcach twojej duszy zaczyna się deprawacja. To właśnie mi zrobili, Jack. Pod koniec wojny mogłem wrzucić do płonącego pieca samego Mesjasza i mogłem to zrobić za miskę zupy. Mógłbym rzucić w płomień Ruth, Shylę, Marthę, Sonię, moich synów, Leah i nie mrugnąć nawet okiem. Na tym polega cała sztuka, Jack. Musisz złamać człowieka kompletnie, wtedy staje się twoją

własnością. Pozwól się złamać, tak jak oni złamali mnie, a obiecuję, że ciśniesz Leah w ogień, założysz jej na szyję stryczek i będziesz spokojnie patrzył, jak gwałci ją stu mężczyzn, a potem podrzynają jej gardło i rzucają psom na pożarcie. Zdenerwowałem cię. Przepraszam. Mówię to, co wiem. Pamiętaj: mógłbyś zabić Leah gołymi rękoma, gdyby świat rozpadał się na części, a Bóg ukrył twarz w dłoniach. Gdyby wydawało ci się, że robiąc to, składasz jej największy dowód miłości. Ja zabiłbym Leah tutaj, dziś wieczorem, gdybym musiał ratować ją przed tym, co sam przeszedłem. A kocham twoją córkę bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Nie, nie przypomina mi synów, których oplakuję. Podobnie jak nie przypomina mi Shyli. Jest od niej o wiele spokojniejsza, bardziej zrównoważona. Shyla nigdy taka nie była. Nie, twoja Leah dotyka we mnie miejsca, które wydawało się od dawna martwe. Przypomina mi Sonię, moją słodką zmarłą żonę.

Kruger najwyraźniej mnie polubił. Ponieważ uważał się za człowieka kulturalnego, kazał mi przygrywać sobie przy kolacji. Szybko się upijał, a kiedy się upił, płakał. Pewnego dnia z frontu wschodniego wrócił jego jedyny syn, Wilhelm, i razem obchodzili jego dziewiętnaste urodziny. Ojciec i syn upili się i kazali mi grać bez końca niemieckie piosenki ludowe. Potem, kiedy pojawiły się dwie zamówione przez nich ukraińskie dziwki, wygonili mnie z pokoju. Nazajutrz wybrano dziesięciu młodych Żydów i wywieziono ich piętnaście kilometrów za miasto, na pole przy rzece. Esesmani powiedzieli im, że mogą uciekać i jeśli dobiegną do rzeki, będą wolni. Kruger wraz z synem ustawili się w odległości około pięćdziesięciu metrów z szybkostrzelnymi myśliwskimi sztucerami. Kiedy Żydzi rzucili się do ucieczki, ojciec i syn strzelali do nich na zmianę. Byli doskonałymi strzelcami. Żaden z Żydów - zarówno ci, którzy kluczyli i kryli się, jak i ci, którzy starali się jak naj-

619

szybciej uciec - nie dotarł do rzeki. Kriiger opowiedział mi
0 wszystkim później, któregoś wieczoru, gdy kazał mi grać
wyłącznie Haydna.

Gestapowcy złapali na odmawianiu modlitwy pewnego ortodoksyjnego rabina o nazwisku Nebenstall i publicznie go poniżyli. Kazali mu pluć na świętą Torę, aż zabrakło mu śliny w ustach. Potem kazali mu oddać na Torę moc. Potem chcieli, aby się na nią wypróżnił, nie mógł jednak tego zrobić, ponieważ od dawna nic nie jadł. Przyniesiono chleb i gestapowcy wciskali mu bochenek za bochenkiem do gardła. Robili to jednak zbyt energicznie i biedny rabin zadusił się chlebem. Jego ciało pozostawiono na ulicy, a inni Żydzi walczyli o kawałki chleba, które wystawały mu z ust. Jakiś rabin odzyskał zbezczeszczoną Torę

1 pochował ją w tajemnicy na żydowskim cmentarzu.

W październiku Kriiger zażądał, by Judenrat przedstawił mu kolejną listę do wywózki. Tym razem miało się na niej znajdować tysiąc Żydów. Getto kurczyło się. Wybieraliśmy najbiedniejszych i najmniej poważanych; największe szansę znalezienia się na liście mieli chorzy i głodni, a także starzy ludzie z mniej znanych rodzin. Staraliśmy się chronić nasze własne rodziny i rodziny naszych przyjaciół. Układając się z wrogiem, upadaliśmy coraz niżej. Kiedy wywózka zakończyła się i ciężarówki odjechały, Niemcy przydzielili dodatkowe racje żywnościowe naszym rodzinom. Za dodatkowy bochenek chleba sprzedaliśmy dzieci Izraela, wiedząc, że czeka ich los daleko gorszy od niewoli.

Mój teść zabrał mnie któregoś dnia siłą do swojej fabryki. Dyrektor zakładów odzieżowych uciekł z miasta przed wejściem Niemców i Saul musiał przejąć jego stanowisko. Niemcy rozwinęli tam produkcję zimowych płaszczy dla wojska. Saul zaprowadził mnie do krojczego i kazał mu nauczyć mnie, jak szyje się płaszcz. Krew uderzyła mi do głowy i zacząłem krzyczeć, że jestem pianistą, a w tym miejscu pracują sami prostacy. Saul złapał mnie za ramiona i mocno potrząsnął. Mimo swego wieku był silny. Naucz się szyć, krzyknął. Naucz się czegoś, co może się przydać Niemcom. Czegoś, czego mogą potrzebować. Krojczy pokazał mi, jak szyć równym ścięciem, a potem kazał powtarzać to, aż doszedłem do jakiejś takiej wprawy. Musiałem nauczyć się wszywania zamków błyskawicznych, stebnowania kołnierzy i mnóstwa innych rzeczy. Saul pojawiał się, żeby

sprawdzić moje umiejętności, i znowu się kłóciliśmy. Kazał mi codziennie przychodzić do fabryki. Szyłem zamiast ćwiczyć swoje gamy. Szyłem zamiast uczyć się dzieł wielkich kompozytorów. Szyłem i czułem, jak wzbiera we mnie nienawiść do mojego teścia. Po przeszło czterdziestu latach mogę ci powiedzieć, że ten człowiek, którego nienawidziłem, Saul Younger-man, ucząc mnie krawiectwa, chciał ocalić mi życie. Niemcy wysłaliby do komory gazowej samego Beethovena, gdyby nie potrafił uszyć koszuli dla walczącego na wschodnim froncie żołnierza. Mój teść zrobił ze mnie muzyka i krawca.

Młody gestapowiec o nazwisku Schmidt wzbudzał w getcie prawdziwy postrach. Miał zwyczaj policzkować Żydów na ulicy. Uwielbiał to robić, ponieważ niektórzy starsi Żydzi zaczęli padać na kolana na sam jego widok. Któregoś razu zobaczyłem to na własne oczy. Schmidt szedł przez getto i wszyscy ludzie klękali przed nim na ulicy. Uklękłem i ja.

Schmidt wyglądał jak albinos i był notorycznym gwałcicielem. Gwałcił zarówno polskie i ukraińskie, jak i żydowskie dziewczęta. Zjedną małą różnicą. Żydówki hańbił, kiedy w sąsiednim pokoju siedzieli ich rodzice, a potem zabijał je strzałem z pistoletu. Żydzi ukrywali swoje córki, kiedy rozchodziła się wiadomość, że Schmidt zbliża się do getta.

Wkrótce przekonaliśmy się, że życie Żyda niewarte jest funta kłaków. To jedno w getcie było pewne. Głód zaglądał nam w oczy. Zdobycie czegoś do jedzenia było coraz trudniejsze. Dwunastu bram getta strzegli ukraińscy policjanci. Niektórzy z nich byli porządni i cierpieli tak samo jak Żydzi, którym próbowali pomóc. Podli Żydzi składali donosy na porządnym Ukraińców, których usuwano z posterunków i nikt ich więcej nie widział. Członkowie Ordnungdienst, która była czymś w rodzaju żydowskiej policji, nosili swoje własne mundury i starali się zasłużyć w oczach Niemców, donosząc na innych. Byli kapusiami. Muszę jednak przyznać, że nie byli gorsi ode mnie. Getto było jatką, a my wszyscy przeznaczonymi na rzeź zwierzętami. Żyd mógł w tym koszmarze udowodnić swoją niewinność tylko w jeden sposób: oddając duszę Bogu. Ludzie zaczęli umierać z głodu i ich ciała układano na ulicy niczym drzewo na opał. Powszechnie zazdrozczono umarłym. Choć trudno w to uwierzyć, była pewna grupa Żydów, którzy znajdowali się w gorszej sytuacji od innych. Obserwowałem

621

mężczyzn wywożących fekalia do rzeki - wygłodzonych, przerażających osobników, którzy ciągnęli wózki, jakby byli ochwaconymi końmi. Ich praca była okropna, poniżająca. Ciągnął się za nimi straszliwy smród. A jednak to oni właśnie ratowali nas przed epidemią. Większość z nich umierała na tyfus.

Matka Soni miała na imię Gisela. Była miła i kochana. Jej mąż Saul doprowadzał ją jednak do obłędu swoimi ryzykownymi posunięciami. Wręczał łapówki Ukraińcom i żydowskiej policji. Zorganizował system szmuglowania żywności do getta. Wiedząc świetnie, jakie mogą być konsekwencje takiego nierozważnego postępowania, nawiązał tajne kontakty z partyzantami, którzy napadali w lasach na niemieckie patrole. Żydowski donosiciel, kryminalista o nazwisku Feldman, doniósł na Gestapo, że Saul przesznuł do getta pistolet. Było to kłamstwo, ale oznaczało wyrok śmierci dla mojego teścia. Razem z nim na Gestapo zabrano Giselę. Ten sam los spotkałby moją żonę i synów, ale wyszli akurat z domu, żeby zdobyć trochę mleka. Znalazłem ich po gorączkowych poszukiwaniach przy wejściu do kanału.

Tego samego dnia wieczorem znowu przygrywałem Krüge-rowsi do kolacji. Nie dał po sobie poznać, że wie, iż Saul jest moim teściem. Zanim zebrałem się na odwagę, aby o niego zapytać, kazał mi wracać do domu. Dowiedziawszy się, że nie zapytałem nawet o jej rodziców, Sonia odwróciła się ode mnie plecami. Nie chciała ze mną rozmawiać, gdy próbowałem się tłumaczyć. Inni członkowie Judenratu przyszli do nas, żeby dowiedzieć się czegoś o losie Saula i Giseli. Uzgodniliśmy, że udamy się wspólnie do Kriigera, żeby dodawać sobie wzajemnie odwagi. Na czele naszej delegacji stanął przewodniczący Judenratu, doktor Izaak Weinberger. Szanowali go nawet naziści, ponieważ nastawił złamane kości kilku gestapowcom, kiedy ich ciężarówka wpadła

do rowu. Kriiger dzielił biednego Weinbergera szpicrutą i okładał go, ignorując pozostałych członków delegacji, którzy błagali go, by przestał. Wrzeszczał, że jeśli nie nabierzemy przed nim respektu, zorganizuje Sonderaktion przeciwko członkom Judenratu i ich rodzinom. A potem podszedł do mnie i oznajmił, iż wie, że to ja byłem inicjatorem tej wizyty.

- Chcesz koniecznie zobaczyć się ze swoim teściem? - zapytał. Strach odebrał mi mowę i kiwnąłem tylko głó-

622

wą. - Wiem, co robi się ze świniami, bo mój dziadek prowadził kiedyś ich hodowlę. Świnie zawsze kończą tak samo - powiedział, po czym zabrał mnie do rzeźni, która mieściła się poza terenem getta. Słyszałem krzyki i jęki ludzi, ale nikogo nie widziałem. Kruger szedł szybko i ledwo za nim nadążałem. Wszędzie czuć było smród krwi i wnętrzności, nie potrafiłem jednak powiedzieć, czy wydzielają go zwłoki ludzkie czy zwierzęce. Po chwili podeszliśmy do drzwi, przy których stał strażnik.

— Czy Youngermanowie są gotowi do wizyty? - zapytał go Kruger w potocznej niemczyźnie, której jego zdaniem nie powinienem rozumieć.

— Tak - odparł, puszczając oko, strażnik. - Mogą przyjąć każdego.

Wszedłem do pogrążonego w mroku pomieszczenia, a Kruger zapalił światło. Powiesili Saula Youngermana na rzeźniczym haku, którego szpic przebił kość łopatkową. Nie poznałem jego twarzy, tak go straszliwie pobili. Ale wciąż żył i jego podpuchnięte oczy utkwione były w czymś za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem nagą Giselę powieszoną za nogi i wypatroszoną jednym długim cięciem biegnącym od gardła aż do sromu. Wiszące wnętrzności zasłaniały twarz. Kiedy jej się przyglądałem, Kruger wyszedł na korytarz. Słyszałem, jak wymiotuje.

Tej nocy kazał mi grać do obiadu "Cztery pory roku" Vivaldiego.

Chociaż Sonia bez przerwy mnie wypytywała, nigdy nie zdradziłem jej, co widziałem w rzeźni.

Powiedziałem, że jej rodzice wyjechali w konwoju. Innym członkom Judenratu też nie powiedziałem ani słowa. Doszedłem do wniosku, że nie powinienem podsycać zbiorowego przerażenia. W tym czasie i tak wiedzieliśmy wszyscy, że jesteśmy zdani na łaskę psychopatów i rzeźników. Sonia pocieszała się nadzieją, że rodziców wysłano do obozów pracy. Nie starałem się wyprowadzać jej z błędu. I tak dosyć było wokół nas rozpacz.

W lipcu zarządzono kolejną Sonderaktion i kolejnych pięciuset Żydów pożegnało się z życiem.

Żydowskiej straży ogniowej kazano wykopać masowy grób za miastem. Potem biedni Żydzi musieli rozebrać się do naga, aby ich ubrania można było wykorzystać do szycia mundurów dla Rzeszy. Stojący

623

w szeregu naprzeciwko karabinów maszynowych młody Żyd o nazwisku Woliński skoczył nagle na jednego z gestapowców. Do uda miał przyklejony taśmą sześcioostry nóż. Przebił nim gardło gestapowca, ale ten rzucił się w ślad za nim, krztusząc się własną krwią i dźgając go bagnetem. Nie trwało to długo. Półżywy Woliński zatańczył dla nazistów własną wersję two-stepa. Aby go uhonorować, Niemcy zlikwidowali nazajutrz kolejnych pięciuset Żydów. Razem z innymi członkami Judenratu przez całą noc kompletowałem nazwiska, które miały się znaleźć na liście. Zawsze wybieraliśmy najbiedniejszych i najbardziej bezbronnych. Zawsze wybieraliśmy Żydów, których nie znaliśmy i którzy nie byli z nami spokrewnieni.

Przez całe życie miałem obsesję na punkcie czystości. W getcie można było jednak zapomnieć o wszelkiej higienie. Podobnie jak wszyscy inni Żydzi, musiałem wegetować w potwornym brudzie.

W nocy władzę nad naszymi domami przejmowały szczury: słyszeliśmy, jak tłuką się między garnkami i patelniami, szukając desperacko jakichś ochłapów. Najlepiej czuły się na cmentarzu, gdzie mogły tuczyć się resztkami mięsa, które znalazły na kościach wygłodzonych Żydów. Pluskwy były tak dokuczliwe, że w lecie często budziliśmy dzieci i wychodziliśmy na ulicę spać pod

gwiazdami. W zimie nie mieliśmy wyboru: musieliśmy toczyć wojnę z pluskwami, karaluchami i wszami. Woda była na wagę złota. Nawet zanieczyszczona. Któregoś wieczoru pewien stary Żyd zamknął oczy, aby pobłogosławić kromkę chleba, którą miał zamiar zjeść, i w tej samej chwili szczur wyskoczył z szafy i wyrwał mu ją z ręki. Rozwścieczony Żyd zatłukł szczura butem, zdarł z niego skórę, upiekł nad otwartym ogniem i czym prędzej zjadł. Potem przyszedł do niego rabin, nie po to jednak, by upomnieć go, że zjadł nieko-szerny posiłek, lecz żeby się dowiedzieć, jak smakuje szczurze mięso. W taką desperację popadli Żydzi w Kironicce.

Kiedy pierwszy komendant Ordnungsdienstu zastrzelony został na ulicy przez Oberscharfuhrera za to, że nie dość szybko wykonywał jego rozkazy, na czele tej formacji postawiono niejakiego Bergera - pijaka i rabusia, który pracował kiedyś jako tragarz na stacji kolejowej. Berger był silny jak byk i głupi jak goj, jeśli wybaczysz mi to określenie. Tacy jak Berger budzili w innych Żydach obrzydzenie, ale obrzezano ich zgodnie z zakonem, więc cóż można było poradzić? Nazistów nie

obcho-

624

dziło, czy mają do czynienia z Einsteinem czy Horowitzem, jeśli odkryli przybitą do futryny mezuzę i obrzezany napletek. Berger chodził w mundurze uzbrojony w pałkę i lubił okładać nią wykształconych Żydów. Niektórzy bali się go bardziej niż zwykłych niemieckich żołnierzy. Wiele żydowskich dziewcząt łajdaczyło się z Niemcami i w ogóle z każdym, kto mógł je nakarmić. Kiedy niemiecki żołnierz szedł do łóżka z żydowską dziewczyną, obojgu groziła śmierć - takie były prawa rasowe. Ale mężczyźni są zawsze mężczyznami, a kobiety kobietami. Dla łyżki stawy człowiek zrobi wszystko. Ponieważ byłem członkiem Judenratu, mieliśmy więcej jedzenia niż inni i nie musieliśmy się bez przerwy troszczyć, co włożyć do garnka.

Któregoś dnia szedłem do domu główną ulicą getta po całym dniu pracy w fabryce. Przerabialiśmy wtedy futra na ocieplane mundury dla walczących na froncie wschodnim niemieckich żołnierzy. Przygnębiony i zmęczony szedłem powoli ze spuszczoną głową, starając się nie ściągać na siebie uwagi, co zawsze było najlepszą strategią przetrwania. Nagle wokół mnie powstało zamieszanie. Usłyszałem krzyki, płacz i zawodzenie. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że gestapowcy złapali dwóch żydowskich braci, którzy szmuglowali jedzenie do getta. Jeden mógł mieć dziesięć, drugi dziewięć lat i płakali głośno, kiedy gestapowcy bili ich z całej siły po twarzach. Działo się to na placu, niedaleko szubienicy, gdzie wieszano Żydów, Polaków i Ukraińców, którzy narazili się nazistom. Niemcy lubili wieszać ludzi, żeby dawać innym przykład. W tej samej chwili nadjechał Kruger.

Obaj chłopcy darli się wniebogłosy, kiedy zaciągnięto ich na rusztowanie, ale ponieważ byli tacy mali, myślałem, że nic im się nie stanie. Próbowali przemycić do getta konserwy rybne i butelkę wódki, towary, które osiągnęły wtedy niewiarygodną cenę. Pół żartem, pół serio postawiono ich na stołkach i założono na szyje stryczki. Wyglądało to naprawdę upiornie. Żydzi zawodzili cicho, dawno bowiem nauczyli się nie podnosić głosu w proteście. Miałem wrażenie, że przemierzam jakiś niewyobrażalny krajobraz, którego sens odnaleźć można tylko w sennym koszmarze. Nie potrafiłem oderwać oczu od chłopców, którzy w normalnych warunkach graliby pewnie w piłkę nożną na szkolnym boisku. Nagle usłyszałem, jak ktoś woła mnie po

625

nazwisku. To był Kriiger. Zobaczył mnie i kazał wyjść z tłumu. To tylko chłopcy, powiedziałem ze spuszczoną głową, a on smagnął mnie przez twarz szpicrutą i poczułem w ustach smak krwi. Nagle gdzieś za moimi plecami rozległy się głośne krzyki. Jakiś mężczyzna przepychał się przez tłum, zmierzając w naszą stronę. To był Berger, nadęty buc, który miał pod swoimi rozkazami Ordnungsdienst.

— To moi chłopcy! - krzyczał. - Synowie twojego po
słusznego sługi Bergera, który stłucze ich tak, że popamiętają

ruski miesiąc. Przysięgam na Boga, że dam im nauczkę.
— To nie są żadni chłopcy ani synowie - oznajmił Kriiger, zwracając się do tłumu. - To są wrogowie Rzeszy i muszą zostać ukarani w najbardziej przykładowy sposób. - Mówiąc to sprawdził, czy stryczki są mocno zaciągnięte. Obaj chłopcy zaczęli krzyczeć do ojca, który próbował się do nich zbliżyć, zaraz jednak padł na ziemię, uderzony w głowę kolbą karabinu. Oszałały ze strachu podniósł się chwiejnie na nogi i zaczął wołać do synów, żeby się nie martwili. Powtarzał im w jidisz, że Jahwe ich uratuje. Ale Jahwe wyjechał w tamtym czasie na długie wakacje, daleko od swojego narodu wybranego. Na pewno nie było go w Europie Wschodniej, Jack, jestem tego pewien. Ponownie usłyszałem, jak Kriiger wymienia moje nazwisko. Zwrócił się do mnie półgłosem, prawie przyjaźnie, tak żeby nie usłyszeli go ludzie:

- Jesteś członkiem Judenratu, przywódcą swojej społeczności - powiedział. - Udowodnij, że potrafisz podejmować trudne decyzje, wykonywać zadania, które podczas wojny muszą wykonywać wszyscy wierni słudzy Rzeszy. Żydzi byli tak długo pasożytami i pijawkami. Zrób coś, żeby pomóc Rzeszy pozbyć się takich szkodników. Powieś tych dwóch gnojników, pianisto.

Berger zaczął błagać, żeby darowano życie jego synom. Słyszałem, jak niemieccy żołnierze okładają go kolbami, żeby umilkł, ale on był silny jak tur i dalej pełzał pod szubienicę, aż w końcu zatrzymało go trzech gestapowców, którzy pojawili się nie wiadomo skąd. Kriiger ponownie się do mnie odwrócił i wypowiedział słowa, które sprawiły, że coś we mnie pękło, Jack.

- Jeśli ich zaraz nie powiesz - zagroził - jutro na tej samej szubienicy powieszę twoją piękną Sonię i twoje piękne dzieci.

626

W tym momencie przestałem się wahać. Podeszedłem do tych chłopców i na oczach wpatrującego się we mnie z nienawiścią Bergera wykopałem stołki spod ich stóp. Kriiger złapał mnie za kark, kiedy próbowałem się odwrócić. Musiałem patrzeć, jak miotają się w konwulsjach, wierzgają nogami i umierają. Mały chłopiec umiera o wiele dłużej od dorosłego mężczyzny.

Berger przez cały czas wyl jak opętany i chyba w niczym głosie nie słyszałem dotąd takiego bólu. Takiego czystego bólu. Zabrali go z placu i jak później słyszałem, zawieźli na Gestapo. Tylko dziwki wracały stamtąd żywe. Po powrocie do domu opowiedziałem Soni, co zrobiłem, a ona objęła mnie mocno i długo całowała po twarzy. Powiedziała, żebym się nie martwił i nie zadreślał. Jako Żydzi jesteśmy poddawani próbie, mówiła, i jako Żydzi przetrwamy, pokażemy im wszystkim, że należymy do narodu, który cierpiał prześladowania przez trzy tysiące lat. Mogą zrobić wszystko z naszymi ciałami, powtarzała, całując mnie i tuląc do piersi, mogą nas głodzić, torturować i wyrzynać całymi tysiącami, ale nasze dusze i tak będą należały do nas.

- Nie mogą obrabować nas z tego, kim naprawdę jesteśmy, mój mężu.

Sonia miała rację co do siebie. Myliła się co do George'a Fxa.

Tej nocy Kriiger kazał mi zagrać jakiś utwór Haydna. Zamiast tego zagrałem mu Telemanna, ale ten biedny idiota w ogóle się nie zorientował. Nie jest grzechem brak kultury. Grzechem jest udawanie. Tej nocy, grając Telemanna, udawałem, że występuję przed królewską publicznością w Londynie i że gram tak wspaniale, iż nawet zimnokrwieści Anglicy urządzają mi stojącą owację. Udawałem, że tego dnia nie powiesiłem dwóch żydowskich chłopców. Ich krew była na moich rękach, kiedy uderzałem w klawisze.

W miarę zbliżania się jesiennych chłódów ten potwór Kriiger zaczął zdradzać oznaki coraz większej nerwowości. Czasami przez cały dzień nie wychodził z domu. Czasami dostawał szału i

wszędzie było go pełno. Pewnego dnia wpadł na trop rodziny, która ukrywała złoto i brylanty pod płytą posadzki w kościele, i zatłukł wszystkich na śmierć zarekwirowanym stamtąd posągami świętego Józefa. Wśród ofiar była dwuletnia dziewczynka. Żydowska straż pożarna otrzymała rozkaz wykopania dołów na co najmniej pięćset kolejnych ciał.

627

Pewnego dnia, kiedy był bardziej niespokojny, Kriiger odwiedził fabrykę, w której szyłem płaszcze. Żydowscy krawcy o mało nie dostali na jego widok ataku serca. Dla całego getta zdążył stać się kimś w rodzaju Anioła Śmierci. Administrowanie horrorem wyryło ślady nawet na jego twarzy. Policzki zapadły mu się, jakbygnił od środka. Palcem pokazał, żebym szedł za nim. Cóż mogłem zrobić? Byłem przecież jego niewolnikiem.

Kazał mi siąść na tylnym siedzeniu łazika i splunął na moją Gwiazdę Dawida, jakby chciał mi przypomnieć, co myśli o wszystkich Żydach. Ten gest wydał mi się niemal komiczny - czy naprawdę musiał mi to przypominać? Po kilku minutach zatrzymaliśmy się przy sierocińcu, w którym pełno było małych dzieci. W tym miesiącu do getta przybył duży transport węgierskich Żydów. Nikt ich nie chciał i nikt nie wiedział, co z nimi zrobić. Z kilkoma godnymi wyjątkami, Żydzi z Kironicki traktowali swoich węgierskich ziomków fatalnie. Wśród ludzi zawsze spotyka się kilku sprawiedliwych. Dzięki nim właśnie pomysł Boga, żeby stworzyć człowieka, nie wydaje się czasem taki zły. Tego dnia w sierocińcu idea człowieczeństwa została jednak postawiona na głowie. Na ciężarówce załadowano przeszło sto dzieci - najmniejszych i najbardziej bezradnych.

Dwanaścioro nie było nawet Żydami. Zbrodnia czworga polegała na tym, że byli Polakami.

Ośmiorga, że byli Ukraińcami. Widziałem wśród nich wiele niemowląt. Niektóre płakały.

Większość była zbyt słaba, żeby płakać. Łazik wyjechał na czele małej karawany z miasta. Muszę powiedzieć, że podczas tej wycieczki najbardziej bałem się o własne życie. Nie pamiętam, żebym chociaż raz pomyślał o tych biednych dzieciakach. Po całej godzinie wjechaliśmy w góry, które czasami przy dobrej pogodzie widać było z Kironicki. Zatrzymaliśmy się na wysokim moście przerzuconym nad wąwozem. Sto metrów niżej płynęła rwąca rzeka. Żołnierze zaczęli od niemowlaków. Łapali je za nogi i pakowali do jutowych wózków. Większość płakała, inne szarpały się, jeszcze inne były ledwo żywe i w ogóle nie protestowały. Kruger wyjął z futerału przepiękną strzelbę, której, jak mi powiedział, używał w Bawarii do polowania na jelenie i dziki.

Jadąc w to miejsce, niemieccy żołnierze zdążyli się upić. Teraz brali jeden za drugim worki z niechcianymi dziećmi i rzucali je do płynącej niżej rzeki. Wydawało mi się, że most runie w dół ze zgrozy. Dzieci, których nie zapakowano do worków, wpadły

628

w panikę. Niektóre wołały na pomoc matki. Żadne nie wiedziało dokładnie, co się dzieje, i była to jedyna ludzka rzecz w całej tej nie dającej się opisać scenie. Kruger załadował strzelbę i wycelował. Nawet w szeregach SS uznawany był za znakomitego strzelca. Strzelając starał się wprawić w ruch obrotowy każdy worek, w który celował. Jedno z dzieci udało mu się obrócić trzy razy, nim wpadło do rzeki, i żołnierze bili mu brawo. Trafił piętnaścioro dzieci pod rząd i chybił dopiero za szesnastym razem, celując do worka, który wpadał już niemal do wody. Po krótkim czasie znudziła mu się jednak ta zabawa. Schował ostrożnie strzelbę do futerału i wrzasnął na żołnierzy, żeby się pośpieszyli. Ostatnie dwadzieścioro albo trzydzieścioro dzieci Niemcy cisnęli z mostu, nie pakując ich nawet do worków. Widziałem pięciorko nagich niewinnych niemowląt, spadających jednocześnie w dół, każde na innej wysokości. Wkrótce zadanie zostało wykonane i wróciliśmy do miasta. Kruger ani razu się do mnie nie odezwał. Wiedziałem, że jeśli coś powiem, wpakuje mi kulę w łeb. Tej nocy kazał mi zagrać coś pięknego, coś, co miało złagodzić cierpienia, których przysparzała mu jego funkcja. Zagrałem dwudziesty pierwszy koncert fortepianowy Mozarta, ponieważ ma w sobie jakieś ukryte piękno. Słuchając mnie, zalał się łzami i zorientowałem się, że znowu się upił. Zaczął się wywnętrzać, ani razu nie wspomniał jednak o zamordowanych dzieciach. Mówił o obowiązku, surowym obowiązku. Jeśli chce być dobrym żołnierzem, musi wykonywać rozkazy Fihrera z całą stanowczością, na jaką go stać. Łatwo byłoby mu traktować ludzi łagodnie, ponieważ w cywilu

znany był ze swojej prostodusz-ności i pogody ducha. Wszyscy powtarzali, że psuje swoje dzieci, zwłaszcza córkę Bridget. W swoim drugim życiu był bankierem i jedyny kłopot sprawiło mu to, że chciał pożyczać wszystkim pieniądze. Bolało go nawet, kiedy odmawiał pijakom i darmożjadom. Przez ponad godzinę opowiadał monotonnym głosem, jakim to jest mięczakiem: jak bardzo lubi zrywać polne kwiatki dla swojej Bridget i grać w nogę ze swoimi dwoma synami, i jak zawsze pozwala im wygrać, zanim wrócą do domu na kolację. Grałem Mozarta, próbując nie zwracać na niego uwagi, a on pił i płakał, płakał i pił, aż w końcu zasnął. Wymknąłem się wówczas na palcach z jego domu i nocą tego samego dnia, kiedy Kruger kazał zrzucić z mostu na Ukrainie setkę sierot, wróciłem do siebie. Jeśli istnieje Bóg, Jack, te sieroty spotkają kiedyś Kriigera na moście, z którego rozciąga się widok na

629

piekło. Bóg odwróci się wtedy od nich plecami, tak jak odwrócił się od swego narodu wybranego w latach, o których opowiadam, i nie będzie się oglądał bez względu na to, jak żałosne będą krzyki Krugera, i bez względu na to, jak długo to potrwa, a ja modłę się, żeby trwało całą wieczność. Codziennie spotykałem coraz więcej głodujących. Nogi puchły im i zmieniały kolor. Poruszali się w dziwny sposób, jakby chodzili po dnie morza, i łatwo było rozpoznać ludzi, którzy za parę dni umrą. Roztaczali wokół siebie specyficzną aurę i zapach i nauczyłem się obchodzić ich szerokim łukiem. Ponieważ byłem członkiem Judenratu, krawcem w fabryce i osobistym pianistą Krugera, mojej rodzinie raczej nie brakowało jedzenia. Mieszkaliśmy w nędzy i brudzie, ale jedliśmy lepiej od większości Żydów w getcie. Dziękowałem losowi za to, że moja Sonia i dzieci żyją i mają się dobrze.

A potem któregoś dnia pewien Żyd o nazwisku Sklar, silny i porywczy młodzieniec, chlusnął w twarz kwasem solnym gestapowcowi, który przyszedł aresztować jego ojca i matkę. Nazista wrzeszczał jak opętany, kiedy kwas wypalił mu oczy i pół twarzy. Inni Niemcy zabili natychmiast Sklara i jego rodziców strzałami w głowę, a Kriiger kazał powiesić w publicznym miejscu jego ciało i podłożyć pod nie ogień. Nie zaspokoilo to jednak jego żądy krwi. Kiedy oślepionego i oszpeconego Niemca odesłano do domu do Dusseldorfu, Kriiger zwołał nocne zebranie Judenratu. Oznajmił na nim, że w odwecie za atak na żołnierza Rzeszy na latarniach Kironicki ma zawisnąć trzystu Żydów. Judenrat zwrócił się z apelem o zgłaszanie się ochotników, nie jest jednak łatwo znaleźć ludzi, którzy dobrowolnie zgłoszą się na własną egzekucję.

Kompletujący listę członkowie Judenratu znosili prawdziwe katusze. W pierwszej kolejności wpisano na nią starców, argumentując, że zakosztowali już dość życia. Sprawdzone szpital i najciężej chorzy ściągnięci zostali z łóżek. Do grupy skazańców dołączyliśmy chorych psychicznie, przekonując samych siebie, że wyświadczamy im przysługę, ponieważ i tak nie odróżniają życia od śmierci. Kruger był czarnym Bogiem, którego rozkazów musieliśmy słuchać, wysyłając na rzeź swych współziomków. Lista była wciąż niekompletna i Kruger ryknął, że jeśli nie dostarczymy mu zaraz trzystu Żydów, powiesi wszystkich członków Judenratu wraz z rodzinami. Nagle, na nasze szczęście, jak wydawało nam się wówczas i za co mieliśmy odpoku-

630

tować w przyszłości, na dworzec przybył kolejny transport węgierskich Żydów. W odwecie za jednego oślepionego nazistę, na latarniach, belkach i specjalnie w tym celu wzniesionych szubienicach zawisło trzystu Żydów. Kriiger pozwolił ich odciąć, dopiero kiedy ciała zaczęły się rozkładać.

Wieczorem w dniu egzekucji kazał mi grać Wagnera. Wagnera, tego antysemitę. Ale Kruger był idiotą i jego wybór nie świadczył wcale o poczuciu ironii.

- Nie wiesz, jakie są koszty. Nie wiesz, jakie są koszty - mamrotał, kiedy się upił.

Grałem dalej, udając, że go nie słyszę. Grałem Wagnera owej nocy, kiedy trzystu Żydów przeszło Morze Czerwone w drodze do Ziemi Obiecanej. Trzystu ludzi, którzy dotrzymali przymierza ze swoim stwórcą, kołysało się w zimnych podmuchach wiatru wiejącego od zaśnieżonych gór.

Wiedziałem, jakie są koszty, Hen Kruger. Wiedziałem, jakie są koszty, bo zmusiłeś mnie, żebym

pomógł skompletować listę.

Judenrat. Nie potrafię niemal wymówić na głos tego słowa. Wstyd, jaki czuję, gdy je wypowiadam, odbiera mi oddech. Przewodniczący Judenratu w warszawskim getcie popełnił samobójstwo. To chyba jedyne właściwe wyjście. Wymaga jednak odwagi, której mi zabrakło, kiedy wybuchła wojna. Co poczęliby ze sobą Sonia i moi synowie, gdybym podciął sobie żyły albo połknął trutkę na szczury? Znałem cztery rodziny, które zażyły wspólnie arszenik, żeby móc umrzeć na własnych warunkach. Ja czekałem, aż nazistowska bestia zgłodnieje i rozejrzy się za nowym żerem. Kto mógł pomyśleć, że zwróci się któregoś dnia przeciw mojej pięknej Soni?

Zależało mi tylko, żeby ocalić żonę i dzieci - poza tym cały świat mógł walić się w gruzy. Któregoś dnia zamknięto fabrykę w związku z podejrzeniem o sabotaż i wysłano nas do domów, grożąc represjami i nie dając dodatkowych racji żywnościowych. Wróciłem wcześniej do zatłoczonego mieszkania, które zajmowaliśmy razem z kilkoma innymi rodzinami i przybyszami z Węgier.

Moimi dziećmi opiekowała się stara Żydówka ze wsi. Biorąc na ręce Jonatana, zapytałem o żonę.

Dwaj starsi synowie siedli mi na kolanach i zaczęli przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu jedzenia.

Ciężko mi dziś wymówić ich imiona. Po powrocie do domu Sonia najpierw zdziwiła się na mój widok, a potem zaczerwieniła ze wstydu. Zapytałem, gdzie była. Każdej atrakcyjnej kobiecie, która wyszła na ulicę,

631

groziło niebezpieczeństwo ze strony stale obecnych patroli ukraińskiej policji i niemieckich żołnierzy. Sonia przyłożyła palec do ust i wbiła wzrok w podłogę.

- Proszę, nie pytaj mnie o to, mój mężu.

Tej samej nocy, kiedy miasto spało, a obok nas chrapali obcy ludzie, od których dzielił nas tylko koc, wyciągnąłem rękę, żeby przytulić Sonię do siebie. Chciałem odnaleźć pociechę w jej ciele.

Kochając ją chciałem zapomnieć o wszystkim. Pocałowała mnie jak zawsze, potem zaś wyznała, że nigdy już nie będziemy mogli się kochać. Powiedziała, że zhańbiła mnie i obie nasze rodziny i nigdy już nie będzie mogła trzymać mnie w objęciach. Płacząc cicho w ciemności błagała o wybaczenie.

Przed miesiącem ten potwór Kruger przyjechał do niej i kazał iść do swojego domu, gdyż postanowił zrobić z niej swoją dziwkę. Oświadczył jej szczerze, że nie wierzy w głoszoną przez nazistów teorię czystości rasowej i popiera ją tylko ze względu na karierę. Drżąc cała, Sonia błagała go, żeby tego nie robił. Ale Kruger, który był wszechwładnym panem tego zakątka piekła, roześmiał jej się w nos i oznajmił, że z przyjemnością zastrzeli jej męża i dzieci na ulicy, następnie zaś sprowadzi ją do swego domu jako służącą. Potem, kiedy znudziło go uwodzenie, przestał bawić się w wyjaśnienia i zgwałcił ją na kanapie przy fortepianie. Każdego dnia miała przychodzić do jego domu. Sonia błagała Kriigera, aby nie mówił mi nic o jej upodleniu, a on był na tyle uprzejmy, że się zgodził. Za każdym razem to jest gwałt, drogi mężu, powiedziała. A potem wyjaśniła, że nie może się ze mną kochać, ponieważ Kruger zaraził ją syfilisem. Biedna Sonia. Leżąc tej nocy w moich ramionach tak bardzo wstydziła się i cierpiała, że myślałem, iż oboje po prostu tego nie zniesiemy. Nad ranem jednak ślubowaliśmy sobie na nowo naszą miłość. Mogli nam zabrać wszystko, ale nasza miłość miała trwać wiecznie.

Człowiek myśli, że słyszał i wyobraził sobie wszystko, co może się zdarzyć w żydowskim getcie. A potem dzieje się coś strasznego, coś, co odbiera mu głos. Modli się, żeby nic więcej sobie nie wyobrażać. Modlitwy zostają wysłuchane. Człowiek dowiaduje się, że zło nie ma granic. Rozpacz, jaką wtedy odczuwałem, zupełnie mnie sparaliżowała.

Opowiadając ci o tym wszystkim, Jack, zastanawiam się, czy używam właściwych słów. Czy nie wydaje mu się, że przesadzam, pytam sam siebie. Czy nie pomijam jakichś szczegółów, które przekonałyby go, że wszystko to naprawdę się zdarzyło?

632

Czy nie pomijam rzeczy, które robią wrażenie zbyt strasznych lub niewiarygodnych? Czy wydają ci się dość szczery? Jak sądzisz, Jack? Powiedz coś. Te twoje oczy. Zawsze nienawidziłem twoich oczu. Oczu Kriigera. Oczu Niemiec. Ha! Oczu mojego zięcia.

Przyszła epidemia tyfusu. Potem cholery. Im większe panowały chłody, tym bliższy wydawał się koniec getta. Sytuacja niemieckich wojsk na froncie wschodnim nie była dobra. Matka Rosja jak zawsze połykała armie napastników. Niemcom zaczynały się wydłużać miny.

Martwych układano rano na ulicy niczym worki ze śmieciami.

Kruger zaczął rozmawiać ze mną, jakbyśmy byli starymi kumplami. Miał ochotę się komuś zwierzyć i mnie wybrał na swego słuchacza. Nie chciał, żebym się odzywał, kiwałem więc tylko głową, uderzając palcami w klawisze. Nauczyłem się udawać współczucie dla jego ciężkiego losu i problemów, jakich przysparza mu dowodzenie. Powiedział mi wtedy coś ciekawego. Ten potwór Kruger powiedział mi wtedy, że nigdy nie zrozumie, jak to jest, kiedy ma się pod swoją władzą całe miasto. Wiedział, że rządzi za pomocą czystego terroru, odkrył jednak, że nawet terror ma swoje granice. Grałem Dvofaka, kiedy mi to opowiadał. Rozważając swój dylemat, rozlewał na stół koniak. Od niego zależało życie każdego mieszkańca Kiro-nicki. On, Kruger, mógł kazać wszystkich zabić. W siedzibie Gestapo ludzie ginęli często w trakcie tortur. Wiedział o gwoździach wbijanych pod paznokcie i o bólu, jaki to sprawa. Każde miejsce na ciele mogło służyć zadawaniu męczarni. Nożyczki można było wepchnąć w nozdrza, do uszu, do odbytu. Można było wyciąć mężczyznom mosznę. Każdy otwór mógł być zamieniony w tunel tego, co określał jako "przeszywający ból". Każdy język można było zmusić do mówienia, a potem wydrzeć. Kruger zdawał sobie sprawę, że ludzkie cierpienie w ogóle go nie wzrusza. Potrafił wydać wyrok śmierci na dziesięć tysięcy ludzi i poświęcić temu tyle samo uwagi, ile zabiciu muchy, która siadła na wyglansowanym bucie. Jego córka dostała zapalenia płuc, a syn przynosił złe stopnie ze szkoły. Jego żona mogłaby lepiej gotować. Grał kiedyś w piłkę nożną w szkolnej drużynie. To nie potrwa już długo, stwierdził nagle, nie wyjaśnił jednak, co ma na myśli. Tego wieczoru chciał słuchać Mozarta zamiast Beethovena. Idiota nie miał pojęcia, że gram Dvofaka.

633

Nazajutrz nastąpiła kolejna Sonderaktion. Naziści wywieźli dwa tysiące ludzi w miejsce, gdzie żydowska straż pożarna wykopała masowy grób, i skosili ich ogniem karabinów maszynowych. Tym razem mieli w zanadru niespodziankę. Tym razem zabili również wszystkich strażaków.

Tego wieczoru Kriiger był pijany, już kiedy się zjawił. Grałem Brahmsa, a on podszedł i stanął za moimi plecami. Nigdy dotąd tego nie robił. Dotknął mego ramienia w braterski sposób, jak dobry przyjaciel. A potem nagle i niespodziewanie podsunął mi pod nos swoje palce.

- Poznajesz ten zapach? - zapytał. - To twoja Sonia. Należy do mnie. Na zawsze. Ten zapach należy do mnie. Słyszysz mnie, Żydzie? Ten zapach należy do mnie. Tak właśnie pachnie moja dziwka.

Przez moment wydawał się prawie zawstydzony tym, co powiedział. A potem wściekł się i uderzył mnie z całej siły w głowę. Spadłem z taboretu, ale po chwili wstałem i zacząłem z powrotem grać. Kriiger chlusnął mi w twarz koniakiem. Wrzeszczał, że nienawidzi Żydów jeszcze bardziej od Hitlera, że pomoże mu wy tłuc ich wszystkich. Potem stwierdził, że tylko ja jeden go rozumiem. Że jestem jego przyjacielem. Że kocha Sonię bardziej od swojej odrażającej żony i że boi się, iż jego córka wpadnie w ręce Rosjan. W końcu zrobiło mu się niedobrze i porzygał się na fortepian. To wszystko szybko się skończy, powiedział. Bardzo szybko. I znowu zwymiotował. Kiedy stracił przytomność we własnych rzygowinach, wezwałem ukraińską gospodynię i przenieśliśmy go razem do sypialni. W nocy wróciłem do domu. Nigdy już nie grałem Brahmsa. Nie potrafię. Brahms umarł dla mnie i na zawsze go pochowałem.

Jest coś, co muszę ci powiedzieć o Soni i o mnie. Kiedy dowiedziałem się o tej sprawie z Krugerem, wydawało mi się, że zatruje to nasze stosunki. Sonia sądziła, że jej widok będzie wzbudzał we mnie odrazę. Ja myślałem, że nigdy już nie będę mógł jej spojrzeć w oczy. Ale tak się nie stało. Nasza miłość wzmocniła się i Ignęliśmy do siebie, jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi na świecie, którzy się kochają. Przyrzekliśmy sobie, że Kriigerowi nie uda się skazać tego, co było między nami najpiękniejsze. Nasze ciała i nasze życie należały do niego. Ale my należeliśmy do siebie.

Sonia, Sonia. Sonia.

Nie mam już wiele do powiedzenia. W lutym, w środku zimy, getto w Kironicce zostało

wagonów czekało mniej niż tysiąc Żydów. Kruger przyszedł, żeby pożegnać się ze mną i z Sonią. Choć nie mógł powiedzieć tego wprost, widziałem, że żałuje, iż wyjeżdżamy. Był zakochany w mojej Soni. Widziałem to. Bolało go, kiedy spoglądała na niego z pogardą w oku. Ten potwór Kruger był samotnym człowiekiem. Byłem samotny przez czterdzieści lat i potrafię wyobrazić sobie samotność Kriigera. Pociąg jechał przez dwa dni, a potem zatrzymał się w nocy, na mrozie. Nasz mały Jonatan umarł tamtej nocy i jego śmierć sprawiła, że coś pękło w Soni. Wielu innych ludzi, w większości starych, zamarzło na śmierć, zanim ruszyliśmy dalej. Nie było wody ani ustępu. Mężczyźni i kobiety musieli wypróżniać się obok siebie. Smród zawstydział nas. Smród wpędzał nas w rozpacz. A także płacz dzieci błagających o wodę. Możesz sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Chociaż właściwie nie możesz. Noszę tę podróż w sobie. Ten pociąg dobił Sonię. Ten pociąg. Tyle przecierpieliśmy, a ona załamała się dopiero w tym pociągu. Moja piękna Sonia umarła, zanim Niemcy byli na tyle mili, by pognać ją do komory gazowej. Kiedy otworzyli drzwi wagonu w Oświęcimiu, dostała pomieszania zmysłów. Pobiegła przed siebie. Musieli odrywać jej ręce od naszego małego Jonatana.

Oto mój tatuaż, Jack. Niemcy uwielbiają listy i katalogi, wszystko ma u nich swoje miejsce. Ponieważ byłem znanym muzykiem, wiedzieli o moim przyjeździe. Kazano mi stanąć w kolejce do życia. Sonia i moi synowie znaleźli się w kolejce do śmierci. Bliźniacy stanęli obok matki, starając się ją chronić. Wiedzieli, że jest nieobecna duchem, i mimo że byli tylko małymi chłopcami, w tej kolejce obaj wydawali mi się jacyś dojrzałsi. Musieli prowadzić swoją matkę na śmierć. Obaj pomachali mi na pożegnanie, ukradkiem, żeby nie zobaczyli tego Niemcy. Próbowałem na próżno złapać wzrok Soni. Patrzyłem, jak odchodzi z mojego życia, i po wszystkich tych straszliwych latach, po wszystkim, co nam się przydarzyło, wciąż widziałem, dlaczego nazywano ją kiedyś najpiękniejszą kobietą Europy.

Zakładałem obozowy pasiak w szatni, kiedy cios z tyłu przewrócił mnie na podłogę. Ktoś kopnął mnie w brzuch, a potem w twarz. Myślałem, że to jakiś niemiecki strażnik próbuje mnie zabić, ale to był Berger, żydowski policjant z Kironicki. Ten, którego synowie przemycali jedzenie i zostali powieszani na placu. Berger zapamiętał dobrze, że to ja wytrąciłem stolki spod ich stóp.

635

- Ten Żyd jest mój! - zawołał.

Berger był członkiem Sonderkommando, jednym z tych nieszczęsnych więźniów, którzy zabierali trupy z komór gazowych i przenosili je do krematoriów. Codziennie odnajdywał mnie i za każdym razem katował na nowo. Był kimś w rodzaju króla wśród tych potępieńców. Kimś w rodzaju Krugera. Tego pierwszego dnia uderzył mnie kilka razy po głowie i zmusił, żebym z nim poszedł. Z łatwością poruszał się między barakami. Strażnicy na wieżach widzieli go, a on chodził po całym terenie, jakby był obozowym kapo. Zaprowadził mnie do miejsca, w którym słyszałem Żydów śpiewających po hebrajsku psalm ku czci Wszechmocnego. Było ciemno; w powietrzu unosił się czarny dym. Potem rozległ się krzyk, który nie przypominał żadnego innego dźwięku na ziemi. A potem cisza. Berger znowu przewrócił mnie na podłogę, następnie zaś pomógł wstać i pchnął tam, gdzie stali inni Żydzi. Jeden z nich otworzył drzwi. Berger wepchnął mnie do środka i kazał robić to samo co on. Leżał tam stos martwych Żydów, całe setki. W większości kobiety, dzieci i starcy. Kuląc się pod jego razami, zacząłem wyciągać trupy na zewnątrz. Wlokłem je za nogi. Niektóre prawie nic nie ważyły. Ciągnąłem jakieś ciało, kiedy Berger zatrzymał mnie i kazał mi się przyjrzeć. To była Sonia. Potem kazał mi pogrzebać głębiej w stosie i wtedy odnalazłem swych synów. Odnalazłem ich i zawlokłem do Bergera. Wręczył mi obcęgi i kazał wyrwać wszystkie złote plomby z ust Soni. Otworzył jej usta i w brutalny sposób wyciągnął pierwszą plombę. Kiedy stałem bez ruchu, uderzył mnie w twarz obcęgi. Otworzyłem jej usta. Wyrwałem plombę. Berger dokończył za mnie robotę. On także był niespełna rozumu. I niewinny. Jakiś czas później pewien zatrudniony w administracji Żyd, który słyszał kiedyś, jak grałem, i był wielkim miłośnikiem

muzyki, odkrył, że Berger każe mi w dzień i w nocy pracować na Sonderkommando. Ten nieznany Żyd był panem życia i śmierci w swoim rewirze i umieścił nazwisko Bergera na liście skazanych. Zabrali go do gazu i widziałem, jak wyciągnęli z komory jego ciało.

Reszta Oświęcimia to po prostu Oświęcim. Możesz o tym przeczytać. Moje doświadczenia były podobne. Pracowałem. Cierpiałem. Głodowałem. Raz o mało nie zmarłem na dyzenterię. Żeby przeżyć, wyobrażałem sobie w trakcie godzin pracy, że gram na fortepianie. Prosiłem zebranych w mojej głowie wielkich kompozytorów, żeby wykonali dla mnie swoje naj-

636

lepsze utwory. Nurzając się w gnoju, codziennie zajadałem we fraku kolację z Bachem, Beethovenem, Mozartem, Chopinem, Lisztem, Haydnem, Puccinim, Rymskim-Korsakowem, Mahlerem, Straussem, Czajkowskim i całą resztą. Co wieczór ubierałem się powoli, wygładzałem mankiety, zapinałem spinki, zawiązywałem i rozwiązywałem mój czarny krawat, aż udało mi się zrobić idealny węzeł. Zanim zaczęliśmy grać, odwiedzałem wielkie restauracje Europy i zamawiałem najlepsze dania przyrządzane przez najsłynniejszych kucharzy. Jadłem ślimaki oblane masłem i posypane drobno siekanym czosnkiem i pietruszką, zamawiałem pieczoną kaczkę z kruchą brązową skórką i warstewką tłuszczu pod skrzydełkami, próbowałem bagietek zanurzonych w oliwie z oliwek i creme brulees, pokryte okruskami brązowego cukru i warstwami bitej śmietany, która rozpływała się w ustach. Spokojnie kosztowaliśmy wszystkich potraw, wcale się nie obżerając, ci wielcy kompozytorzy i ja. Przetrawałem dzięki temu, że potrafiłem skoncentrować się na zasobach piękna, które zgromadziłem w swojej głowie. Otoczony brudem, upajałem się dźwiękami muzyki. I udało mi się to, co w żadnym wypadku nie powinno mi się udać: przeżyłem. Przeżyłem naznaczony piętnem hańby.

Zimą czterdziestego piątego roku, kiedy Rosjanie zbliżali się do Oświęcimia, znalazłem się w jednej z kolumn marszowych, które wyruszyły na zachód. Brnęliśmy przez śnieg bez jedzenia i wypoczynku. Wielu ludzi zostało na poboczu z kulą w głowie. Te kule musiały wydawać im się wybawieniem. Byłem w Da-chau, kiedy Amerykanie wyzwolili ten obóz. Nic z tego nie pamiętam. Później pokazano mi zdjęcia, na których widać było stosy nagich ciał. Znasz te fotografie. Stosy nieżywych strachów na wróble. Pokazywał mi je doktor, który był ich autorem. Kiedy już się napstrykał, zobaczył, jak poruszyła się moja pierś. Sprawdził mi puls i kazał mnie natychmiast przenieść do namiotu szpitalnego. Miałem odmrożoną lewą rękę i wdała się gangrena. Amputował mi mały palec. Gdy odzyskałem przytomność, mogłem poruszać serdecznym palcem, ale nigdy nie odzyskałem w nim czucia. Zawsze żałowałem, że ten lekarz zrobił mi fotografię. Powinien zostawić mnie tam, gdzie leżałem. Szedłem na spotkanie z Sonią.

Ruth znalazła mnie w obozie dla dipisów, gdzie szukała członków swojej rodziny. Dowiedziała się o Żydzie, który pyta się o ocalałych mieszkańców Kironicki. Wzięliśmy ślub i przez

637

II

to zrujnowałem życie tej dobrej kobiecie. Całując ją wiedziałem, że dostrzega w moich oczach tęsknotę za Sonią. Kochając się z nią, szeptałem czasami imię mojej pierwszej żony. Potem urodziły się Shyla i Martha i doznałem kolejnego rozczarowania, nie były bowiem synami, których utraciłem. Rozczarowały mnie, ponieważ nie należały do mojej martwej rodziny. Nie potrafiłem kochać Ruth, Jack. Próbowałem, ale nic z tego nie wyszło. Nie potrafiłem kochać Shyli ani Marthy. Potrafiłem kochać tylko fantomy. Żyłem we śnie, zakochany w moich zjawach, i obudziłem się dopiero, kiedy Shyla skoczyła z mostu. Tak, Jack.

CZEŚĆ VI

ROZDZIAŁ 35

Nienawidzę lat sześćdziesiątych, szczególnie zaś zgiełku i chamstwa, jakie pozostawił mi w

pamięci ten kakofoniczny okres. Wrzaski są tym, co pamiętam najlepiej; na drugim i trzecim miejscu wymieniałbym pozerstwo i brak higieny. To jedyne z przeżytych przeze mnie dziesięcioleci, które nie miało dość przyzwoitości, by odejść, gdy skończyła się jego kadencja - rok 1970 był dla mnie zdecydowanie najgorszym rokiem całej dekady.

Znienawidziłem przez to dziesięciolecie folk, dogmatyzm, zarost na twarzy, koszulki z nadrukami i wszelkiego rodzaju polityczną retorykę. Piekło wyobrażam sobie jako poczekalnię na lotnisku podczas szalejącej śnieżycy, w której muszę siedzieć i słuchać podstarzałej hipiski, szarpiącej struny obdrapanej gitary i śpiewającej Blowin' in the Wind, Puffthe Magie Dragon, I Gave My Love a Cherry, Lemon Tree i We Shall Overcome, dokładnie w tej kolejności. Kiedyś byłem bezkrytycznym entuzjastą tych czasów i nie istniał żaden dwunastopunktowy program detoksykacji, który wyleczyłby mnie z uzależnienia, w jakie popadłem w ponurej epoce wojny wietnamskiej. Największą tragedią tej wojny nie była bezsensowna śmierć młodych ludzi na noszących dziwne nazwy polach bitew, lecz to, że z dnia na dzień ogłupiła ona cały naród. Poróżniła również głęboko najbliższych, jakich kiedykolwiek miałem, przyjaciół. Zupełnie przypadkowo daliśmy się opętać duchowi czasu i żaden z nas nigdy już nie był taki jak przedtem. Kiedy przeredziły się tumany dymu, obiecałem sobie, że nigdy już nie stracę przyjaciela z powodu czegoś tak subiektywnego i śliskiego jak przekonania polityczne.

641

- Jestem Amerykaninem - oznajmiłem wszystkim dookoła - i mam prawo myśleć, co chcę, podobnie jak wy, na Boga, podobnie jak wy.

Stało się to moim kredo, główną melodią mojego życia, jestem jednak przekonany, że gdybym nie popadł w tamtych latach w stupor i nie popisywał się nietolerancją, paradując z dziwacznymi bokobrodami i udając świętszego niż jestem, wkroczyłbym w wiek dojrzały tak samo obojętny na świat idei jak każdy mieszkaniec Południa. Cały mój charakter ukształtowała kwestia wietnamska i przynajmniej to czuję, jak miękły mi kolana.

W czwartek, po przyjęciu wydanym na cześć Lucy, wyruszyłem wraz z Ledare do Charlestonu. Jechaliśmy z otwartymi oknami; wewnątrz samochodu wypełniał zapach świeżo skoszonych zbóż i pokrytych liśćmi rzek, a wiatr ślizgał się po miodowych włosach Ledare. Mikę wysłał zaproszenia do nas obojga, prosząc, abyśmy stawili się w Dock Street Theater w Charlestonie dokładnie o godzinie drugiej po południu. Potwierdzenie udziału nie było konieczne, Mikę sformułował jednak zaproszenie w sposób, który wykluczał wszelkie wymówki.

— Co on takiego szykuje? - zapytałem.

— Nic dobrego - odparła.

— Ty wiesz, prawda?

— Mikę chowa coś w zanadru - stwierdziła, rzucając mi zagadkowe spojrzenie. - Ale nie chce zdradzić, co to jest.

— Dlaczego?

- Obawia się, że gdyby to zrobił, dalibyśmy drapaka.

Wchodząc do Dock Street Theater mieliśmy wrażenie, że cały budynek wstrzymał oddech. Nie wiem, czy w jakimś innym teatrze w Ameryce można się spotkać z tak intymną atmosferą, a zarazem poczuciem dyskretnego majestatu, które zapewniają komfort psychiczny aktorom i widzom. Skromny wystrój wnętrza przywodzi na myśl kościół sekty shakerów i wystarczy znaleźć się tam tylko przez chwilę, by człowiek miał ochotę pobiec do domu i napisać jakąś sztukę. Scena ma wielkość niewielkiego tanecznego parkietu; wchodząc na widownię zauważyliśmy, że Mikę instruuje dźwiękowca i kamerzystów, których, wedle tego, co powiedziała Ledare, sprowadził samolotem z Zachodniego Wybrzeża. Kiedyś zdradził mi, że to właśnie w Dock Street Theater oglądał jako dziecko pierwszą w swoim życiu sztukę, inscenizację "Czarownic z Salem" Ar-thura Millera. Przedstawienie wywarło na nim olbrzymie wrażenie, zmieniając raz na zawsze bieg jego życia. Dorastając

642

uwielbiał oglądać aktorów, którzy udawali, że są kimś innym i wypowiadali z całą energią i pasją wymyślone przez obcych ludzi miłosne kwestie. Chociaż jego pierwszą fascynacją był teatr, szybko wciągnął go świat filmu. W teatrze potrafił stworzyć wibrację, napięcie i styl, w kinie jednak, mówił, człowiek mógł powoływać do życia całe światy, pozwalając, by światło pozostawiło swój ślad na toczącej się rzece taśmy. Jedną z pierwszych decyzji, które podjął po sukcesie swojego pierwszego filmu, było wejście w skład rady nadzorczej Dock Street Theater. Mikę nigdy nie zapominał o swoich korzeniach.

— Daję wam dziesięć minut - powiedział do ekipy, która krzątała się przy aparaturze. - Każdy wie, co do niego należy. Kiedy zaczniemy, moi goście nie mają prawa wiedzieć, że jesteście w budynku. Comprene? Nikt nie ma was widzieć ani słyszeć. Nie robimy tutaj dzieła sztuki. Chcę to po prostu wszystko zarejestrować - dodał, kiedy ja i Ledare ruszyliśmy w stronę sceny.

— Co na to przepisy związkowe? - zapytał z kpina w głosie facet ustawiający kamerę.

— Przepisy nie mają tu nic do rzeczy, palancie - odparł uśmiechając się Mikę. - Karolina Południowa to stan, w którym obowiązuje prawo do pracy. Od ataku na Fort Sumter nienawidzą tu wszystkiego, co choćby luźno przypomina słowa "związek" lub "unia".

— Co to ma być? - zadał pytanie kamerzysta z tylnego balkonu.

— Po prostu amatorski film - oznajmił Mikę i klasnął w dłoń.

Kiedy się zbliżyliśmy, klasnął powtórnie. Członkowie ekipy zniknęli i już ich nie zobaczyliśmy. Widać było, że Mikę wszystko sobie precyzyjnie wyliczył. Byliśmy pierwsi.

— Przyszliście wcześniej - stwierdził. - To psuje mi cały plan.

— Możemy zaraz wyjść - oświadczyła Ledare.

— Nie, wyznaczyłem każdemu dokładną porę. Capers i Betty mieli być pierwsi, ale się spóźniają. Wejdźcie na scenę i zajmijcie swoje miejsca. Po lewej stronie. Jedzenia jest w bród i jest się czego napić.

— Jakie przydzieliłeś nam role? - zapytała Ledare.

— Dzisiaj improwizujemy. Wszystko jest dozwolone. Wykładamy karty na stół. Zorientujecie się, kiedy wszyscy przyjdą. Nagle moją uwagę zwrócił jakiś ruch w końcu sali. Odwracając

643

się, zobaczyłem wyprostowaną sylwetkę generała Remberta El-liotta, który stał za ostatnim rzędem. Towarzyszył mu wyższy siwowłosy mężczyzna ubrany w sędziowską togę, w którym ze zdumieniem rozpoznałem własnego ojca. Razem przyjechali z Waterfordu. Chwilę później ktoś odchrząknął głośno za moimi plecami i dostrzegłem Celestine Elliott. Musiała wejść do budynku przez drzwi dla personelu i zmierzyła swego męża wzrokiem, który mógł skruszyć skałę. Widząc swoją żonę, generał Elliott zatrzymał się w pół kroku i patrzył, jak Celestine siada po lewej stronie sceny. Wiedziałem, że nie spotkali się od czasu pamiętnej wizyty w Rzymie i kontaktowali się wyłącznie za pośrednictwem adwokatów. Generał uklonił się z przesadną uprzejmością mnie i Ledare.

— To przerażające, Jack - powiedziała Ledare, patrząc, jak wchodzi na scenę.

— Co takiego?

— W wieku siedemdziesięciu lat wszystkie pomyłki chciała bym mieć za sobą. Chciałabym przeżyć trzydzieści przyzwoitych wspaniałych lat. Spójrz na nich. Na sędziego, generała, Celestine. Wszyscy cierpią katusze. Nie zniósłabym myśli, że reszta mojego życia będzie równie bolesna jak moja przeszłość.

— Introspekcja jest błędem - odparłem. - Ciesz się, mogąc dryfować po płytkich wodach.

— To nie jest odpowiedź - stwierdziła.

— Masz rację. Ale przynajmniej jakiś plan gry.

W tej samej chwili zza kulis wyszli pewnym krokiem Mid-dletonowie i Capers pozdrowił nas głośnym "Dzień dobry". Wszystko w tej parze wydawało mi się przerysowane - tak jakby ich metabolizm zachodził w wyższej temperaturze niż u całej reszty. Ich uśmiechy przypominały grymas bólu. Podobnie jak wszyscy znani mi politycy, Capers objął jednym szybkim spojrzeniem obecnych na scenie aktorów. Zobaczyłem, jak pozdrawia skinieniem głowy Ledare, jego gest był jednak protekcyjny i chłodny. Porzucając kogoś, Capers czynił to raz na zawsze, bez prawa do apelacji, chyba że oczywiście potrzebował później od tej osoby jakiejś przysługi. Nie tracąc czasu na luźną pogawędkę z Mike'em lub ze mną, poprowadził Betsy najkrótszą drogą ku zarezerwowanych dla nich fotelom. Chociaż Capers starał się zachować spokój w każdych okolicznościach, widziałem, że to spotkanie z duchami przeszłości wprawia go w lekkie zdenerwowanie.

Mikę zerknął na zegarek i spojrzał w stronę bocznych drzwi

644

teatru. Mój ojciec zajął miejsce za stojącym na podwyższeniu biurkiem, na którym leżał sędziowski młotek. Uderzył nim dwa razy w dębowy blat, bardziej po to, by rozładować panujące na scenie napięcie, niż zwrócić na siebie uwagę. Sprawiał wrażenie nie tyle postarzałego, ile rozbitego i zdałem sobie sprawę, jak bardzo go zaniedbałem od powrotu do Waterfordu, w ciągu całego tego czasu, gdy usiłowałem nieporadnie opiekować się matką. Próbowałem poczuć do niego to, co syn powinien czuć w stosunku do ojca, nie mogłem jednak udawać czegoś, czego między nami nie było. Szukałem miłości, w jej miejsce wciskało się jednak nieproszone współczucie. Ojciec wstał, wygładził togę, poprawił krawat i kołnierz, po czym usiadł z powrotem.

Mikę genialnie nas rozsadził. W głębi sceny stało biurko i fotel sędziego, a po jego prawej ręce eleganckie krzesło z wysokim oparciem. Wokół tego centralnego miejsca ustawione były naprzeciw siebie w dwóch półkolech wygodne pluszowe fotele. Ich stonowane kolory stwarzały pogodną i zarazem przytulną atmosferę. Po lewej stronie siedzieliśmy ja, Ledare i Celestine; obok mnie stał jeden wolny fotel. Naprzeciw siebie mieliśmy Capersa, Betsy, generała Elliotta i kolejny wolny fotel. Za każdym z foteli stało kilka wyższych drewnianych krzeseł. Wysoko po lewej stronie spostrzegłem poprawiającego ostrość kamerzystę.

Mikę stanął pośrodku sceny, obok sędziego, tuż przy krześle z wysokim oparciem, w miejscu, skąd mógł nas wszystkich dobrze widzieć.

- Witajcie, przyjaciele. Dziękuję, że przyjęliście moje zaproszenie. Chcę, żebyście wszyscy wiedzieli, iż jesteście filmowani i nagrywani. Jeśli macie ochotę coś powiedzieć, unieście po prostu dłoń i sędzia McCall udzieli wam głosu. Kiedy usiądę w fotelu, ta scena upodobni się do sali sądowej. Sędzia będzie przewodniczył. Jest jedyną osobą, która otrzymała honorarium za udział w tym wieczorze. Jeśli chodzi o pozostałych, to znaleźliście się tutaj, gdyż w tym czy innym okresie odegraliście ważną rolę w moim życiu. Łączą mnie z wami więzy miłości i podziwu. Większość z was znam od dziecka. - Mikę przerwał i rozejrzał się dookoła. - Dlaczego akurat tutaj? - podjął po chwili. - Ponieważ uznałem, że w tym teatrze będziemy się zachowywać, jakbyśmy brali udział w spektaklu, w dramacie, który sami dzisiaj wspólnie wieczorem napiszemy. Oprócz was zaprosiłem jeszcze dwóch gości, którzy w odpowiednim momencie wyjdą na scenę. Ten spektakl będzie pełen niespodzianek, będzie miał

jednak również swoją kulminację. Na samym końcu weźmiemy wszyscy udział w głosowaniu. Człowiek, którego tu osądzimy, pozwolił, by w ten sposób rozstrzygnął się jego los. Widzę, że wzbudziłem wasze zainteresowanie. Być może nawet was zaintrygowałem. Podałbym chętnie jakieś zasady, nie będzie jednak żadnych zasad. Chodzi wyłącznie o to, abyśmy osądzili przeszłość. Wszyscy oprócz Betsy byliście albo świadkami, albo uczestnikami wydarzeń, które dziś mamy zamiar przywołać. Niektórzy z was grali w nich główne role, wszyscy jednak w ten czy inny sposób posuwaliście akcję do przodu. "Hamlet" nie byłby "Hamletem" bez Rosencrantza i Guildensterna, a ta opowieść byłaby niekompletna bez któregośkolwiek z was. Wszyscy wiedzą, że Capers, Jack i ja byliśmy w dzieciństwie niemal nierozłączni. Kiedy myślę o przyjaźni, te dwa imiona pierwsze przychodzą mi na myśl. Od dłuższego czasu drogi Jacka i moja rozeszły się i to boli mnie bardziej, niż potrafię wyrazić. Sądzę również, że nie mijam się z prawdą twierdząc, iż Jack nienawidzi Capersa albo przynajmniej szczerze go nie znosi.

— Nienawiść jest odpowiednim słowem, Mike - powie dziełem, patrząc prosto w oczy Capersowi.

— Mówiłam ci od początku, Mike, że wcale mi się nie podoba ten pomysł - oświadczyła Betsy. - Nie mam zamiaru tu siedzieć i wysłuchiwać, jak ten niedoszły szef kuchni krytykuje mojego męża.

— Lubię cię, bo masz bystry umysł, Betsy - oznajmiłem z uśmiechem. - Płakałem, kiedy na ostatnim konkursie piękności grałaś "Ode do radości" na kazoo.

— Przestań znęcać się nad moją żoną, Jack - odezwał się Capers. - To do ciebie niepodobne.

— Dosyć tego, synu - włączył się sędzia, uderzając młotkiem w blat biurka.

— W dalszym ciągu nic nie rozumiesz - dodał Capers. - Ja wciąż cię kocham. O to głównie chodzi w całym tym spotkaniu.

- W takim razie czeka nas długi wieczór - odparłem. Młotek ponownie uderzył w blat biurka.

- Spokój - zarządził sędzia i tym razem umilkłem, ustępując przed gniewem ojca.

Z fotela podniósł się generał Elliott - żołnierz w każdym calu, agresywny i nie znoszący sprzeciwu. Ciągłe wyglądał, jakby potrafił w każdej chwili przepłynąć wpław rzekę i poderżnąć gardła strażnikom pilnującym składu amunicji.

— To spotkanie dotyczy mojego syna, prawda? - zapytał Mike'a.

— To, co przytrafiło się Jordanowi, ma tu podstawowe znaczenie, generale. Wszyscy o tym wiemy. Gdyby na Pollock Island nie stacjonował korpus piechoty morskiej, nie doszłoby do żadnego z tych wydarzeń. Jack i Capers wciąż byłiby najlepszymi przyjaciółmi. Pan nie rozwodziłby się z Celestine. Całkiem możliwe, że Shyla nie popełniłaby samobójstwa, chociaż tu posuwam się być może za daleko. Ale pojawienie się w naszym mieście Jordana wszystko zmieniło. Stał się nie tylko naszym przyjacielem, stał się naszym przeznaczeniem.

— Jeśli wiesz, gdzie może przebywać mój syn, twoim obowiązkiem jest zgłosić to władzom federalnym - stwierdził generał Elliott. - Jeśli znasz jego miejsce pobytu, będziesz

oskarżony o ukrywanie przestępcy. Sam złożę na ciebie donos, Mike, a wiesz, że nie rzucam słów na wiatr.

— Zamknij się, Rembercie - przerwała generałowi Celestine.

Sędzia ponownie uderzył młotkiem w biurko, przypominając o swojej obecności. Generał odwrócił się do Mike'a. Brzmiący w jego głosie ból był tak przejmujący, jakby zwracał się do dowódcy plutonu egzekucyjnego.

- Jeśli wiesz, gdzie może przebywać mój syn, twoim moralnym obowiązkiem jest ujawnić to władzom - powtórzył.

Kurtyna z boku sceny uchyliła się lekko i na scenę wyszedł Jordan Elliott, ubrany w swój nieskazitelną białą habit trapisty. Towarzyszący mu ojciec Jude i przeor usiedli w cieniu za naszymi fotelami.

— Cześć, tato - powiedział Jordan. - Nigdy nie wiedziałeś, co się naprawdę wydarzyło. Znałeś wszystkie relacje oprócz mojej.

— Przez ciebie zginęły dwie niewinne osoby - stwierdził generał. Zdumienie, jakie wzbudził w nim widok syna, odebrało jego głosowi nieco stanowczości. - Zamiast żołnierza wychowałem dezertera i mięczaka.

— Nikt z nas tego wtedy nie wiedział, tato - odparł Jordan - ale wychowałeś księdza.

— Mój Kościół nie zgodziłby się, żeby przy ołtarzu pełnił służbę morderca - syknął generał, piorunując wzrokiem dwóch siedzących z tyłu duchownych.

Przeor wstał i zbliżył się do Jordana.

- Spotkałem pańskiego syna w Rzymie, kiedy był nowicjuszem - oznajmił. - Stałem się zarówno jego opiekunem, jak i spowiednikiem. Przebaczenie grzechów jest centralnym dogmatem wiary rzymskokatolickiej. Wszyscy trapiści, którzy mieli okazję poznać pańskiego syna, uważają go za dobrego człowieka. Niektórzy nawet za świętego.

— Okrył hańbą swój kraj i swoją religię - zagrmiał generał. - Kto uważa go za świętego?

— Jego spowiednik - odparł przeor, po czym skłonił się i wrócił na swoje miejsce.

— Nie pozwoliłem panu usiąść - rzucił generał.

— Nie potrzebuję wcale pańskiego pozwolenia, mój panie - stwierdził przeor, ocierając brew rękawem. - Przeszedł pan na emeryturę i pański stopień jest czysto dekoracyjny. Ja jestem obecnie przeorem opactwa Mepkin i mój autorytet wspiera trwająca nieprzerwanie przez dwa tysiące lat duchowa władza. I proszę nie podnosić na mnie więcej głosu. Pański syn znalazł się tutaj za moją radą i zgodą. W każdej chwili mogę go stąd zabrać i umieścić w miejscu, o którym się panu nawet nie śniło.

— Sobór watykański drugi - mruknął z przekąsem generał. - To wtedy Kościół zszedł na złą drogę. Ten tłusty papież, który nie zdołałby się podciągnąć na drążku, nawet gdyby zależało od tego jego życie, ściągnął do Watykanu wszelkich zginiętych liberałów, jakich mógł znaleźć, i zdemontował wszystko, co było prawdziwe i niepowtarzalne w Kościele katolickim. Kościół był dobry, kiedy był surowy. Nienawidzę tego nowego,

landrynkowego, ckliwego Kościoła, w którym księża i zakonnice pieprzą się jak króliki i brzdąkają na gitarze podczas mszy. Mój ojciec po raz kolejny uderzył młotkiem w blat biurka.

— Marnuje pan nasz czas, generale - upomniał go. - Nie mówi pan na temat. Przechodzimy do następnego punktu.

— Chciałbym przedstawić jeszcze jednego nieoczekiwanego gościa - odezwał się Mike. - Dla niektórych z was stanowi tylko legendę. Jeśli czytaliście w studenckich latach gazety, z pewnością przypomnicie sobie jego nazwisko. Panie i panowie, oto Bob "Radykał" Merrill, między rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym a siedemdziesiątym pierwszym przywódca organizacji Studenci na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa w Karolinie.

Obracając się, by spojrzeć na wchodzącego na scenę Boba Merrilla, uświadomiłem sobie z przerażeniem, że to spotkanie będzie dla nas wszystkich o wiele trudniejsze i bardziej destruk-

tywne, niż wyobrażał sobie Mike. Wydawało mi się, że nikogo na świecie nie nienawidzę tak szczerze jak Capersa Middletona, zapomniałem jednak zupełnie o Bobie Radykale, który pojawił się niczym kameleon w naszym życiu, wyrządził niepowetowane szkody i zaraz potem zniknął z pola widzenia.

Merrill podszedł do Capersa i obaj mężczyźni uścisnęli się. Potem podszedł do Jordana i objął go. W końcu odwrócił się w moją stronę i po chwili wahania wyciągnął dłoń.

- Jeśli mnie dotkniesz, rzucę ci się do gardła - ostrzegłem go-

— Naprawdę powinieneś wreszcie dorosnąć, Jack - stwierdził Bob. - Pora już zapomnieć o przeszłości.

— Czy przyjmując zaproszenie na dzisiejszy wieczór, stanawiałeś się, jak uciec z tego teatru, żebym nie skopał ci tyłka? - zapytałem.

Młotek ponownie uderzył o blat. Sędzia odchrząknął, a Mike stanął między nami dwoma.

— Kim jest Bob Radykał? - zapytał mój ojciec.

— To przywódca studenckiego ruchu antywojennego, w którym wszyscy braliśmy wtedy udział - wyjaśnił Mike.

— Do czego to wszystko prowadzi?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, sędzio, póki nie dojdziemy do końca przedstawienia - odparł Mike, najwyraźniej zadowolony ze swojej repliki.

— Co z tego będziesz miał, Mike? - włączyła się Ledare, wstając z fotela. - Wiem, że nigdy nie skąpiłeś grosza, ale też zawsze ci się to opłacało.

— Dziękuję za dobre słowo, kochanie - uśmiechnął się

Mike. - Ledare ma rację, moi drodzy. W zamian za zaaranżowanie tego wieczoru otrzymałem prawa do historii Jordana.

Jeśli uznamy, że jest winny, odda się w ręce wojskowej administracji Pollock Island. Capers zaoferował swoje usługi adwokackie, jeżeli Jordana postawią przed sądem. Nieodpłatnie.

— Żeby pokazać wyborcom, jaki jest szlachetny - rzuciła Ledare. - "Middleton broni księdza zabójcę, swego przyjaciela z dzieciństwa".

— Cynizm szkodzi twojej urodzie, kochanie - odciął się z uśmiechem Capers.

— Zgodziłeś się, żeby Capers został twoim adwokatem? - zapytała Jordana, który potrząsnął głową.

— To sympatyczna oferta, ale pierwszy raz ją słyszę - odparł.

649

— Jeśli będzie cię bronił, na pewno trafisz na krzesło elektryczne - mruknąłem.

— Jack, Jack. Ludzie pomyślą sobie, że się nie lubimy - zganiał mnie Capers.

— Ty będziesz miał z tego film, Mikę - powiedziałem wstając. - Capers zostanie gubernatorem. Jordan być może pójdzie za kratki. Powiedz mi, po co ten cały teatr? Te dekoracje? Zapraszanie w to samo miejsce przyjaciół i wrogów? Można było to załatwić po cichu. Jeśli Jordan jest szczęśliwy jako ksiądz, w takim razie pozwólmy mu być nim w dalszym ciągu. Zostawmy go w spokoju. Niech zejdzie z tej sceny i wróci tam, skąd przyszedł. Naraziłeś go na wielkie niebezpieczeństwo. Po co? Żeby nakręcić kolejny film? Żeby Capers wygrał wybory?

— Nie, Jack - odparł Mikę. - Zauważyłem z biegiem lat, że coraz rzadziej żyję pełną piersią. Coraz rzadziej moje komórki przesywa prąd, a ciało płonie, jakby zaraz miało stanąć w płomieniach. Posłuchaj naszego oddechu. Wyczuwaj to napięcie. Zapowiada się wieczór, którego żaden z nas prędko nie zapomni. Osaczają nas i torturują własne dzieje. A przecież kiedyś towarzyszyła nam miłość. Prowadziła nas i oświetlała drogę. Chcę dzisiaj, żebyśmy wspólnie odkryli, co stało się z tą miłością i dlaczego nienawiść tak łatwo zajęła jej miejsce.

- Od czego zaczniemy? - zapytał Capers.

Mój ojciec uderzył młotkiem w blat.

— Każdy, kto będzie chciał zabrać głos, musi zająć miejsce dla świadków - oznajmił. - Każdy, kto zabierze głos, musi mówić prawdę i tylko prawdę, tak jakbyśmy znajdowali się w prawdziwym sądzie.

— Nasze wspomnienia tak bardzo się od siebie różnią... - szepnęła Ledare. - Jestem teraz zupełnie inną osobą, niż kiedy studiowałam w college'u. Nienawidzę dziewczyny, którą wtedy byłam.

— W takim razie opowiedz nam o tej nienawiści - poradził jej Mikę. - Każdy z nas opowie swoją historię. Nie będzie żadnej z góry ustalonej kolejności. Nasze relacje pozwolą nam dotrzeć do prawdy, której w tej chwili żaden z nas nie ogarnia. Wszystkie nasze głosy połączą się w jedno. Nikomu z nas nie może zaszkodzić to, co sobie powiemy... Nikomu z wyjątkiem Jordana Elliotta. Jeśli jednak uda nam się odkryć prawdę o Jordanie, sądzę, że możemy odkryć prawdę o każdym z nas. O tym, co robiliśmy w tamtym czasie.

Mikę strzelił palcami i na widowni zgasły światła. Tylko

650

scena skąpana była dalej w blasku reflektorów. Przez moment panowało zupełne milczenie, a potem ponownie rozległ się odgłos młotka.

- Wracamy teraz do wojny w Wietnamie - powiedział Mike. - W Białym Domu rządzi prezydent Nixon. Kraj znajduje się w stanie wewnętrznej wojny. Uczelnie w całym kraju zmieniają się w świątynie gniewu. W Columbii, w Karolinie Południowej życie studenckie toczy się jednak normalnym trybem. Jesteśmy południowcami i polityka w zasadzie nas nie obchodzi. W naszym stanie wojna cieszy się poparciem, ponieważ Karolina Południowa jest konserwatywna. A jednak coś się dzieje na uniwersytecie. Ruch antywojenny zapuszcza korzenie i staje się z dnia na dzień coraz mocniejszy. Wciąż jednak bardziej interesuje nas, z jaką dziewczyną wybierzemy się na mecz i jaką zdobędziemy pracę po dyplomie. Panie i panowie, uważam, że wszyscy, jak tu siedzimy, wkroczyliśmy na karty historii kompletnie nie przygotowani. Kochaliśmy dobrą zabawę, alkohol, szybką jazdę i dowcipne odżywki. Potrafiliśmy tańczyć aż do rana i często po to tylko jeździliśmy do Myrtle Beach. Wszyscy chłopcy byli przystojni, a dziewczyny piękne. Graliśmy ostro, śmieliśmy się do rozpuku i kochaliśmy siebie i nasz świat. A potem ten większy świat poklepał nas po ramieniu. Poklepał mocno. Dał o sobie znać. Zaczynamy. Postarajmy się wysłuchać, co każdy ma do powiedzenia.

Z chóru różnych głosów i odrębnych punktów widzenia wylaniał się powoli kształt opowieści. Mój ojciec wzywał kolejne osoby do złożenia wyjaśnień i ubrany w czarną togę sędziego słuchał uważnie, nie pozwalając z początku nikomu przerywać. Przystojny i elegancki wydawał się cieszyć niezachwianym autorytetem.

Jako pierwszej dał znak Ledare, która zrozumiała jego gest i zajęła miejsce dla świadków. Wyszła obronną ręką z bitwy, którą mieliśmy zamiar opisać, pozostając przez cały czas beznamytnym świadkiem i wydawało się słuszne, że to ona rozpocznie całą opowieść.

Słuchając, jak kreśli wizerunek tamtych czasów, uprzytomniłem sobie, iż nigdy nie sądziłem, że Ledare zwraca jakąkolwiek uwagę na to, co się dzieje. Miałem wrażenie, że dryfuje gdzieś daleko od oka cyklonu, nie dając się porwać oburzeniu, niewrażliwa na rzeczy, które doprowadzały nas wówczas do białej gorączki. Postanowiła obserwować, a nie partycypować i kiedy zabrała teraz głos, zdałem sobie sprawę, iż sunąc nieubłaganie w stronę epicentrum, zupełnie straciłem ją z oczu.

651

- Kto wtedy wiedział cokolwiek o Wietnamie? - zapytała, zerkając na mojego ojca. - W gruncie rzeczy wojna zaczęła się tak naprawdę dopiero, kiedy poszliśmy na studia. Oglądaliśmy oczywiście demonstracje w telewizji, ale w Karolinie Południowej wyglądało to ździebko inaczej. O wiele bardziej interesowała mnie moja studencka korporacja i chodzenie na przyjęcia. Wszyscy byliśmy tacy sami. Więcej myśli poświęcałam kosmetykom niż delcie Mekongu. Taka po prostu byłam i nie ma sensu bić się z tego powodu w piersi, ponieważ tak mnie wychowano. Moi rodzice chcieli, abym poważnie zastanowiła się nad wyborem męża i na tym miały się kończyć moje obowiązki. Studia były dla nich wyłącznie okazją do zawarcia odpowiednich znajomości. W ciągu pierwszych dwóch lat największym problemem był brak parkingów dla studentów. Serio. To naprawdę wszystkich wkurzało. A potem sytuacja się zmieniła. Prawie z dnia na dzień. Wszyscy to zauważyli. To wisiało w powietrzu...

Słowa Ledare ożywiły moje własne wspomnienia, przenosząc mnie w okres, gdy przemierzając w drodze na zajęcia nasz sympatyczny gościnny campus, bardziej niż kiedykolwiek czułem się częścią tego, co dzieje się dookoła. Kiedy studiowałem na pierwszym roku, wojna cieszyła się dużym poparciem i wszyscy poszliśmy na spotkanie z sekretarzem stanu Deanem Rus-kiem, który przybył na uczelnię, aby bronić polityki swego demokratycznego rządu. W tamtym czasie Rusk mógł obawiać się o swoje bezpieczeństwo na normalnej amerykańskiej uczelni, ale my, studenci Karoliny, powitaliśmy go z entuzjazmem i podziwem. Ostrzegaliśmy go przed "komunizmem" - w tamtym okresie było to najbardziej przerażające angielskie słowo. Obywatele Południa, bez trudu wyobrażaliśmy sobie pracę w komunie, lecz tylko niewielu z nas mogło pogodzić się z perspektywą życia w kraju wyzbytym wszelkiej wiary. Na wojnę w Wietnamie patrzyliśmy zupełnie inaczej - nie mieliśmy nic przeciw zabijaniu ludzi ani walce z narodem, o którym nigdy przedtem nie słyszeliśmy. Jako południowcy podważaliśmy kompetencje rządu federalnego, kiedy podnosił podatki albo próbował ingerować w nasze wewnętrzne stanowe prawa, ufaliśmy mu jednak

całkowicie, kiedy wysyłał żołnierzy w niebezpieczne bagienne okolice, aby zabijali żółtych ludzi, mówiących nie znanymi językami. Żaden oficer werbunkowy nie miał nigdy problemów z wypełnieniem kwoty w Karolinie Południowej.

A potem w roku 1968 nastąpiła ofensywa Tet, zabójstwo

652

Martina Luthera Kinga, zamach na Roberta Kennedy'ego, konwencja w Chicago - w ciągu kilku miesięcy poznaliśmy całą koloraturę horroru.

Słuchając Ledare, uświadomiłem sobie, że kiedy studenci przejmowali budynki administracyjne na Harvardzie i Columbii, w naszym kampusie panował dalej spokój i cisza. Chociaż tu i ówdzie pojawiły się symptomy i zwiastuny zmian, działo się to bez żadnej retoryki, bez żadnego planu. Nosiliśmy coraz dłuższe włosy, zapuszczaliśmy wąsy i wkrótce pojawiły się pierwsze brody. Nie zdając sobie z tego sprawy, ubieraliśmy się coraz bardziej niedbale i odziany w garnitur członek SAE wyraźnie odbijał od otoczenia, niczym muzealny eksponat, dryfujący szczątek rozbitego okrętu. Córki małomiasteczkowych doradców ubezpieczeniowych i duchownych baptystów ubierały się jak hipiski i przestały się malować, z wyjątkiem weekendów spędzanych na łonie rodziny. Poza secesją żaden modny styl nie narodził się nigdy w Karolinie Południowej. Wrzenie na innych uniwersytetach i antyautorytarny nastrój epoki można było u nas mierzyć długością zakwitających na twarzach bokobrodów.

Los dziewczyny takiej jak Ledare przesądzony był na długo przedtem, nim poszła na studia. Jej uroda była bezpieczna i oswojona, nie tak egzotyczna jak Shyli, nie tak niebezpieczna w dotyku. Członkinie Tri Delt wielbiły ją i fetowały; została ich królową, praktycznie zanim jeszcze wstąpiła na uczelnię. Klakierka ze szkoły średniej zmieniała po prostu kolor pomponów i spódniczki i nauczyła się nowych, o wiele bardziej wymyślnych numerów. Ledare należała do dziewcząt, które umawiają się na randkę z kapitanem drużyny, w końcu jednak wyszła za mąż za redaktora "Przeglądu Prawniczego". Na drugim roku królowała jako Miss Gamet and Black, na trzecim zdobyła tytuł Homecoming Queen. Z wyjątkiem Shyli, niewielu dostrzegło, że należy do Phi Beta Kappa * i za główny kierunek studiów obrała filozofię. Shyla przez cały czas próbowała wciągnąć Ledare w gorące polityczne debaty, ta jednak czuła się o wiele bezpieczniej w zaciszu biblioteki lub pośród wypełniającego stadion hałaśliwego tłumu.

Bała się swojej epoki i wołała trzymać się od niej z daleka. Ponieważ była taka urodziwa, nikt, łącznie z nią samą, nie

* Stowarzyszenie, do którego przyjmuje się studentów osiągających wysokie wyniki w nauce.

653

zadał sobie trudu, by ją lepiej poznać. I dlatego na scenie Dock Street Theater to właśnie ona wydawała się najbardziej powołana, by opowiedzieć, kim wtedy byliśmy. Obserwowała wszystko, co się działo, ze szczytu swojej wieży. Tylko ona potrafiła wskazać moment, kiedy w nasze codzienne życie wkroczyła w nieodwołalny sposób wojna. To Shyla była osobą, która trzymała w ręku klucz, mówiła teraz Ledare. To Shyla przeszła największą transformację, Shyla, która zmieniła się w niebezpieczną i fascynującą kobietę, Shyla, która wprowadziła Boba Radykała do naszej hermetycznej grupy.

Bob Merrill zaśmiał się głośno, słysząc, jak na scenie pada po raz pierwszy jego przydomek.

— Bob Radykał - powtórzył. - Słyszając to, cofam się całe wieki wstecz.

— Zgadza się z Ledare - stwierdził Capers, wstając z fo tela i zajmując jej miejsce. - Trudno jest opisać Shylę w tamtym okresie. Nie przypominam sobie, żeby brała kiedykolwiek udział w naszych dyskusjach w podstawówce albo w pierwszych klasach liceum. Pamiętacie, jaka była wtedy strasznie nieśmiała? Wydawało się, że fizycznie cierpi, kiedy ktoś na nią spojrzał. Ta jej kruchość zniknęła gdzieś pod koniec szkoły średniej.

Z każdym rokiem robiła się coraz piękniejsza. I bardziej seksowna. Okazało się, że jest obdarzona wybitną inteligencją, a także bystrością umysłu, która pozwalała jej niszczyć przeciwników, naigrawać się z nich, ale także pochlebiać tym, na których jej zależało. Potrafiła przykuć uwagę całej sali. Na studiach Shyla odkryła, że jest urodzoną przywódczynią. Byłaby z niej wspaniała republikanka.

— Nienawidziła republikanów z całej duszy i serca - przerwał mu Mike. - Podczas kampanii McGoverna powiedziała mi coś, czego nigdy nie zapomnę. "Południowców, którzy nienawidzili czarnych - stwierdziła - nazywano kiedyś rasistami. Teraz nazywa się ich republikanami".

— Republikanie nie potrafią dotrzeć ze swoim programem do czarnego elektoratu - zgodził się Capers. - Ale staramy się to zmienić.

— Jeśli dostaniecie choć jeden czarny głos, będzie to znać, że coś jest nie w porządku z demokracją - powiedziałem.

— W twoich ustach brzmi to jak komplement - odciął się Capers.

Sędzia walnął młotkiem w biurko.

- Mam już dosyć twoich uwag, Jack. Uspokój się.

654

Capers zaczął bić brawo, ale czynił to w szyderczy sposób, dolewając tylko oliwy do ognia.

- Prawdziwy geniusz przesady - mruknął. - Zdolności Jacka w tym kierunku są tak samo duże jak on sam. Wydaje mu się, że ma serce wielkie jak stodoła. Żalotne złudzenia amerykańskich liberałów. W teorii kochają wszystkich czarnych, uciśnionych, wyzyskiwanych i biednych, nigdy jednak nie spotkałem żadnego z nich przy ich stole.

Młotek ponownie uderzył w blat biurka.

- Kontynuujmy. Wy dwaj jesteście niczym skorpiony w bu telce - oświadczył sędzia.

Generał Elliott siedział po lewej stronie sceny, całkowicie od nas odizolowany, z maską dezaprobaty na twarzy. Jeśli nas w ogóle słuchał, nie dawał tego po sobie poznać. Ani na chwilę nie odrywał oczu od swego syna, który odwzajemniał ze spokojem jego spojrzenie - tak samo szczupły, niezłomny, wyprostowany i przystojny jak generał. Dzieliła ich tylko jedna wielka różnica: podczas gdy emanujący z Jordana mrok był miękki i oszlifowany hymnami, mrok generała wydawał się skradziony ze strzelnicy.

— Tę część historii, od momentu kiedy wszyscy zaczęliśmy nosić długie włosy, przedstawimy ja i Capers - powiedział Mike.

— Zapaściłem swoje aż do połowy pleców - oznajmił Capers.

— Mogliście je zapuszczać do woli - wtrąciła Ledare - ale żaden z nas nie stracił przyjaciela w Wietnamie. Bez względu na to, co się wydarzyło, żaden z naszych przyjaciół nie zginął podczas wojny.

— Niektórzy z moich zginęli - odezwał się nagle z nie spodziewaną siłą generał Elliott.

— Ale nie Jordan. Nie twój syn. Jordan siedzi naprzeciwko ciebie - powiedziała Celestine. - Nareszcie patrzy ci w twarz.

— Jordan jest dla mnie bardziej martwy niż jakikolwiek żołnierz, który walczył i zginął śmiercią bohatera w Wietnamie - odparł generał. - W ogóle go nie widzę. Jego tchórzstwo oślepia mnie, nie pozwala mi go zobaczyć. Między nami jest tak gęsta mgła, że nie sposób jej przebyć. Dzieli nas rzeka krwi. Krew ludzi, których posłałem na front. Za każdym razem, kiedy próbuję zobaczyć mojego syna, ich krew zalewa mi oczy. Ich nazwiska oślepiają mnie, kiedy próbuję go dostrzec. Stają mi przed oczyma wszystkie nazwiska wyryte na ścianie Vietnam

655

Memoriał. Setki tysięcy liter, nazwiska wszystkich tych chłopców, którzy spełnili swój obowiązek wobec Ameryki: całe ich pułki maszerują ku mnie, gdy próbuję dojrzeć naszego tchórzliwego syna. Naszego Jordana.

Przez jakiś czas trwała zapierająca dech cisza. A potem wstałem z fotela i podszedłem do generała Elliotta.

- Biorąc pod uwagę to, że mieliśmy za dowódców takich dupków jak pan - stwierdziłem podniesionym tonem - dziwię się, iż w ogóle jakiś Amerykanin wrócił zdrowy i cały z Wietnamu. Jak może jeden sztywny stary pierdziel wiedzieć wszystko, co trzeba wiedzieć o tym świecie? Niech pan odpowiada, generale. Tu siedzi pański syn. To nie jest flaga, karabin M-1, proporzycyk, ręczny granat, plac apelowy ani ziemianka... a jednak okazał pan w życiu więcej uczucia i oddania wszystkim tym rzeczom aniżeli własnemu synowi. Bił pan Jordana przez całe jego dzieciństwo i wszyscy o tym wiedzieli. Bił pan także Celestine, choć o tym wiedziało już mniej osób. Och, ty waleczny generale republiki, który chcesz ferować dzisiaj wyroki, podczas gdy nie dorastasz swemu synowi do pięt i nigdy nie dorastałeś. Jesteś katem swojego dziecka i katem żony, niewydarzonym myślicielem i zwyrodnialcem pierwszej klasy. Nie zostałeś stu procentowym nazistą tylko dlatego, że nie potrafisz mówić po niemiecku i mamy w tym kraju konstytucję, która trzyma w szachu takich jak ty sukinsynów.

Młotek.

— Zamknij się, Jack. I siadaj. Za bardzo się emocjonujesz.

Dopiero zaczęliśmy.

— Nie, sędzio - wtrącił Mike. - Jesteśmy już w środku dramatu.

— Chcę odpowiedzieć Jackowi - zaczął mówić generał, grożąc mi palcem. - Twoje pokolenie było pierwszym, które okryło taką hańbą Amerykę. Kiedy ten kraj wezwał do boju swoich synów, tchórzliwi maminsynkowie chodzili w damskich gatkach na komisje lekarskie, udawali ataki astmy, sypali cukier do moczu, głodzili się, aby spaść poniżej limitu wagi, albo obżerali, żeby go przekroczyć, robili dziewczynom bachory, by zapobiec powołaniu, i zaciągali się do Gwardii Narodowej, żeby uniknąć prawdziwej walki. W Wietnamie potrzebowaliśmy ludzi z żelaza, ale musieliśmy ich rekrutować spośród bandy gnojników. Musieliśmy wybierać wojowników spośród zbieraniny chłoptasiów, którzy lepiej czuli się na kozetce psychoterapeuty niż na wysuniętej placówce w dżungli. Nasz naród gnije od

środku. To naród bez jaj, otłuszczony, zniewieściały i osłabiony wszelkiego rodzaju ekscesami typowymi dla społeczeństwa, które schodzi na psy. Robi mi się niedobrze, kiedy na to patrzę. Robi mi się na twój widok niedobrze, Jack.

— Dobrze powiedziane, generale - oznajmił Capers w ciszy, która zapadła.

— Opowiedz nam coś o lojalności, kochanie - powiedziała Celestine Elliott, wstając z fotela. - Wychowałeś Jordana w przeświadczeniu, że lojalność jest największą cnotą żołnierza.

— Nie zmieniłem zdania - odparł generał, nie patrząc na żonę. - Ale Jack nie ma najmniejszego pojęcia o lojalności, o której mówię.

— Mógłby ci powiedzieć o lojalności rzeczy, o których nigdy ci się nie śniło - stwierdziła Celestine. - Jack nigdy nie odwrócił się plecami do naszego syna. Był absolutnie lojalny wobec jedyne dziecko, jakie wydaliśmy na świat. Nigdy się nie zawahał. Nigdy się nie cofnął. I nigdy nie poprosił o nic w zamian ani nie otrzymał żadnej nagrody.

— To nieprawda - powiedziałem.

— Co za to wszystko dostałeś? - zapytała Celestine.

— Jordan kochał mnie. Był niezastąpionym przyjacielem.

Dzięki niemu czułem się mniej samotny - odparłem.

Podczas całej tej wymiany zdań Jordan trzymał oczy utkwione w ojcu. Wyraz jego twarzy prawie w ogóle się nie zmienił; malowała się na niej cała łagodność, której nauczyło go klasztorne życie. Po chwili główny tok narracji przejął Mike. Wszyscy, stwierdził, byliśmy świadkami zmiany, jaka zaszła w Shyli, kiedy spotkała Boba Merrilla, który latem 1969 roku przeniósł się do Karoliny Południowej z Uniwersytetu Columbia. Bob należał do studentów, którzy zajęli budynki administracyjne nowojorskiego uniwersytetu i przedstawili listę postulatów, do tego stopnia radykalnych, iż władze uczelni wezwały do rozbicia strajku policję. Brutalny, przeprowadzony przed świtem atak sił porządkowych bardzo zaszkodził postępowej reputacji Columbii. Kiedy do niego doszło, Bob Merrill spał smacznie w Harlemie, gdzie uczył się od pewnego zwolnionego warunkowo czarnego muzułmanina konstrukcji bomb zapalających, których zamierzał użyć przeciwko policji rozpędzającej polityczne demonstracje. Przyjechał na Uniwersytet Karoliny Południowej specjalnie po to, aby założyć tutaj oddział organizacji Studenci na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa. Pierwszą

657

osobą, którą zwerbował na naszej uczelni, była Shyla Fox. Zanim odszedł z uniwersytetu, lokalny oddział SDS liczył ponad pięćdziesięciu studentów, których wyedukował politycznie i uczynił narzędziem swojej woli. Wykazał się tak dużymi zdolnościami w organizowaniu ospałej braci studenckiej, że kierownictwo SDS przyznało mu specjalną pochwałę. Ale to miało miejsce już później, po wydarzeniach na Kent State i burzy, która odmieniła życie wszystkich, którzy zgromadzili się teraz w Dock Street Theater.

— Nigdy nie widziałem kogoś takiego jak Bob Radykał - mówił Mike. - Nosił długie czarne włosy jak Indianin, mówił trzema językami, potrafił cytować całe strony Walta Whitmana i Karola Marksa... nic nie potrafiło go wyprowadzić z równowagi ani zmartwić. Nie należał do dobrych mówców, ale był świetnym sędzią charakterów i przywódcą. Wiedział, że południowcy są nieufnymi outsiderami, i jak mógł, starał się przekonać nas do swoich racji. Chował się w cieniu, pociągając za

sznurki. To on rozpoczął naszą polityczną edukację, nie mam co do tego wątpliwości. Z wyjątkiem Shyli, nie sędzę, by ktokolwiek z nas zastanawiał się kiedyś dłużej nad wojną. Dojrzeliśmy do tego, żeby ktoś zawładnął naszymi umysłami. Miałem wrazenie, że przez całe życie czekałem na kogoś takiego jak Bob Radykał. Był niesamowity. Pisał genialny scenariusz. Jego idee przekładały się na rzeczywistość. Wszyscy daliśmy się wciągnąć w jego plan. Wszyscy oprócz Jordana.

— Na Jordana kompletnie nie działał urok myśli rewolucyjnej - przyznał Bob Radykał, elegancko uczesany i ubrany w garnitur z Brooks Brothers. - Zbyt łatwo ulegał emocjom, by można mu było zaufać w ruchu politycznym. Dla mnie jedynym zagrożeniem z jego strony był wpływ, jaki wywierał na swoich przyjaciół. W swojej niewinności Shyla i Mikę na prawdę go uwielbiali. Ja widziałem w nim kogoś obcego. Stałem się osłabić ich przyjaźń. I przyjaźń, która łączyła z nim Jacka.

— Ale to ja byłem twoim największym zwycięstwem - odezwał się Capers. - Twoim najwspanialszym nabytkiem.

— Zgadza się - potwierdził Bob, uśmiechając się do Capersa. - Upatrzyłem sobie ciebie już w pierwszym miesiącu. Shyla i w mniejszym stopniu Mikę stanowili wspaniałą zdobycz, ale powiedzmy sobie szczerze, byli Żydami i mogli nie trafić do przekonania tym południowym półgłówkom, do których próbowałem dotrzeć. Żeby ich zwerbować, wykorzystałem fakt,

658

że sam byłem Żydem, ale z tobą musiałem wymyślić coś lepszego. Opracowałem całą strategię. Kiedy dowiedziałem się, że pochodzicie wszyscy z Waterfordu, zaproponowałem Shyli, żeby zaprosiła was do klubu Yesterday, gdzie mogliśmy po paru piwach porozmawiać o czymś poważniejszym. Na przykład o wojnie. Na przykład o tym, kto jest za nią odpowiedzialny. A także, czego na razie nie zdradzałem, o obywatelskim nieposłuszeństwie.

— Zapamiętałem jedno ze zdań, które wtedy wygłosiłeś:

"jeśli przelewamy krew na wietnamskich ryżowiskach, tyle samo krwi powinno popłynąć ulicami Karoliny Południowej" - powiedział Capers. - Dużo się od ciebie nauczyłem, Bob.

— Ty i Shyla byliście moimi najlepszymi uczniami. Nikt tak jak wy nie potrafił grać na uczuciach tłumu - stwierdził Bob.

— Wietnam wszystkich nas głęboko poruszył. Po jednej i drugiej stronie barykady - odparł Capers.

— Judasz też miał zabawne pojęcie o sztuce pocałunku - rzuciłem, nie podnosząc nawet wzroku, żeby spojrzeć mu w oczy. - Uderz w stół, tato, zanim te dwie papużki nierozłączki zaślinią się na śmierć.

Bob i Capers roześmieli się, ale ich śmiech maskował zdenerwowanie i atmosfera na scenie jeszcze bardziej się zagęściła. Ojciec Jude zakasłał, Celestine przeprosiła nas i wyszła do toalety, a Ledare pochyliła się do przodu w fotelu. Ponownie rozległo się stuknięcie młotka i Mikę podjął opowieść, która przenosiła nas w naszą zapalną, zdyszana przeszłość.

Słuchając go, uprzytomniłem sobie, że pamiętam każdy szczegół naszych spotkań w Yesterday. Od samego początku waterfordczycy znaleźli się w samym centrum studenckiego życia. Jako grupa byliśmy niezwykle aktywni. Ledare podtrzymywała południowe tradycje, udzielając się w drużynie klakierów, żeńskich związkach studenckich i konkursach piękności. Wpadała czasem do Yesterday i

patrzyła, jak zdieramy sobie gardła, obrzucając się epitetami, kłócąc do późna w nocy i starając się zmienić wszystko samą siłą słowa. Lubiliśmy się mądrzyć i lubiliśmy głośno dyskutować, a Bob Radykał płacił za całe piwo, które wypijaliśmy. Ledare zerwała z Capersem krótko po tym, jak zaprzyjaźnił się z Bobem. Miesiąc później Capers odszedł z bractwa Kappa Alfa, wygłosivszy przedtem na jego forum antywojenną mowę.

Pod koniec 1969 roku Capers Middleton, potomek najznamienitszych i najstarszych rodów naszego stanu, młodzieniec,

659

w którego żyłach płynęła krew trzech sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości, został przywódcą SDS i całego radykalnego ruchu studenckiego Karoliny Południowej. W cieniu stał Bob Merrill, służąc przez cały czas dobrą radą i politycznymi wskazówkami. Drugą osobą w oficjalnej hierarchii była Shyla, która dzieliła teraz z Capersem łóżko oraz przekonanie, że należy jak najprędzej przerwać wojnę w Azji Południowo-Wschodniej i sprowadzić do domu wszystkich amerykańskich żołnierzy. W tym szalonym rozpasanym okresie Capers i Shyla stali się ku mojemu szczeremu żalowi zupełnie nierozłączni. Rano pili kawę w kawiarni UFO przy Gervais Street, próbując namówić młodych żołnierzy z Fort Jackson do sprzeciwu wobec wojny. Jeździli razem po całym stanie, biorąc udział w demonstracjach i pacyfistycznych mityngach. Shyla zasłynęła wkrótce ze swojej urody i elokwencji, a Capers z odwagi, z jaką nacierał na policyjne kordony, oraz z pragmatycznych, a jednocześnie pełnych pasji przemówień, wygłaszanych dzień w dzień do słuchaczy, których liczba wahała się od pięciu do tysiąca. Jego głos miał w sobie jakiś magnetyzm, który potrafił w ciągu paru minut oczarować cały tłum.

— Shyla była prawdziwą rewolucjonistką - stwierdził Bob Radykał. - Kiedy ją tylko zobaczyłem, wiedziałem, że taki samorodek zdarza się raz w życiu. Widziałem, jak zalała się łzami, gdy jakaś inna dziewczyna opowiedziała jej o śmierci swojego ukochanego kotka, który zdechł przed dziesięcioma laty. Shyla nie znała ani kotka, ani tej dziewczyny, ale współ czuła z całego serca wszystkim bożym stworzeniom. To sprawa wiało, że była jednocześnie podniecająca i naiwna. Ale wie działem, że można z nią kraść konie. Była niesamowita. Wydaje mi się, że już wtedy kochała się w Jacku, ale on nie zajmował się polityką i wiadomo było, że się nie zmieni. Capers zdobył ją, zrywając z całą swoją przeszłością i idąc wraz z nią na barykady. Shyla miała wrażenie, że ten nowy Capers jest jej własnym dziełem. Oczywiście ja czułem to samo w stosunku do niej.

— Shyla uważała, że wojna wietnamska jest zła... ale na jej poglądy nakładała się dodatkowo przeszłość jej rodziców. Kluczem do całej jej antywojennej działalności była jej żydowskość. Wietnamczycy byli dla niej Żydami. Amerykanie wkroczyli tam jako najeźdźcy i w jej rozumieniu nie różnili się wiele od nazistów. Za każdym razem, kiedy kłóciłem się z nią na temat wojny, zabierała mnie na wycieczkę do Oświęcimia. Rozmawialiśmy

660

0 obłężeniu Khe Sanh przez marines i nagle, ni z tego, ni z owego okazywało się, że jedziemy bydlęcym wagonem przez Polskę. Odkryłem, że jestem innym Żydem niż ona. Moi rodzice odczuwali wobec Ameryki niezwykłą wdzięczność, a ja pa trzyłem na świat ich oczyma. Ona patrzyła na świat przez tatuaż swego ojca i ten tatuaż przesłaniał jej wszystko. Sądzę, że

musiała zaprotestować przeciwko wojnie, ponieważ nikt nie protestował, kiedy jej rodziny dostały się w ręce nazistów. Każde zdjęcie martwego Wietnamczyka przypominało jej te doły wypełnione Żydami. Cały jej protest, cały radykalizm brały się z tego, co przeżyła jej rodzina. Dla Shyli uczucia były tym, co liczyło się najbardziej. To była dla niej sprawa życia albo śmierci.

— Ale co to ma wspólnego z moim synem? - zapytał generał Elliott. - Przyjmuję do wiadomości to, co mówicie o proteście Shyli. Nigdy nie wątpiłem w jej szczerą. Shyla była czysta jak kryształ. Zmieniając zaledwie kilka słów w tym, co tu mówiliście, otrzymalibyśmy wizerunek idealnego żołnierza piechoty. Ale opowiedzcie mi o Jordanie. Z tego, co wiem, był tak samo apolityczny jak Jack. A jednak obaj dali się nabrać na te głupstwa. Nigdy tego nie zrozumiałem.

— Shyla nie spoczęła, dopóki nie udało jej się wciągnąć do SDS Jacka i Jordana - wyjaśnił Capers. - Dokuczali jej śmieli się z jej świeżej daty radykalizmu. Przez jakiś czas nazywali ją nawet "Jane Fonda". Ale ona zabierała ich na pochody i manifestacje. Byli całkiem bystrzy i gdyby nie to, że grali w baseball, sądzę, że zaangażowałiby się wcześniej.

— Daliśmy się ponieść wydarzeniom - wyjaśniłem. - Nie mieliśmy żadnego wpływu na to, co się działo.

— Zaczynaj opowiadać od tego momentu, Jack - powiedział Mike, a ja skinąłem głową i zająłem miejsce dla świadków.

ROZDZIAŁ 36

Zacząłem powoli swoją relację, starając się jak najwierniej przedstawić bieg wydarzeń. Nie od razu znalazłem się w ich głównym nurcie, nie mogłem jednak nie zauważyć, jak bardzo zmienili się moi przyjaciele. Po zaangażowaniu się w ruch antywojenny Shyla i Capers zupełnie o nas zapomnieli. Rzadko kiedy przychodzili na zajęcia, uczyli się jednak dalej całkiem nieźle. W wieku dwudziestu jeden lat Capers Middleton i Shyla Fox stali się najsłynniejszymi studentami w całym stanie, z wyjątkiem sportowców. Regularnie pojawiali się w wieczornych wiadomościach i często cytowano ich i zamieszczano fotografie w gazetach. Po raz pierwszy aresztowano ich, kiedy protestowali przeciwko wizycie na uczelni przedstawicieli produkującej napalm korporacji Du Pont, która szukała u nas przyszłych pracowników. Drugie aresztowanie zdarzyło się tydzień później, gdy próbowali zablokować w Charlotte wyjście z amfiteatru, w którym przemawiał prezydent Nixon. W tym okresie ogarnęło ich jakieś mroczne zapamiętanie. Nie było pytań na temat wojny, na które nie potrafiliby odpowiedzieć. Oboje byli święcie przekonani o słuszności swojej sprawy i dzięki ich zapałowi, talentom organizacyjnym i sile przekonywania ruch antywojenny na uczelni z tygodnia na tydzień rósł w siłę i znaczenie.

Dla większości z nas najważniejsze były jednak wciąż studia.

Jordan zachodził często po zajęciach do redakcji naszej gazetki, żeby spotkać się ze mną i czasami z Mike'em. Przez trzy lata pisałem prawie wszystkie zamieszczane tam materiały, a Mike zrobił dla nas więcej zdjęć niż ktokolwiek, kto w ciągu ostatnich lat pracował dla "Garnet and Black". Na jednej

662

z fotografii uchwycił istotę corocznego konkursu Miss Wenus, w trakcie którego studentki ubrane w obcisłe bluzki, szorty i buty na wysokim obcasie paradowały po scenie z papierowymi torbami na głowach. W ten sposób tradycyjnie wybiera się w Karolinie Południowej kobietę obdarzoną najbardziej ponętym ciałem; jury składa się ze śliniących się studentów znanych z wysokiego

poziomu testosteronu. Zdjęcie Mike'a przedstawiało anonimowe, ukryte w torbach głowy panienek, wypinających swe prężące się w nieskończoność pingwinie biusty ku uciechu wybałuszającego gały studenta. Zatytułowałem je "Ofensywa Teat" *. Kiedy rektor Thomas Jones zaprosił nas, abyśmy wyjaśnili tę grę słów, obaj z Mike'em utrzymywaliśmy, że to błąd drukarski. Mike powoli ulegał wpływowi Boba Radykała, wciąż jednak zależało mu na pracy w redakcji; od samego początku widzieliśmy w niej możliwość sygnowania własnym imieniem zapisywanej przez nas strona po stronie historii. "Gamet and Black" był dla nas po części listem apostołskim, po części zaś bazaltem z Rosetty **, kartką z pozdrowieniami, sokratejskim dialogiem i wynikiem spisu ludności. Stanowił ekstrakt rzuconych na cztery lata do jednego kotła dziesięciu tysięcy biografii.

W grudniu 1969, kiedy Capers i Shyla zostali po raz szósty w ciągu tego roku aresztowani, ostatecznie pożegnałem się ze swoją redaktorską posadą. Mike, Jordan i ja poszliśmy zwolnić ich za kaucją. W tym czasie staliśmy się już prawdziwymi ekspertami w wyciąganiu naszych przyjaciół z paki, rodzice Shyli i Capersa umyli bowiem ręce, nie angażując się w ogóle w zatargi swoich dzieci z wymiarem sprawiedliwości. Foxów powstrzymywał typowy dla wszystkich imigrantów strach przed władzami, natomiast rodzice Capersa wyrzekli się go, przynosił bowiem ujmę nazwisku, które od dawien dawna figurowało w stanowych podręcznikach historii. Pozbawieni wsparcia ze strony rodziny, oboje padali ofiarą brutalnych ataków policji, która zakuwała ich w kajdanki i wlokła za włosy do czekających za rogiem suk. Odkryli szybko, iż policjanci należą do klasy "niebieskich kołnierzyków" i wywodzą się najczęściej z zaniedbanych przedmieść. W takich

* Teat, ang.: cycek.
** Bazaltowa tablica odnaleziona w 1799 w mieście Rosetta w Egipcie. Dzięki temu, że widniały na niej inskrypcje greckie i odpowiadające im egipskie hieroglify, posłużyła do odszyfrowania tych ostatnich.

663

ludziach nietrudno było wzbudzić nienawiść do długowłosych rozwydrzonych studentów, palących amerykańską flagę na ulicy. W listopadzie Capers wylądował w szpitalu po uderzeniu pałąk w głowę; kilka dni później Shyla oberwała pięścią w twarz od policjanta drogówki.

Tamtego wieczoru nasrożonemu zastępcy szeryfa o nazwisku Willis Shealy najwyraźniej nie spodobał się mój wygląd. Zapadł już zmierzch i wiedziałem, że nie jest to najbezpieczniejsza pora, by składać wizytę w karolińskim areszcie, starałem się jednak ująć stróża prawa swoją niemal przesadną grzecznością. Spojrzenie, którym mnie zmierzył, - powiedziało mi, że wpadłem w nieliczne tarapaty.

— Moja siostra ma wielkie cycki, ale jej włosy nie są nawet w połowie tak długie jak twoje - poinformował mnie.

— Poręczyciel powiedział, że papiery są w porządku, proszę pana - oznajmiłem, unikając z nim kontaktu wzrokowego.

— Słyszałeś, co powiedziałem? - zapytał Shealy.

— Tak, proszę pana, słyszałem.

— Twój kolega w celi ma włosy długie aż do tyłka. Ma między nogami kutasa czy cipkę?

— Będzie pan musiał o to spytać Capersa, proszę pana - odparłem.

— Lepiej się nie mądrz, chłopcze, bo spędzisz noc razem ze swoim kumplem - ostrzegł mnie Shealy. W tym samym momencie do aresztu wkroczył Jordan, żeby zobaczyć, co mnie zatrzymuje. Jordan dawno już powrócił do swojego kalifornijskiego stylu i jako jeden z pierwszych mieszkańców Karoliny zapuścił długiego kucyka.

— O co chodzi? - zapytał.

— Jeszcze jeden - mruknął Shealy, potrząsając z obrzydzeniem głową. - Jeśli ten uniwersytet nie jest prawdziwą

wylęgarnią pedałów...

Jordan nie miał jednak wcale zamiaru wysłuchiwać jego tyrady.

- Słuchaj, gamoni, wypuść po prostu naszego kumpla z celi i będziesz mógł z powrotem liczyć swoje pryszcze - oznajmił.

- Mój kolega lubi sobie czasem pożartować - wyjaśniłem.

Willis Shealy podniósł pałkę leżącą przed nim na metalowym biurku.

- Żartuje ze śmiercią. W liceum grałem w drużynie futbolu - oznajmił.

664

— O Boże. Słyszałeś to, Jack? - odparł Jordan, podnosząc ręce w udawanym przerażeniu. - Nie ośmieliłbym się otworzyć ust, gdybym wiedział, że nasz heros grał w futbol. Musi być jednym z tych twardzieli, co nigdy nie biorą żadnych jeńców. Zawsze miękną mi kolana, kiedy stoję twarzą w twarz ze spasionym, pryszczatym kutafonem, który przechwala się, że grał w szkolnej drużynie futbolu.

— Zamknij się, Jordan - warknąłem, nie odrywając oczu od pałki. - Czy mógłby pan wypuścić naszego kolegę, proszę pana?

— Nie podoba mi się twój pedziowaty kumpel. - Shealy zrobił krok w stronę Jordana, który również dał krok w jego stronę.

— Mój kolega nie czuje się zbyt dobrze - wyjaśniłem.

— Sraczka puściła mu się z ust - stwierdził ze śmiechem Shealy.

— Rzygam za każdym razem, kiedy czuję odór wiejskiego ciołka - odparł Jordan.

— Dzięki, że pomagasz mi załagodzić sytuację - mruknąłem.

— Zawsze do usług.

— Założę się, że lubisz obciągać fiuta, prawda, cioto? - zapytał Shealy.

— Jeśli powściągnie pan swój język, proszę pana, postaram się przemówić do rozsądku mojemu przyjacielowi - powiedziałem. - Żaden z was nie stara mi się pomóc.

— Tak się składa, że jestem prawdziwym aficionado, jeśli idzie o obciąganie fiuta - oznajmił rozbawiony Jordan. Shealy'emu stężały mięśnie szczęki. - Aficionado? No tak, to słowo jest dla ciebie o trzy sylaby za długie, Shealy. Obciągałem najwspanialsze fiuty w Ameryce. Jestem prawdziwym mistrzem w tym fachu. O moim języku krążą legendy w gejowskich barach w całym kraju. Uwielbiam fiuty grube i fiute chude. Niektóre smakują jak ser, inne jak świeża wieprzowina albo jak ziarno z otrębami, ale najbardziej lubię te, które smakują jak trzcina cukrowa. Higiena niektórych facetów pozostawia wiele do życzenia, kapujesz, facetów takich jak ty, Shealy, którzy kąpią się raz w miesiącu, czy tego potrzebują, czy nie. Przychodzi mi

wtedy na myśl smak sardynek albo anchois... - Jordan wpadł w prawdziwy trans i dawno nie widziałem, żeby się tak dobrze bawił.

—
665

— Ty chory sukinsynu - przerwał mu Shealy. - Nie wpuszczę takiego zboczeńca do mojego więzienia.

— Niech pan po prostu wypuści naszego przyjaciela, pana Middletona - powiedziałem - i zabiorę tego zboczeńca z pańskich oczu.

— Założę się, że masz wielkiego jak u konia, Shealy - stwierdził Jordan, podchodząc do zastępcy, który cofnął się za biurko. - Na pewno nie uda mi się go zmieścić całego w ustach.

— Jeśli twój przyjaciel zbliży się do mnie choćby o krok - powiedział Shealy - obu was zastrzelę. Pilnuj go, a ja pójdę po waszego kolesia.

— Mam pewne problemy ze zrozumieniem twojej metodologii - mruknąłem, kiedy Shealy zniknął za drzwiami prowadzącymi do cel.

— Ty lizalesz mu dupę - stwierdził Jordan. -- Najwyraźniej nie odnosiło to żadnego skutku.

— Nie powinno się prowokować zastępcy szeryfa - odparłem. - Płacą im bardzo mało forsy i jedyną przyjemność sprawia im zastrzelenie kogoś, kto przekroczy! szybkość na autostradzie.

— Wydawało mi się, że znasz Południe - powiedział Jordan. - Nie gryziemy jeszcze obaj ziemi tylko dlatego, że jesteśmy obaj biali.

— Musisz być ostrożniejszy - poradziłem mu.

— Ostrożność nudzi mnie - oznajmił rzeczowym tonem. - Życie zaczyna mnie interesować dopiero, kiedy ciskam ostrożność w kąt.

— Wyświadczyć mi grzeczność - poprosiłem - i kiedy następnym razem to zrobisz, uprzedź mnie, żebym mógł zejść ci z drogi.

— Nie bądź taki bezbarwny, Jack. Obiecuj, że nie będziesz bezbarwny.

— Takie mam właśnie aspiracje - warknąłem i w tej samej chwili wzburzony Shealy wprowadził do pokoju Capersa.

— Co takiego, u licha, powiedzieliście biednemu panu Shealy'emu? - zapytał nas Capers. - Trzęsie się jak galareta.

— Urządzaj swoje demonstracje poza hrabstwem Richland, Middleton - ostrzegł go Shealy. - I kup swojemu zarośniętemu kumpłowi płyn do mycia ust.

— Dobra odżywka, panie Shealy - pochwalił go Jordan. - Cieszy mnie, kiedy ktoś z gminu potrafi się sprytnie odciąć. To przywraca mi wiarę w publiczną edukację dla mas.

666

— O czym on, do diabła, gada? - zapytał mnie zastępca.

— Pamiętaj, Shealy - powiedział Jordan. - Na Południu ceni się anegdotę, nie dowcip.

— Co za skurwiel - odparł Shealy.

— Prawdziwy z siebie geniusz, panie Shealy - wyraził swe uznanie Jordan. - Twoja riposta świadczy zarówno o talencie narracyjnym, jak i dowcipie.

Capers odgarnął do tyłu swoje długie włosy.

— Co on pił? - zapytał.

— Upił się życiem - odpowiedziałem. - No dobra, spadajmy stąd jak to końskie gówno, które utkwilo w bruździe.

— To skautowski żart - zauważył Capers. - Dobrze, że nie widzi mnie teraz mój drużynowy.

— Jak próbujesz zniszczyć Amerykę - zaśmiał się Jordan. - I wszystko, co uczyniło ją wielką.

— Jak próbuję ocalić Amerykę - poprawił go z powagą Capers.

— Odkąd uparłeś się ocalić całą planetę i wszystkie fruujące w przestworzach ptaki, zrobił się z ciebie straszny ponurak, Capers - stwierdził Jordan.

— Dokończymy tej dyskusji w Yesterday - powiedziałem. - Mike'owi udało się wyciągnąć z paki naszą Jane Fondę. Ona też będzie chciała nas ochrzanić.

Udaliśmy się do klubu, gdzie siedzieli już, popijając piwo, Mikę i Shyla. Capers i Shyla ucałowali się namiętnie, jak to mieli w zwyczaju w tym szalonym okresie aresztowań i mów wygłaszanych przez tubę. Trzymali się publicznie za ręce i okazywali sobie uczucia w sposób, który wprawiał mnie w wyjątkowe zmieszanie, a Jordanowi kazał odwracać oczy na bok. To, że ze sobą żyli, wcale im nie wystarczało; chcieli nam chyba dać do zrozumienia, iż siła, z jaką wyznawali swoje przekonania, zwiększyła intensywność ich seksu. Kiedy siedzieliśmy, czekając na nasze piwo, przesuwali dłońmi po swych uległych ciałach, jakby ich zakamarki były jedynym alfabetem Braille'a, któremu mogli zaufać.

— Odklejcie się od siebie - powiedział Mikę - żebyśmy mogli coś zamówić.

— Jesteś po prostu zazdrosny - odciął się Capers, spoglądając Shyli głęboko w oczy. - Kiedy nie jesteśmy razem, czuję się, jakby amputowano mi obie ręce i nogi. Od wybuchu rewolucji jesteśmy jedną osobą.

667

— Jakiej rewolucji? - zapytałem.

— Kiedy ty się w końcu obudzisz, Jack? - odparła ostro Shyla. - Ile jeszcze ludzi musi zginąć, zanim łaskawie zwrócisz na to uwagę?

— Siedemdziesiąt dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt osiem - rzuciłem, studiując menu.

— Jak możesz stroić sobie żarty, podczas gdy młodzi Amerykanie giną w niemoralnej wojnie? - zapytał Capers, łapiąc mnie za rękę.

— Zjadłbym chętnie cheeseburgera z cebulą - stwierdził Jordan, który również przeglądał menu. - Mają tu także bajecznego hot doga, który nie może się doczekać, żeby go ktoś zamówił. Coś we mnie domaga się również sałatki. Ale kiedy pomyślę o naszych chłopcach, którzy giną w niemoralnej wojnie, dochodzę do wniosku, że właściwie obejdę się smakiem. Mam ochotę złapać transparent, wziąć udział w antywojennej

demonstracji i poczuć się moralnie wyższy od wszystkich mijanych przeze mnie kołtunów.

— Chciałem zamówić stek z kością - dodałem. - Ale kiedy pomyślę o czerwonym mięsie, przed oczyma staje mi Hue i czarne torby ze zwłokami młodych ludzi, którzy nigdy nie usłyszą już Mowy Gettysburskiej *. Stek z kością wydaje mi się niemoralny. Zastanawiałem się także nad fasolą z ryżem, ale ryż przypomina mi biednych partyzantów z Vietcongu, którzy prowadzą sprawiedliwą wojnę przeciwko takim jak ja łotrom. Ryż odpada. Chciałbym zamówić coś, w czym nie można doszukać się żadnej politycznej aluzji. Wygląda na to, że będę musiał się zadowolić surową marchwią i szklanką wody.

— Capersa i Shyla wcale to nie śmieszy, chłopcy - ostrzegł nas Mike.

— To fatalnie - stwierdziłem.

— Twarde bestie - dodał Jordan.

— Co jest takiego śmiesznego w Wietnamie? - zapytała Shyla.

— Doprowadził cały nasz kraj do oblędu - odparłem. -

Zrobił z dwojga moich wspaniałych przyjaciół parę fanatyków.

Spójrz na siebie, Capers. W ciągu jednego roku przeskok z Kap-

* Nawołujące do pojednania słynne przemówienie Abrahama Lincolna, które wygłosił 19 listopada 1863 roku w Gettysburgu.

668

pa Alfa do Abbiego Hoffmana*. Ty też, Shyla. Był czas, że w niczyjej obecności nie czułem się tak dobrze jak w twojej, ale teraz wolę czytać diariusze Kongresu, niż zbliżyć się do ciebie na milę. Nie rozumiem, dlaczego nawracając się na liberalizm, musieliście stać się przemądrzałymi zajadłymi zelotami.

— Próbujemy po prostu położyć kres tej wojnie, Jack - oznajmił Capers. - Przykro mi, że nasza zajadłość psuje ci całą zabawę.

— Czy ty w ogóle bronisz jakichś ideałów? - zapytała Shyla.

— Bronię "Gwiazdzistego sztandaru".

— Tani patriotyzm - podsumował mnie Capers. - W amerykańskiej fladze najbardziej podoba mi się to, że nie trzeba jej bronić. Można ją spalić, podeptać albo wyrzucić na śmietnik i wszystko to gwarantuje nam nasza konstytucja.

— Masz w sobie zadatki na faszystę, Jack - stwierdziła Shyla.

— Jeśli kiedykolwiek nim zostanę, to dlatego że za długo z wami przesiaduję - odciąłem się. - Za każdym razem, kiedy spotykam się z tobą i z Caperssem, mam ochotę zrzucić bombę wodorową na Hanoi.

— A więc popierasz wojnę - zawołała Shyla. - Przyznaj się.

— Jesteśmy studentami - powiedział Jordan. - Nikt nie popiera tej wojny. To głupia wojna, która wybuchła z głupich przyczyn i prowadzona jest przez głupich ludzi.

— W takim razie jesteście po naszej stronie - stwierdziła Shyla.

— Dobrze, jesteśmy po waszej stronie - zgodził się Jordan. - Nie robimy tylko z tego powodu tyle hałasu.

— Nie mogę milczeć, kiedy zrzuca się płonący napalm na uciekające wiejskimi drogami niewinne dzieci - oświadczył Capers.

— Ja też - dodała Shyla. - I nie mogę siedzieć razem z 'udźmi, którzy wołają w tej sytuacji milczeć.

— Chciałbym wznieść toast za napalm - powiedziałem, ale w tej samej chwili Shyla i Capers wstali, żeby odejść. - Niechaj trafia wyłącznie niewinne dzieci, sierotki tulące do piersi pluszo we misie, paralityków i czekających na protezy połamane, uwielbiane postaci z komiksów, zakonnice z różańcami i nie-
* Radykalny działacz Nowej Lewicy.

669

świeżym oddechem, klakierki z Konferencji Wybrzeża Atlantyku... Nim zdążyłem dokończyć zdanie, oboje zniknęli w mroku.

— Poczucie humoru nie jest ostatnio ich najmocniejszą stroną - stwierdził Mike, robiąc nam fotografię.

— To wszystko jeden wielki pic - podsumowałem. - Za kochali się w retoryce i sloganach. Potrafią rozprawiać godzi nami o wolności słowa, a potem wkurzają się, kiedy ktoś powie coś, z czym się nie zgadzają.

— Ale to nie jest powodem, dla którego się wściekasz, Jack - oświadczył Mike.

— Mike ma rację - dodał Jordan.

— Więc dlaczego się wściekam? - zapytałem. - Dobrze jest mieć dwóch kumpi, którzy zawsze wiedzą lepiej i potrafią wytłumaczyć zawile sprawy tego świata swojemu ociężałowemu umysłowo koledze.

— Kochasz się w Shyli - wyjaśnił Mike. - Nie ma w tym nic złego. Ale ją podniecają wyłącznie chłopcy, którzy atakują w oparach gazu policyjne kordony.

— Jestem przeciwko wojnie - powiedziałem. - Ale lubię Amerykę. Czy mam sobie strzelić w łeb?

— Shyla weszła w bardzo radykalny okres - stwierdził Mike.

— Oni wcale nie myślą serio o położeniu kresu wojnie - oznajmił nagle Jordan, pociągając długi łyk z butelki.

— Moim zdaniem myślą - zaprotestował Mike.

— Bynajmniej. Nieczęsto zgadzam się z moim starym - tłumaczył Jordan - ale tym razem chyba się nie myli. Powie dział, że można poznać, czy ktoś naprawdę w coś wierzy, po tym, czy gotów jest poświęcić wszystko w imię tej wiary. Oznajmił mi nie dalej jak przed miesiącem, że nie będzie traktować poważnie Capersa, póki ten nie da jakiegoś dowodu, że to, co robi, nie jest tylko grą.

- Co takiego miałby zrobić? - zapytałem.

Jordan roześmiał się.

- Powiedział, że gdyby Capers wierzył w to, co mówi,

wysadziły w powietrze koszary w Fort Jackson. Mój stary nie wierzy nikomu, kto nie ma zamiaru oddać życia za swoje przekonania. Kiedy Capers i Shyla zabiją pierwszego żandarma, zaczniesz słuchać tego, co mówią.

670

Wojna wkroczyła do naszych akademików dopiero kilka miesięcy później, w dniu kiedy Jordan siedział u mnie, czytając "Siedmiopiętrową górę" Thomasa Mertona, a ja pisałem list do matki. W progu pojawił się nagle Mike z trzema aparatami fotograficznymi na szyi.

— Słyszeliście najnowsze wiadomości? - zapytał. - Gwar
dia Narodowa zabiła jakichś studentów podczas antywojennej
demonstracji. Posłuchajcie.

— Słyszę jakieś krzyki - powiedział Jordan, obracając
głowę.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że studenci wyrzucają śmieci z okien wydziału pedagogiki. Inni biegli alejkami, krzycząc i płacząc.

- Shyla i Capers zwołali demonstrację - zawołał
Mike. - A wszystko przez to, że Nixon zbombardował Kam
bodżę. Nigdy nie należy lekceważyć związku przyczynowo-
-skutkowego.

Mówiąc to zaczął fotografować z okna na pierwszym piętrze dziwaczne i chwilami gwałtowne reakcje studentów na wiadomość, która, jak wkrótce się dowiedzieliśmy, dotyczyła masakry na Uniwersytecie Stanowym w Kent.

O naiwności prezydenta Nixona mógł świadczyć fakt, że nie zdawał sobie w ogóle sprawy, jak mocno jego atak na Kambodżę oburzy najbardziej nawet spokojnych studentów. Groźny ładunek energii wyzwolił się w sercach ludzi, których od dawna przyzwyczajono do roli podopiecznych państwa. Pozostawiwszy na stołach nie pilnowane przez nikogo otwarte książki, wybiegliśmy z akademików i bibliotek i sformowaliśmy rychło pochód, który ruszył w stronę Horseshoe, otwartego placu za Russell House. Zdezorientowani i niezdecydowani, dawaliśmy wyraz osłupieniu, smutkowi i poczuciu zdrady, jakie wzbudziła w nas bezsensowna śmierć czterech naszych kolegów. Gdyby do zabójstw doszło na zradykalizowanej już Columbii albo Harvardzie, można byłoby umieścić to w jakimś kontekście, znaleźć jakiś rodzaj okoliczności łagodzących. Ale postrzelenie trzynastu studentów w idyllicznym prowincjonalnym mieście Kent w stanie Ohio, na uczelni jeszcze bardziej zdyscyplinowanej i szanującej władzę aniżeli Uniwersytet Karoliny Południowej, było po prostu niepojęte. Nie ulegało dla nas wątpliwości, iż władze ogłosiły sezon myśliwski na każdego, kto sprzeciwiał się wojnie. Tego dnia, kiedy na burzliwych

671

wieczach zebrali się studenci całej Ameryki, ujawniły się wszystkie złe i dobre strony grupowej solidarności. Nawet najbardziej spokojni i potulni młodzi ludzie czuli w powietrzu gorący oddech buntu, gdy maszerowaliśmy w stronę Horseshoe. Smutek miał wkrótce zamienić się w oburzenie, łagodność w patos i gniew. To, co działo się wśród studentów podążających w stronę placu między biblioteką i Russell House, ogarnęło campusy w całej Ameryce. Intelpekt i rozum zeszyły na drugi plan, zapomniano o konwenansach i górę wziął duch insurekcji. W gruncie rzeczy jednak żaden z nas nie wiedział, dokąd zmierzamy.

Ten pozbawiony celu pochód stanowił niezapomniane doznanie - pozwolił mi, kiedy rozmyślałem o tym później, zrozumieć psychologię tłumu i poznać siłę, jaką daje liczebność uczestnikom religijnych pielgrzymek. Nigdy dotąd nie byłem częścią czegoś, co tak bardzo by mnie przerastało. Ręce trzęsły mi się z przejęcia i zaschło mi w ustach; idąc ze studentami, z których wielu otwarcie płakało, miałem wrażenie, że porywa mnie jakiś irracjonalny morderczy pęd, co ciekawe jednak, wcale nie czułem gniewu.

Zanim udało nam się dotrzeć na plac przed biblioteką, Capers i Shyla znaleźli się w areszcie za zorganizowanie nielegalnego zgromadzenia. Wiadomość o tym fakcie rozeszła się wśród ludzi wraz z zaskakującą informacją, że zaraz potem zostali zwolnieni, za poręczeniem samego rektora uniwersytetu. Ludzie zaczęli się powoli, prawie z zażenowaniem rozchodzić, tak jakby jakaś niewidzialna ręka zdjęła z nich zakłęcie.

Tej nocy, kiedy Jordan, Mikę i ja siedzieliśmy w Yesterday, do klubu weszli Capers i Shyla. Witani grzmiącą owacją, ruszyli z podniesionymi pięściami do baru, mijając tłoczących się, usiłujących ich dotknąć ludzi. Capers miał nad lewym okiem plaster - ślad po obrażeniu, którego doznał, kiedy jeden z gliniarzy uderzył jego głową o ścianę. Shyla zaczęła urabiać tłum przy głównym wejściu, podczas gdy Capers i Bob Radykał zajęli się ludźmi przy barze. Na ulicy słychać było krzyki; ktoś podpalił poKcyjny samochód obok stadionu. W całym mieście wyły syreny. To nie była anarchia ani nawet jej zapowiedź - coś poruszyło po prostu osad obojętności, który zalegał tak długo w murach tej uczelni. Czuliśmy dreszcz, jaki towarzyszy otrząśnięciu się z letargu. Tej nocy sam fakt, że żyliśmy i oddychaliśmy, wydawał się nową odmianą teologii. Wysadzane drzewami ulice pogrążonego w mroku miasta wypełnił ruch

672

i gwar. Telewizja i radio przyniosły wiadomość, że żaden z zabitych studentów nie był radykałem, a jeden należał nawet do korpusu oficerów rezerwy. Ludzie w mundurach skierowali broń przeciwko studentom college'u. Moje pokolenie połączyło się w gniewie, a rodzice w całym kraju struchleli ze strachu.

Nazajutrz po południu ludzie zaczęli się ponownie gromadzić i odkryłem, że spontaniczne działanie jest o wiele groźniejsze od tego, co przygotowane i zaplanowane. Tłum znowu ruszył w stronę Horseshoe, a ja, maszerując w wielotysięcznym pochodzie, po raz kolejny poczułem się częścią czegoś, co mnie przerasta. Mrużąc oczy przed słońcem, próbowaliśmy dojrzeć mówców. Trzymając mnie za łokieć, Jordan szepnął, że nigdzie jeszcze, także w obozie Pendleton, nie widział tylu uzbrojonych mężczyzn. Członkowie Gwardii Narodowej wzmocnili policjantów z drogówki i nawet powietrze wydawało się sklezione żelatyną, nie do oddychania.

Kiedy dotarliśmy wystarczająco blisko, żeby coś słyszeć, przemawiała akurat Shyla. Od podium wciąż dzieliło nas co najmniej pięćdziesiąt stóp.

- Przenieśli wojnę do naszych domów - usłyszeliśmy jej głos. - Ponieważ nie chcieliśmy, żeby nasi żołnierze ginęli w niesprawiedliwej wojnie, postanowili zgładzić paru z nas. Ponieważ przybyliśmy w pokoju, pokazali nam, jaka może być jego cena. Ponieważ nienawidzimy wojny, postanowili wypowiedzieć wojnę nam wszystkim. Odpowiedzmy na ich strzały, walcząc z jeszcze większym poświęceniem o to, żeby sprowadzić do domu naszych żołnierzy. Pochowajmy naszych zmarłych, a potem postarajmy się pochować raz na zawsze wietnamską wojnę.

Brawa, jakie zagrzmiwały po jej słowach, były długie i nie milknące. Następnie do mikrofonu podszedł Bob Radykał, jednak już po paru słowach przerwał mu dowódca Specjalnych Sił Porządkowych Karoliny Południowej, pułkownik J. D. Strom, informując zgromadzonych, że władze miasta nie udzieliły zezwolenia na to zgromadzenie i na polecenie burmistrza demonstracja zostaje niniejszym rozwiązana. Bob Radykał odsunął Stroma na bok i usiłował dorwać się z powrotem do mikrofonu, ale przeszkodziła mu grupka funkcjonariuszy, zakuwając go szybko i sprawnie w kajdanki. Tłum ryknął groźnie, kiedy Boba Radykała ściągnięto z podwyższenia i wpakowano do czekającego nie opodal samochodu. Stojący

673

najbliżej studenci próbowali przerwać kordon i uwolnić go, ale zostali odepchnięci przez agentów sił porządkowych.

Capers negocjował przez chwilę z pułkownikiem Stromem. W końcu pozwolono mu podejść do mikrofonu, by mógł wygłosić komunikat.

- Przenosimy to spotkanie do auli Russell House. Mogą zabronić nam rozmawiać ze sobą w tym miejscu, ale na Boga, Związek Studencki należy przecież do nas. Pochód ruszył zatem z powrotem, tym razem między dwoma szeregami uzbrojonych w strzelby, pistolety i pałki policjantów. Przez cały czas zachowywaliśmy spokój, dziwiąc się, komu potrzebny jest ten pokaz paranoi i siły. W oczach funkcjonariuszy, którzy obserwowali nasz chaotyczny, lecz przecież niegroźny przemarsz, widać było nienawiść.

— Boją się, że ich pozabijamy - powiedział Jordan. - Biedne sukinsyny srają przed nami ze strachu.

— Dlaczego tylu grubasów wstępuje do odwodów policji? - zapytałem.

— Wydają ci się grubi, bo mają kamizelki kuloodporne. Staraj się iść środkiem - poradził mi. - Jeśli zaczną strzelać, najpierw będą kropić po bokach.

— Nie będą strzelać - stwierdziłem. - To są chłopaki z Karoliny Południowej, tacy sami jak my.

— Wydaje ci się, że gwardziści, którzy strzelali w Kent, nie byli takimi samymi chłopakami z Ohio jak ci biedni studenci? - odparł Jordan.

— Nie denerwuj mnie jeszcze bardziej, niż jestem zdenerwowany - mruknąłem. - Wracajmy do akademika. Osobiście głównie mnie obchodzi cała ta wojna.

— W takim razie tym bardziej powinienes tu zostać - oświadczył Jordan, nie wyjaśnił jednak, co ma na myśli.

Zbliżając się do Russell House, zobaczyłem unoszące się wysoko dwa szturmowe helikoptery. Jedna z dziewczyn, która trzymała w ręku radio, poinformowała nas, że kolejny tysiąc członków Gwardii Narodowej zmobilizowano w Charlestonie. Patrzyłem, jak policjanci podają sobie kanistry z gazem łzawiącym, i słyszałem dobiegające zza biblioteki ujadanie dobermanów i owczarków alzackich. Państwo zgromadziło w kampusie dość sił, by zetrzeć z powierzchni ziemi całe przedmieście Hanoi, mimo że przeciwnik, z którym przyszło mu się zmierzyć, wsuwał kwiaty i czekoladki w kabury i ładownice łypiących spode łba policjantów.

674

W siedzibie Związku Studentów Jordan i ja przystanęliśmy w jednym z zatłoczonych przejść, a Capers Middleton ruszył prosto na mównicę. Brawa zerwały się niczym obejmujący wyschnięte sosny pożar, nie potrafiliśmy bowiem rozładować w inny sposób rozsadzającej nas energii. Po chwili owacja przeszła w krzyki, a krzyki w niepowstrzymany dziki ryk. W auli i na korytarzach zgromadziło się tylu studentów, że policja i gwardziści zostali w większości na zewnątrz. Ponownie znaleźliśmy się prawie wyłącznie we własnym gronie.

Co zaskakujące, Capers nie od razu zaczął mówić. Zamiast tego rozkoszował się swymi pierwszymi chwilami w roli polityka, człowieka, który w instynktowny sposób rozumie, czego pragnie tłum. Patrząc, jak policjanci i agenci sił specjalnych wciskają się do auli i popychając brutalnie studentów ruszają do przodu, odrzucił kartki z przygotowanym wcześniej tekstem.

- Chciałbym, żebyście zaśpiewali teraz ze mną pieśń, która wydaje mi się najbardziej odpowiednia w tych okolicznościach - powiedział, kiedy falanga uzbrojonych w pałki gliniany dotarła do skraju podium. - Zbierając się tutaj, składamy po prostu hołd naszemu wielkiemu krajowi. To w tym kraju Brytyjczycy nie pozwalali nam się swobodnie wypowiadać, organizować i decydować o tym, komu chcemy płacić podatki. Brytyjczycy pomyśleli o wszystkim, z wyjątkiem jednej rzeczy: nie byliśmy już dłużej Anglikami. Ten kraj odmienił nas i nawet

o tym nie wiedząc staliśmy się Amerykanami. I jako Amerykanie pokazaliśmy całemu światu, czym jest wolność słowa. To nasz wynalazek. I nikt... powtarzam, nikt... nie zdoła nas jej pozbawić.

Mike był już na scenie i fotografował reakcję tłumu, który słysząc słowa Capersa dosłownie eksplodował. Jordan i ja o mało nie ochrypliśmy, wrzeszcząc na całe gardło:

- Ci biedni gliniarze srają przed nami ze strachu! Pokażmy im, że nie mają się czego bać!

A potem Capers stanął przed mikrofonem i zaśpiewał swoim niezbyt silnym tenorem:

O piękny kraju otwartego nieba,
Kraju bursztynowych łąnów zbóż
I majestatu gór, które stoją w purpurze
Nad urodzajną równiną!

675

Ameryko! Ameryko! Bóg obdarza cię łaską, I koronuje twój naród braterstwem, Od morza aż po jasne morze!

Śpiewając "Amerykę" płakaliśmy wszyscy jak bobry. Caper-sowi udało się stworzyć moment niezwyklej piękności. Miał niezawodne wycucie chwili i wydawał się panować nad tłumem przez sam fakt swojej obecności. Nigdy w życiu nie widziałem przystojniejszego i bardziej charyzmatycznego młodego przywódcy i czułem, że ponownie zakochuję się w najlepszym ze swoich przyjaciół.

A potem przedstawiciele ładu i porządku popełnili swój pierwszy strategiczny błąd. Na scenę wgramolił się podobny do pingwina komendant miejskiej straży pożarnej i zaczął wrywać Capersowi mikrofon. Podczas tej krótkiej scysji Capers uśmiechał się i robił miny do tłumu, komendant jednak, jak się okazało, nie był wcale w nastroju do żartów. Dochodząc do wniosku, że Capers robi sobie z niego kpiny, dał znak lewą ręką i na scenie zaroilo się nagle od gliniarzy. Jeden z nich prysnął Capersowi w oczy gazem, drugi walnął z tyłu pałką w nogi. Capers krzyknął i osunął się na kolana, a potem trafiony przez kolejnego gliniarza prosto w głowę, runął twarzą na podłogę. Nieprzytomnego wyniesiono do czekającego na zewnątrz ambulansu. Byliśmy tak zdumieni nagłym obrotem wypadków, że w auli zapadła grobowa cisza i słyszałem jedynie jak w aparacie Mike'a trzaska migawka, która otwierała się i zamykała niczym powieka jakiejś ukrytej bestii.

- Pan Middleton nie otrzymał pozwolenia na to zebra nie - przemówił w końcu komendant straży pożarnej. - Na ruszacie wszystkie po kolei przepisy przeciwpożarowe. Gubernator upoważnił mnie, abym zakomunikował wam, iż żadnemu studentowi nie wolno aż do odwołania przebywać w siedzibie Związku Studentów. Zrozumiano? Żaden student nie ma prawa wstępu do Russell House. Macie pięć minut na rozejście się. Szmer przeszedł przez pozbawiony przywódcy tłum i nagle usłyszałem obok siebie donośny głos. To był Jordan.

— Hej, grubasie! -zawołał. -Jeśli Związek Studencki nie jest dla studentów, to może mi powiesz dla kogo?

— Aresztować tego chłopaka - mruknął komendant, zwracając się do swoich ludzi, ale dzięki systemowi głośników usłyszała go cała sala.

676

— Jestem studentem - wrzasnął Jordan. - Nie ma przepisu, który zabraniałby studentowi przebywać w siedzibie jego jedyne go związku. Chcę wiedzieć, dlaczego są tutaj ci wszyscy cholerni gliniarze i Gwardia Narodowa. Ten dom został wznie

siony za nasze pieniądze. Należy do nas. Wdarliście się tutaj, aresztowaliście i pobiliście naszych przyjaciół, zerwaliście nasze zebranie i straszycie nas w miejscu, w którym czujemy się najbezpieczniej. A potem macie czelność twierdzić, że nie wolno nam nawet przebywać w domu, na którym widnieje słowo "studencki".

— Zrób mi tę łaskę, synu, i zamknij się - odpowiedział komendant.

— Dlaczego miałbym się zamknąć? Ja tu mieszkam. Moi rodzice płacą grubą forszę za moje studia. Zdałem testy, żeby móc się dostać na ten uniwersytet. Wszyscy wkuwaliśmy dzień i noc, żeby tu studiować. Nie ma pan prawa rozkazywać nam stąd wyjść.

— Stwarzacie zagrożenie pożarowe - stwierdził komendant. - Na tej sali może przebywać jednocześnie tylko dwa tysiące osób.

— W takim razie niech pan zabiera stąd swoich gliniarzy i żołnierzy i sam też się wynosi. Wtedy będziemy mieli odpowiednią liczbę osób.

Policjanci zaczęli się już przepychać w stronę Jordana, studenci jednak utrudniali im, jak mogli, dotarcie w jego pobliże. Komendanta straży zastąpił przy mikrofonie pułkownik dowodzący oddziałami Gwardii Narodowej i Specjalnymi Siłami Porządkowymi.

— Słuchajcie, ludzie - zaczął. Jego twarz przypominała miękką plechę leśnego grzyba, ale widać było, że nas nienawidzi. - Mam tu przy sobie rozkaz wydany przez gubernatora i uprawniający mnie do użycia środków nadzwyczajnych. Pa trzęłem, jak zignorowaliście przed chwilą komendanta straży i jego polecenie rozejścia się. Osobiście nie wierzę w pokojowe pertraktacje z tłumem. Macie stąd natychmiast zabrać swoje brudne hipisowskie dupy.

— Proszę nas przeprosić za użycie słów "brudne hipisowskie dupy" - zażądał Jordan, coraz spokojniejszy w środku tłumy, który ogarniała dzika wściekłość. - Znam dobrze moich kolegów i wiem, że bardzo nie lubią, kiedy ich się obraża. Jesteśmy bardzo wrażliwi, a pan właśnie zranił naszą godność.

677

— Dałem rozkaz do rozejścia się, Betsy, czy jak tam się nazywasz - powiedział pułkownik. - Przykro mi, ale nie wiem, czy jesteś chłopakiem czy dziewczyną.

— Może rozegramy po prostu mecz bokserski na scenie, pułkowniku - zaproponował Jordan. - Wtedy nie będzie pan miał wątpliwości co do mojej płci.

Wybuch śmiechu studentów zagłuszył pierwsze słowa pułkownika.

— ...i chcę również przypomnieć tej bandzie dezerterskiej i krzykaczy, że w chwili kiedy to mówię, młodzi wspaniali Amerykanie walczą i giną w Wietnamie - grzmiał Strom, przekrzykując tłum. - Wiecie, dlaczego ci młodzi ludzie oddają swoje życie?

— Jasne, że wiemy - odkrzyknął Jordan. - Nie byli dość bogaci albo nie mieli dość szczęścia, żeby wstąpić do Gwardii Narodowej tak jak pan i te pataluchy ze strzelbami, którymi pan dowodzi.

Głośny ryk śmiechu ponownie przetoczył się przez całą salę. Pułkownik próbował kilka razy przywrócić spokój i porządek, ale jego głos był słaby i anemiczny.

— Nasi chłopcy umierają w Wietnamie za sprawę, w którą wierzą - podjął po chwili Jordan. - Zasłużyli na miłość i szacunek każdego z nas. Ale teraz musimy przerwać tę wojnę i sprowadzić ich do domu. Nasze siły zbrojne walczą na froncie, zabijając przeciwnika, podczas gdy pan i pana żalosna Gwardia Narodowa, te tchórzliwe, walące ze strachu w gacie dupki z gotowymi do walki bagnietami zamierzają przekiblować tutaj całą wojnę, udając, że wypełniają obowiązek wobec ojczyzny. Nie jesteście w dżungli i nie ścigacie Vietcongu. Przyszliście z załadowaną ostrymi nabojami bronią na naszą uczelnię, żeby strzelać do waszych amerykańskich braci i sióstr. Wczoraj zabiliście czworo w Ohio. Ilu zamierzacie nas zabić dzisiaj? Odpowiedzcie mi, członkowie Gwardii Narodowej. Chcę, żeby choć jeden z was wystąpił i powiedział, że nie jesteście największą bandą dezerterską, jaką kiedykolwiek widział ten kraj, że dzień, w którym otrzymał ten świstek papieru, gwarantujący, że nigdy nie dostanie malarii ani trypra w Wietnamie, nie był najwspanialszym dniem w jego zaszranym życiu.

— Podburzasz do zamieszek, młody człowieku - oświadczył pułkownik, kiedy ucichł hałas.

— Studentów czy Gwardię Narodową? - odpowiedział pytaniem Jordan.

678

Mikrofon ponownie przeszedł w inne ręce - miejsce pułkownika zajął schludny, elegancko ubrany młody człowiek z biura gubernatora.

- Wszyscy studenci, którzy za pięć minut pozostaną w Russell House, zostaną usunięci do końca semestru z uczelni. Nie będziecie mogli zdawać egzaminów ani ukończyć studiów razem ze swoim rokiem.

Tak jak poprzednio, sala odpowiedziała krzykiem i przekleństwami, tłum zaczął się jednak przesuwać powoli ku drzwiom i kiedy skończyły się wszystkie przetasowania, na miejscu pozostało zaledwie pięciuset studentów. Rozglądając się wokół siebie, stwierdziłem z zaskoczeniem, że nie rozpoznaję większości z nich. Nie zauważyłem również ani jednego członka SDS.

Elegant na scenie, który przedstawił się jako Christopher Fisher, prezentował nieskazitelny styl pragmatycznego przywództwa. Z zaróżowioną anielską fizjonomią młodego faszysty i wystającymi kośćmi policzkowymi wyglądał jak członek komisji badającej uchybienia etyczne związkowych notablów. Coraz więcej studentów wymykało się ze spuszczonej głowami na zewnątrz, puszczając się biegiem w stronę akademików, gdy tylko znaleźli się na dworze.

Kiedy minęło pięć minut, elegant oznajmił, iż pięciuset studentów, którzy pozostali w auli i zgrzytali zębami z nienawiści do niego i ucieleśnionej w jego osobie, zapiętej na ostatni guzik praworządności, wydalono niniejszym z uniwersytetu.

— Dlaczego ja tu w ogóle jestem? - zdziwiłem się. -

Powinienem teraz siedzieć w swoim pokoju i uczyć się do egzaminu z powieści wiktoriańskiej.

— Bo jesteś facetem z charakterem - odparł Jordan, sia dając na wolnym miejscu koło mnie. - Poza tym nigdy nie lubiłeś brać nóg za pas tylko dlatego, że kazał ci to zrobić jakiś dupek.

— Nie skończymy studiów - stwierdziłem, uświadamiając

sobie wszystkie smutne konsekwencje swojej impulsywnej decyzji. - Nie będzie dyplomu, uścisku dłoni dziekana i całusów uradowanych rodziców. Nie wiem nawet, czy na pewno jestem przeciwko wojnie w Wietnamie, a teraz nie skończę studiów, ponieważ moi przyjaciele są fanatykami, a mój współlokator doznał przed chwilą na moich oczach załamania nerwowego.
— Capers wylądował przez nich nieprzytomny w szpitalu -
679

powiedział Jordan. - Aresztowali Shylę tylko za to, że wygłaszała przemówienie.

— Zgadza się - potwierdziłem. - Wiem, że chodzi tutaj o wartości moralne, w które w ogóle nie wierzę. Wiem, że rujnę sobie życie z absolutnie głupich powodów.

— Więc wracaj do pokoju - zaproponował Jordan.

— Wtedy uznasz, że filozoficznie stoisz wyżej ode mnie - odparłem.

— Już teraz tak uważam - przyznał z uśmiechem.

— Shyla nigdy się już do mnie nie odezwie - zastanawiałem się na głos.

Jordan pokiwał głową.

— To masz jak w banku.

— Mikę robi zdjęcie, jak wymykam się z podwiniętym ogonem z sali.

— Opublikują je wszystkie gazety - zapewnił mnie Jordan.

— Ale mógłbym przecież przenieść się na Alaskę, gdzie nikt nigdy nie słyszał o Karolinie Południowej - powiedziałem. -

Mógłbym zacząć nowe życie. Albo pojechać do Wietnamu.

Jako ochotnik. Walczyć w szeregach zielonych beretów. Pod rzynać gardła wodzom wiosek, którzy kumają się z Vietcongiem. Dostawać medale. Dupczyć dziewczyny w Bangkoku. Zeskoczyć ze spadochronem na Północy i siać zniszczenie wzdłuż linii zaopatrzeniowych. Zrobić sobie naszyjnik z ludzkich uszu. Nadepnąć na minę. Stracić obie nogi i patrzeć, jak mały prosiak ucieka, trzymając w ryju moje jaja. Zaoszczędzić dość forsy, żeby stać mnie było na elektryczny wózek inwalidzki. Uruchamiać wszystkie wykrywacze metalu na lotnisku, bo tyle odłamków szrapnela będzie tkwiło w tym, co pozostanie z mojego fiuta. Nie. Wolę zostać.

— Słuszna decyzja - pochwalił mnie Jordan.

— Ale ty przecież miałeś zamiar wstąpić do marines po otrzymaniu dyplomu - stwierdziłem.

— To miał być prezent dla mojego starego - odparł z uśmiechem Jordan. - Chciałem, żeby po raz pierwszy w życiu mógł być ze mnie dumny.

— Będziesz chyba musiał poprosić o kilka innych propozycji pracy - powiedziałem, patrząc na zaciskający się wokół nas pierścien policjantów i gwardzistów.

— To może mi zaszkodzić, kiedy będę się starał o stanowisko komendanta korpusu - zgodził się Jordan.

680

— Nasi starzy nas zabiją - oznajmiłem. - Moja matka

się wścieknie. Uważa, że zasłużyła sobie na mój dyplom.

— Możemy pójść do szkoły pomaturalnej.

W tej samej chwili w głośnikach rozległ się ponownie głos Christophera Fishera.

— Wszyscy studenci, którzy nie opuszczą w ciągu następnych pięciu minut Russell House, będą aresztowani. Został ogłoszony stan wyjątkowy. Macie w tej chwili dokładnie cztery minuty i czterdzieści sekund na powrót do akademików.

— Hej, ludzie, wy w ogóle nic nie rozumiecie - zawołał Jordan, wstając z miejsca. - Powiedzmy to sobie jeszcze raz. To jest nasza sala. To jest Związek Studentów. Studentów. Widzicie tę tablicę?

Na drugim końcu zaciskającego się pierścienia pojawił się student, który do tej pory w ogóle się nie odzywał. Nie znałem go, ale wyglądał o wiele bardziej wojowniczo i groźnie od nas - w podartych dzinsach, przepoconej opasce na potarganych brudnych włosach i zielonej kurtce, która dodawała mu ważności, kiedy zaczął przemawiać do stojących obok studentów.

- Jeśli te psy chcą odebrać nasz dom, spalmy go i zostawmy im same zgliszczą. Te całe bzdety o pokoju w ogóle do nich nie docierają. Chcą nam skopać dupę, w porządku, my też możemy im się dobrać do skóry. Jeśli chcą strzelać do nie uzbrojonych dzieciaków, postarajmy się, żeby razem z nami zginęło także paru psów. Jestem zmęczony tym gadaniem. Chcę zabić jakiegoś psa.

Jordan zawołał, żeby nikt nie ruszał się z miejsc, i powoli podszedł do rozgorączkowanego studenta. Położył mu rękę na ramieniu, a potem złapał dłonią za kark.

— Zabawne, jak dziwnie ubierają się dzisiaj gliniarze - stwierdził, zwracając się do pozostałych demonstrantów. - Czy ktoś zna tego ptaszka? Nie znam zbyt wielu z was z nazwiska, ale widzujemy się na kampusie. Przyjrzałem się dobrze obecnemu tutaj panu Radykałowi. Trochę za bardzo się wystroił, nie prawdaż? W Berkeley uszedłby może w tłoku, ale u nas wygląda, jakby trafił prosto z Hollywoodu. A teraz chce, żebyśmy ruszyli z gołymi rękami na uzbrojonych żołnierzy. Bardzo sensowne!

— Szpicel - krzyknął jeden ze studentów.

— Spadaj, koleś - poradził mu Jordan. - To mili ludzie.

Nie podjudzaj ich, żeby dali się zabić.

681

- Nienawidzę tej pierdolonej wojny, człowieku! - wrzasnął facet, apelując do pozostałych. - Gadanie nic nie da. Tylko walcząc, możemy zwrócić na siebie uwagę.

Podszedłem bliżej i wyciągnąłem mu z tylnej kieszeni portfel. Jego policyjna odznaka była zupełnie standardowa. Podniosłem ją wysoko, żeby inni mogli zobaczyć na własne oczy to, czego od razu domyślił się Jordan. Studenci, którym perspektywa usunięcia z uczelni popsuka już nieco humory, gwizdali dopóty, dopóki główny aktor popołudniowego dramatu nie schronił się jak niepyszny wśród swoich kolegów.

— Na pewno chcecie tu wszyscy zostać? - zapytał Jordan. - To żadna hańba, jeśli ktoś stąd teraz wyjdzie.

— Nie mają prawa nam tego robić - stwierdziła słuchaczka studium podyplomowego, Elayne Scott. - Jak mogą wywalić mnie z mojej własnej szkoły za to, że siedzę w siedzibie Związku Studentów?

— Jestem za wojną w Wietnamie - dodała ładna dziewczyna

czyna o nazwisku Laurel Lee i uśmiechnąłem się, uświadamiając sobie, że jest koleżanką Ledare z Tri Delt. - Ale mama i tata nauczyli mnie odróżniać dobro od zła, a to, co oni robią, jest na pewno złe.

A potem wydano rozkazy i zostaliśmy aresztowani.

ROZDZIAŁ 37

Opuszczając nazajutrz rano areszt, staliśmy się symbolem naszych czasów: częścią tej niespokojnej, splądrowanej epoki, kiedy Amerykanie przestali się wzajemnie słuchać.

Dwustu studentów i pięć kamer telewizyjnych czekało na nas, kiedy stanęliśmy w jasnych promieniach słońca w stanie, w którym wcześniej zaczyna się lato. Shyla i Capers wyściskali nas triumfalnie na użytek kamer, następnie zaś zawieźli do cichego domku przy Blossom Street, gdzie SDS planował swoje następne posunięcie. Radykałowie, którzy przedtem ledwie tolerowali mnie i Jordana, teraz traktowali nas, jakbyśmy zdali pozytywnie jakiś test z agresji i złośliwości. Przyjęto nas niczym braci w organizacji, która specjalnie nam nie imponowała. Noc w areszcie trochę nas jednak wystraszyła i to, że certowano się z nami i traktowano jak bohaterów, działało jak balsam na nasze obolałe dusze. Marihuana była za darmo, podobnie zresztą jak Jack Daniel's.

Podniecony i szczęśliwy ruszyłem za Shylą, która dała nam znak, żebyśmy wyszli do ogrodu. Bob Radykał zwołał posiedzenie swojej rady wojennej na dworze, aby zabezpieczyć się przed podsłuchem. Jego zdaniem fakt, iż ja i Jordan zostaliśmy aresztowani i odegraliśmy główną rolę w demonstracji, która wymknęła się spod czyjejkolwiek kontroli, nie dawał jeszcze podstaw, by nam zaufać. Obawiał się, że ruch stanie się poligonem dla amatorów, którzy rwali się do czynu, nie licząc nawet rewolucyjnej filozofii. Tego samego dnia stu rozjuszonych studentów przypuściło szturm na budynki administracyjne uczelni w akcji, która nie miała żadnego przywódcy ani sprecyzowanego celu.

683

— Czyn bez filozofii to anarchia - stwierdził.

— Co takiego? - zdziwiłem się. - Za każdym razem, kiedy otwierasz usta, mam wrażenie, jakbyś nauczył się angielskiego na lekcjach Berlitz'a.

— Ktoś cię o coś pytał? - odwarknął Bob. - To, że razem z Jordanem udawaliście wczoraj bohaterów, z pewnością nie przybliżyło ani o jeden dzień końca wojny.

— Nie zauważyłem, żeby kogoś z was aresztowano razem z nami - stwierdził Jordan, przyglądając się siedzącym przy ogrodowym stole dwudziestu dwóm weteranom SDS. Wielu podawało sobie skręty, tak cienkie, że mogło się wydawać, iż przekazują jeden drugiemu zaciśnięte między kciukiem i palcem wskazującym włosy łonowe. Tego dnia wszyscy oprócz Boba traktowali mnie i Jordana z szacunkiem. Pojawiając się na pierwszych stronach gazet, staliśmy się nagle wartościowymi członkami tego bardzo elitarnego klubu.

— Oni rzucili na szalę wszystko, Bob - powiedziała Shyla. - I wszystko stracili. Aresztowano ich razem z innymi. Kiedy aresztuje się kogoś takiego jak ty i ja, nikogo to nie dziwi. To zdarza się codziennie. Ale to był bunt anonimowych studentów; bez żadnego organizacyjnego przygotowania. Czy ty heroizm, krzyk protestu zwykłego człowieka. W trakcie tej jednej nie zaplanowanej akcji zrobili więcej, niż SDS udało się dokonać przez cały rok. Przyznaję, że nie wiedzieli, co robią.

Ale to było wspaniałe.

— Nie powinni brać udziału w dzisiejszej akcji - upierał się Bob.

— Jestem innego zdania - odparła Shyla.

— Chcesz z nami iść? - zapytał mnie nagle gniewnym tonem. - No to chodź, ty łajzo.

— Czy nie będziemy stosować przemocy? - zapytał Jordan.

— Jasne. Próbujemy zakończyć wojnę, a nie wywołać nową.

— Jestem za bardzo pijany, żeby odmówić - mruknął Jordan, spoglądając w moją stronę. - Poza tym nie mam jutro żadnych egzaminów.

— Ani miejsca, do którego mógłbyś pójść - dodałem. -

Opróżnili i zamknęli na trzy spusty nasze pokoje. Możemy teraz robić, co nam się podoba.

— Możesz na nas liczyć - powiedział Jordan.

O drugiej w nocy ubrany w paramilitarny strój Capers Mid-dleton wybił szybę w ubikacji na pierwszym piętrze Komendy Uzupelnień Karoliny Południowej, po czym przebiegł przez

pograżony w mroku budynek i otworzył tylne drzwi na alejkę. Czekala tam na niego grupa studentów, którzy wkrótce mieli zasłynąć jako Dwunastka z Columbii.

Capers przyłożył palce do ust i zaprowadził nas tylnymi schodami na pierwsze piętro. Akcję planowano od wielu tygodni i w pierwszych minutach włamania każdy robił dokładnie to, co do niego należało. Klucze, które ukradliśmy dozorczy, pasowały idealnie do zamków. Chłopcy dźwigali ciężkie wiadra z bydlęcą krwią, a dziewczyny niosły środki zapalające, które miały nam posłużyć do spalenia akt wszystkich poborowych z Karoliny Południowej.

Shyla podeszła do pierwszej szafy z aktami i nie tracąc ani chwili wyrzuciła papiery na podłogę.

Jordan i ja szliśmy krok w krok za nią, polewając każdą teczkę bydlęcą krwią. Capers dowodził grupą, która zносиła akta poborowych do dużej obskurnej sali i ciskała je na podłogę. Kiedy stos zrobił się całkiem wysoki, zerknął na zegarek i skinał głową do Boba, który polał go benzyną. W głosie Capersa, który wzywał nas bez przerwy do nadludzkiego wysiłku, uderzyło mnie jakieś dziwne napięcie i na chwilę przestałem dźwigać akta. Nozdrza wypełniał mi smród benzyny i byłem półżywy z niewyspania. Oglądając się przez ramię, zobaczyłem twarz Shyli, podobną do twarzy zakonniczki pograżonej w ekstazie. W gruncie rzeczy wszyscy przypominaliśmy bandę religijnych fanatyków, przygotowujących dziwaczne i surrealistycznie współczesne auto-da-fe. Studiując twarze przyjaciół i kompletnych nieznanym, czułem, jak ogarnia mnie niepokój.

Gdzieś w mojej głowie dzwięczały dzwonki alarmowe. Kiedy Bob Radykał zapalił zapalniczkę, a inni zapalniczki, cofnąłem się i złapałem za ramiona Jordana.

— Spalmy całą tę cholerną budę - powiedział nagle Bob.

— Nie - zaprotestowała Shyla. - Tylko akta.

— Bob ma rację - stwierdził Capers. - Jeśli naprawdę zależy nam na rewolucji, spalmy cały budynek. Spalmy całe miasto. Niech wojna toczy się tutaj w kraju. Pokażemy im, jaki los spotyka Wietnamczyków.

— Zamknij się - warknęła Shyla. - My nie używamy przemocy.

— Mów za siebie - odparł Bob Radykał. Pokój eksplodował ogniem i światłem i w tej samej chwili na zewnątrz zawyły setki syren, a do środka wpadli policjanci i strażacy. Rzuciła się na nas cała armia gliniarzy, przewracając na podłogę i okła dając pięściami i pałami. Dwóch olbrzymich facetów usiadło

na mnie i zakuło w kajdanki, zaciskając obręcze tak mocno, że krew przestała dopływać do dłoni. Śmieli się, gdy wyłem z bólu.

— Pierdolone świnię! - wrzeszczał Capers. - Pierdolone świnię. Kto doniósł?

— Mówiłem ci, żebyś trzymał z dala swoich cholernych znajomych! - odparł Bob Radykał. - Cała ta akcja to była czysta amatorszczyzna.

— Nie zrobiliśmy nic złego - krzyknęła Shyla. - Próbowaliśmy tylko walczyć o pokój. Nie udało nam się, ale ludzie i tak dowiedzą się, że tu byliśmy.

— O kurwa - jęknął nagle Jordan.

— Co się stało? - zapytałem.

— O jednym nie pomyśleliśmy - odparł. - To jest przez ścieżkę ściganą przez rząd federalny. Wdepnęliśmy po same uszy w gówno.

W dniu rozprawy wstępnej przewieziono nas sukami do budynku sądu federalnego. Wchodząc do środka, musieliśmy przedrzeć się przez szpaler reporterów i kamerzystów. Mike też tam się kręcił i wiedział dokładnie, na co czeka. Jego nikon był w pogotowiu, kiedy generał Rembert Elliott w swoim paradnym, świetnie skrojonym mundurze marines przecisnął się przez tłum i ruszył szybkim krokiem na spotkanie syna. Detektyw prowadził Jordana po schodach, ciągnąc go za kajdanki. Kiedy generał Elliott spoliczkował syna i ten padł na kolana, Mike nacisnął migawkę. W swojej malowniczej furii generał w idealny sposób uosabiał zbyt długo cierpiącą zniewagi oburzoną władzę, dosięgającą na stopniach pałacu sprawiedliwości długowłosego burzyciela wszelkich praw i zasad. Fotografia przedstawiała niemal biblijny obraz przywracającego porządek we własnym domu surowego ojca - spoliczkowany, rzucony na kolana Jordan wyrażał całe upokorzenie i wstyd przedłużonego ponad miarę dzieciństwa. W oczach dorosłych generał Elliott reprezentował Amerykę, nam jednak kojarzył się ze wszystkim, co było despotyczne, niezmiennie i obłudne w kraju zarażonym Wietnamem. Klęczący Jordan miał w sobie siłę symbolu; na jego twarzy malowała się świadomość zdrady, którą dzieliło z nim całe pokolenie. Fotografia Mike'a stanowiła bilet do miejsca, z którego nie było powrotu. Niczym katowany przez oprawców Chrystus, Jordan podniósł się z klęczek i patrząc ojcu prosto w oczy postawił stopę na dzielącym ich stopniu.

686

Generał Elliott splunął wtedy synowi w twarz i ziemia, którą razem zamieszkiwali, weszła w nagłe i nieodwracalne zaćmienie. Cała wojna i jej wpływ na amerykańską psychę streszczały się w tym jednym spotkaniu ojca i syna. To ono zdruzgotało Jordana Elliotta. Przekroczył granicę cierpienia, poza którą nikt nie mógł mu towarzyszyć. W areszcie zapomniał kompletnie o Wietnamie; zajmowało go wyłącznie to, jak może najbardziej zaszkodzić ojcu. Co zrobić, by go zniszczyć? Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś modlił się o coś z większą żarliwością, a Jordan modlił się w celi o śmierć swego ojca.

Kiedy oddano mnie pod opiekę rodziców, ojciec stanął na wysokości zadania. Niebezpieczeństwo, jakie na siebie ściągnąłem, skłoniło go do odstawienia na jakiś czas butelki i wynajęcia do mojej obrony najlepszych w stanie kryminalnych adwokatów. W domowym zaciszu on i matka spierali się zażarcie co do metod, jakie obraliśmy, protestując przeciw amerykańskiemu zaangażowaniu w Wietnamie, publicznie jednak oboje stali za mną murem. Im baczniej przyglądali się wojnie w Wietnamie, tym trudniej przychodziło im bronić polityki rządu. Kiedy zaczął się proces, zarówno Lucy, jak i sędzia przez cały czas dodawali mi otuchy. Podobnie postępowali Foxowie. Również rodzice Capersa, mimo że odnosili się z dezaprobatą do jego posunięć, nie odwrócili się od swego zbuntowanego długowłosego potomka.

Wszyscy rodzice studentów aresztowanych w Russell House przybyli, żeby pomóc swoim dzieciom, kiedy w sali z wysokimi oknami zasiadło zgromadzenie sędziów, adwokatów i prokuratorów. Wszyscy, z wyjątkiem generała Elliotta.

Dla niego sprawa była prosta. Wyświadczyliśmy przysługę przeciwnikowi. Byliśmy winni zdrady. Kiedy Jordana wypuszczono na wolność, generał czekał przy wyjściu z aresztu, tym razem nie uderzył go jednak przed kamerami. Zamiast wrócić z synem na Pollock Island, odwiózł go prosto do szpitala psychiatrycznego przy Buli Street. Wojskowy lekarz oraz sędzia Sądu Najwyższego Karoliny Południowej i sam generał podpisali tam wspólnie dokument, w którym stwierdzono, iż Jordan Elliott jest niepoczytalny i pozostanie na obserwacji w szpitalu. W Karolinie Południowej obowiązują najprostsze w całej Ameryce przepisy umożliwiające zamknięcie kogoś w domu wariatów.

Proces odbył się w Columbii na początku grudnia. Namiętności, jakie zbudziła w Ameryce masakra w Kent, osłabły

687

i zastąpiło je zmęczenie. Cały kraj czuł się pokiereszowany i znużony latami wciskanej na siłę tragedii.

Kiedy razem z rodzicami i braćmi przyjechałem do sądu, by ponieść konsekwencje tego, co zrobiłem w maju, na schodach gmachu odbywała się właśnie ostatnia wielka antywojenna demonstracja w Karolinie Południowej. Choć starałem się odtworzyć w pamięci cały ciąg wydarzeń, nie byłem w stanie uświadomić sobie, co popchnęło mnie do tak bezczelnego zamachu na władzę. Tak długo uważano mnie za typowego Amerykanina, że w skrytości ducha uczyniłem to elementem mojego autowizerunku. Nigdy w życiu nie ukarano mnie mandatem za przekroczenie szybkości, nigdy nie oblałem żadnego sprawdzianu i nigdy nie przysporzyłem rodzicom zmartwień z powodu złych stopni. Mnie, wzorowemu studentowi, groziło teraz trzydzieści lat więzienia. Podeptałem swój dyplom, ponieważ wkurzyła mnie śmierć czterech studentów, których nigdy w życiu nie spotkałem, uczących się w college'u, o którym nigdy nie słyszałem, w stanie, w którym nigdy nie powstała moja noga. Proces po prostu mnie przerażał i nawet brawura Shyli nie mogła rozproszyć obaw, jakie ogarniały mnie, kiedy spoglądałem w przyszłość.

Niemniej jednak wchodząc po stopniach sądu w towarzystwie swej pięknej matki, lojalnych braci i sprawiającego dostojne wrażenie ojca, nie omieszkalem podziękować im szeptem za to, że mnie nie opuścili.

Woźny kazał wszystkim wstać i na salę wszedł wystudiowanym posuwistym krokiem sędzia Stanley Carswell. Wyglądał groźnie, póki nie usiadł i się nie uśmiechnął. Przyglądał nam się przez krótki moment, po czym potrząsnął ze smutkiem głową i po kilku wstępnych czynnościach poprosił prokuraturę o wezwanie pierwszego świadka.

Prokurator wydawał się żywcem przeniesiony z południowego wodewilu. Korpulentny i gadatliwy, miał gęsty środkowo-kontynentalny akcent, który przywodził na myśl solone szynki zwisające z ciemnych belek wędzarni. Siedząca między mną i Caperssem Shyla szturchnęła nas obu, kiedy przez salę popłynął jego melodyjny głos.

- Wysoki Sądzie - zaczął prokurator - jako pierwszego świadka oskarżenia chciałbym powołać pana Capersa Mid-dletona.

W Karolinie Południowej skonał w tym momencie, jeśli jeszcze istniał, ostatni wyleniały, ledwie się kołaczący duch lat sześćdziesiątych. Capers złożył przeciwko nam obszerne zeznania. Wy-

688

mienił wszystkie nazwiska, zdradził wszystkie sekrety, ujawnił wszystkie rozmowy, zapisał w swoim notesie wszystkie daty, wydatki i numery telefonów. Jego zeznania obciążyły dziesiątki osób na całym Wschodnim Wybrzeżu. Lokalna organizacja SDS przestała istnieć już po pierwszej godzinie, którą spędził w miejscu dla świadków. Prowadzony krok po kroku przez prokuratora, Capers opowiedział, jak pod koniec czwartego roku studiów zwerbował go szef Służb Specjalnych Karoliny Południowej, J. D. Strom, zlecając infiltrację ruchu antywojennego. Przyznał, że chcąc zbliżyć się do działających na uczelni radykałów, wykorzystał bliskie stosunki, jakie łączyły go z przyjaciółką z dzieciństwa, Shylą Fox. Gdyby nie Shyla, na pewno nie zdołałby zdobyć zaufania prawdziwych wyznawców, takich jak Bob Merrill. Do współpracy ze służbami specjalnymi skłonił

go patriotyzm i żarliwy antykomunizm. Pochodził z jednej z najstarszych i najbardziej dystyngowanych rodzin Południa i na pierwszym miejscu zawsze stawiał miłość do kraju. Uważał, że poznani przez niego radykałowie nie stanowili na ogół zagrożenia dla państwa. W gruncie rzeczy wciąż kochał z całego serca swych przyjaciół: Shylę, Jordana i mnie, i był zdania, że jesteśmy po prostu niedojrzałymi głupkami. Daliśmy się nabrać, mówił, na płomienną retorykę, której nie rozumieliśmy. W trakcie swoich trwających przez pięć dni zeznań tyle razy użył słów "owczy pęd", że Shyla napisała mi na kartce, że czuje się jak obracające się na różnie jagnię. Był to jedyny przejaw humoru, na jaki zdobyliśmy się w czasie trwania procesu - procesu, który zmienił radykalnie nasze poglądy na temat przyjaźni, polityki, a nawet miłości.

Nasi adwokaci zaatakowali Capersa Middletona z całą pogardą, na jaką pozwolił im sędzia. Szydzili z jego szczerości, gdy powtarzał, że jedynym przyświecającym mu motywem było przeświadczenie, iż ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie. Naigrawali się z Capersa, czytając fragmenty jego własnych przemówień i puszczając taśmy, na których w najostrzejszych i szyderczych słowach potępiał wojnę. Próbuąc go skompromitować, ujawnili jedynie jego gorący patriotyzm. W trakcie długich przesłuchań Capers odpłacał adwokatom pięknym za nadobne, traktując ich z taką samą pogardą, jaką oni mieli dla niego. Nie zgodził się z tezą, iż nas zdradził, przyznał jednak ze smutkiem, że to, co się stało, mogło załamać w nas wiarę w Amerykę.

A potem zaczął mówić o Shyli, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy. Ze wszystkich studentów, z którymi miał styczność

689

w ruchu, Shyla była najbardziej żarliwą, elokwentną i oddaną przeciwniczką wojny. Jej idealizm nie ulegał kwestii; pełniła funkcję pierwszego zastępcy Capersa i mógł zawsze polegać na jej odwadze i wrodzonym geniuszu strategicznym. Po wielokroć powtarzał sądowi, że Shyla była jedyną osobą, której motorem działania było głębokie moralne oburzenie, jakie budziła w niej wojna w Wietnamie. Przypisywał jej tęsknocie za jakąś ziemską odmianą raj, sądząc, iż zrodziła się ona w Shyli pod wpływem ojca, który przeżył Oświęcim, i matki, na której oczach naziści zamordowali całą jej rodzinę.

Najostrzejsze słowa krytyki zachował dla Boba Radykała Merrilla, outsidera z wielkiej rozpustnej metropolii. Wykorzystując tradycyjną na Południu niechęć do polityków przywiezionych w teczce, Capers opisał dokładnie wywrotową działalność Merrilla i jego nieporadne próby zradykalizowania poczynań całej grupy. W głębi duszy Bob zawsze opowiadał się za przemocą. Przemawiał cichym głosem, planowane jednak przez niego akcje miały zawsze kończyć się podpalaniem wozów policyjnych i śmiercią stróżów porządku. Pomysł, do którego Bob Radykał powracał najbardziej obsesyjnie, był jednocześnie porywający i burzycielski. Bez przerwy powtarzał, że jeśli organizacja poważnie traktuje swoje cele, powinna zaatakować bazę wojskową w Fort Jackson.

- Wszyscy ci antywojenni działacze to pozerzy - oznajmił Capers w sądzie. - Osobiście uważam Boba Radykała za szaleńca, ale w tym punkcie miał rację. Jeśli ktoś naprawdę protestuje przeciwko wojnie, powinien być gotów oddać życie za swoje przekonania. A tym ludziom zależało wyłącznie na tym, żeby maszerować z transparentami, popalić trawkę i uprawiać seks. Moi przodkowie walczyli przeciwko Cornwallisowi * i Grań to wi. Walczyli przeciwko kajzerowi i Hitlerowi. Walczyli, nie gadali. Nie pisali przemówień ani nie układali haseł, ale brali broń do ręki. Bob Radykał jest niebezpiecznym osobnikiem, pokazał mi jednak główną słabość ruchu antywojennego. Ci ludzie nie mają jaj. Nie mają odwagi bronić swoich przekonań i cieszą się, że to ja właśnie obnażam ich tchórzostwo.

Drugi świadek oskarżenia w znacznym stopniu zmienił pogląd na świat Capersa Middletona.

Zszokowani członkowie Dwunastki, którym na wiadomość o tym, że Capers jest tajnym

* Charles Cornwallis - angielski generał, głównodowodzący wojsk brytyjskich podczas amerykańskiej Wojny o Niepodległość.

690

agentem, odebrało po prostu mowę, mieli wrażenie, że ziemia rozstępuje się pod ich stopami, kiedy

wezwany przez prokuratora Bob Radykał Merrill wstał z ławy oskarżonych i zajął fotel po lewej stronie sędziego. Federalne Biuro Śledcze zwerbowało go podczas zamieszek na Uniwersytecie Columbia. Dostarczone wówczas przez Boba materiały okazały się tak wartościowe, że przypomniano sobie o nim, gdy lokalny oddział FBI odkrył, iż w kawiarni UFO próbuje się skaptować do ruchu antywojennego młodych niezadowolonych żołnierzy. Ani FBI, ani Siły Specjalne Karoliny Południowej nie miały najmniejszego pojęcia, iż niezależnie od siebie umieściły szpicli w tej samej niezbyt licznej komórce SDS.

Chociaż nasi adwokaci udowodnili, iż wszystkie niezgodne z prawem czyny, których dokonaliśmy owej nocy, zostały zainspirowane przez Capersa względnie Boba Radykała, uznano nas za winnych wtargnięcia na cudzy teren, włamania i złośliwego zniszczenia własności federalnej. Sędzia skazał nas na rok więzienia, biorąc jednak pod uwagę naszą młodość i oczywisty idealizm, zawiesił wykonanie wyroku. Dając dowód pobłażliwości, ocalił w nas resztki nadziei.

Kiedy Capers zajął miejsce świadka, na scenie Dock Street Theater zapadła cisza. Chociaż opowiadając o roli, jaką odegrał w czasie procesu, ani razu się nie zająknął, czułem, że w dalszym ciągu gryzie go fakt, iż pograżył swoich przyjaciół. Chwilami przybierał postawę obronną, potem jednak uderzał w ton refleksyjny, starając się odtworzyć namiętności i obawy, które targały nami w tej burzliwej epoce. Bronił swego postępowania, upierając się, że robiąc to, co robił, spełniał patriotyczny obowiązek. Zgadając się na współpracę z policją nie mógł wiedzieć, iż w pułapkę, którą zastawił na wrogów Ameryki, wpadną w wyniku wydarzeń w Kent jego przyjaciele.

— Shyla kochała cię, Capers - usłyszałem głos Ledare. -

Dlaczego udawałeś, że też ją kochasz?

— Wcale nie udawałem - odparł Capers, spoglądając na swoją byłą żonę. - To, co czułem w stosunku do Shyli, było prawdziwe. Od nikogo tyle się nie nauczyłem. Nigdy nie spotkałem osoby, która tak dobrze znałaby się na polityce. Rozumiała media i zawsze potrafiła je odpowiednio wykorzystać. Myślałem, że kiedyś zdołam jej wyjaśnić, co się wydarzyło. Rozumiecie, podczas takiego spotkania jak to. Moja miłość

691

do niej była prawdziwa... do diabła, wszyscy przecież kochaliśmy Shylę... wspólnie z nią dorastaliśmy. Ale ja patrzyłem na to szerzej. Myślałem, że ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie. Wiedziałem, że ruch antywojenny infiltrują komuniści. W przeciwieństwie do was, chłopcy, miałem dostęp do tajnych akt.

— Twoi przyjaciele nie byli komunistami - odezwał się Jordan. - Jacka i mnie w ogóle nie interesowała polityka.

Mikę i Shyla występowali tylko przeciwko wojnie.

— Spełniłeś swój obywatelski obowiązek, Capersie - przebrwał ostro swemu synowi generał Elliott. - Nie masz się czego wstydzić.

— Capers zawsze szczycił się tym, co zrobił na uczelni - powiedziała Ledare. - Po ślubie stale się o to kłóciliśmy.

— Wcale się tym nie szczyciłem - poprawił ją Capers. - Nie miałem wyrzutów sumienia, a to zupełnie co innego.

— Gdyby nie ty i Shyla, nie zauważylibyśmy nawet z Jordanem, że coś się wydarzyło w Kent - przypomniałem mu.

— Biorę pełną odpowiedzialność za wszystko, co zrobiłem - odparł. - I proponuję, żebyście wy dwaj zrobili to samo.

— Kazales mi się trzymać z daleka od demonstracji - włączył się Mikę. - Zrobiłeś ze mnie fotografa, mówiąc, że

powiniennem rejestrować historię. Czy chciałeś mnie w ten sposób chronić?

— Zbyt łatwo ulegałeś wpływowi - stwierdził Capers. - Chroniłem cię przed Shylą i twoją własną nieodpowiedzialnością.

— Więc dlaczego wrobiłeś Shylę? - zapytał Mike.

— Sama się wrobiła. Shyla pomogła nadać odpowiedni od cień mojemu radykalizmowi. Moim głównym celem był Bob Merrill.

— Ironia losu - mruknął Bob.

— Takie rzeczy często się zdarzają w biurokracji - skomentował Capers.

— Czy otrzymywałeś jakieś wynagrodzenie? - zapytał Jordan.

— Oczywiście - odparł Capers, jakby zdziwiło go to pytanie. - I dobrze na nie zasłużyłem.

Słuchając Capersa i innych, przypomniałem sobie, jak długo trwało, nim odzyskałem utraconą podczas procesu równowagę ducha. Odkryłem, że nie mam w sobie żadnych zadatków na rewolucjonistę. Gdyby sędzia wysłał mnie do frontowej jedno-
692

stki w Wietnamie, z wdzięcznością przyjąłbym jego wyrok. Prokurator zarzucał mi dzień po dniu, iż nie kocham swego kraju, i to pozostawiło we mnie głębokie szramy. Mój kraj był miejscem, w którym się codziennie budziłem i oddychałem, miejscem, które widziałem wokół siebie, znałem i, nie chwając się tym głośno, kochałem, miejscem, za które, gdyby trzeba było, oddałbym własne życie. Proces kazał mi się uważnie przyjrzeć, kim właściwie jestem i kim się staję.

Po ogłoszeniu wyroku Mike spotkał się z Capersem Mid-dletonem na korytarzu i zrobił mu trzy zdjęcia wraz z obejmującym go ramieniem Bobem Radykałem. A potem odłożył ostrożnie swojego nikonu i strzelił Capersa w pysk. Ludzie musieli odciągać Mike'a od jego starego kumpla.

Długa zima roku 1971, która nastąpiła po procesie, była dla mnie okresem lizania ran i szacowania szkód, które zadałem samemu sobie. W tym czasie Shyla i ja zaczęliśmy ponownie szukać swojego towarzystwa. Patrząc wstecz sądzę, że nasz wspólny taniec był nieunikniony. Przypominaliśmy krążące po tej samej iluzorycznej orbicie dwa księżyce, które same nie dają żadnego światła. Shyli trudno było odzyskać szacunek do samej siebie po trwającym przez ponad rok romansie z Capersem, w trakcie którego dzieliła z nim łóżko i każdy możliwy sekret. Najbardziej dręczyło ją nie to, że kłamał, lecz że każdej nocy opowiadał jej o swojej miłości, o podziwieniu, jaki budziły w nim jej przekonania, o uwielbieniu dla jej ciała i gorącym pragnieniu, by spędzić z nią resztę życia. Fakt, iż nie umiała wykryć fałszu we własnym kochanku, niepokoił ją o wiele bardziej niż to, że Capers okazał się tajnym agentem. Nie obawiała się nawrotu uczuć ani złościwości z jego strony; nie wiedziała po prostu, jak odzyskać zaufanie do samej siebie i do własnego osądu. Zawsze uważała się za osobę rzetelną i nieprzekupną, nigdy jednak nie sądziła, że może się tak łatwo dać oszukać: niemal skompromitować przez własną naiwność. Nie przejmowała się specjalnie prawnymi konsekwencjami swoich czynów, nie mogła jednak znieść myśli, iż zaślepiona miłością zrobiła z siebie pośmiewisko. Zwróciła się więc ku mnie, a ja zwróciłem się ku niej, nie wiedząc, że w tym momencie wyznaczamy sobie oboje spotkanie na moście w Charlestonie.

ROZDZIAŁ 38

Kiedy Jordan zajął miejsce dla świadków, zdałem sobie sprawę, iż teraz właśnie złożą się w całość wszystkie fragmenty i okruchy tego, co o nim wiedzieliśmy. Nigdy nie miałem ochoty zadawać mu zbyt wielu pytań na temat okresu, który obaj uważaliśmy za chory, a sam Jordan nie kwapił się do

zwierzeń. Gdy zaczął mówić, spostrzegłem, że po raz pierwszy w życiu nie paraliżuje go stalowy wzrok generała. Ton jego głosu był rzeczowy i konkretny. Odtworzenie wydarzeń nie sprawiało mu większych trudności i słuchając go zrozumiałem, dlaczego mój Kościół naucza, iż spowiedź przynosi ulgę duszy. Wszyscy pochyliliśmy się do przodu, by słyszeć każde słowo wypowiedziane przez tego pełnego rezerwy, wyciszzonego człowieka. Nawet generał nadstawił uszu.

- Po przyjeździe na Buli Street prawie natychmiast znalazłem się w pustej, pozbawionej mebli izolatce. Lekarze odurzili mnie narkotykami, żeby osłabić furie wywołaną uwięzieniem, ja jednak wciąż wydzierałem się na siostry, pielęgniarzy i innych pacjentów, w związku z czym postarali się mnie maksymalnie odosobnić. Zwiększyli również dawkę narkotyków, aż przestałem prawie kontaktować. Po powrocie na oddział nie wolno mi było przyjmować żadnych wizyt i otrzymywać żadnych listów z wyjątkiem tych, które przychodziły od rodziców. Nie jestem pewien, kiedy to było, ale wkrótce potem poddano mnie pierwszej z czterech serii elektrowstrząsów, która wprowadziła mnie w stan prawie kompletnego stuporu. Powłócząc nogami snułem się między pacjentami cierpiącymi na poważne zaburzenia psychiczne, mijając stojących w obłokach papierosowego dymu,

694

ogłuszonych thozazinem mężczyzn. To, co lekarze i pielęgniarki uznali za objawy szaleństwa, było po prostu niemożnością pogodzenia się ze zdradą mojego ojca. Terapia wstrząsowa ogłuszyła mnie, pamięć jednak powoli wracała i wracając sprawiała ból. Gdy przypomniałem sobie policzek ojca i spływającą po twarzy ślinę, chciałem powiesić się na pasku, który ukradłem śpiącemu strażnikowi. Później próbowałem powiesić się na prześcieradle i zaordynowano mi kolejną serię elektrowstrząsów. Matka odwiedzała mnie raz w tygodniu. Trzymali mnie na Buli Street prawie rok. Moje zwolnienie zaskoczyło wszystkich, mnie nie wyłączając. W połowie lutego zacząłem współpracować z personelem. Starłem się ich oczarować. Wychodząc w maju, byłem ulubieńcem wszystkich. Żeby się stamtąd wydostać, przeprowadziłem całą kampanię. Zorganizowałem nawet na naszym oddziale akcję oddawania krwi na rzecz Czerwonego Krzyża. Wzięło w niej udział więcej niż pół oddziału, pacjenci mieli bowiem do mnie większe zaufanie niż do pielęgniarek. Po tej akcji ufali mi wszyscy: pacjenci i lekarze. Ubroiłem się w cierpliwość. Do wszystkich się uśmiechałem. I uśmiechając się planowałem, co zrobię, gdy znajdę się za murami szpitala. Słuchając Jordana zaczęliśmy widzieć świat takim, jakim on go wówczas widział, po długim okresie przyjmowania narkotyków i terapii wstrząsowej.

To podczas pobytu w izolatce, powiedział, po raz pierwszy zaczął myśleć na serio o klasztorzym odosobnieniu. Znalazłszy się z powrotem na oddziale, odkrył siłę słowa, które niosło pociechę słabym i zagubionym. W tym okresie zaczął przemawiać niczym duchowny i ukrywał przed wszystkimi straszliwą nienawiść, która toczyła niczym wirus jego serce. Narodził się w nim ksiądz, nie wyzbył się jednak duszy wojownika. Podczas długich miesięcy spędzonych w szpitalu słyszał wyłącznie głosy ojca i Capersa. Odwiedzali go w nocy, żeby z niego szydzić. |

Gdy wyszedł ze szpitala, plan był gotów. Napisał kartkę do rodziców, zawiadamiając ich, że jedzie do Kalifornii i zamierza tam przez jakiś czas popływać na desce. Następnie pojechał autostopem na Pollock Island, razem z policjantem, który obozował ze swoją dziewczyną na St. Michael's Island i wysadził go tuż przy bramie jednostki. Jordan przedstawił się pełniącemu wartę kapralowi jako syn generała Elliotta, po czym korzystając z okazji, pojechał z zastępcą komendanta żandarmerii do kantyny, skąd dotarł pieszo do kwatery generała. Przestronny dom

695

był w większości nie zamieszkały i Jordan spędził noc w nie używanej słuźbówce. Skryty między sięgającymi mu do ramion azaliami obserwował rodziców, którzy jedli kolację, nie mając najmniejszego pojęcia, że im się przygląda.

Przez następne dwa dni przygotowywał odpowiedź na upokorzenie, jakie spotkało go na schodach sądu. W warsztacie generała skonstruował małą bombę zapalającą, zaopatrując ją w nieduży, lecz skuteczny zapalnik zasilany przez dwie baterie do latarki, i korzystając obficie z zapasów prochu, z którego jego ojciec produkował kule do muszkietu pamiętającego czasy wojny secesyjnej i należącego do jednego z ich przodków, który walczył pod dowództwem Wade'a Hamptona*.

Chciał, aby bomba była lekka i łatwa do zdetonowania, jednocześnie zaś dość bezpieczna, by mógł ją przenosić w rękę. Sporządził dokładne mapy i bez przerwy dopracowywał swój plan, dokonując w nim niezbędnych korekt i czekając na moment, gdy nadarzy się odpowiednia okazja.

Kiedy matka wychodziła w ciągu dnia, a pokojówka sprzątała pokoje na górze, zakradał się przez tylne drzwi do domu i zabierał jedzenie ze spiżarni, która wyglądała, jakby nikt do niej w ogóle nie zaglądał. Gdy pokojówka szła do domu, siadał przy toalecie Celestine i wdychał w nozdrza wszystkie jej zapachy, tak jak zwykł to czynić w dzieciństwie. Którejś nocy wślizgnął się nawet do jej sypialni, chcąc ponownie znaleźć się blisko matki. Potrafił wybaczyć ojcu wszystkie zbrodnie prócz tej jednej: że ukraść mu całe dzieciństwo.

Kiedy rodzice wyjechali na weekend w góry Karoliny Północnej, uznał, że nadszedł odpowiedni moment. Napisał im w liście, co zamierza zrobić i dlaczego się na to zdecydował. Wyjawiał, w co głęboko wierzy i jakie są jego poglądy na świat. Nie krył swego sprzeciwu wobec wojny w Wietnamie i przyznał, że przymusowy pobyt w szpitalu utwierdził go tylko w jego przekonaniach. Jedyną słabością, którą widział w swojej antywojennej postawie, była niechęć do odpowiadania gwałtem na gwałt. Matce przekazywał słowa dozgonnej miłości i wdzięczności. Ojcu przekazywał swoje zwłoki, swoją nienawiść i przeświadczenie, iż nie ma mu za co dziękować. List - rozgorączkowany, nieznośnie retoryczny, buńczuczny, egomaniakalny relikwiarz lat sześćdziesiątych - włożył do szkatułki z biżuterią matki.

696

Wade Hampton (1818-1902), generał Konfederacji.

W sobotnią noc, którą wybrał na realizację swego planu, przebiegł pół mili do przystani, trzymając nad głową deskę surfingową. Dzień wcześniej wynajął przez telefon motorówkę, podając nazwisko syna adiutanta swego ojca. Sprawdziwszy silnik w trakcie próbnej przejażdżki, załadował na łódź dodatkowe kanistry paliwa, jedzenie w paczkach, coca-cole, butelkę wild turkey, którą zabrał z barku ojca, oraz pojemniki z krwią, ukradzione dawcom w stanowym szpitalu. Zapakował w gazety i gazę cztery kwarty krwi i wsadził je do małej podręcznej torby, którą umieścił w forpiku. Krew miała grupę zero - jego własną.

Opisał nam, z jaką starannością ubrał się w mundur ojca, nadając sobie stopień majora i umieszczając we wszystkich miejscach odpowiednie dystynkcje i odznaki. Następnie wyczyścił na glans jego buty. Surowe szpitalne przepisy sprawiły, że włosy miał już przycięte zgodnie z regulaminem piechoty morskiej. Przeglądając się w wysokim lustrze, dostrzegł nagle siebie takim, jakim chciał go zawsze widzieć ojciec. Wyglądał jak rasowy żołnierz piechoty morskiej, tej nocy był jednak niebezpiecznym fiksatem, któremu wściekłość odebrała prawie kompletnie rozum.

Wyjechał z domu sztabowym dżipem generała, siedząc sztywno jak kołek w siąpiącym deszczu. Kilku żołnierzy zasałutowało, widząc gwiazdy na przednim zderzaku i nikt - zauważył oschłym tonem, siedząc na scenie Dock Street Theater - nie oddał im jeszcze salutu tak sprężystym jak Jordan Elliott, niedoszły członek korpusu. Po pięciu milach zatrzymał się przy bramie bazy lotniczej w

Waterfordzie, pozdrowił starszego szeregowego, po czym pojechał dalej w stronę pasa startowego i hangarów, w których odpoczywały wielkie bombowce. Na wartowniach paliło się światło i dyżurowali oficerowie, wokół samolotów nie było jednak widać nikogo.

Przez dłuższy czas nie mógł się zdecydować, czy wysadzić A-4, czy może phantoma. Uwielbiał regularne kształty i piękno obydwu. Kiedyś, wyjaśnił, jego największym marzeniem było zostać lotnikiem marines. Chciał być pilotem, który nadleci z przestworzy, aby uratować zdziesiątkowany, okrążony pułk ojca. Od tamtej chwili minęła prawie cała wieczność, ale wspomnienie rozrzewniło go, nie pozwalając skupić się na wykonywanym zadaniu. Dręczyła go myśl, że będzie musiał wysadzić samolot, którym chciał kiedyś latać - tak jakby niszczył w ten

697

sposób niewielki fragment swego dzieciństwa, do którego nie potrafił powracać bez łez.

Kiedy jadąc dziupem ojca, mijał kolejne eskadry, zarysy samolotów wydawały mu się groteskowe i zamglone. A potem zobaczył to, o co mu chodziło: stojący na samym końcu pasa startowego stary DC-3, zapomniany relikwyt dawno minionej epoki. Doskonale nadawał się do jego planu. Jordan zatrzymał się przy dużej kępie zarośli, owinał starannie bombę wodoszczelną tkaniną i podszedł do samolotu. Mrok rozjaśniały tylko palące się na pasie startowym światła i nawet sam sobie wydał się niewidzialny.

Używając samoprzylepnej taśmy, przymocował szybko i sprawnie bombę do kadłuba DC-3, niedaleko zbiornika z paliwem, po czym nastawił zapalnik na godzinę czwartą rano. Nie pamiętał, jak wrócił na Pollock Island ani jak wstawił samochód do garażu i schował z powrotem zapasowe klucze za puszką farby.

W pokoju rodziców powiesił w szafie mundur ojca, a potem otworzył album ze zdjęciami i wyjął ulubione fotografie, swoje własne i matki. Przed odłożeniem na miejsce butów generała, jeszcze raz je wyczyścił.

W łazience ojca zabrał z szafki świeże opakowanie żyletek, a potem napisał szminką matki słowo Jordan na jego lusterku do golenia.

- Chciałem, żebyś wiedział, że twój dom posłużył mi za bazę wypadową - powiedział, zwracając się teraz do generała.

Pochylając się nad toaletką matki, przeczytał ponownie swój samobójczy list, którego ton wydał mu się raczej ostry. Miał nadzieję, że starczy mu odwagi, by się zabić, na wszelki wypadek przygotował jednak alternatywny plan. Włożył w swoim pokoju kąpielówki i dres, a potem, wychodząc z domu, przyjrzał się po raz ostatni przedmiotom, które towarzyszyły mu przez całe dzieciństwo.

- Biegiem wpadłem na przystań, wskoczyłem do motorówki, odcumowałem i pozwoliłem się nieść prądowi - powiedział. - Silnik uruchomiłem dopiero na środku cieśniny.

W chwili gdy wybuchł DC-3, znajdowałem się trzy mile od brzegu.

Siedząc na scenie Dock Street Theater, zamarliśmy w tym momencie w bezruchu. Można było pomyśleć, że zapomnieliśmy, jak się oddycha.

698

Wiedziałem świetnie, co jeszcze wydarzyło się tamtej nocy. Kilka minut przed północą kapral Willet Eggesby spotkał się potajemnie z córką pułkownika Harolda Pruitta. Czekał na nią przy nie zamieszkanym willi, sto jardów od domu Pruittów, z którego uciekła przez okno w sypialni. Ich romans nie przypadł do smaku Ellen Pruitt, która tak długo wierciła dziurę w brzuchu mężowi, aż ten zakazał siedemnastoletniej córce spotykać się z jurnym kapralem. W domu Pruittów zapanowała trudna do zniesienia atmosfera i zmieniło się to dopiero, gdy Eggesby odkrył stojący w pobliżu samolot. Kiedy wybuchła bomba, kapral Willet Eggesby i Bonnie kochali się na jego pokładzie.

Ciała kochanków pochowano obok siebie na cmentarzu wojskowym przy drodze do Waterfordu. W potwornym zamieszaniu, do jakiego doszło po eksplozji i podczas trwania akcji ratowniczej, którą prowadziły wspólnie jednostki strażackie piechoty morskiej oraz cywilna straż z Waterfordu, zniszczono liczne dowody rzeczowe - zbyt wielu strażaków stąpało po terenie, którego początkowo nikt nie uważał za miejsce przestępstwa. Zwłoki Bonnie Pruitt i kaprała Eggesby'ego odkryli dopiero nazajutrz po południu eksperci wojskowi, których sprowadzono, aby zbadali wrak. Kiedy ci sami eksperci odwiedzili dom pułkownika Pruitta, zrozpaczona i dręczona poczuciem winy Ellen pokazała im trzy listy samobójcze, które Bonnie napisała do rodziców, grożąc, iż zabije się, jeśli nadal będą zabraniali jej spotykać się z Wililem. Kapral był synem inżyniera drogowego z Wirginii Zachodniej, eksperta w dziedzinie materiałów wybuchowych. Po dokładnym śledztwie eksperci doszli do wniosku, iż młodzi postanowili popełnić wspólne samobójstwo i kapral skonstruował w tym celu całkiem niezłe działającą bombę. W swoim raporcie, utrzymanym w wojskowo biurokratycznym stylu, wyrazili ubolewanie, iż zbiorniki DC-3 były pełne, kiedy doszło do eksplozji. Zwrócili również uwagę, że w momencie wybuchu para kochała się i że miłość fizyczna nieczęsto łączy się z takim aktem desperacji.

W tym miejscu narrację przejęła Celestine Elliott, zajmując miejsce świadka i obracając się do Ledare, Jordana i mnie. Na wieść o katastrofie, powiedziała, generał Elliott polecił prosto do bazy lotniczej, a ona wróciła samochodem na Pollock Island. Kiedy jej mąż pojawił się w końcu w domu po całym

699

dniu, w trakcie którego organizował dochodzenie i rozmawiał z prasą, Celestine zdążyła usunąć wszystkie ślady bytności Jordana. Starła jego imię z lustra, następnie zaś, podążając śladami syna ze służbówki i warsztatu męża aż do własnej sypialni, znalazła schowany w szkatułce z biżuterią list, w którym Jordan przyznawał się do wysadzenia samolotu. Wyjaśniał, że zrobił to, aby udowodnić ojcu, iż odziedziczył jego odwagę i rozumie znaczenie, jakie w wojskowej strategii ma element zaskoczenia. Chciał, aby eksplozja DC-3 zakończyła karierę ojca w szeregach marines. Chciał okryć jego dom hańbą i niesławą. Jego czyn był ripostą na upokorzenie, jakie spotkało go na stopniach sądu. Na splunięcie ojca odpowiadał ogniem i własną krwią.

W krótkich zdaniach, których prawie nie była w stanie przeczytać, Jordan opisał, jak wypożyczył motorówkę na nazwisko syna innego oficera i zabrał ojcu żyłki. Pisał, że wypłynie nocą na morze, podetnie sobie żyły na rękach i gardle, a potem przy wiąże kotwicę do dłoni i wyskoczy z łodzi. Ostatnie zdania były mętne, stwierdziła, łykając łzy, zupełnie nie pasujące do Jordana.

Spaliła ostatni list syna, nie sądziła bowiem, by mąż mógł znieść jego treść. Spaliła go w zlewku i splukała wodą popiół, a potem zrobiła sobie drinka i poczekała na generała. Kiedy Rembert Elliott wrócił do domu, czekała na niego nowa żona, znacznie bardziej przybita i uległa niż ta, z którą rozstał się na polach golfowych Highlands.

Celestine zaczęła odpływać w mroczne rejony, sprawiając na co dzień wrażenie lunatyczki albo kogoś, kto za dużo wypił. Generał sądził, że jego żona nadużywa alkoholu z powodu śmierci Jordana. Zaczęła pić, kiedy jego motorówkę znaleziono dryfującą na Atlantyku, ze śladami krwi grupy zero na siedzeniach i drewnianych elementach kadłuba. Łowca krewetek, który znalazł łódź, twierdził, że wyglądała, jakby ktoś zarznął w niej kozła.

Niedługo potem Elliottowie skontaktowali się z kapelanem i zamówili skromne prywatne nabożeństwo żałobne ku czci Jordana. Po mszy generał Elliott starł się ze mną, Shylą i Mi-ke'em na dziedzińcu garnizonowego kościoła.

- Chcę, żebyście wiedzieli, że obciążam was winą za śmierć mojego syna - oznajmił, nie zwracając uwagi na Celestine, która próbowała odciągnąć go na bok.

700

— To śmieszne - odparła, unosząc się gniewem, Shyla. -

Nikt z nas go nie wychowywał i nie katował. Po prostu go kochaliśmy. Nie opluwaliśmy go ani nie zamknęliśmy w domu

wariatów.

— Był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem - dodałem, zasłaniając ją przed generałem. - Uwielbialiśmy go.

— Wiem o tym, Jack - wymamrotała Celestine i dopiero w tym momencie zorientowaliśmy się, że jest kompletnie pijana. Piła przez następne trzy lata, oplakując Jordana, gardząc mężem i nienawidząc się za to, że wciąż go kocha. Pozostając przy boku generała, Celestine przestała cokolwiek odczuwać. Bourbon stał się jej brunatną ucieczką i w końcu Rembert zmuszony był poprosić z jej powodu o dymisję. W dniu kiedy przechodził do rezerwy, trzy lata po nabożeństwie żałobnym Jordana, Celestine zemdlła na trybunie i obudziła się dopiero w ośrodku detoksykacyjnym na Florydzie. Generał Elliott przekonał się po raz wtóry, że przeciwnik, który zakradł się w mury miasta, jest o wiele bardziej niebezpieczny od armii w polu. Wielu jego kolegów miało nadzieję, iż otrzyma któregoś dnia nominację na komendanta korpusu, jednak problemy, z którymi borykał się we własnej rodzinie, wykazały, iż nie potrafi właściwie ocenić sytuacji na froncie wewnętrznym.

— Więc o co nam w końcu dzisiaj chodzi? - zapytał, wstając z fotela, Mikę Hess. - Wszystko to wydarzyło się przeszło piętnaście lat temu. To, co stało się z tym młodym kapralem i jego dziewczyną, jest straszne. Nikt temu nie zaprzecza. Ale ważne jest, żeby iść dalej. Tak czy nie? Wszyscy, jak tu siedzimy, ucierpieliśmy, ponieważ wojna dotknęła nas w sposób, z którego nie zdajemy sobie czasem sprawy. Shyla nigdy już nie była taka sama po tym, co się stało. Straciliśmy Jordana. Aż do dzisiaj szego dnia dla większości z nas był martwy. Patrzyliśmy, jak nasi rówieśnicy zwracają się przeciwko sobie, nienawidzą się, nie rozmawiają ze sobą. Jaki był powód tego wszystkiego? Czy chodzi nam dzisiaj o to, żeby sobie przebaczyć?

— Chodzi o to, żeby wymierzyć sprawiedliwość - oświadczył generał Elliott.

— W czym imieniu, generale? - zapytał przeor opactwa Mepkin, wchodząc na scenę z twarzą skrytą w cieniu kaptu-
701

ra. - W pańskim czy w boskim? Czy szuka pan sprawiedliwości żołnierskiej czy boskiej?

— Szukam ich obu, ojciec - odparł generał. - I uważam, że ojciec i jego zakon frymarczyście wszelką sprawiedliwością.

— Znamy pańskiego syna jako dobrego kapłana i sługę bożego - powiedział cicho ojciec Jude.

— Wysadził w powietrze dwoje niewinnych ludzi - stwierdził generał. - Bóg nie musi wiedzieć nic więcej o moim synu. Sędzia McCall uderzył młotkiem w blat biurka i spojrzał na zegarek.

— Postarajmy się przeanalizować to, co usłyszeliśmy - powiedział. - Doprowadźmy tę rzecz do końca.

— Jak wydostałeś się z kraju, synu? - zapytał generał. - Znaleźli przecież twoją łódź na środku morza.

— Zabrałem ze sobą deskę surfingową - wyjaśnił Jor

dan. - Dwa dni trwało, nim dopłynąłem do brzegu. Zatrzy
małem się przez tydzień na Isle of Orion, w domku rybackim
McCallów. Odzyskałem tam jasność umysłu. W nocy łowiłem
ryby i kraby. Kiedy trochę odpocząłem, wsiadłem do łódki
Jacka i przypląnąłem w środku nocy do jego domu.

— Mogę opowiedzieć, co stało się dalej - powiedziałem,
wstając z fotela.

Tamtej wiosny ani na chwilę nie opuszczał mnie smutek. Po mszy za duszę Jordana zamknąłem się
w swoim pokoju i leżąc w łóżku próbowałem dociec, w którym momencie wszystko potoczyło się
źle w moim życiu.

Wkrótce po nabożeństwie Shyla wyjechała, żeby wziąć udział w antywojennej demonstracji przed
budynkiem ONZ w Nowym Jorku, ja jednak wolałem zostać. Obiecałem sobie, że nigdy już nie
pozwolę, by historia zawładnęła bez reszty moim życiem. Moją dewizą miały stać się odtań
ostrożność i powściągliwość. Chciałem hodować własne zioła, sadzić co rok warzywa w ogródku i
pamiętać, że stanowią część wielkiego cyklu. Chciałem poprawić swoje słownictwo, studiując
autorów, którzy opanowali sztukę tańca z językiem. Chciałem przyjaźnić się z ludźmi, którzy w
niczym nie odbiegali od normy. Nie miałem zamiaru dłużej cierpieć tylko dlatego, że moi najlepsi
przyjaciele upodobali sobie spacer po linie. Jordan zginął z powodu swego uporu i niemożności
pogodzenia się z ojcem, względnie zejścia

702

mu z oczu. Shyla zerwała z biernością swoich rodziców i popierała z całego serca każdą nową ideę,
która wydawała się nadawać sens jej życiu. Niczym jakiś zbłąkany rabin szukała nie napisanej
jeszcze Tory.

Mike wspinał się tymczasem szybko po szczeblach kariery. Pracował w sekretariacie Agencji
Williama Morrisa na Manhattanie i przekazał już swój pierwszy projekt filmu agentowi spotkanemu
w łaźni New York Athletic Club. Co wieczór oglądał nowe filmy oraz wystawiane poza
Broadwayem sztuki i opowiadał mi o nich w listach, za każdym razem wystawiając im cenzurki i
dodając, co i gdzie by poprawił, gdyby to on był producentem. Mike'owi obca była typowo
południowa skłonność do oglądania się za siebie. Ja natomiast odkryłem, że bardzo łatwo popadam
w totalny paraliż.

A potem którejs nocy obudziłem się, czując na ustach czyjąś szorstką dłoń. Chciałem krzyknąć, w
tej samej chwili jednak usłyszałem w ciemności szept Jordana. Nie wierząc własnym uszom,
dotknąłem palcami jego twarzy, a potem, zbyt zaskoczony, by cokolwiek mówić, włożyłem
bermudy, stare dock-sidery i podkoszulek i zszedłem razem z nim po gałęziach wielkiego dębu.
Minęliśmy ogród, w którym świergotały cykady, po czym zeszliśmy na pomost, zdjęliśmy buty i
zanurzyliśmy stopy w wodzie.

— Jak się miewa Jezus? - zapytałem. - Słyszałem, że
złożyłeś mu wizytę.

— Chłopak ma się świetnie. Pytał o ciebie - poinformował
mnie Jordan, a potem spoważniał. - Nie czuję się dobrze -
oznajmił. - Coś jest ze mną nie w porządku, Jack.

— Nie zamierzam się z tobą spierać - odparłem. - Twoja
krew była na całej łodzi.

— Krew mojej grupy, ale pobrana od kogo innego. Skra
całem sobie czas w domu wariatów, układając plan całej akcji.
Co powiedział mój ojciec o samolocie?

— Jakim samolocie? - zapytałem.

— Tym, który wysadziłem.

— Nie zrobiłeś tego, Jordan - szepnąłem, modląc się, żeby

to, co usłyszałem, nie było prawdą.

— Już jako ośmiolatek potrafiłem rozebrać z zamkniętymi oczyma karabin M-1 - powiedział dziwnym, jakby nie swoim głosem. - Chcesz wiedzieć, jak robi się koktajl Mołotowa?

703

Domowej roboty bombę? Chcesz, żebym ci pokazał, jak umieścić zaostrzony bambus w leżącym na drodze ludzkim gównie? Zwiedziłem połowę systemu kanalizacyjnego Waterfordu i wiem, dokąd uciec, kiedy władzę przejmą komuniści.

— Zdarzyło się coś o wiele gorszego, Jordan - powie działem.

— Z tym samolotem posunąłem się za daleko - przyznał. - Wiedziałem, że to ci się nie spodoba.

— Słyszałeś kiedyś o Willecie Egglestym albo Bonnie Pruitt? - zapytałem.

— Nie? Co to za jedni?

— Byli w samolocie, kiedy wyleciał w powietrze - wyjaśniłem. - Ludzie myślą, że sami się wysadzili. Samobójstwo kochanków.

Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego rozzwierający krzyk bólu, jaki wydobył się z gardła Jordana, nie obudził tamtej nocy całego Waterfordu. Trzymając go w ramionach, próbowałem ukoić jego płacz i wymyślić jakiś plan. Przed świtem udało mi się zaprowadzić go z powrotem po drzewie do mojej sypialni. Ustawiłem krzesło pod prowadzącą na strych klapą, po czym wdrapałem się razem z nim na górę i zostawiłem go tam leżącego na stosie starych materacy. Dopiero teraz dały o sobie znać wszystkie psychiczne rany, które zadał mu generał. Jordan cierpiał nieznośne katusze, smażąc się na rozprażonym strychu, podczas gdy jedyna na świecie osoba, wiedząca o tym, że nie zginął, planowała w sypialni na dole jego ucieczkę.

Kiedy Shyla wróciła nazajutrz z Nowego Jorku, czekałem na nią na dworcu kolejowym w Yemassee. Szczyciła się zawsze, iż potrafi zachować zimną krew, kiedy wszystko wali się w gruzy, i potrzebowałem jej teraz, żeby pomóc Jordanowi. Zaprowadziłem ją na strych i wszyscy troje, pocąc się obficie, zastanawialiśmy się, jak ratować go z opresji. Rozważaliśmy, czy nie poprosić o pomoc rodziców, nie był to jednak najlepszy w historii republiki okres, by szukać rady u starszych. W ciągu ostatnich kilku lat bardzo szybko wydorosleliśmy i zdradzeni przez najbliższych, baliśmy się zaufać komukolwiek spoza naszej trójki. Shyla wymyśliła cały plan, a ja opracowałem trasę ucieczki.

Przygotowałem samochód do długiej podróży, po czym kupiłem używane kanoe w żeńskim obozie metodystów niedaleko Orangeburga i namiot w sklepie myśliwskim w Charlestonie.

704

Shyla zajęła się przygotowaniem prowiantu, który zapakowała do kosza i turystycznej lodówki. Były tam różne sery i pęta kielbasy, jabłka i pomarańcze, suszone owoce, puszki z sardynkami i tuńczykiem oraz dość wina, by umilić nam każdy posiłek, bez względu na to, jak często zamierzaliśmy się nim pokrzepiać w trakcie naszej ucieczki.

Shyla udała się do swojego doktora, skarżąc się na bezsenność i depresję, i wyszła od niego z wystarczającą ilością valium i tabletek nasennych, aby uspić niewielkie stado bizonów. Otrzymał od niej odpowiednią dawkę, Jordan zapadł po raz pierwszy od wielu dni w kamienny sen. Tego samego dnia zrobiłem sobie badanie krwi i siedząc w dziale czasopism miejskiej biblioteki napisałem długi list do rodziców. Pisanie nastęrczyło mi sporo trudności, nie byłem bowiem przyzwyczajony do nieśmiałego języka miłości. W gruncie rzeczy nie miałem wcale zamiaru pisać listu miłosnego, taki jednak przybrał w końcu charakter, choć wiedziałem, iż sprawi adresatom olbrzymi ból. Dałem go do przeczytania Shyli, czytając w tym czasie to, co napisała do George'a i Ruth. Jej list był uroczy; Shyla potrafiła wyrazić miłość do rodziców z prostotą, której mogłem jej

tylko pozazdrościć. Kiedy czytała moje wycieczki, pochyliłem się i pocałowałem ją w szyję. Podniosła wzrok i mam wrażenie, że właśnie w tamtej chwili ofiarowaliśmy sobie swoje serca. Wszyscy troje wyjechaliśmy z Waterfordu o drugiej w nocy. Pchaliśmy mój samochód kilkadziesiąt jardów wysadzaną dębami ulicą, nim odważyłem się zapalić silnik. Jordan leżał pod stertą koców na tylnym siedzeniu. Oba listy zostawiliśmy na stołach w jadalniach domów, w których ja i Shyla spędziliśmy całe dzieciństwo. Zawiadamialiśmy w nich, że bierzemy ślub i wyjeżdżamy na miesiąc miodowy nad jezioro Lure w Karolinie Północnej. W rzeczywistości już po dwudziestu czterech godzinach mijaliśmy przedmieścia Chicago i zmierzaliśmy dalej na północ. Prowadząc na zmianę i zatrzymując się tylko po to, żeby zatankować i skorzystać z toalety, bez przerwy gadaliśmy o przeszłości. Mówiliśmy o wszystkim z wyjątkiem ponurych wydarzeń, które poprzedziły naszą szaloną podróż w nieznane.

— Trudno jest uwierzyć, że Minnesota i Karolina Południowa leżą w tym samym kraju - stwierdził w pewnym momencie Jordan, kiedy studiowałem mapę.

— To wszystko jest takie dziwne - powiedziała Shyla. -

705

Nie mam pojęcia, jak udało im się namówić tych ludzi i wszystkich ludzi w Karolinie Południowej, żeby przejechali pół świata i strzelali do wietnamskich chłopów. W tym musi być jakaś sztuczka.

— Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo na temat wojny w Wietnamie - uprzedziłem - bądź pewna, że twoje nazwisko znajdzie się w raporcie dotyczącym przemocy w małżeństwie.

— Spróbuj mnie tylko dotknąć - odparła Shyla - a przeczytasz o sobie w raporcie na temat eunuchów.

— Bądźcie szczęśliwi. To rozkaz. Chyba tyle jesteście mi winni - odezwał się Jordan, przerywając naszą sprzeczkę.

W motelu Gundersen w Grand Marais zameldowaliśmy się pod fikcyjnymi nazwiskami i kupiliśmy w składnicy turystycznej Bear Track dokładną mapę nie zamieszkanego terenu pogranicza. Przewodnik pokazał nam trasę, która miała prowadzić przez najbardziej dziewiczą część Boundary Waters.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy we mgłę tak gęstej, że wydawała się spokrewniona z koroną mleczną. Spuściliśmy naszą łódź na jezioro i zanurzyliśmy wiosła w wodzie, mając wrażenie, iż wkraczamy w jakąś wydrążoną w czystym turkusie jaskinię. Obozowaliśmy na brzegach jezior, kąpaliśmy się nago w wodzie wciąż zimnej od topniejącego śniegu i chłodziliśmy butelki z winem w rozpadlinach schodzących aż do samej wody skał. Po nocach spędzonych w jednym namiocie, wypływaliśmy codziennie na kolejne jeziora, mijając gęste szumiące bory, niedźwiedzice odganiające od brzegu swoje młode i brodzące w głębokiej wodzie łosie, które patrzyły ze spokojem filatelistów, jak przepływamy tuż obok.

W trakcie tej podróży nasza przyjaźń, nasza nie wyznana wzajemna miłość stworzyła budowlę, która obywatela się bez wszelkich podpór i belek. Wiedzieliśmy, że zbliża się chwila, kiedy Jordan zniknie z naszego życia tak samo nieodwołalnie, jak wkroczył w nie przed wielu laty, jadąc z rozwianymi włosami na swej deskorolce. Shyla czuła, jak ciche leśne przecinki leczą jego najbardziej bolesne rany. Słyszeliśmy nawołujące się gdzieś w dzikich ostępach wilki i któregoś razu usłyszeliśmy, jak całe stado ściga jakąś zwierzynę. Rozmawiając o Bogu, odkryliśmy, że łatwiej jest w niego wierzyć, gdy dryfuje się przez nabrzmięte od słońca jeziora, nanizane na rzekę jak paciorki różańca. Na kamienistych plażach, gdzie obozowaliśmy, Jordan znajdował

706

w korytach strumieni agaty i płomieniste opale i dawał nam je w ślubnym prezencie.

Płynęliśmy przez dziesięć dni i dopiero dobijając do małej osady leżącej przy brzegu i widząc idącego pomostem kanadyjskiego policjanta, uświadomiliśmy sobie, że nasza podróż dobiegła końca. Przekroczyliśmy granicę trzy dni wcześniej, nawet o tym nie wiedząc. W Kanadzie, gdzie

przychylnym okiem patrzono na przeciwników wojny, Jordan mógł ruszyć własną drogą. Ostatniego wspólnie spędzonego wieczoru Shyla i ja wypiliśmy przy kolacji toast za zdrowie Jordana i za jego przyszłość. Byliśmy pewni, że nigdy już go nie zobaczymy: on sam uprzedził, iż próbując się z nim skontaktować, narazilibyśmy się tylko na niebezpieczeństwo.

— To, co dla mnie zrobiliście, wykracza poza ramy zwykłej przyjaźni - stwierdził - bo wiem, że oboje was przeraża mój postępek. Postaram się odpokutować za swoje czyny. Spróbuję odnaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Obiecuję.

— Kochamy cię, Jordanie - powiedziała Shyla - i tylko to się liczy.

Kiedy obudziliśmy się nazajutrz, Jordan zdążył wymknąć się z namiotu. Shyla i ja ruszyliśmy z powrotem, mijając jeziora, z których każde nam go przypominało. W Kanadzie po raz pierwszy się pokochaliśmy i przypadło nam to do gustu. Powrót do Grand Marais trwał dwa razy dłużej niż jazda w tamtą stronę. Powtarzaliśmy sobie, iż podnieśliśmy kunszt miodowego miesiąca na nowe wyżyny. Którejś nocy kochaliśmy się, słuchając wycia zwołujących się na polowanie wilków. Oboje zgodziliśmy się, iż we właściwy sposób rozpoczęliśmy małżeńskie życie, w związku z czym nazajutrz rano zawarliśmy ślub przed obliczem sędziego pokoju w Grand Marais w stanie Minnesota. Następnie zaś, po spędzonych na łonie natury trzech tygodniach, wróciliśmy do Karoliny Południowej i życia, które mieliśmy zamiar wspólnie prowadzić.

Kiedy skończyłem mówić i wróciłem na miejsce, na scenie zapadła przejmująca, zarazem jednak długo wyczekiwana cisza. Potrzebowaliśmy wszyscy trochę czasu, żeby dojść do siebie.

Przypominaliśmy postaci ze starego obrazu, zagubione w krainie, gdzie nikt nie znał naszego języka. Jordan obudził w nas

707

wszystkich coś, co dawno padło już ofiarą łatwych skojarzeń i przeinaczeń. Teatr przy Dock Street stał się swego rodzaju podziemnym konfesjonalem. W dusznym powietrzu czułem na języku pył osypującego się czasu. Zastanawiając się nad rolą, którą odegrałem w całym tym ponurym dramacie, zdałem sobie sprawę, iż nie poznaję chłopaka, jakim kiedyś byłem. W którymś momencie zabrakło mi w mojej własnej biografii. Czekałem na jakieś podsumowanie, na syntezę wszystkich oddzielnych i sprzecznych fragmentów, na głos z przeszłości, który pobłogosławiłby życie, jakie prowadziłem, nie wiedząc nawet, co czynię. Pozwoliłem wtedy, by każdym moim krokiem rządził instynkt - niczego nie przemyślałem do końca. Młody człowiek, który dodawał otuchy Jordanowi, wiedząc go przez leśne ostępy Boundary Waters, dawno już umarł i nikt go nie oplakiwał.

Pożegnałem się z porywczym, zapalczywym chłopakiem, którym kiedyś byłem, na moście w Charlestonie, a przecież wszyscy obecni na scenie takim mnie właśnie zapamiętali. To ten chłopak - obawiałem się - wysłał Shylę na śmierć; to on podpisywał rozkazy polowe, kierujące ją na most, z którego rozciągał się widok na miasto Charleston i nasz wspólny dom. Zerkając na Ledare spostrzegłem, że bacznie mi się przygląda, i uświadomiłem sobie, iż w ciągu ostatniego roku zakochała się we mnie, nie wiedząc, jaki popełnia błąd. Miała to wypisane w oczach, wymalowane na całej twarzy i nie starała się tego wcale ukryć. Chciałem ją ostrzec, uprzedzić, że moja miłość to wyłącznie zimna pasja i ostre krawędzie. Z uśmiercania kobiet, które kochałem, uczyniłem rodzaj hobby, a podstępność i łagodność, z jakimi to czyniłem, zdradzały prawdziwe powołanie.

Gdziekolwiek się jednak obróciłem, widziałem atakującą ogniem ciągłym i przerywanym, oskrzydającą mnie na tej scenie miłość. Nie udało mi się żyć pełną piersią, ponieważ nie umiałem pogodzić się z aliansami i kolejami losu mych niedobrych przyjaciół. Ból związał nas straszliwym miłosnym węzłem. Chciałem coś powiedzieć, ale ten sam zamiar mieli wszyscy pozostali.

Czekaliśmy bez słowa, podczas gdy wszędzie dookoła terkotały cicho kamery.

Coś powstrzymało nas przed zabraniem głosu - coś niewidocznego, co pojawiło się nie proszone na scenie. Póki tkwiło nie rozpoznane wśród nas, nie mogło być mowy o zawieszeniu broni. Tak dawno nie widziałem już tej zjawy, że chwilę trwało, nim zdałem sobie sprawę z jej

obecności. A potem zobaczyłem ją w pełnym świetle i rozpoznałem, tak jak rozpoznaje się starego przyjaciela.

Cześć, Wietnamie, rzekłem w myśli. Dawno się nie widzieliśmy. Jako kraj Wietnam nie był ważny; jako rana trudny do zniesienia. Nie mogliśmy od niego daleko uciec; podążał za nami, kuśtykając o kulach, wszechobecny i niewzruszony. Choć nienawidziłem tej wojny z całej duszy i serca, siedząc na scenie Dock Street Theater uświadomiłem sobie, że wciąż jest moją wojną. Winiłem ją o olbrzymie szkody, jakie przyniosła Ameryce: o zwątpienie, zmierzch dobrych obyczajów, śmierć formy, upadek starych prawd oraz kryzys prawa i jego instytucji. Wszystko było na sprzedaż. Nic nie przetrwało w nie zmienionej postaci. Łatwiznę i tandetę wyniesiono na ołtarze, a mowy idiotów słuchano niczym królewskiego orędzia. O czymś takim jak stałość mówiło się wyłącznie w podręcznikach fizyki. Wszędzie panował indyferentyzm i trudno było komukolwiek ufać. Bóg wycofał się na z góry upatrzone pozycje. Przemierzyłem cały świat, żeby znaleźć coś, w co mógłbym uwierzyć, i wróciłem z pustymi rękoma. Cześć, Wietnamie, powtórzyłem w myśli. Czas już, żebyśmy się zaprzyjaźnili.

W końcu ktoś zabrał głos i ku mojemu zaskoczeniu był to Capers Middleton.

— O co nam tak naprawdę chodziło? - zapytał. - Słucham wszystkiego, co tu powiedzieliście, i wciąż tego nie rozumiem.

Musicie mi pomóc. Naprawdę.

— Takie jest życie - stwierdził generał Elliott. - Nie ma żadnych gwarancji.

— Bardzo to sobie wygodnie wymyśliłeś - powiedziała Celestine. - Unikać odpowiedzialności. Obciążyć winą jak największą liczbę osób. Tak jak to zawsze robiłeś.

— Chciałbym tylko wiedzieć... - podjął Capers.

— Jesteś wobec siebie zbyt surowy... - przerwała mu Betsy, dotykając jego dłoni.

— Nie, pozwól mi to z siebie wyrzucić - upierał się Capers.

Nie widziałem chyba w życiu kogoś, kto byłby bardziej za kłopotany. - Nie miałem pojęcia, że to się tak potoczy. W przeciwnym razie postąpiłbym inaczej. Nie miałem pojęcia, że takie będą konsekwencje. Zraniłem ludzi, którzy byli mi najbliżsi na świecie. Ta świadomość nigdy mnie nie opuściła. Wciąż we mnie tkwi.

— Ja nie osądzam się aż tak krytycznie - stwierdził

—

—

—

z uśmiechem Bob Radykał. W przeciwieństwie do nas wyznania Jordana nie wywarły na nim większego wrażenia. - Zrobiłem to, co uważałem wtedy za słuszne. Miło jest sobie pogwarzyć o przeszłości, ale to kompletna strata czasu.

- Żegnaj, Bob - odezwał się, strzelając palcami, Mike

Hess, ponownie w roli producenta. - Wracaj do hotelu. Zjedz dobrą kolację i pędź do domu. Jesteś zwolniony.

Bob Merrill wstał i zszedł ze sceny, znikając na zawsze z naszego życia. Nikt za nim nie patrzył, nikt nie powiedział nawet "do widzenia".

— W porządku - stwierdził, mierząc nas wzrokiem, Mikę. - Potrzebne nam jest jakieś zakończenie. Musimy je znaleźć. Pomóżmy sobie wzajemnie.

— Wszystko wymknęło mi się z rąk - powiedział Jordan, zwracając się do ojca. - Przestałem cokolwiek rozumieć.

— Trafiliśmy na złe czasy. Nie sposób było zatrzymać się w biegu i choć przez chwilę zastanowić nad tym, co się dzieje. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko - oznajmiła Ledare.

— Ciebie wtedy w ogóle nie było, Ledare - odparł Mikę. - To był jedyny statek kosmiczny, którym nie podróżywałaś.

— Obserwowałam was przez cały czas - zaprotestowała. - A potem odziedziczyłam Capersa, wyciągnęłam go z całego tego szamba. Mam wrażenie, że to wszystko sprawiło mu dużo bólu. Nie sądzę, by mógł mi kiedykolwiek wybaczyć, że pokochałam go po tym, co zrobił swoim przyjaciołom.

— Nie wydaje mi się, żebyś znała prawdziwego Capersa - stwierdziła Betsy, śpiesząc z pomocą mężowi.

— Obawiam się, że dysponuję w tym względzie poufnymi informacjami - odcięła się Ledare. - Zawarłam bliższą znajomość z twoim mężem, kotku.

— To nie był prawdziwy Capers - upierała się Betsy. - Nie ten, którego znam...

— Nie, kochanie - przerwał jej Capers. - Oni wiedzą, że to byłem prawdziwy ja. Proszę ich, żeby zaakceptowali tę część mojej osobowości. Zawsze taki byłem i wszyscy o tym wiedzieli. Nie zdawałem sobie tylko sprawy, że mogę zadać tyle ran moim przyjaciołom. Zniszczyłem życie Jordanowi. Popatrz, co zrobiłem jego rodzicom.

— Zawsze byłeś swoim najbardziej surowym krytykiem - nie dawała za wygraną Betsy.

710

— Zamknij się, Betsy - mruknął Mikę. - Bardzo cię proszę, zamknij się.

— Czy mogę liczyć na wybaczenie? - zapytał Capers. - To właśnie chciałbym wiedzieć.

— Ty? Ty prosisz ich o wybaczenie? - odezwał się z niedowierzaniem ^generał Elliott. - Ty jeden ze wszystkich tu obecnych zachowałeś się w całej tej sprawie z honorem.

— Co ty wiesz o honorze? - przerwała mężowi Celestine. - Powiedz nam, co o nim wiesz, mój drogi. Powiedz swojej żonie i synowi, którego zdradziłeś.

— Tato był wierny wyznawanym przez siebie zasadom, mam - wtrącił Jordan. - Nikogo nie zdradził.

— To bardzo surowe zasady - powiedziałem.

— Ja też ich nie rozumiałem - przyznał Jordan - dopóki nie spotkałem kilku jezuitów w Rzymie.

Ojciec Jude i przeor roześmieli się, dla nas żart był jednak zbyt wysublimowany.

— Czy dlatego zostałeś zakonnikiem, że w klasztorze najłatwiej było ci pogrzebać przeszłość? - zapytała Ledare.

— Nie - odpowiedział. - To było najlepsze miejsce, żeby ukryć się przed teraźniejszością. I przed samym sobą. Poza tym odkryłem w sobie powołanie. Urodziłem się, żeby zostać księdzem, ale musiałem zabić dwoje niewinnych ludzi, aby się o tym przekonać.

— Dlaczego nie zmówiłeś po prostu dodatkowego różańca, synu? - zauważył z przekąsem generał. - Nie zginąłby wtedy ten żołnierz i jego dziewczyna, a wojsko nie straciłoby samolotu.

— Żałuję, że tego nie zrobiłem, tato - odparł Jordan, z rękoma skrzyżowanymi na kolanach.

— Szkoda, że zabrakło ci charakteru - kontynuował generał.

— To nie charakteru mi zabrakło, lecz umiaru.

— Zostaw w spokoju mojego syna - syknęła Celestine.

— Jest także moim synem.

— W takim razie niech pan się zachowuje tak jak ojciec.

Niech pan patrzy mu w twarz, kiedy do pana mówi - powie działałem.

— Jestem, jaki jestem, i nic na to nie poradzę - odparł generał.

— Ja też, tato - szepnął Jordan.

711

Celestine wstała gwałtownie z fotela i podeszła do swego męża.

— Jeszcze tego nie widzisz, Rembercie? To przecież jasne jak słońce. Nikt z nas nie mógł postąpić inaczej. Los jest sługą charakteru. Wynajętym pomagierem, nikim więcej. Nie zmieniłeś się ani trochę, odkąd cię poznałam. Spójrz na siebie.

Wydaje ci się, że jesteś świętszy od papieża. Chodząca doskołałość. Wiem, o co ci dzisiaj chodzi, nie muszę cię wcale pytać. Ty w ogóle nie myślisz, powielasz tylko stereotypy. Zaatakował byś okopy wroga, żeby uratować życie wszystkich tu obecnych. Ale nacierałbyś z jeszcze większą determinacją, gdybyś wiedział, że ukrywa się tam twój syn. Chcesz go zamknąć za kratkami. Chcesz, żeby zgnił w więzieniu.

— Jestem mnichem, mam - uspokoił ją Jordan. - Nie boję się celi. To kolejne miejsce, w którym będę mógł się modlić.

— On wykreślił cię z mojego życia, Jordan - odparła. -

Nigdy mu tego nie wybaczę. I nigdy nie wybaczę sobie, że na to pozwoliłam. Rozwodzę się z twoim ojcem z samego wstydu i zmęczenia.

— Robiąc to popełniasz błąd, Celestine - oświadczył generał. - Nie chodzi wcale o to, że kochasz Jordana bardziej ode mnie. Tak ci się tylko wydaje, nic więcej. Żyjesz w świecie pozorów. Przyznaję, że... - zaczął i przerwał.

— Niech pan mówi dalej, generale - powiedział Mikę Hess i zabrzmiało to jak polecenie, nie jak prośba.

Generał zrobił zdziwioną minę, po chwili jednak podjął przerwana myśl.

- Przyznaję, że kochałem Jordana tak samo mocno jak moja żona. Ale w granicach, które wyznaczała moja epoka. Zawsze potrafiłem poprowadzić ludzi do walki. Niewielu mężczyzn ma ten dar. Zawsze umiałem dogadać się z żołnierzami. Lepszy ojciec nie mógłby być tak dobrym żołnierzem. Młotek uderzył w blat biurka i usłyszałem głos mojego ojca.
— Nie jesteś już żołnierzem piechoty morskiej, Rembercie. To zamknięty rozdział. Co zamierzasz teraz zrobić z Jordanem?
— Chcę, żeby poniósł odpowiedzialność za swoje czyny.
— Dostrzegłem dzisiaj coś, co mnie zdziwiło - powiedział ojciec i zobaczyłem nagle, że mi się przygląda. - Jordan traktuje cię z o wiele większym szacunkiem, niż Jack traktuje mnie. Wszyscy to widzą. Ale ty najwyraźniej nie przywiązujesz do tego żadnego znaczenia.

712

— Wychowałem Jordana tak, aby odróżniał dobro od zła - stwierdził generał. - Ale kiedy wezwała go ojczyzna, zawiodł.

— Masz na myśli Wietnam? - zapytał Capers.

— Tak, Wietnam - przytaknął generał. - Nie można poradzić na to, w jakim człowiek się rodzi pokoleniu. Cieszę się, że nie urodziłem się w waszym.

— Rzeczywiście, pańskie pokolenie jest wspaniałe - odezwał się, z trudem trzymając nerwy na wodzy. - Wielkie dzięki za tę fantastyczną małą wojenkę, którą nam sprezentowaliście. Umrzemy szczęśliwsi wiedząc, że poróżniliśmy się z powodu waszej głupoty.

— Ta wojenka i tak była dla was za duża, Jack - oznajmił generał.

— Dla mnie osobiście była za mała, generale. Tego właśnie pan nie pojmuje.

— Oczekiwałem od ciebie czegoś więcej, Rembercie - powiedział mój ojciec.

— Oczekiwałeś ode mnie czegoś więcej? - powtórzył łodowatym tonem generał.

— Jordan przyjechał tutaj, ponieważ chciał ci opowiedzieć swoją historię - wyjaśnił sędzia. - Cała reszta to tylko ozdoby.

— Walczyłeś w Europie, sędzio. Odznaczono cię za odwagę. Co myślisz o Jacku i o tym, jak on i jemu podobni zachowali się w chwili, gdy ojczyzna znalazła się w potrzebie?

— Ja postąpiłbym inaczej - przyznał ojciec.

— Sam widzisz - mruknął generał.

— Spójrzmy jednak prawdzie w oczy. Przykładamy do nich standardy, które nie znajdują już zastosowania - kontynuował sędzia. - Mój syn Jack bronił tego, w co wierzył. Tak został wychowany.

Ukloniłem się z uznaniem ojcu, który odpowiedział mi tym samym. Generał obserwował z niesmakiem nasze zachowanie.

— Będę brutalnie szczery, sędzio - oznajmił. - Został wychowany przez małomiasteczkowego pijaka. Mówisz o stan

dardach? Osobiście wątpię, czy przez większość czasu byłeś dość trzeźwy, żeby wiedzieć, czy Jack jest w domu..

— Stój na baczność, kiedy mówisz do mojego ojca - syknąłem. - Odezwyj się do niego jeszcze raz w ten sposób, a zamiotę twoimi zębami podłogę.

713

Młotek ponownie uderzył w blat biurka.

— Nie udzieliłem ci głosu, Jack - upomniał mnie ojciec. - Poza tym generał ma absolutną rację.

— Przepraszam cię bardzo, Johnsonie - stwierdził generał Elliott.

— Takie rzeczy zdarzają się w ferworze walki - odparł wielkodusznie ojciec. - Nic złego się nie stało. Przepróż generała, Jack.

— Przepraszam, Rembercie - powiedziałem, zwracając się do niego po raz pierwszy w życiu po imieniu. - Poniosło mnie.

— Spodobała mi się myśl, że zamiatasz podłogę jego zębami - przyznała Celestine, a Mikę roześmiał się głośno, rozładowując częściowo napięcie.

— Brakowało mi ciebie, Jordan - oznajmił Capers, wstając z fotela i zbliżając się ostrożnie do zakonnika. - Nie mogę się pogodzić z tym, że wszyscy uważacie mnie za zdrajcę. Nie mogę myśleć o sobie w ten sposób. To jest sprzeczne z moją naturą. Shyla umarła, nie zamieniwszy ze mną ani jednego słowa. Napisałem do niej kiedyś list. Że ją kocham, że kocham was wszystkich. Że nikt z nas nie jest odpowiedzialny za to, co zdarzyło się na uniwerku. Shyla odesłała list, w ogóle go nie otwierając. Jack w dalszym ciągu nie może na mnie patrzeć, nie zgrzytając zębami z nienawiści. Nie próbuj zaprzeczać, Jack - dodał zwracając się do mnie.

— Słyszałeś, żebym zaprzeczał? - odrzekłem.

— Shyla myślała, że ją kochasz, Capers - powiedziała Ledare. - Nie tylko ona popełniła ten błąd.

— Byłem wobec ciebie podły, Ledare - przyznał samokrytycznie Capers. - Widzę, ile straciłem, za każdym razem kiedy na ciebie patrzę.

— Nic się nie stało, kotku. Straciłam przez ciebie wyłącznie kilka lat życia i wiarę w małżeństwo. Poza tym wyszłam bez szwanku.

— Przepraszam, Ledare. Proszę, wybac mi - ciągnął Capers.

— Dostyc tego - przerwała mu Betsy. - Nie płaszcz się. To do ciebie niepodobne, kochanie.

— No, no - mruknął Mikę. - Czysty lód, Betsy. Eskimoska nie potrafiłaby wyrazić tego lepiej.

— Przepraszam, Ledare - powtórzył Capers. - Kiedy się rozstaliśmy, uświadomiłem sobie, że coś złego dzieje się w moim życiu.

714

- Proszę, oszczędź mi tego - powiedziałem. - Od hipokryzji pocą mi się oczy.

Ponownie rozległo się stuknięcie młotka.

— Skoro nie możesz pogodzić się z jednym z najlepszych przyjaciół, jaką może mieć nadzieję Jordan na zgodę z ojcem? - zapytał mnie ojciec. - Jak to rozwiążemy?

— Kończy się film. Musimy to jakoś zakończyć - oznajmił Mikę.

Spojrzałem na ojca i zrozumiałem, co powinienem zrobić tej nocy. Podniosłem się z fotela i stanąłem naprzeciwko Capersa.

— Przepraszam, Jack. Bardzo cię przepraszam - odezwał się pierwszy. - Żałuję, że nie można tego cofnąć. Postąpiłbym wtedy we właściwy sposób.

— Kiedy zostaniesz gubernatorem, będę wysyłał ci wszystkie mandaty za nieprawidłowe parkowanie - odparłem.

Podaliśmy sobie ręce i kiedy obaj uznaliśmy, że jesteśmy gotowi, objęliśmy się.

Generał wstał i podszedł do swego syna, a ja z Caperssem zajęliśmy swoje miejsca. Jordan przyglądał się spokojnie ojcu.

— Powiedziałeś, że to fikcyjny proces - stwierdził generał, zwracając się do Mike'a. - Chciałbym wypowiedzieć się na temat winy bądź niewinności mojego syna.

— Znakomicie - rzekł Mikę. - Ale to ja jestem tutaj reżyserem i producentem. Do mnie należy pierwszy głos, generalnie. Do diabła, nie muszę chyba panu tłumaczyć, na czym polega struktura dowodzenia. Niewinny.

— Niewinny - powiedziała Ledare i w ślad za nią powtórzyła to samo Celestine.

— Niewinny - oświadczyli przeor i ojciec Jude.

— Niewinny - przytaknęli Betsy i Capers.

— Niewinny - oznajmił sędzia, mój ojciec.

— Teraz kolej na mnie - stwierdził generał i przez moment wydawało mi się, że załamał mu się głos.

— On jest do tego niezdolny - powiedziała Celestine, zwracając się do Jordana, który nie odrywał oczu od ojca. - Miłość leży dla niego zbyt głęboko, by mógł ją odnaleźć.

— Ja mogę ją dla niego odnaleźć, mamó. To dla mnie ła two - zapewnił ją Jordan.

— Przykro mi, synu - szepnął generał. Widzieliśmy, że przemawia do niego teraz jak ojciec, nie jak wojskowy. Jordan z wielką delikatnością zakrył dłonią jego usta.

715

— Nie musisz nic mówić, tato. Wiem, jaki będzie twój werdykt. Jaki musi być twój werdykt. Przyszedłem tu, żeby się z tobą pogodzić. Nie mogę zejść z tej sceny, nie odzyskawszy w swoim życiu ojca. Udowodniłem swoimi czynami, że nie mogę bez niego żyć.

— Nie mogę się zmienić - podjął generał, kiedy Jordan opuścił dłoń.

— Ani ja, tato.

— Powiedz, że źle zrobiłeś.

— Zrobiłem źle - odparł kapłan. - Nienawiść do ciebie zatrąła mi umysł. Powinienem pójść drogą, którą mi wytyczyłeś. Ameryka jest wystarczająco dobrym krajem, żeby ginąć dla

niej nawet wtedy, kiedy nie ma racji. Przynajmniej dla chłopaka takiego jak ja. Wychowanego tak, jak wychowaliście mnie razem z mamą.

— Dosyć tego, Jordan - powiedziałem. - To była wredna wojna. Nie pozwól mu się dłużej poniżać.

— Co mam robić, tato? - zapytał Jordan, czekając na wyrok ojca.

— Zgłoś się - odparł generał. - Jeśli to zrobisz, będę cię popierał z całych sił. Będę o ciebie walczył.

Jordan pochylił głowę, poddając się woli ojca. Dwaj trapiści wstali i podeszli do niego, obaj szczupli i utrudzeni modlitwą. Jordan uklęknął i otrzymał od nich błogosławieństwo.

- Dzisiaj rano Jordan poprosił mnie, abym zadzwonił do generała Peatrossa - oznajmił przeor. - Zakomunikowałem mu, generale, że zgłosi się pan ze swoim synem u komendanta żandarmerii jutro w południe. Generał Peatross chciał, by najpierw zameldował się pan w jego biurze. Powiedział, że zna Jordana jako dziecko.

Rozległ się stłumiony szloch. Celestine Elliott zerwała się z fotela i wybiegła za kulisy. Jordan ruszył za nią i słyszeliśmy, jak ją pociesza. Ekipa filmowa zaczęła zwijać swój sprzęt. Patrzyłem, jak ubrany w togę ojciec podchodzi do generała, który sprawiał wrażenie pokonanego i zgnębionego po dokonaniu jedynej rzeczy, jaką mógł zrobić.

Tego wieczoru zjedliśmy kolację w nadmorskim domu Betsy i Capersa Middletonów na Sullivan's Island. Ustawiłem grill na werandzie, z której rozciągał się widok na ocean, i tak długo

716

piekłem hamburgery i steki, cebulę i bakłażany, aż wszyscy byliśmy najedzeni i szczęśliwi, a Mike i Jordan musieli dokupić piwa. Trapiści wrócili do opactwa Mepkin, a mój ojciec odwiózł generała do Waterfordu. Celestine nie chciała brać udziału w przyjęciu, ale wszyscy pozostali czuliśmy wielką ulgę, mogąc spotkać się w domu Middletonów. Dzieci Ledare, Sarah i mały Capers, cieszyły się widząc swoich rodziców rozmawiających pogodnie pod jednym dachem, a Betsy okazała się świetną gospodynią, gdy siedząc przy stole w jadalni wspominaliśmy dawne dzieje. Czułem się trochę nieswojo, widząc mego przyjaciela w publicznym miejscu i nie musząc się co chwila oglądać, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi. Jordana ogarnęło dziwne poczucie wolności. Nie mógł się nami nacieszyć. Upajał się nami aż do przesyty, a my oddawaliśmy mu się tego wieczoru bez reszty.

Po północy wszyscy, z wyjątkiem Jordana, Capersa, Mike'a i mnie, położyli się gdzieś spać w obszernym domu, a my wybraliśmy się na spacer brzegiem Sullivan's Island. Z portu wypłynął frachtowiec, biorąc kurs na Azję. Kiedy znalazł się na pełnym morzu, do jego burty podpłynął statek pilota i patrzyliśmy w milczeniu, jak mniejsza jednostka wraca po chwili do portu.

— Co teraz? - zapytał Mike. - Chyba nigdy w życiu nie czułem się tak szczęśliwy.

— I mówi to facet, który mieszka w Hollywoodzie? - zdziwił się Capers. - Masz tam przecież swoje aktoreczki. Żyjesz jak król. To chyba lepsze od obżerania się hamburgerami i łażenia po plaży ze starymi przykami z liceum.

— Nie dla mnie - zaprotestował Mike.

— Dla mnie też nie - zgodził się Jordan.

— A ty co powiesz? - Mike zwrócił się do mnie.

— Nie chciałbym popsuć wam wieczoru - odparłem - ale wciąż uważam Capersa za kogoś w rodzaju sukinsyna.

— Ach, ty znowu o tym - mruknął Mike. - W końcu ci to przejdzie.

— Czas płynie naprzód - powiedział Jordan, zadzierając głowę do góry i wpatrując się w gwiazdy. - To wielka nie spodzianka. Być może jedyna, jaka czeka nas w tym życiu. Czuję się tak, jakbyśmy zawsze stali na tej plaży. Jakbyśmy nigdy się nie rozstawali.

— To mi coś przypomina - zawołał Capers, strzelając

717

palcami i ruszając nagle biegiem do domu. Po chwili wrócił, trzymając nad głową deskę surfingową i widząc to nagrodziliśmy go brawami. Rozebraliśmy się do szortów i zanurzyliśmy w ciepłokrwistym chłodzonym powietrzem Atlantyku. Fale były spokojne i niezdecydowane.

— Wy nazywacie to falami? - zapytał Jordan, gdy wy płynęliśmy na głębszą wodę. - Wy nazywacie to oceanem?

— Lato Jordana! - wykrzyknął Mikę.

— Nigdy go nie zapomnę - dodałem.

— Pamiętacie moje długie włosy? - zapytał ostrzyżony krótko zakonnik.

— Pierwszy hipis w Waterfordzie - powiedział Capers. -

Mój Boże. Byłeś pierwszym zwiastunem lat sześćdziesiątych.

Powinniśmy wytarzać cię w smołę i pierzu i odesłać tam, gdzie było twoje miejsce.

— Miej synów. Miej synów - zawołał wesoło Mikę.

— Gdzie są morświny, Mikę? Potrzebne nam są morświny.

— Dajcie tu efekty specjalne! - krzyknął Mikę. - Za dzwońcie do Warner Brothers.

— Tak oto wróciliśmy na stare śmiecie -< oznajmił Capers.

— Życie wraca do punktu wyjścia. I robi to, kiedy się tego najmniej spodziewasz - odparł Jordan.

— Zupełnie jak w dobrym filmie - dodał Mikę.

— Dokąd miałeś zamiar mnie odesłać, Capers? - zapytał Jordan. - Gdzie twoim zdaniem jest moje miejsce?

Kończyło się kolejne lato, wiał ciepły wiatr, a my unosiliśmy się na falach, trzymając się deski surfingowej i czując w ustach smak soli. Prądy niosły nas daleko w bezksiężycową noc, ale my nie baliśmy się, bo byliśmy chłopakami z nizin. A potem Capers podsumował to, co czuliśmy, mierzwiąc Jordanowi włosy i odpowiadając na jego pytanie.

- Tutaj. Twoje miejsce jest tutaj. Wśród nas. Na zawsze.

ROZDZIAŁ 39

Każdy syn znajdzie się kiedyś w podobnym do tego miejscu, myślałem, wchodząc do pokoju, w którym moi bracia czuwali przy łóżku matki. Czułem znajomą woń chemioterapii, ów metaliczny posmak, który osiadał na błonie śluzowej języka. Jej zadaniem było zwalczanie białych krwinek, które rozmnożyły się w krwiobiegu Lucy i wiedzione stadnym instynktem osaczały i niszczyły krwinki czerwone. Oczyma wyobraźni widziałem, jak krew mojej matki zmienia się w puszysty biały śnieg. A kiedy na nią spojrzałem, zobaczyłem, że w jej ślicznych błękitnych oczach czai się przerażenie. Każda cząstka jej ciała porażona była niewysłowionym strachem.

— Gdybyś naprawdę kochał mamę, Jack - powiedział Dupree - siedziałbyś teraz w swoim laboratorium, próbując znaleźć lekarstwo na raka.

— Tego właśnie nie znoszę u swoich braci - stwierdził John Hardin, podchodząc do Lucy. - Słyszałaś to, mammo. Powinniśmy teraz wszyscy starać się poprawić twoje samopoczucie, a głupi Dupree zaczyna swoje żarciki.

— Powiedz nam, jak możemy poprawić mamie samopo-
czucie - wtrącił Dallas. - Najwyraźniej brakuje nam twojej
ogłady.

— Śmiało. Wyśmiewaj się ze mnie - odparł John Har-
din. - Zdaję sobie sprawę, że jestem łatwym celem. Wiem, że
szydzisz ze mnie za moimi plecami. Robisz ze mnie pośmiewis-
ko. Wypisujesz na ścianie świństwa na mój temat, odlewając
się do pisuaru. Widziałem te napisy. Rozpoznałem twój szpetny,
obrzydliwy charakter pisma.

719

— Nigdy w życiu nie napisałem ani jednego słowa na ścianie
ubikacji - zaprotestował Dallas, potrząsając głową.

— Nie masz nawet odwagi, żeby się do tego przyznać - nie
dawał za wygraną John Hardin. - Ty i ludzie twojego pokroju
jesteście godni pogardy.

— Masz rację - poparł go Tee. - Dallas i jemu podobni
są niewarci splunięcia. Co można powiedzieć o człowieku, który
boi się przyznać do własnego graffiti?

— Ty wypisujesz o mnie jeszcze gorsze rzeczy niż Dallas -
oznajmił John Hardin. - Ale znalazłem na was sposób,
chłopcy. Poskarżyłem się mamie. Mama o wszystkim wie,
patafiany. Da wam do wiwatu, jak tylko się z tego wygrzebie.
Prawda, mamo?

— Prawda - potwierdziła słabym głosem Lucy.

— Coś ci się przyśniło, John Hardin - mruknął zdumiony
Tee. - Co takiego o tobie napisałem?

— Napisałeś: J. to najlepszy jebaka w mieście. I umieściłeś
pod spodem numer mojego telefonu.

— Przecież ty nie masz żadnego telefonu - zauważył Dal-
las. - Żyjesz na drzewie jak wróbel.

— Jestem dla was zbyt inteligentny - stwierdził John Har-
din. - Zawsze wyprzedzam was o dwa, trzy ruchy.

— Przestańcie dokuczać Johnowi Hardinowi - szepnęła
Lucy. - Przeczytałam o aresztowaniu Jordana - dodała,
zwracając się do mnie. - Pisali o tym w porannej gazecie.

— Nie powinien był tu wracać - powiedziałem.

— Najtrudniej jest uciec od przeszłości - odparła. - Jor-
dana zmęczyła chyba ucieczka przed kimś, kim tak naprawdę
nigdy nie był.

— Patrzcie. Mama wciąż najbardziej kocha Jacka - za-
uważył John Hardin. - To nieuczciwie faworyzować go z po-
wodu głupiej kolejności narodzin.

— Kiedy Jack się urodził, ja sama byłem dzieckiem, John
Hardin - wyjaśniła Lucy, dotykając lewą dłonią mojej twa-
rzy. - W dzieciństwie nigdy nie miałam lalki, z którą mogłabym
się bawić. Udawałam więc, że Jack jest laleczką, którą jakiś
nieznajomy zostawił mi pod choinką. Byłam taka młoda, że
nie powinnam właściwie wychowywać dziecka, ale Jack nie
mógł o tym wiedzieć. Kiedy po raz pierwszy dałam mu piersi,
w ogóle nie miałam pojęcia, co robię. Ale Jack zgadzał się na
wszystko. Ułatwiał mi życie. Razem dojrzewaliśmy. Był moim

pierwszym prawdziwym przyjacielem i wiedziałam, że nigdy mnie nie opuści.

— Zgaduję, że wyjeżdżając do Włoch, chciał być jak najbliżej ciebie - zauważył z przekąsem Dallas.

— Ja nie pojechałbym do Włoch, gdyby nawet sam papież zaprosił mnie na obiad - oznajmił John Hardin. - Włosi to najstraszniejsi ludzie pod słońcem. Pieczętują przysięgi krwią, sprzedają narkotyki czarnym i strzelają do siebie z dubeltówek. Mężczyźni przylizują włosy świńskim sadłem, a wszystkie kobiety mają wielkie cycki, odmawiają stale różaniec i jedzą potrawy, których nazwy kończą się na samogłoski. Mafia działa już tak długo, iż dziwię się, że jakiś Włoch pozostał jeszcze przy życiu.

— Mam pomysł - oświadczył Tee. - John Hardin udo wodnił właśnie, w jaki sposób Hollywood wpłynął na zbiorowy wizerunek Włochów. Dlaczego mafia nie przestanie zabijać policyjnych szpicli i nie skoncentruje się zamiast tego na reżyserach i producentach filmowych?

— Mama robi się zmęczona - zauważył Dupree. - Może zajrzemy do niej później?

— Zmęczył ją po prostu widok twojej żalostnej gęby - rzucił John Hardin. - Ale kto nie ma go dosyć?

— Nie wiem, dlaczego pozwalam się obrażać temu psychowowi - mruknął Dupree, potrząsając głową i nie zwracając się do nikogo w szczególności.

— Słyszałaś go, mamó? - oburzył się John Hardin, wskazując oskarżycielskim palcem Dupree. - Za coś takiego powinno ci się zabronić co najmniej przez miesiąc oglądać telewizję. I odebrać kieszonkowe. Tak! To cię oduczy robić sobie kpiny z bezbronnego schizofrenika. Źródłem wszystkich moich problemów są zatrute geny i banda zasranych durniów, którzy nie potrafią obudzić w sobie współczucia dla niepełnosprawnego brata. Kiedy byłem małym dzieckiem, wszyscy się nade mną pastwiliście. Nienawidziliście mnie za to, że umiałem otworzyć się przed mamą, prawda, gamonie?

— Zauważyłaś może, że jesteśmy w szpitalu, John Hardin? - zapytałem. - I że mama nie jest w najlepszej formie?

— Odezwał się Wielki Człowiek. Pan Szeff Kuchni, co żyje w Europie i chromoli wszystkich, którzy żyją w Ameryce. Pan Ciota, który najlepiej czuje się w fartuszkach gosposi. Pan DUBY Smalone na Oleju, który opowiada maluczkim, co mają robić.

721

Na chorych psychicznie nagonka trwa tutaj na okrągło. Uprzedzałem cię o tym, mamó, a teraz widzisz to na własne oczy.

— Ty jesteś moim najśladszym synkiem, John Hardin - powiedziała Lucy, biorąc go za rękę i przyciągając do siebie. - Oni nie rozumieją mojego maleństwa, prawda?

— Nie mają o niczym pojęcia - odparł John Hardin załamującym się głosem. - Reprezentują normalny świat i to jest takie straszne. Zawsze mnie to przerażało, mamó.

— Każę im cię dobrze traktować - pocieszała go Lucy, mrugając do nas wszystkich i obejmując Johna Hardina.
— Jesteśmy jedynymi dziećmi w Ameryce, które karze się za to, że nie są schizofrenikami - stwierdził Dallas.
— Książę Ciemności jest zazdrosny - mruknął Tee.
— Aż cały zzieleniał - potwierdził Dupree.
— Zmywajmy się stąd - ponagliłem. - Mama musi od począć.
— Jeden z nas powinien tu być przez cały czas - przypomniał Dupree. - Będziemy się zmieniać.
— Skreślają mnie z listy dyżurów, mamó - poskarżył się John Hardin. - Mnie, który najmocniej cię kocha. Nie wolno mi posiedzieć przy tobie w chwili, kiedy mnie najbardziej potrzebujesz.
— Siostry śmiertelnie się go boją, mamó - wyjaśnił Dallas. - Wszyscy w miasteczku pamiętają, jak zablokował most.
— Słyszałem wtedy głosy - stwierdził John Hardin. - To nie byłem prawdziwy ja.
— Wydawałeś się całkiem prawdziwy - zaprzeczył Tee. - I z całą pewnością mówiłeś własnym głosem, kiedy kazałeś swoim biednym braciom skoczyć na golasa do rzeki.
— Pochodzę z dysfunkcyjnej rodziny - odparł John Hardin. - Nie ponoszę odpowiedzialności za czyny, które popełniam, gdy władzę nade mną obejmują głosy.
— Więc jeśli któreś nocy upieczesz biedną mamę na rożnie - powiedział Dupree - pokroisz ją na kawałki niczym bożonarodzeniowego prosiaka i nakarmisz nimi bezdomnych w schronisku w Savannah, nie będziemy mogli mieć o to do ciebie pretensji.
— Jestem chory psychicznie - oświadczył z dumą John Hardin. - Mam na to papiery.
— Jezu Chryste - jęknąłem. - Życie rodzinne jest zbyt męczące, by mógł je znieść jakikolwiek Amerykanin.

722

— Umieście Johna Hardina na nocnej zmianie - zaproponował Tee. - Chłopak ma kłopoty ze snem.
— Od północy do siódmej - powiedział Dupree. - Sądzisz, że sobie poradzisz, John Hardin? A może wolisz, żeby któryś z nas dotrzymywał ci towarzystwa?
— Nie jesteście dla mnie żadnym towarzystwem - odciął się John Hardin. - Jesteście po prostu wrodzonym piętnem, z którym muszę żyć.
— To nie potrwa nawet dwudziestu czterech godzin - stwierdziła słabym głosem Lucy. - To świństwo może i niszczy komórki rakowe, ale jednocześnie zabija mnie samą.
John Hardin przyjrzał się uważnie ponurej plastikowej butelce wypełnionej cuchnącym roztworem, który skapywał do krwiobiegu Lucy.
— Ten syf w ogóle nie działa - oznajmił. - Nabija kabzę lekarzom i firmom produkującym leki i zabija naszą wspaniałą biedną mamę. Jediną rzeczą, która może zwalczyć leukemię, jest witamina C. Czytałem o tym w magazynie "Paradę".

— Chwała Bogu, że mamy po naszej stronie Pana Znachora - mruknął Dallas.

A potem stanęliśmy wokół łóżka Lucy i całowaliśmy ją tak długo, aż zaczęła nas błagać, żebyśmy wyszli.

- Kocham cię z całego serca i z całej duszy, mamó - powiedział płacząc Tee. - Kocham cię, chociaż wszyscy wiemy, że zrobiłaś, co mogłaś, żeby spieprzyć mi życie.

Gruchnęliśmy gromkim śmiechem i tego było już za wiele dla Lucy, która wygoniła nas wszystkich na korytarz. Tee miał objąć przy niej pierwszą zmianę. Po raz kolejny dostosowywaliśmy rytm naszego czuwania do cyklu jej chemioterapii. Przyglądając się swoim niesfornym, hałaśliwym braciom, wiedziałem, że żaden nie zadał sobie trudu, by wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało następnych trzydzieści albo czterdzieści lat bez Lucy. Każdy z nas pogodził się na swój własny sposób z okrucieństwem i bezduszością życia, teraz jednak staliśmy przed perspektywą obudzenia się któregoś ranka w świecie, który będzie nie tylko bezosobowy, lecz także zabraknie w nim matki. Stojąc w chmurze papierosowego dymu w poczekalni, dzieliliśmy się najświeższymi myślami i obawami, nadrabiając miną i starając się dodać sobie otuchy. Wszyscy widzieliśmy strach w oczach Lucy.

723

— Ja jeden spośród was uważam, że mama pociągnie jeszcze co najmniej dziesięć lat - oświadczył z przyganą w głosie John Hardin. - Wy daliście już za wygraną, prawda?

— Zmień mnie o północy, John Hardin. Pozostali mogą iść spać - powiedział Tee.

— Wiecie, że białaczka jest jedynym nowotworem, na którego rozwój wpływają ludzkie emocje? - kontynuował John Hardin. - Ja jeden nie tracę optymizmu w tej bandzie ponu raków. Mama chce, żebyśmy byli weseli, a nie trzymali nosy spuszczone na kwintę.

— Na ile lat wsadzą mnie do paki, jeśli dostanę ataku szału i rozbiję mu łeb kluczem francuskim? - zapytał Dupree, zwracając się do Dallasa.

— To twoje pierwsze wykroczenie? Posiedzisz najwyżej cztery lata, uwzględniając zwolnienie z tytułu dobrego sprawowania.

— Na pewno sobie poradzisz? - zapytałem Johna Hardina, kładąc mu rękę na ramieniu. - Nie możemy sobie pozwolić na żaden błąd. Musisz zdobyć nasze zaufanie.

— A to dlaczego? Nikt dotąd nigdy mi nie ufał. W żadnej sprawie - odparł John Hardin. - Dlatego właśnie jestem na pieńku z całym światem.

O północy, kiedy Waterford spał, a na rozlewiskach i w ujściach rzek zaczynał się odpływ, John Hardin zmienił Tee. Zaspany Tee uścisnął brata i nie zawiązując sznurowadeł oddalił się wyłożonym linoleum korytarzem.

Pielęgniarka, która o wpół do pierwszej w nocy przyszła zmierzyć Lucy temperaturę i ciśnienie krwi oraz zawiesić nowy pojemnik z roztworem, stwierdziła, że John Hardin był podenerwowany, ale przyjazny. Kiedy o siódmej rano w szpitalu zjawił się Dupree, John Hardin i Lucy zniknęli. Przy bocznych drzwiach kliniki stał fotel na kółkach, którego John Hardin użył do wywiezienia matki w bezpieczne miejsce. Pod jej poduszką zostawił liścik następującej treści: Nie pozwolę, żeby zabili moją biedną matkę swoimi truciznami. Robiąc to, udowodnię również, że kocham ją o wiele bardziej niż jej inni niewydarzeni synowie. Niektórzy mogą uznać mnie za szaleńca, ale matka dowie się w końcu, że jest dla mnie najważniejsza.

Kiedy dotarły do nas najświeższe wiadomości, zebraliśmy się w domu sędziego, aby przedyskutować strategię i ustalić odpowiedzialność za to, co się stało. Dallas spoglądał spode

724

łba na Dupree i wściekał się bardziej niż zwykle, kiedy Tee otworzył piwo i wylał do zlewu świeżo zaparzoną kawę.

— Alkohol jest najlepszym lekarstwem, kiedy jesteśmy w stresie. Kofeiny potrzebujemy, kiedy chcemy wytrzeźwieć - wyjaśnił Tee.

— Po raz któryś z rzędu stałem się przez was pośmiewiskiem całego miasta - stwierdził Dallas. - Wy tego nie rozumiecie. Przypominam hydrant, na który odlewają się wszystkie okoliczne kundle, żeby oznaczyć swoje terytorium. Nie powinienem był was słuchać.

— Mamie bardzo zależało, żebyśmy włączyli do dyżurów Johna Hardina - powiedział Tee. - Popelniliśmy drobny błąd. Następnym razem, kiedy będzie umierać, załatwimy to inaczej.

— Jej lekarz dostał szału - poinformował nas Dupree. - Wydzierał się na mnie przez pół godziny. Doktor Pitts też nie był zbyt uszczęśliwony.

— Wpompowali w nią dość chemii, żeby czuła się wyjątkowo podle - dodał Dallas - ale za mało, by jej choć trochę pomogło.

— John Hardin zabrał samochód mamy - stwierdziłem. - Doktor Pitts powiedział mi, że ze spiżarni ich domu wyparowało całe jedzenie. Zniknął także alkohol, koce, pościel i ręczniki. Po porannym telefonie od Dupree sprawdziłem domek na drzewie, ale nikogo tam nie było.

— John Hardin nie ma karty kredytowej i większych pieniędzy - powiedział Dupree. - Wszystko zostało w torebce mamy. Nie ma miejsca, w którym mógłby się schronić. Zawia domiliśmy drogówkę, która wcześniej czy później trafi na samochód mamy i sprowadzi ich z powrotem.

— John ma nie po kolei w głowie, ale jest cholernie cwany - ostrzegł Tee. - Chłopak ma jakiś plan. Mogę wam to zagwarantować.

— Wiecie, dlaczego nas to spotkało? - zapytał Dallas. - To proste. Ponieważ rodzice wychowali nas na liberałów. Nauczili nas ufać swoim ziomkom i wierzyć w ich wrodzoną dobroć. Nikt prócz nas nie pozwoliłby takiemu jak on świrowi czuć przy umierającej matce. Gdyby, podobnie jak wszystkich południowców, wychowano nas na porządnym konserwatystach, nigdy nie dopuścilibyśmy tego psycha do mamy.

— Zostałbym może konserwatystą, gdybym żadnego z nich nie znał - odparłem. - Są samolubni, podli, egocentryczni, zacofani i nudni.

725

— Zgadza się - pokiwał głową Dallas. - Takie właśnie mam aspiracje.

— Poczucie winy - mruknął Tee. - Oglądam Haiti i czuję się winny. Oglądam Somalię i aż mnie skręca. Salwador i cierpię katusze. Gwatemalę i płaczą rzewnymi łami. Zatłoczone ulice

Indii i wiem, że to moja wina.

— Umierającą mamę... - dodał Dupree.

— Nasza wina - zawołaliśmy wszyscy czterej.

— Powinniśmy byli to przewidzieć, chłopcy - powiedział Tee.

— Skąd mogliśmy wiedzieć, co wpadnie do głowy temu szaleńcowi? - obruszył się Dallas.

— To nie jest szaleniec - zaprotestował Dupree. - Jest naszym bratem i musimy go odnaleźć, zanim umrze mama. Nie możemy pozwolić, żeby umarła, kiedy on z nią będzie. John Hardin nie zniósłby tego.

— Przeszukam boczne drogi - zaproponowałem.

— Wiem, że wpada czasami do Yesterday w Columbii - oznajmił Dupree. - Tee i ja porozmawiamy tam ze stałymi bywalcami. Ty, Dallas, mógłbyś przejechać się do Charlestonu i sprawdzić, czy nikt go tam nie widział.

— Hip hip hura! Nareszcie nadarza mi się lepsza robota. Klient z grubą forszą, który chce, żebym przysiadł fałdów. Płaci za sekretarkę i pokrywa z góry wszystkie koszty - stwierdził z przekąsem Dallas.

— Cadillac mamy ma różowy kolor - powiedziałem. - Na bocznej drodze John Hardin będzie w nim wyglądał jak alfons na wakacjach.

— Tęsknisz za Włochami, prawda, brachu? - zapytał Tee.

— Chi, yo? - odparłem.

— Żałuję, że nie urodziłem się Włochem - rozmarzył się Dallas. - Nie znałbym wtedy ani słowa po angielsku. O niczym bym nie wiedział. W naszej rodzinie to jedyne sposob na prze trwanie.

— Zadzwońcie do mnie o szóstej wieczorem - poprosi łem. - W ciągu dnia możemy założyć sztab operacyjny w kancelarii Dallasa. Gdzie jest tato?

— Pijany - odparł Dupree.

— Rany boskie. Jestem wstrząśnięty - mruknął Dallas..-

Mój ojciec uderzył w gaz. To zupełnie do niego niepodobne.

— Pije, kiedy znajduje się w stresie - wyjaśnił Dupree.

726

- A także kiedy się w nim nie znajduje - dodałem.

Chociaż wiele można zarzucić mniejszym stanom w rodzaju Karoliny Południowej, zapewniają one swym obywatelom swoiste poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa. Już po dwudziestu czterech godzinach od porwania w całym stanie trwały poszukiwania różowego cadillaca, rocznik 1985, z chorym psychicznie osobnikiem i straszliwie osłabioną kobietą, która przeszła tylko dwie piąte zaordynowanej jej przez lekarzy chemioterapii.

Podczas gdy Tee sprawdzał rezerwacje w rozrzuconych po całym stanie motelach i hotelach, a Dallas telefonował do szeryfów w większości okręgów rolniczych, ja siedziałem w siedzibie "News and Courier" w Charlestonie, wydzwaniając do redakcji lokalnych gazet z prośbą o zamieszczenie na pierwszej stronie wiadomości o zaginięciu Lucy. Zaraz po przyjeździe do Columbii Dupree ruszył szlakiem usytuowanych na obrzeżach uniwersytetu knajp, szukając w nich kumpli Johna Hardina. Alkohol był pierwszym azylem, którego poszukał John Hardin, kiedy mgła zaćmiła jego umysł. W mrocznych barach spotykał pozbawionych uprzedzeń przyjaciół, którzy słuchali cierpliwie, gdy wyliczał wszystkie złe moce, które sprzysięgły się przeciwko niemu. Odnajdywał

pociechę wśród obcych ludzi snujących się apatycznie po lustrzanych salach tego samego raję głupców, do którego uciekał, gdy ogarniała go panika albo zabijało nieuchwytne cierpienie. Dupree wiedział dobrze o nocnych wypadach Johna Hardina i dostawał często telefony od barmanów, kiedy jego brat wypił zbyt dużo, by wrócić o własnych siłach do domu. Usłyszawszy o zniknięciu Johna Hardina razem z matką, bywalcy barów otworzyli się przed Dupree i podali mu nazwiska i numery telefonów innych jego przyjaciół. Trzeciego dnia Dupree odnalazł człowieka, który mógł mu powiedzieć, dokąd udał się John Hardin i jak go odszukać.

Vernon Pellarin kręcił się po terenie stanowego szpitala, wśród ogłuszonych narkotykami, kopających papierosy pacjentów, pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym urzędował Dupree. Podniesiony na duchu solidną dawką leków antydepresyjnych, poinformował go pogodnym tonem, iż dał Johnowi Hardinowi klucze do rodzinnego domku rybackiego nad Edisto River. Jego zdaniem było to jakieś dwa tygodnie wcześniej, w barze Muldoon's koło stanowego kapitolu. Po śmierci ojca

727

domek należał do Vernona i jego brata Caseya, ale Casey mieszkał w Spokane w stanie Waszyngton. John Hardin powiedział, że musi znaleźć najbardziej spokojne i ustronne miejsce w całej Ameryce, pisze bowiem esej, który całkowicie zmieni współczesne społeczeństwo. Vernon z radością zgodził się wnieść swój skromny wkład w rozwój amerykańskiej literatury. Umebłowany domek był czysty i wygodny. Niestety dotrzeć tam można było tylko łodzią.

Nazajutrz rano spuściliśmy na wody Edisto River, nieco poniżej Orangeburga, dwie płaskodenne łodzie. Tee i ja wsiedliśmy do pierwszej, Dupree i Dallas do drugiej. Mieliśmy zamiar sprowadzić Lucy z powrotem do szpitala, nie chcieliśmy jednak zrobić żadnej krzywdy naszemu wrażliwemu bratu - ani dać się skrzywdzić jemu. Kiedy dopuszczał się przemocy, John Hardin potrafił sterroryzować całe miasto i był to fakt, o którym dobrze wiedzieli i którego wielokrotnie doświadczyli mieszkańcy Waterfordu.

Pozwoliliśmy, by wartki prąd niósł nas wezbraną od deszczu Edisto. Rosnące nad rzeką dęby pochylały się nad wodą, dotykając się wzajemnie gałęziami i przekazując sobie z ręki do ręki ptactwo i gady. Kiedy przepływaliśmy pod nisko wiszącymi konarami, wodne węże wodziły za nami powoli oczyma. Na gałęziach jednego z dębów Dallas naliczył aż siedem oplatających je gadów.

— Nienawidzę węży - mruknął stłumionym głosem. - Co to za gatunek?

— Mokasyn błotny - odparł Tee. - Jego jad jest śmiertelnie trujący. Po ukąszeniu masz trzydzieści sekund na pogoń przed siebie ze swoim Stwórcą.

— To wodne węże - sprostował Dupree. - Nic nam nie zrobią.

— To żadna frajda płynąć pod drzewem i widzieć na nim pięćdziesiąt żywych stworzeń, które mają ochotę spożyć mnie na śniadanie - denerwował się Dallas.

— Węże nic nam nie zrobią - powtórzył Dupree. - Na szym problemem jest John Hardin.

— Może trafimy na moment, kiedy będzie w dobrym humorze - mruknąłem. - Powiemy mu, że mamy bilety na koncert Stonesów.

— Wątpię - stwierdził Dupree. - Nie dał sobie zrobić ostatniego zastrzyku. Najprawdopodobniej gołał sobie dla

728

kurażu i jest wkurzony, bo uważa, że lekarze chcą zabić mamę. Kiedy go spotkamy, musimy być elastyczni. Jeśli uda nam się namówić go do dobrego, żeby pozwolił zabrać mamę, to świetnie. Ale tak czy inaczej musimy ją odwieźć do szpitala.

— Myślisz, że jest uzbrojony, brachu? - zapytał Tee.
— Prawdopodobnie - odpowiedział Dupree.
— Wiesz, kto jest jedynym dobrym strzelcem w całej rodzinie? - zapytał mnie Tee.
— Pozwól, że zgadnę - odparłem. - John Hardin?
— Potrafi z odległości pięćdziesięciu stóp odstrzelić jaja komarowi. Chłopak umie posługiwać się bronią - mruknął Dallas.

Minęliśmy cztery przystanie przy nie wyróżniających się niczym małych domkach, a potem, za kolejnym zakolem, zobaczyliśmy w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów wrzynający się w rzekę pomost. Łódź Johna Hardina wciągnięta była wysoko na porośnięty zielskim brzeg. Przywiązaliśmy nasze łódki do pomostu, po czym zgodnie z planem, który ustaliliśmy poprzedniej nocy, podzieliliśmy się na dwie grupy i ruszyliśmy przez gęsty las w stronę zbudowanego z pustaków domu. Nad kominem unosiła się smuga czarnego dymu, w nieruchomym powietrzu czuć było zapach rosy i szuwarów. Miękką ziemię porły racicami jelenie, tworząc dziwne hieroglify w poszyciu lasu.

Dupree jako jedyny spośród nas wypuszczał się regularnie na łono natury. Hodował psy myśliwskie, utrzymywał w dobrym stanie silnik swojej łodzi i odnawiał regularnie licencję strzelecką i wędkarską.

Tee i ja patrzyliśmy, jak wybiega szybko i bezszelestnie ze swojej kryjówki i znika za węglem domu. Po chwili ujrzeliśmy, że wchodzi na czworakach na werandę i kucając na piętach zagląda przez brudną szybę do pokoju. Nie mogąc nic zobaczyć, przesunął się do następnego okna, przetarł szybę dłonią i natężając wzrok, zaczął łypać do środka. Po chwili znowu przetarł szybę zwilżonym śliną palcem i przytknął oko do oczyszczonego miejsca. Nie usłyszał szmeru otwieranych drzwi i nie zobaczył Johna Hardina aż do momentu, kiedy lufa sztucera dotknęła jego skroni.

John Hardin zaprowadził go z podniesionymi do góry rękoma na środek porośniętego chwastami podwórka, gdzie kazał mu uklęknąć i założyć dłonie na kark.

- Wychodźcie albo odstrzelę mu kark i rzucę go szopom

729

na pożarcie - wrzasnął głośno, lustrując wzrokiem gęstą ścianę lasu.

- Znowu każe nam się rozebrać do naga. Będzie się wyśmiewał z naszych małych fiutów. Każe nam płynąć wpław aż do drogi numer siedemnaście - szepnął Tee, ale pokazałem mu na migi, żeby się nie odzywał.

Dallas załamał się pierwszy. Wyłonił się z lasu po drugiej stronie domu i aby zrobić większe wrażenie, użył powagi swej profesji.

— Poddaj się, John Hardin - zawołał, wymachując w powietrzu kartką papieru. - Mam tutaj nakaz twojego aresztowania, braciszku. Podpisało go trzech facetów z biura prokuratora, a także twój własny ojciec. Tato chce, żebyś znalazł się za kratkami. Chce, żeby zamknęli cię raz na zawsze i prze-topili na żyłki wszystkie klucze, które pasują do twojego zamka. Jestem twoją jedyną szansą, John Hardin. Jako twój obrońca wyciągnę cię z ciupy, zanim pstrąg pierdnie w górskich wodach.

— Pstrąg pierdnie w górskich wodach? - szepnąłem. - Skąd mu to przyszło do głowy?

— Kiedy się boi, żadna metafora nie jest przy nim bezpieczna - wyjaśnił Tee. - Posłuchaj tylko jego głosu. Jest śmierć

telnie przerażony.

— Poszukują cię w trzech stanach, John Hardin. W całym kraju ogłoszono za tobą list gończy. Uratować cię może tylko genialny adwokat. Facet, który należał do najlepszej dziesiątki na swoim roku. Wybitny obrońca, który potrafi oczarować ławę przysięgłych i przekonać o twojej niewinności sędziego, prawnik, który umie zamienić w złoto każdy metal.

— Na kolana, draniu! - wrzasnął John Hardin. - Bo odstrzelę ci łeb!

— Mam nadzieję, że twój adwokat skrewi - zapłakał Dallas, osuwając się na kolana. - Mam nadzieję, że umieszczą cię w celi razem z wielkim czarnym gwałcicielem, kapitanem więziennej drużyny koszykówki.

— To był czysty rasizm - szepnął Tee.

— Zgadzam się - odparłem.

— Mógłbym rozwalić was na miejscu. Teraz, kiedy sterczycie tu na klęczkach - stwierdził John Hardin. - I nie spędzić ani jednej minuty w więzieniu. Wiecie dlaczego? Bo jestem waria tem. Mam na to papiery. Obaj dokuczaliście mi, kiedy byłem 730

małym chłopcem. Kto wie? Może to jest klucz do mojej schizofrenii.

— Kto wie? - mruknął Dupree. - Równie dobrze mogła to być wina mamy.

— Stul dziób! - rozkazał John Hardin. - Nie waż się powiedzieć ani jednego złego słowa na naszą cudowną matkę. Może rzeczywiście nie była najlepsza. Ale zwróćcie uwagę, za kogo wyszła: za naszego okropnego starego, który nie był jej godzien, nie zasługiwał nawet, żeby całować stopy takiej świętej osoby. Nasza matka miała marzenia, wielkie marzenia. Nie wydaje wam się, że czuła się rozczarowana, rodząc jednego po drugim czterech niewydarzonych synów? Przyznaję, że ja też ją rozczarowałem. Ale mama twierdzi, że byłem zbyt wrażliwy, by przetrwać na tym świecie, gdzie większe psy pożerają mniejsze. Przez całe życie poświęcała się dla ojca i dla was, śmierdzące drutociągi. Mama rozumie mnie jak nikt inny.

— W takim razie dlaczego ją zabijasz? - zapytał spokojnie Dupree.

— Nie waż się tego więcej powtórzyć. Nie waż się, Dupree. Cholerny, nic nie warty, zastrany Dupree.

— On ma rację - odezwał się Dallas. - Chemioterapia to jej jedyna szansa.

— Powinniście zobaczyć, co z nią zrobiła - odparł John Hardin i w jego głosie zabrzmiało prawdziwe przerażenie. - Nie mogła w sobie nic zatrzymać. Kiedy coś zjadła, zaraz zbierało ją na wymioty. Chemioterapia wszystko z niej wyssała. Zabijała ją od środka.

W tej samej chwili z lasu wyskoczył Tee, nawijając jak szalony i wymachując rozpaczliwie rękoma niczym marynarz próbujący zatrzymać przepływający statek. W podbramkowych sytuacjach jego południowa wymowa przechodziła w piskliwy zaśpiew i kiedy John Hardin wycelował w niego ze sztucera, głos Tee zaczął przypominać krzyk poganiacza mułów z wodewilu.

— Brachu, brachu, brachu - wołał półprzytomnie. - Bra-

chu, brachu.

— Czego, do cholery, chcesz, Tee? - zapytał John Hardin, mierząc prosto w jego serce. - Usłyszałem cię już za pierwszym razem. Ile razy zamierzasz powtarzać słowo "brachu", zanim twoim zdaniem je zrozumie?

— Jestem zdenerwowany, brachu - wyjaśnił Tee.

— Nie znoszę, jak ktoś mówi do mnie "brachu" - poinform-

731

mował go John Hardin. - Powiedz to jeszcze raz, a wpakuję ci kulę w serce. A swoją drogą, dlaczego się tak denerwujesz?

— Moja mama umiera. Mój brat jest stuknięty. Grozi, że wpakuje kulę w moje młode serce - załkał Tee. - To naprawdę nie pozwala mi się zrelaksować, brachu.

— Powiedział znowu "brachu" - zauważył Dupree. -

Zastrzel go, John Hardin.

— Zamknij się, Dupree - odparł John Hardin.

— Mam spotkanie na mieście - mruknął Dupree, spoglądając na zegarek. - Stracę robotę, jeśli nie zjawię się na czas.

— To ty masz jakąś robotę? - zaśmiał się John Hardin. -

Z tego, co wiem, zatrudnili cię w domu wariatów, żebyś zamykał podobnych do mnie biedaków.

— Umówiłem się z klientem - oznajmił Dallas. - Kroj mi się większa forsa.

— Jesteś miernym kauzyperdą, który nosi tanie krawaty i nie ma nawet w biurze własnego faksu - stwierdził John Hardin. - Tato może rzeczywiście jest pijakiem, ale to wspaniały prawnik. Jego opinie prawne zmieniały świat, a ty zajmujesz się mandatami drogowymi Portorykańczyków, którzy zgubili się na autostradzie 1-95.

— To dosyć wierne podsumowanie mojej kariery - przyznał Dallas i Dupree parsknął śmiechem.

— Wieczne żarty. Wszystko jest dla was okazją do śmiechu. Tak naprawdę jednak nie macie wcale poczucia humoru. Najbardziej lubicie upokarzać, łamać charaktery, ośmieszać...

— To dotyczy Dupree i Dallasa, brachu - zawołał Tee. -

Moje poczucie humoru jest dokładnie takie jak twoje.

— Dzięki, Tee - powiedział Dallas. - Wspólny front jest tym, czego najbardziej w tej chwili potrzebujemy.

— Musimy zabrać mamę z powrotem do szpitala - oznajmił Dupree, wstając z kolan.

-- Na kolana! - ryknął John Hardin, uderzając go po nogach kolbą sztucera.

W tym momencie uznałem, że dosyć już się napatrzyłem i nasłuchałem; powodowany bardziej frustracją aniżeli przyływem nagłej odwagi wybiegłem spomiędzy drzew, robiąc tyle hałasu, ile może czynić znajdujący się w skrajnej desperacji człowiek. Nie spoglądając nawet na wydzierającego się za moimi plecami Johna Hardina i pozostałych braci, wbiegłem prosto po nie pomalowanych schodach na werandę. John Hardin

732

krzyczał, żebym się zatrzymał, ale ja wszedłem do środka i znalazłem tam półprzytomną matkę, leżącą w przesiąkniętym potem śpiworze tuż przy rozpalonym do czerwoności piecyku.

Przyłożyłem rękę do jej czoła; chyba u nikogo jeszcze nie czułem tak wysokiej temperatury. Lucy

otworzyła oczy. Chciała powiedzieć kilka słów, ale gorączka odebrała jej jasność umysłu. Ogarnięty furją wziąłem ją na ręce, wiedząc, że nikt nie zdoła mnie powstrzymać.

Stąpając ostrożnie po rozchybotanych stopniach, wyszedłem na słońce i ruszyłem prosto w stronę Johna Hardina, który mierzył ze sztucera między moje oczy. Idąc modliłem się, żeby jego wrodzona dobroć wzięła górę nad obłędem. Mnie również doprowadzała do szału choroba matki, pomyślałem, dlaczegoż więc dziwimy się, że John Hardin przeżywa ciężkie chwile?

— Zanieś z powrotem mamę tam, gdzie leżała, albo wyśle cię w darmową podróż do nieba - ostrzegł mnie.

— W takim razie będziesz mógł zająć się za mnie wychowaniem Leah - zawołałem. - Będziesz mógł opowiadać mojej córce, jak zastrześliłeś w lesie jej ojca. Będziesz czytał jej bajki do poduszki i odkładał pieniądze na jej edukację. Shyla popełniła samobójstwo, więc Leah i tak już przywykła do tego, że jest sierotą. A ja nie dbam o to, co mi zrobisz, jeśli mama umrze tutaj, pozostawiona w takim stanie. Zejdź mi z drogi, John Hardin. Mama musi mieć ze czterdzieści stopni gorączki i umrze w ciągu godziny, jeśli nie przewieziemy jej do szpitala. Czy chcesz ją zabić?

— Nie, Jack, jak Boga kocham. Próbuję ją ratować, próbuję jej pomóc. Zapytaj mamę. Obudź ją. Ona wie, co chcę zrobić. Zapomniałem zabrać aspirynę. To wszystko. Kocham ją bardziej niż ktokolwiek na świecie. O wiele bardziej niż ktokolwiek z was. Ona o tym wie.

— W takim razie pozwól nam zabrać ją tam, gdzie potrafia ją uratować - powiedziałem.

— Pozwól nam. Pozwól - zawołali Dallas, Dupree i Tee, i John Hardin opuścił w dół sztucer.

Po przyjeździe do szpitala Lucy długo pozostawała w mrocznej krainie delirium. Ponownie zgromadziliśmy się w jej izolatce, szepcząc po tysiąc razy "kocham cię, mamo" - powtarzając tych kilka słów w nie kończącej się litanii walentynek, które

733

i

I

miały złagodzić jej samotność i cierpienie. Do żyły w jej prawej ręce ponownie skapywał przezroczysty cuchnący roztwór. Po wejściu w jej krwiobieg płonął żywym ogniem, zabijając wszystkie napotkane komórki, dobre i złe, i po raz kolejny zabierając ją do przedśionka śmierci. Puls i ciśnienie krwi zmieniały się z minuty na minutę, kontrolowane przez młodego lekarza, który obserwował, jak matka zstępuje w otchłań. Towarzyszył jej aż do punktu, w którym rozpoczyna się śmierć, po czym przerwał na zawsze chemioterapię i pozostawił na łasce losu jej zwiotzone udęczone ciało.

Doktor Steve Peyton sądził, że Lucy umrze w szpitalu już pierwszej nocy, nie docenił jednak siły, z jaką walczyła o przetrwanie. To ciało zniosło pięć ciężkich porodów i wydało na świat pięciu dorodnych chłopaków, każdego o wadze ponad ośmiu funtów. Dwukrotnie w trakcie tej pierwszej nocy otarła się o śmierć i dwukrotnie do nas wracała.

Pod koniec drugiego dnia otworzyła oczy i zobaczyła tłoczących się przy jej łóżku synów.

Zaczęliśmy wiwatować i krzyżeć tak głośno, że pielęgniarki przybiegły, aby nas uciszyć.

Zdezorientowana, nie bardzo rozumiała, dlaczego robimy tyle zamieszania, ale mrugnęła do nas okiem. Potem zasnęła i spała jak zabita przez następne pięć godzin.

Krótko po jej drugim przebudzeniu rozkojarzony Tee wyslizgnął się z pokoju. Wyszedłem za nim na świeże powietrze i przystanęliśmy na brzegu rzeki, w miejscu, gdzie zaczynała się zielona ściana

sitowia. Tee płakał cicho, kiedy objąłem go ramieniem.

- Nie jestem na to przygotowany, Jack, przysięgam, że nie jestem. Powinni uczyć tego draństwa na kursach. Powinni napisać książkę, która wyjaśniłaby, jak mam się teraz zachować i co czuć.

Wszystko, co robię, wydaje mi się nieprawdziwe. Nawet te łzy wydają mi się fałszywe, tak jakbym udawał, że bardziej się wszystkim przejmuję. Nie powinna była nas rodzić, skoro wiedziała, że będziemy tu teraz tkwić i patrzeć, jak powoli umiera. Nie chodzi o to, że tak strasznie ją kocham.

Wydaje mi się, że dla was, starszych braci, była chyba lepsza. Naprawdę. W którymś momencie przestała traktować nas jak matka. A teraz od nas odchodzi. Niby nic takiego, ale to mnie zabija, sam nie wiem dlaczego. Winie ją nawet o to, co stało się z Johnem Hardinem. W ogóle nie zajmowała się tym biedakiem. Co najwyżej podlewała go, żeby nie usechł. Przepraszam. Nie mam prawa myśleć w ten sposób.

734

— Myśl, co chcesz - odparłem. - Wydaje mi się, że to najlepsze, co możemy zrobić, kiedy od nas odchodzi.

— Lucy kocha Johna Hardina bardziej ode mnie z jednego cholernego powodu - stwierdził Tee. - On jest umyślowo chory, ja nie. To nie jest w porządku. Zazdroszczę mu, że jest pieprzonym schizofrenikiem. Zazdroszczę każdemu psychowi, o którym pomyślę.

— John Hardin potrzebuje ze strony mamy większej miłości - powiedziałem, próbując mu to jakoś wytłumaczyć. - To specjalny przypadek.

— To regularny świr - odparł Tee. - O mało nie zabił mamy, a my udajemy, że nic się nie stało, że zapomniał po prostu o swojej randce z thorazinem.

— Zrobił, co mógł - stwierdziłem. - Zazdroszczę Johnowi Hardinowi. Siedzimy tutaj, modląc się do Boga i wiedząc, że nas nie wysłucha. John Hardin postępuje inaczej. Porywa ko bietę, którą kocha ponad wszystko w świecie, i wywozi ją w bezpieczne miejsce, w miejsce, o którym nikt nie ma pojęcia.

O tym, że kochamy ją, ty albo ja, mama wie tylko teoretycznie.

Ale biedny szalony John Hardin wykrada ją w środku nocy

1 po dwudziestu czterech godzinach szukają go w całym stanie.

My złożyliśmy całą naszą miłość w ręce lekarzy. John Hardin zabrał mamę nad Edisto River, przyrządził jej własnoręcznie złowionego okonia, palił dla niej w piecu i karmił łyżką w opuszczonym domku rybackim, do którego można dotrzeć tylko wodą. Jak każda inna rzecz, miłość jest dla niego nic nie warta, jeśli nie można poprzeć jej czynem.

— Szukaliśmy jej. Znaleźliśmy ją i sprowadziliśmy z po wrotem - oznajmił Tee.

— Dziękujemy za to Johnowi Hardinowi - odrzekłem.

— Kiedy umrze mama, zostanie nam tylko tato.

— Wracajmy do środka - zaproponowałem. - Może nas potrzebować.

Dwa dni później, śpiąc na kozetce przy jej łóżku, usłyszałem

0 drugiej w nocy, jak płacze. Ocknąwszy się, zobaczyłem, że targają nią torsje. Włosy ponownie wypadały jej całymi kępkami

1 miała chrapliwy urywany oddech. Kiedy ścierałem wymiociny z jej nocnej koszuli, szyi i ramion, złapała mnie za rękę. Wciąż

miała mdłości i nie przestawała wymiotować, nawet kiedy ją myłem. Pokryty jej wymiocinami usłyszałem, jak szepcze, że musi iść szybko do łazienki.

735

— Wszystko we mnie pęka - szepnęła z rozpaczą, kiedy podniosłem ją z łóżka. Wydawała się zupełnie nieważka i drobna, nie większa od bochenka chleba. Gdy stanęła na chłodnym linoleum, ugięły się pod nią nogi i czując to wziąłem ją na ręce i zaniósłem niczym szmacianą lalkę do łazienki. Kiedy usiadła na toalecie, poczułem i zobaczyłem na szpitalnej podłodze smugę kału. Wymiotowała i jednocześnie się wypróżniała, tak jakby za chwilę miały wypaść z niej wnętrzności. Po policzkach płynęły jej łzy i zawodziła cicho z bólu i upokorzenia.

— Posiedź tu chwilkę, mamó. Zaraz do ciebie wrócę - powiedziałem, po czym zmyłem z niej ponownie wymioty i zamknąłem za sobą drzwi łazienki. Ściągnąłem pościel z jej łóżka, zamieniłem ją szybko na świeżą, starłem ręcznikiem z podłogi ślad po biegunce i zdezynfekowałem ją lizolem. Następnie oczyściłem ściany z wymiotów, wymyłem się sam, wyrzuciłem na korytarz kłęb cuchnącej pościeli i starając się opanować panikę i obrzydzenie, zapukałem cicho do jej drzwi.

— Lepiej się czujesz, mamó? - zapytałem. - Wszystko w porządku?

— Czy mógłbyś mnie wykąpać, synu? - zapytała.

— Z przyjemnością, mamó.

— Strasznie śmierdzą. Jestem cała upačkana.

— Po to właśnie wynaleziono mydło.

Puściłem ciepłą wodę i umieściłem Lucy pod prysznicem. Woda uleczyła coś w jej wnętrzu; mruzczała z zadowolenia, gdy mydliłem ją od stóp do głów, nie czując się w najmniejszym stopniu skrepowany tym, że dotykam nagiego ciała własnej matki. Kiedy myłem jej włosy, w rękach zostawały mi całe ich pasma i wieszałem je niczym ręczniki na wieszaku obok prysznicza.

Po kąpieli zawiązałem matce na głowie jeden z jej różowych turbanów i ubrałem w świeżą szpitalną koszulę. Umyłem jej delikatnie zęby i czekałem cierpliwie, kiedy płukała usta specjalnym płynem, usiłując zabić smak wymiotów. Następnie skropiłem jej policzki i szyję kilkoma kroplami perfum White Shoulders, które stanowiły dla mnie zawsze esencję Lucy.

Kiedy niosłem ją z powrotem do łóżka, zasnęła w moich objęciach. W pokoju było kilka miejsc, których nie zdążyłem wcześniej oczyścić i tym razem wysprzątałem od góry do dołu całą izolatkę, aż lśniła. Ustawiłem inaczej kwiaty, przysuwając je bliżej łóżka. Chciałem, żeby budząc się, matka poczuła zapach

736

róż i lilii i zastanawiałem się nawet, czy nie spryskać jej perfumami ostatniej plastikowej torebki z chemią.

Godzinę później, zadowolony, że udało mi się usunąć z pokoju wszelkie ślady jej nagłej choroby, położyłem się z powrotem na kozetce. Czując na twarzy światło księżyca, wyjrzałem przez okno. Wykaligrafowane na niebie południowe gwiazdy przypominały wiszący nad tablicą alfabet; ich światło wydało mi się swojskie, znajome. Uniosłem się na łokciu i spojrzałem w stronę rzeki.

Chciałem uwolnić się od wszelkiej odpowiedzialności, zerwać wszystkie więzi łączące mnie z innymi ludźmi, zamieszkać w opuszczonym domku nad Edisto River, w miejscu, do którego nie dociera listonosz ani żaden samochód, i żywić się tym, co można zebrać lub upolować w lesie albo złowić w rzece. A potem pomyślałem o Shyli. Jej wspomnienie ostrzyło noże na moim sercu, nie

oferując nic prócz udreki. Shyla była we mnie dźwiękiem morza i piosenką wiatru. Wpatrując się teraz w niebo, stworzyłem nową konstelację z jej pięknej twarzy. Moja żona ściagała mnie światłem gwiazd.

Raz po raz przekładałem poduszkę na drugą, chłodną stronę, próbując na próżno zasnąć na niewygodnej kozetce. Starałem się usłyszeć oddech Lucy, ale docierał do mnie tylko świergot schowanych w trawie owadów. W końcu znużony starą męką bezsenności usiadłem i zobaczyłem, że światło księżycy pada również na twarz matki. Miała otwarte oczy i ona także wpatrywała się w nocne niebo.

— Tej nocy myślałam, że to już koniec - szepnęła, ledwie poruszając spierzchniętymi wargami. - Gdybym miała pistolet, sama pociągnęłabym za spust.

— Z radością bym cię wyręczył - odparłem. - Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś tak chorego.

— Czekam, kiedy zostaniemy sami: tylko ja i nowotwór - stwierdziła. - Najgorsze jest to świństwo, które robią w fabrykach. Białaczka może mnie i zabija, ale przynajmniej jest moja własna.

— Wyzdrowiejesz, mamó - powiedziałem.

— Nie wyzdrowieję - odparła. - Ale to miłe, że wszyscy moi synowie udają, że tak się stanie. Myślałam, że będę się bała bardziej, niż się boję. Oczywiście są chwile, kiedy niemal zwijam się ze strachu. Na ogół jednak odczuwam olbrzymią ulgę, coś w rodzaju rezygnacji. Czuję się fragmentem czegoś

737

większego. Patrzyłam właśnie na księżyc. Popatrz na niego, Jack. Dziś w nocy jest prawie w pełni. Zawsze wiedziałam, w jakiej jest fazie, nawet kiedy ani razu na niego nie spojrzałam. W dzieciństwie myślałam, że urodził się w górach tak jak ja. Nie bardzo mogę sobie przypomnieć, jak wyglądała twarz mojej mamy, Jack. Ale była słodką kobietą. Kobieta, którą spotkało w życiu zbyt wiele zła. Pokazała kiedyś mnie i mojemu bratu księżyc w pełni. Opowiedziała nam o człowieku, który tam mieszka. Wszyscy mówią, że widzą jego twarz, gdy natężą wzrok, ale ona sama nigdy go nie oglądała. Matka powiedziała jej, że na księżycu żyje dama, którą widziało bardzo niewielu ludzi. Żeby ją zobaczyć, trzeba mieć anielską cierpliwość, ponieważ dama wstydzi się swej urody. Ma błyszczącą koronę z włosów i idealny profil. Księżycowa dama zawsze patrzy w bok i jest piękna jak te kobiety, które ogląda się na kameach u jubilerów w Asheville. Można ją zobaczyć tylko wtedy, kiedy księżyc staje w pełni, i nie pokazuje się wszystkim. Ale każdy, kto ją ujrzał, zapomina na zawsze o księżycowym mężczyźnie.

— Dlaczego nie opowiedziałaś nam nigdy tej historii? - zapytałem.

— Dopiero teraz ją sobie przypomniałam. Bez przerwy wracają do mnie wspomnienia. Nie potrafię nad nimi zapanować. Mój biedny umysł wyraźnie się śpieszy, chce odtworzyć wszystko, zanim przyjdzie koniec. Przypomina muzeum, które przykuje każdy zaoferowany obraz. Nie mam na to żadnego wpływu.

— Wydaje się to całkiem przyjemne.

— Chcę, żebyś mi w czymś pomógł, Jack.

— Z przyjemnością, mamó. Jeśli tylko będę mógł.

— Ponieważ nigdy dotąd nie umierałam, nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać - powiedziała. - Wiem chyba, co

powinnam powiedzieć doktorowi Pittsowi. Miłość tak kom-
pletnie go zaślepiła, że nigdy nie dowie się, jaka byłam napraw-
dę. Ale z wami jest inaczej, chłopcy. Poddawałam was próbom
i kazałam skakać przez płonące obręcze. Komplikowałam wam
życie, które wcale nie musiało być takie skomplikowane, nie
zdając sobie sprawy, że moja ignorancja może was tak bardzo
zranić. Ponieważ miałam takie straszne dzieciństwo, wydawało
mi się, że starczy, jeśli będziecie mieli co zjeść i co włożyć na
grzbiet. Nie miałam najmniejszego pojęcia o psychologii. Za-
strzel mnie, ale dopiero w wieku czterdziestu lat dowiedziałam
738

się, że to słowo zaczyna się na "p". Psychologia była jedynym zwierzęciem w całej kniei, o którym
nigdy nic nie słyszałam. Potrafiłam wytropić jelenia, polować z psami na dzika albo zacząć się na
wracającego do nory kuguara, ale jak miałam złapać w sidła psychologię, coś, czego nie widziałam
ani nie znałam? Wychowałam pięciu ślicznych chłopaków i wszyscy mają do mnie pretensje,
ponieważ coś rozpadło się albo czegoś po prostu zabrakło w naszej rodzinie. Wszyscy się na mnie
wściekają. Ale moje pomyłki wynikały z tego, że bez przerwy balansowałam na linie. Wszystko,
czego próbowałam, robiłam po raz pierwszy. Musiałam uczyć się wszystkiego w biegu. Metodą
prób i błędów.

— Świetnie sobie radziłaś, mammo.

— Chcę podziękować ci za coś innego - powiedziała.

— Nie ma potrzeby - zapewniłem ją.

— Nigdy nie podziękowałam ci za to, że nauczyłeś mnie
czytać.

— Nic o tym nie wiedziałem.

— Wracając ze szkoły w pierwszej klasie, opowiadałeś mi
codziennie o wszystkim, czego się nauczyłeś. Chciałeś, żebym
siadała przy tobie, kiedy odrabiałeś lekcje.

— Domagają się tego wszystkie dzieci.

— Ala ma kota. Ola ma psa. To pies Oli - przypomniała mi.

— Fabuła nie była może zbyt interesująca.

— Stale się bałam, że ktoś mnie zdemaskuje. Ale ty byłeś
wyjątkowo cierpliwy, Jack. Za bardzo się wstydyłam, żeby ci
podziękować.

— To była czysta przyjemność, mammo. Jak wszystko, co się
z tobą wiązało.

— Więc dlaczego wszyscy są na mnie tacy wściekli?

— Bo nie możemy znieść myśli, że umieras - odpar-
łem. - Żaden z nas nie potrafi przyswoić sobie tej informacji,
żeby nie dostać natychmiast białej gorączki.

— Cóż mogę na to poradzić, Jack?

— Nie rób tego. Zostań tutaj. Wsiądź z tego pociągu.

— Ten pociąg zabiera wszystkich bez wyboru - szepnęła.

— Ginny Penn umiera od dwudziestu lat - stwierdzi-
łem. - I wciąż jest wśród nas.

— Nic nie jest w stanie jej zabić - uśmiechnęła się Lu-
cy. - Boże, ja i Ginny Penn stoczyłyśmy potyczki, przy których
bledną bitwy stoczone przez Lee i Granta. Czy ty i Shyla często
się ze sobą kłóciliście?

739

— Nie wydaje mi się, żebyśmy się w ogóle kłócili, mamó. Mam wrażenie, że wiedzieliśmy zawsze, co myśli to drugie. Pod wieloma względami bardzo mnie przypominała. Myślisz, że Shyla zabiła się, bo ją unieszczęśliwiłem?

— Nie, skądże znowu. Wy dwoje szaleliście za sobą. Zabiły ją głosy, które słyszała już, kiedy była małą dziewczynką. John Hardin słyszy je również. Istnieje pewien rodzaj ptaków, które są zbyt piękne, by fruwać pośród wron i szpaków. Kiedy zaczną śpiewać, inne ptaki atakują je całymi stadami i rozszarpują na strzępy. Nic, co miękkie, nie ma szans na przetrwanie. Przyroda nienawidzi łagodności i dobroci. Shyla została zraniona wcześniej i głęboko. Trzymałeś ją z daleka od tego mostu tak długo, jak tylko mogłeś, synu.

— Myślisz, że była podobna do Johna Hardina?

— Należą do tego samego plemienia. Oboje tak pełni miłości, że tracą pod jej wpływem równowagę. Padają pod jej nieznośnym ciężarem. Upadek jest tym, co udaje im się w życiu naj lepiej. Przywykli podejmować wielkie ryzyko. Miłość zalewa ich, przygniata, uniemożliwia normalną egzystencję. Muszą jej dostawać tyle samo, ile z siebie dają. Wszyscy ich rozczarowują. W końcu umierają z zimna. Nie potrafią nigdy odnaleźć własnego anioła.

— Jestem zimnym człowiekiem, mamó - powiedziałem. - Jest we mnie coś, co mrozi każdego, kto chce się do mnie zbliżyć. Niektóre moje znajome o mało nie dostały odmrożeń po spędzonym ze mną wspólnie weekendzie. Nie chcę, żeby tak było. Ale nawet kiedy to sobie doskonale uświadamiam, nie jestem w stanie nic zrobić. Powiedziałem Leah, że moim zdaniem miłość jest jedną z rzeczy, których trzeba się nauczyć. Myślę, że powinno się ją podzielić na części, ponumerować i ponazywać. W ten sposób łatwiej byłoby opanować jej tajniki. Nie sądzę, żeby ktoś mnie jej nauczył, mamó. Wydaje mi się, że miłość ominęła ciebie i tatę. Wszyscy bez przerwy o niej mówią. Jest niczym pogoda. Ale jak człowiek podobny do mnie ma się jej nauczyć? Jak mam otworzyć te zawory i śluzę ukryte gdzieś głęboko w moim wnętrzu? Gdybym wiedział, jak to zrobić, mamó, podzieliłbym się nią sprawiedliwie z wszystkimi. Promieniowałbym miłością i nie pozbawiłbym jej nikogo. Ale nikt nie nauczył mnie kroków tego tańca. Nikt nie podzielił go na części. Wydaje mi się, że potrafię kochać wyłącznie potajemnie. Gdzieś głęboko płynie we mnie pozbawiona źródeł

740

rzeka, w której potrafię się zanurzyć tylko wtedy, kiedy nikogo nie ma w pobliżu. Ponieważ jednak płynie tak głęboko, nie odkryta przez nikogo, nie mogę poprowadzić do niej ekspedycji. Kocham więc dziwnie i pokrętnie. Moja miłość staje się rodzajem zgadywanki. Nie przynosi ukojenia i nie łagodzi żadnego bólu.

— Leah. Ubóstwiasz Leah. Wszyscy o tym wiedzą. Zwłaszcza ona sama.

— Nie jestem pewien, czy to czuje. I czy adoracja, jaką ją

otaczam, jest tą samą miłością, o której mówią inni. Niebezpieczeństwo pojawi się, kiedy spróbuje pokochać mężczyznę miłością, która nie jest rzeczywista. Jej dzieci będą musiały wtedy cierpieć w wyniku tej samej maskarady. Z wyjątkiem Leah, nie mam jednak pojęcia, jak to się robi. Nie wiem, czym jest miłość, mam. Nie wiem, jak wygląda, jaka jest w dotyku, gdzie ją można znaleźć.

— Jest czymś, o czym lepiej za dużo nie myśleć. Czymś, czego nie sposób regulować. Pozwala się miłości istnieć, a ona w odpowiednim czasie znajduje własną drogę.

— U mnie nie wygląda to w ten sposób.

— Kochaj tak, jak potrafisz, Jack - odparła. - Moim zdaniem nie bardzo umiesz o tym mówić. Nam, kobietom, przychodzi to łatwiej. Język płacze ci się ze strachu za każdym razem, kiedy wypływa ten temat.

— Nie potrafię się wysłowić - zgodziłem się. - Nie umiem nigdy wytłumaczyć, co przez nią rozumiem. Rozmyślałam o miłości prawie bez przerwy. Dlaczego nie można stworzyć jakiejś jej definicji? Dziewięciu albo dziesięciu słów, które by ją podsumowywały i które można by powtarzać, aż wszystko stałoby się jasne.

— Chcesz opowiedzieć o niej Leah? - szepnęła Lucy. - O to ci chodzi?

— Tak... i nie potrafię tego zrobić. Nie mam żadnego klucza - przyznałem.

— Nie potrzebujesz żadnej definicji, synu. Masz wszystko, czego ci trzeba. Powiedz jej, że miłość to zmywanie wymiotów z nocnej koszuli matki i ścieranie śladów biegunki ze szpitalnej podłogi. Pokonanie pięciu tysięcy mil na wiadomość o jej chorobie. Powiedz jej, że miłość to odnalezienie ciężko chorego brata nad Edisto River i przywiezienie go bez szwanku z powrotem; przyprowadzanie setki razy do domu pijanego ojca,

741

kiedy byłeś chłopcem. Powiedz Leah, że to wychowanie w pojedynkę małej córki. Miłość wyraża się w czynach, Jack. Nie polega na gadaniu i nigdy na nim nie polegała. Wydaje ci się, że lekarze i pielęgniarki nie będą wiedzieli, że mnie kochasz, kiedy zobaczą, co dzisiaj zrobiłeś? Myślisz, że ja o tym nie wiem, Jack?

— Wolałbym mieć jakieś jasne zasady, których mógłbym przestrzegać - upierałem się. - Coś konkretnego, czego mógłbym się trzymać.

— W ciągu najbliższych kilku tygodni będziesz miał pełne ręce roboty - powiedziała. - Niedługo nic ze mnie nie zostanie, Jack. Rak przerzuca się na nowe organy. Jest teraz wszędzie.

— Czy pomaga ci cokolwiek wiara w Boga? - zapytałem.

— Do diabła - zakląła. - Możesz mi wierzyć, że to jedyna rzecz, która w ogóle pomaga.

Roześmieliśmy się oboje i oparłem Lucy o poduszki, żebyśmy mogli wspólnie obejrzeć wschód słońca.

— Kolejny dzień - szepnęła. - Coś, na co zawsze można liczyć.

— Cieszę się, że ta noc dobiegła końca - stwierdziłem.

— Pod koniec tygodnia wracam do domu - powiedziała. - Nie, nie. Nie próbuj mnie od tego odwozić. Zrobili tutaj wszystko, co mogli. Wynajmę pielęgniarki, kiedy będę ich potrzebować. Chcę umrzeć, słuchając oceanu. I mając przy sobie moich chłopców. Wszystkich moich chłopców.

— John Hardin będzie musiał się gęsto tłumaczyć w stannym szpitalu - oznajmiłem. - Jest obecnie najślawniejszym wariatem w całym stanie.

— John Hardin nie jest wariatem - stwierdziła Lucy, obracając twarz ku pierwszym promieniom światła. - Jest po prostu ukochanym synkiem mamusi. Wydawało mu się, że jeśli mnie dobrze ukryje, nawet śmierć nie będzie wiedziała, gdzie mnie szukać.

— Żałuję, że tak nie jest - powiedziałem.

— Skąd wiesz? Nie daliście mu szansy - odparła.

Moja matka powróciła zatem na Isle of Orion, aby spędzić tam czas, który jej pozostał. Choć znaleźmy ją wszyscy jako osobę skomplikowaną, nieobliczalną i trudną, żaden z nas nie wiedział, jak bardzo jest odważna, póki nie zaczęła umierać. Codziennie uczyła nas sztuki godnej śmierci.

Przyjaciele, którzy

742

przychodzili, aby się z nią pożegnać, odkrywali ku swemu zdumieniu, iż znaleźli się w domu wielkiej radości. Choć nie mogła poszczycić się swym urodzeniem, odkryła, w jaki sposób Południe lukruje swoje damy i oczarowywała gości niezmienną pogodą ducha. Dawno już dostrzegła, iż uprzejmość stanowi kwintesencję każdego opublikowanego kiedykolwiek podręcznika savoir-vivre'u i każdego niepisanego zbioru praw.

Dziesiątego października odkopane miało zostać ostatecznie żółwie gniazdo i Lucy chciała być przy tym obecna. Na nizinach zaczęły się już chłody, ale dzikie kaczki i gęsi nie odleciały jeszcze na południe. Wciąż kąpaliśmy się dwa razy dziennie przed jej domem, a ona lubiła przesiadywać na werandzie, trzymając za rękę doktora Pittsa i patrząc, jak wchodzi na głębinę ze stojącą mi na ramionach Leah albo jak Dallas wypływa poza linię przyboju.

Ponad sto osób czekało na odkopanie żółwi, kiedy podtrzymywana przez nas Lucy podeszła do ogrodzonego siatką gniazda, w którym znajdowały się przeniesione tutaj w sierpniu jaja. Ochotnicy asystowali tego lata na Isle of Orion przy opróżnianiu czterdziestu jeden gniazd. Cztery tysiące sześćset trzydzieści trzy małe żółwie trafiły do wody.

— Ile jaj zakopano w tym miejscu? - zapytała Lucy, zwracając się do Leah.

— Sto dwadzieścia jeden, babciu - odparła Leah, otwierając swój notes.

— Kto znalazł to gniazdo?

— Betty Soból, babciu.

— Betty - ucieszyła się Lucy. - Prosiłam ją, żeby pokierowała w przyszłym roku naszym programem. Pora chyba, żeby ktoś inny zaopiekował się naszymi żółwiami. Mam ochotę pospać trochę dłużej z moim przystojnym mężem zamiast włożyć się o świecie po plaży.

W tłumie rozległy się krótkie oklaski, kiedy kierownictwo przekazane zostało Betty Soból. Ciężki stan zdrowia Lucy szybko zmroził jednak nastroje.

— Czy nikomu nie będzie przeszkadzać, jeśli Leah wyjmie żółwie z tego gniazda? Zrobiłabym to sama, ale czuję się trochę osłabiona. Czy możesz zrobić to jeszcze raz, moje dziecko?

— Urodziłam się, żeby to robić, babciu - powiedziała Leah, po czym uklękła i zaczęła odgarniać piasek na oczach stu osób, które pochylały się, żeby lepiej widzieć.

743

Z początku robiła to z przesadną ostrożnością, potem jednak spojrzęła na swoją babcię i uśmiechając się wyjęła z jamy wijącego się miniaturowego żółwia. Ludzie zaczęli wiwatować, kiedy podała go Lucy. Moja matka zbadła go i włożyła do wysłanego piaskiem wiadra, a Leah sięgnęła ponownie do jamy i wydobyła trzy kolejne żółwie. Skorupy w środku gniazda postukiwały jedna o drugą, jakby sto kostek toczyło się po zielonym suknie. Wyjąwszy wszystkie żółwie, Leah zgarnęła w jedno miejsce skorupki jaj i zasypała je piaskiem.

— Zachowaj jedną skorupkę dla siebie, Leah - powiedziała Lucy. - A teraz zabierz te żółwie i uwolnij je dwadzieścia jardów od brzegu. Chcemy, żeby zostawiły ślady stóp na piasku tej wyspy.

— Uwolnijmy je razem, babciu - poprosiła Leah i mijając rozstępujących się przed nimi ludzi, ruszyły obie powoli w stronę brzegu. Dłu Lucy przejście tych kilkudziesięciu jardów było nie lada wyczynem, nikt jednak nie miał odwagi jej powstrzymać. Tee przyniósł ogrodowy fotel, żeby mogła usiąść w miejscu, w którym żółwie zaczynały swą długą niebezpieczną podróż przez Atlantyk. Ich łapki skrobały o boki wiadra.

Leah wzięła od Lucy złamany kij golfowy i narysowała rozległy krąg, którego nie wolno było przekroczyć. Linia wyznaczała strefę, w obrębie której miały się poruszać małe żółwie. Ludzie dotykali jej palcami stóp i sandałami, nie posunęli się jednak ani o cal dalej.

Lucy postawiła wiadro na piasku i dała znak Leah, która przechyliła je delikatnie na bok. Żółwie popęzły żwawo przez plażę, podążając ku błyszczącej plamie wody z całą zaciekłością, jaką budził w nich instynkt. Ich krok, choć mógł śmieszyć, był wytrwały i zdecydowany. Na ich drodze nie czaiły się szopy, stada mew ani złowrogie kraby tułacze. Te żółwie witane były oklaskami i dopingowane przez ludzi, którzy przybyli tu, aby obejrzeć, jak wyruszają bezpiecznie z Isle of Orion.

Pierwszy zawodnik wyprzedzał o pięć jardów innych, kiedy fala zalała go i, jak to się działo zawsze, posłała koziołkującego z powrotem na mokry piasek. Mały żółw szybko się jednak pozbierał, wyprostował i kiedy nadeszła następna fala, okazał się wcale niezłym pływakiem. Każdy z jego towarzyszy przewracał się, gdy zalewała go pierwsza fala, i puszczał się wpław przy drugiej. Nagle ujrzałem, jak pojedynczy krab tułacz wynurza się ze swojej jamy, łapie za kark jednego z żółwi i błys-

744

;

kawicznie chowa się z powrotem. Lucy również zobaczyła to spotkanie łowcy i ofiary, nie powiedziała jednak ani słowa. Krab tułacz postępował zgodnie ze swoją naturą i jego zachowanie nie wynikało z nienawiści.

Wkrótce wszędzie na falach unosiły się czarne żółwie grzbiety, połyskujące niczym ebonit pośród śnieżnobiałej piany. Jednemu z żółwi coś się pomyliło i zaczął sunąć z powrotem do gniazda, ale Leah wzięła go między palce i skierowała we właściwą stronę. Zrobiwszy to spojrzęła, oczekując pochwały, na babcię, która kiwnęła z uznaniem głową. Kiedy wszystkie żółwie znalazły się w wodzie, próbowaliśmy śledzić ich trasę, wypatrując małych, podobnych do węgorzy łebków, które po siedmiu albo ośmiu ruchach łap wynurzały się, aby zaczerpnąć oddechu.

Z południa nadleciała wracająca z całodziennych łowów mewa i tłum jęknął głucho, kiedy zawisła nieruchomo nad linią przyboju. Po chwili ptak zapikował w dół, złapał w dziób małego żółwia,

odgryzł mu łebek i wyrzucił resztę z powrotem do morza.

— Nienawidzę mew - powiedziała Leah.

— Nieprawda - stwierdziła Lucy. - Mewy są świetne w tym, co robią. Ty po prostu kochasz żółwie.

Przez cały następny tydzień gotowałem bajeczne potrawy, częstując nimi każdego, kto przyszedł, aby pożegnać się z matką. Dom odwiedzały setki ludzi i wzruszyło nas ogromnie, że Lucy cieszyła się w mieście tak dużą sympatią. Będąc jej synami, wiedzieliśmy świetnie o dręczącym ją poczuciu wyobcowania i niepewności, z drugiej strony jednak zdawaliśmy sobie sprawę, jak bardzo, jeśli chce, potrafi być urocza. Zatruwającą jej charakter fabrykę octu zamaskowała wielkimi plastrami miodu, ustawionymi na balkonach publicznego ego. Któregoś dnia złożyli jej wizytę oficjalnie ubrani przywódcy czarnej społeczności, zapewniając, iż zapamiętali niezwykłą odwagę, jaką okazała żona "sędziego czarnuchów". W ciągu tego tygodnia odkryłem, iż matka potrafi zawsze wykonać właściwy gest we właściwej chwili. Zrobiła w życiu tysiące rzeczy, których wcale nie musiała robić, tylko dlatego, że poczuła akurat taką potrzebę. Umiała w niezauważalny, naturalny sposób sprawić, iż ludzie cieszyli się, że żyją.

Lucy nie mogła spróbować niczego, co dla niej przyrządziłem,

745

jej goście twierdzili jednak, iż nigdy w życiu nie jedli tak dobrze, nawet w Atlancie, kiedy pojechali obejrzeć mecz Bravesów. Nikt nie wyszedł z domu nie nakarmiony, a ja sterczałem na swym posterunku w kuchni, nie umiając się pogodzić z własną bezradnością. Nie potrafiłem wyobrazić sobie świata bez matki i to kazało mi spojrzeć nowymi oczyma na Leah, która pełniła funkcję gospodyni, witając ludzi w progu i prosząc, aby wpisali się do księgi gości. Leah poinformowała mnie, iż pomoc, której musi udzielić umierającej babci, jest ważniejsza od szkoły i dziwiło mnie, skąd wzięła się taka mądrość w tak małym dziecku.

Któregoś dnia późnym wieczorem, gdy siedzieliśmy wszyscy w salonie, doktor Pitts podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Usłyszeliśmy, jak mówi: "Dobry wieczór, sędzio" i zaprasza do domu naszego ojca. Chociaż wciąż czuł się nieswojo w obecności swoich hałaśliwych pasierbów, dał nam do zrozumienia, iż w najbliższych dniach będzie potrzebował naszej pomocy. Te dni nadeszły bardzo szybko. Chociaż spodziewałem się odejścia mamy, odkryłem, że nie jestem przygotowany na szczegóły: na to, czego wymagała ode mnie śmierć. Obserwowałem powolny proces, w trakcie którego Lucy stawała się kimś zupełnie obcym, pozbawioną energii i wigoru kobietą, która nie podnosiła się już w ogóle z łóżka, gospodynią, która nie była w stanie powitać odwiedzających jej gości. Oczy zmatowiały jej od środków przeciwbólowych; prosiła moją córkę, aby ta położyła się przy niej na łóżku, a potem zasypiała nagle, zanim Leah zdążyła spełnić prośbę. Jej krwiobieg zdradzał ją teraz całkiem jawnie, trującą niczym cyjanek. Z godziny na godzinę czuła się coraz gorzej. To, co przez tak długi okres było powolnym niedostrzegalnym procesem, wyraźnie przyspieszyło kroku. A potem zaczął się straszliwy galop.

Czasami wydawało nam się, że wygląda lepiej, ale zdarzało się to bardzo rzadko. Kręciliśmy się wokół niej, desperacko próbując się czymś zająć - dokonać jakiegoś heroicznego czynu, który uratowałby jej życie. Nasze źródło powoli wysychało. Niegdyś wzrastaliśmy w tym cieple, które nas teraz opuszczało. Karmiła nas krew, która ją teraz zabijała.

Przyrządzaliśmy sobie drinki i popłakiwaliśmy cicho, spacerując nocą po plaży, gdy wyganiała nas z domu klaustrofobia śmierci. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, iż córka otoczyłaby Lucy o wiele lepszą opieką aniżeli jej nieokrzesani, nadpobud-

746

liwi synowie czekający na to, że matka każe im pomalować garaż lub przesunąć lodówkę. Cała nasza piątka była beużyteczna i irytująca - przeszkadzaliśmy tylko zmieniającym się, miłym i

sprawnym pielęgniarkom. Chcieliśmy trzymać bez przerwy mamę w naszych zbiorowych ramionach, wzajemnie ją sobie przekazywać, wstydziłyśmy się jednak dotyku i otwartego okazywania uczuć. A potem, gdy zaczęła wiotczeć w oczach i jej skóra przybrała odcień papieru do pisania, baliśmy się po prostu, że coś w niej złamiemy.

Któregoś dnia Lucy poczuła się trochę lepiej i w całym domu od razu zapanował lepszy nastrój - tak jakby jakiś przyływ oczyścił moczary po surowej zimie. Tego ranka, przynosząc jej śniadanie, o którym wiedziałem, że wróci nie tknięte do kuchni, zobaczyłem, że matka siedzi razem z Leah i pokazuje jej, jak nakłada się makijaż. Odłożyłem tacę i przyglądałem się Lucy, która uczyła moją córkę tajemniczych rytuałów piękności.

— Zamknij oczy, kiedy nakładasz cienie. A potem leciutko je otwórz. Cień powinien pokryć równo obie powieki. Właśnie tak. Bardzo dobrze. Teraz zajmujemy się perfumami. Pamiętaj, jeśli chodzi o perfumy, zasada brzmi: im mniej, tym lepiej. Skunks jest skunksem dlatego, że nie zna umiaru. Zostawiam ci wszystkie moje kosmetyki i perfumy. Chcę, żebyś myślała o mnie, kiedy będziesz ich używać. A teraz poprawimy twój podkład. Mówiłaś coś?

— Dobrze, babciu - zgodziła się Leah. - Ale czy na pewno czujesz się na siłach?

— Leah jest za młoda, żeby nosić makijaż - wtrąciłem, zdając sobie sprawę, iż powtarzam bezwiednie tyradę Lucy z Rzymu i że moje pretensje brzmią wyjątkowo małodusznie.

— Możliwe - zgodziła się Lucy - ale nie jest za młoda, żeby nauczyć się go nakładać. Poza tym nie będzie mnie już tutaj, kiedy przyjdzie pora, aby nauczyć ją tych wszystkich sztuczek. Nie znam się na wielu rzeczach, ale jeśli idzie o makijaż, jestem Leonardem da Vinci. To jedna z rzeczy, którą otrzymujesz po mnie w spadku, Leah. Odbierasz to, co ci się należy, kochanie.

Kiedy wróciłem trochę później do sypialni, Leah czytała Lucy książkę dla dzieci. W jej dźwięcznym melodyjnym głosie słyszałem włoski akcent i zawsze sprawiało mi to przyjemność. Usiadłem, słuchając, jak czyta matce "Sieć Charlotte". Przeczytałem jej tę książkę tyle razy, iż potrafiłem ją niemal recytować razem z nią, słowo po pięknym słowie.

747

Lucy uśmiechnęła się do mnie.

— Nikt nie opowiadał mi nigdy tych bajek, kiedy byłam mała. Jak przyjemnie się przy nich zasypia.

— Dlaczego rodzice nie czytali ci bajek, babciu? - zapytała Leah.

— Bo nie potrafili czytać, kochanie - odparła Lucy. - Podobnie jak ja, zanim nie nauczył mnie twój tato.

— To miał być nasz sekret - wtrąciłem.

— Czyż Leah nie powinna się dowiedzieć tak miłej rzeczy o swoim tacie? Był nie tylko moim synem. Był również moim nauczycielem - powiedziała Lucy, po czym zapadła w głęboki sen.

Tego wieczoru przybył z klasztoru ojciec Jude, Dupree zaś przywiózł ze szpitala Johna Hardina. Kiedy mój najmłodszy brat wszedł do domu, z sypialni wychodzili właśnie Esther

1 Wielki Żyd razem z Silasem i Ginny Penn. Świeże kwiaty zaczynały więdnąć w wazonach, a wiejący od wschodu wiatr przynosił dojrzały zapach odpływu. Ledare przyrządziła drinki dla dorosłych, a ja ugotowałem dosyć pasta carbonara, żeby

nakarmić drużynę rugby. W pokoju gościnnym Jude przygotowywał się do udzielenia ostatniego namaszczenia. Przez cały tydzień modlił się za swoją siostrę. Nic nie było w stanie osłabić jego wiary; ufał, iż wszystkie grzechy Lucy okażą się lekkie w oczach Boga, który wypłakał oczy, śledząc to potworne stulecie. Cały klasztor zanosił modły w intencji Lucy. Miała wstąpić do raju na fali gorących modlitw, ciesząc się najlepszymi rekomendacjami i wyjątkowym szacunkiem małego plutonu mnichów pozostających w służbie Boga.

Wieczorem ojciec Jude odprawił mszę. Lucy chciała, aby celebrował ją po łacinie i żebyśmy, ja i Dupree, służyli jako ministranci. Drzwi na taras były otwarte na oścież i morskie powietrze wśliznęło się do pokoju niczym dodatkowy komunikant. Lucy poprosiła brata, aby zmówił modlitwę za wszystkie małe żółwie, które płynęły teraz ku wodorostowym śluzom Morza Sargassowego. Kiedy przyjęła komunię, pochyliłiśmy głowy i każdy z nas, jej synów, wziął hostię na język, ja zaś modliłem się za nią z całą żarliwością, na jaką mnie było stać. Łzy oblepiły moje modlitwy, które nie unosiły się prosto do nieba, lecz snuły nisko, wilgotne i przesiąknięte wodą. Powietrze miało smak soli, podobnie jak twarze moich przyjaciół i krewnych, gdy ich całowałem.

748

Trochę później tego samego wieczoru Lucy wezwała mnie i moich braci. Szliśmy do niej niechętnie, jak na ścięcie. Nareszcie nadeszło nieubłagane wezwanie. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że w ciągu tych kilku ostatnich dni, gdy zegnaliśmy w bólu i udręce matkę, po raz pierwszy żyłem pełną piersią. Ale Tee zawahał się na progu i nic nie było go w stanie ruszyć.

- Nie mogę - powtarzał przez łyzy. - Nie mam w sobie tyle siły.

Po jakimś czasie przestał płakać, opanował się i wszedł za nami do pokoju. My też trzymaliśmy się resztkami sił - wiedzieliśmy teraz dobrze, że umieranie wymaga wielkiego wysiłku: przypomina bardziej ciężką harówkę aniżeli miękkie odejście w mrok. Musieliśmy zmobilizować całą siłę woli, aby spojrzeć na matkę. Jej organizm nie był w stanie zwalczyć infekcji i na wargach i dziąsłach pojawiły się wypryski. Oddała śmierci wszystko, co mogła oddać, a teraz jej nieugięte twarde ciało poddane zostało ostatecznej próbie. Różana cera pożółkła i cienie zakradły się pod oczy. Czekać, aż się odezwie, widzieliśmy rozpoczynającą cichy marsz agonii. Dallas dał jej szklanekę wody i pijąc ją skrzywiła się z bólu. Kiedy odstawiła szklanekę, widniały na niej plamy krwi.

— Nie uwierzysz, mamó, co się stało - zawołał nagle John Hardin, podenerwowany posepną atmosferą. - Doktor przyszedł i powiedział: "Jutro rano Lucy będzie zdrowa jak ryba". Śmiał się i mówił, że przeprowadzili kilka dodatkowych badań i stwierdzili, że to w ogóle nie jest białaczka. Pierwsza diagnoza była do dupy. To po prostu katar albo w najgorszym razie łuszczycyca. Powiedział, że w przyszłym tygodniu będziesz zaliczała dziennie trzydzieści sześć dołków na polu golfowym. No dalej, chłopcy. Uśmiechnijcie się.

— Popełniłem błąd, załatwiając mu przepustkę - mruknął Dupree, wrzeszcząc ramionami.

— Cicho - szepnęła Lucy. - Mam wam coś do powiedzenia.

Umilkliśmy i tylko ocean rozmawiał z nocą fala po fali.

— Staralam się, jak mogłam, chłopcy - mówiła. - Żałuję, że nie byłam dla was lepsza. Powinnicie byli urodzić się w królewskim domu.

— Urodziliśmy się, mamó - szepnął Dupree ledwie słyszalnym głosem.

— Niech mnie kule biją, jeśli tak nie było - dodał Dallas.

749

— Óóóó - przerwała im Lucy i pochyliłiśmy, żeby ją lepiej słyszeć. - Powinnam was była bardziej kochać i mniej po trzebować. Byliście jedyną rzeczą, jaką kiedykolwiek dostałam za darmo.

— Mamo, mamó, mamó - zawołał, osuwając się na kolana, John Hardin i słuchając tych pierwszych słów, które wszyscy wymawiamy po angielsku, Lucy zapadła w ostatnią śpiączkę. Tej nocy moja matka odeszła ode mnie.

Umieranie zajęło Lucy czterdzieści godzin i w tym czasie nie odstępowałam jej prawie na krok. Lekarze i pielęgniarki przychodzili i odchodzili, sprawdzali jej puls i ciśnienie i starali się przynieść ulgę w cierpieniu. Jej oddech przeszedł w udęczone desperackie rżenie - chrapliwy, urywany dźwięk, który stał się dla mnie jedynym dźwiękiem na ziemi.

Spędziłam te ostatnie godziny, całując matkę i powtarzając, jak bardzo ją kochamy. A potem zacząłem jej czytać na głos dziecinne książki Leah. W dzieciństwie nikt nie opowiadał jej bajek i teraz, w ostatnim dniu jej życia chciałem to nadrobić. Opowiedziałem jej o Kubusiu Puchatku i Żółwiu Yertle, zapoznałem z Królikiem Piotrusiem i Alicją z Krainy Czarów. Wszyscy czytaliśmy jej po kolei baśnie braci Grimmów, a na samym końcu Leah uparła się, żebym opowiedział wszystkie bajki o Wspaniałej Chippie, które poznała podczas naszego pobytu w Rzymie.

Opowiedziałem kilka historyjek, które Leah lubiła najbardziej. Moi bracia z początku słuchali ich z przymrużeniem oka, potem jednak zobaczyłem, że chłoną każde słowo. Leah siadała im po kolei na kolanach i patrząc na nią pomyślałem, jak cudownie musi się czuć, mając do wyboru tylu ubóstwiających ją wujków.

A potem, na godzinę przed śmiercią Lucy, opowiedziałem najnowszą historię o tym wspaniałym psie, który zdechł, zanim John Hardin i Tee zdążyli go lepiej poznać.

- W pięknym domu, na pięknej wyspie, w pięknym stanie Karolina Południowa kobieta o imieniu Lucy przygotowywała się do swej ostatniej podróży. Pożegnała się już z bliskimi i pozałatwiała wszystkie sprawy. Ucałowała po raz ostatni swą wnuczkę Leah i nauczyła ją malować paznokcie i nakładać na twarz makijaż. Synowie zgromadzili się wokół niej, a ona

750

dodawała im otuchy, wypowiadając słowa, dzięki którym miała pozostać na zawsze w ich wdzięcznej pamięci. Mimo że jej ulubionym synem był jak na razie Jack, w tej pożegnalnej chwili była jednakowo miła dla wszystkich. Nawet John Hardin uśmiechnął się, słuchając tej dygresji.

- Śmierć zajęła jej dużo czasu, kochała bowiem bardzo świat, a także swoje miasto i rodzinę. Umierając stwierdziła ze zdumieniem, że wychodzi ze swego ciała i unosi się nad domem i oceanem. Spojrzała na księżyc i Mleczną Drogę i szybując w ciepłym świetle mijanych gwiazd poczuła się uskrzydłona i piękna. A potem znalazła się w miejscu, o którym już wcześniej słyszała. Była to otoczona górami łąka, na której rosły polne kwiaty. Góry były piękniejsze niż Blue Ridge i wyższe niż Alpy. Lucy jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bardzo u siebie. Znała to miejsce, ale nie potrafiła sobie przypomnieć jego nazwy. Nagle usłyszała nad sobą grzmiący głos. Wiedziała, że to głos Boga. Był donośny, ale miły. Czekwała na jego wyrok z ufnością i nadzieją. Jej wnuczka Leah umalowała ją przed tą długą podróżą i Lucy wiedziała, że pojawi się ładna przed obliczem Boga, który ją stworzył. Ale potem rozległ się za nią inny głos, głos, który ją przeraził. Obróciwszy się, zobaczyła

Szatan i wojska demonów, które szły przez łąkę, domagając się jej duszy. Szatan był obrzydliwy i fioletowy i pisał tak blisko, że czuła jego gorący oddech na karku. "Ona jest moja! - ryknął. - Zabieram ją do siebie. Zasłużyła na to, by smażyć się w piekle. Ty nie masz z nią nic wspólnego, Panie. Domagam się duszy, która mi się słusznie należy". "Powoli, Szatanie - zagrzmiął głos Pana. - To jest Lucy McCall z Waterfordu. Nie masz do niej żadnego prawa. Chociaż do magasz się każdej duszy, która przechodzi tą ścieżką, ta z pewnością ci się nie dostanie". "Podtrzymuję swoje żądanie, Boże - odparł Szatan. - Ta dusza wycierpiała wiele na ziemi i jest przyzwyczajona do bólu. Ból jest tym, co zna najlepiej. Jeśli nie będzie cierpieć, nigdy nie poczuje się jak w domu".

Chociaż Lucy wrywała się z całej siły, poczuła, że palce Szatana zaciskają się wokół jej szyi. Chciała coś powiedzieć, nie mogła jednak wykrztusić z siebie ani słowa i nagle zorientowała się, że Szatan wlecze ją po łące porośniętej wonnymi kwiatami. Myślała już, że będzie przez całą wieczność smażyć się w piekle, kiedy nagle coś usłyszała...

- Wiem, co usłyszała - pisnęła Leah.

751

— Co to było? - zapytali jej wujkowie.

— Usłyszała "wrrrr-wrrrr".

— Kto tak warczał? - zapytał Dallas.

— Wspaniała Chippie - odpowiedziała Leah. - Pojawiła się w ostatniej chwili. Ona poradzi sobie z Szatanem. Nawet jeśli nie zrobi tego Pan Bóg. Prawda, tato?

— Wspaniała Chippie miała obnażone wilcze kły, a jej czarne umięśnione ciało przypominało ciało pantery, kiedy zbliżała się do Szatana. Inne demony cofnęły się przerażone, ale Szatan nie. Chippie nigdy dotąd nie atakowała przeciwnika z taką zajadłością. Miała żółte oczy i widać było, że szykuje się do walki na śmierć i życie. Przysiadła na tylnych łapach, gotowa rzucić się do gardła władcy wszelkiego zła. Przyszła tutaj, żeby ratować kobietę, która znalazła ją na ulicy, zabrała do domu pełnego dzieci, nakarmiła, pogładziła po futrze i pokochała tak, jak powinno się kochać każdego psa. "Ha! - ryknął Szatan. - Myślisz, że przestraszę się psa?" Zwracał się do samego Boga i wciąż zaciskał palce na szyi Lucy. "Nie powinieneś bać się psów - powiedział Pan Bóg - z wyjątkiem tego jednego". "A to dlaczego? Dlaczego miałbym się bać tego kundla?" "Ponieważ to ja go wysłałem. Ten pies jest narzędziem mojej woli" - odparł Pan Bóg. I Księżę Ciemności uwolnił Lucy i powrócił do swego ognistego mieszkania. Lucy padła na kolana i ucałowała Wspaniałą Chippie, która odwzajemniła jej pocałunki. A potem poprowadziła ją przez kwiaty ku światłu.

Tej nocy Lucy zmarła w naszej obecności. Kiedy nazajutrz rano zapukał do drzwi przedsiębiorca pogrzebowy, jej nocna koszula była wciąż mokra od łez pięciu synów, dwóch mężów, jednego brata i wnuczki, Leah McCall. Zdawało nam się, że cały świat stanął w miejscu, gdy przestała oddychać, ale w kanałach i cieśninach zaczynał się jak zwykle przypływ, a wkrótce potem horyzont zapłonął ogniem brzasku, pierwszego, którego nie obejrzała po przeniesieniu się do domku przy plaży.

Podczas mszy żałobnej opłakiwało ją całe miasto. Jej pięciu synów i były mąż zanieśli na własnych ramionach do kościoła piękną wypolerowaną trumnę, którą zrobił dla niej John Hardin. Był szary pochmurny dzień i doktor Pitts płakał przez całą mszę, podobnie jak Dallas, Dupree, Tee, John Hardin, mój ojciec i ja. Żaden z nas nie potrafił się opanować. Miłość Lucy zawładnęła nami i zrównała ze sobą; jej czułość wypełniała nam serca. Zostawiła nas zranionych, bezsilnych i na kolanach.

752

Na cmentarzu moi bracia i ja długo z nią rozmawialiśmy, tak jakby mogła nas usłyszeć. Utraciłem na zawsze treść słowa "matka" i nie mogłem się z tym pogodzić.

Po wysłuchaniu kondolencji obywateli miasta, przybyłych tłumnie do domu na Isle of Orion, zmęczony pogrzebem i wykrzywianiem twarzy w uśmiechu, włożyłem kąpielówki i poszedłem wraz z Leah popływać w oceanie. Woda była ciepła i jedwabista; włosy Leah lśniły niczym focze futro, kiedy dała nurka z moich ramion i popłynęła na grzbiecie fali z powrotem do brzegu. Nie mówiłem wiele, czerpiąc ukojenie i czystą przyjemność z fizycznego wysiłku, dotyku prądów i kołysania oceanu. Leah nauczyła się pływać jak wydra, zarzucała sieć na krewetki nie gorzej ode mnie i potrafiła sunąć slalomem na nartach wodnych. Stawała się powoli dziewczyną z nizin i kiedy odpoczywaliśmy dwadzieścia jardów od brzegu, przytuliłem ją mocno do siebie.

- Zobacz, tato - powiedziała nagle. - Woła nas Ledare.

Na brzegu stała Ledare, bosa, ale wciąż w czarnej sukni i perłach z pogrzebu. Pomachała do nas i popłynęliśmy w jej stronę. Podchodząc bliżej, zobaczyliśmy, że trzyma coś w ręku.

- Przyniosła go Betty Soból. Ktoś znalazł go pełzające go po polu golfowym. Betty uważa, że zgubił się przed paru dniami - powiedziała. Otworzyła dłoń i zobaczyliśmy kompletnie białego żółwika, pierwszego albinosa, jakiego kiedykolwiek widziałem. - Betty mówiła, że chyba jest martwy. Za stanawiała się, czy ty i Leah nie moglibyście zabrać go na głęboką wodę. Jeśli w ogóle żyje, nie przetrwa przyboju.

Odebrałem od niej żółwia i schowałem go niczym kieszonkowy zegarek w dłoni.

— Nie daje żadnych oznak życia - stwierdziłem.

— Zabierzmy go do wody, tato - poprosiła Leah. - Po płyniemy tak daleko, jak tylko się da.

Wziąłem Leah na barana i ruszyłem z powrotem na głęboką wodę, łapiąc z trudem równowagę, kiedy fale rozbijały się o moją pierś. Podałem żółwia Leah i kazałem trzymać go wysoko nad głową, żeby nie dosięgły go fale.

— Nawet jeśli jest martwy, stanie się fragmentem łańcucha pokarmowego - powiedziałem.

— To wspomniała, tato. Stać się fragmentem łańcucha pokarmowego.

753

Posuwanie się pod prąd nie było łatwe. Kiedy znaleźliśmy się poza strefą fal przybrzeżnych, Leah oddała mi z powrotem nie dającego oznak życia żółwia, a ja sprawdziłem go po raz ostatni i zanurzyłem w ciepłych, żywnych wodach Atlantyku. Po kilku chwilach zobaczyłem, że żółw drgnął lekko, a potem poczułem dreszcz radości, kiedy poruszył wszystkimi czterema łapkami i instynkt życia zapłonął w każdej komórce jego ciała.

- On żyje! - krzyknąłem do Leah i uwolniłem go przy samej powierzchni. A potem razem z Leah popłynęliśmy obok albinosa, który ustalił swoje położenie, zaczerpnął oddechu i zniknął z pola widzenia. Unosząc się na wodzie, zobaczyliśmy, jak jego biały łeppek pojawia się sześć stóp od nas i ponownie zanurza. Płynęliśmy w ślad za nim aż do miejsca, w którym nie mogłem dosięgnąć gruntu. Wtedy zawróciliśmy do brzegu, gdzie czekała na nas Ledare.

EPILOG

Latem następnego roku Ledare Ansley i ja wzięliśmy ślub w Rzymie i zaprosiliśmy wszystkich, których kochaliśmy, na nasze wesele. Po wspólnym pisaniu scenariusza, który zamówił u nas Mike Hess, odkryliśmy, iż nie potrafimy bez siebie żyć. Kiedy zebrałem się w końcu na odwagę i poprosiłem o jej rękę, okazało się, że Ledare wybrała już wraz z Leah suknię ślubną w Charlestonie; sporządziła także listę gości i napisała anons, który miał się ukazać w gazecie. Jedyną osobą, którą zaskoczył fakt, iż zakochałem się w Ledare, byłem ja sam. Żyłem jednak dość długo, by znać zagrożenia i pułapki, które potrafią zniszczyć nawet najsilniejszą miłość. Chciałem być absolutnie pewny.

Zapytałem, czy chce za mnie wyjść, na przyjęciu, które wydaliśmy na cześć Jordana Elliotta w przededniu jego wyjazdu do Fort Leavenworth, gdzie miał odsiedzieć swój wyrok. Skazano go na pięć lat za zabójstwo i celowe zniszczenie własności federalnej. Prokurator chciał wsadzić Jordana na dwadzieścia lat, oskarżając go o morderstwo, ale Capers Middleton wypracował kompromis, uprzedzając władze, że jeśli dojdzie do procesu, cały klasztor będzie świadczył na jego korzyść. Generał Rembert Elliott przeniósł się do Kansas, aby być blisko syna przez cały okres, jaki ten miał spędzić w więzieniu. W trakcie prawnych utarczek poprzedzających rozprawę gorąco bronił swego syna, a potem odwiedzał go codziennie w więzieniu. Z czasem zrodziło się między nimi głębokie uczucie. Odkryli ku swemu zaskoczeniu i radości, iż prawdziwa przyjaźń między ojcem i synem jest w stanie zniwelować całą krzywdę i zło,

755

które wyrządzone zostały w przeszłości. Odnaleźli się na gruzach własnego życia, przywiązali do siebie i pojednali wbrew dzielącym ich olbrzymim różnicom.

W przededniu naszego ślubu Ledare i ja wspięliśmy się razem na wzgórze Janiculum. W rozciągającym się u naszych stóp, zasnutym mgiełką antycznym mieście trwała gorączkowa aktywność; słońce chowało się za linią wzgórz na zachodzie. Tam, na dole, pośród zapalających się jedno po drugim białych świateł, trwały przygotowania do ostatniego bankietu, w którym mieliśmy wziąć udział, zanim staniemy się mężem i żoną. Doszedłem do wniosku, że Janiculum będzie odpowiednim miejscem, by pokazać Ledare list od Shyli. Te kartki tłumaczyły w jasny i dobitny sposób rzeczy, których własnymi słowami nigdy nie zdołałbym wyrazić. Przed wielu laty, kiedy Foxowie chcieli mi odebrać Leah, zdołałem dzięki nim wygrać sprawę w sądzie. List od Shyli wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. Uświadomił mi, iż doświadczyłem uczucia, które bardzo niewielu ludziom dane będzie kiedykolwiek poznać, przeżyć lub choćby tylko zapragnąć. I chociaż zdołałem pogodzić się z odejściem Shyli, nigdy się z nią nie pożegnałem. Teraz, w przededniu ślubu, musiałem z tym zerwać - musiałem pozwolić, by miłość Ledare uleczyła moje znękaną południowe serce.

— A więc to jest ten słynny list - stwierdziła, kiedy podałem jej kopertę.

— Zasluguje na to, żeby być słynny - odparłem. - Sama zobaczysz.

— Kto oprócz ciebie go przeczytał?

— Sędzia w Karolinie Południowej, a teraz ty - powiedziałem. - Nie zamierzam pokazywać go na razie Leah. Ostatnio dużo przeszła.

— I tak jestem już zazdrosna o Shylę, o wszystko, co moim zdaniem was łączyło - stwierdziła. - Czy to nie pogorszy sytuacji?

— Wyjaśni ją. Część dotyczy ciebie.

— Mnie?

— Zobaczysz.

Ledare wyjęła ostrożnie list z koperty. Pisany był w pośpiechu i kilka chwil trwało, zanim przywykła do nerwowego charakteru pisma Shyli.

756

Drogi Jack,

To nie powinno kończyć się w ten sposób, ale musi, kochany, przysięgam ci, że musi. Pamiętasz tę noc, kiedy po raz pierwszy się w sobie zakochaliśmy, noc, kiedy dom runął do morza, a my odkryliśmy, że nie potrafimy oderwać od siebie dłoni? Nie wyobrażaliśmy sobie wtedy, że moglibyśmy pokochać kogoś innego, tak silny był płomień, który w nas zapłonął. A pamiętasz tę noc, kiedy spłodziliśmy Leah w hotelowym łóżku, na najwyższym piętrze hotelu Raphael w Rzymie? To była najpiękniejsza noc w moim życiu, ponieważ oboje pragnęliśmy wtedy dziecka i obróciliśmy całe nasze szaleństwo i rozpacz w coś, co mogło napawać nadzieją. Kiedy ty i ja byliśmy na dobrej drodze, Jack, potrafiliśmy sprawić, że cały świat zapalał się od żaru naszych ciał, potrafiliśmy uczynić go doskonałym.

Nie wyjaśniłam, dlaczego opuszczam ciebie i Leah, Jack, ale mówię Ci to teraz. To znowu szaleństwo. I tym razem jest go zbyt wiele. Powróciła moja dama. Dama z monetami,

0 której opowiadałam ci, kiedy byliśmy dziećmi. Wówczas, dawno temu, wpatrywała się we mnie ze współczuciem, tym razem jednak była okrutna. Tym razem przemawiała do mnie głosami Niemców, oskarżając o to, że jestem Żydówką. Już jako mała dziewczynka, Jack, nie mogłam znieść tego, co wycierpieli moi rodzice. Ich ból dręczył mnie bardziej niż cokolwiek na świecie. Każdego ranka byłam świadkiem ich niewypowiedzianego smutku, ich wojny ze światem, której nie sposób było oddać słowami. Nosłam ten ból w sobie niczym płód. Karmiłam go własną krwią i pozwoliłam, by krążył w moich żyłach jak kryształ i okruchy szkła. Nigdy nie byłam dość silna, by zmierzyć się z potworną przeszłością moich rodziców. To, co przeżyli, wstrząsa mną, torturuje i sprawia, że wariuję z bezsilności.

Dama z monetami wzywa mnie teraz, Jack, i nie mogę oprzeć się jej wołaniu. Nie mam ani jednej monety zaszytej w guzikach sukienki, żeby się wykupić. Wzywają mnie obozy, Jack. Na ramieniu mam świeży tatuaż i podróż bydlęcymi wagonami dobiegła końca. Śni mi się Cyklon B. Muszę iść za tym głosem, a kiedy już skoczę z mostu, Jack, znajdę się po prostu w jednym z dołów, w którym leżą wygłodzone

1 sponiewierane zwłoki sześciu milionów Żydów, dołączę do nich, ponieważ nie potrafię się od nich uwolnić. Gdzieś między

757

tymi pomordowanymi Żydami leżą moi rodzice; oni, którzy nie mieli dość szczęścia, by umrzeć. W jednym z tych dołów, w których śniło mi się, że leżę pochowana, zajmę należne mi miejsce. Będę Żydówką, która wrywa złote zęby umarłym, Żydówką, która oddaje swoje wycieńczone ciało na mydło dla walczących na wschodnim froncie żołnierzy Rzeszy. To szaleństwo, Jack, ale taka jest prawda. To, o czym mówię, zawsze było we mnie najprawdziwsze i błagam Cię o wybaczenie. Mój drogi, mój dobry -jakże mogę opuścić Ciebie i Leah? Jak mam powiedzieć damie z monetami o mojej miłości do Was dwojga? Ale jej nie chodzi o moją miłość, jej chodzi o moje życie. Ma słodki kuszący głos. Wie, że nie mogę kochać nikogo, skoro mój kraj jest krajem odmienionych, dotkniętych obsesją, szlochających i rozbitych.

Tak będzie najlepiej, Jack, najlepiej dla mnie. Kiedy odejdę, proszę, opowiedz o mnie Leah. Opowiedz o wszystkim, co było we mnie dobre. Dobrze ją wychowaj i kochaj za nas oboje. Dbaj o nią, jak ja bym dbała. Odkryj w sobie matkę. Ona jest w Tobie, ta dobra matka. Wierzę, że ją

odnajdziesz i wychowasz Leah, dając z siebie to, co jest w Tobie najlepsze. Zrób to, co powinnam była zrobić ja, i nie pozwól, Jack, aby ktokolwiek Ci w tym przeszkodził. Zachowaj mnie w pamięci przez wzgląd na nasze dziecko.

Któregoś dnia spotkasz inną kobietę, kochany. Już teraz ją kocham, szanuję i jej zazdroszczę. Ma mojego ukochanego mężczyznę, a przecież walczyłabym z każdą, która usiłowałaby mi Cię odebrać. Powiedz jej o tym i opowiedz jej o mnie.

Powtórz jej także, co Ci teraz powiem.

Ja czekam na Ciebie, Jack. Czekam w tym samym domu, który morze porwało tamtej nocy, kiedy się po raz pierwszy pokochaliśmy, kiedy odkryliśmy, że związał nas ze sobą los. Kochaj ją mocno i bądź jej wierny, ale uprzedź, że szykuję ten dom na twoje przybycie. Czekam w nim na Ciebie, Jack, teraz, kiedy czytasz ten list. Stoi na dnie morza, a zza jego węglów wyglądają anioły. Usłyszę twoje pukanie, otworzę drzwi i pociągnę Cię do tego pokoju, gdzie tańczyliśmy przy dźwiękach plażowej muzyki, całowaliśmy się na dywanie i gdzie pozwoliłam, abyś się we mnie zakochał. Poślub miłą kobietę, Jack, ale nie aż tak miłą, żebyś nie chciał wrócić do naszego domu na dnie morza. Mam nadzieję, że będzie ładna i pokocha naszą córkę tak samo mocno, jak

758

ja bym ją kochała. Uprzedź ją jednak, że nie oddałam Cię raz na zawsze, Jack. Pożyczyłam Cię tylko na chwilę. Teraz odchodzę, ale będę na Ciebie czekać, w tym domu, który pochłonęło morze. Rozkazuję Ci, Jack, w imię mojej niewygasłej miłości do Ciebie, ożeń się z cudowną kobietą, ale powiedz jej, że to ze mną wybrałeś się na bal. Uprzedź, że musisz zachować dla mnie ostatni taniec. Och, mój kochany, Shyla

Ledare przeczytała list trzy razy, a potem złożyła go ostrożnie i oddała z powrotem. Przez kilka chwil w ogóle się nie odzywała, próbując powstrzymać łzy.

— Nie potrafię kochać cię tak jak Shyla, Jack - szepnęła w końcu. - Nie jestem tak skonstruowana.

— Pokazując ci ten list, popełniłem błąd - powiedziałem.

— Nie, wcale nie - odparła, biorąc moją rękę w obie dłonie i całując ją. - To piękny list, list, od którego pęka mi serce.

Jako twoją przyszłą żonę trochę mnie onieśmiela. Nie potrafię nań odpowiedzieć.

— Tak samo jak ja. Stałem się jakby jego więźniem. Kiedyś płakałem przy każdej jego lekturze. Przestałem to robić dopiero kilka lat temu.

— Zejdźmy na dół i użyjmy życia, Jack. Kochajmy się naj lepiej, jak możemy. Ale Shyla może zachować ostatni taniec.

Zasłużyła na to.

Jordan przysłał nam z więzienia w Leavenworth długi list, błogosławiąc nasze małżeństwo i obiecując, że w dniu, w którym je zawrzemy, odprawi za nas mszę. Odkrył, że nie boi się wcale pobytu za kratkami, a więzienna dyscyplina wydała mu się niemal łagodna po tak długim przestrzeganiu reguły trapistów. Pisał, że administracja więzienia pozwoliła mu pełnić posługę duszpasterską i prowadzić dla współwięźniów kursy teologii i filozofii. Bolało go, że tylu ludzi żyje w wielkiej i bezustannej udręce i tak niewielu z nich potrafi odnaleźć pociechę w modlitwie. Nie chodziło o to, że są bezbożnikami, lecz że wiara w Boga dawała im tak niewiele otuchy.

Rozmawiali z nim o ogłupiającej pustce swego życia w Ameryce. Ich dusze były obumarłe i nie rozbudzone. Brak marzeń sprawiał, że mieli puste, wylęknione oczy. Jordan nigdy dotąd nie spotkał tak wielu ludzi, którzy potrzebowaliby duchowego wsparcia.

759

,

W jednym z wcześniejszych listów napisał, że jest bardzo szczęśliwy. Pobyt w więzieniu pozwolił

mu wrócić do świata, umocnił także i jakby ratyfikował jego kapłańskie powołanie. Zmieniając Leavenworth w skrzydło swojego klasztoru, spowodował, że wielu współwięźniów odkryło dziwne piękno dobrowolnej samotności trapistów. Pisał, że często się modli i stara, jak może, pokutować za zbrodnię, którą popełnił jako porywczy młody człowiek. Codziennie modlił się za wieczny odpoczynek dziewczyny i chłopaka, których zabił, chociaż nieumyślnie, lecz jednak zabił. Przesyłał mnie i Ledare wyrazy miłości i błogosławieństwa i pytał, czy wolno mu będzie udzielić nam ponownie ślubu po wyjściu z więzienia.

W przesłanej tego samego dnia depeszy zapewnilem go, że Ledare i ja nie będziemy uważać naszego związku za pełnoprawny, dopóki osobiście go nie pobłogosławi.

Nazajutrz, w dniu ślubu, Leah i ja wybraliśmy się na przechadzkę po oślepiających brązowych uliczkach dzielnicy, w której przeżyła większą część dzieciństwa. Chciałem spędzić ten ostatni ranek tylko z moją córką, i Ledare doskonale to rozumiała. Kiedy nic nie zakłócało naszego uczucia, myślałem, trzymając za rękę Leah, cechowały je czułość, zaufanie i rodzaj cichego zrozumienia, niepodobne do wszelkich innych form miłości.

Odkąd George i Ruth opowiedzieli mi swoje dzieje, spoglądałem często na Leah, próbując wyobrazić ją sobie w bydłącym wagonie, z ogoloną głową, tuż przed wepchnięciem do komory gazowej, albo maszerującą z podniesionymi do góry rękoma ku świeżo wykopanym dołom i gniazdom karabinów maszynowych. Podziwiając urodę swojej córki, wiedziałem, że zabiłbym wszystkich Niemców żyjących na tej planecie, zanim pozwoliłbym ją skrzywdzić. Nie mieściło mi się w głowie, że na tym świecie polowano niegdyś na dzieci i zabijano je, jakby były jakimiś szkodnikami. Gdyby Leah McCall, córka Żydówki, urodziła się pięćdziesiąt lat wcześniej, nie zostałoby z niej nic prócz czarnego popiołu, który wiatr poniósłby nad polskimi górami, myślałem, ściskając mocniej jej rękę.

Tego ranka opowiedziałem jej o gehennie, jaką Ruth Fox przeszła w latach drugiej wojny światowej. Opisałem śmierć jej rodziny, ucieczkę w świat katolickiego ruchu oporu oraz pobyt w klasztorze, który trwał aż do chwili, gdy Wielki Żyd wykupił ją z okupowanej Polski i sprowadził do Waterfordu w Karolinie

760

Południowej. Po raz pierwszy opowiedziałem Leah o sukience, którą jej prababka uszyła dla swojej córki, i o zaszytych w guzikach ośmiu złotych monetach, którymi Ruth płaciła za okazaną jej pomoc.

Mijając pogrążone w mroku sklepy i czując, jak mocno porusza mnie ponownie ta opowieść, opisałem Leah, jak jej babka ukryła sukienkę z monetami pod posągami Najświętszej Pani, i jak modliła się do owej kobiety, która, o czym dobrze wiedziała, urodziła przed dwoma tysiącami lat w Palestynie pewnego Żyda. Powiedziałem jej, że Ruth przez całe życie wierzyła, iż Maria wysłuchiwała modlitwy żydowskiej dziewczyny, błagającej ją o wstawiennictwo w okupowanej Polsce. Ruth nazwała ją damą z monetami i ta właśnie historia pozostawiła niezatarte piętno na matce Leah, Shylii.

Na Ponte Mazzini, przyglądając się falom Tybru, ofiarowałem Leah naszyjnik z monetą, który, z wyjątkiem ostatniego dnia, Shyla nosiła przez całe swoje życie. W testamencie Shyla zaznaczyła, iż jej córka ma otrzymać naszyjnik, gdy będzie dość dorosła, aby wysłuchać tej opowieści. Ufała, że sam będę wiedział, kiedy nastąpi ta chwila.

- Gdy wojna dobiegła końca, w sukience Ruth nadal pozostały trzy monety - powiedziałem. - Kazała zrobić z nich trzy naszyjniki. Jeden z nich nosi sama. Drugi ma ciocia Martha. Ten naszyjnik należał do twojej mamy. Był najbardziej ukochaną rzeczą, jaką posiadała. Chciałbym, aby przypominał ci ją za każdym razem, gdy go włożysz. Twoją mamę i historię twojej babci.

Leah włożyła naszyjnik Shylii; jej ramiona i szyja były tak samo śliczne jak ramiona i szyja matki. Zauważyłem już u niej pierwsze oznaki kobiecości i jednocześnie mnie to wzruszyło i zatrwożyło.

Modliłem się, aby zakochała się w mężczyźnie, który nie będzie do mnie wcale podobny, mężczyźnie mniej udreńczonym i nie opętanym przez tyle demonów, mężczyźnie, który kocha śmiech i promieniuje słońcem i radością.

— Będę nosiła ten naszyjnik codziennie, tato - zapewniła mnie Leah.

— Twoja mama bardzo by się z tego cieszyła - odparłem. - A teraz lepiej wracajmy, dziecko. Dzisiaj musisz mi pomóc się ożenić.

— Nie mogę się tego wprost doczekać. Najwyższa pora, żebyś sprawił mi jakąś mamę, nie sądzisz?

761

— Tak - odparłem. - Zgadzam się. Swoją drogą, Leah, dziękuję ci, że jesteś taka, jaka jesteś. Nigdy w życiu nie spotkałem słodszeo, miłszego i bardziej uroczeo dzieciaka i byłaś taka od samego początku, od dnia, kiedy przywieźliśmy cię ze szpitala. Ja ze swej strony nie ruszyłem nawet małym palcem, obserwowałem cię tylko z podziwem i fascynacją.

— Nie bądź taki skromny, tato - powiedziała, wpatrując się przez chwilę w zawieszoną na łańcuszku złotą monetę i do piero potem spoglądając mi prosto w oczy. - Nie dojrzewałam sama. To ty mnie wychowałeś.

- To była czysta przyjemność, dziecko - oznajmiłem.

Po południu nasza grupa stawiała się na wzgórzu kapitolin-skim, na placu zaprojektowanym przez Michała Anioła. Na niebie zbierały się burzowe chmury; lekki wiejący od Apeninów zefirek zmienił się nagle w porywisty wiatr i po chodniku fruwały płachty gazet. Na ścianie budynku, który był po części muzeum, po części pałacem ślubów, zawieszono wykaliigrafowane ozdobnym pismem Starego Świata zapowiedzi ponad pięćdziesięciu par. Tutaj właśnie przybywali na ogół mieszkańcy Rzymu, aby miasto zalegalizowało ich małżeństwa. Wszędzie wokół nas, w wyraźnie oddzielonych od siebie grupkach, stały w otoczeniu uradowanych rodzin urocze rzymskie panny młode, czekając wraz ze zdenerwowanymi śniadymi narzeczonymi, aż na zatłoczonym placu zabrzmia ich nazwiska. Rozglądając się wokół siebie, doszedłem do wniosku, iż nasz gatunek ma się całkiem nieźle. Próbowałem wyobrazić sobie coś, co przewyższałoby pięknem kobietę, nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Dzieło zachowania gatunku było tańcem totalnej radości.

Kiedy wywołano w końcu nasze nazwiska, w grupie przyjaciół i krewnych, którzy przyjechali z tej okazji do Rzymu, rozległy się głośnie wiwaty. Liczny i hałaśliwy kontyngent z Wa-terfordu przybył na tydzień przed ślubem i po raz któryś z rzędu miałem okazję się przekonać, że nie ma na świecie bardziej niesubordinowanego tłumu od podróżujących południowców. Gadając i przekrzykując się wzajemnie, przekroczyli próg pachnącej skórą i spłowiąłym aksamitem wysokiej sali. Panująca w niej uroczysta atmosfera trochę ich w końcu zmiętygowała. Ledare i ja zbliżyliśmy się do eleganckich i nieruchomych niczym bramini dostojnych mężów, którzy mieli udzielić nam ślubu i zarejestrować go na zawsze w rzymskich annałach.

762

Przybysze z Karoliny Południowej zajęli miejsce po lewej, a moi rzymscy przyjaciele po prawej stronie przejścia. Siedząca obok Parisa i Lindy Shawów nauczycielka Leah, Suor Rosaria, przesłała mi pocałunek. Ukłoniłem się braciom Raskovicom, potem zaś pozdrowiłem uniesioną dłonią kelnera Freddiego, który opuścił w południe swój posterunek w Da Fortunato, aby wziąć udział w

naszej uroczystości. Wśród gości widziałem również kilku lekarzy, którzy zajęli się mną po masakrze na lotnisku. Z Wenecji przybyła wraz ze swoim mężem Marcella Hazan, był także Giuliano Bugialli, który przyjechał z Florencji po zakończeniu tygodniowych zajęć w swojej szkole kulinarnej. Dziennikarze i wielcy kucharze zebrali się, aby uczcić wejście w związek małżeński jednego ze swoich kolegów. Przebiegając dyskretnie wzrokiem po obecnych, naliczyłem na sali co najmniej trzydziestu autorów książek kucharskich. Gdyby w trakcie ceremonii wybuchła bomba, zmieniłyby się upodobania kulinarne połowy świata.

Ledare przesyłała pocałunki mniej licznym przybyszom z Karoliny Południowej. Moi bracia przyjechali wraz z rodzinami dwa tygodnie wcześniej i zwiedzili całe Włochy w trakcie zaaranżowanej przeze mnie błyskawicznej wycieczki. Matka Ledare rozbawiła rzymian, machając do nich jednym palcem i pozdrawiając przeciągłym Ciao. Przyjechała wraz z mężem i dziećmi Ledare i Capersa. Był tam także Wielki Żyd ze swoją żoną, Esther, a także Silas i Ginny Penn, której złamane biodro ku zaskoczeniu wszystkich zupełnie dobrze się zrosło. W Rzymie Ginny chodziła przez cały czas nadąsana, uważała bowiem, że Włosi mówią niezrozumiałym językiem wyłącznie po to, żeby ją zdenerwować. Doktor Pitts usiadł z tyłu razem z Celestine Elliott, która w dalszym ciągu nie odzywała się do męża, nie mogąc mu darować tego, że pomógł wsadzić Jordana za kratki. Trzy współlokatorki Ledare z akademika przyjechały razem ze swymi mężami.

Spóźniony trochę Mikę pojawił się z piękną aż do bólu aktorką Saundrą Scott, która została później jego piątą żoną. Siostra Shyli, Martha, siedziała w pierwszym rzędzie razem ze swoim narzeczonym z Atlanty.

Mój ojciec nie był obecny, przysłał za to krótki liścik, wyjaśniając, iż jest wciąż pijany i prawdopodobnie nigdy nie wytrzeźwieje. Nie mogę na to poradzić - pisał - i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Po prostu nie mogę. Moim ślubnym prezentem będzie to, że nie przyniosę Warn wstydu w czasie wesela. To najlepsze, na co mnie stać.

763

Urządник prowadzący ceremonię odchrząknął, dając znak, że uroczystość zaraz się rozpocznie. Ubrana w białą jedwabną sukienkę, Leah stanęła obok nas z bukietem kwiatów i splewającymi na ramiona długimi ciemnymi włosami. Na odsłoniętej szyi miała zawieszony naszyjnik Shyli i widniejący na nim profil cara Mikołaja widać było tak samo wyraźnie jak zarys jej obojczyka. Pochylając się, żeby ją pocałować, odkryłem z zaskoczeniem, że ma policzki mokre od łez.

— Dlaczego płaczesz? - zapytałem.

— Bo jestem szczęśliwa, głuptasie - odparła.

Ledare i ja siedliśmy na dwóch połączonych rzeźbionych fotelach, a obok nas zajęli miejsca nasi świadkowie, których wybór stał się powodem pewnej kontrowersji.

Wybraliśmy George'a i Ruth Foxów i kiedy obie rodziny zaczęły zgłaszać różne obiekcje, oświadczyliśmy, że nasza decyzja jest nieodwołalna.

To był pomysł Ledare i kiedy mi go oznajmiła, łzy stanęły mi w oczach. Ledare, która zawsze potrafiła wykonać właściwy gest i zachować się z gracją, wyczuła w nas obojgu niewy-słowioną potrzebę pojednania i zagojenia ran. Opowiedziałem jej o wojennych przeżyciach Foxów, dodając, jak bardzo bolało mnie to, że tak późno się o nich dowiedziałem. Prosząc matkę Shyli, aby została jej świadkiem, Ledare chciała wyrazić, jak bardzo kocha Leah. Zwracając się z tym samym do George'a Focha, miałem nadzieję zaleczyć stare rany, które sobie nawzajem zadaliśmy. Chciałem także uczcić pamięć Shyli i przypomnieć wszystkim, ile bolesnych wydarzeń doprowadziło do tego wspaniałego momentu, gdy razem z Ledare mieliśmy ślubować sobie dożgonną miłość.

Ledare i ja podnieśliśmy się z miejsc, spojrzeliśmy na siebie i obojgu nam spodobało się to, co zobaczyliśmy.

Kiedy urzędnik ogłosił, że jesteśmy mężem i żoną, ucałowaliśmy się, a rodziny i przyjaciele zgotowali nam stojącą owację.

A potem wróciliśmy wszyscy na Piazza Farnese, gdzie na tarasie mojego apartamentu aż do drugiej

w nocy trwało weselne przyjęcie. Moi bracia przywieźli ze sobą mnóstwo kaset z muzyką plażową i goście z Karoliny Południowej nauczyli tej nocy rzymian tańczyć shaga. Wykazując się wyjątkowym talentem dyplomatycznym, Dallas, Dupree i Tee ani razu nie puścili Save the Last Dance for Me. Opowiadali jednak potem wszystkim, że tego dnia przeszczepili na włoski grunt karolińską muzykę plażową.

764

Podawałem właśnie koniak ostatnim gościom, kiedy Ledare podeszła do mnie i powiedziała, że razem ze swymi dziećmi odprowadzi teraz rodziców do hotelu Hassler. Chciałem iść z nią, lecz odparła, że w salonie wciąż jeszcze kręcą się goście, a ona chce położyć rodziców do łóżek. Oboje wypili trochę za dużo włoskiego wina; Dupree zaofiarował się, że ich odwiezie, a John Hardin chciał się z nimi przejechać.

— Ale to nasza noc poślubna - zaprotestowałem, kiedy stanęła na palcach, żeby mnie pocałować.

— Obudzę cię - obiecała.

— Nie zasnę - odparłem. - Chcę obejrzeć świt.

— Podjąłeś właściwą decyzję - stwierdziła z uśmiechem.

— Najlepszą z tych, jakie zdarzyło mi się powziąć.

— Będę cię trzymała za słowo.

— Dlatego właśnie ci ją dałem - powiedziałem, dotykając tkwiącej na moim palcu złotej obrączki.

— A ja dlatego ją przyjąłem.

Kiedy przyjęcie dobiegło końca, wyszedłem na taras i spojrzałem na brunatne, poprzecinane alejkami miasto, które w nocy sprawiało wrażenie wyrzeźbionego w brązowym cukrze. Dwie fontanny na dole rozmawiały ze sobą pięknym językiem spadającej wody. Chciałem podziękować Rzymowi za to, że mnie uzdrowił i obchodził się ze mną w rękawiczkach, gdy byłem wewnętrznie poobijany. To miasto nauczyło mnie, że do szczęścia wystarczy czasem okrusz czystego piękna, dało dach nad głową, otoczyło opieką i skierowało z powrotem na właściwą drogę. Spoglądając na błyszczące w świetle latarni dachy domów i szukając właściwych słów, by mu podziękować, powiedziałem sobie, że pewnego dnia napiszę do Rzymu miłosny list i postaram się w nim zawrzeć cały swój podziw i wdzięczność. Tuż za mną rozległ się cichy szmer i zobaczyłem, że Leah wyszła na taras, żeby być razem ze mną.

— Myślałem, że poszłaś spać - powiedziałem.

— Jestem za bardzo podniecona, żeby zasnąć - odparła, biorąc mnie za rękę. Spojrzeliśmy razem w dół na piazę, moja córka i ja, tak jak to robiliśmy wielokrotnie w trakcie spędzonych tu długich lat. Zawdzięczałem temu dziecku i temu miastu bardzo wiele i zdałem sobie sprawę, że czasem słowa są po prostu listami, które piszemy do samych siebie, starając się wyrazić zachwyt, magię i poczucie nieuchronnej straty.

765

— Tak długo byliśmy tylko we dwoje, Leah - stwierdziłem, kiedy przez plac przejechał pojedynczy samochód.

— Zbyt długo, tato - odparła.

— Przyjaźniliśmy się niczym Samotny Zwiadowca i Tonto.

— O wiele mocniej - szepnęła.

— Ja też tak uważam.

— Tato...

— Tak, dziecko.

— Nie mogę przestać myśleć o mamie. Mam wyrzuty sumienia, bo naprawdę cieszę się z powodu twojego małżeństwa z Ledare.

— Nie miej sobie tego za złe. Ja też myślałem o niej przez cały dzień.

— Dlaczego?

— Ponieważ chciałbym opowiedzieć jej wszystko o naszym ślubie. Kiedyś mówiliśmy sobie o wszystkim. Chciałbym, żeby wiedziała o tobie, o mnie i o Ledare.

— Co byś jej powiedział, tato?

— Że moim zdaniem będzie nam się wiodło całkiem nieźle.

— Więcej niż nieźle - oznajmiła Leah. - Będziemy szczęśliwi. Staniemy się rodziną.

— Zawsze tego chciałaś, prawda, dziecko?

— Tak. Bardziej ze względu na ciebie niż na mnie. Byłeś sam jak palec, tato. Nie potrafiłam znieść, że jesteś taki samotny.

— Nie mogłem tego lepiej ukryć.

— Nikt poza mną o tym nie wiedział - odparła. - Ale pamiętaj: jestem twoją córką. Niewiele jest rzeczy, których bym o tobie nie wiedziała.

Przed domem zatrzymał się samochód i wysiedli z niego moi bracia i Ledare. Dupree i John Hardin rozebrali się do samych szortów, wskoczyli do wielkiej fontanny i zaczęli się w niej kąpać, Dupree nurkując, a John Hardin płynąc na plecach. Leah zostawiła mnie i zbiegła na dół, do Ledare, która trzymała ich ubrania.

Śmiejąc się cicho, patrzyłem, jak moi bracia zażywają zabronionej kąpieli. Tee i Dallas wyszli razem z Leah z domu

1 Tee skoczył do wody, nie zdejmując nawet garnituru. Leah przyłączyła się do niego w swojej wieczorowej sukience, a ja patrzyłem, jak wszystko to rozgrywa się w świetle, który wy dawał mi się jednocześnie bardzo daleki i bardzo bliski.

Zacząłem śnić o tym świetle, wiedząc, że w nim właśnie potoczy się teraz moje życie.

Dziękowałem losowi za tyle rzeczy, że nie potrafiłem ich wszystkich wyliczyć.

766

Żałowałem, że moi rodzice nie mogą spędzić ze mną tego wieczoru. Pomodliłem się do Lucy, dziękując jej za to, że kochała mnie najlepiej, jak umiała. Okazywała to na swój własny sposób i dzięki niej czułem się niczym król w mieście, w którym kiedyś z niej sztychono. Uświadomiłem sobie, ile zawdzięczam moim braciom i przyjaciółom, memu rodzinnemu miastu i stanowi, a także zamiłowaniu do dobrego jedzenia, podróży i zwiedzania egzotycznych miejsc. Moje życie osiągało teraz pełnię i zaczynałem zdawać sobie z tego sprawę. Przybyłem do Rzymu rozbity i dręczony wspomnieniem Shyli, teraz jednak wiedziałem, że ludziom zdarzają się gorsze rzeczy.

Z placu na dole dobiegały mnie głosy tych, których kochałem. Byłem wdzięczny, że świat postawił ich na mojej drodze. A potem po raz ostatni oddałem serce Shyli Fox, pozwalając, by jej duch ogarnął mnie i wybaczył moje szczęście.

Podziękowałem jej i przeprosiłem za to, że muszę ją teraz opuścić. Zapewniłem, że dochowałem jej wierności i bez względu na to, jak bardzo by cierpiała i jak boleśnie jąrzyłyby się jej rany, nigdy bym jej nie zostawił. Zamykając oczy, poczułem ponownie, jak bardzo jej potrzebuję, jak bardzo kocham tę dziewczynę, która przychodziła do mnie w tajemniczy liściastymi alejami dębu i zmieniała mój świat, otwierając przede mną najgłębsze zakamarki swej duszy.

- Jack - usłyszałem dobiegający z dołu głos i trochę zdziwiony uświadomiłem sobie, że to moja żona. Ledare, która zawsze była wspaniałą pływaczką, przyłączyła się do swej nowej rodziny i płynęła teraz bokiem tuż obok Leah, w przywierającej do ciała ślubnej sukni. Moi bracia i córka machali, abym się do nich przyłączył. Zerkając przypadkiem na lewą dłoń, zauważyłem, że odmienił ją na zawsze pierścień, który Ledare kupiła mi i włożyła przed kilkoma godzinami na palec. Dotknąłem swojej nowej obrączki, czując, że oznacza dla mnie nowe życie.

Przed zejściem na dół i przyłączeniem się do Ledare i całej reszty przypomniałem sobie o wyznaczonym spotkaniu i uśmiechnąłem się wiedząc, że któregoś dnia Shyla i ja znowu będziemy razem. Ponieważ mi to obiecała i ponieważ nauczyła mnie wierzyć w obecność magii w naszym kruchym ludzkim dramacie, wiedziałem, że Shyla czeka na mnie i na taniec, który będzie trwał wiecznie, w domu, gdzieś na dnie wielkiego jasnego morza.

KONIEC